

DZIEŁA WYBRANE
Tom 3

FIODOR DOSTOJEWSKI

BIESY

PRZEŁOŻYLI TADEUSZ ZAGÓRSKI I ZBIGNIEW PODGÓRZEC

ŁAGODNA

PRZEŁOŻYŁ GABRIEL KARSKI

SOBOWTÓR

PRZEŁOŻYŁ SEWERYN POLLAK

Tytuły oryginałów: „BIESY”, „KROTKAJA”, „DWOJNIK”

BIESY

POWIEŚĆ W TRZECH CZĘŚCIACH

Przekład

TADEUSZA ZAGÓRSKIEGO

przejrzany i poprawiony przez

ZBIGNIEWA PODGÓRQA

Rozdział U Tichona przełożył

oraz przypisy do całości opracował

ZBIGNIEW PODGÓRZEC

Wokół mrok, choć wykol oczy, Co tu robić? Będzie źle! Bies nas, widać, w polu toczy I kołuje
nami w mgle

Biesy kręcą się szalone, Jako liście w słotny dzień Skąd tch tyle? Dokąd pędzą, Zawodzące
straszna pieśń? Czy to czart się żeni z jędzą?

A Puszkini

A była tam duża trzoda świń, pasących się na górze Prosiły Go więc (złe duchy), zęby im pozwolił
wejść w me I pozwolił im Wtedy złe duchy wyszły z człowieka i weszły w świnie, a trzoda ruszyła
pędem po urwistym zboczu do jeziora i utonęła Na widok tego, co zaszło, pasterze uciekli i

rozpowiedziach to w mieście i po zagrodach Ludzie wyszli zobaczyć, co się stało Przyszli do Jezusa i zastali człowieka, z którego wyszły złe duchy, ubranego i przy zdrowych zmysłach, siedzącego u nóg Jezusa Strach ich ogarnął A ci, którzy widzieli, opowiedzieli im, w jaki sposób opętany został uzdrowiony

Łuk VIII, 32-36*

CZĘŚĆ PIERWSZA

ZAMIAST PRZEDMOWY:

NIECO SZCZEGÓŁÓW Z ŻYCIORYSU CZCIGODNEGO
STIEPANA TROFIMOWICZA WIERCHOWIEŃSKIEGO
KSIĄŻĘ HARRY. SWATY
CUDZE GRZECHY
KUTERNÓŻKA PRZEBIEGLY WĄŻ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ZAMIAST PRZEDMOWY:

NIECO SZCZEGÓŁÓW Z ŻYCIORYSU
CZCIGODNEGO STIEPANA TROFIMOWICZA
WIERCHOWIEŃSKIEGO

I

Rozpoczynając opis niedawnych, a tak dziwnych zdarzeń, których świadkiem było nasze skromne i niczym dotychczas nie wstawione miasto¹, nim przystąpię do rzeczy, muszę, że względu na moją nieudolność, zacząć od paru szczegółów z życia utalentowanego i czcigodnego Stiepana Trofimowicza Wierchowieńskiego.² Niech te szczegóły będą tylko wstępem do niniejszej kroniki,³ zdarzenia zaś, które zamierzam opisać, przyjdą później.

Powiem po prostu: Stiepan Trofimowicz odgrywał wśród nas osobliwą rolę, że tak powiem, „obywatelską”, a rolę tę lubił namiętnie, i to tak bardzo, że, jak mi się zdaje, nie mógłby żyć bez niej. Nie chcę bynajmniej porównywać go do aktora z teatru: uchowaj Boże, tym bardziej że sam go przecie szanuję. Mogło to wszystko być kwestią przyzwyczajenia lub raczej stałej i szlachetnej, od lat dziecinnych trwającej skłonności do przyjemnych marzeń o pięknym, obywatelskim stanowisku. Niesłuchanie na przykład lubował się w roli „ściganego” i, że tak powiem, „zesłańca”. Oba te słowa lśnią swego rodzaju klasycznym blaskiem, który go urzekł raz na zawsze i wywyższając go stale, przez długie lata, w jego mniemaniu wprowadził ostatecznie na piedestał wzniosłości, niezmiernie łechcącej jego ambicję. W pewnej angielskiej powieści satyrycznej zeszłego stulecia niejaki Guliwer, powróciwszy z kraju Liliputów, którego mieszkańcy mieli zaledwie dwa werszki*

- werszek (starorusyjska miara długości) = 4,45 cm

11

wzrostu, tak zżył się ze swoją rolą olbrzyma, że na ulicach Londynu wołał na widok przechodniów i pojazdów, ostrzegając, by mu ustępowali z drogi, wciąż bowiem myślał, że jest olbrzymem, a oni - karzełkami, i że może ich rozdeptać. Śmiano się z niego, łajano go, a ordynarni stangreci nieraz nawet śmignęli batem urojonego olbrzyma. Ale czy słusznie? Czego bowiem nie robi przyzwyczajenie! Ono to doprowadziło prawie do takiego samego stanu Stiepana Trofimowicza, lecz objawy tego stanu były bardziej, jeśli można tak rzec, niewinne i nieszkodliwe, był to bowiem człowiek arcypocziwy. Myślę nawet, że pod koniec wszędzie o nim zapomniano; lecz nie wynika

z tego wcale, aby i przedtem go nie znano. Bądź co bądź, należał ongiś do znakomitego grona sławnych działaczy minionej doby i przez pewien czas, ściślej mówiąc, przez krótką chwilę, zbyt pochopni ludzie owej epoki wymawiali jego nazwisko omalże na równi z nazwiskami Czaadajewa, Bielińskiego, Granowskiego i Hercena,⁴ który właśnie wtedy rozpoczynał za granicą swoją działalność. Ale działalność Stiepana Trofimowicza skończyła się prawie w tym samym momencie, w którym się rozpoczęła, a to -7- jeśli można tak rzec - z powodu „wichru wydarzeń”. I cóż się stało? Jak się okazuje, nie tylko „wichru”, ale nawet „wydarzeń” żadnych nie było, przynajmniej w danym wypadku. Teraz dopiero, w tych dniach, ale za to z całkowicie pewnego źródła, dowiedziałem się z najwyższym zdumieniem, że pobyt Stiepana Trofimowicza pośród nas, w naszej guberni, wcale nie był „zesłaniem”, jakeśmy wszyscy myśleli, a nawet żadnej inwigilacji nigdy nie było. Jak olbrzymia jest siła wyobraźni! Przecież on szczerze, przez całe życie wierzył niezłomnie, że w pewnych sferach boją się go, że każdy jego krok jest wciąż strzeżony i notowany i że każdy z trzech gubernatorów, których mieliśmy w ciągu ostatnich lat dwudziestu, jadąc celem objęcia stanowiska, wiózł ze sobą kłopotliwą myśl o nim, o Wierchowieńskim, zaszczerpioną przy przekazywaniu urzędu przez wyższą instancję. Gdyby ktokolwiek wówczas udowodnił Stiepanowi Trofimowiczowi niezłomnie, że nie ma się czego obawiać - on, człowiek najuczciwszy, obraziłby się na pewno. Był przy tym jednak człowiekiem najrozumniejszym, najbardziej utalentowanym naukowcem, chociaż zresztą, co do nauki... słowem, dla nauki zrobił nie

12

tak znowu wiele, a właściwie, zdaje się, prawie nic.⁵ Ale przecież u nas w Rosji zdarza się to z naukowcami na każdym kroku.

Wierchowieński, wróciwszy z zagranicy, zasłynął jako lektor na katedrze uniwersyteckiej pod sam koniec piątego dziesięciolecia. A właściwie zdążył wygłosić zaledwie kilka wykładów, jak się zdaje, o Arabach; zdążył także obronić wspaniałą dysertację o wzroście praw obywatelskich i znaczenia w związku hanzeatyckim niemieckiej miejsciny Hanau⁶ między 1413 a 1428 rokiem i o tych specyficznych a nieco mętnych przyczynach, które sprawiły, że wzrost ten w ogóle nie nastąpił. Dysertacja ta zgrabnie a boleśnie ugodziła w ówczesnych słowianofilów i przysporzyła autorowi licznych i zażartych wśród nich wrogów. Potem - nawiasem mówiąc, już po utracie katedry - zdążył wydrukować (jak gdyby przez zemstę i by pokazać, kogo utracono w jego osobie) w postępowym miesięczniku, w którym drukowano tłumaczenia z Dickensa i głoszone kult Gebрге Sand, początek niesłychanie głębokiego traktatu - zdaje się, o przyczynach niezwyklej szlachetności pewnych rycerzy w pewnej epoce czy coś w tym rodzaju. W każdym razie myśl przewodnia traktatu była na pewno wzniosła i szlachetna. Mówiono potem, że dalszy ciąg traktatu został szybko wstrzymany przez cenzurę i że nawet postępowy miesięcznik ucierpiał za wydrukowanie pierwszej połowy. Było to bardzo możliwe, cóż to się bowiem nie zdarzało w owych czasach. Prawdopodobniejszym jednak w danym wypadku jest przypuszczenie, że nic podobnego nie było, że sam autor z powodu lenistwa nie dokończył swego traktatu. Przerwał zaś wykłady o Arabach dlatego, że ktoś (prawdopodobnie z jego reakcyjnych wrogów) w jakiś sposób przyłapał list Wierchowieńskiego pisany do kogoś, z wyluszczeniem pewnych okoliczności, na skutek czego ktoś inny zażądał pewnych wyjaśnień. Nie wiem, ile w tym prawdy, twierdzono jednak, że w tym samym czasie wykryto w Petersburgu jakieś olbrzymie stowarzyszenie, o działalności wymierzonej przeciw naturalnemu porządkowi rzeczy i przeciw państwu, składające się z około trzynastu ludzi, które omal nie wstrząsnęło posadami ustroju. Zbierano się tam podobno, aby tłumaczyć samego Fouriera.⁷ Jak na złość, przychwycono jednocześnie w Moskwie poemat Stie-

13

pana Trofimowicza, napisany przed sześciu laty, w zaraniu młodości, jeszcze w Berlinie. Poemat ten krążył w odpisach pomiędzy dwoma miłośnikami literatury i jednym studentem. Leży teraz i

przede mną na stole; otrzymałem go nie dalej jak w zeszłym roku we własnoręcznym, całkiem świeżym odpisie od samego Stiepana Trofimowicza, z dedykacją, we wspaniałej czerwonej, safianowej oprawie. Utwór ten, nawiasem mówiąc, nie był pozbawiony poezji, a nawet pewnego talentu, nieco dziwaczny, lecz wtedy (czyli dokładniej między 1830 a 1840 rokiem) często pisywano w tym stylu. Trudno mi opowiedzieć treść, bo, prawdę mówiąc, zupełnie jej nie rozumiem. Jest to jakaś alegoria, o charakterze liryczno—dramatycznym, przypominająca drugą część Fausta* Akcję rozpoczyna chór kobiet, potem następuje chór mężczyzn, potem - jakichś mocy, wreszcie chór dusz, które jeszcze nie żyły, lecz które bardzo pragnęłyby* pożyć. Wszystkie te chóry śpiewają o czymś bardzo nieokreślonym, najwięcej zaś o jakiejś klątwie, a wszystko zabarwione domieszką wytwornej satyry. Zmienacka zmienia się scena i rozpoczynają się jakieś „Gody życia”, na których śpiewają nawet owady, zjawia się żółw i wygłasza jakieś sakramentalne łacińskie słowa, a nawet, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, śpiewa jakiś minerał, a więc przedmiot całkiem nieżywy. Na ogół wszyscy śpiewają bez przerwy, a jeżeli czasem coś powiedzą, to tak jak gdyby się jakoś spierali, i znowu zawarty jest w tym jakiś głębszy sens. Wreszcie scena znowu się zmienia i zjawia się dzika okolica, a pośród skał samotnie błądzi pewien kulturalny młodzieniec, zrywając i wysysając jakieś trawy, zapytany zaś przez boginkę, po co ssie te trawy, odpowiada, iż czuje w sobie nadmiar życia, szuka zapomnienia i znajduje takowe w soku tych traw, głównie jednak pragnie czym prędzej postradać rozum (pragnienie może nawet zbyt duże). Potem zjawia się zmienacka bosko piękny młodzieniec na karym koniu, a za nim podążają niezliczone tłumy wszystkich narodów. Młodzieniec wyobraża śmierć, a wszystkie narody jej pragną. Wreszcie, już w scenie ostatniej, ukazuje się nagle wieża Babel, a jacyś atleci dobudowują ją do końca, śpiewając pieśni nowej nadziei. A gdy doprowadzają już budowlę do szczytu, wówczas władca, dajmy na to Olimpu, ucieka w komiczny sposób, po czym ludzkość, przejrząwszy, zajmuje

14

jego miejsce i niezwłocznie rozpoczyna nowe życie z pełną świadomością rzeczy. Ten właśnie poemat uznany był w on-czas za niebezpieczny. W zeszłym roku proponowałem Wierchowieniekiemu, by oddał dzieło do druku, ponieważ w naszych czasach było ono najzupełniej niewinne, ale Wiercho-wieński uchylił moją propozycję z jawnym niezadowoleniem. Ukłuło go zdanie o najzupełniej szej niewinności poematu i przypuszczam, że tu kryje się źródło pewnego ochłodzenia naszych stosunków, które trwało całe dwa miesiące. I cóż? Właśnie wtedy, gdy proponowałem, by wydrukować poemat tu, drukują go zmienacka tam, to znaczy za granicą, w jednym z rewolucyjnych wydawnictw i zupełnie bez wiedzy autora. Wierchowienieński z początku zląkł się, popędził do gubernatora i napisał list do Petersburga, usprawiedliwiając się w sposób jak najbardziej szlachetny. Czytał mi ten list dwukrotnie, lecz go nie wysłał, nie wiedział bowiem, do kogo zaadresować. Słowem, przez cały miesiąc był niespokojny. Jestem jednak przekonany, że w głębi duszy czuł się niezwykle pochlebiany. Omalże kładł się do łóżka z nadesłanym mu egzemplarzem, a na dzień chował go pod materac i nie pozwalał służącej słać łóżka, a chociaż oczekiwał z dnia na dzień mającej skądś nadejść jakiejs depeszy, zachowywał się wyniośle. Depesza jednak nie nadeszła. Wówczas Wierchowienieński pogodził się i ze mną, co świadczy o nadzwyczajnej dobroci jego czułego i niepomnego uraz serca.

II

Nie twierdzą bynajmniej, że Wierchowienieński wcale nie ucierpiał, jestem jednak całkowicie teraz przekonany, że mógłby, jak długo by mu się podobało, wykladać o Arabach, złożyłwszy jedynie odpowiednie wyjaśnienia. Uniósł się jednak ambicją i z niezwykle pośpiechem sam nakazał sobie raz na zawsze uwierzyć, że jego kariera jest do końca życia złamana przez „wicher wydarzeń”. Jeżeli mamy już mówić całą prawdę, to istotną przyczyną zmiany kariery była dawna, a teraz wznowiona, bardzo delikatna propozycja Barbary Pietrowny Sta-wrogin, małżonki generała-lejtnanta, bardzo bogatej osoby, która prosiła go, by zajął się wychowaniem i wykształceniem

jedynego jej syna. Miał to uczynić jako wytrawny pedagog i przyjaciel, nie mówiąc już o świetnym wynagrodzeniu. Propozycję tę otrzymał po raz pierwszy już w Berlinie, i to właśnie gdy owdowiał po raz pierwszy. Pierwszą jego małżonką była pewna lekkomyślna panna z naszej guberni, z którą się ożenił w zaraniu swej nierozumnej jeszcze młodości. Zdaje się, że ta osoba, skądinąd pociągająca, przysporzyła mu wiele zmartwień, a to z powodu braku środków na jej utrzymanie i z innych, po części dość delikatnych przyczyn. Umarła w Paryżu, ostatnie trzy lata życia spędziwszy z dala od niego, i pozostawiła mu pięcioletniego syna, „owoc pierwszej, radosnej i jeszcze niczym nie zamaconej miłości”, jak się raz wyraził przy mnie melancholijnie usposobiony Stiepan Trofimowicz. Dziecię to natychmiast po urodzeniu zostało wysłane do Rosji poddane na wychowanie jakimś starym ciotkom gdzieś na głuchej prowincji. Wówczas właśnie Wierchowień-ski odrzucił propozycję Barbary Pietrowny i rychło, nie doczekawszy nawet końca roku, ożenił się powtórnie, i nawet bez jakiegokolwiek konieczności, z jakąś mrukliwą berlińską Niemeczką. Nowe małżeństwo nie było jedynym powodem, dla którego odrzucił posadę wychowawcy: nęciły go wówczas głośnie sukcesy jednego z wybitnych profesorów i sam z kolei poleciał na katedrę, aby wypróbować swoich orlich skrzydeł. I oto teraz, gdy połamano mu te skrzydła, musiał naturalnie przypomnieć sobie o propozycji, którą wtedy niechętnie odrzucił. Niespodziewana jednak śmierć drugiej żony, po krótkim, niespełna rocznym pożyciu, uprościła ostatecznie sytuację. Mówiąc bez ogródek, o wszystkim rozstrzygnęło gorące współczucie Barbary Pietrowny i jej nieoceniona, klasyczna przyjaźń, jeśli wolno w ten sposób określać przyjaźń. Padł w objęcia tej przyjaźni i los jego ustalił się na dobre dwadzieścia lat. Jeżeli użyłem zwrotu „padł w objęcia”, niech nikt broń Boże nie myśli o jakiś swawolach i zbytkach: objęcia te należy rozumieć w sensie wysoce moralnym. Najwytworniejsza, najdelikatniejsza przyjaźń połączyła na wieki te dwie tak niepowszednie istoty.

Stanowisko wychowawcy przyjął Wierchowieński i z tego również powodu, iż mająteczek, który pozostał mu po pierwszej żonie - malusieńki - znajdował się w najbliższym sąsiedztwie Skworesznik, wspaniałej, podmiejskiej majątności

Stawroginów w naszej guberni. Poza tym zawsze można było w ciszy gabinetu, nie zajmując się wyczerpującą pracą na uniwersytecie, poświęcić się nauce i wzbogacić literaturę ojczystą najbardziej dociekliwymi badaniami. Wprawdzie badań tych nie było, ale za to Stiepan Trofimowicz mógł przez resztę życia, przeszło lat dwadzieścia, przynajmniej stać w obliczu ojczyzny jak żywy wyrzut sumienia, co według słów ludowego poety brzmi tak:

Idealista i liberał,
Niby sumienia wyrzut żywy,
Stał przed obliczem swej ojczyzny.⁸

Lecz osoba, o której pisał ów ludowy poeta, miałaby prawdopodobnie prawo, gdyby chciała, przez całe życie pozować w ten sposób - chociaż to bardzo nudne. Nasz zaś Stiepan Trofimowicz był, prawdę mówiąc, tylko naśladowcą owych osób, a zresztą nie stał znów wciąż w takiej pozie, gdyż łatwo się męczył i często gęsto wylegiwał się na boku. Lecz trzeba mu oddać sprawiedliwość, że nawet w pozycji leżącej zachowywał oblicze wcielonego wyrzutu sumienia, tym bardziej że, jak na naszą gubernię, było to dość. Warto było go widzieć, gdy zasiadał u nas w klubie do kart. Cała jego postać zdawała się mówić: „Karty! Ja - siadam z wami do jerałasza! Czy to możliwe? Kto temu winien? Kto unicestwił moją pracę i zamienił ją w jerałasza? Ach, giń, Rosjo!” - po czym statecznie wychodził w kiery.

A prawdę mówiąc, strasznie lubił rznąć w karciecia i z tego powodu, zwłaszcza ostatnio, miewał nierzadko przykre utarczki z Barbarą Pietrowną, tym bardziej że stale przegrywał. Ale o tym potem. Zwrócę tylko uwagę, że nawet miał sumienie wrażliwe (to znaczy, od czasu do czasu) i z tego też powodu często ogarniał go smutek. W ciągu całej dwudziestoletniej przyjaźni z Barbarą

Pietrowną regularnie trzy lub cztery razy do roku zapadał na tak zwany przez nas „smutek obywatelski”,¹⁰ jak zwykła to określać czcigodna Barbara Pietrowną. Była to po prostu zwykła chandra. W rezultacie obok smutku obywatelskiego słabością jego stał się również szampan; lecz wrażliwa Barbara Pietrowną przez całe życie starała się go ustrzec od wszelkich płaskich przyzwyczajzeń. Istotnie, potrzebna mu

n • p*”” p*- 5 ~”..
l;ffi;T*,2 .™

była niańka, gdyż czasem jego dziwactwa stawały się już niezrozumiałe. Niekiedy wśród najgłębszego smutku zniemacka zaczynał śmiać się w sposób najbardziej rubaszny. Bywały chwile, kiedy nawet sam o sobie zaczynał wyrażać się w sposób humorystyczny. Lecz Barbara Pietrowną niczego chyba tak się nie bała, jak tego rodzaju humoru. Była to niewiasta-klasyk, niewiasta-mecenasj zawsze działająca w imię wzniosłych pobudek. Dwudziestoletni wpływ tej wybitnej kobiety na jej biednego przyjaciela był niesłychanie doniosły. Należałoby pomówić o niej osobno, co też i uczynię.

III

Dziwne bywają przyjaźnie. Obaj przyjaciele zjedliby jeden drugiego i żyją tak całe życie, a rozstać się nie mogą. Rozstać im się nawet w żaden sposób nie wolno: ten z przyjaciół, który pod wpływem kaprysu pierwszy zerwie ów związek, na pewno zachoruje, a może i umrze. Wiem na pewno, że Stiepan Trofimowicz niejednokrotnie, po najbardziej osobistej wymianie myśli w cztery oczy z Barbarą Pietrowną, po jej wyjściu zrywał się z kanapy i zaczynał walić pięściami w ścianę.

Nie ma w tym najmniejszej przesady, raz nawet odleciał kawałek tynku. Może mnie kto zapyta, skąd wiem o tak delikatnym szczególe? A co powiecie, jeżeli sam bywałem tego świadkiem? A co, jeśli Stiepan Trofimowicz nieraz płakał na moim ramieniu, w jaskrawych barwach malując wszystkie swe najtajniejsze przeżycia? (I o czym on wtedy nie mówił!) Cóż jednak prawie zawsze działo się nazajutrz po takich szlochach? Nazajutrz był już gotów dać się ukrzyżować za taką czarną niewdzięczność. Wzywał mnie nagle do siebie, lub sam do mnie wpadał jedynie po to, aby mi oznajmić, iż Barbara Pietrowną jest „aniołem delikatności i honoru, on zaś - przeciwieństwem tego wszystkiego”. I nie tylko przede mną tak się zwierzał: niejednokrotnie wszystko to wypisywał w górnolotnych listach do Barbary Pietrowny i stwierdzał własnym podpisem, że nie dalej jak na przykład wczoraj pomawiał ją przed obcą osobą, że ona, Barbara Pietrowną, trzyma go tylko przez zwykłą próżność,

18

że zazdrości mu wiedzy i talentu; pomawiał ją, iż nienawidzi go i tylko lęka się ujawnić swą nienawiść, lęka się, aby nie porzucił przyjaciółki i nie zaszkodził w ten sposób jej opinii wśród literatów. Pisał dalej, że za to wszystko gardzi sobą i postanawia odebrać sobie życie; od niej zaś czeka ostatniego słowa, które rozstrzygnie o wszystkim, i tak dalej, i tak dalej, wszystko w tym samym stylu. Można sobie wobec tego wyobrazić, do jakiej hysterii dochodziły czasem ataki nerwowe tego najniewinniejszego spośród pięćdziesięcioletnich niemowląt! Sam kiedyś czytałem jeden z takich listów, pisany nazajutrz po kłótni o jakiś drobiazg, który nabrał potem cech jadowitych. Przeraziłem się nie na żarty i błagałem go, aby listu nie wysyłał.

- Muszę... tak uczciwiej... obowiązek... umrę, jeżeli nie wyznam jej wszystkiego, wszystkiego! - odpowiedział gorączkowo i oczywiście wysłał list.

Cała różnica między nimi na tym właśnie polegała, że Barbara Pietrowną nigdy by takiego listu nie wysłała. To inna kwestia, że Wierchowienieński w ogóle do pisania listów miał szczególną słabość i pisywał do Barbary Pietrowny nawet wtedy, kiedy mieszkał z nią pod jednym dachem, a w

napadzie hysterii pisał nawet po dwa listy dziennie. Wiem na pewno, że ona zawsze jak najuważniej odczytywała te listy, nawet jeżeli były dwa dziennie, a po przeczytaniu składała do specjalnej szkatułki, segregując je i opatrując jakimiś notatkami; poza tym składała je w swoim sercu. Potem, przetrzymawszy przyjaciela cały dzień bez odpowiedzi, spotykała się z nim najspokojniej w świecie, jak gdyby nic nie zaszło. Z czasem go tak wyszkoliła, że sam już nie ośmielał się wspomnieć o tym, co zaszło poprzedniego dnia, i tylko przez dłuższą chwilę patrzył jej w oczy. Ona jednak nie zapominała o niczym, gdy on zapominał może nawet zbyt szybko i niekiedy, zachęcony jej spokojem, tegoż dnia śmiał się i figlował przy szampanie, gdy przychodził któryś z przyjaciół. Jak zjadliwie musiała wtedy na niego patrzeć! On jednak nie widział nic. Czasem tylko, po tygodniu, po miesiącu czy nawet po pół roku, w jakiejś szczególnej chwili przychodził mu do głowy pewien zwrot z wysłanego listu, a następnie cały list wraz z okolicznościami towarzyszącymi. Wtedy palił go wstyd i tak bardzo dręczył, że wreszcie kończyło się to wszystko zwykłym atakiem

19

czegoś w rodzaju choleryny. Te osobliwe ataki, przypominające cholerynę, były w pewnych wypadkach normalnym rezultatem wstrząsów nerwowych i stanowiły oryginalny, właściwy jego organizmowi fenomen.

Istotnie, Barbara Pietrowna -na pewno nienawidziła go dość często; on jednak aż do końca nie zauważył jednego: nie zauważył, że w końcu stał się dla niej synem, jej tworem, nawet, rzecz można, jak gdyby własnym jej wynalazkiem. Stał się krwią jej krwi i wcale nie przez samą „zazdrość o talent” trzymała go przy sobie i utrzymywała. Samo podejrzenie o to już było dla niej obrazą! Barbara Pietrowna nosiła w sobie nieznośne przywiązanie do tego człowieka, przeplatane nienawiścią, zazdrością i pogardą. Chroniła go przed lada pyłkiem, nianczyła przez dwadzieścia dwa lata; mogłaby, stroskana, nie spać po całych nocach, gdyby chodziło o jego opinię poety, uczonego czy działacza. Ona go wymyśliła i pierwsza musiała w niego uwierzyć. Był czymś w rodzaju jej marzenia... Za to jednak wymagała od niego rzeczywiście dużo, czasem nawet chciała, aby był jej niewolnikiem. Była niezwykle pamiętliwa. Przy sposobności opowiem o dwóch wydarzeniach.

IV

Kiedyś, jeszcze przy pierwszych pogłoskach o zniesieniu pańszczyzny, gdy całą Rosję ogarnęła niezwykła radość i wszyscy przygotowywali się, by wstąpić na drogę odrodzenia, odwiedził Barbarę Pietrowną pewien będący w przejeździe baron z Petersburga, człowiek o olbrzymich stosunkach i stojący blisko steru. Barbara Pietrowna niezmiernie ceniła takie wizyty, gdyż jej stosunki towarzyskie po śmierci męża rozluźniały się coraz bardziej i wreszcie przerwały się zupełnie. Baron siedział całą godzinę i pił herbatę. Nikogo więcej nie było, ale Barbara Pietrowna zaprosiła i zaprezentowała Stiepana Trofimowicza. Baron coś niecoś słyszał już o nim albo udawał, że słyszał, lecz przy herbacie rzadko się do niego zwracał. Rzecz prosta, że Stiepan Trofimowicz nie mógł się zblamować, a zresztą sposób bycia miał jak najbardziej wytworny. Chociaż nie był zbyt wysoko urodzony, los zdarzył, że od dzieciństwa otrzymał wychowanie w

20

arystokratycznym domu w Moskwie - był więc wychowany dobrze, a po francusku mówił jak rodowity paryżanin. Toteż baron powinien był od pierwszej chwili zrozumieć, jakimi ludźmi otacza się Barbara Pietrowna nawet tu, w zaciszu prowincjonalnym. Nie udało się to jednak. Gdy baron potwierdził całkowicie świeżel jeszcze wieści o wielkiej reformie, Stiepan Trofimowicz nie wytrzymał nagle i zawołał: „Hura!”, a nawet zrobił jakiś gest, który miał wyrażać zachwyt. Krzyknął niezbyt głośno i nawet z pewną dystynkcją; może zresztą sam zachwyt był z góry

uplanowany, a gest wystudiowany przed lustrem pół godziny przedtem; widocznie jednak coś tu się nie udało, gdyż baron pozwolił sobie nawet uśmiechnąć się z lekka, chociaż natychmiast bardzo uprzejmie rzucił frazes o powszechnej radości, która napełnia serca wszystkich Rosjan z powodu tak doniosłego wydarzenia. Wkrótce potem zaczął się żegnać, a żegnając się nie omieszkał podać dwóch palców Wierchowieńskiemu. Wróciwszy do salonu, Barbara Pietrowna kilka chwil milczała, jak gdyby szukała czegoś na stole. Potem jednak zwróciła się do Stiepana Trofimowicza i blada, z błyskiem w oku, wycodziła szeptem:

- Nigdy panu tego nie przebaczę!

Nazajutrz spotkała się z przyjacielem jak zawsze i już o tym mowy nie było. Lecz po trzynastu latach, w pewnym tragicznym momencie, przypomniała mu to i zbladła tak samo jak przed trzynastu laty. Tylko dwa razy w życiu Wierchowieński słyszał z ust Barbary Pietrowny: „Nigdy panu tego nie przebaczę!” Zdarzenie z baronem - to był już drugi wypadek. Lecz i pierwszy jest tak charakterystyczny i takie miał znaczenie w życiu Stiepana Trofimowicza, że nie waham się go przytoczyć.

Działo się to w 1855 roku na wiosnę, w maju, wkrótce po nadejściu do Skworesznik wiadomości o śmierci generała—lejtanta Stawrogina, lekkomyślnego starca, który zmarł na chorobę żołądka w drodze na Krym, kiedy spieszył na front. Barbara Pietrowna została wdową i przywdziała ciężką żałobę. Co prawda nie mogła zbyt się martwić, gdyż ostatnie cztery lata była z mężem w separacji z powodu niezgodności charakterów i wypłacała mu pensję. (Generał miał tylko sto pięćdziesiąt dusz i pobory służbowe, poza tym nazwisko i sto-

21

sunki; cały majątek zaś wraz ze Skworesznikami należał do Barbary Pietrowny, jedynej córki pewnego bogatego propi-natora!) Niemniej była wstrząśnięta nieoczekiwaną wieścią i pogrzyżała się w samotności. Rzecz prosta, że Stiepan Trofimowicz nie odstępował jej na krok.

Maj był w pełnym rozkwicie. Wieczory - cudowne. Zakwitły czeremchy. Przyjaciele spotykali się co wieczór w ogrodzie i do późnej nocy przesiadywali w altanie, zwierając sobie wzajemnie myśli i uczucia. Bywały chwile pełne poezji. Barbara Pietrowna, pod wpływem zmiany losu, mówiła więcej niż zwykle. Lgnęła, zdawało się, sercem do przyjaciela. Trwało to przez kilka wieczorów. Raptem Wierchowieńskiego olśniła dziwna myśl: czy ta niepokieszona wdowa nie liczy przypadkiem na niego i czy nie spodziewa się oświadczyć, gdy upłynie rok żałoby? Była to myśl cyniczna, lecz ludzie o duszach wzniosłych czasem nawet mają tendencje do myśli cynicznych, chociażby tylko dzięki wszechstronności swego rozwoju. Zaczął obserwować, sprawdzać i zdawało mu się, że tak jest w istocie. Zamyślił się: „Majątek olbrzymi, to prawda, ale...” Istotnie Barbara Pietrowna nie mogła uchodzić za piękność. Była to niewiasta wysoka, żółta, koścista, o nadmiernie wydłużonej, nieco końskiej twarzy. Coraz wyraźniej wahał się Stiepan Trofimowicz, dręczyły go wątpliwości, nawet rozplakał się parę razy wobec trudności decyzji (płakał w ogóle dość często). Wieczorami jednak, to znaczy w altanie, twarz jego mimo woli zaczęła zdradzać coś kapryśnego i żartobliwego, jakąś kokieterię, a jednocześnie wyniosłość. Dzieje się to zwykle wbrew woli, ale im szlachetniejszy człowiek, tym bardziej jest to widoczne. Bóg jeden wie, co o tym sądzić, lecz prawdopodobnie w sercu Barbary Pietrowny nie kiełkowało nic takiego, co mogłoby usprawiedliwiać podejrzenia Stiepana Trofimowicza. A zresztą czyż zgodziłaby się zmienić nazwisko Stawrogin na jego nazwisko, choćby nawet tak słynne? Może w tym było trochę kobiecej gry, jakiś przejaw nieświadomych pragnień kobiecych, tak naturalnych w pewnych niezwykłych okolicznościach. Nie mogę zresztą zaręczyć. Do dziś nikt nie zbadał głębi kobiecego serca. Lecz idźmy dalej.

Należy przypuszczać, że Barbara Pietrowna wkrótce zrozumiała ten dziwny wyraz twarzy przyjaciela; byka wrażli-

wa i domyślna, on zaś czasami - zbyt naiwny. Lecz wieczory upływały jak dawniej, a rozmowy wciąż były poetyczne i zajmujące. I oto pewnego razu, gdy noc już zapadła, po bardzo ożywionej i poetycznej rozmowie rozstali się po przyjacielsku, gorąco uściskawszy sobie dłonie przy wejściu do oficyny, gdzie mieszkał Stiepan Trofimowicz. Zawsze przenosił się na lato z ogromnego dworu Stawroginów do tej oficynki, stojącej już prawie w ogrodzie. Właśnie zdążył wejść do swego pokoju i w zakłopotanej zadumie wziąć cygaro, właśnie chciał je zapalić i stał, zmęczony, nieruchomy, przed otwartym oknem wpatrując się w lekkie jak puch obłoczki przemykające wokół jasnego księżyca, gdy rozległ się cichy szmer. Stiepan Trofimowicz drgnął i odwrócił się. Stała przed nim znowu Barbara Pietrowna, z którą pożegnał się przed czterema minutami. Jej żółta twarz była prawie sina, usta zaciśnięte i drżące w kącikach. Przez całe dziesięć sekund milcząco patrzyła mu w oczy twardym, nieubłaganym wzrokiem i nagle szybko powiedziała:

- Nigdy panu tego nie przebaczę!

Gdy w dziesięć lat potem Stiepan Trofimowicz opowiadał mi tę smutną historię, a opowiadał ją szeptem, starannie zamknawszy przedtem drzwi - przysięgał, że tak się wtedy przeraził i tak osłupiał, iż nie słyszał i nie widział, kiedy Barbara Pietrowna wyszła. Ponieważ zaś ona nigdy potem nie wspomniała o tym zdarzeniu, a wszystko szło dalej normalnie, Wierchowienieński do końca życia skłaniał się nawet ku przypuszczeniu, że była to tylko halucynacja przed chorobą, tym bardziej że istotnie tejże nocy zachorował i naprawdę przeleżał całe dwa tygodnie. Choroba ta przerwała dalsze spotkania w altanie.

Wmawiając w siebie, że była to halucynacja, Stiepan Trofimowicz z dnia na dzień, przez całe życie, oczekiwał dalszego ciągu i, że tak powiem, rozwikłania tej sprawy. Nie wierzył, aby na tym miało się skończyć. A jeśli tak było, jakże dziwnym wzrokiem musiał spoglądać czasem na swoją przyjaciółkę!

Barbara Pietrowna wynalazła dla Wierchowienieńskiego nawet strój, w którym też chodził przez całe życie. Był to ubiór wytworny i oryginalny: długi, czarny surdut, zapięty do samej góry, leżący szykownie; miękki kapelusz (latem słomkowy) o szerokim rondzie; halsztuk biały, batystowy, z szeroką kokardą o zwisających końcach; laska ze srebrną gałką; do tego włosy długie, spadające na ramiona. Był ciemnym szatynem i dopiero w ostatnich latach zaczął siwieć. Brodę i wąsy golił. Podobno w młodości był bardzo piękny. Twierdzą jednak, że i w starszym wieku był wyjątkowo interesujący. Zresztą cóż to za starość w pięćdziesiątym trzecim roku życia? Przez pewną stateczną kokieterię nie tylko nie starał się odmładszać, lecz nawet podkreślał powagę swego wieku. Wysoki, szczupły, o długich włosach, w oryginalnym stroju, przypominał patriarchę, a jeszcze bardziej - pótytret poety Kukol-nika,¹¹ umieszczony przed laty w jakimś wydawnictwie, zwłaszcza gdy siedział latem w ogrodzie, na ławce, pod krzakiem kwitnącego bzu, oparty o laskę, z książką leżącą obok, poetycznie zadumany nad zachodem słońca. Co do książek, trzeba przyznać, że pod koniec je zaniedbywał. Ale to już pod sam koniec. Dzienniki i czasopisma, prenumerowane przeł. Barbarę Pietrowną w dużej ilości, czytywał stale. Zdradza zawsze zainteresowanie rosyjską literaturą, dbał jednak, by nie uronić przy tym odrobiny własnej godności. W pewnym okresie zaczął studiować z zapalem zasady naszej polityki wewnętrznej i zagranicznej, wkrótce jednak machnął ręką i dał temu spokój. Bywało i tak, że brał ze sobą do ogrodu Tocquevillea, a w kieszeni niósł schowanego Paul de Kocka.¹² Są to zresztą drobiazgi.

Jeszcze słówko wtrączę o portrecie Kukolnika: trafił on do rąk Barbary Pietrowny po raz pierwszy, gdy jako dziewczynka była jeszcze na pensji dla panien z dobrych domów w Moskwie. Zakochała się w tym portrecie od razu, zwyczajem wszystkich pensjonarek, zakochujących się łatwo, bez wyboru, zwłaszcza w nauczycielach, przeważnie w profesorach kaligrafii i rysunku. Nie chodziło

tu o cechy wspólne wszystkim, podlotkom, lecz o to, że nawet w pięćdziesiątym roku życia Barbara Pietrowna przechowywała ten portrecik jako jedną.

24

z najcenniejszych pamiątek i może dlatego tylko stworzyła dla Stiepana Trofimowicza strój przypominający strój z portretu. Zresztą i o tym oczywiście nie warto mówić.

W pierwszych latach, a raczej w pierwszym okresie pobytu u Barbary Pietrowny, Wierchowieński wciąż jeszcze myślał o jakimś traktacie i co dzień poważnie zabierał się do pisania. Lecz później wywietrzało mu to wszystko z głowy. Coraz częściej mawiał do nas: „Zdaje się, że jestem dostatecznie przygotowany, materiały mam zebrane, ale jakoś nie idzie mi robota! Wcale nie idzie!” - i melancholijnie opuszczał głowę. Niewątpliwie powinno to być otoczyć go w naszych oczach aureolą męczeństwa dla wiedzy. Jemu jednak chodziło o coś innego. „Zapomnieli o mnie, nikomu nie jestem potrzebny!” - wybuchał nieraz. Ta spotęgowana melancholia ogarnęła go zwłaszcza około roku 1850. Barbara Pietrowna zrozumiała w końcu, że sprawa przedstawia się poważnie. Sama też nie mogła pogodzić się z myślą, że jej przyjaciel jest zapomniany i niepotrzebny. Aby rozerwać przyjaciela, a także aby przypomnieć o nim współczesności, zawiozła go do Moskwy, gdzie miała wiele znajomości w świecie literackim i naukowym; jednak i Moskwa nie pomogła. Dziwne to były czasy; szło coś nowego, niepodobnego zupełnie do uprzedniej ciszy, coś niezrozumiałego, co dawało wyczuwać wszędzie, nawet w Skworesznikach. Rozchodziły się różne wieści. Zdarzenia były mniej lub więcej znane, ale prócz nich zjawiały się towarzyszące im idee, a zjawiały się w ilości nadmiernej. To właśnie budziło wątpliwości. Trudno było dostosować się i ściśle dowiedzieć, co znaczą te idee. Barbara Pietrowna, dzięki kobiecym właściwościom umysłu, usilnie dopatrywała się w tym wszystkim jakiegoś sekretu. Zaczęła studiować dzienniki, czasopisma, zagraniczne zakazane wydawnictwa, nawet proklamacje, które wtedy właśnie zaczęły się ukazywać (dostarczano jej tego wszystkiego); ale od tej lektury jeszcze bardziej zamąciło się jej w głowie

Zaczęła pisywać listy; rzadko jej odpowiadano, a im dalej, tym odpowiedzi stawały się mniej zrozumiałe. Prosiła Stiepana Trofimowicza, by wytłumaczył jej raz na zawsze te wszystkie idee; lecz otrzymane wyjaśnienia stanowczo nie były zadowalające. Poglądy Stiepana Trofimowicza na cały ten ruch były naiwnie wyniosłe; wszystko sprowadzało się do myśli, że jest

25

zapomniany i niepotrzebny. Wreszcie jednak przypomniano sobie o nim, z początku w wydawnictwach zagranicznych, że to niby ofiara prześladowań i wygnaniec, a wkrótce potem w Petersburgu, jako o byłej gwiazdce w określonej konstelacji; porównano go nawet, nie wiadomo dlaczego, z Ra-diszczewem. Potem ktoś wydrukował, że Wierchowieński umarł, i zapowiedział umieszczenie nekrologu. Stiepan Trofimowicz od razu zmartwychwstał i wyprostował ramiona. Cała wyniosłość spojrzenia, którym mierzył współczesnych, znikła natychmiast, a w sercu zakwitło marzenie: przyłączyć się do nowego ruchu i pokazać swe siły. Barbara Pietrowna momentalnie uwierzyła w niego na nowo i zaczęła gorliwie się krzątać. Postanowiono jechać do Petersburga nie zwlekając ani chwili, tam na miejscu dowiedzieć się o wszystkim gruntownie, zbadać osobiście i w miarę możliwości całkowicie i niepodzielnie pogrążyć się w nowej działalności. Barbara Pietrowna, nawiasem mówiąc, oznajmiła, że gotowa założyć pismo i poświęcić mu całkowicie resztę życia. Widząc, jak daleko sprawa zaszła, Stiepan Trofimowicz zhardział, a w drodze zaczął traktować przyjaciółkę niemal protekcyjnie. Barbara Pietrowna nie omieszkała natychmiast zanotować tego w swoim sercu. Trzeba dodać, że miała inny, także nie mniej ważny powód do wyjazdu; chęć wznowienia dawnych stosunków w wyższych sferach. Należało przypomnieć światu o sobie, a w każdym razie spróbować to uczynić. Oficjalnym zaś pretekstem do podróży była chęć odwiedzenia jedynaka, który kończył nauki w liceum petersburskim.

VI

Cały sezon zimowy spędzili w Petersburgu. Przed wielkim postem wszystko pękło jak tęczowa bańka mydlana. Rozwiały się marzenia, a zamęt w głowie nie tylko nie znikł, lecz przeciwnie - spotworniał jeszcze. Po pierwsze, że stosunków w wyższych sferach nic prawie nie wyszło, chyba w rozmiarach całkiem mikroskopijnych i to kosztem ponizających wysiłków. Obrażona Barbara Pietrowna oddała się tedy bez reszty „nowym ideom” i zaczęła urządzać u siebie wieczory. Zaprosiła literatów i tych sprowadzono do niej

26

natychmiast całe zastępy. Potem już przychodzili sami, bez zaproszeń; jeden przyprowadzał drugiego. Nigdy jeszcze nie widywała takich literatów. Byli zarozumiali niemożliwie, ale tak otwarcie, jak gdyby z poczucia obowiązku. Niektórzy (nie wszyscy zresztą) zjawiali się nawet pijani, upatrując w tym niby osobliwe, wczoraj zaledwie odkryte piękno. Każdy jakoś dziwnie chełpił się czymś. Na ich twarzach można było wyczytać, że właśnie przed chwilą odkryli jakąś niesłychanie ważną tajemnicę. Wymyślali sobie wzajemnie, upatrując w tym punkt honoru. Dość trudno było dowiedzieć się, co właściwie napisał każdy z nich, lecz byli tam krytycy, powieściopisarze, satyrycy, komediopisarze, pamfletyści. Stiepan Trofimowicz dotarł do samych szczytów, skąd kierowano całym ruchem. Do tych sterników dostęp był niewiarygodnie trudny, lecz Stiepan Trofimowicz przyjęty został życzliwie, aczkolwiek nie słyszano tam o nim nic więcej ponad to, iż jest „reprezentantem idei”. Tak manewrował, że udało mu się ściągnąć parę razy tych olimpijczyków do salonu Barbary Pietrowny. Byli bardzo poważni i bardzo uprzejmi. Zachowywali się przyzwoicie. Reszta bała się ich. Widać było jednak, że nie mają czasu na wizyty. Zjawiło się też kilka dawnych znakomitości literackich, obecnych chwilowo w Petersburgu, z którymi Barbara Pietrowna od dawna podtrzymywała znajomość. Zdziwiło ją jednak, że te sławy istotne i niewątpliwe zachowywały się cicho, skromnie, a niektórzy spośród nich zaczęli lgnąć do całej tej nowej zgrai i płaszczyć się przed nią haniebnie. Stiepan Trofimowicz miał na razie powodzenie. Zaczęto wysuwać go na publicznych zebraniach literackich. Gdy wyszedł po raz pierwszy na estradę na wieczorze literackim jako jeden z uczestników, rozległy się frenetyczne oklaski, które nie milkły chyba z pięć minut. Po dziewięciu latach wspominał o tym ze łzami w oczach, nawiasem mówiąc, raczej dzięki swej artystycznej naturze niż przez wdzięczność. „Przysięgam panu i nawet gotów jestem się założyć - mówił mi sam (powiedział tylko mnie, i to w sekrecie) - że nikt z tej publiczności nie wiedział o mnie absolutnie nic.” Ciekawe wyznanie: miał widocznie bystry umysł, jeżeli już wtedy, na estradzie, tak jasno zdawał sobie sprawę ze swej roli, pomimo upojenia sławą; z drugiej strony, widocznie nie miał bystrego umysłu, jeżeli nawet po dziewięciu latach nie mógł myśleć o tym bez

27

poczucia krzywdy. Kazano mu złożyć podpis pod paru zbiorowymi protestami (przeciw czemu - nie wiedział dokładnie). Podpis złożył. Barbarze Pietrownie także dano do podpisu coś o jakimś „haniebnym czynie”. Podpisała. Zresztą większość tych nowych ludzi, odwiedzając Barbarę Pietrowną, uważała za swój obowiązek traktować ją z pogardą, a nawet z nie ukrywanym szyderstwem. Stiepan Trofimowicz w przystępie gorczy dawał mi potem do zrozumienia, że wtedy właśnie zaczęła mu zazdrościć. Rozumiała dobrze, że nie powinna wcale obcować z tymi ludźmi, mimo to podejmowała ich zapamiętałe, z niecierpliwością prawdziwie kobiecą, a zwłaszcza ciągle się czegoś spodziewała. W czasie przyjęć mówiła mało, chociaż mogłaby mówić; wołała słuchać. Mówiono tu o zniesieniu cenzury i „twardego znaku”, o zamianie Jiter rosyjskich na łańskie, o onegdajszym zesłaniu pewnej osoby, o jakimś skandalu w Pasażu, o korzyściach, jakie wynikną z podziału Rosji na narodowości i stworzenia wolnego związku federacyjnego, o likwidacji armii i floty, o odbudowie Polski po Dniepr, o reformie włościańskiej i proklamacjach, o skasowaniu spadkobrania rodzin, dzieci i duchowieństwa, o prawach kobiet, o domu

Krajewskiego,¹³ którego to domu nikt nigdy nie mógł panu Krajewskiemu wybaczyć, itp., itd. Było aż nadto jasne, że wśród tej zbieraniny nowych ludzi jest sporo oszustów, niezawodnie jednak były i jednostki uczciwe, a nawet, pomimo wielu rysów dziwacznych, bardzo pociągające. Ludzi uczciwych trudniej było zrozumieć niż- brutalnych oszustów, lecz nie wiadomo było, kto kogo ma w rękę. Gdy Barbara Pietrowna zdradziła chęć wydawania pisma, zaroilo się jeszcze więcej osób wokół niej, lecz jednocześnie rzucono jej w oczy oskarżenie, że jest kapitalistką i eksploatuje cudzą pracę. Oskarżenia te były zarówno bezceremonialne, jak nieoczekiwane. Stary generał Iwan Iwanowicz Drozdów, dawny przyjaciel i towarzysz broni zmarłego generała Stawrogina, człowiek godny (w swoim rodzaju), którego tu wszyscy dobrze znamy, człowiek niesłuchanie obraźliwy i uparty, lubiący strasznie dużo jeść i panicznie bojący się ateizmu, posprzeczał się kiedyś na jednym z wieczorów u Barbary Pietrowny z pewnym znakomitym młodzieńcem. A ten mu zaraz odpalił: „Skoro pan tak mówi - jest pan generałem.” A powiedział to w tym sensie, jak gdyby nie mógł znaleźć obelgi gorszej nad słowo „generał”.

28

Drozdów oburzył się strasznie: „Tak, mój panie, jestem generałem, generałem-lejtnantem, i mojemu cesarzowi służyłem, a ty, panie, jesteś chłystkiem i bezbożnikiem!” Wybuchł skandal niedopuszczalny. Nazajutrz to zdarzenie przedostało się do prasy i zaczęto zbierać podpisy pod protestem przeciwko „haniebnemu czynowi” Barbary Pietrowny, która nie zechciała wtedy od razu wyprosić generała za drzwi. W piśmie ilustrowanym ukazała się karykatura, zjadliwie przedstawiająca Drozdowa, Wierchowieńskiego i Barbarę Pietrowną jako trójcę reakcyjnych przyjaciół; u dołu był wierszyk okolicznościowy, napisany przez jednego ze współczesnych poetów. Dodam tu od siebie, że istotnie wiele osób w szlifach generalskich ma zabawny zwyczaj mówienia: „służyłem mojemu cesarzowi” - jak gdyby ich cesarz był inny niż ten nasz, cesarz zwykłych poddanych, że niby ich cesarz jest jakiś specjalny, ich własny.

Rozumie się, że nie mogło już być mowy o dalszym pozostawaniu w Petersburgu, tym bardziej że Stiepana Trofi-mowicza spotkało ostatecznie fiasko. Nie wytrzymał i zaczął bronić praw sztuki, lecz coraz głośniej go wyśmiewano. W czasie ostatniej dyskusji literackiej usiłował podzielać na zebranych wymową obywatelską, myśląc, że poruszy ich serca, i licząc na szacunek dla „wygnańca”. Bez protestu zgodził się, że słowo „ojczyzna” jest niepotrzebne i komiczne, zgodził się także, że religia jest rzeczą szkodliwą, lecz głośno i mocno oświadczył, że buty z cholewami są mniej warte niż Puszkina, i to znacznie mniej.¹⁴ Wygwizdano go nielitościwie, tak że rozpląkał się publicznie, jeszcze na estradzie. Był ledwo żywy, gdy go Barbara Pietrowna przywiozła do domu. „On ma traite comme im vieux bonnet de coton.”* - bełkotał nieprzytomny. Barbara Pietrowna pielęgnowała go całą noc, aplikowała krople laurowe i powtarzała do świtu: „Jest pan jeszcze potrzebny; przyjdzie czas, ocenią pana... gdzie indziej.”

Nazajutrz wczesnym rankiem zjawilo się u Barbary Pietrowny pięciu literatów, w tej liczbie trzech zupełnie nie-

- znanych, których nigdy przedtem nawet nie widziała. Surowo oświadczyli jej, że rozważyli sprawę jej pisma i powzięli co do tego decyzję. Barbara Pietrowna jako żywo nigdy nikomu
- Potraktowano mnie iak starego niedołągę!

29

nie polecała ani rozważania czegokolwiek, co dotyczyło jej pisma, ani decydowania. Decyzja polegała na tym, że Barbara Pietrowna, jako właścicielka pisma, ma oddać je wraz z kapitałami im, jako spółce, sama zaś ma niezwłocznie wyjechać do Skworesznik, nie zapominając zabrać ze sobą Stiepana Trofimowicza, „który się już zestarzał!”. Przez delikatność zgadzali się uznać jej prawo własności i posyłać co roku szóstą część zysków. Najbardziej rozczulające było to, że spośród tych pięciu ludzi czterech na pewno nie kierowało się przy tym żadnymi względami materialnymi, lecz działali jedynie w imię „wspólnej sprawy”.

- Wyjeżdżaliśmy jak zaczadzeni - opowiadał Stiepan Trofimowicz - nic nie rozumiałem i pamiętałem tylko, że w takt stuk wagonu powtarzałem jakieś bezsensowne wyrazy:

Wiek i Wiek i Lew Kambek, Lew Kambek i Wiek i Wiek...15

i diabli wiedzą co jeszcze, i tak aż do samej Moskwy. Dopiero w Moskwie opamiętałem się, jakbym rzeczywiście mógł tu znaleźć coś innego. „O, przyjaciele! - wołał czasem jak w natchnieniu - nie możecie wyobrazić sobie, jaki smutek i gniew ogarniają duszę, gdy wielką ideę, święcie przez was z dawna czczoną, porwą ludzie nieudolni i rzucają ją na ulicę takim samym głupcom jak oni - i nagle ujrzą ją na rynku, zmienioną nie do poznania, utarzaną w błocie, ustawioną głupio, niezdarnie, bez zachowania proporcji, harmonii, jako zabawkę dla głupich dzieci! Nie! Inaczej było za naszych czasów i nie do tegośmy dążyli. O nie, wcale nie do tego! Niczego nie poznaję... Lecz przyjdzie nasza godzina i wszystko, co chwiejne, co dzisiejsze, wyjdzie na prosty szlak... Bo gdyby miało być inaczej - cóż z tego będzie?...”

VII

Natychmiast po powrocie z Petersburga Barbara Pietrowna wyprawiła przyjaciela za granicę, „by odpoczął”; a zresztą czuła, że powinni się rozstać na jakiś czas. Stiepan Trofimowicz wyjechał z radością. „Odrodzą się tam! - wołał. -

30

Tam wreszcie wezmę się do pracy naukowej.” Ale pierwsze już listy z Berlina dźwięczały tą samą starą nutą: „Serce mi pęka - pisał do Barbary Pietrowny - nie mogę zapomnieć o niczym! Tu w Berlinie wszystko przypomina mi moją przeszłość, moje pierwsze uniesienia i pierwsze męczarnie. Gdzie ona teraz? Gdzie one obie? Gdzie jesteście dwa anioły, których nie byłem godzien? Gdzie mój syn, mój ukochany jedynak? Gdzie wreszcie ja sam, dawny ja, o mocy żelaznej i jak skała nieugięty, jeżeli teraz jakiś tam Andrejeff, un prawosławny brodaty błazen, peut briser mañ existence en deux...”* itd., itd. Syna zaś swego Stiepan Trofimowicz widział w ogóle tylko dwa razy w życiu, pierwszy raz po urodzeniu, drugi raz niedawno w Petersburgu, gdzie młodzieniec miał właśnie wstąpić na uniwersytet. Jak już mówiliśmy, chłopiec przez całe życie wychowywał się u ciotek w o-skiej guberni (na koszt Barbary Pietrowny), o siedemset wiorst od Skworesznik. Co się tyczy owego Andrejeff, czyli Andriejewa, był to po prostu zwykły tutejszy kupiec, sklepikarz, wielki dziwak, archeolog-samouk, namiętny zbieracz starożytności rosyjskich, który nieraz do-cinał Wierchowieńskiemu podkreślając swoją wiedzę, a zwłaszcza przekonania. Ten szanowny kupiec, siwobrody, w dużych srebrnych okularach, nie dopłacił Stiepanowi Trofimowiczowi czterystu rubli za nabyte w jego majątku (obok Skworesznik) kilka dziesięcin lasu na wyrąb. Wprawdzie Barbara Pietrowna sownie zaopatrzyła przyjaciela w gotówkę, wyprawiając go do Berlina, jednak na tych czterystu rublach specjalnie zależało mu przed wyjazdem, prawdopodobnie przeznaczoną na wydatki intymne. Prawie płakał, gdy Andriejew poprosił o odroczenie terminu na miesiąc, mając zresztą całkowite prawo do prolongaty, gdyż na skutek specjalnych ówczesnych nalegań Stiepana Trofimowicza uprzednie raty wypłacił jakie sześć miesięcy przed terminem. Barbara Pietrowna chciwie przeczytała ten pierwszy list, podkreśliła ołówkiem słowa: „Gdzie one obie?”, opatrzyła datę i zamknęła do szkatułki. Wierchowieński, ma się rozumieć, wspominał swoje żony nieboszczki. W drugim liście, pisanym z Berlina, brzmiała już nuta odmienna: „Pracuję po dwanaście godzin na dobę (Żeby choć po jednaście - mruknęła Barbara Pietrow-

- może złamać moją egzystencję

na), szperam w bibliotekach, sprawdzam, notuję, szukam; byłem u profesorów. Wznowiłem

znajomość ze znakomitą rodziną Dundasowów. Jaka zachwycająca jest Nadieżda Ni-kołajewna jeszcze dzisiaj! Kazała się Pani kłaniać. Jej młody mąż i wszyscy trzej siostrzeńcy są w Berlinie. Wieczorami gwarzymy z młodzieżą do świtu, urządzamy wieczory prawdziwie ateńskie, oczywiście tylko pod względem smaku i elegancji; wszystko szlachetne. Dużo muzyki, motywy hiszpańskie, marzenia o odrodzeniu ludzkości, idea wiecznego piękna, Madonna Sykstyńska, światło przeplatane cieniem, boć i na słońcu są plamy! Duszą całą jestem z Panią. Tylko z Panią zawsze, en tout pays, chociażby nawet dans le pays de Makar et de ses veaux,* o którym, pamięta Pani, tak często mówiliśmy z trwogą w Petersburgu przed wyjazdem. Z uśmiechem dziś przypominam to sobie. Przejechawszy przez granicę, poczułem się bezpiecznym. Dziwne to uczucie, nowe, po raz pierwszy po tylu latach...” itd., itd.

- No, to wszystko głupstwa! - zdecydowała Barbara Pietrowna chowając i ten list. - Jeżeli wieczory ateńskie trwają do świtu, nie można przecież po dwanaście godzin na dobę ślęczeć nad książkami. Czy pisał pijany? Jak śmie ta Dundasowa posyłać mi ukłony? A zresztą niech on tam robi, co chce...

Zdanie „flans k pays de Makar et de ses veaux” miało znaczyć: „tam gdzie Makar cieląt nie ganiał”.¹⁶ Stiepan Trofi-mowicz umyślnie w najgłupszy sposób lubił tłumaczyć rosyjskie przysłowia i charakterystyczne powiedzenia na język francuski, chociaż niewątpliwie rozumiał je dobrze i potrafiłby lepiej przetłumaczyć. Widział w tym pewien szyk i uważał to za dowcipne.

Bawił się jednak niedługo. Nie wytrzymał nawet czterech miesięcy i lotem strzały powrócił do Skworesznik. Ostatnie listy wypełnione były całkowicie wylewami najtkliwszego przywiązania do nieobecnej przyjaciółki i literalnie skropione łzami rozłąki. Są ludzie, którzy niesłychanie zżywiają się z domem, jak pieski pokojowe. Spotkanie przyjaciół pełne było uniesień. Na trzeci dzień wszystko weszło w zwykłe tryby i może nawet było nudniejsze niż dawniej. „Mój przy-

- wszędzie (...) w krainie Makara i jego wołów

jacielu - mówił Stiepan Trofimowicz w dwa tygodnie potem pod największym sekretem - przyjacielu, odkryłem rzecz nową dla mnie, a... straszną: „suis najpowszedniejszy rezydent et rien de plus! Mais r-r-rien de plus!”*

VIII

Potem ucichło wszystko i cisza ta trwała przez całe ostatnie dziewięć lat. Histeryczne wybuchy i szloch na moim ramieniu, powtarzające się regularnie, bynajmniej nie mąciły ogólnego spokoju. Dziwię się, że Stiepan Trofimowicz nie utył przez ten czas. Nieco mu tylko nos poczerwieniał i przybyło dobroduszości. Stopniowo ustaliło się kółko naszych przyjaciół, stale zresztą niewielkie. Barbara Pietrowna mało się nam udzielała, lecz wszyscy uznawaliśmy jej patronat. Po nauczce petersburskiej zamieszkała u nas już na zawsze; zimę spędzała w swym domu w mieście, lato - w majątku podmiejskim. Nigdy nie posiadała tyle wpływu i powagi jak w ciągu ostatnich siedmiu lat, czyli ściśle, do chwili mianowania naszego obecnego gubernatora. Nasz uprzedni gubernator, łagodny, niezapomniany Iwan Osipowicz, był blisko z nią spokrewniony, a nawet dużo jej zawdzięczał. Małżonka jego drżała na myśl, że w czymkolwiek nie dogodzi Barbarze Pietrownie, a czołobitność gubernialnego świata tak wzrosła, że wydawała się niemal grzechem. Czuł się więc dobrze i Stiepan Trofimowicz. Był członkiem klubu, elegancko przegrywał i zyskał ogólny szacunek, choć wielu widziało w nim tylko „uczonego”. Później, gdy Barbara Pietrowna pozwoliła mu zamieszkać w innym domu, poczuliśmy jeszcze większą swobodę. Zbieraliśmy się u niego ze dwa razy na tydzień; było wesoło, zwłaszcza gdy gospodarz nie skąpił szampana. Wino dostarczał tenże sam Andriejew, a rachunek regulowała co pół roku Barbara Pietrowna. Dzień płacenia był prawie zawsze dniem choleryny.

Najstarszym członkiem naszego kółka był Liputin, 17 urzędnik gubernialny, człowiek już niemłody, wielki liberał, słynący w mieście jako ateista. Ożenił się po raz drugi z młodą

- jestem (...) i nic więcej! Ale to nic więcej!

i ładną osóbką, wziął posag, a miał prócz tego trzy dorastające córki. Całą rodzinę trzymał w ryzach i w zamknięciu, był niesłuchanie skąpy i swojej posiadzie zawdzięczał posiadanie domku i kapitału. Był człowiekiem niespokojnym, a przy tym niewysokiej rangi; w mieście niezbyt go szanowano, a w wyższych sferach nie był przyjmowany. Miał poza tym zdecydowaną opinię plotkarza, nieraz już za szerzenie plotek był karany, i to boleśnie, raz przez jakiegoś oficera, drugi raz przez poważnego ojca rodziny, ziemianina. Lubiliśmy go jednak za bystrość umysłu, za żądzę wiedzy, za specyficzną zjadliwą wesołość. Barbara Pietrowna nie lubiła go, on jednak zawsze umiał sobie z nią poradzić.

Nie lubiła także Szalowa¹⁸, który dopiero w zeszłym roku wszedł do naszego kółka. Szatow był przedtem studentem. Po jakiejś awanturze akademickiej wyrzucono go z uniwersytetu. W dzieciństwie był uczniem Stiepana Trofimowicza, a urodził się jako poddany Barbary Pietrowny, syn jej zmarłego kamerdynera, Pawła Fiodorowa - i wszystko jej zawdzięczał. Nie lubiła go za hardość i brak wdzięczności i żadną miarą nie mogła mu przebaczyć, że po wypędzeniu z uniwersytetu natychmiast nie stawiał się u niej; przeciwnie, nie odpowiedział nawet na specjalnie wysłany do niego list i wolał zaprzedać się jakiemuś cywilizowanemu kupcowi i uczyć jego dzieci. Z rodziną tego kupca wyjeżdżał za granicę jako piastun raczej niż nauczyciel; miał wtedy wielką ochotę wyjechać za granicę. Przy dzieciach kupca była także nauczycielka, energiczna panna, Rosjanka, przyjęta przed samym wyjazdem głównie przez wzgląd na skromne warunki wynagrodzenia. Po paru miesiącach kupiec wypędził ją za „wolnomyślicielstwo”. Powlókł się za nią i Szatow i wkrótce poślubił ją gdzieś w Genewie. Byli ze sobą ze trzy tygodnie, po czym, jako ludzie wolni, rozstali się. Oczywiście przyczynił się do tego brak środków do życia. Długo potem Szatow błąkał się sam po Europie żyjąc nie wiadomo z czego; podobno czyścił gdzieś buty na ulicach, potem był tragarzem w jakimś porcie. Wreszcie przed rokiem powrócił do nas, do ojczyztego gniazda, i zamieszkał ze starszą ciotką, którą w miesiąc potem pochował. Bardzo rzadko i z daleka obcował ze swoją siostrą Daszą, także wychowanką Barbary Pietrowny, obecnie jej faworytką, mieszkającą u niej na prawach osoby równego pochodzenia.

34

W naszym gronie Szatow był zawsze ponury i milczący i czasem tylko, gdy zadraśnięto jego przekonania, chorobliwie ożywał się i nie umiał hamować słów. „Szalowa należy związać i wtedy dopiero można z nim dyskutować” - żartował czasem Stiepan Trofimowicz, lecz lubił go. Za granicą Szatow zmienił radykalnie swe dawne poglądy socjalistyczne i wpadł w ich krańcową przeciwność. Była to jedna z tych istot typowo rosyjskich, które zwykle zniecka olśniewa jakąś wielką ideą i wnet przytłacza je sobą, czasem nawet bezpowrotnie. Ci ludzie nie mogą nigdy poradzić sobie z ideą, a wierzą namiętnie; całe ich życie podobne jest do ostatnich drgawek pod tłoczącym ich bezlitośnie kamieniem, który już na wpół ich zduł. Wygląd Szatowa odpowiadał całkowicie jego przekonaniom: był to niezgrabny blondyn, obrośnięty, niskiego wzrostu, szeroki w ramionach, o grubych wargach i jasnych, bardzo gęstych, zwisających brwiach; czoło miał zawsze zachmurzone, a wzrok nieżyczliwy, wbity gdzieś tępo, jak gdyby zawstydzony. Na głowie miał zawsze wicherka, który nie dawał się zaczesać i sterczał do góry. Szatow miał lat dwadzieścia siedem lub dwadzieścia osiem. „Nie dziwię się, że go żona porzuciła” - zauważyła raz Barbara Pietrowna, uparcie wpatrując się w niego. Nosił się schludnie, pomimo nadzwyczajnego ubóstwa. Do Barbary Pietrowny znów się nie zwrócił o pomoc, a żył na łasce bożej, pracował u kupców. W pewnym okresie siedział w sklepie, potem jako pomocnik sprzedawcy miał już wyjechać, parostatkiem z towarami, lecz przed samym wyjazdem zachorował. Trudno wyobrazić sobie, jak

straszna nędzę umiał znosić nawet nie myśląc o tym. Gdy wyzdrowiał, Barbara Pietrowna posłała mu w sekrecie, anonimowo, sto rubli. Dowiedział się jednak, skąd te pieniądze, pomyślał, przyjął je i poszedł podziękować Barbarze Pietrownie. Przyjęty został bardzo ciepło, lecz natychmiast zawiódł oczekiwania: przesiedział zaledwie pięć minut, w milczeniu, tępo wpatrzony w podłogę i głupio uśmiechnięty, i raptem, faie dosłuchawszy końca ciekawej rozmowy, wstał, uklonił się jakoś bokiem, niedźwiedzio, zawstydził się okropnie, przy sposobności potracił, zwałił na podłogę i strzaskał cenny składany stolik do robót ręcznych i wyszedł, ledwo żywy ze wstydu. Liputin zarzucał mu potem, że nie odrzucił wtedy z pogardą tych stu rubli,

35

pochodzących od despotki obszarniczki, i nie tylko je przyjął, lecz jeszcze powłókł się podziękować. Szatow mieszkał samotnie na krańcu miasta i nie lubił, gdy go ktokolwiek odwiedzał,- nawet spośród nas. Do Stiepana Trofimowicza, na nasze zebrania, przychodził regularnie i brał tu do czytania książki i pisma.

Zjawiał się na tych zebraniach jeszcze jeden młody człowiek, niejaki Wirgiński, miejscowy urzędnik, który nieco przypominał Szatowa, ale w gruncie rzeczy był zupełnie inny; był to także człowiek „rodzinny”. Nieszczęśliwy i bardzo spokojny młodzieniec, zbliżający się już zresztą do trzydziestki, o znacznym wykształceniu, chociaż samouk. Był biedny, żonaty, piastował jakiś tam urząd i miał na utrzymaniu ciotkę i siostrę żony. Małżonka jego, jak zresztą wszystkie te panie, miała poglądy najnowocześniejsze, lecz wychodziło to u nich wszystkich jakoś ordynarnie; była to właśnie „idea, która trafiła na ulicę”, jak kiedyś z innego powodu wyraził się Stiepan Trofimowicz. Wszystkie czerpały z książek i gotowe były, na pierwszą głuchą wieść ze stołecznych postępowych zakątków, wyrzucać wszystko za okno, o ile tam tak doradzono. Mme Wirgińska pracowała w naszym mieście jako akuszerka; będąc panną mieszkała dość długo w Petersburgu. Sam Wirgiński był człowiekiem wyjątkowo uczciwym; rzadko zdarzało mi się spotkać tak szczere, gorące serce. „Nigdy, nigdy nie rozstanę się z tą jasną nadzieją” - mówił mi nieraz, a oczy mu błyszczały. O „jasnej nadziei” mówił zawsze cicho, radośnie, półszepem, jakby w tajemnicy. Był dość wysokiego wzrostu, lecz niesłychanie chudy i wąski w ramionach, a włosy miał niezwykle rzadkie, rudawe. Przyjmował łagodnie wszystkie pogardliwe szyderstwa Stiepana Trofimowicza z powodu niektórych jego poglądów, replikował zaś zawsze poważnie i często tak trafnie, że Stiepan Trofimowicz nie mógł znaleźć odpowiedzi. Wierchowienieński obchodził się z nim serdecznie, a zresztą wszystkich nas traktował także po ojcowsku.

- Wy wszyscy jesteście „niedonoszeni” - mówił żartobliwie do Wirgińskiego - wszyscy, chociaż w panu nie zauważyłem tej ograniczoności, którą spotykałem w Petersburgu chez les seminantes*, la Ale jesteście „niedonoszeni”.

- u seminarzystów

36

Szatow na przykład chętnie byłby „doniósł się” do końca, a jednak i on jest „niedonoszony”.

- A ja? - pytał Liputin.

- Pan? Pan jest złotym środkiem, który dostosuje się wszędzie... na własny sposób.

Liputin obrażał się.

Opowiadano o Wirgińskim, i niestety nie bez powodu, że jego małżonka, -nie przeżywszy z nim nawet roku, oświadczyła, iż udziela mu dymisji i woli Lebiadkina.²⁰ Ów Le-biadkin, jakaś przyjezdna osoba, okazał się bardzo podejrzaną figurą, a nawet nie był wcale sztabkapitanem, jak siebie zazwyczaj tytułował. Umiał tylko podkręcać wąsa, pić i gadać najrozmaitsze głupstwa, przechodzące najhojniejszą wyobraźnię. W sposób najbardziej niedelikatny przeprowadził się do Wirgińskich, zadowolony z cudzego wikt, jadł u nich i spał, i wreszcie zaczął traktować z góry

samego gospodarza. Zapewniano, że Wirgiński, po oświadczeniu żony, miał jej powiedzieć: „Moja droga, dotychczas tylko ciebie kochałem, a teraz szanuję”²¹ - wątpliwe jednak, czy tak klasyczne rzymskie powiedzenie istotnie zostało wygłoszone; podobno wprost przeciwnie, Wirgiński płakał rzewnymi łzami. Pewnego razu, w parę tygodni po dymisji, wyruszono całą „rodziną” wraz ze znajomymi za miasto, do lasu. Wirgiński był jakoś nerwowo wesół i nawet brał udział w tańcach, znienacka jednak, bez uprzedniej kłótni, chwycił za włosy olbrzymu Lebiadkina, który właśnie solo tańczył kankana, nachylił go do ziemi i zaczął tarzać z piskiem, krzykiem i łzami. Olbrzym tak się przestraszył, że nawet się nie bronił i przez cały czas szarpaniny zachował milczenie; potem jednak obraził się z całym zapalem, jak przystoi człowiekowi honoru. Wirgiński przez całą noc błagał żonę na kolanach o przebaczenie, nie przebłagał jednak, gdyż mimo wszystko nie zgodził się przeprosić Lebiadkina; na domiar złego oskarżony został o ubóstwo myśli i o głupotę, a to z tej racji, że klęczał przed kobietą. Sztabskapitan wkrótce znikł i wrócił do naszego miasta dopiero niedawno, razem z siostrą, nosząc się z nowymi już zamiarami. Lecz o tym we właściwym czasie. Nic dziwnego, że nieszczęśliwy małżonek szukał w naszym towarzystwie ukojenia i chętnie z nami przestawał. O swoich sprawach rodzinnych nigdy nie opowiadał. Raz tylko, wracając ze mną od Stie-

37

pana Trofimowicza, zagadał coś o swojej sytuacji, lecz natychmiast chwycił mnie za rękę i z żarem zawołał):

- Ale to nic; to tylko osobista sprawa; takie rzeczy w niczym nie mogą zaszkodzić „wspólnej sprawie”..

Zjawiali się w naszym kółku i przygodni goście. Zaglądał Żydek Lamszyn, kapitan Kartuzów. Bywał przez pewien czas jakiś ciekawy staruszek, lecz umarł. Kiedyś Liputin przyprowadził będącego na wygnaniu księdza Słońcewskiego, któregośmy przez czas pewien przyjmowali dla zasady - lecz wkrótce przestaliśmy przyjmować.

IX

Mówiono w mieście, że nasze kółko jest ogniskiem wolno-myślicielstwa, bezbożności i rozpusty. Stale podtrzymywano tę opinię. W rzeczywistości zaś uprawialiśmy najniewinniej-szą, miłą, tak bardzo rosyjską, wesołą liberalną gadaninę. „Szlachetny liberalizm” i „szlachetny liberał”, czyli „liberał” bez konkretnego celu, możliwe są tylko w Rosji. Stiepan Trofimowicz, jak każdy zresztą człowiek dowcipny, potrzebował słuchaczy, potrzebował prócz tego świadomości, że spełnia szczytny obowiązek propagandy ideowej. Trzeba było przecież w końcu wypić z kimś szampana i przy dobrym winie wymienić wiadome, wesołe myśli o Rosji i o „duszy rosyjskiej”, o Bogu w ogóle i o „rosyjskim Bogu”²² w szczególności; powtórzyć po raz setny znane wszystkim i przez wszystkich zapamiętane rosyjskie skandaliczne anegdoty. Ploteczki miejskie także nie były nam obce, przy czym często ferowaliśmy wysoce moralne wyroki. Poruszaliśmy także i sprawy ogólnoludzkie, poważnie rozprawialiśmy o przyszłych losach Europy i ludzkości; przepowiadaliśmy arbitralnie, że Francja po okresie cezaryzmu spadnie do roli drugorzędного państwa, a mieliśmy najzupełniejszą pewność, że stanie się to strasznie szybko i łatwo. Papieżowi od dawna przepowiadaliśmy rolę zwykłego metropolity zjednoczonych Włoch i byliśmy święcie przekonani, że w naszym wieku humanitaryzmu, przemysłu, kolei żelaznych wszystkie te tysiącletnie zagadnienia są fraszką. Ale „szlachetny liberalizm rosyjski” inaczej tych rzeczy przecie nie traktował. Stiepan

38

Trofimowicz rozmawiał często o sztuce, mówił bardzo ładnie, lecz nieco abstrakcyjnie. Wspominał nieraz przyjaciół z lat młodzieńczych, przeważnie ludzi, którzy odznaczali się czymś w historii

kultury rosyjskiej; mówił o nich z zachwytem i czcią, a jednocześnie jakby z zazdrością. Gdy już robiło się bardzo nudno, Żydek Lamszyn (skromny urzędniczy na pocztowy), dobry pianista, siadał do fortepianu, a w antraktach udawał świnię, burzę, poród z pierwszym krzykiem dziecka itp., itp.; po to tylko był zapraszany. Gdyśmy wypili zbyt wiele - co się niekiedy zdarzało - wpadaliśmy w stan zachwytu i raz nawet, przy akompaniamencie Lamszyna, śpiewaliśmy chórem Mar-sylianę, nie wiem tylko, czy to dobrze wypadło. Wielki dzień 19 lutego²³ powitaliśmy triumfalnie, na długo przedtem z tej okazji wysuszając kielichy. Było to bardzo dawno. Nie bywał wtedy u nas ani Szatow, ani Wirgiński, a i Stiepan Trofimowicz mieszkał jeszcze razem z Barbarą Pietrowną. Na krótko przed tym wielkim dniem Stiepan Trofimowicz zaczął nucić pod nosem znany, trochę sztuczny wiersz, napisany przez jakiegoś liberalnego ziemianina:

Idą chłopci i niosą siekiery, Straszne się rzeczy gotują...²⁴

czy coś w tym rodzaju, dokładnie nie pamiętani. Barbara Pietrowną podsłuchiwała kiedyś, zawołała: „Co za głupstwa, co za głupstwa!”, i wyszła rozgniewana. Liputin, obecny przy tym, zjadliwie odezwał się do Stiepana Trofimowicza:

- A przykro będzie, jeśli byli poddani, podnieceni radością, naprawdę wyrządzą drobną nieprzyjemność panom obszarnikom.

Wskazującym palcem przesunął po szyi.

- Cher ami* - dobrodusznie zauważył Stiepan Trofimowicz - niech mi pan wierzy, że to (tu powtórzył gest Liputina) żadnej korzyści nie przyniosłoby ani obszarnikom, ani w ogóle nam. Wprawdzie głowy przede wszystkim przeszkadzają nam rozumieć cokolwiek, lecz i bez głów nie zdobędziemy się na to, by cokolwiek urządzić jak należy.

• Drogi przyjacielu

39

Trzeba zaznaczyć, że wielu spośród nas oczekiwało w dniu manifestu czegoś niezwykłego, czegoś takiego, o czym wspominał Liputin; myśleli w ten sposób nawet tak zwani znawcy ludu i spraw państwowych. Stiepan Trofimowicz, zdaje się, podzielał te przypuszczenia do tego stopnia nawet, że w przeddzień wielkiego dnia zaczął nagle prosić Barbarę Pietrownę, by go wysłała za granicę; słowem, zaniepokoił się. Minął jednak historyczny dzień, minęło jeszcze trochę czasu i znów na twarzy Stiepana Trofimowicza zjawiał się dumny uśmiech. Wypowiedział w naszej obecności kilka cennych uwag o charakterze Rosjanina w ogóle i chłopka rosyjskiego w szczególności.

- My, ludzie nazbyt gwałtowni, zanadto pośpieszyliśmy się z naszymi chłopkami - zamykał Stiepan Trofimowicz szereg nieocenionych myśli. - Wprowadziliśmy ich w modę, a cały odłam literatury od kilku lafrz rządu cacka się z nimi jak z odkrytym właśnie skarbem. Wkładaliśmy wieńce laurowe na zawzione głowy. Wsi zaś rosyjskiej od tysiąca lat zawdzięczamy tylko kamaryńskiego.²⁵ Znakomity poeta rosyjski, nie pozbawiony dowcipu, gdy zobaczył po raz pierwszy na scenie wielką Rachel,²⁶ zawołał w zachwycie: „Nie oddałbym Rachel za rosyjskiego chłopca!” Ja jestem gotów pójść dalej: wszystkich chłopów, razem wziętych, oddałbym za jedną Rachel. Czas wreszcie spojrzeć na rzeczy nieco trzeźwiej, i nie plątać ojczystego dziegiu z bouquet de l'imperatrice* .ll

Liputin natychmiast z tym się zgodził, lecz zauważył, że w swoim czasie ze względów taktycznych trzeba było, acz nieszczerze, wychwalać chłopów; że nawet panie z najlepszego towarzystwa zalewały się łzami czytając Antona Nieboraka, i niektóre z nich pisywały nawet z Paryża do swoich administratorów, aby na przyszłość obchodzili się z chłopami jak najbardziej po ludzku.

Zdarzyło się, i jak na złość zaraz po gadkach o Antenie Pietrowie,²⁹ że w naszej guberni, i nie dalej jak o piętnaście wiorst od Skworesznik, zaszło jakieś nieporozumienie, tak że w zapale

posłano tam oddział wojska. Tym razem Stiepan Trofimowicz tak się zaniepokoił, że nawet nas nastraszył. Wykrzykiwał w klubie, że za mało wojska tam posłano, że

- bukiet cesarzowej

40

trzeba telegraficznie wezwać pomoc z sąsiedniej guberni; biegał do gubernatora, by go przekonać, że on, Wierchowieński, nie ma z tym nic wspólnego; błagał, aby z powodu jego przeszłości nie wplątano go w tę historię, i prosił, aby jego oświadczenie zostało natychmiast zakomunikowane komu należy w Petersburgu. Chwała Bogu, że wszystko to szybko przeszło i skończyło się na niczym. Wyznam jednak, że Stiepan Trofimowicz zdziwił mnie wtedy.

W trzy lata później, jak wiadomo, zaczęto mówić o kwestii narodowej i narodziła się „opinia publiczna”. Stiepan Trofimowicz szczerze się śmiał.

- Moi drodzy - pouczał nas - kwestia narodowa, jeżeli istotnie „narodziła się”, jak zapewniają gazety, to siedzi dotychczas w szkole, w jakiejś niemieckiej Peterschule,³⁰ nad książką niemiecką i wykuwa swą odwieczną niemiecką lekcję, a nauczyciel Niemiec rzuca ją na kolana w razie potrzeby. Pochwalam tego Niemca nauczyciela. Lecz prawdopodobnie nic się nie narodziło, a wszystko idzie po staremu, to znaczy, według woli bożej. Myślę, że to powinno wystarczyć Rosji, pour notre sainte Russie*. Poza tym te wszystkie pansla-wizmy i kwestie narodowe - to wszystko rzeczy zbyt stare, aby mogły uchodzić za nowe. Poczucie narodowe, jeśli chcecie, panowie, nigdy nie powstało u nas inaczej, jak w postaci wielkopańskich pomysłów klubowych, zwłaszcza moskiewskich. Nie mówię oczywiście o czasach kniazia Igora. Wszystko to w końcu z próżniactwa. U nas wszystko z próżniactwa, i dobre, i złe. Wszystko z wielkopańskiego, miłego Oj ukształco-nego, samowolnego próżniactwa! Powtarzam to od trzydziestu tysięcy lat. Nie umiemy żyć z pracy własnej. A oni tam roz-hałasowali się wokół jakiejś „nowo narodzonej” opinii publicznej! Przyszła znikąd? Z nieba spadła? Czyż nie rozumieją, że dla wytworzenia opinii niezbędna jest przede wszystkim praca, własna praca, własna inicjatywa, własne, doświadczenie? Darmo nic nie przychodzi. Jeżeli będziemy pracowali, wytworzymy sobie i opinię własną. Ponieważ jednak nigdy pracować nie będziemy, więc i „poglądy będą wytwarzali za nas ci, którzy za nas dotychczas pracowali, to znaczy, wciąż ta sama Europa, wciąż ten sam Niemiec, dwuwiekowi nasi nauczyciele. Poza

- nasze] święte) Rosji

41

tym zbyt wielkim nieporozumieniem jest sama Rosja, abyśmy sami mogli je rozstrzygnąć bez pomocy Niemca i bez pracy. Oto od lat dwudziestu już biję na alarm i nawołuję do pracy! Życie całe poświęciłem temu wołaniu i sam, szalony, wierzyłem! A teraz już nie wierzę, lecz alarmuję i będę alarmował do końca, do grobu; będę targał za sznur, aż zadzwonią nad moją mogiłą.

Tak, niestety! Mogliśmy tylko potwierdzać. Przyklaskiwaliśmy naszemu mistrzowi, i to z jakim zapałem! Powiedzcie jednak, panowie, czy i teraz nie rozlega się wszędzie taka sama miła, mądra, liberalna, stara rosyjska paplanina?

Mistrz nasz wierzył w Boga. „Nie rozumiem, dlaczego mają mnie tu wszyscy za ateusza? - mawiał czasem. - W Boga wierzę, mais distinguons*, wierzę jako w Istotę we mnie się uświadamiającą. Nie mogę przecież wierzyć, tak jak moja Nastasja (służąca) albo jakieś panisko, wierzące „na wszelki wypadek”, czy też jak kochany Szatow. Zresztą Szatow się nie liczy. Szatow wierzy na siłę, jako słowianofil moskiewski. Co się zaś tyczy chrystianizmu, to pomimo całego mego szacunku chrześcijaninem .nie jestem. Jestem raczej poganinem jak wielki Goethe lub jak starożytny Grek. Wystarczy, że chrystianizm nie rozumiał kobiety, jak to świetnie wyłożyła George Sand w jednej ze swych genialnych powieści³¹. Co zaś do praktyk, postów i innych rzeczy, nie rozumiem, co to kogo obchodzi. Niech się starają jak chcą nasi konfidenci, lecz jezuitą nie

zostanę. W roku 1847 Bieliński,³² będąc za granicą, napisał do Go-gola znany list, w którym zarzucał mu w gorących słowach wiarę w „jakiegoś tam Boga”. Entre nous soit dit,** nie mogę wyobrazić sobie nic komiczniej szego niż chwilę, gdy Gogol (ówczesny Gogol!) przeczytał ten zwrot i... cały list! Odrzuciwszy jednak śmieszność sytuacji i ponieważ zgadzam się z istotą rzeczy, powiem i podkreślę: to byli ludzie! Umieli przecież kochać swój lud, cierpieć zań, złożyć mu wszystko w ofierze i jednocześnie umieli nie zgadzać się z nim, gdy trzeba było, nie schlebiać mu w pewnych kwestiach. Nie mógł przecież Bieliński szukać zbawienia w oleju lub rzodkwi z grochem!

Tu wtrącił się Szatow.

- ale rozróżniamy ** Mówiąc między nami

42

- Nigdy ci pańscy ludzie nie kochali ludu, nie cierpieli za lud i żadnych ofiar nie złożyli, chociażby pan to sobie nie wiem jak przedstawiał na własną pocięchę! - mruknął ponuro, z wbitym w podłogę wzrokiem, niecierpliwie kręcąc się na krześle.

- Co? Oni nie kochali ludu? - zawołał Stiepan Trofimo-wicz. - Ależ jak kochali Rosję!

- Ani Rosji, ani ludu! - ryknął Szatow błyskając oczyma. - Nie można kochać tego, czego się nie zna, oni zaś nie mieli pojęcia o ludzie rosyjskim. Oni wszyscy - i pan razem z nimi - nie dostrzegli ludu rosyjskiego, a zwłaszcza Bieliński, widać to przecie z jego listu do Gogola. Bieliński, jak ów Ciekawy w bajce Kryłowa, nie dostrzegł słonia w kunstkamerze, a całą uwagę zwrócił na francuskie żuczki socjalne;³³ na nich też poprzestał. A przecież on był z was wszystkich może najmądrzejszy! Nie tylko nie zauważyliście ludu, lecz odwracaliście się od niego ze wstrętem, choćby dlatego, że za naród uważaliście jedynie Francuzów, i to też wyłącznie paryżan, i wstydziście się, że lud rosyjski nie jest taki sam! Oto naga prawda! Kto jednak nie zna ludu, nie zna Boga! Wiedźcie, że niewątpliwie wszyscy, którzy przestają rozumieć swój naród i tracą związek z nim, natychmiast, w miarę jak tracą wiarę ojczyzną, stają się ateuszami lub obojętnymi. Mam rację! To fakt sprawdzony. Dlatego i wy wszyscy, i my wszyscy teraz jesteśmy albo gnuśnymi ateistami, albo obojętnym, rozpustnym bydłem, i niczym więcej! I pan także, Stiepanie Trofimowiczu, nie czynię dla pana wyjątku, nawet właśnie o panu mówiłem, niech pan o tym wie.

Zwykle, wyrzuciwszy z siebie taki monolog (a to mu się często zdarzało), Szatow chwycił czapkę i kierował się do drzwi w całkowitym przekonaniu, że teraz już wszystko skończone i że przyjaźń ze Stiepanem Trofimowiczem jest zerwana na zawsze. Jednak Wierchowieński umiał go za każdym razem powstrzymać w porę.

- A może byśmy się tak z panem pogodzili po tych miłych słówkach? - mawiał, dobrodusznie wyciągając dłoń.

Niezgrabny, wstydlivy Szatow nie lubił czułości. Był pozornie grubianinem, jednak w istocie odznaczał się wielką delikatnością uczuć. Tracił często równowagę, lecz pierwszy cierpiał nad tym. Po wezwaniu Stiepana Trofimowicza, po-

43

mruczawszy pod nosem i podreptawszy w miejscu jak niedźwiedź, uśmiechał się niespodzianie, rzucał na bok czapkę i siadał na dawnym miejscu, uparcie wpatrując się w podłogę. Przynoszono, rzecz prosta, wina i Stiepan Trofimowicz wygłaszał jakiś odpowiedni toast, na przykład na cześć któregoś z działaczy minionej epoki.

ROZDZIAŁ DRUGI

KSIĄŻĘ HARRY SWATY

I

Istniała na świecie jeszcze jedna istota, do której Barbara Pietrowna przywiązana była nie mniej niż do Stiepana Trofimowicza. Był to jej jedynak, Mikołaj Wsiewołodowicz Stawrogin.¹ Do niego w swoim czasie zaangażowany został Wierchowieński w charakterze wychowawcy. Malec miał wtedy osiem lat, a lekkomyślny generał Stawrogin, jego ojciec, już nie żył z żoną, więc malec wyrastał tylko pod opieką matki. Musimy oddać sprawiedliwość Stiepanowi Trofimowiczowi, że umiał przywiązać do siebie pupila. Cały sekret polegał na tym, że Stiepan Trofimowicz też właściwie był dzieckiem. Nie znałem jeszcze wtedy Wierchowieńskiego, on zaś ciągle szukał prawdziwego przyjaciela. Nie wahał się uczynić nim tej małej istotki, gdy tylko odrobinę podrosła. Tak się jakoś stało, że nie było między nimi żadnego dystansu. Nauczyciel budził nieraz w nocy swego dziesięcio- czy jedenastoletniego przyjaciela po to tylko, aby we łzach wylać przed nim swe urażone uczucia lub zwierzyć mu jakiś sekrecik domowy, co było już zupełnie niedopuszczalne. Rzucali się sobie w objęcia i płakali. Malec wiedział, że matka bardzo go kocha, ale on jej chyba nie kochał. Rzadko rozmawiała z nim, niczego prawie mu nie odmawiała, lecz dziecko zawsze boleśnie odczuwało na sobie jej przenikliwe, badawcze spojrzenie. Cały ciężar wychowania i wykształcenia matka ufnie złożyła w ręce Stiepana Trofimowicza. Wówczas jeszcze bardzo w niego wierzyła. Można przypuszczać, że pedagog musiał nadszarpnąć trochę nerwy wychowanka. Gdy ten miał szesnasty rok, zawieziono go do liceum. Był wtedy wątły, błąd,

45

dziwnie spokojny i zamyślony. (Później wyróżniał się wyjątkową siłą fizyczną.) Prawdopodobnie zresztą nie tylko drobne przygody domowe bywały przyczyną wspólnych nocnych łez obu przyjaciół. Stiepan Trofimowicz zdołał poruszyć w sercu pupila najgłębsze struny i wzniecić w nim pierwszy, nieokreślony nastrój wieczystej, świętej tęsknoty, której zaznawszy niejedna dusza wybrana nie odda już za żadne tanie uciechy. (Są nawet tacy, którzy wyżej cenią tęsknotę niż najpełniejszą rozkosz, nawet gdyby taka rozkosz była możliwa). Dobrze się stało w każdym razie, że wreszcie, może trochę za późno, odłączono wychowanka od mistrza.

Młodzieniec przez dwa lata przyjeżdżał z liceum na wakacje. W czasie pobytu Barbary Pietrowny i Stiepana Trofimowicza w Petersburgu młody Stawrogin obecny był nieraz na wieczorach literackich w domu matki. Słuchał i obserwował. Mówił mało, a był cichy i nieśmiały jak dawniej. Wobec Stiepana Trofimowicza zachowywał się wciąż serdecznie i życzliwie, lecz już z pewną rezerwą. Kwestii podniosłych i wspomnień dzieciństwa unikał w rozmowie. Po skończeniu liceum wstąpił na żądanie matki do wojska i wkrótce został przyjęty do jednego z najświetniejszych pułków gwardii konnej. Nie zjawiał się u matki, aby się jej pokazać w mundurze, i rzadko pisywał z Petersburga. Barbara Pietrowna nie żałowała mu pieniędzy, chociaż po zniesieniu poddaństwa dochody z majątków znacznie spadły i w pierwszych latach nie wynosiły nawet połowy poprzednich dochodów. Miała spory kapitał, uciulany w ciągu długich lat. Bardzo interesowało ją powodzenie syna w wyższych sferach stolicy. Czego sama nie mogła osiągnąć, łatwo zdobył młody oficer, bogaty i rojujący nadzieje. Wznosił takie znajomości, o których sama nawet marzyć nie mogła, i wszędzie przyjmowano go bardzo chętnie. Wkrótce jednak doszły do Barbary Pietrowny dość dziwne wieści: młodzieniec ni stąd, ni zowąd zaczął hulać. Ani pił dużo, ani grał; opowiadano o jakichś niesamowitych szaleństwach, o ludziach przejechanych przez rysaki, o dzikim wybryku z pewną damą z towarzystwa, z którą był w bliskich stosunkach, a potem znieważył ją publicznie. Zbyt brudny cynizm ujawnił się w tej sprawie. Nazywano Stawrogina zbirem, mówiono, że znieważa ludzi dla samej przyjemności znieważania. Barbara Pietrowna niepokoiła się i martwiła. Stiepan Trofimowicz uspokajał ją, że to są pierwsze bu-

46

rzliwe wybryki zbyt bujnej natury, że morze powróci w swoje brzegi i że to wszystko przypomina mu młodość księcia Harry, który w dramacie Szekspira hula z Falstaffem, Poinsem i Mrs Quickly.²

Tym razem Barbara Pietrowna nie krzyczała: „Co za głupstwa, co za głupstwa!”, jak zwykła była ostatnimi czasy odzywać się do Stiepana Trofimowicza, przeciwnie, słuchała uważnie, kazała .sobie dokładnie wszystko opowiedzieć, nawet sama wzięła do rąk Szekspira i najdokładniej odczytała to nieśmiertelne dzieło. Nie uspokoiło to jej jednak, a zresztą i podobieństwa się nie doszukała. Nerwowo oczekiwała odpowiedzi na kilka swoich listów. Odpowiedzi wkrótce nadeszły, a wśród nich fatalna wiadomość, że księżę Harry miał naraz aż dwa pojedynki, obydwu z własnej winy, zabił na miejscu jednego ze swych przeciwników, drugiego poranił, i za te czyny oddany został pod sąd. Sprawa skończyła się degradacją, pozbawieniem praw i oddaniem winowajcy w stopniu szeregowca do jednego z pułków piechoty. Tak łagodny wyrok zawdzięczał Stawrogin specjalnym względom.

W roku 1863 zdołał się jakoś odznaczyć; udekorowano go krzyżem i mianowano podoficerem, a wkrótce potem oficerem.³ W tym okresie Barbara Pietrowna wysłała do stolicy przynajmniej setkę błagalnych listów. Naraziła się nawet, w tak niezwykłych okolicznościach, na pewne ponizenia. Po odzyskaniu rangi młodzieniec nagle podał się do dymisji, lecz do Skwo-resznik znów nie przyjechał, a do matki zupełnie przestał pisywać. Dowiedziano się wreszcie od osób trzecich, że wrócił do Petersburga, lecz w dawnym towarzystwie już go nie widywano. Znikł jak kamień w wodę. Odszukano go w końcu w jakimś dziwnym otoczeniu. Przyłgął do szumowin petersburskich, obcował z jakimiś urzędniczyniami bez butów, z eks-wojskowy-mi szlachetnie wyprasającymi jałmużnę, z pijakami; odwiedzał ich brudne rodziny, spędzał dni i noce w tajnych spelunkach i Bóg wie jakich norach; opuścił się, chodził w łachmanach. Widocznie zasmakował w takim życiu. Matki nie prosił o pieniądze. Miał własny mająteczek, wioskę generała Stawrogina, która dawała jakiś tam skromny dochodzik, a którą wydzierżawił pewnemu Niemcowi, rodem z Saksonii. Udało się matce ubłagać go, by przyjechał; wtedy księżę Harry zjawił się w naszym mieście. Poznałem go wówczas dopiero, gdyż przedtem nie widziałem go nigdy.

47

Był to człowiek bardzo przystojny, lat chyba dwudziestu pięciu. Przyznam się, że mocno mnie zdziwił. Myślałem, że zobaczę brudnego, zapijaczonego oberwańca cuchnącego wódką. Tymczasem był to najwytworniejszy z dżentelmenów, jakich kiedykolwiek widywałem. Był ubrany elegancko, a zachowywał się z finezją człowieka wychowanego po wielkopańsku. Wraz ze mną dziwili się wszyscy inni, gdyż całe miasto znało biografię Stawrogina, a nawet najdrobniejsze jej szczegóły. Dziwić się wprost należy, skąd o tym wszystkim wiadano, zwłaszcza że przynajmniej połowa opowieści okazała się prawdą. Wszystkie nasze panie od razu potraciły głowy. Wyraźnie podzieliły się na dwie grupy: pierwsza ubóstwiała go, druga nienawidziła zapamiętale; ale szaleństwo ogarnęło wszystkie. Niektóre pociągało to, że Stawrogin kryje na pewno w duszy jakąś straszną tajemnicę; innym podobało się, że jest zabójcą. Okazało się wkrótce, że posiada niepoślednie wykształcenie, a nawet spory zasób wiedzy. Tak znów dużo tej wiedzy nie trzeba było, aby nam zaimponować; mógł jednak mówić i na tematy powszednie, o interesujących kwestiach życia codziennego, i co byłoit najcenniejsze, sąd miał zawsze wyjątkowo trafny. Dziwne to, lecz od pierwszego dnia wszyscy uznali, że jest człowiekiem bardzo statecznym. Nie był zbyt rozmowny, uprzejmość jego pozbawiona była sztuczności, niezwykle skromny, a jednocześnie śmiały i pewny siebie jak nikt. Nasi eleganci patrzyli na niego z zawiścią i błedli wobec niego. Zdziwiła mnie także jego twarz: włosy miał jak gdyby zanadto czarne, jasne oczy jakoś zanadto spokojne i świetliste, cerę zanadto delikatną, rumieniec zbyt czysty i silny, zęby jak perły, wargi koralowe. Chłopiec jak malowanie, a jednocześnie dziwnie jakoś odrażający. Mówiono, że twarz jego przypomina maskę; tyle zresztą mówiono o nim i o jego niesłychanej sile fizycznej! Wzrostu był średniego. Barbara Pietrowna patrzyła na niego z dumą, a jednocześnie z niepokojem. Spędził u nas pół roku - spokojnie, na pół martwo, dość ponuro; bywał w towarzystwie i bardzo sumiennie przestrzegał przepisów naszej etykiety prowincjonalnej. Był po ojcu krewnym gubernatora i w jego domu traktowano go jak bliskiego człowieka. Lecz po kilku miesiącach zwierz pokazał pazury.

Dodani tu w nawiasie, że przezacny, miękki Iwan Osipowicz, nasz były gubernator, przypominał trochę starą babę, lecz

48

pochodził z dobrej rodziny, miał stosunki. Tym się też tłumaczy, że przesiedział u nas tyle lat stale odżegnując się od wszelkiej odpowiedzialności. Sądząc po wylewności i gościnności, mógłby być raczej marszałkiem szlachty za dawnych dobrych czasów, nie zaś gubernatorem w naszej frasobliwej, niespokojnej epoce. Mówiono wszędzie, że rządzi gubernią nie on, lecz Barbara Pietrowna. Było to zjadliwe, lecz zupełnie niesłuszne. Czyż mało zresztą wysilano na ten temat dowcipu? A Barbara Pietrowna, właśnie w ostatnich latach, świadomie uchylała się od poważniejszej roli, pomimo olbrzymiego szacunku, jaki miało dla niej społeczeństwo, i dobrowolnie zakreszyła granicę własnej działalności. Zamiast sprawom publicznym, poświęciła się nagle gospodarstwu i w ciągu paru lat zdążyła przywrócić majątkom uprzednią rentowność. Zapomniawszy o dawnych aspiracjach (wyjazd do Petersburga, zamiar wydawania pisma inne), zaczęła gromadzić dobra doczesne i oszczędzała na • wszystkim. Odsunęła od siebie nawet Stiepana Trofimowicza, pozwoliwszy mu wynająć mieszkanie gdzie indziej (o co już drwno ją molestował pod rozmaitymi pretekstami). Stopniowo Stiepan Trofimowicz zaczął ją nazywać kobietą prozaiczną lub, żartobliwie, „swym prozaicznym przyjacielem”. Nie potrzebuję dodawać, że pozwalał sobie na takie żarty jedynie w sposób pełen szacunku i tylko w bardzo odpowiednich chwilach.

My, ludzie bliscy, rozumieliśmy dobrze - a Stiepan Trofimowicz najlepiej z nas wszystkich - że dla Barbary Pietrowny syn jest uosobieniem jakby nowej nadziei i nowego marzenia. Namiętne przywiązanie do syna datowało się od okresu jego powodzeń światowych, lecz wzrosło gwałtownie od dnia otrzymania wiadomości o degradacji. Jednocześnie jednak bała się syna, czuła się jego niewolnicą. Łatwo było spostrzec, że obawia się czegoś nieokreślonego, tajemniczego, czego sama nie zdołałaby nazwać, i często uważnie wpatrywała się w swojego Nicolas, zastanawiając się nad czymś i przemyśliwując... i oto zwierz nagle wysunął pazury.

II

Nasz książkę raptem ni z tego, ni z owego dopuścił się kilku niesłychanie zuchwałych wybryków. Rzecz główna polegała na

49

tym właśnie, że wybryki te były zupełnie niesłychane, do niczego niepodobne, nie takie, jakie dotąd się zdarzały, całkiem sztubackie i głupie, i niczym się, do licha, nie dające wytłumaczyć. Jeden z najbardziej szanowanych członków naszego klubu, Piotr Pawłowicz Gaganow, człowiek starszy już, a nawet zasłużony, miał niewinny zwyczaj stale i dobitnie powtarzać: „Co do mnie, nie dam się za nos wodzić!” Niechby tam sobie mówił. Lecz raz w klubie, gdy w trakcie ożywionej dyskusji powtórzył to swoje powiedzonko w gronie gości (a wszystko to byli ludzie poważni), Mikołaj Wsiewołodowicz, który stał na uboczu i do którego nikt się nie zwracał, podszedł raptem do Piotra Pawłowicza, znienacka chwycił go mocno za nos dwoma palcami i pociągnął za sobą wzdłuż sali kilka kroków. Gniewu do Gaganowa nie mógł czuć. Pomyślałby kto, że to typowe sztubactwo, oczywiście zupełnie niedopuszczalne. A jednak opowiadano potem, że w trakcie tej operacji Stawrogin był zamyślony, „jak gdyby nienormalny” - lecz przypomniano to sobie znacznie później. Z początku, na gorąco, pamiętano tylko drugi moment, g”dy winowajca na pewno zdawał sobie sprawę ze wszystkiego i nie tylko nie był zażenowany, lecz, przeciwnie, uśmiechał się złośliwie i wesoło, bez cienia skruchy. Podniósł się najokropniejszy hałas; otoczono go. Mikołaj Wsiewołodowicz kręcił się na miejscu, nie odpowiadał nikomu, lecz wpatrywał się ciekawie w twarze krzyczących. Potem nagle znów się jak gdyby zamyślił (tak powtarzano przynajmniej),

zachmurzył, podszedł twardym krokiem do znieważonego Piotra Pawłowicza i szybko, z widocznym gniewem wymamrotał:

- Pan, rzecz prosta, zechce mi wybaczyć... Naprawdę nie wiem, skąd mi strzeliło do głowy... To głupstwo...

Lekceważący ton przeprosin można było zrozumieć jako ponowną obrazę. Hałas wzrósł. Mikołaj Wsiewołodowicz wzruszył ramionami i wyszedł.

Wszystko to było bardzo głupie, nie mówiąc już, że wybryk, świadomy i przemyślany, jak się to na razie wydawało, był zuchwałą obrazą całego naszego towarzystwa. Tak to pojęli wszyscy. Zaczęto od tego, że niezwłocznie i jednogłośnie skreślono Stawrogina z listy członków klubu; potem postanowiono zwrócić się w imieniu klubu do gubernatora z prośbą, aby niezwłocznie, nie czekając na rozprawę sądową, zastosował

50

środki w celu poskromienia szkodliwego awanturnika, „stołecznego zbira”, i korzystając z powierzonej mu władzy administracyjnej „zechciał uchronić spokój porządnym ludzi naszego miasta od dalszych niebezpiecznych zamachów”. Dodawano przy tym z niewinną zjadliwością, że może „znajdzie się jakieś prawo i na pana Stawrogina”. Frazesem tym chciano dotknąć gubernatora... za Barbarę Pietrownę. Wypisywano to wszystko z rozkoszą. Lecz gubernator, jakby umyślnie, był nieobecny; pojechał gdzieś w okolicę chrzcic dziecko pewnej miłej młodej wdówki, którą mąż pozostawił w błogosławionym stanie; oczekiwano jednak rychłego powrotu pana gubernatora. Nie tracąc czasu urządzono prawdziwą owację szanownemu a pokrzywdzonemu Piotrowi Pawłowiczowi: ściskano go i całowano; całe miasto składało mu wizyty. Zamierzano nawet wydać obiad składkowy na jego cześć i tylko na jego własną, usilną prośbę zaniechano tej myśli - zrozumiałwszy może, że bądź co bądź człowieka tego ciągnięto za nos, nie ma więc powodu do zbytniego entuzjazmu.

Jak się to jednak stało? Jak stać się mogło? Znamienna jest okoliczność, że w całym mieście nikt nie tłumaczył zdarzenia obłędem. To znaczy, że od Mikołaja Wsiewołodowicza, nawet w stanie normalnym, oczekiwano tego rodzaju wybryków. Co do mnie, do dziś tego nie rozumiem, pomimo iż wkrótce nastąpiło zdarzenie, które na pozór wytłumaczyło wszystko i uspokoiło opinię. Dodam też, że po czterech latach, na moje dyskretne pytanie o wypadek w klubie, Mikołaj Wsiewołodowicz odpowiedział zachmurzony: „Tak, byłem wtedy niezupełnie zdrow.” Lecz wróćmy do tematu.

Zaciekawiał mnie wówczas ten powszechny wybuch nienawiści do „gwałtownika i stołecznego zbira”. Chciano koniecznie dopatrzeć się zuchwalstwa i wyrachowanego zamiaru obrażenia całego towarzystwa. Widać było, że człowiek ten nikomu nie dogodził i wszystkich przeciw sobie nastawił. Dlaczego jednak? Aż do tej chwili nie kłócił się z nikim, nikomu nie ubliżył, a był uprzejmy jak *chevalier** z modnego obrazu, gdyby ten mógł przemówić. Sądzę, że nie cierpiano go za dumę. Nawet nasze panie, które zaczęły od ubóstwiania, rozhałasowały się obecnie gorzej niż mężczyźni.

- galant
4” 51

Barbara Pietrowna była ogromnie przerażona. Przyznała się potem Stiepanowi Trofimowiczowi, że dawno przeczuwała coś podobnego, że od pół roku co dzień oczekiwała czegoś „właśnie w tym rodzaju”. W ustach matki było to zastanawiające wyznanie. „Zaczyna się!” - pomyślała z niepokojem. Nazajutrz po tym fatalnym wieczorze w klubie ostrożnie, lecz stanowczo zażądała od syna wyjaśnień i pomimo stanowczości w głosie cała się trzęsła, biedaczka. Nie spała w nocy, rano zaś chodziła nawet naradzić się ze Stiepanem Trofimowiczem i płakała u niego, czego nigdy nie czyniła przy ludziach. Zależało jej na tym, by Nicolas powiedział jej) przynajmniej cokolwiek, aby

przed nią raczył się wytłumaczyć. Nicolas, zawsze tak uprzejmy i pełen szacunku wobec matki, słuchał czas jakiś zaszępiiony, bardzo poważny; potem wstał, nie powiedział ani słowa, pocałował ją w rękę i wyszedł. I tego samego dnia wieczorem zrobił nowy skandal, wprowadzając zwykleszy i pow-szedniejszy, który jednak w związku z nastrojem powszechnym dodał koloru miejskim plotkom i gadaninom.

Nawinał się nasz przyjaciel Liputin. Natychmiast po tamtych wyjaśnieniach z Barbarą Pietrowna zjawił się u Stawro-gina i usilnie go prosił Oprzybycie do niego wieczorem z okazji urodzin żony. Barbara Pietrowna już od dawna z trwogą w sercu patrzyła na tak niewłaściwy-wybór znajomości, lecz nie odważała się robić synowi uwag. Poza Liputinem zawarł on już wiele innych znajomości w tych trzeciorzędnych warstwach naszego społeczeństwa, a może jeszcze niżej - taką już miał skłonność. W domu Liputina nigdy jeszcze nie był, lecz z nim się spotykał. Zrozumiał, że Liputin zaprasza go z powodu wczorajszego skandalu w klubie i że jako miejscowy postępowiec zachwycony jest tym skandalem, w całkowitym przeświadczeniu, iż tak właśnie należy obchodzić się z gospodarzami klubów i że to jest bardzo dobrze. Mikołaj Wsiewołodo-wicz roześmiał się i obiecał, że przyjdzie.

Gości było bez liku; byli to ludzie nieznaczeni, lecz pewni siebie. Liputin, ambitny i samolubny, tylko dwa razy do roku zapraszał gości, lecz wtedy już kosztów nie szczędził. Najbardziej honorowy gość, Stiepan Trofimowicz, nie stawiał się z powodu choroby. Dawano herbatę, ustawione były liczne zakąski i wódka. Grano w karty przy trzech stolikach, a młodzież, w oczekiwaniu kolacji, urządziła tańce przy fortepianie. Miko-

52

łaj Wsiewołodowicz zaprosił panią Liputin, bardzo ładniutką kobietkę, okropnie onieśmiałą, zrobił z nią dwie tury, po czym siadł obok niej, rozmawiał z nią, mówiąc coś zabawnego. Zauważywszy w końcu, jaka jest śliczna, gdy się śmieje, znieca, przy wszystkich, wziął ją wpół i pocałował w usta, trzy razy z rzędu, soczyście. Wystraszona niewiasta zemdlła. Mikołaj Wsiewołodowicz wziął kapelusz, podszedł do męża, który zupełnie stracił głowę wśród ogólnego tumultu, spojrzał nań, burknął szybko: „Niech się pan nie gniewa”, i wyszedł. Liputin wybiegł za nim do przedpokoju, własnoręcznie podał mu futro i w ukłonach sprowadził ze schodów. Nazajutrz zaś nastąpiło zabawne uzupełnienie tej całej historii, w istocie niewinnej, uzupełnienie, które właściwie mówiąc przysporzyło nawet odtąd pewnego zaszczytu Liputinowi. Nie omieszkał potem tego zaszczytu wykorzystać.

O dziesiątej rano w domu pani Stawrogin zjawiła się służąca Liputina, Agafia, rumiana babina lat trzydziestu, niezmiernie śmiała i pewna siebie. Przysłano ją z poleceniem do Mikołaja Wsiewołodowicza i koniecznie chciała go „widzieć osobiście”. Głowa go bolała, lecz wyszedł. Barbarze Pietrownie udało się być obecną przy rozmowie.

- Siergiej Wasiliewicz, to znaczy Liputin - zatrajkotała rezolutnie Agafia - kazał najpierw pięknie się kłaniać i o zdrowie pytać, ł jak Mikołaj Wsiewołodowicz spał, i jak zdrowie po wczorajszym.

Mikołaj Wsiewołodowicz uśmiechnął się.

- Kłaniaj się i podziękuj, a powiedz twemu panu ode mnie, Agafio, że jest najrozumniejszym człowiekiem w mieście.

- A pan mój na to kazał powiedzieć - jeszcze rezolutniej odparła Agafia - że i sam to wie, i panu tego samego życzy.

- Jak to? Jakże twój pan mógł wiedzieć, co ja ci powiem?

- Jakim sposobem, tego ja już nie wiem, proszę pana, ale gdy wyszłam, a już całą ulicę przesłam, słyszę, dopędza mnie pan, tak, bez czapki, proszę pana, i mówi: „Ty, mówi, Agafia, jeżeli do tego

dojdzie i rozkażą ci: „Powiedz swojemu panu, znaczy się, że jest najrozumniejszy w mieście* - to ty na to zaraz odpowiadaj: „Mój pan bardzo dobrze o tym wie i panu tego samego życzy.””

53

III

Doszło wreszcie do rozmowy z gubernatorem. Dobroduszny, zacny nasz Iwan Osipowicz właśnie powrócił i ledwie zdążył wysłuchać gorącej skargi członków klubu. Niewątpliwie trzeba było coś przedsięwziąć, lecz trudno im było powziąć decyzję. Nasz gościnny staruszek także bał się jak gdyby trochę swego młodego krewniaka. Postanowił jednak skłonić go, aby przeprosił zarząd klubu i obrazonego, i to w sposób zadowalający, a nawet, w razie żądania, na piśmie; potem zaś namówić go uprzejmie, aby nas opuścił, wyjechał na przykład w celach krajoznawczych do Włoch i w ogóle gdzieś za granicę. W salonie, gdzie tym razem miał przyjąć Mikołaja Wsiewołodowicza (który zwykle na prawach krewnego swobodnie łąził po całym mieszkaniu), siedział w kącie Alosza Tielatnikow, dobrze ułożony urzędnik, a jednocześnie domownik gubernatora, i otwierał przy stole korespondencję urzędową; w sąsiednim zaś pokoju, przy oknie obok salonu, ulokował się pewien gruby i rostry pułkownik, przyjaciel i były kolega służbowy Iwana Osipowicza. Czytał „Głos”,⁴ nie zwracając, ma się rozumieć, najmniejszej uwagi na to, co się dzieje w salonie, i nawet odwrócił się plecami. Iwan Osipowicz zaczął mówić półszepceniem, klucząc wokół tematu; wciąż plątał się. Nicolas patrzył spode łba bardzo nieuprzejmie, całkiem nie jak krewniak, był bladej; siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym w ziemię, zmarszczywszy brwi, jak gdyby mocował się z silnym bólem.

- Serce masz zacne, Nicolas, i szlachetne - mówił w ciągu rozmowy gubernator - jesteś człowiekiem wykształconym, obracałeś się w najlepszym towarzystwie, i tu zresztą zachowywałeś się na razie przykładnie, ku radości drogiej naszym sercom twojej matki... A oto teraz jakieś dziwne i niebezpieczne światło pada na wszystko! Mówię to jako przyjaciel waszej rodziny, mówię jako człowiek starszy, twój krewny, szczerze do ciebie przywiązany, na którego nie możesz się obrażać... Powiedz, co ciebie skłania do tak nieposkromionych uczynków, gwałcących przyjęte obyczaje i przekraczających wszelką miarę? Co znaczą te gorączkowe, nieprzytomne wybryki?

Nicolas słuchał niecierpliwie i niechętnie. Znienacka w oczach jego zatliło się coś chytrego i szydlerczego.

- Jeżeli o to chodzi, mógłbym właściwie powiedzieć, co

54

mną powoduje - rzeki ponuro obejrzawszy się wokoło i schylił się do ucha Iwana Osipowicza.

Dobrze wychowany Alosza Tielatnikow zrobił jeszcze trzy kroki w stronę okna, a pułkownik zakaszlał, ukryty za „Głosem”. Biedny Iwan Osipowicz ufnie, z pośpiechem, nadstawił ucha, był chorobliwie ciekawy. I wtedy stała się rzecz już zupełnie niesłychana, a jednak pod pewnym względem wiele wyjaśniająca. Staruszek poczuł nagle, że Nicolas zamiast wyszeptać mu do ucha jakąś ciekawą tajemnicę, chwycił zębami i mocno ścisnął nimi górną część ucha gubernatora. Staruszek zadrżał, zabrakło mu tchu.

- Nicolas, co to za żarty?! - jęknął mimo woli, zmienionym głosem.

Alosza i pułkownik nie rozumieli jeszcze, o co chodzi, a z daleka nie mogli nic dojrzeć; wciąż im się zdawało, że tamci coś sobie szepczą, niepokoił ich jednakże rozpaczliwy wyraz twarzy gubernatora. Patrzyli jeden na drugiego wytrzeszczonymi oczami, nie wiedząc, czy czas już śpieszyć na pomoc, jak to było na wszelki wypadek umówione, czy też jeszcze poczekać. Nicolas zauważył to prawdopodobnie i ścisnął ucho jeszcze boleśniej.

- Nicolas! Nicolas! - jęknęła znowu ofiara. - Dobrze, pożartowałeś, i dość już tego!

Jeszcze chwila, a umarłby na pewno, nieborak, że strachu, lecz potwór zlitował się i wypuścił ucho. Cały ów strach śmiertelny trwał prawie minut? i staruszek dostał potem jakiegoś ataku. Po półgodzinie Nicolas został aresztowany i zaprowadzony na razie na odwach, gdzie go zamknięto w osobnej celi pod strażą osobnego szyldwacha. Był to środek ostry, ale nasz dobry Iwan Osipowicz tak się rozgniewał, że gotów był ponieść odpowiedzialność nawet przed samą Barbarą Pietrowną. Ku powszechnemu zdziwieniu, gdy pani Stawrogin pośpiesznie, rozgorączkowana, przybyła do gubernatora celem natychmiastowego wyjaśnienia sprawy, nie została przyjęta. Musiała wrócić do domu, nie wysiadłszy nawet z karety: nie wierzyła sarna sobie.

W końcu wyjaśniło się wszystko! O drugiej w nocy aresztowany, dotychczas zdumiewająco spokojny - zasnął nawet trochę - zerwał się nagle, zaczął hałasować i walić niemiłosiernie pięścią w drzwi, z szaloną siłą zerwał z okienka znajdującego się w drzwiach żelazną kratę, rozbił szybę i pokaleczył

55

sobie ręce. Gdy dyżurujący oficer przybiegł wraz z wartą i kazał otworzyć celę, aby związać rozwścieczonego więźnia, ten był już u szczytu białej gorączki. Odwieziono go do matki. Cała sprawa stała się jasna, wszyscy trzej nasi lekarze wydali opinię, że i na trzy dni przed atakiem chory mógł już działać jak w malignie i chociaż nie utracił jeszcze świadomości, a nawet przebiegłości, był jednak niepoczytalny. Fakty potwierdzały tę opinię. Wyglądało na to, że Liputin domyślił się pierwszy. Iwan Osipowicz, jako człowiek wrażliwy i delikatny, był nawet bardzo zawstydzony. I co godne uwagi, że i on właściwie traktował Mikołaja Wsiewołodowicza jako człowieka zdolnego popełniać w stanie całkowicie przytomnym największe szaleństwa. W klubie wstydzono się także i dziwiono się, że przeoczono jedyne możliwe wytłumaczenie tych dziwactw. Znalazło się rzecz prosta kilku sceptyków, byli jednak tak nieliczni, że musieli złożyć broń.

Nicolas przeleżał dwa miesiące. Sprowadzono z Moskwy na konsylium sławnego lekarza. Całe miasto składało wizyty Barbarze Pietrownie. Przebaczyła. Gdy na wiosnę Nicolas wyzdrowiał i bez żadnej opozycji zgodził się na prośbę matki wyjechać do Włoch, Barbara Pietrowna poprosiła go również, aby złożył wizyty pożegnalne i aby zechciał tu i ówdzie, gdzie należy, w miarę możliwości wytłumaczyć się. Nicolas przystał na to najchętniej. Wiedzano w klubie, że był u Gaganowa, z największą dystynkcją i taktem złożył wyjaśnienia, które tamtego całkowicie zadowolili. W czasie składania wizyt Nicolas był poważny i nawet trochę zasepiony. Wszędzie przyjmowano go uprzejmie, jak gdyby z pewnym zawstydzeniem i uczuciem ulgi, że już wyjeżdża do Włoch. Iwan Osipowicz rozrzewnił się nawet, a jednak nie odważył się go uścisnąć przy ostatnim pożegnaniu. Nie brakło i takich, którzy byli do końca przeświadczeni, że Stawrogin bezpiecznie zakpił sobie ze wszystkich - a choroba to już inna sprawa. Wstąpił i do Liputina.

- Niech mi pan powie, w jaki sposób mógł pan przewidzieć, co powiem o pana rozumie, a nawet nauczyć Agafię odpowiedzi ?

- A w taki sposób - zaśmiał się Liputin - że ja pana traktuję jak rozumnego człowieka, mogłem więc wiedzieć zawczasu, co pan powie.

56

- A jednak to dziwny zbieg okoliczności. Ale zaraz, zaraz! Więc pan, posyłając Agafię, traktował mnie jak rozumnego człowieka, nie jak wariata?

- Jak najmądrzejszego i najbardziej rozsądnego i tylko udąłem, że wierzę w pańską niepoczytalność... Ale przetęż i pan natychmiast zrozumiał moje myśli i wysłał mi przez Agafię patent na przenikliwość.

- Nie, tu się pan myli, ja istotnie... byłem niezdrów - odezwał się Stawrogin, zachmurzony. - Ba! - zawołał - czy pan myśli rzeczywiście, że w stanie normalnym mogę rzucać się na ludzi? Ależ po co?

Liputin skulił się jakoś i nie mógł znaleźć odpowiedzi. Stawrogin zbladł, a może tylko tak wydało się Liputinowi.

- W każdym razie dziwny ma pan sposób myślenia - ciągnął dalej Stawrogin - i rozumiem, oczywiście, że Agafię przysłał pan do mnie, aby mi nawymyślać.

- Czyż miałem pana wyzwać na pojedynek?

- Ach tak, mówiono mi, że pan nie uznaje pojedynków...

- A po co mamy przenosić z francuskiego gruntu - skrzywił się Liputin.

- Trzyma się pan ojczystego obyczaju? Liputin najeżył się jeszcze więcej.

- Ha, co widzę? - zawołał Stawrogin zauważwszy na stole, na widocznym miejscu, tom Consideranta." - Może jest pan furierzystą? To do pana podobne! Ale czyż to nie jest także przeniesienie z francuskiego...?

Zaśmiał się pukając palcem w książkę.

- Nic, to nic z francuskiego - z pewną złością zerwał się Liputin. - To tłumaczenie z ogólnoludzkiego, a nie tylko z francuskiego! Z języka ogólnoludzkiej republiki społecznej i harmonii! Tak! Wcale nie z francuskiego!

- Tam do diabła, toć takiego języka wcale nie ma - głośno śmiał się dalej Stawrogin.

Niekiedy jakiś drobiazg szczególnie przykuwa naszą uwagę na dłuższy czas. Główne rzeczy o Stawroginie przyjdą później; tymczasem jednak, jako ciekawy szczegół, podkreślam, że przez cały czas, który Stawrogin spędził między nami, najjaskrawiej zarysowała mu się w pamięci niepozorna, a nawet nędzna figurka gubernialnego urzędnicy, zazdrośnika i despoty, skąpca i lichwiarza, który skrzętnie

57

trzymał pod kluczem resztki obiadu i ogarki, jednocześnie zaś był żarliwym zwolennikiem przyszłej, Bóg wie jakiej, „harmonii społecznej”, upajał się po nocach fantastycznymi wizjami przyszłych falansterów, w których ziszczenie w Rosji i w naszej guberni wierzył jak we własne istnienie. I to właśnie tutaj, gdzie sam zdołał z uciulanych pieniędzy zbudować sobie domek, gdzie ożenił się po raz drugi i wziął posag, gdzie prawdopodobnie w promieniu stu wiorst nie było ani jednego człowieka, nie wyłączając i jego, który by w czymkolwiek przypominał z wyglądu obywatela „światowej, ogólnoludzkiej republiki społecznej i harmonii”.

„Bóg jeden wie, skąd się ci ludzie biorą?” - myślał nieraz potem Stawrogin przypominając sobie nieoczekiwanego furierzystę.

IV

Nasz książę Harry podróżował przez trzy lata, więc w mieście naszym prawie o nim zapomniano. Wiedzieliśmy tylko od Stiepana Trofimowicza, że zjeździł całą Europę, był nawet w Egipcie i dotarł do Jerozolimy. Przyplątał się potem do jakiejś ekspedycji naukowej jadącej na Islandię i rzeczywiście wyspę tę zwiedził. Podobno spędził jedną zimę jako słuchacz na którymś z uniwersytetów niemieckich. Rzadko pisywał do matki - dwa razy do roku lub jeszcze rzadziej. Barbara Pietrowna nie gniewała się o to i nie czuła się urażona. Poddała się pokornie i bez skargi takim stosunkom, jakie między nią a synem ustaliły się raz na zawsze, tęskniła jedynie za swoim Nicolas i ciągle marzyła o nim. Nie zdradzała się przed nikim z tych tęsknot i marzeń. Oddaliła się nawet, sądząc z pozorów, od Stiepana Trofimowicza. Roiała jakieś ukryte plany, skąpstwo jej

wzrosło i coraz częściej gniewały ją karciane niepowodzenia przyjaciela.

Nareszcie w kwietniu roku bieżącego otrzymała list z Paryża od generałowej Praskowii Iwanowny Drozdów, przyjaciółki z lat dziecińczych. W liście tym pani Drozdów - z którą Barbara Pietrowna już od lat ośmiu nie spotykała się i nie korespondowała - zawiadamiła, że Mikołaj Wsiewołodo-

58

wież jest u nich stałym gościem, zaprzyjaźnił się z Lizą (jedyną córką generałowej) i zamierza towarzyszyć im latem do Szwajcarii, do Vernex-Montreux, choć przyjmowany bywa jak syn rodzony w domu hrabiego K. (bardzo wpływowej osobistości petersburskiej bawiącej obecnie w Paryżu), gdzie właściwie mieszka. List był krótki i zdradzał wyraźnie swój cel, chociaż nie zawierał żadnych wniosków. Barbara Pietrowna nie namyślała się zbyt długo, zdecydowała się momentalnie i w połowie kwietnia wyruszyła do Paryża, potem do Szwajcarii, wziawszy ze sobą wychowanicę Daszę, siostrę Szalowa. Powróciła w lipcu sama, pozostawiając Daszę u Praskowii Iwanowny. Praskowia Iwanowna zaś z córką, zgodnie z jej relacją, miały zawiązać do nas w połowie sierpnia.

Drozdowowie byli to także ziemianie z naszej guberni, lecz obowiązki służbowe generała Iwana Iwanowicza (dawnego przyjaciela Barbary Pietrowny i kolegi jej męża) wciąż nie pozwalały im bywać w znajdującej się tu ich wspaniałej posiadłości. Po śmierci generała, która nastąpiła w zeszłym roku, niepokieszona Praskowia Iwanowna wyruszyła z córką za granicę, mając między innymi na celu przeprowadzenie w drugiej połowie lata kuracji winogronowej w Vernex—Montreux. Po powrocie do kraju zamierzała osiedlić się na stałe w naszej guberni. Miała w mieście duży dom, który od lat stał -pustką, z zabitymi oknami. Drozdowowie byli to ludzie bogaci. Praskowia Iwanowna, z pierwszego męża Tuszyn, była tak samo jak jej koleżanka z pensji Barbara Pietrowna córką bogatego propinatora i także wniosła mężowi znaczny posag. Dymisjonowany sztabsrotmistrz Tuszyn był człowiekiem zdolnym i także zamożnym. Umierając zapisał w testamencie jedynaczkę Lizie, wówczas siedmioletniej dziewczynce, spory kapitał. Teraz, gdy Lizawiecia Nikołajew-na miała już około dwudziestu dwóch lat, można było być pewnym, że posiada ze dwieście tysięcy rubli własnej gotowizny, nie mówiąc już o tym, co przypadnie jej po najdłuższym życiu matki, bezdzietnej z drugiego małżeństwa. Barbara Pietrowna była widocznie bardzo zadowolona ze swej podróży. Uważała, że porozumiała się dostatecznie z Praskowia Iwanowna i zaraz po przyjeździe opowiedziała wszystko Stiepa-nowi Trofimowiczowi; była w rozmowie z nim bardzo szczerą, co się już dawno nie zdarzało.

59

- Hura! - zawołał Stiepan Trofimowicz i strzelił z palców.

Był zupełnie zachwycony, tym bardziej że cały okres rozłąki z przyjaciółką spędził w głębokim smutku. Prawie nie pożegnała się z nim przed wyjazdem i nie zwierzyła mu się ze swoich planów, jak gdyby w obawie, aby „ta baba” czegoś nie wypaplała. Gniewała się wtedy za znaczną przegraną, o której dowiedziała się przypadkowo. Lecz już w Szwajcarii poczuła, że trzeba będzie po powrocie czymś wynagrodzić opuszczonego przyjaciela, z którym w ogóle od pewnego czasu obchodziła się surowo. Niespodziewana i tajemnicza rozłąka zraniła tkliwe serce Stiepana Trofimowicza; tu zaś nawinęły się inne jeszcze kłopoty. Męczył go z dawna poważny dług, którego nie zdołałby spłacić bez pomocy Barbary Pietrowny. Poza tym w maju odwołano wreszcie naszego dobrego i miękkiego Iwana Osipowicza; połączone to było nawet z pewnymi przykrościami. Pod nieobecność Barbary Pietrowny zjechał i objął urządowanie nowy gubernator Andrzej Antonowicz von Lembke;⁶ w związku z tym zmienił się stosunek miejscowego społeczeństwa do Barbary Pietrowny, a co za tym idzie i do Stiepana Trofimowicza. Wierchowieński zdążył już nawet zgromadzić parę niemiłych a cennych spostrzeżeń i bez Barbary Pietrowny czuł się niepewny. Podejrzewał, że zakomunikowano o nim gubernatorowi jako o człowieku niebezpiecznym.

Dowiedział się zupełnie ściśle, że niektóre panie postanowiły nie bywać u Barbary Pietrowny. O nowej gubernatorowej, oczekiwanej na jesieni, mówiono, że jest wprawdzie dumna, lecz za to prawdziwa arystokratka (nie jakaś tam Barbara Pietrowna). Wszystkim już było wiadomo z nieznanego źródła, że nowa gubernatorowa i pani Stawrogin już przedtem gdzieś się spotkały i rozstały się nieprzyjaźnie i że Barbara Pietrowna chorobliwie nie znosi samego wspomnienia pani von Lembke. Pewny siebie i zwycięski wygląd Barbary Pietrowny, wzdurliwa obojętność, z jaką wysłuchiwała relacji o nastrojach i o poruszeniu wśród naszych pań, pokrzepiły upadającego na duchu Stiepana Trofimowicza i rozweseliły go w okamgnieniu. Z przymilnie radosnym humorem zaczął jej opowiadać o uroczystościach przy wjeździe gubernatora.

- Excellente omie, na pewno pani wiadomo - mówił, figlarnie przeciągając słowa - co znaczy dygnitarz rosyjski

60

w ogóle, zwłaszcza zaś nowo kreowany, świeżo upieczony dygnitarz... Ces interminables mots russes.* Wątpię jednak, aby danym było pani przekonać się naocznie, co to jest upojenie administracyjne...

- Upojenie administracyjne? Co to znaczy?

- Jest to... Vous savez, chez nous... En un mot, gdy się postawi najnędną lichotę przy sprzedaży głupich biletów kolejowych, lichota ta nie omieszka patrzeć z miną Jowisza na wszystkich, którzy kupują bilety. Pour vous montrer son pouvoir. „Ja wam tu pokażę moją władzę...” I dochodzi do jakiegoś administracyjnego upojenia... En un mot, przeczytałem gdzieś, że jakiś diaczek w jednej z naszych zagranicznych cerkwi - mais cest tres curieux - wypędził, ale to dosłownie wypędził z cerkwi pewną poważną rodzinę angielską, l es dames charmantes, przed samym początkiem wielkotygodniowego nabożeństwa - vous savez ces chants et le lime de Job1 - jedynie pod tym pozorem, że „to nieporządek, gdy cudzoziemcy włóczą się po cerkwiach i w dodatku w nieodpowiednich godzinach...” Doprowadził je do omdlenia... Ten diaczek był w transie upojenia administracyjnego et U a montre son pouvoir...**

- Proszę się streszczać, jeżeli to możliwe.

- Pan von Lembke objeżdża obecnie gubernię. En un mot, ten Andrzej Antonowicz, chociaż jest rosyjskim Niemcem prawosławnego wyznania, a nawet, gotów jestem przyznać, bardzo pięknym czterdziestoletnim mężczyzną...

- Z czego pan wnioskuje, że to piękny mężczyzna? Oczy ma baranie.

- Jak najbardziej baranie. Ja tylko ustąpiłem na rzecz opinii miejscowych pań.

- Dosyć już, Stiepanie Trofimowiczu, proszę pana! A propos, czy od dawna nosi pan czerwone krawaty?

- Nie, nie... to tylko dziś...

- A chodzi pan na spacer? Robi pan co dzień sześć wiorst, jak to panu kazał doktor?

- Nie... nie zawsze...

- Najlepsza przwiaciolko () Te nie kończące się słowa rosyjskie
- Pani wie, u nas Słowem (Aby okazać swoją władzę (.) to bardzo ciekawe } czarujące damy (wie pani, te pieśni i księga Hioba (.) i pokazał swoją władzę.

61

- Wiedziałaś z góry! Przeczuwałam to jeszcze w Szwajcarii - wołała nerwowo. - Teraz będzie pan robił nie po sześć, a po dziesięć wiorst! Opuścił się pan niemożliwie, nie-moż-liwie! Pan się postarzał, nie - zgrzybiał... przeraziłam się pana, gdy go onegdaj zobaczyłam, pomimo tego

czerwonego krawata... quelle idee rouge*. Proszę mówić dalej o Lembkem, jeżeli ma pan coś do powiedzenia, i proszę wreszcie kończyć, bardzo proszę! Zmęczył mnie pan...

- En un mot, chciałem przecie tylko powiedzieć, że to jeden z tych początkujących czterdziestoletnich dygnitarzy, którzy do czterdziestego roku życia toną gdzieś w zapoznaniu, a potem znienacka robią karierę, czy to w drodze nagłego ożenku, czy w inny nie mniej rozpaczliwy sposób... On teraz wyjechał... to jest, chciałem dodać, że naszeptano mu o mnie od razu, jakobym deprawował młodzież i krzewił w guberni ateizm... Natychmiast zaczął zbierać informacje...

- Czy to aby prawda?

- Ależ tak! Musiałem nawet zachować pewne ostrożności. A gdy powiedziano mi, że pani „rządzi gubernią”, vous savez,** pozwolił sobie oświadczyć, że „to się więcej nie powtórzy”.

- Tak powiedział?

- „To się więcej nie powtórzy.” Avec cette morgue...*** Małżonkę jego, Julię Michajłownę, ujrzymy tu w końcu sierpnia, wprost z Petersburga.

- Z zagranicy. Spotykałyśmy się tam.

- Vraiment?****

- W Paryżu i w Szwajcarii. Jest spokrewniona z panią Drozdów.

- Spokrewniona? Co za zbieg okoliczności! Mówią, że jest ambitna... i że ma olbrzymie stosunki.

- Głupstwo, stosunek!... Do czterdziestego piątego roku życia przesiedziała bez grosza w staropanieństwie, a teraz wyskoczyła za tego von Lembke i cały cel jej życia - to wyrobić mu pozycję. Oboje intryganci.

- Mówią, że starsza jest od niego o dwa lata.

- co to za pomysł czerwony

-* wie pani

*** z tą pogardliwą wyniosłością „*** Doprawdy?

62

- O pięć. Matka jej w Moskwie obijała moje progi. Wpra-szała się do mnie na bale jeszcze za życia Wsiewołoda Niko-łajewicza. Jak o łaskę prosiła. A ta pannica często do białego rana siedziała w kącie nie tańcząc, że swoją turkusową muchą nad czołem, toteż nieraz o trzeciej nad ranem posyłałam do niej z litości pierwszego kawalera. Już miała dwadzieścia pięć lat, a wciąż ją wożono w krótkiej sukience jak dziewczynkę. Przyjmowanie ich zaczęło uchodzić za nieprzyzwoitość.

- Tę muchę widzę jak żywą.

- Mówię panu, przyjechałam i od razu wpadłam na intrygę. Czytał pan przecie przed chwilą list Praskowii Iwanowny? Cóż mogło być bardziej wyraźnego? A cóż zastaję? Ta idiotka Drozdowa - zawsze była idiotką - patrzy na mnie ze zdziwieniem. Pyta niby, po co przyjechałam. Niech pan sobie wyobrazi, jak byłam zdziwiona. Patrzą, a tu się kręci ta Lemb-ke, a za nią kuzyn, siostrzeniec nieboszczyka Drozdowa. Rozumie pan? Rzecz prosta, momentalnie wszystko naprawiłam i Praskowia Iwanowna znów jest po mojej stronie - ale co za intryga, co za intryga!

- Którą jednak pani przewyciężyła. O, z pani prawdziwy Bismarck !8

- Nie będąc Bismarckiem, potrafię przecie rozemnać się na fałszu i głupocie. Ta Lembke to fałsz. Praskowia Iwanowna to głupota. Rzadko widywałam tak ospałe babsko, na domiar nogi jej puchną i jeszcze do tego jest pocziwa. Cóż może być głupszego niż pocziwy dureń?

- Dureń niepocziwy, ma bonne amie, dureń niepocziwy jest jeszcze głupszy od pocziwego - szlachetnie oponował Stiepan Trofimowicz.

- Może to i racja. Pamięta pan Lizę?
- Charmante enfant!*
- Teraz to już nie enfant, lecz kobieta, i to z charakterem. Szlachetna i gorąca, a cenię w niej, że matce nie ustępuje, tej naiwnej idiotce. Z powodu tego kuzyna o mało nie było skandalu...
- Ach tak? Bo i w rzeczy samej on dla Lizy żaden krewniak... A czy ma jakie zamiary?

- Widzi pan, jest to młody oficer, strasznie małomówny,

- czarujące dziecko!

63

nawet skromny. Zawsze staram się być sprawiedliwa. Mam wrażenie, że sam jest przeciwny całej tej intrydze i nic nie chce, a kręciła tylko ta Lembke. Względem Nicolas był pełen szacunku. Rozumie pan, wszystko teraz zależy od Lizy. Zostawiłam ją w najlepszych stosunkach z Nicolas, który obiecał mi, że na pewno przyjedzie tu w listopadzie. To znaczy, że intryguje tylko ta Lembke, a Praskowia Iwa-nowna nic nie widzi. Mówi raz do mnie, że wszystkie moje podejrzenia są czczą fantazją; oświadczyła jej w oczy, że jest głupia. Mogę to powtórzyć na Sądzie Ostatecznym. I gdyby nie prośby Nicolas, abym to na pewien czas zostawiła w spokoju, nie wyjeżdżałabym stamtąd, dopóki nie zdemaskowałabym intrygantki. Starła się za pośrednictwem Nicolas o względy hrabiego K., chciała poróżnić matkę z synem. Lecz Liza jest po naszej stronie, a z Praskowia Iwanowną dogadałam się. Wie pan, że Karmazinow⁹ to jej krewny?

- Co, krewny madame von Lembke?
- Tak, tak. Daleki.
- Karmazinow ? Nowelista ?
- Tak, tak, pisarz, czego się pan dziwi? Naturalnie ma siebie za wielkiego człowieka. Nadęta figura. Liza przyjedzie z nim razem, a teraz tam się z nim cacka. Zamierza coś tu u nas wprowadzić, jakieś literackie zebrania. Karmazinow przyjedzie na miesiąc, chce tu sprzedać ostatni majątek. O mały włos, a byłabym go spotkała w Szwajcarii, lecz bardzo tego nie chciałam. Spodziewam się zresztą, że zrobi mi ten zaszczyt i przypomni moją osobę. Za dawnych lat pisywał do mnie, bywał u nas. Stiepanie Trofimowiczu, chciałabym, aby pan się przyzwoiciej ubierał... Z każdym dniem staje się pan jakiś bardziej niechlujny... O, jak mnie pan męczy! Co pan teraz czyta?
- Ja... ja...
- Rozumiem. Jak dawniej - przyjaciele, jak dawniej - pijatyki, klub, karty i... opinia ateisty. Nie podoba mi się ta opinia. Nie chcę, aby nazywano pana ateistą. Zwłaszcza teraz nie chcę. Nie chciałam i dawniej, bo to wszystko przecież tylko czcza gadanina. Trzeba to raz powiedzieć.

- Mais, ma chere,..*

- Ależ, mo)a droga

64

- Stiepanie Trofimowiczu, co do wiedzy jestem naturalnie wobec pana nieukiem, lecz w drodze dużo myślałam o panu. I doszłam do jednego wniosku.
- Do jakiego?
- A do takiego, że pan i ja nie jesteśmy najmądrzejsi na świecie, że są mądrzejsi od nas.
- To trafne i dowcipne. Są mądrzejsi, czyli że są nie-omylniejsi, czyli że my możemy się mylić. Prawda? Mais, ma bonne amie, mogę, dajmy na to, błądzić, lecz któż mi odmówi ogólnoludzkiego, naczelnego prawa do wolności sumienia? Toć mam prawo nie być ani dewotem, ani sekcia-rzem, jeżeli tak chcę, a przecież rozmaite typy będą mnie za to nienawidziły do końca życia. Et puis

comme on trouve toujours plus de moines que de raison,*1” i ponieważ ja całkowicie to podzielałam...

- Jak, jak pan to powiedział?

- Powiedziałem: on trouve toujours plus de moines que de raison, i ponieważ...

- To pewnie nie pana aforyzm. Skąd pan to wziął?

- To słowa Pascala.

- Wiedziałam od razu... że to nie pana! Dlaczego pan sam nigdy nie powie czegoś tak krótkiego a trafnego, a zawsze ciągnie pan w nieskończoność? To daleko lepsze niż pańskie onegdajsze „upojenie administracyjne”.

- Ma foi, chere...** Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że jednak nie jestem Pascalem, et puis...*** my, Rosjanie, nie umiemy nic powiedzieć we własnym języku... Dotychczas przynajmniej nie powiedzieliśmy...

- Hm! może to niezupełnie tak. Ale przynajmniej mógłby pan zapisywać takie bons mots,**** zapamiętywać je, tak, na wypadek rozmowy... Ach, Stiepanie Trofimowiczu, jadąc tu myślałam, aby z panem poważnie, naprawdę poważnie, porozmawiać.

- Chere, chere amie!

- Teraz, gdy ci wszyscy Lembkowie, ten Karmazinow... Boże, jak pan się opuścił! Jak mnie pan dręczy!... Tak bym

- A zresztą, ponieważ zawsze trafia się więcej mnichów niż rozumu

-* Ależ, droga

*** a następnie

**** powiedzonka

65

chciała, aby ci wszyscy ludzie poczuli szacunek dla pana, gdyż nie są oni warci jednego palca pańskiego, a pan? Jak się pan zachowuje? Co oni zobaczą? Co ja im pokażę? Zamiast tego, aby stać jak żywe świadectwo, jako przekazany nam wzór, otacza się pan jakimś tałatajstwem, nabrał pan niemożliwych przyzwyczajęń, zgrzybiał pan, nie może się pan obejść bez wina i kart, czytuje pan tylko Paul de Kocka i nic nie pisze. Oni tam wszyscy piszą, a panu cały czas schodzi na paplaninie. Czyż można, czyż to jest dopuszczalne, przyjaźnić się z takim draństwem jak pański nieodłączny Liputin ?

- Dlaczego on ma być „mój” i „nieodłączny”? - nieśmiało protestował Stiepan Trofimowicz.

- Gdzie on jest teraz? - surowo i twardo ciągnęła Barbara Pietrowna.

- On... On żywi bezgraniczny szacunek dla pani. Wyjechał do S-ka, ma tam spadek po matce.

- Zdaje się, że nic innego nie robi, tylko wciąż dostaje pieniądze. A Szatow? Jak zawsze?

- Irascible, mais bon*

- Nie znoszę pańskiego Szatowa. Jest zły i zarozumiały!

- Jak zdrowie Darii Pawłowny?

- Pan pyta o Daszę? A co panu przyszło do głowy? - ciekawie spojrzała na niego Barbara Pietrowna. - Zdrowa, zdrowa. Zostawiłam ją u Praskowii Iwanowny. A tam, w Szwajcarii, słyszałam niezbyt dobre rzeczy o pańskim synu.

- Oh, cest une histoire hien betę! Je vous attendats, ma bonne amie, pour vous raconter...**

- Dostyc o tym, Stiepanie Trofimowiczu, niechże mi pan pozwoli odpocząć. Jestem zmęczona.

Zdążymy się nagadać, zwłaszcza o rzeczach niewesołych. Pan zaczyna pryskać śliną, gdy się pan śmieje... To już po prostu zgrzybiałość! I w ogóle, jak pan teraz dziwnie się śmieje... Boże, Boże! Tyle nagromadziło się w panu złych przyzwyczajzeń! Kar-mazinow nie będzie pana odwiedzał! A tu i bez tego wszyscy się cieszą... Pokazał pan wreszcie, kim pan jest... No, dosyć

- Gwałtowny, ale pocziwy.

O, to doprawdy głupia historia! Czekałem na panią, moja przyjaciółko, żeby pani opowiedzieć...

66

już, dosyć, zmęczyłam się! Mógłby pan wreszcie zlitować się nad człowiekiem!

Stiepan Trofimowicz „zlitował się nad człowiekiem” i wyszedł skonsternowany.

V

Istotnie, zwłaszcza w ostatnich czasach, Stiepan Trofimowicz nabrał sporo złych przyzwyczajzeń. Opuszczał się z dnia na dzień i prawdą jest, że stał się nawet niechlujny. Pił coraz więcej, łatwo płakał i nie panował nad nerwami. Stał się zbyt wrażliwy na piękno. Twarz jego nabrała dziwnej łatwości zmieniania wyrazu, grzechodząc na przykład do uroczego bezpośrednio do śmiesznego, a nawet głupiego. Nie znosił samotności i czekał stale, aby ktoś przyszedł go rozerwać. Trzeba było koniecznie opowiadać mu jakieś plotki miejskie, nowe anegdoty, i co dzień coś innego. A gdy nikt z nas przez dłuższy czas nie przychodził, wtedy Stiepan Trofimowicz zaczynał sennie błądzić po pokojach, podchodził do okna, ruszał w zadumie szczękami, wzdychał, prawie jęczał. Stale męczyły go jakieś przeczucia, bał się czegoś niespodziewanego, lecz nieuniknionego; stał się tchórzliwy; coraz więcej wagi przywiązywał do snów.

Cały ten dzień i cały wieczór spędził nad wyraz smutno, posłał po mnie, był zdenerwowany, długo mówił, opowiadał, ale jakoś bez związku. Barbara Pietrowna wiedziała od dawna, że Stiepan Trofimowicz nie ma przede mną tajemnic. Wydało mi się wreszcie, że dręczy go jakaś myśl, której sam nie może sobie uświadomić. Przedtem, gdyśmy się zeszli sam na sam, i zaczynał, biedaczek, skarżyć się przede mną, zwykle po pewnym czasie prawie zawsze zjawiała się na stole jakaś butelczyna i robiło się znacznie weselej. Tym razem wina nie było i zauważyłem, że Wierchowieński tłumi w sobie chęć posłania po nie.

- I czego ona wciąż się gniewa! - skarżył się bez przerwy jak dziecko. - Tous les hommes de genie et de progres en Russie etaient, sont et seront toujours des karciarze i des pijacy, qui bowent* do utraty przytomności, a ja przecież nie jestem

- Wszyscy ludzie genialni i postępowi w Rosji byli, są i będą zawsze (...) którzy piłą
5* 67

jeszcze takim karciarzem ani pijanicą... Zarzuca mi, że nic nie piszę! Dziwne oskarżenie!... Dlaczego ja leżę? Mówi mi, że powinienem stać jako wzór i-jako wyrzut sumienia. Mais entre nous soit dit* taki człowiek, który ma grać rolę niemego wyrzutu sumienia, nie ma nic lepszego do roboty jak wylegiwać się. Czy ona to rozumie?

I zrozumiałem wreszcie, na czym polega ów główny, osobliwy smutek, który go obecnie tak natrętnie osaczał. W ciągu tego wieczoru wiele razy podchodził do lustra i zatrzymywał się przed nim dłuższą chwilę. Wreszcie odwrócił się od lustra do mnie i rzekł z dziwnym smutkiem:

- Mon cher, je suis un** człowiek, który się opuścił...

Istotnie, aż do tej chwili, aż do tego dnia, miał niezbitą pewność, że pomimo „nowych poglądów” i „zmiany idei” w umyśle Barbary Pietrowny jest wciąż czarujący dla jej kobiecego serca i to nie tylko jako wygnaniec i jako sławny uczony, lecz jako piękny mężczyzna. W ciągu lat dwudziestu

utrwaliło się w nim to schlebiające mu i uspokajające przekonanie i może z tym właśnie przeświadczeniem najtrudniej mu się było rozstać. Czy mógł przeczuwać wtedy ten biedak, jaka niesłychana próba oczekuje go w najbliższej przyszłości ?

VI

Rozpocznę wreszcie opis tego. zdarzenia, w znacznej mierze już zapomnianego, od którego zaczyna się właściwie moja opowieść. W końcu sierpnia powróciły nareszcie Drozdowe. Ich zjawienie się przypadło na krótko przed przyjazdem oczekiwanej przez wszystkich ich krewnej, naszej nowej gubernatorowej, i samo przez się zrobiło wielkie wrażenie w mieście. O tych wszystkich interesujących momentach opowiem później; obecnie zaznaczę, że Praskowia Iwanowna przywiozła tak niecierpliwie czekającej na nią Barbarze Pietrownie jedną przykrą zagadkę trudną do rozwiązania: oto Nicolas rozstał się z nimi już w lipcu i spotkawszy nad Renem

Ale mówiąc między nami ** Mó] drogi, [estem
68

hrabiego K. wyruszył z nim razem i z jego rodziną do Petersburga. (Notabene hrabia K. miał trzy córki na wydaniu.)

- Od Lizawiey, która jest dumna i samowolna, nie mogłam się niczego dowiedzieć - kończyła Praskowia Iwanowna. - Widziałam jednak na własne oczy, że między nią a Mikołajem Wsiewołodowiczem coś zaszło. Nie znam powodów, ale widzi mi się, droga Barbaro Pietrowni, że trzeba by zapytać Darię Pawłownę. Myślę, że Lizie stała się krzywda. Strasznie jestem rada, że przywiozłam ci wreszcie twoją faworytkę i oddaję ci ją do rąk własnych, a pozbywam się kłopotu.

Te jadowite słowa wypowiedziane były z niezwykłą irytacją. Widać było, że skapcianały babsztyl przygotował je zawczasu i z góry delektował się ich wrażeniem. Lecz Barbara Pietrowni nie należała do ludzi, którzy dadzą się zdetonować sentymentalnymi efektami i dwuznacznikami. Zażądała stanowczo ścisłych i zadowalających wyjaśnień. Praskowia Iwanowna natychmiast zniżyła ton, a w końcu rozplakała się i przeszła do najbardziej przyjacielskich serdeczności. Ta wrażliwa i sentymentalna kobieta, zupełnie jak Stiepan Trofimowicz, potrzebowała stale szczerzej przyjaźni i główna jej skarga na córkę Lizę polegała na tym właśnie, że „córka nie jest dla niej przyjacielem”.

Ze wszystkich wyjaśnień i wylewności widoczne było tylko to, że istotnie między Lizą a Nicolasem zaszło jakieś nieporozumienie, lecz jakie, o tym Praskowia Iwanowna nie mogła wyrobić sobie określonego poglądu. Oskarżenie skierowane przeciwko Daszy nie tylko całkowicie cofnęła pod koniec rozmowy, lecz nawet prosiła, aby nie przywiązywać żadnej wagi do jej uprzednich słów, gdyż wypowiedziała je „pod wpływem nerwów”. Na ogół wszystko wyglądało niejasno, nawet podejrzenie. Nieporozumienie, sądząc z jej słów, rozpoczęło się z powodu „samowolnego i szyderczego” usposobienia Lizy; „hardy zaś Mikołaj Wsiewołodowicz, chociaż bardzo był zakochany, nie mógł jednak znieść drwin i sam pozwolił sobie na szyderstwa”.

- Wkrótce potem poznaliśmy pewnego młodzieńca, zdaje się, że synowca tego twojego „profesora”, nawet o tym samym nazwisku. - Syn, a nie synowiec - sprostowała Barbara Pietrowni.

69

Praskowia Iwanowna nigdy nie mogła zapamiętać nazwiska Wierchowieńskiego i zawsze nazywała go „profesorem”.

- Niech będzie syn, tym lepiej, co mi do tego! Najzwyczajniejszy młodzieniec, bardzo żywy i bezceremonialny, lecz nic osobliwego. Tu już Liza sama zachowała się niewłaściwie, gdyż zbliżyła do siebie tego młodzieńca, aby wzbudzić zazdrość w Mikołaju Wsiewołodowiczu. Nie mam jej

tego za złe: zwykły, nawet miły fortel paniński. Ale Mikołaj Wsiewołodowicz nie był zazdrosny i sam zaprzyjaźnił się z tamtym; niby nic nie widzi, niby wszystko mu jedno. To już zabolęło Lizę. Młodzieniec wkrótce wyjechał (dokądś tam śpieszył), a Liza zaczęła dogryzać Mikołajowi Wsiewołodowiczowi przy każdej sposobności. Zauważyła, że ten czasem rozmawia z Daszą i zaczęła wariować tak, że już i mnie się nieraz dostawało. A lekarze zabronili mi się irtować. To zachwalane ich jezioro tak mi już obrzydło, żeby tylko rozboleły od niego, reumatyzm zaczął szarpać. Nawet gdzieś czytałam, że nad Jeziorem Genewskim zęby bolą; taka właściwość.¹¹ A tu tymczasem Mikołaj Wsiewołodowicz raptem otrzymał list od hrabiny. Zakrzętnął się i w ciągu doby wyjechał. Pożegnali się po przyjacielsku, lecz Liza, odprowadzając go, była zbyt wesoła i niefrasobliwa. Śmiała się bez przerwy. Sztuczne to było. Pojechał - i zaraz zrobiła się zamyślona. Przestała mówić o nim i mnie zabroniła. I tobie bym radziła, droga Barbaro Pietrowno, nie mówić o tych rzeczach z Lizą. Zaszkodzisz tylko. A jak będziesz milczeć - sama zacznie. Wtedy dowiesz się więcej. Sądzę, że zjedą się znowu, o ile Mikołaj Wsiewołodowicz nie będzie zwlekał z przyjazdem, jak to obiecał.

- Napiszę zaraz do niego. Jeżeli to tylko drobne nieporozumienie, to nie warto o tym mówić. A Daszę dobrze znam. Głupstwo!

- Co do Daszy, to przyznam ci się, że zgrzeszyłam. Były to tylko zwykłe rozmowy, głośno, przy wszystkich. Ale tak mnie ta cała historia wtedy zbulwersowała. A i Liza, widzę to dobrze, znów z Daszą po dawnemu serdecznie.

Barbara Pietrowna tegoż dnia napisała do syna, zaklinając go, aby przyjechał przynajmniej o miesiąc wcześniej, niż zapowiedział. W każdym razie było w tym coś niejasnego i tajemniczego. Myślała cały wieczór i całą noc. Opinia

70

Praskowii Iwanowny wydawała się jej zbyt naiwną i sentymentalną.

„Praskowia była sentymentalna przez całe życie, jeszcze na pensji! - myślała. - Nicolas nie taki człowiek, by uciec od drwin panińskich. Tu jest inny powód, jeżeli istotnie odeszli od siebie. Po co one przywiozły ze sobą tego oficera? Zamieszkał u nich jak swój. Co do Darii, Praskowia jakoś zbyt szybko się cofnęła; widocznie zostawiła coś dla siebie, czego nie chce mówić...”

Nad ranem w głowie Barbary Pietrowny dojrzał projekt; postanowiła załatwić od razu jedną przynajmniej wątpliwość - projekt nieoczekiwany a nadzwyczajny. Trudno zgadnąć, co miała na sercu, gdy ten projekt narastał w jej umyśle; nie podjąłbym się wyjaśnić wszystkich sprzeczności, które się nań złożyły. Jako kronikarz, poprzestanę na tym, że wyłożę zdarzenia z obiektywną dokładnością, właściwie tak, jak się one toczyły, i nie moja już wina, jeżeli to lub owo wyda się nieprawdopodobne. Muszę jednak stwierdzić raz jeszcze, że Barbara Pietrowna nad ranem nie miała już żadnych podejrzeń co do Daszy, nigdy zresztą, prawdę mówiąc, ich nie żywiła, zbyt była pewna Daszy. Nie mogła skądinąd dopuścić, aby jej Nicolas mógł się zadurzyć w jej... Darii. Rano, gdy Daria Pawłowna jak zwykle, siedząc przy stoliku, nalewała herbatę, Barbara Pietrowna długo i badawczo przypatrywała się jej i wreszcie może po raz dwudziesty od wczorajszego wieczora z przekonaniem powiedziała sobie: „Wszystko to głupstwo!”

Zauważyła jedynie, że Dasza ma wygląd jakiś zmęczony, że jest bardziej cicha i apatyczna niż zwykle. Po herbacie, przyjętym od dawna zwyczajem, zasiadły obydwie do robótek. Barbara Pietrowna kazała złożyć sobie ściśle sprawozdanie z wrażeń zagranicznych, zwłaszcza o przyrodzie, o mieszkańcach, miastach, obyczajach, o sztuce, przemyśle, słowem, o wszystkim, co Dasza zdążyła zobaczyć. Ani jednego pytania o Drozdowe i o współżycie z nimi. Dasza, która siedziała obok niej przy stoliku i pomagała jej wyszywać, opowiadała już z pół godziny swoim równym, monotonnym, trochę słabym głosem.

- Dario - przerwała jej zniecierpliwiona Barbara Pietrowna - czy nie masz nic szczególnego, o czym chciałabyś powiedzieć?

71

- Nie, nic - powiedziała Dasza po chwilowym namyśle i jasnym wzrokiem spojrzała na Barbarę Pietrowną. „

- W duszy, w sercu, na sumieniu?

- Nie - powtórzyła Dasza cicho, lecz z nutą posępnej stanowczości.

- Wiedziałam o tym! Wiedz, Daszo, że nigdy nie zwątpię w ciebie. Siedź teraz i słuchaj. Siądź tu, naprzeciwko, na tym krześle, chcę widzieć cię całą. Tak. Słuchaj, chcesz za męża?

Dasza odpowiedziała długim, pytającym spojrzeniem, nie zanadto zresztą zdziwionym.

- Słuchaj, nic nie mów. Po pierwsze, jest różnica wieku, bardzo duża różnica; lecz wiesz najlepiej sama, że to głupstwo. Masz rozum i nie powinnaś popełniać błędów w życiu. Zresztą to jeszcze przystojny mężczyzna. Mam tu na myśli Stiepana Trofimowicza, którego zawsze szanowałaś... A więc?

Dasza spojrzała jeszcze bardziej pytająco i już nie tylko ze zdziwieniem, ale z rumieńcem na twarzy.

- Poczekajj nie mów nic; nie śpiesz się! Masz wprawdzie pieniądze z mojego testamentu, lecz, gdy umrę, co się z tobą stanie, nawet jeżeli będziesz miała pieniądze? Oszukają cię, odbiorą ci je i zginiesz. A przy jego boku - będziesz żoną sławnego człowieka. Teraz spójrz na to z innej strony: jeżeli ja umrę, to co się z nim stanie, chociaż go zabezpieczę? Tobie* zaś mogę zaufać. Poczekaj, nie skończyłam jeszcze: on jest lekkomyślny, ślamazarny, okrutny, egoista, ma nałogi; lecz ty go szanuj, przede wszystkim dlatego, że bywają jeszcze gorsi. Przecież nie za szubrawca cię wydaję, nie masz prawa posądzać mnie o coś podobnego. Poza tym szanuj go dlatego, że ja cię o to proszę, i to ci powinno wystarczyć - ciągnęła z irytacją. - Słyszysz? Co tak patrzysz ni mnie?

Dasza wciąż słuchała w milczeniu.

- Poczekaj jeszcze. On jest baba - lecz tym lepiej dla ciebie. Nieszczęśliwa baba. Właściwie kobieta wcale nie powinna go kochać. Lecz warto go kochać za jego bezbronność i kochaj go za tę bezbronność. Rozumiesz mnie przecie! Rozumiesz ?

Dasza skinęła głową.

- Wiedziałam o tym, *ego się spodziewałam po tobie,

72

właśnie tego. On będzie cię kochał, bo powinien, powinien; powinien ubóstwiać cię! - z irytacją w głosie zawołała Barbara Pietrowna. - Zresztą zakocha się w tobie bez żadnego przymusu, znam go przecie. I sama będę czuwała. Bądź spokojna, zawsze tu będę. Zacznie się skarżyć na cię, oczerniać cię szeptem przy pierwszym lepszym znajomym, będzie jęczeć ciągle jeszcze; zacznie listy do ciebie pisywać z jednego pokoju do drugiego, po dwa na dzień, ale bez ciebie żyć nie będzie umiał, a to najważniejsze. Zmusz go, aby cię słuchał. Nie potrafisz tego - będziesz głupia. Zechce się wieszac, będzie ci groził, a ty mu nie wierz: to wierutne głupstwa! Nie wierz mu, a jednak czuwaj, bo może się nawet powiesić, z takimi to się zdarza; wieszają się nie z poczucia siły, ale z poczucia słabości; nie doprowadzaj go więc nigdy do ostatecznych granic - to najważniejsza zasada w małżeństwie. Pamiętaj także, że to poeta. Słuchaj, Dario: nie ma większego szczęścia, jak dać siebie samą w ofierze. A oprócz tego sprawisz mi tym wielką przyjemność, a to najważniejsze. Nie myśl, że ja to wszystko wypaliłam bez namysłu. Wiem, co mówię. Ja jestem egoistka, bądź egoistką i ty. Nie zmuszam cię przecie. Wszystko zależy od ciebie. Jak powiesz, tak będzie. No, czegoż milczysz? Mów cokolwiek.

- Wszystko mi przecie jedno, Barbaro Pietrowno, jeżeli już trzeba koniecznie iść za mąż - twardo powiedziała Dasza.

- Koniecznie? A ty co masz na myśli? - wpatrując się badawczo zapytała surowo Barbara Pietrowna. Dasza milczała dłużej, igłą w tamborku.

- Chociaż masz rozum, powiedziałaś od rzeczy. To prawda, że chcę koniecznie teraz wydać cię za mąż, lecz to wcale nie z musu, tylko dlatego, że tak mi przyszło do głowy, i tylko za Stepana Trofimowicza; aniby mi się śniło teraz wydawać cię za kogo innego, chociaż masz już dwadzieścia lat... No i cóż ty na to?

- Jak pani chce.

- To znaczy, że się zgadzasz! Poczekaj jeszcze, nic nie mów, dokąd lecis, nie skończyłam mówić: w testamencie zapisuję ci piętnaście tysięcy rubli. Wydam ci je za życia, zaraz po ślubie. Z tej sumy oddasz mu osiem tysięcy, to znaczy nie jemu, a mnie. Dłużny jest osiem tysięcy; ja zapłacę, ale trzeba, żeby on wiedział, że to twoje pieniądze. Zostanie ci siedem tysięcy. Nigdy mu z nich nie dawaj ani grosza. Długów jego nie płac nigdy. Jeżeli raz zapłacisz - później się nie wykręcisz. Zresztą sama będę czuwała. Będziecie ode mnie otrzymywali po tysiąc dwieście rubli rocznie na utrzymanie, a razem z nadzwyczajnymi wydatkami tysiąc pięćset, nie licząc mieszkania i wikt, za które, jak i teraz, będę płaciła. Musicie mieć tylko własną sługę. Pensję roczną będę ci dawała całą z góry, tobie, do rąk własnych. Lecz nie bądź bez serca; czasem i jemu daj cokolwiek, i pozwól przyjaciółom odwiedzać go, raz na tydzień, a jeżeli częściej zaczną przychodzić, to wypędzaj. Zresztą sama będę nad tym czuwała. A gdy umrę, pensja będzie wam nadal wypłacana do samej jego śmierci, rozumiesz, tylko do jego śmierci, bo to jego pensja, a nie twoja. Tobie zaś oprócz tych siedmiu tysięcy, które przechowasz nienaruszone, o ile nie będziesz głupia, zostawię w testamencie jeszcze osiem tysięcy. Ale więcej nic ode mnie nie otrzymasz, żebyś wiedziała o tym. Cóż, zgadzasz się czy nie? Czy odezwiiesz się słowem nareszcie?

- Już powiedziałam, Barbaro Pietrowno.

- Pamiętaj, że masz zupełnie wolną wolę. Jak zechcesz, tak będzie.

- Chwileczkę, Barbaro Pietrowno. A czy Stepan Trofimowicz już z panią o tym mówił?

- Nie, o niczym nie mówił, o niczym nie wie, ale zaraz przemówi!

Zerwała się i narzuciła na siebie czarny szal. Dasza znów zarumieniła się nieco i spojrzała na nią pytającym wzrokiem. Barbara Pietrowna odwróciła się gwałtownie i wybuchnęła gniewem.

- Głupia jesteś! - wpadła na nią jak jastrząb. - Głupia niewdzięcznica! O czym ty myślisz? Czy śmiesz przypuszczać, że mogłabym cię skompromitować choć o tyle, choć na włos? Będzie skamlał przed tobą na kolanach, będzie omdlewał ze szczęścia, tak (to urzędzę! Wiesz przecie, że nie pozwolę cię skrzywdzić! Myślisz może, że on cię weźmie dla tych ośmiu tysięcy, a ja biegnę cię sprzedawać? Głupia, głupia, wszystkie jesteście głupie niewdzięcznice! Podaj mi parasolkę.

I popędziła pieszo po mokrych ceglanych trotuarach i po drewnianych mostkach wprost do Stepana Trofimowicza.

74

VII

Mówiąc, że nie pozwoliłaby skrzywdzić swojej Darii, powiedziała prawdę. Teraz nawet bardziej niż kiedykolwiek czuła się jej dobrodziejką. Najszlachetniejsze, najświętsze oburzenie zrodziło się w jej duszy, gdy narzucając szal, spotkała na sobie nieufny i zmieszany wzrok wychowawcy. Szczerze ją lubiła od dzieciństwa i Praskowia Iwanowna nie myliła się nazywając Darię Pawłownę

jej faworytką. Już dawno Barbara Pietrowna orzekła, że „Daria z charakteru niepodobna do brata” (to znaczy do Iwana Szalowa), że jest łagodna i dobra, zdolna do wielkich poświęceń, wyróżnia się niezwykłą wiernością, rzadką skromnością, rozważą, a zwłaszcza potrafi być wdzięczna. Zdawało się dotychczas, że Daria nie zawodzi zaufania... „W jej życiu nie będzie omyłek” - powiedziała Barbara Pietrowna, gdy dziewczynka miała zaledwie lat dwanaście, a że sama miała zwyczaj przywiązywać się uparcie i namiętne do każdej własnej koncepcji, do każdego własnego planu, do każdej myśli, uznanej przez siebie za trafną - natychmiast postanowiła zająć się dziewczynką i dać jej wychowanie takie, jakie dałaby własnej córce. Odłożyła od razu odpowiednią sumkę, sprowadziła guwernantkę, miss Criggs, która była u nich, dopóki dziewczynka nie skończyła szesnastu lat - po czym niezwłocznie z niewiadomej przyczyny została zwolniona. Sprowadziła nauczycieli gimnazjalnych, w tej liczbie rodowitego Francuza, który nauczył Daszę mówić po francusku. Tego również oddalono z nagłą, prawie wypędzono. Pewna uboga pani z dobrej rodziny uczyła ją grać na fortepianie. Głównym wszakże pedagogiem był Stiepan Trofimowicz. On właściwie, prawdę mówiąc, pierwszy odkrył Daszę; zaczął uczyć spokojnego dzieciaka już wtedy, gdy Barbara Pietrowna nawet nie myślała o Daszy. I znów powtarzam: to dziwne, jak się do niego przywiązywały dzieci! Lizę Tuszyn uczył od ósmego do jedenastego roku życia (oczywiście za darmo, gdyż nigdy nie pozwoliłby sobie brać pieniędzy od Drozdów). Zakochał się w tej prześlicznej dziewczynce i opowiadał jej jakieś poematy o budowie wszechświata, o ziemi, o dziejach ludzkości. Te wykłady o ludach pierwotnych i o pierwotnym człowieku stokroć były ciekawsze od bajek arabskich. Liza, która szalała za tymi opowieściami,

75

śmiesznie przedrzeźniała Stiepana Trofimowicza w domu. Dowiedział się o tym i raz nawet złapał ją na gorącym uczynku. Zawstydzona Liza rzuciła mu się w objęcia i rozbeczała się - Stiepan Trofimowicz także, z zachwyty. Liza wkrótce jednak wyjechała i została tylko Dasza. Kiedy zaczęli przychodzić wynajęci nauczyciele, Stiepan Trofimowicz przerwał lekcje i stopniowo przestał zwracać na nią uwagę. Trwało to dość długo. Pewnego razu, gdy już Dasza miała siedemnaście lat, zauważył, że jest urocza. Było to na obiedzie u Barbary Pietrowny. Zaczął z nią rozmawiać, spodobały mu się jej odpowiedzi i skończyło się na tym, iż zaproponował, że przerobi z nią poważny i obszerny kurs literatury rosyjskiej. Barbara Pietrowna zaaprobowала tę myśl, podziękowała mu nawet, a Dasza była wprost zachwycona. Stiepan Trofimowicz zaczął specjalnie przygotowywać się do tych wykładów i wreszcie je rozpoczął. Pierwszy wykład, dotyczący najdawniejszego okresu, był niesłychanie zajmujący; Barbara Pietrowna była przy tym obecna. Gdy Stiepan Trofimowicz skończył i wychodząc oświadczył uczennicy, że następny wykład poświęci Słowu o pulku Igora, Barbara Pietrowna wstała i oznajmiła, że wykładów więcej nie będzie. Stiepan Trofimowicz zmarszczył się, lecz milczał, Dasza stanęła w pąsach; na tym jednak skończyła się cała historia. Miało to miejsce ściśle na trzy lata przed obecną niespodziewaną fantazją Barbary Pietrowny. Biedny Stiepan Trofimowicz siedział samotny i nic nie przeczuwał. W smutnym zamyśleniu wyglądał wciąż przez okno, czy nie wpadnie kto ze znajomych. Nikt jednak nie szedł. Na ulicy mżył deszczyk, stawało się chłodno - warto było napalić w piecu. Westchnął. Raptem jakieś widmo stanęło mu przed oczyma. Barbara Pietrowna? Do niego? W taką pogodę i o takiej porze? I piechotą? Tak bardzo się zdumiał, że zapomniał się przebrać i przyjął ją tak, jak był: w noszonej na co dzień różowej watowanej kurtce.

- Ma bonne omie!... - zawołał cichym głosem.

- Pan sam, to dobrze; nie znoszę tych pańskich przyjaciół! Ach, jak u pana zawsze nadymione! Boże, co za powietrze! Jeszcze pan herbaty nie dopił, a już południe! Pana rozkosz - to nieład! Pana żywioł - śmiecie! Co to za kawałki papieru na podłodze? Nastasjo! Nastasjo! Co robi pańska Nastasja? Otwórz, kobieto okna, lufciki, drzwi, wszystko na

76

oścież! Chodźmy do salonu; mam do pana interes. A ty, stara, choć raz w życiu pozamiataj!

- Śmieć, proszę pani! - jęśliwym głosem skarżyła się rozdrażniona Nastasja.

- A ty zamiataj, piętnaście razy dziennie zamiataj! Obrzydliwy ma pan salon - mówiła, gdy już tam weszli, - Niech pan dobrze zamknie drzwi, bo ona zechce podsłuchiwać. Trzeba tu zmienić tapety. Przysłałam przecież tapicera z próbkami. Czemu pan nie wybrał? Niech pan siada i słucha. No, niech pan siada wreszcie! Gdzie to pan idzie? Gdzie pan idzie?

-7- Ja... zaraz - wołał z sąsiedniego pokoju Stiepan Trofimowicz. - Jestem.

- O, zmienił pan ubranie! - oglądała go ironicznie. (Narzucił na kurtkę surdut.) - Tak pan wygląda bardziej odpowiednio... do naszej rozmowy. Niech pan siada wreszcie!

Wy tłumaczyła mu wszystko od razu, energicznie i przekonywająco. Zrobiła aluzję i do ośmiu tysięcy, których śmiertelnie potrzebował; mówiła szczegółowo o posagu. Stiepan Trofimowicz wytrzeszczał oczy i drżał. Słyszał wszystko, lecz nie mógł wyraźnie zrozumieć. Chciał się odezwać, lecz głos mu uwiązał w gardle. Wiedział tylko, że stanie się tak właśnie, jak ona mówi, że wszelki sprzeciw byłby stratą czasu i że on już nieodwracalnie jest żonaty.

- Mais, ma bonne amie, po raz trzeci, w moim wieku, i... z takim dzieckiem! - wykrztusił wreszcie.
- Mais cest un enfant.*

- Dziecko, które, chwala Bogu, ma już dwadzieścia lat! Niech pan na miłość boską nie wywraca oczu, to nie teatr. Jest pan bardzo rozumny i uczony, lecz nie ma pan najmniejszego pojęcia o życiu. Pan potrzebuje stale niańki. Ja umrę, a wtedy co będzie? Ona zaś będzie dobrą niańką; to dziewczyna skromna, rozsądna, z charakterem, a zresztą sama będę tu czuwała, przecież nie zaraz umrę. Lubi siedzieć w domu. Łagodna jak anioł. Ta szczęśliwa myśl przyszła mi do głowy jeszcze w Szwajcarii. Czy pan pojmuje? Sama mówię, że jest łagodna jak anioł! - zawołała z wściekłością w głosie. - U pana tu kurz, ona zaprowadzi porządek i czystość, wszystko będzie

• Przecie to dziecko

77

lśniące jak szkło... A co pan myśli, że mam się panu jeszcze kłaniać z takim skarbem? Wyliczać wszystkie korzyści, swatać? To pan powinien na kolanach... O pusty, pusty, bezduszny człowieku!

- Ale... ja już jestem stary!

- Co tam znaczą pańskie pięćdziesiąt trzy lata! Pięćdziesiąt lat to nie koniec, lecz połowa życia. Jest pan pięknym mężczyzną i wie pan o tym. Wie pan także, jak bardzo ona pana szanuje. Gdy umrę, co się z nią stanie? A z panem i ona może być spokojna, i ja także, ma pan znaczenie, nazwisko, kochające serce, otrzymacie pensję, której wypłatę uważam za swój obowiązek. Może to właśnie pan ją uratuje! W każdym razie będzie to dla niej zaszczyt. Pan ją udoskonali, rozwinie jej serce, pokieruje myślami. Tyle dziewcząt dziś ginie dlatego tylko, że myśli ich są źle pokierowane. Do tego czasu wykończy pan swój traktat i przypomni ludziom o sobie.

- Ja właśnie - wyszeptał, ujęty zręcznym pochlebstwem - ja właśnie zamierzam zabrać się na dobre do moich opowiadań z dziejów Hiszpanii.¹²

- Otóż to! Widzi pan, jak się to wszystko cudownie składa.

- Ale... ona? Czy pani z nią mówiła?

- Niech się pan o nią nie troszczy i niech pan nie będzie ciekawy. Oczywiście musi pan sam ją prosić, błagać, aby sprawiła panu ten zaszczyt... Rozumie pan? Lecz niech pan będzie spokojny. Ja czuwam, A pan już ją kocha.

Stiepan Trofimowicz poczuł zamęt w głowie: ściany zaczęły się chwiać. Tkwiła w tym wszystkim

jakaś myśl, z którą w żaden sposób nie mógł sobie poradzić.

- Excellente omie! - zadrzał mu nagle głos - ja... ja w żaden sposób nie mogłem wyobrazić sobie, aby pani zdecydowała wydać mnie... za inną kobietę!

- Nie jest pan panną, Stiepanie Trofimowiczu! Tylko panny wydaje się za męża, a pan... sam się ożeni - zjadliwie syknęła Barbara Pietrowna.

- Oui, f m pris un mat pour un autre. Mais... cest egal* - wpatrywał się w nią zupełnie oszołomiony.

T”k, pomyliłem słowa. Ale... to wszystko jedno

78

- Widzę dobrze, że cest egal - wycodziła pogardliwie. - Boże! On mdleje! Nastasjo, Nastasjo! Wody!

Woda okazała się zbyt ciepła. Ocknął się. Barbara Pietrowna wzięła parasolkę.

- Widzę, że z panem teraz trudno się dogadać...

- Oui, oui; je sttis incapable.*

- Ale do jutra odpocznie pan i przemyśli. Niech pan nie wychodzi z domu, a gdyby się co zdarzyło, proszę dać znać, chociażby w nocy. Listów proszę nie pisać, nie będę nawet czytała. Jutro o tej porze przyjdę sama, bez asysty, po ostateczną odpowiedź. Nie wątpię, że nie będzie odmowna. Ma pan być sam i żeby mi tu śmieci nie było. Do czego to podobne. Nastasjo, Nastasjo!

Nazajutrz naturalnie się zgodził. Czy mógł się nie zgodzić? Zwłaszcza że pewna okoliczność...

VIII

To, co nazywano u nas majątkiem Stiepana Trofimowicza (pięćdziesiąt dusz podług dawnego sposobu obliczania, w sąsiedztwie Skworesznik), nie należało wcale do niego, lecz do jego pierwszej żony, czyli obecnie do jego syna, Piotra Stiepanowicza Wierchowieńskiego. Stiepan Trofimowicz był tylko opiekunem, a gdy się piskłę opierzyło, zarządzał majątkiem na podstawie formalnego pełnomocnictwa. Była to wygoda dla młodzieńca. Otrzymywał od ojca tysiąc rubli rocznie tytułem dochodu z majątku, który obecnie, przy nowych porządkach, dawał co najwyżej pięćset, a może jeszcze mniej. Bogu jednemu wiadomo, jak się ustalił taki stan rzeczy. Zresztą cały tysiąc wysyłała Barbara Pietrowna, Stiepan Trofimowicz nie uczestniczył w tej sprawie ani groszem. Przeciwnie, cały dochódzik z ziemi chował do własnej kieszeni, więcej, ziemię tę zrujnował, wydzierżawił ją jakiemuś przedsiębiorcy i w sekrecie przed Barbarą Pietrowną sprzedał na wyręb lasek, stanowiący główną wartość mająteczku. Lasek ten już od dawna sprzedawał po kawałku! Cały drzewostan był wart z osiem tysięcy, ale Stiepan Trofimowicz wziął

- Tak, tak, jestem niezdolny.

79

za niego tylko pięć. Czasem zbyt dużo przegrywał w klubie, a bał się zwracać z prośbą do Barbary Pietrowny. Zgrzytała zębami, kiedy w końcu dowiedziała się o wszystkim. Teraz syn nagle zawiadomił, że sam przyjedzie sprzedać majątek, i polecił Stiepanowi Trofimowiczowi niezwłocznie wystarać się o kupca. Rzecz prosta, że szlachetny i bezinteresowny Stiepan Trofimowicz był zażenowany wobec ce cher enfant (widział syna po raz ostatni jako studenta, przed dziewięciu laty w Petersburgu). Uprzednio cały majątek był wart ze trzydzieści lub czterdzieści tysięcy, a teraz pytanie, czy ktoś dałby zań nawet pięć. NieWątpliwie Stiepan Trofimowicz miał całkowite prawo, z tytułu formalnego pełnomocnictwa, sprzedać las. Mógł też doliczywszy tysiąc rubli wysyłane rokrocznie tytułem rzekomych dochodów z majątku, znacznie

ułatwić sobie obrachunek. Lecz był człowiekiem honorowym, o wyższych aspiracjach. Zaświtała mu w głowie pewna myśl, bardzo piękna: gdy przyjedzie Pietrusza, wyłożyć mu na stół maksymalną sumę, nawet piętnaście tysięcy, nie wspomnieć ani słowem o sumach dotychczas wysyłanych, mocno, że łąą w oku przytulic do piersi ce cherfils* i w ten sposób zlikwidować wszelkie obrachunki. Ostrożnie i niewyraźnie malował ten obraz przed oczyma Barbary Pietrowny. Dawał do zrozumienia, że nadałoby to specjalnego, szlachetnego zabarwienia ich przyjaznym stosunkom, ich... „idei”. Przedstawiłoby to w tak pięknym świetle dawniejszych ojców i w ogóle dawniejszych ludzi w porównaniu ze współczesną lekkomyślną, spo-lecznikującą młodzieżą! Mówił jeszcze dużo, lecz Barbara Pietrowna ciągle milczała. Wreszcie sucho oznajmiła mu, że zgadza się kupić majątek i zapłaci cenę maksymalną, czyli sześć, siedem tysięcy (a może go kupić i za cztery). O pozostałych ośmiu tysiącach, które przepadły wraz z laskiem, nie wspomniała nawet.

Działo się to przed miesiącem. Stiepan Trofimowicz był przybity i zamyślał się coraz częściej. Przedtem mógł jeszcze mieć nadzieję, że synek może wcale nie przyjedzie, jeżeli wolno takie uczucie, zdaniem osoby niezainteresowanej, nazwać nadzieją. Stiepan Trofimowicz, jako ojciec, z oburzeniem odrzuciłby nawet taką myśl. O Pietruszy zaś przychodziły

to drogie dziecko () tego drogiego syna
80

do nas różne dziwne wieści. Skończy! przed sześciami lary uniwersytet w Petersburgu i wałęsał się tam bez celu i zajęcia; potem najnie spodziewaniej w świecie otrzymaliśmy wiadomość, że brał udział w pisaniu jakiejś proklamacji i pociągnięty został do odpowiedzialności. Potem - że jest za granicą, w Szwajcarii, w Genewie, może nawet po prostu uciekł.

- Dziwi mnie to wszystko - spowiadał mi się kiedyś Stiepan Trofimowicz, mocno zakłopotany. - Pietrusza cest une si palture tete! Dobry jest, szlachetny, wrażliwy, i wtedy już, w Petersburgu, cieszyłem się, porównując go z młodzieżą współczesną. Ale cest un pauvre sire tout de meme* A to wszystko, wie pan, dlatego, że niedonoszony, sentymentalny! Ich wszystkich porywa nie realna, lecz czułośćko-wa, idealistyczna strona socjalizmu, powiedziałbym - jego odcień religijny, poetycki. Oczywiście wszystko to naśladowane. Ale co za kłopot dla mnie! Mam tu tylu wrogów, a tam jeszcze więcej; przypiszą wszystko wpływom ojca... Mój Boże! Pietrusza - w roli przywódcy! Co za czasy!

Pietrusza jednak nadesłał ze Szwajcarii najdokładniejszy adres, prosząc, aby mu nań wysłano pieniądze - nie był więc emigrantem w ścisłym znaczeniu tego słowa. I oto, spędziwszy cztery lata za granicą, znów wraca do kraju i zawiadamia o rychłym swoim przyjeździe: czyli nie ciąży na nim żadne oskarżenie. Nie dość na tym. Miało się wrażenie, że ktoś wpływowy opiekuje się nim i proteguje go. Pisał też z południa Rosji, gdzie spełniał ważne polecenia jakiejś prywatnej osoby. Wszystko to było bardzo pocieszające - ale skąd wziąć brakujące siedem, osiem tysięcy, by zebrać przyzwoitą kwotę za majątek? A co będzie, jeżeli podniesie gwałt i zamiast rozrzucającej sceny dojdzie do procesu? Jakiś głos wewnętrzny mówił Stiepanowi Trofimowiczowi, że wrażliwy Pietrusza nie odstąpi od swoich interesów. „Zauważyłem - szepnął mi kiedyś Stiepan Trofimowicz - że ci zapaleni socjaliści i komuniści są jednocześnie ogromnie łasi na pieniądze, skąpi, typowi posiadacze, a nawet im większy socjalista, tym zatwardziały posiadacz. Dlaczego tak jest? Czy to także z powodu sentymentalizmu?” Nie wiem, w jakim stopniu słuszne było to spostrzeżenie; wiem tylko, że Pietrusza

• leś tak ograniczony! (.) człowiekiem bez zdolno&ci
81

posiadał informacje o sprzedaży lasu i innych sprawach, a Stiepan Trofimowicz wiedział, że syn jest poinformowany. Zdarzyło mi się nawet czytywać listy syna do ojca: pisał szalenie rzadko, raz do roku lub jeszcze rzadziej. Teraz dopiero, zapowiadając swój rychły przyjazd, przysłał dwa listy,

prawie jeden po drugim. Listy jego były zawsze krótkie, suche, zawierały tylko polecenia, a ponieważ ojciec z synem byli na „ty”, zgodnie z nową modą petersburską, więc listy Pietruszki bardzo przypominały polecenia dawnych obywateli ziemskich przysyłane do poddanych, którym powierzony był dozór nad majątkami. I oto teraz te decydujące osiem tysięcy wypływa z projektu matrymonialnego, przy czym Barbara Pietrowna podkreśliła wyraźnie, że z innego źródła wypłynąć nie mogą. Ma się rozumieć, Stiepan Trofimowicz zgodził się.

Zaraz po jej wyjściu posłał po mnie, a przed wszystkimi innymi gośćmi zamknął się na klucz. Płakał oczywiście, mówił dużo i ładnie, gubił bez przerwy wątek, powiedział przypadkowo dowcip i był z niego zadowolony, potem nastąpił lekki atak choleryny - słowem, wszystko odbyło się jak zawsze. Wyciągnął potem portret swej Niemeczki, która umarła przed dwudziestu laty, i żałośnie wołał: „Tylko czy ty mi przebaczysz?” Był istotnie jakoś zbity z tropu. Wypiliśmy nieco z tej okazji. Wkrótce zasnął błogo. Nazajutrz misternie zawiązał halsztuk, ubrał się starannie i często podchodził do lustra. Skropił perfumami chustkę do nosa, bardzo leciutko, gdy jednak zobaczył przez okno Barbarę Pietrowną, natychmiast chustkę tę schował pod poduszkę i wziął inną.

- Doskonale! - pochwaliła Barbara Pietrowna dowiedziawszy się o jego zgodzie. - Ujawnił pan przede wszystkim szlachetną stanowczość, ulegając jednocześnie głosowi rozwagi, który zazwyczaj jest panu obcy w sprawach prywatnych. Zresztą nie ma powodu do pośpiechu - dodała zobaczywszy węzeł jego białego halsztuka - na razie niech pan milczy, i ja także. Wkrótce będą pańskie urodziny. Będę tu razem z nią. Przygotuje pan kolację, ale bez wina i bez zakąsek - zresztą ja sama się tym zajmę. Zaprosi pan kilku przyjaciół - zresztą razem dokonamy wyboru. W przeddzień pomówi pan z nią, jeżeli trzeba będzie; a na urodzinach oznajmimy, nie, nie oznajmimy, nie będą to żadne zaręczyny, tak

82

tylko damy do zrozumienia, bez żadnego ceremoniału, a w parę tygodni potem ślub, bez żadnego hałasu. Moglibyście nawet wyjechać razem, wprost od ołtarza, na przykład do Moskwy. Może bym i ja pojechała z wami... Rzecz główna, niech pan na razie o niczym nie gada.

Stiepan Trofimowicz był zdziwiony. Próbował oponować, że tak nie można, że musi przecie porozumieć się z narzeczoną, lecz Barbara Pietrowna wpadła na niego, rozdrażniona :

- Nie ma żadnej potrzeby! Po pierwsze, może jeszcze nic z tego nie będzie...

- Jak to „nie będzie”? - bełkotał, całkiem już oszołomiony.

- A tak. Jeszcze myślę... A zresztą będzie tak, jakem mówiła, i niech pan będzie spokojny, sama z nią pomówię. A pan niech trzyma lepiej język za zębami. Wszystko, co należy, będzie powiedziane i zrobione i nie wolno panu się wtrącać. Po co? Z jakiego tytułu? Niech pan nie chodzi do niej i niech pan listów nie pisze. Ani słowa! Bardzo proszę. Ja także będę milczała.

Stanowczo odmówiła mu dalszych wyjaśnień i wyszła w stanie widocznej irytacji.

Prawdopodobnie uderzyła ją łatwość, z jaką Stiepan Trofimowicz dał się przekonać. Niestety! Nie rozumiał zupełnie swojej sytuacji i nie umiał rozważyć sprawy z innego punktu widzenia.

Przeciwnie, obudziło się w nim coś nowego, jakiś ton zwycięski i lekkomyślny. Udawał zucha.

- To dobre! - wołał zatrzymując się przede mną i rozkładając ręce. - Słyszał pan? Chce doprowadzić mnie do tego, aby mi się wreszcie odechciało. Przecież i ja mogę stracić cierpliwość i przestać chcieć. „Niech pan tu siedzi i nie chodzi tam!” Dobrze. Ale dlaczego właśnie ja koniecznie mam się żenić? Czy dlatego, że powstała w jej głowie ta śmieszna fantazja? Jestem człowiekiem poważnym i mogę odmówić posłuszeństwa dzikim fantazjom despotycznej kobiety! Mam obowiązki wobec syna i wobec własnej osoby! Składam z siebie ofiarę, ale czy ona to rozumie? Może dlatego się zgodziłem, że już wszystko mi jedno? Lecz gdy ona wytrąci mnie z równowagi, już nie będzie mi wszystko jedno. Obrażę się i odmówię. Et enfin le ridicule... Co powiedzą w

klubie? Co powie... Li-

6” 83

putin? „Może jeszcze nic z tego nie będzie” - a to dobre! To już szczyt wszystkiego! Cóż to jest ostatecznie? Je suis unforfat, un Badinguet,*u im człowiek przyparty do muru!... A jednocześnie jakieś kapryśne zadowolenie z siebie, coś figlarnie lekkomyślnego wyzierało spoza tych żalonych okrzyków. Wieczorem piliśmy znowu.

A wreszcie Śmieszność (.) Jestem skazaniec, Badmguet

ROZDZIAŁ TRZECI

CUDZE GRZECHY

I

Minął tydzień, zdarzenia rozwijały się coraz szybciej. Zaznaczę na marginesie, że w ciągu tego nieszczęsnego tygodnia przeżyłem sporo smutnych chwil, nie rozstając się prawie z moim biednym wyswatany przyjacielem, jako najbliższy jego powiernik. Dręczył go głównie wstyd, chociaż w ciągu tych kilku dni nie spotykaliśmy się z nikim i byliśmy sami - lecz wstydził się nawet i mnie, i to do tego stopnia, że im więcej się zwierzał, tym więcej czuł za to do mnie żalu. Podejrzliwość jego kazała mu przypuszczać, że całe miasto wie już o wszystkim, i bał się pokazać nie tylko w klubie, lecz nawet w naszym kółku. Niezbędne dla zdrowia spaceru odbywał wieczorem, gdy już zapadał zmierzch, kiedy się dobrze ściemniło.

Minął tydzień, a Wierchowieniński wciąż, nie wiedział jeszcze, czy jest zaręczony, czy nie, i w żaden sposób, pomimo starań, nie mógł się tego dowiedzieć. Narzeczonej nie widział dotychczas, nie miał zresztą pojęcia, czy naprawdę jest jego narzeczoną; nie wiedział nawet, czy w ogóle można to wszystko traktować na serio! Barbara Pietrowna stanowczo nie chciała go przyjąć. Na jeden z pierwszych listów (a wysłał ich bez liku) odpowiedziała stanowczo, aby uwolnił ją na pewien czas od wszelkich z nim kontaktów, gdyż jest zajęta. Ponieważ zaś sama musi także z nim pomówić - czeka wolniejszej chwili i zakomunikuje we właściwym czasie, kiedy będzie mógł do niej przyjść. Zapowiedziała, że będzie odsyłała listy nie rozpieczętowane, gdyż „to tylko dziecinada”. Czytałem sam ten list; pokazywał mi.

85

A jednak cała ta brutalność i niepewność sytuacji była niczym w porównaniu z główną troską Stiepana Trofimowicza, która dręczyła go wciąż niesłuchanie; chudł od niej i upadał na duchu. Było to coś takiego, czego się wstydził najwięcej i o czym nie chciał mówić nawet ze mną; przeciwnie, przy okazji wyłgiwał się i wykręcał jak sztubak. Jednocześnie zaś posyłał po mnie co dzień, dwóch godzin nie mógł spędzić beze mnie, potrzebując mojej obecności jak wody lub powietrza.

Takie postępowanie drażniło nieco moją ambicję... Nie potrzebuję dodawać, że odgadłem rychło jego tajemnicę i znałem ją na wylot. Według mojego najgłębszego przekonania ujawnienie tej tajemnicy, tej głównej troski, nie przysporzyłoby zaszczytu Stiepanowi Trofimowiczowi i, jako człowiek niedoświadczony i młody, oburzyłem się wówczas na jego gruboskórność i na niewłaściwość pewnych jego podejrzeń. Może zbyt gorąco brałem te rzeczy, może zresztą nudziła mnie rola powiernika, dość, że oskarżałem go zanadto. Z całym okrucieństwem dążyłem do tego, aby sam się przyznał przede mną do wszystkiego, chociaż wiedziałem, jak trudno jest przyznać się do niektórych rzeczy. On też rozumiał mnie na wskroś, to znaczy wiedział dobrze, że ja go podejrzewam i że zły jestem na niego, i sam zły był na mnie za to, że się na niego gniewam i że go przejrzałem na wskroś. Zgodzę się z tym, że moje ówczesne podrażnienie było płytkie i niemądre; lecz wzajemne niedomówienia niezwykle nieraz szkodzą prawdziwej przyjaźni. Pod pewnym

względem zdawał sobie sprawę ze swej sytuacji i określał ją prawidłowo w tych szczegółach, których nie maskował.

- O, czyż taka była ona wówczas! - wyniknęło mu się nieraz o Barbarze Pietrownie. - Czyż taka była wtedy, gdyśmy z nią rozmawiali?... Czy wie pan, że ona wtedy umiała jeszcze mówić? Czy pan uwierzy, że miała wtedy w głowie myśli, własne myśli? Teraz zmieniło się wszystko! Teraz ona mówi, że tamto wszystko - to staroświecka paplanina! Gardzi minionym... Teraz stała się jakimś rządcą, ekonomem. Stała się zawzięta. I wciąż się gniewa...

- Ale dlaczego ma się gniewać, skoro pan spełnił jej żądanie? - pytałem.
Popatrzył na mnie porozumiewawczo.

86

- Cher anti! Gdybym się nie zgodzi), rozgniewałaby się strasznie, strasznie! Lecz w każdym razie mniej niż teraz, kiedy się zgodził.

Zadowolony był z tego słówka, więc wypiliśmy tego wieczora butelczynę. Dało to nam jedną jasną chwilę, ale tylko jedną. Nazajutrz był bardziej ponury i struty niż kiedykolwiek.

Najwięcej gniewało mnie, że nie zdecydował się nawet na złożenie niezbędnej wizyty u Drozdowów w celu wznowienia dawnej znajomości. Wiadomo było, że te panie oczekują wizyty i dopytywały się o niego. Jego także to żenowało, mówił mi o tym codziennie. O Lizawiecie Nikolajewnie mówił stale z niezrozumiałym dla mnie zachwytem. Bez wątpienia pozostało mu miłe wspomnienie dziecka, które tak lubił przed laty; poza tym jednak nie wiadomo dlaczego wyobraził sobie, że przy niej znalazłby ulgę w obecnych cierpieniach i rozstrzygnięcie wielu swych wątpliwości. By) pewien, że w Lizie znajdzie istotę niezwykłą. Nie szedł tam jednak, chociaż wybiera) się co dzień. Przyznam się, że i ja bardzo chciałem zostać jej przedstawiony, a mogłem tu liczyć tylko na Stiepana Trofimowicza. Wywierały wówczas na mnie silne wrażenie częste spotkania z nią, oczywiście tylko na ulicy, gdy wyjeżdżała konno, w amazonce, na pięknym wierzchowcu, w towarzystwie przystojnego oficera, tak zwanego „kuzynka”, synowca generała Drozdowa. Te uniesienia trwały niedługo. Wkrótce pojąłem sam nieziszczalność mych marzeń. Jednak przez pewien czas byłem pod ich wpływem, łatwo więc sobie wyobrazić, jak oburzało mnie zamknięcie się w sobie Stiepana Trofimowicza.

Wszyscy „nasi” od razu zostali zawiadomieni oficjalnie, że Stiepan Trofimowicz przez pewien czas nie będzie przyjmował i prosi, by zostawić go w całkowitym spokoju. Nastawa) na oficjalne zawiadomienie, chociaż mu to odradzałem. Musiałem spełnić jego prośbę, obejść wszystkich i nagadać im, że Barbara Pietrowna powierzyła naszemu „staremu” (tak nazywaliśmy między sobą Stiepana Trofimowicza) jakąś pilną robotę, doprowadzenie do porządku pewnej korespondencji z ubiegłych lat; że zamknął się na cztery spusty; że ja mu pomagam w tej pracy, itd., itd. Tylko do Liputina nie zdążyłem wpaść i odkładałem to z dnia na dzień;

87

może, prawdę mówiąc, czułem pewne obawy. Wiedziałem zawczasu, że nie uwierzy ani jednemu mojemu słowu, wyobrazi sobie na pewno, że to jakaś tajemnica tylko względem niego, i zaraz po moim wyjściu pobiegnie na miasto, aby węszyć i plotkować. Kiedy tak rozważałem, przypadkowo spotkałem go na ulicy. Okazało się, że już wie wszystko od „naszych”, których zawiadomiłem wcześniej. Rzecz dziwna. Nie tylko nie zdradził zaciekawienia, nie rozpytywał się o Stiepana Trofimowicza, lecz nawet przerwał mi, gdym zaczął usprawiedliwiać się przed nim, że nie zdążyłem do niego wpaść, i natychmiast zmienił temat rozmowy. Miał co prawda dużo do opowiadania. Był strasznie podniecony i ucieszył się znalazłszy we mnie słuchacza. Zaczął mówić o ostatnich nowinach, o przyjeździe gubernatorowej „z nowymi poglądami”, o opozycji, która już wytworzyła się wśród członków klubu, o tym, że wszyscy krzyczą już o nowych ideach, jak to do

kogo przyłgnęło itd., itd. Gadał z kwadrans, a tak ciekawie, że byłem cały zasłuchany. Chociaż go nie znosiłem, wyznam, że umiał przykuć do siebie uwagę, zwłaszcza wtedy, gdy był czymś zirytowany. Ten człowiek, moim zdaniem, był urodzonym szpiegiem. Znał zawsze wszystkie ostatnie nowiny, znał całe życie naszego miasta od podszewki, szczególnie zaś wszystkie skandale, i można było nieraz się dziwić, jak bierze do serca rzeczy, które nie powinny go nawet obchodzić. Zdawało mi się zawsze, że zazdrość była główną cechą jego charakteru. Gdy tego wieczora powtórzyłem Stiepanowi Trofimowiczowi moją rozmowę z Liputinem, przyjaciel mój, ku memu zdumieniu, zaczął objawiać silny niepokój i rzucił mi dziwne pytanie: „Wie Liputin czy nie wie?”... Dowodziłem, że to niemożliwe, że nie miał od kogo się dowiedzieć. Lecz Stiepan Trofimowicz upierał się:

- Niech mi pan wierzy lub nie wierzy - zakonkludował niespodzianie - lecz jestem głęboko przekonany, że nie tylko wie wszystko, że wszystkimi szczegółami, o naszej sytuacji, ale prócz tego wie coś więcej, czego nie wiemy ani pan, ani ja i o czym nie dowiemy się nigdy, a jeżeli nawet się dowiemy, to wtedy, gdy będzie już za późno, gdy staną się rzeczy nieodwracalne!...

Zamilkłem, lecz słowa te były* bardzo znaczące. Potem przez całe pięć dni nie wspominaliśmy w ogóle Liputina;

88

jasne było dla mnie, że Stiepan Trofimowicz bardzo żałuje, że zdradził przede mną takie podejrzenie, że niepotrzebnie się wygadał.

II

Któregoś ranka na siódmy czy ósmy dzień od chwili, kiedy Stiepan Trofimowicz zgodził się na to narzeczeństwo, około jedenastej, gdym spieszył, jak zwykle, do cierpiącego przyjaciela, spotkała mnie po drodze pewna przygoda.

Spotkałem Karmazinowa, „znakomitego pisarza”, jak zazwyczaj wyrażał się o nim Liputin. Czytywałem Karmazinowa od dzieciństwa. Powieści jego i nowele są dobrze znane staremu, a nawet młodemu pokoleniu; ja zaś upajałem się nimi; były one radością mych lat chłopięcych i młodzieńczych. Potem zacząłem bardziej ozięble traktować jego utwory; tendencyjne powieści, które pisywał wtedy, nie miały już dla mnie takiego uroku jak pierwsze jego dzieła, zawierające tyle bezpośredniej poezji; ostatnie zaś rzeczy nie podobały mi się już zupełnie. I

Biorąc rzecz ogólnie, jeżeli wolno mi wypowiedzieć własną opinię w sprawie tak drażliwej, wszystkie nasze talenty średniej miary, którym współcześni nadają cechy genialności, nie tylko giną prawie bez śladu w pamięci ludzkiej natychmiast po śmierci, lecz często nawet za życia, gdy wyrasta nowe pokolenie, dziwnie szybko bywają zapomniane i lekceważone. Następuje coś w rodzaju zmiany dekoracji w teatrze. To nie tak, jak z Puszkiniem, Gogolami, Wolterami - z tymi, którzy przychodzą, aby powiedzieć nowe słowo! Należy też przyznać, że talenty średniej miary u schyłku swoich lat wypisują najgorsze bzdury, same tego nie wiedząc. Okazuje się często, że pisarz, któremu przypisywano niesłychaną głębokość idei i od którego oczekiwano olbrzymiego wpływu na ruch umysłowy społeczeństwa, zdradza pod koniec taką ciasnotę i ograniczoność swej zasadniczej idei, że już nikt nawet nie żałuje widząc, jak się pisarz wypisał. Lecz siwi starszaki nie rozumieją tego i gniewają się. Zarozumiałość ich, właśnie pod koniec działalności, dochodzi do potwornych rozmiarów. Już nie wiadomo, za kogo siebie mają - przy-

89

najmniej jednak za półbogów. Mówiono o Karmazinowie, że wyżej od duszy własnej ceni sobie stosunki z ludźmi wpływowymi i z wyższą sferą. Mówiono, że może kogoś przy spotkaniu ugłaskać, oczarować prostotą, zachwycić, zwłaszcza jeżeli ten ktoś jest mu na coś potrzebny lub

polecony przez odpowiednią osobę. Uzna jednak za święty obowiązek porzucić go z obraźliwym lekceważeniem, jak strzęp, jak muchę, i to natychmiast, gdy tylko nawinie mu się jakiś książę, jakaś hrabina, ktoś, z kim się liczyć należy. Traktuje nawet takie postępowanie jako wyraz najlepszego tonu. Pomimo taktu i pełnej znajomości form światowych jest tak histerycznie ambitny, że nie umie ukryć swych aspiracji nawet tam, gdzie najmniej interesują się literaturą. Gdy zaś zaskakiwała go czy-jakolwiek obojętność, obrażał się chorobliwie i marzył o zemście.

Przed rokiem czytałem w jakimś piśmie jego artykuł, napisany strasznie pretensjonalnie, z pozą na bardzo naiwną poezję i nawet na psychologię. Opisował tam zatonięcie statku u brzegów Anglii, ratowanie ginących i wyciąganie topielców - czego sam był świadkiem.² Cały ten artykuł, długi i rozwlekły, napisany był tylko w tym celu, aby na tle ginącego statku pokazać siebie. Łatwo można było przeczytać między wierszami: „Interesuję was? Patrzcie, jaki byłem w owej chwili. Po co wam to morze, burza, skały, ten okręt rozbity? Potężnym piórem swoim pokazałem wam to wszystko. Po co patrzycie na tę utopioną niewiastę z martwym dzieckiem w martwych ramionach? Patrzcie na mnie. Otom nie zniósł tego widoku i odwróciłem się odeń. Stoję w przerażeniu i nie mogę spojrzeć za siebie. Mrużę oczy - prawda, jakie to ładne?” Gdy wypowiedziałem opinię moją o artykule przed Stiepanem Trofimowiczem, zgodził się ze mną.

Gdy dowiedziano się u nas, że ma przyjechać Karmazi-now, gorąco zapragnąłem, rzecz prosta, zobaczyć go i w miarę możliwości zapoznać się z nim. Wiem, że mógłbym to zrobić przez Stiepana Trofimowicza: żyli niegdyś w przyjaźni. Tymczasem spotkałem go naraz na skrzyżowaniu ulic. Poznałem od razu. Już mi go pokazywano przed paru dniami, gdy jechał powozem z gubernatorową.

Był to niewysoki, zadzierzysty staruszek, lat około pięćdziesięciu pięciu, o dość rumianej twarzy, o gęstych siwych włosach, wyglądających spod okrągłego wysokiego kapelu-

90

sza i wijących się wokół czyściutkich, różowiutkich, małych uszek. Gładka twarz jego nie była zbyt ładna; usta miał cienkie, długie, dziwnie wykrojone, nos nieco zbyt gruby, a oczki maleńkie, mądre, przebiegłe. Ubrany był jakoś niedbale, w płaszcz nieodpowiedni do sezonu, narzucony na ramiona, płaszcz, który byłby teraz bardziej na miejscu w Szwajcarii na przykład lub północnych Włoszech. Lecz wszystkie szcze-gólitri jego stroju: spineczki, kołnierzyki, guziki, lornetka szylkretowa na czarnej cienkiej wstążeczce, mały sygnet na palcu - były takie jak u ludzi z najlepszego towarzystwa. Jestem przekonany, że latem nosi kolorowe prunelowe trzewiki, zapinane z boku na guziczki z perłowej masy.

Gdyśmy się spotkali, stał właśnie na rogu ulicy i rozglądał się uważnie. Zauważywszy, że patrzę na niego ciekawie, zwrócił się do mnie słodkim, choć nieco krzykliwym głosem:

- Czy mógłby mi pan wskazać, jak tu wyjść na ulicę Bykową?

- Na Bykową? To tu, tu zaraz - zawołałem, niezwykle podniecony - wprost tą ulicą, a potem druga przecznica na lewo.

- Bardzo panu dziękuję!

Niech to licho porwie: zdaje się, że miałem wygląd wystraszonego i patrzyłem na Karmazinowa z wyrazem pokory! Zauważył to od razu i ma się rozumieć, pojął wszystko, to znaczy, że go poznałem, że znam jego dzieła i od dzieciństwa zachwyciałem się nimi, i dlatego teraz straciłem rezon i patrzę na niego z pokorą. Uśmiechnął się, kiwnął raz jeszcze głową i poszedł dalej we wskazanym przeze mnie kierunku. Nie wiem sam po co, lecz poszedłem za nim; pobiegłem za nim z dziesięć kroków. Znow się zatrzymał.

- A może mógłby mi pan wskazać, gdzie tu najbliższej stoją dorożki? - zapytał głośno. „Co za

przykry, krzykliwy głos!”

- Dorożki? Najbliższy postój dorożek... koło soboru, tam są zawsze.

O mało żem nie pobiegł po dorożkę. Przypuszczam, że właśnie tego się po mnie spodziewał. Opamiętałem się jednak, lecz ruch mój został przez niego na pewno zauważony. Patrzył na mnie z tym samym brzydkim uśmiechem. Wtem zaszło coś, czego nie zapomnę nigdy.

91

Wpadł mu z lewej ręki i upadł na ziemię mały sączonek. Nawet nie sączonek, lecz jakieś pudeleczonek, prędzej nawet pugila-resik, coś w rodzaju staromodnego damskiego ridikiulu; nie wiem zresztą, co to było, wiem tylko, że schyliłem się, aby to podnieść.

Wiem także na pewno, że nie podniosłem, lecz pierwszy mój odruch nie wzbudzał wątpliwości; nie mogłem jednak tego ukryć i zaczerwieniłem się jak idiota. Chytry staruszek natychmiast wywnioskował to, co mu było potrzebne.

- Niech się pan nie fatyguje, ja sam - wymówił czarująco, a gdy już na dobre się przekonał, że nie podniosę mu sączonek, podniósł sam, ale tak, jak gdyby mnie uprzedzał. Jeszcze raz skinął mi głową i poszedł dalej, zdetonowawszy mnie do reszty. Było to tak, jak gdybym rzeczywiście podniósł. W ciągu kilku minut miałem siebie za zbezczeszczonego na wieki; podchodząc jednak do mieszkania Stiepana Trofimo wicza już się roześmiałem. Spotkanie to wydało mi się tak zabawne, że postanowiłem rozśmieszyć nim Stiepana Trofimi-mowicza i najdokładniej odmalować mu całą scenę.

III

Tym razem, ku wielkiemu memu zdziwieniu, zauważyłem w nim niezwykłą zmianę. Podszedł ku mnie skwapliwie i zaczął słuchać, lecz z miną tak nieprzytomną, jak gdyby nie rozumiał, co mówię. Gdy wymówiłem nazwisko Karma-zinowa, stracił zupełnie równowagę.

- Niech mi pan o nim nie mówi! Nie chcę nawet słuchać! - krzyczał niemal w furii. - Niech pan to weźmie i czyta! No, niech pan czyta!

Wysunął szufladkę i wyrzucił na stół trzy małe świstki papieru, zapisane naprędce ołówkiem przez Barbarę Pie-trownę. Pierwsza kartka była przedwczorajsza, druga wczorajsza, a trzecia przyszła dziś, dopiero przed godziną. Treść ich była całkiem błaha; we wszystkich była mowa o Karmazinowie, wszystkie zdradzały podrażnioną ambicję i niepokój Barbary Pietrowny, że Karmazinow nie złoży jej wizyty. Nie przesądzam, czy nie było i przedtem takich liścików, może sprzed czterech dni, a może i sprzed pięciu. Oto pierwszy:

92

„Jeżeli na koniec pofatyguje się do Pana dziś, niech Pan o mnie z nim nie mówi. Ani pół słowa. Niech mu Pan nie przypomina i nie zdradza się z niczym. B.S.”

Druga kartka:

„Jeżeli wreszcie złoży Panu dziś rano wizytę, myślę, że najlepiej by było nie przyjąć go wcale. Tak sądzę. Nie wiem, jaka jest Pańska opinia. B.S.”

Dzisiejsza, ostatnia:

„Pewna jestem, że ma Pan w domu całą furę śmieci i słupy dymu tytoniowego. Przyślę Panu Marię i Fomuszkę, w pół godziny uprzątną. A Pan niech nie przeszkadza i posiedzi w kuchni, póki będą sprzątały. Posyłam dywan bucharski i dwa wazony chińskie - już dawno chciałam je Panu podarować - i mojego Teniersa³ (na jakiś czas). Wazony można postawić na oknie, a Teniersa, proszę powiesić z prawej strony, pod portretem Goethego, tam widniej, a z rana pada światło.

Jeżeli na koniec zjawi się, przyjmie go Pan z wytworną uprzejmością, lecz niech Pan rozmawia z nim tylko o głupstwach, o czymś uczonym i z taką miną, jak gdybyście się wczoraj rozstali. O mnie ani słowa. Może wpadnę do Pana wieczorem. B.S.

PS. Jeżeli nie przyjdzie i dziś, to już wcale nie przyjdzie.”

Zdziwiłem się, że tak go drażnią podobne drobiazgi. Spojrzałem na niego pytająco i zauważyłem, że podczas gdy ja pogrążony byłem w lekturze, zdążył zmienić biały halsztuk na czerwony. Kapelusz jego i laska leżały na stole. Był blady i ręce mu drżały.

- Słyszeć nawet nie chcę o jej kłopotach! - krzyczał zapamiętale. - Je nfen fiche!* Ma czelność niepokoić się o Karmazinowa, a na moje listy nie odpowiada! Oto mój list, który odesłała z powrotem wczoraj, nawet koperty nie otworzyła. Tu na stole, pod książką, pod Lhomme gta n t.** Co mi z tego, że zamęcza się myślą o Mikołaju! Je men fiche et je proclame ma liberie! Au diable le Karmazinoff! Au diable la Lembke!*** Wazony schowałem w przedpokoju, a Teniersa do komody, od niej zaś zażądałem, aby przyjęła mnie nie-

• Gwiżdżę na to! ** Człowiekiem śmiechu.

*** Gwiżdżę na to i ogłaszam, że jestem niezależny! Do diabła z Karmazinowem! Do diabła z Lembke!

93

zwłocznie. Słyszysz Pan: zażądałem! Posłałem jej przez Nastasję taki sam świstek, ołówkiem, bez koperty, i czekam. Chcę, aby Dana Pawłowna sama mi oznajmiła, w obliczu nieba albo przynajmniej w obecności pana. Vous me seconderez, nest-ce pas, comme cum et temoin* Nie chcę się rumienić, nie chcę kłamać, nie chcę tajemnic, nie dopuszczę tajemnic w tej sprawie! Niech mi się do wszystkiego przyznają, otwarcie, szlachetnie, a wtedy... wtedy może zadziwię całe pokolenie wspaniałomyślnością!... Jestem nikczemnikiem, czy nie, mój panie? - zakończył nieoczekiwanie, groźnie patrząc na mnie, jak gdybym traktował go kiedykolwiek jak nikczemnika. Poprosiłem go, żeby zechciał napić się wody. Nigdy jeszcze nie widziałem go w takim stanie. Cały czas biegał po pokoju z kąta w kąt, wreszcie stanął przede mną w jakiejś niezwyklej pozie.

- Czyż pan istotnie myśli - powiedział wyniośle mierzając mnie od stóp do głów - czyż pan istotnie przypuszcza, że ja, Stiepan Wierchowieński, nie znajdę w sobie dość siły moralnej, aby wziąć na ramiona, na słabe ramiona, mój wór pielgrzymi, wyjść na ulicę i zniknąć stąd na zawsze, gdy zażąda tego mój honor i szczytna zasada niezależności? Stiepanowi Wierchowieskiemu nie pierwszozna odpierać wspaniałomyślnością despotyzm, chociażby despotyzm zwariowanej kobiety, to znaczy, najokrutniejszy, najśroźszy despotyzm, jaki bywa na świecie. Tak jest, pomimo iż pan, łaskawy panie, odpowiada, jak mi się zdaje, uśmiechem na moje słowa! O, pan mi nie wierzy, że potrafię wydobyć z siebie tyle szlachetności, ile trzeba, aby pięknie zakończyć życie w roli belfra u jakiegoś kupca albo umrzeć z głodu pod płotem! Niech pan odpowiada, odpowiada natychmiast. Wierzy mi pan czy nie?

Milczałem rozmyślnie. Udawałem nawet, że nie chcę go urazić przeczącą odpowiedzią, nie mogąc zaś dać odpowiedzi twierdzącej. W tym całym rozdrażnieniu było coś, co mnie stanowczo obrażało, zresztą nie mnie osobiście, o nie! Lecz... wyjaśnię to potem.

Zbladł nawet nieco.

- Może nudzi się pan ze mną, panie G-w? (to moje na-
Pan mi będzie towarzyszył, jako mój przyjaciel i świadek

94

zwisko). Może wolałby pan w ogóle nie bywać u mnie? - mówił tonem owego zimnego spokoju, który poprzedza zwykle jakieś gwałtowne wybuchy.

Zerwałem się, zaniepokojony. W tej chwili weszła Na-stasja i milcząco podała Stiepanowi

Trofimowiczowi kartkę zapisaną ołówkiem. Przeczytał i rzucił ją ku mnie. Ręką Barbary Pietrowny były tam napisane trzy słowa: „Proszę siedzieć w domu.”

Stiepan Trofimowicz chwycił w milczeniu kapelusz i laskę i szybko wybiegł z pokoju; machinalnie ruszyłem za nim. Wtedy w korytarzu rozległ się hałas szybkich kroków i jakieś głosy. Stiepan Trofimowicz stanął jak rażony piorunem.

- To Liputin! Zginąłem! - szepnął chwytając mnie za rękę.

W tej chwili do pokoju wszedł Liputin.

IV

Dlaczego miał ginąć z powodu Liputina, nie wiedziałem i nie przywiązywałem do tych słów zbytnej wagi.

Za wszystko czyniłem odpowiedzialnymi nerwy. A jednak jego przerażenie było niezwykle. Postanowiłem pilnie obserwować.

Już sam wygląd Liputina świadczył, że miał szczególne prawo wejść, wbrew wszelkim zakazom. Przyproceedził obcego mężczyznę, prawdopodobnie przyjeźdnego. W odpowiedzi na tępe, bezmyślne spojrzenie Stiepana Trofimowicza natychmiast głośno zawołał:

- Przyproceedziłem gościa, niezwykłego gościa! Ośmielam się pogwałcić samotność! To pan Kiriłłow,4 znakomity inżynier budowniczy. A najważniejsze, że zna pańskiego syna, Piotra Stiepanowicza; jest jego przyjacielem; ma od niego zlecenie. Przyjechał przed chwilą.

- Co do zlecenia, to pan dodał od siebie - ostro zauważył gość. - Nie mam żadnego zlecenia, a Piotra Stiepanowicza znam istotnie. Rozstałem się z nim przed dziesięcioma dniami w ch-iej guberni.

Stiepan Trofimowicz machinalnie podał mu rękę i wskazał miejsce na kanapie; spojrzał na mnie, spojrzał na Liputina i raptem, jakby się opamiętał, siadł sam, trzymając jed-

95

nak w rękę i kapelusz, i laskę, zresztą zupełnie bezwiednie.

- Ach, pan wychodzi? A mówiono mi, że pan zachorował od nadmiernej pracy.

- Tak, jestem niezdrów, lecz teraz chciałem się przejść, ja...

Stiepan Trofimowicz urwał, rzucił na otomanę kapelusz i laskę - i zaczerwienił się.

Ja zaś tymczasem uważnie oglądałem gościa. Był to człowiek młody, miał około dwudziestu siedmiu lat, przyzwoicie ubrany, zgrabny i szczupły. Brunet, o twarzy bladej, cerze niezupełnie gładkiej, o oczach czarnych, bez blasku. Wydawał się zadumany i roztargniony, rzucał oderwane zdania, jakoś niegramatycznie, dziwnie przedstawiając wyrazy, gdy trzeba było wypowiedzieć dłuższe zdanie. Liputin zauważył niezwykły przestach Stiepana Trofimowicza i był widocznie rad. Siadł na wyplatanej krześle, które wyciągnął niemal na środek pokoju, aby być w jednakowej odległości od gospodarza i gościa, siedzących na dwóch przeciwległych kanapach. Jego przenikliwe oczy ciekawie biegały po wszystkich kątach.

- Ja... Dawno już nie widziałem Pietruszy... Spotykał go pan za granicą? - wykrztusił jakoś Stiepan Trofimowicz.

- I tu, i za granicą.

- Aleksy Niłycz niedawno wrócił do kraju, po czteroletniej nieobecności - wtrącił Liputin. - Jeździ za granicę celem wydoskonalenia się w swej specjalności, a przybył do nas, mając prawo przypuszczać, że otrzyma tu posadę przy budowie mostu kolejowego. Państwa Drozdów i Liza-

wietę Nikolajewnę zna także, przez Piotra Stiepanowicza.

Inżynier siedział, jak gdyby nastroszony, i słuchał niecierpliwie. Zdawało mi się, że jest zły.

- A i Mikołaja Wsiewołodowicza zna, proszę pana.

- Zna pan Mikołaja Wsiewołodowicza? - zapytał Stiepan Trofimowicz.

- Znam i jego.

- Ja... ja bardzo dawno nie widziałem Pietruszy i... właściwie nie mam prawa nazywać się jego ojcem... cest le mor*. Ja... Cóż się z nim działo, kiedy pan wyjeżdżał?

- to jest właściwe słowo

96

- A nic takiego... jak przyjedzie, to pan zobaczy - znów pośpiesznie zbył Wierchowieńskiego pan Kiryłow. Był najwidoczniej zły.

- Przyjedzie! Nareszcie więc ja... Widzi pan, zbyt dawno już nie widziałem Pietruszy! - urwał przy tym zdaniu Stiepan Trofimowicz. - Oczekuję teraz mego biednego chłopaka, wobec którego... o, wobec którego tak zawiniłem! To znaczy, chciałem przez to powiedzieć, że wtedy opuszczając go w Petersburgu, ja... słowem, nie liczyłem się z nim, miałem go za nic, quelque chose dans ce genre. Chłopak, wie pan, nerwowy, bardzo wrażliwy i... lękliwy. Kładąc się spać bił pokłony i nad poduszką czynił znak krzyża, aby nie umrzeć w nocy... je men souviens. Enfin żadnego wzniosłego uczucia, nic szlachetnego, szczytnego, ani załączka idei... cetaut comme un petit idiot.* Zresztą sam, zdaje się, płaczę. Proszę wybaczyć, ja... pan mnie zastał...

- Pan to serio mówi, że on krzyżem znaczył poduszkę? - z zaciekawieniem zapytał inżynier.

- Tak, żegnał ją...

- Tak tylko pytam. Proszę, niech pan mówi dalej. Stiepan Trofimowicz pytająco spojrzał na Liputina.

- Bardzo panu jestem wdzięczny za odwiedziny - zwrócił się do Kiryłowa - lecz przyznaję, teraz... nie jestem w stanie... Może mi pan zostawi swój adres?

- Ulica Bogojawleńska, dom Filippowa.

- A, to tam, gdzie mieszka Szatow - wtrąciłem mimo woli.

- Właśnie, właśnie, w tym samym domu - zawołał Liputin - tylko Szatow na górze, na mansardzie, a pan Kiryłow na dole, u kapitana Lebiadkina. Pan Kiryłow zna także Szatowa i jego żonę. Za granicą bardzo często się z nią spotykał.

- Comment?*** Więc może pan cokolwiek wie o nieszczęśliwym małżeństwie de ce pauvre ami*** i o tej kobiecie? - zawołał Stiepan Trofimowicz z żywym zainteresowa-

coś w tym guście. (...) pamiętam. Wreszcie (...) zupełnie jak mały idiota

Jakto?(...)

tego biedaka

5 Dostojewski, t. III

97

- Pan jest pierwszym człowiekiem, który to wie, i jeżeli istotnie...

- Co za bzdury! - przerwał inżynier zaperzony. - Ależ pan fantazjuje, panie Liputin! Nie znam wcale żony Szatowa. Raz ją widziałem z daleka, a nie z bliska. Szatowa znam. Po co pan dodaje takie rzeczy?

Siedząc na kanapie zrobił nagły obrót, chwycił kapelusz, znów go odłożył, siadł jak przedtem i

wyzywająco spojrzął na Stiepana Trofimowicza swymi czarnymi oczyma. Nie mogłem wytłumaczyć sobie powodu tej dziwnej, irytacji.

- Przepraszani - poważnie rzekł Stiepan Trofimowicz - nie wiedziałem, że ta kwestia może być drażliwa...

- Żadnej tu drażliwej kwestii nie ma i nawet bardzo mi przykro, ale ja nie do pana mówiłem „bzdury”, tylko do Liputina, bo po eo on zmyśla. Przepraszam, jeżeli to pan wziął do siebie... Szatowa znam, a żony jego wcale nie znam... wcale nie znam!

- Ależ tak, zrozumiałem od razu, a jeżeli nastawałem, to tylko dlatego, że bardzo lubię naszego biednego przyjaciela, notre irascible ami*; zawsze mnie interesował... Ten człowiek zanadto radykalnie zmienił swe uprzednie, może zbyt młodzieńcze, lecz w zasadzie słuszne zapatrywania. I tak wykrzykuje teraz rozmaite rzeczy o notre sainte Russie,** że dawno tłumaczyłem sobie ten przełom w jego organizmie - czyż mogę nazwać to inaczej? - jakimś wstrząsem rodzinnym, a więc nieszczęśliwym małżeństwem. Ja, com poznał naszą biedną ojczyznę jak własne dwa palce,⁵ com życie całe poświęcił ludowi, mogę upewnić pana, że Szatow nie zna wcale ludu rosyjskiego. Niezależnie od tego...

- Ja także zupełnie nie znam ludu rosyjskiego i... nie mam czasu studiować tych problemów! - znów przerwał inżynier i gwałtownym ruchem zmienił pozycję na kanapie.

Przerwał Stiepanowi Trofimowiczowi w środku zdania.

- Ależ pan Kiriłłow studiuje, studiuje - wtrącił Liputin. - Rozpoczął już badania i pracuje nad niesłychanie ciekawą publikacją o przyczynach niezwykłego wzrostu sa-mobójstw w Rosji i w ogóle o przyczynach, które powiek -

- naszego gwałtownego przyjaciela ** naszej świętej Rosji

98

szają lub zmniejszają ilość samobójstw w każdym społeczeństwie. Pan Kiriłłow osiągnął niezwykle wyniki. Inżynier okropnie się zdenerwował.

- Pan nie ma prawa tak mówić - gniewnie mruzczał pod nosem. - Ja wcale nie nad tym artykułem... i w ogóle nad żadnymi głupstwami. Zapytałem pana w zaufaniu, bezwiednie. Tu nie o artykuł chodzi... Niczego nie publikuję, a pan nie ma prawa...

Liputin wyraźnie był zachwycony.

- Przepraszam, może się istotnie omyliłem nazywając publicystyką pańską działalność literacką. Pan Kiriłłow zbiera tylko spostrzeżenia, zupełnie go nie obchodzi sedno zagadnienia, czy też, jak to się mówi, jego strona moralna, w ogóle pan Kiriłłow odrzuca wszelką moralność, a stoi na najnowszym gruncie powszechnego zniszczenia w imię pięknych celów ostatecznych.⁶ Pan Kiriłłow żąda obecnie stu milionów głów dla zaprowadzenia ładu w Europie⁷; znacznie więcej, niż żądano na ostatnim kongresie pokoju.⁸ Pod tym względem pan Kiriłłow posunął się najdalej.

Inżynier słuchał z pogardliwym, nikłym uśmiechem. Parę chwil milczeli wszyscy.

- Wszystko to głupstwo, Liputin - powiedział wreszcie Kiriłłow z niejaką godnością. - Jeżeli wbrew woli powiedziałem panu kilka uwag, a pan to podchwycił, to już jak pan sobie chce. Lecz pan nie ma prawa tego robić, bo ja nigdy nikomu nic nie mówię. Zbyt gardzę, żeby mówić... Jeżeli są przekonania, to wszystko jasne... a pan postąpił głupio. Nie rozprawiam o tych kwestiach, które są już całkowicie wyczerpane. Nie znoszę rozprawiania. I nigdy nie chcę rozprawiać...

- Może najlepiej pan robi - nie mógł się powstrzymać Stiepan Trofimowicz.

- Przepraszam pana, ale ja tu na nikogo się nie gniewam - żarliwie, pośpiesznie mówił gość. - Już od czterech lat prawie ludzi nie widuję... Cztery lata prawie z nikim nie rozmawiam, staram się

unikają ludzi, dla własnych celów, do których nie nikomu; całe cztery lata... Liputin to zauważył i śmieje się teraz. Rozumiem i nie zwracam na to uwagi. Nie jestem obraźliwy, lecz żał mi jego własnej swobody. A że przed panami nie wypowiadam moich opinii -

zakończył zupełnie niespodziewanie, surowym spojrzeniem obejmując nas obu - to wcale nie dlatego, że obawiam się denuncjacji wobec władz; wcale nie, niech panom nie przychodzi nic podobnego do głowy...

Na te słowa już nikt nie odpowiedział. Spojrzeliśmy po sobie. Nawet Liputin zapomniał się roześmiać.

- Panowie, żałuję niezmiernie - stanowczo wstał z kanapy Stiepan Trofimowicz - lecz czuję się niezdrów i podrażniony. Wybaczcie mi, panowie...

- Ach, to żebyśmy wyszli - domyślił się pan Kiryłow i chwycił za czapkę. - To dobrze, że pan powiedział, bo ja bywam roztargniony.

Wstał i dobrodusznie podszedł do Stiepana Trofimowicza z wyciągniętą ręką.

- Szkoda, że przyszedłem, kiedy pan choruje.

- Życzę panu powodzenia w naszym mieście - odpowiedział Stiepan Trofimowicz, życzliwie i bez pośpiechu uściskawszy mu dłoń. - Rozumiem, że jeśli, jak pan sam mówi, tyle czasu spędził pan za granicą, unikając ludzi w imię własnych celów, i zapomniał pan o Rosji, to oczywiście musi pan wbrew woli patrzeć z pewnym zdziwieniem na nas, szczerych Rosjan, tak jak my na pana. Mais cela passera.* Jednego tylko nie rozumiem: pan chce budować u nas most i mówi jednocześnie, że jest zwolennikiem powszechnego burzenia! Nie pozwolą panu budować mostu.

- Co? Jak pan to powiedział?... Tam do diabła! - zawołał w zdumieniu Kiryłow i zniechęta parsknął jasnym, wesołym śmiechem.

Na chwilę twarz jego nabrała zupełnie dziecinnego wyrazu, który do niego, jak mi się zdawało, bardzo pasował. Liputin zacierał ręce z radości, tak mu się podobała trafna uwaga Stiepana Trofimowicza. Ja zaś wciąż nie mogłem zrozumieć, dlaczego Stiepan Trofimowicz tak się przeraził Liputina i dlaczego zobaczywszy go zawołał: „Zginąłem!”

Ale to minie.

Staliśmy wszyscy na progu. Była to chwila, kiedy gospodarze i goście wymieniają szybko ostatnie, najbardziej uprzejme słowa, po czym szczęśliwie się rozstają.

- A pan Kiryłow dlatego dziś taki ponury - wtrącił zniechęta Liputin wychodząc już z pokoju i jak gdyby mimochodem - że miał zatarg z kapitanem Lebiadkinem o jego siostrę. Kapitan Lebiadkin co dzień ćwiczy nahajką swą miłą siostrzyczkę wiariatkę, prawdziwym kozackim na-hajem, rano i wieczorem. Więc Aleksy Niłycz musiał nawet przenieść się do oficyny, aby w tym nie brać udziału. No, do widzenia!...

- Siostrę? Chorą? Nahajką? - wykrzyknął Stiepan Trofimowicz, jak gdyby to on dostawał razy nahajką. - Jaką siostrę? Jaki Lebiadkin?

Na chwilę wróciło uprzednie przerażenie.

- Lebiadkin! Kapitan dymisjonowany, przedtem nazywał siebie sztabkapitanem.

- Co mnie obchodzi jego ranga! Czyją siostrę? Mój Boże! Mówi pan: Lebiadkin! Lecz przecież był u nas jakiś Lebiadkin...

- To ten właśnie, nasz Lebiadkin... Pamięta pan... u Wirgińskiego?

- Ale przecież tamten dał się złapać z fałszywymi pieniędzmi !

- A teraz wrócił, prawie przed dwoma tygodniami, i w okolicznościach najbardziej niezwykłych.

- Przecież to szubrawiec!

- A cóż to, u nas nie może być szubrawców?! - roześmiał się Liputin świdrując Stiepana Trofimowicza małymi, złodziejskimi oczkami.

- Ach, mój Boże! Wcale nie o to mi idzie... chociaż, co do szubrawców, całkowicie zgadzam się z panem, właśnie z panem. Ale co dalej, co dalej? Co pan chciał przez to powiedzieć? Pan na pewno coś miał na względzie!

- E, to takie głupstwo... A ten kapitan widocznie wyjeżdżał nie z powodu fałszywych papierków, lecz po to, aby odszukać siostrzyczkę, która się gdzieś przed nim ukrywała. Teraz ją przywiózł, oto cała historia. Co pana tak przeraziło,

Stiepanie Trofimowiczu?... Zresztą wiem o tym wszystkim tylko z jego pijackiej gadaniny, gdyż na trzeźwo milczy. To człowiek nerwowy i, jak by to powiedzieć, wojskowo-este-tyczny, ale w bardzo złym smaku. A siostra jego to nie tylko wariatka, ale i kulawa. Podobno ktoś się targnął na jej cnotę, więc pan Lebiadkin już od lat ściągą rokrocznie haracz z gwałciciela jako wynagrodzenie za obrazę czci. Tak przynajmniej wynika z jego słów. Ale myślę, że to pewnie tylko pijackie gadanie. Chwali się po prostu. Przecież takie rzeczy załatwia się taniej. Że zaś ma pieniądze, to rzecz zupełnie pewna; dziesięć dni temu chodził prawie bosi, a teraz sam widziałem stówki w rękę. Siostrzyczka dostaje co dzień jakichś ataków, piszczy okropnie, a on ją nahajem „przywołuje do porządku”. Mówi, że kobietom trzeba wpajać szacunek. Nie rozumiem doprawdy, jak Szatow może nad nimi mieszkać. Aleksy Niłycz mieszkał u nich tylko trzy dni, zna ich jeszcze z Petersburga, lecz ze względu na hałasy przeniósł się do oficynki,

- Czy to wszystko prawda? - zwrócił się Stiepan Trofimowicz do inżyniera.

- Za dużo pan gada! - gniewnie odezwał się Kiryłow do Liputina.

- Tajemnice, sekrety! Skąd tu od razu u nas tyle tajemnic i sekretów! - nie hamując się już, wołał Stiepan Trofimowicz.

Inżynier zachmurzył się, poczerwieniał, wrzucił ramionami i ruszył ku wyjściu.

- Aleksy Niłycz nawet wyrwał mu nahaj, złamał, wyrzucił przez okno i bardzo się gniewał - dodał Liputin.

- Po co pan to gada? To takie głupie! Po co? - gwałtownie odwrócił się znowu Kiryłow.

- Po cóż ukrywać przez skromność najszlachetniejsze porywy swojej duszy? To znaczy, pańskiej duszy, nie o swojej mówię.

- Jakie to niemądre i niepotrzebne... Lebiadkin jest głupi i lekkomyślny, do żadnej akcji się nie nadaje... i jest szkodliwy. Po co pan gada? Wychodzę.

- Ach, jaka szkoda! - zawołał Liputin z pogodnym uśmiechem - a chciałem zabawić pana, Stiepanie Trofimowiczu, jeszcze jedną anegdotą. Po to nawet przyszedłem, aby

opowiedzieć, ale pan pewnie sam słyszał. O tym, zresztą, kiedy indziej. Aleksy Niłycz tak się teraz śpieszy... Do widzenia! Ale to zabawna historia z Barbarą Pietrowną. Rozśmieszyła mnie przedwczoraj. Sama posyłała po mnie. Można umrzeć ze śmiechu. Do widzenia!

Lecz Stiepan Trofimowicz już wczepił się w niego. Chwycił go za ramię gwałtownym ruchem, zawrócił do pokoju i posadził na krześle. Liputin aż się zląkł.

- Ależ tak! - rozpoczął ostrożnie zerkając na Stiepana Trofimowicza. - Sprowadziła mnie któregoś dnia do siebie i pyta konfidencko, jak uważani: czy Mikołaj Wsiewołodowicz jest obłąkany, czy przy zdrowych zmysłach. Czy to nie dziwne?

- Zwariował pan! - wybełkotał Stiepan Trofimowicz i nagle zupełnie stracił panowanie nad sobą. - Pan zbyt dobrze wie, że przyszedł pan tu po to tylko, aby zakomunikować mi jakieś bzdury tego rodzaju... a może jeszcze coś gorszego!

W tej chwili przypomniałem sobie jego pomysł, że Liputin wie o naszej sprawie więcej niż my i wie coś, o czym nie dowiemy się nigdy.

- Niech się pan nade mną zlituje, Stiepanie Trofimowiczu! - mówił Liputin udając straszne przerażenie. - Niech się pan zlituje...

- Proszę zacząć od początku. Panie Kiryłow, bardzo proszę, niech pan zostanie i słucha. Proszę siadać! A pan, panie Liputin, niech mówi po prostu, wyraźnie, bez żadnych wykrętów.

- Gdybym wiedział, że to pana tak dotknie, nie zaczynałbym nawet. A ja myślałem, że pan już wie o wszystkim od Barbary Pietrowny.

- Wcale pan tego nie myślał! No, proszę zaczynać!

- Dobrze, ale niech mi pan zrobi łaskę, niech pan sam usiądzie. A to co! Ja mam siedzieć, a pan przede mną będzie w irytacji... biegać? Jakoś to nie wypada.

Stiepan Trofimowicz opanował się i poważnie usiadł na fotelu. Inżynier, zaszepiony, wpatrywał się w podłogę. Liputin patrzył na nich z piekielną rozkoszą.

- Jak tu zacząć?... Tak mnie pan zawstydził...

103

VI

- Przed dwoma dniami przysłała do mnie Barbara Pietrowna swojego służącego: mam się stawić, mówi, u niej nazajutrz o dwunastej. Może pan sobie wyobrazić! Rzuciłem wszystkie sprawy i wczoraj, w samo południe, dzwonię. Prowadzą mnie wprost do salonu, czekam chwilę - wychodzi j każe mi siadać, sama siada naprzeciw. Siedzę i sam sobie nie wierzę. Wiedzą przecie panowie, jak traktowała mnie zawsze. Zaczyna od razu, bez ogródek, jak to ona ma zwyczaj. „Pamięta pan, mówi, że przed czterema laty Mikołaj Wsiewołodowicz, gdy był chory, popełnił kilka uczynków tak dziwacznych, że całe miasto zachodziło w głowę, dopóki nie wyjaśniło się wszystko. Jeden z tych uczynków dotyczył pana osobiście. Mikołaj Wsiewołodowicz potem, po wyzdrowieniu, był u pana na skutek mojej prośby. Wiem, że i przedtem nieraz z panem rozmawiał. Niech mi pan powie otwarcie i bez żadnej ceremonii... (tu zawahała się chwilę) co pan wtedy myślał o Mikołaju Wsiewołodowiczu... Co pan w ogóle o nim sądził, jakiego był pan o nim zdania wtedy... i teraz.”

Tu już zmieszała się na dobre, nawet zamilkła na chwilę i poczerwieniała. Przestraszyłem się. Rozpoczęła znowu tonem, nie powiem, wzruszającym, gdyż to nie pasuje do niej, lecz takim... jakoś przekonywającym:

„Chcę, mówi, aby pan mnie dobrze zrozumiał. Posłałam po pana, gdyż uważam pana za człowieka bystrego i spostrzegawczego, człowieka, którego obserwacje mogą być trafne (jakie komplementy!). Zrozumie pan także, mówi, że z panem rozmawia matka... Mikołaj Wsiewołodowicz przeszedł w życiu wiele nieszczęść i katastrof. Wszystko to mogło mieć wpływ na równowagę jego umysłu. Nie myślę o obłędzie, to niemożliwe (powiedziała to mocno i dumnie). Lecz mogło być coś dziwnego, specyficznego, jakiś zwrot myśli, skłonność do pewnych specjalnych poglądów (powtarzam dosłownie, Stiepanie Trofimowiczu, i prawdę mówiąc, zdziwiłem się, że Barbara Pietrowna umie tak ściśle formułować swoje myśli; umysł, panie, wybitny!). Sama, mówi, zauważyłam w nim pewien stały niepokój i tendencję do specjalnych dziwactw. Lecz ja jestem matką, a pan - człowiekiem obcym. Może więc pan, przy swoim rozumie,

wytworzyć sobie sąd niezależny.

104

Błagam pana wreszcie (tak było powiedziane wyraźnie: błagam!), aby mi pan powiedział całą prawdę, bez żadnych niedomówień, a jeśli przy tym obieca mi pan, że nie zapomni nigdy, iż rozmawiałam z panem poufnie, może pan liczyć, że zawsze, przy każdej sposobności, będę gotowa całkowicie odwdziżyć się panu.” Co, dobre?

- Pan... pan tak mnie zdumiał - wybąkał Stiepan Trofimowicz - że już panu nie wierzę...

- Ale zwróćcie, panowie, uwagę - mówił dalej Liputin, jak gdyby nie słysząc słów Stiepana Trofimowicza - jakiego trzeba było niepokoju i trwogi, aby z takich wyżyn zwracać się z podobnym pytaniem... do kogo? - do mnie! i tak się poniżyć, by prosić o zachowanie tajemnicy. Co w tym może się kryć? Czy nie przyszły jakieś nieoczekiwane wieści o Mikołaju Wsiewołodowiczu?

- Nic nie wiem... żadnych wiadomości... od kilku dni nie widziałem... ale... ale powiem panu - bełkotał Stiepan Trofimowicz nie mogąc, jak widać, dać sobie rady z myślami - ale powiem panu, że jeżeli pytano pana poufnie, a pan teraz przy wszystkich...

- Najzupełniej poufnie! Niech mnie Bóg skarzę, jeżeli komukolwiek... A tu, to cóż takiego? Czy nie jesteśmy sami swoi, wliczając nawet Aleksego Niłycza?

- Nie podzielam takiego poglądu. Niewątpliwie my trzej dochowamy tajemnicy, lecz pana, czwartego, boję się i nie wierzę panu ani trochę.

- Co też pan mówi! Przecie to właśnie ja najbezpośredniej jestem zainteresowany; przecie to mnie obiecano wdzięczność do grobu! A ja z tej racji chciałem jeszcze zwrócić uwagę na jeden bardzo dziwny epizod, że tak powiem, a może raczej psychologiczny niż dziwny. Wczoraj wieczorem, pod wrażeniem rozmowy z Barbarą Pietrowną (pan rozumie, jak silne wrażenie musiało to na mnie wywrzeć), zwróciłem się do Aleksego Niłycza z dyskretnym pytaniem. „Pan, mówię, znał Mikołaja Wsiewołodowicza i za granicą, i przedtem, jeszcze w Petersburgu. Niech mi pan powie, co pan sądzi o jego umyśle i o jego zdolnościach.” A Aleksy Niłycz odpowiada lakonicznie, swoim zwyczajem: „Człowiek to, niby Mikołaj Wsiewołodowicz, bystrego umysłu i trzeźwych zapatrywań.” „A nie zauważył pan nigdy, pytam dalej, jakiegoś dziwnego

105

zwrotu myśli i skłonności do pewnych, że tak powiem, specjalnych poglądów, słowem, do obłądzenia?” Powtarzam tak dosłownie pytanie Barbary Pietrowny. A Aleksy Niłycz zamyślił się raptem, zmarszczył czoło tak jak teraz i mówi: „Owszem, czasem wydawało mi się, że w tym jest coś dziwnego...” Niech pan zechce zwrócić uwagę, że jeżeli nawet Aleksemu Niłyczowi wydawało się coś dziwnym, to czym może się to okazać w rzeczywistości?

- Czy to prawda? - zwrócił się Stiepan Trofimowicz do Kiryłowa.

- Wolałbym o tym nie mówić - odparł Aleksy Niłycz podnosząc głowę i błyskając oczyma. - Odmawiam panu prawa, panie Liputin. Pan nie ma prawa z tego powodu o mnie... Ja panu nie mówiłem, co ja myślę. Znam Mikołaja Wsiewołodowicza z Petersburga, ale to było dawno. Teraz spotykałem go, ale mało znam. Proszę mnie do tego nie mieszać i... to wszystko brzmi jak plotka.

Liputin rozłożył ręce z miną uciemżonej niewinności.

- Plotkarz! A może od razu szpieg? Dobrze panu, Aleksy Niłyczu, krytykować, gdy pan się usuwa od wszystkiego. Ale niech mi pan wierzy, Stiepanie Trofimowiczu, że nawet kapitan Lebiadkin - a on już taki głupi, aż wstyd powiedzieć, jaki głupi; jest takie rosyjskie porównanie na określenie stopnia głupoty... nie wypada powtórzyć, ale przecież i on uważa siebie za obrażonego przez

Mikołaja Wsiewołodowicza, chociaż zachwyca się jego sprytem: „Zdumiewa mnie ten człowiek: przebiegły wąż (to własne jego słowa).” A ja go pytam (wciąż pod wrażeniem tamtej rozmowy i już po rozmowie z Aleksym Niłyczem): „A co pan myśli, kapitanie, czy nasz przebiegły wąż jest normalny, czy obłąkany?” Uwierzy pan, jakbym go batem śmignął zniecka. Zerwał się z krzesła: „Tak, mówi, bardzo możliwe, ale to nie ma żadnego wpływu!” O jakim wpływie myślał, nie powiedział. Tylko zamyślił się, tak się zamyślił, aż wytrzeźwiał. Siedzieliśmy w szynku Filippowa. Po jakiejś półgodzinie uderzył nagle pięścią w stół. „Tak, mówi, prawdopodobnie obłąkany, ale to nie może mieć żadnego wpływu”. I znowu nie powiedział, o co mu chodzi. Rozumie się, że powtarzam panu tylko istotę rozmowy, lecz myśl jest zrozumiała; każdego, kogo zapytam, uderza wciąż ta sama myśl: „Tak, chyba obłąkany, bardzo mądry, lecz może i obłąkany.”

106

Stiepan Trofimowicz siedział w zadumie i usilnie nad czymś myślał.

- A skąd Lebiadkin wie?

- O to niech pan raczy zapytać Aleksego Niłycza, który przed chwilą nazwał mnie szpiegiem. Ja - szpieg, ale nie wiem o niczym. A Aleksy Niłycz zna podłoże sprawy i milczy.

- Nic nie wiem... prawie nic - nerwowo odpowiadał inżynier. - Pan upija Lebiadkina, aby się czegoś dowiedzieć. I mnie przyprowadził pan tu, aby się czegoś dowiedzieć, żebym coś powiedział. To znaczy, że jest pan szpiegiem!

- Upijać to jeszcze nie upijałem, proszę pana, szkoda pieniędzy na niego razem z jego sekretami. Funta kłaków nie są dla mnie warte, nie wiem, jak dla pana. Przeciwnie, to on szasta pieniędzmi; przed dwunastu dniami przyszedł do mnie prosić o piętnaście kopiejek, a teraz częstuje mnie szampanem. On mnie, a nie ja jego. Lecz pan podsunął mi myśl i gdy trzeba będzie, to go spoję, tak spoję, aby z niego coś wydobyć, i dowiem się... o wszystkich waszych sekre-cikach - zjadliwie odgryzł się Liputin.

Stiepan Trofimowicz patrzył w zdumieniu na nich obu. Obaj zdradzali się zupełnie otwarcie. Pomyślałem, że Liputin po to właśnie sprowadził do nas Kiryłowa, aby wybadać go za pośrednictwem osób trzecich. Był to zwykły jego manewr.

- Aleksy Niłycz zna Mikołaja Wsiewołodowicza aż nadto dobrze - ciągnął Liputin w rozdrażnieniu - lecz ukrywa to. A kapitan Lebiadkin poznał go dawniej niż my wszyscy, jeszcze w Petersburgu, przed pięciu, sześciu laty w tej, powiedziałbym, mało zbadanej epoce życia Stawrogina, gdy on nie zamierzał nawet uszczęśliwić nas swoim przyjazdem. Trzeba dodać, że w tamtym okresie nasz książę zawierał dziwne znajomości. Wtedy też zapoznał się z Aleksym Niłyczem.

- Strzeż się pan, panie Liputin. Uprzedzam, że Mikołaj Wsiewołodowicz sam tu przyjedzie. A on potrafi stanąć we własnej obronie.

- A cóż ja? Pierwszy krzyczę, że to człowiek o umyśle ogromnie bystrym i wytwornym, i Barbarę Pietrownę zupełnie uspokoiłem w tym względzie. „Tylko za charakter

107

jego, mówię, nie mogę ręczyć.” A Lebiadkin wczoraj to samo: „Padłem ofiarą jego charakteru.” Ach, Stiepanie Trofimowiczu, dobrze panu krzyczyć, że to plotki i szpiegostwo, i to po tym, czego pan sam z takim niezwykłym zaciekawieniem ode mnie wysłuchał. A Barbara Pietrowna trafiła wczoraj w sedno rzeczy: „Pan sam jest zainteresowany osobiście i dlatego do pana się zwracam.” Ależ naturalnie! O jakich tu zamiarach mówić, gdy sam musiałem znieść obelgę od jego ekscelencji przy wszystkich! Mam chyba dostateczne powody i nie o plotki mi chodzi. Dziś ściska ci dłoń, a jutro za twoją gościnność ni z tego, ni z owego bije cię po twarzy, jak mu się żywnie podoba, przy wszystkich. Za dobrze mu się powodzi! Rzecz główna dla niego to płeć piękna.

Motyłki i odważne koguciki! Dziedzice ze skrzydełkami jak u amorków, Pieczorinowie,⁹ pozeracze serc! Dobrze tak mówić panu, Stiepanie Trofimowiczu, pan jest zawziętym kawalerem, i za jego ekscelencję nazywać mnie plotkarzem! Ale niechby się pan ożenił z jakąś młodą ładną dziewczyną, zaraz zamknąłby pan drzwi przed księciem na hak i opasał dom barykadami! Co tu gadać! Gdyby tylko ta mademoiselle Lebiadkin, którą kapitan ćwiczy nahajem, nie była wariatką i kuternogą, to, jak Boga kochani, pomyślałbym, że jest ofiarą namiętności naszego generała i że z tego powodu ucierpiała „duma rodzinna kapitana Lebiadkina”, jak on się sam wyraża. Może tylko nie dogadzała zmysłowi estetycznemu księcia, ale jemu i to nie przeszkadza. Każda jagódka dobra, byle trafiła na odpowiednią chwilę. Pan mówi o plotkach, a czy to ja krzyczę? To całe miasto krzyczy! Ja tylko potakuję, a to chyba wolno każdemu.

- Miasto krzyczy? O czym miasto krzyczy?

- To znaczy, kapitan Lebiadkin wrzeszczy po pijanemu na całe miasto, a to przecie wszystko jedno, to tak, jakby ulica krzyczała. Cóż ja jestem winien? Mówię o tych rzeczach tylko w gronie przyjaciół, gdyż mimo wszystko uważam panów za przyjaciół - ogarnął nas niewinnym spojrzeniem. - Tu coś zaszło: wygląda na to, że jego ekscelencja wysłał jeszcze ze Szwajcarii, za pośrednictwem pewnej najczcigodniejszej panny, skromnej sieroty, którą mam honor znać, trzysta rubli dla kapitana Lebiadkina. A kapitan Lebiadkin wkrótce potem dowiedział się najdokładniej, nie powiem od kogo, ale także od najczcigodniejszej osoby, że

108

wysłano mu tysiąc rubli, a nie trzysta! „A więc - woła Le-biadkin - szlachetna dziewczica przywłaszczyła sobie siedemset rubli”, i chce tę sumę odebrać przez policję, przynajmniej grozi i krzyczy na całe miasto...

- To podłość z pańskiej strony! - zerwał się z krzesła inżynier.

- Ależ to pan właśnie jest tą najczcigodniejszą osobą, która potwierdziła Lebiadkinowi w imieniu Mikołaja Wsie-wołodowicza, że wysłano tysiąc, a nie trzysta rubli. Przecież sam kapitan po pijanemu wygadał się przede mną.

- To... okropne nieporozumienie. Ktoś się pomylił i stąd cała historia... To bzdury, a z pana strony podłość!

- Ale i ja chciałabym wierzyć, że to nieprawda. Słuchałem z prawdziwą przykrością. No bo jakże! Najszlachetniejsza dziewczyna wplątana, po pierwsze, w sprawę siedmiuset rubli, a po drugie, podejrzana o oczywistą zażyłość z Mikołajem Wsiewołodowiczem. A dla ekscelencji to fraszka pohańbić najprzystojniejszą dziewczynę lub zbezczęścić cudzą małżonkę, jak to się zdarzyło wtedy ze mną. Nawinie się potem jakiś wspaniałomyślny człowiek, a on mu każe pokryć cudze grzechy swym uczciwym nazwiskiem. Sarn tego wszystkiego doznałem; sam o sobie mówię...

- Strzeż się pan, panie Liputin! - Stiepan Trofimowicz wstał z fotek i zbladł.

- Niech pan nie wierzy, niech pan nie wierzy! Ktoś się omylił, a Lebiadkin pijanica... - krzyczał inżynier w silnym podnieceniu. - Wszystko się wyjaśni... a ja już nie mogę... uważam to za podłość... dosyć już, dosyć!

Wybiegł z pokoju.

- Ach, pan już idzie? To i ja z panem! - zerwał się Liputin w popłochu i pobiegł za Kiryłowem.

VII

Stiepan Trofimowicz postął chwilę w zadumie, popatrzył na mnie nie widzącym wzrokiem, wziął kapelusz, laskę i wolnym krokiem wyszedł z pokoju. Ruszyłem za nim. Dopiero przy bramie

zauważył, że mu towarzyszę, i powiedział :

109

- Ach, tak, może pan być świadkiem... de l'accident. Vous m'accompagnez, nest-ce pas?*

- Stiepanie Trofimowiczu! Czyżby pan znowu szedł tam? Niech pan się zastanowi, co z tego może wyniknąć.

Z żalonym, zagubionym uśmiechem - uśmiechem wstydu i głębokiej rozpacz, splecionej, rzecz dziwna, z niezwykle zachwytem, szepnął mi zatrzymując się na chwilę:

- Przecież nie mogę żenić się z „cudzymi grzechami”!

Na to tylko czekałem. Padło wreszcie po tygodniu wykretów i przemilczeń to najgłębsze, ukrywane przede mną słowo. Straciłem całą równowagę.

- I taka brudna myśl, taka... podła myśl mogła powstać w panu, w Stiepanie Wierchowieńskim, w pana jasnym umyśle, w pana dobrym sercu, i to... jeszcze przed wizytą Liputina!

Spojrzał na mnie, nie odpowiedział i poszedł dalej. Nie chciałem go opuszczać. Chciałem być świadkiem wobec Barbary Pietrowny. Wybaczyłbym mu, gdyby nawet przez swoją babską podatność na wpływy uwierzył Liputinowi, lecz teraz jasne było, że wymyślił to wszystko jeszcze przedtem, a Liputin tylko utrwalił podejrzenia, dolał oliwy do ognia. Nie zawahał się rzucić podejrzenia na tę dziewczynę od pierwszego dnia, nie mając żadnych podstaw, nawet tych, których mu udzielił Liputin. Despotyczną akcją Barbary Pietrowny wytłumaczył chęcią pokrycia szlacheckich grzeszków ukochanego synka ślubem z poważnym człowiekiem. Chciałem koniecznie, aby został za to ukarany.

- O, Dieu, qui es si grand et si bon.** Ach, któż mnie pocieszy! - zawołał przeszedłszy ze sto kroków i zatrzymał się znienacka.

- Chodźmy zaraz do domu, wytłumaczę panu wszystko - zawołałem starając się siłą go.zawrócić.

Wtem rozległ się świeży, rzeński, młody głos, zupełnie jak muzyka:

- To on! Stiepanie Trofimowiczu, to pan? Pan?

Ani zauważyliśmy, jak zbliżyła się do nas amazonka, Liza-wieta Nikołajewna, ze swym stałym towarzyszem. Zatrzymała konia.

• ...wydarzenia. Będzie mi pan towarzyszył, prawda? ** O Boże, który lestes tak wielki i tak dobry !

110

- Prędeż, prędeż, niechże pan podejdzie! - wotała głośno i wesoło. - Już dwanaście lat nie widziałam pana, a poznałam od razu. A pan... Czy pan mnie poznaje?

Stiepan Trofimowicz chwycił jej dłoń, wyciągniętą ku niemu, i złożył na niej długi pocałunek. Patrzył na Liza-wietę rozmodlonym wzrokiem i nie był w stanie wymówić ani słowa.

- Poznał i cieszy się... Maurycy Nikołajewiczu, jest zachwycony, że mnie widzi! Czemu pan do nas nie przyszedł dotychczas? Już dwa tygodnie... Ciocia zapewnia, że pan chory i że nie wolno pana niepokoić. Ale ja wiem, że ciocia kłamie. Tupałam nogami ze złości i wymyślałam panu, ale chciałam koniecznie, koniecznie, żeby pan sam przyszedł. Dlatego nie posyłałam po pana. Boże! Pan się wcale nie zmienił! - przyglądała mu się, pochylona w siodle. - Zupełnie taki sam! Ach, nie! są już zmarszczki, dużo zmarszczek przy oczach i na policzkach, i trochę siwych włosów... Ale oczy te same! A ja - zmieniłam się? Prawda? Czemu pan wciąż milczy?

Przypomniało mi się opowiadanie, że Liza była prawie chora, gdy jako jedenastoletnią

dziewczynkę wywożono ją do Petersburga. W czasie choroby płakała wciąż i dopytywała się o Stiepana Trofimowicza.

- Pani... ja... - bąkał coś głosem rwącym się z radości. - Wołałem przed chwilą: „Któż mnie pocieszy?”, i rozległ się twój głos... Uważam to za cud et je commence d croire*.

- En Dieu? En Dieu, gm est Id haut et gui est si grand et si bon?*** Widzi pan, wszystko doskonale pamiętam. Maurycy Nikołajewiczu, jaką on mi wtedy głosił wiarę, en Dieu, qui est si grand et si bon! A pan pamięta opowiadania o tym, jak Kolumb odkrywał Amerykę i wszyscy krzyczeli: ziemia, ziemia! Niania, Alona Frołowna,10 mówiła mi, że nieraz w nocy bredziłam i krzyczałam przez sen: ziemia, ziemia! A pamięta pan, jak mi pan opowiadał historię księcia Hamleta? A pamięta pan, jak mi pan mówił, w jaki sposób przewożą emigrantów z Europy do Ameryki? To wszystko nieprawda, potem dowiedziałam się, że to wszystko inaczej, lecz jak pan mi cudownie

• zaczynam wierzyć ** W Boga? W Boga, który jest w niebie i który jest tak wielki i tak dobry?
111

kłamał! Maurycy Nikołajewiczu, to było ładniejsze od prawdy! Czego pan tak się wpatruje w Maurycego Nikołajewicza? To najlepszy i najwierniejszy człowiek na całej kuli ziemskiej i musi go pan pokochać jak mnie! fait tout ce que je veux* Ale, mój złociutki Stiepanie Trofimowiczu, pan jest znów nieszczęśliwy, skoro krzyczy pan na ulicy: „Któż mnie pocieszy?” Pan jest nieszczęśliwy? Prawda?

-Teraz jestem szczęśliwy...

- Ciocia krzywdzi? - mówiła dalej, nie słuchając go. - Ciągle ta sama zła, niesprawiedliwa, a nieoceniona ciocia? A pamięta pan, jak pan mi padał w objęcia w ogrodzie, a ja pocieszałam pana i płakaliśmy razem? Niechże się pan nie boi Maurycego Nikołajewicza, on wie wszystko, wszystko o panu, już od dawna, i może pan płakać na jego piersi, ile razy pan zechce, a on będzie stał bez ruchu! Niech pan zdejmie kapelusz, na jedną chwilę, niech pan wyciągnie głowę i stanie na palcach, a ja pocałuję pana w czoło, tak jak ostatnim razem, kiedy rozstawaliśmy się. Niech pan spojrzy, z jakim zachwytem patrzy na nas ta panna, tam w oknie... No, bliżej, bliżej! Mój Boże, jak pan posiwiął!

Schyliła się w siodle i pocałowała go w czoło.

- No, a teraz idziemy do pana! Wiem, gdzie pan mieszka! Zaraz, za chwilkę będę u pana. Złożę panu, uparciuchowi, pierwszą wizytę, a potem porywam pana na cały dzień do siebie. Niechże pan idzie, niech pan czeka na mnie u siebie!

Pokłusowała ze swym towarzyszem. Zawróciliśmy. Stiepan Trofimowicz siadł na kanapie i zaczął płakać.

- Dieu! Dieu! - łkał. - Enfin une minute de bonheur.*-* Zgodnie z obietnicą, za dziesięć minut już była, razem ze swym Maurycem Nikołajewiczem.

- Vous et le bonheur, vous arrivez en meme temps!*** - podniósł się na jej spotkanie.

- To bukiet dla -pana; byłam przed chwilą u madame Chevalier. Ona przez całą zimę ma kwiaty dla solenizantek. A oto Maurycy Nikołajewicz. Proszę się poznać. Chciałam

Robi wszystko, co chcę.

Boie, Boże (...) Wreszcie chwila szczęścia.

Pani i szczęście przybywacie jednocześnie!

112

przywieźć tort zamiast kwiatów, lecz Maurycy Nikołajewicz zapewnia, że to nie jest w duchu rosyjskim.

Maurycy Nikołajewicz był to kapitan artylerii, lat trzydziestu trzech, przystojny, wysoki mężczyzna o powierzchowności bez zarzutu. Miał wyraz twarzy poważny, nawet surowy, pomimo wyjątkowej delikatności i dobroci, które odczuwał każdy od pierwszej chwili zawarcia z nim znajomości. Był milczący, wydawał się chłodny i nie narzucał się nikomu. Niektórzy mówili potem, że nie odznaczał się inteligencją. Była to jednak opinia niezbyt sprawiedliwa.

Nie będę się rozwodził nad urodą Lizawiey Nikołajewny. Całe miasto już o niej mówiło, chociaż niektóre nasze panie i panny zaprzeczały z oburzeniem. Niejedna z nich już nienawidziła Lizawiey Nikołajewny, przede wszystkim za jej dumę. Panie Drozdów nie złożyły jeszcze wizyt prawie nikomu. Chociaż przyczyną zwłoki była istotnie niedyspozycja Praskowii Iwanowny, jednak wiele osób czuło urazę. Nienawidzono Lizawiey Nikołajewny za to także, że jest krewną gubernatorowej, a nawet za to, że jeździ co dzień konno. Dotychczas nie widywano u nas amazonek; rzecz prosta, że widok Lizawiey Nikołajewny, która cwałowała po mieście, a nie złożyła jeszcze wizyt, raził opinię publiczną; wiedziano wprawdzie, że jeździ konno z nakazu lekarzy, lecz o jej stanie zdrowia mówiono ze zjadliwym niedowierzaniem. Była zaś chora istotnie. Pierwszą rzeczą, która w niej uderzała, był nienormalny, nerwowy stały niepokój. Niestety! cierpiała bardzo, lecz wyjaśniło się to znacznie później. Dziś, kiedy wspominam rzeczy minione, już nie powiedziałbym, że jest skończoną pięknoscią, jak mi się wtedy zdawało. Może nawet wcale nie była ładna. Wysoka, szczupła, lecz zwinna i silna, rysy miała wyraźnie nieprawidłowe. Oczy krzywo jakoś osadzone, kałmuckie, twarz bladą, o wystających kościach policzkowych, chudą. Lecz było w tej twarzy coś pociągającego i porywającego! Gorące spojrzenie czarnych oczu zdradzało ukrytą moc. „Przychodziła jak zwycięzca i po to, żeby zwyciężać.” Wydawała się dumną, niekiedy nawet zuchwałą; nie wiem, czy potrafiła być dobrą; wiem, że bardzo tego chciała i że dręczyła siebie, zmuszając się do dobroci. Było .w tej naturze dużo pięknych porywów i szlachetnych zamiarów, lecz wszystko w niej

113

ciągle szukało równowagi, której nie znajdowało, wszystko było chaotyczne, falujące, niespokojne. Może zbyt wiele od siebie wymagała, nie mając dość siły, by sprostać tym wymaganiom.

Usiadła na kanapie i rozejrzała się po pokoju.

- Dlaczego w takich chwilach zawsze robi mi się smutno? Pan, jako uczony, niech to wytłumaczy! Myślałam przez całe życie, że już nie wiem jak będę szczęśliwa, gdy pana zobaczę, gdy wspomnę tamte lata - a zdaje mi się, że wcale nie czuję radości, chociaż tak pana kocham... Boże wielki! Pan ma mój portret! Wisi na ścianie! Niechże go pan bliżej pokaże, pamiętam, pamiętani.

Wyborny akwarelowy portrecik dwunastoletniej Lizy Stiepan Trofimowicz otrzymał od Drozdów z Petersburga przed dziewięciu laty. Odtąd zawsze wisiał na ścianie w jego pokoju.

- Czy naprawdę byłam taką ładną dziewczynką? Czy to moja twarz?

Wstała i podeszła do lustra z portretem w ręku.

- Niech pan go sobie zabiera! - zawołała oddając portret. - Niech pan teraz nie wiesz, potem; nawet patrzeć nie chcę. - Znowu siadła na kanapie. - Minęło jedno życie, rozpoczęło się drugie, minęło drugie, rozpoczęło się trzecie, i tak bez końca. Wszystkie końce ktoś nożyczkami obcina. Widzi pan, opowiadam stare bajki - a jednak, ile w tym prawdy!

Spojrzała na mnie z uśmiechem; już parokrotnie spoglądała na mnie, lecz Stiepan Trofimowicz w swym podnieceniu zapomniał nawet, że obiecał mnie przedstawić.

- A dlaczego mój portret wisi pod kindzalami? I dlaczego tu tak dużo kindżałów i szabel?

Istotnie na ścianie wisiały, nie wiem z jakiego powodu, dwa kindzały złożone na krzyż, a nad nimi szabla czerkieska. Pytanie skierowała jak gdyby wprost do mnie; chciałem nawet coś

odpowiedzieć, lecz powstrzymałem się. Stiepan Trofimowicz domyślił się wreszcie, że należy mnie przedstawić.

- Wiem, wiem - powiedziała. - Bardzo mi miło. I mama słyszała o panu. Niech się pan pozna z Maurycem Niko-lajewiczem. Cudowny człowiek. O panu już nawet wyrobiłam sobie pewną opinię; pan jest agentem Stiepana Trofi-mowicza.

114

Zaczerwieniłem się.

- Ach, przepraszam pana. Chciałam powiedzieć inne słowo, nie takie śmieszne, lecz... (zawstydzila się i rumieniec oblał jej twarz). A zresztą dlaczego pan ma się wstydzić, że jest przezacnym człowiekiem? Ale czas już na nas, Maurycy Nikołajewiczu! Stiepanie Trofimowiczu! Punktualnie za pół godziny ma pan być u nas! Tyle mamy sobie do powiedzenia! Teraz ja już będę pańską powierniczką we wszystkim, rozumie pan, we wszystkim...

Stiepan Trofimowicz był przerażony.

- O, Maurycy Nikołajewicz wie wszystko, niech się pan nim nie krępuje!

- Co „wszystko”?

- Jak to co? - zawołała zdziwiona. - Ależ prawda, oni to ukrywają. Nie chciałam wierzyć. I Daszę gdzieś chowają. Ciocia onegdaj nie chciała mnie puścić do niej. Mówi, że głowa ją boli!

- Dobrze... ale jak się pani dowiedziała?

- Mój Boże, ależ tak samo jak wszyscy! Wielka mi mądrość!

- Czyżby już wszyscy?...

- Rzecz prosta! Mama dowiedziała się najpierw od mojej niańki, Alony Frołowny; do niej zaś przybiegła pańska Na-stasja. Przecież pan opowiadał Nastasji? Mówi, że sam pan jej wszystko opowiedział.

- Ja... ja wspomniałem kiedyś - zmieszał się Stiepan Trofimowicz, cały w pąsach - i tylko wspomniałem. Jetais si nerveux et malade et puis...*

Parsknęła śmiechem.

- A powiernika nie było pod ręką. A tu nawinęła się Nastasja - i już dosyć! Nastasja jest pokumana z całym miastem. Ale co to panu szkodzi; niech wiedzą, tym lepiej. Niechże pan prędzej przychodzi, u nas obiad jest wcześniej... Ach, zapomniałam - usiadła znowu - niech mi pan powie, kto to jest Szatow.

- Szatow? To brat Darii Pawłowny...

- Wiem dobrze, że brat; jaki pan doprawdy! - przerwała niecierpliwie. - Chcę wiedzieć, kto to taki, co to za człowiek.

• Byłem tak nerwowy i chory, a w dodatku. 8* 115

- Cest un pense-creux dici. Cest le meilleur et le plus irascible homme du monde.*

- Już słyszałam, że on jakiś dziwny. Ale nie o to mi chodzi. Podobno zna trzy języki, a w tej liczbie angielski, i może podjąć się prac literackich. W takim razie miałabym dla niego dużo roboty. Potrzebuję współpracownika. Im prędzej, tym lepiej! Czy zgodziłby się? Polecono mi go.

- O, rzecz prosta, et vous ferez un bienfait...**

- Ależ ja wcale nie dla bienfait, sama potrzebuję kogoś do pomocy.

- Znam dość dobrze Szatowa - odezwał się - i gdyby pani zechciała mi rozkazać, pójdę do niego

natychmiast.

- Doskonale! Niech mu pan powie, aby jutro był u mnie w południe. Dziękuję bardzo. Pan już gotów, Maurycy Niko-łajewiczu?

Odjechali. Pobiegłem natychmiast do Szatowa.

- Mon atni! - wołał za mną Stiepan Trofimowicz. - Niech pan koniecznie będzie dziś o dziesiątej lub jedenastej, gdy wrócę. Och, zbyt zawiniłem wobec pana... i wobec wszystkich, wszystkich.

VIII

Nie zastałem Szatowa w domu. Wpadłem za dwie godziny - znów go nie było. Dopiero o ósmej wróciłem do niego, aby się z nim rozmówić lub przynajmniej zostawić kartkę. Nie zastałem go i wtedy. Pokój jego był zamknięty, a mieszkał sam, bez sługi. Przyszło mi do głowy, by wpaść na dół do kapitana Lebiadkina i zapytać o Szatowa, lecz i tu drzwi były zamknięte. Żadnego światła, żadnego szmeru, głucho. Pod wrażeniem niedawnej rozmowy, z ciekawością przeszedłem obok drzwi Lebiadkina. Postanowiłem w końcu wpaść nazajutrz jak najwcześniej. Nie bardzo liczyłem na kartkę... Szatow mógł nie zwrócić na nią uwagi, a był uparty i wstydlivy. Zły z powodu niepowodzenia, już wychodziłem z bramy, gdy natknąłem się na Kiryłowa, który właśnie wchodził na pod-

- To taki tutejszy filozof. Najlepszy i najbardziej gwałtowny człowiek w świecie. ** i pani zrobi dobry uczynek...

116

worze. Pierwszy mnie poznał. Ponieważ sam zaczął wypytywać, opowiedziałem, o co mi chodzi i że mam przygotowaną kartkę.

- Chodźmy - powiedział - ja wszystko urządzę.

Przypomniałem sobie, że Kiryłow, według słów Liputina, zajął dziś rano drewnianą oficynę w podwórzu. W tej oficynie, zbyt dużej dla niego, mieszkała także jakaś stara, głucha babina, która mu usługiwała. Właściciel domu w swojej nowej posiadłości, przy innej ulicy, miał szynk, ta zaś staruszka, podobno jego krewna, doglądała starego domu. W pokoju, do któregośmy weszli, była jakaś zbieranina mebli najrozmaitszych rodzajów, bez żadnej wartości: dwa stoliki do kart, komoda olchowa, duży drewniany stół jakby kuchenny, krzesła i kanapka, wyplatane, z twardymi skórzanymi siedzeniami. W rogu wisiała stara ikona, przed którą paliła się lampka oliwna, na ścianach - dwa duże portrety; jeden przedstawiał zmarłego cesarza Mikołaja I i pochodził z lat dwudziestych naszego stulecia, drugi - jakiegoś archijereja.

Kiryłow wszedłszy do pokoju zapalił świecę i wydobyl ze stojącego w kącie kufra, nie rozpakowanego dotychczas, kopertę, lak i kryształową pieczętkę.

- Niech pan zapieczętuje list i napisze adres na kopercie. Tłumaczyłem, że to zbyteczne, lecz nastawał. Zakleiwszy kopertę, wziąłem czapkę.

- A ja sądziłem - zatrzymał mnie - że może pan herbaty... Kupiłem... Chce pan?

Zgodziłem się. Babina przyniosła wkrótce duży imbryk z gorącą wodą, mały imbryczek z obficie zaparzoną herbatą, dwie proste, ordynarnie pomalowane filiżanki, bułkę i cały talerz rąbanego cukru.

- Lubię herbatę w nocy! - mówił Kiryłow - chodzę po pokoju i piję, do świtu; za granicą to nie przyjęte.

- Pan się kładzie o świcie?

- Zawsze, od dawna. Jadam mało; ciągle herbata. A Li-putin jest przebiegły, lecz zbyt niecierpliwy. Zdziwiło mnie, że ma ochotę rozmawiać. Postanowiłem wykorzystać tę chwilę.

- Wynikły przykre nieporozumienia - odezwałem się. Zachmurzył się bardzo.

- To głupstwo. To drobiazg. To drobiazg, gdyż Lebiad-kin po pijanemu... Nie mówiłem wcale Liputinowi, lecz

117

tylko wyjaśniłem to i owo, a on przekreślił. Liputin ma dużo fantazji. Z niczego cały gmach zbudował. Wczoraj wierzyłem mu.

- A dziś mnie pan wierzy - zaśmiałem się.

- Afeż pan już wie o wszystkim po tamtej rozmowie. Liputin jest albo słaby, albo niecierpliwy, albo szkodliwy, albo... zazdrości.

Uderzyło mnie ostatnie słowo.

- Pan wysunął tyle przypuszczeń, że na pewno jedno z nich musi być słuszne.

- Albo wszystkie.

- I to możliwe. Liputin to chaos. Czy prawda, że kłamał onegdaj, gdy mówił, że pan ma zamiar pisać jakieś studium?

- Dlaczego pan myśli, że kłamał? - zachmurzył się Ki-riłow i utkwiał oczy w podłogę.

Przeprosiłem go i zacząłem zapewniać, że bynajmniej nie miałem zamiaru go badać. Poczerwieniał.

- Mówił prawdę; piszę. Ale to obojętne. Milczeliśmy przez chwilę. Wtem znowu dziecinny uśmiech ukazał się na jego twarzy.

- O tym milionie głów to on sam wymyślił. Wziął z jakiejś książki i sam pierwszy o tym mi mówił. A rozumie źle. Ja tylko szukam przyczyny, dlaczego ludzie boją się samobójstwa. Tylko tyle. Mniejsza o to.

- Jak to „boją się”? Czy mało jest samobójstw?

- Bardzo mało.

- Naprawdę pan tak sądzi ?

Nie odpowiedział, zerwał się z krzesła i zaczął biegać po pokoju.

- Cóż, zdaniem pańskim, powstrzymuje ludzi od samobójstwa? - spytałem.

Spojrzał na mnie z roztargnieniem, jakby przypominając sobie, o czym mówiliśmy.

- Ja... jeszcze nie wiem dokładnie. Dwa przesady. Dwie rzeczy; tylko dwie. Jedna bardzo duża, druga bardzo mała. Ale i ta mała jest także duża.

- Jakaż przede wszystkim jest ta mała?

- Ból.

- Ból? Czy to takie ważne... w tym wypadku?

- Najważniejsze. Są dwa rodzaje. Jedni zabijają siebie

albo z powodu rozpacz, albo w gniewie, albo w obłędzie - to wszystko jedno. Ci - od razu. Ci nie myślą o bólu, lecz od razu. A ci, którzy to robią z rozsądku - myślą wiele.

- Czy są tacy, którzy z rozsądku?

- Bardzo wielu. Gdyby nie było przesady, jeszcze więcej by ich było, bardzo dużo - wszyscy.

- Czyżby aż wszyscy ? Zamilkł.

- Czyżby nie można było umrzeć bez bólu?

- Niech pan sobie wyobrazi - zatrzymał się przede mną - kamień, olbrzymiej wielkości, jak duży dom. Kamień wisi, a pan stoi pod nim; gdy spadnie panu na głowę, czy będzie bolało?

- Kamień? Taki jak dom? Rzecz prosta - strach bierze.

- Ja nie o strach pana pytam. Czy będzie bolało?

- Kamień jak góra? Milion pudów? Oczywiście, że nie.

- Ale niech pan stanie naprawdę, to póki kamień wisi, będzie się pan bał bólu. Największy uczony, najlepszy lekarz, wszyscy, wszyscy będą się strasznie bali. Każdy będzie wiedział, że nie będzie bólu, lecz każdy będzie się bał bólu.

- Dobrze, a druga przyczyna? Ta duża?

- Tamten świat.

- Kara.

- To wszystko jedno. Tamten świat. Po prostu tamten świat.

- Czy nie ma takich ateistów, którzy zupełnie nie wierzą w życie pozagrobowe? Znowu nie odpowiedział.

- Może pan po sobie sędzi?

- Każdy sędzi tylko po sobie - rzekł czerwieniejąc. - Wolność nastąpi wtedy dopiero, gdy już będzie wszystko jedno: żyć czy umierać. Oto jedyny cel.

- Cel? Ale może wtedy nikt nie zechce żyć?

- Nikt - powiedział stanowczym głosem.

- Człowiek boi się śmierci, gdyż kocha życie - zauważyłem nieśmiało - tak to rozumiem i takie jest prawo przyrody.

- Właśnie to jest podłość i w tym całe oszukaństwo! - błysnęły mu oczy. - Życie to ból, życie to strach, dlatego właśnie człowiek jest nieszczęśliwy. Teraz wszystko jest bó-

119

lem i strachem. Teraz człowiek kocha życie, bo kocha ból i strach. Tak to jest urządzone. Życie dane jest człowiekowi za cenę bólu i strachu, i w tym całe oszukaństwo. Człowiek nie jest jeszcze prawdziwym człowiekiem. Przyjdzie inny człowiek, szczęśliwy i dumny. Będzie mu wszystko jedno: żyć czy umierać - ten będzie nowym człowiekiem. Kto zwycięży ból i strach, sam stanie się bogiem. A tamtego Boga już nie będzie.

- Więc myśli pan jednak, że tamten Bóg istnieje?

- Nie ma Go, ale jest. W kamieniu nie ma bólu, lecz w strachu przed kamieniem jest ból. Bóg jest bólem strachu przed śmiercią. Kto zwycięży ból i strach, sam stanie się bogiem. A wtedy nowe życie, a wtedy nowy człowiek, wszystko nowe... Historię będą dzielili na dwa okresy: od goryla do strącenia Boga i od strącenia Boga do...

- Do goryla?

- ... do fizycznego przekształcenia się ziemi i człowieka. Człowiek będzie bogiem i przerodzi się fizycznie. I świat cały się zmieni, zmienią się rzeczy ludzkie, myśli, uczucia. Jak pan sądzi, czy człowiek zmieni się fizycznie?

- Jeżeli będzie wszystko jedno: żyć czy umierać, to wszyscy zabiją siebie, i to może będzie owa cała zmiana.

- To wszystko jedno. Zabiją, kłamstwo. Każdy, ktę pragnie głównie wolności, winien mieć odwagę zabić siebie. Kto ma odwagę zabić siebie, ten posiadał tajemnicę oszustwa. Poza tym nie ma wolności; w tym wszystko - a poza tym nie ma nic. Kto ma odwagę zabić siebie - jest bogiem. Każdy może zrobić tak, że nie będzie Boga i nic nie będzie. Lecz jeszcze tego nikt nie dokonał.

- Były już miliony samobójstw.

- Ale wszystkie nie takie, że strachem i nie w tym celu. Nie po to, aby zabić strach. Kto zabije siebie tylko w tym celu, aby zabić strach, stanie się bogiem.

- Może nie zdąży - zauważyłem.

- To wszystko jedno - odparł cicho, ze spokojną dumą, prawie pogardliwie. - Przykro mi, że pan się z tego śmieje - dodał po chwili.

- Nie. Ja się dziwię, że wtedy, u Stepana Trofimowicza, był pan taki rozdrażniony, a teraz mówi pan tak spokojnie, chociaż gorąco.

1 120

- Wtedy? Wtedy to było śmieszne - odpowiedział z uśmiechem. - Nie lubię nikogo oskarżać i nigdy się nie śmieję - dodał smutno.

- -Tak... Niewesoło pan spędza noce przy herbacie! Wstałem i wziąłem czapkę.

- Tak pan sądzi? - uśmiechnął się z pewnym zdziwieniem. - Dlaczego? Nie, ja... ja nie wiem - zmieszał się raptem. - Nie wiem, jak inni, lecz czuję, że ja nie mogę tak jak wszyscy. Inni myślą raz o tym, a za chwilę już o czymś innym. Ja zaś nie mogę o niczym innym. Całe życie tylko o jednym. Bóg mnie męczył przez całe życie - dodał nagle z dziwnym uniesieniem.

- Niech mi pan powie, jeśli wolno, dlaczego pan niezupełnie prawidłowo mówi po rosyjsku? Czyżby pan zapomniał po pięciu latach pobytu tam, za granicą?

- Czy ja źle mówię? Nie wiem. Nie, to nie dlatego, że za granicą. Ja zawsze mówiłem tak samo... wszystko mi jedno.

- Jeszcze jedno drażliwe pytanie. Zupełnie panu wierzę, że niechętnie spotyka się pan z ludźmi i mało z nimi rozmawia. Dlaczego więc rozgadał się pan teraz ze mną?

- Z panem? Pan wtedy jakoś tak siedział i pan... zresztą, wszystko mi jedno... Pan jest bardzo podobny do mego brata, Bardzo, niesłychanie podobny - Kiriłłow miał rumieńce na twarzy. - Umarł przed siedmiu laty. Starszy ode mnie. Bardzo, bardzo podobny.

- Zapewne miał znaczny wpływ na pana?

- Nie. Rozmawiał rzadko. Prawie nic nie mówił. Ja odniosę pański list.

Wziął latarnię i odprowadził mnie do bramy, aby zamknąć ją za mną. „Naturalnie obłąkaniec” - pomyślałem w duchu. Przy bramie czekało mnie nowe spotkanie.

IX

Ledwo postawiłem nogę na wysokim progu furtki, gdy czyjaś mocna dłoń chwyciła mnie za pierś.

- Kto tu? - zaryczał czyjś głos. - Przyjaciół czy wróg?! Mów.

- To swój, swój! - rozległ się obok piskliwy głosik

• „... 121

Liputina. - To pan G-w, młodzieniec z klasycznym wykształceniem, posiadający stosunki w najwyższym towarzystwie.

- A-a! Lubię, jeżeli w najwyższym, kla-sycz... to znaczy najbardziej e-du-ko-wa-ny. Jestem dymisjonowany kapitan Ignacy Lebiadkin, do usług całego świata i przyjaciół... jeżeli są wierni,

jeżeli wierni, łajdacy!

Kapitan Lebiadkin, sążnisty chłop, barczysty, gruby, kędzierzawy, czerwony i niesłuchanie pijany, ledwo trzymał się na nogach i trudno mu było wymawiać słowa. Już go raz kiedyś z daleka widziałem.

- Ha, i ten! - ryczał znowu, zauważywszy Kiriliowa, który wciąż stał obok z latarnią. Podniósł pięść, lecz za chwilę opuścił.

- Wybaczam mu za uczość! Ignacy Lebiadkin, najbardziej e-du-ko-wa-ny...

Miłość granatu wybuchem Razi pierś Ignąca obuchem. I znów wylewał gorzkie żale Bezręki na Sewastopolskie fale.

- Chociaż nie byłem w Sewastopolu, a nawet bezrękim być nie mam zaszczytu, ale co to za rymy!

Podsuwał mi do pocałowania swoją zapijaczoną gębę.

- Ten pan się śpieszy, idzie do domu - uspokajał go Liputin. - Jutro powtórzy Lizawiecie Nikołajewnie.

- Lizawiecie!... - ryknął znowu. - Stój, nie pójdziesz! Słuchaj! Oto wariant:

DO AMAZONKI - GWIAZDY

Na koniku gwiazdka śmiga, W korowodzie amazonka miga. Do mnie śmieje się zdradziecko A-ry-stokratyczne dziecko.

Słuchaj, to hymn! To hymn, jeżeliś nie osioł. Idioci, nie rozumieją! Stój! - trzymał mnie za palto, chociaż usilnie starałem się wyjść za bramę. - Powiedz jej, że jestem rycerzem jej honoru, a Dasza... w dwóch palcach rozetrę Daszę...

Dziewka pańszczyźniana i nie ma prawa...

Upadł, gdyż szarpnąłem się z całej siły i pobiegłem ulicą. Liputin przyczepił się do mnie.

- Aleksy Niłycz pomoże mu wstać! Wie pan, czegom się od niego przed chwilą dowiedział? - mówił zdyszany. - Słyszał pan wiersze? On te wiersze włożył do koperty i posyła jutro z własnym podpisem do Lizawieity Nikołajewny. Dobry sobie!

- Mogę się założyć, że pan go namówił.

- I przegrałby pan! - śmiał się Liputin. - Zakochany, zakochany jak kot. A zaczęło się od nienawiści. Tak nienawidził zrazu Lizawieity Nikołajewny za te spacerki konne, że o mało nie zwymyślał jej na ulicy. A nawet wymyślał. Całe szczęście, że nie słyszała. A dziś raptem te wiersze. Czy pan uwierzy, że on ma zamiar się oświadczyć? Zupełnie serio!

- Dziwię się panu. Niech tylko zaśmierdzą gdzieś jakie brudy, pan już jest, i zawsze pan wszystkim kręci! - zawołałem z wściekłością.

- Jednakże pan się posuwa zbyt daleko, panie G-w. A może zadrzało serduszko ze strachu przed rywalem? Co?

- Co-o-o? - zawołałem przystając.

- A ja panu za karę nic więcej nie powiem! Chciałby pan wiedzieć, co? Dowiedzieć się na przykład, że ten bałwan to już nie prosty kapitan, lecz obywatel ziemski naszej guberni? Nawet dość solidny, gdyż Mikołaj Wsiewołodowicz sprzedał mu dopiero co cały swój majątek - liczył dawniej dwieście dusz! Jak Boga kocham, nie kłamię! Dowiedziałem się przed chwilą, z najpewniejszego źródła. A teraz niech pan sam głową kręci; nic więcej nie powiem. Do widzenia, łaskawy panie!...

Stiepan Trofimowicz oczekiwał mnie z histerycznym niepokojem. Wrócił sam przed godziną. Był jak pijany; w ciągu paru pierwszych chwil myślałem, że istotnie jest pijany. Niestety! Wizyta u Drozdowów zbiła go z pantafelów do reszty. .

123

- Mon ami, zupełnie zagubiłem już sens... Lise... kocham i szanuję jak dawniej tego anioła, właśnie tak samo jak dawniej; lecz wydaje mi się, że one chciały mnie zobaczyć tylko po to, żeby się czegoś dowiedzieć, czyli po prostu wyciągnąć ze mnie. A potem - możesz iść z Panem Bogiem... Nie inaczej.

- Jak panu nie wstyd! - zawołałem nie mogąc się opanować.

- Mój przyjacielu, jestem teraz zupełnie sam. Enfin cest ridicule.* Niech pan sobie wyobrazi, że i u nich roi się od tajemnic. Rzuciły się na mnie z pytaniami o tych nosach i uszach i innych, już petersburskich, breweriach. Przecież one, tu dopiero dowiedziały się o tutejszych historiach Mikołaja Wsiewołodowicza sprzed czterech lat. „Pan tu był, pan widział! Czy to prawda, że on wariat?” Jak powstała ta myśl, nie mam pojęcia. Dlaczego Praskowii tak na tym zależy, aby Nicolas okazał się wariatem? A zależy na tym babie, zależy! Ce Maurice, to znaczy ten Maurycy Nikołajewicz, brave homme tout de meme;** ale czy to możliwe, żeby zeznawał na jego korzyść? Po tym, gdy pierwsza napisała z Paryża do cette pauvre amie. Enfin*** ta Praskowia, jak ją nazywa cette chere amie, to typ; to nieśmiertelna Gogolowska Koro-boczka, ale zła, zawzięta, nieskończenie gorsza od oryginału.

- To już chyba cała korobka,12 ale czy możliwe, żeby była nieskończenie gorsza?

- Mniejsza o to. Niech mi pan nie przerywa, bo mi się ciągle kręci wszystko w głowie. Zupełnie się rozgadały. Liza - nie. Ta wciąż powtarzała: „Ciociu! Ciociu!” Ale Liza jest chytra, w tym coś jest. Tajemnica. Ze starą- pokłóciłem się. Cette pauvre ciocia jest wprawdzie despotką, lecz za wiele na nią się zważyło. I gubernatorowa, i zachowanie się całego towarzystwa, i brak szacunku ze strony Karmazinowa; a na dodatek ta myśl o obłąkaniu, ce Lipoutine, ce gnę je ne comprends pas... Słowem, okłady z octu na głowie, a tu jeszcze ja i pan, z tymi skargami i listami... Och, jakem ją dręczył - w takiej chwili! Je suis un ingrât!**** Niech pan sobie wyobrazi, wracam

- w końcu to śmieszne

-* to jednak zacny człowiek... tej biednej przyjaciółki... Wreszcie

Ta biedna (...) ten Liputin, nie rozumiem tego (...) Niewdzięcznik ze mnie!

124

do domu i zastaję list od niej - niech pan przeczyta! Och, jak nieszlachetnie z nią postąpiłem!

Podał mi otrzymany przed chwilą list Barbary Pietrowny. Prawdopodobnie pożałowała użytego dziś rano w liście zwrotu: „Proszę siedzieć w domu.” Liścik był uprzejmy, chociaż stanowczy i krótki. Prosiła do siebie Stiepana Trofimowicza na pojutrze, w niedzielę, w południe. Radziła przyprowadzić któregoś z przyjaciół (w nawiasie umieściła moje nazwisko). Sama obiecała zaprosić Szatowa, jako brata Darii Pawłowny. „Otrzyma pan od niej ostateczną odpowiedź, wystarcza to Panu? Czy ta właśnie formalność była Panu potrzebna?”

- Niech pan zwróci uwagę na to ostatnie zdanie o formalności. Biedna, biedna przyjaciółka całego mojego życia! Wyznam panu, że to nagle rozstrzygnięcie mojego losu oszołomiło mnie... Przymnam się, że nie traciłem wciąż nadziei, a teraz tout est dit. Wiem, że to już koniec, cest terrible!* Och! Gdybyż nie było tej niedzieli, gdyby wszystko zostało jak dawniej! Pan by przychodził do mnie, a ja bym tutaj...

- Pana wytrąciły z równowagi te wszystkie podłości i plotki Liputina...

- Mój przyjacielu, dotknął pan rany swym przyjacielskim palcem. Te przyjacielskie palce są zazwyczaj bezlitosne, a czasem bezmyślne, pardon, lecz wierzy mi pan, że o tamtych obrzydliwościach zapomniałem, zupełnie zapomniałem. Przez głupotę cały czas, tam u Lizy, starałem się być szczęśliwy i wmawiałem w siebie, że jestem szczęśliwy! Lecz teraz... teraz mówię o tej wspaniałomyślnej, ludzkiej, cierplivej wobec wszystkich moich wad kobiecie... właściwie niezupełnie cierplivej, bo ja też dobry jestem, z moim niestałym, brzydkim charakterem! Przecież ze mnie bezmyślne dziecko, z całym egoizmem dziecka, lecz bez jego niewinności. Dwadzieścia lat skakała koło mnie jak piastunka, cette pauore** ciocia, jak ją wdzięcznie nazywa Liza... A teraz, po dwudziestu latach, dziecko chce się żenić, ożeń je i ożeń, list za listem, a ona ma kompres z octu na głowie... no i wyprosiłem. W niedzielę będę już żonaty. Ładne żarty! A sam nastawiałem, wszystko powiedziane! (...) to straszne! ta biedna

125

listy pisałem. Zapomniałem powiedzieć: Lise ubóstwia Darię Pawłównę, tak mówf przynajmniej. Mówi o niej: „Cest im ange,* ale trochę zamknięta w sobie.” Doradzały mi obie, nawet Praskowia... Właściwie Praskowia nie doradzała. O, ile jadu w tej Korobocze! A i Lise właściwie odradzała: „Po co panu się żenić, czy nie dość panu naukowych rozkoszy?” Śmieje się. Przebaczyłem jej ten śmiech, gdyż i sama ma jakiś ciężar na sercu. „Pan jednak - mówią obie - nie może się obejść bez kobiety. Zacznie pan niedomagac, a ona wesprze pana, czy jak tam...” Mafoi,** ja sam także, siedząc z panem, myślałem wciąż, że przy końcu burzliwego żywota mojego zsyła mi ją Opatrzność i że ona mnie wesprze... enfin ktoś musi zająć się gospodarstwem. Patrz pan, jak tu u mnie naśmieczone, jak brudno, niedawno kazałem sprzątać. Książka jakaś leży na podłodze. La patrure omie*** zawsze się gniewała, że u mnie tyle śmiecia... O, teraz już nie będzie tu się rozlegał jej glos! Vingt ans! A one tam otrzymały jakieś listy anonimowe. Podobno Nicolas sprzedał Lebiadkinowi majątek. Cest wn monstre; et enfin**** co zacz ten Lebiadkin? Lise słucha, słucha... Jak ona słucha! Przebaczyłem jej śmiech, widziałem, jaką miała twarz słuchając. A ce Maurice, nie chciałbym być w jego obecnej roli, brane homme tout de me-me***** lecz trochę nieśmiały. Zresztą mniejsza o niego.

Umilkł. Zmęczył się, stracił wątek i siedział ze spuszczoną głową, nieruchomo utkwivszy znużony wzrok w podłodze. Skorzystałem z tej przerwy i opowiedziałem mu o mojej wizycie w domu Ftlippowa i w sposób szorstki i ostry wypowiedziałem moje zdanie, że istotnie siostra Lebiadkina (nie znałem jej dotychczas) mogła być przed laty jedną z ofiar Nicolas w tym zagadkowym okresie jego życia, o którym wspomniiał Liputin. Bardzo możliwe, że Lebiadkin otrzymuje od Nicolas pieniądze, i na tym koniec. Wszystko zaś o Darii Pawłownie to plotki, łajdackie wymysły Liputina. Tak przynajmniej zapewnia gorąco Kiriiłow, któremu nie mamy powodu nie wierzyć. Stiepan Trofimowicz wysłuchał moich zapewnień z roz-

• To anioł ** Doprawdy *** Biedna przyjaciółka

**** D**lieicia lat (...) To potwor, a wreszcie

***** to ,ednak dzielny człowiek

targnioną miną, jak gdyby nie obchodziło go to wcale. Przy sposobności powtórzyłem moją rozmowę z Kiriiłowem i dodałem, że to prawdopodobnie człowiek obłąkany.

- On nie jest obłąkany, lecz to są wszystko ludzie myślący na krótki dystans - odezwał się Stiepan Trofimowicz półsennie, prawie od niechcienia. - Ces gens-Id supposent la nature et la societe humaine autres que Dieu ne les a faites et atfelles ne sont reellement.* Takim ludziom inni nadskakują, ale Stiepan Wierchowieniński w żadnym wypadku nadskakiwać nie będzie. Widziałem ich wtedy w Petersburgu, avec cenę chere omie** (och, jakem ją wtedy krzywdził!) i nie

przestraszyły mnie ich obelgi ani nawet pochwały. Nie przestraszają mnie i teraz, mais parlons d'autre chose...*** Mam wrażenie, że narobiłem strasznych głupstw, wczoraj posłałem list do Darii Pawłowny... i przeklinam siebie za to!

- O czymże pan pisał do niej?

- Ach, wierz mi, przyjacielu, że wszystko robiłem z pobudek najszlachetniejszych. Zawiadomiłem ją, że przed pięcioma dniami napisałem do Nicolas, równie szlachetnie.

- Rozumiem teraz! - zawołałem gorąco. - Kto panu dał prawo zestawiać tak owe osoby?

- Ale mañ cher, niech pan mnie nie przygniata tak ostatecznie, niech pan nie krzyczy na mnie. Już i tak jestem zgnieciony jak... jak robak, ale myślę w końcu, że to wszystko takie szlachetne. Niech pan sobie na chwilę wyobrazi, że istotnie coś tam było... en Suisse...**** Albo zaczynało się. Przecież mam obowiązek wysłuchać przede wszystkim głosu ich serc, ażeby... enfin... nie przeszkodzić im i nie być dla nich zawadą. Ja tylko przez szlachetność.

- Boże, jak głupio pan zrobił! - zawołałem mimo woli.

- Głupio, głupio - podchwycił nawet z żarem. - Nigdy nie powiedział pan nic mądrzejszego. Cetaït betę, mms que faire, tout est dit.***** Tak czy owak ożenię się, chociażby z „cudzymi grzechami”, więc po cóż było pisać? Prawda?

- Ci ludzie uważają, że natura i społeczeństwo są inne, niż je Pan Bóg stworzył i niż są one w rzeczywistości

** z tą drogą przyjaciółką

** ale mówmy o czym innym

** w Szwajcarii

** To było głupie, ale co począć, wszystko zostało powiedziane

127

- Pan znów to samo!

- Och, teraz nie przerazi mnie pański krzyk; teraz przed panem już nie tamten Stiepan Wierchowieński. Tamten jest pogrzebany; enfin tout est dit. Ale po co pan krzyczy? Czy dlatego, że nie pan się żeni? Że to nie panu wypadnie nosić na głowie znaną ozdobę? Znów się pan zżyma? Biedny mój przyjacielu, nie zna pan kobiet, a ja przez całe życie studiowałem je. „Jeżeli chcesz zwyciężyć cały świat, zwycięż siebie.” To jedyna mądra rzecz, którą udało się powiedzieć pewnemu romantykowi, takiemu samemu jak pan, Szatowowi, braciszki mojej przyszej małżonki. Chętnie przywłaszczam sobie to jego powiedzenie. Więc dobrze, gotów jestem zwyciężyć siebie - i ożenię się, ale cóż zdobędą zamiast całego świata? Mój przyjacielu! Małżeństwo jest śmiercią moralną dla każdej dumnej, niezależnej duszy. Pożycie małżeńskie zdeprawuje mnie, odbierze energię, odwagę czynu... będą dzieci, może w dodatku nie moje - rozumie się, że nie moje: człowiek mądry nie boi się spojrzeć prawdzie w twarz... Liputin radził onegdaj odgrodzić się od Nicolas barykadami. Głupi ten Liputin. Kobieta oszuka naj-czuźniejsze oko. Le bon Dieu,* tworząc kobietę, na pewno wiedział, czym to grozi, lecz pewien jestem, że ona przeszkodziła Mu i zmusiła Go, aby stworzył ją w takiej postaci... i z takimi właściwościami; któż by bowiem chciał dobrowolnie narażać się na tyle kłopotów? Nastasja prawdopodobnie pogńiewa się na mnie za takie wolnomyślicielstwo, ale... Enfin tout est dit.**

Nie byłby sobą, gdyby mógł obejść bez tego taniego, anegdotycznego wolnomyślicielstwa, które za jego czasów tak kwitło. Teraz pocieszył się przynajmniej własnym dowcipem, lecz nie na długo.

- Och! Gdyby mogło nie nastąpić nigdy to pojutrze, ta niedziela! - zawołał znowu, ale już do reszty zrozpaczony. - Dlaczego ten jeden jedyny tydzień nie mógłby się obejść bez niedzieli - si le miracle existe? Co by zaszkodziło Opatrzności wykreślić z kalendarza tę jedną niedzielę, chociażby po to,

aby ukazać swą wszechmoc niedowiarkowi - et que

- Dobry Bóg. ** Wszystko zostało powiedziane.

128

tout soit dit!* O, jakim ją kochał! Dwadzieścia lat, dwadzieścia lat! A ona nigdy mnie nie rozumiała!

- O kim pan mówi? I ja pana nie rozumiem - zapytałem zdziwiony.

- Vingt ans.** I nigdy mnie nie rozumiała! To okrutne! Czy może myśleć, że ja się żenię ze strachu lub z potrzeby! O, hańbo! Ciociu, ciociu, to wszystko dla ciebie! Niech się dowie ta ciocia, że jest jedyną kobietą, którą ubóstwiałem przez dwadzieścia lat! Musi się dowiedzieć, inaczej chyba siłą zataszczą mnie do tego ce quan appelle*** ołtarza.

Słyszałem po raz pierwszy to wyznanie, wypowiedziane tak kategorycznie. Przyznam, że strasznie mi się chciało śmiać. Nie miałem racji.

- Tylko on jeden mi teraz pozostał, cała moja nadzieja! - podniósł nagle ręce, jak gdyby uderzony nową myślą. - Teraz tylko on, mój biedny chłopczyna, może mnie uratować! Dlaczego nie ma go dotąd? O, synu mój, o mój Pietrusza... Chociaż nie jestem godny miana ojca, lecz tygrysa, ale laissez moi, mon ami****. Chcę poleżeć trochę, aby skupić myśli. Taki jestem zmęczony, taki zmęczony, a i panu, sędzę, czas do domu. Voyez-vous,***** już północ...

- jeżeli zdarzają się cuda (...) i niechby wszystko się skończyło! ** Dwadzieścia lat! *** jak mówią **** niech mnie pan zostawi, mój przyjacielu ***** No widzi pan

ROZDZIAŁ CZWARTY

KUTERNÓŻKA

I

Szatow nie był uparty i w myśl mego listu stawił się w południe u Lizawiey Nikolajewny. Weszliśmy prawie jednocześnie; przyszedłem także, aby złożyć moją pierwszą wizytę. Wszyscy, a więc Liza, jej matka i Maurycy Nikolajewicz, siedzieli w salonie i sprzeczali się. Matka żądała, aby Liza zagrała jakiegoś walca na fortepianie, a gdy Liza spełniła jej prośbę, zaczęła dowodzić, że to nie ten walc. Maurycy Nikolajewicz w prostocie ducha stanął w obronie Lizy, twierdząc, że to właśnie ten sam walc; staruszka rozplakała się ze złości. Była chora i nawet z trudem chodziła. Spuchły jej nogi i nic innego nie robiła, tylko kaprysiła i czepiała się wszystkich, chociaż zwykle trochę bała się Lizy. Wszyscy się ucieszyli z naszego przyjścia. Liza aż się zarumieniła z radości i powiedziawszy mi merci, oczywiście za przyprowadzenie Szatowa, skierowała się w jego stronę przyglądając mu się ciekawie. Szatow niezgrabnie zatrzymał się na progu. Podziękowała mu za to, że przyszedł, zaprowadziła do matki.

- To pan Szatow, o którym mówiłam już mamie, a to pan G-w, przyjaciel Stiepana Trofimowicza i mój. Maurycy Nikolajewicz już wczoraj poznał pana.

- A który to profesor?

- Żadnego profesora nie ma, maman.

- Jest na pewno. Sama mówiłaś, że będzie profesor; na pewno ten - wskazała pogardliwie Szatowa.

- Ależ nigdy nie mówiłam, że będzie profesor. Pan G-w jest urzędnikiem, a pan Szatow był studentem.

130

- Student czy profesor, obaj z uniwersytetu. Ty tylko byle się sprzeczać. A szwajcarski miał wąsy i

bródkę.

- Mamon zawsze nazywa profesorem syna Stiepana Trofimowicza - wyjaśniła Liza, zaprowadziła Szatowa w drugi koniec salonu i posadziła na kanapie. - Gdy spuchną jej nogi, zawsze jest taka. Rozumie pan, chora - szepnęła do Szatowa, wciąż przypatrując się z niesłychaną ciekawością jemu i jego wicherkowi na głowie.

- Pan wojskowy? - zwróciła się do mnie staruszka, z którą tak nielitościwie zostawiła mnie Liza.

- Nie, mam posadę...

- Pan G-w jest najbliższym przyjacielem Stiepana Trofimowicza - znów odezwała się Liza.

- Posadę u Stiepana Trofimowicza? Przecież on też profesor?

- Ach, maman, ty zapewne i we śnie widujesz profesorów! - krzyknęła Liza, zniecierpliwiona.

- Dostyc ich mam na jawie. A ty zawsze byle tylko sprzeciwiać się matce. Czy pan tu mieszkał cztery lata temu, kiedy przyjechał Mikołaj Wsiewołodowicz?

Odpowiedziałem twierdząco.

- Aż panem był tu podobno jakiś Anglik?

- Nie, proszę pani. Liza zaśmiała się.

- A widzisz, żadnego Anglika nie było. Kłamstwo, i już. I Barbara Pietrowna, i Stiepan Trofimowicz, oboje kłamią. Zresztą wszyscy kłamią.

- Chodzi o to, że wczoraj ciocia i Stiepan Trofimowicz wynaleźli jakieś wspólne rysy między Mikołajem Wsiewołodowiczem a księciem Harry w Henryku IV Szekspira, i dlatego maman mówi, że nie było Anglika - wyjaśniła Liza.

- Jeżeli nie było księcia Harry, to nie było i Anglika. Tylko Mikołaj Wsiewołodowicz dokazywał.

- Upewniam pana, że maman tak naumyślnie - zwróciła się do Szatowa. - Przecież doskonale wie, kto to był Szekspir. Sama czytałam jej na głos pierwszy akt Otella; ale teraz maman bardzo źle się czuje. Maman, słyszysz, bije dwunasta, czas, abyś wzięła lekarstwo.

W drzwiach ukazała się służąca.

9. 131

- Doktor przyjechał.

Staruszka wstała i zaczęła wabić do siebie pieska:

- Ziemirka, Ziemirka, chodź ty ze mną przynajmniej. Brzydka, stara, mała Ziemirka nie chciała słuchać i schowała się pod kanapę, na której siedziała Liza.

- Nie chcesz? To i ja ciebie nie chcę. Żegnaj pana, nie wiem, jak się pan nazywa - zwróciła się do mnie.

- Antoni Ławrientiewicz.

- Wszystko jedno. Przez jedno ucho weszło, przez drugie wyszło. Nie potrzebuje mnie pan odprowadzać, Maurycy Nikołajewiczu. Wołałam tylko Ziemirkę. Chwała Bogu, jeszcze sama chodzę, a jutro pojadę na spacer.

Wyszła z salonu obrażona.

- Antoni Ławrientiewicz, niech pan tymczasem pomówi z Maurycym Nikołajewiczem; zapewniam panów, że obaj będziecie radzi, gdy się poznacie bliżej—mówiła Liza i przyjaźnie uśmiechnęła się do Maurycego Nikołajewicza, który rozpromienił się cały od jej*-spojrzenia.

Nie było rady. Zacząłem rozmowę z Maurycym Nikołajewiczem.

II

Sprawa, którą Lizawieta Nikołajewna miała do Szatowa, ku memu zdziwieniu dotyczyła istotnie tylko kwestii literackich. A przypuszczałem, sam nie wiem dlaczego, że o co innego jej chodziło. My, to znaczy Maurycy Nikołajewicz i ja, widząc, że oni przed nami nie robią sekretu i rozmawiają bardzo głośno, zaczęliśmy się przysłuchiwać; potem nawet wciągnięci zostaliśmy do wspólnej narady. Sprawa polegała na tym, że Lizawieta Nikołajewna już od dawna nosiła się z myślą wydania książki, bardzo, zdaniem jej, potrzebnej, będąc zaś niedoświadczoną, szukała współpracownika. Powaga, z jaką rozmawiała z Szatowem, zdumiewała nawet mnie.

„Panna zupełnie nowoczesna - pomyślałem. - Nie darmo mieszkała w Szwajcarii.”

Szатов słuchał uważnie, wpatrzony w podłogę, wcale nie zdziwiony, że światowa, roztrzepana panienka porywa się na rzeczy zupełnie dla niej na pozór nieodpowiednie.

132

Zamiar byi taki: w Rosji wychodzi dużo dzienników i czasopism, stołecznych i prowincjonalnych, i wszystkie notują co dzień tysiące zdarzeń. Mija rok, gazety składa się gdzieś do szaf lub, podarte, idą na owijanie pakunków. Niejeden z faktów notowanych zwraca uwagę i pozostaje na czas jakiś w pamięci, lecz z biegiem lat bywa zapomniany. Nieraz chciałoby-się przypomnieć sobie, ale cóż za praca ryć się w tym morzu arkuszy, nie znając często ani daty, ani miesiąca, ani czasem roku. Gdyby zaś zebrać te wszystkie fakty w jednej książce, podług określonego planu i podług pewnej linii wytycznej, z tytułami, spisem rzeczy, podług dat - to taki zbiór mógłby odzwierciedlić całe życie Rosji w ciągu roku, pomimo że nie wszystko przedostaje się do gazet.

- A zamiast dużej ilości arkuszy wyrośnie kilka grubych tomów, i już - zauważył Szатов.

Lecz Lizawieta Nikołajewna gorąco broniła swego pomysłu, chociaż trudno jej było się wysłowić.

- Powinien być jeden tom - mówiła - nawet niezbyt duży. A jeżeli wypadnie duży, to w każdym razie łatwy i przejrzysty, gdyż wszystko zależy od planu i sposobu ułożenia. Oczywiście nie wszystko będzie się brało i przedrukowy-wało. Dekrety, działalność rządu, rozporządzenia władz, prawodawstwo - są .to wszystkie rzeczy bardzo ważne, ale w tej książce można je zupełnie pominąć. Można dużo odrzucić i poprzestać na wyborze zdarzeń, które mniej lub więcej odzwierciedlają życie moralne narodu, osobowość narodu rosyjskiego w danym momencie. Tu może być wszystko: ciekawostki, pożary, ofiary, dobre i złe uczynki, różne przemówienia, a nawet może wiadomości o wylewach rzek, może i niektóre rozporządzenia władz; ale wybierać trzeba tylko to, co charakteryzuje epokę; nad wszystkim powinna górować pewna opinia, pewien cel, pewna dążność, tworząca z rozproszonych faktów całość. Wreszcie książka powinna być interesująca nawet jako lektura, a nie tylko jako niezbędne źródło informacji ! Byłby to obraz duchowego, moralnego, wewnętrznego życia Rosji w ciągu całego roku. Trzeba, aby tę książkę kupił każdy, aby się z nią nie rozstawał - twierdziła Liza. - Rozumiem, że wszystko zależy od planu, i dlatego zwracani się do pana.

Zapaliła się bardzo i chociaż wysławiała się mgliście, niewyraźnie, Szатов zaczynał rozumieć.

133

- Więc ma to być coś tendencyjnego. Wybór faktów podług pewnej tendencji - mrucał, wciąż nie podnosząc głowy.

- Wcale nie podług żadnej tendencji, nie trzeba tendencji. Bezstronność - oto jedyna tendencja.

- Nie zaszkodzi i tendencja - zaczął ożywiać się Sza-tow. - Zresztą nie da się jej uniknąć, skoro już mowa o wyborze faktów. W samym wyborze już będzie wskazówka, jak należy je rozumieć. Pani pomysł jest niezły.

- Więc pan sądzi, że taka książka jest możliwa? - ucieszyła się Liza.

- Trzeba to rozpatrzyć, przemyśleć. To olbrzymia rzecz. Tak od razu nic nie wymyślimy. Tu trzeba doświadczenia. Nawet jeżeli wydamy książkę, to jeszcze nie będziemy wiedzieli, jak to trzeba robić. Chyba po szeregu próbach. Lecz myśl się wykluwa, myśl pożyteczna.

Podniósł w końcu oczy, błyszczały mu już z zadowolenia, tak zainteresował się tą sprawą.

- Czy to pani własny pomysł? - zapytał łagodnie i wstydliwie.

- Co tam pomysł! Tu najtrudniej o plan - uśmiechnęła się Liza. - Mało się na tym wyznają, głowy do tego nie mam, a określam tylko to, co jest jasne i dla mnie...

- Określa pani?

- Pewno źle się wysłowiłam? - w lot podchwyciła Liza.

- Można i tak. Ja nie w tym celu powtórzyłam.

- Wydało mi się jeszcze za granicą, że i ja się mogę na coś przydać. Mam pieniądze, które leżą bez użytku. Dlaczego nie miałabym popracować dla dobra ogólnego? A pomysł przyszedł sam. Wcale nie myślałam nad nim i ogromnie się ucieszyłam. Lecz zrozumiałam od razu, że nie podołam temu bez współpracownika, bo sama niewiele umiem. Współpracownik stanie się, rzecz prosta, współwydawcą książki. Wszystko po połowie. Pan daje plan i pracę, a ja - pomysł i środki na wydanie. Przecież książka musi się opłacić.

- Jeżeli trafimy na odpowiedni plan, to książka pójdzie.

- Uprzedzam pana, że nie zależy mi na zysku, lecz chciałabym bardzo, aby książka się rozpowszechniła, wtedy byłabym z zysku dumna.

- A mnie co do tego?

134

- Przecież ja pana właśnie proszę na współpracownika... Wszystko więc po połowie. Pan stworzy plan.

- Dlaczego pani sądzi, że ja to potrafię?

- Mówiono mi o panu, i tu już słyszałam... Wiem, że pan jest bardzo mądry... i pracuje... i myśli dużo; w Szwajcarii mówił mi o panu Piotr Stiepanowicz Wierchowieński - dodała pośpiesznie. - To bardzo rozumny człowiek, prawda ?

Szатов rzucił na nią ledwie uchwytnie spojrzenie i natychmiast spuścił oczy.

- Mikołaj Wsiewołodowicz także mi mówił dużo o panu. Szатов raptem poczerwieniał.

- A zresztą, oto gazety - gorączkowo mówiła Liza chwytając z krzesła przygotowany, związany plik dzienników. - Próbowałam tu odnotować fakty, zrobiłam wybór, ponumerowałam... Pan zobaczy.

Szатов wziął plik do ręki.

- Niech pan weźmie do domu i przejrzy. Gdzie pan mieszka?

- Na Bogojawleńskiej, w domu Filippowa.

- Wiem. Tam, zdaje się, mieszka obok pana jakiś kapitan Lebiadkin? - równie gorączkowo pytała Liza.

Szатов z plikiem w ręku siedział długą chwilę bez odpowiedzi, uporczywie wpatrzony w podłogę.

- Do tych spraw niech pani wybierze sobie kogo innego, ja się do tego nie nadaję - rzekł wreszcie dziwnie cichym głosem, prawie szeptem.

Liza zerwała się.

- O jakich sprawach pan mówi? Maurycy Nikołajewi-czu! - zawołała. - Niech pan da wczoraj otrzymany list. Wraz z Maurycym Nikołajewiczem zbliżyłem się do stołu.

- Niech pan patrzy! - zwróciła się do mnie rozkładając list. - Głos jej drżał. - Czy widział pan kiedy coś podobnego? Proszę pana, niech pan przeczyta głośno. Chcę, aby i pan Szatow to słyszał.

Z wielkim zdumieniem odczytałem głośno następujący elaborat:

DOSKONAŁOŚCI PANNY TUSZYN

Wielce Szanowna Pani Lizawieto Nikołajewno!

135

Ach, cudowna to kobieta Panna Tuszyn Lizawieta, Gdy z krewnym na damskim siodle lata, A wiatr jej włosy rozplata, Lub kiedy z matką klęczy u ołtarzy I pali się rumieniec na pobożnej twarzy, Wtedy ślubnych rozkoszy legalnych pożadam, I we łzach na Jej matkę i na Nią spoglądam. Napisał nieuk w czasie sporu.

Wielce Szanowna Pani!

Najdotkliwiej boleję nad sobą, że dla sławy nie postradałem prawicy w Sewastopolu, gdzie nie był wcale, a odbyłem kampanię przy dostawie podłej żywności, którą nisko sobie cenię. Jesteś boginią starożytną, a ja niczym, i zrozumiałem, że jesteś wieczna. Patrz, bogini, na to jak na wiersze, a nie inaczej, bo wiersze to rzecz błaha i usprawiedliwia wszystko, co w prozie zwie się zuchwalstwem. Czy może słońce miotać pioruny na bakcyła, gdy bakcyl tworzy na cześć słońca wewnątrz kropli wody, gdzie ich pod mikroskopem widzimy miliony? Sam nawet klub miłosierdzia ludzkiego dla zwierząt, istniejący w Petersburgu przy najwyższych sferach, prawie współczując koniowi i psu, gardzi krótkotrwałym bakcylem i nie wspomina o nim wcale, gdyż nie dorósł. Nie dorosłem i ja także. Myśl o poślubieniu wydawałaby się śmiechu warta, lecz w niedługim czasie posiadać będę dwieście dusz dzięki nienawistnemu, którym gardzisz. Mogę wiele rzeczy wyjawić i podejmuję się dostarczyć dokumenty nawet z Syberii.

Nie gardź Pani tą propozycją. List od bakcyła należy traktować jak wiersze.

Kapitan Lebiadkin

sługa najpokorniejszy i czas mający.

- To pisał człowiek pijany i nikczemnik! - zawołałem oburzony. - Znam go!

- List ten otrzymałam wczoraj - mówiła Liza, zarumieniona i niespokojna. - Zrozumiałam sama, że to jakiś nieporozumiany człowiek, i nawet nie pokazywałam listu mamam, aby jej nie denerwować jeszcze więcej. Lecz jeśli on na tym nie poprzestanie, to sama nie wiem co robić. Maurycy Nikołajewicz chce pójść do niego i przywołać go do porządku...

136

Ponieważ traktowałam pana jako mego współpracownika - zwróciła się do Szatowa - i ponieważ pan tam mieszka, chciałam dowiedzieć się z pańskich ust, czego się mogę po tym człowieku spodziewać. - To pijak i szubrawiec - z pewnym przymusem wy-bąkał Szatow. • - Zawsze taki głupi? - O nie, wcale niegłupi, kiedy trzeźwy.

- Znałem jednego generała, który pisywał akurat takie same wiersze - dodałem śmiejąc się.

- Nawet z tego listu widać, że to człowiek chytry - nieoczekiwanie wtrącił Maurycy Nikołajewicz, który milczał dotychczas.

- Podobno ma jakąś siostrę? - pytała Liza.

- Tak, mieszka z siostrą.

- Podobno znęca się nad nią, czy to prawda? Szatow znowu spojrzął na Lizę, zasepił się i

burknąwszy: „Co mi do tego!”, ruszył do drzwi.

- Niech pan poczeka - z niepokojem zawołała Liza - dokąd pan idzie? Mamy jeszcze tyle do omówienia...

- O czym tu mówić! Jutro zawiadomię panią.

- Ale chodzi o rzecz główną, o drukarnię! Niech mi pan wierzy, że ja nie na żarty, że ja poważnie chcę się tym zająć - coraz bardziej niespokojnie zapewniała Liza. - Jeżeli postanowimy wydać, to gdzie drukować? Przecież to najważniejsza kwestia! Do Moskwy z tym nie pojedziemy, a tutejsza drukarnia nie nadaje się na takie wydawnictwo. Ja już dawno postanowiłam założyć własną drukarnię, chociażby na pańskie imię; jeżeli tylko na pańskie imię, to mam na pewno pozwoli...

- Skąd pani wie, że mogę być także drukarzem?

- Piotr Stiepanowicz wskazywał mi jeszcze w Szwajcarii na pana, jako na człowieka, który zna się na rzeczy i może prowadzić drukarnię. Chciał mi nawet dać list do pana, lecz zapomniałam wziąć.

Szатов, pamiętam dobrze, zupełnie zmienił się na twarzy. Postął jeszcze parę chwil i wyszedł z pokoju.

Liza rozgniewała się.

- Czy on zawsze w ten sposób wychodzi? - zwróciła się do mnie.

137

Wzruszyła ramionami, lecz w tej chwili Szатов wrócił, podszedł prosto do stołu i położył zabrany plik gazet.

- Nie będę pani współpracownikiem, nie mam czasu...

- Ale dlaczego, dlaczego? Pan się rozgniewał? - pytała Liza głosem błagalnym i zasmuconym.

Zdziwił go dźwięk jej głosu. Uważnie zaczął wpatrywać się w nią, jak gdyby chciał przeniknąć do głębi jej duszy.

- Wszystko jedno - wyszeptał - ja nie chcę... I wyszedł. Liza osłupiała. Wydało mi się nawet, że jej osłupienie było nadmierne.

- Zdumiewająco dziwny człowiek! - zauważył głośno Maurycy Nikołajewicz.

III

„Dziwny”, to prawda. W ogóle było w tym wszystkim niezwykle wiele niejasności.

Trzeba się było czegoś domyślać. Stanowczo nie wierzyłem w całe to wydawnictwo, potem ten idiotyczny list, w którym jednak była zbyt wyraźna propozycja zadenuncjowania kogoś „na podstawie dokumentów”, oni jednak tę kwestię pominęli milczeniem, a mówili o czymś innym i wreszcie ta drukarnia i gwałtowne wyjście Szatowa właśnie dlatego, że wspomniano o drukarni. To wszystko nasunęło mi myśl, że już przedtem zaszło coś, o czym nie wiem, że w takim razie jestem tu zbyteczny i nie moja to sprawa. Czas już był zresztą odejść, gdyż pierwsza wizyta trwała zbyt długo. Zbliżyłem się do Lizawiey Ni-kołajewny, aby się z nią pożegnać.

Ona jak gdyby zapomniała, że jestem w pokoju, i wciąż stała przy stole, zamyślona, z głową pochyloną, wpatrzona nieruchomo w jakiś punkt na dywanie.

- Ach, pan także wychodzi? Do widzenia! - odezwała się głosem machinalnie uprzejmym. - Niech pan pozdrowi ode mnie Stiepana Trofłmowicza i namówi go, aby jak najprędzej przyszedł do nas. Maurycy Nikołajewiczu, Antoni Ławrientiewicz już wychodzi... Pan wybacz, lecz mamie trudno przyjść pożegnać pana...

Wyszedłem i już byłem na schodach, gdy zatrzymał mnie lokaj.

138

- Pani prosi pana.

- Pani czy panienka?

- Lizawieta Nikolajewna.

Zastałem już Lizę nie w dużym salonie, gdzieśmy siedzieli przed chwilą, lecz w sąsiednim pokoju. Drzwi od salonu, w którym został Maurycy Nikolajewicz, były szczelnie zamknięte.

Liza uśmiechnęła się do mnie, lecz była blada. Stała na środku pokoju, pasując się ze sobą, stanowcza. Chwyciła mnie ta rękę i w milczeniu pociągnęła do okna.

- Chcę natychmiast ją widzieć - szepnęła utkwivszy we mnie gorące, uporczywe, niespokojne spojrzenie, nie dopuszczające nawet cienia protestu. - Muszę ją zobaczyć na własne oczy i proszę pana o pomoc.

Była zrozpaczona i prawie nieprzytomna.

- Kogo chce pani widzieć? - spytałem przerażony.

- Tę pannę Lebiadkin, tę kulawą... Czy to prawda, że ona jest kulawa? Osłupiałem.

- Nie widziałem jej nigdy, ale opowiadano mi, że istotnie jest kulawa, właśnie wczoraj mi opowiadano - wyjąkałem szybko i niemal szeptem.

- Muszę ją widzieć. Koniec .-nie. Czy pan mógłby to dziś jeszcze zorganizować? Ogarnęła mnie litość.

- To niemożliwe, a zresztą nie mam pojęcia, jak to zrobić, pójdę chyba do Szatowa...

- Jeżeli pan do jutra tego nie zorganizuje, pójdę do niej sama, gdyż Maurycy Nikolajewicz nie chce mi towarzyszyć. Liczę tylko na pana, a więcej nie mam nikogo; z Szatowem głupio dziś mówiłam... Jestem pewna, że pan jest człowiekiem w pełni uczciwym, a może nawet ma pan dla mnie trochę życzliwości, więc niech pan to zrobi.

Poczułem niewysłowione pragnienie okazania jej pomocy we wszystkim.

- Wiem już - powiedziałem po chwili namysłu - pójdę dziś sam i na pewno, na pewno zobaczę się z nią! Tak zrobię, że się zobaczę, damę pani słowo honoru; lecz niech mi pani pozwoli zwierzyć się Szatowowi!

- Dobrze. Niech mu pan powie, że tak chcę i że dłużej

139

czekać nie mogę, ale że jego nie oszukiwałam. Pewno dlatego wyszedł, że jest zbyt uczciwy i nie podobało mu się, że może ja go oszukiwać. Nie oszukiwałam go, rzeczywiście myślę o wydawnictwie i o drukarni.

- On jest bardzo, bardzo uczciwy - gorąco potwierdziłem.

- A jeżeli do jutra nie zorganizuje pan tego spotkania, pójdę sama, chociażby wszyscy mieli się dowiedzieć, a potem niech się dzieje, co chce.

- Wcześniej niż koło trzeciej nie mogę być jutro u pani - opamiętałem się.

- A więc o trzeciej! To znaczy, że słusznie pomyślałam wczoraj u Stiepana Trofimowicza, że jest pan dla mnie trochę życzliwy - uśmiechnęła się, pośpiesznie pożegnała się ze mną i poszła do osamotnionego Maurycyego Nikolajewicza.

Wyszedłem zgnębiony własną obietnicą, nie rozumiejąc, co zaszło. Miałem przed sobą kobietę

prawdziwie zrozpaczoną, która nie wahała się nawet skompromitować nadmiernym zaufaniem do mało znanego mężczyzny. Jej kobiecey uśmiech w tak ciężkiej dla niej chwili i to wyznanie, że zauważyła jeszcze wczoraj moje uczucia, mocno ukłuły mnie w serce. Lecz przede wszystkim żal mi jej było! Jej tajemnica stała się dla mnie święta i gdyby nawet ktoś zaczął odsłaniać ją przede mną, zatkałbym uszy i nie chciałbym słuchać. Coś przeczuwałem... A jednak nie miałem pojęcia, jak to urządzić. Właściwie nie wiedziałem nawet, co trzeba urządzić. Spotkanie? Lecz jakie spotkanie? Jak sprowadzić je razem? Cała nadzieja była w Szatowie, chociaż mogłem zawczasu przypuszczać, że mi nie pomoże. A jednak pobiegłem do niego.

IV

Dopiero wieczorem, o ósmej, zastałem go w domu. Ku wielkiemu memu zdziwieniu, miał gości. Był u niego Kiryłow i jeszcze ktoś, kogo ledwo znałem, niejaki Szygalew,² rodzony brat żony Wirgińskiego.

Ów Szygalew bawił u nas już od paru miesięcy. Nie wiem, skąd przybył; słyszałem tylko, że jakiś jego artykuł był dru-

140

kowany w jednym z postępowych pism petersburskich. Poznał mnie z nim przypadkowo na ulicy Wirgiński. W życiu swoim nie widziałem człowieka tak zasępionego, ponurego jak on. Tak patrzył, jak gdyby czekał na koniec świata, lecz nie kiedyś tam, podług obliczeń proroków, które mogą się nawet nie sprawdzić, lecz zupełnie ściśle, na przykład pojutrze rano, punktualnie dwadzieścia pięć minut po dziesiątej. Wtedy nie zamieniliśmy właściwie ze sobą ani słowa, tylko uścisnęliśmy sobie dłonie z minami spiskowców. Najwięcej uderzyły mnie wtedy jego uszy nienaturalnej wielkości, długie, szerokie i grube, dziwnie odstające. Ruchy miał niezgrabne i powolne. Jeżeli Liputin marzył czasem, że w naszej guberni mogą powstać falanstery, to Szygalew znał na pewno dzień i godzinę, kiedy to nastąpi. Zrobił na mnie ponure wrażenie. Zdziwiłem się, gdy spotkałem go u Szatowa, tym bardziej, że Szatow nie lubił podejmować gości.

Na schodach jeszcze słyszałem, że rozmawiają bardzo głośno, wszyscy trzej naraz, i prawdopodobnie kłócą się. Gdy jednak wszedłem, zamilkli natychmiast. Widocznie sprzeczali się stojąc, lecz teraz raptem siedli. Usiadłem i ja. Przez kilka chwil panowało kłopotliwe milczenie. Szygalew poznał mnie, lecz udął, że nie zna, ale nie z jakiejś ku mnie niechęci, lecz tylko ot tak. Z Kiryłowem zamieniliśmy ukłony i nie wiem dlaczego nie podaliśmy sobie rąk. Szygalew zaczął wreszcie patrzeć na mnie surowo i ponuro, w naiwnym przeświadczeniu, że natychmiast zerwę się i pójdę. Wreszcie Szatow wstał z krzesła, tamci także zerwali się natychmiast. Wyszli bez pożegnania, tylko już na progu Szygalew rzekł do Szatowa:

- Niech pan pamięta, że musi pan złożyć sprawozdanie.
- Gwizdzę na wasze sprawozdania i przed nikim nie poczuwam się do żadnych obowiązków - powiedział Szatow i zamknął za nim drzwi na haczyk.
- Gawrony! - powiedział, spojrzął na mnie i uśmiechnął się kwaśno.

Minę miał gniewną i zdziwiłem, się nawet, że pierwszy się odezwał. Zwykle, gdy zaglądałem do niego (bardzo zresztą rzadko), siadał posepnie w kącie, gniewnie odpowiadał i po dłuższym czasie dopiero ożywał się naprawdę i rozmawiał chętnie. Przy pożegnaniu zawsze zasępił się znowu i odprowadzał mnie do drzwi z taką miną, jak gdyby wyrzucał osobistego wroga.

141

- U tego Kiryłowa piłem wczoraj herbatę - powiedziałem. - Zdaje się, że on ma bzika na tle ateizmu.

- Ateizm rosyjski nigdy nie wykracza poza kalambury - burknął Szatow oprawiając nową świecę zamiast ogarka, który tkwił w lichtarzu.

- Nie, to nie kalamburzysta. Ten człowiek nawet mówić nie umie, a cóż dopiero układać kalambury.

- Ludzie z papieru; wszystko to wypływa z lokajstwa myśli - spokojnie odpowiedział Szatow, siadł w kącie i oparł dłonie na kolanach. - I nienawidzą - wymówił po chwili milczenia. - Byliby strasznie nieszczęśliwi, gdyby się Rosja przekształciła jakoś nagle podług ich formułki i gdyby stała się szczęśliwa i niezmiernie bogata. Kogóż mieliby nienawidzić wtedy? Kogo opluwać? Nad czym się znećcać? To tylko zwierzęca, bezgraniczna nienawiść do Rosji, przenikająca całą duszę... I nie ma w tym żadnych „łez, niewidzialnych dla świata, poza zewnętrznym śmiechem”. Nigdy jeszcze nie wypowiedział nikt w Rosji tak kłamliwych słów, jak te o niewidzialnych łzach! - zawołał z wściekłością.

- Co też pan, daję słowo!... - uśmiechnąłem się.

- A pan jest „umiarkowanym liberałem” - odwzajemnił mi się Szatow uśmiechem. - A wie pan - dorzucił nagle - że z tym „lokajstwem myśli”³ to mi się nie udało. Pan na pewno myślał, że to ja jestem synem lokaja, a nie pan.

- Co też pan mówi... nawet mi to do głowy nie przyszło!

- Niech się pan nie usprawiedliwia. Ja się pana nie obawiam. Wtedy tom był lokajskiego pochodzenia, teraz sam stałem się lokajem, takim samym zresztą jak pan. Nasz rosyjski liberał jest przede wszystkim lokajem i szuka tylko, komu by tu buty wyczyścić.

- Jakie buty? Co za alegoria?

- To żadna alegoria. Pana, jak widzę, to śmieszy? Stiepan Trofimowicz trafnie to określił, że leżę pod kamieniem, przyduszony, ale wciąż żywy, i wiję się. Dobre porównanie.

- Stiepan Trofimowicz zapewnia, że pan ma bzika na punkcie Niemców - śmiałem się. - Ale przecież udało się nam od Niemców coś ukraść i schować do kieszeni.

- Wzięliśmy dwadzieścia kopiejek, a oddali sto rubli. Zamilkliśmy. Po chwili znów się odezwał:

- Wyleżał to sobie w Ameryce.

142

- Kto? Co wy leżał?

- Kiryłow. Przeleżeliśmy z nim cztery miesiące w jednej chałupie na podłodze.

- Pan był w Ameryce? - pytałem zdziwiony. - Nigdy pan o tym nie mówił.

- Nie warto. Przed dwoma laty wyruszyliśmy we trzech za ostatnie pieniądze do Ameryki na okręcie emigracyjnym, „aby poznać na własnej skórze życie robotnika amerykańskiego i w ten sposób sprawdzić przez doświadczenie osobiste stan człowieka na najniższym stopniu społecznym”. Taki cel nam przyświecał.

- Mój Boże! - zawołałem śmiejąc się. - A czy nie lepiej było wyruszyć na przednówku do pierwszej lepszej guberni rosyjskiej na wieś i tam „sprawdzać przez doświadczenie osobiste”? Po cóż jechać aż do Ameryki?

- Najęliśmy się jako robotnicy do pewnego eksploatatora. Pracowało tam u niego sześciu Rosjan. Studenci, nawet obywatele ziemscy, nawet oficerowie, a wszyscy w tym samym wzniosłym celu. Harowali, mokli, męczyli się, sił nam brakło, wreszcie my dwaj, Kiryłow i ja, rzuciliśmy robotę. Zachorowaliśmy, nie mogliśmy wytrzymać. Gospodarz okpił nas przy obrachunku. Zamiast umówionych trzydziestu dolarów wypłacił mnie osiem, jemu zaś piętnaście; nawet bito nas tam nieraz. Tak więc bez pracy przeleżeliśmy z Kiryłowem na podłodze w jakimś

miasteczku cztery miesiące obok siebie. Każdy myślał o czym innym.

- Czy to możliwe, żeby gospodarz was bił? W Ameryce?! Cóż wy na to? Musieliście mu nawymyślać?

- Bynajmniej. Przeciwnie, postanowiliśmy wtedy z Kiriłłowem, że „my, Rosjanie, wobec Amerykanów jesteśmy jak małe dzieci i że trzeba się urodzić w Ameryce albo przynajmniej zżyć się z Amerykanami w ciągu długich lat, aby stanąć z nimi na równi”. Co tam! Gdy za groszową rzecz żądano od nas dolara, płaciliśmy nie tylko z przyjemnością, ale wprost z zachwytem. Chwaliliśmy wszystko: spirytyzm, prawo Lyncha, rewolwery, włóczęgów. Jadę raz, a tu jakiś człowiek wsuwa rękę do mojej kieszeni, wyjmuje szczotkę do włosów i zaczyna się czesać; spojrzeliśmy z Kiriłłowem po sobie i uznaliśmy, że tak być powinno i że nawet to się nam podoba.

143

- To dziwne, że nie tylko powstają u nas takie pomysły, ale że się je nawet realizuje - zauważyłem.

- Ludzie z papieru - powtórzył Szatow.

- Jednakże płynąć tak przez ocean na okręcie emigracyjnym do nieznanego kraju, aby tam „sprawdzać przez osobiste doświadczenie” - w tym jest jakiś ambitny upór... Jak pan wy dostał się stamtąd?

- Napisałem do Europy do pewnego człowieka i ten przysłał mi sto rubli.

Rozmawiając Szatow wpatrywał się jak zwykle w podłogę, nawet wtedy, gdy był przejęty. Teraz jednak podniósł głowę.

- Chce pan znać nazwisko tego człowieka?

- Któż to taki?

- Mikołaj Stawrogin.

Wstał nagle, podszedł do swego biurka z drzewa lipowego i zaczął tam czegoś szukać. Mówiono u nas niewyraźnie, lecz uporczywie, że żona Szatowa żyła przez czas jakiś w Paryżu ze Stawroginem, właśnie przed dwoma laty czyli wtedy, gdy Szatow był w Ameryce. Żona opuściła go znacznie wcześniej w Genewie. „Jeżeli tak, to po co roz-wałkowywał tę sprawę i wymienił nazwisko?” - pomyślałem.

- Nawet nie oddałem mu dotychczas - zwrócił się znowu do mnie, przypatrując mi się badawczo. Usiadł na dawnym miejscu w kącie i zapytał, zupełnie już innym głosem:

- Pan ma do mnie jakiś interes? O co chodzi?

Opowiedziałem mu wszystko, w porządku ściśle chronologicznym, i dodałem, że chociaż się już nieco opanowałem, jednak płacząc się coraz bardziej. Rozumiem, że to rzecz bardzo ważna dla Lizawiey Nikołajewny, pragnę gorąco jej pomóc, lecz nie tylko nie wiem, jak spełnić daną obietnicę, ale nie zdaję sobie nawet sprawy, co właściwie obiecałem. Potem tonem stanowczym zapewniłem, że Lizawiea Nikołajewna nie miała najmniejszego zamiaru go oszukiwać, że tu zaszło jakieś nieporozumienie i że gwałtowne jego wyjście bardzo ją dotknęło.

Słuchał uważnie.

- Może istotnie, jak zawsze, palnąłem głupstwo... Lecz jeśli nie zrozumiała, dlaczego wyszedłem... tym lepiej dla niej.

144

Zerwał się, podszedł do drzwi, otworzył je i zaczął się wsłuchiwać.

- Czy pan sam chce zobaczyć tę osobę?

- Właśnie o to mi chodzi, lecz jak to zrobić? - zawołałem ucieszony.

- Po prostu pójdziemy do niej, póki jest sama. Gdy przyjdzie brat, zbije ją, jeśli się dowie, żeśmy byli. Często zaglądam do niej potajemnie. Wczoraj stłukłem go, gdy zaczął ją ćwiczyć.

- Co też pan mówi!

- Tak. Chwyciłem go za czuprynę i odciągnąłem od niej. Chciał potem rzucić się na mnie, lecz przestraszył się. Obawiam się, że gdy wróci pijany, a przypomni sobie - zemści się na niej.

Zeszliśmy na dół.

Drzwi do mieszkania Lebiadkinów były na wpół otwarte, weszliśmy więc bez kłopotu. Całe ich mieszkanie składało się z dwu marnych pokoiów o zakopcanych ścianach, z których literalnie zwisały strzępy tapet. Przedtem przez kilka lat był tu szynk, dopóki Filippow nie przeniósł się do swego nowego domu. Inne pokoje, dawniej także należące do szynku, były zamknięte na głucho, a te dwa zajął Lebiadkin. Umeblowanie składało się z prostych ław i stołów, i jednego starego fotela bez poręczy. W drugim pokoju stało w rogu łóżko mile Lebiadkin, nakryte perkalową kołderką. Kapitan, wracając na noc, kładł się na podłodze, zwykle w ubraniu. Wszędzie śmieci, okruchy, rozlana woda; duża mokra ścierka leżała pośrodku pierwszego pokoju, a obok niej, w środku kałuży, jakiś stary, zdeptyany trzewik. Widać było, że tu nikt nic nie robi, że w piecach się nie pali, jadła się nie warzy. Kapitan nie miał nawet samowara, o czym mi opowiedział Szatow. Przyjechał z siostrą w zupełnej nędzy, i rzeczywiście, jak mowa Liputin, wypraszał tu i ówdzie trochę grosza; otrzymawszy jednak niespodzianie jakieś pieniądze, natychmiast zaczął pić i tak wpadł w pijaństwo, że już nie w głowie mu było gospodarzenie.

Mile Lebiadkin, którą tak pragnąłem zobaczyć, siedziała

Dostoewski, t III

145

skromnie i cichutko w drugim pokoju, w rogu, na ławie, przy stole kuchennym. Nie odezwała się nawet, gdyśmy weszli, i nie ruszyła się z miejsca. Mówił mi Szatow, że drzwi u nich zawsze są otwarte. Kiedyś przez całą noc stały na oścież. Przy wątłym blasku woskowej świecy, tkwiącej w blaszanym lichtarzu, zobaczyłem kobietę lat trzydziestu, chorobliwie chudą, ubraną w ciemną, starą perkalikową sukienkę. Długa jej szyja była odsłonięta. Rzadziutkie, ciemne włosy upięte były z tyłu w węzełek, nie większy od piąstki dwuletniego dziecka. Spojrzała na nas dość wesoło. Oprócz lichtarza miała przed sobą na stole małe, typowe wiejskie lustro, starą talię kart, jakiś roztrzęsiony śpiewnik i białą bułeczkę, już nadgryzioną. Zauważyłem od razu, że mile Lebiadkin używa różu, bielidła i smaruje czymś wargi; czerni też brwi i tak dość wąskie, długie i ciemne. Na jej wąskim, wysokim czole, mimo bielidła, ostro rysowały się trzy długie bruzdy. Wiedziałem już, że jest kulawa, tym razem jednak nie wstawała przy nas i nie chodziła. Kiedyś, w pierwszej młodości, mogła ta twarz być niebrzydka. Lecz spokojne, łagodne, szare oczy i teraz zwracały na siebie uwagę. W jej pogodnym, prawie radosnym spojrzeniu tliło się niby rozmarzenie. Pogodna radość, bijąca także z jej uśmiechu, zastanowiła mnie bardzo po tym wszystkim, com słyszał o nahaju kozackim i o wszystkich bezceństwach jej brata. Dziwne to, lecz zamiast ciężkiego, lęklivego obrzydzenia, które budzą zwykle takie istoty skrzywdzone przez Boga, odczuwałem prawie przyjemność patrząc na nią, może litość, ale nigdy obrzydzenie.

- Tak siedzi po całych dniach zupełnie sama, samiuteń-ka, i nie rusza się, wróży sobie lub w lustrze się przegląda - mówił Szatow, gdyśmy stanęli w progu. - On jej przecie nie daje jeść. Staruszka z oficyny czasem przyniesie coś z litości. Jak można zostawiać ją samą przy świecy!

Ku memu zdziwieniu, Szatow mówił głośno, jak gdyby nie było jej w pokoju.

- Witaj, Szatuszka! - wesoło odezwała się mile Lebiadkin.

- Gościa przyprowadziłem, Mario Timofiejewno - powiedział Szatow.

- A, gość w dom, Bóg w dom. Nie wiem, kogo mi przyprowadziłeś, nie znam go. - Spojrzała na mnie badawczo

146

spoza świecy i znowu zwróciła się do Szatowa; mną nie zajmowała się już wcale, jak gdybym nie istniał, a przecież stałem obok.

- Dokuczyło ci pewno samemu chodzić po pokoju? - zaśmiała się ukazując dwa rzędy prześlicznych zębów.

- Dokuczyło i chciałem ciebie odwiedzić! Przysunął ławkę do stołu, usiadł sam i mnie kazał siąść obok siebie.

- Rozmowie zawsze jestem rada, ale coś mi się śmieszny wydajesz, Szatuszka. Jak mnich. Kiedyś się cesał po raz ostatni? Chodź tu, przeczeszę cię - wyjęła grzebień z kieszeni - pewno od tego czasu, kiedy cię cesałam, aniś się dotknął włosów.

- Nawet grzebyka nie mam - śmiał się Szatow.

- Naprawdę? Ja ci dam swój. Nie ten, inny. Przypomnij mi tylko.

Z poważną miną zaczęła go cesać. Zrobiła mu nawet z boku przedziałek. Cofnęła głowę, przyjrzała się, czy równo, i znowu schowała grzebyk do kieszeni.

- Wiesz co, Szatuszka? - pokręciła głową. - Może masz rozum, ale nudzisz się. Dziwnie mi patrzeć na was wszystkich. Nie rozumiem, jak ludzie mogą się nudzić. Tęsknota to nie nuda. Mnie zawsze wesoło.

- Iz bratem także wesoło?

- Z Lebiadkinem? To mój lokaj. I zupełnie mi wszystko jedno, czy jest tu, czy go nie ma. Wołam: „Lebiadkin, przynieś wody, dawaj buty!” - i on biegnie; czasem, grzech powiedzieć, aż śmiech bierze patrzeć na niego.

- Zupełna prawda - znów głośno, bez ceremonii zwrócił się do mnie Szatow. - Traktuje go jak lokaja. Słyszał pan, jak wołała: „Lebiadkin, przynieś wody!”, i śmiała się przy tym. Cała rzecz na tym polega, że on po wodę nie biegnie, lecz bije ją za to. A ona wcale się go nie boi. Miewa co dzień jakieś ataki nerwowe, które odbierają jej pamięć. Po takim ataku zapomina, co było przed chwilą, i zawsze płacze się w czasie. Pan myśli, że ona pamięta, jakeśmy weszli? Może i pamięta, lecz na pewno wszystko już przerobiła po swojemu i bierze nas za kogo innego, chociaż pamięta, że ja jestem „Szatuszka”. To nic nie szkodzi, że mówię głośno. Gdy ktoś zwraca się nie do niej, od razu przestaje go słuchać i natychmiast

147

pograża się w myślach o sobie; właśnie tak - pograża się. Nieprawdopodobna marzycielka, przez osiem godzin, przez cały dzień siedzi bez ruchu. Tu leży bułka. Może od rana ugryzła parę razy, a skończy ją jutro. Widzi pan, teraz zaczęła wróżyć.

- Wróżę ja, wróżę, Szatuszka, ale wciąż nie wychodzi - odezwała się Maria Timofiejewna, usłyszawszy ostatnie słowo Szatowa. Wyciągnęła rękę po bułkę (widocznie doszło do jej świadomości i to słowo), potrzyzymała bułkę w lewej ręce przez chwilę i położyła ją z powrotem, widocznie znowu zainteresowana rozmową. - Wciąż wychodzi to samo; droga, zły człowiek, czyjaś intryga, łoże śmiertelne, list z daleka, nagła wiadomość. Ja myślę, że to kłamstwo. A co ty myślisz, Szatuszka? Jeżeli ludzie kłamią, dlaczego karty nie mają kłamać? - potasowała karty. - To samo mówię kiedyś do matki Praskowii, zacna to była kobieta; chodziła do mnie, do celi, w sekrecie przed matką przełożoną, a ja jej wróżyłam z kart. I inne chodziły. Wzdychają wszystkie, kiwają głowami, radzą i radzą. A ja się śmieję: „Skąd byś miała, matko Prasko-wio, list otrzymać, kiedy

już dwanaście lat żadnego listu nie było?” Córka jej z mężem gdzieś wyjechała do Turcji i dwanaście lat ani słyhu, ani wieści. Ale siedzę ja kiedyś wieczorem przy herbacie u matki przełożonej (książęcego była rodu) i siedzi u niej także jakaś pani przyjezdna, bardzo zamyślona, i siedzi jakiś mnich z dalekich, stron, śmieszny człowiek. Cóż ty na to, Szatuszka? Ten sam mniszek przywiózł matce Praskowii list od córki. Ot i walet karowy - wieść niespodziewana. Pijemy sobie herbatę, a mniszek mówi do matki przełożonej : „A najwięcej, wielebna matko, pobłogosławił Pan wasz dom, że taki cenny skarb w nim ukrył.” „Jaki skarb?” - pyta matka przełożona. „Błogosławioną matkę Lizawietę.” A matka Lizawieta w naszym monasterze w niszy zamurowana, sążen długości i dwa arszyny wysokości, i siedzi tam za kratą żelazną siedemnaście lat, w dzień i w nocy w jednej zgrzebnej koszuli, i ciągle słomkę albo pręcik w płótno koszuli wtyka i nic nie mówi, i nie czesze się, i nie myje już siedemnaście lat. Zimą przez kratę przesuną jej kożuch i co dzień kromkę chleba i dzbanek wody. Pielgrzymi patrzą, wzdychają, kładą pieniądze. „Także mi skarb!” - odpowiada matka przełożona (nie lubiła Lizawiety). Rozgniewała się: „Lizawieta

148

ze złości siedzi, z uporu i tylko udaje świętą.” To mi się nie podobało. Chciałam sama dać się zamurować. „A ja myślę, tak mówię, że Bóg i przyroda to jedno.” Oni wszyscy w jeden głos: „Masz tobie!” Matka przełożona zaśmiała się, poszeptala z tą panią, zawołała mnie do siebie, pogłaskała, a pani podarowała mi różową kokardkę. Chcesz? Pokażę ci. A mniszek zaczął mnie pouczać, ale tak łagodnie, pokornie mówi, z rozumem; siedzę i słucham. „Zrozumiałaś?” - pyta. „Nie, mówię, nie zrozumiałam i zostawcie mnie w spokoju.” A potem szepcze do mnie we drzwiach cerkiewnych jedna starucha nasza - pokutę u nas odbywała, za prorocтво: „Kim jest Matka Boska?” „Odwieczna macierz nasza, odpowiadam, nadzieja rodu ludzkiego.” A ona mówi: „Matka Boska to czarna ziemia nasza, i wielka w tym radość dla człowieka. I każdy smutek ziemi, i każda łza ziemiska - radością wam będą. A jak przesyćysz ziemię łzami swoimi na pół arszyna w głąb, błogość cię ogarnie. I już po wszystkie czasy nie będzie więcej boleści, bo takie jest prorocтво.” Zapadło mi w duszę to słowo. Od tego czasu przy modlitwie, bijąc pokłony, zaczęłam ziemię całować. Całuję i płaczę. Ot co ci powiem, Szatuszka: nie masz zła we łzach. I gdybyś nawet nie miał żadnego smutku, popłyną ci łzy z radości. Łzy same płyną, to prawda. Wychodzę czasem na brzeg jeziora: z jednej strony monaster, a z drugiej ostra góra, tak ją właśnie nazywają. Wejdę na górę, zwrócę się twarzą do wschodu, przypadnę do ziemi i płaczę, płaczę, i nie wiem już, jak długo płaczę, i nie pamiętam, i nic nie wiem. Wstaję potem, odwrócę się, a słońce zachodzi, takie duże, a piękne, a dobre. Czy ty lubisz, Szatuszka, patrzeć na słońce? Dobrze i smutno. Znów się zwrócę ku wschodowi, a cień od naszej góry daleko po jeziorze biegnie jak strzała, wąski cień, długi na wiorstę, do samej wyspy na jeziorze; a wyspa rozetnie cień na pół, a potem słońce zajdzie i zgaśnie wszystko. I znowu zacznę tęsknić, pamięć powraca, zmroku się boję, Szatuszka. A najwięcej płaczę za dzieckiem moim...

- To było dziecko? - Szatow trącił mnie łokciem. Słuchał cały czas -bardzo uważnie.

- A jakże?! Maleńkie, różowiutkie, miało takie maluśkie paznokietki. Ciągle się tylko martwię: nie wiem, czy chłopczyk to był, czy dziewczynka. Czasem myślę, że chłopczyk *•. czasem, że dziewczynka. Gdy się urodziło, zawińłam je

149

zaraz w batystowe pieluszki, z koronkami, zawiązałam wstążeczki różowe, kwiatami zasypałam, umaiłam, pomodliłam się nad nim i poniosłam nie chrzczone; niosę przez las, i boję się lasu, i straszno mi, i płaczę, że dziecko urodziłam, a męża nie znam.

- Może był i mąż? - ostrożnie dopytywał się Szatow.

- Śmieszny jesteś, Szatuszka. Może i był, ale cóż z tego, kiedy jest tak, jak gdyby zupełnie go nie było! Zgadnij zagadkę. Nietrudna! - uśmiechnęła się.

- Co zrobiłaś z dzieckiem?
- A do stawu - westchnęła. Szatow znów trącił mnie łokciem.
- Może żadnego dziecka nie było i tylko śniło ci się?
- Trudne mi stawiasz pytanie, Szatuszka - odpowiedziała poważnie, bez zdziwienia. - Nie mogę ci odpowiedzieć. Może i nie było... To tylko próżna twoja ciekawość. Ja jednakowoż nie przestanę płakać po nim. Przecie nie we śnie je widziałam. - Duże łzy zaświeciły jej w oczach. - Szatuszka, Szatuszka, a czy to prawda, że żona cię rzuciła? - Położyła mu dłonie na ramionach i przyglądała mu się ze współczuciem. - Nie gniewaj się, mnie samej przykro. Wiesz, Szatuszka, miałam taki sen: przychodzi do mnie, woła mnie, prosi: „Kotku mój, kotku!” To znaczy, że kocha.
- Może przyjdzie i na jawie - półgłosem odezwał się Szatow.
- Nie, Szatuszka, to sen... nie przyjdzie na jawie. Znasz pieśń:

Niepotrzebne mi twoje pałace, Pozostanę w tej celi na wieki, Będę szukać dla duszy zbawienia I za ciebie pomodłę się Bogu.⁴

- Och, Szatuszka, Szatuszka, mój drogi! Dlaczego ty się mnie nigdy o nic nie pytasz?
- I tak mi nie powiesz. Dlatego nie pytam.

- Nie powiem, nie powiem! Zarznij mnie, a nie powiem - szybko odpowiedziała. - Ogniem mnie pal, a nie powiem. Będę cierpiała, a nikomu nie powiem, i nie dowiedzą się ludzie.

150

- Widzisz, każdy ma coś własnego - jeszcze cichszym głosem mówił Szatow schylając głowę coraz niżej.

- Gdybyś poprosił, to może bym powiedziała; może bym powiedziała! - wołała, już rozradowana. - Dlaczego nie prosisz? Poproś grzecznie, ładnie, Szatuszka, może powiem. Ubłagam mnie, Szatuszka, tak, żebym się sama zgodziła. Szatuszka, Szatuszka!

Ale Szatuszka milczał. Chwilę milczeliśmy wszyscy. Po jej ubielonych policzkach znów spływały łzy; siedziała trzymając wciąż dłonie na ramionach Szalowa, lecz już nie patrzyła na niego.

- Ach, co mi tam do ciebie! Po prostu grzech! - tu Szatow zerwał się z ławki. - Wstawaj pan! - wyciągnął ławkę spode mnie i odniósł ją na dawne miejsce. - Żeby się nie domyślił, jak wróci. Czas już na nas.

- Ach, ty mówisz o moim lokaju? - zaśmiała się nagle Maria Timofiejewna. - Boisz się. Żegnajcie, mili goście! Posłuchaj jeszcze, co ci powiem. Był tu onegdaj Niłycz z Fi-lippowem, z gospodarzem. Ten Niłycz z rudą brodą. A mój rzucił się na mnie. Jak gospodarz go nie chwyci, jak nim nie zakręci po pokoju! A mój krzyczy: „To nie moja wina, cierpię za cudze winy!” I powiadam ci, takeśmy się śmiali wszyscy, wiele nas tu było!

- Ach, Timofiejewna! Przecie to ja byłem, a nie żadna ruda broda. To ja go za czub oderwałem od ciebie. A gospodarz był u was dwa dni temu, kłócił się z wami. Wszystko poplątałaś.

- Prawdę mówisz, że poplątałam. Może i ty. Co tam się sprzeczać! Czy mi nie wszystko jedno, kto go tarmosi? Zaśmiała się.

- Chodźmy - rzekł nagle Szatow. - Brama skrzypi. Jak nas zastanie, to się na niej wszystko skrupi.

Nie zdążyliśmy wbiec na schody, gdy rozległ się w bramie pijacki wrzask i posypały się przekleństwa. Szatow wpuścił mnie do siebie i zamknął drzwi na klucz.

- Musi pan poczekać chwilkę u mnie, jeśli pan nie chce awantury. Kwiczy jak prosię. Znowu widocznie potknął się o próg. Za każdym razem musi się rozciągnąć.

Nie obeszło się jednak bez awantury.

151

VI

Szatos stał przy zamkniętych drzwiach i wsłuchiwał się w szmery na schodach. Raptem odskoczył.

- Idzie tu, wiedziałem, że tak będzie! - szepnął z wściekłością. - Już do północy nie odczepimy się od niego. Rozległo się kilka mocnych uderzeń pięścią w drzwi.

- Szatos, Szatos! Otwieraj! - ryczał kapitan. - Szatos, przyjacielu!

Wieść radosną tobie niosę,

Że już słońce ze snu wstało,

Brzask złocisty rozsypało

I poranną spija rosę.

Że już ze snu las... że już ja się zbudziłem, do diabła,

Całkiem zbudziłem się... pod gałęziami...

Jak pod różgami, cha, cha, cha!

Ptak już każdy... chce się upić Wieść ci niosę, że pić będę, Pić, lecz nie wiem, co mi dadzą.5

Zresztą po diabła ta ciekawość? Szatos, rozumiesz, bracie, jak dobrze żyć na świecie?

- Niech pan nie odpowiada - szepnął mi Szatos.

- Otwierajże! Czy rozumiesz, że jest na świecie coś wyższego od bójk... między ludzkością; bywają chwile wzniosłe... Szatos! Jestem dobry! Przebaczę ci... Szatos! Precz z proklamacjami, co?

Szatos nie odpowiadał.

- Rozumiesz, ty ośle, jestem zakochany. Kupiłem sobie frak. Zobacz! Frak miłości, za piętnaście rubli. Miłość kapitańska wymaga obyczajów światowych... Otwieraj! - zawył dziko na cały głos i gwałtownie zaczął walić pięściami w drzwi.

- Wyoń się do diabła! - zawołał zniecka Szatos.

- Niewolniku! Niewolniku pańszczyźniany! I twoja siostra niewolnica... I złodziejka!

- A tyś swoją siostrę sprzedał.

152

- Łżesz! Znoszę niepotrzebnie, a mógłbym jednym słowem... Czy ty wiesz, kim ona jest?

- No, kim? - zapytał Szatos podchodząc do drzwi.

- Nie zrozumiesz.

- Nie bój się, zrozumiem, bylebyś powiedział.

- Jak zechcę, to powiem! Ja się nie boję głośno o wszystkim mówić.

- E, myślę, że się nie odważysz! - droczył się Szatos i kiwnął mi głową, abym słuchał.

- Nie odważę się?

- Myślę, że nie.

- Co? Ja bym się nie miał odważyć?

- A mów, jeżeli nie boisz się różeg od swego pana. Ale tchórz jesteś! A jeszcze kapitan!

- Ja, ja... ona... ona jest... - zaczął jąkać się Lebiadkin. Głos mu drżał.

- No! - Szatow nadstawił ucha. Milczenie trwało przynajmniej pół minuty.
- Ty podły! - rozległo się wreszcie za drzwiami i kapitan szybko zbiegł na dół, sapiąc i potykając się na każdym stopniu.
- Nie, on jest zbyt chytry i nie wygada się nawet po pijanemu - mówił Szatow odchodząc od drzwi.
- O cóż tu chodzi?

Szatow machnął ręką, otworzył drzwi i znowu zaczął się wsłuchiwać. Słuchał długo, nawet zszedł kilka stopni. Wreszcie wrócił.

- Nic nie słyhać. Nie bije jej. To znaczy, że zwałił się i będzie spać. Czas już na pana.
- Panie Szatow, niech mi pan powie, co mam myśleć o tym wszystkim?
- Niech pan myśli, co pan chce! - odpowiedział głosem zmęczonym, niechętnie, i siadł przy biurku.

Wyszedłem. Pewna myśl, zupełnie niewiarygodna, coraz bardziej utrwalała się w mojej wyobraźni. Z niepokojem myślałem o dniu jutrzejszym.

153

VII

Ów „dzień jutrzejszy”, czyli owa niedziela, w którą miał się nieodwołalnie rozstrzygnąć los Stepana Trofimowicza, należał do najwspanialszych dni w mojej opowieści. Był to dzień niespodzianek, dzień końców i początków, gwałtownych starć, wyjaśnień i nowej gmatwaniny. Rano, jak wiadomo, miałem towarzyszyć memu przyjacielowi do Barbary Pietrowny, zgodnie z jej wskazówkami, a już o trzeciej obiecałem być u Lizawiey Nikolajewny, aby opowiedzieć jej (sarnie nie wiem co) i pomóc (sam nie wiem w czym). Wszystko jednak potoczyło się inaczej, niżby ktokolwiek mógł przypuszczać. Słowem, był to dzień dziwnych zdarzeń i zbiegów okoliczności.

Zacznijmy od tego, że stawiwszy się w południe u Barbary Pietrowny nie zastaliśmy jej w domu. Nie wróciła jeszcze z cerkwi. Mój biedny przyjaciel był w takim nastroju, a raczej rozstroju, że ta wiadomość od razu zbiła go z nóg. Bezsilnie opadł na fotel w salonie. Podałem mu szklankę wody. Chociaż był błądy i ręce mu drżały, odmówił z godnością. Muszę zaznaczyć, że strój jego wyróżniał się tego dnia wyjątkową wytwornością: prawie białowa, batystowa haftowana koszula, biały halsztuk, nowy kapelusz w ręku, nowe kremowe rękawiczki i nawet odrobina perfum. Ledwośmy usiedli, wszedł Szatow, prowadzony przez kamerdynera. Rzecz jasna, był oficjalnie zaproszony. Stepan Trofimowicz uniósł się lekko w fotelu, wyciągnął do niego dłoń, lecz Szatow, uważnie spojrzawszy na nas, siadł w kącie i nawet nie kiwnął nam głową. Stepan Trofimowicz znów z przerażeniem spojrzął na mnie.

Siedzieliśmy jeszcze kilka chwil w zupełnym milczeniu. Stepan Trofimowicz zaczął coś szeptać do mnie, ale tak szybko, że nie mogłem zrozumieć. Przerwał i widać było, że jest niesłychanie wzburzony. W tej chwili wszedł kamerdyner, aby coś poprawić na stole, a właściwie zerknąć na nas. Wtem Szatow głośno zwrócił się do niego z pytaniem:

- Aleksy Jegorowiczu, czy Daria Pawłowna także wyjechała z panią?
- Nie, Barbara Pietrowna sama raczyła pojechać, a Daria Pawłowna została, źle się czuje - pouczającym, poważnym tonem odpowiedział Aleksy Jegorowicz.

154

Mój nieszczęśliwy przyjaciel znów rzucił na mnie trwożne spojrzenie. Tak mi to dokuczyło, że zrobiłem ruch, jak gdybym chciał się od niego odwrócić. Wtem na ulicy rozległ się tętent i po chwili jakiś ruch w mieszkaniu obwieścił nam, że gospodyni przyjechała. Zerwaliśmy się z miejsc,

lecz spotkała nas nowa niespodzianka: posłyszeliśmy liczne kroki, czyli że Barbara Pietrowna wróciła nie sama. Było to dziwne, ponieważ ta godzina wyznaczona była specjalnie dla nas. Wreszcie usłyszeliśmy, że ktoś idzie bardzo szybko, prawie biegnie, a Barbara Pietrowna przecie nie mogłaby tak iść. Na koniec wpadła do pokoju, zdyszana i wzburzona. Za nią, krokiem znacznie wolniejszym, w pewnej odległości, weszła Lizawieta Nikołajewna, a tuż obok Lizawiety Nikołajewny - Maria Timofiejewna Lebiadkin! Gdybym zobaczył to we śnie, nawet wtedy bym nie uwierzył.

Aby zrozumieć, jak to się stało, muszę się cofnąć o godzinę wstecz i opisać szczegółowo niezwykle zdarzenie, jakie spotkało Barbarę Pietrowną w soborze.

Na nabożeństwo południowe przyszło prawie całe miasto. Mówię oczywiście o śmietance towarzystwa. Wiedziano, że będzie obecna nowa gubernatorowa, po raz pierwszy po przybyciu do nas. Trzeba dodać, że opowiadano o jej wolno-myślicielstwie i hołdowaniu nowym prądom. Wszystkie panie już wiedziały, że gubernatorowa będzie ubrana uroczyście i wspaniale, toteż i stroje naszych pań wyróżniały się tego dnia wytwornością i elegancją. Tylko Barbara Pietrowna ubrana była skromnie, w zwykłą czarną suknię, tak jak się ubierała stale od czterech lat. Wszedłszy do soboru zajęła zwykle swe miejsce, z przodu z lewej strony, a lokaj w liberii położył przed nią aksamitną poduszkę do klęczenia. Słowem, wszystko jak zawsze. Zauważono jednak, że z niezwykle żarliwością modliła się przez cały czas nabożeństwa. Zapewniano nawet potem, że miała łzy rozrzewnienia w oczach. Skończyło się wreszcie nabożeństwo i ojciec Paweł wystąpił z uroczystym kazaniem. Lubiano u nas jego kazania i zachwycano się nimi. Namawiano go nawet, aby je wydał drukiem, lecz nie mógł się na to zdecydować. Dzisiejsze kazanie było jakieś niezwykle długie.

I oto już podczas kazania zajechała przed sobór dorożką jakaś pani. Zajechała dorożką starego typu, na której sie-

155

działo się z boku, trzymając się za pas woźnicy i podlatując do góry na wszystkich nierównościach drogi jak słomka na wietrze. Takie dorożki są w naszym mieście do dziś dnia. Zatrzymawszy dorożkę u węgła soboru, gdyż przy wejściu zbiło się dużo powozów i stali nawet dla porządku żandarmi - kobieta zeskoczyła i dała woźnicy cztery kopiejki srebrem.

- Co? Mało ci? - zawołała zauważywszy jego niezadowolenie. - Nie mam więcej - dodała płacząco.

- Bóg z tobą, umowy nie było - machnął ręką dorożkarz i spojrział na nią takim wzrokiem, jak gdyby mówił: „Grzech taką skrzywdzić.”

Po czym, wsunąwszy za pazuchę skórzaną sakiewkę - odjechał wśród śmiechu stojących w pobliżu dorożkarzy. Śmiech, a nawet zdumienie towarzyszyły również przyjezdnej kobiecie, póki nie przedostała się do wrót soboru, przeciskając się wśród licznych pojazdów i obok lokajów oczekujących szybkiego ukazania się państwa. I rzeczywiście było coś niezwyklego i niespodziewanego dla wszystkich w nagłym zjawieniu się takiej osoby na ulicy, wśród tłumu ludzi. Była chorobliwie chuda, kulawa, mocno wybielona i naróżowana. Jej długa, chuda szyja była odsłonięta. Nie miała na sobie ani chustki, ani płaszcza, tylko starą ciemną suknię, choć nastał już wrzesień, a dzień, mimo że słoneczny, był jednak wietrzny i zimny. Głowę miała odkrytą, a włosy związane z tyłu w malusieńki koczek, w który z prawej strony wetknięta była papierowa róża, taka, jakimi upiększa się aniołki w niedzielę palmową. Takiego aniołka w wianku ze sztucznych róż widziałem wczoraj w kącie pod ikonami, gdy był u Marii Timofiejewny. W dodatku szła ze spuszczonej skromnie oczyma, uśmiechając się przy tym wesoło a zalotnie. Gdyby nie przebiegła szybko, może nie wpuszczono by jej nawet do świątyni... Zdążyła jednak prześliznąć się, a wszedłszy do środka, precyzyjnie się niepostrzeżenie naprzód.

Było w połowie kazania i cały tłum, wypełniający świątynię, słuchał w nabożnym skupieniu. Jednak ten i ów ciekawie i ze zdumieniem zerknął na przybyłą, która legła krzyżem, przytuliła do posadzki swą wybieloną twarz, leżała długo i widocznie płakała. Potem jednak podniosła głowę, wstała i uspokoiła się dość szybko. Wesoło, z wyrazem nadzwyczajnego zadowolenia, zaczęła przebiegać wzrokiem po twa-

156

rzach zebranych, po ścianach świątyni; najciekawiej przyglądała się niektórym paniom, unosząc się nawet na palcach, parę razy nawet zaśmiała się jakoś dziwnie chichocząc. Skończyło się kazanie i wniesiono krzyż. Gubernatorowa pierwsza skierowała się do krzyża, lecz nie dochodząc do niego o parę kroków zatrzymała się ustępując miejsca Barbarze Pietrownie, która także zbliżała się krokiem stanowczym, jak gdyby nie widząc nikogo przed sobą. Niezwykła uprzejmość gubernatorowej była prawdopodobnie z jej strony złośliwą demonstracją; tak zrozumieli to wszyscy. Zrozumiała to prawdopodobnie i Barbara Pietrowna; jednak, nie tracąc kontenansu, z niewzruszoną godnością ucałowała krzyż i skierowała się do wyjścia. Lokaj w liberii torował jej drogę, choć i bez niego wszyscy się rozstępowali. Jednak już przy samym wyjściu na stopniach soboru gęsty tłum zagroził jej na chwilę drogę. Barbara Pietrowna zatrzymała się, a w tejże chwili owa dziwna istota, kobieta z papierową różą we włosach, precyzyjnie się przez tłum uklękła przed nią. Barbara Pietrowna, która nigdy nie okazywała zdziwienia, zwłaszcza publicznie, spojrzała surowo i poważnie.

Dodać tu muszę, choć w kilku słowach, że aczkolwiek w ostatnich latach Barbara Pietrowna stała się zbyt oszczędna, a nawet, jak mówiono, skąpa, jednak czasem nie żałowała pieniędzy, zwłaszcza na cele dobroczynne. Była członkinią jednego ze stołecznych towarzystw dobroczynności. Niedawno, w roku głodowym,⁶ wysłała do Petersburga, do głównego komitetu pomocy głodującym, pięćset rubli, co zwróciło powszechną uwagę. Wreszcie już w ostatnich czasach, przed mianowaniem nowego gubernatora, założyła miejscowy damski komitet pomocy najuboższym położnicom miasta i guberni. Zarzucano jej nadmierną ambicję, lecz stanowczość jej charakteru i upór miały zatriumfować nad wszelkimi przeszkodami. Komitet był już prawie zorganizowany, a pierwotna myśl rozrastała się coraz szerzej w zachwyconej duszy Barbary Pietrowny. Marzyła już o stworzeniu takiego samego komitetu w Moskwie i o stopniowym rozszerzaniu zakresu jego działalności na wszystkie gubernie. Z chwilą jednak zmiany gubernatora zahamowało się wszystko, a nowa gubernatorowa zdążyła już w towarzystwie wypowiedzieć parę zjadliwych, a zarazem rzeczowych i trafnych uwag o niepraktyczności zasadniczych

157

podstaw takiego komitetu, co, rzecz prosta, w barwach odpowiednio zgęszczonych, zostało zakomunikowane Barbarze Pietrownie. Niezbadała jest głębia serc ludzkich, wydaje mi się jednak, że Barbara Pietrowna z pewnym zadowoleniem zatrzymała się teraz u wrót świątyni, wiedząc, że zaraz będzie przechodziła tamtędy gubernatorowa, a za nią wszyscy. „Niech sama zobaczy, jak mi wszystko jedno, co ona myśli i dowcipkuje, jak nic sobie nie robię z tego, że kpi z mojej dobroczynności! Niech i inni to widzą!”

- Co ci jest, biedaczko? Czym mogę ci pomóc? - odezwała się patrząc badawczo na klęczącą przed nią kobietę.

Ta zaś wpatrywała się w nią zalęknionymi, zawstydzonymi, lecz pełnymi zachwyty oczami i nagle zaśmiała się swoim dziwnym śmiechem.

- Kto to taki? Co za jedna?

Barbara Pietrowna obrzuciła wszystkich otaczających pytającym spojrzeniem. Wszyscy jednak milczeli. Potem zwróciła się znowu do klęczącej:

- Jesteś nieszczęśliwa? Potrzebna ci pomoc?

- Tak, pomoc... ja przyjechałam... - szeptała kobieta rwącym się ze wzruszenia głosem. - Przyjechałam tylko po to, aby rączkę twoją ucałować, pani! - i znów się zaśmiała.

Jak dziecko przymilające się, gdy o coś prosi, wyciągnęła ręce, by chwycić dłoń Barbary Pietrowny, lecz przestraszyła się czegoś i szybko cofnęła ręce.

- Tylko po to przyjechałaś? - współczująco uśmiechnęła się Barbara Pietrowna. Wyjęła jednak z kieszeni portmonetkę, wykładaną masą perłową, wydostała papierek dziesięć-ciorublowy i wręczyła go nieznajomej.

Ta przyjęła ofiarę. Barbara, Pietrowna była bardzo zainteresowana i widocznie nie traktowała nieznajomej jak zwykłej żebraczki.

- Oho! Aż dziesięć rubli dała! - odezwał się ktoś w tłumie.

- Daj mi rączkę, pani - znów szeptała nieznajoma, palcami lewej ręki mocno trzymając za brzeżek zwijającą się na wietrze otrzymaną dziesięćciorubłówkę.

Barbara Pietrowna jakoś się zachmurzyła i z poważną, prawie surową twarzą wyciągnęła dłoń. Tamta ucałowała ją pobożnie. Wdzięczne jej spojrzenie wyrażało zachwyt.

158

„Wy-

W tej właśnie chwili zbliżyła się gubernatorowa, a za nią fala naszych pań i starszych dygnitarzy. Gubernatorowa musiała zatrzymać się na chwilę z powodu tłoku. Ci, co szli za nią, stanęli także.

- Drżysz cała, pewnie ci zimno? - mówiła Barbara Piętro wna.

Zrzuciwszy z siebie płaszcz, który w locie pochwyciły ręce lokaja, zdjęła z ramion swój czarny, wcale nie tani szal i własnoręcznie owinęła odsłoniętą szyję nieznajomej, ciągle klęczącej przed nią.

- Wstańże, moja droga, nie klęcz, proszę cię! Kobieta wstała.

- Gdzie mieszkasz? Czy nikt, nikt nie wie, gdzie ona mieszka? - znów niecierpliwie ozwała się Barbara Piętro wna.

Tłumu już nie było. Dokoła widać było same znane dystyngowane osoby. Wszyscy przyglądali się, jedni z poważnym zdziwieniem, inni z przebiegłą ciekawością, a nawet z niewinnym pragnieniem jakiegoś skandaliku, jeszcze inni zaczęli się już uśmiechać.

- To, zdaje się, panna Lebiadkin - odpowiedział wreszcie jakiś dobry człowiek. Był to szanowany i lubiany kupiec Andriejew, starzec z siwą brodą, w okularach, w staroświeckim rosyjskim stroju, w wysokim okrągłym kapeluszu, który trzymał teraz w ręku. - Mieszka w domu Filippowa na Bogojawleńskiej.

- Lebiadkin? Dom Filippowa? Coś już słyszałam... Dziękuję panu, Nikonie Siemionowiczu. Ale kim jest ten Lebiadkin ?

- Mówi, że jest kapitanem. To człowiek, jak by to powiedzieć, nieostrożny. To zaś pewno jego siostra. Prawdopodobnie wykradła się z domu, spod opieki - zniżonym głosem dodał Andriejew patrząc porozumiewawczo na Barbarę Pietrownę. „

- Ach, rozumiem! Dziękuję, Nikoniju Siemionowiczu. Pani, moja droga, jest panną Lebiadkin?

- Nie, nie jestem panną Lebiadkin.

- Więc może twój brat nazywa się Lebiadkin?

- Tak. Lebiadkin to mój brat.

- Wiesz co, moja droga? Wezmę panią teraz ze sobą,
159

a ode mnie odwiozę cię do domu. Chce pani jechać ze mną?

- Chcę, chcę! - klasnęła w dłonie Maria Timofiejewna.

- Ciociu, ciociu! Proszę wziąć i mnie ze sobą! - rozległ się głos Lizawiey Nikołajewny.

Muszę wyjaśnić, że Liza przyjechała na nabożeństwo wraz z gubernatorową, podczas gdy Praskowia Iwanowna, w myśl zalecenia lekarza, wyjechała kareta na spacer. Aby się nie nudzić, wzięła ze sobą Maurycego Nikołajewicza. Liza porzuciła teraz gubernatorową i podbiegła do Barbary Pietrowny.

- Moja droga, zawsze ci jestem rada, ale co powie na to twoja matka? - zaczęła poważnie Barbara Pietrowna, lecz w tej chwili zmieszało ją niesłychane podniecenie Lizy.

- Ciociu, ciociu, ja muszę z tobą pojechać - błagała Liza całując Barbarę Pietrowną.

- Mais, quavez-vous donc, Ltse!* - odezwała się gubernatorową akcentując zdziwienie.

- Ach, chere cousine,** moja złota, wybacz, ja do cioci - zwróciła się Liza do swojej chere cousine i pocałowała ją dwa razy. - Proszę powiedzieć mamam, aby natychmiast przyjechała po mnie do cioci. Maman sama chciała zjechać, chciała koniecznie, mówiła o tym niedawno, zapomniałam uprzedzić - trzepała Liza. - Proszę nie gniewać się na mnie, Julie, chere... cousine... Ciociu, już jestem! Jeżeli ciocia nie weźmie mnie ze sobą, pobiegnę za cioci kareta i będę krzyczała - rozpaczliwie szepnęła na ucho Barbarze Pietrownie.

Nikt tego na szczęście nie słyszał. Barbara Pietrowna zachnęła się i przenikliwym wzrokiem przeszła zwariowaną dziewczynę. Lecz jedno spojrzenie już jej starczyło: zdecydowała się w jednej chwili, że zabierze Lizę ze sobą.

- Trzeba z tym skończyć - wyrwało się jej z ust. - Dobrze, Lizo - dodała głośno - zabiorę cię z przyjemnością, o ile oczywiście Julia Michajłowna zechce być tak uprzejmą i pozwoli na to - otwarcie i z wyniosłą prostotą zwróciła się wprost do gubernatorowej.

- Ależ oczywiście, czy mogłabym pozbawić ją tej przyjemności, tym bardziej że sama... - mówiła Julia Michaj-

- Ale co się z tobą dzieje, Lizo! ** droga kuzynko

160

łowna z niesłychaną uprzejmością - że sama wiem dobrze... jaka na tym karczku rośnie samowolna i pełna fantazji główka - Julia Michajłowna uśmiechnęła się czarująco.

- Dziękuję pan; serdecznie - najuprzejmiej podziękowała Barbara Pietrowna i złożyła wytworny ukłon.

- Ach, jestem niesłychanie rada - podchwyciła Julia Michajłowna, zarumieniona od miłego zachwyty - cieszę się tym bardziej, że Lizą, oprócz przyjemności obcowania z panią, powoduje piękne, wzniosłe uczucie... litości (spojrzała na „nieszczęśliwą”) - tu, u progu świątyni...

- Taki pogląd zaszczyt pani przynosi - zaaprobowała ze wspaniałym gestem Barbara Pietrowna.

Gubernatorowa szybko wyciągnęła dłoń, a Barbara Pietrowna z całą godnością dotknęła jej palcami. Ogólne wrażenie całej sceny było wyjątkowo miłe; twarze wielu spośród obecnych rozbrły zadowoleniem; ukazał się niejeden błogi, przymilny uśmiech.

Słowem, wszyscy w tej chwili zrozumieli wyraźnie, że to nie Julia Michajłowna lekceważyła dotychczas Barbarę Pietrowną i nawet nie złożyła jej wizyty, ale przeciwnie, że to Barbara

Pietrowii* „trzymała na pewien dystans gubernatorową, która poleciałaby do niej chętnie nawet piechotą, gdyby tylko miała pewność, że zostanie przyjęta”. Autorytet Barbary Pietrowny wzrósł ogromnie.

- Siadajże, biedaczko - mówiła Barbara Pietrowna wskazując karety swej nowej protegowanej.

„Biedaczka” radośnie podbiegła do drzwiczek karety, przy których spotkał ją lokaj.

- Co? Pani kuleje? - zawołała Barbara Pietrowna z przerażeniem i zbladła. (Zauważyli to wszyscy, lecz nie zrozumieli...)

Kareta ruszyła. Dom Barbary Pietrowny był w pobliżu soboru. Opowiadała mi potem Liza, że Maria Timofiejewna przez całą drogę śmiała się histerycznie, zaś Barbara Pietrowna trwała „jak w jakimś magnetycznym śnie” (własne określenie Lizy).

ROZDZIAŁ PIĄTY

PRZEBIEGŁY WĄŻ

I

Barbara Pietrowna zadzwoniła i usiadła w fotelu przy oknie.

- Siadaj tu, biedaczko - wskazała Marii Timofiejewnie miejsce pośrodku pokoju, przy dużym, okrągłym stole. - Stiepanie Trofimowiczu, co to znaczy? Patrz pan tu na tę kobietę, co to znaczy?

- Ja... ja... - bełkotał Stiepan Trofimowicz. Ale wszedł lokaj.

- Filiżankę kawy, natychmiast, jak najprędzej! Kareta niech czeka.

- Mais, chere et excellente amie, dans quelle inquietude...* - zamierającym głosem rzekł Stiepan Trofimowicz.

- Ach, po francusku, po francusku! Widać od razu, że wyższa sfera! - klasnęła w dłonie Maria Timofiejewna, z upojeniem przysłuchując się rozmowie.

Barbara Pietrowna patrzyła na nią z przerażeniem.

Milczeliśmy wszyscy i czekaliśmy jakiegoś epilogu. Szatow nie podnosił głowy, Stiepan Trofimowicz był zmieszany, jak gdyby sam wszystkiemu był winien; pot wystąpił mu na skronie. Spojrzałem na Lizę (siedziała w rogu, prawie obok Szatowa). Oczy jej biegały bez przerwy od Barbary Pietrowny do kulawej i z powrotem; usta wykrzywił niedobry uśmiech. Barbara Pietrowna widziała ten uśmiech. Tymczasem zaś Maria Timofiejewna była niesłychanie zachwycona: z radością, bez najmniejszego zażenowania oglądała piękny salon

Ależ, droga, najlepsza przyjaciółko, w jakimże niepokoju

162

Barbary Pietrowny - meble, dywany, obrazy na ścianach, staroświecki plafon, wielki krucyfiks z brązu, stojący w rogu, porcelanową lampę, albumy, drobiazgi na stole.

- I ty tu jesteś, Szatuszka! - zawołała znienacka. - Patrzę wciąż na ciebie, widzę ciebie, a myślę: to nie on! Skąd mógłby się tu wziąć?

Śmiała się wesoło.

- Pan zna tę kobietę? - gwałtownie zwróciła się do Szatowa Barbara Pietrowna.

- Znam - bąknął Szatow. Zrobił ruch, jakby chciał zerwać się z krzesła.

- Co pan o niej wie? Tylko prędeż!

- No cóż... - uśmiechnął się bezsensownie i zaciął się. - Sama pani widzi...

- Co mam widzieć? Prędeż! Mów pan!

- Mieszka w jednym domu ze mną... razem z bratem... oficerem...

- No!

Szатов urwał znowu.

- Nie warto gadać - bąknął i zaciął usta. Nawet poczerwieniał.

- Oczywiście! Czegóż więcej można było spodziewać się po panu!

Barbara Pietrowna już zrozumiała, że wszyscy coś wiedzą, tylko ukrywają to przed nią i unikają rozmowy.

Wszedł lokaj i wniósł na małej, srebrnej tacy zamówioną specjalnie filiżankę kawy. Na skinienie Barbary Pietrowny podał tę kawę Marii Timofiejewnie.

- Ziębłás, biedaczko. Proszę wypić prędko, a rozgrzejesz się.

- Merci.

Maria Timofiejewna wzięła filiżankę, lecz w tej chwili parsknęła śmiechem, widocznie dlatego, że powiedziała do lokaja merci. Napotkawszy jednak groźne spojrzenie Barbary Pietrowny, złękła się i postawiła filiżankę na stole.

- Ciociu, czy ciocia się nie gniewa? - szepnęła z pewną lekkomyślną figlarnością.

- Co-o-o? - zawołała Barbara Pietrowna prostując się w fotelu. - Jaka ja dla pani jestem ciocia? Co pani sobie myśli ?

163

Marię Timofiejewną, która nie spodziewała się takiego gniewu, ogarnął jakiś konwulsyjny dreszcz. Opadła na poręcz fotela.

- Myślałam... myślałam, że tak trzeba - wyjąkała, wpatrzona trwożnie w Barbarę Pietrowną. - Tak mówi Liza.

- Jaka znów Liza?

- O, ta panienka - wskazała małym palcem Maria Timofiejewna.

- To ona jest już dla pani Lizą?!

- Pani ją sama tak nazwała niedawno - śmielej nieco rzekła Maria Timofiejewna. - Tak samo piękną widziałam ją we śnie. - I uśmiechnęła się jak gdyby mimo woli.

Barbara Pietrowna zrozumiała i uspokoiła się trochę. Nawet coś jakby uśmiech zjawilo się na jej twarzy po ostatnich słowach Marii Timofiejewny, która, zauważywszy ów uśmiech, wstała i kulejąc zbliżyła się do niej.

- Proszę wziąć. Zapomniałam oddać. Niech pani się nie gniewa. - Zdjęła z ramion czarny szal, włożony na nią przez Barbarę Pietrowną.

- Proszę to zaraz włożyć i zostawić na sobie. Niechże pani siada i pije kawę. Nie bój się mnie, moja droga, uspokój się. Zaczynam już ciebie rozumieć.

- Chere omie... - próbował znów odezwać się Stiepan Trofimowicz.

- Ach, Stiepanie Trofimowiczu! Tu i bez pana tracę już głowę. Niech przynajmniej pan mnie oszczędzi... Tam koło pana jest dzwonek do garderoby. Proszę, niech pan zadzwoni.

Zaległo milczenie. Wzrok Barbary Pietrowny biegał podejrzliwie po wszystkich zebranych. Do salonu zajrzała ulubiona pokojówka Barbary Pietrowny - Agasza.

- Przynieś kraciastą chustę, którą przywiozłam z Genewy. Co robi Daria Pawłowna?

- Źle się czuje.

- Idź i poproś ją tu. Powiedz, że bardzo proszę, nawet jeżeli źle się czuje.

W tej chwili w sąsiednich pokojach znów rozległy się jakieś hałaśliwe głosy i kroki; w progu stanęła zdyszana i wzburzona Praskowia Iwanowna. Towarzyszył jej Maurycy Nikołajewicz.

- Mój Boże! Ledwo przyszedłam! Liza, co, wariatko, wyprawiasz! - syknęła wkładając w to syknięcie, zwyczajem

164

osób słabych a podrażnionych, wszystko, co nagromadziło się w jej duszy. - Barbaro Pietrowno! Ja tu po córkę!

Barbara Pietrowna spojrzała na nią z ukosa. Poruszyła się w fotelu i ledwo hamując niezadowolone powiedziała:

- Jak się masz, Praskowio Iwanowno, siadaj, proszę. Wiedziałam, że przyjedziesz.

II

Takie powitanie nie mogło być niespodzianką dla Praskowii Iwanowny. Od samego dzieciństwa Barbara Pietrowna traktowała swą szkolną koleżankę z góry, despotycznie, a nawet, mimo pozorów przyjaźni, pogardliwie. W tej chwili wkradł się nowy jeszcze ton. W ostatnich dniach nastąpiło całkowite prawie zerwanie stosunków między dwiema daniami, o czym już pobieżnie wspominałem. Przyczyny tego zerwania nie były jeszcze jasne dla Barbary Pietrowny, tym bardziej więc niemile. Lecz faktem było, że Praskowia Iwanowna zajęła wobec niej jakieś niesłychanie wyniosłe stanowisko. Ubodło to Barbarę Pietrowną, tymczasem zaś dochodziły do niej wieści nieokreślone, lecz irytujące. Miała charakter prostolinijny, wyniosłe otwarty, demonstracyjnie szczerzy, i nie znosiła oskarżeń ukrytych, tajnych. Wołała walkę jawną. W każdym razie koleżanki nie widziały się już od pięciu dni. Ostatnią wizytę złożyła Barbara Pietrowna i od „Drozdychy” wróciła do domu skonfundowana i obrażona. Praskowia Iwanowna, wchodząc obecnie, miała, twierdzą, niezawodnie naiwne przeświadczenie, że Barbara Pietrowna dla jakiejś przyczyny powinna stchórzyć przed nią. Widać to było z wyrazu jej twarzy. Lecz Barbarę Pietrowną ogarniał zawsze demon najwynioślejszej dumy, gdy tylko mogła przypuścić choć na chwilę, że ktokolwiek chce ją traktować z góry. Praskowia Iwanowna, jak wszyscy ludzie słabi, pozwalający zwykle ubliżać sobie bez protestu, chętnie przerzucała się do gwałtownego ataku przy pierwszej nadarzącej się sposobności. Teraz zaś była chora, więc jeszcze więcej podrażniona. Dodam, że my wszyscy, którzyśmy byli w salonie, nie krępowalibyśmy naszą obecnością przyjaciółek, gdyby się chciały pokłócić; byliśmy prawie jak domownicy, a nawet pod wielu względami

165

jak podwładni. Ku memu przerażeniu zrozumiałem to od razu. Stiepan Trofimowicz, który od chwili wejścia Barbary Pietrowny stał cały czas i był już u kresu sił, gdy tylko posłyszał syk Praskowii Iwanowny, rozpaczliwie osunął się na krzesło usiłując złowić mój wzrok. Szatow gwałtownie odwrócił się na krzesło i nawet bąknął coś pod nosem. Miałem wrażenie, że chciał zerwać się i wyjść. Liza wstała, lecz po chwili znów usiadła, i nawet nie zwróciła zbyt wielkiej uwagi na okrzyk matki, nie z racji swego „samowolnego charakteru”, lecz dlatego, że wciąż była we władzy innego, potężnego wrażenia. Patrzyła gdzieś w przestrzeń, była jakaś roztargniona i nie zwracała uwagi na Marię Timofiejewną.

III

- Och, tutaj! - Praskowia Iwanowna wskazała fotel stojący przy stole i ciężko osunęła się nań przy pomocy Maurycego Nikolajewicza. - Nie siadłabym nawet u ciebie, moja droga, żeby nie te nogi! - dodała zduszonym głosem. Barbara Pietrowna uniosła nieco głowę i z miną cierpiętnicy przycisnęła do prawej skroni palce prawej ręki. Widocznie czuła silny ból (tic douloureux).

- Dlaczegoż to? Dlaczego byś nie miała usiąść u mnie, Praskowio? Twój mąż nieboszczyk obdarzał

mnie przez całe życie szczerą przyjaźnią, a ty i ja, jako dziewczynki na pensji, bawiłyśmy się razem lalkami.

Praskowia Iwanowna zamachała rękami.

- Wiedziałam, że tak będzie. Zawsze o pensji mówisz, gdy chcesz mi nawymyślać. To wykręt. Piękne słówka. Nie znoszę tej naszej pensji.

- Zdaje mi się, że przyjechałaś tu w fatalnym nastroju; jak twoje nogi? Zaraz przyniosą ci kawy. Pij i nie irytuj się.

- Słuchaj, ty mnie traktujesz jak małe dziecko. Nie chcę kawy, rozumiesz?

Odrzuciła lokaja, który podawał kawę. (Zresztą inni też pić nie chcieli, oprócz mnie i Maurycego Nikołajewicza.) Stiepan Trofimowicz wziął filiżankę, lecz natychmiast ją odsunął. Maria Timofiejewna widocznie bardzo chciała wziąć drugą filiżankę, nawet wyciągnęła rękę, lecz rozmyśliła się

166

i odmówiła w sposób bardzo uprzejmy, wyraźnie zadowolona z siebie.

Barbara Pietrowna uśmiechnęła się z przymusem.

- Wiesz co, moja droga Praskowio? Na pewno znów coś sobie wyobraziłaś, gdyś tu wchodziła. Zawsze żyłaś tylko fantazjami. Na przykład obraziłaś się na mnie za pensję. A pamiętasz, jak kiedyś po wakacjach przyjechałaś i zapewniałaś nas, że oświadczył ci się huzar Szabłykin, i jak natychmiast madame Lefebure dowiodła ci, że kłamiesz. A tyś nawet nie kłamała. Po prostu fantazjowałaś dla własnej przyjemności. A teraz mów, o co ci chodzi? Coś sobie wyimaginowała, czego jesteś zła?

- A tyś na pensji zakochała się w popie, który wykladał nam religię. Masz za to, jeżeli tak dobrze pamiętasz. Cha, cha, cha!

Praskowia Iwanowna zaśmiała się złośliwie, ale natychmiast napadł ją kaszel.

- A-a? Nie zapomniałaś popa?

Barbara Pietrowna spojrzała nienawistnie. Twarz jej pozieleniała. Praskowia Iwanowna nabrała nagle pewności siebie.

- Teraz, moja droga, nie czas się śmiać! Po coś ty moją córkę wplątała do swojego skandalu? Na oczach całego miasta! Przyjechałam do ciebie w tej właśnie sprawie!

- Do mojego skandalu? - prostując się, groźnie powtórzyła Barbara Pietrowna.

- Mamo, bardzo proszę, niech mama będzie powściągliwsza - odezwała się raptem Liza.

- Jak ty śmiesz?! - syknęła znów Praskowia Iwanowna, lecz w tej chwili przestraszyła się błysku w oczach córki.

- Jak mama może mówić o skandalu? - wybuchnęła Liza. - Sama pojechałam, za zgodą Julii Michajłowny. Chciałam poznać historię tej biedaczki, aby jej dopomóc w czymkolwiek.

- „Historię tej biedaczki” - złośliwie śmiejąc się powtórzyła Praskowia Iwanowna. - Co ci do takich „historii”? Dość już mam tego despotyzmu! - zwróciła się gwałtownie do Barbary Pietrowny. - Mówią, czy to prawda, nie wiem, że całe miasto skacze przed tobą na dwóch łapkach. Ale koniec już twemu panowaniu!

167

Barbara Pietrowna siedziała wyprostowana jak strzała, która za chwilę wyleci z cięciwy. Przez parę

chwil groźnie, i nieruchomo patrzyła na Praskowię Iwanownę.

- No, dziękuj Bogu, Praskowio, że tu sami swoi - odezwała się wreszcie ze złowieszcym spokojem. - Dużoż zbytecznych słów powiedziała.

- A ja, moja złota, nie obawiam się opinii ludzkiej, jak niektóre osoby. To ty, pod pozorami surowości, trzęsiesz się ze strachu przed opinią. A że tu sami swoi, to tylko twoje szczęście, bo nie słyszy nikt obcy.

- Cóż tak zmądrzała przez ten tydzień?

- Nie ja zmądrzałam, lecz prawda widocznie wylazła na wierzch w ciągu tego tygodnia.

- Jaka prawda na wierzch wylazła? Słuchaj, Praskowio, nie drażnij mnie, nie radzę ci. Lepiej wytłumacz zaraz, wytłumacz w tej chwili, jaka prawda na wierzch wylazła i co ty przez to rozumiesz.

- O, tu właśnie siedzi prawda! - Praskowia Iwanowna wskazała palcem Marię Timofiejewną z taką rozpaczliwą determinacją, która nie bierze w rachubę żadnych następstw, której jedynym celem jest oszołomienie przeciwnika.

Maria Timofiejewna, przyglądająca się wciąż z wesołym zaciekawieniem, zaśmiała się radośnie na widok wyciągniętego ku niej palca rozgniewanej damy i poruszyła się w fotelu.

- Jezus Maria! Powariowali wszyscy czy co? - krzyknęła Barbara Pietrowna i blednąc osunęła się na oparcie fotela.

Tak zbladła, że wszystkich ogarnęło przerażenie. Stiepan Trofimowicz pierwszy podbiegł do niej. Zbliżyłem się i ja. Nawet Liza zerwała się z miejsca, lecz nie zrobiła jednego kroku. Najbardziej przestraszyła się sama Praskowia Iwanowna, z trudem podniosła się i płaczącym głosem zaczęła wołać:

- Droga moja, droga Barbaro, wybac mi! Wybac mi moją głupotę i złość. Wody! Dajcie jej prędzej wody!

- Mogłabyś nie jęczeć, Praskowio, a was wszystkich proszę: odejdźcie ode mnie. Wody nie trzeba! - cichym, lecz pewnym głosem wymówiła przez zbielejące wargi Barbara Pietrowna.

168

- Najdroższa! - ciągnęła Praskowia Iwanowna, nieco spokojniej. - Ja zawiniłam, Barbaro. Niepotrzebnie powiedziałam te nieostrożne słowa, lecz tak mnie już zirytowały te listy anonimowe, którymi mnie wciąż zasypują. Przecież dotyczą one ciebie, mogliby więc posyłać je pod twoim adresem, a nie pod moim. Ja mam córkę na wydaniu!

Barbara Pietrowna słuchała w milczeniu. Jej oczy, szeroko otwarte, patrzyły ze zdziwieniem. W tej chwili cicho otworzyły się boczne drzwi w rogu pokoju i stanęła w nich Daria Pawłowna. Rozejrzała się po twarzach obecnych. Zdziwiło ją nasze zmieszanie. Prawdopodobnie w pierwszej chwili nie spostrzegła Marii Timofiejewny, o której obecności nie była uprzedzona. Stiepan Trofimowicz zauważył ją pierwszy, zrobił jakiś gwałtowny ruch, poczerwieniał i głośno zawołał: „Daria Pawłowna!” Oczy wszystkich spoczęły na niej.

- Ach, to wasza Daria Pawłowna! - zawołała Maria Timofiejewna. - Wiesz, Szatuszka, zupełnie niepodobna do ciebie ta twoja siostrzyczka! Jak śmiał mój Lebiadkin lazywać takie cudo dziewczką pańszczyźnianą!

Daria Pawłowna już zbliżała się do Barbary Pietrowny, lecz zatrzymana okrzykiem Marii Timofiejewny stanęła jak wryta i patrzyła nie mogąc oderwać od niej wzroku.

- Siadaj, Daszo! - rzekła Barbara Pietrowna z przerażającym spokojem. - Siądź tu, bliżej. Możesz i

stąd widzieć tamtą kobietę. Znasz ją?

- Nie widziałam jej nigdy - cicho odparła Dasza i dodała po chwili: - To prawdopodobnie siostra niejakiego Lebiadkina.

- I ja, moja złota pani, widzę cię po raz pierwszy! - wołała w zachwycie Maria Timofiejewna. - A dawno już chciałam panią zapytać, bo widać w pani edukację. A chociaż mój lokaj wymyśla pani, to niemożliwe, aby pani zabrała jego pieniądze, taka miła, taka dobrze wychowana. Bo pani jest miła, ja to mówię sama! - skończyła radośnie, machając rączką.

- Rozumiesz coś z tego? - z dumną wyniosłością pytała Barbara Pietrowna.

- Rozumiem wszystko...

- Słyszałaś o pieniądzach?

8 Dostojewski, t III

169

- To pewno te pieniądze, które na skutek prośby Mikołaja Wsiewołodowicza jeszcze w Szwajcarii zgodziłam się wręczyć temu Lebiadkinowi, jej bratu.

Zapanowała chwila milczenia.

- Prosił ciebie o to sam Mikołaj Wsiewołodowicz?

- Tak, bardzo chciał posłać te pieniądze, trzysta rubli, Lebiadkinowi. Nie znał jego adresu, wiedział tylko, że on ma tu przyjechać. Poleciał mi oddać pieniądze, jeżeli Lebiadkin przyjedzie.

- A jakie to pieniądze... przepadły? O czym ta kobieta mówi?

- Tego już nie wiem. Dochodziły mnie plotki, jakoby Lebiadkin zarzucał mi, że nie wszystkie pieniądze oddałam. Ale ja tego nie rozumiem. Było trzysta rubli i przesałam trzysta.

Daria Pawłowna zdążyła się już uspokoić. W ogóle trudno było cokolwiek ją zadziwić na dłużej i wytrącić z równowagi. Nie zdradzała się z tym, co czuła. Odpowiadała spokojnie, ściśle, bez cienia wątpliwości i onieśmienia, które mogłyby zdradzić jakiejkolwiek poczucie winy. Barbara Pietrowna nie spuszczała z niej oczu. Zastanawiała się. Wreszcie odezwała się stanowczym głosem, zwracając się wyraźnie do wszystkich, nie tylko do Daszy:

- Jeżeli Mikołaj Wsiewołodowicz zwrócił się z tym nie do mnie, lecz do ciebie, miał widocznie po temu swoje racje. Nie mam prawa interesować się nimi, skoro ukrywa je przede mną. Lecz twój udział w tej sprawie uspokaja mnie całkowicie. Wiedz o tym, Dario, przede wszystkim! Ale widzisz, moje dziecko, mając najczystsze sumienie, mogłabyś jednak, przez nieznamość świata, popełnić nieostrożność; popełniłaś ją nawet, komunikując się z jakimś szubrawcem. Plotki przez niego rozgłaszane potwierdzają tylko twoją omyłkę. Zbiorę o nim informacje, a ponieważ jestem twoją opiekunką, więc potrafię stanąć w twojej obronie. Na dziś jednak dosyć już tego.

- Najlepiej będzie, gdyby przyszedł do pani - odezwała się Maria Timofiejewna wysuwając się z fotela - posłać go do pokoju dla służby. Niech tam pogra sobie w karty, a my tu będziemy pili kawę. Filiżankę kawy można mu nawet posłać, chociaż w ogóle to gardzę nim. - I wymownie pokręciła głową.

170

- Trzeba z tym skończyć - mówiła Barbara Pietrowna, uważnie wysłuchawszy Marii Timofiejewny.
- Niech pan zechce zadzwonić, Stiepanie Trofimowiczu.

Stiepan Trofimowicz zadzwonił, po czym wystąpił naprzód w silnym podnieceniu.

- Jeżeli... jeżeli... - bąkał gorączkowo, czerwieniąc się i jękając - jeżeli także słyszałem potworną opowieść... raczej potwarz... to... jestem oburzony... enfin cest un homme perdu et quelque chose

comme un forfat evade...*

Nie dokończył. Barbara Pietrowna zmrużyła oczy i zmierzyła go od stóp do głów. W tej chwili wszedł dystygowany lokaj.

- Karetę - rozkazała Barbara Pietrowna. - Odwieszysz, Aleksy, pannę Lebiadkin do domu, wskaże ci, gdzie mieszka.

- Pan Lebiadkin tam czeka na dole i bardzo prosił, aby go zaanonsować.

- To niedopuszczalne, Barbaro Pietrowno! - niespokojnie odezwał się Maurycy Nikołajewicz, który dotychczas zachowywał grobowe milczenie. - Niech mi pani wierzy! To nie taki człowiek, którego można by przyjmować w to-warzjfstwie. To... to... to człowiek zupełnie niemożliwy, Barbaro Pietrowno.

- Niech zaczeka chwilę - zwróciła się Barbara Pietrowna do lokaja, który natychmiast wyszedł z salonu.

- Cest un homme malhonnete et je crois meme, que cest un forfat evade ou queleque chose dans ce genre** - znów wy-bąkał Stiepan Trofimowicz, znów poczerwieniał i nie mógł mówić dalej.

- Lizo, jedziemy już - wyniosłe oznajmiła Praskowia Iwanowna i chciała wstać. Już żałowała, zdaje się, że przed chwilą ze strachu nazwała siebie głupią. Gdy mówiła Daria Pawłowna, słuchała jej z pogardliwym uśmiechem. Najbardziej jednak uderzył mnie wyraz twarzy Lizawiey Nikołajewny od chwili, gdy do pokoju weszła Daria: oczy jej iskrzyły się nienawiścią i wzgardą, nie ukrywaną nawet.

• wreszcie to człowiek zgubiony, jak gdyby zbiegły skazaniec...

** To człowiek nieuczciwy, a nawet myśl?, że to zbiegły skazaniec albo coś w tym guście

171

- Poczekaj jeszcze, Praskowio! - mówiła Barbara Pietrowna, wciąż z lodowatym spokojem. - Siądź, proszę, gdyż chore masz nogi, a chcę ci powiedzieć wszystko do końca. Tak, dziękuję ci. Widzisz, niedawno straciłam cierpliwość i powiedziałam ci parę rzeczy niemiłych. Bądź tak dobra i wybac mi. Zrobiłam głupstwo i sama się do tego przyznaję, gdyż lubię sprawiedliwość. Ty także byłaś rozdrażniona, kiedy mówiłaś o anonimach. Każdy list anonimowy, już przez to, że nie jest podpisany, wart jest pogardy. Nie zazdroszczę ci, jeżeli jesteś innego zdania. W każdym razie, na twoim miejscu, nie korzystałabym z tak nędznych rzeczy, bo zbrukałabym się sama. A tyś chciała się zbrukać. Ponieważ jednak sama zaczęłaś, powiem ci, że otrzymałam i ja przed sześciu dniami błazeński list anonimowy. Jakiś niktzemnik pisze mi, że Mikołaj Wsiewołodowicz zvariował i że powinnam się strzec jakiejś kulawej kobiety, która „odegra olbrzymią rolę w moim życiu” - zapamiętałam to zdanie. Zastanowiwszy się nad tym i wiedząc, że Mikołaj Wsiewołodowicz ma tu wielu wrogów, posłałam natychmiast po jednego człowieka, który jest ukrytym, ale najbardziej mściwym z jego wrogów. Z rozmowy z nim dowiedziałam się od razu, jak nędzne jest źródło anonimu. Jeżeli i ciebie, moja droga, niepokojono z mego powodu, i „bombardowano” takimi samymi niktzemnymi listami, ubolewam naprawdę, że stałam się bezwiedną przyczyną twoich przykrości. Oto wszystko, co chciałam ci wyjaśnić. Widzę z przykrością, że jesteś zmęczona i wytrącona z równowagi. Postanowiłam wpuścić tu zaraz tego podejrzanego człowieka, o którym mówił Maurycy Nikołajewicz, używszy niefortunnego zwrotu - że „nie można go przyjąć”. Obecność Lizy byłaby zbędna przy tej rozmowie. Chodź tu, Lizo, chcę jeszcze raz cię pocałować.

Liza przeszła przez cały pokój, stanęła w milczeniu przed Barbarą Pietrowną, która pocałowała ją, wzięła za rękę, odsunęła trochę, spojrzała serdecznie w oczy, przeżegnała i pocałowała znowu.

- Bądź zdrowa, Lizo (w głosie Barbary Pietrowny można było wyczuć łzy). - Wierz mi, że nie przestanę cię kochać, cokolwiek nas czeka. Szczęść ci, Boże! Zawsze błogosławiłam święte

Jego wyroki.

172

Chciała dodać coś jeszcze, lecz opanowała się i zamilkła. Liza poszła na dawne swoje miejsce, w milczeniu i zadumie. Po drodze jednak zatrzymała się i podeszła do matki.

- Matko, ja jeszcze nie pojedę. Zostanę jeszcze u cioci - powiedziała cichutko, lecz w tym szepcie czuło się niezłomne postanowienie.

- Mój Boże, co ty, Lise, wyprawiasz! - jęczała Prasko-wia Iwanowna, bezsilnie rozkładając ręce.

Liza nie odpowiedziała i zdawało się, że nawet nie słyszy. Siadła znów w kącie i zapatrzyła się w przestrzeń.

Po twarzy Barbary Pietrowny prześliznął się jakby dumny uśmiech zwycięstwa.

- Maurycy Nikołajewiczu, mam do pana wielką prośbę: niech pan będzie tak dobry, zejdzie na dół, obejrzy tego człowieka i jeżeli uzna pan, że można go wpuścić, to proszę, niech go pan przyprowadzi.

Maurycy Nikołajewicz skłonił się i wyszedł. Po chwili wprowadził Lebiadkina.

IV

Wspomniałem już raz o powierzchowności tego jegomościa: wysoki, tęgi mężczyzna, lat czterdziestu, o wijących się włosach, twarz czerwona, spuchnięta, nabrzmiała. Przy każdym ruchu głowy trzęsły mu się policzki. Oczka miał małe, przekrwione, czasem dość chytre. Nosił wąsy i bokobrody. Rósł mu mięsisty podbródek, bardzo niekształtny. Najbardziej jednak zdumiewało to, że był we fraku i czystej koszuli. „Są ludzie, którzy w czystej bieliźnie wyglądają nieprzyzwoicie” - powiedział kiedyś Liputin, gdy mu Stiepan Tro-fimowicz zarzucał niechlujność. Kapitan miał czarne rękawiczki, z których prawą, nie wkładaną jeszcze ani razu, trzymał w ręku. Lewa, ciasno naciągnięta i nie zapięta, przykrywała do połowy jego wielką łapę. W łapie tej trzymał melonik, zupełnie nowy, lśniący, prawdopodobnie nigdy jeszcze nie noszony. Okazało się więc, że ów „frak miłości”, o którym krzyczał wczoraj za drzwiami Szatowa, istniał naprawdę. Wszystko to: frak, bielizna itp., przygotowane zostało, jakem się później dowiedział, za poradą Liputina

173

dla jakichś tajemniczych celów. Nie można było wątpić, że Lebiadkin i teraz przyjechał (wynajętą kareta) z cudzej inspiracji i z cudzą pomocą. Sam nie zdążyłby nawet opamiętać się, a cóż dopiero powziąć decyzję i przebrać się w ciągu trzech kwadransów, nawet jeżeli od razu dowiedział się o scenie, która rozegrała się przed soborem. Nie był pijany, lecz znajdował się w tym ciężkim, bezwładnym, mglistym stanie człowieka, który dopiero co zbudził się po wielu dniach pijaństwa. Zdawało się, że wystarczy parę razy nim potrząsnąć, a alkohol znów uderzy mu do głowy.

Szedł szybkim krokiem, lecz w drzwiach salonu potknął się zawadziwszy o dywan. Maria Timofiejewna umierała ze śmiechu. Spojrzał na nią strasznym wzrokiem, po czym zrobił nagle kilka szybkich kroków w stronę Barbary Pietrowny.

- Przyjechałem do pani... - rozpoczął tubalnym głosem.

- Niech pan będzie łaskaw - przerwała mu Barbara Pietrowna i wyprostowała się - spocząć na tamtym krześle. Usłyszę pana i stamtąd, a lepiej będę mogła przyjrzeć się panu.

Kapitan zatrzymał się, spojrzał tępy wzrokiem przed siebie, odwrócił się i usiadł na wskazanym miejscu, przy samych drzwiach. Twarz jego zdradzała całkowitą pewność siebie, zuchwalstwo, a jednocześnie rozdrażnienie. Widać było, że się trochę boi, lecz cierpiała również jego miłość

własna i można było przewidzieć, że podrażniona ambicja zdoła w nim zagłuszyć strach i pchnąć ku rzeczom zuchwałym. Nie był pewien ruchów swego niezgrabnego cielska. Wiadomo, że największym cierpieniem tego typu ludzi, gdy się znajdują przypadkowo w towarzystwie, są ich własne ręce i uświadamiana sobie co chwilę niepewność, co z nimi zrobić. Kapitan zamarł z melonikiem w ręku na krześle i nie spuszczał oczu z surowej twarzy Barbary Pietrowny. Chciał widocznie rozejrzeć się, lecz jeszcze się nie mógł zdecydować. Maria Timofiejewna, rozbawiona jego wyglądem, głośno się roześmiała. Nie ruszył się jednak. Barbara Pietrowna wytrzymała go w takiej pozie nielitościwie długo, bo całą minutę, surowo wpatrując się w niego.

- Przede wszystkim chciałabym od pana samego dowiedzieć się jego nazwiska - przemówiła powoli, dobitnie.

174

- Kapitan Lebiadkin - huknął przybysz. - Przyjechałem, łaskawa pani, by... - próbował znowu.

- Przepraszam! - powstrzymała go Barbara Pietrowna. - Czy ta nieszczęśliwa istota, która tak mnie zainteresowała, jest istotnie pana siostrą?

- Siostrą, proszę pani. Siostrą, która wykradła się spod opieki domowej. Jest bowiem w takim stanie... Zaciął się i spłoszył.

- Niech pani nie zechce rozumieć opacznie - plątał się okropnie - brat rodzony nie będzie szkalował. W takim stanie, to nie znaczy „w takim stanie”, który plami opinię kobiety... zwłaszcza w ostatnich czasach...

Urwał nagle.

- Mój panie! - Barbara Pietrowna spojrzała nań z góry.

- O, w takim stanie! - określił tknąwszy palcem środek czoła.

Nastąpiła chwila milczenia.

- Czy dawno cierpi? - pytała Barbara Pietrowna przeciągając słowa.

- Łaskawa pani! Przyjechałem, aby podziękować za okazaną w soborze wspaniałomyślność.

Podziękować szczerze, po bratersku...

- Po bratersku?!

- Nie, nie po bratersku, ja tylko w tym sensie, że jestem bratem mojej siostry. I niech pani łaskawie uwierzyć raczy - brnął dalej, czerwony jak burak - że wcale nie jestem tak źle wychowany, jak się to mogło wydać w tym salonie. Ja i siostra jesteśmy prochem wobec tego przepychu, który tu widzimy. A mamy wrogów i potwarców. Lecz Lebiadkin jest dumny, gdy chodzi o opinię i... i przyjechałem podziękować. Oto pieniądze, łaskawa pani!

Nagłym ruchem wyciągnął z kieszeni pugilares, wydobyl z niego nerwowo plik banknotów i drżącymi palcami zaczął je wściekle szybko przeliczać. Widać było, że gwałtownie pragnie coś wyjaśnić, że już nie może się powstrzymać, czuł jednak, że nie może dać sobie rady z pieniędzmi i ośmiesza się jeszcze bardziej; stracił panowanie nad sobą. W żaden sposób nie mógł już liczyć, plątały mu się palce i jak na złość jedna zielona trzyrublowka wysliznęła się z pugilaresu i pofrunęła jak spadający liść.

175

- Dwadzieścia rubli, służę pani - zerwał się wreszcie, z całym plikiem banknotów w garści. Kroplisty pot ukazał się na jego czole. Zauważył leżący na dywanie banknot, schylił się, aby go podnieść, lecz zawstydzził się i machnął ręką.

- Niech to będzie dla służby. Dla lokaja, który podniesie. Niech znają Lebiadkina.

- Panie, ja nie mogę pozwolić - pośpiesznie, z pewnym przestachem, mówiła Barbara Pietrowna.

- Ach, w takim razie...

Schylił się, podniósł, oczy mu nabiegły krwią i w tej chwili, zbliżywszy się do Barbary Pietrowny, podał jej odliczone pieniądze.

- Co to znaczy? - zlekła się na dobre i cofnęła się. Stiepan Trofimowicz, Maurycy Nikołajewicz i ja podeszliśmy bliżej.

- Uspokójcie się, panowie, ja wcale nie jestem wariatem. Jak Boga Kocham, nie jestem wariatem - zapewniał nas kapitan.

- Nie, szanowny panie, pan zwariował!

- Ależ, łaskawa pani, to zupełnie nie to, co pani myśli! Jestem oczywiście nędznym pyłkiem... O pani, bogate są twoje pałace, a nędzna jest izba Marii Nieznanej, mojej siostry, z domu Lebiadkin, a którą nazywamy na razie Marią Nieznaną, na razie, zaznaczam, gdyż sam Pan Bóg nie dopuści, by tak miało być zawsze! O pani! Dałaś jej dziesięć rubli, a ona przyjęła, lecz dlatego tylko, że to od ciebie, łaskawa pani! Słyszysz pani! Od nikogo na świecie nie przyjęłaby ich Maria Nieznana, gdyż przewróciłby się w grobie jej dziad, oficer sztabowy poległy na Kaukazie w obecności samego Jermołowa. Lecz od ciebie, o pani, od ciebie wszystko przyjąć może. A biorąc jedną ręką, oddaje już drugą dwadzieścia rubli jako ofiarę na rzecz jednego ze stołecznych komitetów dobroczynności, których pani jest członkiem... sama pani ogłaszała w „Gazecie Moskiewskiej”, że prowadzi listę ofiar dobroczynności w naszej guberni i że każdy może składać ofiary...

Nie mógł mówić dalej. Ciężko oddychał, jak po wielkim wysiłku. Wszystko to o komitecie dobroczynności było na pewno przygotowane zawczasu, prawdopodobnie pod redakcją Liputina. Spotniał do reszty. Miał krople potu na skroniach. Barbara Pietrowna przyglądała mu się badawczo.

176

- Lista ofiar - rzekła z gniewem - znajduje się zawsze na dole, u portiera, może więc pan złożyć tam ofiarę, jeżeli pan sobie życzy. A te pieniądze niech pan teraz schowa do kieszeni i nie wymachuje nimi. Tak. Proszę też usiąść na dawnym miejscu. Tak, dobrze. Żałuję, szanowny panie, że się omyliłam i dałam jałmużnę pańskiej siostrze nie wiedząc, że jest tak bogata. Jednej tylko rzeczy nie rozumiem: dlaczego ona może brać tylko ode mnie, a nie od kogoś innego. Tak to pan podkreślał, że żądam zupełnie ścisłego wyjaśnienia.

- O pani! To tajemnica, którą zabiorę ze sobą do grobu! - odparł kapitan.

- Ale dlaczego? - w głosie Barbary Pietrowny nie było już dawnej pewności siebie.

- O pani!

Zamilkł, ponuro wpatrzony w podłogę, z prawą ręką na piersi. Barbara Pietrowna czekała nie spuszczać z niego oczu.

- Pani! - zagrzemiał znowu. - Pani pozwoli, że zadam jej jedno pytanie, tylko jedno, lecz szczerze, z całej duszy, tak po rosyjsku?

- Bardzo proszę.

- Czy pani cierpiała kiedykolwiek w życiu?

- Chce pan po prostu powiedzieć, że z czyjś powodu cierpiał pan kiedyś lub cierpi pan teraz.

- O pani! - zerwał się znowu bezwiednie i walnął pięścią w pierś. - Tu w tym sercu nagromadziło się tyle cierpienia, że zdziwi się sam Pan Bóg, gdy to zobaczy na Sądzie Ostatecznym.

- Pan się wysławia górnołotnie!

- O pani! Może mówię językiem, który drażni...

- Niech pan się nie obawia. Wiem, kiedy trzeba będzie zahamować pański polot.
- Czy wolno mi przeto skierować do pani jeszcze jedno pytanie ?
- Słucham.
- Czy można umrzeć z powodu własnej szlachetności?
- Nie wiem, nigdy nie zadawałam sobie takiego pytania.
- Nie wie pani! Nie zadawała pani! - wołał z patetyczną ironią. - Ha, jeśli tak, jeśli tak...

177

Milcz, moje biedne serce!2

- walnął się przy tym w pierś zapamiętałe.

Znów zaczął biegać po pokoju. Ludzi tego rodzaju charakteryzuje zawsze całkowita niezdolność hamowania swoich popędów; przeciwnie, popędy te, ledwo zrodzone, mają nieposkromioną tendencję do ujawniania się w całej okazałości, często w sposób i dość niewybredny. Znalazłszy się nie w swoim towarzystwie, ludzie racy są zazwyczaj w pierwszej chwili onieśmieleni, lecz wystarczy ustąpić im na włos, aby natychmiast przeszli do arogancji. Kapitan już gorączkował się, biegał, wymachiwał rękami, nie odpowiadał na pytania, mówił o sobie z wielkim pośpiechem, toteż często język mu się plątał. Przerywał wtedy i przeskakiwał do innego zdania. Przypuszczam, że nie był zupełnie trzeźwy. Na domiar złego była tu i Lizawieta Nikołajewna. Nie spojrzał na nią ani razu, lecz sama jej obecność musiała mącić mu w głowie. Zresztą to tylko moje przypuszczenie. Musiała jednak istnieć jakaś poważna przyczyna po temu, jeżeli Barbara Pietrowna, przewyciężając wstręt, zdecydowała się wysłuchać takiego człowieka. Praskowia Iwanowna po prostu trzęsła się ze strachu, nie rozumiejąc dobrze, o co chodzi. Stiepan Trofimowicz drżał, ale dlatego, że zwykle rozumiał więcej, niż należało. Maurycy Nikołajewicz stał w pozie obrońcy uciśnionych. Liza była bledziutka, a jej szeroko otwarte oczy wpatrzone były bez przerwy w dziwnego kapitana. Szatow nie zmienił pozy; ale rzecz najdziwniejsza, że Maria Timofiejewna nie tylko przestała się śmiać, lecz stała się bardzo smutna. Oparła się prawym łokciem o stół i powłóczyłym smutnym spojrzeniem obejmowała deklamującego braciszka. Miałem wrażenie, że tylko Daria Pawłowna zachowała prawdziwy spokój.

- Wszystko to są bezsensowne alegorie - rozgniewała się wreszcie Barbara Pietrowna. - Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Kategorycznie żądam odpowiedzi.
- Nie odpowiedziałem? Chce łaskawa pani wiedzieć „dlaczego” - powtarzał kapitan mrużąc oko. - To małe słówko „dlaczego” wypełnia wszechświat od pierwszego dnia stworzenia, łaskawa pani, i cała przyroda o każdej godzinie woła do swego Stwórcy: „Dlaczego”, a odpowiedzi jak nie było,

178

tak nie ma od siedmiu tysięcy lat! Czy tylko kapitan Lebiad-kin ma obowiązek odpowiadać? Gdzie tu sprawiedliwość, łaskawa pani?

- To wszystko są głupstwa! - Barbara Pietrowna traciła już cierpliwość. - To są alegorie; a poza tym, pan mówi zanadto wyniośle, co mi ubliża, szanowny panie.
- O pani - ciągnął dalej kapitan nie zwracając uwagi na jej słowa. - Może chciałbym nazywać się Ernest, a muszę nosić ordynarne imię Ignat. A dlaczego, niech mi pani zechce wytłumaczyć? Chciałbym się mianować księciem de Monbars,³ a jestem po prostu Lebiadkin. Dlaczego? Poetą jestem, o pani! Poetą w duszy i mógłbym otrzymać tysiące od wydawców, tak, a muszę mieszkać w brudnej norze! Dlaczego, dlaczego? O pani! Rosja cała jest igraszką przyrody, nic więcej!
- Czy pan stanowczo nie może powiedzieć nic bardziej określonego ?
- Mogę przeczytać pani utwór pod tytułem Żuk.
- Co-o-o?
- O pani! Jeszcze nie jestem wariatem. Będę, na pewno będę, lecz dotychczas nie jestem. Łaskawa

pani, jeden z moich przyjaciół, człowiek najszlachetniejszy w świecie, napisał bajkę Kryłowa pod tytułem Żuk. Czy wolno mi ją wygłosić?

- Pan chce powiedzieć jakąś bajkę Kryłowa?

- Nie, nie Kryłowa, lecz moją, moją własną, moje dzieło! Niech mi pani, bez ujmy dla siebie, zechce uwierzyć: nie jestem jeszcze tak nie ociosany i niewykształcony, abym nie wiedział, że Rosja ma wielkiego bajkopisarza Kryłowa, któremu minister oświaty raczył wystawić pomnik w Ogrodzie Letnim, tam gdzie bawią się dzieci.⁴ A pani wciąż pyta: „Dlaczego?” Odpowiedź wypisana jest ognistymi zgłoskami na dnie bajki.

- Niechże pan powie tę bajkę.

Żył na świecie pewien gad, Urodzony żukiem... Nieostroźnie biedak wpadł W szklanę z muchotłukiem...⁵

- Mój Boże! Co to znaczy? - zawołała Barbara Pietrowna.

- To znaczy, że latem - pośpiesznie wyjaśniał kapitan

179

okropnie wymachując rękami, że zniecierpliwieniem właściwym autorowi, któremu przerywają czytanie - że latem, kiedy dużo much wcisnie się do szklanki, to będzie mucho-tluk; każdy idiota mógłby się tego domyślić, niech mi pani nie przerywa, pani sama zobaczy, pani zobaczy (wciąż machał rękami)...Zajął dużo miejsca tam, Muchy zaszemrały:

- I bez żuka ciasno nam! -

Los swój przeklinały,

Ale kiedy trwał ten skrzek,

Zbliżył się Nikifor,

Bardzo mo-o-ądry człek...

Tu jeszcze nie wykończyłem, lecz to wszystko jedno. Opowiem - huczał dalej kapitan. - Nikifor bierze szklanę i nie zwracając uwagi na hałas, wylewa do brudnego wiadra całą tę komedię z muchami i z żukiem, co zresztą dawno należało uczynić! I cóż dalej, łaskawa pani? Otóż żuk się nie żali! Oto odpowiedź na pytanie „dlaczego?” - wołał triumfalnie. - Otóż żuk się nie ża-li! Nikifor zaś wyobraża przyrodę - dodał w pośpiechu i znów zaczął chodzić po pokoju z wyrazem zadowolenia na twarzy.

Barbara Pietrowna rozgniewała się strasznie.

- A może pan zechce mi łaskawie wyjaśnić, o jakie to pieniądze, jakoby otrzymane od Mikołaja Wsiewołodowicza, a nie wypłacone panu, ośmielił się pan oskarżać osobę będącą w moim domu?

- Oszczerstwo! - ryknął Lebiadkin, tragicznie wzniósłszy prawicę.

- Nie, to nie oszczerstwo.

- Łaskawa pani, bywają okoliczności, kiedy człowiek woli znosić hańbę rodzinną niż głośno powiedzieć prawdę. Lebiadkin nie wygada się, o nie!

Zdawało się, że oślepl; był jak w natchnieniu; czuł, że jest osobą ważną, coś podobnego przynajmniej wyobrażał sobie. Chciał już obrazić kogoś, popełnić jakieś drobne łajdactwo, pokazać swoją władzę!

- Niech pan będzie łaskaw, Stiepanie Trofimowiczu, i zadzwoni - poprosiła Barbara Pietrowna.

180

- O, Lebiadkin jest chytry, łaskawa pani - mówił dalej kapitan z brzydkim uśmiechem - chytry, lecz i on napotyka przeszkody, i on ma swoje namiętności. Ta namiętność - to stara huzarska manierka, którą opiewał Denis Dawydow.⁶ A wtedy zdarza się Lebiadkinowi, że wyśle list, wierszem pisany,

przepiękny list, a potem chciałby go zawrócić za cenę łoż całego życia, gdyż pogwałcone zostało poczucie piękna. Lecz już wyleciał ptaszek - i nie schwycisz go za ogon! Na progu tejże namiętności mógł Lebiadkin z głębi pokrzywdzonej duszy powiedzieć coś niecoś o pewnej szlachetnej pannie, z czego niezwłocznie skorzystali oszczercy. Lecz chytry jest Lebiadkin! I na próżno czyha nań zły wilk, który co dzień dolewa wina i oczekuje końca: nie wygada się Lebiadkin. Na dnie butelki znajdzie się zawsze zamiast wyznań tylko chytryść Lebiadkina. Dostyc już jednak. Wspaniałe te podwoje mogłyby być otwarte dla najszlachetniejszego z ludzi, lecz żuk się nie żali. Niech łaskawa pani zauważy to wreszcie, że żuk się nie żali, i niech pani uzna wielkość jego ducha!

Rozległ się dzwonek, po chwili wszedł do salonu Aleksy. Stary, poważny sługa był okropnie wzburzony. Barbara Pie-trowna spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Mikołaj Wsiewołodowicz przyjechał przed chwilą i sam tu idzie - wyjaśnił.

Pamiętam dobrze wyraz twarzy Barbary Pietrowny. W pierwszej chwili zbladła, lecz potem zaiskrzyły się jej oczy. Wyprostowała się. Miała wyraz zupełnie zdecydowany. Wszyscy byli zdumieni. Nieoczekiwany przyjazd Mikołaja Wsiewo-łodowicza, którego oczekiwano dopiero za miesiąc, zdziwił wszystkich nie tylko jako niespodzianka, lecz i ze względu na fatalny zbieg okoliczności w tej chwili. Nawet kapitan stanął jak wryty pośrodku pokoju, otworzył usta i z okropnie głupią miną patrzył na drzwi. W sąsiednim salonie, dużym i długim, rozległy się kroki, kroki drobne, niezwykle szybkie; ktoś biegł prawie i wreszcie wpadł do pokoju, lecz nie był to wcale Mikołaj Wsiewołodowicz, lecz jakiś zupełnie nam nie znany młodzieniec.

181

Pozwolę sobie zatrzymać się tu na chwilę i kilkoma rysami nakreślić tę nagle pojawiającą się postać.

Był to młodzieniec w wieku mniej więcej dwudziestu siedmiu lat, dość wysoki, o rzadkich, długich blond włosach i o ledwo widocznej brodzie i wąsach. Był ubrany modnie, lecz nie przesadnie; na pierwszy rzut oka wydawał się przygarbiony i niezgrabny, chociaż w istocie nie był przygarbiony i miał pewne siebie ruchy. Wyglądał na oryginała, a jednak potem wszyscy przyznali, że ma bardzo przyzwoity sposób bycia i mówi zawsze do rzeczy.

Trudno powiedzieć, że był brzydki, a jednak twarz jego nie mogła się podobać nikomu. Głowę miał wydłużoną z tyłu i ściśniętą z boków, tak że rysy twarzy wydawały się wyostrome; czoło wysokie a wąskie, lecz rysy twarzy drobne; oko bystre, nos mały i spiczasty, wargi długie i wąskie; wyraz twarzy jak gdyby chorobliwy, lecz tylko pozornie. Na policzkach i koło uszu widać było jakąś fałdę, która sprawiała wrażenie, jak gdyby był rekonwalescentem po ciężkiej chorobie. A jednak był zupełnie zdrow i silny, nawet nigdy nie chorował.

Chodził i poruszał się nerwowo, chociaż nigdzie się nie śpieszył. Można by przypuszczać, że nic go nie wytrąci z równowagi; pozostanie zawsze sobą, w każdym towarzystwie i we wszystkich okolicznościach. Był najzupełniej zadowolony z siebie, chociaż sam tego nie dostrzegał.

Mówił szybko, a jednocześnie płynnie, nigdy nie dobierał słów. Myśli jego, chociaż z pozoru zawile, były jednak zimne i zdecydowane. Rzucało się to w oczy. Miał wyraźną wymowę. Słowa jego robiły wrażenie gładkich, dużych paciorków, sypiących się równo, zebranych w porę i zawsze już naprzód przygotowanych. Z początku mogło się to nawet podobać. Po chwili jednak stawało się wstrętne, zarówno ta wyraźna mowa, jak i te paciorki gotowych słów. Zaczynało się wydawać, że ma w ustach język inny niż wszyscy, niezwykle długi i wąski, strasznie czerwony, o długim koniuszku, kręcącym się bezwiednie i nieustannie.

Tak wyglądał młodzieniec, który wpadł wówczas do salonu. Mam dotychczas wrażenie, że zaczął mówić będąc

jeszcze w przyległym pokoju. Mówiąc znalazł się przed Barbarą Pietrowną.

- ...Proszę sobie wyobrazić, Barbaro Pietrowno-sypały się paciorki - wchodzę i jestem pewien, że go tu już zastanę. Powinien być już od kwadransa. Półtorej godziny temu przyjechał. Spotkaliśmy się u Kiryłowa. Pół godziny temu przyszedł wprost tutaj i kazał mi także przyjść za kwadrans.

- Ale kto? Kto panu kazał tu przyjść? - badała Barbara Pietrowną.

- Ależ Mikołaj Wsiewołodowicz! Czy pani istotnie dowiaduje się teraz dopiero? Lecz jego rzeczy już na pewno są tutaj. Czy nikt pani nie mówił? A więc ja pierwszy przynoszę tę wiadomość. Zresztą trzeba by posłać po niego, poszukać go, ale na pewno sam przyjdzie. Trafi akurat na chwilę, która odpowiada całkowicie jego oczekiwaniom i, o ile wolno mi sądzić, niektórym jego przewidywaniom. - Rozejrzał się po pokoju i szczególnie przyjrzał się kapitanowi. - Ach, Lizawieto Nikołajewno - mówił dalej - tak się cieszę, że od razu po przyjeździe spotykam panią. Pozwoli mi pani uścisnąć jej rączkę - podbiegł do wesoło uśmiechniętej Lizy i chwycił jej wyciągniętą dłoń. - Jak widzę, szanowna Pra-skowia Iwanowna także nie zapomniała jeszcze „profesora” i nawet nie gniewa się na niego, tak jak gniewała się w Szwajcarii. Jak pani nogi, Praskowio Iwanowno? Czy szwajcarscy lekarze sprawiedliwie skazali panią na klimat ojczysty? Co? Kompresy? O, to bardzo pomaga. Ach, jak żałowałem, Barbaro Pietrowno - znów zwrócił się do niej - że nie zastałem już pani za granicą i osobiście nie mogłem złożyć najgłębszego uszanowania - a miałem pani tyle rzeczy do zakomunikowania... Pisałem tu do mego starego, lecz on, swoim zwyczajem...

- Pietrusza! - zawołał Stiepan Trofimowicz wyrwawszy się z osłupienia. Podbiegł do syna. - Pierre, mon enfant!* Nie poznałem cię! - rzucił mu się na szyję i rześiste łzy popłynęły mu z oczu.

- No, dobrze, dobrze, po co te gesty! Dostyc już, proszę - mamrotał Pietrusza usiłując wyrwać się z ojcowskich ramion.

- Piotrze, moje dziecko!

183

- Tyle zawiniłem wobec ciebie, mój synu!

- Dobrze, dobrze. Zdamy o tym pomówić. Wiedziałem, że zwariujesz. Bądźże trochę bardziej opanowany, mój stary...

- Ależ nie widziałem ciebie od dziesięciu lat!

- Tym mniejszy masz powód do wylewności uczuć.

- Mon enfant!

- Dobrze już! Wiem, że mnie kochasz. Weź te ręce. Przeszkadzasz innym... O, już jest Mikołaj Wsiewołodowicz... Stary, mówię ci, uspokój się.

Mikołaj Wsiewołodowicz istotnie był już w salonie. Wszedł po cichu, na chwilę stanął w drzwiach, spokojnie oglądając zebranych.

Tak samo jak przed czterema laty, gdym widział go po raz pierwszy, wprowadził mnie w zdumienie. Pamiętałem go dobrze. A jednak są twarze, które zawsze, ilekroć się zjawia, przynoszą ze sobą coś nowego, nie zauważonego dotychczas, pomimo stokratnych spotkań. Wydawał się taki sam jak przed czterema laty. Był tak samo wytworny, tak samo poważny. Wchodził z tą samą dystynkcją, a nawet wydawał się tak samo młody. Lekki uśmiech jego był tak samo oficjalnie uprzejmy i tak samo znamionował pewną wyższość. Spojrzenie - poważne, zamyślane, lecz trochę roztargnione. Słowem, jak gdybyśmy się wczoraj rozstali. Jedna tylko rzecz mnie uderzyła. Dawniej, chociaż uchodził za bardzo przystojnego, twarz jego przypominała maskę, jak to określiły pewne złośliwe panie. Teraz zaś, nie wiem już dlaczego, od razu wydał mi się skończenie pięknym

i zupełnie do maski niepodobnym. Może dlatego, że trochę zbladł i zeszcupiał? A może wzrok jego świecił jakąś nową myślą?

- Mikołaju! - zawołała Barbara Pietrowna. Wyprostowała się w fotelu i zatrzymała go rozkazującym gestem. - Mikołaju! Zatrzymaj się na chwilę!

Aby zrozumieć to straszne pytanie, które nastąpiło po tym geście i po tym okrzyku, pytanie, którego nie mogłem spodziewać się z ust Barbary Pietrowny, trzeba mieć na względzie jej ogólne cechy charakteru i niesłychaną gwałtowność w pewnych niezwykłych momentach. Trzeba też pamiętać, że chociaż miała hart ducha, dużo rozumu i praktycznego, powiedziałbym, domowego taktu, jednak w życiu jej nie było takich chwil, by całkowicie, bez żadnego ha-

184

mulca, oddała się pewnym popędom. Proszę wziąć w końcu pod uwagę, że obecna chwila należała istotnie do takich, w których skupia się, jak w soczewce, cała treść życia, wszystko, co było, co jest i może nawet co będzie. Dodajmy do tego list anonimowy, o którym niedawno z taką irytacją wspominała w rozmowie z Praskowią Iwanowną, ukrywający, zdaje się, zakończenie listu; w liście, być może, w tym zakończeniu, kryła się istotna przyczyna tego strasznego pytania rzuconego obecnie synowi.

- Mikołaju - powtórzyła akcentując twardo każde słowo, a w głosie jej słychać było groźbę. - Proszę cię, odpowiedz mi natychmiast, nie ruszając się z miejsca, czy to prawda, że ta nieszczęśliwa, kulawa kobieta, ta oto, spójrz na nią... czy to prawda, że to jest twoja ślubna żona?

Zbyt dobrze pamiętani tę chwilę. Nie zmrużył nawet oczu i uważnie patrzył na matkę; na twarzy jego nie dostrzegłem żadnej zmiany. Wreszcie uśmiechnął się lekko, tak jakoś pobłaźliwie, nie odpowiedział ani słowa, podszedł wolnym krokiem do matki, wziął jej dłoń, z szacunkiem podniósł do ust i ucałował. Wpływ jego na matkę był zawsze tak przemożny, że i teraz nie była w stanie cofnąć ręki. Patrzyła wciąż na niego z niemym pytaniem i zdawało się, że jeszcze chwila, a zabije ją ta niepewność.

Ale on milczał dalej. Pocałowawszy jej rękę, jeszcze raz ogarnął spojrzeniem cały pokój, tym samym wolnym krokiem podszedł do Marii Timofiejewny. Zbyt trudno pochwycić wyraz ludzkiej twarzy w pewnych chwilach. Pamiętam, na przykład, że Maria Timofiejewna w niemym przerażeniu podniosła się i złożyła ręce jak do modlitwy; pamiętam jednak i jakiś bezbrzeżny zachwyt w jej oczach, który wykrzywił jej twarz w sposób niemożliwy do zniesienia. Może było i jedno, i drugie, i zachwyt, i przerażenie. Wiem jednak, że podbiegłem do niej (stałem blisko), gdyż miałem wrażenie, że lada chwila zemdleje.

- Pani tu nie powinna przebywać - odezwał się Mikołaj Wsiewołodowicz łagodnym, melodyjnym głosem, a w oczach jego błysnęła niezwykła tkliwość.

Stał przed nią, a w każdym jego ruchu widać było szczerą dla niej szacunek. Biedaczka zaczęła szeptać półgłosem, tracąc oddech:

185

- A czy ja mogę... zaraz... klęknąć przed panem?

- O nie! To już pod żadnym pozorem! - uśmiechnął się tak cudownie, że i na jej twarzy ukazał się radosny uśmiech.

Tym samym melodyjnym głosem, łagodnie namawiając ją, jak dziecko, mówił poważnie:

- Niech pani pamięta, że jest panną, a ja, chociaż jestem pani najwierniejszym przyjacielem, nie jestem ani mężem, ani ojcem, ani narzeczonym, jestem obcym mężczyzną. Niech mi pani da rękę i chodźmy. Odprowadzę panią do karety, a jeżeli pani pozwoli, odwiozę panią do domu.

Wysłuchiwała i w zadumie skinęła głową.

- Chodźmy - powiedziała, westchnęła i podała mu rękę.

W tej chwili jednak spotkała ją pewna przykrość. Prawdopodobnie nieostrożnie stąpnęła chora nogą i upadła na fotel. Gdyby nie było fotela, zwałaby się na podłogę. Sta-wrogin chwycił ją i podtrzymał, a potem mocno wziął pod rękę i ostrożnie poprowadził ku drzwiom. Była skonfundowana i niezmiernie zawstydzona upadkiem. Szła z opuszczoną głową, mocno kulejąc, zwiśla całym ciężarem na jego ramieniu. Tak wyszli z pokoju. Widziałem, że Liza zerwała się i odprowadzała ich bacznym spojrzeniem. Potem znów usiadła, lecz na twarzy jej był grymas obrzydzenia jak po dotknięciu płaza.

Podczas całej tej sceny między Mikołajem Wsiewołodo-wiczem a Marią Timofiejewną wszyscy milczeli w zdumieniu. Lecz natychmiast po ich wyjściu rozległy się głosy ze wszystkich stron.

VI

Nie były to rozmowy, lecz raczej okrzyki. Już nie pamiętam dobrze, jak to się odbyło, gdyż powstało pewne zamieszanie. Stiepan Trofimowicz zawołał coś po francusku i załamywał ręce, lecz Barbara Pietrowna nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Nawet Maurycy Nikołajewicz wydał jakiś okrzyk oderwany i krótki. Najbardziej przejęty był Piotr Stiepanowicz: dowodził coś gorąco Barbarze Pietrownie, wymownie gestykulując, długo jednak nie mogłem zrozumieć, o co mu chodziło. Podbiegł też do Praskowii Iwanowny

186

i do Lizawiey Mikołaj ewny, a nawet w pośpiechu krzyknął coś ojcu - słowem, pełno go było w pokoju. Barbara Pie-trowna zaczerwieniona zerwała się z fotela i zawołała do Pra-skowiey Iwanowny: „Słyszałaś, słyszałaś, co on jej powiedział?” Lecz Praskowia Iwanowna nie była w stanie nawet odpowiadać. Wymamrotała coś i machnęła ręką. Miała własne kłopoty: ciągle zwracała ku Lizie spojrzenie pełne beznadziejnego strachu, lecz już nie odważała się ani wstać, ani wyjść, póki nie wstanie córka. Tymczasem kapitan chciał się wysliznąć. Zauważyłem to dobrze. Był szczerze i mocno przerażony od chwili zjawienia się Mikołaja Wsiewołodowicza. Lecz Piotr Stiepanowicz chwycił go za rękę i nie puszczał.

- Trzeba to zrobić, koniecznie - powtarzał Barbarze Pietrownie, starając się ją przekonać.

Stał przed nią, ona zaś siedziała już znowu na fotelu, jak dziś pamiętam, chciwie go słuchając. Potrafił bowiem przykuć jej uwagę.

- Trzeba koniecznie. Pani widzi już sama, Barbaro Pie-trowno, że to wszystko jest nieporozumieniem. Pozory dziwaczne, lecz cała sprawa prosta jak świeca i jasna jak dzień. Wiem dobrze, że nikt nie upoważnił mnie do zabierania głosu w tej materii; narzucając się, wyglądam nieco śmiesznie. Lecz przecie sam Mikołaj Wsiewołodowicz nie przywiązuje żadnej wagi do tej sprawy, a poza tym bywają okoliczności, kiedy człowiekowi trudno się zdecydować na wyjaśnienia osobiste. Trzeba wtedy, aby znalazła się osoba trzecia, której łatwiej jest opowiedzieć rozmaite drażliwe szczegóły. Niech mi pani wierzy, Barbaro Pietrowno, że Mikołaj Wsiewołodowicz bynajmniej nie zawinił nie odpowiadając w sposób wyczerpujący i ostateczny na pani pytania. Sama sprawa zaś jest błaha, znam ją jeszcze z Petersburga. Przynosi ona w pewnej mierze zaszczyt Mikołajowi Wsiewołodowiczowi, jeżeli już mamy używać tak nieokreślonych pojęć jak szczytowanie się czymkolwiek...

- Chce pan przez to powiedzieć, że był pan świadkiem jakiegoś zdarzenia, z którego wypłynęło całe to nieporozumienie? - zapytała Barbara Pietrowna.

- Byłem świadkiem i uczestnikiem.

- Jeżeli da mi pan słowo, że nie urazi to w niczym miłości Mikołaja Wsiewołodowicza do mnie, przed którą on

187

nic nie ukrywa... i jeżeli jest pan pewien, że nawet zrobiłoby mu to przyjemność...

- Ależ na pewno przyjemność, i dlatego sam z radością opowiem. Wiem dobrze, że sam prosiłby mnie o to.

Ta uporczywa chęć opowiadania cudzych historii ze strony osobnika, który spadł tu z innej planety, była dość dziwna i niezgodna z utartymi zwyczajami. Potrafił jednak złapać Barbarę Pietrownę na wędkę, dotknąwszy najbardziej bolesnego miejsca. Nie znałem jeszcze tego człowieka ani jego zamiarów.

- Słuchamy pana - ostrożnie, z rezerwą, oświadczyła Barbara Pietrowna wstydząc się z lekka własnej uступliwości.

- Sprawa krótka. Nawet, jeżeli o to chodzi, nie ma żadnej sprawy - sypały się słowa jak paciorki. - Zresztą, w braku lepszych tematów, można by z tego zlepić powieść. W każdym razie, rzecz interesująca, jestem przekonany, że i Liza-wieta Nikołajewna chętnie wysłucha, gdyż wszystko to jest dziś dziwaczne, jeśli nie dziwne. Przed pięcioma laty, w Petersburgu, Mikołaj Wsiewołodowicz poznał tego pana, tego właśnie Lebiadkina, który teraz szeroko otworzył usta, a przed chwilą chciał zwiać. Przepraszam, Barbaro Pietrowno. Nie radzę panu uciekać, panie eks-urzędniku intendenty (widzi pan, pamiętam doskonale, z kim mam przyjemność). Zarówno Mikołaj Wsiewołodowicz, jak i ja znamy aż nadto dobrze pańskie sprawy, z których będzie pan musiał się wytłumaczyć. Przepraszam jeszcze raz, Barbaro Pietrowno. Mikołaj Wsiewołodowicz nazywał wówczas tego pana swoim Falstaffem; to prawdopodobnie jakiś dawny typ burlesque, z którego wszyscy się śmieją i który pozwala śmiać się z siebie, byleby mu za to płacono. Mikołaj Wsiewołodowicz pędził wtedy w Petersburgu żywot ironiczny, nie mogę inaczej tego określić. Nie wpadał bynajmniej w stan rozczarowania, lecz lekceważył już wtedy życie realne. Mówię tylko o tamtym okresie, Barbaro Pietrowno. A Lebiadkin miał siostrę, tę właśnie, która tu siedziała przed chwilą. Brat i siostra nie mieli własnego kąta i wycierali cudze. On - błądził po halach targowych, zawsze w swym dawnym mundurze, zatrzymywał przywoicie ubranych przechodniów i przepijał potem to, co mu się udało wyprosić. A siostra żywiła się jak ptak niebieski. Gdzieś tam komuś pomagała w gospodarstwie, usługiwała za nędz-

188

ny kawałek chleba. Było to prawdziwe piekło. Nie będę już odtwarzał scen tego życia, owych suterren i mansard, tego życia, w którym przez dziwactwo pograżył się wtedy Mikołaj Wsiewołodowicz. Mówię tylko o tamtych czasach, Barbaro Pietrowno. A co do „dziwactwa”, to przecież on sam to tak nazywał. Ze mną jest bardzo szczerzy. Mademoiselle Lebiadkin, która przez pewien czas często widywała Mikołaja Wsiewołodowicza, olśniła jego powierzchowność. Był jak brylant na mrocznym tle jej życia. Nie umiem opisywać uczuć, więc pominę to wszystko; lecz rozmaici nikczemnicy zaczęli ją wykpiwać, toteż pograżyła się w smutku. I przedtem zawsze szydzono z niej, lecz nie zauważała tego. Już i wtedy nie miała dobrze w głowie, nie w tym oczywiście stopniu co teraz. Podobno w dzieciństwie, z czyjejs tam łaski, o mało nie otrzymała wykształcenia. Mikołaj Wsiewołodowicz nigdy nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, grał z jakimiś urzędni-czynami w preferansa, po ćwierć kopiejki, straszliwie za-tłuszczonymi kartami. Raz jednak, gdy obrażono ją przy nim, chwycił za kołnierz jednego urzędnika i (nie pytając o nic) spuścił go z piętra przez okno na ulicę. Nie było w tym nawet rycerskiego oburzenia z powodu obrażonej niewinności panięńskiej, cała operacja odbyła się przy ogólnym śmiechu, najgłośniejszym zaś śmiał się Mikołaj Wsiewołodowicz. Ponieważ zaś wszystko skończyło się pomyślnie, zapito całą sprawę ponczem. Lecz obrażona niewinność zapamiętała to dobrze. Wpłynęło to na ostateczne

zachwianie jej równowagi umysłowej. Powtarzam, że nie umiem opisywać uczuć, lecz wszystko polegało na wyobraźni. Tymczasem zaś Mikołaj Wsiewołodowicz zaczął jeszcze więcej drażnić tę wyobraźnię. Zamiast się z niej śmiać wraz z innymi, zaczął traktować tę panią z niesłychanym szacunkiem. Był przy tym obecny Kiriłłow (to niezwykle oryginalny, Barbaro Pietrowno, człowiek oderwany od świata; może pozna go pani, gdyż bawi obecnie tutaj). Otóż ten Kiriłłow, taki zazwyczaj milczący, zaczął się irtować i zwrócił uwagę Mikołajowi Wsiewołodowiczowi, że traktując tę panią jak markizę, dobija ją ostatecznie. Dodam, że Mikołaj Wsiewołodowicz traktował Kiriłłowa z szacunkiem. I cóż państwo myślą? Co panu Kiriłłowowi powiedział? „Pan myśli, panie Kiriłlow, że ja się z niej śmieję; upewniam pana, że istotnie ją szanuję, gdyż jest lepsza od nas wszystkich.” Powiedział to zu-

189

pełnie poważnie. A przecież od paru miesięcy nie wyrzekł do niej ani słowa, oprócz dzień dobry i do widzenia. Sam to wszystko widziałem i pamiętam dobrze, że z biegiem czasu zaczęła traktować go jak narzeczonego, który nie ośmiela się „porwać” jej tylko dlatego, że ma licznych wrogów i mnóstwo przeszkód rodzinnych. Wiele było śmiechu z tego powodu. Skończyło się to tak, że gdy Mikołaj Wsiewołodowicz miał wyjechać, wydał rozporządzenie, aby dawano jej na utrzymanie pensję roczną, nawet dość znaczną, że trzysta rubli, a może nawet więcej. Słowem, było to wszystko zabawą, fantazją człowieka znudzonego przedwcześnie życiem, a może nawet, jak twierdził Kiriłłow, był to eksperyment człowieka przesyconego, podjęty, aby się przekonać, do czego można doprowadzić obłąkaną kalekę. „Pan naumyślnie wybrał upośledzoną istotę, kalekę - mówił Kiriłłow - osobę, która znała tylko bicie i szyderstwo; widząc, że ta istota ginie z komicznej miłości do pana, pan naumyślnie zawraca jej głowę, aby przekonać się, jak to się skończy!” Dobrze, ale cóż ten człowiek zawinił? Czy to jego wina, że obłąkana zaczęła snuć jakieś fantazje? Przecież nie zamienił z nią nigdy ani słowa! Barbaro Pietrowno! Istnieją rzeczy, o których nie tylko nie można mówić mądrze, ale wprost głupio jest w ogóle o nich mówić. Niech to będzie nawet dziwactwo - ale chyba już nic więcej. A tu zrobiono z tego całą historię... Wiem mniej więcej, Barbaro Pietrowno, co się tu dzieje.

Przerwał i zwrócił się do Lebiadkina, lecz zatrzymała go Barbara Pietrowna. Była w stanie silnej egzaltacji.

- Pan już skończył?

- Nie jeszcze; dla uzupełnienia obrazu chciałbym, jeśli wolno, skierować parę pytań do tego pana... Zobaczysz pani zaraz, Barbaro Pietrowno, o co tu chodzi.

- Niech pan poczeka, potem. O, jak to dobrze, że pozwoliłam panu opowiedzieć to wszystko.

- A teraz niech pani pomyśli! - uzupełnił Piotr Stiepanowicz. - Czy mógłby to wszystko opowiedzieć Mikołaj Wsiewołodowicz, do którego pani była łaskawa zwrócić się z pytaniem... nieco zbyt kategorięcznym?

- O tak, zbyt kategorięcznym!

- Czyż nie miałem racji twierząc, że niektóre sprawy łatwiej może wyjaśnić ktoś obcy niż osoba bezpośrednio zainteresowana?

190

- Tak, tak... Lecz pod jednym względem pan się omylił, i sędzę nawet, że dalej trwa pan w błędzie.

- Czyżby? Pod jakim względem?

- Widzi pan... Ale może by pan usiadł, Piotrze Stiepanowiczu.

- Owszem, dziękuję pani, rzeczywiście nogi mnie już bołą.

Przysunął sobie fotel i siadł przy stole między Barbarą Pietrowną i Praskowią Iwanowną, twarzą do

Lebiadkina, z którego nie spuszczał oczu ani na chwilę.

- Otóż myli się pan nazywając to „dziwactwem”.

- Ach, jeżeli tylko o to chodzi...

- Nie, nie, niech pan poczeka - powstrzymała go Barbara Pietrowną, która najwidoczniej zamierzała mówić długo i przekonywająco. Zauważywszy to, Piotr Stiepanowicz cały zamienił się w słuch. - O nie! To było coś szlachetniejszego nad dziwactwo i zapewniam pana, że nawet coś świętego! Człowiek dumny, zraniony za młodu, który w konsekwencji ustosunkował się do życia ironicznie, jak to pan słusznie podkreślił, słowem, księżę Harry, jak to pięknie nazwał Stiepan Trofimowicz, co byłoby zupełnie trafne, gdyby nie pewne, oprócz tego, podobieństwo do Hamleta, jak mi się zdaje...

- Et vous avez raison* - z powagą i przejęciem rzekł Stiepan Trofimowicz.

- Dziękuję panu, Stiepanie Trofimowiczu. Panu szczególnie jestem szczerze wdzięczna za to, że nigdy nie tracił pan wiary w Nicolas, w szlachetność jego i w szczytność powołania. Wiare tę podtrzymywał pan we mnie, gdy słabłam na duchu.

- Chere, chere...

Stiepan Trofimowicz już miał podejść do niej, lecz zatrzymał się zrozumiawszy, że niebezpiecznie jej przerywać.

- I gdyby zawsze obok Nicolas - piała już niemal Barbara Pietrowna - znajdował się cichy, wielki w swej pokorze Horacjo - to także wspaniałe pana określenie, Stiepanie Trofimowiczu - może byłby on już dawno uratowany od smutnego „demonia ironii”, który zaskoczył go

I pani ma rację

191

zniecka i gnębił przez całe życie. (O tym demonie to także pan, Stiepanie Trofimowiczu, tak pięknie się wyraził.) Lec Nicolas nie miał nigdy ani Horacja, ani Ofelii. Miał tylko matkę, lecz cóż może zrobić w takich okolicznościach matka. -Wie pan, Piotrze Stiepanowiczu, nawet to jest dla mnie zupełnie zrozumiałe, że taka istota jak Nicolas mogła gustować w tych brudnych norach, o których pan wspomina. Tak wyraźnie widzę ową „ironiczność” życia (jak to pan trafnie określił!). Owo nienasycone pragnienie kontrastu, to ciemne tło obrazu, na którym on sam świeci jak brylant. (Pan przecież, Piotrze Stiepanowiczu, użył tego porównania.) I tam spotyka on istotę krzywdzoną przez wszystkich, półobłąkaną, kalekę nie pozbawioną jednak najszlachetniejszych uczuć.

- Hm... dajmy na to.

- Czyż po tym wszystkim pan nie rozumie, że on nie może szydzić z niej jak inni? O ludzie, ludzie! Nie rozumiecie, że broni jej przed szydzcami, otaczając szacunkiem jak markizę! (Ten Kirilłow, zdaje się, doskonale rozumie ludzi, chociaż nie zrozumiał wcale Nicolas.) Prawdopodobnie przyczyną całego dramatu był właśnie ten kontrast; gdyby biedaczka żyła w innym środowisku, nie roiłaby snów tak fantastycznych. Tylko kobieta, tylko kobieta może to zrozumieć! Jaka szkoda, Piotrze Stiepanowiczu, że pan nie jest kobietą, przynajmniej tym razem, by móc to zrozumieć.

- Rozumiem, rozumiem, Barbaro Pietrowno. Pani chce powiedzieć, że im gorzej, tym lepiej. To tak jak w religii; im gorzej jest człowiekowi, im biedniejszy i bardziej ciemny jest naród, tym uparciej marzy o nagrodzie w raju, a jeśli prócz tego zabiega o to sto tysięcy księży, krzewiąc marzenie i spekulując na nim, to... rozumiem, Barbaro Pietrowno, niech pani będzie pewna.

- Niezupełnie o to mi chodziło, lecz niech pan powie: czyż Nicolas, aby zgasić marzenie w tym nieszczęśliwym organizmie (nie mogłem zrozumieć, dlaczego Barbara Pietrowna użyła tu słowa „organizm”), miał szydzić z niej i obchodzić się z nią tak samo jak tamci urzędnicy? Czyż nie

rozumie pan wzniosłego współczucia i tego szlachetnego dreszczu w całym organizmie, z którym Nicolas surowo odpowiada na zarzut Kiryłłowa: „Ja się z niej wcale nie śmieję!” Szczytna to, wzniosła odpowiedź!

192

- Sublime* - wymamrotał Stiepan Trofimowicz. - Niech pan też nie zapomina, że nie jest wcale tak bogaty, jak pan sądzi. To ja jestem bogata, a nie on. On zaś nie brał ode mnie nic prawie.

- Ależ rozumiem, rozumiem to wszystko, Barbaro Pie-trowni! - z pewnym już zniecierpliwieniem mówił Piotr Stiepanowicz.

- O, to mój charakter! Poznają siebie w Nicolas. Tak, rozumiem tę młodość, tę skłonność do burzliwych, groźnych wlotów... Jeżeli kiedy poznamy się bliżej, Piotrze Stiepa-nowiczu, czego sobie bardzo życzę, tym bardziej że mam panu tyle do zawdzięczenia, może pan to wówczas zrozumie.

- O, proszę pani, będę bardzo zaszczycony - rzekł Piotr Stiepanowicz już z coraz większym zniecierpliwieniem.

- Zrozumie pan ten impuls, który każe w szlachetnym zaślepieniu zbliżyć się do istoty pod każdym względem nieodpowiedniej, nie mogącej nawet ogarnąć myślą cegokolwiek, istoty, od której można się spodziewać jedynie przykrości, i w taką istotę, wbrew oczywistości, wcielić własny ideał, własne marzenie, skupić na niej własne nadzieje, korzyć się przed nią, kochać ją przez całe życie, nie wiedząc nawet za co. Może za to właśnie, że istota ta jest tak niegodna... Ach, jak ja cierpiałam przez całe życie, Piotrze Stiepanowi-czu!

Stiepan Trofimowicz z miną dziwnie żalowaną usiłował natrafić na mój wzrok: starałem się nie patrzeć na niego.

- ...A tak niedawno jeszcze, tak niedawno - ach, jak ja zawiniłam wobec ciebie, Nicolas!... Pan mi nie uwierzy, jak dręczyli mnie wszyscy, wszyscy: i wrogowie, i mali ludzie, i przyjaciele. Przyjaciele nawet bardziej od wrogów. Gdy otrzymałam pierwszy ohydny list anonimowy, Piotrze Stiepano-wiczu, niech mi pan wierzy, że już zabrakło mi nawet pogardy dla tej ohydy... Nigdy nie przebaczę sobie, że byłam tak małoduszna.

- Już słyszałem trochę o tutejszych listach anonimowych - ożywił się Piotr Stiepanowicz. - Upewniam panią, że wykryję autorów.

- Ależ nie ma pan nawet pojęcia, jakie to były intrygi!

- Cudowna

Zamęczono nimi nawet pocziwą Praskowię Iwanownę. Za cóż ją? Moja złota Praskowio - dodała w przyływie szlachetnej wspaniałomyślności, lecz i z odcieniem zwycięskiej ironii - czuję, że skrzywdziłam cię dziś niesłusznie...

- Mniejsza o to - niechętnie burknęła Praskowia Iwa-nowna - myślę, że już czas skończyć to wszystko. Za dużo tej gadaniny.

Znów spojrzała nieśmiało na Lizę, wpatrzoną w Piotra Stiepanowicza.

- A tę biedaczkę, tę nieszczęśliwą istotę, tę obłąkaną, która straciła wszystko oprócz serca, teraz adoptuję! - zawołała Barbara Pietrowni. - To mój obowiązek, który wypełnię święcie. Od dnia dzisiejszego jest pod moją opieką.

- To byłoby bardzo dobrze pod pewnym względem - ożywił się Piotr Stiepanowicz. - Przepraszam, lecz wtedy nie zdążyłem opowiedzieć do końca. Tu chodzi o opiekę. Proszę sobie wyobrazić, że po wyjeździe Mikołaja Wsiewo-łodowicza (zaczynam, Barbaro Pietrowni, od momentu, na którym

skończyłem), ten pan, ten właśnie pan Lebiadkin uznał, że ma prawo całkowicie rozporządzać pensją przeznaczoną dla siostry. I rozporządzał. Nie wiem, jak na .razie urządził to Mikołaj Wsiewołodowicz, wiem jednakże, że po roku, będąc już za granicą, musiał zmienić dyspozycje. Znów nie znam szczegółów, wiem jednak, że ta osoba została umieszczona w odległym monasterze, gdzie zapewniono jej wszelkie wygody, lecz roztoczono nad nią przyjazny dozór; pani rozumie? Cóż wtedy robi pan Lebiadkin? Wytęża całą energię, aby się dowiedzieć, gdzie ukryto jego źródło dochodu, czyli siostrzyczkę, udaje mu się to nie tak dawno, wtedy odbiera ją z monasteru, złożywszy jakieś dowody, stwierdzające, że ma do tego prawo, i przywozi ją wprost tu. Tu zaś nie daje jej jeść, bije ją, tyranizuje; otrzymuje w jakiś sposób od Mikołaja Wsiewołodowicza znaczniejszą sumę, którą niezwłocznie przepija i zamiast wdzięczności rzuca Mikołajowi Wsiewołodowi-czowi zuchwałe wyzwanie, wytacza bezsensowne żądania, grozi sądem, o ile pensja nie będzie wypłacana na jego ręce. W ten sposób dobrowolny datek Mikołaja Wsiewołodowicza chce traktować jako haracz. To nawet trudno sobie wyobrazić. Panie Lebiadkin, czy prawdą jest wszystko, co tu teraz mówiłem?

194

Kapitan, który stał dotychczas w tępym milczeniu, zrobi, dwa kroki naprzód i twarz nabiegła mu krwią.

- Piotrze Stiepanowiczu, pan postąpił ze mną okrutnie - powiedział i urwał.

- Jak to „okrutnie”? Dlaczegoż to? Ale, mój panie, o okrucieństwie lub łagodności pomówimy później, teraz zaś proszę odpowiedzieć na moje pytanie: czy wszystko, com mówił, jest prawdą? Jeżeli uważa pan, że to nieprawda, wolno panu natychmiast to oświadczyć.

- Ja... pan sam wie, Piotrze Stiepanowiczu! - wybełkotał kapitan, urwał i zamilkł.

Należy dodać, że Piotr Stiepanowicz siedział w fotelu, założywszy nogę na nogę, kapitan zaś stał przed nim w pozie pełnej najgłębszego szacunku.

Wahania Lebiadkina widać bardzo rozgniewały Piotra Stiepanowicza. Twarz mu drgnęła złowrogo.

- Może istotnie chce pan coś oświadczyć? - przeszył wzrokiem kapitana. - Bardzo prosimy. Czekaemy z niecierpliwością.

- Pan wie najlepiej, że nie mogę nic oświadczyć!

- Nic o tym nie wiem, nawet pierwszy raz słyszę! Dlaczegoż by pan nie mógł?

Kapitan milczał. Wreszcie odezwał się stanowczo:

- Niech mi pan pozwoli odejść, Piotrze Stiepanowiczu.

- Ależ owszem, lecz przedtem musi pan odpowiedzieć na moje pytanie: czy to wszystko, com mówiłem, jest prawdą?

- To prawda - głucho odpowiedział Lebiadkin i spojrzał lęklivo na swego dręczyciela. Pot perlił mu się na skroniach.

- Wszystko prawda?

- Wszystko prawda, proszę pana.

- Może chciałby pan dodać coś, wyjaśnić? Jeżeli uważa pan, że jesteśmy niesprawiedliwi, niech pan powie. Niech pan protestuje, niech pan głośno okaże swoje niezadowolenie.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Groził pan niedawno Mikołajowi Wsiewołodowiczowi.

- To... to pod wpływem alkoholu, Piotrze Stiepanowiczu. - Wtem podniósł głowę. - Piotrze

Stiepanowiczu. A jeżeli głośno wołają w duszy ludzkiej honor rodziny i nie-
i3- 195

zasłużona hańba, czy i wtedy winien jest człowiek? - zahuczał jak przedtem, zapomniawszy się na chwilę.

- A teraz czy jest pan trzeźwy, panie Lebiadkin? Piotr Stiepanowicz sztyletował kapitana spojrzeniem.

- Tak... trzeźwy.

- Co to znaczy: honor rodziny i niezasłużona hańba?

- Ja tylko tak sobie. O nikim... Nie chciałem nikogo... ja sam do siebie - mówił Lebiadkin, znów jak zbity.

- Mam wrażenie, że obraziło pana to, com mówił o panu i pańskim postępowaniu. Pan jest bardzo drażliwy, panie Lebiadkin. Lecz niech pan przyzna, że nawet nie zacząłem dotychczas mówić o pańskim postępowaniu, o prawdziwym pańskim postępowaniu. Zacznę mówić o pańskich uczynkach, o wszystkim, nic nie pominę. Bardzo być może, że zacznę mówić, lecz dotychczas przecież nawet nie zacząłem.

Lebiadkin drgnął i patrzył na Piotra Stiepanowicza.

- Piotrze Stiepanowiczu, teraz dopiero zaczynam się budzić!

- Ha, to ja zbudziłem pana?

- Tak, to pan mnie zbudził, Piotrze Stiepanowiczu. Cztery lata spałem pod nawisłą chmurą. Czy mogę już wreszcie odejść, Piotrze Stiepanowiczu?

- Owszem, o ile Barbara Pietrowna nie uzna za konieczne...

Lecz Barbara Pietrowna machała rękami...

Lebiadkin uklonił się, zbliżył do drzwi, zatrzymał się, położył rękę na sercu, chciał coś powiedzieć, lecz nie powiedział i szybko wybiegł. W drzwiach jednak zetknął się z Mikołajem Wsiewołodowiczem, który pozwolił mu przejść; kapitan jak gdyby zjeżył się nagle i zamarł wpatrzony w niego jak królik w węża dusiciela. Poczekawszy chwilę, Mikołaj Wsiewołodowicz odsunął go z lekka ręką i wszedł do salonu.

VII

Był wesoły i spokojny. Może spotkało go przed chwilą coś bardzo miłego, o czym nie wiedzieliśmy jeszcze, lecz był wyjątkowo zadowolony.

- Czy mi przebaczysz, Nicolas?! - nie wytrzymała Barbara Pietrowna i zerwała się na jego widok.

196

Lecz Nicolas serdecznie się śmiał.

- No oczywiście! - zawołał dobrodusznie i żartobliwie. - Widzę, że już wszystko jest państwu wiadome. Gdy wyszedłem stąd, pomyślałem siedząc w karecie: „Trzeba było opowiedzieć przynajmniej jakąś anegdotę, bo któż tak wychodzi?” Lecz przypomniałem sobie, że zostawiłem Piotra Stiepanowicza, i uspokoiłem się.

Mówiąc to rozglądał się bacznie wokoło.

- Piotr Stiepanowicz - przerwała mu Barbara Pietrowna w zachwycie - opowiedział nam dawną petersburską historię z życia pewnego dziwaka, pewnego kapryśnika i wariata, zawsze jednak wzniosłego, zawsze po rycersku szlachetnego...

- Po rycersku? Aż tak nawet? - śmiał się Nicolas. - Tym razem jednak jestem istotnie wdzięczny Piotrowi Stiepanowiczowi za jego pośpiech (wymienił z nim przelotne spojrzenie). Trzeba mamie wiedzieć, że Piotr Stiepanowicz jest znanym mediatorem. Godzenie wszystkich to jego słaba strona, jego pasja. Poleceni go bardzo pod tym względem. Już domyślam się, co on tam wypisał. Przecie on pisze, gdy mówi. Ma w głowie całą kancelarię. Jako realista, nie może kłamać, gdyż prawda jest mu droższa od powodzenia... oczywiście z wyjątkiem tych wypadków, kiedy powodzenie jest droższe od prawdy. (Mówiąc to wciąż rozglądał się wokoło.) Widzi teraz mama, że to nie mama, lecz ja winienem prosić o przebaczenie, a jeżeli w tym wszystkim jest jakiś obłąd, to przede wszystkim z mojej winy. Czyli że w ostatecznym wyniku ja jestem wariatem: nie wolno mi przecież zawodzić miejscowej opinii.

Tkliwie uścisnął matkę.

- W każdym razie sprawa jest zlikwidowana, wszystko już powiedziane i nie warto do tego wracać - dodał, a w głosie jego zabrzmiała jakaś ostra, zimna nuta.

Barbara Pietrowna wyczuła tę nutę. Lecz stan egzaltacji nie mijał, a nawet się pogłębiał.

- Nicolas! Nie oczekiwałam ciebie wcześniej niż za miesiąc.

- Wy tłumaczę mamie, lecz potem. Skierował się do Praskowii Iwanowny. Ta jednak, chociaż tak niedawno była zupełnie oszołomiona jego zjawieniem się, teraz ledwo na niego spozrzała.

Miała nowy kłopot. Od chwili kiedy kapitan wychodząc zetknął się w drzwiach z Mikołajem Wsiewołodowiczem, Liza zaczęła się śmiać, na razie cichutko, z przerwami, lecz potem śmiech jej wzrastał, stawał się coraz głośniejszy i wy-rażniejszy. Zarumieniła się. Stanowiło to nieoczekiwany kontrast z dotychczasową jej ponurą miną. Podczas gdy Mikołaj Wsiewołodowicz rozmawiał z Barbarą Pietrowną, dwa razy skinęła na Maurycego Nikołajewicza, jak gdyby chciała mu coś szepnąć. Gdy jednak schylał się nad nią, parskała śmiechem. Można było przypuścić, że właśnie z niego się śmieje. Wyraźnie usiłowała zapanować nad sobą i gryzła chusteczkę. Mikołaj Wsiewołodowicz przywitał ją w sposób najniewinniejszy i pełen prostoty.

- Niech mi pan wybaczy! - ledwo wymówiła dławiąc śmiech. - Pan... pan widział Maurycego Nikoiajewicza... Boże, jaki pan jest nieprzyzwoicie wysoki, Maurycy Niko-łajewiczu!

I znów parsknęła śmiechem. Maurycy Nikołajewicz był wysoki, lecz nie było w tym nic nieprzyzwoitego.

- Czy pan... dawno przyjechał? - bąkała zawstydzona, że nie może opanować śmiechu. Oczy jej jednak iskrzyły się.

- Przed paru godzinami - odparł Mikołaj Wsiewołodowicz patrząc na nią uważnie. Był niezwykle uprzejmy. Poza uprzejmością jednak miał wyraz twarzy obojętny, markotny.

- A gdzie pan będzie mieszkał?

- Tutaj.

Barbara Pietrowną także przyglądała się Lizie, lecz znienacka uderzyła ją jakaś myśl.

- Gdzieś ty był, Nicolas, przez te dwie godziny? - zbliżyła się do niego. - Pociąg przychodzi o dziesiątej.

- Odwiozłem przede wszystkim Piotra Stiepanowicza do Kiryłowa. Spotkałem Piotra Stiepanowicza o parę stacji stąd, w Matwiejewie. Jechaliśmy w jednym wagonie.

- Ja zaś czekałem w Matwiejewie od świtu - wtrącił Piotr Stiepanowicz. - W moim pociągu tylne wagony wy-koleiły się. O małośmy sobie nóg nie połamali.

- Co? połamane nogi? - zawołała Liza. - Mamo, mammo, a myśmy chciały w zeszłym tygodniu pojechać do Matwie-jewa. Połamałybyśmy sobie nogi.

- Panie Boże, zmiłuj się nad nami! - przeżegnała się Praskowia Iwanowna.

- Mamo, mamó, moja złota, niech mama się nie lęka, gdybym nawet połamała obie nogi; to bardzo łatwo może się zdarzyć; przecież mama sama mówi, że co dzień jeżdżę konno jak szalona. Maurycy Nikołajewiczu, czy pan będzie wodził mnie kulawą? - Znowu się śmiała. - Maurycy Nikołajewiczu, nikomu nie pozwolę prowadzić siebie, tylko panu, może pan śmiało liczyć na to. A jeżeli złamię tylko jedną nogę?... Niech pan przyzna, prawda, że uzna pan to za szczęście?

- Co tam za szczęście z jedną nogą - poważnie nachmurzył się Maurycy Nikołajewicz.

- Ale za to będzie mnie pan prowadził. Tylko pan, nikt inny.

- Nawet wtedy pani będzie mnie wodziła, Lizawieto Nikołajewno - mrucał coraz poważniej.

- Mój Boże, pan chciał powiedzieć dowcip! - zawołała Liza udając przerażenie. - Maurycy Nikołajewiczu, niech pan nigdy nie wkracza na tę drogę! Ale jaki z pana straszny egoista! Przekonana jestem, na szczęście dla pana, że pan sam siebie teraz szkaluje. A naprawdę, to pan od rana do nocy byłby mnie upewniał, że jestem bez nogi piękniejsza! Tylko jedna rzecz jest fatalna. Pan jest strasznie wysoki, ja zaś bez nogi będę malusieńka. Jakże pan będzie mnie prowadził pod rękę? Ładna z nas byłaby para!

Śmiała się nerwowo. Jej dowcipy i aluzje były bardzo płaskie, lecz nie chodziło jej o powodzenie.

- Histeria! - szepnął mi na ucho Piotr Stiepanowicz - trzeba czym prędzej dać jej szklankę wody.

Zgadł. Za chwilę poruszyli się wszyscy. Ktoś przyniósł wody. Liza gorąco ścisnęła matkę, całowała ją, płakała na jej ramieniu, to znów wpatrywała się jej w oczy i wybuchała śmiechem. Wreszcie rozplakała się i Praskowia Iwanowna. Barbara Pietrowna odprowadziła obie do swego pokoju, przez te drzwi, przez które wchodziła Daria Pawłowna. Były tam jednak niedługo, zaledwie kilka minut...

Staram się przypomnieć sobie każdy szczegół tego pamiętnego dnia. Pamiętam, że gdyśmy zostali sami, bez pań (oprócz Darii Pawłowny, która nie ruszyła się z miejsca), Mikołaj Wsiewołodowicz przywitał się z każdym z nas z osobna,

199

oprócz Szalowa, który siedział w swoim kącie, z głową nisko pochyloną. Stiepan Trofimowicz usiłował zacząć jakąś dowcipną rozmowę z Mikołajem Wsiewołodowiczem, lecz ten odwrócił się i skierował ku Darii Pawłownie. Zatrzymał go jednak po drodze Piotr Stiepanowicz, zaciągnął do okna i zaczął mu tam coś szeptać, widocznie, sądząc z wyrazu twarzy i gestów, coś bardzo ważnego. Mikołaj Wsiewołodowicz słuchał leniwie i nieuważnie, z oficjalnym uśmiechem na twarzy, wreszcie nawet niecierpliwie, i ciągle próbował wyrwać się. Odszedł od okna w momencie, gdy już wracały nasze panie. Barbara Pietrowna posadziła Lizę na dawnym miejscu, zapewniając, że powinna posiedzieć i odpocząć z dziesięć minut, gdyż świeże powietrze źle by jej teraz zrobiło. Usilnie opiekowała się Lizą i usiadła obok niej. Natychmiast podbiegł do nich Piotr Stiepanowicz i zaczął jakąś wesołą rozmowę. Wtedy dopiero Mikołaj Wsiewołodowicz wolnym krokiem podszedł do Darii Pawłowny. Daszę ogarnął jakiś niepokój. Zćrwała się z miejsca z rumieńcem na twarzy.

- Wolno już pani złożyć powinszowania czy jeszcze nie? - odezwał się z jakimś grymasem na twarzy.

Dasza coś odpowiedziała, lecz tak cicho, że nie można było dosłyszeć. Mikołaj Wsiewołodowicz podniósł głos:

- Wybacz mi pani niedyskrecję, ale przecież byłem o tym osobiście poinformowany. Pani wie o tym?

- Tak, wiem, że poinformowano pana.

- Spodziewam się, że moje powinszowania nie zaszkodzą - zaśmiał się - i jeżeli Stiepan Trofimowicz...

- Czego pani winszują, czego? - wpadł Piotr Stiepanowicz. - O co chodzi? A-a! O to samo? Pąs na twarzyczce zdradza, że mam rację. Czegóż innego można winszować naszym pięknym a cnotliwym pannom. Od czegóż innego twarze ich oblewają się rumieńcem? Jeśli więc zgadłem, proszę przyjąć ode mnie także... i niech pani zapłaci przegraną. Pamięta pani? Założyła się pani ze mną w Szwajcarii, że nigdy za mąż nie pójdzie... Ach, a propos Szwajcarii! Prawie tylko po to przyjechałem, a wyleciało mi z głowy. Powiedz, stary - zwrócił się do Stiepana Trofimowicza - kiedy wyruszasz do Szwajcarii?

- Ja? Do Szwajcarii? - zdziwił się Stiepan Trofimowicz, mocno zażenowany.

200

- Jak to? Nie wybierasz się? Przecież żenisz się? Sam pisałeś...

- Pierre! - zawołał Stiepan Trofimowicz.

- Co tam Pierre... Widzisz, skoro ci to sprawi przyjemność, leciałem jak na skrzydłach, aby ci oświadczyć, że nic nie mam przeciwko twojej żeniactwie. Przecież chodziło ci o moją opinię i to jak najprędzej... Jeżeli zaś trzeba cię „ratować”, jak piszesz i błagasz w tym liście, to także jestem do twoich usług. Prawda, że ojciec się żeni, Barbaro Pietrow-no? - zwrócił się do niej. - Mam nadzieję, że nie popełniam niedyskrecji; sam mi pisał, że wie już o tym całe miasto i składa mi życzenia; aby uniknąć tego, wychodzi z domu tylko w nocy. Ale niech mi pani łaskawie wierzy, Barbaro Pietrowno, że nic z tego nie rozumiem! Powiedz mi wyraźnie, ojczu, czy trzeba winszować, czy też ratować cię. Pani nie uwierzy, lecz obok zdań pełnych szczęścia są w jego liście zwroty wprost pełne rozpacz. Przede wszystkim błaga mnie, abym mu przebaczył; no tak, to w stylu ich epoki... Ale trzeba przecież uwzględnić, że ten człowiek widział mnie tylko dwa razy w życiu, i to przypadkowo, a teraz, wstępując już po raz trzeci w związek małżeński, wyobraża sobie, że gwałci jakieś obowiązki ojcowskie, i z odległości tysiąca wiorst zaklina mnie, abym się nie gniewał i pozwolił mu. Wybacz, ojczu, ja na te rzeczy patrzę współcześnie, mam szersze pole widzenia i nie potępiam cię, a nawet przypuszczam, że ci to zaszczyt przynosi. Lecz w każdym razie nie rozumiem istoty rzeczy. Coś tam było o „grzechach szwajcarskich”. Żenię się, pisze, z „grzechami” czy z powodu „cudzych grzechów”, już nie pamiętam dobrze, ale w każdym razie jest tam coś o grzechach. „Dziewczyna - pisze - jak perła, jak brylant.” I oczywiście „nie jest jej godzien” - to jego styl; lecz z powodu jakichś tam grzechów czy okoliczności „zmuszony jest iść do ołtarza i jechać do Szwajcarii” - dlatego „przyjeżdżaj i ratuj!” Kto by tu coś zrozumiał? Lecz zdaje mi się... sądzę przynajmniej z wyrazu twarzy obecnych (kręcił się na krześle z listem w ręku, z naj-niewinniejszą miną rozglądając się po wszystkich), zdaje mi się, że swoim zwyczajem powiedziałem coś zbyt szczerego... z powodu nadmiernej szczerości, a może z powodu nadmiernego pośpiechu, o który mnie zawsze pomawia Mikołaj Wsie-wołodowicz. Ale sądziłem, że tu sami moi, przynajmniej dla

201

ciebie, ojczu, bo ja jestem obcy i widzę... że wszyscy coś wiedzą, i tylko ja nic nie wiem.

Rozglądał się w dalszym ciągu.

- Stiepan Trofimowicz pisał do pana, że się żeni z „cudzymi grzechami, popełnionymi w Szwajcarii”, i żeby pan leciał ratować go? To jego słowa? - groźnie zbliżyła się Barbara Pietrowna. Twarz jej wykrzywiła się i pożółkła, wargi drżały.

- Widzi pani, może dobrze nie zrozumiałem - spiesźnie odpowiadał Piotr Stiepanowicz z wyrazem przestachu. - Lecz to już jego własna wina, jeżeli pisze niewyraźnie. Służę pani listem. Widzi pani,

pisywał wciąż listy nieskończenie długie, a w ostatnich paru miesiącach list za listem. Przyznam się, że często nie mogłem doczytać do końca. Wybacz mi, ojcze, że się tak szczerze przyznaję, lecz przecież do mnie te listy tylko adresowałeś, a pisałeś je raczej dla potomności, więc musi ci to być obojętne... Nie irytuj się: bądź co bądź, nie jesteśmy sobie obcy. Lecz ten list, Barbaro Pietrowno, doczytałem do końca. Te „grzechy”, te „cudze grzechy”, to najprawdopodobniej jakieś własne grzeszki, i przysiągłbym, że najniewinniejsze, lecz zachciało mu się raptem z ich powodu zainicjować dramat o szlachetnej tendencji, i o tę szlachetną tendencję głównie chodziło. Tu musi być coś nie w porządku z rachuneczkami - trzeba to wreszcie powiedzieć. Mamy słabostkę do kart... a zresztą to już zupełnie zbyteczne... Przepraszam, zbyt jestem gadatliwy; lecz naprawdę byłem przestraszony, Barbaro Pietrowno, i rzeczywiście myślałem, że trzeba go będzie „ratować”. Już mi samemu wstyd! Cóż to, czy trzymam mu nóż na gardle? Jestem tak bezwzględny wierzytcielem czy co? A on coś tam pisze jeszcze o posagu... Ale, ojcze, czy ty istotnie się żenisz? Przecież to tak podobne do ciebie, że ty nagadasz, nagadasz, tak, dla stylu... Ach, Barbaro Pietrowno, mam wrażenie, że już i pani gniewa się na mnie, może także za styl...

- Ależ przeciwnie. Widzę, że pan stracił już cierpliwość, lecz miał pan po temu aż nadto powodów - zjadliwie odezwała się Barbara Pietrowna.

Ze złośliwą rozkoszą wsłuchiwała się w „prawdomówne” tyrady Piotra Stiepanowicza, który najwidoczniej grał tu jakąś komedię. Nie wiedziałem wtedy jaką, lecz było wyraźne, że gra, że nawet gra dość nieudolnie.

202

- Przeciwnie - mówiła dalej - zbyt wdzięczna jestem panu za to, że pan mówi o tym wszystkim. Bez pana nie wiedziałabym o niczym. Po raz pierwszy od dwudziestu lat przejrzałam. Nicolas, mówiłeś przed chwilą, że byłeś także poinformowany; może i do ciebie pisał coś w tym rodzaju Stiepan Trofimowicz?

- Otrzymałem od niego list... najniewinniejszy i... i... wyjątkowo szlachetny.

- Dobrze, dobrze, widzę, że szukasz odpowiednich słów. Stiepanie Trofimowiczu, muszę pana prosić o wyjątkową łaskę - zwróciła się do niego z piorunami w oczach. - Niech pan zechce opuścić nas natychmiast i od tej chwili nie przekraczać progów mego domu.

Nie należy zapominać o jej stanie „egzaltacji”, który nie zdążył jeszcze przeminąć. Wina zaś Stiepana Trofimowicza była niezaprzeczalna! Zdziwiło mnie jednak, że Stiepan Trofimowicz wysłuchał z wyjątkową godnością zarówno wynurzeń Pietruszy, nie próbując nawet przerwać mu, jak i słów banicji ze strony Barbary Pietrowny. Skąd się wziął taki hart? Nie ulegało wątpliwości, że pierwsze spotkanie z synem, nieudana próba uściskania Pietruszy głęboko go zraniły. Był to ból ostry, cios w samo serce. Miał w tej chwili jeszcze jedną przykrość: męczącą świadomość, że popełnił czyn niegodny, przyznawał mi się potem do tego z całą szczerością. A przecież prawdziwe, istotne cierpienie może sprawić, że nawet najbardziej lekkomyślny człowiek, przynajmniej na krótko, może stać się mocny i zdecydowany. Od prawdziwego cierpienia mądrzeli nieraz głępsi, nie na długo, oczywiście. Cierpienie ma już taką właściwość. Jakże musiało ono podziałać na człowieka tej miary co Stiepan Trofimowicz! Był to cały przewrót - przynajmniej na pewien czas.

Z godnością uklonił się Barbarze Pietrownie i nie wymówił ani słowa (coż zresztą mógł powiedzieć?). Już miał wyjść, lecz zatrzymał się i podszedł do Darii Pawłowny. Ta zaś jak gdyby przeczuwała ten moment, gdyż sama z przerażeniem w głosie, zaczęła mówić, aby go uprzedzić:

- Stiepanie Trofimowiczu, błagam pana, niech pan nic nie mówi. - Twarz jej zdradzała ból. Wyciągnęła do niego rękę. - Niech pan uwierzy, że szanuję pana tak samo jak dawniej i cenię pana... i niech pan o mnie źle nie myśli. Stie-

panie Trofimowiczu, tak bym chciała, aby pan o mnie dobrze myślał.

Stiepan Trofimowicz złożył jej głęboki ukłon, a Barbara Pietrowna zabrała głos:

- Masz prawo rozporządzać sobą, Daszo! Wiesz, że wszystko od ciebie zależy. Zależało i zależy, teraz i w przyszłości.

Piotr Stiepanowicz uderzył się dłonią w czoło.

- Ach! Teraz dopiero rozumiem! Lecz... w jak głupiej sytuacji mnie postawiono! Dario Pawłowno, niech mi pani wybaczy! Coś ty zrobił ze mną, stary?

- Pierre, mógłbyś mówić do mnie z większym szacunkiem - cichym głosem rzekł Stiepan Trofimowicz.

- Nie krzycz na mnie, wypraszam to sobie! - wołał Pierre wymachując rękami. - To wszystko z powodu twych chorych, starych nerwów, a krzyk tu nic nie pomoże. Powiedz raczej, dlaczegoś mnie od razu nie uprzedził? Przecież łatwo mogłeś przypuścić, że ja zacznę o tym mówić.

Stiepan Trofimowicz przenikliwie spojrzał na niego.

- Pierre, czyżbyś istotnie ty, który wszystko wiesz, co się u nas dzieje, nie wiedział nic o tej sprawie?

- Co-o-o? A to dobre! Nie dość, że się jest starym dzieckiem, ale jest się jeszcze niegrzecznym dzieckiem! Barbaro Pietrowno, pani słyszała, co on powiedział?

Wszczął się hałas, lecz w tej chwili nastąpiła scena, której żadną miarą nikt nie mógł się spodziewać.

VIII

W ciągu ostatnich paru minut Lizawietę Nikołajewnę ogarnął jakiś ruchliwy niepokój. Ciągłe coś szeptała do pochylonego nad nią Maurycego Nikołajewicza i do matki. Na twarzy jej malowała się trwoga, jednocześnie zaś jakieś nieodwołalne postanowienie. Wreszcie zerwała się, chcąc już wyjść, i nagliła matkę, którą zaczął podnosić z fotela Maurycy Nikołajewicz. Widocznie jednak nie sądzone im było wyjechać - musiały doczekać końca.

Szatow, siedzący wciąż w kącie niedaleko Lizawiety Nikołajewny i zapomniany przez wszystkich, nie wiedząc sam,

dłaczego siedzi, a nie wychodzi, wstał z krzesła i skierował się wolnym, lecz pewnym krokiem ku Mikołajowi Wsiewołodowiczowi, patrząc mu prosto w oczy. Mikołaj Wsiewołodowicz zauważył to od razu i uśmiechnął się. Uśmiech ten zgasł jednak, gdy Szatow się zbliżył.

Gdy zatrzymał się przed nim w milczeniu, nie spuszczać z niego oczu, wszyscy zwrócili na to uwagę i zamilkli. Piotr Stiepanowicz zamilkł najpóźniej; Liza i jej matka zatrzymały się na środku pokoju. Trwało to przynajmniej pięć sekund. Na twarzy Mikołaja Wsiewołodowicza wyraz zdziwienia zmienił się w wyraz gniewu; nachmurzył brwi, gdy wtem...

Wtem Szatow zamachnął się swą długą, ciężką ręką i z całej siły uderzył Stawrogina w szczękę. Mikołaj Wsiewołodowicz gwałtownie się zachwiał pod tym ciosem.

Szatow uderzył jakoś dziwacznie, nie tak, jak się zazwyczaj wymierza policzki (jeżeli można tak się wyrazić); nie dłonią, lecz całą pięścią, a pięść miał dużą, ciężką, kościstą, pokrytą rudymi włosami, piegowatą. Gdyby tak uderzył w nos, zmiażdżyłby go na pewno. Lecz trafił w szczękę,

zahaczywszy o lewy brzeg wargi i o górne zęby, z których zaczęła sączyć się krew.

Zdaje się, że rozległ się gwałtowny krzyk, może to krzyknęła Barbara Pietrowna - nie pamiętam już, gdyż natychmiast wszystko zamarło. Cała ta scena nie trwała dłużej niż dziesięć sekund.

A jednak tak wiele stało się w ciągu tych dziesięciu sekund.

Wiemy dobrze, że Mikołaj Wsiewołodowicz należał do ludzi, którzy nie znają strachu. Umiał podczas pojedynku stać z zimną krwią pod lufą przeciwnika, umiał sam celować spokojnie i zabijać bez drgnienia. Gdyby spoliczkował go ktokolwiek, nawet nie wyzwałby na pojedynek, lecz natychmiast, na miejscu zabiłby śmiałka, a zabiłby z całą świadomością, bez żadnej pasji. Mam wrażenie, że były mu nawet nie znane ataki oślepiającego gniewu, które tłumią rozagę. Nieraz ogarniał go gniew, lecz nie pozbawiał go nigdy panowania nad sobą ani też świadomości, że za zabójstwo bez pojedynku grozi mu katorga; a jednak zabiłby na pewno bez chwili wahania.

Obserwowałem długo Mikołaja Wsiewołodowicza i teraz, gdy to piszę, znam dużo faktów z jego życia. Porównałbym go do ludzi minionych epok, o których przechowały się wśród

205

nas legendy. Opowiadano na przykład o dekabryście Ł-nie,⁷ że szukał przez całe życie niebezpieczeństwa, upajał się nim, stało się ono potrzebą jego duszy; w młodości pojedynkował się dla najbłahszych powodów; na Syberii chodził na niedźwiedzie tylko z nożem; szukał spotkania w lasach syberyjskich ze zbiegami z katorgi, którzy byli straszniejsi od niedźwiedzi. Ludzie tego typu niewątpliwie odczuwali strach, może nawet bardzo silnie - inaczej przecież byliby spokojniejsi i nie czuli wewnętrznej potrzeby szukania niebezpieczeństw. Nęciło ich zwalczanie w sobie tchórzostwa. Upajali się zwycięstwem i poczuciem, że nikt ich nie zwycięży. Ów Ł-n jeszcze przed zesłaniem znosił głód, ciężko zarabia) na kęs chleba tylko dlatego, że nie chciał ulegać niesłusznym, według niego, żądaniom bogatego ojca. Świadczy to, że szerzej rozumiał pojęcie walki i że nie tylko w pojedynkach i w walce z niedźwiedziem starał się okazać wytrzymałość i siłę charakteru.

Lecz dużo lat upłynęło od tamtych czasów. Nerwowa, zmęczona, rozdwojona natura ludzi naszego pokolenia nie odczuwa już potrzeby tych uczuć bezpośrednich i pełnych, których szukali niespokojni przedstawiciele starych dobrych czasów. Mikołaj Wsiewołodowicz prawdopodobnie traktowałby Ł-na z góry, nazwałby go tchórzliwym śmiałkiem, kogucikiem, a zresztą najpewniej nie mówiłby o nim wcale. Mógł w pojedynku zastrzelić przeciwnika, mógł tak samo pójść na niedźwiedzia, gdyby trzeba było, i z rozbójnikiem w lesie dalby sobie radę. Zrobiłby to wszystko nie gorzej od Ł-na, tak samo odważnie, lecz za to bez najmniejszej przyjemności, jedynie z przykrej konieczności, leniwie, niechętnie, z uczuciem nudy. Ale gdy o gniewie mowa, to zakasowałby nie tylko Ł-na, lecz i Lermontowa. Więcej gniewu nosił w sobie niż tamci obaj razem wzięci, lecz był to gniew zimny, spokojny, powiedziałbym, rozważny, czyli najpotworniejszy i najstraszliwszy ze wszystkich. Powtarzam, że traktowałem go wtedy, a traktuję i teraz, kiedy już wszystko jest skończone, jako człowieka, który w razie otrzymania policzka lub innej podobnej obelgi zabiłby przeciwnika natychmiast, na miejscu, nie wyzywając wcale na pojedynek.

A jednak w tym wypadku stała się rzecz inna i dziwna.

Ledwo Stawrogin zdążył wyprostować się po otrzymanym ciosie, który zmusił go do przegięcia się w pół, i zdawało

206

się, że słyhać jeszcze w pokoju plugawy, jakiś miękki odgłos uderzenia pięścią po twarzy, gdy natychmiast chwycił Szalowa za ramiona. Niezwłocznie jednak, w tej samej chwili, cofnął ręce i skrzyżował je za plecami. Milcząc wpił się wzrokiem w Szatowa i - zbladł jak płótno. Lecz wzrok

jego gaśl. Po paru chwilach patrzył już zimno i nawet, widziałem to dobrze, spokojnie. Błady był niesłychanie. Nie wiem, co się tam w nim działo, widziałem tylko, jak wyglądał. Zdaje mi się, że gdyby jakiś człowiek, chcąc wypróbować swoją wytrzymałość, chwycił i ścisnął mocno rozpaloną sztabę żelaza, a potem w ciągu dziesięciu sekund zmagalby się z potwornym bólem i wreszcie przewycięzył go, człowiek taki przeżyłby prawdopodobnie to samo, co przeżył w ciągu tych dziesięciu sekund Mikołaj Wsiewołodowicz.

Szатов pierwszy spuścił oczy; widocznie musiał. Potem pomału się odwrócił i wyszedł, już nie tym pewnym krokiem, którym podchodził do Mikołaja Wsiewołodowicza. Szedł pomału, zgarbiony, ze spuszczoną głową. Zdawało się, że głęboko nad czymś rozmyśla; coś nawet szeptał do siebie. Doszedł ostrożnie do drzwi, o nic nie potracił i nic nie przewrócił, uchylił tylko z lekka drzwi, tak że przeszedł jakoś bokiem przez wąską szparę. Gdy był już w drzwiach, wi-cherek, sterzcący mu na czubku głowy, widoczny był wyraźniej niż zwykle.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, rozległ się przeraźliwy krzyk. Widziałem, jak Lizawieta Nikołajewna chwyciła matkę za ramię, a Maurycego Nikołajewicza za rękę i szarpiać wyciągała ich z pokoju; raptem krzyknęła i runęła na podłogę zemdlona. Jeszcze dziś słyszę głuchy stuk jej głowy o dywan.

CZĘŚĆ DRUGA

NOC NOC (CIAĞ DALSZY)

POJEDYNEK WSZYSCY W OCZEKIWANIU

PRZED ZABAWĄ

PIOTR STIEPANÓWICZ UWIJA SIĘ WŚRÓD NASZYCH IWAN CAREWICZ

REWIZJA

U STIEPANA TROFIMOWICZA FLIBUSTIERZY FATALNY PORANEK

ROZDZIAŁ PIERWSZY

NOC

Minęło osiem dni. Dziś, gdy to wszystko należy już do przeszłości i gdy piszę moją kronikę - wiemy dobrze, o co chodziło. Wtedy jednak nic nie wiedzieliśmy i niejedna rzecz wydawała się nam dziwna. Stiepan Trofimowicz zamknął się wraz ze mną w swoim mieszkaniu, skąd też obserwowaliśmy bieg wydarzeń. Wyglądałem z mieszkania tylko od czasu do czasu, wpadałem tu i ówdzie i znosiłem najnowsze wiadomości, bez których mój stary przyjaciel nie mógł się obejść.

Rzecz prosta, że po mieście rozeszły się najrozmaitsze opowiadania o zniewadze, o omdleniu Lizawiey Nikołajewny i o wszystkim, co zaszło owej niedzieli. Było to zastanawiające, kto mógł tak prędko i tak dokładnie poinformować całe miasto. Ani jednej z osób wówczas obecnych nie było chyba specjalnie na rękę to wyjawienie tajemnicy. Ze służby nie było nikogo. Mógł to i owo wypaplać chyba Lebiadkin, nawet nie przez złość, gdyż wyszedł wtedy w szczerym przerażeniu (wiadomo zaś, że strach przed wrogiem zabija złość przeciwko niemu) - ale przez zwykłe gadulstwo. Lebiadkin jednak nazajutrz po wypadku znikł wraz z siostrą. Wyprowadził się z domu Filippo-wa i znikł bez śladu. Szатов, od którego chciałem się czegoś dowiedzieć o Marii Timofiejewnie, zamknął się w swoim pokoju i nie wychodził z domu, porzuciwszy nawet swe zwykłe zajęcia w mieście. Nie przyjął mnie. Był to wtorek. Zapukałem do niego, lecz nikt się nie odezwał. Wiedząc jednak, że na pewno nie wyszedł, zapukałem jeszcze raz. Wtedy, zerwawszy się widocznie z łóżka, zbliżył się wielkimi krokami

14- 211

do drzwi i zawołał: „Szatowa nie ma w domu!” Musiałem zrezygnować.

Z pewną obawą, potwierdzając wzajemnie nasze przypuszczenia, musieliśmy wraz ze Stiepanem Trofimowiczem pogodzić się z tym, iż sprawcą szerokiego rozgłosu owego zajścia mógł być tylko

jego syn. On sam, w późniejszej rozmowie z ojcem, kategorycznie zaprzeczał, twierdząc, że zanim otworzył usta, całe miasto mówiło już tylko o tamtych zdarzeniach. Wiedzano już o wszystkim w klubie, a najdrobniejsze nawet szczegóły były doskonale znane gubernatorowej i jej małżonkowi. I co jeszcze było dość dziwne: następnego dnia, w poniedziałek wieczorem, spotkałem Liputina, który już wiedział o wszystkim z najdrobniejszymi detalami, a więc niewątpliwie poinformowany był jako jeden z pierwszych.

Niektóre panie (z najlepszego towarzystwa) niezmiernie były zaintrygowane „tajemniczą kuternózką”, jak nazywano siostrę Lebiadkina. Znalazły się nawet takie, które zapragnęły gwałtownie poznać ją, trzeba więc przyznać, że osoby, które spowodowały zniknięcie Lebiadkinów, uczyniły to we właściwym momencie. Jednak najwięcej zastanawiało wszystkich omdlenie Lizy, zwłaszcza ze względu na to, iż sprawa ta dotyczyła bezpośrednio gubernatorowej, jako jej protektorki i kuzynki. Opowiadano niestworzone rzeczy! Szerzeniu się plotek niezmiernie sprzyjało tajemnicze zachowanie się osób zainteresowanych. Obydwa domy były ściśle zamknięte. Mówiono, że Liza leży w malignie. Powtarzano to samo o młodym Stawroginie, dodając szpetne szczegóły o wybitym zębie i o spuchniętej od fluksji twarzy. Przebąkiwano po kątach o możliwym morderstwie jako zemście, gdyż Stawrogin nie należy do ludzi przebaczących urazy. Na pewno zabije Szatowa, lecz uczyni to w sposób tajemniczy jak w korsykańskiej wendecie. Myśl ta trafiała niektórym do przekonania. Większość jednak naszej młodzieży słuchała tego pogardliwie, z miną lekceważącej obojętności, oczywiście udanej. Na ogół wypłynęła na wierzch dawna wrogość naszego towarzystwa względem Stawrogina. Nawet poważni ludzie oskarżali go, nie wiedząc dokładnie o co. Szeptano, jakoby uwiódł Lizawietę Niko-Iajewnę. Coś tam musiało być między nimi w Szwajcarii. Ludzie ostrożniej si naturalnie powątpiewali, lecz każdy słuchał z przyjemnością. Były prócz tego inne jeszcze rozmowy,

już nie powszechne, lecz ściśle poufne i bardzo dziwaczne. Wspominam o nich, gdyż mają one znaczenie dla dalszego rozwoju wypadków. Otóż niektórzy twierdzili marszcząc brwi nie wiadomo na czym się opierając, że Stawrogin ma w naszej guberni jakąś specjalną misję, że za pośrednictwem hrabiego K. wszedł w kontakt z najwyższą sferą, że może nawet pełni jakieś urzędowe funkcje i otrzymał od kogoś ważne zlecenia. Ludzie najpoważniejsi, najbardziej wstrzeźliwi, uśmiechali się z niedowierzaniem, twierdząc, że człowiek znany ze skandalów, zaczynający u nas od... spuchniętej twarzy, nie przypomina w niczym funkcjonariusza państwowego. Szeptano im jednak, że sama funkcja Mikołaja Wsiewołodowicza ma charakter nie oficjalny, lecz konfidencyjny,¹ i że w takich razach jest nawet wymagane, aby człowiek możliwie najmniej był podobny do urzędnika. Taki argument przekonywał. Wiedzano zaś, że w stolicy pewne sfery zwróciły już uwagę na charakter działalności ziemstwa w naszej guberni. Powtarzam, że te pogłoski nie utrwały się całkowicie. Znikły nawet bez śladu po pierwszym ukazaniu się Mikołaja Wsiewołodowicza, muszę jednak zaznaczyć, że do rozpowszechnienia rozmaitych plotek o Stawroginie przyczyniły się urywkowe i zjadliwe półsłówka, wypowiedziane w klubie przez Artioma Pawłowicza Gaganowa, który niedawno jako dymisjonowany kapitan gwardii powrócił do nas z Petersburga. Był to jeden z najzamożniejszych ziemian naszej guberni, syn owego Pawła Pawłowicza Gaganowa, z którym Mikołaj Wsiewołodowicz miał przed czterema laty to niezwykle, ordynarne zajście, już wspomniane w niniejszej opowieści.

Doszło do powszechnej wiadomości, że gubernatorowa złożyła wizytę Barbarze Pietrownie, lecz oświadczone jej przy wejściu, że „pani jest chora i nie przyjmuje”. W dwa dni potem dowiadywała się przez umyślnego o jej zdrowie. Zaczęła wreszcie „bronić” wszędzie Barbary Pietrowny, wprawdzie w formie ogólnikowej, nieokreślonej. Z zimną obojętnością wysłuchiwała pierwszych relacji o niedzielnej historii, toteż potem w jej obecności nie mówiono na ten temat. Utrwaliło się wszędzie przekonanie, że gubernatorowa wie o wszystkim najdokładniej, zna zakulisową stronę wydarzeń i że sama brała w nich jakiś udział. Dodam tu, że stopniowo zdobywała już

sobie te wpływy, na których tak jej zależało, i już stała w centrum znacznego kółka. Część towarzystwa uznała jej rozsądek i takt. Powrócimy jeszcze do tego. Olbrzymie powodzenie, którym, ku zdumieniu swego ojca, cieszyć się u nas zaczynał Piotr Stiepanowicz, zawdzięczał on przede wszystkim gubernatorowej.

Może zresztą przesadziliśmy trochę, Stiepan Trofimowicz i ja. Nie da się jednak zaprzeczyć, że „Pietrusza” w cztery dni po zjawieniu się u nas znał już wszystkich. Przyjechał w niedzielę, a już we wtorek widziano go w powozie z Artio-mem Pawłowiczem Gaganowem, człowiekiem hardym, wyniosłym i kapryśnym, do którego, pomimo jego ogłady towarzyskiej, nie tak łatwo było się zbliżyć. W domu gubernatora przyjęto Piotra Stiepanowicza bardzo dobrze, toteż już po paru dniach grał tam rolę człowieka bliskiego i faworyzowanego. Co dzień prawie był na obiedzie u Julii Michajłowny. Został jej przedstawiony jeszcze w Szwajcarii, lecz w każdym razie tak szybkie powodzenie w domu ekscelencji zastanawiało. Zastanawiało tym bardziej, że bądź co bądź młody Wiercho-wieński miał notoryczną opinię zagranicznego rewolucjonisty, że podobno uczestniczył dawniej w jakichś wydawnictwach i kongresach. „W gazetach o tym pisano” - zjadliwie dodawał Alosza Tielatnikow, teraz niestety dymisjonowany urzędnik-czyna, zaś nie tak dawno stały bywalec w domu dawnego gubernatora. Musiano jednak liczyć się z faktem, że -eks—rewolucjonista po powrocie do ojczyzny nie jest przez nikogo ścigany, przeciwnie, korzysta z protekcji. Może więc wszystkie pogłoski o jego przeszłości są tylko plotką. Liputin bąknął mi kiedyś, że podobno Pietrusza dokonał aktu skruchy i uzyskał przebaczenie. Wymienił jakoby szereg nazwisk, nie tylko więc odkupił winę, lecz może zrobić wiele dobrego w przyszłości. Powtórzyłem zjadliwe zdanie Stiepanowi Trofimowiczowi. Chociaż był w takim stanie, że trudno mu było pojmować, jednak zamyślił się głęboko. Wyjaśniło się później, że Pietrusza przywiózł ze sobą bardzo poważne listy polecające. Do gubernatorowej miał list od niesłychanie wpływowej staruszki z Petersburga (której mąż był jednym z najpotężniejszych staruszków), matki chrzestnej Julii Michajłowny. W liście była wzmianka o tym, że hrabia K. także zna Piotra Stiepanowicza, którego przedstawił mu młody Stawrogin, i uważa go

214

za bardzo solidnego młodzieńca, pomimo błędów młodości. Julia Michajłowna przywiązywała olbrzymią wagę do swych nielicznych, a tak uporczywie podtrzymywanych stosunków „w wyższych sferach”, toteż otrzymanie listu od dostojnej staruszki było dla niej prawdziwą radością. Jednak jej stosunek do młodego rewolucjonisty był nieco dziwny. Pani gubernatorowa zmusiła małżonka do największej z nim zażyłości, tak że pan von Lembke nawet skarżył się potem... Ale to należy na razie do przyszłości. Muszę podkreślić, że nasz wielki pisarz także był bardzo łaskaw dla młodego Wierchowienieńskiego i nawet zaprosił go do siebie. Ten pośpiech człowieka tak dumnego najboleśniej ukłuł Stiepana Trofimowicza. Sądziłem jednak, że sprawa przedstawia się jasno. Zaciągając do siebie nihilistę, pan Karmazinow musiał mieć na względzie stosunki z radykalną młodzieżą obu stolic. Wielki pisarz chorobliwie drżał przed najmłodszym pokoleniem rewolucjonistów, sądził bowiem, na skutek nieznamomości rzeczy, że w ręku młodzieży spoczywa przyszłość Rosji, więc podlizywał jej się w sposób upokarzający, szczególnie dlatego, że ta młodzież nie zwracała na niego najmniejszej uwagi.

II

Piotr Stiepanowicz wpadł dwa razy do ojca. Żałowałem, że nie byłem obecny przy tych wizytach. Pierwszy raz przyszedł we środę, czyli dopiero na czwarty dzień po tamtym spotkaniu, a to w interesach. Trzeba zaznaczyć, że obrachunek majątkowy został załatwiony między nimi jakoś chyłkiem, w tajemnicy. Barbara Pietrowna wypłaciła całą należną sumę, stała się właścicielką ziemi, rzecz jasna, i zawiadomiła Stiepana Trofimowicza, że sprawa już zakończona. Z polecenia Barbary Pietrowny jej kamerdyner, Aleksy Jegorowicz, przyniósł coś do podpisania, co Stiepan

Trofi-mowicz spełnił w milczeniu i z godnością. Mówiąc o godności, muszę dodać, że w ogóle nie poznałem wprost w tym okresie mego starego przyjaciela. Zachowywał się jak nigdy przedtem, mało mówił, nie napisał ani jednego listu do Barbary Pietrowny, co już było zupełnie wyjątkowe. Uspokoił się całkowicie. Widać było, że jakaś myśl ostateczna i zdecydowana utrwaliła się w nim i wlała spokój w jego duszę.

215

Oddawszy się tej myśli, cierpliwie czegoś oczekiwał. Na razie był chory, gdyż w poniedziałek zapadł na cholerynę. Bez wiadomości nie mógł się obejść. Ilekroć jednak, zapominając o szczegółach, przechodziłem do istoty rzeczy i wypowiadałem pewne przypuszczenia, machał ręką, abym dał temu spokój. A jednak obydwie wizyty synalka źle go usposobiły, chociaż nie zachwiały. Po każdej z nich leżał na otomanie i kładł na głowę kompres z octu. Równowagę duchową bądź co bądź zachowywał. Bywały jednak chwile, kiedy zdawało się, że opuszcza go tajemnicza powzięta decyzja i że zaczyna się w nim walka z napływającą falą innych nęcących myśli. Były to jednak chwile rzadkie. Podejrzywałem, że znów go dręczy chęć pokazania siebie, wyjścia z samotni, wypowiedzenia walki, stoczenia ostatniej bitwy.

- Cher, już ja bym ich rozpędził! - zdradził się we czwartek wieczorem po drugiej wizycie syna, leżąc na otomanie z głową obwiązaną ręcznikiem.

Były to pierwsze jego słowa wypowiedziane do mnie tego dnia.

- „Fils, fils cheri” i tak dalej, dobrze, zgadzam się, że te zwroty są puste, że słownika kucharek. Niech i tak będzie, sam to już widzę. Nie żywiłem go, nie poilem, wysłałem go z Berlina koźmi pocztowymi do s-kiej guberni jako małe dziecko. Wiem o tym. „Tyś, ojczy, nie żywił mnie, tylko koźmi pocztowymi odesłał, a teraz obrabowałeś mnie tutaj.” Lecz mówię ci, nieszczęsny, że przez całe życie moje serce krwawiło za ciebie, chociaż wtedy... tak, pocztą. rit.* No już dobrze, dobrze, niechby nawet pocztą - kończył jak w gorączce.

- Passons - mówił znowu po kilku minutach. - Nie rozumiem Turgieniewa. Jego Bazarów² to jakaś postać fikcyjna, nieżywa. Przecież oni pierwsi zaparli się Bazarowa jako figury do niczego niepodobnej. To jakaś mętna mieszanina Nozdriewa³ z Byronem, cest le mot.** A niech pan na nich spojrzysz uważniej: wywracają koźiolki i piszczą z radości, jak szczeniaki na słońcu. Są szczęśliwi jak zwycięzcy! Gdzie tu Byron! A co za powszedniość! Co za po-

Synu, synu drogi (...) Śmieje się. Pomińmy to (...) oto właściwe słowo.

216

ażnienie aicyjek godne kucharek! Co za żądza faire de son notn*, bez zastanowienia się nad tym, iwie to nom... Och, karykatura! „Zlituj się, czy ty rzeczywiście chcesz siebie takim, jakim zaprfstnować ludziom zamiast Chrystusa?” rit! rit beauców, U rit trop.** Ma jakiś dziwny uśmiech. Jego matka nie miała takiego uśmiechu. rit toujours.*** Znów chwila milczenia.

- Oniitą przebiegli. W niedzielę umówili się zawczasu - odezwał sfc znowu.

- T(k, niewątpliwie! - zawołałem, bacznie się przysłuchując, t- Była to zmowa, zbyt nawet wyraźna, a cała scena była Mwet źle odegrana.

- Nie o to mi chodzi. Czy wie pan, że to wszystko było zbyt*yraźną zmovą po to właśnie, aby zmowa została zauważona,przez tych, o których chodziło? Czy pan to rozumie?

- Nie, nie rozumiem.

- Tant mieux. Passons. Jestem dziś bardzo zdenerwowany.

- Po co pan jednak z nim dyskutował, Stiepanie Trofi-inowiczu? - odezwałem się tonem wyrzutu.

: - Je voulais convertir. Niech się pan z tego śmieje, pro—teę bardzo. Cette pauvre ciocia elle entendra de belles choses. f)ch, przyjacielu! Wierz mi, że poczułem się patriotą. Zresztą jawnie czułem w sobie żywioł rosyjski. Prawdziwy Rosjanin zawsze jest taki jak pan i ja. Ily a Id dedans guelgue chose daveugle et de louche.****

- Ma pan zupełną rację.

- Czy wie pan, drogi przyjacielu, że prawda jest zawsze nieprawdopodobna? Aby nadać jej cechy prawdopodobieństwa, trzeba koniecznie dodać do niej trochę kłamstwa. Tak robią wszyscy. Może w tym wszystkim jest coś takiego, czego my nie rozumiemy. Jak pan myśli, czy w ich zwyczajnym skowycie jest coś takiego, czego my nie rozumiemy? Chciałbym, aby tak było. Bardzo bym chciał.

- robienia hałasu wokół swego nazwiska ** Śmieje się! Ciągłe się śmieje, za bardzo się śmieje.
*** Wciąż się śmieje.

**** Tym lepiej. Pomińmy to. Chciałem przekonać. (...) Ta biedna (...) piękne rzeczy usłyszysz (...) Jest w tym coś ślepego i podejrzanego.

10 Dostojewski, t. III

217

Nie odpowiedziałem. Przez dłuższy czas panowało milczenie.

- Skarżą się na rozum francuski... - mówił znów, jak w gorączce. - To kłamstwo. Tak samo było zawsze. Po co rzucać oszczerstwa na rozum francuski? To po prostu nasze zwykłe rosyjskie leniwość, nasza poniżająca niemoc wykuwania idei, nasze wstrętne pasożytnictwo narodowe. Ils sont tout simplement des paresseux,* i co tam mówić o rozumie francuskim! Och, Rosjanie, w imię dobrej ludzkości, powinni być wytępieni jak szkodliwe pasożyty. Myśmy nie do tego dążyli. Nic nie rozumiem. Przestałem rozumieć. „Czy ty rozumiesz, wołałem do niego, dlaczego gilotyna jest u was na pierwszym planie, dlaczego z takim zachwytem mówicie o niej?” Dlatego jedynie, że ścinać głowy najłatwiej, a idee wykuwać znacznie trudniej!4 Vous etes des paresseux. Votre drapeau est une guenille, une impudence.** Te wozy, czy tam „ten turkot wozów podwożących chleb dla ludzkości” są potrzebniejsze od Madonny Sykstyńskiej, czy jak tam oni to mówią...5 une betise dans ce genre. „Lecz zrozum, wołałem do niego, zrozum, że ludzkości potrzebne jest nie tylko szczęście, lecz i nieszczęście, zupełnie tak samo.” rit. Ty, ojczu, mów do mnie, bawisz się w bons mots***układając swe zniewieściale członki na pluszowej otomany. Wyraził się jeszcze gorzej. I niech pan zwróci uwagę na ten nasz zwyczaj mówienia do ojca po imieniu. To dobre, o ile ojciec z synem są w zgodzie. Lecz gdy się kłóć...

Znów zapanowało milczenie.

- Cher - zaopiniował wreszcie, wstając z otomany. - Wie pan, to się musi jakoś skończyć.

- Nie ulega wątpliwości - powiedziałem.

- Vous ne comprenez pas.**** A jednak na świecie zwykle kończy się wszystko niczym, tu zaś będzie jakiś koniec, będzie niezawodnie!

Zerwał się w silnym podnieceniu okrążył pokój, znów podszedł do otomany i zwałił się bezwładnie.

- I*o są po prostu leniuchy
** Wj. lestesLie leniuchy Wasz sztandar to szmata, niemoc
*** jakieś głupstwo w tym guście. () Śmieje się () piękne sionka
*** Pan nie rozumie

218

W piątek rano Piotr Stiepanowicz wyjechał z miasta i był nieobecny do poniedziałku. Dowiedziałem się o tym od Liputina, który jednocześnie zakomunikował mi, że Lebiad-kin wraz z siostrą zamieszkała za rzeką w Gorszecznej Slo-bódce. „Sam ich odwoziłem” - dodał Liputin. Przestał mówić o tym i natychmiast oświadczył mi, że Lizawieta Nikołajewna wychodzi za mąż za Maurycego Nikołajewicza. Jeszcze o tym się nie mówi, lecz zaręczyny się odbyły i sprawa skończona. Nazajutrz spotkałem Lizę jadącą konno z Maurycem Nikołajewiczem. Była to pierwsza jej przejażdżka po chorobie. Z dala zajaśniały mi jej oczy. Zaśmiała się do mnie, gdy tylko mnie zobaczyła, i bardzo przyjaźnie skinęła głową... Opowiedziałem to wszystko Stiepanowi Trofimowiczowi. Zwrócił baczniejszą uwagę tylko na wiadomość o Lebiadkinie.

Po tym opisie naszej sytuacji w ciągu pierwszych ośmiu dni, gdyśmy nie wiedzieli jeszcze o niczym, powracam do dalszego biegu wydarzeń, mogę zaś teraz, gdy wszystko jest wiadome, wyłożyć je wiernie i prawdziwie. Rozpaczynam od ósmego dnia po tamtej niedzieli, czyli od poniedziałkowego wieczoru - ponieważ ten właśnie wieczór był początkiem „nowej historii”.

III

Była siódma wieczorem. Mikołaj Wsiewołodowicz siedział w swym gabinecie. Zawsze lubił ten pokój, obszerny, zasłany dywanami, pełen mebli staroświeckich, masywnych. Siedział w kącie na sofie, ubrany starannie, chociaż wyglądało na to, że się nigdzie nie wybiera. Na stole przed nim stała lampa z abażurem. Kąty i ściany obszernego pokoju tonęły w cieniu. Stawrogin był zamyślony, skupiony, trochę niespokojny. Miał twarz zmęczoną i nieco wychudłą. Istotnie miał fluksję. Natomiast wieści o wybitym zębie były przesadzone. Ząb chwiały się przez czas jakiś, lecz teraz trzymał się dobrze. Górna warga była rozcięta od wewnątrz, lecz już się zagoiła. Fluksja zaś trwała cały tydzień tylko dlatego, że chory nie zgodził się na sprowadzenie doktora i nie pozwolił rozciąć sobie wrzodu, czekając, aż sam pęknie. Nie tylko doktora nie wpuszczał do siebie, lecz nawet matce pozwalał wejść tylko raz

219

ha dzień, na chwilę, zawsze o zmroku, gdy światło nie było jeszcze zapalone. Nie przyjmował też Piotra Stiepanowicza, który parę razy dziennie, póki był w mieście, wpadał do Barbary Pietrowny. W poniedziałek, po trzydniowej nieobecności, Piotr Stiepanowicz biegał po całym mieście; zjadł obiad u pani gubernatorowej i pod wieczór wpadł do Barbary Pietrowny, która oczekiwała go z niecierpliwością. Mikołaj Wsiewołodo-wicz już przyjmował. Barbara Pietrowna sama odprowadziła młodego Wierchowieńskiego do drzwi; dawno już pragnęła tego spotkania, tym bardziej że Piotr Stiepanowicz obiecał wstąpić do niej potem i wszystko opowiedzieć. Zapukała nieśmiało, a ponieważ nie było odpowiedzi, odważyła się uchylić drzwi.

- Nicolas, czy wpuścić do ciebie Piotra Stiepanowicza? - zapytała cichutko, usiłując przyjrzeć się synowi spoza lampy.

- Ależ owszem, owszem, oczywiście! - głośno i wesoło zawołał Piotr Stiepanowicz, sam otworzył drzwi i wszedł.

Mikołaj Wsiewołodowicz nie słyszał pukania. Posłyszał tylko nieśmiałe pytanie matki, lecz nie zdążył odpowiedzieć. Leżał przed nim list, przed chwilą przeczytany, nad którym głęboko się zamyślił. Drgnął posłyszawszy głośny okrzyk Piotra Stiepanowicza i spieszenie nakrył list jakimś przyciskiem, który znalazł pod ręką. Nie udało mu się to jednak: rozek listu i cała prawie koperta pozostały na wierzchu.

- Naumyślnie krzyknąłem tak głośno, żeby się pan zdążył przygotować - z dziwną naiwnością wyszeptał pośpieszenie Piotr Stiepanowicz. Podbiegł do stołu i natychmiast zaczął się wpatrywać w kopertę i skrawek listu.

- I naturalnie zdążył pan już zauważyć, że chowałem przed panem list tylko co otrzymany - spokojnie odezwał się Stawrogin nie ruszając się z miejsca.

- List? Co mi tam do pana i do pańskich listów! - wołał gość. - Lecz przede wszystkim... - szepnął znów, odwracając się do drzwi już zamkniętych i wskazując je ruchem głowy.

- Matka moja nigdy nie podsłuchuje - chłodno odpowiedział Stawrogin.

- Ach, gdyby nawet! - w mig podchwycił Piotr Stiepanowicz, wesoło podnosząc głos i sadowiąc się w fotelu. - Nic nie mam przeciwko temu, lecz tym razem chciałem po-

220

mówić z panem w cztery oczy. No, nareszcie udało mi się dotrzeć do pana! Przede wszystkim jak zdrowie? Widzę, że już dobrze i że jutro pan się ludziom pokaże, co?

- Bardzo możliwe.

- Niech pan to zrobi wreszcie! Dla nich i dla mnie! - zawzięcie gestykułował z miną niesłuchanie uprzejmą. - Gdyby pan wiedział, co musiałem im nazmyślać! Zresztą pan wie.

Zaśmiał się.

- Nie wiem wszystkiego. Słyszałem tylko od matki, że się pan bardzo... krzątał.

- Ale przecież nie mówiłem nic określonego - zachnął się nagle gość, jak gdyby bronił się przed strasznym ciosem. - Wie pan? Musiałem puścić w obieg i żonę Szalowa, czyli pogłoski o pańskim romansie z nią w Paryżu, aby stał się zrozumiały ten niedzielny wypadek... Pan się nie gniewa?

- Jestem przekonany, że pan dokładał wszelkich starań.

- Tego właśnie się obawiałem! Cóż to znaczy „dokładał starań”? To jakiś zarzut. A zresztą pan mówi wyraźnie, ja zaś, idąc tu, obawiałem się nade wszystko, że pan nie zechce mówić wyraźnie.

- O niczym nie mam zamiaru mówić wyraźnie - odezwał się Stawrogin z pewnym rozdrażnieniem w głosie, po chwili jednak uśmiechnął się.

- Ależ ja nie o tym mówię! Niech pan mnie źle nie rozumie! Nie o tym! - zamachał rękami Piotr Stiepanowicz, zadowolony w duszy ze zniecierpliwienia gospodarza; sypał słowami jak grochem: - Nie będę pana drażnił naszą sprawą, zwłaszcza w obecnej pańskiej sytuacji. Chodzi mi tylko o wypadek niedzielny i chcę mówić tylko o nim, i to bardzo pobieżnie. Ale pomówić irzeba. Przyszedłem z najszczerzszymi wyjaśnieniami, które potrzebne są nie tyle panu, ile mnie. Mówię tu dla uspokojenia pańskiej ambicji, lecz bądź co bądź tak jest istotnie. Od dziś dnia będę w ogóle zupełnie szczery.

- Czyli że dawniej pan nie był?

- Sam pan wie o tym. Nieraz bywałem chytry... Pan się uśmiechnął; cieszy mnie to bardzo, gdyż ten uśmiech zachęca mnie do pewnych wyjaśnień. Naumyślnie przecie wywołałem pana uśmiech zapewnieniem, że byłem chytry; chciałem, aby się pan rozgniewał. Jak to: śmiałem być chytry!

221

A ja na to czekam, żeby się zaraz wytłumaczyć! Widzi pan, widzi pan, jaki jestem teraz szczery! No, więc raczy mnie pan wysłuchać?

Wyraz twarzy Stawrogina, dotychczas spokojny i nawet wzgardliwy, pomimo jawnej chęci gościa, by rozdrażnić gospodarza zuchwalstwem przygotowanych i jaskrawię naiwnych powiedzeń - zdradził wreszcie pewne niespokojne zaciekawienie.

- Wiec niechże pan słucha - sypał Piotr Stiepanowicz jeszcze energiczniej. - Dążąc tu, czyli dążąc do tego miasta przed dziesięciu dniami, oczywiście postanowiłem przywdziać pewną maskę.

Najprościej byłoby obchodzić się bez maski, zadowolić się własną twarzą, prawda? Nie ma chytrzej-szego podstępu jak własna twarz, bo nikt nie chce wierzyć. Chciałem, prawdę mówiąc, udawać głuptaska, gdyż to jest łatwiejsze od własnej twarzy; ponieważ jednak jest to pewna ostateczność, a każda ostateczność przykuwa uwagę, zatrzymałem się w końcu na własnej twarzy. Jaką ja mam własną twarz? Wybrałem złoty środek; ani głupi, ani mądry, dość nieudolny i podobny do człowieka, który spadł z księżycy, jak to określają tutaj rozsądni ludzie. Prawda?

- Cóż, może i tak - nieznacznie uśmiechnął się Mikołaj Wsiewołodowicz.

- A-ch, pan podziela moje zdanie? Cieszy mnie to bardzo. Wiedziałem, że pan myśli tak samo... Niech się pan nie obawia, ja się nie gniewam i wcale nie dlatego dałem własne określenie, aby wywołać protest: „Nie, pan wcale nie jest nieudolny, pan jest rozumny...” Znow się pan uśmiechnął!... Znow mi się nie udało? Ach tak, pan nie mógłby nawet powiedzieć, że ja jestem rozumny. Ja jednak mam małą nadzieję. Passons, jak mówi ojczulek. Lecz niech pana, mówiąc nawiasem, nie gniewa moja gadatliwość. Złożę jeszcze jeden jej dowód. Zawsze mówię dużo, to znaczy, dużo słów, śpieszę się, i nic z tego nie wychodzi. A dlaczego mówię tyle słów i nic nie wychodzi? Po prostu nie umiem mówić. Ci, którzy dobrze mówią, mówią krótko. Czyli że jestem nieudolny. Prawda? Ponieważ jednak ten talent nieudolności jest mi wrodzony, dlaczego nie miałbym wyzyskać go sztucznie? Wyzyskuję więc. Jadąc tu naprawdę zamierzałem na razie milczeć. Ale milczenie wymaga dużego talentu, czyli nie pasuje

222

do mnie. A zresztą jest to bądź co bądź niebezpieczne. Postanowiłem więc ostatecznie, że będę mówił dużo, lecz nieudolnie, czyli będę mówił bez przerwy, będę usiłował spiesznie udowadniać, a wreszcie będę się plątał we własnych dowodach. Słuchacz musi odejść nie doczekawszy końca, rozkładając ręce, może nawet, tak byłoby lepiej, splunąwszy na stronie. Wyjdzie na to, że przekonał się o mojej prostocie, znużył się i nie zrozumiał, czyli osiągam za jednym zamachem trzy cele. Na miły Bóg! Kto ośmieli się potem posądzać mnie o jakieś tajemnicze plany! Ależ będą się obruszali na każdego, kto zechce pomawiać mnie o coś takiego. A czasem także rozśmieszę - co już jest bardzo cenne. Przecież oni przebaczą mi wszystko za to chociażby, że ów mędrzec, który rozpowszechniał gdzieś tam proklamacje, okazał się głupszy od nich. Z uśmiechu widzę, że pan się ze mną zgadza.

Mikołaj Wsiewołodowicz wcale się nie uśmiechał; przeciwnie, słuchał nachmurzony i trochę zniecierpliwiony.

- Co? Co? Pan, zdaje się, powiedział „wszystko jedno”? - znow brzęczał Piotr Stiepanowicz (Stawrogin nie odzywał się nawet). - Ależ tak, ależ tak! Wcale nie chcę kompromitować pana współnictwem. Ale pan jest dziś dziwnie podrażniony. Przyszedłem tu z duszą otwartą i szczerą, a pan się czepia każdego słowa. Zapewniam pana, że o żadnych kwestiach drażliwych nie będę dziś mówił. Daję słowo. I zgadzam się od razu na wszystkie pańskie warunki.

Mikołaj Wsiewołodowicz uporczywie milczał.

- Co? Co? Pan coś powiedział? Widzę, że znowu trafiłem kulą w płot. Pan mi żadnych warunków nie stawiał i nie postawi; wierzę, wierzę, niech pan się uspokoi. Sam wiem, że nie jestem wart, aby stawiał mi pan warunki. Prawda? Już znam pana odpowiedź. To wszystko mierność. Wyłącznie mierność... Pan się śmieje? Więc cóż?

- Nic - odezwał się Stawrogin z uśmiechem. - Przypomniałem sobie, że kiedyś istotnie nazwałem pana miernotą, lecz pan był nieobecny przy tym, musiano więc panu powtórzyć... Proszę, niech pan przejdzie do rzeczy.

- Ależ właśnie o niej mówię. Wciąż o tamtej niedzieli - gadał Piotr Stiepanowicz. - Kimże ja byłem tamtej niedzieli? Spieszącą się nieudolną miernotą i w sposób najbardziej nieudolny opanowałem

przemocą rozmowę. Lecz wy-

223

baczono mi wszystko. Przede wszystkim bowiem spadłem z księżycą, a to już uznane przez wszystkich. Po wtóre, opowiedziałem miłą historyjkę, która uratowała sytuację. Prawda?

- Tak, lecz opowiadał pan w ten sposób, by pozostały pewne wątpliwości, i tak, że zdradzał pan rzekomo naszą znowę i naciąganie faktów, podczas gdy żadnej znowy nie było i o nic pana nie prosiłem.

- Właśnie, właśnie! - zawołał Piotr Stiepanowicz w prawdziwym zachwycie. - Robiłem tak naumyślnie, aby pan zauważył całą sprężynę. Błaznowałem dla pana, gdyż chciałem pana przyłapać i skompromitować. Chciałem wiedzieć, w jakim stopniu pan się boi.

- To ciekawe, dlaczego pan jest teraz taki szczery?

- Niech się pan na mnie nie gniewa! Niech pan nie sztyletuje mnie wzrokiem! Zresztą, pan wcale tego nie robi. Dlaczego jestem teraz taki szczery? Ależ dlatego, że już się wszystko zmieniło. Wszystko minęło, trawą porosło. Zmieniłem sąd o panu. Dawnych sposobów zaniechałem na zawsze. Już nigdy nie będę kompromitował pana w dawny sposób. Teraz już będzie inaczej.

- Zmienił pan taktykę?

- Żadnej taktyki tu nie ma. Teraz wszystko zależy od pana. Tak - dobrze, nie - to nie. Oto cała moja taktyka. O naszej sprawie nie zająknę się nawet, dopóki pan sam nie rozkaże. Śmieje się pan? Na zdrowie! Sam się śmieję. Ale teraz już proszę o powagę, chociaż człowiek, który w ten sposób się śpieszy, jest oczywiście nieudolny. Prawda? Wszystko mi jedno, niech i tak będzie, ale teraz już poważnie...

Wymówił to istotnie poważnie, innym tonem, z niepokojeni w głosie. Stawrogin spojrział zaciekawiony.

- Pan mówi, że zmienił swój sąd o mnie?

- Tak, zmieniłem go w tym momencie, gdy pan wtedy, po czynie Szatowa, skrzyżował ręce z tyłu. Lecz dosyć, dosyć, po co te pytania? Nic już więcej nie powiem.

Zerwał się machając rękami, jak gdyby bronił się przed indagacją. Ponieważ dalsze pytania nie następowały i nie było właściwie po co wychodzić, znowu siadł w fotelu, znacznie uspokojony.

- Nawiasem mówiąc - zaczął od razu - twierdzą tu niektórzy, że pan go zabije. Zakładają się. Lembke chciał

224

nawet poruszyć policję, lecz zabroniła mu żona. Mniejsza zresztą o to; chciałem tylko poinformować pana. Lecz a propos, tego samego dnia wyprawiłem Lebiadkina. Pan wie o tym? Pan otrzymał moją kartkę z adresem?

- Otrzymałem.

- To już zrobiłem nie przez nieudolność, ale szczerze. Chciałem się przysłużyć. Jeżeli wypadło nieudolnie, to w każdym razie było to szczerze.

- Głupstwo, może nawet tak i lepiej... - odparł w zamyśleniu Stawrogin. - Lecz niech pan nie przysyła tu więcej żadnych kartek. Proszę pana o to.

- Inaczej nie mogłem, tylko ta jedna.

- Więc Liputin wie?

- Nie można było inaczej. Lecz pan wie, że Liputin się nie odważy... Trzeba będzie jednak

odwiedzić naszych. To znaczy ich, a nie naszych, bo pan znowu przyczepi się do słowa. Ale niech się pan uspokoi. Nie zaraz, kiedyś, później. Teraz deszcz pada. Zawiadomię ich, zbiorą się i zajdziemy wieczorem. Czekają wszyscy z otwartymi gębami jak pisklęta w gnieździe. Ciekawi są, cośmy im przywieźli ze stolicy. Zapaleńcy! Powydo-stawali książki, chcą toczyć boje. Wirgiński - społecznik, Liputin - furierysta o wyraźnej inklinacji do spraw policyjnych. Pod pewnym względem jest to człowiek cenny, lecz pod każdym innym trzeba z nim postępować ostro; wreszcie ten o długich uszach odczyta i zaprezentuje cały swój, przez siebie obmyślony system. Obrażeni są, iż traktują ich lekceważąco i oblewam zimną wodą. Ale pójść trzeba będzie koniecznie.

- Pan prawdopodobnie przedstawił mnie im jako przywódcę - odezwał się Stawrogin starając się mówić możliwie najbardziej obojętnie.

Wierchowieński szybko spojrzął na niego.

- Ach, zapomniałem powiedzieć - nie odpowiedział na pytanie, jak gdyby nie dosłyszał. - Przecież ja po parę razy dziennie zaglądam do Barbary Pietrowny i zmuszony byłem rozmawiać z nią.

- Wyobrażam sobie!

- Zupełnie niesłusznie. Mówiłem tylko, że pan nie zabije, i wiele słodkich rzeczy. Ale to zastanawiające, że już nazajutrz wiedziała o moim udziale w przenosinach Marii Timofiejewny! Czy to pan jej mówił o tym?

225

- Ani mi to do głowy nie przyszło.

- Przypuszczałem. Ale któż jej mógł powiedzieć? To ciekawe.

- Oczywiście Liputin.

- Nie, nie Liputin - mamrotał Piotr Stiepanowicz, nachmurzony. - Dowiem się kto. To podobne do Szatowa... Zresztą dajmy pokój! Chociaż to bardzo ważne... Oczekiwałem ciągle, że pańska matka rzuci mi pytanie... Była okropnie ponura. Dopiero dziś przyjeżdżam i widzę, że jest cała rozpromieniona. Co się stało?

- Prawdopodobnie dlatego, że obiecałem jej w ciągu pięciu dni oświadczyć się Lizawiecie Nikołajewnie - z otwartością zupełnie nieoczekiwaną odparł Stawrogin.

- Ach, tak? Rozumiem - bąkał Piotr Stiepanowicz, widocznie zdetonowany. - A tam są pogłoski o innych zaręczynach. Pan wie o tym? I zdaje się, że nie bezpodstawne. Lecz ma pan rację. Ucieknij od ołtarza na jedno pańskie skinienie. Pan się nie gniewa, że tak mówię? 1 - Nie, nie gniewam się.

- Widzę, że pana dziś trudno rozgniewać. Zaczynam się pana obawiać. Strasznie jestem ciekaw, jak pan jutro będzie wyglądał. Pan na pewno ma w zapasie sporo kawałów? Nie gniewa się pan na mnie?

Stawrogin nie odpowiadał. Wytrąciło to Wierchowieńskie-go z równowagi.

- Czy pan mówił matce na serio o Lizawiecie Nikołajewnie?

Stawrogin przyjrzał mu się badawczo i zmierzył go zimnym spojrzeniem.

- Ach, rozumiem. Chciał pan ją uspokoić. Tak?

- A gdyby na serio? - twardym głosem zapytał Stawrogin.

- Cóż, szczęście Boże! Zdaje się, że tak się mówi w podobnych okolicznościach. To sprawie nie zaszkodzi. Widzi pan, nie powiedziałem: naszej sprawie, pan nie lubi słowa nasza, ja... cóż ja? Jestem gotów, do usług. Pan wie o tym.

- Pan tak myśli?

- Ja nic nie myślę - śmiał się Piotr Stiepanowicz. - Wiem, że pan obmyślił już wszystko w sprawach własnych. Mówię tylko, zupełnie poważnie, że zawsze, wszędzie, we

wszelkich okolicznościach może pan mną rozporządzać. Rozumie pan? We wszelkich okolicznościach. Stawrogin ziewnął.

- Ach, nudzę pana - zerwał się Piotr Stiepanowicz, chwycił swój zupełnie nowy melonik i udawał, że wychodzi. W istocie jednak nie wychodził, mówił nieprzerwanie, chociaż już stojąc lub krocząc po pokoju. W chwilach ożywienia uderzał się kapeluszem w kolano. - Chciałem jeszcze ubawić pana Lembkami.

- O nie! To już kiedy indziej. Chciałbym jednak wiedzieć, jak się ma Julia Michajłowna.

- Zabawne są te wasze uprzejmości towarzyskie: pana obchodzi jej zdrowie tyle, co zeszloroczny śnieg, a jednak pan pyta. To mi się podoba. Tak, tak. Jest zdrowa i czci pana bałwochwalczo. Spodziewa się po panu wielu rzeczy. O zdarzeniu niedzielnym milczy i jest przekonana, że pan zwycięży samym zjawieniem się w towarzystwie. Wyobraziła sobie, że pan wszystko może. Zresztą jest pan teraz osobistością zagadkową i romantyczną więcej niż kiedykolwiek. To bardzo wygodna sytuacja. Wszyscy niecierpliwie oczekują pana. Gdy wyjeżdżałem, opanowała wszystkich jakaś gorączka. Teraz jeszcze większa. Przy sposobności muszę panu podziękować za list. Tu wszyscy boją się hrabiego K. Czy pan wie, że pana traktują tu jak szpiega? Nie zaprzeczam temu. Pan się o to nie gniewa?

- Ależ wszystko mi jedno.

- Widzi pan, to się przyda na przyszłość. Tu ustaliły się już pewne obyczaje. Popieram je. Na czele stoi pani guber-natorowa, potem Gaganow... Pan się śmieje. Ale przecież muszę stosować pewną taktykę. Plotę, plotę, a raptem powiem jakieś mądre słowo, właśnie wtedy, gdy słuchacze nie mogą go znaleźć. Otaczają mnie wtedy, a ja zaczynam znowu pleść. Już ręką machnęli. Mówią o mnie: „Zdolny człowiek, ale spadł z księżycy.” Lembke namawia mnie, bym objął urzędowe stanowisko, abym się ustatkował. Wie pan? Fatalnie traktuję tego biedaka, kompromituję go na każdym kroku, aż sam oczy wytrzeszcza. Julii Michajłownie to się nie podoba. A Gaganow jest na pana strasznie zagniewany. Wczoraj w Duchowie mówił o panu bardzo brzydko. A ja mu wtedy całą prawdę, to jest, rzecz prosta, nie całą. Spędziła 227

łem u niego w Duchowie cały dzień. Ładny majątek, śliczny dwór...

- Czy on i teraz jest w Duchowie? - zawołał Stawrogin, zerwał się prawie z miejsca i zrobił energiczny ruch całym ciałem.

- Ależ nie! Razem wróciliśmy. Przywiózł mnie do miasta - mówił Wierchowienieński, pozornie nie zwracając uwagi na ruch Stawrogina. - Ach, straciłem książkę! - Schylił się i podniósł zrzucony przez siebie wykwintny album. - Kobiety Balzaka, z ilustracjami, nie czytałem. A propos, Lembke także pisze powieści.

- Czyżby? - spytał Stawrogin, widocznie zaciekawiony.

- Tak, pisze po rosyjsku, w sekrecie. Lembkowa wie o tym i nie protestuje. Trzyma go pod pantoflem, z zachowaniem jednak niezbędnych pozorów; wszystko to jest u nich z dawna praktykowane. Form przestrzega się jak najściślej! Ach, gdybyśmy umieli tak samo!

- Chwali pan administrację?

- Ależ tak! To jedyna rzecz w Rosji osiągnięta i naturalna. Zresztą już nie będę, nie będę. Ja wcale nie o tym. O kwestiach drażliwych ani słówka. Do widzenia panu! Pan jest jakiś zielony.

- Mam febrę.

- To widać. Niech się pan położy. A wie pan, że tu po wsiach są skopcy? Ciekawi ludzie. Ale mniejsza o to. Chciałem jeszcze tylko opowiedzieć panu jedną dykteryjkę. Tu w powiecie

rozlokowany jest pułk piechoty. W piątek wieczorem piłem z oficerami w B-cach. Mamy tam przecie trzech przyjaciół, vous comprenez?* Rozmawialiśmy o ate-izmie i oczywiście unicestwiliśmy Pana Boga. Cieszą się chłopcy, piszczą z zachwytu. Szatow nie darmo mówi, że w Rosji, wzniecając bunt, trzeba zacząć od ateizmu. Jest w tym sporo prawdy. Jeden siwy kapitan siedział wciąż w milczeniu, nie rzekł ani słowa, aż wreszcie stanął na środku pokoju i odezwał się głośno do siebie: „Jeżeli Boga nie ma, to cóż ze mnie za kapitan.”⁷ Rozłożył ręce, wziął czapkę i wyszedł.

- Wypowiedział myśl dość konsekwentną - rzekł Stawrogin i ziewnął po raz trzeci.

- rozumie pan?

228

- Tak? A ja nie zrozumiałem. Chciałem się pana zapytać. Cóż jeszcze ciekawego? Ach, tak, fabryka Szpiguli-nów...⁸ Tam pracuje pięciuset robotników. To ognisko cholery. Fabrykanci milionerzy nie odnawiają fabryki już od piętnastu lat, a robotników krzywdzą przy obrachunku. Wśród robotników niektórzy mają nawet pewne pojęcie o Internationale⁹. Pana to bawi? Ale niech pan mi da odrobinę czasu, a zobaczy pan. Już prosiłem pana o udzielenie mi terminu, a teraz znów proszę... Zresztą, przepraszam, już nie będę, niech pan nie marszczy brwi. Do widzenia! - Zawrócił jednak od drzwi. - Zapomniałem o rzeczy najważniejszej. Mówiono mi, że nasz kufer przyszedł z Petersburga.

- Jak to? - zapytał Stawrogin, nie rozumiawszy.

- Ja mówię o pańskim kufrze z ubraniem i bielizną. Już jest?

- Tak, zdaje mi się, że mówiono mi o tym.

- Czy można zaraz?

- Niech się pan zwróci do Aleksego.

- Dobrze, jutro. Można będzie? Tam przecież razem z pańskim ubraniem jest moja kurtka, frak i trzy pary spodni, od Szarmera,¹⁰ zrobione za pańską rekomendacją. Pan pamięta ?

- Podobno pan udaje tu dżentelmena? -uśmiechnął się Stawrogin. - Czy to prawda, że pan ma zacząć lekcje konnej jazdy?

Wierchowieński wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Wie pan o tym? - odezwał się w jakimś pośpiechu głosem łamiącym się i przerywanym. - Wie pan? Zostawmy raz na zawsze wycieczki osobiste... Może pan pogardzać mną, ile się panu podoba, jeżeli ja tak pana śmieszę, zostawmy jednak na pewien czas wycieczki osobiste. Tak będzie lepiej. Prawda ?

- Dobrze, już nie będę - odezwał się Stawrogin.

Wierchowieński uśmiechnął się, uderzył kapeluszem o kolano, przestąpił z nogi na nogę i powrócił do uprzedniej pozy. Znów mówił wesoło:

- Niektórzy traktują mnie jako pańskiego rywala, jeśli idzie o Lizawietę Nikołajewnę. Muszę wobec tego dbać o swój wygląd zewnętrzny. Ale kto to opowiada panu takie rzeczy? Hm! Ósma. Już idę. Obiecałem wstąpić do Bar-229

bary Pietrowny, lecz zrezygnuję z tego. Niech pan się kładzie, a jutro życzę panu lepszego samopoczucia. Na ulicy deszcz i mrok. Mam tu dorożkę, gdyż po nocy jest niezupełnie bezpiecznie... Ach, jeszcze a propos. Tu w mieście i w okolicy błąka się Fiedka, który uciekł z katorgi. To były nasz poddany, którego przed piętnastu laty mój ojczulek zapakował do wojska, wzięwszy za to pieniądze. Ciekawy typ.

- Pan... z nim mówił? - zapytał Stawrogin wpatrując się badawczo.

- Mówiłem. On się nie ukrywa przede mną. Zdolny jest do wszystkiego. Oczywiście za pieniądze. Lecz ma też pewne zasady, w swoim rodzaju. I jeszcze jedno: jeżeli pan mówił poważnie o swoich zamiarach względem Lizawiey Nikoła-jewny, to powtarzam panu raz jeszcze, że jestem zdolny do wszystkiego, do każdej rzeczy, bez wyjątku, i całkowicie do usług pańskich. Co to? Pan chwyta łaskę? Ach, nie... Doprawdy! Wydało mi się, że pan szuka łaski.

Stawrogin niczego nie szukał i nic nie mówił, lecz istotnie zerwał się, a w twarzy miał dziwny błysk.

- Ale jeżeli panu będzie czegoś potrzeba w związku z panem Gaganowem - uciał Wierchowieński, niedwuznacznie wskazując przycisk - to rzecz prosta, że mogę wszystko urządzić i liczę na to, że pan mnie nie ominie.

Wyszedł nie czekając na odpowiedź, lecz już zza progu wychylił głowę i dokończył:

- Dlatego tak mówię, że przecież Szatow na przykład też nie miał prawa ryzykować życia wtedy, w niedzielę, gdy podszedł do pana. Chciałbym, aby pan zwrócił na to uwagę.

Znikł nie czekając, co mu Stawrogin odpowie.

IV

Może myślał wychodząc, że Stawrogin, zostawszy sam, zacznie walić pięściami w ścianę. Dałby na pewno dużo za to, gdyby mógł coś podobnego zobaczyć. Zawiódłby się jednak. Mikołaj Wsiewołodowicz był spokojny. Parę minut stał przy stole w tej samej pozycji, widocznie zamyślony. Wkrótce jednak zimny, obojętny uśmiech zjawił się na jego twarzy. Usiadł w kącie kanapy, na dawnym miejscu, i zamknął oczy,

230

jakby znużony. Rożek listu w dalszym ciągu wyglądał spod przycisku, lecz Stawrogin nie ruszył się nawet, by go schować.

Wkrótce tak zasnął. Barbara Pietrowna, zmęczona ciągłym niepokojem, nie mogła się powstrzymać i po wyjściu Piotra Stiepanowicza, który obiecał ją odwiedzić, lecz nie spełnił tej obietnicy, odważyła się zejść do Nicolas, chociaż nie była to jej zwykła godzina. Ciągłe roiło się jej, że wreszcie się czegoś dowie. Cichutko zapukała, jak przedtem, lecz nie otrzymując odpowiedzi, otworzyła drzwi. Zobaczyła, że Nicolas siedzi nieruchomo, i z biciem serca zbliżyła się do stołu. Zdziwiło ją, że mógł zasnąć tak szybko i że może spać siedząc tak prosto i nieruchomo. Nawet oddech trudno było zauważyć. Śpiący miał twarz bladą, na pół zastygłą, martwą. Miał brwi zsunięte i nachmurzone. Przypominał bezduszną figurę woskową. Stała nad nim parę minut, bojąc się oddychać. Ogarnął ją lęk. Wyszła na palcach, zatrzymała się w drzwiach, przeżegnała go i opuściła pokój nie zauważona, pełna nowej troski i bólu.

Stawrogin spał dość długo, przeszło godzinę, wciąż odrętwiały. Ani jeden muskui nie drgnął mu na twarzy, nie poruszył się ani razu. Brwi wciąż były surowo zsunięte. Gdyby Barbara Pietrowna została jeszcze kilka minut, na pewno nie mogłaby znieść tego letargicznego bezruchu i obudziłaby syna. Wreszcie otworzył oczy i wciąż nieruchomo siedział przez dziesięć minut, wpatrzony uparcie w jakiś przedmiot w kącie pokoju, jak gdyby z wielkim zaciekawieniem, chociaż nie było tam nic nowego ani nadzwyczajnego.

Rozległ się cichy, głęboki dźwięk zegara, który wydzwonił jeden raz. Stawrogin spojrzął z pewnym niepokojem na tarczę, lecz w tej samej chwili otwarły się tylne drzwi i stanął w nich kamerdyner Aleksy Jegorowicz. Miał w jednym ręku ciepłe palto, szalik i kapelusz, a w drugim kartkę na srebrnej tacy.

- Pół do dziesiątej - odezwał się. Złożył na krzesło palto i podał kartkę, nie zapieczętowaną, zawierającą parę wierszy pisanych ołówkiem.

Stawrogin spojrział na kartkę, wziął ołówek, napisał dwa słowa i położył ją z powrotem na tacy.

- Oddać zaraz po moim wyjściu - powiedział wstając z kanapy. - A teraz podaj palto.

231

Zauważywszy, że ma na sobie lekki aksamitny surdut, kazał podać sobie inny, z czarnego sukna, który wkładał zazwyczaj wybierając się z wizytą. Ubrawszy się i włożywszy kapelusz, zamknął drzwi, przez które wchodziła do niego Barbara Pietrowna, wyjął spod przycisku list i wyszedł milcząc na korytarz. Aleksy Jegorowicz szedł za nim. Z korytarza zeszli na schodki kamienne, a stamtąd do przedsionka, z którego wychodziło się wprost do ogrodu. W przedsionku stał parasol i latarnia, zawnazę przygotowane.

- Z powodu deszczu wielkie błoto na ulicy - zameldował kamerdyner czyniąc w ten sposób ostatnią próbę powstrzymania swego pana od wyprawy.

Ale Stawrogin otworzył parasol i w milczeniu wszedł w ciemny jak loch, mokry, wilgotny stary ogród. Szumiał wiatr i kołysał wierzchołkami półnagich drzew. Wąskie dróżki, wysypane piaskiem, były grząskie i śliskie. Aleksy Jegorowicz, w liberyjnym fraku, bez czapki, szedł oświetlając latarnią drogę na trzy kroki.

- Czy nikt nic nie zauważy? - zapytał Stawrogin.

- Z okien nie widać, a przy tym wszystko jest przewidziane - cicho, spokojnie odpowiedział sługa.

- Matka już się położyła?

- Wielmożna pani poszła do siebie, jak zawsze ostatnio, punkt o dziewiątej, i teraz nie może nic zauważyć. O której godzinie każe pan czekać? - dodał ośmieliwszy się zadać pytanie.

- O pierwszej, może o pół do drugiej, nie później jak o drugiej.

- Słucham pana.

Obszedłszy cały ogród krętymi, tak dobrze znanymi dróżkami, doszli do muru i tu w samym rogu odszukali małe drzwiczki wychodzące na wąski i opustoszały zaułek. Drzwiczki te były zawsze zamknięte, lecz teraz klucz znalazł się w ręku kamerdynera.

- Byle drzwiczki nie skrzypnęły - odezwał się znowu Stawrogin.

Lecz Aleksy Jegorowicz oświadczył, że wczoraj wysmarował zawiasy oliwą i dziś także. Był już cały mokry od deszczu. Otworzył drzwiczki i podał klucz Stawroginowi.

- Jeśli pan zamierza iść daleko, ośmielę się uprzedzić,

232

że nie jestem pewien tutejszych ludzi, szczególnie w pustych uliczkach, a już najgorzej za rzeką - próbował raz jeszcze. Był to stary sługa, który przed laty niańczył Stawrogina, człowiek rozsądny i poważny, lubiący czytać nabożne książki i słuchać, jak ktoś czyta je na głos.

- Nie bój się o mnie, Jegorycz.

- Niech Bóg pana błogosławi, lecz tylko w cnotliwych zamierzeniach.

- Co? - Mikołaj Wsiewołodowicz, który już wchodził w uliczkę, przystanął.

Aleksy Jegorowicz pewnym głosem powtórzył swe życzenie; nigdy przedtem nie odważyłby się wypowiedzieć takich słów wobec swego pana.

Stawrogin zamknął drzwiczki, schował klucz do kieszeni i ruszył naprzód, grzęznąc po kostki w błocie. Wyszedł wreszcie na jezdnię długiej, bezludnej ulicy. Znał miasto jak własną kieszeń. Do

Bogojawleńskiej było wciąż jeszcze daleko. Było już po dziesiątej, kiedy zatrzymał się wreszcie przed zamkniętą bramą ponurego starego domu Filippowa. Parter, po wyjeździe Lebiadkina, był teraz całkiem pusty, a okna zabite deskami. Ale na poddaszu u Szatowa paliło się światło. Ponieważ nie było dzwonka, trzeba było walić pięścią w bramę. Otworzyło się okienko i wyrzął Szatow; panował taki mrok, że trudno było coś dojrzeć. Szatow długo się przyglądał, chyba z minutę, wreszcie zapytał:

- To pan?

- Ja - odparł nieproszony gość.

Szatow zatrzasnął okienko, zeszedł na dół i otworzył bramę. Mikołaj Wsiewołodowicz przestąpił wysoki próg, przeszedł w milczeniu obok Szatowa i skierował się w stronę oficyny, do Kiryłowa.

V

Wszystko tu było otwarte, nawet nie przymknięte. W przedpokoju i w pierwszych dwóch pokojach było ciemno, lecz w ostatnim, zamieszkałym przez Kiryłowa, w którym dziwak stale pił swoją herbatę, paliło się światło, słychać było śmiech i jakieś dziwne okrzyki. Mikołaj Wsiewołodowicz

233

poszedł w kierunku światła, nie wszedł jednak, zatrzymał się w progu. Stół był nakryty do herbaty. Pośrodku pokoju stała staruszka, krewna Filippowa, z odkrytą głową, w spódnicy tylko i zajęczej kacabajce, w pantoflach na bosych nogach. Trzymała na ręku półtorarocznego dzieciaka, w jednej koszulce, z gołymi nóżkami, o policzkach zaczerwienionych i rozwichrzonych jasnych włoskach, widocznie dzieciak był wyjęty wprost z kołyski. Widać było, że płakał przed chwilą, miał jeszcze łezki w oczach, lecz w tej chwili wyciągał rączkę, klaskał w dłonie i śmiał się, zachłystując się, jak śmieją się małe dzieci. Przed nim Kiryłow rzucił o podłogę dużą czerwoną piłkę. Piłka podskakiwała do sufitu i znowu spadała. Dzieciak krzychał: „Piłkę, piłkę!”, Kiryłow łapał „piłkę” i podawał ją malcowi; malcowa niezgrabnymi rączkami rzucił ją o podłogę, a Kiryłow biegł i podnosił. Wreszcie „piłkę” potoczyła się pod szafę. Dzieciak krzychał: „Piłkę! piłkę!” Kiryłow położył się na podłodze, usiłując wydostać „piłkę”. W tej chwili Stawrogin wszedł do pokoju Dziecko, zobaczywszy go, przytuliło się do staruszki i zaniósł się przeciągłym płaczem. Staruszka wyniosła je natychmiast z pokoju.

- To pan? - odezwał się Kiryłow wstając z piłką w ręku, wcale nie zdziwiony tą nieoczekiwaną wizytą. - Chce pan herbaty ?

Wyprostował się zupełnie.

- Bardzo proszę, o ile ciepła, wypiję chętnie. Zupełnie zmokłem.

- Ciepła, nawet gorąca - z zadowoleniem stwierdził Kiryłow. - Proszę siadać. Pan się zabłocił. To nic. Podłogę potem wytrę moką ścierką.

Mikołaj Wsiewołodowicz usiadł i prawie duszkiem wypił podaną herbatę.

- Jeszcze? - spytał Kiryłow.

- Dziękuję.

Kiryłow, który dotychczas stał, usiadł natychmiast naprzeciw gościa i zapytał:

- Po co pan przyszedł?

- Mam interes. Niech pan przeczyta ten list od Gaga-nowa Pan pamięta. Mówiłem panu w Petersburgu.

Kiryłow wziął list, przeczytał, położył na stole i patrzył w milczeniu.

234

Stawrogin zaczął tłumaczyć, o co chodzi

- Tego Gaganowa, jak panu wiadomo, spotkałem pierwszy raz w życiu w Petersburgu przed miesiącem. Zetknęliśmy się ze trzy razy w towarzystwie. Nie znając mnie i nie rozpoczynając rozmowy, znalazł jednak sposobność, by zachować się wobec mnie zuchwale. Mówiłem już o tym panu. Nie wie pan jednak, że przed wyjazdem z Petersburga ten drab przysłał raptem do mnie list, nie taki wprawdzie jak ten, lecz w każdym razie bardzo nieprzyzwoity, a tym dziwniejszy, że me był w nim wyluszczone powód pisania do mnie w tym stylu. Odpowiedziałem natychmiast, także listownie, i najszczerzej wyraziłem przypuszczenie, iż prawdopodobnie gniewa się na mnie za owo zajście z jego ojcem w tutejszym klubie przed czterema laty. Napisałem, że gotów jestem z mojej strony najuprzejmiej prosić go o przebaczenie, ponieważ działałem wówczas tylko nieświadomie, pod wpływem choroby. Prosiłem, aby miał mnie za wytłumaczonego. Wyjechał z Petersburga, nie odpisawszy mi. I oto teraz zastaję go tutaj w paroksyzmie prawdziwej wściekłości. Powtórzone mi parę jego publicznych odezwań się o mnie, wyraźnie mnie bezczeszczących i zawierających dziwaczne oskarżenia. Wreszcie dziś otrzymuję ten list, przy czym wątpię, czy ktoś dotąd podobny list napisał, z obelgami i takimi zwrotami, jak „pańska obita gęba”. Przyszedłem do pana w nadziei, że zechce pan być moim sekundantem.

- Pan mówi, że nikt nigdy jeszcze takiego listu me napisał - odezwał się Kiryłow. - W pasji można. Piszą często. Puszkina napisał do Heeckerena. ¹¹ Dobrze, pójdę. Gdzie i jak?

Stawrogin wyjaśnił, że chciałby już jutro. Nastawał, aby koniecznie zacząć od wznowienia przeprosin, a nawet obiecać, że on napisze jeszcze jeden list z przeprosinami, pod tym jednak warunkiem, że Gaganow ze swej strony zobowiązałby się, iż przestanie pisać. List zaś obecny będzie traktowany jako niebyły.

- Zbyt dużo ustępstw, me zgodzi się - powiedział Kiryłow

- Przede wszystkim chcę wiedzieć, czy pan się zgodzi zanieść mu takie warunki

- Ja? Tak. Pańska rzecz. Ale on się nie zgodzi.

- Wiem, że się me zgodzi.

235

- On chce się bić. Niech pan mówi, jak pan chce się bić.

- O to mi właśnie chodzi, aby jutro koniecznie z tym skończyć. Będzie pan u niego o dziewiątej rano. Wysłucha pana i nie zgodzi się, lecz skomunikuje pana ze swym sekundantem. Będzie to, dajmy na to, około jedenastej. Z tamtym pan się porozumie i trzeba, aby wszyscy byli na miejscu spotkania o pierwszej lub o drugiej. Niesłychanie będę wdzięczny, jeżeli pan to tak urządzi. Broń - oczywiście pistolety, szczególnie zaś proszę pana o takie warunki: odległość między barierami dziesięć kroków. Potem postawicie każdego z nas o dziesięć kroków od każdej bariery i na dany znak zaczynamy się zbliżać do siebie. Każdy z nas musi koniecznie dojść do swojej bariery, lecz wolno strzelać i przedtem, idąc. Sądzę, że to wszystko.

- Dziesięć kroków między barierami to za blisko - zauważył Kiryłow.

- Dobrze, dwanaście, byle nie więcej. Pan rozumie przecie, że on naprawdę chce się bić. Czy pan potrafi nabić pistolety?

- Potrafię. Mam pistolety. Zaręczę, że pan z nich nigdy nie strzelał. Jego sekundant musi dać słowo o swoich. Dwie pary. Pociągniemy losy - na kogo wypadnie.

- Doskonale.

- Chce pan zobaczyć pistolety?

- Owszem.

Kiriłłow przykucnął przed stojącym w kącie kufrem, który nie był jeszcze rozpakowany. Widocznie wydostawał z niego rzeczy tylko w miarę potrzeby. Wyciągnął spod rzeczy pudło z palmowego drzewa, wyłożone czerwonym aksamitem, i wydobyl parę eleganckich, bardzo drogich pistoletów.

- Jest wszystko: proch, kule, ładunki. Mam także rewolwer. Chwileczkę.

Sięgnął znów do kufra i wyciągnął drugie pudło z amerykańskim sześciopalcowym rewolwerem.

- Pan ma tyle broni, i takiej drogiej?

- Bardzo. Nadzwyczaj.

Ubogi, nędzacz prawie, Kiriłłow, który nigdy zresztą nie zwracał uwagi na swoją nędzę, z widoczną dumą pokazywał swoje skarby bojowe, zdobyte bez wątpienia kosztem niesłychanych ofiar.

236

- Pan stale trwa w swoim postanowieniu? - ostrożnie zapytał Stawrogin po chwili milczenia.

- Tak - krótko odpowiedział Kiriłłow zrozumiawszy z tonu, o co go pytają. Zaczął składać broń.

- A kiedy? - pytał Stawrogin jeszcze ostrożniej po chwili milczenia.

Kiriłłow już odłożył do kufra obydwie pudełka i siadł na dawnym miejscu.

- To nie ode mnie zależy, jak panu wiadomo. Kiedy dadzą znak - bąknął, jak gdyby trochę skrępowany tym pytaniem, ale jednocześnie gotów odpowiadać na wszystkie inne. Patrzył uparcie na Stawrogina swymi czarnymi zgaszonymi oczami z jakimś spokojnym, łagodnym i przychylnym uczuciem.

- Ja naturalnie rozumiem, co znaczy zastrzelić się - rozpoczął znowu Stawrogin po dłuższej chwili zamyślenia. Był nieco zasepiony. - Sam nieraz myślałem o tym, lecz zawsze zjawiała się jakaś nowa myśl: „Gdyby tak na przykład popełnić zbrodnię, szczególnie hańbiącą... i śmieszłą zarazem, aby ludzie tysiąc lat ją pamiętali i pluli przez tysiąc lat.” I raptem myśl: „Jeden wystrzał w skroń i wszystko skończone.” Co wtedy znaczą ludzie i to, że będą pluli przez tysiąc lat?

- Pan nazywa to nową myślą? - rzekł Kiriłłow po chwili zastanowienia.

- Nie nazywam... lecz kiedy poczułem tę myśl, wydała mi się nowa.

- „Poczuł” pan myśl? - powtórzył Kiriłłow. - To dobrze powiedziane. Są myśli wieczne, które raptem stają się nowymi. To prawda. Widzę sam teraz wiele rzeczy jak gdyby po raz pierwszy.

- Przypuśćmy, że żył pan na księżycu - przerwał Stawrogin nie słuchając i snując dalej myśl własną. - Przypuśćmy, że popełnił pan tam te wszystkie zabawne łajdactwa. Wie pan na pewno, patrząc już stąd, że tam będą szydzili, będą pluli na pańskie imię przez tysiąc lat, wiecznie, jak księżyc długi i szeroki. Lecz teraz pan jest tutaj i stąd patrzy pan na księżyc. Co panu do tego, co pan tam robił? Co pana obchodzi, że tam plują na pana przez tysiąc lat? Prawda?

- Nie wiem - odpowiedział Kiriłłow. - Nie byłem na księżycu - dodał bez cienia ironii, konstatując jedynie fakt.

237

- Czyje to było dziecko?

- Przyjechała teściowa. . nie, nie teściowa, tylko synowa staruszki... wszystko jedno. Trzy dni temu. Leży chora, a tu dziecko W nocy bardzo krzyczy, bo brzuch . Więc matka śpi, a stara przynosi. Piłką zabawiam. Piłka z Hamburga W Hamburgu kupiłem, żeby rzucać i łapać. Wzmacnia plecy A to dziewczynka.

- Pan lubi dzieci
- Lubię - dość obojętnie stwierdził Kinłłow
- Więc musi pan kochać życie
- Tak, Kocham życie. A bo co?
- Pan przecie postanowił się zastrzelić.
- Cóż z tego? Po co to łączyć? Życie swoją drogą, a tamto swoją. Życie jest, a śmierci me ma zupełnie.
- Pan zaczyna wierzyć w żywot wieczny?
- Nie, nie w tamten wieczny, lecz w wieczność tego, co tutaj. Są takie chwile... gdy pan dojdzie do nich, czas się zatrzyma i będzie wieczność.
- Pan ma nadzieję uchwycie taką chwilę?
- Tak.
- To chyba w dzisiejszych czasach jest niemożliwe - mówił Stawrogm, także bez cienia ironii. Mówił to powoli, w zadumie. - W Apokalipsie anioł przysięga, że czasu już nie będzie.12
- Wiem. To bardzo prawdziwe. Wyraźne i ściśle. Gdy wszyscy osiągną szczęście, czasu już nie będzie, bo niepotrzebny. Bardzo słuszna myśl.
- Gdzież on się podzieje?

- Nigdzie Czas to me przedmiot, to idea Zgaśnie w myślach

- To stare komunały filozoficzne, wciąż te same od wieków - ze wzgardliwym żalem szepnął Stawrogm.
- Te same! Te same od początku świata! Innych nie będzie nigdy - podchwycił Kinłłow z błyskiem w oku, jak gdyby ta właśnie myśl zawierała nieomal zwycięstwo

- Pan, jak mi się zdaje, jest bardzo szczęśliwy1

- Tak, bardzo szczęśliwy - powiedział to takim tonem, jak gdyby mówił o rzeczy najpowszedniejszej.
- Ależ pan niedawno jeszcze tak się martwił! Irytował się pan na Liputina.

238

- Hm... a teraz już nie. Nie wiedziałem wtedy, że jestem szczęśliwy. Czy pan widział kiedy liść? Zwyczajny hsc?
- Owszem.
- Widziałem niedawno żółty. W paru miejscach był jeszcze zielony. Brzegi nadgniłe. Wiatr go unosił. Gdy miałem dziesięć lat, zamykałem zimą oczy i starałem się wyobrazić sobie taki hsc zielony, jaskrawy, z żółtymi żyłkami, i słońce świecące. Otwierałem oczy i nie wierzyłem, bo tamto było zbyt ładne. Znowu zamykałem.
- Coz to? Przenośnia?
- N-me... dlaczego Po prostu hsc. Jeden hsc Liść piękny i wszystko piękne.

- Wszystko

- Wszystko Człowiek jest nieszczęśliwy dlatego, że nie wie, iż jest szczęśliwy. Tylko dlatego. W tym mieści się wszystko, wszystko Kto się o tym dowie, stanie się szczęśliwy Natychmiast, w jednej chwili. Ta synowa umrze, a dziecko zostanie. I wszystko będzie dobrze. Odkryłem to nagle.

- A jeśli ktoś umrze z głodu, jeśli skrzywdzi i zhańbi dziewczynkę, czy także będzie dobrze?
- Dobrze. I jeśli ktoś roztrzaska komuś głowę za dziecko - także dobrze. I jeśli me roztrzaska - dobrze Wszystko jest dobrze, wszystko. Temu jest dobrze, kto wie, że wszystko jest dobrze. Gdyby ludzie wiedzieli, że im dobrze, byłoby im dobrze. Póki me wiedzą, złe im. Oto cała myśl, cała. Innej w ogóle nie ma
- Kiedyż pan się dowiedział, że jest taki szczęśliwy?
- W zeszłym tygodniu, we wtorek. Nie, w środę, bo to już była środa. W nocy
- I jakże to było
- Nie pamiętam, tak jakoś. Chodziłem po pokoju... To nieważne. Zatrzymałem zegarek. Było trzydzieści siedem minut po drugiej.
- Na znak tego, że czas powinien stanąć Kirilow me odpowiedział na to Powrócił znów do dawnej myśli.
- Ludzie są źli, bo nie wiedzą, że są dobrzy. Kiedy się dowiedzą, me będą gwałcili dziewczynkę. Muszą się dowiedzieć, że są dobrzy, wtedy staną się dobrzy Wszyscy, co do jednego
- Więc pan się dowiedział, że jest pan dobry?

239

- Tak, jestem dobry.
- Na to zgoda - bąknął Stawrogin dość posepnie.
- Kto ludzi nauczy, że są dobrzy, skończy ze światem.
- Ten, kto tego uczył, został ukrzyżowany.
- Przyjdzie, a imię jego będzie Człowiek-bóg.
- Bóg-człowiek?
- Nie. Człowiek-bóg, w tym różnica.
- Może to pan zapalił nawet tę lampkę oliwną przed ikoną ?.
- Tak, to ja.
- Uwierzył pan?
- Nie. Staruszka lubi, żeby się lampka paliła... sama nie ma czasu - mruknął Kirilow.
- Czy pan się jeszcze nie modli?
- Ja modłę się do wszystkiego. Widzę, że pająk pełza po ścianie. Patrzę na to i wdzięczny mu jestem, że pełźnie.

Znowu błysnęły mu oczy. Twardym, nieulekłym wzrokiem patrzył wciąż na Stawrogina. Stawrogin przyglądał mu się posepnie, z odrazą, lecz w jego spojrzeniu nie było szyderstwa

- Mógłbym się założyć, że gdy przyjdę znowu do pan-będzie pan już wierzył w Boga - powiedział wstając i bi rac kapelusz.
- Dlaczego? - spytał Kirilow wstając także.
- Gdyby pan się dowiedział, że pan wierzy w Boga, toby p uwierzył. Ponieważ jednak pan nie wie, że wierzy, więc jeszcze pan nie wierzy - odparł Stawrogin z uśmiechem.

Kirilow zamyslił się.

- Nie, to nie to. Pan przekreślił myśl. To żart. Niech pan pamięta, czym pan był w moim życiu.
- Do widzenia!
- Niech pan przychodzi w nocy; więc kiedy?
- Żeby pan nie zapomniał o jutrze!
- Ach tak! Niech pan będzie spokojny. Nie zaśpię. O dziewiątej. Umiem się zbudzić, o której

zechcę. Kładę się i mówię sobie: „O siódmej” - i budzę się o siódmej. O dziesiątej - to o dziesiątej.

- Ma pan niepospolite cechy. Stawrogin spojrział w bladą twarz Kiriłłowa.

- Otworzę panu bramę.

- Niech się pan nie fatyguje. Otworzy mi Szatow.

- Ach, Szatow. Dobrze! Do widzenia!

240

VI

Drzwi pustego domu, w którym mieszkał Szatow, nie były zamknięte. Wszedłszy na klatkę schodową, Stawrogin znalazł się w głębokim mroku i zaczął szukać ręką schodów prowadzących na poddasze. Wtem u góry otworzyły się drzwi i Stawrogin ujrzał światło; Szatow nie schodził na dół, tylko otworzył swoje drzwi. Gdy Stawrogin znalazł się na progu jego pokoju, zobaczył, że Szatow stoi w kącie przy stole, jak gdyby na coś czekał.

- Czy pan „nie przyjmie? Mam do pana sprawę.

- Niech pan wejdzie i siada - odpowiedział Szatow. - Proszę zamknąć drzwi. Chwileczkę, ja sam.

Zamknął drzwi na klucz, wrócił do stołu i usiadł naprzeciwko Stawrogina. Schudł przez ten tydzień. Zdawało się, że ma gorączkę.

- Pan mnie zmęczył - rzekł cicho, spuściwszy oczy. - Dlaczego pan nie przychodził? tfi.- Czy pan był tak pewien, że przyjdę? 01- Tak, nie, nie... bredziłem... może bredzę i teraz. Niech pan poczeka!

Wstał i wziął z górnej półki jednej z trzech etażerek z książka-ggt Jakiś przedmiot, który leżał z brzegu. Był to rewolwer. 3S - Bredziłem kiedyś przez całą noc, że pan przyjdzie mnie zabić. Nazajutrz za ostatnie pieniądze kupiłem rewolwer od tego wałkonía Lamszyna. Nie chciałem poddać się panu. „Potem opamiętałem się... Nie mam ani kuł, ani prochu. Od tego czasu tak leży na etażerce. Niech pan poczeka...

Wstał znowu i otworzył lufcik.

- Niech pan nie wyrzuca. Po co? - powstrzymał go Stawrogin. - To przecie ma pewną wartość. Poza tym ludzie zaczęliby mówić, że pod oknem Szatowa poniewierają się rewolwery. Niech pan położy go na miejscu, o tak. A teraz niech pan siada. Dlaczego pan spowiada się przede mną ze swych przypuszczeń, że przyjdę pana zabić? Nie przyszedłem teraz wprowadzić godzić się z panem, lecz musimy pomówić o tym, co konieczne. Przede wszystkim musi mi pan wytłumaczyć. Pan nie uderzył mnie za mój związek z pańską żoną?

- Pan wie najlepiej, że nie - odpowiedział Szatow wpatrując się znowu w podłogę.

11 Dostoiowski, t III 241

- I nie z tego powodu, że uwierzył pan głupim plotkom o pańskiej siostrze?

- Nie, nie, oczywiście, że nie! To głupstwo! Dasza od razu powiedziała mi o wszystkim... - niecierpliwie i ostro odparł • Szatow. Nawet tupnął nieznacznie nogą.

- Więc zgadłem, a i pan zgadł także - spokojnie ciągnął Stawrogin. - Pan się nie myli. Maria Timofiejewna Le-biadkin jest moją legalną żoną, z którą wziąłem ślub cztery i pół roku temu w Petersburgu. Pan mnie przecież za nią uderzył ?

Szatow słuchał i milczał jak osłupiały. Wreszcie wyszeptał, dziwnym wzrokiem patrząc na Stawrogina:

- Domyślałem się, ale nie mogłem uwierzyć.

- I uderzył pan.

Szatow, wzburzony, zaczął mówić niemal bez związku:

- Ja... za pański upadek... za kłamstwo. Nie po to podchodziłem, aby ukarać. Gdy podchodziłem, nie wiedziałem, że uderzę... Ja... za to, że pan tyle znaczył w moim życiu... Ja...

- Rozumiem, rozumiem. Niech pan nie traci słów na próżno. Żałuję bardzo, że jest pan rozgorączkowany. Mam sprawę niezmiernie ważną.

Szatow zatrząsał się cały i wstał.

- Zbyt długo czekałem na pana. Niech pan mówi. I ja powiem. Potem...

Usiadł. Stawrogin przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- Moja sprawa do pana - zaczął - należy do innej kategorii. Z pewnych względów musiałem wybrać dziś taką godzinę i przyjść uprzedzić pana, że mogą pana zabić.

Szatow rzucił na niego dziwaczne spojrzenie.

- Wiem - rzekł ważąc każde słowo - że może mi grozić niebezpieczeństwo. Ale skąd pan może o tym wiedzieć? Stawrogin uśmiechnął się lekko.

- Gdyż należę do nich tak samo jak pan i jestem takim samym jak pan członkiem stowarzyszenia.

- Pan... pan członkiem stowarzyszenia?!

- Czytam w pana wzroku, że pan mógł się po mnie spodziewać wszystkiego, tylko nie tego - z lekkim uśmiechem ciągnął Stawrogin. - Przepraszam, więc jak to? Pan wiedział, że grozi panu zamach?

242

- Anim myślał o tym. I teraz nawet nie myślę, pomimo pańskich słów... chociaż po tych idiotach można się wszystkiego spodziewać! - krzyknął wściekle, uderzając pięścią w stół. - Nie boję się ich! Zerwałem z nimi. Ten wpada) do mnie cztery razy i mówił, że można zerwać... lecz właściwie... cóż pan wie o tym?

Spojrzał na Stawrogina. Stawrogin odpowiadał mu chłodno, jak człowiek spełniający jedynie swój obowiązek.

- Niech pan się nie obawia. Ja pana nie oszukuję. Pan chce sprawdzić, co ja wiem o tym? Dobrze. Pan wstąpił do stowarzyszenia przed dwoma laty, za granicą, jeszcze za jego starej organizacji, przed samym pana wyjazdem do Ameryki. Zdaje mi się, że było to wkrótce po naszej ostatniej rozmowie, o której pan tak dużo mi pisał z Ameryki. Przy sposobności muszę przeprosić pana, że nie odpisałem, a poprzestałem tylko...

- Na wysłaniu pieniędzy. Niech pan poczeka - przerwał Szatow. Spiesznie wysunął szufladę i wyjął spod papierów tęczy banknot. - Niech pan weźmie te sto rubli, które mi pan wtedy przysłał. Bez nich zginąłbym tam. Nie mógłbym oddać, gdyby nie pańska matka. Dała mi te sto rubli przed dziewięciu miesiącami, po mojej chorobie, aby mi dopomóc w biedzie. A teraz słucham dalej...

Brakło mu już tchu.

- Tak. W Ameryce pan zmienił zapatrywania i po powrocie, w Szwajcarii, chciał się pan wycofać. Nic panu nie odpowiedzieli na to, lecz kazali przewieźć tu, do Rosji, jakąś drukarnię i przechować ją aż do chwili, kiedy zjawi się po nią pewna osoba. Szczegółów nie znam, lecz przecież w głównych zarysach było tak, prawda? Pan zaś, w nadziei, czy też pod warunkiem, że to będzie ostatnie ich żądanie i że pana potem zwolnią, podjął się przywiezienia tej drukarni. Nie wiem na pewno, czy tak było. Wiem o tym nie od nich, lecz z innego źródła, zupełnie przypadkowo. Jest jednak pewna rzecz, o której prawdopodobnie pan nie wie. Ci ludzie nie mają zamiaru rozstawać

się z panem.

- To absurd! - zawołał Szatow. - Powiedziałem uczciwie, że nasze drogi rozchodzą się. Pod każdym względem! To moje prawo, prawo myśli i sumienia... Nie zgodzę się... Nie ma siły, która by mnie do tego zmusiła!

243

- Niech pan nie krzyczy - hamował go Stawrogin z całą powagą. - Ten Wierchowiewski to taki spryciarz, że może teraz nawet nas podsłuchiwać. Może tu, za drzwiami, są jego uszy, własne lub cudze. Nawet pijaczyna Lebiadkin miał tu obowiązek śledzić pana. A może równocześnie pan - jego? Proszę mi lepiej powiedzieć: czy Wierchowiewski zgodził się z pańskimi argumentami?

- Zgodził się. Powiedział, że mogę, że mam prawo...

- Więc on pana oszukuje. Wiem, że nawet Kirilłow, który właściwie wcale do nich nie należy, dostarczył im wiadomości o panu. Mają mnóstwo agentów, nawet takich, którzy nie wiedzą, że służą stowarzyszeniu. Pan był zawsze pod obserwacją. Piotr Wierchowiewski, mówiąc nawiasem, przyjechał tu, aby zlikwidować ostatecznie pańską sprawę, i ma pełnomocnictwa: ma mianowicie prawo zniszczyć pana w odpowiedniej chwili jako człowieka, który wie zbyt dużo i może zdradzić. Powtarzam panu, że tak jest istotnie. Muszę dodać, że ich zdaniem jest pan szpiegiem. Twierdzą, że jeżeli pan nie zdradził dotychczas, to pan to jeszcze zrobi. Czy to prawda?

Szatow wykrzywił usta, usłyszawszy takie pytanie wypowiedziane zupełnie zwykłym głosem.

- Gdybym był szpiegiem, to czym? - rzekł zgryźliwie, nie odpowiadając wprost na pytanie. - Nie, niech pan mi da spokój. Do diabła z moją osobą! - zawołał wracając widocznie do poprzedniej myśli, która poruszyła go znacznie bardziej niż wiadomość o własnym niebezpieczeństwie. - Jak to, pan, Stawrogin, mógł dać się zaprząć do tych bezwstydných, lokajskich bzdurstw! Pan - członkiem stowarzyszenia! I to ma być sukces Mikołaja Stawrogina!

W głosie jego słychać było rozpacz. Aż załamał ręce; zdawało się, że nie może być dla niego nic gorszego i bardziej beznadziejnego niż ta wiadomość.

Stawrogin szczerze się zdziwił.

- Przepraszam pana. Pan, zdaje się, patrzy na mnie jak na jakieś słońce, a na siebie jak na jakąś muchę w porównaniu ze mną. Zauważyłem to nawet w liście pańskim z Ameryki.

- Pan... pan nie wie... - przerwał mu nagle Szatow. - Lecz nie mówmy o mnie. Dajmy temu spokój! Jeżeli pan może, niech mi pan powie o sobie. Niech pan odpowie na moje pytanie!... - dodał gorączkowo.

244

- Z przyjemnością. Pan pyta, jak mogłem trafić do takiej jaskini. Po tym, co panu zakomunikowałem, powinienem nawet być względem pana szczerzy w tej sprawie. Widzi pan, w ścisłym tego słowa znaczeniu nie należałem i nie należę do stowarzyszenia i miałbym większe prawo niż pan porzucić ich, gdyż nie figurowałem na liście członków. Przeciwnie, od samego początku powiedziałem im, że nie nadaję się na ich towarzysza, i jeżeli pomagałem im czasem, to tylko jako człowiek wolny. Uczestniczyłem w pewnej mierze w reorganizacji stowarzyszenia na nowych podstawach, i na tym koniec. Oni jednak opamiętali się i postanowili, że i mnie niebezpiecznie wypuścić z rąk. Zdaje mi się, że także jestem skazany.

- Ach, oni znają tylko karę śmierci, a na to wszystko jest dekret. Na papierze, z pieczęcią. Trzech ludzi na krzyż podpisuje. I pan myśli, że są w stanie wyrok wykonać?

- Po części ma pan rację, po części nie - mówił Stawrogin głosem zupełnie obojętnym, nawet sennym. - Zapewne dużo w tym fantazjowania, jak zawsze w takich okolicznościach. Ta garstka

ludzi wyolbrzymia swą wielkość -i swe znaczenie. Jeżeli o to chodzi, to, moim zdaniem, jest tam jeden tylko Piotr Wierchowieński, który przez uprzejmość jedynie nazywa siebie agentem własnego stowarzyszenia. Zasadnicza ich myśl nie jest głupsza od innych myśli tego rodzaju. Mają pewne kontakty z Internationale, potrafili zorganizować placówki w Rosji, a nawet stosują taktykę dość oryginalną... oczywiście tylko w teorii. A co się tyczy ich tutejszych zamiarów, to przecież rozwój organizacji w Rosji jest sprawą tak niejasną i prawie tak niespodziewaną, że istotnie można dokonywać wszelkich prób. Niech pan nie zapomina, że Wierchowieński jest człowiekiem upartym.

- To pluskwa, nieuk, błazen, który nie ma pojęcia o Rosji! - wołał ze złością Szatow.

- Pan go mało zna. To racja, że oni wszyscy mało wiedzą o Rosji, lecz chyba nie o wiele mniej niż pan i ja. A Wierchowieński jest entuzjastą.

- Wierchowieński - entuzjastą?

- O, tak. Jest taki moment, kiedy przestaje być komediantem, a staje się... półobłąkanym. Niech pan przypomni sobie własne swoje powiedzenie: „Czy wieck, jaka p • • może być jeden człowiek?” Niech pan się nie śmieje.

245

chowieński doskonale potrafi nacisnąć spust. Są przekonani, że i ja jestem szpiegiem. Oni wszyscy, ponieważ nie umieją prowadzić spraw, okropnie lubią oskarżać o szpiegostwo.

- Pan się przecież nie boi?

- N-nie... Nie bardzo... Pańska sprawa przedstawia się ;ednak inaczej. Uprzedziłem pana i proszę mieć to na względzie. Tu, moim zdaniem, trudno się obrażać o to, że niebezpieczeństwo grozi ze strony takich błaznów. Tu nie o ich rozum chodzi. Podnosili rękę nie na takich jak pan i ja. Ale już kwadrans po jedenastej. - Spojrzał na zegarek i wstał. - Chciałem pana zapytać o rzecz zupełnie już inną.

- Na miłość boską! - zawołał Szatow zrywając się z krzesła.

- O co chodzi? - zdziwił się Stawrogin.

- Niech pan pyta, na miłość boską! - zaklinał Szatow, w strasznym podnieceniu. - Ale proszę pamiętać, że i ja potem pana zapytam. Błagam, niech pan pozwoli... Dłużej nie mogę... Słucham pana, słucham!

Stawrogin zastanowił się, wreszcie zaczął:

- Mówiono mi, że miał pan pewien wpływ na Marię Timofiejewnę, że chętnie pana widziała, chętnie słuchała. Czy to prawda?

- Tak .. słuchała... - zmieszał się Szatow.

- Mam zamiar w najbliższych dniach ogłosić publicznie, że jest moją żoną.

- Czy to możliwe? - wyszeptał Szatow w przerażeniu.

- To znaczy, w jakim sensie? Nie ma żadnych przeszkód. Świadkowie ślubu są na miejscu.

Wszystko odbyło się w Petersburgu, w sposób zupełnie legalny i spokojny, a jeżeli o tym dotychczas nikt nie wie, to tylko dlatego, że jedyni świadkowie, Kiriłłow i Piotr Wierchowieński, wreszcie sam Lebiadkin, którego teraz mam przyjemność uważać za powinowatego, dali wtedy słowo, że będą milczeli.

- Ależ nie o to mi chodzi... Pan mówi tak spokojnie... lecz słucham! Przepraszam, pana nikt nie zmuszał wtedy do tego małżeństwa? Prawda?

Stawrogina bawiła zapalczywość Szatowa. Odpowiedział z uśmiechem:

- Nie, nikt mnie siłą nie zmuszał.

246

Szатов znów przerwał, nie mogąc już panować nad sobą:

- A co ona mówi o dziecku?

- Mówi o dziecku? Nie wiedziałem o tym. Słyszę po raz pierwszy. Nie miała dziecka i nie mogła mieć. Maria Timo-fiejewna jest dziewczyną.

- Ach! Byłem tego pewny! Niech pan posłucha!

- Co się z panem dzieje?

Szатов ukrył twarz w dłoniach, odwrócił się, lecz po chwili energicznie chwycił Stawrogina za ramiona.

- Czy pan wie - zaczął krzyżeć - czy pan wie przynajmniej, dlaczego pan to zrobił i dlaczego decyduje się pan teraz na taką karę?

- Pańskie pytanie jest mądre i zjadliwe. Lecz znowu zadziwię pana. Prawie że wiem, dlaczego się ożeniłem i dlaczego decyduję się na „karę”, jak pan to określa.

- Dobrze, zostawmy to... Potem... Niech pan poczeka. Teraz musimy pomówić o najważniejszym. Dwa lata czekałem na pana.

- Tak?

- Już dawno czekam na pana. Myślałem o panu bez przerwy. Jest pan jedynym człowiekiem, który mógłby... A zresztą pisałem o tym do pana jeszcze z Ameryki.

- Doskonale pamiętam pański długi list.

- Zbyt długi, aby go przeczytać? Zgoda. Sześć arkuszy. Niech pan nic nie mówi! Czy pan może poświęcić mi jeszcze dziesięć minut, ale teraz, zaraz... Zbyt długo czekałem na pana!

- Dobrze, daję panu pół godziny, lecz nie więcej, o ile to możliwe.

- Pod tym jednak warunkiem - wołał Szатов z furią w głosie - że pan zmieni ton! Słyszysz pan, żądam, chociaż powinienem błagać... Czy pan rozumie, co to znaczy żądać, gdy się powinno błagać?

- Rozumiem. To znaczy, że pan w imię wyższego celu wynosi się ponad powszedniość - z ledwo dostrzegalnym uśmiechem powiedział Stawrogin. - Przykro mi, że pan jest taki rozgorączkowany...

- Proszę o szacunek dla mnie, żądani! - krzychał Szатов. - Nie dla mojej osoby, do diabła z nią! Dla czegoś innego, tylko na tę chwilę, dla tych kilku słów... Jesteśmy

247

jak dwie istoty, które spotkały się w nieskończoności... po raz ostatni w świecie. Niech pan porzuci swój ton i przyjmie ton ludzki! Niech pan raz jeden w życiu odezwie się ludzkim głosem! Nie dla siebie o to proszę, dla pana samego. Czy pan rozumie, że pan powinien przebaczyć mi ten policzek? Przecież dałem panu sposobność wypróbować, jaką ma pan bezgraniczną siłę... Znowu widzę na twarzy pańskiej ten wzgardliwy, salonowy uśmiech! O, kiedyż mnie pan zrozumie! Precz z tą miną paniczka. Niechże pan zrozumie: żądam tego, żądam, inaczej bowiem nie będę mówić, za nic nie będę! Podniecenie jego dochodziło do szaleństwa. Stawrogin sposepniał, stał się jakby ostrożniejszy.

- Jeżeli już zostałem na pół godziny - rzekł poważnie i przekonująco - chociaż istotnie bardzo się spieszę, niech mi pan wierzy, że będę słuchał co najmniej z zainteresowaniem... i jestem pewien, że posłyszę od pana dużo nowych rzeczy.

Usiadł na krześle.

- Niech pan siada! - zawołał Szatow i jakoś nagle sam usiadł.

- Przypominam jednak panu - raz jeszcze próbował Stawrogin - że miałem do pana prośbę w sprawie Marii Timofiejewny, w sprawie dla niej przynajmniej bardzo ważnej...

- No? - zachmurzył się Szatow, z miną człowieka, któremu przerwano w najważniejszej chwili i który, choć patrzy na mówiącego, nie rozumie pytania.

- A pan nie dał mi skończyć - dodał Stawrogin z uśmiechem.

Szatow lekceważąco machnął ręką, zrozumiałwszy wreszcie żądanie Stawrogina.

- To głupstwo! Później!

I przeszedł od razu do swojego głównego tematu.

VII

Pochylił się naprzód w krześle, błysnął wzrokiem, podniósł do góry jeden palec prawej ręki, prawdopodobnie nie wiedząc nawet o tym, i zaczął groźnie:

248

- Czy pan wie, jaki dziś naród, jedyny na świecie „noszący Boga w sobie”, ma odnowić i zbawić świat w imię nowego Boga? Jedyny, któremu dane są klucze życia i nowego słowa? Czy pan wie, jaki to naród, jak się nazywa?

- Z pańskiego sposobu mówienia powinienem chyba wywnioskować, i to jak najprędzej, że to naród rosyjski...

- Pan się śmieje! O, ludzie! - wybuchnął już Szatow.

- Proszę pana, niech pan się uspokoi. Przeciwnie, spodziewałem się czegoś w tym rodzaju.

- Spodziewał się pan? A pan sam nie zna tych słów?

- Znam doskonale. Wiem dobrze, do czego pan dąży. Całe zdanie pańskie i nawet określenie „naród mający w sobie Boga” jest tylko zakończeniem naszej rozmowy sprzed dwóch lat, za granicą, przed pańskim wyjazdem do Ameryki... Przynajmniej o ile mogę sobie przypomnieć.

- Jest to dosłownie pańskie zdanie, nie moje. Pana własne, a wcale nie zakończenie rozmowy. Żadnej „naszej” rozmowy wtedy nie było. Był mistrz, który objawiał wielkie prawdy, i był uczeń, który powstawał z martwych. Ja byłem tym uczniem, pan - tym mistrzem.

- Jeżeli jednak nie mylę się, pan właśnie po moich słowach wstąpił do tamtego stowarzyszenia, a potem dopiero pojechał do Ameryki.

- Tak, pisałem panu o tym z Ameryki. Pisałem panu o wszystkim. Tak, nie mogłem wtedy oderwać się od tego, do czego przyrosłem w dzieciństwie, czemu oddałem wszystkie uniesienia i wszystkie łyzy mej nienawiści... Trudno zmieniać bogów. Nie uwierzyłem panu wtedy, gdyż nie chciałem uwierzyć, i uczepiłem się po raz ostatni tej kloaki... Ale rzucone przez pana ziarno kiełkowało. Niech mi pan powie zupełnie poważnie: czy pan doczytał tamten mój list z Ameryki do końca? Może nie czytał pan wcale?

- Przeczytałem trzy strony, dwie pierwsze i ostatnią, i przebiegłem wzrokiem pozostałe. Stale zresztą miałem zamiar...

- E, wszystko jedno, do diabła z tym! - machnął ręką Szatow. - Jeżeli pan zaparł się teraz tamtych słów o naszym narodzie, to jak pan śmiał wymawiać je wtedy?... Oto co mnie teraz gnębi.

- Nie żartowałem z pana i wtenczas. Przekonując pana,

może myślałem więcej o sobie niż o panu - tajemniczo powiedział Stawrogin.

- Pan nie żartował! Leżałem w Ameryce przez trzy miesiące na słomie obok pewnego... biedaka i dowiedziałem się od niego, że w tym samym czasie, może tego samego dnia, kiedy utwierdził pan w moim sercu miłość Boga i ojczyzny, pan zaszczepił truciznę w sercu tego nieszczęśnika, tego maniaka Kiriłłowa... Pan utwierdzał w nim kłamstwo i fałsz i doprowadził do nienormalnego stanu jego umysł... Niech pan pójdzie, niech pan spojrzy na niego! To pański twór! Zresztą pan już widział...

- Przede wszystkim muszę zwrócić uwagę pana na następującą okoliczność: Kiriłłow właśnie przed chwilą sam mi wyznał, że jest szczęśliwy i szlachetny. Przypuszczenie pańskie, że wszystko to odbywało się prawie w tym samym czasie, jest nawet słuszne. Lecz cóż z tego wynika? Nie oszukiwałem ani pana, ani jego.

- Pan jest ateistą? Teraz - ateistą?

- Tak.

- A wtedy?

- Tak samo jak wtedy.

- Prosiłem pana o szacunek nie dla mnie, gdym rozpoczynał rozmowę. Przy pańskim rozumie mógłby pan to pojąć - mruknął oburzony Szatow.

- Nie wstałem po pierwszych pańskich słowach, nie przerwałem rozmowy, nie wyszedłem, lecz wciąż siedzę i spokojnie odpowiadam na pańskie pytania i... krzyki. To świadczy aż nadto, że nie straciłem dla pana szacunku.

Szatow machnął ręką i zawołał:

- Czy pan pamięta swoje zdanie: „ateista nie może być Rosjaninem”, „ateista natychmiast przestaje być Rosjaninem” - pan to pamięta?

- Tak? - w głosie Stawrogina było jak gdyby pytanie.

- Pan pyta? Pan zapomniał? A jednak jest to najściślejsze określenie jednej z głównych cech duszy rosyjskiej, którą pan odgadł. Pan nie mógł tego zapomnieć! Przypomnę panu więcej. Pan powiedział wtedy: „Nieprawosławny nie może być Rosjaninem.”

- Uważam, że to myśl słowianofiłska.

- Nie, dzisiejsze słowianofilstwo zapało się jej. Dziś

250

ludzie zmartwychwstali. Pan posuwał się jeszcze dalej. Pan mówił, że rzymski katolicyzm nie jest już chrześcijaństwem. Pan twierdził, że Rzym proklamował Chrystusa, który poddał się trzeciemu kuszeniu szatana. Oznajmiwszy całemu światu, że Chrystus nie może utrwalić swego bytu na ziemi bez królestwa ziemskiego, katolicyzm uroczyście proklamował Antychrysta i przez to zgubił cały świat zachodni. Pan właśnie dowodził, że Francja męczy się teraz tylko z winy katolicyzmu, gdyż wyrzekła się śmierdzącego rzymskiego boga, lecz nie stworzyła nowego.¹³ Tak właśnie mówił pan wtedy! Pamiętam dobrze nasze rozmowy.

- Gdybym wierzył w Boga, mówiłbym dziś niewątpliwie to samo. Nie kłamałem mówiąc jak człowiek wierzący. - Stawrogin powiedział to bardzo poważnie. - Lecz przyznam się panu, że to powtarzanie moich dawnych myśli sprawia na mnie zbyt przykre wrażenie. Czy nie mógłby pan tego zaprzestać ?

- Gdyby pan wierzył?! - zawołał Szatow nie zwracając najmniejszej uwagi na prośbę. - Lecz to pan przecież mówił mi wtedy, że gdyby panu dowiedziono matematycznie, iż prawda jest poza Chrystusem, pan wolałby raczej zostać z Chrystusem niż z prawdą!¹⁴ Pan to mówił! Może pan

zaprzeczy ?

Stawrogin podniósł głos.

- Przepraszam pana! Może mi pan zechce w końcu wytłumaczyć: do czego prowadzi ten niecierpliwy i... złowrogi egzamin?

- Ten egzamin będzie miał swój koniec i już nigdy nie przypomni się panu.

- Pan wciąż podkreśla, że jesteśmy teraz poza czasem i przestrzenią.

- Niech pan zamilknie! - znów zaczął krzyżeć Szatow. - Jestem głupi i niezgrabny, niech więc utonę w śmieszności! Ale niech mi pan pozwoli powtórzyć teraz główną ówczesną myśl pańską... O, tylko dziesięć wierszy, jedno twierdzenie.

- Jeżeli tylko jedno, proszę, niech pan powtórzy... Stawrogin zrobił ruch, jak gdyby chciał spojrzeć na zegarek, lecz powstrzymał się i nie spojrział.

Szatow znów pochylił się do przodu i znów na chwilę pod-

251

niósł palec do góry. Zaczął mówić, jak gdyby czytając z książki, a cały czas groźnie patrzył na Stawrogina:

- Żaden naród nie organizował się dotychczas na podstawach rozumu i wiedzy. Nie było jeszcze przykładu. Chyba na chwilę przez naiwność. Socjalizm z istoty swojej musi być ateistyczny, gdyż od początku głosi, że jest doktryną ateistyczną i zamierza budować wyłącznie na podstawie rozumu i wiedzy. W życiu narodów zawsze, teraz i od stworzenia świata, rozum i wiedza odgrywały rolę drugorzędną i pomocniczą. I tak będzie aż do końca świata. Narody powstają i rozwijają się dzięki innej sile, wszechwładnej, rozkazującej, której źródła są nieznane i niepojęte. Siła ta polega na nienasyconym pragnieniu, aby dojść do końca, a jednocześnie zaprzecza końcowi. Jest to siła nieprzerwanego, nieustannego potwierdzania bytu i zaprzeczania śmierci. Duch życia, jak mówi Pismo święte, to „rzeka wody życia”,¹⁵ których wyschnięcie zapowiada Apokalipsa. Pierwiastek estetyczny, jak mówią filozofowie, to pierwiastek moralny i ich zdaniem znaczy to samo. To „poszukiwanie Boga”, jak ja to nazywam najprościej. Celem życia narodowego, w każdym narodzie i w każdym okresie jego rozwoju, jest jedynie poszukiwanie Boga, swojego Boga, koniecznie własnego, i wiara w tego Boga jako jedyne prawdziwego. Bóg jest syntezą narodu, wziętego od początku do końca. Nigdy tak nie było, aby wszystkie lub niektóre narody miały wspólnego Boga, każdy naród miał własnego. Gdy bogi stają się wspólne, jest to oznaka unicestwienia narodów. Kiedy bogi stają się wspólne, wówczas umierają i bogi, i wiara w nie, razem z narodami. Im silniejszy jest naród, tym odrębniejszy jest Bóg. Nigdy dotychczas nie istniał naród bez religii, czyli bez pojęcia dobra i zła. Każdy naród ma własne pojęcie o dobrem i złem, i swoje własne dobro i zło. Gdy wśród wielu narodów stają się wspólne pojęcia dobra i zła, wtedy narody wygasają i wtedy zaczyna się zacierać i znikać różnica pomiędzy dobrem i złem. Nigdy rozum nie był w stanie określić dobra i zła ani odróżnić ich, nawet w przybliżeniu. Przeciwnie, zawsze plątał je bezwstydnie i żałośnie. Nauka rozstrzygała rzeczy siłą pięści. Wyróżniała się tu zwłaszcza półwiedza, najgorszy bicz ludzkości, straszniejszy od moru, głodu i wojny, nieznany aż do naszego stulecia. Półwiedza jest tyranem, jakiego jeszcze nigdy dotychczas nie znano. Ty-

252

ranem, który ma swoich kapłanów i niewolników, przed którym korzą się wszyscy z miłością i przesadnym strachem, nie znanym dotychczas, przed którym drży nawet sama wiedza, bezwstydnie potakująca półwiedzy. To wszystko są pańskie własne słowa, panie Stawrogin! Oprócz tych ostatnich słów o półwiedzy. Te są moje, gdyż sam mam tylko półwiedzę, więc nienawidzę jej

najbardziej. W niczym nie zmieniłem pańskich myśli ani nawet słów. Ani jednego słowa.

- Sądzę jednak, że pan zmienił - ostrożnie zauważył Stawrogin. - Pan przyjął je żarliwie i żarliwie przekształcił nie zauważywszy tego nawet. Już to jedno, że pan zniża Boga do rzędu zwykłego atrybutu narodowego...

Zaczął pilnie i niezwykle uważnie obserwować Szatowa zwracając uwagę nie tyle na jego słowa, ile na niego samego.

- Zniżam Boga do rzędu zwykłego atrybutu narodowego? - zawołał Szatow. - Przeciwnie! Podnoszę naród do Boga! Czy było kiedykolwiek inaczej? Naród jest ciałem Bożym. Każdy naród dopóty jest narodem, dopóki ma własnego wyłącznego Boga, a innych bogów odrzuca bez żadnego miłosierdzia, dopóki wierzy, że swoim Bogiem zwycięży i wyprze ze świata obcych bogów. Tak wierzyli wszyscy od wieków, tak wierzyły wszystkie wielkie narody, przynajmniej wszystkie te, które wyróżniały się czymkolwiek, które przodowały ludzkości. Z faktami trzeba się liczyć. Żydzi żyli dlatego, żeby się doczekać prawdziwego Boga, i dali światu prawdziwego Boga. Grecy ubóstwiali przyrodę i przekazywali ludzkości w testamencie swoją religię, czyli filozofię i sztukę. Rzym ubóstwiał naród w państwie i przekazał światu państwo. Francja przez długie swoje dzieje była wcieleniem i rozwojem idei rzymskiego boga, a jeśli straciła obecnie w otchłań swojego rzymskiego boga i rzuciła się w objęcia ateizmu, który nazywa się na razie u nich socjalizmem, to tylko dlatego, że ateizm pomimo wszystko jest zdrowszy od rzymskiego katolicyzmu.¹⁶ Gdy wielki naród nie wierzy, że w nim jednym jest prawda (właśnie w nim i właśnie wyłącznie), gdy nie wierzy, że on jeden może wszystkich wskrzесиć i zbawić swoją prawdą, gdy nie wierzy, że jest do tego powołany - przestaje natychmiast być wielkim narodem, staje się jedynie materiałem etnograficznym. Naród rzeczywiście wielki nie poprzestaje nigdy na drugorzędnej roli w ludzkości, nawet na pierwszorzędnej, chce

253

być koniecznie jedynym. Gdy straci w to wiarę, już nie jest narodem. Lecz prawda jest jedna, więc tylko jeden naród może mieć prawdziwego Boga, chociażby inne narody miały własnych, wielkich bogów. Jedyne naród „mający w sobie Boga” - to naród rosyjski. Czy pan rzeczywiście, panie Stawrogin - krzyczał zapamiętałe Szatow - ma mnie za takiego głupca, który nie rozumie, że słowa jego są albo starymi, zgniłymi otrębami, mielonymi we wszystkich moskiewskich słowianofilskich młynach, albo całkowicie nowym słowem, jedynym, ostatnim słowem odrodzenia i zmartwychwstania?... Co mi do tego, że pan się śmieje w tej chwili! Co mi z tego, że pan mnie nie rozumie zupełnie, zupełnie, ani słowa, ani dźwięku! Ach, jakże pogardzam w tej chwili pańskim dumnym uśmiechem i spojrzeniem!!

Zerwał się. Miał pianę na ustach.

- Przeciwnie, przeciwnie - odezwał się Stawrogin nie wstając z krzesła. Mówił niesłuchanie poważnie i powściągliwie. - Swymi gorącymi słowami pan wskrzесиł we mnie wiele nadzwyczaj silnych wspomnień. W słowach pańskich poznaję swój nastrój sprzed dwóch lat i już nie powiem teraz, jak przed chwilą, że pan wyolbrzymił moje myśli. Sądzę nawet, że były one jeszcze bardziej wyłączne, bardziej despotyczne. Zapewniam pana po raz trzeci, że chciałbym bardzo, abym mógł potwierdzić to wszystko, do ostatniego słowa, lecz...

- Potrzeba panu zająca?

- Co-o-o?

Szatow zaśmiał się zjadliwie, siadając znów na krześle.

- To pański nędzny frazes. „Aby zrobić pieczeń z zająca - trzeba mieć zająca; aby uwierzyć w Boga - trzeba, aby Bóg był.” Pan podobno wciąż to powtarzał w Petersburgu, jak Gogoiowski Nozdriew,¹⁷ który chciał złapać zająca za tylne łapy.

- Nie, tamten właśnie przechwalał się, że już złapał. Pozwoli pan jednak, że zwrócę się do pana z zapytaniem, zwłaszcza że mam chyba do tego prawo. Niech mi pan powie: czy pan już złapał swojego zająca, czy może on jeszcze biega?

Szatow zaczął się trząść.

- Pan nie śmie pytać takimi słowami, niech pan zapyta inaczej!

254

- Dobrze, użyję innych słów - surowo odpowiedział Stawrogin. - Chodziło mi o to, czy pan sam wierzy w Boga.

- Wierzę w Rosję i wierzę w jej prawosławie... Wierzę w ciało Chrystusowe... Wierzę, że Chrystus powtórnie zstąpi na ziemię w Rosji... Wierzę... - krzyczał zapamiętale.

- Lecz w Boga? W Boga?

- Będę... będę wierzył w Boga.

Na twarzy Stawrogina nie drgnął ani jeden mięsień. Szatow patrzył na niego wyzywająco, jak gdyby chciał go spalić spojrzeniem. Wreszcie zawołał:

- Przecież nie powiedziałem panu, że wcale nie wierzę! Mówię tylko, że jestem marną, nudną księgą, i na razie nic więcej, tak, na razie... Ale ja mogę zginąć! Nie o mnie chodzi, lecz o pana! Jestem człowiekiem bez talentu, mogę tylko złożyć własną krew w ofierze, nic więcej, jak każdy człowiek bez talentu. Niech ginie moja krew! O panu mówię. Dwa lata czekałem tu na pana. Już pół godziny tańczę przed panem obnażony. Pan, pan jeden mógłby ująć i wnieść ten sztandar!

Nie mógł dokończyć. Jakby w rozpacz, oparł się łokciami o stół i ukrył twarz w dłoniach.

- Muszę tylko zwrócić panu uwagę na jedną dziwną rzecz - przerwał mu nagle Stawrogin. - Dlaczego to wszyscy narzucają mi jakiś sztandar? Piotr Wierchowieński jest także przekonany, że mógłbym wnieść ich sztandar. Powtarzano mi w ten sposób jego słowa. Utkwiła mu w głowie myśl, że mógłbym u nich odegrać rolę nowego Stieńki Razina¹⁸ „dzięki niezwykłym kwalifikacjom na zbrodniarza” - to także jego słowa. „

- Jak? - zapytał Szatow - „dzięki niezwykłym kwalifikacjom na zbrodniarza”?

- Dosłownie tak.

- Hm... A czy to prawda, że pan należał w Petersburgu do tajnego, bydłęcego stowarzyszenia, gdzie uprawiano najgorszą rozpustę? Czy to prawda, że sam markiz de Sade¹⁹ mógłby się wielu rzeczy od pana nauczyć? Czy to prawda, że zwabiał pan tam i deprawował dzieci? Niech pan mówi, niech pan nie waży się kłamać! - krzyczał w pasji. - Mikołaj Stawrogin nie może kłamać przed Szatowem, który bił go po twarzy! Niech pan mówi, i jeżeli to prawda, to zabiję pana natychmiast, w tej chwili!

255

- Mówiłem wiele takich rzeczy, lecz dzieci nie ja krzywdziłem - rzekł Stawrogin, ale dopiero po dość długiej chwili milczenia. Zbladł, a oczy mu zabłyśły.

- Ale pan mówi! - z naciskiem ciągnął Szatow nie odrywając od niego iskrzących się oczu. - Podobno pan mówił, że nie widzi pan różnicy między pięknem jakiegokolwiek zwierzęcego wybryku zmysłowego a bohaterским czynem, nawet ofiarą z życia na ołtarzu ludzkości! Więc to prawda? Podobno na obu tych biegunach dopatrzył się pan wspólnego piękna, jednakowej rozkoszy?

- Na takie pytania nie można odpowiadać... nie chcę odpowiadać - odezwał się Stawrogin, który mógłby doskonale wstać i wyjść, lecz nie wstawał i nie wychodził.

Szatow, wciąż drżąc na całym ciele, nie ustępował.

- Ja także nie wiem, dlaczego zło jest brzydkie, a dobro piękne, lecz wiem dobrze, dlaczego poczucie tej różnicy zaciera się i traci u takich ludzi jak Stawroginowie! Pan wie, dlaczego pan się wtedy ożenił tak hańbiące i nikczemnie? Dlatego tylko, że w tym wypadku hańba i nikczemność doszły do genialności. O, pan nie posuwa się po krawędzi, pan śmiało leci głową w dół. Pan się ożenił przez pasję samoudręki, przez namiętność do wyrzutów sumienia, przez perwersję moralną! To było nerwowe załamanie się... Zbyt nęcące było takie wyzwanie rzucone zdrowemu rozsądkowi! Stawrogin - i wstrętna, zidiociała, uboga kuternoga! Czy pan odczuwał rozkosz gryząc gubernatora w ucho? Odczuwał pan? Prawda, roz-próżniaczony, wałęsający się paniczyku, że pan odczuwał?

Stawrogin bladł coraz bardziej.

- Pan jest psychologiem, lecz niezupełnie odgadł pan przyczynę mego małżeństwa... - Zmusił się do uśmiechu. - Któż jednak mógł panu udzielić tych wszystkich informacji? Czyżby Kiryłow? Przecież on nie brał w niczym udziału.

- Pan błędnie?

- I czegoż pan chce ode mnie? - podniósł wreszcie głos Stawrogin. - Już pół godziny siedzę tu pod pańskim biczem. Mógłby pan przynajmniej uprzejmie rozstać się ze mną... o ile pan nie ma jakiegoś rozsądnego celu, postępując ze mną w ten sposób.

- Rozsądnego celu?

- Niewątpliwie. Pana obowiązkiem było w każdym razie

256
wyjaśnić mi ten cel. Oczekiwałem wciąż, że pan to zrobi, lecz widzę tylko pasję i złość. Niech mi pan otworzy bramę. Wstał. Szatow podbiegł z wściekłością do niego.

- Niech pan całuje ziemię! - zaczął krzyczeć chwytając go za ramię. - Niech pan łzami ją skropi! Niech pan błaga o przebaczenie!

- Jednakże... ja... w tamtą niedzielę... nie zabiłem pana, lecz cofnąłem obie ręce - odrzekł Stawrogin prawie z bólem. Oczy miał spuszczone.

- Niech pan powie do końca, do końca! Pan przyszedł, aby mnie uprzedzić o niebezpieczeństwie, pozwolił mi mówić, pan jutro chce obwieścić publicznie swój ślub? Czyż nie widzę z pańskiej twarzy, że w panu narasta jakaś nowa groźna myśl? Dlaczego skazany jestem na to, aby wierzyć w pana po wieki wieczne? Czyż mógłbym tak mówić z kim innym? Mam poczucie wstydu, lecz nie wstydziłem się własnej nagości, gdyż słuchał mnie Stawrogin. Nie bałem się swoim dotknięciem zniekształcić wielką myśl, gdyż słuchał tego Stawrogin... Czyż nie będą całował śladów pańskich stóp, gdy pan wyjdzie? Nie mogę wyrwać pana z mego serca, Mikołaju Stawroginie!...

- Przykro mi, że nie mogę lubić pana - odpowiedział mu chłodno Stawrogin.

- Wiem, że pan nie może, i wiem, że pan nie kłamie. Niech pan słucha. Ja naprawię wszystko. Zdobędę panu zająca!

Stawrogin milczał.

- Pan jest ateistą, bo z pana jest paniczyk, ostatni pa-nicznyk. Pan zatracił zdolność rozróżniania dobra i zła, gdyż nie poznaje pan już własnego narodu. Idzie nowe pokolenie, wprost z łona ludu, lecz nie poznacie się na nim, ani pan, ani Wierchowieniecy, ojciec i syn. Ani ja nawet, bo także jestem paniczyk - ja, syn lokaja, poddanego pańskiego, lokaja Paszki... Niech pan słucha! Niech pan zdobędzie Boga pracą. Na tym wszystko polega. Inaczej zginie pan bez śladu, jak marna pleśń. Pracą trzeba zdobyć Boga.

- Boga pracą? Jaką?

- Proszą, chłopską. Trzeba porzucić bogactwo... Ach, pan się śmieje, pan się obawia, że wyjdzie z tego nowa sztuczka? Ale Stawrogin się nie śmiał.

- Pan myśli, że Boga można zdobyć pracą i to właśnie

257

chłopską? - powtórzył w zamyśleniu, jak gdyby istotnie spotkał się z myślą nową i poważną, nad którą warto było się zastanowić. Natychmiast jednak przeszedł do innej myśli. - Ach, pan mi właśnie przypomniał. Czy pan wie, że wcale nie jestem bogaty, nie mam więc nic do porzucania? Prawie nie jestem w stanie zabezpieczyć przyszłości Marii Timofiejew-nie... I jeszcze jedno. Przyszedłem prosić pana, o ile to możliwe, żeby nie opuszczał pan i nadal Marii Timofiejewny, gdyż pan jeden może mieć pewien wpływ na jej nieszczęśliwy umysł. Mówię to na wszelki wypadek.

- Dobrze, dobrze - odparł Szatow machnąwszy ręką; trzymał w drugiej zapaloną świecę. - Dobrze, to się później samo ułoży... Wie pan co, niech pan idzie do Tichona.²⁰

- Do kogo?

- Do Tichona. To były archijerej. Teraz, z powodu choroby, wypoczywa tu, za miastem, w Spaso-Jefimiewskim monasterze Matki Boskiej.²¹

- Co to znaczy?

- Nic. Chodzą do niego i jeżdżą. Co to panu szkodzi? Niech pan pójdzie. Cóż to panu szkodzi?

- Słyszę o nim po raz pierwszy... i nigdy nie widywałem ludzi w tym rodzaju. Dobrze, pójdę.

- Niech pan idzie tędy - rzekł Szatow oświetlając schody. Pchnął furtkę prowadzącą na ulicę.

- Nie przyjdę więcej do pana - cicho powiedział Stawrogin wychodząc.

Na ulicy było wciąż ciemno i jak przedtem padał deszcz.

ROZDZIAŁ DRUGI

NOC (ciąg dalszy)

I

Stawrogin przeszedł całą Bogojawleńską. Droga poszła w dół, nogi grzęzły w błocie i otworzyła się szeroka, mglista, jak gdyby pusta przestrzeń. Była to rzeka. Zamiast domów stały tu chałupy, a ulica ginęła w mnóstwie nieregularnych zaułków. Stawrogin długo szedł wśród płotów, nie oddalając się od brzegu i doskonale orientując się w kierunku. Nawet wiele o tym nie myślał. Myślał natomiast o czymś innym i obejrzał się nawet ze zdziwieniem, gdy ocknąwszy się z zadumy zauważył, że jest już na środku długiego, mokrego mostu. Było tu tak pusto, że aż dziwnym się wydało, gdy zniemacka tuż obok rozległ się uprzejmie poufały, nawet dość przyjemny głos, z tym słodko skandowanym akcentem, jakim popisują się u nas zbyt kulturalni mieszczaństwo lub młodzi, ufryzowani subiekci z hal targowych.

- Czy wolno mi będzie, szanowny dobrodzieju, skorzystać razem z panem z pańskiego parasola?

Istotnie jakaś postać wlaźła pod jego parasol lub raczej tylko udała, że wlaźła. Włóczęga szedł obok Stawrogina, prawie „wyczuwając go łokciem”, jak powiadają nasi żołnierze. Zwolniwszy kroku Stawrogin schylił się, aby się przyjrzeć, tak jak na to pozwalały ciemności. Zobaczył człowieka niewielkiego wzrostu, wyglądającego na podpitego mieszcza; ubrany był ubogo i nie dość ciepło; na kędzierzawej, rozczochranej głowie sterczała mokra sukienna czapka z naderwanym

daszkciem. Wydawało się, że to ciemny brunet, szczupły, smagły. Oczy miał duże, na pewno czarne, bardzo błyszczące,

17* 259

o żółtawym odcieniu, jak Cygan. Nawet po ciemku można się było tego domyślić. Miał prawdopodobnie około czterdziestu lat i nie był pijany.

- Znasz mnie? - zapytał Stawrogin.

- A jakże! Pan Stawrogin, Mikołaj Wsiewołodowicz. Już mi pana pokazywano, tam na dworcu, jak tylko zatrzymał się pociąg, w zaprzieszłą niedzielę. A nasłuchałem się i przedtem.

- Od Piotra Stiepanowicza? To... ty jesteś Fiedka Ka-torżny P1

- Dano mi na chrzcie świętym Fiodor. Do dziś dnia mam w tych stronach rodzone matczyisko, staruszczkę. Do ziemi się chyli, a dzień i noc pacierze odmawia za mnie, żeby leżąc na piecu czasu darmo nie tracić.

- Uciekłeś z katorgi?

- Los tylko odmieniłem. Wyczyściłem wszystkie moje sprawy, bo zasądzono mnie na katorgę, a to by za długo trwało.

- Co ty tu robisz?

- A tak: dzień, noc minie - doba przepłynie. Dziadzio mój w zeszłym tygodniu zakończył żywot tu, w ciemnicy, za fałszywe pieniądze, to ja, płacząc po nim, kopę kamieni zamiast jałmużny psom rzuciłem. To i cała moja robota. A do tego Piotr Stiepanowicz obiecuje, że da paszport na całą Rosję, że nawet prawdziwy, kupiecki paszport, to i czekam jego zmiłowania. „Mój rodzic, powiada, przegrał ciebie w karty w klubie angielskim, a ja, powiada, uważam to za niesprawiedliwe i nieludzkie.” Wielmożny pan też mógłby ofiarować trzy ruble na rozgrzewkę.

- Widzę, że czatowałeś tu na mnie. Ja tego nie lubię. Kto ci kazał?

- Żeby kazał, to nikt. Ja tylko tak, że znam litościwe serce wielmożnego pana, wszystkim wiadome... Jakież moje dochody? Albo siana snop, albo widły w bok. Tom się w piątek najadł pieroga, ile zje mydła nieboga, i od tego czasu dzień pościłem, na drugi nie jadłem, a na trzeci poczekałem. A wody w rzece wiele chcąc, to w brzuchu zaczęły pływać karasie... Czy nie spłynie co z łaski wielmożnego pana? Bo tu akurat kuma niedaleko czeka, ale do niej bez rubelków ani przystęp.

- Cóż ci obiecał ode mnie Piotr Stiepanowicz?

- Nie obiecał, a tylko tak mówił, że mogę się chyba przy-

260

dać wielmożnemu panu, jak nadejdzie stosowny czas. A co robić, to dokładnie nie objaśnił, bo Piotr Stiepanowicz uczy mnie cierpliwości kozackiej i nie ma do mnie nijakiego przekonania.

- Dlaczegoż to?

- Bo Piotr Stiepanowicz - astronomik i wszystkie planety boże poznał, ale i jego też ludzie osądzają. Ja przed wielmożnym panem jak przed Panem Bogiem, bo o wielmożnym panu wielem słyszał. Piotr Stiepanowicz to jedno, a wielmożny pan - drugie. U tamtego jak powiedziano o człowieku: zbój - to już oprócz zbója nic nie widzi. A jak powiedziano: dureń - to już tylko od durniów wymyśla. A ja może we wtorki i we środy dureń, a we czwartki lepszy od niego rozum mam. On teraz wie o mnie, że jestem w paszportowej potrzebie, bo jakże w Rosji bez dokumentu - to już myśli, że duszę moją zabrał. Piotrowi Stiepanowiczowi, wielmożny panie, to bardzo lekko żyć na świecie, bo jak sobie człowieka umyśli, tak go i widzi. A do tego strasznie skąpy na

pieniądze. Ot, przywidział sobie, że ja bez niego nie śmiem podejść do wielmożnego pana, a ja tutaj jak przed Panem Bogiem mówię - ja już czwartą noc czekam wielmożnego pana na tym moście, w tej sprawie, bo i bez niego mogę swoją pokorną stopą znaleźć własną ścieżkę. Już lepiej, myślę, pokłonię się przed butem niż przed łapciem.

- Kto ci powiedział, że będę w nocy szedł przez most?

- A to już, przyznam się, skądinąd do mnie doszło, najwięcej z głupoty kapitana Lebiadkina, bo on nijak nie może języka powstrzymać... Te trzy ruble należą się od wielmożnego pana za trzy dni i trzy noce, za moją mitręgę. A że ubranie przemokło, to już milczę, bo i tak moja krzywda.

- Tobie na prawo, a mnie na lewo. No, most przeszliśmy. Słuchaj, Fiodor. Lubię, aby moje słowo było zrozumiane raz na zawsze: nie dam ci ani grosza. I żebym się w przyszłości nigdzie na ciebie nie natknął. Nie jesteś mi potrzebny i nie będziesz. Jeżeli nie posłuchasz - zwiążę cię i oddam policji. Marsz!

- E-ech, za kompanię mógłby przynajmniej wielmożny pan dać co nieco. Iść było raźniej.

- Wynoś się!

- Toż i drogi nie zna wielmożny pan! Tu zaczną się

261

teraz kręte uliczki... a ja mogę poprowadzić, bo miasto tutejsze to niby diabeł na wozie wiózł i przewrócił wóz. Stawrogin odwrócił się groźnie.

- No, bo zwiążę!

- Niech wielmożny pan sam rozsądzi: czy to tak trudno skrzywdzić sierotę?

- Aleś ty pewny siebie!

- Nie siebie, a wielmożnego pana. Siebie nie bardzo.

- Powiedziałem już, że mi wcale nie jesteś potrzebny!

- Ale ja nie mogę bez wielmożnego pana, w tym cała rzecz! I poczekam tutaj. W powrotnej drodze ośmielę się, niech już tak będzie.

- Daję ci słowo: jak spotkam - zwiążę!

- Ja i pasek przygotuję do związania. Szczęśliwej drogi, wielmożny panie! A już do grobu wdzięczny będę, że wielmożny pan pod własnym parasolem przecie ogrzał sierotę.

Odczepił się. Mikołaj Wsiewołodowicz dobrnął do celu zafrasowany. Ten człowiek, który spadł jak z nieba, był przekonany, że może się przydać, i zbyt zuchwale starał się to zaznaczyć. W ogóle przestano się z nim liczyć. Może jednak ten włóczęga nie kłamał i narzucał swoje usługi od siebie, właśnie w sekrecie przed Piotrem Wierchowieńskim. To by już było najciekawsze.

II

Dom, do którego podszedł Mikołaj Wsiewołodowicz, stał w pustej uliczce, wśród płotów, za którymi ciągnęły się ogrody warzywne, literalnie na samym końcu miasta. Był to niewielki drewniany domek, stojący całkiem na uboczu, tylko co zbudowany i jeszcze nie oszalowany. Okiennice w jednym z okien były umyślnie otwarte, a w oknie stała świeca, zapewne jako sygnał dla oczekiwanego dziś nocnego gościa. Zbliżywszy się na trzydzieści kroków, Stawrogin zauważył na ganku postać wysokiego mężczyzny, widocznie gospodarza, niecierpliwie wyczekującego na ulicę.

- To pan? Pan? - rozległ się wreszcie jego głos, niespokojny i jakby lękliwy.

262

- Ja - odezwał się Stawrogin wtedy dopiero, gdy podszedł do ganku; powoli zamknął parasol.

- Nareszcie! - zawołał gospodarz; podreptał, zakręcił się w miejscu. Był to kapitan Lebiadkin. - Proszę mi dać parasol. Tak mokro; rozstawię go tu w kątku na podłodze. Proszę wejść, z łaski swojej, proszę bardzo!

Drzwi z przedsionka do oświetlonego dwiema świecami pokoju były na ośwież otwarte.

- Gdyby nie pańskie słowo, że pan na pewno przybędzie, przestałbym się już spodziewać.

Stawrogin wszedł do pokoju i spojrzał na zegarek.

- Trzy kwadransy po dwunastej.

- A w dodatku taki deszcz... i taka odległość... Zegarka nie mam, za oknami same warzywniki... świat zabity deskami... ja się właściwie nie skarżę, gdzieżbym śmiał? Ja tak tylko mówię przez niecierpliwość, która żarła mnie od tygodnia, aby wreszcie... doczekać się ostatecznego rozwiązania.

- Co?

- Chcę wiedzieć, co mnie czeka, Mikołaju Wsiewołodo-wiczu. Proszę, pan pozwoli!

Uklonił się i wskazał miejsce przy stoliku przed kanapą.

Stawrogin rozejrzał się. Pokój był mały, niziutki. Widać tu było tylko najniezbędniejsze meble. Drewniane krzesła i kanapa, świeżo zrobione, bez obicia i bez poduszek. Dwa stoły lipowe, jeden przy kanapie, drugi w kącie, nakryty obrusem, cały czymś zastawiony i przykryty z wierzchu niepokalanie czystą serwetą. W pokoju pachniało wielką czystością. Kapitan Lebiadkin nie pił już od ośmiu dni. Twarz jego jakoś obrzękła i pożółkła. Spojrzenie miał niespokojne, ciekawe i najwyraźniej zdumione: było aż nadto widać, że sam jeszcze nie wie, jakim tonem może mówić i na jaki najkorzystniej byłoby trafić.

- Tak - powiódł ręką wokoło. - Mieszkam niczym pustelnik. Trzeźwość, odosobnienie i ubóstwo: śluby dawnych rycerzy.

- Pan sądzi, że dawni rycerze składali takie śluby?

- Może coś przekręciłem. Niestety, nie otrzymałem edukacji! Wszystko straciłem! Czy da pan wiarę, Mikołaju Wsiewołodowiczu, że tu po raz pierwszy ocknąłem się i odwykiem od niecnym przyzwyczajęń? Ani kieliszka, ani kropli! Mam

263

własny kąt i od sześciu dni czuję błogostan sumienia. Nawet ściany pachną żywicą, przypominając naturę. A kim byłem, czym byłem? Nocą biegam bez noclegu, A wywieszam język w dzień.2 jak genialnie mówi poeta! Ale... pan tak przemókł... Moży pan pozwoli herbaty? - Proszę się nie fatygować.

- Samowar kipiał od ósmej, ale... zgasł... jak wszystko na świecie. I słońce, jak mówią, zgaśnie, kiedy przyjdzie na nie kolej... Ale, jeżeli trzeba, mogę nastawić samowar. Agafia nie śpi.

- Co z Marią Timofiejewną?...

- Jest tutaj, tutaj - szeptem odpowiedział Lebiadkin. - Czy zechce pan zobaczyć ?

Wskazał przymknięte drzwi do sąsiedniego pokoju.

- Nie śpi ?

- O nie, nie, czyżby mogła! Przeciwnie, czeka od same, wieczora i gdy tylko się dowiedziała, zaraz ubrała się piękni

Wykrzywił usta w żartobliwym uśmiechu, lecz natychmiast spowaźniał.

Stawrogin nachmurzony zapytał:

- Jak się miewa w ogóle?

- W ogóle? Ano, jak panu wiadomo - współczująco wzruszył ramionami. - A teraz... teraz siedzi, z kart wróży...

- Dobrze, to potem. Pierwej trzeba skończyć z panem.

Stawrogin siadł na krześle.

Lebiadkin nie ośmielił się wobec tego siąść na kanapie, lecz przysunął prędko drugie krzesło, nachylił się i trwożnie wyczekiwał. Wtem Stawrogin zwrócił uwagę na drugi stół.

- Co pan tam ma pod serwetą?

- Tam? To wszystko z pana łaski, z powodu, jak to się mówi, osiedlin, miałem także na uwadze daleką drogę i naturalne zmęczenie. - Zachichotał przymilnie, wstał, podszedł na palcach i ostrożnie, z namaszczeniem podniósł serwetę przykrywającą coś na stole w rogu pokoju. Były pod nią przygotowane zakąski: szynka, cielęcina, sardynki, ser, mała zielonkawa karafeczka i smukła butelka bordeaux. Wszystko

264

było porządnie ułożone, ze znajomością rzeczy, a nawet wykwiłtnie.

- To pan się tak postarał?

- Tak jest, proszę pana. Wczoraj jeszcze... i wszystko, co mogłem, by okazać mój szacunek... Maria Timofiejewna, jak łaskawemu panu wiadomo, jest na te sprawy obojętna. Ale najgiówniejsze, że to wszystko z łaski szanownego pana, p'ana własne, bo pan tu gospodarzem, nie ja; ja tutaj jestem niby pański sługa, chociaż mimo wszystko, mimo wszystko, Mikołaju Wsiewołodowiczu... duchem niezależny! Tej jedynej, ostatniej rzeczy nie zechce pan mi przecież odebrać! - zakończył tkliwie.

- Hm!... Może by pan usiadł.

- Dzię-ku-uję! Jestem wdzięczny i... niezależny! (Lebiad-kin siadł znowu.) Ach, Mikołaju Wsiewołodowiczu, w moim sercu tyle się nazbierało, że anim wiedział, jak się doczekać pańskiego przybycia! Dziś pan rozstrzygnie mój los i los tej biedaczki, a wtedy... wtedy, jak za dawnych lat, duszę worzę przed panem. Jak cztery lata temu. Raczył pan wówczas wysłuchiwać moich zwierzeń, czytał pan moje wiersze... Nazywano mnie wprawdzie pańskim Falstaffem z Szekspira, lecz pan tyle znaczył w moim biednym życiu!... A teraz ogarnęła moją duszę straszliwa trwoga i od pana jednego czekam rady i światła! Piotr Stiepanowicz okrutnie ze mną postępuje!

Stawrogin słuchał z zaciekawieniem- i przyglądał się mówiącemu uważnie. Widać było, że kapitan, choć przestał się zapijać, nie mógł się wcale pochwalić całkowitą równowagą ducha. U długoletnich pijaków utrwała się w końcu na zawsze pewna nierówność, chwiejność, pewna jakoby ułomność i niepoczytalność, chociaż mimo to potrafią nie gorzej od innych oszukiwać, za nos wodzić i chytrzyć w razie potrzeby.

- Widzę, że pan, panie kapitanie, w niczym się nie zmienił przez te cztery lata - rzekł jakby nieco łagodniej Stawrogin. - Chyba istotnie druga połowa życia ludzkiego składa się zwykle z samych tylko przyzwyczajzeń, nabytych w pierwszej połowie.

- Wielkie słowa! Pan rozstrzyga zagadkę życia! - zawołał Lebiadkin, na wpół błaznując, na wpół serio, w prawdziwym zachwycie, gdyż uwielbiał wszelkie aforyzmy. -

12 D..stiiicwski, t II j 265

Ze wszystkich pańskich słów, Mikołaju Wsiewołodowiczu. zapamiętałem głównie te, które powiedział pan jeszcze w Petersburgu: „Trzeba być istotnie wielkim człowiekiem, aby nie ugiąć się nawet przed zdrowym rozsądkiem.” To wspaniałe!

- No, równie dobrze i głupcem!

-- Niechby i głupcem! Lecz pan przez całe życie sypał dowcipami, a oni? Niechże Liputin powie coś podobnego, niech powie Piotr Stiepanowicz! Ach, jak okrutnie postępował ze mną Piotr Stiepanowicz!...

- Ale pan też ładnie się zachowywał, panie kapitanie!

- To tylko pijaństwo i chmara wrogów! Ale teraz minęło wszystko, wszystko i zmieniam skórę jak wąż. Mikołaju Wsiewołodowiczu! Czy wiadomo panu, że piszę testament? Że już go napisałem nawet?

- Ciekawe. Cóż pan zostawia i komu?

- Ojczyźnie, ludzkości i studentom, Mikołaju Wsiewołodowiczu! Przeczytałem w gazecie biografię pewnego Amerykanina. Cały olbrzymi majątek zapisał fabrykom i naukom ścisłym, szkielet - studentom tamtejszej akademii, a skórę na bęben, aby we dnie i w nocy wybijano na nim amerykański hymn narodowy. Niestety! My jesteśmy Pigmejami wobec lotu myśli północnoamerykańskich Stanów. Rosja jest igraszką przyrody, lecz nie rozumu. Niechbym się odważył w testamencie oddać swą skórę, powiedzmy, Akmolińskiemu pułkowi piechoty, w którym miałem zaszczyt rozpocząć służbę, pod tym warunkiem, aby na tym bębnie wybijano co dzień przed stojącymi na baczność żołnierzami nasz rosyjski hymn narodowy, będzie to poczytane za liberalizm, zaaresztują moją skórę... Poprzestałem więc na studentach. Chcę zapisać mój szkielet akademii, pod tym jednak warunkiem, aby na czole przylepiony był na wieki wieków napis: „Pokutujący wolnomyśliciel.” Tak, proszę pana!

Kapitan mówił namiętnie. Był jednak filutem i chociaż wierzył w piękno amerykańskiego testamentu, chciał jednocześnie rozśmieszyć Stawrogina. Był przecież dawniej u niego przez długi czas za błazna. Jednak Stawrogin nie uśmiechnął się, a nawet zapytał jakoś podejrzliwie:

- Ma pan zamiar ogłosić swój testament za życia i otrzymać za to nagrodę?

Lebiadkin wpatrywał się badawczo.

266

- A gdyby nawet tak, Mikołaju Wsiewołodowiczu, gdyby nawet tak? Jakież mój los! Nawet wierszy już nie piszę, a przed laty nawet pana, Mikołaju Wsiewołodowiczu, bawiły moje wierszyki, pamięta pan, przy butelce? Precz z piórem! Napisałem na ostatek jeden wiersz, jak Gogol swą Ostatnią opowieść.³ Pan pamięta? Ten wielki człowiek głosił Rosji, że cała, jak długa i szeroka, „wyśpiewała się” z jego piersi. Tak samo ja, wyśpiewałem swoje i koniec na tym!

- Jakież to wiersz?

- W razie gdyby złamała nogę.

- Co-o?

Tego właśnie trzeba było kapitanowi. Cenił nieskończenie swoje wiersze, jednak, przez pewną figlarną dwoistość duszy, podobało mu się także i to, że Stawroginia zwykle one bawiły. Śmiał się z nich nieraz do rozpuku. W ten sposób osiągnięte bywały dwa cele: poetycki i służbowy. Teraz jednak był także trzeci cel, cel osobliwy i niezmiernie drażliwy: kapitan, wysuwający na pierwszy plan wiersze, chciał się usprawiedliwić pod pewnym względem z tego, czego jakoś najbardziej się obawiał i co sprawiało, że czuł się winny.

- W razie gdyby złamała nogę - to znaczy podczas konnej jazdy. To fantazja, Mikołaju Wsiewołodowiczu, to bredzenie, ale bredzenie poety: zostałem raz oczarowany mijając na drodze amazonkę i postawiłem sobie rzeczowe pytanie: „Co by wtedy było?”, to znaczy, w razie wypadku. Sprawa jasna: starający się - dają nogę; narzeczem - gdzie pieprz rośnie, jutro o świcie nas zobaczycie; a tylko poeta, że swym sercem skrwawionym, pozostałby wierny. Mikołaju

Wsiewołodowiczu! Nawet wesz może być zakochana, nawet jej żadne prawo tego nie może zabronić. A jednak tę osobę obraził i list, i wiersze. Nawet podobno pan raczył się rozgniewać! Czy tak było? To dla mnie bardzo smutne, nie chciałem nawet wierzyć. Komuż mogłem zaszkodzić swoją fantazją? W dodatku słowo daję: to Liputin winien. „Poślij i poślij, powiada, każdy człowiek godzin jest prawa korespondencji.” No i posłałem.

- Pan, zdaje się, proponował nawet ożenek.

- Tak mówią tylko wrogowie, tylko wrogowie!

- Niechże pan powie ten wiersz! - surowym głosem zażądał Stawrogin.

267

- Przede wszystkim to fantazja - powiedział Lebiadkm Wyprostował się jednak, wyciągnął dłoń i zaczął

Bogini ma złamała człon, I stokroć wzrosła je) ponęta, I coraz więcej kocha on, Schwytany w uczuć pęta

- No, dość tego - przerwał Stawrogin Lebiadkm momentalnie zmienił temat

- Marzę o stolicy - mówił takim tonem, jak gdyby o żadnym wierszu me było mowy - Marzę o odrodzeniu Dobroczynco mój! Czy mogę marzyć, że otrzymam środki na wyjazd Już od tygodnia wypatruję pana jak słońca

- O me, przepraszam, nie mam już wcale pieniędzy A zresztą z jakiej racji miałbym panu dawać Mikołaj Stawrogin nagle jak gdyby się rozgniewał Sucho i krotko zaczął wyliczać wszystkie winy kapitana pijaństwo, kłamstwo, trwonienie pieniędzy przeznaczonych dla Mani Timofiejewny, zabranie jej z monasteru, zuchwałe listy z groźbą, że zdradzi tajemnicę, oskarżenie rzucone Dam Pawłownie itd Kapitan miotał się, gestykulował, próbował zaprzeczać, ale Stawrogin ciągle wstrzymywał go rozkazującym gestem Wreszcie dodał

- Niech pan wreszcie pozwoli Pan ciągle pisze o „hańbie rodzinnej” Czy to hańba dla pana, że pańska siostra jest ślubną żoną Stawrogma

- Ale ślub jest ukrywany, Mikołaju Wsiewołodowiczu, jak w grobie! Fatalna tajemnica Otrzymuję od pana pieniądze, a ludzie się pytają „Za co te pieniądze?” Usta mam zakneblowane i nie mogę odpowiadać, czym krzywdzę siostrę i znieważam honor rodziny

Kapitan mówił coraz głośniej Lubił ten temat i bardzo nań liczył Niestety, me przeczuwał nawet, jakie go czeka zmartwienie Spokojnie, dokładnie, tak jak się omawia najzwyczajsze sprawy domowe, Stawrogin zakomunikował mu, że ma zamiar w tych dniach, jutro lub pojutrze, uczynić wiadomym „zarówno policji, jak i całemu społeczeństwu”, że siostra Lebiadkina jest jego żoną, i w ten sposób rozwiąże problem „honoru rodziny”, a zarazem i subsydiów Kapitan

268

wytrzeszczył oczy nie zrozumiał nawet, trzeba mu było to jeszcze raz wytłumaczyć

- Ale przecież ona jest nienormalna

- Wydam odpowiednie polecenia

- Ale Co powie pana matka

- To, co będzie uważała za stosowne

- I pan zechce wprowadzić małżonkę do swego domu

- Może nawet i tak A zresztą to nie pańska rzecz i wcale pana nie dotyczy

- Jak to nie dotyczy - zawołał kapitan - A co będzie ze mną

- Pana na pewno nie wprowadzę do mego domu

- Przecież jestem powinowaty

- Od takich powinowatych ludzie uciekają Po co mam wobec tego dawać panu pieniądze Niech pan sam powie

- Mikołaju Wsiewołodowiczu, Mikołaju Wsiewołodowiczu! To niemożliwe Może pan się jeszcze rozmyśli, pan me zechce przecie mnie zabić Co pomyśla, co powiedzą ludzie”

- Nie boję się ludzi Ożeniłem się z pańską siostrą, bo tak chciałem, po zakrapianym obiedzie, bo założyłem się o szampana, a teraz ogłoszę to publicznie skoro mnie to dziś bawi

Wypowiedział to tak rozdrażnionym tonem, że Lebiadkm ku straszliwemu swemu przerażeniu zaczął wierzyć

- Ale ja Co będzie ze mną To przecie najważniejsze, Mikołaju Wsiewołodowiczu, pan może żartuje

- Nie, nie żartuję

- Jak pan uważa, Mikołaju Wsiewołodowiczu, ale ja me wierzę Wobec tego złożę podanie

- Pan jest strasznie głupi, kapitanie

- Dobrze, lecz co mi innego zostaje - Lebiadkm tracił głowę - Przedtem za jej służbę, tam na mansardach, przynajmniej dawano nam przytułek, ale co teraz będzie, jeżeli pan mnie zupełnie porzuci

- Przecież pan ma zamiar wyjechać do Petersburga, aby odmienić swój los Czy to prawda, że pan wybiera się tam, aby złożyć zeznania, aby wsypać innych, samemu zaś otrzymać przebaczenie

Kapitan otworzył usta, wytrzeszczył oczy i milczał

269

- Niech pan słucha, kapitanie - powiedział nagle Sta-wrogin niezwykle poważnie, pochyliwszy się nad stołem.

Dotychczas mówił dość dwuznacznie, toteż Lebiadkin, przyzwyczajony do roli błazna, był do ostatniej chwili niepewny: czy pan jego istotnie się gniewa, czy też żartuje; czy rzeczywiście powziął nieprawdopodobny zamiar obwieszczenia o swoim małżeństwie, czy też tylko sobie pokpiwa. Teraz jednak niezwykle poważny wygląd Stawrogina był tak przekonywający, że mróz przebiegł po plecach kapitana.

- Niech pan słucha, panie Lebiadkin, i mówi prawdę. Czy pan już doniósł cokolwiek, czy jeszcze nie? Czy pan zdążył naprawdę już coś zrobić? Czy aby przez głupotę nie pisał pan do kogo ?

Kapitan patrzył martwym wzrokiem.

- Nie, proszę pana, nie zdążyłem... i nie myślałem o tym.

- Że pan nie myślał, to kłamstwo. Po to przecie pan chciał jechać do Petersburga. Jeżeli nawet pan nie pisał, czy pan nie bąknął tu komu? Proszę mówić prawdę, słyszałem coś niecoś.

- Po pijanemu - Liputinowi. Liputin - zdrajca. Otworzyłem przed nim serce - szeptał nieszczęsny kapitan.

- Serce - sercem, nie trzeba jednak być idiotą. Domyślał się pan czego, trzeba to było zachować dla siebie. Dziś mądrzy ludzie milczą, a nie rozmawiają.

- Mikołaju Wsiewołodowiczu! - trząś się kapitan. - Ja o panu nic... Przecież pan w niczym nie brał udziału...

- Pan by się nie odważył donieść na swoją dojną krowę.

- Mikołaju Wsiewołodowiczu, niech pan sam osądz, niech pan sam osądzi-w zupełnej rozpacz, że łzami w oczach, kapitan zaczął w pośpiechu opowiadać swe dzieje z ostatnich czterech lat. Była to najgłupsza opowieść o durniu, który wplątał się w cudze sprawy i który nie rozumiał ich powagi, grzęznąc w pijaństwie i hulankach. Opowiadał, jak jeszcze w Petersburgu „dał się porwać z początku, po prostu przez przyjaźń, jak prawdziwy student, chociaż nie był studentem”. Nie wiedząc o niczym, „nie zawiniwszy”, rozrzucił na klatkach schodowych jakieś papierki, umieszczał je tuzinami przy drzwiach, koło dzwonek, wsuwał zamiast gazet, nosił do teatru, pchał do kapeluszy, do kieszeni... Potem zaczął za to otrzymywać pieniądze, „bo jakież wtedy były moje fundusze,

270

jakież?” Rozrzucił „rozmaite śmiecie” po wszystkich powiatach dwóch guberni.

- O, Mikołaju Wsiewołodowiczu! - wołał - najwięcej mnie martwiło, że jest to przeciw prawom obywatelskim, przeciw państwu! Raptem drukują, żeby wychodzić z widłami i żeby pamiętać, że kto rano wyjdzie biedny, może wieczorem powrócić bogaty. Niech pan pomyśli! Ciarki mnie przechodzą, ale rozrzucam. Albo raptem pięć, sześć wierszy do całej Rosji, bez żadnego powodu: „Zamykajcie cerkwie, niszczone Boga, zrywajcie śluby, uchylajcie prawa spadkowe, chwytajcie noże...” i licho wie co jeszcze. Z takim to papierkiem pięciowerszowym o mało żem nie dał się zV,pać. W pułku wytlukli mnie oficerowie - chwała Bogu, że żywcem puścili. A w zeszłym roku o mało mnie nie złapano, gdy pięćdziesięciuroblówki francuskiej fabrykacji oddawał Korowajewowi. Chwała Bogu, że Korowajew po pijanemu w stawie utonął i nie zdążyli mnie zdemaskować. Tu, u Wirgińskie-go, obwieszczałem wolność społeczną kobiety. W lipcu rozrzuciłem w s-kim powiecie. Podobno jeszcze zmuszą... Piotr Stiepanowicz raptem zawiadamia, że winienem go słuchać; dawno już grozi. Jak on się znęcał nade mną w zeszłą niedzielę! Mikołaju Wsiewołodowiczu, jam rab, jam czerw, nie Bóg przecie, i taka między mną a Dierżawinem różnica.⁴ Ale jakie są moje fundusze, jakie?

Stawrogin słuchał z zaciekawieniem. Wreszcie odezwał się:

- Wielu rzeczy nie wiedziałem. Rozumiem, że panu wszystko mogło się zdarzyć... Niech pan słucha - doda! po namyśle. - Proszę powiedzieć, jeżeli panu na tym zależy, proszę powiedzieć komukolwiek, na przykład Liputinowi, że pan zełgał i że pan tylko chciał mnie nastraszyć denuncjacją, myśląc, że ja także jestem skompromitowany, żeby w ten sposób ściągnąć ze mnie większą sumę... Pan rozumie?

- Mikołaju Wsiewołodowiczu, najdroższy! Czy naprawdę grozi mi takie niebezpieczeństwo? Czekałem na pana, by o” to zapytać.

Stawrogin uśmiechnął się

- Rzecz prosta, że pana nie puszcza do Petersburga, gdybym nawet dał panu pieniądze na drogę... Zresztą, czas iść do Marii Timofiejewny.

271

Wstał.

- Mikołaju Wsiewołodowiczu, a cóż będzie z Marią Timofiejewną?

- Już powiedziałem.

- Czy to możliwe?

- Pan wciąż nie wierzy?

- Czy pan mnie tak wyrzuci jak stary, znoszony but?

- Zobaczę - powiedział z uśmiechem Stawrogin. - No, proszę mi otworzyć.

- Może pan każe... to ja sobie na ganeczku postoję... bo pokoiki malusieńkie... żebym nie

podszucha) mimo woli.

- Dobrze, niech pan idzie na ganek. Proszę wziąć parasol.

- Parasol... pański parasol?... Czy wart jestem? - ze słodyczą powiedział kapitan.

- Któż niewart parasola!

- Określił pan w dwóch słowach minimum praw ludzkich... - bełkotał Lebiadkin machinalnie.

Był zupełnie zbity z tropu, przygnębiony zapowiedzią Stawrogina. A jednak, gdy tylko stanął na ganku i rozpiął nad sobą parasol, natychmiast w jego lekkomyślnej a chytrej głowie zaczęła kiełkować poprzednia, stale mu towarzysząca myśl, że to są prawdopodobnie zwykłe drwiny i kłamstwa, a więc że nie ma dostatecznych powodów do obaw. Przeciwnie, to jego się boją.

„Jeżeli Stawrogin kręci i kłamie, to coś w tym jest?” - świdrowało mu w mózgu. Ujawnienie małżeństwa wydawało mu się nonsensem. „To prawda, że ten cudotwórca wszystko może; żyje po to, aby ludzi krzywdzić. Ale jeżeli sam się boi po niedzielnej kompromitacji? Jeżeli boi się jak nigdy? Przybiegł, aby uprzedzić, że sam rozgłosi, bylebym ja nie rozgłosił. Ech, Lebiadkin! Żebyś tylko nie trafił kulą w płot! Ale dlaczego przychodzi w nocy, ukradkiem, kiedy sam chce rozgłosu? Jeżeli zaś sam się boi, to znaczy, teraz się boi, właśnie teraz, w ciągu najbliższych kilku dni... Ej, Lebiadkin, nie przegap!... Straszy mnie Wierchowień-skim. Oj, niedobrze, oj, niedobrze, to już naprawdę źle! Licho nadało, żem się wygadał przed Liputinem! Nigdy nie mogłem zrozumieć, do czego te diabły zmierzają... Zaczęli się znowu ruszać jak przed pięciu laty. Ale komuż bym miał

979

donieść? „Czy aby pan przez głupotę nie napisał do kogo?” Hm, wiec znaczy można napisać pod pozorem głupoty? Może chciał mi tę myśl podsunąć? „Pan jedzie w tym celu do Petersburga?” Co za gałgan. Mnie się tylko przyśniło, a on już odgadł mój sen. Jak gdyby sam namawiał mnie do wyjazdu. Tu na pewno na dwoje babka wróżyła: albo sam się boi, że nabroił, albo niczego się nie boi i podbechtuje mnie, abym doniósł na wszystkich! Źle jest, Lebiadkin! Żeby tylko nie trafić kulą w płot...”

Tak się zafrasował, że zapomniał nawet podsłuchiwać. Zresztą nie byłoby to łatwe; drzwi były grube, jednoskrzydło-we, a rozmawiano tam dość cicho; słychać było tylko jakieś niewyraźne dźwięki. Kapitan nawet splunął i znów wyszedł na ganek, zamyślony, pogwizdując z cicha.

III

Pokój Marii Timofiejewny był dwa razy większy od tego, w którym mieszkał jej brat. Stały tam równie niezdarne meble, lecz stół przed kanapą, nakryty był barwną, strojną serwetą; na stole paliła się lampa; całą podłogę pokrywał piękny dywan; łóżko było odgródzone długą, na całą szerokość pokoju zieloną zasłoną. Poza tym stał przy stole szeroki, wygodny fotel, w którym jednak Maria Timofiejewna nie siadała. W rogu pokoju, tak samo jak w poprzednim mieszkaniu, przed ikoną paliła się lampka oliwna, na stole zaś rozłożone były te same nieodłączne przybory: talia kart, lusterko, śpiewnik, a nawet maślana bułeczka. Jako rzecz nowa zjawily się dwie książki z kolorowymi obrazkami. Jedna z nich zawierała opisy podróży, przeznaczone dla młodzieży, druga zaś - zbiorek lekkich, pouczających powiastek, głównie o rycerzach; były one przeznaczone na okres gwiazdkowy i dla pensji. Poza tym był tu też album z różnymi fotografiami. Widać było, że Maria Timofiejewna, jak to mówił kapitan, oczekiwała gościa. Lecz w chwili gdy Stawrogin wchodził do pokoju, spała na kanapie na włóczkowej poduszce. Gość cichutko zamknął za sobą drzwi i nie ruszając się od progu, zaczął przyglądać się śpiącej.

Kapitan przesadzał mówiąc, że siostra jego wystroiła się.

273

Była w tej samej ciemnej sukience, w której widziano ją zeszłej niedzieli u Barbary Pietrowny. Włosy jej były tak samo upięte w maleńki kokczek; tak samo obnażona była długa i sucha szyja. Czarny szal, подарowany przez Barbarę Pietrowną, leżał na kanapie, starannie złożony. Była jak zawsze mocno wybielona i uróżowana. Stawrogin nie przyjrzał jej się dobrze, gdyż zbudziła się poczuwszy widocznie jego wzrok; otworzyła oczy i szybko wyprostowała się. Widocznie jednak widok jej silnie podziałał na Stawrogina: stał wciąż nieruchomo przy drzwiach, wpatrując się w nią przenikliwym wzrokiem. Może spojrzenie to było zbyt surowe, może zdradzało pewien wstręt lub nawet złośliwe zadowolenie z jej przestrachu - a może tylko tak się wydało Marii Timofiejewnie pod wpływem snu; dość, że po chwili oczekiwania na twarzy nieszczęśliwej kobiety odbiło się straszne przerażenie, wykrzywił ją skurcz; podniosła ręce i zaczęła potrząsać nimi; wtem rozplakała się, zupełnie jak przestraszone dziecko; jeszcze chwila, a zaczęłaby krzyczeć. Ale gość opamiętał się, w okamgnieniu zmienił wyraz twarzy, podszedł do stołu z najbardziej uprzejmym i łagodnym uśmiechem i rzekł:

- Przepraszam, Mario Timofiejewno, przestraszyłem panią swym nieoczekiwanym wejściem, pani spała.

Wyciągnął do niej rękę.

Dźwięk łagodnych słów nie pozostał bez wrażenia; przestrach rozwiął się, choć nadal spojrzenie było niepewne - widocznie starała się coś zrozumieć.

- Witaj mi, księżę - szepnęła z cieniem pokornego uśmiechu na wargach, wyciągając bojaźliwie rękę i dziwnie się w niego wpatrując.

Wciąż uśmiechał się do niej dobrotliwie, uprzejmie.

- Pewnie śniło się pani coś przykrego?

- A skąd ci, księżę, wiadomo, że śniło mi się tamto?... Znów nagle zadrżała, odsunęła się, wyciągnęła przed siebie ręce jak dla obrony; znowu bliska była płaczu.

- Niech się pani uspokoi - przekonywał ją Stawrogin. - Czego pani się boi? Czy pani mnie nie poznaje?

Długo nie mógł jej uspokoić. Wpatrywała się w milczeniu, wciąż nie rozumiejąc, wciąż siłąc się coś ogarnąć myślą. To spuszczała oczy, to znów rzucała na Stawrogina pytające spojrzenie. Wreszcie nie tyle uspokoiła się, co jak gdyby powzięła jakąś decyzję.

274

- Niech księżę siada koło mnie - rzekła głosem dość stanowczym, jak gdyby widząc przed sobą wyraźnie nowy cel - żebym mogła przypatrzeć się z bliska. Ale teraz nie będę patrzeć, spuszczyć oczy. I księżę niech nie patrzy na mnie, póki nie poproszę. Niech księżę siada - powtórzyła nawet z pewnym zniecierpliwieniem.

Widać było, że ogarnia ją zdecydowanie nowy nastrój.

Stawrogin usiadł i czekał. Milczenie trwało dość długo.

Wreszcie z pewną pogardą w głosie powiedziała:

- Hm! Dziwi mnie to wszystko. Pewno, że opanowały mnie złe sny. Ale po cóż księżę przyśnił mi się w takiej postaci ?

- Dajmy pokój snom - niecierpliwie odpowiedział Stawrogin spoglądając na nią wbrew jej zakazowi, i jakby znowu na twarzy jego pojawił się dawny, zły wyraz. Widział, że biedaczka kilka razy chciała spojrzeć na niego, lecz wciąż zmuszała się, by spuścić oczy.

- Słuchaj, księżę - odezwała się głośno - słuchaj.

- Dlaczego pani się odwraca - niecierpliwie zawołał Stawrogin - dlaczego pani nie patrzy na mnie, co to za komedia ?

Nie zwróciła na jego słowa najmniejszej uwagi.

- Słuchaj, książę - powtórzyła po raz trzeci stanowczym głosem, nieprzyjemnie krzywiąc twarz. - Jak mi książę wtedy powiedział w karecie, że ślub zostanie ogłoszony, od razu przestraszyłam się, że będzie koniec tajemnicy. Teraz już nie wiem; dużo myślałam i widzę wyraźnie, że to całkiem nie dla mnie. Wystroić się - potrafię; gości przyjąć - pewnie też: to żadna sztuka zaprosić na filiżankę herbaty, gdy się ma lokajów. Ale jak inni będą na to patrzeć? W niedzielę rano dużo widziałam w tamtym domu. Ta ładna panna ciągle na mnie patrzyła, zwłaszcza gdy książę wszedł. Przecież to książę był tam wtedy, prawda? Jej matka to zabawna staruszka. A mój Lebiadkin także się wyróżnił. Patrzyłam ciągle na sufit, aby się nie zaśmiać; tam ten sufit tak ładnie wymalowany! Pana matka powinna być ihumenią. Podarowała mi czarny szal, ale boję się jej. Na pewno tam wszyscy ocenili mnie z nieoczekiwanej strony; ja się nie gniewam. Ale siedzę i myślę sobie: „Jaka ja dla nich krewna?” Prawda, że od hrabiny wymaga się tylko duchowych zalet, bo do gospodarskich ma pełno lokajów. No i trzeba trochę salonowej kokieterii, aby

potrafiła przyjąć zagranicznych podróżników. Ale w każdym razie wtedy, w niedzielę, wszystkie patrzyły na mnie złym wzrokiem. Tylko Dasza to prawdziwy anioł. Boję się, żeby i książę nie zmartwił go jakąś nieostrożną krytyką mojej osoby. Stawrogin skrzywił się.

- Niech się pani o to nie obawia.

- A zresztą, co mi to szkodzi, jeżeli się będzie trochę wstydził z mego powodu. Wtedy zawsze jest więcej litości niż wstydu. On wie, że to raczej ja powinnam się nad nimi litować niż oni nade mną.

- Pani, zdaje się, obraziła się na nich ? Uśmiechnęła się z prostotą.

- Kto - ja? Wcale nie. Popatrzyłam wtedy na was wszystkich. Wszyscy gniewają się, kłócą się między sobą. Zejdą się i nie umieją nawet się pośmiać. Tyle bogactwa, a tak mało wesela. Aż wstręt bierze. Zresztą nikogo teraz nie żałuję prócz siebie.

- Mówiono mi, że pani beze mnie źle było z bratem.

- Kto to księciu powiedział? To głupstwa. Teraz daleko gorzej. Teraz złe sny, a sny złe dlatego, że książę przyjechał. Po co tu książę przyjechał, proszę mi powiedzieć?

- Może pani chciałaby znowu do monasteru?

- Wiedziałam dobrze, że znowu będą mi mówić o mona-sterze. Co to, nie widziałam ja waszego monasteru? Po co tam pójde? Z czym ja tam pójde? Teraz już jestem sama, samiuteńka! Już za późno zaczynać trzecie życie.

- Pani bardzo się o coś gniewa. Czyżby pani myślała, że przestałem ją kochać?

- Co mi tam do księcia! Ja się boję, abym sama-nie przestała kogoś kochać!

Uśmiechnęła się pogardliwie.

- Na pewno zawiniłam wobec niego, i to bardzo - ciągnęła, jak gdyby mówiąc do siebie. - Szkoda tylko, że nie wiem, w czym zawiniłam. Zawsze, zawsze, przez całe pięć lat, bałam się we dnie i w nocy, że zawiniłam wobec niego. Modlę się nieraz, modlę, a ciągle myślę o swojej wielkiej winie. Widać, że to była prawda.

- Z czego widać?

Znów nie zwracała uwagi na jego pytanie, nie słuchała nawet, i mówiła dalej:

- Boję się, czy nie ma tu jakiejś przyczyny z jego strony. Nie mógł przecież żyć się z takimi ludźmi. Hrabina gotowa zjeść mnie, chociaż zabrała do swojej karety. Wszyscy są w zмовie, czyżby i on? Czyżby i on mógł zdradzić? - Trzęsły się jej wargi i podbródek. - Książę! Czy książę

słyszał o Griszce Otriejewie, który był siedem razy wyklęty na soborach?

Stawrogin nie odpowiadał.

- A zresztą, odwróć się teraz od księcia i będę patrzeć. Niech się książę także odwróci i spojrzysz, ale uważnie. Chcę się po raz ostatni przekonać.

- Ja już od dawna patrzę na panią

- Hm - odezwała się Maria Timoliejewna wpatrując się badawczo. - Książę utył bardzo...

Chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz znowu, po raz trzeci, przerażenie wykrzywiło jej rysy. Znowu cofnęła się zasłaniając twarz rękami.

- Co się z panią dzieje? - zawołał Stawrogin niemal w przystępie wściekłości.

Przerażenie trwało sekundę. Przeszło w niemiły, podejrzliwy uśmiech.

- Niech książę wstanie i wejdzie - rzekła głosem twardym, rozkazującym.

- Jak to „wejdzie”? Dokąd mam wejść?

- Przez pięć lat wyobrażałam sobie, jak on wejdzie. Niech książę wyjdzie za drzwi, do drugiego pokoju. Ja będę siedzieć, nie spodziewając się niczego, z książką w ręku, i raptem książę wejdzie, jak on po pięciu latach rozłąki. Chcę zobaczyć, jak to wygląda.

Mikołaj Wsiewołodowicz zacisnął zęby i mruknął coś niewyraźnie.

- Dość już tego! Mario Timofiejewno, proszę mnie wysłuchać! Niech pani skupi całą uwagę, niech pani się postara! Przecież nie jest pani zupełną wariatką! - wyrwało mu się. - Jutro ogłoszę o naszym ślubie. Nigdy pani nie będzie mieszkała w pałacu, proszę to sobie wybić z głowy. Chce pani żyć ze mną całe życie, lecz nie tu, daleko stąd? W górach, w Szwajcarii, jest tam takie miejsce... Niech pani się nie obawia, nigdy nie porzucę pani i nie oddam do domu wariatów. Pieniądzy mi wystarczy, aby nikogo o łaskę nie prosić. Będzie pani miała służącą. Pani sama nic nie będzie

robiła. Wszystko, czego pani zechce, w granicach możliwości, będzie pani dostarczone. A pani będzie mogła się modlić, robić, co się pani podoba, iść, dokąd będzie miała ochotę. Nie dotknę pani. Ja także nie ruszę się z miejsca do śmierci. Nie zechce pani, nie będę z panią rozmawiał przez całe życie, a zechce pani, będę słuchał wieczorami opowiadań, jak wtedy, w Petersburgu, na poddaszu. Będę pani czytał książki, jeżeli pani zechce. Ale za to przez całe życie będzie pani w jednym i tym samym miejscu. To ponure miejsce. Chce pani? Zgadza się pani? Nie będzie pani żałowała? Nie będzie pani potem dręczyła mnie płaczem i przekleństwami?

Wysłuchiwała z nadzwyczajnym zaciekawieniem, potem zaś długo milczała i zastanawiała się. Wreszcie odezwała się pogardliwie i szyderczo:

- Dziwi mnie to wszystko. To znaczy, że wypadłoby mi ze czterdzieści lat żyć wśród gór? Roześmiała się. Stawrogin zasępił się głęboko.

- Cóż, przeżyjemy i czterdzieści.

- Nie, za nic nie pojedę.

- Nawet ze mną?

- A cóżes pan takiego dla mnie, abym z panem jechała? Czterdzieści lat z rzędu siedzieć z nim w górach! Też gadanie! Dziwnie cierpliwi są dzisiaj ludzie! Nie, to niemożliwe, aby sokół stał się puszczykiem! Mój książę nie jest taki!

Dumnie, zwycięsko podniosła głowę.

Stawrogin ocknął się.

- Dlaczego pani nazywa mnie księciem... - zapytał ostro - i za kogo pani mnie bierze?

- Jak to? Nie jest pan księciem?
- Nigdy nim nie byłem.
- Pan sam, prosto w oczy, mówi mi, że nie jest księciem?
- Powtarzam, że nie jestem i nigdy nie byłem.
- Mój Boże! - załamała ręce. - Wszystkiego mogłam się spodziewać od jego wrogów, ale takiego zuchwalstwa - nigdy! - zawołała. Po chwili, napierając na Stawrogina, zaczęła krzyczeć gwałtownie: - Czy on żyje? Czyś ty go zabił? Mów!
- Za kogo mnie bierzesz? - Stawrogin, że zmienioną twarzą, zerwał się z krzesła.

278

- Kto tam wie, kim jesteś i skąd się wzięłeś! Ale serce moje czuło intrygę. Czuło zawsze, przez całe pięć lat. Siedzę tu i dziwię się: co to za sowa przyleciała do mnie? Nie, mój drogi, złym jesteś aktorem, gorszym od Lebiadkina. Kłaniaj się ode mnie nisko hrabinie i powiedz jej, żeby przysłała kogoś sprytniejszego. Wynajęła cię, mów? Jesteś u niej na łaskawym chlebie? Widzę na wylot całe wasze oszukaństwo! Wszystkich was, co do jednego, widzę na wylot, wszystkich znam!

Stawrogin chwycił ją mocno za rękę powyżej łokcia. Śmiała mu się w twarz.

- Tak, podobny jesteś do niego, możesz nawet jego krewniak. Sprytni jesteście! Ale mój - to sokół jasny i książę, a tyś puszczyk i kupczyk! Mój to i Bogu się pokłoni, gdy zechce, a nie zechce - to nie; a ciebie nawet Szatuszka (mój drogi, kochany Szatuszka!) bił po twarzy. Mówił mi to Lebiadkin. A czegoś się tak przestraszył wchodząc wtedy? Kto cię wtedy nastraszył? Gdy zobaczyłam twoją podłą twarz, kiedy upadłam, a tyś mnie pochwycił, to jakby robak wpełzł mi do serca. „To nie on, myślę, nie on!” Nie wstydziłby się mój sokół nigdy przyznać do mnie przed tamtą panienką! Mój Boże! A ja przez pięć lat byłam taka szczęśliwa, że mój sokół gdzieś tam żyje i lata za górami, na słońce patrzy... Mów, samozwańcze, dużo ci za to dali? Za jaką sumę zgodziłeś się na to? Ja nie dałabym ci ani grosza! Cha, cha, cha! Cha, cha, cha!

Stawrogin zazgrzytał zębami, mocno ściskając jej ramię:

- Och, idiotka!
- Precz, samozwańcze! - zawołała rozkazująco. - Mój książę jest moim mężem! Nie boję się twego noża!
- Noża?
- Tak, noża! Masz nóż w kieszeni! Myślałeś, że śpię i nie widzę? A tyś wchodząc tu nóż wyjmował!
- Coś ty powiedziała, nieszczęsna! - zawołał Stawrogin. - Co ci się majaczy?

Odrzącił ją z całej siły, tak że boleśnie uderzyła się ramionami i głową o kanapę. Rzucił się do ucieczki, lecz ona natychmiast zerwała się, kulejąc i podskakując zaczęła go gonić. Powstrzymał ją dopiero na ganku przerażony Lebiadkin, a ona w mrok nocy rzuciła jeszcze piskliwie za Stawroginem:

- Griszka O-trie-pjew prze-klę-ty!

279

IV

„Nóż, nóż” - powtarzał Stawrogin w niepohamowanym gniewie, szeroko krocząc po błocie i kałużach, nie rozpoznając drogi. Chwilami miał straszną ochotę zaśmiać się głośno, szatańsko. Lecz nie wiadomo dlaczego panował nad sobą i nie śmiał się. Opamiętał się dopiero na moście, w

tym miejscu, gdzie spotkał włóczęgę. Fiedka czekał tu i teraz. Zobaczywszy go, zdjął czapkę, zaczął się uśmiechać, coś wesoło i śmiało bajtlować. Stawrogin z początku przeszedł nie zatrzymując się i przez pewien czas nawet nie słuchał słów podążającego za nim włóczęgi. Olśniła go nagle myśl, że zupełnie zapomniał o Fiedce, a zapomniał wtedy właśnie, gdy w duchu powtarzał bez przerwy: „Nóż, nóż.” Chwycił włóczęgę za kołnierz i z całą złością, która w nim wezbrała, cisnął go o most. Fiedka przez chwilę chciał się bronić, zrozumiał jednak natychmiast, że wobec przeciwnika jest jak trawka, zwłaszcza że napadnięty został zniecka. Ucichł więc, nie stawiając oporu. Klęcząc na ziemi, przyduszony do trotuaru, z wykręconymi do tyłu rękami, chytry włóczęga spokojnie oczekiwał końca, jak gdyby wcale nie wierząc w niebezpieczeństwo.

Nie omylił się. Stawrogin nawet zdjął już lewą ręką ciepły szalik, aby związać ręce swojemu jeńcowi, lecz nagle jakby się rozmyślił, dał spokój i odtrącił włóczęgę od siebie. Fiedka zerwał się na równe nogi i w tej chwili błysnął mu w rękę krótki, szeroki nóż szewski.

- Precz z nożem, schowaj go, schowaj natychmiast - zniecierpliwionym głosem rozkazał Stawrogin, i nóż znikł tak samo szybko, jak się przed chwilą pojawił.

Stawrogin, milcząc i nie odwracając się, poszedł swoją drogą. Lecz uparty włóczęga nie odczepił się od niego. Szedł za nim, ale przestał już gadać i zachowywał z szacunku dystans jednego kroku. Przeszli w ten sposób przez most i na brzegu skręcili w lewo, w opustoszałą, długą uliczkę; była to najkrótsza droga do śródmieścia, krótsza niż przez Bogojawleńską.

- Czy to prawda, żeś okradł w tych dniach jakąś cerkiew gdzieś w powiecie? - zapytał zniecka Stawrogin.

Włóczęga odpowiedział spokojnie, uprzejmie, jak gdyby nic nie zaszło, nawet nie tyle uprzejmie, co z pewną godnością :

280

- Ja właściwie najpierw zaszedłem pomodlić się...

W głosie jego nie było już ani śladu poprzedniej „przyjacielskiej” poufałości. Tak mógł mówić człowiek stateczny, poważny, którego wprawdzie urażono, ale który umie takie rzeczy przebaczać.

- A gdy wprowadził mnie tam Pan Bóg, patrzę i myślę sobie: „Ach, co za skarby!” Sierotą będąc to zrobiłem, bo w losie naszym ani rusz bez wsparcia. I uwierzy mi wielmożny pan, że na własną stratę pracowałem? Bóg pokarał. Za kropidło i za kadzielnicę, i za obleczenie diakowskie tylko dwanaście rubelków zdobyłem. A ryza świętego Mikołaja, z czystego srebra, darmo poszła: powiedzieli mi, że to nie srebro, lecz tombak.

- Stróża zarzynałeś?

- Myśmy razem brali to wszystko, a potem dopiero nad ranem zaczęliśmy się spierać, kto ma dźwigać worek. Zgrzeszyłem, odjąłem mu trochę ciężaru.

- Zarzyna] dalej, okradaj dalej.

- To samo radzi mi Piotr Stiepanowicz, słowo w słowo! A to dlatego, że człek zeń skąpy i ciężki na wsparcie. A w Boga Jedyne, Stworzyciela nieba i ziemi, ani trochę nie wierzy i mówi, że wszystko zrobiła sama przyroda, aż do ostatniego zwierza. I nie rozumie, że my, w losie naszym, bez pomocy i wsparcia żyć nie możemy. A zaczniesz mu tłumaczyć, patrzy jak cielę na malowane wrota, aż dziw bierze! Nie uwierzy mi wielmożny pan, ale u kapitana Lebiadkina, od którego wielmożny pan teraz idzie, kiedy jeszcze mieszkał w domu Filippo-wa, czasem przez całą noc drzwi na oścież otwarte, sam śpi, pijany jak bela, a pieniądze sypią się z każdej kieszeni. Na własne oczy nieraz widziałem, bo w naszym stanie, żeby tak bez cudzej pomocy, to ani rusz nie można...

- Jak to „na własne oczy”? Zachodziłeś w nocy czy co?

- Może i zachodziłem, ale kto tam o tym może wiedzieć?

- I nie zarząłeś?

- A policzyłem dobrze, tom i zmiarkował. Bo dowiedziawszy się dokumentnie, że półtorej setki zawsze mogę z kieszeni wyciągnąć, jakże miałem puszczać się na to, kiedy poczekawszy wyciągnę półtora tysiąca? Bo kapitan Lebiad-kin, na własne uszy to słyszałem, zawsze liczył na wielmożnego pana i nie ma tutaj takiego szynku, nawet ostatniej nory, gdzie

281

nie ogłaszałby o tym dokumentnie. Więc jakem się nasłucha! tego z różnych ust, całą nadzieję moją miałem już w wielmożnym panu. Ja tak wszystko jak ojcu lub bratu rodzonemu, bo Piotr Stiepanowicz nigdy się nie dowie, ani jaka inna dusza. No to jakże będzie z tymi trzema rubelkami, wielmożny panie? Będzie łaska czy nie? Och, ulga by to była wielka, bo w naszym stanie bez cudzej pomocy człowiek nie wyżyje.

Stawrogin zaśmiał się głośno i wyjął z kieszeni portmonetkę, w której było około pięćdziesięciu rubli drobnymi banknotami, wyrzucił jeden papierek, potem drugi, trzeci, czwarty. Fiedka łapał je w powietrzu, podbiegał, chwycił. Papierki padały w błoto, a Fiedka łapiąc pokrzykiwał: „Ech, ech!” Stawrogin rzucił na koniec w niego całą paczką i śmiejąc się wciąż poszedł dalej swoją drogą, teraz już sam. Włóczęga szukał pieniędzy pełzając na kolanach w błocie, zbierał papierki rozsypane na wietrze pełzając w kałużach i jeszcze w godzinę potem można było słyszeć w mroku jego urywane okrzyki: „Ech, ech!”

ROZDZIAŁ TRZECI

POJEDYNEK

I

Nazajutrz o drugiej po południu odbył się wyznaczony pojedynek. Do szybkiego załatwienia sprawy przyczyniło się w znacznym stopniu gwałtowne naleganie Artiema Pawłowicza Gaganowa, który pragnął strzelać się za wszelką cenę. Nie rozumiał zachowania się przeciwnika i był wściekły. Już od miesiąca obrażał go bezkarnie, a jednak nie mógł wyprowadzić go z równowagi. Chciał, by to Stawrogin jego wyzwiał, gdyż sam nie miał wyraźnego powodu do pojedynku. Wstydził się nie wiadomo dlaczego przyznać do swych ukrytych pobudek, czyli po prostu do chorobliwej nienawiści za obrazę honoru sprzed czterech lat. Zdawał sobie zresztą sprawę, że nie może to być pretekstem do pojedynku, zważywszy zwłaszcza dwukrotne przeprosiny Stawrogina, orzekł więc, że Stawrogin jest skończonym tchórzem; nie rozumiał, jak taki człowiek mógł znieść policzek od Szatowa. W końcu zdecydował się na ów list, niezwykle ordynarny, który zmusił wreszcie Stawrogina do wyzwania. Wysławszy w przeddzień ten list, gorączkowo oczekując wyzwania, chorobliwie obliczając szansę, to wierząc, to tracąc nadzieję, na wszelki wypadek wybrał sobie jeszcze z wieczora sekundanta, Maurycego Nikołajewicza Drozdowa, swego przyjaciela, dawnego kolegę szkolnego, którego wyjątkowo cenił. W ten sposób Kiryłow, zjawiwszy się o dziesiątej rano, znalazł już grunt przygotowany. Wszystkie wyjaśnienia i niesłychane ustępstwa Stawrogina zostały natychmiast energicznie i stanowczo odrzucone. Maurycy Nikołajewicz, który od wczoraj dopiero wiedział o przebiegu

283

sprawy, wysłuchawszy tak wyjątkowych propozycji, był szczerze zdumiony i chciał już namowić Gaganowa do zgody, zauważył jednak, że Gaganow, przeniknąwszy jego zamiary, wprost zatrząsł się na krześle, dał więc temu spokój, gdyby uprzednio nie złożył obietnicy przyjacielowi, byłby wyszedł, został jednak w nadziei, że pomoże w czymkolwiek przy samym zakończeniu sprawy Kiryłow złożył niezbędne oświadczenie, wszystkie warunki pojedynku, zaproponowane przez Stawrogina, zostały przyjęte natychmiast, bez żadnych zastrzeżeń. Dodany został tylko jeszcze

jeden, bardzo ostry, jeżeli po pierwszych strzałach nie zajdzie nic konkretnego, przeciwnicy mają spotkać się po raz drugi, jeżeli i wtedy skończy się na niczym to po raz trzeci Kinłłow, nachmurzony, próbował targować się co do trzeciego razu, ale mu się to nie udało, musiał więc zgodzić się, pod tym jednak warunkiem, że „trzy razy można, ale czwarty raz nie” Uzyskał ustępstwo pod tym względem W ten sposób o drugiej po południu odbyło się spotkanie w Brykowie, czyli w małym lasku podmiejskim, położonym między Skworesznikami a fabryką Szpigulmow Deszcz już me padał, lecz wciąż było mokro i wietrzno Niskie, mętne chmury gnały po chłodnym niebie, drzewa szumiały głośno i skrzypiały przy korzeniach, dzień był bardzo smutny

Gaganow i Drozdów przyjechali parą koni, eleganckim brekiem Powoził Gaganow Mieli ze sobą lokaja W tej samej chwili zjawili się Stawrogin i Kinłłow, nie w pojeździe, lecz konno, w towarzystwie konnego służącego Kinłłow, chociaż nigdy przedtem nie siedział na koniu, trzymał się prosto i śmiało, ściskając pod pachą pudła z pistoletami Bał się powierzyć je słudze Lewą ręką, przez nieumiejętność, ciągle wymachiwał i szarpał trzęźłę, wskutek czego koń potrząsał głową i zdradzał chętkę, by stanąć dęba Nie przerażało to wcale jeźdźca Podejrzliwy Gaganow, który obrażał się łatwo i wszystko brał sobie do serca, uznał ich przybycie konno za nową zniewagę Rozumiał to w ten sposób, że przeciwnicy widocznie byli zbyt pewni powodzenia, skoro nie mieli ze sobą nawet pojazdu na wypadek, gdyby zaszła potrzeba odwiezienia rannego Wysiadł ze swego breku, pozołkły ze złości, i poczuł, że ręce mu drżą, o czym powiedział Maurycemu Nikołajewiczowi Na ukłon Stawrogina nie odpowiedział i odwrócił się Sekundanci rzucili losy, wylosowano, pistolety

284

Kmłłowa Odmierzono barierę, postawiono przeciwników na stanowiskach i odesłano konie i służących o jakieś trzysta kroków w tył Nabito pistolety i wręczono je przeciwnikom Żałuję, że muszę snuć dalej tę opowieść i nie mogę poświęcić zbyt dużo miejsca opisom Nie mogę jednak pominąć paru szczegółów Maurycy Nikołajewicz był smutny, zatroskany, Kinłłow zaś zachowywał się spokojnie i obojętnie, ściśle wypełniał swe obowiązki, bez zbytniego pośpiechu i tak, jak gdyby nie interesował go wcale fatalny, a tak bliski już wynik Stawrogin był bledszy niż zwykle Miał na sobie lekkie ubranie, palto i kastorowy kapelusz Wyglądał na bardzo znużonego, marszczył brwi od czasu do czasu i nie uznawał za potrzebne ukrywać swego niemilego nastroju Ale najbardziej zajmująco wyglądał Gaganow, muszę więc poświęcić mu kilka słów

II

Dotychczas me miałem sposobności opisać jego wyglądu Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, schludny, odkarmio-ny, jak mówi prosty lud, prawie otyły, o rzadziutkich jasnych włosach i dość regularnych rysach Miał trzydzieści trzy lata Podał się do dymisji jako pułkownik Gdyby dosłużył się rangi generała, wyglądałby jeszcze okazalej i prawdopodobnie byłby niezłym, walecznym generałem

Trudno pominąć milczeniem, że głównym powodem jego podania się do dymisji była tak dawno dręcząca go myślenie o hańbie rodowej po obeldze, której doznał jego ojciec w klubie przed czterema laty Uważał, że sumienie me pozwala mu pozostawać w wojsku, był przekonany, że plami mundur pułko-w) i honor kolegów, chociaż nikt z nich me wiedział nic o tym zdarzeniu Wprawdzie i dawniej, przed wypadkiem w klubie, myślał przez pewien czas o porzuceniu pułku, lecz wciąż się wahał To dziwne - lecz istotną przyczyną czy raczej pretekstem tego pierwotnego zamiaru podania się do dymisji był manifest z 19 lutego o zniesieniu poddaństwa Gaganow, jeden z najbogatszych obszarników, który nawet niezbyt dużo tracił wskutek manifestu, który w dodatku przedtem potrafił ocenić humamtarnosc, a nawet ekonomiczne korzyści

z reformy, poczuł się po ogłoszeniu manifestu jak gdyby dotknięty osobiście. Było to jakieś nieokreślone uczucie, tym jednak silniejsze, im mniej świadome. Przed śmiercią ojca nie mógł się zdecydować na podjęcie jakiegokolwiek stanowczej decyzji. W Petersburgu dał się poznać ze swych „praworządnych” myśli wielu wpływowym osobistościom, z którymi też troskliwie podtrzymywał stosunki. Był to człowiek zamknięty w sobie, nie lubiący zwierzeń. I jeszcze jeden rys: należał do tych rzadkich, tu i ówdzie istniejących jeszcze w Rosji ludzi, którzy wysoce cenią starożytność i czystość swego szlacheckiego pochodzenia i przywiązują do tego dużą wagę. Jednocześnie zaś nienawidził całej Rosji, a wszystkie rosyjskie obyczaje uważał za wyjątkowe chamstwo. Już w dzieciństwie, w tej specjalnej szkole wojskowej dla najbogatszych i najlepiej urodzonych, którą miał zaszczyt skończyć, utrwaliły się w nim pewne romantyczne poglądy, podobały mu się zamki warowne, życie w wiekach średnich, jego teatralna strona; prawie płakał ze wstydu, że za czasów księstwa moskiewskiego monarcha mógł ukarać cielesnie bojara rosyjskiego, i czerwieniał na myśl o porównaniach.² Ten twardy, surowy człowiek, który doskonale znał służbę i najściślej wykonywał swoje obowiązki, był w głębi duszy marzycielem. Podobno mógłby przemawiać publicznie, gdyż miał dar słowa. A jednak całe życie milczał kryjąc wszystko w sobie. Nawet w tym dostojnym środowisku, w którym przebywał w Petersburgu w ostatnich czasach, zachowywał się wyniośle. Spotkanie w stolicy ze Stawroginem, który powrócił do Rosji, doprowadziło go prawie do obłędu. Obecnie, stojąc na pozycji, był ogromnie niespokojny. Wciąż obawiał się, że sprawa nie zostanie załatwiona, i najmniejsza zwłoka przejmowała go dreszczem. Na twarzy jego odbił się szczerzy ból, gdy Kiryłow, zamiast dać znak do rozpoczęcia pojedynku, zaczął mówić, wprawdzie tylko dla zasady, o czym zresztą sam wspominał:

- Właściwie to tylko formalność, ale teraz, gdy panowie mają już pistolety w rękę i gdy pora zaczynać, czy nie zechcą panowie - proponuję po raz ostatni - pogodzić się? To mój obowiązek jako sekundanta.

Jak na złość, Maurycy Nikołajewicz, który dotychczas milczał, lecz od samego rana trapił się własną ustepliwością i pobłażaniem, teraz także zaczął mówić:

286

- Przyłączam się najzupełniej do propozycji pana Kiryłowa... ta myśl, że nie można godzić się stojąc już na stanowisku, jest przesądem godnym chyba Francuzów... Nie widzę zresztą obrazu, dawno już chciałem to powiedzieć. Przecie zaproponowane są znaczne ustępstwa, prawda?

Poczerwieniał. Rzadko zdarzało mu się mówić tak dużo i w takim wzburzeniu.

- Potwierdzam wszystkie moje propozycje - natychmiast odpowiedział Stawrogin.

Na to Gaganow, zwracając się do Maurycego Nikołajewicza i tupiąc nogami, zaczął krzyczeć:

- To niemożliwe! Niech pan powie temu człowiekowi, jeżeli jest pan moim sekundantem, a nie wrogiem (tu wskazał pistoletem na Stawrogina), że takie ustępstwa są tylko podwójną obelgą! On uważa, że nie może nawet obrazić się na mnie!... Nie widzi hańby w tym, że odejdzie stąd- bez strzału! Za kogo on mnie więc uważa i to w pana obecności?... A pan w dodatku jest moim sekundantem! Pan specjalnie mnie drażni, żebym nie trafił! - Znów tupnął nogą, ślina prysnęła mu z ust.

- Układy skończone! - donośnie zawołał Kiryłow. - Proszę słuchać komendy. Raz! Dwa! Trzy!

Po słowie „trzy” przeciwnicy zaczęli zbliżać się do siebie. Gaganow podniósł broń i wystrzelił przy piątym czy szóstym kroku. Zatrzymał się na sekundę, zobaczywszy jednak, że chybił, prędko podszedł do bariery. Stawrogin podszedł, podniósł pistolet, lecz jakoś zbyt wysoko i strzelił prawie nie celując. Potem wyjął chusteczkę i owinął mały palec prawej ręki. Zauważono wtedy dopiero, że

Gaganow niezupełnie spudłował, lecz kula prześliznęła się po miękkiej części palca nie ruszywszy kości. Było to tylko lekkie drażnienie. Kiryłow oświadczył natychmiast, że pojedynek trwa dalej, o ile przeciwnicy nie życzą sobie przerwać.

- Oświadczam - ochryple zawołał Gaganow (zaszło mu w gardle) znów zwracając się do Maurycego Nikołajewicza - że ten człowiek (znów wskazał pistoletem w stronę Stawrogina) - wystrzelił naumyślnie w powietrze... Naumyślnie... To nowa obelga! On chce uniemożliwić pojedynek!

- Mam prawo strzelać, jak chcę, bylebym przestrzegał prawideł - oświadczył stanowczo Stawrogin.
287

- On nie ma prawa! Wytlumaczcie mu to, panowie! - wołał Gaganow.

- Całkowicie podzielałam opinię Mikołaja Wsiewołodowicza - odezwał się Kiryłow.

Gaganow nie słuchał i wpadł w straszliwą pasję:

- Dlaczego on mnie oszczędza? Pogardzam jego względami! Pluję na niego!...

- Daję słowo honoru - niecierpliwie rzekł Stawrogin - że wcale nie chciałem pana obrazić. Wystrzeliłem w powietrze, gdyż nie chcę więcej zabijać nikogo: pana czy kogoś innego, to zresztą moja rzecz. Prawda, nie czuję się obrażony i żałuję, że to pana gniewa. Lecz nie pozwolę nikomu pozbawiać mnie moich praw.

- Niech pan spyta - wołał Gaganow, wciąż zwracając się do Maurycego Nikołajewicza - dlaczego mnie wyzwał, jeżeli tak boi się krwi.

- Jak można było pana nie wyzwać? - wtrącił się Kiryłow. - Pan nie chciał słuchać o niczym i nie można było się odczepić.

- Muszę stwierdzić jedno - rzekł Maurycy Nikołajewicz rozważając z wysiłkiem sprawę. - Jeżeli przeciwnik uprzedza z góry, że będzie strzelał w powietrze, pojedynek istotnie nie może trwać dłużej, z drażliwych i zrozumiałych przyczyn.

Stawrogin zaczął tracić cierpliwość.

- Ja wcale nie uprzedzam, że będę znowu strzelał w powietrze. Pan nie może wiedzieć, co mam na myśli i jak wystrzelę teraz. W niczym nie krępuję pojedyнку!

- W takim razie pojedynek trwa - rzekł Maurycy Nikołajewicz do Gaganowa.

- Panowie! Na stanowiska! - zawołał Kiryłow.

Znowu schodzili się, znowu Gaganow chybił, a Stawrogin strzelił w powietrze. O tych strzałach w powietrze można było dyskutować. Gdyby Stawrogin po pierwszym razie nie był się przyznał, mógłby łatwo dowodzić, że strzelał, jak należy. Kierował lufę nie gdzieś tam w niebo lub w drzewo, lecz niby to celował w przeciwnika, najwyżej o jakiś arsyzyn nad jego głową. Za drugim razem strzał był jeszcze bardziej prawdopodobny, lecz Gaganow nie dał się już przekonać.

- Znowu! - zgrzytał zębami. - Wszystko jedno! Jestem

288

wyzwany i korzystam z prawa... Chcę strzelać po raz trzeci i będę!

- Nikt panu tego nie zabrania! - odparł Kiryłow.

Maurycy Nikołajewicz milczał. Rozstawiono przeciwników po raz trzeci, rozległa się komenda. Na ten raz Gaganow podszedł do samej bariery i zaczął mierzyć mając Stawrogina o dwanaście kroków. Zbyt drżały mu ręce, aby strzał mógł być celny. Stawrogin stał ze spuszczoneym pistoletem

i nieru-rucho oczekiwał strzału.

Kiriłłow krzyknął:

- Zbyt długo! Zbyt długo pan celuje! Strzelać! Strzelać!

Rozległ się wystrzał i kastorowy kapelusz zleciał z głowy Stawrogina. Strzał był dość celny. Kapelusz został przeszyty kulą bardzo nisko. Gdyby o ćwierć werszka niżej, byłby koniec. Kiriłłow podbiegł i podał kapelusz Stawroginowi.

- Niech pan strzela, niech pan nie trzyma przeciwnika! - Zawołał Maurycy Nikołajewicz w niesłychanym podnieceniu, widząc, że Stawrogin jak gdyby zapomniał o pojedynku, oglądając z Kiriłłowem kapelusz.

Stawrogin drgnął, spojrzął na Gaganowa, odwrócił się i tym razem już bez żadnego zachowania pozorów wystrzelił w bok, do lasku. Pojedynek był skończony.³ Gaganow stał osłupiały. Drozdów podszedł do niego i zaczął mu coś tłumaczyć, lecz widać było, że Gaganow nie rozumie. Kiriłłow odchodząc zdjął kapelusz i uklonił się Maurycemu Nikołajewiczowi. Stawrogin zaś zapomniał o swej uprzedniej grzeczności. Wystrzeliwszy w powietrze, nie odwrócił się nawet, oddał swój pistolet sekundantowi i szybkim krokiem poszedł w stronę, gdzie stały konie. Twarz jego była gniewna, milczał. Kiriłłow też milczał. Dosiedli koni i popędzili galopem.

III

- Dlaczego pan milczy? - spytał niecierpliwie Stawrogin, gdy już podjeżdżali do domu.

- O co panu chodzi? - odpowiedział Kiriłłow, o mało nie spadając z konia, który w tej chwili stanął dęba.

Stawrogin zapanował nad sobą. Mówił już spokojniej:

- Nie chciałem obrażać tego... idioty, lecz obraziłem.

l 1 Dostojewski, t III 289

- Tak, pan go bardzo obraził - stwierdził Kiriłłow. - A przy tym to wcale nie idiota.

- Zrobiłem jednak wszystko, co mogłem.

- Nie.

- Cóż jeszcze miałem zrobić?

- Nie wyzywać.

- Może nawet znieść bicie po twarzy ?

- Tak.

- Nic już nie rozumiem! - zawrzał Stawrogin. - Dlaczego wszyscy żądają ode mnie tego, czego od innych się nie żąda? Dlaczego ja mam znosić to, czego nikt nie zniesie i dźwigać takie brzemie, jakiego nikt nie udźwignie?

- Myślałem, że pan sam tego szuka.

- Ja? Szukam?

- Tak.

- Pan... to zauważył?

- Tak.

- Myślałem, że pan szuka - obojętnie rzekł Kiriłłow. Wjechali na dziedziniec.

- Wstąpi pan do mnie? - zaproponował Stawrogin.

- Nie, ja do domu. Do widzenia!

Zsiadł z konia, wziął pod pachę pudło z pistoletami.

Stawrogin wyciągnął dłoń.

- Lecz pan przynajmniej nie gniewa się na mnie?
- Skądże! - odpowiedział Kiryłow ściskając dłoń Sta-wrogina. - Jeżeli moje brzemie nie ciąży mi, to dlatego, że taki mam charakter, a jeżeli panu bardziej ciąży - to też charakter. Nie ma co tak bardzo się wstydzić. Najwyżej trochę.

- Wiem, że mam nędzny charakter, lecz nie udaję siłacza.

- I niech pan nie udaje. Pan nie jest siłaczem. Niech pan kiedy wstąpi do mnie na herbatę.

Stawrogin poszedł do siebie, bardzo zmieszany.

- Tak.

Milczeli przez chwilę. Stawrogin był zamyślony i zdziwiony. Wreszcie odezwał się lękliwie, jak gdyby się usprawiedliwiał :

- Nie strzelałem dlatego, że nie chciałem zabijać. Nic więcej. Niech mi pan wierzy.

- Nie trzeba było obrażać.

- Jak miałem to zrobić ?

- Trzeba było zabić.

- Pan żałuje, że go nie zabiłem?

- Nie żałuję niczego. Myślałem, że pan chciał go naprawdę zabić. Pan nie wie, czego chce.

- Chcę dźwigać brzemie - zaśmiał się Stawrogin.

- Nie chciał pan krwi, ale dlaczego pan jemu pozwalał zabijać?

- Gdybym go nie wyzwiał, zabiłby mnie tak, bez pojedynku.

- To nie pana sprawa, może by nie zabił.

- A tylko zabił...

- To nie pana sprawa. Niech pan dźwiga swoje brzemie. Bez tego nie ma zasługi.

- Gwizdź na zasługę. Nie szukam jej nigdzie.

290

IV

Dowiedział się natychmiast od Aleksego Jegorowicza, że Barbara Pietrowna, zadowolona, że syn jej po raz pierwszy po ośmiodniowym niedomaganiu wyjechał konno na spacer, kazała zaprząć konie do karety i pojechała „jak zwykle, by odetchnąć świeżym powietrzem, bo już osiem dni, jak zapomniała, co to znaczy: oddychać świeżym powietrzem”.

- Sama czy z Darią Pawłówną? - przerwał mu Stawrogin i zmarszczył brwis dowiedziawszy się, że Daria Pawłówna „nie zechciała towarzyszyć wielmożnej pani, bo źle się czuje i obecnie przebywa w swoim pokoju”.

- Słuchaj, stary - powiedział Stawrogin pod wpływem decyzji, która przyszła z nienacką. - Pilnuj cały dzień Darii Pawłowny, a jak zobaczysz, że idzie do mnie, to zatrzymaj i powiedz jej, że przynajmniej przez kilka dni nie mogę jej przyjmować... że proszę ją o to... a jak przyjdzie czas, to sam powiem. Rozumiesz?

- Tak jest - odpowiedział Aleksey Jegorowicz ze smutkiem spuszczać oczy.

- Ale nie mów jej nic, dopóki nie zobaczysz, że idzie do mnie.

i9- 291

- Dobrze, proszę pana Niech pan będzie spokojny i o przeze mnie szły dotychczas wszystkie spotkania Dana Pawłowna zawsze do mnie się zwraca

- Wiem Ale pamięta) nie wcześniej), aż kiedy sama będzie szła Przynies mi herbatę, ale prędko!

Ledwo staruszek zdążył wyjść, gdy do pokoju prze? te same drzwi weszła Dana Pawłowna Była spokojna, lecz błada

- Jak pani tu weszła - zapytał Stawrogm

- Stałam za drzwiami i czekałam, aż on wyjdzie Słyszałam, co pan mu mówił, i gdy wychodził, schowałam się we framudze, aby mnie nie zauważył

- Dawno już chciałem zerwać z panią póki czas Nie mogłem przyjąć pani dziś w nocy, mimo te) kartki Chciałem sam napisać, lecz nie umiem - dodał niechętnie, nawet z pewnym obrzydzeniem

- Myślałam sama, że trzeba przerwać Barbara Pie-trowna czegoś się już domyśla

- A mech tam

- Po co ma się martwić I tak przecież wszystko zmierza do końca I

- Pani wciąż oczekuje końca

- Tak, wiem

- Na świecie me bywa końca

- Tu będzie A wtedy pan mnie zawoła Przyjdę Stawrogm uśmiechnął się

- Jaki może być koniec Nie odpowiedziała mu

- Czy pan ranny - zapytała po chwili - I czy pan me przelał cudzej krwi

- Skończyło się głupio Niech pani będzie spokojna nic zabiłem nikogo Zresztą, dziś już będą o tym mówili Dowie się pani Trochę złe się czuję

- Zaraz sobie pójdę Dziś me powie pan jeszcze o ślubie - zapytała nieśmiało

- Dziś - nie I jutro - me Pojutrze - nie wiem Może do tego czasu umrzemy wszyscy, co byłoby najlepsze Niech pani mnie zostawi samego

- Pan me umieszczęshwi tamtej obłąkanej

- Obłąkanych nie umieszczęshwię Ani tej, ani tamtej

292

Kto wie jednak, czy nie umieszczęshwię rozsądnej Tak jestem podły, że, zdaje się, naprawdę zawołam panią „w ostatniej godzinie”, „kiedy przyjdzie koniec”, jak to pani mówi A pani, pomimo całej swojej mądrości, przyjdzie Dlaczego pani sama się umieszczęshwia

- Wiem, że w końcu tylko ja zostanę przy panu i czekam tej chwili

- A jeżeli wtedy nie zawołam i ucieknę

- To niemożliwe Pan zawoła

- Pani mną pogardza

- Pan wie, że nie tylko

- Więc jest i pogarda

- Nie to chciałam powiedzieć Bóg mi świadkiem, że pragnęłabym, abym nigdy nie była panu potrzebna

- To także frazes I ja nie chciałbym umieszczęshwiac pani

- Nigdy, niczym nie może mnie pan umieszczęshwić - powiedziała Dasza stanowczo i mocno - Jeżeli nie do pana, pójdę jako siostra miłosierdzia, będę pielęgniarką przy chorych w szpitalu albo pójdę po miastach sprzedawać Pismo Święte Tak postanowiłam Nie mogę być niczyją żoną Nie mogę też żyć tak, jak żyję w tym domu Chcę czegoś innego Pan wszystko wie

- Nie, nigdy nie wiedziałem, czego pani chce Mam wrażenie, że obchodzę panią tak samo, jak starą pielęgniarkę w szpitalu obchodzi jakiś chory więcej niż inny, lub nawet jak pobożne staruszki, włączające się z pogrzebu na pogrzeb, wołają czasem tego truposza, a nie innego Dlaczego pani patrzy na mnie tak dziwnie

- Pan bardzo chory - zapytała współczująco, wpatrując się w niego - Mój Boże! Ten człowiek

myśli, że potrafi obejść się beze mnie

- Dasza, niech pani posłucha! Teraz ciągle mi się coś rości. Wczoraj na mieście jakiś mały bies ofiarowywał się zarznąć Lebiadkina i jego siostrę, aby zgrabnie skończyć z moim małżeństwem. Prosił o zaliczkę trzyrublową, lecz wyraźnie dawał do zrozumienia, że cała operacja kosztowałaby tysiąc pięćset rubli. Taki wyrachowany bies Buchalter Cha, cha, cha

- Czy pan wie na pewno, że to się panu tylko rości?

- Ach me, bynajmniej. To był po prostu Fiedka Ka-
293

torzny, zbój, który uciekł z katorgi. Ale nie o to chodzi. Jak pani myśli? Co ja zrobiłem? Rzuciłem mu wszystkie pieniądze, które miałem w kieszeni, i ten człowiek jest dziś święcie przekonany, że dałem mu zaliczkę.

- Pan go spotkał w nocy i ten drab zrobił panu taką propozycję? Czyż pan nie widzi jeszcze, jak pana oplotła ich sieć?

- Bóg z nimi. Wie pani, że pani wciąż ma na ustach jedno pytanie? Widzę to z pani oczu. Dasza przestraszyła się.

- Nie ma żadnego pytania i nie ma żadnych wątpliwości! - zawołała trwożnie, jak gdyby chciała uwolnić się od niepokojących myśli. - Niech pan lepiej nie mówi.

- Czy pani jest pewna, że nie pójdę do sklepiku Fiedki?

- Mój Boże! - zawołała. - Dlaczego pan mnie tak męczy?

- Niech pani mi wybaczy mój głupi żart. Prawdopodobnie zaraziłem się od „tamtych” brzydkimi obyczajami. Czy pani wie, że od ostatniej nocy wciąż mi się chce śmiać, śmiać się ciągle, bez przerwy, długo... Zaraziłem się śmiechem... Ha! ale matka już przyjechała - poznaję turkot karety pod bramą.

Dasza chwyciła go za rękę.

- Niech Bóg pana chroni od pańskiego demona... i niech pan wezwie mnie jak najrychlej.

- Jaki tam demon? To po prostu mały, obrzydliwy bies. Skrofuliczny, zakatarzony bies, taki nieudany. Ale przecież pani znowu boi się coś powiedzieć?

Z bólem, z niemyim wyrzutem spojrzała na niego i odwróciła się do drzwi.

- Niech pani mi powie - zawołał Stawrogin ze złością i krzywym uśmiechem - a jeżeli... no, słowem, jeżeli... rozumie pani, jeżeli bym poszedł do tego sklepiku, a potem panią zawołał, czy przyszłaby pani potem?

Nie odpowiedziała mu. Ukryła twarz w dłoniach i wyszła nie odwracając się.

- Przyjdzie i potem! - szepnął i na twarzy jego odbiła się pogarda i niesmak. - Siostra miłosierdzia! Ha... a może właśnie to mi jest potrzebne.

ROZDZIAŁ CZWARTY

WSZYSCY W OCZEKIWANIU

I

Wiadomość o pojedynku rozniosła się szybko i wywarła wszędzie silne wrażenie. Trzeba przyznać, że wszyscy natychmiast stanęli po stronie Stawrogina. Dawni jego wrogowie starali się zmanifestować swe przyjazne uczucia. Główną przyczyną takiego zwrotu opinii publicznej były słowa trafnie wypowiedziane przez pewną osobę, która dotychczas zachowywała milczenie, słowa rzucające bardzo ciekawe światło na całą sprawę. A było to tak: nazajutrz po zdarzeniu całe miasto

zebrało się u żony marszałka szlachty, która tego dnia obchodziła imieniny. Była tam również, a raczej wiodła prym, Julia Michajłowna. Przybyła wraz z Lizawietą • Nikołajewną, która tryskała wprost wesołością i urodą, co się nawet niektórym naszym paniom wydawało tym razem szczególnie podejrzane. Dodam, że już nie mogło być wątpliwości co do jej zaręczyn z Maurycym Nikołajewiczem. Na żartobliwe pytania pewnego dymisjonowanego generała, bardzo ważnej figury, o której będzie tu jeszcze mowa, Lizawietą Nikołajewną najwyraźniej odpowiedziała, że jest już zaręczona. Rzecz jednak dziwna: żadna z naszych pań nie dała temu wiary. Nikt nie mógł się rozstać z uporzeczywymi podejrzeniami o jakiś romans, o tajemnicę rodzinną z czasów szwajcarskich i nie wiadomo dlaczego o udział w tym wszystkim Julii Michajłowny. Trudno nawet powiedzieć, dlaczego tak utrwaliły się wszystkie te pogłoski czy raczej urojenia i dlaczego tak uparcie wplataną w nie imię Julii Michajłowny, toteż gdy tylko weszła, wszyscy zwrócili ku niej wyczekujące spojrzenia. O pojedynku mówiono

tego wieczora półgłosem, ostrożnie, gdyż zajście było zbyt świeże i towarzyszyły mu pewne drażliwe okoliczności. Nie wiadano też, jak się zachowają władze. Wiedziano tylko, że żaden z pojedykowiczów nie był niepokojony. Wiedziano na przykład, że Gaganow bez żadnych przeszkód wyjechał dziś do Duchowa, do swojego majątku. Oczywiście wszyscy oczekiwali z niecierpliwością, że ktoś pierwszy głośno się odezwie dając tym upust ogólnej ciekawości. Liczono pod tym względem na wyżej wspomnianego generała, który istotnie nie zawiódł oczekiwań.

Ów generał, jeden z najdostojniejszych członków naszego klubu, ziemianin, lecz nie najbogatszy, o niezwykle lojalnym sposobie myślenia, znany kobieciarz starej daty, ogromnie lubił, między innymi, głośno, z generalską powagą, mówić na wielkich przyjęciach o takich sprawach, o których wszyscy mówili półgłosem. Na tym właśnie polegała jego, jeżeli można się tak wyrazić, specjalna rola w naszym towarzystwie. Przy tym miał zwyczaj w takich razach przeciągać słowa i wymawiać je z wielką słodyczą, naśladując sposób mówienia podróżujących za granicą Rosjan lub też tych dawnych zamożnych ziemian, którzy najwięcej stracili na reformie włościańskiej. Stiepan Trofimowicz zwrócił kiedyś uwagę, że im więcej ktoś stracił, tym słodziej przeciąga i sepleni. Sam zresztą tak robił, ale nie dostrzegał tego.

Generał zaczął mówić jak człowiek świadomy rzeczy. Był nawet dalekim krewnym Gaganowa, chociaż nie żył z nim w zgodzie, a nawet podobno miał z nim proces. Poza tym sam pojedykował się dwa razy w życiu i za jeden z tych pojedyków był w swoim czasie zdegradowany i wysłany na Kaukaz. Ktoś wspomniał o Barbarze Pietrownie, która już na drugi dzień „po chorobie” zaczęła pokazywać się na mieście. Nawet nie o niej była mowa, lecz o doskonale dobranej czwórce, pochodzącej ze stadniny Stawroginów. Generał powiedział na to, że spotkał „młodego Stawrogina” jadącego konno... Wszyscy natychmiast zamilkli. Generał cmoknął i kręcąc w palcach złotą tabakierkę, podarunek monarchy, oświadczył:

- Żałuję, że nie był tu przed kilku laty... Byłem wtedy w Karlsbadzie... Hm! Bardzo interesuje mnie ten młodzieniec, o którym wtedy tak dużo mówiono. Czy to prawda, że jest chory umysłowo? Tak wtedy mówiono. A tu słyszę, że znieważył

go jakiś student w obecności kuzynek, on zaś wlaź podobno pod stół. Wczoraj znów opowiada mi Stiepan Wysocki, że Stawrogin strzelał się z tym... Gaganowem. I to jedynie po to, by uprzejmie nadstawić czoło rozwścieczonemu człowiekowi, byle odzepić się od niego. Hm... to w stylu gwardii sprzed lat czterdziestu. Czy on tu bywa u kogo?

Generał zamilkł oczekując widocznie odpowiedzi. Niecierpliwość zebranych mogła już znaleźć ujście.

- Cóż może być prostszego? - powiedziała nagle głośno Julia Michajłowna, rozdrażniona tym, że wszyscy, jak na komendę, skierowali na nią spojrzenia. - Czyż można się dziwić, że Stawrogin pojedykował się z Gaganowem, a nie reagował na wybryk studenta? Przecież nie mógł się

pojedynkować ze swoim byłym poddanym.

Niesłychanie doniosłe słowa! Myśl była prosta i jasna, a jednak nikomu dotychczas nie przyszło to do głowy. Słowa te miały poważne następstwa. Cała strona skandaliczna, plotkarska, anegdotyczna została odsunięta na drugi plan. Pojawił się nowy sens. Zarysowało się nowe oblicze człowieka, którego dotychczas nie rozumiano, który miał prawie idealnej czystości poglądy. Śmiertelnie znieważony przez studenta, czyli przez człowieka inteligentnego i już wolnego, Stawrogin pogardliwie nie zwraca uwagi na krzywdę, dlatego że krzywdziciel jest jego byłym poddanym. W towarzystwie szerzą się plotki, robi się wiele hałasu; lekkomyślne towarzystwo pogardza człowiekiem bitym po twarzy; on jednak lekceważy sobie opinię publiczną, która nie dorosła do prawdziwych pojęć o honorze.

Jakiś staruszek, członek klubu, w szlachetnym porywie skruchy, rzekł do drugiego staruszka:

- A my tu tymczasem, Iwanie Aleksandrowiczu, siedzimy tylko i gawędzimy o słusznych przekonaniach.

- Tak, tak, Piotrze Michajłowiczu - odrzekł drugi staruszek. - I jak tu się skarżyć potem na młodzież!

- Tu nie o młodzież idzie, Iwanie Aleksandrowiczu - wtrącił trzeci staruszek. - Nie o całej młodzieży można to samo powiedzieć. To luminarz, a nie jakiś tam pierwszy lepszy z młodzieży. To trzeba w ten sposób rozumieć.

- A takich nam właśnie potrzeba. Ludzi nie mamy. Istota rzeczy polegała na tym, że ów „nowy człowiek”,

297

który okazał się „niewątpliwym szlachcicem”, był w dodatku jednym z najbogatszych ziemian naszej guberni Widziano więc w nim ratunek Mógł zostać działaczem Wspomniałem już przedtem o nastrojach panujących wśród naszych ziemian

Niektórzy ryzykowali jeszcze bardziej

- Niech ekscelencja zwróci uwagę, że on nie tylko nie wyzywał studenta, lecz nawet rękę skrzyżował z tyłu To bardzo charakterystyczne

- I nie pociągnął go do odpowiedzialności przed nowy sąd1

- Pomimo to, że w nowym sądzie za osobistą obrazę szlachcica przyznano by mu piętnaście rubli Che, che, che Ktoś inny dodał w ferworze

- Ja panom zdradzę sekret nowych sądów Jeżeli ktoś ukradł lub oszukał, a złapano go na gorącym uczynku, mech spieszy, póki czas, do domu i zabija własną matkę Uniewinnia natychmiast, wszystko mu przebaczą, a panie na sali sądowej będą powiewały batystowymi chusteczkami Czysta prawda!

- Tak, taki

Nie obeszło się oczywiście bez pogłosek Wspomniano znajomość Stawrogin z hrabią K Wszystkim- była wiadoma surowa, niezgodna z prądem ogólnym, opinia hrabiego K o nowych reformach Znano też dobrze jego wybitną działalność, z której zaczął się wycofywać dopiero w ostatnich czasach I nagle wszyscy doszli do przekonania, że Stawrogin jest zaręczony z jedną z córek hrabiego K, chociaż nie było żadnego powodu, by taka wieść mogła być prawdziwa Co zaś do jakichś nadzwyczajnych przygód szwajcarskich Liza-wiety Nikołajewny, to nawet panie przestały o nich mówić Trzeba dodać, że Liza wraz z matką zdążyła właśnie do tego czasu złożyć

wszystkie dotąd zaniedbane wizyty Wszyscy zgodzili się na to, że Liza jest najzwyczajszą panią, a jej nerwy - rodzajem kokieterii Jej zemdleń w dzień przyjazdu Stawrogina wytłumaczono sobie teraz przestraszonym, wywołanym przez okropny wybryk studenta Starano się nawet podkreślić prozaiczność tego wszystkiego, co dotychczas ukazywało się w świetle fantastycznym, a o jakiejś tam kuter-kozce zapomniano ostatecznie, wstydzono się nawet o tym pamiętać „A chociażby nawet sto kuternozek5 Któż z nas nie

298

był młodym” Podkreślano szacunek Stawrogina względem matki, doszukiwano się rozmaitych jego zalet, mówiono o jego wysokiej wiedzy, zdobytej w ciągu czterech lat na niemieckich uniwersytetach Uznano ostatecznie, że Gaganow zachował się nietaktownie Nie docenił człowieka z towarzystwa Zachwycono się jednocześnie niezwykle trafnością sądów Julii Michajłowny

Toteż gdy wszedł wreszcie Stawrogin, powitano go z naiwną powagą We wszystkich spojrzeniach, skierowanych ku memu, można było wyczytać niecierpliwe oczekiwanie Stawrogin pogrążył się jednak w skupionym milczeniu, czym zaspokoił wszystkich znacznie skuteczniej, niż gdyby nagadał nie wiadomo ile Słowem, wszystko mu szło jak z płatka, stał się modny Gdy się raz ukaże w towarzystwie w mieście gubernalnym, nie może się już w żaden sposób wycofać Stawrogin najściślej przestrzegał całej obowiązującej w guberni etykiety Nie uchodził za wesołego „ten człowiek wiele cierpiał, jest inny niż wszyscy” Nawet duma i ta pogardliwa nieprzystępność, za którą tak go nienawidzono przed czterema laty, teraz podobała się i zyskała uznanie

Barbara Pietrowna triumfowała najbardziej Wątpię, aby zbyt martwiły ją owe rozwiane nadzieje co do Lizy Była zbyt dumna Rzecz tylko dziwna uwierzyła istotnie, że Nicolas „wybrał sobie” przyszłą towarzyszkę życia w domu hrabiego K ale, co jeszcze dziwniejsze, uwierzyła jedynie na podstawie pogłosek, które jej wiadomo jaki wiatr przyniósł Bała się zapytać syna Parę razy jej mogła się powstrzymać i półzartem robiła mu wyrzuty, że jej jest z nią szczerzy Stawrogin uśmiechnął się na to - i milczał dalej Milczenie to przyjęte zostało jako potwierdzenie A jednak nie mogła zapomnieć o Marii Timofiejewnie Mysi o niej leżała jak kamień na dnie jej duszy, jak koszmar dręczyła ją dziwnymi podejrzeniami i domysłami, a jednocześnie Barbara Pietrowna marzyła o córkach hrabiego K Ale do tej sprawy jeszcze powrócimy Rozumie się, że znów zaczęto wszędzie otaczać Barbarę Pietrowną dawnym szacunkiem i uprzedzającą grzecnością, ale ona nie korzystała z tego i bywała bardzo rzadko

Złożyła jednak uroczystą wizytę gubernatorowej Czyż trzeba mówić, że nikt bardziej od niej nie był zachwycony i podbity słowami Julii Michajłowny wypowiedzianymi na

299

przyjęciu u marszałkowej! Zwały one troskę z jej serca i rozstrzygnęły wiele wątpliwości, gnębiących ją od owej fatalnej niedzieli. „Nie doceniałam tej kobiety!” - oświadczyła i ze zwykłą egzaltacją oznajmiła Julii Michajłownie, że przyjechała, aby jej podziękować.

Julii Michajłownie schlebiali to bardzo, nie zdradziła się z tym jednak. W tym okresie czuła już grunt pod nogami, znała swoją wartość. Może nawet ją przeceniała. Pozwoliła sobie na przykład oświadczyć w rozmowie, że nic nie słyszała dotychczas o naukowej działalności Stiepana Trofimowicza.

- Przyjmuję oczywiście u siebie i otaczam opieką młodego Wierchowieńskiego. Nie ma ładu w głowie, lecz przecież to jeszcze młodzieniec. Ma wiedzę dość gruntowną. W każdym razie to coś innego niż ów były krytyk w stanie spoczynku.

Barbara Pietrowna nie omieszkała natychmiast odpowiedzieć, że Stiepan Trofimowicz nigdy nawet nie był krytykiem, a całe życie spędził w jej domu. Pozyskał zaś sławę dzięki okolicznościom, towarzyszącym początkom jego kariery, „które są zbyt znane wszystkim”, w ostatnim zaś okresie -

pracami z zakresu historii hiszpańskiej. Ma zamiar pisać o obecnym stanie uniwersytetów niemieckich i, zdaje się, o Madonnie drezdeńskiej. Widać było, że Barbara Pietrowna nie pozwoli Julii Michajłownie lekceważyć Stiepana Trofimowicza.

- O Madonnie drezdeńskiej ? Ach, o Sykstyńskiej ?2 Chere Barbaro Pietrowno, wysiedziałam przed tym obrazem dwie godziny i wyszłam rozczarowana. Nie rozumiałam nic i byłam bardzo zawiedziona. Karmazinow także mówił, że trudno zrozumieć. Teraz już wszyscy przestali widzieć w tym coś nadzwyczajnego. I Rosjanie, i Anglicy. To starzy ludzie rozdmuchali sławę tego obrazu.

- A więc nowa moda?

- Myślę, że nie należy lekceważyć naszej młodzieży. Mówią, że to komuniści, lecz sądzę, że należy ich oszczędzać i cenić. Czytuję teraz wszystko. Wszystkie dzienniki, wszystko o komunie, nauki przyrodnicze. Trzeba wreszcie wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Trudno przeżyć życie na szczytach własnej fantazji. Przyjęłam jako regułę, by garnąć do siebie młodzież i powstrzymywać ją na brzegu przepaści. Niech mi pani wierzy, Barbaro Pietrowno, że tylko my, społeczeństwo,

300

naszym dodatnim wpływem, naszym sercem, możemy powstrzymać młodzież od tej otchłani, w którą wtrąca ją nietolerancja tych wszystkich starców. Rada jestem zresztą, że dowiedziałam się od pani o Stiepanie Trofimowiczu. Nasunęła mi pani pewną myśl. Ten człowiek mógłby się nam przydać na naszym poranku literackim. Pani wie prawdopodobnie, że urządzam całodzienną zabawę na korzyść ubogich guwernantek, urodzonych w naszej guberni. Rozproszone są po całej Rosji. Z jednego tylko powiatu wyszło ich aż sześć. Prócz tego są dwie telegrafistki, dwie zaś uczą się w akademii. Inne chciałyby się także kształcić, lecz nie mają środków. Straszny jest los rosyjskiej kobiety.³ Barbaro Pietrowno! Dziś powstaje już zagadnienie wyższego wykształcenia kobiet. Odbyło się nawet na ten temat posiedzenie rady państwa. W naszej dziwnej Rosji każdemu wolno robić, co mu się podoba. I znowu jedynie dobrocią i serdecznym współdziałaniem całego społeczeństwa moglibyśmy skierować całą sprawę na właściwą drogę. Mój Boże! Jak mało mamy szlachetnych jednostek! Są tu i ówdzie, lecz rozsypane. Zespólmmy się, a będziemy silniejsi. Słowem, mam zamiar urządzić poranek literacki, potem lekkie śniadanie, potem będzie przerwa, wieczorem zaś bal. Chcielibyśmy zacząć od żywych obrazów, lecz to kosztowałoby zbyt dużo, więc urządzimy tylko dla publiczności parę kadryłów w maskach i charakterystycznych strojach, mających symbolizować rozmaite prądy literackie. Ta myśl to projekt Karmazinowa. On mi bardzo pomaga. Sam przeczytał swój ostatni utwór, dotychczas nikomu nie znany. Rzuca pióro i już nie będzie pisał. Ten ostatni utwór to jego pożegnanie z publicznością. Cudowny drobiazg pod tytułem: Mer ci. Tytuł francuski, lecz Karmazinow uważa, że to będzie wytworniej i żartobliwie). Zgadza się z nim, a nawet sama mu doradziłam. Myślę, że Stiepan Trofimowicz mógłby także coś wygłosić, byle nie za długo i byle nie zanadto uczenie. Zdaje się, że weźmie udział także Piotr Stiepanowicz i ktoś jeszcze. Piotr Stiepanowicz wpadnie do pani i przyniesie program. Zresztą pani pozwoli, że przywiozę sama.

- A pani pozwoli mi także wziąć udział w składce. Powtórzę to Stiepanowi Trofimowiczowi i sama go poproszę.

Barbara Pietrowna wróciła do domu wyraźnie zachwycona. Gotowa była kruszyć kopie o Julię Michajłownę i nie wiadomo

301

dłaczego była zła na Stiepana Trofimowicza, który siedział w domu i o niczym, biedak, nie wiedział.

- Zakochałam się w Lembkowej - mówiła do syna i do młodego Wierchowieńskiego, który był u niej tegoż wieczora. - Dziwię się, że mogłam się tak mylić w ocenie tej kobiety.

Piotr Stiepanowicz zaczął ją prosić, aby pogodziła się z jego ojcem.

- On jest w rozpacz. Pani go wypędziła do kuchni. Wczoraj spotkał panią w powozie, uklonił się, lecz pani się odwróciła. Wie pani, przyjdziemy mu z pomocą. Mam w związku z nim pewne zamiary. Może się jeszcze przydać.

- O, on coś wygłosi.

- Nie o to tylko mi chodzi. Sam chciałem dziś wpaść do niego. Mogę mu to powiedzieć?

- Jak pan chce. Nie wiem zresztą, jak pan to robi - dodała niezdecydowanie. - Chciałam sama z nim pomówić i wyznaczyć mu dzień i godzinę. - Zasepiła się.

- Och! Wyznaczyć! Nie warto. Po prostu zajdę do niego i powiem.

- Dobrze, niech mu pan powie. Lecz niech pan doda, że wyznaczę dzień. Niech pan koniecznie to doda.

Piotr Stiepanowicz wyszedł śmiejąc się. Pamiętam, że w tym okresie był wyjątkowo złośliwy i pozwalał sobie na bardzo niewłaściwe wybryki. Jakoś przebaczano mu wszystko. Zirytował go bardzo pojedynek Stawrogina, o którym nie był uprzedzony. Cierpiała nad tym nawet jego ambicja: dowiedział się o pojedynku dopiero nazajutrz, kiedy już wszyscy o nim mówili. Na piąty dzień, spotkawszy Stawrogina w klubie, powiedział szeptem:

- Pan nie miał prawa pojedynekować się.

Przez te pięć dni nie spotykali się nigdzie, chociaż Piotr Stiepanowicz prawie codziennie zaglądał do Barbary Pietrowny.

Stawrogin spojrział na niego w milczeniu wzrokiem roztargnionym, jak gdyby nie wiedząc, o co chodzi, i poszedł dalej nie zatrzymując się. Szedł przez dużą salę klubową do bufetu.

Wierchowieński pobiegł za nim i chwycił go za ramię.

- Pan chodził do Szalowa... Pan chce się przyznać do Marii Timofiejewny...

302

Stawrogin odtrącił go i spojrział na niego groźnie nachmurzony. Na twarzy Wierchowieńskiego odbił się jakiś dziwny, martwy uśmiech. Wszystko to trwało chwilę. Stawrogin poszedł dalej.

II

Wprost od Barbary Pietrowny Piotr Stiepanowicz pobiegł do ojca. Spieszył tak głównie przez złość, gdyż chciał się zemścić za pewną przykrość, o której wtedy jeszcze nie wiedziałem. Mianowicie ostatecznie ich spotkanie, w zeszły czwartek, skończyło się tym, że Stiepan Trofimowicz, chociaż sam rozpoczął kłótnię, wypędził syna łaską. Nie przyznał się wtedy do tego. Teraz jednak, gdy Piotr Stiepanowicz wpadł do pokoju ze zwykłym, gniewnie pogardliwym uśmiechem, z przykrym, ciekawym wzrokiem, którym ogarnął wszystkie kąty, Stiepan Trofimowicz dał mi znak, abym pozostał w pokoju. W ten sposób poznałem ich rzeczywisty wzajemny stosunek, gdyż tym razem byłem świadkiem całej rozmowy.

Stiepan Trofimowicz siedział wyprostowany na sofie. Od tamtego czwartku schudł i zzółkł. Piotr Stiepanowicz bezceremonialnie siadł obok niego, podwinął nogi, zajmawszy na sofie znacznie więcej miejsca, niż nakazywałby szacunek dla ojca. Stiepan Trofimowicz odsunął się w milczeniu i z godnością.

Na stole leżała otwarta książka. Była to powieść Co robić?4 Niestety, muszę zdradzić pewien dziwny objaw małoduszności mego przyjaciela: myśl o tym, że powinien wyjść z samotni i stoczyć ostateczną bitwę, coraz bardziej ogarniała jego wyobraźnię. Domyśliłem się, że wy dostał i studiuje ową powieść w tym celu, aby w razie zetknięcia się z „krzykaczami” znać zawczasu wszystkie ich

metody i argumenty na podstawie ich „katechizmu” i w ten sposób się przygotowawszy, triumfalnie zwyciężyć ich wszystkich w jej oczach. O, jak go męczyła ta książka! Rzucił ją nieraz zrozpaczony, zrywał się i biegał po pokoju jak nieprzytomny.

- Dobrze, zgadzam się, że zasadnicza myśl autora jest słuszna - mówił do mnie jak w gorączce - ale przecież tym gorzej! To nasza myśl, właśnie nasza! Myśmy pierwsi,

303

pierwsi ją zaszczepili, pielęgowali, stworzyli dla niej grunt. Cóż oni mogą powiedzieć nowego po tym, cośmy powiedzieli? Lecz, Boże, jakie to wszystko tutaj wykrzywione, zniekształcone, zepsute! - wołał stukając palcami w książkę. - Czy do takich wniosków dążyliśmy? Kto może tu poznać pierwotną myśl?

- Kształcisz się? - zaśmiał się Piotr Stiepanowicz biorąc do rąk książkę i przeczytawszy tytuł. - Już dawno należało to robić. Jeżeli masz ochotę, mogę ci przynieść jeszcze ciekawsze rzeczy.

Stiepan Trofimowicz z godnością nie odpowiadał. Ja siedziałem w rogu sofy.

Piotr Stiepanowicz szybko wyłożył powód swojej wizyty. Rzecz prosta, że Stiepan Trofimowicz był zdumiony i słuchał z lękiem pomieszany z niezwykłym oburzeniem.

- Czyż ta Julia Michajłowna rzeczywiście myśli, że będę u niej coś wygłaszał?

- Właściwie wcale tam nie jesteś potrzebny. Przeciwnie, to po to, by cię przygarnąć i w ten sposób podliznąć się Barbarze Pietrownie. Ale, rzecz prosta, nie śmiesz odmówić. Wiem zresztą, że sam się do tego palisz - uśmiechnął się. - Wy wszyscy, staruszkowie, macie piekielną ambicję. Ale wiesz, postaraj się, aby to nie było zbyt nudne. Co ty tam masz? Jakaś historia hiszpańska? Daj mi przejrzeć na jakie trzy dni przedtem, bo mógłbyś ludzi uśpić.

Zbyt jaskrawa brutalność tych dowcipów była widocznie rozmyślna. Chodziło o podkreślenie, że ze Stiepanem Trofimowiczem nie można mówić inaczej. Stiepan Trofimowicz w dalszym ciągu nie zwracał uwagi na te obelgi. Lecz zakomunikowane mu fakty wywarły na nim wstrząsające wrażenie.

- Czy to ona sama, ona sama, kazała ci to powtórzyć? - zapytał blednąc. - Użyła twego pośrednictwa?

- Widzisz, ona chce wyznaczyć ci rendez-vous. To są resztki waszych sentymentalizmów. Kokietowałaś ją w ciągu dwudziestu lat i przyzwyczaiłaś do tak śmiesznych sposobów. Nie bój się jednak. Teraz już zupełnie co innego. Sama wciąż powtarza, że teraz dopiero „przejrzała”. Wy tłumaczyłem jej niezbitcie, że cała ta wasza przyjaźń to tylko wzajemne wylewanie pomyj. Dużo opowiedziała mi, brachu. Fe, jak lokajską rolę spełniałaś dotychczas! Nawet ja wstydziałem się za ciebie.

304

- Ja spełniałem lokajską rolę? - zawołał Stiepan Trofimowicz.

- Gorzej, byłeś rezydentem, czyli dobrowolnym lokajem. Pracować się nie chce, a pieniążki miłe. I ona już to rozumie; opowiadała o tobie niesłychane rzeczy. Ach, brachu! Uśmieiałem się nad twoimi listami do niej. Wstyd i hańba. Lecz wy wszyscy jesteście strasznie zdeprawowani. Jałmużna zawsze znieprawia. Jesteś żywym tego świadectwem...

- Pokazywała ci moje listy?

- Ależ wszystkie! Kto by je tam mógł przeczytać! Tyle papieru zapisałaś. Tam chyba przeszło dwa tysiące listów. Wiesz, stary, że był taki moment, kiedy gotowa była wyjść za ciebie? W najgłupszy sposób przegapiłaś go. Oczywiście, z twego punktu widzenia. W każdym razie byłoby to lepsze niż

ożeniecie ciebie z „cudzymi grzechami”, jak błazna, dla żartu, za pieniądze.

- Za pieniądze? - wykrzyknął boleśnie Stiepan Trofimowicz. - To ona tak mówi?

- Oczywiście. Sam nawet ciebie broniłem. To twoje jedyne usprawiedliwienie. Zrozumiała, że potrzebne ci były pieniądze jak każdemu człowiekowi, że trudno odmówić ci racji pod tym względem. Dowiodłem jej jasno jak na dłoni, że oboje ciągnęliście zyski z tego stosunku. Ona była kapita-listką, ty zaś sentymentalnym trefnisiem. Pieniędzy nie żałuje, chociaż doileś ją jak kozę. Zła jest tylko, że wierzyła ci tak długo, żeś tak ją nabierał pod pozorem szlachetności i że sama musiała kłamać. Nigdy się nie przyzna, że sama kłamała, lecz to właśnie podwójnie skrupi się na tobie. Nie rozumiem, jak mogłeś się nie domyślić, że przyjdzie chwila obrachunku. Przecie jaki taki rozum miałeś. Poradziłem jej wczoraj oddać cię do przytułku. Nie bój się, do zupełnie przyzwoitego, nie skrzywdzą cię tam. Zdaje się, że to zrobi. Pamiętasz swój ostatni list do mnie sprzed trzech tygodni wysłany do ch-ej guberni?

Stiepan Trofimowicz zerwał się, przerażony.

- Pokazałeś jej?

- Jakże mógłbym nie pokazać? Od razu pokazałem. Ten sam list, w którym pisałeś, że ona wyzyskuje ciebie, zazdroszcząc ci talentu, a potem o „cudzych grzechach”. Ależ stary, jak ty straszliwie jesteś ambitny! Uśmiełem się szczerze. W ogóle listy twoje są arcynudne. Masz podły styl. Często nie czytałem

305

ich nawet, a jeden dotychczas leży u mnie nie rozpieczętowany. Przyślę ci go jutro. Ale ten ostatni list - to szczyt doskonałości. Alem się śmiał! Alem się śmiał!

- Potwór, potwór! - zawołał Stiepan Trofimowicz.

- Tam do diabła! Ależ z tobą rozmawiać nie można! Słuchaj, znów się obraziłeś jak w zeszły czwartek? Stiepan Trofimowicz wyprostował się groźnie.

- Jak śmiesz rozmawiać ze mną takim tonem?

- Jakim tonem? Mówię wyraźnie i zwyczajnie.

- Powiedz mi na koniec, wyrodku, czy ty jesteś moim synem czy nie?

- O tym możesz więcej powiedzieć niż ja. Rozumiem, że w tym wypadku każdy ojciec bywa zaślepiony...

- Milcz, milcz! - trzął się Stiepan Trofimowicz.

- Widzisz, już krzyczysz i wymyślasz mi jak w zeszły czwartek. Chciałeś nawet chwycić za laskę. A przecież ja wtedy odszukałem nawet dokument. Przez prostą ciekawość przewracałem cały wieczór w kufrze. Możesz się pocieszyć, nic wyraźnego. To tylko liścik mojej matki do tego Polaczyny. Sądząc jednak z charakteru listu...

- Piśnij jeszcze słowo, a spoliczkuję cię!

- Dziwny człowiek! - Piotr Stiepanowicz zwrócił się nagle do mnie. - To tak u nas od zeszłego czwartku. Rad jestem, że pan tu jest i sam osądzi. Przede wszystkim fakt: zarzuca mi, że tak się wyrażam o matce, a przecież on sam mi to podszeptał. W Petersburgu, gdy byłem jeszcze uczniem, budził mnie po nocach, ścisnął mnie i płakał jak baba. Cóż pan myśli? Co opowiadał mi wtedy w nocy? Wciąż te same tłuste anegdoty o matce. Od niego właśnie się dowiedziałem.

- Och, nie zrozumiałeś mnie! Mówiłem wtedy w innym znaczeniu. Nic, nic nie zrozumiałeś.

- A jednak w twoich ustach było to jeszcze podlejsze niż w moich, no, przyznaj. Więc widzisz, mnie, jeśli chcesz, jest wszystko jedno. Tak ja na to patrzę. Z mojego punktu widzenia nie ma powodu do zmartwień. Nie oskarżam matki. Ty - to ty, Polak - to Polak. Wszystko mi jedno. Nie

jestem winien, że wam w Berlinie wyszło tak głupio. Czyż mogło wam zresztą wyjść coś mądrzejszego? Śmieszni z was ludzie! Nie wszystko ci jedno, czy jestem twoim synem, czy nie? Niech pan posłucha - zwrócił się znów do mnie. - Nie wydał

na mnie nigdy ani grosza, do chwili, kiedy skończyłem szesnaście lat, w ogóle mnie nie znał, potem ograbił mnie, a teraz krzyczy, że cierpiał z mego powodu przez całe życie i wykrzywia się przede mną jak aktor. Ja przecież nie jestem Barbarą Pie-trowną, na miłość boską!

Wstał i wziął kapelusz.

Stiepan Trofimowicz wyciągnął nad nim dłoń i zawołał blady jak trup:

- Bądź przeklęty, bądź odtąd przeklęty!

Piotr Stiepanowicz okazał nawet pewne zdziwienie.

- Że też człowiekowi może wpaść do głowy taki nonsens. Żegnaj, stary, już nigdy nie przyjdę do ciebie. Swoje opowiadanie czy artykuł dostarcz jak najwcześniej. Nie zapomnij. I postaraj się bez głupstw: fakty, fakty, tylko fakty. A najważniejsze: jak najkrócej! Żegnaj!

III

Grały tu rolę, nawiasem mówiąc, i inne względy. Piotr Stiepanowicz miał istotnie pewne zamiary co do ojca. Sądzę, że chciał doprowadzić starego do rozpaczy i sprowokować go do jakiegoś dzikiego skandalu. Potrzebne mu to było dla celów dalszych, ubocznych, o których potem będzie mowa. Tego rodzaju planów i zamiarów miał w głowie mnóstwo, oczywiście wszystkie były dość fantastyczne. Miał też na względzie i innego męczennika prócz Stiepana Trofimowicza. Tych męczenników nagromadzić się miała w ogóle pokaźna liczba, jak się potem okazało. Ale na tego liczył szczególnie, a miał to być sam pan von Lembke.

Andrzej Antonowicz von Lembke należał do tego uprzywilejowanego (przez naturę) plemienia, które liczy w Rosji, podług danych kalendarzowych, paręset tysięcy, a które może nawet i nie wie, że stanowi w swojej masie jeden doskonale zorganizowany związek.⁵ Nie rozmyślny i nie wymyślony, lecz rzeczywisty związek, ogarniający całe plemię, bez umowy, bez słów, jako coś moralnie obowiązującego. Związek ten polega na wzajemnej solidarności wszystkich członków, zawsze, wszędzie, we wszelkich okolicznościach. Andrzej Antonowicz miał zaszczyt skończyć jeden z tych wyższych zakładów nauko-

20. 307

wych, które zapełnia młodzież z najwpływowszych i najbogatszych rodzin. Wychowankowie tego zakładu, natychmiast po ukończeniu nauk, wyznaczeni bywali od razu na poważniejsze stanowiska w jednym z działów administracji państwowej. Andrzej Antonowicz miał jednego wuja inżyniera, podpułkownika, a drugiego - piekarza. Jednak dostał się jakoś na wyższą uczelnię i spotkał tam sporo rodaków. Był wesołym kolegą. Uczył się nieświecie, lecz lubiano go. W wyższych klasach niektórzy z jego kolegów, zwłaszcza Rosjanie, nauczyli się już dyskutować o poważnych zagadnieniach współczesnych z taką miną, że można było się spodziewać, że byle tylko ukończyli szkołę, a rozstrzygną wszystkie sprawy; Lembke jednak wciąż oddawał się niewinnym sztubackim żartom. Wszystkich bawił, choć jego kawały były nie tyle dowcipne, ile raczej cyniczne, lecz o nic więcej mu nie chodziło. Czasem wysiłka nos tak zabawnie, w chwili gdy nauczyciel zwraca się do niego z zapytaniem, że rozśmieszysz i nauczyciela; to znów ku powszechnemu zadowoleniu odtworzy w sypialni jakiś cyniczny żywy obraz; to znów zagra wyłącznie na nosie, i nawet dość wprawnie, uwerturę z Fra Diavolo.^h Wyróżniał się też niechlujnością, uważając to za bardzo dowcipne. W ostatnim roku zaczął pisywać po rosyjsku wierszyki. Swym językiem ojczystym władał dość niegramatycznie, jak wielu jego rodaków mieszkających w Rosji. Ta skłonność do

wierszy sprawiła, iż zbliżył się do pewnego ponurego młodzieńca, syna niezamożnego generała, który uchodził w szkole za przyszlą sławę literacką. Ów zaopiekował się nim. Zdarzyło się jednak, już po skończeniu szkół, w trzy lata potem, że ów ponury kolega, który zrezygnował z kariery służbowej i poświęcił się literaturze, wskutek czego chodził w podartych butach i trząsał się z zimna w letnim paltociku, spotkał przypadkowo w okolicach mostu Aniczkinowskiego swego byłego protegowanego „Lem-bkę”, jak go wtedy wszyscy nazywali w szkole. I cóż? Nie poznał go nawet z początku i stanął zdziwiony. Miał przed sobą człowieka ubranego bez zarzutu, że wspaniałymi bokobrodami o rudawym odcieniu, w pince-nez, lakierkach, nowych rękawiczkach, w szerokim palcie od Szarmera i z teką pod pachą. Lembke powitał radośnie kolegę, dał mu swój adres i zaprosił do siebie. Okazało się, że to już nie „Lembka”, lecz von Lembke. Kolega nie omieszkał przyjść do niego, raczej

308

przez złość niż przez przyjaźń. Spotkał lokaja na schodach, dość brzydkich i niewystawnych, lecz wysłanych czerwonym suknem. Donośnie zadzwieczał dzwonek na górze. Zamiast jednak bogactw, które spodziewał się znaleźć, zastał „Lembkę” w bocznym maleńkim pokoiku, ciemnym i jakby zatęchłym, rozdzielonym na dwie części wielką ciemnozieloną zasłoną. Meble były wyściełane, lecz stare. Na wąskich, wysokich oknach wisiały ciemnozielone story. Von Lembkę mieszkał u jakiegoś bardzo dalekiego krewnego, generała, który go protegował. Powitał gościa przychylnie, był poważny i wytwornie uprzejmy. Rozmawiano nawet o literaturze, oczywiście w odpowiednich granicach. Lokaj w białym halsztuku przyniósł słabiutką herbatę i mały, okrągły suchy placek. Kolega na złość poprosił o szklankę wody sodowej. Dano mu, lecz nie od razu, i widać było, że Lembkę był nieco zawstydzony, gdy powtórnie dzwonił na lokaja i dawał mu polecenie; zaproponował jednak sam, by kolega coś przekąsił, i był bardzo zadowolony, gdy gość się wymówił i wreszcie wyszedł. Lembkę po prostu rozpoczął karierę, a mieszkał na łaskawym chlebie u swojego współplemieńca, jakiegoś ważnego generała.

Wzdycha! wówczas do piątej córki generała i zdaje się, że darzony był wzajemnością. Pomimo to, gdy przyszedł czas, wydano Amalię za starego fabrykanta Niemca, dawnego kolegę starego generała. Andrzej Antonowicz nie bardzo rozpaczał. Pocięszył się klejeniem teatru z tektury. Podnosiła się kurtyna, wychodzili aktorzy, gestykulowali; w łóżach siedziała publiczność, orkiestra suwała smyczkami po skrzypcach, kapelmistrz wywijał batutą, na parterze zaś kawalerowie i oficerowie bili brawo. Wszystko to własnoręcznie wykonał Lembkę podług własnego pomysłu. Przesiedział nad teatrem pół roku. Generał zaprosił gości i teatr został zademonstrowany. Wszystkie córki generalskie wraz z Amalią, jej fabrykant, liczne panie i panny ze swoimi Niemcami przyglądali się uważnie i chwalili. Potem odbyły się tańce. Lembkę był bardzo zadowolony i wkrótce się pocieszył.

Mijały lata i kariera jego była zapewniona. Wciąż urzędował w najważniejszych dykasteriach, stale miał rodaków jako zwierzchników i dosłużył się bardzo znacznej, jak na jego wiek, rangi. Już dawno postanowił ożenić się i szukał bardzo ostrożnie. W sekrecie przed zwierzchnikami posłał powieść do redakcji

309

jednego z pism, nie została jednak wydrukowana. Za to wykleił cały pociąg i znów bardzo zgrabnie: publiczność wychodziła z dworca, z kuframi i tobołkami, z dziećmi i pieskami, wchodziła do wagonów. Konduktorzy i tragarze chodzili, dzwonił dzwonek, dawano sygnał i pociąg ruszał w drogę. Nad tą skomplikowaną rzeczą przesiedział cały rok. A jednak trzeba było się ożenić. Miał dużo znajomych, zwłaszcza wśród Niemców; obcował jednak i z Rosjanami, oczywiście z ludźmi na stanowiskach. Nareszcie, gdy skończył już trzydzieści osiem lat, otrzymał spadek. Umarł jego wuj, piekarz, i zostawił mu w testamencie trzydzieści tysięcy rubli. Chodziło teraz o wybór stanowiska. Von Lembke, chociaż początek jego kariery dawał mu prawo do

wysokich ambicji, był człowiekiem skromnym. Zadowolili się jakimś samodzielnym stanowiskiem z zależnym od jego rozporządzeń przyjmowaniem drzewa skarbowego czy jakąś inną tłustą posadką w tym rodzaju i poprzestałby na tym przez całe życie. Lecz tu, zamiast oczekiwanej Minny czy Ernestyny, nawinięła się Julia Michajłowna. To już podniosło jego aspiracje. Skromny i akuraty von Lembke poczuł, że ma prawo być ambitnym.

Julia Michajłowna posiadała według dawnych norm dwieście dusz, a przy tym znaczną protekcję. Miała przeszło czterdzieści lat, von Lembke zaś był przystojny. Ciekawe, że stopniowo zaczął kochać się w niej naprawdę i coraz lepiej czuć się w roli narzeczonego. W dzień ślubu posłał jej nawet wiersze. Pewnie podobało się to wszystko, nawet wiersze: czterdzieści lat to nie żarty. Wkrótce Lembke otrzymał wysoką rangę i order, potem zaś wyznaczono go do naszej guberni.

Wybierając się do nas, Julia Michajłowna włożyła wiele starań w pracę nad małżonkiem. Jej zdaniem, nie był on pozbawiony pewnych zdolności. Umiał wchodzić imponująco. Umiał słuchać uważnie i znacząco milczeć. Przyswoił sobie parę bardzo przyzwoitych gestów, mógł nawet powiedzieć mowę, znał pewne urywki i zakończenia myśli, posiadał blichtr najnowsze, niezbędnego liberalizmu. Niepokoiło ją, że jest zbyt mało przedsiębiorczy i po długim dążeniu do kariery pragnie obecnie spokoju. Chciała zaszczerpić mu własne ambicje, on zaś zaczął wyklejać kirchę. Pastor wychodził z kazaniem, wierni słuchali złożonywszy dłonie, jakaś dama ocierała chusteczką łzy, jakiś staruszek wycierał nos, wreszcie grały

310

małe organy, specjalnie obstalowane i sprowadzone pomimo znacznych kosztów ze Szwajcarii. Julia Michajłowna, gdy tylko się o tym dowiedziała, nie bez przerażenia odebrała mu tę robotę i zamknęła u siebie w szufladzie; pozwoliła mu za to pisać powieść, byle w sekrecie. Od tego czasu zaczęła liczyć tylko na siebie. Na nieszczęście była zbyt lekkomyślna i nieumiarkowana. Zbyt długo była starą panną. W jej ambitnym i podrażnionym umyśle zaczęły się pojawiać, jeden po drugim, najrozmaitsze pomysły. Tworzyła jakieś plany, chciała trząść gubernią, widzieć dokoła siebie legiony satelitów, wybrała nawet kierunek. Lembke bał się tego wszystkiego. Zrozumiał jednak wkrótce, mając wyczucie urzędnicze, że stanowisko gubernatora nie jest tak straszne. Pierwsze miesiące upłynęły wcale znośnie. Aż tu nawinął się młody Wierchowieński i zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

Piotr Stiepanowicz od pierwszych dni zaczął zdradzać brak szacunku dla gubernatora i rościł sobie pretensje, by mu dyktować, co ma robić. Julia Michajłowna, zazwyczaj tak drażliwa na punkcie roli małżonka, nie zwracała teraz na to uwagi. Przynajmniej nie przywiązywała wagi. Młodzieniec stał się jej faworytem, jadał u niej, pił, prawie nie opuszczał jej domu. Von Lembke próbował się bronić, nazywał go publicznie „młodzieńcem”, protekcyjnie klepał po ramieniu, nie dało to jednak żadnych rezultatów. Wierchowieński śmiał mu się w oczy nawet wtedy, gdy rozmawiał poważnie, w obecności zaś innych mówił mu rzeczy najmniej oczekiwane. Pewnego razu, powróciwszy do domu, gubernator zastał Wierchowieńskiego w swoim własnym gabinecie, rozłożonego na kanapie. Dowiedział się, że Piotr Stiepanowicz, nie zastawszy gospodarza, „skorzystał ze sposobności i wyspał się”. Von Lembke obraził się i poskarżył małżonce: ta jednak, wyśmiawszy jego nadmierną obraźliwość, zarzuciła mu, że widocznie sam nie umie utrzymać dystansu. Z nią przynajmniej „ten dzieciak” nie pozwoliłby sobie na taką bezceremonialność, a jest zawsze „naiwny i świeży, chociaż ma dość oryginalny sposób bycia”. Von Lembke był niezadowolony. Gubernatorowa pogodziła ich jednak. Trudno powiedzieć, aby Piotr Stiepanowicz przeprosił. Poprzestał jedynie na dość ordynarnym żarcie, który w innych warunkach mógłby ująć za nową obrazę; wołano jednak potraktować to w tym wypadku jako wyraz skruchy.

311

Trudność polegała na tym, że von Lembke od początku popełnił błąd, zdradziwszy się przed

Wierchowieńskim ze swą powieścią. Wyobraził sobie, że młodzieniec jest wielbicielem poezji, ponieważ zaś od dawna marzył o słuchaczu, przeczytał mu kiedyś wieczorem, jeszcze na początku znajomości, dwa rozdziały tej powieści. Wierchowieński, nie ukrywając znudzenia, ziewał nieuprzejmie, nie pochwalił ani razu, lecz wychodząc poprosił o rękopis, aby w wolnych chwilach wyrobić sobie zdanie. Von Lembke dał. Od tego czasu Piotr Stiepa-nowicz, bywając co dzień w domu gubernatora, nie zwracał rękopisu. Na wszelkie pytania reagował śmiechem. Wreszcie oznajmił, że zgubił rękopis na ulicy. Dowiedziawszy się o tym, Julia Michajłowna strasznie rozgniewała się na małżonka.

- Możeś opowiedział mu także o kirsze ? - spytała przerażona.

Von Lembke zaczął pogrążyć się w zadumie, a było to dla niego szkodliwe i przez lekarzy wzbronione. Z gubernią miał dużo kłopotów, szczególnie w ostatnich czasach, a tu na dodatek cierpiało serce, nie tylko ambicja dygnitarza. Żeniąc się von Lembke nie wyobrażał sobie nawet możliwości kłótni i nieporozumień małżeńskich. Tak mu się to przez całe życie roilo, gdy marzył o Minnach lub Ernestynach. Czuł, że nie byłby w stanie znieść burzy małżeńskiej. Julia Michajłowna udzieliła mu wreszcie wyjaśnień otwartych.

- Nie masz powodu gniewać się na niego już choćby dlatego, że jesteś trzykroć rozważniejszy od niego, a w hierarchii społecznej stoisz nieporównanie wyżej. W tym chłopcu jest trochę dawnych pozostałości wolnomyślicielskich, czyli po prostu swawoli. Nie da się zmienić jednak tego od razu. Trzeba stopniowo. Należy cenić naszą młodzież. Walczę z nimi łagodnością i powstrzymuję ich nad brzegiem przepaści.

- On mówi niestworzone rzeczy - próbował oponować von Lembke. - Nie mogę tego tolerować, jeżeli na przykład publicznie i w mojej obecności twierdzi, że rząd z rozmysłerr, poi lud wódką, aby panować nad nim i nie dopuszczać do buntu. Pomyśl o sytuacji, w jakiej się znajduję, gdy muszę tego słuchać.

Von Lembke przypomniał sobie niedawną rozmowę z Pio- -trem Stiepanowiczem. W niewinnym zamiarze rozbrojenia go

312

swym liberalizmem, pokazał mu własną sekretną kolekcję najrozmaitszych proklamacji, rosyjskiego i zagranicznego pochodzenia, którą skrzętnie gromadził od 1859 roku, nie tyle z żylki zbieracza, ile przez zdrową ciekawość. Piotr Stiepa-nowicz domyślił się od razu, o co chodzi, i nieuprzejmie oświadczył, iż każdy wiersz owych proklamacji zawiera więcej zdrowego sensu niż nieraz cała kancelaria. „Nie wyłączając pańskiej” - dodał.

Lembkemu zrobiło się przykro.

- Lecz to trochę za wcześnie, trochę za wcześnie dla nas - mówił głosem niemal proszącym, wskazując na proklamacje.

- Nie, nie za wcześnie. Pan się, przecież boi. To znaczy, że nie za wcześnie.

- Ale tu na przykład jest wezwanie do niszczenia świątyń.

- A dlaczegóż by nie? Pan przecież jest rozumnym człowiekiem i nie wierzy w Boga: dobrze pan wie, że wiara jest panu potrzebna, aby panować nad tłumem. Prawda jest uczciwsza od kłamstwa.

- Tak, tak, zgadzam się z panem całkowicie, lecz dla nas to za wcześnie - marszczył się Lembke.

- Tak? Jakież z pana urzędnik państwowy, jeżeli pan zgadza się burzyć cerkwie i iść na Petersburg, a jedynie przesuwają pan termin?

Lembke, przyłapany tak dotkliwie, coraz bardziej tracił kontenans. Ratując honor zaplątał się do reszty.

- Nie, to nie tak. Pan, Piotrze Stiepanowiczu, jest jeszcze młody i nie zna naszych celów. Pan nazywa nas urzędnikami państwowymi? Dobrze! Samodzielnymi urzędnikami? Tak. Na czymże jednak polega nasza praca? Na nas spada cała odpowiedzialność, w istocie jednak tak samo służymy sprawie ogólnej jak wy. Podtrzymujemy to, co wy podkopujecie, a co bez nas rozleciałoby się na wszystkie strony. Nie jesteśmy waszymi wrogami. Przeciwnie. Mówimy wam: idźcie naprzód, dążcie do postępu, burzcie nawet to, co zgniło i wymaga na-p”rawy. My zaś, gdy zajdzie potrzeba, utrzymamy was w niezbędnych granicach, gdyż bez nas rozkołysalibyście nazbyt Rosję i pozbawili ją przyzwoitego wyglądu. Nasze zadanie zaś polega na tym, aby dbać o wygląd. Niech pan zrozumie, że jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. W Anglii wigowie

14 Dostojewski. t III

313

i torysi także potrzebni są sobie nawzajem. Cóż? My jesteśmy torysi, a wy - wigowie. Tak pojmuję te sprawy.

Lembke wpadł nawet w patos. Lubił jeszcze od czasów petersburskich pomówić mądrze i liberalnie, a tu w dodatku nikt nie podsłuchiwał. Wierchowieński milczał i zachowywał się poważnie. Mówca nabrał otuchy.

- Wie pan, że jestem „gospodarzem guberni” - mówił dalej, chodząc po gabinecie. - Z powodu nadmiaru obowiązków nie mogę właściwie spełnić żadnego, z równą racją jednak mógłbym powiedzieć, że nie mam tu nic do roboty. Cały sekret polega na tym, że wszystko zależy od poglądów rządu. Niech na przykład rząd ustali republikę, czy ze względów politycznych, czy dla uśmierzenia namiętności, i niech jednocześnie wzmocni władzę gubernatorów, a my, gubernatorzy, pochłonimy republikę. Co tam zresztą republikę: wszystko pochłonimy. Ja przynajmniej czuję się na siłach. Słowem, niech rząd zleci mi telegraficznie *actiinte devorante*,* rozpocznę natychmiast *activite devorante*. Powiedziałem im to prosto w oczy: „Panowie, dla rozkwitu i równowagi instytucji gubernialnej potrzebna jest jedna rzecz: wzmocnienie władzy gubernatorów.”⁷ Widzi pan, trzeba, aby te wszystkie instytucje, czy sądowe, czy samorządowe, żyły podwójnym życiem. To znaczy trzeba, żeby one istniały (rozumiem, że jest to konieczność), z drugiej zaś strony trzeba, aby ich nie było. Wszystko zależy od zapatrywań rządu. Przyjdzie taki rząd, że instytucje okażą się niezbędne - mam je wszystkie gotowe. Minie konieczność - niech kto je odnajdzie! Tak rozumiem *acti-vite devorante*, a ona nie może istnieć bez wzmocnienia władzy gubernatora. Rozmawiamy teraz w cztery oczy. Już napisałem do Petersburga o konieczności specjalnej warty przed bramą domu gubernatora. Oczekuję odpowiedzi.

- Pan potrzebuje dwóch wartowników - odezwał się Wierchowieński.

Lembke zatrzymał się przed nim.

- Dlaczego „dwóch”?

- Jednego za mało, aby pana szanowano. Konieczne dwóch. Lembke skrzywił się.

- działalność pochłaniającą

314

- Pan pozwala sobie na zbyt wiele, Piotrze Stiepanowiczu. Nadużywając mojej dobroci, pan staje się złośliwy i gra rolę jakiegoś *bourru bienfaisant*...*

- Jak pan chce... - rzekł od niechcenia Wierchowieński. - W każdym razie pan toruje nam drogę i przyspiesza nasz sukces.

- Jaki sukces, czyj ? - zapytał zdziwiony gubernator, nie otrzymał jednak odpowiedzi.

Julia Michajłowna, dowiedziawszy się o treści rozmowy, była bardzo niezadowolona.

- Nie mogę przecież - usprawiedliwiał się Lembke - zachowywać się jak przedstawiciel władzy

wobec twojego faworyta, zwłaszcza gdy rozmawiamy w cztery oczy. Mogłem powiedzieć zbyt dużo... przez dobroć serca.

- Za dużo tej dobroci. Nie wiedziałam, że masz kolekcję proklamacji. Bądź łaskaw, pokaż mi to.

- Nie mogę... on wyprosił ją na jeden dzień.

- I dałeś mu?! - irytowała się Julia Michajłowna. - Co za brak taktu!

- Zaraz poślę po nią.

- Nie odda ci.

- Zażądam! - wybuchnął Lembke i zerwał się z miejsca. - Cóż on za jeden, żebym miał się go bać, i kim ja jestem, jeżeli nie mam prawa nic zrobić?

- Siądź i uspokój się - powstrzymywała męża Julia Michajłowna. - Odpowiem ci na pierwsze pytanie. On ma świetne rekomendacje, jest zdolny i mówi czasem nadzwyczaj mądre rzeczy. Karmazinow twierdzi, że ma stosunki prawie wszędzie i posiada olbrzymi wpływ na młodzież stolicy. Jeżeli za jego pośrednictwem pociągnę tę młodzież ku sobie i zgrupuję ją dokoła siebie, uratuję ją od zguby, wskazawszy inne drogi zaspokojenia ambicji. Wierchowieński jest mi szczerze oddany i słucha mnie we wszystkim.

- Tak, ale póki będziesz się z nimi cackała - bronił się mętnie von Lembke - mogą tymczasem narobić licho wie jakich rzeczy! Oczywiście, to jest myśl... w zasadzie... Lecz zakomunikowano mi, że w jednym z powiatów naszej guberni ukazały się jakieś proklamacje.

• szorstkiego dobroczyńcy

315

- Przecież pogłoski o tym krążyły jeszcze w lecie... Proklamacje... fałszywe pieniądze, Bóg wie co jeszcze. A przecież nie dostarczono ci dotąd żadnej. Kto ci to mówił?

- Słyszałem od von Bluma.

- Ach, daj mi spokój z tym Blumem i nigdy nie mów o nim!

Julia Michajłowna tak się zirytowała, że trudno jej było mówić. Von Blum był szczególnie znienawidzonym przez nią urzędnikiem kancelarii gubernatora. Powrócimy jeszcze do tego.

- Nie bój się o Wierchowieńskiego - kończyła rozmowę. - Gdyby uczestniczył w tego rodzaju sprawach, nie rozmawiałby tak, jak rozmawia z tobą i ze wszystkimi. Frazeso-wicze nie są szkodliwi. Jestem nawet przekonana, że gdyby miało się coś stać, pierwsza dowiem się o tym od niego. Przywiązany jest do mnie fanatycznie.

Uprzedzając fakty, zauważę tu, że gdyby nie ambicje i pew- ność siebie Julii Michajłowny, może nie stałoby się u nas to, do czego doprowadzili ci łotrzykowie. Znaczna część odpowiedzialności spada tu na nią!

ROZDZIAŁ PIĄTY

PRZED ZABAWĄ

Termin festynu, zainicjowanego przez Julię Michajłownę, a przeznaczonego na wsparcie guwernantek w naszej guberni, już parokrotnie był wyznaczany i odkładany. Koło gubernatorowej kręcił się bez przerwy młody Wierchowieński i używany do drobnych zleceń mały urzędnik Lamszyn, który w dawnym czasie był u Stiepana Trofimowicza i raptem wkradł się w łaski w domu gubernatora za grę na fortepianie. Posługiwano się też Liputinem, którego Julia Michajłowna upatrzyła sobie na redaktora przyszłej niezależnej gazety gubernialnej. Poza nimi niektóre panie i panny, wreszcie sam Karmazinow, który wprawdzie nic nie robił, lecz oświadczył głośno z

zadowoloną miną, że wprawi wszystkich w przyjemne zdziwienie, gdy zacznie się kadryl literacki. Ofiarodawców i nabywców kart wstępu znalazło się aż nadto: cała śmietanka towarzyska. Nie odrzucano jednak i tych, którzy do towarzystwa nie należeli, jeśli tylko przynieśli pieniądze. Julia Michajłowna oświadczyła, że od czasu do czasu pożądane jest takie zmieszanie wszystkich stanów - „któż bowiem ma je oświecić?” Powołano do życia nieoficjalny komitet, który uchwalił, iż zabawa ma być demokratyczna. Powodzenie finansowe zachęciło do wydatków. Trzeba było dać coś wyjątkowego. To było główną przyczyną odraczania terminu. Komitet nie mógł się dotychczas zdecydować, gdzie ma się odbyć bal: czy w ogromnych apartamentach pani marszałkowej, zaofiarowanych na ten dzień, czy też w Skworesznikach, u Barbary Pietrowny. Skworeszniki były trochę za daleko, lecz niektórzy członkowie komitetu nastawiali twierdząc, że tam byłoby swo-

317

bodniej. Sama Barbara Pietrowna bardzo chciała, aby bal odbył się u niej. Trudno zrozumieć, dlaczego ta dumna kobieta starała się schlebiać gubernatorowej. Może dlatego, że Julia Michajłowna wciąż podkreślała unizoną uwagę wobec Mikołaja Wsiewołodowicza i była wobec niego tak uprzejma jak wobec nikogo. Powtarzani raz jeszcze, iż Piotr Wiercho-wieński utrwał w domu gubernatora przez siebie samego puszczone pogłoskę, iż Stawrogin jest człowiekiem o tajemniczych wpływach w najbardziej tajemniczych sferach i że prawdopodobnie ma tu do spełnienia jakąś misję.

Dziwny był w tym okresie stan umysłów. Szczególnie świątek kobiecy gwałtownie zaczął zdradzać wybitną lekkomyślność. Zaczęły się szerzyć jak wiatrem pędzone jakieś niestateczne pojęcia. Zapanowała swawola, pusta wesołość, nie zawsze przyjemna. Pewien nieład psychiczny stał się modny. Potem, gdy już wszystko skończyło się, zaczęto oskarżać Julię Michajłownę, jej wpływy i otoczenie. Na razie usilnie wychwalano nową gubernatorową za to, że umie zjednoczyć towarzystwo i że przy niej jest znacznie weselej. Miały miejsce nawet pewne skandaliczne wypadki, już bynajmniej nie z winy Julii Michajłowny. Wtedy - wszyscy się śmieli i cieszyli, a nie było komu powściągać. Ale pewna, dość znaczna grupa ludzi, która zachowała własny pogląd na bieg rzeczy, nie brała udziału w tych wybrykach, lecz i ci ludzie nie oburzali się głośno; przeciwnie - uśmiechali się.

Pamiętam, że powstało wówczas samo przez się dość duże kółko. Przyznać należy, że ośrodkiem jego był istotnie salon Julii Michajłowny. W tym ścisłym kółku, kręcącym się wokół niej, było dopuszczalne, a nawet ustalili się taki zwyczaj, że pozwalano sobie na rozmaite wybryki, czasem aż zbyt śmiałe. Do kółka należało kilka nawet bardzo miłych pań. Młodzież urządzała pikniki, wieczorki, kawalkady konne, spacerować po mieście. Szukała przygód, a nawet stwarzała je sztucznie, byle się zabawić. Traktowała wszystkich pogardliwie niby mieszkańców jakiegoś Głupowa 1. Należących do tego kółka określano wszędzie jako żartownisiów lub nawet kpiarzy, gdyż istotnie nie cofali się przed niczym. Dla kawału gotowi byli zrobić wszystko. Żona jednego z miejscowych poruczników, młodziutka bruno-teczka, trochę sterana przez złe zachowanie się męża, na jakimś wieczorku zasiadła lekkomyślnie do jerałusza w nadziei, że wy-

318

gra na nową mantylkę, a tymczasem przegrała piętnaście rubli. Bojąc się męża i nie mając na zapłacenie przegranej, przypomniała sobie dawną swoją śmiałość i po cichutku zwróciła się o pożyczkę niezbędnej sumy do syna naszego burmistrza, niesłychanie zepsutego, zużytego nad wiek młodzieńca. Nie dość, że jej odmówił, lecz głośno się śmiejąc poszedł do męża i opowiedział mu o wszystkim. Porucznik, który rzeczywiście biedował, utrzymując się tylko z poborów, zaprowadził żonę do domu i nie zwracając uwagi na jęki, krzyki, błagania na kolanach, wyćwiczył ją najokrutniej. Ta oburzająca historia wywołała w mieście jedynie śmiech. I chociaż biedna porucznikowa nie należała do towarzystwa otaczającego Julię Michajłownę, jedna z pań z tej „kawalkady”, osobka ekscentryczna i śmiała, która znała osobiście porucznikową, pojechała do niej

i zabrała do siebie w gościnę. Tu wzięli ją w obroty nasi żartownisie, zasypywali podarunkami, uprzejmościami i przez cztery doby nie oddawali mężowi. Mieszkała u ekscentrycznej pani, a po całych dniach jeździła z nią i z rozweselonym towarzystwem na spacer po mieście, uczestniczyła w zabawach i tańcach. Namawiano ją, aby zaskarżyła męża do sądu, zapewniano, że wszyscy ją poprą i będą za nią świadczyli. Mąż milczał i nie odważył się walczyć. Biedaczka zrozumiała wreszcie, że wpadła w brzydką awanturę, i czwartego wieczoru w śmiertelnym strachu uciekła o zmroku od swych protektorów do męża. Nie wiadomo dokładnie, co zaszło między małżonkami, lecz okiennice małego drewnianego domku, w którym mieszkał porucznik, były zamknięte przez dwa tygodnie. Dowiedziawszy się o całym zajściu, Julia Michajłowna zburczała figlarzy i wyraziła niezadowolenie z postępu ekscentrycznej damy, która mogłaby jednak powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, iż przedstawiła Julii Michajłownie żonę porucznika już w pierwszym dniu po porwaniu. Wkrótce potem cała ta historia poszła w niepamięć.

Zdarzył się niebawem nowy wypadek. Pewien skromny i młody urzędniczyna z sąsiedniego powiatu poślubił u nas siedemnastoletnią córeczkę jednego z nieznaczących urzędników, poważnego z wyglądu ojca rodziny. Dziewczyna była bardzo ładna i znali ją wszyscy. Dowiedziano się, że w noc poślubną nowożeńiec zachował się wobec oblubienicy bardzo nieuprzejmie, mszcząc się za ujmę na honorze. Lamszyn,

319

który był niemalże świadkiem wydarzenia, bo spał na tym weselu i pozostał na noc, już o świcie obiegał wszystkich znajomych z wesołą ploteczką. W jednej chwili utworzył się orszak z dziesięciu ludzi, wszyscy konno, niektórzy na wynajętych koniach kozackich, jak na przykład Piotr Stiepanowicz i Liputin, który pomimo siwych włosów uczestniczył wtedy we wszystkich skandalicznych wyprawach naszej swawolnej młodzieży. Kiedy młode małżeństwo ukazało się na ulicy w dorożce zaprzężonej w parę koni, aby złożyć wizyty, jak nakazywał zwyczaj, niezależnie od wszelkich komplikacji rodzinnych, cała ta kawalkada otoczyła dorożkę i towarzyszyła jej wszędzie z wesołym śmiechem przez cały ranek. Do domów nie wchodziło, lecz czekano na koniach u bram. Powstrzymywano się wprawdzie od zbyt obelżywych słów w stosunku do młodych, lecz w każdym razie wydarzył się skandal. Całe miasto mówiło o tym. Wszyscy zrywali boki. Tu już jednak von Lembke rozgniewał się i miał dłuższą rozmowę z Julią Michajłowną. Ta także bardzo się rozgniewała i chciała nawet wymówić dom figlarzom. Już nazajutrz jednak przebaczyła wszystkim pod wpływem zabiegów Piotra Stiepanowicza i paru słów, wypowiedzianych przez Karmazinowa. Wielki pisarz uznał „żart” za bardzo dowcipny i oznajmił:

- To zupełnie odpowiada tutejszym obyczajom. To przynajmniej bardzo typowe i... odważne. Widzi pani, wszyscy się śmieją, a oburza się tylko pani.

Bywały jednak żarty zupełnie niemożliwe, brzydkie i niesmaczne.

W mieście zjawiała się wędrowna sprzedawczyni Pisma Świętego. Była to szacowna niewiasta, chociaż pochodziła z mieszczan. Zaczęto mówić o niej, gdyż w tym czasie w paru pismach stołecznych ukazały się wzmianki o takich roznosicielkach książek. Tu znów figlarz Lamszyn, wzięwszy sobie do pomocy seminarzystę, błakającego się beczynnym w oczekiwaniu na posadę w szkole, udając, że kupuje książki, podrzucił sprzedawczyni do worka paczkę najbrzydliwszych fotografii pornograficznych zagranicznego pochodzenia. Dowiedziano się później, że fotografie te zostały specjalnie w tym celu ofiarowane przez poważnego staruszka, kawalera wysokiego orderu (nie chcę wymieniać nazwiska), który mówił, że lubi „zdrowy śmiech i wesołe żarty”. Gdy biedna kobieta zaczęła wydo-

320

stawać w halach targowych święte księgi, wysypały się fotografie. Zaczął się śmiech, lecz i szemranie. Zgromadził się tłum, rozległy przekleństwa, może doszłoby nawet do bijatyki, gdyby

nie podążyła na pomoc policja. Sprzedawczynię zamknięto w areszcie i wypuszczono dopiero wieczorem na skutek starań Maurycego Nikolajewicza, który dowiedział się z oburzeniem o wszystkich szczegółach tej brzydkiej historii. Kazano jej jednak opuścić miasto. Wtedy Julia Michajłowna przepędziła nieodwołalnie Lamszyna. Tegoż wieczora jednak cała kompania przyprowadziła go z powrotem do gubernato-rowej i uprosiła ją, aby zechciała tylko wysłuchać nowej sztuczki fortepianowej przez niego skomponowanej. Sztuczka była istotnie zabawna, pod śmiesznym tytułem: Wojna fran-cusko-pruska. Zaczynała się od groźnych dźwięków Marsylianki :

Quun sang impur abreuve nos sillons!*

Słysząc było zuchwałe wyzwanie, upojenie przyszłym zwycięstwem. Lecz raptem, jednocześnie z mistrzowsko sunącymi taktami hymnu, gdzieś z boku, z dołu, z kącika, lecz bardzo blisko, rozległ się taniutki motyw Mein lieber Au-gustiri*. Marsylianka nie zwraca na to uwagi, jest u szczytu upojenia swoją wielkością. Lecz Augustyn rośnie. Augustyn staje się coraz natarczywszy, i oto takty jego zaczynają stopniowo wpadać w takt Marsylianki. Marsylianka zaczyna się jak gdyby gniewać. Zauważyła wreszcie Augustyna, chce go odtrącić, odpędzić jak natrętną, marną muchę. Lecz Augustyn trzyma się mocno. Jest wesół i pewny siebie. Jest rozradowany i bezczelny, i oto Marsylianka stopniowo traci panowanie nad sobą. Już się przyznaje, że jest wyprowadzona z równowagi i poniżona; jest to jęk oburzenia, są to łzy i klątwy ze wzniesionymi ku Opatrzności ramionami:

Pas un pouce de notre terrain, pas une de nos forteresses.**

Lecz musi już śpiewać do taktu z Mein lieber Augustyn. Jej dźwięki najgłupiej w świecie przechodzą w dźwięki Augu-

Niech krwią nieczystą nasiąkną nasze pola!
Ani piędzi naszej ziemi, ani jedne) z naszych twierdz
321

styna. Zaczyna słabnąć i gasnąć. Od czasu do czasu ostatnim porywem rozlegnie się znów: „Quun sang impur”, lecz natychmiast przeskoczy w obrzydliwego walczyka. Wreszcie Marsylianka poddaje się całkowicie: to Jules Fayre³ łkający na piersi Bismarcka i oddający wszystko, wszystko... Lecz tu już Augustyn zaczyna się biesić: słysząc chrapiące dźwięki, czuć nadmiar wypitego piwa, szal samouwielbienia, ktoś żąda miliardów najlepszych cygar, szampana i zakładników. Augustyn przechodzi w jakieś wycie... Wojna francusko-pruska skończona. Wszyscy biją brawo, a Julia Michajłowna przyznaje z uśmiechem:

- Jak można takiego człowieka wyrzucić?

Pokój został zawarty. Ten łajdaczyzna miał istotnie talent. Stiepan Trofimowicz dowodził mi kiedyś, że najgorsi nikczemnicy mogą jednocześnie odznaczać się najwybitniejszym talentem artystycznym i że jedno nie przeszkadza drugiemu. Rozniosła się później pogłoska, jakoby Lamszyn ukradł tę sztuczkę utalentowanemu i skromnemu młodzieńcowi, który przejazdem zahaczył o nasze miasto, a pozostał w cieniu. Lecz to nie jest ważne. Ten nikczemnik, który przez kilka lat kręcił się na wieczorkach u Stiepana Trofimowicza, na każde żądanie imitując rozmaitych Żydków, spowiedź głuchej baby lub rodzenie się dziecka, teraz u Julii Michajłowny nieraz najzabawniej odtwarzał samego Stiepana Trofimowicza jako liberała z lat czterdziestych. Wszyscy pokładali się ze śmiechu, toteż myśl o wypędzeniu go stała się wreszcie istnym nonsensem: był wprost niezbędny. Przy tym schlebiał niesłychanie młodemu Wierchowieńskiemu, ten zaś w owym czasie zdobył dziwnie decydujący wpływ na Julię Michajłownę.

O tym niegodziwcze nie mówiłbym osobno i nie warto by było nawet wspomnieć o nim. Lecz stała

się rzecz prawdziwie oburzająca, w której, jak powiadają, on także uczestniczył, a sprawy tej żadną miarą nie mogę pominąć milczeniem.

Pewnego dnia rozniosła się po całym mieście wiadomość o bezprzykładnej a niesłychanej profanacji. Przy wejściu na nasz ogromny plac rynkowy znajduje się cerkiew Narodzin Marii Panny, stanowiąca wysoce cenny zabytek starożytności. Przy murze cerkiewnym był obraz Matki Boskiej, wmurowany za kratą. I oto pewnej nocy obraz został znieważony, szkło wybite, krata złamana, a z korony i ryzy wyjęto drogie

kamienie i perełki. Mniejsza o ich wartość. Główna rzecz polegała na tym, że oprócz kradzieży dokonana została bezmyślna, ohydna profanacja: za szkłem obrazu znaleziono nad ranem żywą mysz. Teraz, gdy minęły od tego czasu cztery miesiące, wszyscy wiemy, iż zbrodnię tę popełnił Fiedka Katorżny, lecz nie wiadomo dlaczego wspomina się wciąż o uczestnictwie Lamszyna. Wtedy nikt o Lamszynie nie mówił, nikt go nie podejrzewał, a teraz wszyscy twierdzą, że to on wrzucił mysz. Pamiętam, że sprawa wywołała wśród władz pewną konsternację. Obok miejsca zbrodni od rana zaczęli gromadzić się ludzie. Nie były to znów nadzwyczajne tłumy, lecz stale było tam ze sto osób. Jedni przychodzili, inni odchodzili. Każdy żegnał się i przyklękał przed obrazem. Zaczęto składać ofiary. Zjawiała się taca cerkiewna i mnich przy tacy. Dopiero o trzeciej po południu władze domyśliły się, że można nakazać ludowi, aby nie zatrzymywał się przed obrazem, lecz odchodził zaraz, pomodliwszy się tylko i złożwszy ofiarę. Ten smutny wypadek wywarł na panu von Lembke jak najprzykrejsze wrażenia. Julia Michajłowna mówiła potem, jak mi to powtarzano, że od tego dnia zaczęła dostrzegać w mężu ten ponury nastrój, który go nie opuszczał aż do chwili jego wyjazdu z naszego miasta na kurację j podobno nawet towarzyszy mu teraz w Szwajcarii, gdzie pan von Lembke dotychczas odpoczywa po krótkotrwałym urzędowaniu w naszej guberni.

Wpadłem wtedy na plac o pierwszej po południu. Tłum stał, milczący i posepny. Podjechał dorożką jakiś tłusty i poźółkły kupiec, wysiadł z dorożki, pokłonił się, ucałował obraz, ofiarował rubla i z ciężkim westchnieniem pojechał dalej. Podjechał potem powozik z dwiema paniami w towarzystwie dwóch naszych figlarzy. Młodzieńcy (z których jeden był już niemłody) wyszli wraz z paniami z powozu i przecisnęli się do obrazu, niedbale odtrącając tłum. Nie zdjęli kapeluszy, a jeden z nich nałożył pince-nez. Wśród tłumu rozległy się szemrania, głucho, nieprzyjazne. Młodzieniec w pince-nez wyjął portmonetkę, wypełnioną po brzegi banknotami, wydobyl z niej miedzianą kopiejkę i cisnął na tacę. Obaj śmieli się i głośno rozmawiając wrócili do powozu. W tej chwili przyjechała konno w towarzystwie Maurycego Nikołajewicza Liza Nikołajewna. Zeskoczyła z konia, rzuciła trzęzlę swojemu towarzyszowi, który

21. 323

na jej polecenie pozostał w siodle, i zbliżyła się do obrazu w chwili, gdy na tacę padła miedziana kopiejka. Rumieniec oburzenia zalał jej twarz. Zdjęła swój okrągły kapelusz i rękawiczki, padła na kolana przed obrazem, w błoto, i pobożnie złożyła trzy niskie pokłony. Potem wyjęła portmonetkę, ponieważ jednak znalazła w niej tylko parę srebrniaków, zdjęła z uszu brylantowe kolczyki i rzuciła na tacę.

- Czy można? Czy można na ozdobienie szaty?... - pytała zażenowana.

- Wolno - odpowiedział mnich. - Każdy dar jest dobry.

Lud milczał nie wyrażając ani nagany, ani pochwały. Liza-wieta Nikołajewna w swym zabłoconym stroju dosiadła konia i pojechała dalej.

||

“

W dwa dni potem spotkałem ją w licznym towarzystwie, wyruszającym na jakąś wycieczkę trzema powozami i konno. Skinęła na mnie, zatrzymała swój powóz i stanowczo zażądała, abym się przyłączył do ich towarzystwa. Znalazło się miejsce w jej powozie. Śmiejąc się przedstawiła mnie swoim towarzyszkom, strojnie ubranym paniom, i wytłumaczyła, że chodzi tu o niesłychanie zajmującą wyprawę. Śmiała się głośno i była na pozór niezmiernie szczęśliwa. W ostatnim czasie wesołość jej stała się jakaś swawolna. Wyprawa była istotnie dość ekscentryczna. Jechano za rzekę do domu kupca Sewastianowa, u którego w oficynie od dziesięciu lat zamieszkiwał dożywając wieku, otoczony troską i opieką, starzec znany nie tylko u nas, lecz nawet w sąsiednich guberniach i w stolicy. Nazywał się Siemion Jakowlewicz, nasz błogosławiony i jasnowidzący.⁴ Wszyscy go odwiedzali, zwłaszcza przyjezdni żądni objawień, składali ofiary i pokłony. Ofiary, często dość znaczne, o ile natychmiast nie rozporządził nimi starzec, oddawano nabożnie do świątyń, głównie zaś do monasteru Matki Boskiej.⁵ W tym celu przy Siemionie Jakowlewiczu stale dyżurował mnich z tego monasteru. Całe towarzystwo miało nadzieję szczerze się ubawić. Nikt jeszcze nigdy nie widział starca. Jeden tylko Lamszyn był już kiedyś u niego i zapewniał, że został wypędzony miotłą, a sam starzec rzucił za nim własnoręcznie dwa duże gotowane kartofle. Wśród jeźdźców zauważyłem Piotra

324

Stiepanowicza, który najfatalniej trzymał się na wynajętym kozackim koniu, i Stawrogina. Stawrogin nie uchylał się od wspólnych rozrywek i zwykle miewał w takich razach przyzwoicie uśmiechniętą minę, a mówił mało i rzadko. Gdy ka-wplkada znalazłszy się przed mostem zrównała się z hotelem miejskim, ktoś przypomniał sobie, że w pokoju, w hotelu, znaleziono przed chwilą trupa samobójcy i że czekają na policję. Powstał natychmiast projekt złożenia wizyty zwłokom samobójcy. Projekt spodobał się wszystkim: żadna z naszych pań jeszcze nigdy nie widziała samobójcy. Pamiętam, że jedna z nich powiedziała: „Tak już wszystko jest nudne, że nie ma powodu przebierać w rozrywkach, byleby to było coś ciekawego.” Nieliczni tylko pozostali na ulicy. Reszta wpadła tłumnie do brudnego korytarza. Ze zdziwieniem zauważyłem, że Lizawieta Nikołajewna przyłączyła się do nich. Pokój samobójcy był otwarty. Nikt, rzecz jasna, nie ośmielił się zabronić nam wejść. Był to jeszcze zupełnie młodziutki chłopak, lat dziewiętnastu, o bardzo ładnych rysach, jasnych włosach, o prawidłowym owalu twarzy i wysokim, pięknym czole. Już zeszytywniał i biała jego twarz zdawała się wykuta z marmuru. Na stole leżała kartka, przez niego napisana, w której prosił, by nie oskarżać nikogo, i oświadczał, że zastrzelił się dlatego, że „przehulał” czterysta rubli. Wyraźnie napisał: „przehulałem”. W czterech wierszach kartki znaleziono trzy błędy ortograficzne. Nad trupem wzdychał jego sąsiad, gruby obywatel ziemski, który zatrzymał się w sąsiednim numerze, przyjechawszy w jakiejś sprawie do miasta. Wyjaśniło się z jego słów, iż chłopiec, stale mieszkający na wsi, przysłany tu został przez rodzinę, to znaczy matkę wdowę, siostry i ciotki, w celu poczynienia, pod okiem krewnej mieszkającej w mieście, różnych zakupów niezbędnych na wyprawę dla wychodzącej za mąż starszej siostry. Powierzono mu te czterysta rubli, uciulane w ciągu dziesiątków lat, a wzdychano przy tym ze strachu, modlono się i dręczono chłopca tysiącem wskazówek moralnych. Chłopak dotychczas był zawsze skromny i przyzwoity. Przyjechał przed trzema dniami do miasta, nie stawił się u krewnej, zatrzymał się w hotelu i poszedł od razu do klubu, w nadziei znalezienia tam gdzieś w dalszych pokojach „baczka” lub przynajmniej „stukułki”. Tego wieczora nie było jednak ani baczka, ani stukułki. Po-

325

wróciwszy do siebie około północy, zażądał szampana i cygar hawańskich i obstałował kolację z sześciu czy siedmiu dań. Szampanem upił się od razu, zemdlilo go od cygar; nie tknął więc nawet przyniesionych mu potraw, położył się i zasnął, na wpół przytomny. Zbudziwszy się nazajutrz, świeży jak jabłuszko wyruszył do taboru cygańskiego, który stał za rzeką na przedmieściu (a dowiedział się o nim w klubie), i nie wracał do hotelu przez dwa dni. Wczoraj dopiero wrócił, pijany, około piątej po południu, położył się do łóżka i spał do dziesiątej wieczorem. Zbudziwszy

się zażądał kotleta, butelki Chateau d'Yquem, winogron, papieru i atramentu. Kazał też sobie przynieść rachunek. Nie zauważono w nim nic nienormalnego. Był spokojny i uprzejmy. Prawdopodobnie zastrzelił się około północy. Rzecz dziwna, że nikt w hotelu nie słyszał strzału. Zapukano do niego dopiero o pierwszej po południu, a ponieważ nie otwierał, wyłamano drzwi. Wino było wypite do połowy i winogron zostało pół talerza. Strzał z trzystrzałowego małego rewolweru był wymierzony prosto w serce. Krwi wyciekło bardzo mało i rewolwer wypadł z ręki na dywan. Chłopiec leżał w rogu kanapy. Śmierć musiała nastąpić momentalnie. Na twarzy nie było żadnych śladów przedśmiertnych męczarni. Wyraz twarzy był spokojny, prawie szczęśliwy. Zdawało się, że nic mu nie brakuje. Całe towarzystwo przypatrywało mu się z chciwym zaciekawieniem. Przecież każde nieszczęście bliźniego ma w sobie coś takiego, co weseli cudze oczy - zawsze, u wszystkich. Panie rozglądały się w milczeniu, a panowie starali się okazać przytomność i bystrość umysłu. Ktoś zauważył, że to najlepsze wyjście z sytuacji i że chłopak nie mógł wymyślić nic mądrzejszego. Ktoś inny dodał, że chłopiec pożył krótko, lecz dobrze. Trzeci wykrzyknął: „Dlaczego to u nas tak często strzelają do siebie i wieszają się? Ludzie tracą grunt pod nogami, odrywają się od korzeni czy co?” Na rezonera wszyscy spojrzeli niechętnie. Wtedy Lamszyn, który zawsze z honorem starał się wywiązać z roli błazna, ściągnął z talerza winne grono. Wziął z niego przykład ktoś inny, trzeci zaś wyciągnął rękę po wino. Powstrzymał go jednak policmajster, który w tej chwili przyjechał i prosił wszystkich o „opuszczenie pokoju”. Ponieważ wszyscy napatrzyli się już do syta, więc wyszli bez słowa sprzeciwu, jedynie Lamszyn wdał się w jakąś sprzeczkę

326

z policmajstrem. Wzrosła ogólna wesołość, śmiech i ożywiona rozmowa towarzyszyły kawalkadzie w dalszej drodze.

Przyjechaliśmy do Siemiona Jakowlewicza punkt o pierwszej po południu. Brama, prowadząca do obszernego kupieckiego domu, była otwarta na oścież i wstęp do oficyny był wolny. Dowiedzieliśmy się natychmiast, że starzec raczy spożywać obiad, lecz przyjmuje. Całe nasze towarzystwo weszło razem. Pokój, w którym jadł obiad i przyjmował błogosławiony starzec, był dość duży, o trzech oknach, rozdzielony na dwie połowy drewnianą przegrodką, wysoką po pas. Zwykli pielgrzymi pozostawali za przegrodą, a tylko szczęśliwcy, wyróżnieni przez starca, wpuszczani byli przez drzwiczki do tej połowy, gdzie on siedział. Starzec kazał im siadać w starych skórzanych fotelach i na kanapie. Sam siedział zawsze w starym, wytartym wolterowskim fotelu. Był to człowiek rosły, trochę obrzękły i pożółkły na twarzy, w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat. Był łysawy, miał rzadkie jasne włosy. Brodę golił. Miał obrzmiały prawy policzek i usta trochę wykrzywione. Koło lewego nozdrza widać było dużą brodawkę. Oczy miał wąziutkie, a wyraz twarzy spokojny, solidny, zaspany. Był ubrany z niemiecka, w czarny surduty, lecz bez kamizelki i halsztuka. Spod surduta wyglądała dość gruba, biała koszula. Chore nogi trzymał w pantoflach. Podobno był przed laty urzędnikiem i miał jakąś tam rangę. Przed chwilą zjadł swą rybną zupę i zabierał się do drugiej potrawy: kartofli w mundurkach z solą. Nigdy nie jadał nic innego. Pił dużo herbaty, której był wielkim amatorem. Dokoła niego kręciło się trzech służących, utrzymywanych przez kupca; jeden z nich był we fraku, drugi przypominał sklepikarza, trzeci diaka. Był tam jeszcze jakiś wesoły szesnastoletni młokos. Oprócz sług był tam zawsze solidny siwy mnich z garnuszkiem na ofiary, trochę zbyt otyły. Na jednym ze stołów kipiał olbrzymi samowar, przy nim zaś na tacy stały ze dwa tuziny szklanek. Na drugim stole składano ofiary: było tam kilka głów i paczek cukru, że dwa funty herbaty, para wyszywanych pantofli, fularowy szalik, kawał sukna, sztuka płótna i tak dalej. Pieniężne zaś ofiary szły prawie wszystkie do garnuszka mnicha. W pokoju było dużo ludzi - około tuzina samych pielgrzymów, z których dwaj siedzieli u Siemiona Jakowlewicza za przegrodką. Byli to: jakiś siwy, pobożny

327

staruszek, człowiek prosty, i malutki, suchy, przyjezdny mniszek, który siedział w skupieniu ze spuszczonej oczyma. Inni przybysze stali przed przegródką. Byli to przeważnie prości ludzie, oprócz jednego kupca z miasta powiatowego, brodacza, ubranego po rosyjsku, który znany był jako człowiek krociowy, oraz jakiejś zubożałej szlachcianki w podeszłym wieku i jakiegoś ziemianina. Wszyscy czekali na swoją kolej i nie ośmielali się odzywać. Ze czterech klęczało, lecz powszechną uwagę przykuwał ziemianin, człowiek gruby, prawie czterdziestoletni, który klęczał przy samej przegródce, na widoku, i oczekiwał pobożnie na łaskawe spojrzenie lub słowo Siemiona Jakowlewicza. Klęczał już tak z godzinę, lecz nie zdołał zwrócić na siebie uwagi starca.

Nasze panie precisnęły się do przegródki i zaczęły szeptać wesoło. Odsunęły lub zasłoniły sobą innych pielgrzymów oprócz ziemianina, który uporczywie trzymał się swego miejsca i chwycił się rękami za kratę przegródki. Skierowały się ku starcowi wesołe i chciwie ciekawe spojrzenia, uzbrojone w lor-gnon, pince-nez, a nawet lornetki. Lamszyn przynajmniej przyglądał się przez lornetkę. Siemion Jakowlewicz obrzucił wszystkich leniwym i spokojnym wzrokiem i raczył przemówić trochę chrapliwym basem:

- Patrzoluby! Patrzoluby!

Całe nasze towarzystwo roześmiało się. „Co to znaczy: patrzoluby?” Lecz starzec pograżył się w milczeniu i jadł dalej swoje kartofle. Wreszcie wytarł usta serwetką. Podano mu herbatę.

Zwykle nie sam pił herbatę, lecz częstował i gości; nie wszystkich jednak. Wskazywał, kogo należy uszczęśliwić. Te rozporządzenia często zadziwiała. Czasem pomijał bogaczy i dygnitarzy i kazał nalewać chłopkowi lub jakiejś zgrzybiałej staruszce; czasem znów pomijał młodszą brać i dawał herbatę jakiemuś bogatemu kupcowi tłusćochowi. Rozdawał herbatę także niejednakowo: jednemu z cukrem w szklance, innym z kawałkiem cukru osobno, innym znów zupełnie bez cukru. Dziś uszczęśliwiony został ocukrzoną herbatą przyjezdny mniszek, a herbatą bez cukru pobożny staruszek. Tłusty mnich z garnuszkami, który co dzień dotychczas otrzymywał swoją szklankę, dziś nie dostał nic.

- Siemionie Jakowlewiczu, powiedz mi cokolwiek. Tak

328

dawno chciałam przyjść do ciebie! - rzekła śpiewnie, z uśmiechem mrużąc oczy, ta świetna dama z naszego towarzystwa, która w hotelu twierdziła, że „nie ma powodu przebierać w rozrywkach”.

Starzec nawet nie spojrział na nią. Ziemianin, który wciąż klęczał, westchnął głęboko i głośno jak miech kowalski.

- Z cukrem! - wskazał zniecierpliwiony starzec na krociowego kupca. Ten wysunął się naprzód i stanął obok ziemianina.

- Więcej cukru! - rozkazał Siemion Jakowlewicz, gdy szklanka była pełna. Sługa dołożył porcję. - Więcej, więcej! - Dołożył po raz trzeci i czwarty.

Kupiec bez szemrania pił swój syrop.

- O laboga! - szeptało wśród tłumu i żegnano się. Ziemianin znów westchnął głośno i głęboko.

- Ojczy rodzony! Siemionie Jakowlewiczu! - rozległ się przeraźliwy okrzyk. To wołała kobieta odepchnięta przez nasze towarzystwo do ściany. - Już od godziny, ojczy, łaski oczekuję. Wyrzeknij słowo, rozsądź sierotę.

Starzec wskazał na nią słudze, podobnemu do diaka.

- Zapytaj!

Sługa zbliżył się do przegródki i zwrócił się do wdowy spokojnym, równym głosem:

- Czy spełniłeś to, co ci Siemion Jakowlewicz ostatnim razem rozkazał?

Wdowa zaczęła jęczeć:

- Ojczy rodzony, Siemionie Jakowlewiczu, jakże mogłam spełnić! Czyż z nimi można co zrobić! To ludożercy! Skargę na mnie do sądu okręgowego podali. Senatem mi grożą. Matce rodzonej!...

- Dać jej!...-wskazał Siemion Jakowlewicz na głowę cukru.

Chłopak podbiegł, chwycił głowę cukru ze stołu i dał wdowie.

- Och, ojczy rodzony! Wielka jest łaska twoja! Na co mi tak dużo? - jęczała wdowa.

- Jeszcze, jeszcze! -wołał starzec.

Dano jej jeszcze jedną głowę. „Jeszcze, jeszcze” - brzmiał znowu rozkaz. Dano trzecią, wreszcie czwartą. Wdowa była obstawiona cukrem. Mnich westchnął; to wszystko, dawnym zwyczajem, mogłoby dziś jeszcze trafić do monasteru.

329

- Na co mi tak dużo? - jęczała wdowa zawstydzona. - Zemdli mnie od tego cukru! A może to jaka wyrocznia, ojczulku?

- Na pewno wyrocznia - szepnął ktoś z tłumu. Siemion Jakowlewicz nie poprzestał na tym:

- Dać jej jeszcze funt.

Na stole pozostała jeszcze cała głowa, lecz starzec kazał dać woreczek funtowy. Polecenie zostało wykonane.

- Boże, Boże! - wzdychał i zęgnął się lud.

Thusty mnich, pozbawiony dziś herbaty, w przystępie urażonej ambicji, podjął się roli tłumacza i odezwał się głosem pełnym zadowolenia z własnej osoby:

- Wpierw osłódź swą duszę dobrocią i miłością, a potem dopiero przychodź skarżyć się na dzieci własne, kość z kości twojej. Tak trzeba zrozumieć ów znak.

- Co ty mówisz, ojczy! - rozgniewała się raptem wdowa.- Toć oni mnie na arkanie taszczyli w ogień, gdy pożar był u Wierszyninów. Zdechłego kota wrzucili do skrzyni, na każdą potworność się poważają...

- Wypędzić, wypędzić! - zawołał starzec wymachując rękami.

Diak i chłopak wbiegli za przegródkę. Diaczek chwycił wdowę pod ramię, ona zaś, ukorzywszy się od razu, ruszyła ku drzwiom, oglądając się na podarowane jej głowy cukru, które chłopak z wysiłkiem niósł za nią.

- Odebrać jedną, odbierz! - rozkazał starzec trzeciemu słudze.

Ten pobiegł za wychodzącymi. Wszyscy trzej wrócili po chwili niosąc jedną z podarowanych głów cukru, odebraną. W każdym razie trzy głowy zostały przy wdowie.

- Siemionie Jakowlewiczu! - rozległ się z tyłu przy samych drzwiach czyjś głos. - Widziałem we śnie ptaka, kawkę. Wyleciała z wody i poleciała w ogień. Co znaczy ów sen?

- Na mróz - odrzekł starzec.

- Siemionie Jakowlewiczu, czemu mi nic nie odpowiadasz? Ja od tak dawna się tobą interesuję - znów odezwała się jedna z przybyłych z nami pań.

Starzec, nie słuchając nawet, wskazał na ziemianina, który wciąż klęczał.

- Zapytaj!

Mnich, do którego zwrócony był rozkaz, zbliżył się poważnie do przegródki.

- Czym zgrzeszyłeś? Czy nie kazano ci spełnić czegokolwiek?
- Nie bić; ręce trzymać na wodzy - ochrypłym głosem odpowiedział ziemianin.
- Wykonałeś?
- Nie mogę. Własna siła bierze górę.

Siemion Jakowlewicz znów zaczął wymachiwać rękami:

- Wypędzić, wypędzić. Miotłą go, miotłą! Ziemianin, nie czekając na wykonanie wyroku, zerwał się i wyskoczył z pokoju.

Mnich podniósł z podłogi złotą monetę.

- Zostawił tu pół imperiała.

Siemion Jakowlewicz wskazał na krociowego kupca.

- Oddać temu! Kupiec nie miał odwagi przyjąć.

Mnich znów nie mógł powstrzymać się od wyjaśnienia wyroczeni:

- Złoto niech idzie do złota!
- A temu z cukrem - odezwał się starzec, niespodziewanie wskazując Maurycego Nikołajewicza.

Sługa nalał szklankę herbaty i podał przez omyłkę eleganci-kowi w binoklach. Siemion Jakowlewicz poprawił omyłkę:

- Długiemu, długiemu...

Maurycy Nikołajewicz wziął szklankę, uklonił się po wojskowemu i zaczął pić. Nie wiadomo dlaczego wszyscy zaczęli pokładać się ze śmiechu.

- Maurycy Nikołajewiczu - odezwała się raptem Liza. - Ten człowiek, który klęczał, już poszedł; niech pan klęknie na jego miejscu.

Maurycy Nikołajewicz spojrzał na nią zdziwiony.

Liza jednak nie ustępowała i zaczęła mówić szybko, nerwowo, z uporem:

- Bardzo pana proszę! Pan mi sprawi wielką przyjemność, Maurycy Nikołajewiczu. Niech pan koniecznie klęknie. Ja chcę widzieć, jak pan będzie klęczał. Jeżeli pan nie klęknie, może mi się pan więcej nie pokazywać na oczy! Ja tak chcę, chcę koniecznie!...

Nie wiem, o co jej chodziło, lecz żądała uparcie, bezlitośnie,

jak w ataku hysterii. Maurycy Nikołajewicz tłumaczył sobie zwykle te jej kaprysy, coraz częstsze w ostatnich czasach, jako wybuch ślepej nienawiści do niego. Wiedział nawet, że Liza go szanuje, lubi, nie czuje do niego gniewu, lecz wyczuwał stale tę półświadomą nienawiść, której chwilami nie umiała powściągnąć.

W milczeniu oddał szklankę jakiejś staruszce, która stała obok niego, otworzył drzwiczki w przegródce, wszedł bez upoważnienia do tej części pokoju, gdzie siedział starzec, i na oczach wszystkich klęknął pośrodku pokoju. Przypuszczam, że musiała nim wstrząsnąć ordynarna, kpiarska fantazja Lizy w obecności tylu ludzi. Może pomyślał, że zawstydzi się sama, kiedy na jej rozkaz się poniży. Sądzę, że nikt oprócz niego nie próbował wychowywać kobiety w sposób tak naiwny i ryzykowny. Klęczał z całkowitą powagą na twarzy, długi, śmieszny, niezgrabny w tej pozycji. Nasze towarzystwo nie śmiało się. Niespodziewany ten postępek wywołał dziwne wrażenie. Wszyscy patrzyli na Lizę.

- Balsam, balsam! - rzekł starzec.

Liza nagle zbladła, krzyknęła i z jakimś jękiem wbiegła za przegródkę. Tu nastąpiła gwałtowna, histeryczna scena:

Liza ze wszystkich sił starała się podnieść Maurycego Ni-kołajewicza, szarpiąc go obiema rękami za łokieć.

- Niech pan wstanie! - krzyczała zapamiętale. - Zaraz, natychmiast! Jak pan śmiał klęknąć!

Maurycy Ni-kołajewicz podniósł się. Liza chwyciła go rękami powyżej łokcia i przenikliwie spojrzała mu w oczy. W jej spojrzeniu był strach.

Siemion Jakowlewicz powtórzył znowu:

- Patrzoluby, patrzoluby!

Na koniec Liza wyciągnęła Maurycego Ni-kołajewicza za przegródkę. Wśród naszego towarzystwa zapanował pewien popłoch. Ta dama, która już dwakroć się odzywała, chciała widocznie zatrzeć przykre wrażenie i znowu zapytała z kokieteryjnym uśmiechem:

- No cóż, Siemionie Jakowlewiczu? Czy nic mi nie powiesz? Tak bardzo liczyłam na ciebie...

Starzec spojrzał na nią i raptem odezwał się w sposób naj-straszliwiej niecenzuralny:

- W... jej dać, w...!

332

Słowa te wypowiedziane były z wściekłością i przeraźliwie wyraźnie. Nasze panie zaczęły piszczeć i gwałtownie rzuciły się do wyjścia. Mężczyźni śmieli się do rozpuku. Tak zakończyła się nasza wyprawa do starca.

Wtedy właśnie zdarzył się pewien znamieny a zagadkowy incydent. Przyznam się, że ze względu na ten incydent opisałem tak szczegółowo naszą wycieczkę.

Gdy wszyscy hurmem rzucili się do wyjścia, Liza, podtrzymywana przez Maurycego Ni-kołajewicza, zetknęła się w drzwiach, w tłoku, z Mikołajem Stawroginem. Trzeba dodać, że od pamiętnego niedzielnego poranku spotykali się ze sobą parokrotnie, lecz nie podchodzili jedno do drugiego i nie zamienili ze sobą ani słowa. Widziałem, jak zetknęli się teraz we drzwiach: wydało mi się, że oboje zatrzymali się na chwilę i jakoś dziwnie na siebie spojrzeli. Może mi się tak tylko wydało w tłoku. Lecz zapewniano mnie, i to zupełnie poważnie, że Liza, spojrzawszy na Stawrogina, podniosła rękę i zbliżyła ją do jego twarzy; na pewno by uderzyła, gdyby nie to, że zdążył się odsunąć. Może nie podobał się jej wyraz jego twarzy, jakiś jego uśmiech, zwłaszcza teraz, po scenie z Maurycem Ni-kołajewiczem. Przyznam się, że sam nic nie widziałem, lecz twierdzili tak wszyscy, chociaż w tłoku nie mogli tego właśnie wszyscy zauważyć, chyba tylko niektórzy. Wtedy nie uwierzyłem. Pamiętam jednak, że Stawrogin potem przez całą drogę powrotną był bledszy niż zwykle.

III

W tym samym mniej więcej czasie odbyło się wreszcie spotkanie Stiepana Trofimowicza z Barbarą Pietrowną, zamierzone przez nią i zapowiedziane przyjacielowi już od dawna, dotychczas jednak z niewiadomych przyczyn odkładane z dnia na dzień. Miejscem spotkania były Skworeszniki.

Barbara Pietrowną przyjechała do swej zamiejskiej posiadłości mocno zakłopotana: w przeddzień ustalono ostatecznie, iż bal odbędzie się u marszałkowej. Barbara Pietrowną, przy wrodzonej bystrości umysłu, zorientowała się jednak od razu, że nikt nie zabroni jej potem wydać balu w Skworesznikach i ściągnąć do siebie całego miasta. Przekonają się wtedy wszyscy czyje

apartamenty są wystawniejsze i kto potrafi lepiej przyjąć gości i z „większym smakiem urządzić wszystko. Zmieniła się w tym okresie nie do poznania. Zdawało się, że się zupełnie odrodziła i z dawniejszej niedostępnej „damy o wyższym polocie” (jak ją określał Stiepan Trofimowicz) przekształciła się w najzwyczajszą, lekkomyślną, światową osobę. Mówiąc nawiasem, były to prawdopodobnie tylko pozory.

Przybywszy do pustego domu, obeszła wszystkie pokoje w towarzystwie wiernego, niezawodnego Aleksego Jegoro-wicza i Fomuszki, który znał się na rzeczy i uchodził za specjalistę od sztuki dekoracyjnej. Rozpoczęły się narady i rozważania: jakie meble trzeba przywieźć z miasta; jakie rzeczy i obrazy; jak to wszystko poustawiać; jak wykorzystać oranżerię i kwiaty; gdzie zawiesić portiery; gdzie urządzić bufet; jeden bufet czy dwa; i tak dalej. I właśnie w czasie najgorętszych rozpraw Barbara Pietrowna kazała zniemacka posłać karetę po Stiepana Trofimowicza.

Stiepan Trofimowicz od dawna był gotów i wciąż oczekiwał tego nagłego wezwania. Wsiadając do karety przeżegnał się: rozstrzygał się jego los. Zastał przyjaciółkę w wielkim salonie, siedzącą w niszy na małej kanapce przed marmurowym stolikiem, z ołówkiem w ręku. Fomuszka wymierzał arszynem wysokość galerii i okien, a Barbara Pietrowna notowała na papierze cyfry i robiła na marginesie uwagi. Nie odrywając się od roboty, skinęła głową wchodzącemu. Gdy Stiepan Trofimowicz wybełkotał jakieś powitanie, podała mu rękę i wskazała, gdzie ma usiąść.

- Siedziałem tak i czekałem pięć minut ze ściśniętym sercem - opowiadał mi potem. - Widziałem przed sobą inną kobietę niż ta, którą znałem przez całe dwadzieścia lat. Głębokie przeświadczenie, że już wszystko skończone, dodało mi sił, aż sama musiała się zdziwić. Przysięgam panu, że była zdumiona moją stanowczością w tej ostatniej chwili.

Barbara Pietrowna w pewnym momencie odłożyła ołówek i szybko zwróciła się do Stiepana Trofimowicza.

- Muszę się z panem rozmówić. Wiem, że ma pan w pogotowiu wszystkie swe słówka i frazesy. Czy nie lepiej jednakże przystąpić wprost do rzeczy?

Żachnął się. Zbyt gwałtownie podkreślała od razu swój ton. Cóż będzie dalej ?

- Niech pan poczeka - mówiła szybko Barbara Pietro-wna - niech pan milczy. Pierwej ja powiem, a potem pan, chociaż doprawdy nie wyobrażam sobie, co może mi pan odpowiedzieć. Tysiąc dwieście rubli pensji dla pana uważam za swój święty obowiązek, aż do pańskiej śmierci. Co tam zresztą święty obowiązek! Po prostu umowa, to bardziej realne. Jeżeli panu na tym zależy, możemy ją spisać. Na wypadek mojej śmierci już wydałam zarządzenie. Lecz pan otrzymuje ode mnie oprócz tego mieszkanie, usługę i utrzymanie. Jeżeli wszystko skalkulować w pieniądzech, wyniesie to tysiąc pięćset. Prawda? Dodaję trzysta na nadzwyczajne wydatki i mamy razem trzy tysiące. Czy to panu wystarcza jako dochody roczne ? Chyba tak? W wypadkach zupełnie nadzwyczajnych coś jeszcze dodam. Niech pan bierze pieniądze, odeśle mi moich ludzi i mieszka, gdzie chce. W Petersburgu, w Moskwie, za granicą, tu zresztą, byle nie u mnie. Słyszysz pan?

- Nie tak dawno te same usta tak samo pośpiesznie i stanowczo rzuciły mi inne żądanie - odpowiedział powoli Stiepan Trofimowicz ze smutną wyrazistością podkreślając każde słowo. - Podałem się wówczas. Tańczyłem, jak pani grała. Oui, la comparaison peut etre permise. Cetai comme un petit Cosak du Don, qid sautait sur sa propre tombe.* Teraz zaś...

- Niech pan przestanie, Stiepanie Trofimowiczu. Pan zbyt wiele mówi. Pan nie tańczył, lecz wyszedł wtedy do mnie w nowym halsztuku i koszuli, w rękawiczkach, naperfumowany, wypomadowany. Zapewniam pana, pan sam strasznie chciał się żenić. Widać było z pańskiej

twarży. Niech mi pan wierzy, że wyraz pańskiej twarzy nie był zbyt wytworny. Jeżeli wtedy nie zwróciłam na to pańskiej uwagi, to jedynie przez delikatność. Lecz pan chciał, pan pragnął się żenić pomimo tych wszystkich obrzydliwości, które pan wypisywał w listach o mnie i o pańskiej narzeczonej. Teraz to już zupełnie co innego. Co ma tu do rzeczy jakiś Cosak du Don nad jakąś tam pańską mogiłą? Nie rozumiem tego porównania. Nie musi pan wcale umierać, niech pan żyje jak najdłużej, będę bardzo rada.

- W przytułku dla starców?

- Tak, można sobie pozwolić na takie porównanie. To było tak, jakby biedny Kozak znalazł Donu tańczył na swojej mogile.

335

- Dlaczego w przytułku? Kto ma trzy tysiące rocznie, nie musi iść do przytułku. Ach, przypominam sobie! To Piotr Stiepanowicz kiedyś żartował o tym przytułku. Ma to być jakiś zupełnie specjalny przytułek, nad którym warto się zastanowić. Jest on przeznaczony dla najsolidniejszych osób. Są tam pułkownicy. Nawet jakiś generał chce się tam dostać. Jeżeli pan ulokuje się tam, mając swoje pieniądze, znajdzie pan tam spokój, wygodę, usługę. Będzie pan tam pracował naukowo, a partyjka preferansa znajdzie się zawsze.

- Passons.*

- Dlaczego passons? - oburzyła się Barbara Pietrowna. - W takim razie koniec rozmowy. Poinformowałam pana i od dzisiaj każde z nas żyje osobno.

- I to już wszystko? Po dwudziestu latach? To ostatnie pożegnanie ?

- Pan strasznie lubi wykrzykniki, Stiepanie Trofimowicz To już wyszło z mody. Oni mówią ordynarnie, lecz prości””* Ciągłe o tych dwudziestu latach! Dwadzieścia lat obopólne samolubstwa i nic więcej. Każdy list pański, do mnie pisać był nie dla mnie, lecz dla potomności. Pan jest stylistą, a ni przyjacielem. Przyjaźń - to tylko frazes. W istocie zaś było to obopólne wylewanie pomysł.

- Boże, ile cudzych słów! Wyuczona lekcja! Już panią nawet zdążyli przebrać po swojemu. Pani jest w upojeniu, panią oślepiła słońce! Chere, cheref Za jaką miskę soczewicy sprzedała im pani swoją wolność?!

- Nie jestem papugą - oburzyła się Barbara Pietrowna - abym powtarzała cudze słowa! Niech mi pan wierzy, że nagromadziły mi się własne. A cóż pan zrobił dla mnie przez te dwadzieścia lat? Pan mi żałował nawet tych książek, które sprowadzałam dla pana. A gdyby nie introligator, byłyby dotychczas nie rozcięte. Cóż mi pan dawał do czytania, gdy w pierwszych latach prosiła o wskazówki? Wciąż Capefigue i Capefigue.6 Pan był zazdrosny o mój rozwój umysłowy i hamował go. A tymczasem właśnie z pana wszyscy się śmieją. Przyznam się, że zawsze miałam pana tylko za krytyka. Pan jest krytykiem literackim, i niczym więcej. Gdy po drodze do Petersburga zwierzyła się panu z zamiaru wydawania pisma i poświęcenia

Nie mówmy o tym

336

mu całego życia, pan spojrzął na mnie ironicznie i stał się od razu strasznie wyniosły.

- To zupełnie co innego... baliśmy się wtedy represji...

- To właśnie to samo, a żadnych represji wtedy w Petersburgu pan się nie mógł obawiać. Pamięta pan, wtedy w lutym, gdy się rozeszły pewne wieści, jak pan przybiegł do mnie przerażony i żądał, bym stwierdziła pisemnie, że z projektowanym pismem nie ma pan nic wspólnego, że ta młodzież

bywała u mnie, a nie u pana, i że pan jest tylko nauczycielem domowym, mieszkającym u mnie dlatego, że nie wypłacono panu zaległej gaży. Pan to pamięta? O, pan umiał zawsze wyłączyć swoje życie, Stiepanie Trofimowiczu!

- To była tylko chwila małoduszności! - ze smutkiem, w głosie oświadczył Stiepan Trofimowicz. - Czyż można jednak zerwać wszystko z powodu takich przelotnych wrażeń? Czyż nic innego nie pozostało między nami po tych dwudziestu latach?

- Pan jest niesłuchanie praktyczny. Pan chciałby tak rzecz

-wrócić, abym ja jeszcze pozostała pańską diużniczka. Gdy jpan wrócił z zagranicy, patrzył pan na mnie z góry i nie dawał mi przyjsć do słowa. A gdy potem pojechałam sama i zaczęłam po powrocie opisywać panu moje wrażenia z oglądania Madonny, pan nie chciał słuchać i uśmiechał się wyniośle, jak gdybym była niezdolna do takich samych uczuć jak pan.

- To było co innego. Na pewno co innego. Jai oublie*

- Nie, to było właśnie to. A nie miał pan czego się chełpić, bo to wszystko głupstwo i wymysł. Teraz już nikt nie zachwyca się Madonną i nie traci na to czasu, chyba zatwardziali konserwatyści. To już dowiedzione.

- Już dowiedzione?

- Madonna jest do niczego. Ten oto dzbanek jest pożyteczny, gdyż można wlać w niego wodę. Ten ołówek jest pożyteczny, gdyż służy do pisania. A tam - tylko twarz kobieca, brzydsza od innych żywych twarzy. Niech pan namaluje jabłko i położy obok jabłko prawdziwe. Które z nich pan wybierze? Tu już omyłki pan nie popelni. Do tego sprowadzają się wszystkie dawne teorie, gdy padnie na nie pierwszy promień swobodnego badania.⁷

- Zapomniałem
15 Dosu'ewski, t III 337

- Tak, tak...

- Pan się uśmiecha irocznie... A co mi pan na przykład plótł o jałmużnie? Teraz już wiem, że rozkosz jałmużny jest rozkoszą dumną i niemoralną, jest upajaniem się bogacza swymi bogactwami, swą władzą i przewagą nad nędzarzem. Jałmużna demoralizuje i ofiarodawcę, i obdarzonego, a przy tym rozmija się z celem, gdyż tylko wzmaga i utrwala nędzę. Leniuchy, nie chcące pracować, tłoczą się wokół ludzi szczodrych jak gracze wokół stołu gry w nadziei na uśmiech losu. Tych zaś nędznych okrucich, rzucanych tłumom, nie wystarcza nawet na zaspokojenie, setnej części ich pragnień. Czy sam pan dużo rozdał w swym życiu? Osiemdziesiąt kopiejek, nie więcej. Niech pan sobie przypomni. Kiedy pan po raz ostatni dawał jałmużnę? Dwa lata temu, może nawet cztery. Pan dużo gada i tylko szkodzi sprawie. W dzisiejszym społeczeństwie jałmużna powinna być surowo zabroniona. W przyszłym ustroju nie będzie nędzarzy.

- Ach, co za gejzer cudzych frazesów! Już nawet doszliśmy do nowego ustroju! Nieszczęsna, niech się Bóg nad panią zlituje!

- Tak, stało się, Stiepanie Trofimowiczu! Pan skrzętnie ukrywał przede mną nowe idee, dziś znane już wszystkim, a robił pan to tylko przez zazdrość, aby czuć swoją przewagę nade mną. A teraz nawet ta Julia wyprzedziła mnie o sto wiorst. Lecz i ja teraz przejrzałam. Broniłam pana, Stiepanie Trofimowiczu, dopóki mogłam. Wszyscy pana oskarżają.

- Dość już tego! - Stiepan Trofimowicz wstał. - Dość! Czego mam pani życzyć? Czyżby skruchy?

- Niech pan usiądzie na chwilę, Stiepanie Trofimowiczu. Chcę pana o coś jeszcze zapytać. Czy

zaproszono pana do udziału w poranku literackim? To za moim pośrednictwem. Z czym pan ma zamiar wystąpić?

- Powiem właśnie o tej królowej królowych, o tym ideale ludzkości, o Madonnie Sykstyńskiej, która zdaniem pani nie jest warta tyle co dzbanek lub ołówek.

Barbara Pietrowna okazała niezadowolenie i zdziwienie.

- Więc nic z historii? W takim razie nikt nie będzie słuchać. Że też pan wbił sobie w głowę tę Madonnę! Chce się też panu usypiać słuchaczy! Niech pan będzie pewien, Stie-panie Trofimowiczu, że chodzi mi tylko o pańskie dobro.

338

Byłoby zupełnie inaczej, gdyby pan wziął jakąś króciutką, lecz ciekawą historyjkę dworską z czasów średniowiecza, z życia Hiszpanii, jakąś zwykłą anegdotę, i wypełnił ją innymi własnymi dowcipami. Tam były wspaniałe zamczyska, piękne damy, morderstwa, trucizny. Karmazinow mówi, że będzie to nawet dziwne, jeśli o historii Hiszpanii nikt nic ciekawego nie powie.

- Karmazinow, ten głupiec, który się wypisał, szuka dla mnie tematu?!

- Karmazinow jest mężem o umyśle wyjątkowym. Pan jest zbyt zuchwały, Stiepanie Trofimowiczu.

- Karmazinow to stary babsztyl, który się wypisał i przesiąkł żółcią! Chere, chere, od jak dawna poddała się pani ich urokowi? Mój Boże!

- Ja i teraz nie znoszę go za jego arogancję, muszę jednak oddać sprawiedliwość, że ma rozum. Powtarzam, że broniłam pana z całych sił, dopóki mogłam. I po co pan wciąż pokazuje, że jest śmieszny i nudny. Niech pan wyjdzie na estradę z poważnym uśmiechem, jak przystało przedstawicielowi minionej epoki, i niech pan powie trzy anegdoty, lecz tak dowcipne, jak tylko pan to czasem potrafi. Niech już będzie, że jest pan za stary, niech będzie, że pan należy do innej epoki i że tamci pana zdystansowali! Dobrze. Sam się pan przyzna do tego w przedmowie i wszyscy nabiorą przekonania, że z pana miły, dobry, dowcipny zabytek przeszłości... słowem, że jest pan człowiekiem starej daty, a jednocześnie tak współczesnym, że sam potrafi uznać nonsens tych pojęć, którym pan hołdował. Niech pan to dla mnie zrobi. Tak pana proszę.

- Chere, dość tego! Niech pani nie prosi na próżno. Nie mogę. Powiem o Madonnie, ale wywołam burzę, która albo ich wszystkich powali, albo zabije mnie!

- Na pewno pana, Stiepanie Trofimowiczu.

- Taki już mój los. Opowiem im o podłym niewolniku, o śmierdzącym, podłym lokaju, który stanie pierwszy na drabinie z nożycami w ręku i rozetnie boskie oblicze wielkiego ideału w imię równości, w imię zawiści i... w imię trawienia. Niech zabrzmi moje przekleństwo, a wtedy, wtedy...

- Do domu wariatów?

- Może. W każdym razie, padnę czy zwyciężę, wezmę tego samego dnia moją torbę żebracza, porzucę cały mój do-

339

bytek i wszystkie pani dary, wszystkie pensje i obietnice dobrodziejstw, i pójdę piechotą, aby dokonać żywota jako guwerner u kupca albo też umrzeć z głodu pod płótem. Rzekłem. Alea iacta est!*

Znów wstał.

Barbara Pietrowna zerwała się także. Oczy jej się iskrzyły.

- Wiedziałaś, wiedziałam od dawna, że żyje pan tylko po to, aby na stare lata zhańbić oszczerstwem mnie i mój dom! Co pan chce udowodnić swoim kupcem albo tą śmiercią pod płótem? To tylko złość, oszczerstwo, nic więcej!

- Pani zawsze mną pogardzała, ja jednak skończę jak rycerz wierny swej oblubienicy. Opinia pani była dla mnie zawsze najdroższa. Od tej chwili nic już od pani nie przyjmę i będę ją czcił bezinteresownie.

- Jakie to głupie!

- Pani nigdy mnie nie szanowała. Mogłem mieć różne słabostki. Tak, objadałem panią; używam języka nihilistów. Lecz objadanie nigdy nie było pobudką mego postępowania. To się stało samo przez się, nie wiem jak... Myślałem zawsze, że łączy nas coś więcej niż jedzenie, i nigdy się nie spodiłem! A teraz w drogę! Odkupmy winy! W spóźnioną drogę. Na dworze już głęboka jesień, mgła wisi nad polami, zimny, starczy szron pokrył -przyszły mój szlak, a wiatr zawodzi o bliskim zgonie... Lecz w drogę, w drogę, nową drogę:

Pełen czystego kochania,

Wierny swych marzeń słodczy...8

Żegnajcie moje marzenia! Dwadzieścia lat! Alea iacta est! Twarz jego zrosiły nagle łzy. Wziął kapelusz.

- Nie rozumiem po łacinie - rzekła Barbara Pietrowna starając się z całej siły zapanować nad sobą.

Może jej także chciało się płakać, lecz kaprys i oburzenie zwyciężyły raz jeszcze.

- Wiem tylko, że to wszystko są figle. Nigdy w życiu nie będzie pan w stanie spełnić swojej groźby, pełnej egoizmu. Nigdzie pan nie pójdzie, do żadnego kupca. Najspokojniej skończy pan żywot u mnie, otrzymując pensję i gromadząc

- Kości zostały rzucone!

340

u siebie we wtorki swych niepodobnych do ludzi przyjaciół. Żegnam pana, Stiepanie Trofimowiczu!

- Alea iacta est! - powtórzył Stiepan Trofimowicz.

Założywszy niski ukłon wyszedł i wrócił do domu, ledwo żywy ze wzburzenia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

PIOTR STIEPANOWICZ UWIJA SIĘ

I

Dzień balu wyznaczono ostatecznie i von Lembke z dnia na dzień stawał się coraz smutniejszy, coraz bardziej zafrasowany. Dręczyły go jakieś dziwne, złowrogie przecucia, co bardzo niepokoiło Julię Michajłównę. Istotnie, nie wszystko było w porządku. Poprzednik Lembkego, człowiek zbyt dobrotliwy, pozostawił gubernię w stanie nieświeżym. A teraz groziła epidemia cholery. W wielu miejscach wybuchł pomór na bydło. Przez całe lato w miastach i wsiach szalały pożary i wśród ludu coraz głośniej powtarzano głupie pogłoski o podpalaczach¹. Rabunki były dwakroć częstsze niż zwykle. To wszystko było jeszcze dość normalne. Lecz inne, poważniejsze przyczyny pozbawiały spokoju szczęśliwego dotychczas Andrzeja Antonowicza.

Zastanawiało Julię Michajłównę, że mąż stawał się z dnia na dzień coraz bardziej milczący i zamknięty w sobie. Cóż takiego, zdawałoby się, miał do ukrywania? Istotnie, rzadko jej przeczył i w większości wypadków był uległy. Pod jej wpływem na przykład zostały parokrotnie zastosowane środki niesłychanie ryzykowne i nieomal bezprawne, które miały wzmocnić władzę gubernatora.

W tym także celu dopuszczono kilka-kroć do fatalnej tolerancji; niektórzy ludzie na przykład warci sądu i Syberii tylko za jej namową zostali przedstawieni do odznaczeń. Na niektóre skargi i pytania postanowiono systematycznie nie odpowiadać. Te rzeczy stały się wiadome później. Lembke nie tylko podpisywał wszystko, ale nawet nie zastanawiał się nad stopniem, w jakim jego małżonka brała udział

342

w pełnieniu jego własnych obowiązków. Czasem stawał za to dęba z powodu „najgłupszych drobiazgów” i wprowadzał tym Julie Michajłownę w zdumienie. Naturalnie chciał wynagrodzić sobie dni posłuszeństwa krótkimi chwilami buntu. Julia Michajłowna, pomimo całej swojej przenikliwości, nie mogła zrozumieć tego szlachetnego impulsu szlachetnej duszy. Niestety, nie miała czasu nad tym się zastanawiać i dlatego też zaszło tyle nieporozumień.

Nie mogę i nie potrafię nawet opowiadać o niektórych rzeczach. Zastanawianie się nad błędami administracji także nie do mnie należy. W ogóle odsuwam na bok całą tę stronę administracyjną. Gdym zaczął moją opowieść, postawiłem sobie inne zadanie. Zresztą dużo rzeczy wykryje rozpoczęte już w innej guberni dochodzenie, trzeba tytko trochę poczekać. W każdym razie pewne wyjaśnienia są konieczne.

Powróćmy jednak do Julii Michajłowny. Ta biedna kobieta (żał mi jej szczerze) mogłaby osiągnąć wszystko, co ją tak nęciło (sławę i resztę), w ogóle bez tak gwałtownych i ekscentrycznych posunięć, jakie stosowała od samego początku. Czy z nadmiaru fantazji, czy też pod wpływem smutnych niepowodzeń pierwszej młodości, wraz ze zmianą losu poczuła się natychmiast powołaną do spełniania nowej roli. Jak gdyby nad nią „pędził język ognia zwinny”², a w tym właśnie języku tkwiła cała bieda. To już nie koafiura ze sztucznych loków, którą można upiąć na każdej główce kobiecej. Lecz najtrudniej właśnie przekonać kobietę o tej prawdzie; przeciwnie, wierzy tym tylko, którzy jej przytakują, a przytakiwali jej wszyscy, jeden przez drugiego. Biedaczka, stała się wkrótce igraszką unoszoną na falach najrozmaitszych wpływów, a jednocześnie wyobrażała sobie, że jest jak najbardziej samodzielna. Niejeden spryciarz upiekł przy niej swoją pieczęć i wyzyskał jej łatwowierność w krótkim okresie jej rządów. I co za mieszanina pojęć była tu pod pozorami samodzielności! Podobały się jej wielkie latyfundia i żywioł arystokratyczny, i wzmacnianie władzy gubernatorskiej, i żywioł demokratyczny, i nowe instytucje, i ład, i wolność, i idee społeczne, i surowy ton arystokratycznych salonów, i bulwarowa rozwiązłość otaczającej ją młodzieży. Marzyła o tym, by uszczęśliwić i godzić największe sprzeczności, właściwie zaś chciała wszystkich i wszystko zjednoczyć w ubóstwianiu swojej własnej osoby.

343

Miała i faworytów. Młody Wierchowieński, który schlebiał jej we wszystkim, pozyskał jej łaski. Był jeszcze inny powód łask, najdziwaczniejszy, a tak charakterystyczny dla niej: nieszczęsna, wciąż miała nadzieję, że Wierchowieński odsłoni jej cały spisek antypaństwowy! Trudno uwierzyć, lecz tak było istotnie. Nie wiadomo dlaczego zdawało się jej, że w naszej guberni został uknuty spisek antypaństwowy. Wierchowieński, czasem przez milczenie, czasem przez rzucanie półsłówek, przyczynił się do utrwalenia w niej tej dziwacznej myśli. Była zaś przekonana, że jakies nici łączą go ze wszystkim, co żyje w Rosji rewolucją, i że jednocześnie jest do niej, Julii Michajłowny, bezgranicznie przywiązany. Wykrycie spisku, wdzięczność Petersburga, nadzieja kariery, a jednocześnie oddziaływanie na młodzież „łagodnością” po to, by zatrzymać ją nad skrajem przepaści - wszystko to jakoś godziło się w jej rozfantazjowanym umyśle. Potrafiła przecież ocalić i podbić Piotra Stiepanowicza (była o tym nie wiadomo dlaczego najmocniej przekonana), potrafi więc ocalić i innych. Żaden, żaden z nich nie zginie, ocali wszystkich; podzieli ich na kategorie, tak o nich zaraportuje; zrobi to w interesie wyższej sprawiedliwości i może nawet historia i cały liberalizm rosyjski będą błogosławiły jej imię; a spisek bądź co bądź zostanie

wykryty. Wszystkie korzyści naraz.

Trzeba było w każdym razie postarać się o to, aby przynajmniej na dzień balu Andrzej Antonowicz rozjaśnił trochę swoje oblicze. Trzeba było koniecznie ożywić go i uspokoić. W tym celu Julia Michajłowna posłała do niego swego ulubieńca, przekonana, iż Wierchowieński potrafi wpłynąć na jego przygnębienie w znany sobie, uspokajający sposób. Może to nawet będą jakieś wiadomości, jak to mówią - z pierwszego źródła. Liczyła bardzo na jego spryt. Piotr Stiepanowicz już dawno nie był w gabinecie Lembkego. Wbiegł do niego właśnie w chwili, kiedy pacjent był w wyjątkowo podłym nastroju.

II

Powstała pewna skomplikowana sytuacja, z którą pan von Lembke nie mógł sobie żadną miarą dać rady. W jednym z powiatów (tam właśnie, gdzie niedawno hulał Piotr Stie-

344

panowicz) pewien podporucznik otrzymał ustną naganę od swojego bezpośredniego zwierzchnika. Odbyło się to wobec całej rotty. Podporucznik ów niedawno przyjechał z Petersburga. Był to człowiek jeszcze młody, zwykle milczący i ponury, o wyglądzie poważnym, chociaż niziutki, gruby i rumiany. Nie zniósł tej kary i rzucił się na zwierzchnika z nieoczekiwane piskliwym okrzykiem, który wprowadził wszystkich w zdumienie. Dziwacznie pochylił głowę, uderzył zwierzchnika i z całej siły ugryzł go w ramię. Ledwo go oderwano. Nie było wątpliwości, że zwariował. Wyjaśniło się, że w ostatnich czasach dopuszczał się wielu nieprawdopodobnych dziwactw. Wyrzucił na przykład z mieszkania dwa święte obrazy, należące do gospodarza, a jeden z nich porąbał siekierą.³ W pokoju swoim rozłożył na podstawkach, jak na cerkiewnych pulpitych, dzieła Vogta, Moleschota i Biichnera⁴ i przed każdym pulpitem zapalał woskowe świece cerkiewne. Z ilości książek znalezionych u niego można było wnioskować, że jest to człowiek odczytany. Gdyby rozporządzał jakimi pięćdziesięcioma tysiącami franków, prawdopodobnie popłynąłby w świat, może na Markizy, jak ów „kadet”, o którym z takim humorem wspomina w jednym ze swych utworów pan Hercen.⁵ Gdy go aresztowano, znaleziono w jego kieszeniach i w mieszkaniu cały plik najokropniejszych proklamacji.

Same proklamacje - to w zasadzie rzecz błaża i, moim zdaniem, wcale niekłopotliwa. Czy to mało widywaliśmy ich w ostatnich czasach? Zresztą nie były to nawet jakieś nowe proklamacje: takie same, jak później mówiono, rozrzucone zostały niedawno w ch-iej guberni. Liputin, który przed sześciu tygodniami wyjeżdżał do powiatu i do sąsiedniej guberni, zapewniał, że widział wtedy zupełnie takie same kartki. Zastanowiło jednak von Lembkego głównie to, iż zarządzający fabryką Szpigulinów dostarczył w tym samym czasie na policję dwie lub trzy paczki takich samych kartek jak te, które znaleziono u podporucznika, a które podrzucano w nocy w fabryce. Paczki nie były jeszcze rozpakowane i żaden z robotników nie zdążył jeszcze nic przeczytać. Fakt sam przez się nie był nazbyt ważny, lecz Lembke zadumał się głęboko. Sprawa wydawała mu się nieprzyjemnie zawiła.

W fabryce tej rozpoczęła się właśnie „szpigulinowska historia”, o której tak dużo mówiono u nas i która przedostała

345

się nawet, w najrozmaitszych wersjach, i do prasy stołecznej.⁶ Trzy tygodnie temu jeden z robotników zachorował tam na cholera azjatycką. Potem zachorowało jeszcze kilkoro ludzi. W mieście wywołało to panikę, gdyż cholera przedostawała się tu z sąsiedniej guberni. Muszę dodać, że w naszym mieście zastosowano odpowiednie środki sanitarne w celu niedopuszczenia straszego gościa. Lecz fabrykę Szpigulinów, milionerów o szerokich stosunkach, jakoś

przeoczono. I oto nagle wszyscy zaczęli narzekać, że tu właśnie kryje się źródło choroby. Fabryka, a zwłaszcza mieszkania robotników, są tak straszliwie zapuszczone, że gdyby nawet nie było epidemii, choroba sama musiałaby narodzić się tutaj. Natychmiast zwrócono na to należyłą uwagę i Lembke energicznie dopilnował, aby bezzwłocznie fabrykę zdezynfekować. Zrobiono to w ciągu trzech tygodni, lecz właściciele z niewiadomych powodów zamknęli fabrykę. Jeden z braci Szpigulinów stale mieszkał w Petersburgu, drugi zaś wyjechał do Moskwy natychmiast po otrzymaniu od władz polecenia, by zdezynfekować fabrykę. Zarządzający rozpoczął rozrachunek z robotnikami i podobno, jak się później okazało, najhaniebniej ich oszukiwał. Robotnicy zaczęli szemrać, żądali sprawiedliwego obrachunku, przez naiwność chodzili nawet ze skargą na policję, nawiasem mówiąc, bez nadmiernego hałasu i bez jakiegokolwiek zamieszania. W tym właśnie czasie doręczono Lembkemu przyniesione przez zarządzającego proklamacje.

Piotr Stiepanowicz wpadł do gabinetu bez meldowania się, jako dobry przyjaciel i domownik, tym bardziej że miał polecenie od Julii Michajłowny. Lembke zobaczywszy go, nachmurzył się i z niezbyt uprzejmą miną zatrzymał się przy biurku. Do tej chwili spacerował po gabinecie i rozważał coś w cztery oczy z urzędnikiem swojej kancelarii Blumem, niezgrabnym i ponurym Niemcem, przywiezionym z Petersburga pomimo silnej opozycji Julii Michajłowny. Gdy wszedł Wierchowieński, Blum cofnął się do drzwi, lecz nie opuścił gabinetu. Piotr Stiepanowicz miał nawet wrażenie, że Lembke i Blum spojrzeli na siebie znacząco.

- Ach, złapałem pana wreszcie, skryty władco tego miasta ! - zawołał ze śmiechem Piotr Stiepanowicz i nakrył dłonią proklamację, leżącą na stole. - To powiększy pana kolekcję, co?

346

Lembke obruszył się. Twarz jego wykrzywiła się jakoś.

- Daj pan spokój! - zaczął wołać trzęsąc się z gniewu. - Niech pan to w tej chwili zostawi! I niech się pan nie waży... łaskawy panie...

- O co panu chodzi? Czyżby się pan gniewał?

- Zwracam pańską uwagę, że nie zamierzam znosić dłużej pańskiej bezceremonialności. I proszę nie zapominać, że...

- Tam do diabła, on rzeczywiście się gniewał!

- Milczże pan, milcz! - zaczął tupać von Lembke.- Niech się pan nie waży...

Bóg jeden wie, do czego by doszło. Wchodziła tu w grę niestety jeszcze pewna okoliczność, nie znana zupełnie ani Piotrowi Stiepanowiczowi, ani nawet samej Julii Michajłownie, Nieszczęśliwy Andrzej Antonowicz doszedł w ostatnich czasach do takiego zdenerwowania, że zaczął być zazdrosny względem Piotra Stiepanowicza o żonę. W samotności, zwłaszcza po nocach, przechodził męczarnie.

- A ja sądziłem - odezwał się z godnością Piotr Stiepanowicz - że człowiek, który przez dwa wieczory do późnej nocy czyta mi swoją powieść i pragnie poznać moją opinię, sam do pewnego stopnia rezygnuje z tonu oficjalnego... Julia Michajłowna traktuje mnie jak bliskiego człowieka... Jak tu się zorientować? A propos, zwracam panu tę powieść.

Położył na stole duży, gruby, skręcony w rulon kajet, zawinięty starannie w niebieski papier.

Lembke zaczerwienił się, stracił rezon i ostrożnie zapytał:

- Gdzież pan to odnalazł?

Nie chciał zdradzić swojej radości, lecz była ona zbyt widoczna.

- Niech pan sobie wyobrazi, kajet zwinięty, jak był, stoczył się za komodę. Widocznie wtedy,

wróciwszy do domu, niezręcznie jakoś rzuciłem. Odnaleziono to przed trzema dniami w czasie mycia podłogi. Sprawił mi pan kłopot nie lada!

Lembke spuścił oczy.

- Dwie noce z rzędu nie spałem z pańskiej łaski. Znalaziono powieść przed trzema dniami. Zatrzymałem u siebie. W dzień nie mam czasu. Czytałem w nocy. Nie podoba mi się. Myśl dla mnie obca. Zresztą mniejsza o to. Nigdy nie byłem krytykiem. Lecz oderwać się nie mogłem, chociaż iry-

347

towałem się. Czwarty i piąty rozdział... to... to... to już naprawdę лихо wie co! A tyle tam humoru! Pękałem ze śmiechu. Jak to pan umie ośmieszać sans que cela pa-raisse!* Tam, w dziewiątym rozdziale, w dziesiątym najwięcej o miłości, to nie moja sprawa. Lecz bardzo efektowne. Nad listem Igrieniewa o mało żem się nie rozbeczał, chociaż pan tak subtelnie naszkicował... List jest rozrzewniający, lecz widać jednocześnie, że pan chce z boku rzucić jakieś fałszywe światło. Zgadłem, prawda? A za epilog chciałem zbić pana. Co to za idea? To przecież stara apoteoza szczęścia rodzinnego, mnożenia dzieci i kapitałów, błogostanu ludzi sytych! Tak, odurza pan czytelnika, nawet ja nie mogłem się oderwać, ale to przecież tym gorzej! Czytelnik jest głupi jak zawsze; rozumni ludzie powinni go rozruszać, a pan?!... Ale dość już tego, żegnam pana! Na przyszłość niech się pan nie irytuje. Miałem zamiar powiedzieć panu parę dość ważnych słów. Lecz pan jest jakiś dziwny... Lembke tymczasem wziął swoją powieść i zamknął na klucz w dębowej szafie. Mrugnął na Bluma, aby się usunął. Blum wyszedł z twarzą wydłużoną i smutną. Już bez gniewu, lecz wciąż chmurny, Lembke usiadł przy stole i rzekł:

- Nie jestem „jakiś dziwny”, lecz po prostu mam wiele nieprzyjemności. Niech pan siada i mówi, o co chodzi. Lecz niech pan nigdy nie wpada tak gwałtownie... Wobec ludzi obarczonych pracą taki sposób zachowywania się jest nieodpowiedni...

- Mam zawsze ten sam sposób bycia...

- Wiem i wierzę, że pan bez złego zamiaru. Czasem jednak ma się kłopoty i... Niechże pan siada. Piotr Stiepanowicz rozsiadł się na kanapie i natychmiast podwinął nogi.

III

- Jakie kłopoty? Czy chodzi o te głupstwa? - wskazał d proklamacje. - Dostarczę panu takich kartek, ile pan -•chce. Zaznajomiłem się z nimi jeszcze w ch-ej guberni.

- Wtedy, gdy pan tam mieszkał?

-- tego, by to było widoczne!

348

- No przecież nie w czasie mojej nieobecności. Była tam jedna proklamacja z winietą: na górze narysowana siekiera. Niech pan pozwoli... - wziął do ręki jedną z proklamacji. - Ależ tak, i tu jest siekiera. To ta sama, kropka w kropkę.

- Tak, siekiera. Widzi pan, siekiera.

- Cóż? Przestraszyła pana siekiera?

- Nie, nie siekiera... i wcale nie przestraszyłem się; lecz ta sprawa... ta cała sprawa ma pewne okoliczności.

- Jakie? Że przyniesiono z fabryki? Che, che, che! A wie pan, że w tej fabryce robotnicy prędko sami zaczęli pisać proklamacje?

- Jak to? - zdziwił się von Lembke.
- A tak! Niech pan ich przypilnuje. Pan jest zbyt łagodnym człowiekiem, Andrzeju Antonowiczu. Pan pisze powieści. A tu należałoby powrócić do starych metod.
- Do jakich starych metod? Co pan mi doradza? Fabryka już zdezynfekowana.
- A tymczasem wśród robotników jest bunt. Należałoby wysmagać ich batem i wszystko by się skończyło.
- Bunt? Głupstwo. Kazałem - i zdezynfekowali fabrykę.
- Ech, Andrzeju Antonowiczu! Jaki z pana miękki człowiek! Lembke poczuł urazę.
- Przede wszystkim wcale nie jestem taki miękki. A zresztą... Widać było, że rozmawia z młodzieńcem z przymusu, w nadziei, że dowie się czegoś ciekawego.
- Ach, znowu stara znajoma! - przerwał mu Wiercho-wieński chwyciwszy inną kartkę spod przycisku, wyglądającą na proklamację, drukowaną widocznie za granicą, wierszem. - Tę to znam na pamięć: Świetlana postać! Ależ tak. Świetlana postać. Znam tę postać jeszcze z zagranicy. Gdzie pan to wygrzebał?
- Lembke znów drgnął.
- Pan mówi, że widział to za granicą?
- Ależ tak! Przed kilku miesiącami. Lembke spojrzał na niego nieznacznie.
- A jednak pan widział dużo rzeczy tam za granicą... Wierchowieński nie słuchając zaczął głośno czytać:

349

ŚWIETLANA POSTAĆ

Krew nie płynie w nim szlachecka, Pośród ludu wzrósł od dziecka; Zemsta go ściagała carska I okrutna pięść bojarska. Skazał siebie na cierpienia, Na tortury i więzienia. Rzucał tłumom siew równości I braterstwa, i wolności.

Na dalekie krańce świata Od carskiego umknął bata, Rzucił więzień mrok ponury; Sztandar buntu wzniosł do góry. Lud, dręczony wciąż w niewoli, Chciał rwać więzy gorzkiej doli: I w Smoleńsku, i w Taszkencie Marzył z dawna o studencie.

Pragnął iść za jego głosem, Zmierzyć się z okrutnym losem, Z obszarników groźnym batem. I rozprawić się z caratem, Całą ziemię oddać chłopom I przekleństwo rzucić popom, Cerkwiom, ślubom i rodzinie... Stary świat niech marnie zginie!7

- Prawdopodobnie to od tamtego oficera, co? - zapytał Wierchowieński.
- Pan znał i tego oficera?
- Rzecz prosta. Hulałem tam z nim dwa dni. Można było przewidzieć, że zwariuje.
- Może to wcale nie wariat.
- Przecież inaczej nie rzuciłby się gryźć.
- Ale przepraszam pana. Jeżeli pan widział te wiersze za granicą, a potem znaleziono je u oficera...
- Zastanawiające, prawda? Pan mnie najwidoczniej egzaminuje, Andrzeju Antonowiczu. Widzi pan
- zaczął z cał-

350

kowitą powagą - o tym, co widziałem za granicą, opowiedziałem już po powrocie, komu należało. Widocznie wyjaśnienia moje były uznane za wystarczające, inaczej nie uszczęśliwiłbym tej miłośnicy swoim przyjazdem. Uważam, iż sprawy te są zlikwidowane i nie potrzebują przed nikim

składać sprawozdań. Zlikwidowane są nie dlatego, abym był denuncjatorem, lecz dlatego, iż inaczej nie mogłem postąpić. Ci, którzy pisali o mnie do Julii Michajłowny, znając całą sprawę, określili mnie jako człowieka uczciwego. Dajmy jednak temu pokój. Przyszedłem zakomunikować panu rzecz bardzo poważną i bardzo dobrze, że pan wyprawił za drzwi tego komisarza. Sprawa to ważna dla mnie, Andrzeju Antonowiczu. Mam do pana pewną niezwykłą prośbę.

- Prośbę? No, słucham. Czekam i przyznam się, że jestem zaciekawiony. W ogóle, Piotrze Stiepanowiczu, pan mnie nieraz zadziwia.

Lembke był trochę podniecony. Wierchowieński założył nogę na nogę i zaczął mówić:

- W Petersburgu byłem szczery pod wieloma względami. Lecz o niektórych rzeczach, na przykład o tym (stuknął palcem po Świetlanej postaci), nie mówiłem. Nie warto było mówić, a zresztą odpowiadałem tylko na pytania. Nie lubię być zanadto gorliwy. W tym cała różnica między nikczemnikiem a uczciwym człowiekiem zmuszonym przez okoliczności. Nie o to jednak chodzi. Lecz teraz, gdy ci głupcy... gdy wszystko wyszło na jaw i jest w pańskim ręku, a przed panem, jak widzę, nic się nie ukryje - pan ma bystry wzrok i trzeba mieć się z panem na baczności - a ci głupcy wciąż robią swoje, ja... ja... słowem, przyszedłem prosić pana o uratowanie jednego człowieka, także głupca, może nawet wariata. Pan się zlituje nad nim mając na względzie jego młodość, jego nieszczęścia i w imię pana ludzkiego podejścia... Przecież nie tylko we własnych powieściach jest pan tak ludzki.

Ostatnie zdanie wypowiedział niecierpliwie i sarkastycznie i przerwał. Widać było, że to mówi człowiek szczery, lecz niezręczny i nie znający się na dyplomacji, opanowany nadmiernym współczuciem i nadmierną wrażliwością, człowiek niezbyt mądry, jak to od razu zauważył von Lembke. Zresztą myślał tak o nim dawniej, zwłaszcza w ostatnim tygodniu, gdy sam, w gabinecie, łajał go w duszy za niezrozumiałe powodzenie u Julii Michajłowny.

351

Usiłując maskować ciekawość, zapytał z obojętną powagą:

- O kogo więc pan prosi i co to wszystko znaczy?

- Chodzi o... o... tam do diabła! Cóż jestem winien, że wierzę panu! Cóż jestem winien, że uważani pana za człowieka najszlachetniejszego, a najważniejsze - za mądrego... to znaczy zdolnego rozumieć... do licha...

Widać było, że biedak nie może dać sobie z tym rady.

- Niech pan zechce zrozumieć - ciągnął dalej - niech pan zrozumie, że wymieniając jego nazwisko, oddaję go w pańskie ręce. Zdradzam go... prawda? Pan to rozumie?

- Jakże jednak wiedzieć, jeżeli pan nie odważa się wymówić nazwiska?

- Otóż to! Pan zawsze zwycięży człowieka swoją logiką. A więc... a więc... ta „światłana postać”, ten „student” to Szatow... ma pan nazwisko!

- Szatow? Jak to Szatow?

- Szatow to ten student, o którym mowa. On tu mieszka. Były chłop pańszczyźniany. Ten sam, który uderzył w twarz. Lembke zmrużył oczy.

- Wiem, wiem! Lecz o co właściwie on jest oskarżony i w jakim sensie pan się wstawia?

- Ależ chcę go uratować, niech pan to zrozumie! Przecież ja go znam od ośmiu lat. Może nawet byłem z nim w przyjaźni. - Wierchowieński wyraźnie zaczynał się unosić. - A zresztą nie mam obowiązku spowiadać się przed panem. - Machnął ręką. - Wszystko to nieważne, będzie tego trzy i pół człowieka; z tymi, co są za granicą, nie zbierze się nawet dziesięciu. Zaufałem panu, wierząc w

pańską szlachetność, w pański rozum. Pan to zrozumie i sam przedstawi sprawę we właściwym świetle, jako głupią mrzonkę nienormalnego człowieka, nie zaś jako Bóg wie co, jako niesłychany spisek antypaństwowy!...

Tchu mu zabrakło.

- Hm. Widzę - rzekł Lembke prawie majestatycznie - że zawinił w sprawie proklamacji⁸ uznającej jako środek siekiere. Jednak, gdyby był sam, nie mógłby przecież porozrzu-cać-tych proklamacji tu i na prowincji, i nawet w ch-iej guberni... I wreszcie, skąd je mógł mieć?

- Ależ mówiłem panu, że jest ich wszystkich prawdopodobnie pięciu, może dziesięciu; skąd ja mogę wiedzieć?

352

- Pan nie wie?

- Skąd mógłbym wiedzieć, do diabła!

- A jednak pan wie, że Szatow do tego należał. Wierchowieński machnął ręką, jak gdyby broniąc się od przygnębiającej przebiegłości Lembkego.

- Ech! No dobrze. Powiem panu całą prawdę. O proklamacjach nic nie wiem, absolutnie nic. Pan rozumie, co to znaczy „nic”?... Oczywiście, należał do tego ów podporucznik, może jeszcze ktoś, może Szatow, i to chyba wszystko, same miernoty... Lecz przyszedłem prosić o Szalowa, trzeba go ratować, bo te wiersze - to jego własne wiersze, wydrukowane przez niego za granicą. To już wiem na pewno, a o proklamacjach nie mam pojęcia.

- Jeżeli wiersze są jego, to proklamacje także. Czy tylko na tym opiera pan swe podejrzenia?

Wierchowieński, z miną człowieka ostatecznie wyprowadzonego z cierpliwości, wyciągnął z kieszeni pugilares i wy dobył z niego notatkę.

Lembke spojrział na nią. Była to kartka pisana prawdopodobnie przed kilku miesiącami w kraju, adresowana za granicę; zawierała tylko parę słów.

„Świetlanej postaci nie mogę tu drukować, i w ogóle nic nie mogę. Wydrukujcie za granicą. J. Szatow.”

Lembke uważnie patrzył na Wierchowieńskiego. Miała rację Barbara Pietrowna, że Andrzej Antonowicz miewa czasami barani wyraz twarzy.

- Teraz sam pan widzi! - zawołał Wierchowieński. - To znaczy, że on ten wiersz napisał tu, przed sześcioma miesiącami, lecz nie mógł wydrukować w jakiejś potajemnej drukarni i dlatego prosił o wydrukowanie za granicą... Zdaje się, że to jasne.

- Owszem, jasne, proszę pana - odezwał się Lembke tonem przebiegłej ironii. - Lecz kogo on prosi? To jeszcze niejasne.

- Ależ Kirillowa! Kartka jest pisana za granicę do Kirillo-wa... Nie wiedział pan o tym? Przykro naprawdę, że pan prawdopodobnie udaje przede mną, a sam już od dawna wie o tym wierszu i o wszystkim! W jaki sposób znalazł się ten wiersz u pana na stole? Jakoś się znalazł! Po cóż więc wobec tego znęca się pan nade mną?

353

Nerwowo otarł chustką pot z czoła. Lembke zręcznie uchylił się od odpowiedzi.

- Może trochę wiem... Lecz któż to taki ten Kirillow?

- Inżynier, przyjechał tu niedawno. Był sekundantem Stawrogina, maniak, wariat. Podporucznik może miał tylko białą gorączkę, lecz ten to już zupełny wariat, zupełny. Za to ręczę. Ach, Andrzeju

Antonowiczu, gdyby rząd wiedział, co to są za ludzie, toby nie podniósł na nich ręki. Ich wszystkich co do jednego trzeba by oddać do domu wariatów. Napatrzyłem się na nich jeszcze na kongresach w Szwajcarii.

- Tam, skąd kierują tutejszym ruchem?

- A kto tam kieruje! Półczwarta człowieka. Rozpacz ogarnia, gdy się ich widzi. I jaki to ruch tutejszy? Te proklamacje czy co? A kto stoi w szeregach? Nienormalni podporucznicy i kilku studentów! Pan jest rozumnym człowiekiem, niech mi pan odpowie na pytanie: dlaczego nie idą do nich ludzie poważniejsi? Sami studenci i dwudziestoletni smarkacze! A ilu ich jest. Milion gończych ich tropi, a iluż złapano? Siedmiu. Mówię panu, że rozpacz ogarnia.

Lembke wysłuchał uważnie, lecz miał wyraz twarzy, który mówił: „Gadaj zdrow, a ja wiem swoje.”

- Niech pan pozwoli! Pan twierdzi, że kartka wysłana była za granicę. Tu jednak nie ma adresu. Skąd pan wie, że była wysłana do Kirillowa, że w ogóle za granicę, i... że... jest rzeczywiście pisana przez pana Szatowa?

- Więc niech pan wydobędzie jakiś rękopis Szatowa. Pan się natychmiast przekona. U pana w kancelarii musi być jakiś podpis Szatowa. Że zaś wysłana była do Kirillowa, wiem na pewno. Sam Kirillow wtedy mi pokazywał.

- To znaczy, że pan sam...

- To znaczy, że ja sam. Czy to jedną rzecz pokazywano mi wtedy! Jeżeli o ten wiersz chodzi, podobno sam Hercen miał go napisać Szatowowi błakającemu się wówczas za granicą. Na pamiątkę spotkania, jako rekomendację, jako wyraz uznania, nie wiem zresztą... A Szatow rozpowszechnia to wśród młodzieży jako opinię wydaną o nim przez samego Hercena.

Lembke na koniec zrozumiał.

- Proszę, proszę! A ja wciąż myślę: proklamacje - rozumiem, ale po co ten wiersz?

- Jakże mógłby pan nie rozumieć! W ogóle, po diabła ja

354

to wszystko panu wygadałem. Niech pan posłucha! Niech pan mi odda Szatowa” a resztę niech diabli biorą, nawet razem z Kirillowem, który ukrywa się obecnie w domu Filippowa, tam gdzie mieszka także Szatow. Nie mają do mnie sympatii. Gniewa ich, że powróciłem... Lecz niech mi pan odda Szalowa, a ja za to ich wszystkich wyłożę panu jak na tacy. Przydam się panu, Andrzej Antonowiczu! Liczę tę całą garstkę na dziewięć, dziesięć osób. Sam śledzę ich, z własnej inicjatywy, łaskawy panie. Znamy już trzech: Szatow, Kirillow i ów podporucznik. Reszcie się przyglądam dopiero, a ślepy nie jestem. To samo, co było w ch-ej guberni. Złapano tam z proklamacjami dwóch studentów, jednego ucznia, dwóch dwudziestoletnich szlachciców, jednego nauczyciela i wreszcie sześćdziesięcioletniego zdymisjonowanego majora, który stracił rozsądek pod wpływem pijaństwa. To już wszyscy. Zdziwiono się tam nawet, że oprócz nich nie ma nikogo. Lecz potrzebuję sześciu dni. Już obliczyłem wszystko. Sześć dni, nie mniej. Jeżeli zależy panu na jakimś rezultacie, niech ich pan jeszcze nie rusza przez sześć dni, a wtedy ja dostarczę panu wszystkich razem. Jeżeli pan wcześniej zacznie działać, gniazdo się rozleci. Lecz niech mi pan odda Szalowa. I za Szalowa... Najlepiej byłoby wezwać go w sekrecie, lu, do gabinetu, i serdecznie go wybadać odsłoniwszy przed nim prawdę. Na pewno sam padnie panu do nóg i rozplacze się. To człowiek nerwowy i nieszczęśliwy. Jego żona zadaje się ze Stawroginem. Niech pan ugłaska Szalowa, a on sam wszystko wygada. Trzeba jednak poczekać sześć dni... Przede wszystkim zaś ani pół słowa Julii Michajłownie. Sekret. Potrafi pan dochować sekrełu? Von Lembke wyrzeszczył oczy. 4

- Jak 10? Czyż pan nie mówił z nią... o tym wszystkim?

- Z nią? Ależ skąd znowu! Ach, Andrzeju Antonowiczu! Widzi pan! Zbyt sobie, cenię jej przyjaźń, wysoce ją szanuję i tak dalej... lecz błędów nie robię. Nie sprzeciwiałem się jej nigdy. Pan sam wie najlepiej, jak niebezpiecznie jest się jej sprzeciwiać. Może tam jakieś słówko rzuciłem, gdyż bardzo to lubi, lecz żebym miał przed nią, jak przed panem, wymienić nazwisko albo coś więcej... e, drogi panie! Dlaczego właśnie zwracam się teraz do pana? Bo pan jest bądź co bądź mężczyzną, człowiekiem poważnym, który posiada doświadczenie zdobyte Iwardą, długoletnią służbą. Pan widział już niejedno.

355

Każde posunięcie w takich sprawach pan wystudiował na pamięć już w Petersburgu. Niechby jej na przykład powiedział te dwa nazwiska, toby zaczęła bębnić! Ona chce stąd zadziwić Petersburg. Zbyt gorąco bierze się do tych rzeczy, ot co!

- Tak, ma trochę za dużo rozpędu! -bąkał z pewnym zadowoleniem Andrzej Antonowicz strasznie zły zarazem, że ten ignorant ośmiela się mówić zbyt swobodnie o Julii Michajłownie.

Lecz Wierchowieński wciąż myślał, że tego jeszcze za mało i że należy „dodać pary”, aby ostatecznie schlebić i ostatecznie pognać tego Lembke i opanować go. Przede wszystkim przyłączył się do jego wynurzeń.

- Tak, właśnie rozpędu. Niechby sobie była kobietą genialną, wykształconą, lecz stado tych wróbli spłoszy od razu. Nie wytrzyma sześciu godzin, cóż dopiero sześć dni! Ach, Andrzeju Antonowiczu, niech pan nie daje kobiecie sześciodniowego terminu! Pan musi mi przyznać pewne doświadczenie w tego rodzaju sprawach; wiem przecie coś niecoś i pan zdaje sobie z tego sprawę. Proszę pana o sześć dni nie dla zabawy, lecz ze względu na sprawę.

- Słyszałem... - rzekł oględnie Lembke - słyszałem, że powróciwszy do kraju, pan... dokonał, gdzie należy, aktu skruchy.

- Co było, to było.

- Nie mam, rozumie się, zamiaru w to wglądać. Wciąż mi się jednak wydawało, że pan dotychczas mówił w innym stylu, na przykład o wierze chrześcijańskiej, o urządzeniach społecznych, o rządzie...

- Czy to mało rzeczy się mówi? Ja i teraz jestem tego samego zdania co dawniej. Ale te rzeczy należy inaczej wprowadzać w życie niż ci głupcy, ot co. Cóż za korzyść z tego, że tamten ugryzł kogoś w ramię? Pan sam zresztą zgadzał się ze mną, twierdząc jedynie, że to za wcześnie...

- Zgadzałem się w zupełnie innych kwestiach. O innych rzeczach mówiłem, że na nie za wcześnie...

Wierchowieński niespodziewanie nabrał humoru.

- Ale u pana każde słowo jest tak odmierzone, che, che! Ostrożny z pana człowiek! Niech pan posłucha, drogi panie. Chciałem poznać pana i dlatego używałem takiego stylu. To

356

nie tylko względem pana. Ja z niejednym w ten sposób zawierani znajomość. Może chciałem poznać pański charakter.

- Po co panu mój charakter? Wierchowieński znów się uśmiechnął.

- Czy ja wiem? Widzi pan, drogi i wielce szanowny Andrzeju Antonowiczu, pan jest przebiegły, ale do tego jeszcze nie doszło i na pewno nie dojdzie, pan rozumie? Pan jest zanadto podejrzliwy. Pan rozumie chyba? To prawda, po powrocie do kraju złożyłem, gdzie należało, niezbędną

wyjaśnienia. Nie wiem, dlaczego człowiek o określonych przekonaniach nie miałby działać w imię tych przekonań. Lecz tam nikt mi jeszcze nie polecał badać pańskiego charakteru i takich obstacków stamtąd nie przyjmowałem. Niech pan sam pomyśli: mogłem przecie nie panu zdradzić te dwa nazwiska, lecz pójść wprost tam, to znaczy tam, gdzie składałem moje wyjaśnienia. A gdyby mi zależało na stronie finansowej albo na innych korzyściach, to trzeba byłoby przyznać, że popełniłem głupstwo. Wdzięczność pozyska pan, a nie ja. Lecz chodzi mi tylko o Szalowa, o jednego Szatowa, przez dziwną przyjaźń - dodał Piotr Stiepanowicz uniesiony szlachetnością. - A gdy pan weźmie kiedyś pióro, aby tam napisać w tej sprawie, może pan mnie pochwalić, o ile panu się spodoba... nie protestuję, che, che, che!

Wstał z kanapy i kończył z miłym uśmiechem:

- Adieu, adieu, zasiedziałem się u pana! Niepotrzebnie tyle gadałem!

Von Lembke wstał także. Prawdopodobnie pod wpływem ostatnich zdań miał minę bardzo uprzejmą.

- Przeciwnie, bardzo jestem rad, że sprawa nabiera wyraźnych rysów. Przyjmuję z wdzięcznością pańską pomoc. Niech pan będzie pewny, że zrobię wszystko w sensie referencji o pańskiej gorliwości...

- Najważniejsze to te sześć dni i żeby pan sam nic przez ten czas nie robił. To jest niezbędne.

- Zgoda.

- Rzecz prosta, że nie mogę panu związywać rąk. Nie odważyłbym się. Wolno panu śledzić, lecz niech pan przed czasem nie spłoszy tych ptaszków. Liczę na pański rozum i doświadczenie. Wyobrażam sobie - kończył beztrąsko i we-

357

solo, jak przystało na młodego człowieka - ile to własnych psów gończych ma pan w pogotowiu, che, che!

- Niezupełnie tak jest - rzekł wymijająco Lembke z malującym się na twarzy zadowoleniem - to przesąd młodości, że aż tyle w pogotowiu... A właśnie, pan pozwoli, jeszcze jedno słówko... Przecie jeżeli ten Kiryłow był sekundantem Sta-wrogina, to znaczy, że i pan Stawrogin także...

- Co Stawrogin?

- To znaczy, jeżeli oni są w takiej przyjaźni...

- E, nie, nie, nie! Tu już pan spudłował pomimo całej swojej przebiegłości. Dziwię się po prostu. Myślałem, że jest pan o tym poinformowany... Hm... Stawrogin to zupełnie coś przeciwnego, ale to zupełnie... Avis au lecteur!*

- Czyżby? - pytał Lembke nieufnie. - Czy to możliwe? Julia Michajłowna mówiła mi, że zgodnie z jej relacjami z Petersburga Stawrogin ma pewne instrukcje...

- Nic nie wiem, nic nie wiem, absolutnie nic. Adieu. Avis au lecteur!

Wierchowieński szedł już ku drzwiom, uchylając się wyraźnie od dalszej rozmowy.

- Przepraszam, Piotrze Stiepanowiczu - zawołał Lembke. - Chwileczkę, jeszcze jedna drobna sprawa i już dłużej nie będę pana zatrzymywał.

Wyjął z biurka kopertę.

- Oto jeszcze jeden egzemplarzyk tej samej kategorii. Składam panu dowód mego największego zaufania. Proszę, co pan o tym sądzi?

W kopercie był list. Dziwny, anonimowy list adresowany do Lembkego i wczoraj dopiero

otrzymany. Piotr Stiepano-wicz, nie bez irytacji, przeczytał co następuje:

„Ekscelencjo!

Taki jest Pański tytuł. Niniejszym obwieszczam zamach na osoby generalskie i ojczyznę; gdyż idzie ku temu. Sam rozrzuciłem bez przerwy przez długie lata. Bezbożne rzeczy - także. Szykuje się bunt, a proklamacji kilka tysięcy, a za każdą polecą stu ludzi, z wysuniętym ozorem, jak władze zawczasu nie odbiorą, gdyż obiecano w nich dużo, naród jest głupi, a wódka także coś znaczy. Lud, poważając winowajcę, rujnuje

- Uwaga dla czytelnika

358

tego i owego, ja zaś, bojąc się obu stron, przyznałem się do tego, w czym nie brałem udziału, gdyż takie są moje warunki. Jeżeli Ekscelencja pragnie, abym doniósł dla ratowania ojczyzny, cerkwi i obrazów świętych Pańskich, ja tylko jeden mogę to zrobić. Ale pod warunkiem, że z III Wydziału9 przyjdzie dla mnie telegraficznie przebaczenie, natychmiast, dla mnie jednego, a inni niech odpowiadają. Na oknie u szwajcara niech Ekscelencja stawia świecę co wieczór o siódmej dla sygnału. Zobaczywszy, uwierzę i przyjdę ucałować miłosierną dłoń ze stolicy, lecz tylko wtedy, jeżeli otrzymam pensję, bo inaczej z czegoż będę żył? Ekscelencja nie pożałuje. Dadzą gwiazdę. Trzeba po cichu, gdyż inaczej skręca szyję.

Waszej Ekscelencji oddany sługa

do stóp się ściele pokutujący liberał Incognito”

Von Lembke wyjaśnił, że list ten znalazł się wczoraj w pokoju szwajcara, gdy tam nikogo nie było.

- A cóż pan o tym myśli? - dość brutalnie zapytał Wierchowieński.

- Sądziłbym, że to anonimowy paszkwil, na drwiny.

- Najprawdopodobniej. Pana trudno oszukać.

- Zwłaszcza, że tak głupio napisane.

- Czy pan otrzymał tu inne jeszcze paszkwile?

- Dwa razy. Także anonimy.

- Rzecz prosta, nie podpiszą. Różnym stylem? Różnym charakterem pisma?

- Tak.

- A były równie błazeńskie?

- Tak, i wie pan, bardzo... plugawe.

- Jeżeli już były, to znaczy - teraz to samo.

- I dziwnie głupie. Przecież tamci ludzie są wykształceni i na pewno tak głupio nie piszą.

- No tak, no tak.

- Lecz co, jeżeli istotnie ktoś chce zadenuncjować?

- Niemożliwe - sucho zaprzeczył Wierchowieński. - Co to znaczy depesza z III Wydziału i pensja? Oczywiście paszkwil.

- Tak, tak - zawstydział się Lembke.

- Wie pan co? Niech mi pan to da. Odszukam autora. Odszukam prędzej niż tamtych. Von Lembke po chwili wahania przystał na to.

359

- Niech pan weźmie.

- Czy pan już komukolwiek pokazywał?

- Ale gdzież tam, nikomu!

- Miałem na myśli Julię Michajłownę.

- Ależ broń Boże! Niech jej pan tego nie pokazuje, r. miłość boską! - zawołał Lembke w przerażeniu. - To ją tak przestraszyło... i okropnie gniewałaby się na mnie.

- Tak, pan ucierpiałby pierwszy. Powiedziałyby, że sam pan na to zasłużył, jeżeli tak piszą. Znamy dobrze kobiecą logikę. No, żegnaj pana! Może nawet już za trzy dni dostarczę panu autora. Najważniejsza rzecz - nasz układ!

IV

Piotr Stiepanowicz był człowiekiem może i niegłupim, lecz Fiedka Katorżny trafnie określił, że „Wierchowieński, jak sobie człowieka wystawi - takiego i widzi”. Wyszedł od von Lembkego głęboko przekonany, że uspokoił go przynajmniej na sześć.. dni. Termin ten był konieczny. Mylił się jednak Błąd polegał na tym, że Piotr Stiepanowicz raz na zawsze określił sobie Andrzeja Antonowicza jako człowieka naiwnego.

Andrzej Antonowicz, jak każdy człowiek chorobliwie po-* dejrzliwy, ujawniał zawsze radosną ufność w pierwszych chwilach po wyjaśnieniu każdej sytuacji. Nowy obrót rzeczy sprawił mu na razie pewną przyjemność, chociaż zaczynały się piętrzyć dość kłopotliwe komplikacje. Odpadały przynajmniej dawne wątpliwości. W dodatku tak się wymęczył w ostatnich dniach, czuł się tak wyczerpany i bezradny, że dusza jego mimo woli łaknęła spokoju. Niestety, znów go ogarniał niepokój. Długi pobyt w Petersburgu zostawił na nim niezatarty ślad. Znał nieźle oficjalną, a także nawet sekretną historię „nowego pokolenia” - był człowiekiem ciekawym i zbierał proklamacje - nigdy jednak nie mógł zrozumieć istoty rzeczy. Teraz zaś był jak w lesie: instynkt mówił mu, że słowa Piotra Stiepanowicza zawierają coś zupełnie bezsensownego, będącego poza zwykłym układem życia. Jednocześnie jednak pan gubernator powtarzał sobie w myśli: „Licho wie, do czego jest zdolne młode pokolenie i jak takie rzeczy u nich się odbywają.” Gubił się w domysłach.

360

A tu jak na złość znowu Blum wsadził głowę do gabinetu. Oczekiwał w pobliżu, aż wyjdzie Wierchowieński. Blum¹⁰ był dalekim krewnym Lembkego, lecz pokrewieństwo to było skrzętnie ukrywane. Niech wybaczą czytelnicy, że poświęcę parę słów tej drugorzędnej postaci. Blum należał do dziwnej kategorii „nieszczęśliwych Niemców” nie wiadomo właściwie dlaczego, gdyż wcale nie przez własną nieudolność „nieszczęśliwi Niemcy” nie są mitem. Istnieją naprawdę, nawet w Rosji, i stanowią zupełnie odmienny gatunek ludzi. Andrzej Antonowicz przez całe życie żywił głębokie współczucie względem Bluma i w miarę własnych sukcesów służbowych wysuwał go stale na podległe sobie stanowiska. Lecz Blum nie miał szczęścia. To likwidowano etat, to zmieniał się zwierzchnik. Raz nawet o mały włos nie trafił wraz z innymi pod sąd. Był akuratywny, lecz jakoś ponad miarę, ponad potrzebę, i sam sobie szkodził wiecznym ponurym wyglądem. Był rudy, wysoki, zgarbiony, zazwyczaj przygnębiony, trochę przesadnie drażliwy, i pomimo niezbędnej w jego sytuacji pokory,

Auparty jak wół, i zwykle nie wtedy, gdy trzeba. Wraz z żoną i licznym potomstwem żywił względem Andrzeja Antonowicza wieloletnie, uniżone przywiązanie. Nikt oprócz Lembkego nigdy go nie lubił. Julia Michałowna od początku go nie uznawała, nie mogła jednak przełamać pod tym względem uporu męża. Na tym tle powstała pierwsza ich sprzeczka małżeńska. Było to wtedy, gdy wkrótce po ślubie, w pierwszych dniach miodowych, zjawił się nagle Blum, dotychczas skrzętnie przez męża ukrywany, i wydała się tajemnica przykrego pokrewieństwa. Andrzej Antonowicz zaklinał składając ręce jak do modlitwy, z przejęciem opowiadał całą historię Bluma i przyjaźń z nim od samego dzieciństwa, lecz Julia Michajłowna poczuła się zhańbiona na całe życie i nawet musiała uciec się do omdlenia. Von Lembke uparł się i oświadczył, że za nic w świecie nie zrezygnuje z Bluma i nie rozstanie się z nim. Zdziwiło to Julię Michajłownę, lecz musiała ostatecznie zgodzić się. Postanowiono jedynie, iż pokrewieństwo będzie zachowywane w jeszcze

większej tajemnicy niż dotychczas i że Blum zmieni imię, gdyż jak na złość nazywał się także Andrzej Antonowicz. Przyjechawszy do naszego miasta, Blum nie zawierał znajomości z nikim oprócz aptekarza Niemca, żadnych wizyt nikomu nie składał i jak zawsze samotnie

361

pędził żywot. Znał od dawna grzeszki literackie Andrzeja Antonowicza. Był zazwyczaj wzywany, aby wysłuchać w sekrecie fragmentów powieści, i wysiadywał jak mumia po sześć godzin z rzędu. Pocił się, wyęczał siły, aby nie spać, i uśmiechał się; po powrocie do domu ubolewał wraz z wychudłą i długonogą swoją małżonką nad nieszczęsną słabością ich dobroczyńcy do rosyjskiej literatury.

Andrzej Antonowicz żałośliwie spojrzał na wchodzącego Bluma.

- Proszę cię, Blum, zostaw mnie w spokoju.

Mówił trwożnie, w pośpiechu, chcąc najwidoczniej nie dopuścić do wznowienia rozmowy przerwanej przez Piotra Stiepanowicza.

Lecz Blum nie chciał dać za wygraną. Zgarbił się i przysuwając się drobnym kroczkiem do Lembkego, mówił z należyтым szacunkiem, lecz uparcie:

- A jednakże można to wszystko zrobić najdelikatniej, bez najmniejszego rozgłosu. Pan, panie gubernatorze, ma wszelkie pełnomocnictwa.

- Słuchaj, Blum, jesteś mi tak oddany i usłużny, że wprost nie mogę patrzeć na ciebie bez uczucia pewnego strachu.

- Panie gubernatorze! Pan zawsze mówi dowcipne rzeczy, a potem zasypia, pełen zadowolenia, szkodząc tym sobie najwięcej.

- Przekonałem się teraz, że to zupełnie co innego, zupełnie.

- Może z ust tego fałszywego, zepsutego młodzieńca, którego pan sam podejrzewa? Zwiódł pana pochlebianiem pańskiemu talentowi literackiemu.

- Co ty tam wiesz! Twój projekt to absurd, mówię ci. Nic nie znajdziemy, a zacnie się huczek, potem drwiny, a w końcu Julia Michajłowna...

Blum zrobił energiczny krok naprzód, położył dłoń na sercu i rzekł stanowczym głosem:

- Na pewno znajdziemy wszystko, czego nam trzeba. Dokonamy rewizji znienacka, raniutko, z zachowaniem całej delikatności względem osoby, lecz i wszystkich rygorów prawa. Ci młodzi ludzie, Lamszyn i Tielatnikow, zbyt kategorycznie zapewniają o tym. Sami bywali tam nieraz. A starszego pana Wierchowieńskiego nikt właściwie nie szanuje. Generałowa Sta-

362

wrogin odmówiła mu dalszych dobrodziejstw. Każdy uczciwy człowiek, o ile są tacy w tym podłym mieście, jest przekonany, że tam właśnie kryje się źródło niewiary i doktryn społecznych. Przechowuje u siebie wszystkie zakazane książki: Dumy Rylejewa, dzieła Hercena...¹¹ Mam już nawet na wszelki wypadek przybliżony spis.

- Ależ, mój Boże! Te książki są wszędzie. Jakiś ty naiwny, mój biedaku! Blum nie słuchał.

- Proklamacje także. Jestem przekonany, że na pewno natrafimy na ślad prawdziwych, miejscowych proklamacji. Ten młody Wierchowieński wydaje mi się bardzo a bardzo podejrzany.

- Mylisz ojca z synem. Oni nie mają ze sobą nic wspólnego. Syn jawnie kpi z ojca.

- To tylko pozory. Maskują się.

- Blum, uwziąłeś się, żeby mnie zamęczyć! Pomyśl, on jest bądź co bądź znaną tu osobistością. Był profesorem, ma stosunki. Rozkrzyczy się, zaczniesz się huczek. W mieście będą z nas kpili, stracimy wszystko... i pomyśl, co będzie z Julią Michajłówną.

Blum nie ustępował. Uderzał się w pierś.

- On był tylko docentem, tylko docentem. 12 Rangę ma niewysoką, jest tylko dymisjonowanym asesorem kolegiąlnym. Orderów nie posiada. Zwolniono go ze służby ze względu na podejrzenia o działalność antypaństwową. Był pod tajnym nadzorem i na pewno jest nadal. Wobec ujawnionych teraz nieporządków pan ma święty obowiązek. A pan przeciwnie! Patrząc przez palce na działalność głównego winowajcy, marnuje pan sposobność odznaczenia się.

W tej chwili von Lembke usłyszał w sąsiednim pokoju głos swojej małżonki.

- Julia Michajłówna idzie! - zawołał nagle. - Wynoś się, Blum!

Blum drgnął, lecz nie poddał się. Jeszcze mocniej przycisnął dłoń do piersi i podszedł do gubernatora.

- Niech mi ekscelencja pozwoli, niech pan pozwoli...

- Wynoś się! - zgrzytnął Andrzej Antonowicz. - Rób, co chcesz... potem... O mój Boże!

Uchyliła się portiera i weszła Julia Michajłówna. Ujrawszy

363

Bluma zatrzymała się majestatycznie i przeszła go wyniosłym, obrażonym spojrzeniem, jak gdyby ubliżała jej sama obecność tego człowieka. Blum w milczeniu i pełen szacunku złożył jej głęboki ukłon. Pokornie schylony, podszedł na palcach do drzwi z odstawionymi nieco rękami.

Nie wiadomo było, czy istotnie zrozumiał ostatni, histeryczny okrzyk Andrzeja Antonowicza jako upoważnienie do realizowania swego projektu, czy też, w danym wypadku, w imię niezawodnej korzyści dla dobroczyńcy, pozwolił sobie na lekki fałsz; w każdym razie następstwem tej rozmowy była rzecz niespodziewana, która niejednego rozśmieszyła, a rozniosła się szybko, wywołała bezlitosny gniew Julii Michajłówny i ostatecznie zbiła z tropu Andrzeja Antonowicza, rzuciwszy go w najkrytyczniejszym momencie na rozdroża wahań.

Piotr Stiepanowicz miał pracowity dzień. Od von Lembkego pośpieszył na Bogojawleńską, lecz przechodząc Bykową obok domu, w którym mieszkał Karmazinow, stanął nagle, uśmiechnął się i wszedł do bramy. Powiedziano mu tam, że „pan czeka”, co bardzo zdziwiło Wierchowienieckiego, gdyż nie zapowiadał bynajmniej swojej wizyty.

Lecz wielki pisarz oczekiwał go istotnie już od dwóch dni. Przed trzema dniami wręczył mu rękopis swego Mera (które miał odczytać na poranku literackim podczas imprezy urządzonej przez Julię Michajłównę). Zrobił to przez grzeczność. Sądził, iż schlebi ambicji młodzieńca pozwoliwszy mu poznać zawczasu to arcydzieło. Piotr Stiepanowicz od dawna zauważył, że ten zarozumiały, zepsuty i obraźliwie niedostępny jegomość, ta „prawie ministerialna głowa” po prostu stara się o jego względy, i czyni to nawet dość gorliwie. Wydaje mi się, że Wierchowieniecki musiał w końcu domyślić się, że pisarz traktuje go jeżeli nie jako wodzireja całej konspiracji rewolucyjnej w Rosji, to przynajmniej jako jednego z najbardziej wtajemniczonych w sekrety rewolucji rosyjskiej i jako człowieka mającego olbrzymi wpływ na młodzież. Sposób myślenia „najmędrszego w Rosji człowieka” niezmiernie intereso-

364

wał Piotra Stiepanowicza, dotychczas jednak z pewnych względów unikał bezpośredniej rozmowy.

Wielki pisarz mieszkał w domu swej siostry, ziemianki, żony kamerhera; oboje, mąż i żona,

ubóstwiali znakomitego krewnego, leczobecnice byli w Moskwie i musieli wyrzec się przyjemności podejmowania go. Honor ten spadł na staruszkę, daleką i ubogą krewną kamerhera, która mieszkała u nich i od dawna zarządzała gospodarstwem. Z chwilą przyjazdu pana Karmazinowa cały dom zaczął chodzić na palcach. Staruszka co dzień pisała do Moskwy, jak spał i co raczył jeść wielki człowiek. Raz nawet wysłała depeszę, że musiała mu, po proszonym obiedzie u burmistrza, zaaplikować łyżkę pewnego lekarstwa. Rzadko odważała się wejść do jego pokoju, chociaż Karmazinow był dla niej bardzo uprzejmy, może tylko zbyt oschły, a rozmawiał wtedy, gdy czegoś potrzebował. Gdy wszedł Wierchowieński, Karmazinow spożywał swój poranny kotlet z połową szklanki czerwonego wina. Piotr Stiepanowicz bywał u niego i przedtem i zawsze zastawał go przy tym kotlecie, lecz nigdy sam nie został poczęstowany. Po kotlecie podawano zwykle filiżankę kawy. Lokaj, który obsługiwał przy stole, ubrany był we frak liberyjny i rękawiczki, i nosił miękkie, bezszelestne obuwie.

- A-a! - odezwał się Karmazinow. Wstał z kanapy, wytarł usta serwetką i z wyrazem szczerej radości nadstawił twarz do pocałunku, charakterystycznym zwyczajem wszystkich Rosjan, którzy są już dostatecznie sławni.¹³

Lecz Wierchowieński wiedział z dawnego doświadczenia, że mistrz pozornie tylko wysuwa usta, a podstawi policzek. Zrobił więc to samo. Spotkały się dwa policzki. Karmazinow udał, że tego nie zauważył, usiadł znów na kanapie i z miłym uśmiechem wskazał fotel stojący naprzeciwko, na którym Wierchowieński natychmiast niedbale się rozwalił.

- Pan przecie nie... Nie zjadłby pan śniadania? - zapytał gospodarz (wbrew dotychczasowemu zwyczajowi),-lecz takim tonem, który przesądzał z góry uprzejmą odmowną odpowiedź.

Lecz Wierchowieński poprosił o śniadanie. Cień obrażonego zdumienia przesunął się po twarzy gospodarza, lecz trwało to tylko chwilę. Zadzwoił nerwowo, podniósł nieuprzejmie głos wbrew własnej dystynkcji i kazał podać śniadanie dla gościa.

365

- Panu kotlet czy kawę ? - zapytał jeszcze.

- I kotlet, i kawę - odpowiedział Wierchowieński, spokojnie oglądając strój gospodarza. - Prosiłbym także o wino. Głodny jestem.

Pan Karmazinow miał na sobie jakąś domową watowaną kacabajkę, jakby żakiecik z guzikami z masy perłowej, nieco przykrótką, co zupełnie nie pasowało do dość tłustego brzuszka i zaokrąglonych bioderek. Lecz gusta bywają rozmaite. Nogi miał otulone pledem w kratę, spadającym do samej podłogi, chociaż w pokoju było ciepło.

- Pan niezdrów? - zapytał Wierchowieński.

- Nie, jestem zdrów, lecz boję się zachorować w tutejszym klimacie - odpowiedział pisarz swoim krzykliwym głosikiem, delikatnie skandując wyrazy i przyjemnie po pańsku sepleniąc. - Czekam na pana od wczoraj - dodał.

- Dlaczego? Przecież nie mówiłem, kiedy przyjdę.

- Tak, lecz pan ma mój rękopis. Pan... przeczytał?

- Rękopis? Jaki?

Karmazinow był zdumiony. Tak się przeraził, że przestał żuć i wylękłym wzrokiem patrzył na Wierchowieńskiego.

- Jak to? Nie przyniósł pan z sobą?

- Ach tak, panu chodzi o Bonjour... .

- Merci!

- Niech będzie Merci. Zupełnie zapomniałem i nie czytałem. Nie mam czasu. Nie wiem naprawdę...

W kieszeni nie ma. Prawdopodobnie zostawiłem u siebie na stole. Niech się pan nie obawia - znajdę.

- O nie. Wolę już zaraz posłać do pana. Może się zawieruszyć. Ktoś może ukraść.

- Kto by tam chciał kraść! Czego się pan tak przeraził? Przecież wiem od Julii Michajłowny, że ma pan zawsze kilka odpisów. Jeden za granicą u rejenta, drugi w Petersburgu, trzeci w Moskwie, czwarty w banku na przechowaniu.

- Ale przecież i Moskwa może się spalić, a wraz z Moskwą mój rękopis. Nie, już lepiej posłę zaraz.

- Ach, przepraszam, znalazłem! - zawołał Wierchowieński wyjmując z tylnej kieszeni plik arkusików. - Trochę się to pomięło. Niech pan sobie wyobrazi, że odkąd wziętem ten rękopis, przeleżał on w tylnej kieszeni razem z chustką do nosa. Zapomniałem na śmierć.

366

Karmazinow niecierpliwie pochwycił rękopis, uważnie przejrzał, przeliczył arkusiki i ostrożnie położył je obok siebie na osobnym stoliku, lecz tak, aby mieć swe arcydzieło wciąż na oku.

- Pan chyba czytuje niewiele? - zasyczał nie mogąc ukryć oburzenia.

- O, bardzo mało.

- Aż beletrystyki rosyjskiej to chyba nic?

- Z beletrystyki rosyjskiej? Przepraszam. Coś tam czytałem... Po drodze czy W drogę, czy może Na rozdrożu. Nie pamiętam. Już dawno, pewnie przed pięciu laty. Teraz nie mam czasu.

Nastąpiła chwila milczenia.

- Gdy tu przyjechałem, zapewniałem wszystkim, że pan jest bardzo rozumnym człowiekiem. Mam wrażenie, że wszyscy tu szaleją za panem.

- Dziękuję panu - spokojnie odpowiedział Wierchowieński.

Lokaj przyniósł śniadanie. Wierchowieński z niesłychanym apetytem rzucił się na kotlet, połknął go, wypił wino i łyknął kawy.

Karmazinow, dojadając ostatni kawałek i wysączając ostatnią kroplę, patrzył na gościa spode łba i rozważał: „Ten nieuk na pewno zrozumiał całą zjadliwość mego pytania. Ręczę, że chciwie przeczytał rękopis, a tylko udaje. A może nie udaje, lecz jest szczerze głupi. Lubię pewną głupotę u ludzi genialnych. Może rzeczywiście jest on tam u nich jakimś geniuszem, niech go lichy porwie! Kto by tam mógł się na tym poznać!”

Wstał z kanapy i zaczął chodzić z kąta w kąt. Robił to zawsze po śniadaniu ze względów higienicznych.

Wierchowieński zapalił papierosa i odezwał się z fotela:

- Pan prędko stąd wyjeżdża?

- Właściwie przyjechałem tylko po to, aby sprzedać majątek, i zależę teraz całkowicie od swego rządu.

- Słyszałem, że pan przyjechał dlatego, że obawiał się pan epidemii po wojnie.¹⁴

- Nie, niezupełnie - ciągnął pan Karmazinow, dobrodusznie skandując zdania, a za każdym razem, gdy zawracał w rogu pokoju, z lekka podrygiwał prawą nóżką, zresztą prawie niedostrzegalnie. Uśmiechnął się dość zjadliwie. - Istot-

367

nie, mam zamiar zabawić tu trochę dłużej. Szlachta rosyjska ma jakąś właściwość szybkiego zużywania się. Ja zaś nie chcę się zużyć przedwcześnie i dlatego przeniosę się na stałe za granicę.

Tam i klimat lepszy, i domy murowane, i wszystko jakieś mocniejsze. Mam nadzieję, że Europy wystarczy do końca mego życia. Jak pan sądzi?

- Skądże ja mogę wiedzieć?

- Hm. Jeśli tam istotnie upadnie Babilon, a upadek jego ma być straszliwy (zupełnie pod tym względem zgadzam się z panem, lecz sądzę, że jeszcze starczy mi Babilonu do śmierci), to u nas w Rosji, mówiąc porównawczo, nie ma co się walić. Nie kamienie runa, lecz wszystko rozplynie się w błocie. Święta Ruś jest chyba najmniej odporna. Lud prosty jeszcze jakoś się trzyma, dzięki rosyjskiemu Bogu. Lecz na rosyjskim Bogu, podług najnowszych danych, trudno już polegać. Nie wytrzymał nawet reformy włościańskiej. W każdym razie mocno się zachwiał. A tu jeszcze koleje żelazne, a tu jeszcze pan... nie, przestałem wierzyć w rosyjskiego Boga.

- A w europejskiego?

- W żadnego nie wierzę. Oczerniono mnie przed rosyjską młodzieżą. ¹⁵ Zawsze sympatyzowałem z każdym ruchem młodzieży. Pokazywano mi tutejsze proklamacje. Wszyscy patrzą na nie ze zdumieniem, gdyż przeraża ich styl, jednakże wszyscy, nie przyznając się do tego, wierzą w ich siłę. Wszyscy dawno już lecą w dół i dawno wiedzą, że nie ma o co się zaczepić. Nie od dziś wierzę w powodzenie tej tajemniczej propagandy, że Rosja jest jedynym miejscem na całym świecie, gdzie wszystko bez wyjątku może się stać bez najmniejszych przeszkód. Rozumiem zbyt dobrze, dlaczego wszyscy bogaci Rosjanie odpływają za granicę, z roku na rok coraz liczniej. Tu działa instynkt! Gdy okręt tonie, przede wszystkim uciekają szczury. Święta Ruś, kraj drewniany, ubogi i... straszny, jest krajem zarozumiałych nędzarzy w górnych warstwach społecznych, jest krajem, w którym przeważnie mieszka się w chatkach na kurzych łapkach. Ucieszy ją każde wyjście z sytuacji, byle tylko powiedzieć, o co chodzi. Tylko rząd opiera się jeszcze, lecz wymachuje maczugą po ciemku i wali po własnych ludziach. Tu wszystko jest skazane na zagładę. Rosja, jako taka, nie ma przyszłości przed sobą. Stałem się Niemcem i jestem z tego dumny.

- Dobrze, lecz pan coś zaczął mówić o proklamacjach. Co pan właściwie o nich myśli?

- Wszyscy boją się ich, to znaczy, że są potężne. Ujawniają fałsz i stwierdzają, że nie mamy się czego chwycić ani na czym oprzeć, mówią głośno, gdy wszyscy milczą. Największa ich siła (mimo formy) to zdecydowana odwaga patrzenia prawdzie w oczy. Ta odwaga jest właściwa Rosjanom. Nie, w Europie ludzie nie są jeszcze tak odważni. Tam królestwo murowane, tam istnieją punkty oparcia. O ile widzę, o ile rozumiem, istota rosyjskiej idei rewolucyjnej polega na negacji honoru. Podoba mi się, że się o tym mówi tak śmiało i otwarcie. Nie, w Europie nie zrozumieliby tego, u nas zaś na to najłatwiej brać ludzi. Honor dla Rosjanina jest niepotrzebnym ciężarem. Był mu zawsze ciężarem przez całą jego historię. Najłatwiej znęcić Rosjan głosem otwarcie „praw do braku honoru”. Należę do starego pokolenia i przyznam się, że jestem zwolennikiem honoru, ale jedynie z przyzwyczajenia. Podobają mi się tylko dawne formy, może to po prostu brak odwagi, ale tak już dożyję końca moich dni.

Zamilkł nagle.

„Jednakże - pomyślał - ja tu gadam i gadam, on zaś milczy i podgląda. Przyszedł po to, abym mu zadał wyraźne pytanie. No cóż! Zapytam.”

Piotr Stiepanowicz przerwał mu te rozmyślenia.

- Julia Michajłowna poleciła mi sprytnie wybadać, jaką to niespodziankę szykuje pan na bal pojutrze.

- Tak, to będzie prawdziwa niespodzianka - z dumą odpowiedział Karmazinow. - Zdziwię wszystkich. Lecz nie powiem panu. To sekret.

Wierchowieński nie nalegał.

- Mieszka tu niejaki Szatow - odezwał się wielki pisarz. - Dotychczas nie udało mi się go zobaczyć.

- To bardzo porządny człowiek. A o co chodzi?

- Nic ważnego. On coś tam opowiada ludziom. Przecież to on uderzył w twarz Stawrogina!

- Tak, on.

- A co pan myśli o Stawroginie?

- Nie wiem. To jakiś lowelas.

Karmazinow nienawidził Stawrogina, który miał zwyczaj nie dostrzegać go wcale. Zaśmiał się.

- Jeżeli kiedykolwiek ziści się to, co zapowiadają proklamacje, ten lowelas prawdopodobnie pierwszy zawiśnie na gałęzi.

- Może nawet wcześniej! - odparł Wierchowieński.

- Należy mu się to - już bez uśmiechu, zupełnie poważnie dodał Karmazinow.

- Pan już raz to powiedział. Nawet mu powtórzyłem.

- Doprawdy? - znów roześmiał się Karmazinow.

- Owszem. Odpowiedział, że jeżeli jego na gałąź, to pana trzeba wyćwiczyć różgami, lecz nie byle jak, tylko boleśnie, jak chłopów biją.

Wierchowieński wziął kapelusz i wstał. Karmazinow wyciągnął na pożegnanie obydwie dłonie.

Wtem rzekł piskliwym a słodkim głosikiem z jakąś specjalną intonacją, trzymając obie ręce gościa:

- A więc? Jeżeli wszystko to ma się spełnić.... wszystkie te zamierzenia, to... kiedy może się to stać?

- Skąd ja mogę wiedzieć? - opryskliwie odrzekł Wierchowieński. Uważnie spojrzeli sobie w oczy.

- Ale w przybliżeniu, mniej więcej? - jeszcze słodszy głosem dopytywał się Karmazinow.

- Zdąży pan sprzedać majątek - odparł Wierchowieński jeszcze burkliwiej.-Wyjechać stąd także pan zdąży.

Znów spojrzeli sobie w oczy.

Nastąpiła chwila milczenia. Wtem Wierchowieński powiedział :

- Zacznie się na przyszły rok w maju, a na święto Matki Boskiej Opiekuńczej 16 wszystko będzie skończone. Karmazinow mocno ścisnął mu rękę.

- Dziękuję panu najserdeczniej.

„Zdążysz, szczurze, uciec z okrętu! - myślał Wierchowieński wychodząc na ulicę. - Ha, jeżeli już ta „prawie ministerialna głowa” tak wyraźnie pyta o dzień i godzinę i tak pokornie dziękuje za otrzymaną informację, to nie powinniśmy mieć żadnych wątpliwości.-Uśmiechnął się.-Hm... on nie jest taki głupi, jak się zdaje. To tylko uciekający szczur. Taki nie zadenuncjuje.”

Pobiegł na Bogojawleńską do domu Filippowa.

VI

Piotr Stiepanowicz poszedł przede wszystkim do Kiryłowa. Kiryłow był sam, jak zwykle, i robił gimnastykę, to znaczy, rozstawił nogi i w jakiś niesamowity sposób kręcił rękami nad głową. Na podłodze leżała piłka. Na stole stała nie sprzątnięta od rana herbata, już zimna. Wierchowieński postać chwilę na progu.

- Pan jednak dba o swoje zdrowie - odezwał się głośno i wesoło, wchodząc do pokoju. - Jaka wspaniała piłka. Doskonale skacze. Czy to także dla gimnastyki?

Kiryłow nałożył surdut.

- Tak. Dla zdrowia. Proszę siadać - odparł sucho.
- Ja tylko na chwilę. Zresztą usiądę. Zdrowie - zdrowiem, lecz przyszedłem przypomnieć panu naszą umowę. W pewnym sensie zbliża się nasz termin - dodał jakoś niezgrabnie.
- Jaką umowę?
- Jak to jaką? - sploszył się, a nawet przeraził Piotr Stiepanowicz.
- To żadna umowa i żaden obowiązek. Nie związywałem siebie niczym. Pan się myli. Piotr Stiepanowicz zerwał się.
- Ależ co pan wygaduje?
- Spełniam swoją wolę.
- Jaką?
- Dawną.
- Jak mam to rozumieć? Czy to znaczy, że pan trwa przy dawnym postanowieniu ?
- Tak. Lecz umowy nie ma i nie było. Nie wiązałem siebie. Była to tylko moja wola i teraz też jest tylko moja wola.

Kiriłłow dawał wyjaśnienia szorstko, z pewnym obrzydzeniem.

Wierchowieński znów usiadł z zadowoloną miną.

- Dobrze, zgoda, niech będzie pańska wola, byle pan jej nie zmieniał. Pan się gniewa za słowa. Pan w ogóle jest jakiś zirytowany ostatnio. Nie chciałem nawet odwiedzać pana. Byłem jednak przekonany, że pan nie zdradzi.
- Nie lubię pana, lecz może pan się nie obawiać. Chociaż dla mnie nie ma istotnej różnicy między zdradą a niezdradą.

371

Wierchowieński znów się zaniepokoił.

- Jednakże, wie pan, powinniśmy pogadać do rzeczy, aby się nie zaplątać. Sprawa wymaga ścisłości, a pan ciągle zbija mnie z tropu. Zgadza się pan na rozmowę?
- Niech pan mówi - ostro burknął Kiriłłow patrząc na ścianę.
- Pan już dawno postanowił odebrać sobie życie... taką pan miał ideę... Czy ściśle się wysławiam? Czy nie ma tu jakiej omyłki ?
- Mam i teraz tę samą ideę.
- Doskonale. Niech pan pamięta, że nikt pana nie zmuszał.
- Któż mógłby mnie zmusić? Pan mówi głupstwa.
- Dobrze, dobrze. Wyraziłem się niemądrze. Bez wątpienia głupio byłoby zmuszać pana. Idźmy dalej. Był pan członkiem stowarzyszenia jeszcze za czasów dawnej organizacji i zdradził się pan przed jednym z członków stowarzyszenia.
- Nie zdradziłem się, a po prostu powiedziałem.
- Zgoda. Byłoby śmiesznym „zdradzić się”. Tu nie chodzi o spowiedź. Pan po prostu powiedział. Doskonale.
- Wcale nie doskonale, gdyż pan zanadto nudzi. Nie mam obowiązku spowiadać się przed panem, a myśli moich hie może pan zrozumieć. Chcę odebrać sobie życie dlatego, że taka myśl przyszła mi do głowy. Nie chcę strachu śmierci, gdyż... Co panu zresztą do tego. O co panu chodzi? Chce pan herbaty? Zimna. Przyniosę inną szklankę.

Wierchowieński istotnie chwycił imbryk i szukał jakiegoś pustego naczynia. Kiriłłow podszedł do

szafy i przyniósł czystą szklanę.

- Przed chwilą jadłem śniadanie u Karmazinowa - tłumaczył się gość - potem słuchałem, jak głądził, aż się spociłem. Potem biegiem tutaj - i znów się spociłem. Śmiertelnie chce mi się pić.

- Niech pan pije. Zimna orzeźwia.

Kiriłłow usiadł na krześle i patrzył w róg pokoju. Sam wszczął dalszą rozmowę:

- V- Sonie stowarzyszenia powstała myśl, że mogę się przydać jeżeli odbiorę sobie życie, i że gdy wy tu nabroicie, a zaczną szukać winnych, ja się zastrzelę i pozostawię list,

372

w którym całą winę wezmę na siebie, tak, że was nie będą podejrzewali przez cały rok.

- Przynajmniej przez kilka dni. Tu każdy dzień jest drogi.

- Dobrze. Powiedziano mi, abym poczekał, jeżeli mogę. Zgodziłem się poczekać, aż stowarzyszenie wskaże mi termin, bo wszystko mi jedno.

- Tak. Lecz pan zobowiązał się napisać list przedśmiertny razem ze mną. Pan obiecał też, po przyjeździe do Rosji, być na moje... na moje rozkazy, oczywiście tylko pod tym jednym względem. Pod każdym innym jest pan wolny - kończył Wierchowieński z wyjątkową uprzejmością.

- Nie zobowiązałem się, a zgodziłem się, gdyż wszystko mi jedno.

- Doskonale, doskonale, nie miałem zamiaru urazić pańskiej ambicji.

- To nie ambicja.

- Lecz niech pan nie zapomina, że otrzymał pan na drogę sto dwadzieścia talarów. To znaczy, że brał pan pieniądze.

- Wcale nie!-oburzył się Kiriłłow.-Pieniądze - nie za to. Za to nie bierze się pieniędzy.

- Czasem się bierze.

- Pan kłamie. Oświadczyłem o tym listownie, a w Petersburgu wypłaciłem panu sto dwadzieścia talarów. Są odesłane, o ile pan nie zatrzymał u siebie.

- Dobrze, dobrze, nie sprzeczam się, odesłałem. Chodzi o to, czy pan trwa w postanowieniu, czy nie?

- Trwam. Gdy pan przyjdzie i powie „już czas”, zrobię resztę. A co? Już prędko?

- Niewiele dni już zostało. Niech pan jednak pamięta: list piszemy razem. W ostatnią noc.

- Mogę nawet w dzień. Pan mówił, że trzeba wziąć na siebie proklamacje.

- I coś jeszcze.

- Nie wszystko wezmę na siebie.

- Na przykład? -przestraszył się Wierchowieński.

- Nie wezmę tego, czego nie zechcę. Nie mam zamiaru dłużej o tym mówić.

Wierchowieński opanował się i zmienił temat.

- Chciałbym pomówić o innych rzeczach. Już o tamtym

373

nie będę. Czy pan przyjdzie dziś wieczorem do Wirgińskiego? Dziś jego imieniny. Pod tym pozorem zbiorą się wszyscy.

- Nie chcę.

- Niech pan tam będzie. Proszę pana. Tak trzeba. Trzeba zaimponować liczbą i wyglądem. Pan ma wygląd... krótko mówiąc, tragiczny.

- Tak pan uważa? - zaśmiał się Kiriłłow. - Dobrze, przyjdę, lecz nie ze względu na wygląd. Kiedy?
 - O, jak najwcześniej. O pół do siódmej. Pan może wejść, usiąść i nie rozmawiać z nikim. Niech pan jednak nie zapomni wziąć ze sobą ołówek i kawałek papieru.
 - Po co?
 - Panu wszystko jedno, a dla mnie to bardzo ważne. Będzie pan siedział, nie rozmawiając z nikim, będzie pan słuchał i robił od czasu do czasu jakieś notatki. Wszystko jedno co. Może pan nawet coś tam rysować.
 - Co za głupstwa! Na co to?
 - Przecież panu wszystko jedno. Pan sam mówił.
 - Tak, ale po co?
 - A po to, że tamten członek stowarzyszenia, rewizor, ugrzązł w Moskwie. Ja zaś oświadczyłem tu niektórym, że zjawi się rewizor. Będą myśleli, że to pan. Ponieważ zaś pan jest tu już od trzech tygodni, więc zdziwią się jeszcze więcej.
 - To są sztuczki. Żadnego rewizora nie ma pan w Moskwie.
 - Zgoda, niech лихо porwie rewizora! Co panu do tego i co to panu szkodzi? Przecież pan sam jest członkiem stowarzyszenia.
 - Niech pan im powie, że jestem rewizorem. Będę siedział i milczał, lecz nie chcę ani papieru, ani ołówek.
 - Ale dlaczego?
 - Nie chcę.
- Wierchowieński zirytował się, aż pozieleniał, lecz znów zapanował nad sobą, wstał i wziął kapelusz.
- Czy tamten jest u pana? - zapytał półgłosem.
 - Tak.
 - To dobrze. Prędko go zabiorę. Niech pan będzie spokojny.
 - Nie niepokoję się wcale. On tylko nocuje. Stara w szpi-

374

talu, jej synowa umarła. Od dwóch dni jestem sam. Pokazałem mu miejsce w płocie, gdzie można wyjąć deskę. Przełazi tamtędy i nikt nie widzi.

- Wkrótce go zabiorę.
- On mówi, że może nocować w wielu miejscach.
- Kłamie. Szukają go. Tu tymczasem bezpiecznie. Czy pan z nim rozmawia?
- Po całych nocach. Strasznie panu urąga. Czytałem mu w nocy Apokalipsę. Dałem herbaty. Słuchał uważnie. Nadzwyczaj uważnie. Przez całą noc.
- Do diabła! Pango nawróci na wiarę chrześcijańską.
- On nigdy nie wyzywał się wiary chrześcijańskiej. Lecz niech się pan nie boi, zarźnie. Kogo chce pan zarznąć?
- Nikogo, mam go do innych rzeczy, do czego innego... Czy Szatow wie o Fiedce?
- Nie rozmawiałem z Szatowem i nie zadaję się z nim.
- Gniewa się czy co?
- Nie, nie gniewamy się, tylko unikamy. Zbyt długo leżeliśmy obok siebie w Ameryce.
- Zaraz wstąpię do niego.
- Jak pan chce.

- Może stamtąd zajdziemy do pana razem ze Stawroginem. Tak około dziesiątej.
- Dobrze.
- Muszę pomówić z nim poważnie... Wie pan co, niech mi pan podaruje swoją piłkę. Na co ona panu? Mnie także potrzebna dla gimnastyki. Zapłacę za nią.
- Niech pan tak weźmie.

Wierchowieński schował piłkę do tylnej kieszeni.

- Nie dam panu nic przeciwko Stawroginowi - bąknął Kiriłłow wyprowadzając gościa.

Wierchowieński spojrział zdziwiony, lecz nie odpowiedział.

Ostatnie słowa Kiriłłowa niesłychanie zbiły Wierchowieńskiego z tropu. Nie zdążył jeszcze ogarnąć ich myślą, lecz już na schodach do Szalowa starał się złagodzić swoje gniewne spojrzenie.

Szатов był w domu, czuł się niedobrze. Leżał na łóżku w ubraniu.

- Ależ pech! - zawołał Wierchowieński od progu.- Pan jest poważnie chory?

Łagodny wyraz twarzy Piotra znikł od razu. Gniew zaiskrzył się w oczach.

Szатов zerwał się nerwowo.

- Wcale nie. Nie jestem chory. Trochę głowa mnie boli... Zmieształ się. Niespodziewane przybycie takiego gościa przeraziło go.

- Przyszedłem w takiej sprawie, że nie wolno chorować - zaczął Wierchowieński stanowczym głosem... - Pozwoli pan, że usiądę, a pan niech spocznie sobie na łóżku. Tak. Dziś, pod pozorem imienin Wirgińskiego, wszyscy zbiorą się u niego. Nikogo poza tym nie będzie. Udało się nam to tam urządzić. Przyjdę ze Stawroginem. Znając obecne poglądy pana, nie ciągnąłbym pana tam - po co miałbym pana dręczyć. Nie ze strachu, że pan może zadenuncjować. Tak się jednak stało, że musi pan pójść. Spotka pan tam ludzi, z którymi uradzimy, w jaki sposób ma pan opuścić stowarzyszenie i komu oddać to, co jest u pana na przechowaniu. Zrobimy to dyskretnie. Ulokuję pana gdzieś w zacisznym miejscu. Będzie dużo osób, ale wszyscy nie muszą wiedzieć. Przyznam się panu, że musiałem o pana stoczyć zaciętą walkę. Lecz teraz zgodzili się wszyscy, byle pan oddał drukarnię i papiery. A wtedy może pan iść na cztery wiatry.

Szатов słuchał ponury i zły. Nerwowy przestрах już go opuścił.

- Nie uznaję obowiązku składania przed kimkolwiek sprawozdań. Nikt nie ma prawa rozporządzać moją osobą.

- Jest właściwie nieco inaczej. Panu zaufano wiele. Pan nie miał prawa zrywać z nami. A zresztą pan nigdy wyraźnie nie wypowiedział się stawiając ich w dwuznacznej sytuacji.

- Gdy przyjechałem tutaj, wyraźnie napisałem.

- Nie, niewyraźnie - spokojnie oponował Wierchowieński. - Przysłałem panu na przykład Świetlaną postać, aby wydrukować tu i złożyć odbitki do chwili, kiedy ktoś się po nie zgłosi. To samo było z dwiema proklamacjami. Pan zwrócił je w liście, który o niczym nie mówił wyraźnie.

- Po prostu odmówiłem drukowania.

- Tak, lecz niewyraźnie. Pan napisał: „nie mogę”, nie wyjaśniając przyczyn. „Nie mogę” to nie znaczy „nie chcę”. Można było myśleć, że przeszkadzają panu jakieś względy materialne. Tak było to rozumiane. Myśleli, że pan nie chce

zrywać ze stowarzyszeniem. Mieli prawo znów zaufać panu w czymkolwiek i narazić się. Tutaj na przykład twierdzą, że pan chciał nas po prostu oszukać: uzyskać jakieś ważne informacje - i zadenuncjować. Bronilem pana upórcozyw i pokazywałem pański dwuwierszowy liścik jako

dokument mówiący na pańską korzyść. Teraz jednak, odczytawszy go raz jeszcze, muszę przyznać, że te dwa wiersze nie są jasne i wprowadzają w błąd.

- Pan tak skrzętnie przechował ów list?

- Nie tylko przechowałem. Mam go i teraz przy sobie.

- Niech tam! - wściekłym głosem zawołał Szatow. - Niech ci durnie myślą, że zdradziłem! Co mi do tego? Ciekaw jestem, co wy możecie mi zrobić.

- Może pan trafić na listę i zawisnąć przy pierwszym powodzeniu rewolucji.

- To wtedy, gdy zdobędziecie władzę i opanujecie Rosję?

- Niech się pan z tego nie śmieje. Powtarzam, że broniłem pana. Tak czy inaczej, radzę panu przyjść dzisiaj. Po co te próżne frazesy fałszywej dumy! Czyż nie lepiej rozstać się po przyjacielsku? Przecież w każdym razie będzie pan musiał oddać drukarnię, czcionki i stare dokumenty. O tym właśnie pomówimy.

- Przyjdę - burknął Szatow schyliwszy głowę w zadumie.

Piotr Stiepanowicz przyglądał mu się z ukosa.

- A Stawrogin będzie? - zapytał Szatow podnosząc głowę.

- Będzie na pewno.

- Che, che, che!

Znowu zamilkli na chwilę. Szatow uśmiechnął się z pogardliwą ironią.

- A ta pańska Świetlana postać, której nie chciałem drukować? Już wydrukowana?

- Wydrukowana.

- Gimnazjalistów będą zapewniali, że to sam Hercen wpisał ją panu do albumu. 17

- Sam Hercen.

Znowu milczeli przez parę minut. Szatow wstał z łóżka.

377

- Niech się pan wynosi. Nie chcę tu być razem z panem.

- Idę już - wesoło rzekł Wierchowieński i zerwał się z krzesła. - Jeszcze jedno pytanie: Kiriłłow, zdaje się, jest teraz zupełnie sam w oficynie, bez służącej?

- Sam. Niech pan już idzie. Nie mogę być z panem w jednym pokoju.

„Ładnie teraz wyglądasz! - myślał wesoło Wierchowieński wychodząc na ulicę. - Ładnie też będziesz wyglądał wieczorem! Taki właśnie jesteś mi potrzebny. Trudno o coś lepszego, trudno! Sam Bóg rosyjski pomaga.”

VII

Wierchowieński miał zapewne tego dnia dużo biegania i prawdopodobnie to i owo się udało, gdyż o szóstej wieczorem, gdy zjawił się u Stawrogina, wygląd jego zdradzał zadowolenie. Nie od razu go wpuszczono. Przed chwilą właśnie Stawrogin zamknął się w gabinecie z Maurycem Nikołajewiczem. Wiadomość o tym zasępiła Wierchowieńskiego. Usiadł przy drzwiach gabinetu, czekając, aż Maurycy Nikołajewicz wyjdzie. Słyszał było rozmowę, lecz słowa nie dolatywały. Wizyta ta trwała niedługo. Wkrótce rozległ się hałas. Brzmiał jakiś głos wyraźny i ostry. Otworzyły się drzwi i wyszedł Maurycy Nikołajewicz, blady jak ściana. Nie zauważył nawet Piotra Stiepanowicza i przeszedł obok niego. Wierchowieński natychmiast wpadł do gabinetu.

Nie jestem w stanie pominąć milczeniem tego krótkiego spotkania dwóch „rywali”, spotkania, które wobec wytworzonej sytuacji wydawało się niemożliwym, a jednak odbyło się.

Było to tak. Po obiedzie Stawrogin drzemał w swym gabinecie na kanapie. Aleksy Jegorowicz zaanonsował przybycie niespodziewanego gościa. Posłyszawszy nazwisko, Stawrogin zerwał się z kanapy. Nie chciał wierzyć. Wkrótce jednak na ustach jego zjawił się uśmiech wyniosłego triumfu, który mógł zresztą uchodzić za uśmiech, zabarwionego zdziwieniem nieufności. Maurycy Nikołajewicz, gdy wszedł do pokoju, zdumiał się na widok tego uśmiechu. Stał pośrodku pokoju niepewny, czy ma iść dalej. Gospodarz natychmiast zmienił wyraz twarzy i zdziwiony, poważny, szedł na spotkanie. Gość

nie przyjął wyciągniętej dłoni. Niezgrabnie przysunął krzesło, nie powiedziawszy ani słowa, i usiadł, zanim go o to poproszono. Stawrogin siadł jakoś bokiem na kanapie i patrząc na Maurycego Nikołajewicza milczał i czekał.

- Jeżeli pan może, niech się pan żeni z Lizawietą Nikołajewną - wypalił zniechęca Maurycy Nikołajewicz i co było najciekawsze, z tonu jego głosu trudno było poznać, czy jest to prośba czy rada, ustępstwo czy rozkaz.

Stawrogin wciąż milczał. Gość jednak powiedział prawdopodobnie wszystko, o co mu chodziło, i patrzył uporczywie, czekając na odpowiedź.

- Jeżeli się nie mylę (zresztą jest to aż nazbyt oczywiste), Lizawietą Nikołajewną jest już zaręczona z panem* - powiedział wreszcie Stawrogin.

- Owszem, jest moją narzeczoną - dobitnie, wyraźnie potwierdził Maurycy Nikołajewicz.

- Państwo... się pokłócili? Proszę mi wybaczyć, Maurycy Nikołajewiczu.

- O nie! Ona mnie „kochająca i szanująca”. To są jej słowa. Jej słowa - to rzecz najcenniejsza.

- Nie wątpię o tym.

- Lecz niech pan wie, że jeżeli nawet będzie już stała przed ołtarzem, w ślubnej sukni, wystarczy, by pan ją zawołał, a porzuci mnie i pójdzie za panem.

- Od ołtarza?

- Nawet... po ślubie.

- Czy pan się nie myli?

- Nie. Spoza nieustannej nienawiści do pana, najszczerzej i najgłębszej, wytryska wciąż, bez przerwy, miłość... i obłąd! Najprawdziwsza, bezgraniczna miłość i obłąd. I odwrotnie. Spoza przywiązania, które czuje ona do mnie, tak samo szczerze, wybucha raz po raz nienawiść, najstraszliwsza nienawiść. Nigdy przedtem nie byłbym w stanie zrozumieć takich... metamorfoz.

- Dziwi mnie jednak, jak pan może przychodzić do mnie i rozporządzać ręką Lizawiety Nikołajewny! Kto pana do tego upoważnił? A może to ona pana upoważniła?

Maurycy Nikołajewicz zasępił się i spuścił na chwilę głowę.

- To, co pan mówi, to tylko puste słowa. Mściwe słowa

379

triumfu. Wiem, że pan potrafi zrozumieć to, czego się nie dopowiada. Czyż jest tu miejsce dla karlej żarzących? Panu jeszcze nie wystarczy? Czy trzeba podkreślać, stawiać kropkę nad i? Dobrze. Postawię kropkę, skoro zależy panu na moim upokorzeniu. Nie mam żadnego prawa. Upoważnienie byłoby tu niemożliwe. Lizawietą Nikołajewną nie wie o niczym. Jej narzeczonego stracił resztki rozumu, zasłużył na dom wariatów, a w dodatku sam przychodzi, aby panu to oświadczyć. Pan jeden tylko na całym świecie może ją uszczęśliwić. A tylko ja jeden mogę ją unieszczęśliwić. Pan walczy o nią, pan ją tropi i, nie wiem dlaczego, pan się z nią nie żeni. Jeżeli to sprzeczka kochanków, trwająca od czasów szwajcarskich, i jeżeli to potrzebne, abym ja padł ofiarą tej sprzeczki - dobrze, czyńcie ze mnie ofiarę. Ona jest zbyt nieszczęśliwa. Nie jestem w stanie tego znieść. Słowa moje nie są ani rozkazem, ani ustępstwem, ambicja pańska nie może więc być

urazona. Gdyby pan zechciał zająć moje miejsce przy ołtarzu, mógłby pan to zrobić bez mego pozwolenia, i ja, wraz z moim szaleństwem, nie potrzebowałbym do pana przychodzić. Niech pan weźmie pod uwagę, że po obecnym moim kroku ślub nasz staje się niemożliwy. Ja, nikczemnik, nie mógłbym jej prowadzić do ołtarza. To zaś, że tu oddaję ją panu, może najstraszliwszemu jej wrogowi, jest tak nikczemne, że sam nie zdołam tego znieść.

- Cóż pan robi, gdy dojdzie do ślubu? Zastrzeli się pan?

- O nie, znacznie później. Po co miałbym jej ślubną suknię zbroczyć krwią? A może nie zastrzelę się nigdy, ani teraz, ani później...

- Pan tak mówi, aby mnie uspokoić?

- Pana? Cóż może znaczyć dla pana jeden więcej strumień krwi?

Zbladł, oczy mu się iskrzyły. Długo trwało milczenie, które wreszcie przerwał Stawrogin:

- Przepraszam pana za wszystko, o co pana pytałem. Do niektórych pytań nie byłem uprawniony. Jest jednak jedno, do którego mam prawo. Niech mi pan powie, co panu pozwoliło wnioskować o moich uczuciach względem Lizawiey Nikołajewny?! Mam na myśli takie napięcie uczuć, które dałoby panu prawo przyjść do mnie i odważyć się na postawienie mi takiej propozycji.

380

Maurycy Nikołajewicz drgnął.

- Jak to? Czyż pan nie walczył o nią? Czyż pan i teraz jeszcze nie walczy?

- O uczuciach moich do tej lub innej kobiety nie umiem mówić głośno nikomu oprócz tej kobiety. Może to moje dziwactwo, które zechce mi pan wybaczyć. Natomiast powiem panu istotną prawdę: jestem żonaty, żenić się więc czy też starać się o czyjąś rękę już nie mogę.

Maurycy Nikołajewicz był tak zdumiony, że cofnął się w fotelu i przez parę chwil nieruchomo wpatrywał się w Sta-wrogina. Wreszcie wyjąkał:

- Niech mi pan wierzy... nigdy nie myślałem... Wtedy, owego poranka, powiedział pan, że nie jest żonaty... uwierzyłem panu...

Zbladł przeraźliwie. Uderzył pięścią w stół.

- Po tym, co mi pan powiedział, jeżeli pan nie zostawi Lizawiey Nikołajewny w spokoju, jeżeli pan ją skrzywdzi, zatłukę pana kijem jak psa pod płotem!

Zerwał się nagle i wybiegł z pokoju. Wierchowieński, który wpadł zaraz po nim, zastał gospodarza w zupełnie niespodziewanym nastroju.

- Ach, to pan! - głośno śmiał się Stawrogin. Zdawało się, że śmieszy go sama postać Wierchowieńskiego, który z taką ciekawością wbiegł do pokoju.

- Pan podsłuchiwał pod drzwiami? Ach, przepraszam, co pana tu przyniosło? Coś tam obiecałem panu, o ile sobie przypominam. Ach, tak! Że przyjdę dzisiaj do „naszych ludzi”! Chodźmy. Rad jestem. Nic weselszego nie mógłby pan w tej chwili wymyślić.

Wziął kapelusz. Natychmiast wyszli razem na ulicę.

- Pana to bawi, że zobaczy pan „naszych ludzi”? - wesoło gwarzył Wierchowieński. Starał się kroczyć obok swego towarzysza, miejscami idąc wąskim trotuarem, miejscami schodząc na błotnistą jezdnię, gdyż Stawrogin nie zauważył nawet, że idzie środkiem trotuaru, zajmując go niemal całkowicie.

- Ależ ja się wcale nie śmieję - wesoło i głośno mówił Stawrogin. - Przeciwnie, jestem przekonany, że tam u pana są najpoważniejsi ludzie.

- „Ponure miernoty”, 18 jak. to pan był łaskaw kiedyś określić.

- Cóż może być weselszego od ponurej miernoty?

- Pan myśli o Maurycym Nikołajewiczu? Jestem przekonany, że był u pana, aby odstąpić swoją narzeczoną. Może nie? Niech pan sobie wyobrazi, że to ja pośrednio wpłynąłem na niego. A jak nie ustąpi, weźmiemy sami, prawda?

Wierchowieński wiedział dobrze, że ryzykuje dużo, puszczać się na takie bezdroża. Gdy jednak był podniecony, wolał ryzykować wszystkim niż pozostawać w nieświadomości.

Stawrogin śmiał się.

- Pan wciąż jeszcze ma zamiar mi pomagać?

- Ilekcóż pan zawoła. Pan wie jednak, że istnieje tylko jedna, najpewniejsza droga.

- Znam pańską drogę.

- O nie, to na razie sekret. Niech pan w każdym razie pamięta, że za sekret się płaci.

- Wiem nawet, ile to kosztuje - burknął do siebie Stawrogin. Powstrzymał się jednak i zamilkł.

- Ile? Co pan powiedział? - dopytywał się Wierchowieński mocno zatrwożony.

- Powiedziałem tylko: do diabła z panem i z pańskim sekretem. Niech mi pan lepiej powie, kto tam będzie. Wiem tylko, że idziemy na imieniny. Lecz do kogo?

- O, najrozmaitsi ludzie. Będzie nawet Kiryłow.

- Sami członkowie kółek?

- Ależ pan się śpieszy! Tu nawet jedno kółko nie jest gotowe.

- Jakże mógł pan rozrzucić tyle proklamacji?

- Tam, dokąd idziemy, jest tylko czterech członków. Reszta trwa w oczekiwaniu, szpiegują jeden drugiego na wyścigi i przekazują mi. Zupełnie pewni ludzie. To materiał, który trzeba zorganizować - i wynosić się. Zresztą pan sam pisał statut. Panu nie trzeba tłumaczyć.

- Co? Trudno idzie? Jak z kamienia?

- Ale gdzie tam! Najłatwiej w świecie. Ubawię pana. Pierwsza rzecz, która działa niezawodnie, to mundur. Mundur to najsilniejsza rzecz. Umyślnie stwarzam rangi i tytuły. Mam sekretarzy, tajnych obserwatorów, skarbników, prezesów, re-gistratorów, ich zastępców... Podoba się to i łatwo daje się zaszcześcić. Następną dźwignią jest sentymentalizm. Socjalizm rozwija się u nas na sentymentalnym podłożu. Najgorsza

bieda z tymi kłuszącymi podporucznikami. Lada chwila można się wsypać. Za sentymentalistami idą zwykle szalbierze. To są nieźli ludzie. Czasem bardzo potrzebni. Zabierają jednak dużo czasu. Wciąż trzeba ich pilnować. Wreszcie siłą główną, cement, łączący wszystko, to wstyd przed własną opinią. To olbrzymia siła! Nie wiem nawet, kto nad tym pracował, kto tyle trudu włożył, aby nie pozostała im w głowie ani jedna własna myśl. Wstydziliby się jej.

- Jeżeli tak, to po co pan tak się o nich stara? 1 - Jeżeli ludzie po prostu leżą, a gęby poroztwierali, jakże tu ich nie brać! Czy pan istotnie nie wierzy w możliwość powodzenia? Ale tu nie wystarczy wiara. Trzeba chcieć! Właśnie z takimi ludźmi można liczyć na powodzenie. Ręczę panu, że każdy z nich w ogień pójdzie. Wystarczy krzyknąć na niego, że nie jest dość liberalny. Głupi ludzie zarzucają mi, że zawróciłem tu wszystkim w głowie ośrodkiem centralnym i niezliczonymi rozgałęzieniami. Zresztą nawet pan mi kiedyś o tym mówił. Ale to oszukaństwo! Ośrodek centralny - to pan i ja. A rozgałęzień zrobi się tyle, ile pan zechce.

- Z samych szubrawców!

- To materiał. Przydadzą się i tacy.

- A pan wciąż na mnie liczy?

- Pan jest wodzem. Pan jest siłą. Ja zaś będę gdzieś z boku. Będę sekretarzem. Siądziemy do czółna. Wioselka klonowe. Żagle jedwabne. A w łodzi siedzi cud-dziewica, słoneczko jasne, Lizawieta Nikołajewna* Jak to tam dalej jest u diabła w tej pieśni?1*

- Zabrakło panu fantazji ? - zaśmiał się Stawrogin. - Nic, podsunę panu lepszą bajeczkę. Pan wylicza na palcach, z jakich sił składają się kółka. To wszystko biurokracyzm i sentymentalizm. To wszystko klajster, może wcale niezły. Jest jednak lepszy sposób. Namów pan czterech członków kółka, aby zabili piątego pod pozorem, że zamierza zdradzić. Pan ich tą krwią przelaną zwiąże natychmiast nierozzerwalnym węzłem. Staną się niewolnikami. Nie poważą się żądać sprawozdań i protestować. Cha, cha, cha!

„Jednak... będziesz musiał zapłacić za te słowa - myślał Wierchowiewski. - Zapłacisz dziś jeszcze. Za dużo sobie pozwalasz.”

383

Takie mniej więcej były myśli Wierchowiewskiego. Zbliżali się już do domu, w którym mieszkał Wirgiński.

- Pan prawdopodobnie przedstawi mnie tam - rzekł Stawrogin - jako jakiegoś zagranicznego spiskowca, będącego w kontakcie z Internationalem? Jako rewizora?

- Nie. Rewizorem będzie ktoś inny. Pan będzie członkiem-założycielem z zagranicy, który zna najważniejsze tajne sprawy. Taka jest pańska rola. Pan oczywiście zabierze głos.

- Co też panu przyszło do głowy!

- Teraz już musi pan mówić.

Stawrogin, zdziwiony słowami Wierchowiewskiego, aż zatrzymał się na środku ulicy, pod latarnią. Piotr Stiepanowicz zuchwale i spokojnie wytrzymał jego spojrzenie. Stawrogin splunął i ruszył dalej.

- A pan nie będzie mówił? - zapytał zniechęcony.

- O nie. Wolę posłuchać pana!

- Do diabła! Pan mi istotnie nasunął pomysł.

- Jaki? - zaniepokoił się Wierchowiewski.

- A taki, że tam istotnie zabiorę głos, lecz potem zbiję pana. Ach, jak zbiję!

- Co? A wie pan, co ja dziś powiedziałem Karmazinowo-wi? Że pańskim zdaniem należy go sieć różgami, lecz tak, jak biją chłopów, żeby bolało.

- Nigdy przecież tego nie mówiłem.

- To nie ma znaczenia. Se non e vero...*w

- Dziękuję panu. Szczerze jestem zobowiązany.

- A wie pan, co twierdzi Karmazinow? Mówi, że istota naszej doktryny polega na negacji honoru i że Rosjanina najłatwiej pociągnąć za sobą głoszeniem otwarcie prawa do braku honoru.

- Cudowne słowa! Złote słowa! - zawołał Stawrogin. - Trafił w sedno! Prawo do braku honoru!

Ależ wtedy wszyscy do nas przybiegną. Po tamtej stronie nie zostanie nikt! Panie Wierchowiewski, czy pan przypadkiem nie jest agentem wyższej tajnej policji?

- Kto myśli takie rzeczy, nie powinien ich wypowiadać

- Rozumiem. Mówimy jednak w cztery oczy.

• Jesh to nieprawda

384

- Nie, dotychczas nie jestem. Lecz skończmy tę rozmowę. Jesteśmy na miejscu. Niech pan zrobi odpowiedni wyraz twarzy. Zawsze dbam o to, gdy do nich wchodzę. Ponura tajemniczość - to

wystarcza. O nic więcej nie chodzi. Bardzo prosta rzecz...

17 Doslojewsks, t III

ROZDZIAŁ SIÓDMY

WŚRÓD NASZYCH

I

Wirgiński mieszkał we własnym domu, raczej w domu żony, przy Murawiejnej. Był to domek drewniany, jednopiętrowy. Żadnych obcych lokatorów tam nie było. Pod pozorem imienin zebrało się około piętnastu osób, lecz zebranie to w niczym nie przypominało prowincjonalnej imieninowej zabawy. Od początku pożycia małżeńskiego Wirgińscy zdecydowali, że głupio jest spraszać gości na imieniny. „Nie ma się z czego cieszyć” - mówili. W ciągu kilku lat zdołali zerwać kontakt ze wszystkimi towarzyskimi ugrupowaniami. Wirgiński, człowiek dość zdolny i niebiedny, wydawał się wszystkim dziwakiem lubiącym samotność i miał opinię człowieka wyniosłego. Mme Wirgińska, która trudniła się akuszerią, już przez to samo stała na najniższym szczeblu społecznym, niżej nawet od popadii, i nic tu nie pomagała oficerska ranga jej męża. Trudno jednak było dostrzec w niej pokorę, jaka odpowiadałaby temu stanowisku. Po głupim, skandalicznie oficjalnym romansie jej z jakimś włóczęgą, kapitanem Lebiadkinem, romansie, na który zdecydowała się dla zasady, najbardziej wyrozumiałe spośród naszych pań zaczęły odwracać się od niej z widoczną pogardą. Pani Wirgińska przyjęła to spokojnie. Te same surowe panie w okresie błogosławionego stanu usiłowały zwracać się tylko do niej, odrzucając pomoc trzech innych akuszerok w naszym mieście. Tak wierzono w jej umiejętność, szczęście i zręczność w trudnych wypadkach, iż nawet obywatelki ziemskie posyłały po nią do miasta. Skończyło się na tym, że Arina Prochorowna chodziła na połogi

386

tylko do najbogatszych domów. Na pieniądze była strasznie łaśa. Poczawszy ostatecznie swoją siłę, przestała się już krępować. Może naumyślnie, w najświetniejszych domach, straszyla nerwowe położnice jakimś nihilistycznym poniewieraniem wszelkimi formami lub też wyszydzeniem rzeczy świętych, zwłaszcza w takich chwilach, gdy świętość byłaby najbardziej na miejscu. Nasz lekarz wojskowy Rozanow, który był jednocześnie ginekologiem, zaświadczył kategorycznie, iż w pewnym wypadku, gdy położnica wiała się w mękach i wzywała imienia Bożego, jedno z bluźnierstw Ariny Prochorowny, gwałtowne „jak wystrzał”, tak podziało na przerażoną kobietę, że przyspieszyło szczęśliwe rozwiązanie. Będąc nihilistką, Wirgińska w pewnych chwilach ściśle przestrzegała nie tylko zwykłych towarzyskich obyczajów, lecz i staroświeckich przesądów, o ile mogła wyciągnąć z tego jakąś korzyść. Za nic w świecie nie opuściłaby na przykład chrzcina dziecka. Zjawiała się wtedy w zielonej jedwabnej sukni z trenem, a włosy układała sobie w pukle i loczki, mimo iż normalnie celowała w abnegację. I chociaż w czasie obrzędu miała wyraz najbezpieczelniej zuchwały, tak że niejednego wprowadzała w zakłopotanie, jednakże potem nieodzownie sama roznosiła szampana (po to tu była) i niechby ktokolwiek spróbował, wzięwszy kielich, nie dać jej „na kaszę”!

Goście, którzy dziś się zebrali u Wirgińskich (prawie sami mężczyźni), mieli wygląd niezwykle i przypadkowy. Nie było ani jedzenia, ani kart. Pośrodku dużego pokoju o starych błękitnych tapetach zsunięte były dwa stoły. Leżał na nich dość brudny obrus i kipiały dwa samowary. Koniec stołu zajmowała ogromna taca z dwudziestoma pięcioma szklankami i koszyk z francuską bułką, pokrajaną na drobne kawałki, jak dla uczniów w internatach. Herbatę nalewała trzydziestoletnia panna, siostra gospodyni, istota bez brwi, o białych rzęsach, milcząca a zjadliwa, zwolenniczka różnych nowych prądów, która w życiu codziennym budziła postrach w Wirgińskim. W pokoju były trzy kobiety: gospodyni, jej siostra bez brwi i rodzona siostra Wirgińskiego, panna Wirgińska, która dziś właśnie przybyła z Petersburga.² Arina Prochorowna, dwudzie-stoośmioletnia

niebrzydka osoba o wyglądzie rzucającym się w oczy, włosy miała w nieładzie i suknię zielonkawą, nie-odsświętną. Siedziała obrzucając wzrokiem gości, jak gdyby

387

chciała powiedzieć: „Widzicie, niczego się nie boję.” Panna Wirgińska, także niebrzydka, studentka i nihilistka, tłuściutka i okrągłutka jak kulka, niskiego wzrostu, o bardzo czerwonych policzkach, ulokowała się obok Ariny Prochorowny. Była jeszcze prawie w podróżnym stroju, trzymała w ręku jakiś zwitek papierów i niecierpliwym wzrokiem przeskakiwała po zebranych. Wirgiński był tego dnia niezdrów, lecz wyszedł do gości i usiadł przy stole w głębokim fotelu. Goście z poważnymi minami siedzieli już dokoła stołu, co świadczyło o tym, że ma się odbyć posiedzenie. Wszyscy najwidoczniej czekali na coś, tymczasem zaś rozmawiali, chociaż głośno, lecz jak gdyby o sprawach mniej ważnych. Gdy wszedł Stawrogin i Wiercho-wieński, wszyscy umilkli.

Muszę jednak dla ścisłości wyjaśnić pewne rzeczy.

Sądzę, że całe to towarzystwo zeszło się tu w głębokiej nadziei usłyszenia czegoś wyjątkowo ciekawego i że uprzedzono ich o tym. Był to kwiat najjaskrawiej czerwonego liberalizmu w naszej starej mieścinie, odpowiednio dobrany przez Wirgiń-skiego na to „posiedzenie”. Niektórzy spośród nich (nieliczni wprawdzie) nigdy przedtem u Wirgińskich nie bywali. Rzecz prosta, że większość gości nie miała wyraźnego pojęcia, z jakiego powodu zostali zaproszeni. Wszyscy uważali Piotra Stiepanowicza za zagranicznego emisariusza o szerokich pełnomocnictwach. To przekonanie rozpowszechniało się i schlebiało niejednemu. Wśród tej garstki obywateli, zebranych pod pozorem imienin, znajdowali się też tacy, którym poczynione były już pewne propozycje. Wierchowienieński zdążył już skleić u nas „piątkę”, na wzór tej, którą zorganizował przedtem w Moskwie, a także, jak się potem okazało, w naszym powiecie wśród oficerów. Podobno miał także piątkę w ch-iej guberni. Ta piątka wybranych siedziała przy ogólnym stole, starając się udawać najzwyczajszych ludzi, tak że nikt nie mógłby się niczego domyślić. Byli to (już teraz nie jest to tajemnicą): Liputin, Wirgiński, kłapouchy Szygalew, brat Wirgińskiej, Lamszyn i wreszcie niejaki Tołkaczenko. Była to dziwna osobistość: człowiek czterdziestoletni, który rościł sobie pretensje do wyjątkowej znajomości naszego ludu, zwłaszcza jeśli chodzi o zbójów i oszustów; włóczył się wciąż po szynkach (wprawdzie nie tylko celem studiów), chełpił się nędznym ubraniem, butami wysmarowanymi dziegiem, przebiegłym

388

spojrzeniem i ludowym słownictwem z odpowiednimi dodatkami. Lamszyn już dawniej przyprawdzał go parokrotnie do Stiepana Trofimowicza na nasze zebrania, lecz w naszym gronie Tołkaczenko nie miał powodzenia. Bywał w mieście dość rzadko, wtedy gdy nie miał posady. Pracował zwykle na kolei. Ci działacze stworzyli piątkę w głębokim przekonaniu, iż stanowią tylko jedno kółko wśród setek i tysięcy takich samych piątek, rozrzuconych po całej Rosji i zależnych od centralnego, olbrzymiego, zakonspirowanego ośrodka, który ze swej strony połączony jest organicznie z wszecheuropejskim ruchem rewolucyjnym. Muszę przyznać niestety, że już wtedy można było wyczuć wśród nich pewne niezadowolenie. Od wiosny czekali na przyjazd Wierchowienieńskiego, zapowiedziany najpierw przez Tołkaczenkę, a potem przez Szygalewa; spodziewali się po nim rozmaitych cudów; bez słowa krytyki, na pierwsze jego wezwanie, utworzyli kółko. Gdy jednak piątka już powstała, wszyscy poczuli jakąś urazę. Myślę, że źródłem jej było zbyt pochopne stawienie się na wezwanie. Stawili się głównie przez szlachetny wstyd, aby nikt nie zarzucił im potem braku odwagi; lecz w każdym razie Wierchowienieński powinien był ocenić ich czyn i wynagrodzić go co najmniej wyjawieniem głównych tajemnic. Tymczasem Wierchowienieński ani myślał o zaspokajaniu ich słusznej ciekawości i wiele nie opowiedział; w ogóle traktował ich surowo i lekceważąco. Drażniło ich to i jeden z członków piątki, Szygalew, już podburzał innych, „aby zażądać wyjaśnień”, oczywiście jednak nie teraz, nie przy obcych.

Co do tych obcych, niech mi wolno będzie wypowiedzieć jeszcze jedno przypuszczenie. Spiskowcy z piątki prawdopodobnie podejrzewali, że wśród gości Wirgińskiego są członkowie innych, nie znanych im kółek, zorganizowanych tak samo przez Wierchowiewskiego. Ostatecznie wszyscy zebrani podejrzewali siebie nawzajem i usiłowali jeden przed drugim przybierać rozmaite pozy. Nadawało to zgromadzeniu cechy charakterystyczne, a nawet romantyczne. Na przykład jakiś major, krewny Wirgińskiego, człowiek zupełnie niewinny, nawet nie zaproszony, przyszedł sam na imieniny i już nie można go było wyprosić. Gospodarz był jednak spokojny, gdyż major „w żaden sposób nie mógłby zadenuncjować”, choć bowiem był bardzo ograniczony, chętnie włączył się

389

przez całe życie wszędzie, gdzie byli skrajni liberałowie. Nie podzielał ich opinii, lubił jednak posłuchać. Był nawet trochę skompromitowany. Tak się zdarzyło, że przez jego ręce, za czasów młodości, przeszły całe składy „Kołokoła”³ i proklamacji, a choć bałby się nawet je rozpakowywać, uznałby za podłość wymówienie się od ich rozpowszechniania, i tacy są niektórzy Rosjanie do dziś dnia. Inni goście reprezentowali albo rozgoryczoną, pełną żółci ambicję, albo szlachetny popęd pierwszej młodości. Było tam kilku nauczycieli, z których jeden - kulawy, czterdziestopięcioletni nauczyciel gimnazjalny - był człowiekiem złym i zarozumiałym, i kilku oficerów. Jeden z nich, młodzieńcy artylerzysta, który w tych dniach dopiero przyjechał ze szkoły wojskowej i nie zdążył jeszcze pozawierać znajomości, milczący chłopak, znalazł się teraz nagle u Wirgińskiego z ołówkiem w ręku. Nie uczestniczył prawie w rozmowie i co chwila coś zapisywał w swoim notesie. Wszyscy widzieli to, udawali jednak, że nie zwracają uwagi. Był tu również wałęsający się bez jakiegokolwiek zajęcia seminarzysta, ten sam, który wraz z Lamszymem podrzucił fotografie pornograficzne wędrowniej sprzedawczyni ksiąg nabożnych, rosły chłop o niedbałych, lecz nieufnych ruchach, z nieustannym szyderczym uśmiechem na twarzy, a jednocześnie z wyrazem triumfującej doskonałości, najzupełniej z siebie zadowolonej. Był też, nie wiadomo z jakiego tytułu, syn naszego burmistrza, ów zepsuty młodzian, o którym już wspominałem opisując przygodę młodzieńczej żony porucznika. Ten milczał bez przerwy. Wreszcie znalazł się tu jakiś licealista, gorący, wzburzony osiemnastoletni chłopak, który siedział ponury, z miną człowieka urażonego w godności własnej i najwidoczniej cierpiał z powodu swoich osiemnastu lat. Ten młokos stał już na czele samodzielnej grupy spiskowców, zorganizowanej w najstarszej klasie gimnazjum, co się wykryło później ku ogólnemu zdziwieniu. Nie wspominałem dotychczas o Szatowie. Siedział tu też w rogu stołu, odsunawszy do tyłu swe krzesło. Patrzył w podłogę, milczał ponuro, wymówił się od herbaty i chleba i nie wypuszczał z rąk swej czapki, jak gdyby chciał przez to podkreślić, że nie jest tu gościem, lecz przyszedł w interesie, a gdy zechce, to wstanie i wyjdzie. Opodal usadowił się Kiryłow, także milczący. Nie patrzył jednak w podłogę, lecz przeciwnie, wpatrywał się nierucho-

390

mym, zgaszonym wzrokiem w każdego mówiącego i wysłuchiwał wszystkiego bez zdziwienia i bez wzruszenia. Niektórzy z gości, co przedtem nigdy go nie widzieli, rzucali w jego stronę uważne, przelotne spojrzenia. Czy Mme Wirgińska wiedziała o istnieniu piątki? Trudno odpowiedzieć stanowczo. Myślę jednak, że wiedziała od męża. Studentka oczywiście nie należała do niczego, miała własną ideę. Chciała spędzić tu tylko parę dni, a potem wędrować dalej, po wszystkich miastach uniwersyteckich, aby „brać udział w cierpieniach biednych studentów i skłonić ich do protestu”. Wiozła ze sobą kilkaset egzemplarzy litografowanej odezwy, prawdopodobnie własnego pomysłu. Ciekawe, że sztubak zniechęcił ją od razu najokrutniej, chociaż widzieli się po raz pierwszy. I ona też poczuła do niego nienawiść. Major był jej wujaszkiem i widział ją teraz po dziesięciu latach. Gdy wchodzili Stawrogin i Wierchowiewski, była czerwona jak burak: właśnie przed chwilą nawymyślała wujaszкови z powodu jego poglądów na kwestię kobiecą.

II

Wierchowieński z niezwykłą niedbałością rozsiadł się na krześle w rogu stołu, nie witając się prawie z nikim. Wyglądał jak człowiek zły i wyniosły. Stawrogin ukłonił się uprzejmie. Choć wszyscy czekali tylko na nich, udali jednak, że prawie nie zauważyli ich wejścia.

- Chce pan herbaty? - zwróciła się gospodyni do Stawrogina ostrym głosem.

- Proszę.

- Herbaty dla Stawrogina - zawołała do siostry i zwróciła się do Wierchowieńskiego: - A pan?

- Oczywiście. Po co pytać? Proszę również o śmietankę. Dajecie zawsze taką podłą herbatę! Przecież dziś macie solenizanta!

- Co? I pan uznaje imieniny? - zaśmiała się studentka. - Przed chwilą mówiliśmy o tym.

- To już przestarzałe - mruknął licealista z drugiego końca stołu.

- Co jest przestarzałe? - momentalnie zareplikowała studentka podskakując na krześle. - Zwalczanie przesądów, nawet najniewinniejszych, nie jest przestarzałe. Wstyd, że istotnie jest to dotychczas nowością. Nie ma zresztą przesądów niewinnych. Licealista, mocno podrażniony, bronił się:

- Chciałem tylko oświadczyć, że chociaż przesady są rzeczą starą i należy je zwalczać, lecz co do imienin, to już wszyscy wiedzą, że to głupstwa, i jest to tracenie cennego czasu, który już i bez tego wszyscy tracą, można więc wysilać dowcip na lepszy użytek.

- Zbyt długo pan wywodzi - zawołała studentka. - Nie można zrozumieć.

- Sądzę, że każdy ma prawo głosu na równi z innymi, i jeżeli chcę wypowiedzieć moją opinię tak samo jak inni, to...

- Nikt panu głosu nie odbiera - przerwała mu Wirgińska. - Proszę tylko, aby pan nie rozwlekał, gdyż nikt nie może zrozumieć.

- Jednakże niech mi wolno będzie powiedzieć, że to jest dowodem braku szacunku. Jeżeli nie mogłem dokończyć mojej myśli, to nie dlatego, aby brakło mi myśli, a raczej od ich nadmiaru... - bełkotał licealista i zaplątał się ostatecznie.

- Kto nie umie mówić, niech milczy! - odcięła się studentka.

Licealista zerwał się z krzesła. Pałac się ze wstydu i bojąc się patrzeć na ludzi, zawołał:

- Chciałem tylko powiedzieć, że pani dlatego wylazła ze swoją mądrością, że wszedł pan Stawrogin! Tak!

- Myśl pana jest brudna i niemoralna i świadczy o ubóstwie pańskiej psychiki. Proszę się więcej z niczym do mnie nie zwracać - trąkotała studentka.

- Tu, zanim pan przyszedł - zwróciła się Wirgińska do Stawrogina - była mowa o prawach rodzinnych. Zwłaszcza ten oficer (wskazała na swego krewniaka-majora)... Nie będę pana nudziła starymi bredniami, dawno przebrzmiały. Lecz niech mi pan powie, skąd powstały prawa i obowiązki rodzinne jako jeden z przesądów, dotychczas żywych? To jest ciekawe. Co pan o tym myśli?

- Skąd się wzięły? - powtórzył Stawrogin.

- Tak - wyrwała się znów studentka pożerając niemal oczyma Stawrogina. - Wiemy na przykład, że przesąd o Bogu

powstał z powodu błyskawicy i grzmotu. To już zbyt znane, że ludzkość pierwotna, bojąc się pioruna, uczyniła Bogiem niewidzialnego wroga, gdyż czuła się wobec niego słaba. Skąd jednak wziął się przesąd o rodzinie? Jak mogła powstać rodzina?

- To niezupełnie to samo... - przerwała jej Wirgińska.

- Sądzę - odparł Stawrogin - że odpowiedź na to pytanie byłaby trochę nieprzyzwoita.

- Jak to? - poderwała się studentka.

Lecz w grupie nauczycieli słyhać już było chichot, któremu wtórowali z drugiego końca stołu Lamszyn i licealista. Za nimi wybuchł ochryplym śmiechem krewniak-major.

- Pan powinien pisywać farsy - odezwała się Wirgińska do Stawrogina.

Studentka zaś, głęboko oburzona, ciągnęła:

- Zbyt to brzydko o panu świadczy, panie... jak się pan tam nazywa!

- A nie wrywaj się! - huknął major. - Jesteś panną, powinna byś zachowywać się skromnie, a ty - jak byś siedziała na igle.

- Niech pan milczy i niech pan nie waży się mówić do mnie takim tonem i używać tak obrzydliwych porównań! Pierwszy raz widzę pana i nie chcę słyszeć o pokrewieństwie.

- Ależ ja jestem twoim wujaszkiem; na rękach ciebie nosiłem.

- Co mi do tego, co pan tam nosił na rękach! Nie prosiłam pana o to, to znaczy, że to panu, panie oficerze, sprawiało przyjemność. I proszę sobie zapamiętać, że pan nie ma prawa mówić do mnie po imieniu. Zabraniam raz na zawsze.

Major uderzył ręką w stół i zwrócił się do Stawrogina:

- One wszystkie takie! O nie, przepraszam! Cenię liberalizm i współczesność, lubię posłuchać mądrych rozmów, lecz uprzedzam - tylko wśród mężczyzn. Słyszeć takie rzeczy z ust kobiet, tych dzisiejszych latawic - to boli! Siedźże spokojnie! - zawołał do studentki, która wciąż zrywała się z krzesła. - Nie, ja także proszę o głos. Jestem obrażony.

- Pan przeszkadza innym, a sam nie potrafi nic powiedzieć - mówiła Wirgińska oburzona.

- Nie, będę mówił - irytował się major zwracając się do Stawrogina. - Ja liczę na pana jako na świeżego człowieka,

choć nie mam zaszczytu pana znać. Bez mężczyzn przepadłyby jak muchy. Tak myślę. Cała ich kwestia kobieca - to tylko brak oryginalności. Upewniam pana, że kwestię kobiecą wymyślili dla nich mężczyźni na własne utrapienie. Całe moje szczęście, że nie jestem żonaty. Najmniejszej różności nie ma wśród nich! Wzoru do wyszywania nie wymyślą. Nawet wzory rysują im mężczyźni. Ja ją na ręku nosiłem, potem z dziewięcioletnią smarkatą mazura tańczyłem. Dziś przyjeżdża. Naturalnie, że lecę ją wyściskać, a ona od razu mi oświadcza, że nie ma Boga. Niechby choć trochę później, ale nie, od razu! No dobrze! Wiem, że mądrzy ludzie nie wierzą w Boga, lecz to u nich z rozumu. A ty, bębnie, co możesz wiedzieć o Bogu? Student ciebie nauczył. A gdyby nauczył świece zapalać przed ołtarzem, tobyś zapalała!

- Wszystko to kłamstwo - odparła studentka pogardliwie, jak gdyby zaznaczając swą odrazę. - Pan jest złym człowiekiem i już przedtem udowodniłam całą bezsensowność pańskich opinii. Mówiłam panu, że uczono nas w katechizmie: jeżeli będziesz czcił ojca twego i matkę, będziesz długo żył i będzie ci dane bogactwo. To w przykazaniach. Jeżeli Bóg uznał za właściwe obiecywać nagrodę za

miłość, to znaczy, że wasz Bóg jest niemoralny. Takie było moje oświadczenie, a wyłożyłam je nie od razu, lecz wtedy, gdy chciał pan zmanifestować jakieś tam swoje prawa. Któż winien, że pan jest tępy i dotychczas tego nie rozumie. Panu przykro i pan się złości - oto cały sekret pańskiego pokolenia.

- Głupia - burknął major.
- To pan jest głupi.
- Możesz sobie wymyślać!

Wtem z drugiego końca stołu piskliwym głosem odezwał się Liputin:

- Przepraszam pana, Kapitonie Maksimowiczu, ale jednak sam pan mi mówił, że nie wierzy w Boga.

- Cóż z tego? Ja to co innego. Może zresztą wierzę, ale niezupełnie. Chociaż nie całkowicie wierzę, ale nie powiem nigdy, że Boga trzeba rozstrzelać. Jeszcze wtedy, gdym był huzarem, nieraz myślałem o Bogu. Wszystkim wiadomo, że huzarzy tylko piją i hulają. Może i ja piłem, lecz niech mi pan wierzy, że czasem wyskakiwał człowiek w nocy z łóżka w białiznie, klękał na podłodze i zaczynał żegnać się i bić po-

394

klony, aby Bóg zesłał wiarę. Bo już wtedy nie mogłem się uspokoić: jest Bóg czy nie ma? Cierpiałem nad tym. Rano zwykle myśli się o czym innym, wiara gdzieś odleci. W ogóle zauważyłem, że wiara w dzień jakoś się zaciera. x

- Czy będą u was karty? - odezwał się Wierchowieński ziewając szeroko.
- Ach, jak ja rozumiem pańskie pytanie! -zawołała studentka, czerwona z wściekłości na majora.
- Tracimy cenny czas na słuchanie głupich rozmów - przerwała jej Wirgińska i spojrzała z wyrzutem na męża. Studentka wyprostowała się.
- Chciałam zakomunikować zgromadzeniu o cierpieniach studentów i o ich proteście, ponieważ zaś tracimy czas na niemoralne rozmowy...
- Nie ma rzeczy moralnych i niemoralnych! - przerwał jej licealista.
- Wiedziałam o tym, panie sztubaku, wcześniej, niż pana nauczono.
- Twierdzę, że pani jest petersburskim dzieciakiem, który przyjechał tu, aby nas pouczać, a my tu sami bez pani wiemy, co trzeba. O przykazaniu: „czcij ojca swego i matkę swoją” - którego pani nie potrafiła nawet prawidłowo zacytować, i o jego niemoralności wie już cała Rosja od czasu Bielińskiego.

- Czy to się skończy kiedykolwiek? - zwróciła się Wirgińska stanowczym głosem do męża.

Jako gospodyni rumieniła się z powodu banalności rozmów, zwłaszcza gdy zauważyła, że niektórzy spośród nowych gości uśmiechają się ironicznie i ze zdziwieniem.

- Panowie - podniósł głos Wirgiński - gdyby ktokolwiek chciał zacząć mówić o czymś stosowniejszym lub miał cokolwiek do zakomunikowania, proponowałbym rozpocząć nie tracąc czasu.

Kulawy nauczyciel, który dotychczas milczał i siedział spokojnie, rzekł miękki głosem:

- Pozwoliłbym sobie rzucić jedno pytanie. Chciałbym wiedzieć: czy my tu teraz stanowimy zgromadzenie, czy też ,po prostu zbiorowisko najzwyklejszych śmiertelników, którzy przyszli z wizytą? Pytam raczej dla porządku, aby nie trwać

w nieświadomości.

Przebiegłe pytanie wywarło efekt. Wszyscy zaczęli się roz-

395

glądać, jak gdyby jeden od drugiego oczekiwał odpowiedzi. Wreszcie wszyscy, jak na komendę, skierowali wzrok ku Sta-wroginowi i Wierchowieńskiemu.

W pewnej chwili zabrała głos Mme Wirgińska:

- Proponuję przegłosować odpowiedź na pytanie: czy my stanowimy zgromadzenie?
- Przyłączam się do wniosku - odezwał się Liputin - aczkolwiek wniosek ten jest trochę nieokreślony.
- I ja się przyłączam... I ja - rozległy się głosy.
- I ja tak sędzę - zaaprobował Wirgiński. - Ustalimy przynajmniej jakiś porządek.
- Dobrze! głosujmy! - oznajmiła gospodyni. - Panie Lamszyn! Niech pan siada do fortepianu! Będzie pan mógł i stamtąd oddać głos w razie potrzeby.
- Znowu! - zawołał Lamszyn. - Już dosyć bębniłem!
- Proszę pana stanowczo. Niech pan siada do fortepianu. Czy nie chce pan być pożyteczny?
- Ależ zapewniam panią, że nikt nie podsłuchuje. To tylko pani fantazja. Zresztą okna są wysoko. Nawet gdyby ktoś podsłuchiwał, nic nie zrozumie.
- Przecież my sami nawet nie rozumiemy - odezwał się czyjś głos.
- Mówię panu, że należy być zawsze ostrożnym. To na wypadek, gdyby podeszli szpicle - wyjaśniła Wierchowieńskiemu. - Niech wiedzą, że u nas są imieniny i muzyka.
- Do diabła! - zaklął Lamszyn, usiadł przy fortepianie i zaczął bębnić walca, uderzając w klawisze prawie pięściami.
- Proponuję, by ci, którzy chcą, aby było posiedzenie, podnieśli ręce do góry - powiedziała Mme Wirgińska.

Niektórzy podnieśli ręce, inni nie. Ten i ów nawet podniósł rękę i opuścił. Opuścił i znów podniósł.

- Do diabła! Nie zrozumiałem! - zawołał jeden z oficerów.
- I ja nie rozumiem! - mówił ktoś inny.
- A ja rozumiem! - krzyknął trzeci. - Jeżeli tak, to ręka do góry.
- Lecz co znaczy tak?
- To znaczy posiedzenie.
- Nie, nie posiedzenie.

396

- Głosowałem za posiedzeniem! - zawołał licealista zwracając się do Wirgińskiej.
- Dlaczegoż pan nie podniósł ręki?
- Patrzyłem wciąż na panią. Pani nie podniosła, więc i ja nie.
- Bardzo głupio. Sama nie podniosłam, gdyż byłam wnio-skodawczynią. Panowie, proponuję odwrotne głosowanie: kto chce posiedzenia, niech siedzi i nie podnosi ręki, a kto nie chce, niech podniesie prawą rękę do góry.
- Kto nie chce? - dopytywał się sztubak. Wirgińska zirytowała się.
- Czy pan to naumyślnie płacze? Rozległo się jednak parę innych głosów.

- Nie, niech pani wyjaśni. Kto chce, czy kto nie chce? To trzeba wyraźniej powiedzieć.
 - Kto nie chce, nie chce!
 - Dobrze - rzekł oficer - lecz co robić, jeżeli się nie chce? podnosić czy nie podnosić?
 - Ech! Nie dorośliśmy jeszcze do konstytucji! - zakon-kludował major.
 - Panie - zwrócił się kulawy nauczyciel do Lamszyna. - Niech pan nie wali tak mocno! Nic nie słyhać. Lamszyn zerwał się od fortepianu.
 - Ależ, Arino Prochorowno, przysięgam, że nikt nie podsłuchuje. Nie chcę już grać. Przyszedłem nie po to, aby bębnić.
 - Panowie!-nawoływał Wirgiński - odpowiedzcie lepiej ustnie: posiedzenie czy nie posiedzenie?
 - Posiedzenie, posiedzenie! - słyhać było ze wszystkich stron.
 - Dobrze, w takim razie nie trzeba głosować. Zgoda czy nie? może ktoś żąda głosowania?
 - Nie, nie trzeba, rozumiemy!
 - Może ktoś nie chce posiedzenia?
 - Wszyscy, wszyscy chcemy!
 - Co to znaczy posiedzenie? - odezwał się jakiś głos. Nikt mu nie odpowiedział.
 - Trzeba wybrać przewodniczącego! - zawołano z paru miejsc.
 - Gospodarz, gospodarz!
- 397

- Dobrze, jeśli tak - rozpoczął wybrany Wirgiński - to powracam do dawnej mojej propozycji: jeżeli ktokolwiek chce zabrać głos lub złożyć jakieś oświadczenie, niech uczyni to zaraz nie tracąc czasu. (

Zapanowało ogólne milczenie. Spojrzenia zebranych skierowały się znów ku Stawroginowi i Wierchowieńskiemu. Wreszcie Wirgińska zapytała wprost:

- Panie Wierchowieński, czy ma pan coś do zakomunikowania?

Wierchowieński ziewnął, przeciągnął się na krześle i odparł:

- Absolutnie nic. A zresztą - prosiłbym o kieliszek koniaku.
- A pan, panie Stawrogin?
- Dziękuję, nie piję.
- Pytam, czy pan zabierze głos, a wcale nie o koniak.
- Mówić? O czym? Nie, nie chcę.
- Dadzą panu koniaku - odpowiedziała Wirgińska do Wierchowieńskiego.
- Przyjechałam tu - zawołała zrywając się studentka (zrywała się już kilkakrotnie) - aby opowiedzieć o cierpieniach nieszczęśliwych, studentów i o powszechnym budzeniu się wśród nich protestu...

Zacięła się. Na drugim końcu stołu zjawił się rywal, który przykuł do siebie wszystkie spojrzenia. Długouchy Szygalew z ponurym, posępnym wyrazem twarzy powoli wstawał z krzesła. Melancholijnie położył przed sobą gruby kajet zapisany drobnym pismem. Stał i milczał. Niektórzy goście trwożnie patrzyli na rozmiary kajetu, lecz Liputin, Wirgiński i kulawy nauczyciel byli zadowoleni.

- Proszę o głos - ponuro odezwał się Szygalew.

- Udzielam panu głosu - natychmiast odpowiedział Wirgiński.

Mówca usiadł, milczał czas jakiś, wreszcie rzekł poważnie:

- Panowie!

- Ma pan koniak! -•- pogardliwie krzyknęła białorzęsa siostra Wirgińskiej podając Wierchowieńskiemu przyniesioną butelkę i kieliszek, w garści, bez tacy i talerzyka.

Mówca, któremu przerwano, zatrzymał się z poczuciem urażonej godności.

Wierchowieński, nalewając sobie kieliszek, zawołał:

398

- Niech pan mówi dalej, ja słucham!

- Panowie - powtórzył mówca - zwracając się do was, a nawet, jak to za chwilę zobaczycie, prosząc was o pomoc w rozwikłaniu niesłychanie ważnego zagadnienia, nie mogę się obejść bez pewnego wstępu.

Znów rozległ się głos Wierchowieńskiego:

- Arino Prochorowno! Czy pani ma nożyczki?

- Na co panu nożyczki? - zapytała zdumiona Wirgińska.

- Zapomniałem obciąć paznokcie. Już od trzech dni nie mogę się na to zdobyć.

Wypowiedział to najspokojniej, obojętnie oglądając swe długie i brudne paznokcie.

Wirgińska oburzyła się, lecz studentka była zadowolona.

- Zdaje mi się, że widziałam nożyczki tu na oknie.

Wstała i podeszła do okna, znalazła nożyczki i podała je Wierchowieńskiemu, który nawet nie spojrzał na nią, wziął nożyczki i zaczął natychmiast obcinać paznokcie. Wirgińska zrozumiała, że taki jest jego normalny sposób bycia i zawstydzila się swego poprzedniego oburzenia. Goście spoglądali na siebie w milczeniu. Kulawy nauczyciel obserwował Wierchowieńskiego zawistnie i ze złością.

Szygalew ciągnął dalej:

- Poświęciwszy energię moją studiowaniu kwestii ustroju społecznego przyszłej ludzkości, który ma zastąpić nasz ustrój, doszedłem do wniosku, iż wszyscy twórcy systematów społecznych, od najdawniejszych czasów aż do obecnego 187... roku, byli to marzyciele, fantaści, głupcy, przeczący sobie na każdym kroku, którzy nie mieli najmniejszego pojęcia o prawach przyrody i o tym dziwnym zwierzęciu, które nazywa się człowiekiem. Platon, Rousseau, Fourier, kolumny aluminiowe,⁴ to wszystko dobre dla wróbli, lecz nie dla ludzkiej społeczności. Ponieważ jednak przyszła forma ustroju niezbędna jest teraz właśnie, gdy wreszcie zaczynamy działać, żeby nie tracić czasu na dociekania, proponuję mój własny system urządzenia świata. Jest on opisany tu! - stuknął palcem w kajet.- Chciałem wyłożyć zgromadzonym treść mojej książki jak najkrócej. Widzę jednak, że przeciwnie, trzeba będzie raczej dodać wiele ustnych wyjaśnień. Dlatego też mój wykład zajmie przynajmniej dziesięć wieczorów, podług rozdziałów mojej pracy.

Tu i ówdzie rozległ się śmiech.

399

- Muszę też od razu uprzedzić, iż system mój nie jest jeszcze opracowany do końca. Znów słychać było śmiechy.

- Zaplątałem się we własnych wywodach i konkluzja moja pozostaje w całkowitej sprzeczności z pierwotną ideą, która jest u mnie punktem wyjścia. Zaczynam od nieograniczonej wolności, lecz kończę na nieograniczonym despotyzmie. Muszę jednak zaznaczyć, że innego rozstrzygnięcia zagadnień społecznych nie ma i być nie może.

Śmiech rozbrzmiewał coraz głośniejszy. Śmiała się młodzież i mniej wtajemniczeni goście. Na twarzy Wirgińskiej, Liputina i kulawego nauczyciela widać było pewien zawód. Jeden z oficerów ostrożnie zapytał:

- Jeżeli pan nie potrafił sklecić swego systematu i wpadł w rozpacz, cóż my możemy na to poradzić!

- Ma pan rację, panie oficerze - ostro zwrócił się do niego Szygalew. - Najtrafniej użył pan słowa „rozpacz”. Tak, wpadłem w rozpacz. A jednak tego, co jest wyłożone w mojej książce, nie da się niczym zastąpić. Innego wyjścia nie ma. Tu nikt nic nie wymyśli. I dlatego proszę zgromadzonych, aby wysłuchawszy w ciągu dziesięciu wieczorów mego referatu, nie tracąc czasu wypowiedzieli swoją opinię. Jeżeli zgromadzeni nie chcą słuchać, rozstańmy się od razu. Mężczyźni! - do urzędów; kobiety - do kuchni. Jeżeli bowiem odrzucicie moją książkę, nie znajdziecie innego wyjścia. Absolutnie żad-go! Tracąc czas, szkodzicie tylko sobie, gdyż potem nieodwołalnie wrócić do moich założeń.

Wśród zebranych zaczął się ruch. Rozległy się szepty: „Czy on zwariował?”

- Więc cała kwestia - powiedział Lamszyn - sprowadza się do rozpaczyny Szygalewa, i mamy rozwiązać zagadnienie: czy powinien on trwać w tej rozpaczynie?

- Rozpacz Szygalewa jest jego sprawą osobistą - stwierdził licealista.

- Proponuję przegłosować - zawołał wesoło oficer - czy rozpacz Szygalewa ma związek ze wspólną sprawą. W ten sposób rozstrzygniemy, czy mamy go wysłuchać.

Wmieszał się jednak kulawy nauczyciel. Gdy mówił, błąkał mu się po twarzy jakiś ironiczny uśmiech i trudno było określić, czy mówi poważnie, czy żartuje.

400

- Nie o to chodzi, panowie. Pan Szygalew jest zbyt poważnie oddany swoim zagadnieniom, a przy tym jest zbyt skromny. Znam treść jego książki. Dochodzi on do ostatecznego wniosku, iż ludzkość musi być podzielona na dwie nierówne części. Dziesiąta część otrzymuje wolność osobistą i nieograniczoną władzę nad pozostałymi dziewięcioma dziesiątymi. Tamci zaś zatracają osobowość, stają się stadem i bezgraniczne posłuszeństwo doprowadza ich w drodze przekształceń do niewinności pierwotnej, do jakiegoś raju przedhistorycznego, w którym jednak będą musieli pracować. Środki, które proponuje autor w celu odebrania woli większości i przerobienia jej w stado za pomocą odpowiedniego kształcenia szeregu pokoleń, są bardzo interesujące i logiczne. Opierają się na danych przyrodniczych. Można odrzucić niektóre wywody, trudno jednak odmówić autorowi rozumu i wiedzy. Szkoda, iż warunek poświęcenia dziesięciu wieczorów nie odpowiada możliwościom realnym, gdyż moglibyśmy się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy.

- Czy pan mówi poważnie? - dość trwożnie zwróciła się Mme Wirgińska do przedmówcy. - Przecież ten człowiek, o ile to prawda, chce skazać na niewolnictwo dziewięć dziesiątych ludzkości. Dawno podejrzewałam go o coś podobnego!

- Pani to mówi o swoim braciszku? - dopytywał się kulawy nauczyciel.

- Pokrewieństwo? Pan chyba kpi ze mnie.

Studentka nie mogła wytrzymać i zawołała zapamiętane:

- Pracować dla arystokratów i korzyć się przed nimi jak przed bogami - to podłość!

- To, co ja proponuję - oponował Szygalew zdecydowanym głosem - nie jest podłością, lecz rajem. Rajem na ziemi. Innego rozwiązania nie ma.

- Ja bym zaś - zawołał Lamszyn - wziął te dziewięć dziesiątych ludzkości i zamiast urządzania im

raju, skoro już nie wiadomo, co z nimi zrobić, wysadziłbym ich w powietrze. Zostawiłbym tylko garstkę ludzi światłych, którzy rozpoczęliby żywot uczony.

- Tak mówić może tylko kpiarz! - wybuchła studentka.

- On jest kpiarzem, lecz może być pożyteczny - szepnęła jej na ucho Mme Wirgińska.

Lecz Szygalew zwrócił się do Lamszyna:

401

- Tak, może byłoby to właśnie najlepszym rozwiązaniem. Pan sam nie wie, jak głęboką rzecz pan bezwiednie powiedział, panie wesołku. Ale ponieważ pański pomysł jest praktycznie niewykonalny, musimy poprzestać na tym, co tu nazwano rajem na ziemi.

- Co za bzdury! - odezwał się Wierchowieński jak gdyby mimo woli. Nie przerywał jednak swego zajęcia i dalej w skupieniu obcinał paznokcie.

- Dlaczego „bzdury”? - zapytał nauczyciel, który czekał widocznie, aż Wierchowieński się odezwie, aby rozpocząć z nim walkę. - Skąd „bzdury”? Szygalew to fanatyk, tak. Lecz nie zapominajmy, że u Fouriera, u Cabeta, nawet u Proudhona5 można znaleźć mnóstwo najbardziej despotycznych i najbardziej fantastycznych rozstrzygnięć. Myślę nawet, że Szygalew rozstrzyga kwestie trzeźwiej od nich. Zapewniam pana, że po przeczytaniu jego pracy trudno nie zgodzić się z wieloma jego wnioskami. Szygalew najmniej może oddalił się od realizmu i jego raj ziemski jest prawie tym prawdziwym rajem, którego utratę oplakuje ludzkość, o ile tamten w ogóle kiedykolwiek istniał.

- Tak i wiedziałem, że mi się dostanie - bąknął Wierchowieński.

Nauczyciel mówił coraz gwałtowniej:

- Przepraszam pana. Rozmowy i dyskusje nad przyszłym ustrojem społecznym są najistotniejszą potrzebą wszystkich myślących ludzi. Hercen całe życie temu poświęcił. Bieliński, wiem na pewno, spędzał długie wieczory z przyjaciółmi, omawiając i przewidując najdrobniejsze, powiedziałbym, domowe, szczegóły przyszłego ustroju.

- Niektórzy nawet wariowali - wtrącił się major.

- Można przynajmniej dogadać się czegośkolwiek, zamiast siedzieć w milczeniu z miną dyktatorów - syknął Liputin, który zdecydował się wreszcie przejść do ofensywy.

Wierchowieński bronił się niedbale:

- Nie o Szygalewie mówiłem, że bzdury. Widzicie, panowie, ja myślę, że wszystkie te książki, Fourier, Cabet, te wszystkie „prawa do pracy”, szygalewszczyzna - to jakieś powieści. Można napisać takich sto tysięcy. Estetyczne spędzanie czasu. Rozumiem dobrze, że nudzicie się w tej mieścinie i rzucacie się na zapisany papier.

402

Kulawy nauczyciel niespokojnie zaczął się wiercić na krześle. .

- Pan pozwoli. Może pachnie od nas prowincją i zasługujemy na współczucie, wiemy jednak, że na świecie nie zaszło tymczasem nic takiego, czego myśmy przez niedopatrznie nie znali. Tu proponują nam, za pomocą świstków zagranicznego wyrobu, abyśmy zwarli szeregi, potworzyli kółka, jedynie w celu powszechnego niszczenia, jedynie w imię zasady, że można świat leczyć, jak się chce, lecz i tak się go nie wyleczy. Proponują nam radykalnie ściąć sto milionów głów, tym sposobem ulżyć sobie - i przeskoczyć przez rów. Niewątpliwie, cudowna myśl. Sądziłbym jednak, że jest ona tak samo nierealna jak szygalewszczyzna, o której pan przed chwilą tak złośliwie się wyraził.

- Przyjechałem tu nie dla dyskusji - od niechcenia zdradził się Wierchowieński. Zdawało się, że nie zauważył własnej nieostrożności. Przysunął do siebie świecę, aby lepiej go widziano.

- Ach, jaka szkoda, że pan przyjechał nie dla dyskusji, i jaka szkoda, że pan jest obecnie zajęty toaletą.

- Co panu szkodzi moja toaleta?

- Tak samo trudno dać sobie radę ze stu milionami głów jak przebudować świat za pomocą propagandy. Może nawet trudniej, zwłaszcza w Rosji - próbował oponować Liputin.

- A wszyscy oglądają się teraz na Rosję-odezwał się oficer.

- Słyszeliśmy o tym - dodał kulawy nauczyciel - że wszędzie oglądają się na nas. Ku naszej pięknej ojczyźnie zwrócony jest tajemniczy palec wskazujący, jako ku krajowi najbardziej nadającemu się do realizacji wielkich zamierzeń. Lecz o jednej rzeczy muszę pamiętać: w razie stopniowego rozwiązywania zagadnień za pomocą propagandy zyskuję na tym osobiście - przynajmniej nagać się do syta, a może nawet z czasem otrzymam jakieś odznaczenie za przysłużenie się sprawie społecznej. W drugim zaś wypadku, przy rozstrzygnięciu za pomocą stu milionów głów - jakąż nagrodą spadnie na mnie? Zacznę uprawiać propagandę - i raptem utną mi język.

- Panu na pewno utną - potwierdził Wierchowieński.

- Widzi pan. Niech pan też uwzględni, że w najlepszym razie taka rzeź nie skończy się wcześniej jak za pięćdziesiąt,

403

niechby nawet za trzydzieści lat. Przecież i tamci nie są baranami i tak spokojnie nie dadzą się wyrzynać. Czyż nie lepiej w takim razie, zebrawszy cały swój dobytek, przenieść się za spokojne morza na spokojne wyspy i tam spokojnie zamknąć oczy? Niech mi pan wierzy!-tu mówca znacząco zaczął uderzać palcem w stół. - Niech mi pan wierzy, że tego rodzaju propagandą wywoła pan tylko emigrację, nic więcej.

Skończył zadowolony z siebie. Uchodził w naszej guberni za tęgą głowę. Liputin uśmiechał się zjadliwie, Wirgiński słuchał ponuro. Wszyscy zaś inni, zwłaszcza panie i oficerowie, z nadzwyczajną uwagą przysłuchiwali się dyskusji. Rozumiano, iż propagator idei „stu milionów głów” przyparty został do muru, i oczekiwano, co z tego wyniknie.

- Wcale nieźle pan to powiedział - rzekł Wierchowieński jeszcze obojętniej, z wyraźną nudą w głosie. - Emigracja to niezła rzecz. Jeżeli jednak, pomimo tak wyraźnych niewygód, przewidywanych przez pana, zgłasza się z dnia na dzień coraz więcej bojowników, to obejdziemy się jakoś bez pana. Tu, mój panie, idzie nowa religia zamiast starej i dlatego zgłasza się tak dużo żołnierzy. To wielka sprawa. Niech pan sobie emigruje! Radzę panu jechać do Drezna, a nie na żadne spokojne wyspy. Przede wszystkim jest to miasto, które nie zna żadnych epidemii, pan zaś, jako człowiek inteligentny, na pewno boi się śmierci. Po drugie - bliżej granicy rosyjskiej, łatwiej więc otrzymywać pieniądze z kochanej ojczyzny; po trzecie - to tak zwany skarbiec sztuki, pan zaś jest człowiekiem estetycznie wyrobionym, jako były nauczyciel literatury czy czegoś podobnego; po czwarte - Drezno ma własną Szwajcarię w kieszonkowym wydaniu; to już dla natchnień poetyckich, nie wątpię bowiem, że pisuje pan wierszyki. Powiadam panu, to skarb w tabakierce.

Wśród zebranych nastąpiło ożywienie. Najwięcej zaniepokoił się oficerowie. Jeszcze chwila, a zaczęliby mówić wszyscy naraz. Lecz kulawy nauczyciel w zdenerwowaniu dał się złapać na wędkę.

- O nie! Może bym od sprawy wspólnej nie uciekł. Trzeba to rozumieć, łaskawy panie!

- Jak to? - zawołał Wierchowieński kładąc nożyczki na stole. - Czyżby pan wstąpił do piątki,

gdybym to panu zaproponował?

404

Wszyscy drgnęli. Tajemniczy człowiek zdradził się przedwcześnie. Wypowiedział nawet słowo „piątka”.

- Każdy z nas jest uczciwym człowiekiem i nie uchyli się od wspólnej sprawy, ale...

- Nie, tu już nie może być żadnego „ale” - przerwał mu Wierchowieński głosem stanowczym i rozkazującym. - Oznajmiam, panowie, że żądam wyraźnej wypowiedzi. Rozumiem dobrze, że przybywszy tu i zebrawszy was wszystkich razem mam obowiązek udzielić wam pewnych wyjaśnień. (Znowu nieoczekiwane zdemaskowanie się.) Nie mogę jednak udzielić żadnych, dopóki nie wiem, co wy myślicie. Dostyc tej gadaniny. Czyż mamy znowu paplać przez trzydzieści lat, jak już paplano przed nami? Pytam was: co wolicie, czy drogę powolną, polegającą na płodzeniu powieści obyczajowych i na papierkowym tworzeniu przepisów dla przyszłej ludzkości na tysiąc lat naprzód, podczas gdy despotyzm będzie tymczasem połykał pieczone gołąbki, lecące wam samym do ust, których wy jednak nie umiecie chwycić? Czy też wolicie szybszą decyzję, niezależnie od tego, na czym ona polega, lecz która wreszcie rozwiąże ludzkości ręce i da jej możliwość swobodnie urządzić się pod względem społecznym nie na papierze, lecz w życiu? Krzyczą tu o „stu milionach głów”! Może to tylko przenośnia, lecz niechby nawet tak było. Toć despotyzm w ciągu stulecia pożera nie sto, a pięćset milionów głów! Zapamiętajcie, iż człowiek nieuleczalnie chory nie wyleczy się pomimo wszystko, chociażbyście nie wiadomo jakie recepty wypisywali na papierze. Przeciwnie, gdy z nim się cackać zbyt długo, zacznie gnicić i zarazi was samych, zgangrenuje wszystkie świeże siły, te same siły, w których cała nasza nadzieja. Wreszcie wszyscy zginiemy. Zgadzam się z wami, że to bardzo przyjemnie tak liberalnie i pięknie rozprawiać, ale działać znacznie trudniej i straszniej .. A zresztą nie jestem mówcą. Przywiozłem tu pewne komunikaty i proszę szanowne zgromadzenie, aby bez żadnego głosowania oświadczyło mi wyraźnie i otwarcie: co się wam bardziej podoba - czy brnąć przez błoto żółtym krokiem, czy przemknąć przez nie całą parą?

- Wolę pełną parą! - wołał zachwycony licealista.

- Ja także - odezwał się Lamszyn.

- Czy mogą tu istnieć wątpliwości? - dorzucił jeden z oficerów, za nim drugi, potem ktoś jeszcze.

405

Wszystkich zafrapowało, że Wierchowieński przywiózł jakieś komunikaty i że obiecał mówić. W tej chwili Wierchowieński rozejrzał się po zebranych i zapytał:

- Widzę, panowie, że wszyscy rozstrzygają sprawę w duchu naszych proklamacji.

- Wszyscy, wszyscy - rozległy się głosy.

- Przyznam się, iż jestem zwolennikiem bardziej humanitarnego sposobu - oświadczył major. - Skoro jednak wszyscy uważają inaczej, to i ja ze wszystkimi.

Wierchowieński zwrócił się jeszcze do kulawego:

- Więc i pan w rezultacie nie oponuje? Zapytany zaczerwienił się.

- Ja niezupełnie... i jeżeli teraz zgadzam się ze wszystkimi, to dlatego, aby nie wprowadzać zamieszania.

- Wy wszyscy tak! Gotowi jesteście pół roku dyskutować w imię liberalnego krasomówstwa, a potem głosujecie jak inni. Panowie, zastanówcie się jednak, czy wszyscy jesteście gotowi.

(Do czego gotowi?-pytanie niewyraźne, lecz ogromnie frapujące.)

- Wszyscy... - rozległy się głosy. A jednak każdy oglądał się na sąsiadów.

- Może potem będziecie się na mnie oburzali, żeście zgodzili się tak łatwo? To często bywa.

Słowa te wywołały poruszenie. Reagowano na nie najroz-maiej. Kulawy rzucił się na Wierchowieńskiego:

- Musi pan pamiętać, że na takie pytania nie zawsze się odpowiada. Nawet po naszej decyzji... pytanie skierowane do nas w tak dziwny sposób...

- W jaki to „dziwny sposób”?

- W ten sposób nie wolno rzucać pytań.

- Niechże pan mnie pouczy, jak należy pytać. A wie pan, byiem przekonany, że pan obrazi się pierwszy.

- Pan wydusił z nas zgodę na natychmiastową akcję. Kto jednak pana do tego upoważnił? Kto panu udzielił pełnomocnictw?

- Czemu pan nie pomyślał, by zawczasu o to zapytać? Po cóż pan odpowiadał? Pan się szybko zgodził i natychmiast się opamiętał.

- Ja zaś sądzę, iż lekkomyślna szczerłość głównego pańskiego pytania budzi pewne podejrzenia. Można przypuścić, iż

406

pan nie posiada ani pełnomocnictw, ani żadnych uprawnień, a dopytywał się pan przez prostą ciekawość.

Na twarzy Wierchowieńskiego odbiło się coś w rodzaju zaniepokojenia.

- O czym pan mówi? - zawołał. - O co panu chodzi?

- Chodzi mi o to - odparł kulawy - iż wszelkie wciąganie ludzi do konspiracji odbywa się zwykle w cztery oczy, nie zaś w towarzystwie złożonym z dwudziestu nieznanym osobom. - Wypowiedział wszystko, co myślał. Był strasznie zirytowany. Wierchowieński natychmiast zwrócił się do zebranych, udając niepokój:

- Panowie! Muszę oznajmić, że to są głupstwa. Rozmowa nasza posunęła się zbyt daleko. Nikogo nie wciągałem do konspiracji i nikt nie ma prawa pomawiać mnie o to. Po prostu mówiliśmy o przekonaniach. Prawda? Bądź co bądź - zwrócił się znów do kulawego - niepokoi mnie pan bardzo. Nie przypuszczałem nigdy, że tu o tak naiwnych rzeczach trzeba mówić w cztery oczy. Pan boi się denuncjacji? Czyż pośród nas mógłby się znaleźć denuncjator?

Wszyscy zebrani zaniepokoiłi się. Z różnych stron rozległy się głosy.

Wierchowieński mówił dalej:

- Panowie, gdyby tak było, to narażalem przede wszystkim siebie. Muszę więc prosić was o odpowiedź na jedno pytanie. Może zechcecie odpowiedzieć. Zależy to całkowicie od was.

- Jakie pytanie? Jakie pytanie? - wołano ze wszystkich stron.

- Takie, po którym wyjaśni się ostatecznie, czy mamy pozostawać razem, czy weźmiemy w milczeniu czapki i rozejdziemy się każdy w swoją stronę.

- Prosimy, prosimy o pytanie!

- Gdyby ktoś z was wiedział o zamierzonym zabójstwie politycznym, to czy poszedłby zadenuncjować, przewidując, jakie to by miało następstwa, czy też siedziałby w domu, pozostawiając rzeczy ich własnemu biegowi? Tu mogą być rozmaite punkty widzenia. Odpowiedź wasza wyjaśni całkowicie, czy mamy się rozstać, czy też pozostajemy razem - nie tylko

dzisiejszego wieczora. Pozwoli pan - zwrócił się znowu do kulawego - że poproszę pana pierwszego o odpowiedź.

407

- Dlaczego mnie pierwszego?

- Bo pan wszczął tę całą awanturę. Niech pan będzie łaskaw nie uchylać się od odpowiedzi. Wykręty tu nie pomogą. A zresztą, jak pan chce.

- Przepraszam! Pytanie pańskie jest obraźliwe.

- Czy nie mógłbym prosić o ściślejszą odpowiedź? Kulawy wykrzywił całą twarz.

- Nigdy nie byłem agentem tajnej policji, mój panie.

- Proszę pana ściślej. Niech pan nas nie zatrzymuje.

Kulawy był tak zirytowany, że przestał już odpowiadać. Milcząc utkwiał spoza okularów wściekły wzrok w dręczycielu.

- Tak czy nie? Zadenuncjuje pan czy nie? - krzyknął Wierchowieński.

- Rozumie się, że nie! - odkrzyknął jeszcze głośniejsze kulawy.

Rozległy się liczne głosy.

- Nikt nie zadenuncjuje. Rzecz prosta, że nikt. Wierchowieński zwrócił się teraz do majora:

- A pan, panie majorze, zadenuncjowałby czy nie? Rozmyślnie zwracam się do pana.

- Nie.

- A gdyby pan wiedział, że ktoś chce zabić i obrabować zwykłego śmiertelnika, przecież pan nie milczałby wtedy!

- To jasne. Lecz tu zwykły kryminal, a tam sprawa polityczna. Nie byłem agentem tajnej policji, mój panie!

- I nikt tu nie był - wołano z różnych stron. - Zbyteczne badania. Wszyscy odpowiedzą to samo. Nie ma tu denuncjatorów.

- Dlaczego ten człowiek wstaje? - zawołała studentka.

- To Szatow - odezwała się Wirgińska. - Dlaczego pan wstaje?

Szatow istotnie wstał. Trzymał w ręku czapkę i wpatrywał się w Wierchowieńskiego. Zdawało się, że chce mu coś powiedzieć, wahał się jednak. Miał twarz bladą i złą. Zapanował nad sobą, nie wymówił ani słowa i w milczeniu wyszedł z pokoju.

Wierchowieński krzyknął za nim zagadkowo:

- Szatow! To bardzo niekorzystne dla pana. Szatow, stojąc już na progu, zawołał:

408

- Korzystne za to dla ciebie, szpiclu i nikczemniku! Wyszedł. Znowu rozległy się okrzyki.

- Oto próba! - zawołał ktoś.

- Przydała się! - mówił inny.

- Czy nie za późno? - odezwał się ktoś trzeci. Sypały się pytania.

- Kto go zaprosił? Kto go wpuścił? Kto to taki? Zadenuncjuje czy nie? Ktoś zauważył:

- Gdyby był szpiclem, toby się przyczaił. On zaś plunął i wyszedł.

Znowu rozległ się głos studentki:

- Stawrogin także wstaje. On także nie odpowiedział na pytanie.

Stawrogin rzeczywiście wstał, a za nim, z drugiego końca stołu, ruszył Kiriłow.

Wirgińska ostro wpadła na Stawrogina:

- Przepraszam pana! Myśmy tu wszyscy odpowiedzieli na pytanie, pan zaś wychodzi bez odpowiedzi.

- Nie widzę potrzeby odpowiadać na pytanie, które tak panią obchodzi - burknął niechętnie Stawrogin.

- Skompromitowaliśmy się, a pan nie! - krzyczało kilka osób.

- A cóż to mnie obchodzi, żeście się skompromitowali? Odpowiadał z uśmiechem, lecz oczy mu się iskrzyły.

- Jak to „co to pana obchodzi”? Co to znaczy? - wołano coraz głośniej.

Niektórzy pozrywali się z miejsc. Wtem krzyknął kulawy nauczyciel:

- Panowie! Przepraszam! Pan Wierchowieński także nie odpowiedział na pytanie, a tylko innych badał.

Uwaga ta wywołała niesłychane wrażenie. Wszyscy zaczęli się rozglądać. Stawrogin głośno zaśmiał się do kulawego i wyszedł. Za nim podążył Kiryłow. Wierchowieński wyskoczył za nimi do przedpokoju.

- Co pan ze mną wyprawia? - bełkotał chwyciwszy Stawrogina za rękę i mocno ją ściskając. Stawrogin milcząc wyrwał rękę.

- Niech pan będzie zaraz u Kiryłowa. Przyjdę tam... To jest niezbędne.

IN Dostojewski, t III 409

- Dla mnie nie! - odciął Stawrogin.

- Stawrogin przyjdzie! - kończył Kiryłow. - Stawrogin, to i dla pana jest niezbędne. Tam, na miejscu, pan zobaczy. Wyszli.

ROZDZIAŁ ÓSMY

IWAN CAREWICZ

I

Wyszli. Wierchowieński wrócił do zebranych, aby uśmierzyć wzburzenie. Musiał jednak dojść do wniosku, że nie warto tracić na to czasu, bo dał spokój i w parę minut potem biegł już ulicą, dopędzając Stawrogina i Kiryłowa. Przypomniawszy sobie boczną uliczkę, którą było bliżej do domu Filippowa. Brnął nią, grzęznąc w błocie po kolana, i udało mu się zdążyć, kiedy tamci wchodzili do bramy.

- Pan już tu? - odezwał się Kiryłow. - To dobrze. Niech pan wchodzi.

Stawrogin, idąc korytarzem, zauważył kipiący już samowar i zapytał:

- Przecież pan nam mówił, że mieszka sam?

- Zaraz pan zobaczy, z kim mieszkam - odburknął Kiryłow. - Proszę wejść.

Ledwo zdążyli wejść do pokoju, gdy Wierchowieński wyjął z kieszeni list anonimowy, zabrany od Lembkego, i położył go przed Stawroginem.

Usiedli wszyscy trzej. Stawrogin przeczytał list.

- A więc? - zapytał.

- Ten nikczemnik zrobi wszystko, tak jak napisał - wyjaśniał Wierchowieński. - Pana on słucha.

Niech pan go pouczy. Zapewniam pana, że gotów jest pójść jutro do Lembkego.

- Niech sobie idzie!
 - Jak to? Przecież można tego uniknąć.
 - Myli się pan. On nie jest zależny ode mnie. A zresztą
- 411

nie mnie to nie obchodzi. Niczym mi to nie grozi. Grozi tylko „panu.

- Panu także.
- Nie sądzę.
- Inni nie oszczędzą pana. Czyż pan tego nie rozumie? Stawrogin! To tylko słowa! Może pan żałuje pieniędzy?
- Czyżby potrzebne były pieniądze?
- Koniecznie. Dwa tysiące. Minimum tysiąc pięćset. Niech pan mi da tę sumę jutro lub nawet dziś, a jutro wyprawię go do Petersburga. O nic innego mu nie chodzi. Jeżeli pan zechce, wyprawię z nim razem Marię Timofiejewną; niech pan się nad tym zastanowi.

Był zmieszany, mówił nieostrożnie, rzucał słowa nieogłędnie. Stawrogin przyglądał mu się ze zdumieniem.

- Nie mam potrzeby wyprawiać Marii Timofiejewny.
- Może pan nawet nie chce - ironicznie uśmiechnął się Wierchowieński.
- Może nawet nie chcę.

Wierchowieński zniecierpliwiony, zły, zawołał stanowczym głosem:

- Słowem, będą pieniądze czy nie?
 - Nie będzie pieniędzy - odparł Stawrogin poważnie.
 - Ech, Stawrogin. Pan coś wie, a może już pan coś zrobił! Pan się bawi!
- Twarz mu się wykrzywiła, wargi drżały. Wtem roześmiał się nie wiadomo dlaczego, jakoś bezsensownie.

Stawrogin spokojnie wyjaśniał:

- Pan otrzymał pieniądze od swego ojca za majątek. Matka moja dała panu za Stiepana Trofimowicza sześć czy osiem tysięcy. Niech więc pan płaci te półtora tysiąca z własnej kieszeni. Mam już dość tego płacenia za innych. Rozdałem zbyt dużo. To dla mnie krzywda...

Ubawiły go samego te słowa.

- Ach, pan raczy żartować...

Stawrogin wstał. W tej chwili zerwał się Wierchowieński i stanął plecami do drzwi, jak gdyby zagradzając drogę. Stawrogin zrobił ruch, aby go odsunąć i wyjść, lecz zatrzymał się na chwilę.

- Nie ustąpię panu Szatowa! - powiedział. Wierchowieński drgnął. Wpatrywali się w siebie. Oczy Stawrogina zaiskrzyły się.

412

- Już mówiłem panu, do czego potrzebna jest krew Sza-towa. Ma ona scementować pańskie kółka. Przed chwilą wypędził pan Szatowa bardzo sprytnie. Pan wiedział dobrze, iż słowa „nie zadenuncjuję” nie przejdą mu przez gardło, a kłamać przed panem nie chciał, uważałby to za podłość. Lecz na co ja jestem panu potrzebny? Jeszcze za granicą przyczepił się pan do mnie. Dotychczasowe pańskie tłumaczenia - to brednie. A wiem przecie, o co panu chodzi. Mam wręczyć półtora tysiąca Lebiadkinowi, aby dać Fiedce powód do zarżnięcia go. Do tego pan dąży. Pan sądzi, że zależy mi na tym, aby jednocześnie zarżnięta została moja żona. Wpłatawszy mnie w zbrodnię, pan zamierza uzyskać władzę nade mną. Lecz po co panu ta władza? Jaką będzie pan

miął z tego korzyść? Niech pan mi wreszcie powie, czy jestem pańskim człowiekiem, i niech mi pan da święty spokój.

- Czy Fiedka sam przychodził do pana? - wyszeptał Wierchowieński. Brakło mu tchu.

- Owszem, sam. Jego cena - taka sama. Półtora tysiąca. Zresztą niech sam zaświadczy. Oto on.

Stawrogin wyciągnął rękę w kierunku drzwi. Wierchowieński obejrzał się. Na progu wylaniała się z ciemności jakaś postać. Był to Fiedka, w kożusku, lecz bez czapki. Widać było, że czuje się tu jak u siebie w domu. Stał i uśmiechał się szczerząc swe równe, białe zęby. Czarne oczy o żółtawym odcieniu błędziły ostrożnie po pokoju, obserwując obecnych. Nie rozumiał czegoś. Pytające spojrzenie skierował do Kiryłowa, który go tu przed chwilą wprowadził.

Fiedka stał na progu, lecz bał się wejść do środka.

- Sprowadził go pan, aby mógł słyszeć nasz targ, a może nawet zobaczyć pieniądze, prawda? - zapytał Stawrogin i wyszedł nie czekając na odpowiedź.

Wierchowieński, niebawem podniecony, dopędził go przy bramie.

- Stój! Ani kroku dalej! - krzyknął chwytając Stawrogina za łokieć.

Stawrogin szarpnął, lecz nie udało mu się oswobodzić ręki. Ogarnęła go wściekłość. Lewą ręką chwycił Wierchowieńskiego za włosy, cisnął nim z całej siły o ziemię i wyszedł na ulicę. Nie zdążył jednak ująć trzydziestu kroków, gdy tamten dopadł go znów.

413

- Pogódźmy się, pogódźmy się - szeptał drżącym głosem. Stawrogin wzruszył ramionami, lecz nie zatrzymał się i nie odwrócił.

- Niech pan posłucha! Ja panu jutro przyprowadzę Liza-wietę Nikołajewnę. Chce pan? Nie? Dlaczego pan milczy? Niech pan powie, a zrobię wszystko. Niech pan posłucha, oddam panu Szatowa, dobrze?

- Więc to prawda, że pan go postanowił zamordować? - zawołał Stawrogin.

- Co panu po Szatowie? Na co on panu? - krzyczał Wierchowieński prawie bez tchu, nieprzytomnie. Wyprzedzał co chwila Stawrogina i chwycił go za łokieć, prawdopodobnie bezwiednie. - Niech pan posłucha! Oddam go panu, lecz pogódźmy się. Pana znaczenie wyrosło ponad miarę... pogódźmy się!

Stawrogin spojrzał wreszcie na niego i zdumiał się. Ani wzrok Wierchowieńskiego, ani głos nie były takie jak zawsze ani takie jak przed chwilą w pokoju. Twarz mu się zmieniła, ton głosu był dziwny: Wierchowieński błagał, modlił się. Był jak człowiek, któremu zabrano najdroższą rzecz i który nie zdążył się jeszcze opamiętać.

- Co panu jest? - zawołał Stawrogin. Tamten nie odpowiadał, lecz biegł wcięż przy nim, wpatrując mu się w oczy błagalnym, a jednak upartym wzrokiem.

- Pogódźmy się - wyszeptał znów. - Tu, za cholewą, tak samo jak Fiedka, mam nóż, lecz chcę pogodzić się z panem.

Wprowadzony ostatecznie z równowagi i pełen zdumienia Stawrogin zawołał:

- Niech mi pan wreszcie powie, do diabła, czego pan chce ode mnie? Co to za tajemnica? Jestem dla pana jakimś talizmanem czy co?

- Niech pan posłucha! - bełkotał szybko i gorączkowo Wierchowieński. - Wzniecimy bunt! Pan mi nie wierzy, że możemy to zrobić? Wzniecimy taki bunt, że wszystko poleci na łeb, na szyję. Karmazinow ma rację. Tu nie ma o co się zaczepić. Karmazinow jest mądry. Dziesięć takich kółek

jak te tutaj, i już stanę się nieuchwytny.

- Z takich samych głupców...

- O, Stawrogin! Niech pan sam będzie głupszy, sam
414

głupszy! A zresztą... Pan wcale nie jest znów tak mądry, aby panu tego życzyć... Pan boi się, pan nie wierzy, straszą pana rozmiary... Jacy tam z nich głupcy. Bynajmniej. Każdy człowiek ma dziś rozum niewłasny. Dziś umysłów oryginalnych nie ma. Wirgiński to człowiek najczystszy. Czystszy tysiąc razy niż pan i ja. Mniejsza z tym. Liputin to nicpoń, lecz znam jego słaby punkt. Każdy nicpoń ma swój słaby punkt. Może Lamszyn nie ma, lecz za to trzymam go w rękę. Jeszcze kilka takich kółek, a będę miał wszędzie paszporty i pieniądze... To już dużo, to jedno już coś znaczy. Będę miał gdzie się ukryć. Niech szukają. Wyłowią jedną piątkę, a na drugiej złamią zęby. Wzniesimy bunt... Czy pan nie wierzy, że my dwaj wystarczymy?

- Bierz pan sobie Szygalewa i zostaw mnie w spokoju!

- Szygalew to człowiek genialny. Geniusz w stylu Fouriera, lecz śmielszy, silniejszy od Fouriera! Zajmę się nim! To on wymyślił równość!

Stawrogin spojrział znów na Wierchowieńskiego. „Ma gorączkę i bredzi - przyszło mu na myśl. - Musiało tu coś być.”

Szli nie zatrzymując się.

- Tam, w jego kajecie, jest sama prawda - ciągnął dalej Wierchowieński. - Tam jest szpiegostwo. U niego każdy członek społeczeństwa pilnuje drugiego i ma obowiązek de-nuncjować go. Każdy należy do wszystkich, wszyscy do każdego. Wszyscy są niewolnikami, równymi w niewolnictwie. W wyjątkowych wypadkach - oszczerstwo i zabójstwo. Lecz zawsze równość. Zaczyna się od zniżenia poziomu wykształcenia, wiedzy, talentów. Wysoki poziom wiedzy i talentu dobry jest tylko dla uzdolnionych. Nie trzeba ludzi uzdolnionych! Bardziej uzdolnieni zawsze zdobywali władzę i byli tyranami. Nie mogli nie być tyranami. Więcej deprawowali, niż przynosili korzyści. Tam, w dziele Szygalewa, wypędza się ich i skazuje na śmierć. Cyceronowi odcina się język. Kopernikowi wykluwa się oczy. Szekspira się kamieniuje! Oto jest szygalew-szczyzna! Niewolnicy muszą być równi! Nie było nigdy ani wolności, ani równości bez despotyzmu, lecz w stadzie musi być równość. I to jest szygalewszczyzna! Cha, cha, cha! Pan się dziwi! Jestem zwolennikiem szygalewszczyzny.

Stawrogin starał się przyspieszyć kroku i jak najprędzej

415

dopaść domu. „Jeżeli jest pijany - myślał - to kiedy zdążył się upić? Czyżby tym koniakiem?”

- Niech pan posłucha, Stawrogin! Góry zrównać - to piękna myśl, wcale nie śmieszna. Jestem za Szygalewem! Nie trzeba wykształcenia, dość już wiedzy! Bez nauki wystarczy materiału na tysiące lat, trzeba jednak, aby utrwaliło się posłuszeństwo. Żądza wiedzy jest żądzą arystokratyczną. Byle rodzina, byle miłość - a już rodzi się pragnienie własności. Zabijemy to pragnienie. Puścimy w ruch pijaństwo, oszczerstwo, denuncjację! Rozplenimy niesłychaną rozpustę! Każdego geniusza zgasimy w kolebce. Wszystko pod jeden strychniec! Równość całkowita! Niedawno robotnicy angielscy powiedzieli: „Mamy rzemiosło, jesteśmy uczciwymi ludźmi, nic nam więcej nie potrzeba!” Od dziś hasłem kuli ziemskiej będzie: potrzebne jest tylko to, co niezbędne. Potrzebne są jednak i dreszcze, a o tym my pomyślimy, my, władcy! Niewolnicy muszą mieć panów! Całkowite posłuszeństwo, całkowite zabicie jednostki, lecz raz na trzydzieści lat Szygalew puszcza dreszcze, a wtedy jedni zaczynają pożerać drugich; tylko do pewnych granic, byle się tłum nie nudził; nuda jest uczuciem arystokratycznym. W szygalewszczyźnie nie będzie pragnień. Pragnienia i cierpienia dla nas; dla niewolników - szygalewszczyzna.

- Pan wyłącza siebie? - odezwał się Stawrogin.

- Siebie i pana. Pan wie, chciałem oddać świat papieżowi. Niechby wyszedł piechotą, bosi, i pokazał się tłumom: „Oto do czego mnie doprowadzono.” A tłum cały poszedłby za nim. Nawet wojsko. Papież u góry, a my obok niego, a pod nami szygalewszczyzna. Trzeba tylko, aby Internationale zgodziła się na papieża. Tak musi być. A staruszek pójdzie na to. To jedyne wyjście dla niego. Niech pan zapamięta moje słowa! Cha, cha, cha! To głupie, prawda? Powiedz pan! Głupie czy nie?

- Dość już tego - bąknął rozgniewany Stawrogin.

- Dobrze, dam spokój papieżowi. Do diabła z szygalewszczyzna! Do diabła z papieżem! Szukajmy aktualności, a szy-galewszczyzna - to sztuczka jubilerska, to ideał, który zachowamy na przyszłość. Szygalew jest jubilerem, głupim jak każdy filantrop. Tu potrzebna jest brudna robota, a Szygalew tego nie znosi. Niech pan posłucha! Papież będzie na Zachodzie, a tu, u nas - Stawrogin.

416

- Pan jest pijany, proszę mi dać spokój - bąknął Stawrogin, wciąż przyspieszając kroku.

- Stawrogin! Pan jest piękny! - zawołał Wierchowieński w upojeniu. - Pan wie o tym, że pan jest piękny? Pan czasem o tym nie pamięta - i to jest w panu najpiękniejsze. O, znam pana! Często patrzę na pana gdzieś z boku, z kąta. Czy pan wie, że w panu jest nawet jakaś naiwność i prostota? Kocham piękno! Jestem nihilistą, lecz kocham piękno. Czyż nie wolno nihilistom być czcicielami piękna? Oni tylko nie lubią idoli, lecz ja - kocham mego idola. Pan nim-jest! Nikogo pan nie krzywdzi, a wszyscy pana nienawidzą; nie wywyższa się pan ponad nikogo, lecz wszyscy drżą przed panem. Tak być musi! Nikt się nie poważy poklepać pana po ramieniu! Pan jest wielkim arystokratą. Arystokrata, który idzie do demokracji, jest zawsze czarujący. Pan nie zawaha się nigdy poświęcić życia, własnego czy cudzego. Jest pan takim, jakiego potrzeba. Potrzeba dla mnie, dla mnie! Nie znam nikogo poza panem! Pan jest wodzem, słońcem - a ja... jak robak u pańskich stóp.

Pocałował go w rękę. Stawrogin poczuł, że chłód przeszył mu plecy. W przerażeniu wyrwał dłoń. Zatrzymał się i szepnął:

- Wariat!

- Może ja bredzę! - natychmiast podchwycił Wierchowieński. - Może bredzę! Lecz ja wymyśliłem pierwszy krok. Szygalew by nie potrafił. Nigdy Szygalew nie wymyślił pierwszego kroku. Dużo jest Szygalewów! Lecz tylko jeden człowiek w całej Rosji wymyślił pierwszy krok i wie, jak to zrobić. Ja jestem tym człowiekiem. Dlaczego pan się we mnie wpatruje? Pan mi jest potrzebny, bez pana jestem zerem. Bez pana jestem muchą, jestem ideą w retorcji, Kolumbem bez Ameryki.²

Stawrogin stał i ze zdumieniem patrzył w obłąkane oczy Wierchowieńskiego, który mówił bez przerwy, raz po raz chwytając towarzysza za lewy rękaw.

- Niech pan posłucha! Przede wszystkim będziemy szerzyć zamęt. Już panu mówiłem. Przenikniemy w lud. Czy pan wie, że już nawet teraz jesteśmy strasznie silni? Nasi ludzie - to nie tylko ci, którzy rzną i podpalają, nie tylko ci, którzy strzelają czy gryzą. Tacy wyłącznie przeszkadzają. Nie rozumiem roboty bez dyscypliny. Jestem przecie oszustem, a nie

417

socjalistą. Cha, cha, cha! Zliczyłem już ich wszystkich. Nauczyciel, który wraz z dziećmi drwi z ich Boga i z ich kołyski - jest nasz. Adwokat, który broni wykształconego zabójcy, powołując się na to, że tamten, stojąc wyżej intelektualnie od ofiary, musiał zabić, gdyż potrzebował pieniędzy - także nasz. Sztubacy, którzy zabijają chłopą, aby poznać wrażenia zabójcy - są nasi. Przysięgli, którzy uniewinniają zbrodniarzy - nasi. Prokurator, który przed sądem drży ze strachu, czy nie

spadnie nań zarzut braku liberalizmu - nasz, nasz. Administratorzy, literaci, o, naszych jest dużo, strasznie dużo, chociaż sami oni o tym nie wiedzą. A z drugiej strony posłuszeństwo sztabaków i głuptasów dosięgło zenitu. Żółć zwierzchników już się rozlewa. Wszędzie niesłychane ambicje, wilcze apetyty... Formułki już gotowe i przyjęte będą w naszym ręku potężną bronią. Gdym wyjeżdżał, grasowała tu doktryna Littrego³, że zbrodnia jest obłędem. Przyjeżdżam, a tu zbrodnia już nie jest obłędem, lecz właśnie zdrowym sensem, prawie obowiązkiem, a -w każdym razie szlachetnym protestem. „Jakże inteligentny człowiek ma nie zabijać, jeżeli potrzebuje pieniędzy?” To dopiero początki, Bóg rosyjski skapitulował przed gorzałką. Lud jest pijany, matki pijane, dzieci pijane, cerkwie puste. O, niech tylko wyrośnie jedno pokolenie! Szkoda, że już nie można dłużej czekać. Niechby się spili jeszcze więcej! Ach, czemu tu nie ma proletariatu! Lecz będzie, będzie, zmierzamy do tego.

- Szkoda też, żeśmy zgłupieli - odezwał się Stawrogin i poszedł dalej.

- Niech pan posłucha! Widziałem na własne oczy sześciolatniego bębna, który prowadził do domu pijaną matkę, a ta zasypywała go gradem plugawych słów. Pan sądzi, że to mi się podoba? Gdyby takie dziecko wpadło w nasze ręce, my byśmy je jeszcze wyleczyli. Gdyby trzeba było, wypędzilibyśmy na pustynię na czterdzieści lat. Ale to później. Teraz niezbędne są ze dwa pokolenia rozpusty. Niesłychanej rozpusty, najpodlejszej, która robi z człowieka plugawą, tchórzliwą, okrutną samolubną istotę. To jest niezbędne. I potrzeba świeżej krwi, aby się człowiek przyzwyczaił. Co pana śmieszy? Ja bynajmniej sobie nie przeczę. Przeczę filantropii i szygalewszczyźnie, nie sobie. Jestem oszustem, a nie socjalistą. Cha, cha, cha! Tak mało czasu mamy przed sobą. Obiecałem

418

Karmazinowowi zacząć na wiosnę, a skończyć na jesieni. Szybko! Cha, cha! A teraz powiem panu jedną rzecz. Lud rosyjski nie miał w sobie cynizmu, chociaż używał najcyniczniej szych słów. Ten niewolnik więcej miał godności własnej niż Karmazinow. Bito go, lecz zdołał zachować własnych bogów, a Karmazinow nie bronił swego Boga.

- Pierwszy raz słucham pana - przerwał mu Stawrogin - i słucham ze zdumieniem. Pan istotnie nie jest socjalistą, lecz człowiekiem o olbrzymiej ambicji politycznej.

- Jestem tylko łajdakiem. Chciałby pan wiedzieć, kim jestem. Dobrze, zaraz to panu wyjaśnię. Zbliżani się już do tego. Nie darmo całowałem pana w rękę. Trzeba, żeby lud uwierzył, że wiemy, o co nam chodzi, podczas gdy tamci „wymachują pałką i biją swoich”. Ach, gdybym miał więcej czasu! To całe nieszczęście, że trzeba się śpieszyć. Proklamujemy powszechne zniszczenie! Dlaczego ta idea tak nęci tłumy? Trzeba wyprostować kości. Puścimy w ruch pożary, puścimy w ruch legendy. Tu każda parszywa „grupka” może się przydać. W tych samych grupkach znajdę panu ludzi, którzy pójdą na wszystko, i jeszcze będą widzieli w tym zaszczyt dla siebie. Zacznie się zamęt, zachwieje się wszystko w posiadach, jak nigdy dotąd na świecie. Zatumani się Rosja, zapłacze ziemia do starych bogów. A wtedy... wtedy wypuścimy... wie pan kogo?

- Kogo?

- Iwana Carewicza.

- Co-o-o?

- Tak, Iwana Carewicza! Pana, pana! Stawrogin, po chwili milczenia, głęboko zdziwiony spojrzał na opętańca i zapytał:

- Samozwańca? Ach! Więc na tym polega pański plan? Wierchowieński odpowiedział cichym, prawie miłosnym szeptem. Robił istotnie wrażenie człowieka pijanego.

- Powiemy, że on się ukrywa. Czy pan rozumie, jak dużo znaczą te słowa: „On się ukrywa!” Lecz zjawi się, zjawi. Puścimy w obieg legendy lepsze niż u skopców. On jest, lecz nikt go nie widział.

Ach, jak wspaniałą legendę można rozpowszechnić! Idzie nowa siła! A ona właśnie jest potrzebna, za nią tęsknimy wszyscy! Socjalizm to pustka: obalił stare potęgi, a nie stworzył nowych. A tu siła, i to jaka! Niesłychana!

419

Na to, aby ziemię z posad poruszyć, potrzebna nam dźwignia na jeden tylko raz! Poruszy się wszystko! Stawrogin uśmiechnął się zjadliwie.

- Więc pan poważnie liczył na mnie?

- Dlaczego pan się śmieje? Dlaczego tak zgryźliwie? Niech mnie pan nie straszy. Jestem teraz jak dziecko i jeden taki uśmiech może mnie na śmierć przerazić. Ja pana nie pokażę nikomu, nikomu. Tak trzeba: on jest, lecz nikt go nie widział, on się ukrywa! A można nawet czasem pokazać, jednemu na sto tysięcy. I pójdzie wieść: „Widziano go, widziano!” Iwana Filippowicza, Boga Sabaotha także widziano, gdy na oczach ludzi wznosił się karetą ku niebu.⁴ Widziano „na własne oczy”. Lecz pan jest lepszy od Iwana Filippowicza! Jest pan piękny, dumny jak bóg, nic pan nie żąda dla siebie, jest pan w promiennej aureoli ofiarstwa} pan się ukrywa. Tu chodzi o legendę. Pan ich zwycięży. Pan spojrz i zwycięży. On niesie nową prawdę i musi się ukrywać. Wymyślimy parę wyroków salomonowych. Od tego, aby puszczać to w obieg, są kółka, piątki. Nie trzeba nam gazet. Jeżeli jednej prośbie na dziesięć tysięcy uczynimy zadość, wszyscy zasypią nas prośbami. W każdej gminie każdy chłop będzie wiedział, że jest gdzieś jakaś dziupla, do której można wrzucać prośby. Jęk pójdzie wzdłuż i wszerz: „Idzie nowa sprawiedliwość.” Morze się zakotłuje i zawali się stara buda. A wtedy już pomyślimy o tym, jak wznieść gmach murowany. My będziemy budowali! Po raz pierwszy! My, tylko my!

- To obłąd - powiedział Stawrogin.

- Dlaczego pan nie chce, dlaczego? Pan się boi? Wiedziałem, że pan się niczego nie boi, i dlatego pana wybrałem i trzymam się pana. Czy to takie niemądre? Lecz jestem przecie dotychczas Kolumbem bez Ameryki. Czy Kolumb bez Ameryki jest mądry?

Stawrogin milczał. Podeszli już do domu i stanęli przed bramą.

- Niech pan posłucha - szepnął Wierchowieński na ucho - ja zrobię to panu bez pieniędzy. Skończę jutro z Marią Timofiejewną... bez pieniędzy, i jutro przyprowadzę panu Lizę. Chce pan Lizę, już jutro?

„Czy on rzeczywiście zwariował?”-pomyślał Stawrogin

420

i uśmiechnął się. Ktoś otworzył drzwi. Wierchowieński po raz ostatni chwycił go za rękę.

- Stawrogin! Co z naszą Ameryką?

- Po co to? - poważnie i surowo zapytał Stawrogin.

- Nie chce się panu! - wołał Wierchowieński w zapamiętaniu.- Przeczuwałem to, łajdaku! Kłamie pan, rozwiąży, przegrany paniczyku! Ma pan wilczy apetyt. Niech pan zrozumie: pańskie znaczenie wyrosło ponad miarę. Nie mogę już obejść się bez pana. Na całym świecie nie znajdę takiego jak pan! Już za granicą pana wymyśliłem. Przypatrywałem się panu z boku. Gdybym nie patrzył na pana z boku, nic podobnego nie przyszłoby mi do głowy!

Stawrogin, nic już nie mówiąc, zaczął iść po schodach na górę.

- Stawrogin! - krzyczał za nim Wierchowieński. - Daję panu dzień... dwa... trzy. Więcej nie mogę. Po trzech dniach muszę mieć odpowiedź.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

REWIZJA U STIEPANA TROFIMOWICZA I

I

W tym czasie nastąpiło zdarzenie, które niezmiernie mnie zdziwiło, a poruszyło do głębi Stiepana Trofimowicza. O ósmej rano przyszła do mnie Nastasja z wiadomością, iż pana jej „opisali”. Nie mogłem na razie nic zrozumieć. Dowiedziałem się tylko, że „opisali” go urzędnicy. Przyszli i zabrali papiery. Żołnierz związał je i wywiózł na taczkach. Wiadomość była nieprawdopodobna. Pośpieszyłem natychmiast do mego przyjaciela.

„Zastałem go w dziwnym stanie. Był zdenerwowany i poruszony, jednocześnie jednak najwidoczniej triumfował. Na stole, pośrodku pokoju, kipiał samowar i stała szklanka herbaty, nie wypita, zapomniana. Stiepan Trofimowicz słał się po wszystkich kątach pokoju, nie zdając sobie sprawy ze swych ruchów. Był w zwykłym czerwonym kaftanie. Zobaczywszy mnie, włożył kamizelkę i surdut. Nie robił tego nigdy, gdy zastał go w kaftanie ktoś bliski. Gorąco uściśnął mi rękę.

- Enfin un arni!* - odetchnął pełną piersią. - Cher, posłałem tylko po pana. Nikt inny nie wie. Niech Anastasja zamknie drzwi i nie wpuszcza nikogo oprócz tamtych... Vous comprenez?***

Patrzył na mnie niespokojnie, jakby czekając na odpowiedź. Zacząłem dopytywać się i z płataniny słów, urywanych

Wreszcie przyjaciel! Rozumie pan ?

422

i niejasnych, wyłowiłem, że był u niego urzędnik z kancelarii gubernatora.

- Pardon, f aa oublie son nom. Il nest pas du pays, ale zdaje się, że przywiózł go ze sobą Lembke, quelque chose de betę et dallemand dans la physionomie. Il sappelle Rosenthal*

- Może Blum?

- Blum. Tak właśnie mi się zaprezentował. Vous le con-naissez? Quelque chose d'hebete et de tres content dans la figure, pourtant tres severe, raide et serieux. Figura policyjna, z tych najwierniejszych, je my connais. Spałem jeszcze. Wyobraź pan sobie, że poprosił mnie, abym pozwolił mu „rzucić okiem” na moje książki i rękopisy, oui, je men souviens, ii a employe ce mot. Nie aresztował mnie, lecz zabrał książki... se tenait d distance i gdy zaczął mi wyjaśniać cel tej wizyty, wyglądało tak, jak gdybym... enfin U ava.it lair de croire, que je tomberais sur lui immediatement et que je commencerais d le battre comme pldtre. Tous ces gens du bas etage sont comme (a, gdy mają do czynienia z przyzwoitym •człowiekiem. Od razu zrozumiałem wszystko. Voild vingt ans que je my prepare.** Otworzyłem mu wszystkie szuflady, oddałem mu wszystkie klucze. Dałem mu je własnoręcznie. Dałem wszystko. Jetais digne et calme. Z książek wziął zagraniczne wydanie Hercena, oprawny egzemplarz „Kołokoła”, cztery odpisy mego poematu, et enfin tout fa... Poza tym papiery i listy et quelques de mes ebauches histori-ques, critiques et politiques. Wszystko to zostało wyniesione. Na-stasja mówi, że żołnierz wiózł na taczkach i że wszystko było przykryte fartuchem. Oui, cest cela,*** fartuchem.

Myślałem, że bredzi. Kto mógł się w tym połapać! Zarzuciłem go znów pytaniami: czy Blum był sam, czy z kimś jeszcze? Z czyjego rozkazu? jak śmiał? czym to tłumaczył?

- etait seul, hien seul, a zresztą ktoś tam był jeszcze dans lantichambre, oui, je men souiñens, et puis...**** Nie, praw-

- Przepraszam, zapomniałem, jak się nazywa. Jest nietutejszy (...) jakiś głupiec, Niemiec z twarzy Nazywa się Rosenthal

-, Pan go zna? Jakiś taki ogłupiały i bardzo z siebie zadowolony, zresztą bardzo surowy i poważny. (...) znam się na tym. (...) przypominam sobie, że użył tego słowa. (...) Trzymał się z daleka (...) wydawało się, że przypuszcza, iż zaraz się na niego rzucę i zacznę go bić. Wszyscy ci ludzie z niższych sfer są tacy (...) Już od dwudziestu lat się do tego przygotowuję.

*** Zachowałem się spokojnie, z godnością (...) zresztą wszystko (...) kilka moich brulionów historycznych, krytycznych i politycznych (...) Tak właśnie **** Był sam, zupełnie sam (...) w przedpokoju, tak, przypominam sobie, a zresztą...

423

da. Tam w przedpokoju był stróż, a tu w pokoju jeszcze ktoś. Trzeba zapytać Nastasję. Ona wie lepiej. *Jetais surexcite, voyez vous. Il parlait, parlait... un tas de choses; a zresztą nie, to ja wciąż mówiłem mało. Opowiedziałem mu całe moje życie, oczywiście tylko z tego jednego punktu widzenia... Jetais surexcite, mais digne, je vous l'assure.** Mam tylko obawę, czy nie płakałem. Zdaje się, że tak. Taczki wzięli od sklepikarza obok.

- Mój Boże! Jak to się mogło stać! Stiepanie Trofimowi-czu, na miłość boską, niech pan mówi wyraźniej. To, co pan opowiada, wygląda na sen.

- Cher, jestem sam jak we śnie... *Savez-vous! Il a pro-nonce le nom de Tielatnikoff.* Myślę, że to on właśnie stał w przedpokoju. Tak, przypomniałem sobie: mówił, że potrzebny tu prokurator, wspomniał nawet, jako o prokuratorze, o Dymitrze Mitriczu... *qm me doit encore quinze roubles de jerałasz, soit dit en passant... Enfin je ncd pas trop compris.* Okazałem się jednak chytrzejszy od nich. Po co mi Dymitr Mitricz? Mam wrażenie, że prosiłem nawet Bluma, aby ukrył całą rzecz, bardzo prosiłem, boję się nawet, że trochę się poniżyłem, *comment croyez-vous? Enfin U a consenti... Ach, przypomniałem sobie. To on sam prosił, aby nie rozgłaszać, gdyż przyszedł tylko po to, aby „popatrzeć” et rien de plus, i nic więcej, nic, i jeżeli nic nie znajdzie, to na tym się skończy. Załatwiliśmy wszystko en amis, je suis tout d fait content.***

- Na miłość boską, przecież on proponował panu normalny w takich wypadkach porządek i gwarancje, a pan dobrowolnie to odrzucił!-zawołałem w przyjaznym oburzeniu.

- Nie, wołę już bez gwarancji. Po co mi skandal. Niech to pozostanie do czasu en amis. W naszym mieście, gdyby dowiedzieli się o tym mes ennemis... *et puis, d quoi bon ce pro-cureur, ce cochon de notre procureur, qui deux fois ma manque de politesse et quon a rosse d plaisir lautre annee chez cenę charmante et belle Natalia Pawłowna, quand ii se cacha dans*

- Byłem wzburzony, wie pan. Mówił, mówił... mnóstwo rzeczy; (...) Byłem wzburzony, lecz zachowałem się godnie, zapewniam pana.

** Czy pan wie! Wymienił nazwisko Tielatnikowa (...) który jest mi jeszcze winien piętnaście rubli z (...) mówiąc nawiasem... Nie bardzo zrozumiałem. (...) jak pan myśli? Wreszcie się zgodził (...) i nic więcej (...) po przyjacielsku, jestem najzupełniej zadowolony.

424

*son boudoir. Et puis, mon ami,** niech pan nie sprzecza się ze mną i nie pozbawia mnie pewności siebie. Proszę pana o to! Nie ma rzeczy nieznośniejszej, gdy spadnie na człowieka nieszczęście, a przyjaciele zaczynają mu wypominać, że palnął głupstwo. Niech pan siada i pije herbatę. Przyznam się, że jestem zmęczony. Jak pan sądzi, może dobrze by było, gdybym się położył i zwilżył sobie głowę octem?

- Oczywiście! - zawołałem. - Lód by się także przydał. Pan jest strasznie zdenerwowany. Pan jest błądy i ręce mu się trzęsą. Niech się pan położy i już nie opowiada. Posiedzę przy panu i poczekam.

Nie chciał się zdecydować, lecz namówiłem go. Nastasja przyniosła ocet w filiżance. Zmoczyłem

ręcznik i przyłożyłem mu do głowy. Nastasja weszła na krzesło i zapaliła lampkę oliwną w rogu przed ikoną. Patrzyłem na to zdziwiony. Przedtem żadnej lampki tam nie było. Zjawiała się po raz pierwszy.

Stiepan Trofimowicz spojrział na mnie przebiegle i wymamrotał :

- Kazałem zawiesić zaraz po ich wyjściu. Quand on a de ces choses-là dans sa chambre et qu'on vient vous arreter,** takie rzeczy budzą zaufanie. Będą musieli przecież zameldować, co widzieli.

Uporawszy się z lampką, Nastasja stanęła w drzwiach, przyłożyła do twarzy prawą rękę i zapłakany wzrokiem przyglądała się swemu panu.

Skinął na mnie.

- Eloignez-la pod jakimkolwiek pozorem. Nie znoszę tego rosyjskiego współczucia et puis fa membre***

Wyszła jednak sama. Zauważyłem, że mój przyjaciel raz po raz spogląda na drzwi i bacznie się wsłuchuje. Spojrział na mnie znacząco.

- Il faut être prêt, voyez-vous, chaque moment...**** Przyjdą, zabiorą i fiut! Zniknie człowiek.

- Na miły Bóg! Kto przyjdzie? Kto pana zabierze?

- między przyjaciółmi (...) moi wrogowie... a zresztą po co tu prokurator, ta świnia, który dwa razy zachował się wobec mnie niegrzecznie i którego sprano do woli zeszłego roku u tej czarującej i pięknej (...) kiedy się schował w jej buduarze... A zresztą, mój przyjacielu

-* Kiedy ma się te rzeczy w pokoju i kiedy przyjdą aresztować *** Niech pan ją oddali (...) a zresztą to mnie gniewa. **** Trzeba być przygotowanym w każdej chwili, rozumie pan...

425

- Voyez-vous, mon cher,* gdy już wychodził, zapytałem go otwarcie, co ze mną zrobią. Głęboko oburzony, zawołałem:

- Trzeba już było wprost zapytać, dokąd pana deportują.

- Właśnie to miałem na myśli. Wyszedł jednak, nie dawszy mi odpowiedzi. Voyez-vous. Co do bielizny, ubrania, zwłaszcza ciepłego ubrania, to już będzie, jak oni zechcą. Każą wziąć - dobrze. Mogą przecież wyprowadzić w zwykłym płaszczu żołnierskim.

Zniżył głos, oglądając się na drzwi, przez które wyszła Nastasja.

- Trzydzieści pięć rubli wsunąłem w sekrecie za podszewkę w kamizelce przez dziurę w kieszeni. O tu, niech pan dotknie. Sądzę, że nie zmuszą mnie do zdejmowania kamizelki. Dla pozorów zaś zostawiłem w portmonetce siedem rubli: to niby wszystko, co mam. A tu drobne i miedziaki na stole. Nie domyśla się, że schowałem pieniądze. Pomyślał, że to wszystko. Przecież nikt nie wie, gdzie wypadnie mi dziś nocować.

Wobec tak wyraźnego obłędu, poddałem się. Było jasne, że ani aresztować, ani robić rewizji nie można było w ten sposób, jak on to opowiadał. Płatał się najwidoczniej. Działo się to wprawdzie przed wydaniem najnowszych ustaw sądowych. Trzeba też mieć na względzie, iż proponowano mu (jak to sam przyznawał) bardziej prawidłową procedurę, on jednak przechytrzył, i odrzucił ją... Oczywiście dawniej, a nawet nie tak jeszcze dawno, gubernator mógł w wyjątkowych wypadkach... Gdzież tu jednak ten wyjątkowy wypadek? Nie mogłem się zorientować.

- Na pewno była depesza z Petersburga - odezwał się nagle Stiepan Trofimowicz.

- Depesza? O panu? Za te pisma Hercena, czy za pański poemat? Pan chyba zwariował! Za co też mieliby aresztować pana?

- Kto w naszych czasach wie - wyszeptał tajemniczo - za co mogą człowieka aresztować?

Myśl dziwna, bezsensowna przyszła mi do głowy.

- Stiepanie Trofimowiczu, niech mi pan powie jak przyja-

- Widzi pan, mój drogi

426

cielowi, jak prawdziwemu przyjacielowi - nie zdradzę przecież pana - czy pan należy do jakiegoś tajnego stowarzyszenia? Ku memu zdziwieniu przyjaciel mój miał i pod tym względem wątpliwości. Sam nie wiedział, czy należał.

- Widzi pan, to zależy od punktu widzenia...

- Jak to, nie rozumiem!

- Gdy się oddało całą duszę postępowi i... kto wtedy może zaręczyć? Wydaje się człowiekowi, że nie należy, a okazuje się, że do czegoś tam należy.

- To niemożliwe. To może być tylko albo tak, albo nie...

- Cela datę de Petersburg, * gdyśmy z nią chcieli zakładać pismo. Tu tkwią korzenie.

Wyśliznęliśmy się wówczas i zapomniano o nas. A teraz przypominano sobie. Cher, cher, czyż nie znasz mnie, przyjacielu? - zawołał z egzaltacją. - U nas wezmą, wsadzą do kubitki i hajda na Syberię! Na całe życie! Albo zamkną i zapomną w ciemnicy.

Z oczu trysnęły mu nagle łzy, gorące, rzęsiste. Lały się strumieniem. Zakrył oczy czerwoną chustką fularową i łkał konwulsyjnie przez kilka minut. Wytrąciło mnie to z równowagi. Przecież ten człowiek przez dwadzieścia lat prawił nam kazania, prorokował, uczył, wieścił. Był nam mistrzem, patriarchą, Kukolnikiem.² Tak wyniosłą dostojną postawę zachowywał wobec nas, którzyśmy go czcili z głębi duszy. Zaszczycił nas sprawiał swoją obecnością. A teraz beczał, beczał jak mały uczeń, który nabroił i ze strachem oczekuje powrotu nauczyciela z różgami. Żał mi się go zrobiło. Wierzył najwidoczniej w „kubitkę” tak samo jak w to, że siedzę teraz przy nim. Oczekiwał jej dziś jeszcze, natychmiast, za chwilę, a to za dzieła Hercena i za własny poemat. Tak całkowita, bezwzględna ignorancja realnej rzeczywistości była rozczulająca i jednocześnie jakaś wstrętna.

Przestał wreszcie płakać, zerwał się z kanapy i zaczął znów chodzić po pokoju. Rozmawiał ze mną w dalszym ciągu, lecz wciąż wyglądał przez okno i wciąż przysłuchiwał się odgłosom z przedpokoju. Rozmowa nasza stała się chaotyczna. Wszystkie moje zapewnienia i uspokajania były jak groch o ścianę. Nie słuchał prawie. A jednak potrzebował ukojenia, chciał, aby przyszło ode mnie i abym mówił o tym nieprzerwa-

• To datuje się jeszcze od czasów Petersburga

427

nie. Widziałem, że nie mógł teraz obejść się beze mnie i za nic mnie nie puści. Pozostałem przy nim przeszło dwie godziny. W trakcie rozmowy wspomniał, że Blum zabrał dwie znalezione u niego proklamacje.

- Jak to proklamacje! - zawołałem nieostrożnie. - Czyżby pan...

- Podrzuciono mi dziesięć sztuk - odparł zagniewany. W ogóle rozmawiał ze mną w tonie wyniośle zagniewanym, to znów żałośnie uniożonym. - Osiem z nich już zniszczyłem, a Blum znalazł tylko dwie...

Raptownie poczerwieniał z oburzenia.

- Vous me mettez avec ses gens-ld! Czyż pan przypuszcza, że mogę mieć coś wspólnego z tymi

nikczemnikami, konspiratorami, z moim synalkiem Piotrem Stiepanowiczem, avec ses espñts-forts de la lachete!* O Boże!

- Tak, lecz czy ktokolwiek nie wplątał pana w ich sprawki ? A zresztą to głupstwo, to niemożliwe!
- zawołałem.

- Savez-vous - odezwał się zniecacka Stiepan Trofimo-wicz - czuję chwilami, que je ferai la bas quelque esclandre. Niech pan mnie nie opuszcza, niech pan nie zostawia mnie samego! Ma carriere est finte aujourd'hui, je le sens.** Wie pan, wydaje mi się czasem, że rzucę się i pogryzę tam kogoś, jak ten podporucznik.

Popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem: był sam wystraszony, lecz jednocześnie chciał mnie nastraszyć. Irytował się na kogoś i na coś coraz bardziej, w miarę jak mijał czas i nie zjawiały się „kibitki”. Gniewał się. Wtem Nastasja weszła z kuchni do przedpokoju, potrafiła i zwała na ziemię szaragi. Stiepan Trofimowicz zadrżał i zamarł, gdy się jednak rzecz wyjaśniła, wpadł na Nastasję, zaczął tupać nogami i wrzeszczeć, i zapędził ją z powrotem do kuchni. Po chwili odezwał się patrząc na mnie zrozpaczonym wzrokiem:

- Zginałem... Cher...

Usiadł obok mnie i żałośliwie wpatrywał mi się w oczy.

- Cher, nie boję się Syberii. Przysięgam. Oh, je vous jure.*** Boję się czego innego.

• Pan mnie zestawia z tymi ludźmi () z tymi geniuszami małoduszności

** Czy pan o tym wie () że narobię tam skandalu () Moja kariera dziś się skończyła, czuję to

*** Przysięgam panu

428

Łzy stanęły mu w oczach.

Domyśliłem się z jego wyglądu, że prawdopodobnie powie mi teraz rzecz najważniejszą, której widocznie nie chciał dotychczas zdradzić.

- Boję się hańby! - wyszeptał tajemniczo.

- Jakiej hańby? Przeciwnie... Niech mi pan wierzy, Stie-panie Trofimowiczu, że wszystko wyjaśni się dziś jeszcze ku pańskiemu zadowoleniu...

- Pan jest tak pewny, że mi przebaczą?

- Co to znaczy „przebaczą”? Co to za słowa? Co pan złego zrobił? Zapewniam pana, że pan nic nie zrobił.

- Quen savez-vous,* całe życie może było... cher... przypomną mi wszystko... a jeśli nawet nic nie znajdą, to tym gorzej - zakończył raptem zupełnie tajemniczo.

- Jak to „tym gorzej”?

- Gorzej.

- Nie rozumiem.

- Przyjacielu, mój, przyjacielu. Niechby tam Syberia, Archangielsk, pozbawienie praw! Ginać to ginać! Lecz... boję się czego innego.

Wypowiedział to znów szeptem, tajemniczo, z przestraczem.

- Czegóż więc pan się boi?

- Wyćwiczą... - rzekł wreszcie i niepewnym wzrokiem spojrzął na mnie.

- Kto pana wyćwiczy? Gdzie?Dlaczego? - wołałem przerażony. Bałem się, że istotnie zwariował.

- Gdzie? No tam... tam, gdzie się to robi.

- Ale gdzie się to robi?

- Och, cher - szepnął mi prawie do ucha - rozsuwa się nagle podłoga, człowiek osuwa się po pas... Wszyscy to wiedzą.

- Bajki! - zawołałem domyśliwszy się, o co mu chodzi. - To stare bajki! Czy pan wierzy w nie dotychczas? Zacząłem się śmiać.

- Bajki? A jednak nie powstałyby bez przyczyn. Rzecz jasna, że wyćwiczony nie będzie opowiadał. Już dziesięć tysięcy razy odtwarzałem sobie w wyobraźni te sceny!

• Coz pan o tym wie

429

- Dobrze, ale za co pana? Przecież pan nic nie zrobił!

- Tym gorzej. Przekonają się, że nic nie zrobiłem, i wyćwiczą.

- Pan rzeczywiście myśli, że pana w tym celu zawiozą do Petersburga?

- Przyjacielu! Już mówiłem, że nie żałuję niczego. Ma carrière est finie. Od tej chwili, kiedy w Skworesznikach pożegnała się ze mną, już nie żałuję życia... Ale hańba, hańba! Que dira-t-elle,* gdy się dowie!

Spojrzał na mnie przerażony. Oblał się pąsem. Spuściłem oczy.

- Nie dowie się o niczym, gdyż nic panu nie zrobią. Mam wrażenie, że pierwszy raz w życiu rozmawiam z panem, Stiepanie Trofimowiczu, tak pan mnie dziś zadziwił.

- Przyjacielu! Przecież tu nie o strach chodzi! Niech mi nawet przebaczą, niech mnie odwiozą z powrotem, niech mi nic nie zrobią! I wtedy zginąłem. Elle me soupfonnera toute sa vie...** mnie, mnie, poetę, myśliciela, człowieka, którego czcila przez dwadzieścia dwa lata.

- Ani do głowy jej to nie przyjdzie.

- Przyjdzie - odparł z głęboką pewnością. - Kilkakrotnie mówiliśmy z nią o tym w Petersburgu w czasie wielkiego postu, przed wyjazdem, gdy obawialiśmy się oboje. Elle me soupfonnera toute sa vie... Niech kto spróbuje ją przekonać! Byłoby to zresztą nieprawdopodobne. Któż w całym mieście mógłby w to uwierzyć? Cest invraisemblable. Et puis les fem-mes...*** Ucieszy się nawet. Będzie zmartwiona, szczerze, jak prawdziwy przyjaciel, lecz w głębi duszy ucieszy się. Dałoby to jej do rąk oręż przeciwko mnie na całe życie. Przepadło wszystko! Dwadzieścia lat doskonałego szczęścia przy niej... a teraz!

Ukrył twarz w dłoniach.

- Stiepanie Trofimowiczu - zaproponowałem. - Może byśmy natychmiast zawiadomili Barbarę Pietrownę o tym, co zaszło?

Drgnął i zerwał się na równe nogi.

- Co ona powie

-* Będzie mnie podejrzewała przez całe życie...

*** To nieprawdopodobne. A zresztą kobiety...

430

- Za nic w świecie! Za nic! Nigdy! Po tym, co było wypowiedziane na pożegnanie w Skworesznikach... Nigdy!

Oczy mu błyszczały.

Przesiedzieliśmy tak jeszcze z godzinę, a może dłużej, wciąż w oczekiwaniu. Groźące niebezpieczeństwo nie wychodziło mu z głowy. Położył się znowu, zamknął oczy i przeleżał tak ze dwadzieścia minut, nie mówiąc ani słowa. Myślałem nawet, że zasnął lub zdrzemnął się. Wtem

podniósł się gwałtownie, zerwał z głowy ręcznik, zeskoczył z kanapy, podbiegł do lustra, drżącymi dłońmi zaczął zawiązywać halsztuk i krzyknął grzmiącym głosem na Nastasję, aby podała mu palto, nowy kapelusz i laskę.

- Nie mogę dłużej wytrzymać - rzekł do mnie rwącym się głosem. - Nie mogę, nie mogę. Pójdę sam.

- Dokąd? - zawołałem.

- Do Lembkego. Cher, muszę, to mój obowiązek. Jestem obywatelem i człowiekiem, a nie byle kim, mam pewne prawa, żądam w imię swoich praw. Dwadzieścia lat nie upominałem się o nie, przez całe życie haniebnie o nich zapomniałem... lecz teraz upomnę się. Musi powiedzieć mi wszystko, wszystko... Otrzymał depezę. On nie ma prawa mnie dręczyć. Niech mnie aresztuje! Niech aresztuje!

Wykrzykiwał to wrzaskliwie, tupał nogami.

Odpowiedziałem mu rozmyślnie jak najspokojniej, chociaż bardzo bałem się o niego:

- Całkowicie zgadzam się z panem. To lepiej niż siedzieć tu w niepewności. Nie apróbuję jedynie pańskiego nastroju. Niech pan spojrzy, jak pan wygląda i w jakim stanie pan idzie do niego. Il faut etre calme et digne avec Lembke* Pan istotnie może obecnie rzucić się na kogoś i pogryźć.

- Sam oddaję się w ręce władz. Idę w paszczę lwa.

- Pójdę razem z panem.

- Spodziewałem się tego po panu. Przyjmuję pańską ofiarę jako ofiarę prawdziwego przyjaciela. Lecz tylko do domu, do progu. Pan nie powinien nadal kompromitować siebie moim towarzystwem. Pan nie ma prawa... Oh, croyez-moi, je serai calme! Czuję się w tej chwili d la hauteur de tout ce quil y a de plus sacre...*

- Z Lembkiem trzeba spokojnie i z godnością. *• Och, niech mi pan wierzy, będę spokojny! (...) na wysokości tego, co najświętsze...

431

- Może zajdę z panem do mieszkania - przerwałem mu. - Wczoraj zawiadomiono mnie z tego głupiego komitetu, za pośrednictwem Wysockiego, że bardzo tam na mnie liczą i zapraszają mnie na jutrzejszą zabawę w charakterze gospodarza, czy jak to się u nich nazywa... słowem, mam być jednym z tych sześciu młodzieńców, którzy będą pilnowali tac z jedzeniem, asystowali paniom, wyznaczali miejsca gościom i nosili na lewym ramieniu opaskę z białych i pąsowych wstążek. Chciałem się wymówić. Dlaczegoż bym jednak nie miał tam pójść obecnie pod pozorem rozmówienia się z Julią Mi-chajłówną? Wejdziemy razem.

Słuchał, kiwał głową, lecz zdaje się, że niewiele rozumiał. Staliśmy już na progu.

Wyciągnął rękę w kierunku palącej się lampki oliwnej.

- Cher, nigdy w to nie wierzyłem, lecz... niech będzie, niech już będzie.

Przeżegnał się i zawołał:

- Alians!*

„Tak lepiej - myślałem wychodząc z nim na ulicę - dobrze mu zrobi świeże powietrze, uspokoi się, wróci do domu i położy się spać.”

Przewidywania moje nie były trafne. Właśnie po drodze zdarzył się wypadek, który ostatecznie wstrząsnął Stiepanem Trofimowiczem i wytrącił go z równowagi. Przyznam się nawet, że nie

spodziewał się po moim przyjacielu takiej gwałtowności jak ta, którą wykazał tego dnia. Mój poczciwy, biedny przyjaciel!

Chodźmy

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

FLIBUSTIERZY. FATALNY PORANEK

I

Wypadek, który nas spotkał po drodze, był także zadziwiający. Muszę jednak opowiedzieć wszystko po kolei. Na godzinę przedtem, nim wyszliśmy ze Stiepanem Trofimowiczem na tjlęcę, przechodził ulicami miasta, zwracając ku sobie zaciekawione spojrzenia obywateli, tłum ludzi - robotników z fabryki Szpigulinów.¹ Było ich siedemdziesięciu, może i więcej. Szli poważnie, w milczeniu, przestrzegając porządku. Opowiadano potem, że byli to wybrani delegaci wszystkich robotników, których było w fabryce około dziewięciuset. Mieli jakoby iść do gubernatora i w związku z nieobecnością właścicieli fabryki domagać się sprawiedliwej ingerencji w stosunku do administratora, który zamykając fabrykę i zwalniając robotników bezczelnie oszukiwał ich przy obrachunku (jest to fakt już obecnie całkowicie stwierdzony). Skądinąd nie wierzono w wybory, twierdząc, iż delegatów nie mogło być aż siedemdziesięciu. Według tej opinii tłum składał się po prostu z najbardziej pokrzywdzonych, którzy szli upominać się tylko o własne prawa, a więc ogólnego „buntu”, o którym potem tyle rozprawiano, wcale nie było. Inni jeszcze dowodzili natomiast, że ta siedemdziesiątka składała się nie ze zwykłych buntowników, lecz właśnie z „politycznych”, to znaczy najniespokojniejszych robotników, w dodatku podburzonych proklamacjami. Dotychczas nie wiadomo, czy działał tu czyjkolwiek wpływ lub namowa. Sądzę osobiście, iż robotnicy nie czytali wcale tych proklamacji, a gdyby nawet czytali, nie rozumieliby ani słowa, gdyż piszący te proklamacje,

- „D(i.)”, sL, IM 433

pomimo całej ordynarności stylu, wysławiają się bardzo niewyraźnie. Ponieważ jednak robotnikom istotnie działo się źle, a policja, do której się przedtem zwracali, nie chciała wejrzeć w ich krzywdę, cóż mogło być bardziej naturalnego jak ich pomysł - iść gromadnie do „samego generała”, może nawet z napisaną prośbą, stanąć spokojnie przed gankiem, a gdy się ukaże, rzucić się na kolana i zwrócić się do niego jak do Opatrzności? Nie trzeba tu żadnego buntu ani żadnych delegacji. To sposób stary, tradycyjny. Lud rosyjski od wieków lubił rozmawiać z „samym generałem”. Sprawiało mu to zawsze przyjemność, niezależnie od tego, jak się kończyła taka rozmowa.

Bardzo możliwe, że młody Wierchowieński, Liputin, może ktoś jeszcze, może nawet Fiedka, uprzednio włóczyli się między robotnikami (są na to dość wiarygodne poszlaki) i rozmawiali z nimi. Na pewno jednak co najwyżej z dwoma, trzema, pięcioma. I jestem przekonany, że te rozmowy nie dały żadnego rezultatu. Jeśliby robotnicy zrozumieli cokolwiek z tej propagandy, na pewno przestaliby natychmiast słuchać, jako rzeczy głupiej i niepotrzebnej. „Co innego Fiedka. Temu poszczęściło się lepiej niż młodemu Wierchowieńskiemu. Wyjaśniło się już teraz całkowicie, że do pożaru, który wybuchł w trzy dni później, przyczynili się wraz z Fiedką dwaj robotnicy. Potem znów, po miesiącu, aresztowano w powiecie trzech innych byłych robotników fabrycznych, podejrzanych także o podpalenie i rabunek. Jeżeli jednak udało się Fiedce skłonić ich do tej działalności bezpośrednio, to w każdym razie skończyło się także tylko na tych pięciu, gdyż innym nic podobnego nie można było zarzucić.

Bądź co bądź robotnicy przyszli w końcu na plac przed domem gubernatora i ustawili się tam spokojnie i w milczeniu. Patrzyli z otwartymi ustami na ganek i czekali. Mówiono mi, że pozdejmowali czapki natychmiast po przybyciu, czyli na jakieś pół godziny przed powrotem gospodarza guberni, którego w owej chwili nie było w domu. Zjawiała się natychmiast policja, na

razie w osobie poszczególnych przedstawicieli, a potem w komplecie. Rozpoczęła od razu groźnie, nakazując rozejść się. Lecz robotnicy stanęli twardo jak stado baranów, które oparło się o płot, i odpowiadali lakonicznie, że przyszli do „same?” generała”. Widać było niezłomną decyzję. Zamilkły groźne okrzyki policji. Zastąpił je namysł, tajemniczo szeptane rozkazy i surowe zakłopotanie, które marszczyło brwi wyższych szarż. Policmajster wolał doczekać się przyjazdu samego Lembkego. To tylko plotka, jakoby wpadł on rozpędzoną trójką i zaczął bić ludzi siedząc jeszcze w powozie. Prawdą jest, że lubił jeździć z brawurą swoim żółtym powozikiem, a w miarę jak doprowadzone do szału konie ponosiły, wprowadzając w zachwyty wszystkich kupców z hal targowych, policmajster stawał w powozie wyprostowany, trzymając się za rzemień, przymocowany w tym celu z boku, i wyciągnawszy przed siebie prawicę, jak posąg na cokole, przebiegał wzrokiem miasto. W danym wypadku jednak nie uderzył nikogo. Nie mógł oczywiście, wyskakując z powozu, obejść się bez mocnego słówka, lecz zrobił to jedynie w imię zachowania popularności. Plotką jest także, jakoby sprowadzono żołnierzy z bagnetami i telegraficznie zażądano artylerii i kozaków.² Są to bajki, w które nie wierzą nawet ci, którzy je puścili w obieg. Nieprawda też, że z remizy straży ogniowej sprowadzono beczki z wodą, którą oblewano robotników. To tylko Ilia Ilicz krzyknął w ferworze, że nikt nie wyjdzie suchy. Powstały z tego „beczki”, które przedostały się w ten sposób do sprawozdań w prasie stołecznej. Najprawdziwsza wersja głosiła, że tłum otoczony został przez wszystkich policjantów, jakimi dysponowano, a do Lembkego wysłano przystawę pierwszego okręgu, który też pojechał końmi policmajstra do Skworesznik. Wiadomo było, że Lembke przed półgodziną wyruszył swoim powozem w tym kierunku...

Przyznam się jednak, że dotychczas nie wyjaśniona zostaje dla mnie kwestia: w jaki sposób najzwyczajszy tłum petentów, chociażby składający się z siedemdziesięciu ludzi, mógł tak za jednym zamachem zyskać epitet buntu, który zagraża ustrojowi państwowemu. Dlaczego Lembke także poddał się takiej myśli, gdy w dwadzieścia minut później przyjechał razem z wysłanym po niego umyślnym? Mógłbym nawet przypuścić (lecz podkreślam, że to tylko moje osobiste przypuszczenie), iż Ilia Ilicz, pokumany z administratorem fabryki, miał w tym jakiś interes, aby w odpowiednim świetle przedstawić tłum Lembkemu i nie dopuścić do wysłuchania skarg robotników. A Lembke mógł mu sam nasunąć taki pomysł, miał z nim bowiem w ostatnich paru dniach dwie tajemnicze

28- 435

i wyjątkowe rozmowy. Były to rozmowy dość niewyraźne, jednak Ilia Ilicz mógł wywnioskować, że gubernator jest mocno przejęty myślą o proklamacjach i o tym, że ktoś podżega robotników szpigulinowskich do buntu; mógł też nabrać przekonania, że ta opinia tak mocno utrwaliła się w duszy gubernatora, że byłby może nawet niezadowolony, gdyby okazała się bezpodstawna. „Chce prawdopodobnie odznaczyć się w Petersburgu - pomyślał przebiegły Ilia Ilicz wychodząc po tej rozmowie od Lembkego. - Cóż, niech tam, nam to także na rękę.”

Jestem jednak głęboko przekonany, że biedny von Lembke nie chciałby buntu, nawet gdyby miał się sam odznaczyć. Był urzędnikiem niesłychanie sumiennym, zachował niewinność aż do ślubu. Czyż to była jego wina, że zamiast niewinnych drzew skarbowych i tak samo jak on niewinnej Minnchen, czterdziestoletnia księżna wyniosła go do własnych wyżyn? Wiem prawie na pewno, że właśnie od tego fatalnego poranku datują się pierwsze symptomy stanu, który doprowadził biednego Andrzeja Antonowicza do znanego specjalnego zakładu w Szwajcarii, gdzie teraz powraca stopniowo do dawnego zdrowia. Jeżeli jednak uznać, że tego dnia pojawiły się pierwsze wyraźne symptomy czegoś, można w takim razie przypuścić, iż w przeddzień mogły już wystąpić pewne oznaki nie tak widoczne. Wiem to i owo ze źródeł najpoufniejszych. Przypuście na chwilę, że opowiadała mi część tej historii sama Julia Michajłowna w okresie już nie triumfu, lecz częściowej skruchy. Mówię „częściowej”, gdyż kobieta nigdy nie może poddać się skrusze

całkowitej. Otóż w noc poprzedzającą opisywane tu zdarzenia von Lembke przyszedł do małżonki bardzo późno, o trzeciej nad ranem, zbudził ją i zażądał, aby wysłuchała „ultimatum”. Żądanie było tak stanowcze, że Julia Michajłowna musiała wyjść z łóża w oburzeniu i w papilotach. Usiadła na kanapce nie ukrywając sarkastycznej pogardy, lecz wysłuchała. Dopiero wtedy zrozumiała, jak daleko zaszedł jej mąż, i przeraziła się w duszy. Właściwie powinna była zaraz opamiętać się i zmięknąć. Wolą jednak ukryć przerażenie i uprzeć się jeszcze bardziej. Jak każda prawdopodobnie żona, miała swoją metodę postępowania L. Andrzejem Antonowiczem, już nie raz wypróbowaną, i która już nie raz doprowadzała go do wściekłości. Metoda Julii

436

Michajłowny polegała na pogardliwym milczeniu przez godzinę, dwie, przez dobę, nawet przez trzy doby; na milczeniu za wszelką cenę, niezależnie od tego, jak zareaguje na to mąż, co będzie mówił, co zrobi; niechby nawet wdrapywał się na okno, aby skoczyć z trzeciego piętra. Metoda nieznośna dla człowieka wrażliwego! Może teraz Julia Michajłowna karała męża za jego błędy z ostatnich dni, za to, że wielkorządca zazdrościł jej zdolności administracyjnych; może oburzała się na krytykę jej postępowania z młodzieżą i z całym naszym towarzystwem, wynikającą z niezrozumienia jej subtelnych i przewidujących planów politycznych; może gniewała się za tępą i bezsensowną zazdrość o Piotra Stiepanowicza. Bądź co bądź postanowiła i teraz nie zmięknąć, pomimo tak niezwyklej pory nocnej i niesłychanego wzburzenia Andrzeja Antonowicza. Biegając w pasji wzdłuż i wszerz, we wszystkich kierunkach, po dywanach żoninego buduaru, gubernator wyłożył jej wszystko. Bez żadnego związku, lecz za to wszystko, wszystko, co wezbrało w duszy, co rozsadzało jej brzegi. Zaczai od tego, że wszyscy z niego się śmieją i „wodzą za nos”. „Mniejsza o określenie!” - dorzucił piskliwie zauważywszy jej uśmiech. „Tak, za nos, to prawda.” „Nie, moja pani, przyszła chwila decydująca. Nie czas teraz na uśmiechy i na tanią kokieterię kobiecą. Jesteśmy jak dwie oderwane od świata istoty w statku powietrznym, które się spotkały i muszą powiedzieć sobie prawdę w oczy.” (Rzecz prosta, że Lembke plątał się i nie mógł znaleźć trafniejszych określeń dla swoich myśli, poza tym całkowicie słusznych.) „Toś ty, moja droga, wyprowadziła mnie z normalnego uprzedniego stanu. Przyjąłem ten urząd ze względu na ciebie, ze względu na twoją ambicję... Uśmiechasz się zjadliwie? Nie triumfuj przedwcześnie! Wiedz, moja droga, że mógłbym doskonale poradzić sobie z tym urzędem, gdyż głupi nie jestem. Lecz przy tobie, przy tobie trudno temu podołać. Jedynie przy tobie jestem głupi. Dwa ośrodki współistnieć nie mogą. Jeden u mnie, drugi w twoim buduarze. Dwa ośrodki władzy, moja droga! Nie dopuszczę do tego, nie pozwolę! Na służbie, jak i w małżeństwie, istnieć może tylko jeden ośrodek! Nie może ich być więcej! Czym mi zapłaciłaś? - krzyczał dalej. - Małżeństwo nasze na tym wyłącznie polegało, że stale, co godzina, dowodziłaś mi, jaki jestem głupi, jaki jestem do niczego,

437

czasem nawet podły. Ja zaś stale, co godzina, ku własnemu poniżeniu musiałem ci dowodzić, że wcale nie jestem głupi ani do niczego, że nieraz obcy ludzie podziwiają moją szlachetność. Czyż nie jest to poniżające dla obu stron?” W tym momencie zaczął energicznie tupać, tak że Julia Michajłowna poczuła się nawet w obowiązku wstać z wyrazem surowej wyniosłości. Uspokoił się natychmiast, lecz za to dał folgę uczuciowości i zaczął łkać (tak, łkać) i bić się w piersi. Trwało to pięć minut. Głębokie milczenie Julii Michajłowny coraz bardziej wyprowadzało go z równowagi. Na koniec spuścił głowę, przyznawszy się, że jest zazdrosny o Piotra Stiepanowicza. Zrozumiawszy, że palnął głupstwo, stracił całkowicie równowagę i zaczął krzyczeć, że „nie pozwoli odrzucać Boga”, że rozpędzi jej „bezwstydną salon bez czci i wiary”, że gubernator ma nawet obowiązek wierzyć w Boga, „a więc gubernatorowa także”, że młodzieży nie będzie tolerował: że „ty, moja droga, w imię godności własnej powinna być dbać o męża i bronić opinii o jego rozumie, chociażby był niezdarą (ja zaś nie jestem niezdarą!); tymczasem ty jesteś główną sprawczynią tego, że tu pogardzają mną wszyscy; tyś nastroiła tak wszystkich!” - krzyczał dalej. Krzyczał, że „skasuje kwestię kobiecą”, że wykurzy tego ducha nowoczesnego, że jutro rozbije i

rozpedzi zabawę składkową dla wsparcia guwernantek („Do diabła z nimi!”); że pierwszą spotkaną jutro guwernantkę wypędzi z guberni pod konwojem kozaka. „Naumyślnie, naumyślnie! - wykrzykiwał. - Czy ci wiadomo - wołał znowu - że te twoje urwisy podburzają robotników fabrycznych i że ja wiem o tym? Czy ty wiesz, że te twoje urwisy rozrzucają najspokojniej proklamacje? Tak, najspokojniej! Czy ci wiadomo, że znam już nazwiska czterech nikczemników i że w ogóle wariuję, tak, wariuję?!...” Tu Julia Michajłowna przerwała milczenie i oświadczyła surowo, że sama wie od dawna o występnych zamierzeniach i że to wszystko są głupstwa. Lembke bierze te rzeczy z nadmierną do serca; co się zaś tyczy tych urwisów, to ona zna nazwiska nie tylko tamtych czterech, lecz i wszystkich (tu już skłamała); jednakże nie widzi żadnego powodu do wariowania. Przeciwnie, ufa coraz więcej własnemu rozumowi i jest pewna, że doprowadzi wszystko do harmonijnego rozwiązania. Zamierza natchnąć młodzież otuchą, a jednocześnie zaszczerpieć

438

jej rozwałkę i ujawnić zniechęca, iż występne plany są dobrze znane, potem zaś wskazać nowe cele rozumnej i jawnej działalności. Ach, co się stało z Andrzejem Antonowiczem! Dowiedziawszy się, że młody Wierchowieński znów go oszukał i zakpił z niego w sposób tak ordynarny, że opowiedział Julii Michajłownie więcej niż jemu i wcześniej niż jemu, że wreszcie Piotr Stiepanowicz jest prawdopodobnie głównym winowajcą - von Lembke wpadł we wściekłość. „Wiedz, bezmyślna a przewrotna kobieto! - wołał rwąc ostatnie ich więzy - wiedz, że twego nikczemnego kochanka zaraz aresztuję, że go zakuję w kajdany i zamknę w lochu albo, albo - sam, na twoich oczach, wyskoczę przez okno!” Błada z gniewu Julia Michajłowna odpowiedziała na tę tyradę śmiechem, długim, dźwięcznym, przelewającym się, perlistym, zupełnie jak w teatrze, gdy jakaś aktorka paryska sprowadzona za grube pieniądze, a grająca rolę kokietki, śmieje się w oczy męża, który ośmielił się ujawnić nurtującą go zazdrość. Von Lembke podbiegł do okna. Zatrzymał się jednak, stanął jak wryty, spojrzął złowieszczo na małżonkę. Był trupio błydy. „Czy wiesz, Julio - wyszeptał bez tchu, prawie błagalnym głosem - czy rozumiesz, że mogę zrobić sobie coś złego?!” Przy nowym, jeszcze głośniejszym wybuchu śmiechu, który był odpowiedzią na jego słowa, von Lembke zacisnął zęby, jęknął, rzucił się - nie do okna, lecz na żonę, i - podniósł pięść. Nie spuścił pięści, o nie, po stokroć nie, lecz za to - zginął z kretesem. Nie czując nóg pod sobą, pobiegł do swego pokoju. Jak stał, w ubraniu, rzucił się na łóżko, nerwowo zawinął się z głową w kołdrę i przeleżał tak bez snu, bez myśli, z kamieniem na sercu i z tępą, głuchą rozpaczą w duszy. Przeleżał parę godzin. Od czasu do czasu jakiś dreszcz, jak w febrze, przeszywał go od stóp do głów. Przypominały mu się rozmaite chwile życia, bez związku, bez sensu. Myślał na przykład o starym zegarze ściennym, który wisiał u niego w Petersburgu przed piętnastu laty i w którym złamała się jedna wskazówka, to znów o wesołym urzędniku, niejakim Millebois, z którym złapał kiedyś wróbla w parku Aleksandrowskim, a gdy już złapali ptaka, śmieli się z całej duszy na myśl, że jeden z nich przecież ma już rangę kolegiąlnego asesora. Zasnął chyba, sam tego nie zauważywszy, około siódmej rano, spał rozkosznie, sny miał cudowne. Zbudziwszy się około dziesiątej, zerwał się gwałtownie-

439

nie z łóżka, przypomniał sobie wszystko i z całych sił uderzył się dłonią w czoło: nie chciał ani śniadania, ani Bluma, ani szefa policji; nie przyjął również urzędnika, który przyszedł przypomnieć mu, że tego dnia rano ma przewodniczyć na jakimś posiedzeniu; nic nie słyszał i nic nie chciał rozumieć, tylko pobiegł, jak nieprzytomny, do apartamentów Julii Michajłowny. Tu Zofia Antropowna, starszeczka z dobrej rodziny, która od dawna mieszkała u Julii Michajłowny, oznajmiła mu, iż Julia Michajłowna o dziesiątej wyruszyła w licznym towarzystwie trzema powozami do Skworesznik, do generałowej Stawrogin, aby obejrzyć miejsce, gdzie za dwa tygodnie ma się odbyć nowa, już druga zaplanowana zabawa, i że się tak umówiły przed trzema dniami z Barbarą Pietrowną. Zaskoczony tą wiadomością, Lembke wrócił do gabinetu i kazał

zaprząc konie. Ledwo mógł się doczekać. Dusza jego spragniona była Julii Michajłowny; byle spojrzeć na nią, spędzić pięć minut obok niej; może choć spojrzy na niego, może go zauważy, uśmiechnie się jak dawniej, przebaczy - och! „No i gdzie te konie!” Odruchowo otworzył grubą książkę, która leżała na biurku. Nieraz tak wróżył z książki, otwierając na chybił trafił i odczytując na prawej stronie trzy wiersze od góry. Wypadło mu tym razem: „Tout est pour le mieux dans le meilleur des mondes possibles.” Voltaire. *Candide*. * Splunął i wybiegł z domu. „Do Skworesznik!” Stangret opowiadał potem, że pan popędzał go przez całą drogę, ale gdy już podjeżdżali do dworu, kazał nagle zawrócić i jechać do miasta: „Prędzej, byle prędzej.” Nie dojeżdżając do wałów miejskich, „kazał mi znowu zatrzymać konie, wysiadł z powozu, przeszedł przez drogę i stanął w polu; pomyślałem, że może niezdrów; a on stał i przyglądał się kwiatkom, i stał tak jakiś czas, aż dziwno mi się zrobiło i całkiem rezon straciłem.” Tak opowiadał stangret. Przypominam sobie, był to chłodny i jasny, lecz wietrzny dzień wrześniowy; przed Andrzejem Antonowiczem, stojącym w polu, rozciągał się surowy widok nagiego pola, z którego już zwieziono zboże; wiatr targał ostatnie zwiędłe żółte kwiaty... Czy Andrzej Antonowicz chciał porównać swój los z biednymi kwiatami, ściętymi przez jesień i chłód? Wątpię. Pewien jestem nawet, że nie, i że nie myślał wcale

- „Wszystko idzie jak najlepiej na tym najlepszym ze światów „ Woker, Kand/d

440

o kwiatkach, wbrew świadectwu stangreta i przystawa, który w owej właśnie chwili nadjechał powozem policmajstra i twierdził potem, że zastał swojego zwierzchnika z pękiem żółtych kwiatów w rękę. Ów przystaw, osobnik upojony władzą, Wasilij Iwanowicz Flibustierow, był w naszym mieście od niedawna, zdążył już jednak odznaczyć się i wsławić swą niesłychaną gorliwością, jakimś rozpędem w wykonywaniu poleceń i wrodzoną niepowściągliwością. Wyskoczył z powozu i nie tracąc bynajmniej kontenansu na widok dziwnego zajęcia ekscelencji ani nieprzytomnego, chociaż poważnego wyrazu jego twarzy, zameldował jednym tchem, że „w mieście jest niespokojnie”.

- He? Co? - odezwał się Lembke z twarzą surową, lecz bez najmniejszego zdziwienia; nie pamiętał zupełnie, że tu przyjechał - całkiem jak gdyby działa się to w gabinecie.

- Prystaw Flibustierow, wasza ekscelencjo. W mieście bunt.

- Flibustierzy ?3 - zapytał Lembke w zadumie.

- Wedle rozkazu, ekscelencjo. Buntują się szpigulinowcy.

- Szpigulinowcy!

Coś sobie jak gdyby przypomniał na dźwięk tego słowa. Drgnął i dotknął palcem czoła.

„Szpigulinowcy!” W milczeniu, wciąż jeszcze zamyślony, ruszył wolnym krokiem w kierunku powozu, wsiadł i kazał jechać do miasta. Prystaw podążył za nim. *

Sądzę, że w drodze niejasno snuły mu się po głowie najrozmaitsze ciekawe myśli na różne tematy, wątpię jednak, aby wjeżdżając na plac przed domem gubernatora powziął jakieś stanowcze postanowienie lub zdawał sobie wyraźnie sprawę z okoliczności. Dopiero gdy zobaczył uszykowany i hardo stojący tłum „buntowników”, łańcuch policjantów, bezsilnego (a może rozmyślnie bezsilnego) policmajstra, skierowane ku sobie wyczekujące spojrzenia wszystkich, krew uderzyła mu do głowy. Gniewny wyskoczył z powozu.

- Czapki zdjąć - powiedział ledwo dosłyszalnym głosem. - Na kolana!4 - pisnął nieoczekiwanie, nieoczekiwanie nawet dla siebie, i ów właśnie nieoczekiwany okrzyk stał się może powodem dalszego biegu wypadków. Była to niby jazda z góry sankami, w czasie zapustów. Czy to możliwe, aby sanki, nabrawszy rozpędu, zatrzymały się pośrodku góry?

441

Jak na złość, Lembke przez całe życie miał charakter pogodny. Nigdy na nikogo nie krzyczał i nie tupał nogami, a z takimi ludźmi najniebezpieczniej, gdy się zdarzy, że ich sanki nagle zaczną lecieć

z góry. Wszystko zawirowało wokół niego.

- Flibustierzy! - wykrzyknął jeszcze piskliwie) i już zupełnie bez sensu; głos mu się załamał. Stał nie wiedząc jeszcze, co robi, lecz wiedząc i czując każdym nerwem, że na pewno za chwilę coś zrobi.

- „Boże miłosierny!” - rozległo się z tłumu. Jakiś chłopiec zaczął się żegnać, kilku robotników chciało naprawdę uklęknąć, lecz inni całą gromadą ruszyli jakieś trzy kroki do przodu i raptem wszyscy zaczęli krzyczeć. „Wasza ekscelencjo! Umawiali nas po czterdzieści... zarządzający... nie można mówić...” itd., itd. Nic się z tego nie rozumiało.

Niestety, Lembke nie mógł tego zrozumieć: trzymał jeszcze w ręku kwiatki. Bunt był dla niego czymś oczywistym, jak niedawno kibitki dla Stiepana Trofimowicza. A wśród gromady „buntowników”, którzy wytrzeszczali na niego oczy, snuł się wciąż w wyobraźni Andrzeja Antonowicza „podjudzający” ich Piotr Stiepanowicz, który nie opuszczał go ani na chwilę od wczoraj - Piotr Stiepanowicz, znenawidzony Piotr Stiepanowicz.

- Różgi! - jeszcze bardziej zaskakująco zawołał Lembke.

Zapanowało grobowe milczenie.

Tak się to wszystko zaczęło, sądząc podług najściślejszych informacji i podług moich domysłów. Dalsze relacje nie są tak ściśle i moje domysły nie są już pewne. Znane są tylko niektóre fakty.

Przede wszystkim różgi zjawiły się jakoś niezwykle szybko; rzecz jasna, iż domyślny policmajster musiał je przygotować zawczasu. Ukarano zresztą tylko dwóch, nawet nie trzech, twierdząc stanowczo. To zwykły wymysł, jakoby wyćwiczone wszystkich, a przynajmniej połowę. Wymysłem jest także, jakoby schwytano i natychmiast za coś oćwiczone jakąś ubogą, lecz dobrze urodzoną niewiastę, która przechodziła obok; a przecież o tym sam czytałem później w jednej z petersburskich gazet. Opowiadano też w naszym mieście o jakiejś sta-ruszcze z przytułku cmentarnego, Awdotii Pietrownie Tara-pygin, która, jakoby wracając od znajomych do przytułku

442

i przechodząc przez plac, przecisnęła się przez tłum widzów, aby zaspokoić wrodzoną ciekawość, a zobaczywszy, co się dzieje, zawołała: „Wstyd”, i splunęła. Miano ją za to porwać i natychmiast oćwiczyć. Ta wiadomość przedostała się nie tylko do prasy, ale w mieście nawet zorganizowano naprędce składkę na rzecz staruszki. Sam dałem dwadzieścia kopiejek. I cóż? Okazało się, że w ogóle żadnej takiej staruszki w naszym mieście nie było! Chodziłem osobiście sprawdzić w przytułku cmentarnym. O żadnej staruszcze nazwiskiem Tarapygin nawet tam nie słyszano; mało tego, obrażono się, gdym powtórzył krążącą po mieście plotkę. Jeżeli w ogóle wspominam tu o nie istniejącej Awdotii Pietrownie, to tylko dlatego, że ze Stiepanem Trofimowiczem o mało nie zdarzyło się to, co z nią (gdyby w ogóle istniała); może to właśnie on dał powód do plotki o staruszcze; może w dalszym obiegu tej plotki po prostu przemianowano Stiepana Trofimowicza na jakąś staruszkę. A najważniejsze, że nie rozumiem wcale, w jaki sposób mój przyjaciel wysliznął mi się, ledwośmy weszli na plac. Przeczuwając, że to się może źle skończyć, chciałem przeprowadzić go naokoło placu do domu gubernatora, lecz sam przez ciekawość zatrzymałem się na chwilę, aby się rozpylać wśród przechodniów, i nagle widzę, że Stiepan Trofimowicz znikł. Wiedziony instynktem, zacząłem natychmiast szukać go w miejscu najbardziej niebezpiecznym; przeczuwałem jakoś, że już i sanki mego przyjaciela lecą pędem z góry. Rzeczywiście, znalazłem go w samym środku wydarzeń. Pamiętam, że chwyciłem go za rękę; on jednak spojrzął na mnie wyniośle, spokojnie i z wielką pewnością siebie.

- Cher - rzekł głosem, w którym drżała jakaś naderwana struna - Jeżeli oni wszyscy tu, na placu, wobec nas działają tak bezceremonialnie, czegoż możemy oczekiwać od tego... gdy wypadnie mu działać samodzielnie!

Drżąc z oburzenia, trawiony żądzą protestu, Stiepan Trofimowicz wskazał palcem na Flibustierowa, który stał o dwa kroki i wytrzeszczał na nas oczy.

- Od tego? - krzyknął Flibustierow, doprowadzony do pasji. - Od jakiego „tego”? A tyś kto? - wołał zaciskając pięści. - Kto? - wrzasnął wściekle, z chorobliwą namiętnością. (Muszę dodać, że doskonale znał z widzenia Stiepana Trofimowicza.) Jeszcze chwila, a chwyciłby go za kołnierz;

443

na szczęście Lembke, słysząc okrzyk, odwrócił się w naszym kierunku. Spojrzał na Stiepana Trofimowicza zdziwionym wzrokiem, jak gdyby zaczynał zdawać sobie z czegoś sprawę, i nagle niecierpliwie machnął ręką. Flibustierow powstrzymał się. Wyciągnąłem przyjaciela z tłumu. Może zresztą on sam już pragnął się wycofać.

- Do domu, do domu! - wołałem. - Jeżeli nie dostaliśmy w skórę, to oczywiście tylko dzięki Lembkemu.

- Wracaj, przyjacielu! To moja wina, iż naraziłem pana na niebezpieczeństwo! Ma pan przed sobą przyszłość, karierę, ja zaś... mon heure a sonne*.

Stanowczym krokiem wszedł na ganek gubernatorskiego domu. Szwajcar znał mnie. Oznajmiłem mu, że obaj przyszliśmy do Julii Michaj łowny. Usiedliśmy w poczekalni. Nie chciałem opuszczać mego przyjaciela, uważając jednocześnie dalszą rozmowę z nim za zbędną. Miał minę człowieka, który dobrowolnie ofiarował się na pewną śmierć dla ojczyzny. Usiedliśmy me obok siebie, lecz w dwóch rogach pokoju, ja - bliżej drzwi wejściowych, on zaś naprzeciwko, schyliwszy głowę w zamyśleniu i opierając się oburącz o łaskę. W lewej ręce trzymał jednocześnie swój szeroki kapelusz. Przesiedzieliśmy tak z dziesięć minut.

II

Lembke wszedł zniecierpliwionym szybkim krokiem w towarzystwie policmajstra, spojrzał z roztargnieniem i nie zwróciwszy na nas uwagi, poszedł na prawo w kierunku gabinetu, lecz Stiepan Trofimowicz stanął przed nim i zagroził mu drogę. Wysoka, oryginalna postać Stiepana Trofimowicza wywarła wrażenie: Lembke zatrzymał się.

- Kto to ? - zapytał zdziwiony, jak gdyby kierując pytanie do policmajstra, lecz nawet nie odwrócił się do niego, wpatrując się wciąż w Stiepana Trofimowicza.

- Dymisjonowany asesor kolegiálny Stiepan Trofimowicz Wierchowieński, ekscelencjo! - odparł Stiepan Trofimowicz, dostojnie schylając głowę.

444

Jego ekscelencja wciąż mu się przypatrywał, zresztą dość tęnym wzrokiem.

- O co chodzi ? - zapytał lakonicznie i niecierpliwie zwrócił ucho do Stiepana Trofimowicza, przyjąwszy go za zwykłego petenta, który przyniósł jakąś prośbę na piśmie.

- Urzędnik, który działał w imieniu waszej ekscelencji, dokonał dziś u mnie rewizji, chciałbym więc...

- Nazwisko, nazwisko ? - niecierpliwie zapytał Lembke, jak gdyby w tej chwili czegoś się domyślił.

Stiepan Trofimowicz jeszcze dostojniej powtórzył swoje nazwisko.

- A-a-a! To ten... krzewiciel! Łaskawy panie, dał się pan poznać z takiej strony... Pan jest profesorem? Profesor?

- Miałem zaszczyt wygłosić kilka wykładów dla młodzieży -skiego uniwersytetu.
- Mło-dzie-ży! - drgnął Lembke, choć mógłbym się założyć, że ani nie zdawał sobie sprawy, o co chodzi, ani może nawet nie wiedział, z kim rozmawia. -Mój panie! - rozżościł się nagle. -Ja do tego nie dopuszczę! Nie dopuszczę młodzieży! To, moi panie, proklamacje! To atak na społeczeństwo! To korsarstwo! Flibustierizm! O co pan prosi?
- Przeciwnie. To małżonka ekscelencji prosiła mnie, bym wziął udział w jutrzejszym poranku literackim. Ja zaś nie proszę, lecz upominam się o moje prawa.
- Na zabawie? Zabawy nie będzie! Nie dopuszczę do waszej zabawy! Wykłady? Wykłady?- krzyczał nieprzytomnie.
- Prosiłbym bardzo, aby ekscelencja zechciał rozmawiać ze mną uprzejmie, nie tupiąc nogami i nie krzyżąc na mnie jak na młokosa.
- Czy pan zdaje sobie sprawę, z kim pan rozmawia? - zaczerwienił się Lembke.

- Najzupełniej, ekscelencjo,

- Ja ochraniam porządek społeczny, pan zaś go burzy. Pan go bu-rzy!... A zresztą przypominam sobie pana: pan był wychowawcą w domu generałowej Stawrogin?
- Tak... byłem wychowawcą... w domu generałowej Stawrogin.
- I w ciągu lat dwudziestu krzawił pan to, co teraz wypląnęło na wierzch... To owoce... Mam wrażenie, że widzia-

445

łem pana przed chwilą na placu. Radzę panu nie być tak pewnym siebie. Znam kierunek pańskich myśli. Ja, mój panie, nie mogę pozwolić na pańskie wykłady. Nie mogę. Z takimi prośbami niech się pan zwraca nie do mnie. Znow próbował przejść obok.

- Powtarzam, iż ekscelencja się myli. To małżonka ekscelencji prosiła mnie o odczytanie czegoś na jutrzejszej zabawie. Nie wykładu, lecz jakiejś pracy literackiej. Sam zresztą od tego zaszczytu wymawiam się obecnie. Prosiłbym zaś ponownie o łaskawe wyjaśnienie mi, w miarę możliwości: jakim prawem, za co i dlaczego dokonano dziś w moim mieszkaniu rewizji? Zabrano mi kilka książek, papiery, listy osobiste, mające dla mnie wartość, i wywieziono to wszystko na taczkach...

Lembke opamiętał się całkowicie i znow poczerwieniał.

- Kto zrobił rewizję?

Zwrócił się do policmajstra. W tej chwili ukazała się w drzwiach zgarbiona, długa, niezgrabna postać Bluma.

- Ten właśnie urzędnik - wskazał go Stiepan Trofimo-wicz.

Blum wysunął się naprzód z miną winowajcy, który nie ma jednak zamiaru się poddawać.

- Vous ne faites que des betises* - rzucił w jego stronę Lembke ze złością i niechęcią. W tej chwili odzyskał już całkowicie przytomność i zmienił ton.

- Proszę wybaczyć... - wybełkotał w zmieszaniu, czerwony po uszy. - To po prostu... zwykła niezręczność, nieporozumienie... Tak, tylko nieporozumienie...

- Ekscelencjo - odparł Stiepan Trofimowicz. - W młodości zdarzyło mi się być świadkiem charakterystycznej sceny. W teatrze, na korytarzu, ktoś podszedł gwałtownie do kogoś i wymierzył mu publicznie głośny policzek. Zorientowawszy się jednak od razu, że spoliczkowana osoba nie była tą, dla której policzek był przeznaczony, może co najwyżej podobną, z gniewem, śpiesząc się,

jak ktoś, kto nie chce tracić drogiego czasu, człowiek ów powiedział zupełnie tak samo jak teraz ekscelencja: „Omyliłem się... przepraszam... to nieporozumienie... to tylko nieporozumienie.” Gdy zaś poszkodowany wciąż się gniewał i krzyczał, napastnik z wyrazem

Robi pan same głupstwa

446

głębokiego niezadowolenia zawołał: „Przecież mówię panu, że to nieporozumienie, po co więc pan jeszcze krzyczy?”

- Tak... zapewne... - odparł Lembke z kwaśnym uśmiechem. - To bardzo śmieszne... Czy jednak pan nie widzi, jaki ja sam jestem nieszczęśliwy?

Prawie krzyknął i... i zdaje się, że usiłował nawet ukryć twarz w dłoniach.

Ten nieoczekiwany bolesny okrzyk, ten szloch prawie, był nie do zniesienia. Była to prawdopodobnie pierwsza od wczorajszego dnia chwila, gdy Lembke uświadomił sobie dokładnie wszystko, co zaszło, a zarazem chwila całkowitej, upokarzającej rozpacz; kto wie, jeszcze moment, a może zaczęłby głośno płakać. Stiepan Trofimowicz spojrzał na niego zdumiony, lecz po chwili schylił nagle głowę i rzekł tonem głębokiego współczucia:

- Ekscelencjo, proszę zapomnieć o mojej gderliwej skardze i proszę tylko polecić, aby mi oddano moje książki i listy...

Zanim skończył, Julia Michajłowna wróciła do domu wraz z całą towarzyszącą jej hałaśliwą czeredą. Chcę jednak opisać to wszystko jak najdokładniej.

III

Przed wszystkim wszyscy razem, że wszystkich trzech powozów, tłumnie weszli do poczekalni. Wejście do apartamentów Julii Michajłowny było oddzielne, wprost z ganku. Tym razem jednak wszyscy skierowali się przez poczekalnię, jak sądzę, dlatego, że był tu Stiepan Trofimowicz i że wszystko, co mu się wydarzyło, podobnie jak i cała historia z robotnikami, zostało już zakomunikowane Julii Michajłownie przy wjeździe do miasta. Zdążył to zrobić Lamszyn, który za jakieś przewinienie pozostawiony był w domu, nie uczestniczył w wyprawie i wobec tego pierwszy dowiedział się o wszystkim.

Ze złośliwym zadowoleniem pocwałował na wynajętej szkapie kozackiej w kierunku Skworesznik, wioząc wesołe nowiny powracającej gromadzie. Sądzę, że Julia Michajłowna, pomimo stanowczości swej decyzji, była jednak trochę zbита z tropu, gdy dowiedziała się o tak dziwnych rzeczach. Zmieszanie jej musiało jednak trwać niedługo. Polityczna strona

447

zajścia na przykład nie mogła jej niepokoić: Piotr Stiepanowicz już kilkakrotnie przekonywał ją, że szpigulinowskich awanturników dawno należało oćwiczyć, a Piotr Stiepanowicz był dla niej od pewnego czasu bezwzględny autorytetem. „A jednak... a jednak on mi za to zapłaci” - pomyślała na pewno, przy czym on - to był oczywiście jej mążnek. Dodam tu nawiasem, że Piotr Stiepanowicz także, jak gdyby naumyślnie, nie uczestniczył tym razem w spacerze i od samego rana nikt go nigdzie nie widział. Muszę także wspomnieć, że Barbara Pietrowna, po przyjęciu u siebie gości, wróciła razem ze wszystkimi do miasta, w jednym powozie z Julią Michajłowną. Chciała koniecznie być obecna na ostatnim posiedzeniu komitetu, dotyczącym jutrzejszej zabawy. Oczywiście i ją także musiały interesować, a może nawet przejąć, zakomunikowane przez Lamszyna wiadomości o Stiepanie Trofimowiczu.

Rozprawa z Andrzejem Antonowiczem rozpoczęła się natychmiast. Niestety! Zrozumiał to od

pierwszego wejrzenia. Z radosną twarzą, z czarującym uśmiechem, Julia Michajłówną szybkim krokiem podeszła do Stiepana Trofimowicza, wyciągnęła do niego prześlicznie urękawiczoną rączkę i zasypała go najpochlebniejszymi powitaniem, jak gdyby od samego rana miała jedno tylko pragnienie: jak najprędzej podbiec i podziękować Stiepanowi Trofimowiczowi za to, że wreszcie zawitał w jej progi. Ani słówka o porannej rewizji, jak gdyby nie wiedziała o niczym. Ani słowa do męża, ani jednego spojrzenia w jego stronę - jak gdyby wcale go tu nie było. Nie poprzestała na tym. Natychmiast władczo zarekwirowała Stiepana Trofimowicza i zaprowadziła go do bawialni - jak gdyby między nim a Lembkem nie było żadnej rozmowy, a gdyby nawet była, to nie warto jej kończyć. Wydaje mi się nawet, że Julia Michajłówną, pomimo swojego górnego tonu, w danym wypadku znowu przeholowała. Pomógł jej zwłaszcza Karma-zinow (który na specjalną prośbę Julii Michajłówny wziął udział w wycieczce i w ten sposób, choć pośrednio, złożył wreszcie wizytę Barbarze Pietrownie, co sprawiło, że Barbara Pietrowna była w siódmym niebie). Karmazinow wszedł ostatni i już od progu, zobaczywszy Stiepana Trofimowicza, zaczął krzyczeć, przerywając nawet Julii Michajłównie, i podbiegł, by go uściskać.

448

- Kopę lat! Tyle lat! Nareszcie... Excellent atni...* Zabrał się do całowania i, jak zwykle, podsunął policzek. Stiepan Trofimowicz nie zorientował się w porę i musiał go wycalować.

- Cher - mówił mi wieczorem, przypominając sobie wszystkie szczegóły.-Pomyślałem wtej chwili: kto z nas jest podlejszy? Czy on, który ściska mnie po to, aby natychmiast poniżyć, czy ja, który pogardzam nim i jego policzkami, a jednak ucałowałem go, chociaż mogłem się doskonale odwrócić? Tfu!

- No, niechże pan opowiada, niechże pan opowiada wszystko - pieścił się i grymasił Karmazinow, jak gdyby rzeczywiście można było opowiedzieć jednym tchem dwudziestopięcioletni okres życia. Ta naiwna lekkomyślność była jednak „w najlepszym tonie”.

Stiepan Trofimowicz zaczął mu opowiadać bardzo rozsądnie, a więc już nie w „najlepszym tonie”.

- Niech pan pamięta, że ostatni raz spotkaliśmy się w Moskwie, na obiedzie wydanym na cześć Granowskiego,5 i że od tego czasu minęło dwadzieścia cztery lata...

- Ce cher homme** - krzykliwie i nonszalancko przerwa! Karmazinow, trochę zbyt kordialnie ściskając go za ramię. - Julio Michajłowno! Niechże pani jak najprędzej zabierze nas do siebie. On tam usiądzie i opowie nam wszystko.

- Przecież nigdy z tą obraźliwą babą nie byłem w bliskich stosunkach - skarżył się wieczorem Stiepan Trofimowicz trzęsąc się z gniewu. - Byliśmy wtedy obaj młodzi, a już zaczynałem go nienawidzić. Oczywiście on mnie także...

Salon Julii Michajłówny wypełnił się szybko. Barbara Pietrowna była wyjątkowo podniecona, chociaż usiłowała udawać obojętną. Pochwyciłem jednak kilka jej nienawistnych spojrzeń rzuconych na Karmazinowa i gniewnych - na Stiepana Trofimowicza, gniewnych z rozmysłu, gniewnych przez zazdrość, z przywiązania. Gdyby Stiepan Trofimowicz tym razem spudłował i nie zdał egzaminu wobec Karmazinowa, chyba natychmiast zerwałaby się i pobiła go. Zapomniałem powiedzieć, że była tu także Liza, a nigdy jeszcze nie widzia-

Na)droższy przyjacielu. . Kochany człowiek

449

łem jej tak radosnej, dziecinnie wesołej i szczęśliwej. Był też, rzecz prosta, Maurycy Nikołajewicz. W tym tłumie młodych pań i nonszalanckich młodzieńców, stanowiących normalną świtę Julii Michajłówny, wśród których owa nonszalancka uchodziła za wesołość, a cynizm - za rozum, dostrzegłem kilka nowych twarzy; jakiś przyjezdny Polak, nadskakujący i usłużny, jakiś Niemiec-

doktor, czerstwy staruszek, który co chwila śmiał się szeroko i rozkosznie z własnych dowcipów, wreszcie jakiś bardzo młody książe z Petersburga, sztywna figura o postawie męża stanu i w okropnie wysokim kołnierzyku. Widać było, że Julia Michajłowna wielce ceni sobie tego gościa i niepokoi się, co też on pomyśli o jej salonie.

- Cher monsieur Karmazinoff - rozpoczął Stiepan Trofimowicz usiadłszy w malowniczej pozie na kanapie i przeciągając słowa nie gorzej od Karmazinowa - cher M. Karmazinoff, życie człowieka naszej minionej epoki, człowieka o pewnych przekonaniach, nawet po dwudziestu pięciu latach musi wydawać się monotonne...

Niemiec zaśmiał się głośno, jak gdyby zarżał: myślał prawdopodobnie, iż Stiepan Trofimowicz powiedział coś niesłychanie dowcipnego. Stiepan Trofimowicz spojrział na Niemca z doskonale udanym zdziwieniem, nie zrobiło to jednak na nim należytego wrażenia. Spojrział na Niemca poprzez binokle również i książe, zwróciwszy ku niemu twarz razem z kołnierzykiem, chociaż twarz jego nie zdradzała najmniejszego zaciekawienia.

- Musi wydawać się monotonne - naumyślnie powtórzył Stiepan Trofimowicz, jak najdłużej, jak najdobitniej przeciągając każdą sylabę. - Takie też było moje życie przez ćwierć wieku, et comme on trouue partout plus de moines, que de raison*6 i ponieważ taka jest właśnie moja opinia, musiało się skończyć na tym, że...

- Cest charmant, ces moines** - szepnęła Julia Michajłowna zwracając się do Barbary Pietrowny, która siedziała obok niej.

Barbara Pietrowna odpowiedziała dumnym spojrzeniem. Karmazinow jednak pozazdrościł powodzenia francuskiego frazesu i krzykliwie przerwał Stiepanowi Trofimowiczowi.

a ponieważ wszędzie więcej jest mnichów niż rozsądku To czarujące, ci mnisi

450

- Co do mnie, tom się już zupełnie uspokoił pod tym względem, i oto od siedmiu lat bawię w Karlsruhe.⁷ Gdy w zeszłym roku rada miejska uchwaliła przeprowadzić wodociągi, poczułem w głębi serca, że ta kwestia wodociągowa w Karlsruhe jest mi bliższa od wszystkich zagadnień naszej ukochanej ojczyzny... przez cały okres tak zwanych reform tutejszych.

- Muszę podzielić pańską opinię wbrew własnej - westchnął Stiepan Trofimowicz, znacząco schyliwszy głowę.

Julia Michajłowna triumfowała. Rozmowa stawała się głęboka i miała tendencję społeczną.

- Rury kanalizacyjne? - głośno indagował doktor.

- Wodociągowe, doktorze, wodociągowe. Pomagałem im nawet układać projekt.

Doktor parsknął śmiechem. Parę osób zaśmiało się w oczy doktorowi, który jednak tego nie zrozumiał i był okropnie rad, że wszyscy się śmieją.

Julia Michajłowna uznała za niezbędne zaprotestować.

- Nie mogę zgodzić się z panem, panie Karmazinow. Karlsruhe - to swoją drogą, ale pan lubi mistyfikować, i tym razem nie uwierzymy panu. Któż spośród Rosjan, jakież pisarz stworzył tyle współczesnych typów, rozwiązał tyle współczesnych zagadnień, wskazał te zasadnicze cechy, które składają się na typ współczesnego działacza? Pan, tylko pan, nikt inny! Niechże pan potem nam wmawia, że nic pana nie obchodzi ojczyzna i że niesłychanie zajmuje pana wodociąg w Karlsruhe! Cha, cha!

- No, oczywiście - przeciągał Karmazinow. - W postaci Pogożewa ukazałem wszystkie wady słowianofilów, a w postaci Nikodimowa wszystkie wady okcydentalistów...⁸

- Czyżby wszystkie? - szepnął Lamszyn.

- Ale ja to robię od niechcenia, byle zabić natarczywy czas... i zaspokoić natarczywe żądania moich rodaków.

- Panu wiadomo zapewne, Stiepanie Trofimowiczu - mówiła dalej uroczyście Julia Michajłowna - iż jutro będziemy mieli szczęście wysłuchać przepięknej rzeczy... ostatni natchniony utwór beletrystyczny Siemiona Jegorowicza. Tytuł brzmi: Merci. W tym cacku Siemion Jegorowicz obwieszcza, że więcej już pisać nie będzie za żadne skarby świata. Nie będzie pisał, chociażby anioł z nieba, lub ściślej, cały

29” 451

beau monde błagai go o zmianę decyzji. Słowem, łamie pióro na zawsze i zwraca się do szerokiej publiczności z pełnym wdzięku Mera w dowód wdzięczności za nieustanny zachwyty, który towarzyszył zawsze jego trudom, złożonym w ofierze uczciwej rosyjskiej myśli.

Julia Michajłowna była u szczytu rozkoszy.

- Tak, pożegnam się; odczytam swoje Merci i wyjadę, a tam... w Karlsruhe... zamknę powieki - topniał z wolna Karmazynow.

Jak wielu naszych znakomitych pisarzy (a mamy przecież bez liku znakomitych pisarzy!) zbyt łatwo ulegał pochlebstwu i od razu miękł pomimo swojej inteligencji. Trzeba mu to wybaczyć. Jeden z naszych domorosłych Szekspirów podobno w rozmowie prywatnej odezwał się w ten sposób: „my, wielcy ludzie, nie możemy inaczej” - i nawet sam na to nie zwrócił uwagi.⁹

- Tam w Karlsruhe zamknę powieki. Taki już nasz los. My, wielcy ludzie, po skończeniu dzieła winniśmy jak najrychlej zamykać powieki, nie oczekując nagrody. Tak też i ja uczynię.

- Niech mi pan da adres - roześmiał się Niemiec - przyjadę do Karlsruhe na pana grób.

- Teraz koleje przewożą nawet umarłych - niespodziewanie wtrącił któryś z mniej znacznych młodzieńców.

Lamszyn aż pisnął z zachwyty. Julia Michajłowna zasępiła się. Wszedł Mikołaj Stawrogin.

- A mnie powiedziano, że pan jest aresztowany - rzekł głośno, zwracając się przede wszystkim do Stiepana Trofimowicza.

- O nie, były jedynie próby w tym kierunku - zażartował Stiepan Trofimowicz.

- Spodziewam się, że cała ta przykra historia nie wpłynie na rezultat mojej prośby - odezwała się znów Julia Michajłowna. - Ufam, że zapomni pan o tej drobnej przykrości, o której zresztą dotychczas nie jestem poinformowana, i nie zawiedzie pan naszych oczekiwań... Tak dużo obiecujemy sobie po jutrzejszym pańskim występie na poranku literackim.

- Nie wiem sam... teraz...

- Ach, Barbaro Pietrowno! Właśnie teraz, kiedy tak pragnąłem poznać bliżej jeden z najwybitniejszych i najbardziej

452

niezależnych umysłów w Rosji, Stiepan Trofimowicz ma zamiar nas porzucić.

- Komplement był tak głośny, że właściwie powinienem był go nie dosłyszeć - odpalił Stiepan Trofimowicz. - Wątpię jednak, aby moja skromna osoba była aż tak niezbędna dla uświetnienia jutrzejszej zabawy. A zresztą...

W tej chwili wpadł do pokoju młody Wierchowieński i od progu wykrzykiwał:

- Nie psujcie mi go, panie! Ledwom zdołał wziąć go nieco w karby, a tu naraz w ciągu jednego poranku - rewizja, aresztowanie, policjant chwyta go za kołnierz, a potem ułaskawiają go panie w salonie władcy miasta! Toć każda kosteczka drży w nim z zachwytu! Nawet mu się nie śnił taki benefis! Teraz dopiero zacznie donosić na socjalistów!

Julia Michajłowna energicznie stanęła w obronie pokrzywdzonego.

- To niemożliwe, Piotrze Stiepanowiczu. Socjalizm jest zbyt wzniosłą ideą, aby ojciec pański nie zdawał sobie z tego sprawy.

Stiepan Trofimowicz przerwał dyskusję:

- Tak, idea jest wzniosła, lecz nie wszyscy jej wyznawcy dorosli do niej, et brisons Id, mon cher*.

Eleganckim ruchem wstał z miejsca.

Lecz wtedy właśnie nastąpiła okoliczność najmniej spodziewana. Von Lembke już od kilku chwil był w salonie. Nikt na niego nie zwracał uwagi, chociaż wszyscy widzieli, jak wchodził. Małżonka jak gdyby go nie dostrzegając, wierna uprzedniej taktyce. Usadowił się gdzieś pode drzwiami i z ponurą miną przysłuchiwał się rozmowie. Gdy wpadły mu w uszy aluzje do porannych wydarzeń, zaczął się kręcić niespokojnie i wpatrywał się w księcia, jak gdyby zdumiewał go wysoko wystający i mocno nakrochmalony kołnierz. Dreszcz go przeszył, gdy zobaczył młodego Wierchowieńskiego, ledwo zaś Stiepan Trofimowicz zdążył wygłosić swoją sentencję o socjalistach, gdy nagle szybkim krokiem podszedł do niego potrącając Lamszyna, który odskoczył w bok z przesadnym gestem i zdumieniem, pocierając ramię i udając, że został bardzo dotkliwie poturbowany.

- i skończmy na tym, mój drogi

453

Von Lembke chwycił wystraszonego Stiepana Trofimowicza za rękę i ścisnął ją z całej siły.

- Dość tego - zawołał. - Dość tego, zdradzili się fli-bustierzy naszych czasów! Ani słowa więcej! Wszelkie środki przedsięwzięte.

Powiedział to głośno, na cały salon, zakończył dobitnie. Wrażenie było piorunujące. Wszyscy poczuli, iż dzieje się coś złego. Widziałem, jak Julia Michajłowna zbladła. Głupi wypadek zakończył tę scenę. Oznajmiwszy, że wszystkie środki zostały przedsięwzięte, Lembke odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi, lecz po paru krokach zawadził o dywan, zachwiał się i omal nie upadł. Zatrzymał się na chwilę, spojrzawszy na to miejsce, gdzie się potknął, powiedział głośno: „Zmienić” - i wyszedł z salonu. Julia Michajłowna wybiegła za nim. Po jej wyjściu rozległ się gwar, w którym trudno było coś zrozumieć. Jedni twierdzili: „wytracony z równowagi”, inni: „nieprzytomny”. Ten i ów dotykał palcem czoła; Lamszyn zaś gdzieś w kącie wystawił nad głowę dwa palce. Przebąkiwano o jakichś sprawach domowych, wszystko oczywiście szeptem. Nikt nie zdradzał chęci opuszczenia salonu, wszyscy trwali w oczekiwaniu. Nie wiem, jak poradziła sobie Julia Michajłowna, lecz po kilku minutach wróciła, usiłując za wszelką cenę okazać się spokojną. Odpowiadała wymijająco, że Andrzej Antonowicz jest nieco zdenerwowany, że to głupstwo, że zdarza się to z nim od dzieciństwa, że ona najlepiej o tym wie, że wreszcie jutrzejsza zabawa na pewno go rozerwie. Potem zaś skierowała jeszcze kilka pochlebnych słów pod adresem Stiepana Trofimowicza, lecz teraz już tylko przez grzeczność, i wreszcie zaproponowała członkom komitetu natychmiastowe rozpoczęcie obrad. Ci, którzy nie należeli do komitetu, teraz dopiero ruszyli do wyjścia. Lecz niezwykle wydarzenia tego feralnego dnia nie były jeszcze skończone.

W chwili, gdy wchodził Stawrogin, zauważyłem, że Liza przenikliwie spojrzała na niego i przez dłuższy czas nie spuszczała zeń oczu. Trwało to tak długo, iż zwróciło na siebie uwagę. Widziałem, jak Maurycy Nikołajewicz pochylił się nad nią. Zdawało się, że chce jej coś szepnąć, lecz

najwidoczniej zmienił zamiar i wyprostował się spoglądając na zebranych z miną winowajcy. Wygląd Stawrogina także zastanawiał. Był blejszy niż zazwyczaj, a wzrok miał niezwykle roztargniony. Skiero-

454

wawszy przy wejściu pytanie do Stiepana Trofimowicza, zapomniał o nim niezwłocznie, i, zdaje mi się, że zaniedbał nawet podejść do pani domu. Na Lizę nie spojrzął ani razu, nie dlatego, że nie chciał, lecz dlatego, że, jestem tego pewien, po prostu jej nie zauważył. I oto nagle, po chwilowym milczeniu, które towarzyszyło słowom Julii Michajłowny, by natychmiast rozpocząć obrady, rozległ się dźwięczny, rozmyślnie donośny głos Lizy.

- Mikołaju Wsiewołodowiczu - zwróciła się do Stawrogina - jakiś kapitan, który mówi, że jest pana krewnym, bratem pańskiej żony, nazwiskiem Lebiadkin, przysyła mi wciąż nieprzyzwoite listy i skarży się stale na pana. Proponuje mi, że ujawni jakieś pańskie tajemnice. Jeżeli istotnie jest pan z nim spowinowacony, niech pan zabroni ubliżać mi i uwolni mnie od tych nieprzyjemności.

Słowa te brzmiały jak straszne wyzwanie. Zrozumieli to wszyscy. Istota oskarżenia była wyraźna, chociaż prawdopodobnie nieoczekiwana dla niej samej. Liza przypominała człowieka, który zamyka oczy i rzuca się z dachu.

Lecz odpowiedź Stawrogina była jeszcze dziwniejsza.

Przede wszystkim już to było niezwykle, że wcale się nie zdumiał i wysłuchał słów Lizy uważnie i spokojnie. Na twarzy jego nie widać było ani gniewu, ani zakłopotania. Po prostu wyraźnie, z całą uprzejmością odpowiedział na fatalne pytanie.

- Tak, istotnie, wyznaję z przykrością, że jestem spowinowacony z tym człowiekiem. Jestem mężem jego siostry, z domu Lebiadkin, już od pięciu lat. Zapewniam panią, że nie zwlekając zakomunikuję mu to żądanie, i ręczę za niego, że więcej nie będzie pani niepokoił.

Nie zapomnę nigdy przerażenia, jakie odmalowało się na twarzy Barbary Pietrowny. Z nieprzytomnym wyrazem zerwała się wyciągnawszy prawą rękę, jak gdyby dla obrony. Stawrogin spojrzął na nią, potem na Lizę, na wszystkich obecnych, i uśmiechnął się wyniośle. Wolnym krokiem wyszedł z pokoju. Wszyscy widzieli, jak Liza zerwała się z kanapy w chwili, gdy wychodził Stawrogin, i zrobiła taki ruch, jak gdyby chciała biec za nim. Opamiętała się jednak. Nie wybiegła, lecz wyszła z pokoju, nie odezawszy się do nikogo i na nikogo nie patrząc, oczywiście w asyście Maurycego Ni-kołajewicza...

455

Czy mam powtarzać plotki, które krążyły tego wieczora Barbara Pietrowna zamknęła się u siebie, w swoim domu w mieście, a młody Stawrogin, jak mówiono, pojechał do Skworesznik nie pożegnawszy się z matką. Stiepan Trofimo-wież posłał mnie wieczorem do „cette chere amie”, abym wy-błagał dla niego pozwolenie na wizytę. Nie zostałem jednał przyjęty. Mój przyjaciel był zgnębiony. Płakał. „Takie małżeństwo! Takie małżeństwo! Taki skandal w rodzinie! Powtarzał to bez przerwy. Nie zapomniał jednak o Karmazynowie i wciąż mu urągał. Robił jednocześnie energiczne przygotowania do jutrzejszego występu. Jako dusza artystyczna, pozował przed lustrem i przypominał sobie wszystkie dowcipy i wszystkie kalambury, które mu się kiedykolwiek w życiu udały, aby wpleść je do jutrzejszego przemówienia. Miał je zapisane w osobnym kajecie.

- Mój przyjacielu! Robię to w imię szczytnej idei! - zwracał się do mnie, jak gdyby usprawiedliwiając się. - Cher ami! Ruszyłem z miejsca, na którym trwałem dwadzieścia pięć lat, i nagle jadę, dokąd - nie wiem, lecz jadę...

CZĘŚĆ TRZECIA

ZABAWA

KONIEC ZABAWY

KONIEC ROMANSU

OSTATNIA DECYZJA

PODRÓŻNICZKA

FATALNA NOC

OSTATNIA WĘDRÓWKA

STIEPANA TROMMOWICZA

!0 Dostojcuskł, t III

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ZABAWA

I

Zabawa odbyła się pomimo wydarzeń minionego „szpigu-linowskiego” dnia. Mam wrażenie, że nawet śmierć gubernatora nie zdołałaby odroczyć uroczystości, gdyż Julia Michajłówna przywiązywała do niej zbyt wielką wagę. Niestety! Do ostatniej chwili była jak zaślepiona i nie rozumiała nastrojów społeczeństwa. Pod koniec już nikt nie wierzył, aby ten uroczysty dzień mógł się obejść bez jakichś kolosalnych komplikacji, bez jakiegoś „epilogu”, jak to określał ten i ów, zawczasu zacierając dłonie. Jakkolwiek niejeden stroił się w maskę pochmurną i dyplomatyczną, przyznać należy, że na ogół wszelki skandal i zamęt publiczny niezwykle cieszy serce Rosjanina. W nastroju ogólnym wyczuwało się wszakże coś więcej niż pożądlive oczekiwanie skandalu: panowało powszechne rozdrażnienie, jakieś gniewne niezadowolenie. Można by sądzić, że wszystkim już się wszystko znudziło. Rozkrzewił się jakiś zbiorowy cynizm, cynizm wbrew woli, prawie pod przymusem. Tylko panie nie miały wątpliwości, lecz i to pod jednym względem: pod względem nienawiści do Julii Michajłowny. Tu już stykały się kierunki myśli wszystkich pań. Ona zaś, biedaczka, nawet nie podejrzewała; do ostatniej chwili była przekonana, że wszyscy „garną się” do niej, że są jej „fanatycznie oddani”.

Mówiłem już, że w naszym mieście pojawiły się jakieś podejrzane figury. Zawsze i wszędzie zjawiają się podejrzane typy w czasach burzliwych lub pełnych wątpliwości. I Nie mam na myśli tak zwanych „postępowców”, którzy wszędzie

459

biegną pierwsi (to główna ich troska), dążąc do celów niejednokrotnie bardzo głupich, lecz bądź co bądź jakoś określonych. Nie. Mam na względzie zwykłych łotrzyków. W każdym okresie przejściowym wypływają na wierzch kanalie, które istnieją przecież w każdym społeczeństwie. Wypływają na wierzch i już zupełnie bezcelowo, nawet bezmyślnie ujawniają i krzewią niepokój i zniecierpliwienie. I te kanalie, może nieświadomie, trafiają pod komendę małej garstki „ludzi jutra”, którzy działają celowo i kierują tamtymi, jak chcą, o ile zresztą nie są skończonymi idiotami, co także nieraz się zdarza. U nas na przykład teraz, gdy wszystko już należy do przeszłości, mówią, że Wierchowieńskim (młodym) rządziła Międzynarodówka, Wierchowieński - Julią Michajłówną, a Julia Mi-chajłówna na jego rozkaz musztrowała całą tę bandę. Najpoważniejsze umysły zastanawiają się teraz: jak mogło się stać coś podobnego. Na czym polegał ów okres zamętu i jak następowały zdarzenia - nie wiem. I nie wie zresztą nikt. Prawdopodobnie tylko ktoś obcy mógłby to zbadać. Bądź co bądź najgorsze indywidua opanowały całą resztę, zaczęły głośno krytykować najświętsze rzeczy, chociaż dawniej nie odważały się nawet ust otworzyć. Najlepsi zaś ludzie, przedtem kierujący opinią, zamilkli, zaczęli przysłuchiwać się tamtym. Niektórzy z nich nie wstydzili się sami nawet przyłączyć do drwin. Jakiś Lamszyn,

Tielatnikow, ziemianin Tientietni-kow, jakiś domorosły safandula Radiszczew,2 jacyś Żydkowie uśmiechający się boleśnie, lecz hardo, jacyś weseli podróżni, poeci stołeczni o określonych tendencjach, poeci bez tendencji i talentów, lecz za to w kubrakach i długich butach, majorowie i pułkownicy, szydzący z bezsensowności swego zawodu i gotowi w każdej chwili za jednego rubla więcej cisnąć szpadę i przyjąć stanowisko kancelistów kolejowych; generałowie, którzy przeszli do adwokatury; sprytni maklerzy, nie-dokształceni synkowie kupieccy, liczni seminarzyści, niewiasty będące żywym wcieleniem kwestii kobiecej - wszystko to zniecka zagarnęło innych. I kogo? Klub czcigodnych dygnitarzy, generałów z drewnianymi nogami, najdostojniejsze i najbardziej niedostępne matrony. Jeżeli nawet Barbara Pietrowna, aż do katastrofy z synem, była niemal służącą tych wszystkich kanalii, to czyż można mieć za złe naszym Minerwom ich chwilowe ogłupienie? Obecnie zwala się wszystko na Mię-

460

dzynarodówkę. Ta idea tak się utrwaliła, iż narzucana jest stale nawet gościom z innych stron. Niedawno jeszcze radca Ku-brikow, starzec sześćdziesięcioparoletni, że Stanisławem na szyi, nie indagowany przez nikogo, oznajmił najpoważniej, iż w ciągu trzech miesięcy pozostawał pod wpływem Międzynarodówki. Gdy z całym szacunkiem, należnym jego wiekowi i zasługom, poproszono go o ściślejsze wyjaśnienia, to starzec, aczkolwiek nie złożył żadnych dowodów rzeczowych i poprzestał na twierdzeniu, że „czuł to całą swoją istotą”, mocno obstawał przy pierwotnym oświadczeniu. Zaprzestano dalszych indagacji.

Powtarzam jeszcze raz: pozostawała wprawdzie nieliczna garstka ludzi przezornych, którzy zachowali od początku rezerwę i zamknęli się na trzy spusty, czyż jednak prawa przyrodzone nie są mocniejsze od rygli? W najprzezorniejszych rodzinach wychowują się dziewczęta, które muszą od czasu do czasu potaćzyć. Skończyło się więc na tym, że i ci najprze-zorniejsi nabyli bilety na zabawę. Bal zapowiadał się świetnie, niezwykle. Opowiadano cuda, krążyły pogłoski o przyjeździe księżąt z lornetkami, o dziesięciu gospodarzach balu, młodzieńcach ze wstęgami na lewym ramieniu; mówiono, że Karma -zinow, chcąc się przyczynić do zwiększenia dochodu z imprezy, zgodził się odczytać swoje Merci w stroju guwernantki z naszej guberni; o tym, że ma się odbyć „kadryl literacki” w kostiumach, a każdy kostium ma reprezentować określony prąd literacki. Wreszcie ma zatańczyć w przebraniu również i jakaś „uczciwa myśl rosyjska” - co już samo przez się stanowiło zupełną nowość. Jak więc można było nie kupić biletu? Kupowali wszyscy.

II

Według programu zabawa składać się miała z dwóch części: poranek literacki³ od południa do czwartej i bal od dziewiętej wieczorem do rana. Już w samym rozkładzie dnia tkwiły załączki nieładu. Przede wszystkim od początku wśród publiczności utrwaliły się pogłoski o śniadaniu, które miało się odbyć zaraz po poranku literackim albo w czasie jego trwania - podczas przerwy. Miało to być oczywiście śniadanie bez-

461

płatne, należące do programu, z szampanem. Wysoka cena biletów (trzy ruble) przyczyniła się do rozpowszechnienia tych pogłosek. „Czyżbyśmy w przeciwnym razie brali bilety? Zabawa trwa cały dzień, musicie więc dać jeść. Ludzie wygłodzą się.” Tak rozumowano. Muszę stwierdzić, że sama Julia Michajłowna lekkomyślnie przyczyniła się do utrwalenia tych pogłosek o śniadaniu. Przed miesiącem, pod pierwszym urokiem wielkich zamierzeń, Julia Michajłowna opowiadała o swojej zabawie każdemu znajomemu i mówiła o toastach, które będą wzniesione. Posłała nawet wzmiankę o tym do jednego z pism stołecznych. Nęciły ją wówczas przede wszystkim toasty; chciała sama je wznosić i wciąż pracowała nad ich tekstem. Toasty te miały ujmować i tłumaczyć nasze główne hasło (jakie - założyłbym się, że biedaczka nic nie wykon-cypowała), przejść w postaci

korrespondencji do gazet stołecznych, zachwycić i rozrzewnić wyższe sfery, stamtąd zaś rozbrzmieć po wszystkich guberniach, wywołując podziw i naśladownictwo. Do toastów jednak potrzebny jest szampan, ponieważ zaś trudno pić szampana na czczo, koniecznym się staje śniadanie. Potem, gdy za jej staraniem zorganizował się komitet i wejrzał w sprawę poważniej, udowodniono Julii Michajłowni, że nawet z najobfitszej zbiórki zostanie bardzo mało dla guwernantek, jeśli się będzie marzyć o bankietach. Pozostawały dwa wyjścia: uczta Baltazara i toasty oraz około dziewięciu, dziesięciu rubli dla guwernantek lub też zebranie poważnej sumy przy zabawie, z której pozostałoby tylko nazwa. Zresztą komitet jedynie tak straszył, w istocie bowiem znalazł trzecie wyjście, kompromisowe i rozsądne: zabawa przyzwoita pod każdym względem, lecz bez szampana; w rezultacie zaś zbiórka dość obfita, znacznie przewyższająca dziewięćdziesiąt rubli. Lecz Julia Michajłowna nie chciała się na to zgodzić; jej dusza nie znosiła mieszczańskiego złotego środka. Skoro jej pierwsza idea okazała się nieziszczalną, przerzuciła się natychmiast do drugiej krańcowości. Postanowiła doprowadzić do skutku kolosalną zbiórkę, ku zawiści wszystkich guberni. „Niech wreszcie publiczność zrozumie - tak się kończyła płomienna mowa Julii Michajłowny na posiedzeniu komitetu - że osiągnięcie celów humanitarnych jest znacznie wznioślejsze od chwilowych rozkoszy cielesnych - że zabawa jest w istocie jedynie uosobieniem wzniosłej idei, toteż należy

462

poprzestać na skromniejszym niemieckim baliku, jedynie dla alegorii, o ile już zupełnie nie można się obejść bez tego obrzydliwego balu.” Tak stał się dla niej ten bal nienawistny. Uspokojono ją wreszcie. Wtedy to wymyślono i zainicjowano „kadryl literacki” i inne rzeczy estetyczne, aby zastąpić czymś owe „cielesne rozkosze”. Wtedy też Karmazinow zgodził się ostatecznie odczytać Merci (dotychczas bowiem tylko zwlekał i łudził), aby w ten sposób zabić w umysłach naszej niepowsściągliwej publiczności nawet ideę jedzenia. Bal nabierał więc znowu cech wspaniałej zabawy, chociaż już w innym guście. Aby nie bujać zbyt w obłokach, uchwalono dać na początek balu herbatę z cytryną i kruche ciastka, potem orszadę i lemoniadę, pod koniec zaś nawet lody - lecz nie więcej. Dla tych zaś, którzy zawsze i wszędzie odczuwają głód, a zwłaszcza pragnienie, można urządzić w końcu amfi-lady pokojów - bufet, którym zajmie się Prochorycz, główny kucharz klubowy. Niech tam sprzedaje, co chce, lecz pod ścisłą kontrolą komitetu i za gotówkę. Przy wejściu na salę miano wywiesić ogłoszenie, że bufet nie należy do programu. Uchwalono też nie otwierać wcale bufetu w czasie poranku literackiego, aby nie przeszkadzać produkującym się na estradzie, aczkolwiek miejsce przeznaczone na bufet oddzielone było pięcioma pokojami od sali, w której Karmazinow miał czytać swoje Merci. Rzecz ciekawa, że nawet najpraktyczniejsi członkowie komitetu przywiązywali zbyt wielką wagę do tego Merci. Cóż więc mówić o duszach bardziej poetycznych? Marszałkowa na przykład oznajmiła autorowi, że po odczytaniu utworu rozkaże natychmiast wmurować w sali marmurową tablicę ze złotym napisem, głoszącym, że tu właśnie, w tym miejscu, w takim to dniu, miesiącu i roku, wielki pisarz rosyjski i wszechuropejski, składając pióro, odczytał Merci i w ten sposób po raz pierwszy pożegnał się z publicznością rosyjską w osobach przedstawicieli naszego miasta. Napis ten ujrzą uczestnicy już na balu, czyli w pięć godzin po odczytaniu Merci. Wiem na pewno, że to przede wszystkim Karmazinow żądał, aby rano pod żadnym pozorem nie było bufetu. Obstawał przy tym, chociaż niektórzy członkowie komitetu dowodzili mu, że to zupełnie nie odpowiada naszym obyczajom. Tak stały sprawy, gdy w mieście wciąż jeszcze wierzono w ucztę Baltazara, czyli w bezpłatny bufet; wierzono do

463

ostatniej chwili. Nawet panny marzyły o mnóstwie cukierków, konfitur i jeszcze czegoś niesłychanego. Wiadomo było, że zebrano bardzo dużo pieniędzy, że całe miasto pcha się na zabawę, że ludzie przyjadą z prowincji i że brak biletów. Wiadomo było także, że oprócz ustalonych opłat za bilety wpłynęły do kasy znaczne ofiary: na przykład Barbara Pietrowna

zapłaciła za bilet trzysta rubli i oddała na upiększenie sali wszystkie kwiaty ze swojej oranżerii. Żona marszałka szlachty (członkini komitetu) zaofiarowała swoje apartamenty i oświetlenie; klub - muzykę i usługę, a prócz tego na cały dzień odstąpił Prochorycza. Były i inne ofiary, chociaż nie tak wielkie, wobec czego powstała nawet myśl znizenia pierwotnej ceny biletu z trzech rubli do dwóch. Organizatorzy obawiali się początkowo, że bilety po trzy ruble uniemożliwią przybycie młodym pannom, i projektowali, aby sprzedawać bilety familijne, czyli każda rodzina płaciła tylko za jedną pannę, pozostałe zaś panny, należące do tej rodziny, wchodziłyby bezpłatnie, chociażby nawet w ilości dziesięciu egzemplarzy. Wszelkie jednak obawy okazały się płonne: właśnie panny zjechały wszystkie co do jednej. Nawet najubożsi urzędnicy przyprowadzili swoje córki i było rzeczą oczywistą, że tylko przez wzgląd na nie kupowali bilety. Jakiś skromny kancelista przywiózł swoje wszystkie siedem córek, nie licząc oczywiście żony, i oprócz tego jeszcze siostrzenicę, a każda z tych osób trzymała w ręku trzyrublowy bilet wejścia. Łatwo sobie wyobrazić, jaka to rewolucja była w mieście! Choćby to tylko, że zabawa składała się z dwóch części, więc i strojów damskich wypadło po dwa na każdą osobę: strój na poranek literacki i strój balowy. Wiele osób średniej zamożności, jak się później wyjaśniło, musiało zastawić w tym dniu wszystko, nawet bieliznę stołową, nawet prześcieradła, niemal materace. Niesiono to wszystko do Żydów, których jakby naumyślnie od paru lat całe mnóstwo zjechało do naszego miasta i których zjeżdża wciąż coraz więcej. Prawie wszyscy urzędnicy pobrali z góry pensje, a niektórzy ziemianie wyprzedali się do reszty z bydła, byle tylko ich córki wyglądały jak markizy, byle tylko nie być gorszym niż inni. Tym razem stroje były istotnie jak na nasze warunki wspaniałe. W mieście od paru tygodni krążyły już historyjki o poszczególnych domach, natychmiast dostarczane przez naszych urwisów na dwór Julii Michajłowny.

464

Z rąk do rąk przechodziły karykatury z życia familijnego. Kilka rysunków w tym rodzaju widziałem w albumie Julii Michajłowny. Wiedzano o tym dobrze w domach, o których opowiadano te historie, i stąd w ostatnim okresie, jak mi się zdaje, pochodziła nienawiść wielu rodzin do Julii Michajłowny. Dziś wszyscy już pomstują na nią i zgrzytają zębami na jej wspomnienie. Ale już i wtedy było najzupełniej oczywiste, że dość, by komitet nie dogodził w czymkolwiek publiczności, dość, aby bal się nie udał, a wybuch oburzenia będzie wprost niesłychany. Dlatego też każdy w duszy oczekiwał skandalu. Skoro zaś tak oczekiwano skandalu, jakże mógł się nie zdarzyć?

Punkt o dwunastej w południe zagrzmiała orkiestra. Ponieważ byłem jednym z gospodarzy, czyli jednym z dwunastu „młodzieńców ze wstęgami”, widziałem na własne oczy, jak się rozpoczął ten haniebnej pamięci dzień. Zaczęło się od niesłychanego tłoku przy wejściu. Jak to się stało, że potracili głowy wszyscy od razu, zaczynając od policji? Prawdziwej publiczności nie oskarżam: ojcowie rodzin, niezależnie od swoich rang, nie tylko nie tłoczyli się i nie gnietli innych, lecz przeciwnie, z pewnym zakłopotaniem przyglądali się, będąc jeszcze na ulicy, niezwykle mu w naszym mieście impetowi tłumu, który osaczał wejście i nie wchodził, lecz atakował. Tymczasem zaś pojazdy wciąż nadjeżdżały i wreszcie zatarasowały ulicę. Teraz, gdy piszę te słowa, mam wszelkie podstawy, aby twierdzić, że sporo najgorszej gawiedzi wpuszczono bez biletów, a zrobili to Liputin i Lamszyn, czy też może i inni spośród młodzieńców piastujących jak i ja godność gospodarzy. W każdym razie zjawili się jacyś nieznanymi osobnicy, którzy przybyli z prowincji czy też nie wiadomo skąd. Te dzikusy, wchodząc na salę, przede wszystkim informowały się (jak gdyby na czyjś rozkaz), gdzie jest bufet; dowiedziawszy się zaś, że bufetu nie ma, zaczynały wymyślać bez ceremonii i z nie widzianym dotychczas u nas zuchwalstwem. Niektórzy spośród nich, trzeba przyznać, przyszli już pijani. Inni stawali w osłupieniu, jak dzicy, na widok przepychu sali, ponieważ jeszcze nigdy w życiu nie widzieli nic podobnego, i wchodząc milkli na chwilę, rozglądając się z otwartymi ustami. Ta wielka Biała Sala, chociaż staroświecka, była istotnie wspaniała: olbrzymia, z dwoma rzędami okien, że starodawnym

złożonym plafonem, z galerią, lustrami, czerwonymi draperiami na białym tle ścian, z marmurowymi posągami (jakiegokolwiek by były, ale bądź co bądź posągi), ze staroświeckimi, ciężkimi meblami z epoki Napoleona z białego drzewa, ze złoceniami i obiciem z czerwonego aksamitu. W opisywanej tu chwili w głębi wznosiła się wysoka estrada dla mających wystąpić literatów, cała zaś sala zastawiona była, jak parter w teatrze, krzesłami, między którymi pozostawiono szerokie przejścia dla publiczności.

Po pierwszych chwilach zdziwienia rozpoczynały się znowu najbardziej bezsensowne pytania i oświadczenia: „A może my nie zechcemy słuchać literatów. Zapłaciliśmy tyle pieniędzy... Bezczelnie oskubano publiczność... Myśmy tu gospodarze, a nie Lembkowie...” Zachowywali się tak, jak gdyby specjalnie po to tu przyszli. Utkwił mi w pamięci pewien incydent, w którym odznaczyło się przyjezdne książątko, wczorajszy gość Julii Michajłowny, ten w wysokim kołnierzyku, wyglądający jak drewniana lalka. On także, na usilną prośbę gubernatorowej, zgodził się przypiąć wstęgę do lewego ramienia i wejść do grona gospodarzy. Przekonałem się, że ta niema woskowa figura na sprężynach umiała po swojemu leżeli me mówić, to działać. Gdy przyczepił się do niego jakiś ospowaty olbrzymi dymisjonowany kapitan, poparty całą grupą towarzyszącej mu hołoty, z natarczywym pytaniem: „Gdzie tu droga do bufetu?”, książę dał znak dzielnicowemu. Niemy rozkaz został natychmiast wykonany: pomimo gwałtownych protestów pijanego kapitana wyprowadzono go z sali.

Tymczasem zaczęła przybywać „prawdziwa” publiczność i płynąć trzema długimi przejściami. Żywioły niespokojne trochę się uspokoiły, lecz publiczność, nawet ta najbardziej dystyngowana, miała wygląd niezadowolony i zdziwiony; niektóre z pań były po prostu wystraszone.

Usadowiono się wreszcie; orkiestra umilkła. Zaczęto wycierać nosy i rozglądać się. Oczekiwanie było jakoś nadmiernie uroczyste - stanowi to zawsze zły znak. „Lembków” wciąż jeszcze nie było. Jedwabie, aksamity, brylanty lśniły i iskrzyły się wszędzie; w powietrzu unosiły się odurzające zapachy. Mężczyźni przywdziali wszystkie ordery, starsi panowie byli w galowych mundurach. Wreszcie ukazała się marszałkowa, a wraz z nią Liza. Nigdy przedtem Liza nie była tak olśniewa-

jąco piękna ani tak strojna. Włosy miała ufryzowane, oczy jej pałały, na twarzy jaśniał uśmiech. Wywarła na wszystkich wielkie wrażenie; oglądano ją, szeptano o me). Mówiono, że szuka wzrokiem Stawrogina, ale ani jego, ani Barbary Pietrowny nie było. Nie rozumiałem wtedy wyrazu jej twarzy; skąd tyle szczęścia, wesela, energii i mocy? Przypomniałem sobie wczorajsze zdarzenie i nic nie mogłem zrozumieć. A „Lembków” wciąż nie było. Był to już poważny błąd z ich strony. Potem dowiedziałem się, że Julia Michajłowna do ostatniej chwili czekała na Piotra Stiepanowicza, bez którego wówczas nie mogła zrobić ani kroku, chociaż sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Dodam tu w nawiasie, że Piotr Stiepanowicz poprzedniego dnia, na ostatnim posiedzeniu komitetu, zrzekł się wstęgi gospodarza i zmartwił tym ogromnie, aż do łez, Julię Michajłownę. Ku jej zdziwieniu, a nawet niezwykle) konsternacji (uprzedzam o tym zawczasu), znikł na cały ranek i nie stawiał się w ogóle na literacką część zabawy. Miki go nie widział aż do wieczora.

Publiczność zaczęła wreszcie zdradzać wyraźne zniecierpliwienie. Estrada była wciąż pusta. W ostatnich rzędach zaczęto klaskać jak w teatrze. Starsi panowie i panie zaczęli się krzywić: „Lembkowie pewno czują się strasznie ważni.” Nawet wśród najlepszej publiczności zaczęły się bezsensowne szepty, że może cała ta uroczystość się nie odbędzie, że sam Lembke jest, zdaje się, istotnie chory itp.

Chwała Bogu, Lembkowie jednak w końcu przybyli: on prowadził ją pod rękę; przyznam się, że sam okropnie się bałem, że nie przyjdą. Na szczęście plotki nie sprawdzały się i prawda brała górę.

Publiczność jak gdyby odetchnęła z ulga Lembke najwidoczniej był zupełnie zdrow. Tak uznali wszyscy, a łatwo wyobrazić sobie, ile spojrzeń na nim zawisło. Zaznaczę tu jednak, że na ogół wśród lepszego towarzystwa chyba bardzo nieliczni na serio podejrzewali Lembkego o zły stan zdrowia; traktowano jego postępowanie jako zupełnie normalne i przyjmowano z uznaniem nawet wczorajszą historię na placu. „Od tego trzeba było zacząć - mówili dygnitarze. - A u nas to tak: każdy przyjeżdża niby jakiś filantrop, a dochodzi zawsze w końcu do tego samego, nie zastanawiając się nawet, że tego wymaga właśnie filantropia.” Tak przynajmniej mówiono w klubie. Krytykowano go jedynie za to,

30- 467

że się przy tym nazbyt zgorączkował. „Trzeba to było załatwić spokojniej. Ale cóż, nowy człowiek” - twierdzili znawcy.

Równie ciekawe spojrzenia spoczęły na Julii Michajłownie. Nikt nie ma prawa żądać ode mnie, jako kronikarza, zbyt wielu szczegółów dotyczących pewnej sprawy: przecież to tajemnica, to kobieta. Wiem tylko jedno: poprzedniego dnia wieczorem Julia Michajłowna weszła do gabinetu małżonka i wyszła stamtąd dobrze po północy. Andrzej Antonowicz uzyskał przebaczenie i pociechę. Małżonkowie doszli do porozumienia pod każdym względem, wszystko zostało zapomniane i gdy pod koniec wyjaśnień von Lembke jednakże ukląkł wspominając z przerażeniem główny, końcowy epizod zaprzeszłej nocy, wtedy prześliczna rączka, a potem wargi małżonki przerwały gorące wylewy skruchy po rycersku delikatnego, lecz osłabionego przez rozrzewnienie małżonka.

Wszyscy widzieli szczęście malujące się na twarzy Julii Michajłowny. Szła z podniesionym czołem, we wspaniałym stroju. Zdawało się, że jest u szczytu swoich marzeń. Zabawa, cel i ukoronowanie jej polityki - doszła do skutku. Idąc do miejsc dla nich przeznaczonych, Lembkowie kłaniali się na prawo i na lewo i odpowiadali na ukłony. Otoczono ich od razu. Marszałkowa wstała, by ich powitać... Lecz w tej chwili nastąpiło drobne nieporozumienie: orkiestra bez żadnej wiadomej przyczyny zagrała tusz, nie jakiś tam marsz, lecz zwykły tusz bankietowy, taki, jaki się rozlega u nas w klubie, gdy na obiedzie oficjalnym wznoszą toast za czyjeś zdrowie. Wiem obecnie, że postarał się o to Lamszyn, korzystając z roli gospodarza. Niby to ku uczczeniu wchodzących „Lembków”. Oczywiście mógł potem zawsze usprawiedliwić się, że zrobił to przez nieświadomość lub przez nadmierną gorliwość... Niestety, nie wiedziałem jeszcze wtedy, że owym panom nie zależało już na usprawiedliwianiu się, gdyż tego właśnie dnia wszystko miało się zakończyć. Nie ograniczyło się jednak do tuszu. Jednocześnie z gniewnym zdziwieniem i sarkastycznymi śmiechami publiczności, na końcu sali i na galerii rozległo się „hura!” także niby na cześć Lembków. Nieliczne były to glosy, lecz okrzyki trwały przez pewien czas. Julia Michajłowna oblała się rumieńcem, oczy jej zabłysły. Lembke

468

stał przed swoim fotelem, zwrócił się ku hałasującym i ogarnął salę surowym, majestatycznym spojrzeniem. Posadzono go czym prędzej. Z lękiem znów ujrzałem na jego twarzy ten niebezpieczny uśmiech, z którym stał wczoraj w salonie małżonki i wpatrywał się w Stiepana Trofimowicza, zanim podszedł do niego. Wydało mi się, że i teraz jego twarz przybrała złowieszczy i co najgorsze, trochę komiczny wyraz - wyraz istoty, która sama siebie składa w ofierze, byle dogodzić wyższemu celom swojej małżonki... Julia Michajłowna gwałtownie skinęła na mnie i szepnęła, abym pobiegł do Karma-zinowa i ubłagał go, by natychmiast zaczynał. Ledwo zdążyłem się odwrócić, gdy nastąpiła nowa paskudna historia, stokroć obrzydliwsza od pierwszej. Na estradzie, na pustej estradzie, ku której skierowane były wszystkie spojrzenia i wszystkie nadzieje, a gdzie widać było tylko niewielki stół, za nim krzesło, na stole zaś szklankę wody na srebrnej tacy - otóż na pustej estradzie ukazała się nagle olbrzymia postać kapitana Lebiadkina we fraku i białym halsztuku. Byłem tak zdumiony, że nie wierzyłem własnym oczom. Kapitan, jak się

zdaje, zmieszał się i zatrzymał w głębi estrady. Nagle wśród publiczności rozległ się okrzyk: „Lebiadkin! To ty?” Głupia czerwona twarz kapitana (a był zupełnie pijany) na ten okrzyk wykrzywiła się w szerokim, tępym uśmiechu. Podniósł dłoń, potarł czoło, potrząsnął rozczochraną głową, zrobił dwa kroki naprzód, niby zdecydowany na wszystko, i wreszcie parsknął śmiechem, niezbyt głośnym, lecz za to tak rozlewnym, długim, szczęśliwym, od którego cała jego obwisła postać zakołysała się, a oczka zmrużyły. Na ten widok nieomal połowa publiczności roześmiała się, że dwudziestu widzów biło brawo. Poważna publiczność rzucała na siebie ponure spojrzenia. Wszystko to razem nie trwało dłużej niż pół minuty. Na estradę wbiegł nagle Liputin we wstędze i dwaj lokaje. Ostrożnie ujęli pod ręce kapitana, a Liputin coś mu szeptem na ucho. Kapitan zasępił się, wybełkotał: „Jeżeli tak, to zgoda”, machnął ręką, odwrócił do publiczności swe olbrzymie plecy i znikł wraz z konwojem. Po chwili Liputin znów wbiegł na estradę. Miał na twarzy najśladniejszy ze swych uśmiechów, przypominający ocet z cukrem, i trzymał w ręku arkusik listowego papieru. Drobnym kroczkiem podbiegł do brzegu estrady.

469

- Proszę państwa - zwrócił się do publiczności - na skutek niedopatrzania wynikło komiczne nieporozumienie, które już zażegnano. Pełen jednak otuchy, podjąłem się pewnej misji, ulegając w tym głębokiej, pełnej szacunku prośbie jednego z miejscowych wierszopisów. Przejęty na wskroś celem szczytnym a humanitarnym... pomimo swego wyglądu... tym celem, który nas wszystkich tu zgromadził... aby otrzeć łzy biednych a wykształconych obywateli naszej guberni... Ów pan... chciałem rzec, ów poeta... pragnąc zachować incognito... błaga, aby utwór jego został odczytany tu na wstępie, przed bale... chciałem powiedzieć: przed porankiem literackim. Chociaż ten utwór nie wszedł do programu... nie mógł wejść... dostarczono go nam pół godziny temu, lecz sądziliśmy (jacy znów „my” ? - cytuję dosłownie to przemówienie, urywane i bez związku) - sądziliśmy przez wzgląd na wyjątkową prostotę uczuć, połączoną z niesłychaną wesołością... nie jako coś poważnego, lecz jako coś odpowiadającego naszej uroczystości... słowem, pod względem idei... tym bardziej, że to tylko parę strofek... chciałem więc prosić łaskawą publiczność o pozwolenie odczytania...

- Czytać! - wrzasnął ktoś z końca sali.

- Więc mam czytać?

- Proszę czytać, czytać! - rozległy się liczne głosy.

- A więc przeczytam na żądanie publiczności - wykrzywił się Liputin z tym samym wciąż słodkim uśmiechem.

Jednakże nie mógł się jak gdyby zdecydować. Miałem nawet wrażenie, że jest niespokojny. Tacy ludzie, pomimo całego zuchwalstwa, czasem jednak się potykają. A zresztą seminarzysta nie potknąłby się, Liputin, pomimo wszystko, należał do dawnego społeczeństwa.

- Uprzedzam... czyli mam zaszczyt uprzedzić... że nie jest to bądź co bądź oda... jak się dawniej pisało na uroczyste dni... - jest to nieomal, że tak powiem, fraszka, lecz nie pozbawiona niewątpliwego uczucia, połączonego z figlarną wesołością... i realistycznie prawdziwa...

- Czytać, czytać!

Liputin rozwinął arkusik. Nikt już oczywiście nie mógł go powstrzymać. Miał zresztą na ramieniu wstęgę gospodarza. Dźwięcznym głosem zaczął:

470

KRAJOWEJ GUWERNANTCE Z NASZYCH OKOLIC OD POETY Z ZABAWY

Witaj, witaj, guwernantko!

Wesel się! O szczęściu rój!

Czyś wsteczniczką, czyś George Sandką -

Wszystko jedno! Dziś dzień twój!

- Ależ to Lebiadkin! To jego wiersz - odezwały się głosy. Rozległ się śmiech, a nawet rzadkie oklaski.

Sennym wbijas w łby dzieciakom Po francusku ABC, Mizdrząc się, chociażby diakom - „Może który żony chce?”

- Hura! Hura!

Nic nie będzie z tej roboty, Gołej - nie chce nawet diak. Tu, panienko, trzeba „floty”, Bez niej - nic! Już teraz tak!

- Tak, tak! To właśnie realizm! Bez „floty” ani rusz!

Ale dziś, gdy w dzień godowy Wyprawiliśmy ten bal, I fundusik posagowy Ślemy ci z tanecznych sal -

Czyś wsteczniczką, czyś George Sandką, Wszystko jedno! Dziś - dzień twój! Tyś - posażną guwernantką! Raduj się! Na wszystko pluj !4

Przyznam się, że nie wierzyłem własnym uszom. To wszystko było tak bezczelne, że trudno było usprawiedliwić Li-putina nawet głupotą. A Liputin wcale nie był głupi. Zamiar był wyraźny, dla mnie przynajmniej: starano się możliwie najprędzej wywołać zamieszanie. Niektóre wiersze tego idiotycznego utworu, chociażby ostatni, były w takim stylu, że naj-

471

większy głupiec nie dopuściłby do ich odczytania. Liputin, jak się zdaje, sam czuł, że podjął się rzeczy zbyt ryzykownej. Własne zuchwalstwo tak go stropiło, że nawet nie opuszczał estrady, jak gdyby zamierzał coś dodać. Przypuszczał prawdopodobnie, że cała scena rozegra się inaczej, lecz nawet garstka urwisów, która oklaskiwała go przedtem, zamilkła, też jakby stropiona. Najgłupsze zaś ze wszystkiego było to, że wielu z nich przyjęło wybryk patetycznie, uważając, że utwór wcale nie jest paszkwilem, tylko że to realna prawda o guwernantkach, wierszyki z określoną tendencją. Lecz nadmierna bez-ceremonialność wiersza zdumiała nawet i ich. Wszyscy zaś inni nie tylko byli oburzeni skandalem, lecz nawet obrażeni. Nie popełniam omyłki określając w ten sposób ogólne wrażenie. Julia Michajłowna mówiła potem, że jeszcze chwila, a zemdlałaby. Jeden z najczcigodniejszych starszków pomógł wstać swojej staruszce i oboje wyszli z sali, odprowadzani trwożnymi spojrzeniami publiczności. Kto wie? Może ten przykład pociągnąłby i innych, gdyby w tej chwili nie ukazał się na estradzie sam Karmazinow, we fraku i białym hal-sztuku, z kajetem w ręku. Julia Michajłowna zachwyconym spojrzeniem witała go jak wybawcę... Ale ja byłem już za kulisami; musiałem zobaczyć się z Liputinem.

- Pan to zrobił naumyślnie! - zawołałem chwytając go z oburzenia za ramię.

Liputin skulił się, zaczął się wyłgiwać i udawać nieszczęśliwego :

- Na miły Bóg! Anim się spodziewałem! Wiersze przyniesione zostały przed chwilą. Sądziłem, że jako niewinny żarcik...

- Wcale pan tak nie myślał. Czy istotnie uważa pan tę bezczelną bazgraninę za niewinny żart?

- Tak uważam.

- Pan po prostu kłamie. Wcale nie przed chwilą przyniesiono to panu. Pan sam, razem z Lebiadkinem, skomponował go. Może nawet wczoraj, po to, żeby wywołać skandal. Ostatni wiersz jest na pewno pańskiego pomysłu. O diaku także. Dlaczego Lebiadkin zjawił się we fraku? To znaczy, że pan przygotował go do występu, tylko był pijany.

Liputin spojrział na mnie zimno i zjadliwie.

- A panu co do tego? - zapytał nagle z dziwnym spokojem.

472

- Jak to? Obaj jesteśmy gospodarzami... gdzie jest Piotr Stiepanowicz?

- Nie wiem, gdzieś tutaj. A o co panu chodzi?

- Chodzi o to, że wszystko przejrzałem na wskroś. To po prostu spisek przeciwko Julii Michajłowni, aby wywołać skandal...

Liputin spojrział na mnie z ukosa.

- A co to panu szkodzi?

Uśmiechnął się, wzruszył ramionami i odszedł.

Oślupiałem. Wszystkie moje podejrzenia sprawdzały się. A wciąż myślałem, że się mylę! Co mogłem teraz uczynić? Chciałem się naradzić ze Stiepanem Trofimowiczem, ten jednak stał przed lustrem, dopasowywał rozmaite uśmiechy i wciąż zaglądał do arkusika, na którym były różne notatki. Miał wyjść na estradę zaraz po Karmazinowie i nie był już w stanie ze mną rozmawiać. Czy miałem biec do Julii Michajłowny? Byłoby to przedwczesne. Jej przydałaby się nauka jeszcze bardziej dosadna, która by ją uleczyła z wiary w „otoczenie” i w to, że wszyscy są jej „fanatycznie oddani”. Nie uwierzyłaby mi i uznałaby, że jestem maniak. A zresztą cóż ona mogła pomóc? „E - pomyślałem - cóż mi istotnie do tego? Kiedy się zacznie, zdejmę wstęgę i pójdę do domu.” Tak właśnie pomyślałem: „Kiedy się zacznie”, pamiętam to dobrze.

Ale trzeba było iść słuchać Karmazinowa. Rzucając po raz ostatni okiem za kulisy, zauważyłem, że snuło się tam sporo obcych ludzi, nawet kobiet; wchodzili i wychodzili za „kulisy” - była to przestrzeń dość wąska, odgradzona od publiczności kotarą i połączona z tyłu korytarzem z innymi pokojami. Uczestnicy poranku literackiego oczekiwali tu na swą kolej. Szczególnie uderzył mnie w tej chwili autor, który miał wystąpić po Stiepanie Trofimowiczu. Był to też jakiś niby profesor (do dziś dnia nie wiem dokładnie, kto to był). Podobno usunął się dobrowolnie z pewnego zakładu naukowego po jakiejś awanturze studenckiej i zjechał do naszego miasta zaledwie przed paru dniami. Został polecony Julii Michajłowni, która przyjęła go z całą atencją. Wiem obecnie, że przed porankiem literackim był u Julii Michajłowny raz tylko, cały wieczór milczał, dwuznacznie uśmiechał się słysząc żarciki i ton rozmów, toczących się wśród zebranych dokoła Julii Michajłowny, i wywarł na wszystkich niemiłe wrażenie swoim napuszo-

473

nym, a zarazem tak wystraszonym, że aż wyzywającym wyglądem. Sama Julia Michajłowna zwerbowała go na dzisiejszy poranek. Teraz błędził z kąta w kąt i coś szeptał, tak samo jak Stiepan Trofimowicz. Patrzył jednak nie w lustro, lecz w podłogę. Nie dopasowywał uśmiechów, chociaż uśmiechał się często i jadownicie. Widać było, że i z nim teraz nikt by się nie dogadał. Był niski, lat około czterdziestu, łysy, ze szpakowatą bródką, ubrany przyzwoicie. Najciekawsze, że za każdym razem, kiedy zawracał, podnosił do góry prawą pięść, wywijał nią nad głowę i gwałtownie opuszczał, jak gdyby miażdżąc jakiegoś przeciwnika. Powtarzał to co chwila. Poczulem się nieswojo. Czym prędzej pobiegłem posłuchać Karmazinowa.

III

W sali znów było jakoś nieswojo. Oświadczam z góry: chylę czoło przed wielkością geniusza; lecz po cóż ci nasi panowie geniusze pod koniec pełnych chwały lat zachowują się nieraz jak małe dzieci? Cóż z tego, że nazywa się Karmazinow i że wyszedł na estradę z miną pięciu kamerherów? Czy można przetrzymywać taką publiczność jak nasza całą godzinę dla jednego utworu? W ogóle zauważyłem, że największy geniusz nie może bezkarnie przykuwać uwagi publiczności na lekkiej zabawie literackiej dłużej niż dwadzieścia minut. Rzeczywiście, ukazanie się geniusza powitane

było w sposób należycie uroczysty; nawet najbardziej wymagający starszycy zdradzali zaciekawienie i uznanie, a panie - wprost pewien zachwyt. Oklaski były wprawdzie dość krótkie i jakieś rozbite, niezgrane. Lecz za to w ostatnich rzędach - ani jednego wybryku aż do chwili, kiedy Karmazinow zaczął mówić, ale i tu nie zaszło nic specjalnie złego, raczej drobne nieporozumienie. Miałem już sposobność powiedzieć, że Karmazinow miał głos zanadto krzykliwy, prawie kobiecy,⁵ zabarwiony wytwornym arystokratycznym podseplenianiem. Ledwo zdążył wygłosić parę słów, gdy ktoś poważał się głośno roześmiać, prawdopodobnie jakiś niedoświadczony głuptas, który nie widział nigdy nic wytwornego, a był śmieszkiem z natury. Lecz nie było żadnej demonstracji, przeciwnie, rozległy się sykania w kierunku głuptasa, który zamilkł natychmiast.

474

I oto pan Karmazinow, przesadnie i sztucznie, oznajmił, że „z początku za nic nie chciał występować” (potrzebne było to oświadczenie!). „Bywają wiersze, które wyśpiewane są z serca, trudno je wygłosić i trudno taką świętość nieść do publiczności (więc po cóż przynosiłeś?); ponieważ jednak uproszono go, więc niesie je, a ponieważ poza tym odkłada pióro na zawsze i już nigdy nie będzie pisał, więc zdecydował się napisać to ostatnie dzieło; a ponieważ poprzysiągł, że już nigdy, za żadne skarby, nie stanie przed publicznością, przeto zdecydował się odczytać publiczności to ostatnie dzieło...” itd. w tym samym guście. To jeszcze byłoby nic, któż bowiem nie zna przedmów autorskich! Chociaż muszę podkreślić, że wobec niedostatecznego wykształcenia naszej publiczności i pewnego podrażnienia w ostatnich rzędach i to mogło mieć swój wpływ. Czyż nie lepiej było przeczytać małą nowelkę, jakieś drobne opowiadanie w tym stylu, w jakim dawniej pisywał, trochę sztuczne, wymuskane, lecz nie pozbawione często finezji? W ten sposób wszystko dałoby się uratować. Ale gdzie tam! Rozpoczęła się oracja!⁷ Mój Boże, czego tam nie było! Twierdzą stanowczo, że nawet stołeczna publiczność ogłupiałaby, coś dopiero nasza. Wyobraźcie sobie prawie dwa drukowane arkusze bezsensownej a wymuszonej paplaniny, na domiar złego odczytane to było tonem pogardliwie zasmuconym, jakby z litości, w sposób dla słuchaczy obraźliwy. Temat... Lecz któż zdołałby połapać się w temacie? Była to jakaś relacja z jakichś wrażeń, z jakichś wspomnień. Lecz o czym, o czym? Nasze prowincjonalne głowy wysilały się przez połowę utworu, lecz nie mogły ogarnąć treści, toteż potem słuchano już tylko przez uprzejmość. Prawda, było tam dużo o miłości, o miłości geniusza do jakiejś osoby, lecz wyznam, że wypadło to bardzo niezręcznie. Do małej, grubej postaci genialnego pisarza nie pasowało, moim zdaniem, opowiadanie o pierwszym pocałunku... Drażniło też, że te pocałunki odbywały się jakoś inaczej niż u wszystkich ludzi. W tym miejscu musi rosnąć janowiec (koniecznie janowiec lub jakaś podobna trawa, której nazwy trzeba szukać w botanice). Niebo musi mieć koniecznie odcień fioletowy, i to taki, jaki nie został dotychczas dostrzeżony przez żadnego ze śmiertelnych, właściwie był widziany, lecz nie zauważony, „a ja, widzicie, spojrzałem tylko i opisuję wam, głupcom, jak rzecz

475

najzwyklejszą”. Drzewo, pod którym usiadła zakochana para, musi mieć koniecznie kolor pomarańczowy. Wszystko się dzieje gdzieś w Niemczech. Raptem widzą Pompejusza czy Kasjusza⁸ w przededniu bitwy i przesywa ich dreszcz zachwytu. W krzakach piszczy jakaś rusałka. Gluck gra w trzcinnie na skrzypcach.⁹ Utwór, który gra, nazwany jest *en toutes lettres*,* lecz ten tytuł nikomu nie jest znany, toteż trzeba go szukać w słowniku muzycznym. Tymczasem kłębi się mgła, a tak się kłębi, tak się kłębi, że przypomina raczej tysiące poduszek niż mgłę. I raptem niknie wszystko, a wielki geniusz przeprawia się zimą, w czasie roztopów, przez Wołgę. Przeprawia się na paru stronach druku, lecz wreszcie trafia pod lód. Geniusz tonie. Myślicie, że utonął? Ani mu to w głowie nie powstało. Wszystko jest sfabrykowane w tym celu, aby w ostatniej chwili, gdy geniusz już tonął i dławił się, mignęła nad nim kra, malutka kra, jak ziarnko grochu, lecz czysta i przezrocza, „jak zamarznęta łąza”, a w tej krze odbiły się całe Niemcy, raczej niemieckie niebo, i grą wielobarwną rozświetliło się wspomnienie tej łązy, która, „pamiętasz,

spływała z Twoich oczu, gdyśmy siedzieli pod szmaragdowym drzewem, a Tyś krzyknęła radośnie: „Nie ma zbrodni!* „Tak- odparłem przez łzy - lecz jeśli tak, to nie ma i cnoty.” Zapłakaliśmy i rozstaliśmy się na zawsze.” Ona poszła na brzeg morza, on - do jakichś pieczar. Oto schodzi, schodzi, trzy lata schodzi w dół, w Moskwie, pod wieżę Suchariewa, i raptem w głębi ziemi, w jaskini, znajduje lampkę oliwną, a obok niej pustelnika. Pustelnik się modli. Geniusz przyciska twarz do małego zakratowanego okienka i słyszy westchnienie. Czy myślicie, że to wdycha pustelnik? Co geniuszowi do pustelnika! Nie, po prostu to westchnienie przypomniało mu jej pierwsze westchnienie sprzed trzydziestu lat, kiedy, „pamiętasz, w Niemczech, siedzieliśmy pod agatowym drzewem, a Tyś rzekła do mnie: „Po co kochać? Patrz, wokół trawy ochrowe, a w sercu moim miłość, lecz trawy przestaną rosnać, a ja przestanę kochać.*” Tu znów zakłębiła się mgła, zjawił się Hoffman, z ust rusalki zabrzmiały Szopenowskie 10 melodie i raptem spośród mgły, w wieńcu laurowym, nad dachami Rzymu, zjawił się Ankus Marcjusz. 11 Dreszcz zachwyty przeszył nasze

- pełnym tytułem

476

plecy, i otośmy się rozstali na wieki itp., itp. Bardzo możliwe, że źle to powtarzam i nie umiem odtworzyć, lecz sens paplaniny był właśnie taki. A wreszcie co za namiętność do kalamburów wyższego rzędu mają nasze wybitne głowy! Wielki filozof europejski, wielki uczyony, wynalazca, pracownik, męczennik - ci wszyscy utrudzeni i obciążeni, 12 u pierwszego lepszego geniusza rosyjskiego grają rolę kucharzy w jego kuchni. On jest panem, oni zaś stają przed nim trzymając białe czapki i oczekują rozkazów. To prawda, że i z Rosji umie żartować i nie zna większej słodczy jak ogłoszenie bankructwa Rosji pod każdym względem w obliczu wielkich umysłów Europy - ale co do niego osobiście, to zdołał wywyżżyć się ponad te umysły: stanowią one co najwyżej materiał do jego dowcipów. Jest zbrodnia, nie ma zbrodniarzy; nie ma cnoty i nie ma ludzi cnotliwych; ateizm, darwinizm, dzwony moskiewskie... ale niestety on nie wierzy już w moskiewskie dzwony; Rzym, laury... Lecz on nie wierzy nawet w laury... Tu następuje oficjalny atak byronowskiego smutku, grymas Heinego, coś z lermontowskiego Pieczorina, no i zaczęło się na całego... „Zresztą chwalcie mnie, chwalcie... Strasznie to lubię; przecież to tylko poza, że rzucam pióro; poczekajcie, jeszcze trzysta razy was zanudzę, zmęczycie się czytając...”

Oczywiście, skończyło się nie tak; szkoda tylko, że właśnie zaczęło się od jego występu. Już od dawna rozlegało się szuranie nogami, wycieranie nosów, kaszel, słowem, to wszystko, co się zdarza, gdy autor, wszystko jedno jaki, zatrzymuje publiczność na występie literackim dłużej niż dwadzieścia minut. Lecz genialny pisarz nic nie słyszał. Wciąż sepleniał i rozwlekał, nie zwracając uwagi na publiczność, ku powszechnemu zdumieniu. Wreszcie z ostatnich rzędów rozległ się pojedynczy, lecz donośny okrzyk:

- Mój Boże, co za bzdury!

Wyrwało się to mimo woli i jestem przekonany, że nie-naumyślnie. Po prostu zmęczył się jakiś człeczyna. Lecz Karmazinow urwał na chwilę, ironicznie rozejrzał się wokół i raptem wysepleniał z miną urażonego kamerhera:

- Mam wrażenie, szanowni państwo, że was dostatecznie wynudził.

Na tym właśnie polegał jego błąd, że odezwał się pierwszy; prowokując bowiem odpowiedź, uprawniał każdą kanalię

477

do repliki, zupełnie nawet zrozumiałej. Gdyby zaś milczał, pochrząkano by trochę, pochrząkano i jakoś na tym by się skończyło... Może spodziewał się oklasków w odpowiedzi na swoje pytanie, lecz nikt nie klasnął, przeciwnie, przestraszyli się wszyscy, skulili i zamilkli.

Wtem rozległ się jakiś rozdrażniony, prawie obolały głos:

- Nigdyś pan nie widział Ankusa Marcjusza, to tylko dla stylu!
- Otóż to - zawtórował mu inny. - Teraz nie ma już duchów, są tylko nauki przyrodnicze. Niech pan zajrzy do książek przyrodniczych.

Karmazinow zdziwił się niesłychanie. Odzwyczaił się w Karlsruhe od ojczyzny.¹³

- Proszę państwa, takich zarzutów spodziewałem się najmniej.
- W naszych czasach wstyd głosić - zniecka zatrajko-tała jakaś dziewoja - że świat spoczywa na trzech wielorybach.¹⁴ Pan, panie Karmazinow, nie mógł schodzić do jaskini pustelnika. Kto dziś mówi o pustelnikach?
- Najwięcej dziwi mnie, proszę państwa, że szanowna publiczność traktuje te rzeczy tak serio. A zresztą... zresztą... przyznaję słuszność... Nikt nie ceni prawdy realnej tak wysoce jak ja...

Chociaż uśmiechał się ironicznie, był bardzo stropiony. Wyraz jego twarzy mówił: „Nie jestem taki, jak sądzicie. Jestem duszą po waszej stronie, tylko chwalcie mnie, chwalcie jak najwięcej, strasznie to lubię...”

- Proszę państwa - zawołał wreszcie, już na dobre urażony. - Widzę, że biedny mój poemacik chybił celu. Sam zresztą, jak mi się zdaje, trafiłem pod niewłaściwy adres.
- Celował we wronę, a trafił w krowę! - krzyknął na cały głos jakiś głupiec, prawdopodobnie pijany, na którego nie należało więc zwracać uwagi. Natychmiast jednak rozległ się śmiech, najzupełniej pozbawiony szacunku.
- W krowę, mówi pan? - zareplikował natychmiast Karmazinow. Głos jego brzmiał coraz krzykliwiej. - O wronach i krowach wołam zamilczeć. Zbyt szanuję każdą publiczność, abym pozwolił sobie na porównania, nawet najniewinniejsze. Myślałem jednak...

Ktoś z ostatnich rzędów przerwał mu:

478

- Niechże szanowny pan zanadto sobie nie pozwala!
- Sądziłem, że odkładając pióro i żegnając się z czytelnikami, zostanę wysłuchany...
- Tak, tak, chcemy słuchać, chcemy - rozległy się nieliczne ośmielone wreszcie głosy z pierwszych rzędów.
- Prosimy czytać dalej! - wtórowały zachwycone damskie głosiki i wreszcie rozległy się oklaski, bardzo jednak rzadziutkie. Karmazinow uśmiechnął się kwaśno i wstał z miejsca. *
- Niech pan wierzy, że wszyscy traktują jako zaszczyt... - ośmieliła się nawet sama marszałkowa.
- Panie Karmazinow! - odezwał się zniecka jakiś świeży, młody głos z głębi sali. To mówił młodzieńki nauczyciel szkoły powiatowej, bardzo miły młodzieniec, cichy, szlachetny, niedawno przybyły. Powstał nawet z krzesła. - Panie Karmazinow! Gdybym miał szczęście tak kochać, jak pan to opisał, nigdy nie poważyłbym się mówić o takim uczuciu w utworze przeznaczonym dla publiczności...

Nauczyciel poczerwieniał.

- Proszę państwa - zawołał Karmazinow - skończyłem. Opuszczam zakończenie i odchodzę. Pozwólcie mi tylko odczytać kilka ostatnich wierszy: „Tak, przyjacielu-czytelniku, żegnaj mi! - rozpoczął natychmiast, nie siadając już. - Żegnaj mi, czytelniku, nie nastaję nawet, abyśmy się rozstawali w przyjaźni. Po co bym miał cię utrudzać? Możesz mnie łajać, ile chcesz, jeżeli sprawia ci to przyjemność. Najlepiej będzie, jeżeli zapomnimy o sobie na zawsze. A gdybyście wszyscy, o,

moi czytelnicy, stali się tak łaskawi, że na klęczkach zaczęlibyście wzywać, że łzami w oczach: „Pisz, pisz dla nas, o, Karmazinew, pisz dla ojczyzny, dla potomności, dla wieńców laurowych” - i wtedy nawet odpowiedziałbym, podziękowawszy oczywiście najuprzejmiej: „O nie, już dość mamy siebie nawzajem, najmiłsi rodacy, merci! Już czas się rozejść! Merci, merci, merci!”

Karmazinow ukłonił się ceremonialnie i czerwony jak gotowany rak schował się za kulisami.

- Nikt nie będzie klęczał! Dzika fantazja!
- Co! za pewność siebie!
- To tylko humor! - prostował ktoś rozsądny.
- Och, oszczędźcie nam takiego humoru!

479

- Panowie, ależ to arogancja!
- Chwała Bogu, że wreszcie skończył.
- Ech! Co za nudy!

Wszystkie te okrzyki z ostatnich rzędów (a zresztą nie tylko z ostatnich) zagłuszone zostały przez oklaski reszty publiczności. Wywoływano Karmazinowa. Niektóre panie, z Julią Michajłówną i marszałkową na czele, skupiły się przy estradzie. W ręku Julii Michajłowny zjawił się wspaniały wieniec laurowy, na białej aksamitnej poduszce, otoczony wieńcem żywych róż.

- Laury! - rzekł Karmazinow z subtelnym i nieco zjadliwym uśmiechem. - Oczywiście, jestem wzruszony i przyjmuję z gorącą wdzięcznością ten wieniec, przygotowany zawczasu, który nie zdążył zwiędnąć; lecz zapewniam mesdames,* że na tyle stałem się nagle realistą, iż sądzę, że w naszej epoce liść laurowy jest na miejscu raczej w ręku doświadczonego kucharza niż w moich dłoniach...

- O tak, kucharz jest pożyteczniejszy - wrzasnął ów seminarzysta, który był na „zebraniu” u Wirgińskich.

Porządek został nieco zamałowany. Wiele osób zerwało się z miejsc, aby widzieć ceremonię z wieńcem laurowym.

- Ja za kucharza dodałbym obecnie jeszcze trzy ruble - głośno odezwał się ktoś inny, nawet zbyt głośno, natarczywie.

- I ja.
- I ja.
- Czy tu nie ma bufetu?
- Panowie, to po prostu oszukaństwo...

Muszę jednak stwierdzić, że wszyscy ci bezceremonialni goście obawiali się nieco naszych dygnitarzy, jak również prystawa, znajdującego się na sali. Jakoś po dziesięciu minutach wszyscy znów zajęli swoje miejsca, lecz uprzedniego porządku już nie było. W ten właśnie chaos wpadł mój biedny przyjaciel Stiepan Trofimowicz...

IV

Nie mogłem się opanować i pobiegłem jednak do niego ZE kulis, by go uprzedzić, że, moim zdaniem, wszystko się

480

wali i że najlepiej będzie, gdy nie wyjdzie na estradę. Niech jedzie natychmiast do domu, usprawiedliwiwszy się chociażby choleryną, ja zaś zdejmę wstęgę i pojedę razem z nim. W tym momencie Stiepan Trofimowicz zmierzył mnie wyniośle od stóp do głów i wyrzekł uroczyście:

- Jak pan może sądzić, łaskawy panie, że jestem zdolny do podobnie nikczemnego czynu!

Cofnąłem się. Wiedziałem niezbiecie, że katastrofa go nie minie. Gdym tak stał, przygnębiony, obok mnie mignęła postać przyjeźdnego profesora, który miał produkować się po Stiepanie Trofimowiczu, a który przed godziną tak podnosił i z rozmachem opuszczał pięść. Wciąż przechadzał się tak samo, tam i z powrotem, zatopiony w sobie, i mamrotał coś pod nosem ze zjadliwym, lecz triumfującym uśmiechem. Coś mnie pchnęło i prawie bezwiednie podszedłem do niego.

- Wie pan - zauważyłem - oodług moich spostrzeżeń, gdy lektor trzyma publiczność dłużej niż dwadzieścia minut, nikt go już nie słucha. Największa znakomitość me utrzyma się przez pół godziny...

Stanął przede mną trzęsąc się z gniewu. Na twarzy jego odmalowała się niewysłowiona wzgarda.

- Niech się pan nie niepokoje - bąknął pogardliwie i ruszył dalej.

W tej chwili zabrzmiał już głos Stiepana Trofimowicza.

„Ach, żeby was wszystkich!...”-pomyślałem i pobiegłem na salę.

Mój przyjaciel usiadł w fotelu, jeszcze zanim zapanowała cisza. W pierwszych rzędach spotkały go spojrzenia niezyczliwe. (Ostatnimi czasy w klubie jakoś przestano go lubić i znacznie mniej szanowano.) Dobrze, że chociaż nie sykano. Od wczoraj opanowała mnie przykra myśl. Sądziłem, że Stiepana Trofimowicza wygwizdzą, gdy tylko zjawi się na estradzie. Tymczasem zaś, z powodu zaniepokojenia, które jeszcze nie zdążyło się rozwiać, nawet go nie zauważono. Czego mógł się spodziewać ten człowiek po tym, co spotkało takiego Karmazinowa? Był błąd. Od dziesięciu lat nie stawał przed publicznością. Z jego wzruszenia i z innych oznak, tak dobrze mi znanych, wiedziałem dobrze, że uważa swój występ za chwilę rozstrzygającą czy coś w tym rodzaju. Tego właśnie obawiałem się najbardziej. Lubiałem jednak tego człowieka.

21 Dostojewski, i III

481

Jakże się czułem, gdy otworzył usta i gdy usłyszałem pierwsze zdanie!

- Moi państwo! - zaczął głosem zdecydowanym, który jednakże trochę się załamywał. - Moi państwo! Dziś rano jeszcze leżała przede mną jedna z rozpowszechnianych tu niedawno nielegalnych ulotek. Po raz setny zastanawiam się: „Na czym polega jej siła?”

Cała widownia zamilkła. Wszystkie spojrzenia skierowane były ku mówcy. Niektórzy patrzyli z przerażeniem. Należy przyznać, że mój przyjaciel potrafił podniecić zaciekawienie od pierwszego zdania. Nawet spoza kulis wysunęły się głowy. Liputin i Lamszyn wsłuchiwali się chciwie. Julia Michajłowna skinęła na mnie.

- Niech go pan powstrzyma! Za wszelką cenę! - szepnęła trwożnie.

Wzruszyłem ramionami. Jak można było powstrzymać człowieka, który się zdecydował na wszystko! Niestety zrozumiałem Stiepana Trofimowicza.

Wśród publiczności szeptano: „Aha, to o proklamacjach.” Na sali zauważyłem wielkie poruszenie.

- Proszę państwa! Rozstrzygnąłem tajemnicę. Zagadnienie wpływu tych kartek polega na ich głupocie! (Oczy Stiepana Trofimowicza błyszczały.) Tak, proszę państwa, gdyby to była głupota rozmyślna, powstała na obstalunek - o, to byłoby nawet genialne! Musimy jednak być sprawiedliwi: ci panowie wcale nie udawali. To naga, szczerą, krótkowzroczną głupota - cest la betise dans son essence la plus pure, quelàue chose comme im sirnple chimigue*. Gdyby to wszystko było wypowiedziane o włos inteligentniej, już każdy zauważyłby nędzę tej głupoty. A teraz każdy zastanawia się zdumiony: nikt nie wierzy, aby rzecz mogła być aż tak prymitywnie

głupia. „Niemożliwe, aby za tym nie kryło się coś więcej” - powtarza każdy i szuka sekretu, dopatruje się tajemnicy, chce czytać między wierszami. Cel osiągnięty! O, nigdy dotąd głupota nie była tak szczerze wynagradzana, chociaż tak często zasługiwała na to... Gdyż, en parenthese,** w dziejach ludzkości głupota jest nie mniej potrzebna niż największy geniusz...

- to głupota w swojej najczystszej postaci, coś jak gdyby pierwiastek chemiczny ** mówiąc nawiasem

482

- Paradoxy minionego pokolenia! - rozległ się jakiś głos, dość zresztą skromnie.

Lecz w tej chwili jak gdyby chmura się oberwała; podniósł się hałas i tumult.

- Proszę państwa, hura! Wznoszę toast za głupotę! - zawołał Stiepan Trofimowicz, jak gdyby w jakimś szale chciał opanować widownię.

Podbiegłem do niego pod pretekstem, że chcę nalać mu wody do szklanki.

- Stiepanie Trofimowiczu, niech pan da spokój! Julia Mi-chajłowna błaga pana...

Lecz Stiepan Trofimowicz krzyknął na cały głos:

- O nie! Daj mi pokój, lekkomyślny młodzieńcze! Uciekłem.

- Messieurs - ciągnął mówca - po co to oburzenie, po co hałas, który słyszę? Przyszedłem z gałązką oliwną. Przyniosłem wam ostatnie słowo, gdyż w tej sprawie ostatnie słowo do mnie należy - a potem pogodzimy się.

- Precz!-krzyczeli jedni.

- Ciszej, dajcie powiedzieć, dajcie mu się wypowiedzieć - wołali inni.

Najwięcej wzburzony był młody nauczyciel, który ośmieliwszy się zabrać głos, nie mógł już milczeć.

- Messieurs, ostatnie słowo w tej sprawie to wszechprze-baczenie. Ja, odchodzący już starzec, oznajmiam uroczyście, że duch życia wieje jak dawniej, a żywe siły nie wygasły w młodym pokoleniu. Entuzjazm młodzieży współczesnej jest tak samo czysty i jasny jak za naszych czasów. Jedno tylko się zmieniło: przesunęły się cele, jedno piekło ustąpiło drugiemu! A całe nieporozumienie tkwi w kwestii: Szekspir czy buty?1= Rafael czy nafta?

- To prowokacja! - szemrano na sali.

- Kompromitujące pytania!

- Agent-provocateur!*

- Ja zaś oświadczam - wykrzykiwał Stiepan Trofimowicz zapędzając się coraz dalej - oświadczam, iż Szekspir i Rafael są ważniejsi od zniesienia poddaństwa,16 ważniejsi od guseł ludowych, od socjalizmu, od młodego pokolenia, od

- Agent-prowokator

483

chemii, ważniejsi od całej nieomal ludzkości, gdyż są już owocem, prawdziwym owocem całej ludzkości, i może nawet najpiękniejszym, jaki tylko być może! To osiągnięty już kształt piękna, bez którego, kto wie, może nie zgodziłbym się żyć... Mój Boże!-tu mówca załamał dłonie - przed dziesięciu laty tak samo nawoływałem w Petersburgu, z estrady, używałem tych samych słów i tak samo nie rozumiano mnie. Śmiano się i gwizdano jak dziś. Wy, mali ludzie, czego wam potrzeba, abyście zrozumieli? Pamiętajcie, że bez Anglików ludzkość da sobie radę, bez Niemców także, bez Rosjan na pewno, przetrwa bez nauki, bez chleba, i jedynie bez piękna się nie obejdzie, gdyż bez piękna nie warto będzie żyć na świecie! W tym cała tajemnica, w tym cała rzecz! Nawet nauka bez

piękna nie utrzyma się ani na chwilę - czy rozumiecie to wy, którzy się śmiejecie ? Nauka obróci się w chamstwo! Prochu nie wymyślicie!... Nie ustąpię wam! - nedorzecznie zakończył Stiepan Trofimowicz i z całej siły uderzył pięścią w stół.

Gdy tak wykrzykiwał bez sensu i bez związku, tumult na sali się wzrósł. Liczni słuchacze pozrywali się z krzeseł, fala ludzka ruszyła naprzód ku estradzie. Wszystko to odbyło się znacznie prędzej, niż opisuję, toteż nie mogło być mowy o opanowaniu sali. Może zresztą i nie chciano jej opanować.

- Dobrze panu gadać - huknął koło estrady ten sam seminarzysta, śmiejąc się radośnie do Stiepana Trofimowicza - kiedy pan żyje na łaskawym chlebie!

Stiepan Trofimowicz dosłyszał i podbiegł do skraju estrady.

- Czy to nie ja, czy nie ja przed chwilą głosiłem, że entuzjazm młodego pokolenia jest tak samo jasny i czysty jak dawniej, a młodzież marnuje się, myśląc się tylko co do form piękna? Nie dość wam tego? A jeżeli dodam, że tak mówi zrujnowany, znieważony ojciec, czyż nie mam prawa twierdzić, wy, mali ludzie, że trudno stanąć wyżej ode mnie pod względem obiektywizmu i równowagi?... Niewdzięczni... niesprawiedliwi... dlaczego, dlaczego nie chcecie się pogodzić?...

Zalkał histerycznie, palcami ocierał spływające łzy. Łkanie wstrząsało jego ramionami; zapomniał o całym świecie.

Publiczność ogarnęło prawdziwe przerażenie. Prawie wszyscy zerwali się z miejsc. Julia Michajłowna także porwała się z miejsca, chwyciła pod ramię małżonka, usiłując podnieść go z fotela... Skandal rósł do niesłychanych rozmiarów.

484

Wtem znów odezwał się seminarzysta wykrzykując radośnie:

- Stiepanie Trofimowiczu! Tu w mieście i w okolicach błąka się Fiedka Katorżny, zbieg z katorgi. Rabuje, a niedawno nawet zamordował człowieka. A teraz niech pan powie: gdyby pan przed piętnastu laty nie oddał go w rekruty za dług karciany, po prostu gdyby pan nie przegrał go w karty, czy trafiłby na katorgę? Czy zarzynałby ludzi, jak teraz, w walce o byt? Cóż pan na to odpowie, panie esteto?

Nie jestem w stanie opisać, co się potem stało. Przede wszystkim rozległy się frenetyczne brawa. Klaskali nie wszyscy, może jakaś piąta część zebranych, lecz za to klaskali przeraźliwie. Reszta publiczności rzuciła się do wyjścia, ponieważ jednak grupa oklaskujących cisnęła się ku estradzie, powstał tłok. Panie krzyczały, niektóre panny płakały i wrywały się do domu. Lembke, stojąc przy swym fotelu, dzikim wzrokiem obiegał salę. Julia Michajłowna zupełnie straciła głowę - po raz pierwszy od przyjazdu. Stiepan Trofimowicz na razie, jak się zdawało, był zupełnie przytłoczony słowami seminarzysty; lecz zniemacka wznosił obie dłonie, jak gdyby chciał zakryć nimi całą publiczność i zawołał:

- Otrząsam pył z moich nóg i przeklinam... Wszystko... skończone... skończone...

Odwrócił się i wybiegł za kulisy, wymachując i grożąc rękami. Za nim niosły się wściekle okrzyki:

- Obrził całą publiczność!... Dawać tu Wierchowień-skiego!

Chciano go nawet ścigać. Trudno było uspokoić tłum, przynajmniej na razie. Wtem ostateczna katastrofa wybuchła jak bomba wśród zebranych: oto trzeci mówca, 17 ten maniak, który wymachiwał wciąż pięścią za kulisami, wbiegł na estradę.

Wyglądał nieprzytomnie. Z szerokim, triumfującym uśmiechem, pełen zadowolenia i pewności siebie, ogarniał wzrokiem wzburzone audytorium i zdawać się mogło, że cieszył go ten nieład. Nie martwiło go bynajmniej, że ma przemawiać w takim chaosie. Przeciwnie, był rad. Było to tak

widoczne, że zwracało uwagę.

- A to co znaczy? - rozległy się okrzyki. - Co to za jeden? Tss! Czego on chce?

Maniak zbliżył się do skrajów estrady i zaczął krzyczeć równit

485

piskliwym głosem jak Karmazinow, lecz bez arystokratycznego seplenienia:

- Proszę państwa! Proszę państwa! Przed dwudziestu laty, w przeddzień wojny z połową Europy, Rosja uchodziła za ideał w oczach wszystkich radców stanu! Literatura oddała się w pacht cenzurze;¹⁸ w uniwersytetach uczono musztry; wojsko zmieniło się w balet, a lud płacił podatki i milczał pod batem pańszczyzny.¹⁹ Patriotyzm wyrodził się w zdzieranie łapówek od żywych i umarłych. Niełapownicy uchodzili za buntowników, psuli bowiem harmonię. Lasy brzoźowe wycięto w pień na pomoc praworządności.²⁰ Europa trzęsła się ze strachu... Lecz nigdy jeszcze Rosja, przez cały bezsens tysiącletniego bytu, nie doszła do takiej hańby...

Podniósł pięść groźnie a zapamiętałe, machnął nią nad głową i wreszcie opuścił gwałtownie, jak gdyby miażdżył przeciwnika. Dokoła rozbrzmiewały dzikie okrzyki, rozległy się ogłuszające oklaski. Klaskała już prawie połowa sali; ulegli nawet najnie-wihniejsi: wszak oto publicznie bezczeszczono Rosję - czyż można było nie wyć z zachwytu?

- Tak! Tak! Brawo, hura! to już nie jest estetyka! Maniak w zachwycie prawił dalej:

- Od tego czasu minęło dwadzieścia lat. Otwarto uniwersytety, pomnożono ich ilość. Musztra przeszła do legendy. Brakuje tysięcy oficerów. Koleje pochłonęły wszystkie kapitały i oplotły Rosję jak pajęczyna. Jeśli tak dalej pójdzie, to może istotnie za lat piętnaście można będzie z nich korzystać. Mosty palą się tylko od czasu do czasu, miasta zaś regularnie, w ustalonym porządku, po kolei, w sezonie pożarów. W sądach - wyroki salomonowe, a sędziowie przysięgli biorą łapówki jedynie w walce o byt, by nie umrzeć z głodu. Chłopi - już wolni, i sieką różgami jeden drugiego, jak dawniej panowie ich siekli. Na ratunek budżetowi wypija się morza i oceany wódki, a w Nowogrodzie, na wprost starożytnej i już zbytycznej Sofii, ku upamiętnieniu minionego już tysiąclecia chaosu i bezsensu, uroczyście wzniesiono olbrzymią kulę z brązu.²¹ Europa zachmurzyła się i znów ogarnia ją niepokój... Piętna-stolecie reform. Tymczasem zaś Rosja, nawet w najbardziej karykaturalnych okresach bezładu, nie dochodziła...

Wśród hałasu zebranych nie słysząc już było ostatnich słów. Widać było, że mówca znów podniósł pięść i triumfalnie

486

ją opuścił. Zachwyt zebranych przekroczył wszelkie granice. Krzyczano, klaskano, niektóre zaś panie wołały: „Dostyc już! Nic lepszego nie da się już powiedzieć!” Wszyscy wyglądali jak pijani. Mówca ogarniał zebranych spojrzeniem i zdawało się, że rozplywa się we własnym triumfie. Zauważyłem, jak Lembke, niesłuchanie zaniepokojony, coś komuś wskazywał. Julia Michajłowna, blada jak płótno, szeptała coś w pośpiechu księciu, który podbiegł do niej.

W tej chwili cała gromadka, składająca się z sześciu osób, zajmujących u nas mniej lub więcej oficjalne stanowiska, rzuciła się spoza kulis na estradę, chwyciła mówcę i powlokła go za kulisy. Nie mogę pojąć, w jaki sposób zdołał się wyrwać, lecz wyrwał się, znów podskoczył do skrajów estrady i zdążył wrzasnąć z całej siły, potrząsając pięścią:

- Lecz nigdy jeszcze Rosja nie doszła...

Ale już wleczono go znowu. Widziałem, jak grupa kilkunastu ludzi skoczyła za kulisy, aby go wyrwać, lecz nie przez estradę, a z boku, rozbijając cienką przegrodę, która w końcu runęła...

Widziałem potem, nie wierząc własnym oczom, jak na estradę wskoczyła nie wiadomo skąd studentka (krewna Wir-gińskiego) z nieodłącznym zwitkiem pod pachą, ubrana tak samo jak

wtedy, tak samo czerwona, pulchniutka, w otoczeniu paru kobiet i paru mężczyzn, w towarzystwie licealisty, swego śmiertelnego wroga. Dosłyszałem nawet jej okrzyk:

- Proszę państwa, przyjechałam tu, aby opowiedzieć o cierpieniach nieszczęśliwych studentów i wezwać ich do powszechnego protestu...

Ale ja już uciekałem. Wstęgę schowałem do kieszeni i znanym mi tylnym wyjściem wyrwałem się z domu na ulicę. Przede wszystkim, rzecz jasna, pobiegłem do Stepana Trofimowicza.

ROZDZIAŁ DRUGI

KONIEC ZABAWY

I

Nie przyjął mnie. Zamknął się i pisał. Gdym zapukał powtórnie, wzywając go głośno, Stepan Trofimowicz odezwał się:

- Przyjacielu, wszystko już skończone. Czegóż więcej można żądać ode mnie?

- Nic pan nie skończył, a tylko przyczynił się do wywołania zamętu. Na miły Bóg, dość tych żartów, Stepanie Trofimowiczu! Niech pan otworzy drzwi. Trzeba zachować ostrożność, mogą przyjść tu i znieważać pana...

Sądziłem, że mam prawo mówić surowo i stanowczo. Bałem się, aby nie puścił się na jeszcze gorsze szaleństwa. Ku memu zdziwieniu spotkała mnie bezwzględna odprawa.

- Więc niech pan pierwszy mi nie ubliża. Dziękuję panu za wszystko, lecz powtarzam, że skończyłem już z ludźmi. Ze złymi i z dobrymi. Piszę obecnie list do Darii Pawłowny, nie mogę przebaczyć sobie, że ją tak zaniedbałem ostatnimi czasy; jutro odniesie pan list, jeżeli łaska, tymczasem zaś merci.

- Stepanie Trofimowiczu, zapewniam pana, że sprawa przedstawia się poważniej, niż pan myśli. Pan sądzi, że zmiążdżył tam kogoś? Nikogo tam pan nie zmiążdżył. Sam się pan zniweczył jak bańka mydlana (o, byłem brutalny, wspominam to z przykrością!). Do Darii Pawłowny nie potrzebuje pan wcale pisać... a beze mnie nie da pan sobie rady. W kwestiach praktycznych nie ma pan o niczym pojęcia. Na pewno powziął pan jeszcze jakiś zamiar! Ależ pan zginie marnie, jeżeli pan znowu powziął jakiś zamiar...

488

Zbliżył się do drzwi.

- Młodzieńcze, niedługo obcował pan z tymi ludźmi, a już przejął pan od nich język i ton. Dieu vous pardonne, mon ami, et Dieu vous garde. Zawsze dostrzegałem w panu zarodki uczciwości. Może więc sam się pan opamięta, oczywiście apres le temps, jak wszyscy nasi rodacy. Co się tyczy zarzutu niepraktyczności, powiem panu o jednym moim dawnym spostrzeżeniu. Istnieje w Rosji liczna kategoria ludzi, którzy traktują jako jedno z głównych swoich zadań atakowanie innych za brak zmysłu praktycznego. Czynią to zawzięcie, z natrętnością much. Oskarżają wszystkich oprócz siebie. Cher, niech pan nie zapomina, że jestem podrażniony, i niech mnie pan nie męczy. Raz jeszcze merci za wszystko i rozstańmy się jak Karmazinow z publicznością, to znaczy zapomnijmy wspaniałomyślnie o sobie. A Karmazinow udawał tylko, gdy tak gorąco błagał czytelników, aby zapomnieli o nim. Quant d moi* nie jestem tak zarozumiały i szczerze liczę na młodość pańskiego niedoświadczonego serca: czyż potrafiłby pan długo pamiętać o niepotrzebnym starcu? „Żyj lepiej”, przyjacielu, jak mi życzyła Nastasja na ostatnie moje imieniny (ces pauvres gens ont quelquefois des mots charmants et pleins de philosophie).** Nie życzę ci zbyt wiele szczęścia - to nudne; nie życzę też klęski. Zgodnie z filozofią ludową powtarzam po prostu: „żyj lepiej” i dołóż starań, żeby się bardzo nie nudzić. To ostatnie daremne życzenie dodaję już od siebie. Zegnam.

Żegnaj na serio. Niechże pan nie stoi pod drzwiami - nie otworzę.

Odszedł od drzwi i nie dowiedziałem się nic więcej. Pomimo „podrażnienia” mówił płynnie, z powagą, widocznie pragnąc trafić do przekonania. Rzecz prosta, że miał do mnie pewien żal i pośrednio mścił się może za wczorajsze „kibitki” i „rozstępującą się podłogę”. Łzy natomiast, publicznie wylane dzisiejszego ranka, pomimo poczucia pewnego zwycięstwa, postawiły go (a wiedział o tym) w sytuacji nieco komicznej. Nie było zaś człowieka, który by tak dbał o piękno i wytworność form w stosunkach z przyjaciółmi jak Stiepan

- Niech Bóg panu przebaczy, mój przyjacielu, i niech Bóg ma pana w opiece (poiiii LzasiL Co do mnie ** ci biedni ludzie mają czasem czarujące i pełne tilozollcznego sensu powiedzeni: 489

Trofimowicz. O, nie mam mu tego za złe! Lecz ta drażliwość i sarkazm, których się nie pozbył po wszystkich wstrząsach, uspokoiły mnie. Zdawało mi się, że człowiek, który najwidoczniej w niczym się nie zmienił, najmniej jest skłonny do jakichś czynów tragicznych lub też niezwykłych. Takem wtedy osądził i - wielki Boże! - jakżem się mylił! Nie uwzględniłem zbyt wielu rzeczy...

Uprzedzając fakty, przytoczę tu kilka pierwszych zdań listu, który istotnie Daria Pawłowna otrzymała nazajutrz :

„Mon enfant* drżą mi ręce, lecz skończyłem ze wszystkim. Nie była Pani obecna przy ostatniej mojej potyczce z ludźmi. Nie przyszła Pani na ów poranek literacki, i dobrze się stało. Lecz inni opowiedzą Pani, że w naszym kraju, tak zubożałym w silne charaktery, wstał jednak odważny człowiek i pomimo śmiertelnych pogroźek, którymi go zewsząd zarzucono, powiedział tym głupcom prawdę w oczy, nazywając ich po imieniu. O, ce sont des pauvres petits vauriens et rien de plus, des petits głuptasy - void le mot!** Kości rzucone! Opuszczam to miasto na wieki i nie wiem sam, dokąd pójdę. Wszyscy, których kochałem, odwrócili się ode mnie. Lecz Pani, istota czysta, naiwna, Pani, uosobienie łagodności, która z pogardą może patrzyła, jakem wylewał małoduszne łzy w przeddzień ślubu, który się nie odbył, Pani, która nie może bądź co bądź patrzeć na mnie inaczej jak na istotę komiczną, o, Pani - dla Ciebie ten ostatni krzyk mego serca, ostatnie spłacenie długu, tylko dla Ciebie! Nie mógłbym przecież zostawić Pani na zawsze z myślą o mnie jako o niewdzięcznym głupcu, egoiście i złym człowieku, jak to Pani zapewne co dzień powtarza pewna niewdzięczna i okrutna istota, o której nie mogę zapomnieć...”

I tak dalej, i tak dalej, całe cztery strony dużego formatu.

Uderzywszy trzy razy pięścią w drzwi po jego ostatnim „nie otworzę”, zawołałem, że na pewno dziś jeszcze trzy razy przyśle po mnie Nastasję, lecz ja już nie przyjdę; zostawiłem go i pobiegłem do Julii Michajłowny.

Moje dziecko O, to są biedni mali nicponie i nic więcej, małe () - oto właściwe określenie

II

Tu stałem się świadkiem oburzającej sceny: biedną kobietę oszukiwano w oczy, ja zaś nie mogłem temu zaradzić. Cóż wreszcie mógłbym jej powiedzieć? Jużem się trochę opamiętał i zrozumiałem, że opieram się jedynie na przykrych przecuciach, nic więcej. Zastałem ją we łzach, prawie w ataku hysterii, z okładem z wody kolońskiej, że szklanką wody w ręku. Przed nią stał Piotr Stiepanowicz, który mówił bez przerwy, i książkę milczący, jak gdyby miał zakneblowane usta. Ze łzami, z krzykiem robiła wyrzuty Piotrowi Stiepanowiczowi, że ją „zdradził”. Uderzyło mnie, że całe niepowodzenie dzisiejszego poranka, całą tę hańbę - słowem wszystko - traktowała jako skutek nieobecności Piotra Stiepanowicza.

W nim zaś zauważyłem jedną istotną zmianę: wyglądał na człowieka bardzo zajętego jakąś myślą,

miął minę dość poważną. Zazwyczaj nie bywał poważny, ciągle się śmiał, nawet wtedy gdy był zirytowany, a irytował się często. O, i teraz był w złym humorze, mówił brutalnie, niedbale, ze złością, i niecierpliwił się. Twierdził, że bolała go głowa i miał mdłości. Przeleżał w mieszkaniu Gaganowa, do którego przypadkowo wpadł dziś rano. Ach, jak ta kobieta pragnęła być jeszcze oszukiwaną! Przyszedłem w chwili, gdy omawiano zasadniczą kwestię: czy bal ma się odbyć, a więc czy się odbędzie druga część zabawy, czy nie. Julia Michajłowna za żadne skarby nie chciała być na balu „po tych wszystkich obelgach”. To znaczy, że chciała koniecznie zostać do tego zmuszona, i to właśnie przez niego, przez Piotra Stiepanowicza. Patrzyła na niego jak na wyrocznię. Gdyby w tej chwili odszedł, na pewno położyłaby się do łóżka. Lecz on nie miał zamiaru odchodzić. Widocznie niezmiernie zależało mu na tym, aby bal się odbył i aby Julia Michajłowna koniecznie była na nim obecna...

- No, czego pani beczy! Nie może pani obejść się bez scen? Musi pani na kimś wyładować gniew? Dobrze, dobrze, niech pani zwała winę na mnie, byle jak najprędzej, gdyż czas upływa, a trzeba się wreszcie zdecydować. Nie udało nam się z literaturą, naprawimy balem. Wszak książę jest tego samego zdania? Och, gdyby książę nie był tam obecny, mogłoby się skończyć stokroć gorzej.

Książę był zrazu przeciwnikiem balu (raczej przeciwnikiem

491

zjawienia się na balu Julii Michajłowny, gdyż bal bądź coibądź musiał się odbyć), lecz po dwóch, trzech apelacjach Piotra Stiepanowicza do jego opinii zaczął pomrukiwać przytakująco.

Zdziwiła mnie także dość niezwykła nieuprzejmość Piotra Stiepanowicza. Och, odrzucam z oburzeniem podłe plotki, które potem rozpowszechniły się u nas, o jakichkolwiek bądź związkach jego z Julią Michajłowną. Nic podobnego nie było i być nie mogło. Osiągnął zaś przewagę nad nią tylko dlatego, że od razu zaczął usilnie przytakiwać jej marzeniom o władzy nad społeczeństwem i wpływom na rząd, aprobował plany, sam stwarzał je dla niej, działał najprostszy pochlebstwem, oplatał ją od stóp do głów i stał się jej potrzebny jak powietrze.

Zobaczywszy mnie, Julia Michajłowna zawołała błyskając oczami: ,

- O, niech się pan jego zapyta, on tak samo jak książę mnie nie odstępował. Niech pan powie! Czyż to nie był spisek, niski, perfidny spisek, aby wyrządzić jak najwięcej zła mnie i mojemu mężowi? O, oni się zmówili! Opracowali plan! To cała gra!

- Ale się pani zagalopowała! Zresztą jak zawsze. Ciągle poematy w głowie. A zresztą rad jestem panu... (udał, że zapomniał, jak się nazywam), wysłuchamy i jego zdania.

- Moje zdanie - odparłem z pośpiechem -• jest zupełnie zgodne ze zdaniem Julii Michajłowny. Spisek jest zbyt oczywisty. Odnoszę pani wstęgę, Julio Michajłowno! Czy odbędzie się bal, czy nie, to oczywiście ode mnie nie zależy. Nie mogę mieć na to żadnego wpływu, lecz moja rola jako gospodarza skończona. Niech mi pani wybaczy moją gwałtowność, nie mogę jednak działać wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Julia Michajłowna załamała ręce.

- Słyszycie państwo? Słyszycie państwo?

- Słyszę, łaskawa pani, i powiem tylko jedno - Piotr Stiepanowicz zwrócił się w naszą stronę. - Sądzę, że wszyscy najedliście się czegoś takiego, co wywołało gorączkę. Moim zdaniem, nie zaszło nic szczególnego. To wszystko już bywało w naszym mieście lub też zawsze mogło się zdarzyć. Jaki tam spisek! Skończyło się brzydko i potwornie głupio, lecz gdzie tu spisek? Przeciw komu? Przeciw Julii Michajłownie, ich protektorce, która wybaczała im bez końca wszystkie

492

figle? Julio Michajłowno! O czym to od miesiąca stale przekonywałem panią? O czym

uprzedzałem? Po co, po co potrzebna była pani ta zgraja? Po co pani zbliżyła do siebie tych łobuzów? Chciała pani zjednać całe towarzystwo? Na miły Bóg, toć przecie niemożliwe!

- Kiedy pan mnie uprzedzał? Przeciwnie, zachęcał mnie pan, nawet żądał ode mnie... Jestem wprost zdumiona... Przecie pan sam przyprowadzał do mnie rozmaite podejrzone osoby.

- Ależ przeciwnie, nie zachęcałem, lecz odradzałem. Żem przyprowadzał - to prawda, lecz wtedy dopiero, gdy całymi tuzinami nachodzili panią już inni, i tylko w ostatnich dniach, w celu zorganizowania „literackiego kadryla”, bo bez tych chamów nie dałoby się tego zrobić. Lecz założyłbym się, że dziś niejeden tuzin chamów został wpuszczony bez biletów.

- Niezawodnie! - potwierdziłem.

- Widzi pan, już się pan ze mną zgadza. Niech państwo przypomną sobie, jaki ton zapanował ostatnimi czasy w całej mieścinie! Zuchwały! Bezwstydny! Był to krzyżący skandal! A kto go popierał? Kto uświęcał swoim autorytetem? Kto wyprowadził wszystkich na manowce? Kto rozjątrzył publiczność? Przecież w pani albumie odtworzone są wszystkie sekrety rodzinne! Czyż to nie pani gładziła po główce paszkwilantów i karykaturzystów? Czyż to nie pani podawała Lam-szynowi rękę do pocałowania? Czyż to nie w pani obecności seminarzysty złajał rzeczywistego radcę stanu i zniszczył sukienkę jego córki wymazanymi dziegciem butami? A teraz dziwi się pani, że społeczeństwo jest na panią oburzone?

- Ale przecie to wszystko pan, pan sam! O, mój Boże!

- Nie, ostrzegałem panią, sprzeczałem się z panią, słyszy pani, sprzeczałem się!

- Ależ pan kłamie w żywe oczy!

- Oczywiście! Cóż to dla pani znaczy rzucić takie oskarżenie? Szuka pani teraz ofiary, żeby wyładować na niej swój gniew. Służę pani! Lepiej będzie, jeżeli pomówię z panem... (znów nie przypomniał sobie mego nazwiska). Wyliczymy na palcach. Twierdzę, że poza Liputinem nie było żadnego spisku, za-dne-go! Udowodnię to, lecz zatrzymajmy się na Li-putinie. Wszedł na estradę z wierszami idioty Lebiadkina... Czy pan nazwie to spiskiem? Ależ Liputinowi mogło się to

493

wydawać dowcipem! Naprawdę dowcipem. Wszedł, aby wszystkich zabawić i rozweselić, przede wszystkim zaś swoją protektorkę Julię Michajłownę, i basta! Nie chce pan wierzyć? Czyż jednak ton utworu nie odpowiadał temu, co się tu działo w ostatnim miesiącu? I chce pan, powiem otwarcie: jak Boga kocham, w innych warunkach jakoś by to uszło! Żart był dość brutalny, zbyt mocny, ale zabawny, prawda?

- Jak to, pan traktuje wybryk Liputina jako dowcip? - zawołała z wielkim oburzeniem Julia Michajłowna - taki brak taktu, taki bezsens, taka podłość, taki zamysł, o, pan udaje! Pan sam należy do spisku.

- Otóż to! Siedziałem z tyłu, schowałem się, poruszałem całą maszynę! Przecie gdybym należał do spisku, niechże pani choć to zechce zrozumieć, nie skończyłoby się na Lipu-tinie! Więc, zdaniem pani, zmówiłem się z moim ojczulkiem, aby wywołać skandal? Czyja to wina, łaskawa pani, że ojczulkowi pozwolono przemawiać? Czy wczoraj jeszcze, tak, wczoraj, nie odradzałem tego pani?

- Oh, hier ii ava.it tant despnt,* tak liczyłam na niego, on jest taki wytworny. Myślałam, że on i Karmazinow... i proszę!

- Otóż to, łaskawa pani, proszę! Bo pomimo całego tant desprit ojczulek nabroił. A gdybym mógł przewidzieć, że nabroi, to należąc do spisku przeciwko pani i jej zabawie, niezawodnie nie namawiałbym, aby pani nie wpuszczała kozła do ogrodu, prawda? A przecie namawiałem wczoraj. Namawiałem, bo miałem przecucie. Trudno było wszystko przewidzieć. On sam na

pewno na chwilę przedtem nie wiedział, co wypali. Czyż ci nerwowi starszycy podobni są do ludzi? Lecz to wszystko można jeszcze uratować. Niech pani jutro, dla zaspokojenia opinii publicznej, pośle do niego w trybie administracyjnym, że wszystkimi należnymi względami, dwóch lekarzy. Niech zbadają stan jego zdrowia. Można to zrobić nawet dzisiaj, a potem odwiedzić go do szpitala na zimne okłady. Wszystkich to ubawi i zrozumieją, że nie ma powodu do oburzenia. Obwieszczę to dziś jeszcze na balu. Mam prawo, gdyż jestem jego synem. Co innego Karmazinow. Ten zachował się jak ostatni osioł, męcząc publiczność przez całą godzinę.

- Och, on by! wczoraj taki dowcipny

494

Może to on jest ze mną w zмовie? Może to z nim porozumiałem się, aby zepsuć Julii Michajłownie zabawę?

- O, Karmazinow, quelle honte!* Palłam się, palłam się ze wstydu za naszą publiczność!

- No, ja bym się tam nie palił, co najwyżej przypieklbym jego. Publiczność ostatecznie miała rację. A kto zawinił z Karmazinowem? Może go pani narzuciłem? Może uczestniczyłem w składanych mu hołdach? A zresztą mniejsza o to. Ale ten trzeci maniak, ten polityczny, to już inna sprawa. Tu już wszyscy spudłowali, lecz gdzie znów mój spisek?

- O, niech pan nie mówi! To straszne, straszne! To wyłącznie moja, wyłącznie moja wina.

- Oczywiście, chociaż trudno panią oskarżać. Kto by tam dopilnował tych nazbyt szczerych jegomościów! Nawet w Petersburgu nie mogą się ich pozbyć. Toć polecano go pani i to jak jeszcze! Teraz zgodzi się pani, że musi pani być na balu. To rzecz poważna. Sama go pani wprowadziła na katedrę. Teraz musi pani publicznie oświadczyć, że nie solidaryzuje się z nim, że chwyt jest już w rękach policji, panią zaś w niewytłumaczalny sposób wprowadzono w błąd. Musi pani oznajmić z oburzeniem, że padła pani ofiarą wariata. Przecież to po prostu wariat. Trzeba go w ten sposób przedstawić. Nie znoszę tych szczekaczy. Sam nieraz mówię gorsze rzeczy, lecz nie z katedry przecie! A oni teraz właśnie krzyczą o senatorze...

- O jakim senatorze? Kto krzyczy?

- Widzi pani, sam nic nie rozumiem. Czy pani nie słyszała o żadnym senatorze?

- O senatorze?

- Widzi pani, wszyscy są przekonani, że tu wyznaczono jakiegoś senatora i że państwo zostaną odwołani rozkazem z Petersburga. Słyszałem to od wielu osób.

- I ja słyszałem - potwierdziłem.

- Kto to opowiada? - zaniepokoiła się Julia Michajłowna.

- Pyta pani, kto pierwszy powiedział? Skądże mogę wiedzieć. Tak mówią. Mówi całe miasto. Wczoraj zwłaszcza o tym mówiono. Wszyscy są jacyś bardzo poważni, lecz trudno się w tym połapać. Ludzie mądrzejsi i bardziej kompetentni milczą, lecz sami chętnie słuchają.

- Co za wstyd

495

- Co za nikczemność! I... co za głupota!

- Tak więc teraz właśnie musi pani się pokazać, aby zamknąć usta tym durniom.

- Przyznam, że sama to czuję. Tak, powinnam... lecz co będzie, jeżeli oczekuje mnie nowa kompromitacja? Co będzie, jeżeli publiczność się nie stawi? Przecież nikt nie przyjdzie, nikt, nikt!

- Co za przypuszczenie! Nie mieliby przyjechać? A cóż będzie ze strojami, z sukienkami panienek? Nie poznają w pani kobiety! Ależ się pani zna na ludziach!

- Marszałkowa nie przyjedzie, nie przyjedzie!

- Ależ cóż się w końcu takiego stało? Dlaczego ma nie przyjechać? - wybuchnął Piotr Stiepanowicz, zły, zniecierpliwiony.

- Co się stało? Kompromitacja, hańba! Nie wiem, co się stało, lecz coś takiego, po czym nie mogę się ludziom pokazać.

- Dlaczego? A cóż pani w końcu winna? Dlaczego pani przyznaje się do winy? Czyż raczej nie jest winna publiczność, wasi staruszkowie, ojcowie rodzin? Powinni byli powstrzymać zbytników i urwisów. Przecież oprócz urwisów i zbytników nikogo tu więcej nie ma, nikogo poważnego. Na żadnym zebraniu, nigdzie, sama policja nie dałaby sobie rady. U nas każdy wchodząc chce, aby przydano mu policjanta dla osobistej ochrony. Nie rozumieją, że społeczeństwo powinno bronić się samo. Cóż robią u nas w takich wypadkach ojcowie rodzin, dygnitarze, ich żony i córki? Siedzą cicho i pałają gniewem. Inicjatywy społecznej nie wystarczy nawet na poskromienie urwisów.

- Ach, to święta prawda! Milczą, dąsają się i... rozglądają wokoło.

- Więc dobrze, jeżeli to prawda, niech pani ją wypowie głośno, dumnie, surowo! Niech pani właśnie pokaże, że nie jest pani zmiażdżona. Właśnie tym staruszkom i matronom. O, pani to potrafi, pani ma talent, byle mózg funkcjonował spokojnie. Pani skupi ich dookoła siebie, a wtedy głośniej, głośniej... A potem artykułik do „Głosu” i do „Giełdowej”. Niech pani pozwoli, ja już sam to załatwię. Oczywiście trzeba mieć oko na wszystko, zwłaszcza pilnować bufetu. Poprosimy księcia, poprosimy pana... Przecież pani nie wolno nas opuścić w chwili, gdy musimy wszystko naprawić. A wreszcie - wej-

496

dzie pani pod rękę z Andrzejem Antonowiczem! Jak zdrowie małżonka?

Pod wpływem nieoczekiwanego wzruszenia, prawie ze łzami, podnosząc chusteczkę do oczu Julia Michajłowna na wspomnienie męża zawołała:

- Och, jak niesprawiedliwie, jak niesłusznie, jak niegodnie oceniał pan zawsze tego wyjątkowej dobroci człowieka! Piotr Stiepanowicz nawet zaciął się w pierwszej chwili.

- Ależ co pani mówi, ja... cóż ja, w rzeczy samej!... ja zawsze...

- Pan nigdy, nigdy! Pan nigdy go nie doceniał! Piotr Stiepanowicz uśmiechnął się kwaśno i mruknął:

- Nigdy nie można zrozumieć kobiety!

- To najbardziej prawy, najuczciwszy, najdelikatniejszy człowiek! Dobry jak anioł.

- Ależ proszę pani! Któż zaprzecza? Nigdy nie wątpiłem w jego dobroć...

- Nieprawda! Lecz dajmy temu spokój. Zbyt nie w porę ujęłam się za nim. A wczoraj ta hipokrytka, marszałkowa, także pozwoliła-sobie na parę sarkastycznych uwag o zabawie.

- Och, ma też o czym myśleć! I dzisiejszego poranku jej wystarczy. Dlaczego panią niepokoi, że ona się nie zjawi na balu? Ależ na pewno nie zjawi się, skoro wpadła w taką awanturę. Może nawet nie zawiniła, lecz cóż robić z opinią? Maczała rączki...

- Co takiego? W czym maczała rączki? - zdumiała się Julia Michajłowna.

- Nie twierdzą nic, lecz na mieście mówią, że to ona pośredniczyła.

- Między kim? W czym?

- Jak to, jeszcze pani nie rozumie? - zawołał Piotr Stiepanowicz z doskonale udanym zdziwieniem.

- Między Sta-wroginem a Lizawietą Nikołajewną.

- Jak to? Co? - zawołaliśmy chórem.

- Więc państwo nie wiedzą o niczym? Fiu-u-u! Ależ tu rozegrał się dramat miłosny! Lizawietą Nikołajewną prosto z karety pani marszałkowej raczyła przesiąść się do karety Stawrogina i razem z tym ostatnim drapnęła wśród białego dnia do Skworesznik. Zaledwie przed godziną, nawet jeszcze nie ma godziny.

497

Ośłupieliśmy. Zaczęliśmy się dopytywać o szczegóły. Jednakże Piotr Stiepanowicz, aczkolwiek „przypadkowo” był świadkiem zdarzenia, nie był w stanie nic dokładnie opowiedzieć. Miało się to odbyć w sposób następujący: gdy marszałkowa, zaraz po „poranku”, podwiozła Lizę i Maurycego Nikołajewicza do domu matki Lizy (wciąż chorującej na nogi), już niedaleko od wjazdu, na uboczu, w odległości dwudziestu pięciu kroków oczekiwała jakaś inna kareta. Liza prędko wysiadła, podbiegła do tej karety: drzwiczki otworzyły się i zatrzasnęły za nią. Liza krzyknęła do Maurycego Nikołajewicza: „Błagam o litość”, i kareta pędem pomknęła do Skworesznik. Na nasze pytania: „Czy to było umówione zawczasu? Kto siedział w karecie?” - Piotr Stiepanowicz odpowiedział, że nie wie o niczym, prawdopodobnie było to umówione, lecz Stawrogina nie zauważył w karecie; bardzo możliwe, że siedział tam tylko kamerdyner, stary Aleksy Jegorycz. Na pytanie: „Jak pan tam się znalazł? I skąd pan wie, że na pewno pojechała do Skworesznik?” - Piotr Stiepanowicz tłumaczył, że przypadkowo szedł ulicą, zobaczywszy zaś Lizę nawet podbiegł do karety (jakże więc przy znanej swojej ciekawości nie miał dojrzeć, kto jest wewnątrz?); Maurycy Nikołajewicz nie puścił się w pogoń, a nawet usiłował zatrzymać marszałkową, która wyrывała się i krzyczała na cały głos: „Ona do Stawrogina! Do Stawrogina!”

Nie mogłem dłużej wytrzymać. Straciłem równowagę i rzuciłem się z furią na Piotra Stiepanowicza:

- Toś ty, nikczemniku, urządził wszystko! Tyś pomagał Stawroginowi! Sam przyjechałeś w karecie! Wsadziłeś ją! Ty, ty, ty! Julio Michajłowno, to najgorszy pani wróg! On zgubi i panią! Niech się pani strzeże!

Jak wariat wybiegłem z pokoju.

Dotychczas nie rozumiem, dotychczas dziwię się, jak mogłem zdobyć się na ten okrzyk. Lecz zgadłem. Wyjaśniło się później, że wszystko prawie odbyło się tak, jak przypuszczałem. Zbyt zresztą oczywisty był wybieg, zastosowany przez Piotra Stiepanowicza. Opowiedział o zajściu nie zaraz po przybyciu, jak o najważniejszej nowinie, lecz udawał, że wszyscy już o nim wiemy, a było to niemożliwe ze względu na brak czasu. Gdybyśmy zresztą wiedzieli, nie milczelibyśmy przecie i nie czekali, aż on się odezwie. Nie mógł również słyszeć, także ze

498

względu na brak czasu, jak to w mieście już trąbią o marszałkowej. Opowiadając, dwakroć uśmiechnął się podle, jak gdyby miał powody uważać nas za oszukanych głupców. Lecz nie czas było zastanawiać się nad tym: fakt zasadniczy niezawodnie odpowiadał prawdzie, wybiegłem więc od Julii Michajłowny jak nieprzytomny. Ten cios uderzył mnie w samo serce. Ból ścisnął mnie za gardło; może nawet płakałem. Nie miałem pojęcia, co robić. Pobiegłem do Stiepana Trofimowicza, ale nieznośny człowiek znów mnie nie wpuścił. Nastasja oznajmiła mi szepcząc z namaszczeniem, że pan położył się spać, lecz nie wierzyłem. W domu Lizy udało mi się dogadać ze służbą. Fakt ucieczki został potwierdzony, poza tym nie wiadano o niczym. W domu panował niepokój; chora pani mdlała, a doglądał jej Maurycy Nikołajewicz. Uznałem za niemożliwe, by go wywołać. Na moje pytanie służba odpowiedziała, że Piotr Stiepanowicz od kilku dni ciągle zaglądał, czasem nawet dwa razy dziennie. Służba była smutna, a odzywała się o Lizie ze specjalnym szacunkiem. Lubiono ją. O tym, że jest zgubiona, zgubiona na zawsze, nie wątpiłem. Nie rozumiałem jednak

psychologicznej strony faktu, zwłaszcza po wczorajszej scenie ze Stawroginem. Wydawało mi się wstrętne i poniżające dla Lizy, żeby biegać i zbierać informacje po znajomych domach, w których już na pewno wszystko wiedzą i złośliwie się cieszą. Rzecz dziwna: poszedłem do Darii Pawłowny, lecz nie dostałem się do niej. (W domu generałowej nie przyjmowano od wczoraj nikogo.) Nie wiem nawet, o czym mógłbym z nią rozmawiać i po co szedłem do niej. Pobiegłem do jej brata. Szatow wysłuchał mnie w ponurym milczeniu. Zastałem go już w niesłychanie posepnym nastroju. Był zamyślony i wysłuchał mnie jakby z przymusem. Nic mi prawie nie powiedział, tylko zaczął biegać po swojej norze tam i nazad, z kąta w kąt, tupiąc nogami mocniej niż zwykle. Gdy już zbiegał ze schodów, krzyknął za mną, abym wstąpił do Liputina: „Tam się pan dowie o wszystkim.” Nie poszedłem jednak do Liputina, lecz uszedłszy spory kawał drogi wróciłem do Szatowa, uchyliłem drzwi i nie wchodząc, zapytałem go lakonicznie i bez żadnych wyjaśnień, „czy nie zechciałby wstąpić dzisiaj do Marii Timofiejewny”. Szatow odburknął mi niegrzecznie; odszedłem. Notuję tu zaraz, aby nie zapomnieć, że tego wieczora Szatow istotnie poszedł na koniec miasta do

499

Marii Timofiejewny, której już dawno nie widział. Zastał ją zdrową i dość pogodną, a Lebiadkin, pijany do nieprzytomności, spał na kanapie w pierwszym pokoju. Było to o dziewiątej wieczorem. Szatow opowiadał mi o tym nazajutrz, gdy go spotkał przypadkiem na ulicy. O dziesiątej wieczorem zdecydowałem się pójść na bal, ale już nie w roli „młodzieńca ze wstęgą”, gdyż nawet wstęgę zostawiłem u Julii Michajłowny, lecz jedynie dla zaspokojenia gwałtownej ciekawości. Chciałem podsłuchać nie dopytując się, co mówią w mieście o tych wszystkich zdarzeniach. Chciałem także spojrzeć choć z daleka na Julię Michajłownę. Miałem sobie za złe, że wyszedłem dziś od niej w takim wzburzeniu.

III

Cała ta noc, wraz ze wszystkimi bezsensownymi wydarzeniami i strasznym „epilogiem” następnego ranka, majaczy dotychczas w moim mózgu jak upiorny sen. Stanowi ona, dla mnie przynajmniej, najsmutniejszą, najbardziej przykrą część mojej kroniki. Spóźniłem się trochę na bal, a trafiłem już na jego koniec - tak szybko sążone mu było się skończyć. Już była jedenasta, gdy dotarłem do domu marszałkowej, gdzie ta sama Biała Sala, w której odbywał się poranek literacki, uprzątnięta i przygotowana, służyła jako główna sala taneczna dla całego, jak sądzono, miasta. Chociaż obawiałem się o ten bal, jednakże nie przeczułem całej prawdy: nie stawiła się ani jedna rodzina z wyższych sfer; nawet choć trochę znaczniejsi urzędnicy nie przybyli - a już nad tym warto się było zastanowić. Co się tyczy pań i panien, to przewidywania Piotra Stiepanowicza (jak wiemy teraz, nieszczerze) całkowicie zawiodły. Zjechała ich nieznaczna ilość; na każdych czterech mężczyzn wypadło po jednej kobiecie... I jakież to były kobiety! „Jakieś tam” żony pułkowych oberoficerów, jakaś mi-zerota pocztowa i gubernialna, trzy felczerki z córkami, dwie, trzy ziemianki, te z najuboższych, siedem córek i jedna siostrzenica kancelisty, o którym już mówiłem, kilka kupco-wych... Czyż tego spodziewała się Julia Michajłowna? Nawet połowy kupców nie było. Co do mężczyzn, to tłum ich był dość gęsty, pomimo wyraźnej nieobecności ludzi wybitniej-

500

szych, lecz tłum ten czynił wrażenie dwuznaczne i podejrzane. Rzecz prosta, że było też trochę cichych, skromnych oficerów z żonami, kilku posłusznych ojców rodzin, jak na przykład ów kancelista z siedmioma córkami. Ci mali i spokojni ludzie stawili się „z konieczności”, jak sami potem mówili. Z drugiej jednak strony znacznie wzrosła ilość osobników hałaśliwych i takich, których ja i Piotr Stiepanowicz podejrzewaliśmy, że się wcisnęli bez biletów. Wszyscy oni siedzieli tymczasem w bufecie. Każdy wchodząc szedł wprost do bufetu, jak gdyby do zawczasu umówionego miejsca. Robiło to przynajmniej takie wrażenie. Bufet znajdował się na końcu

amfilady, w obszernej sali. Królował tam Prochorycz ze wszystkimi smakołykami klubowej kuchni, z nęcącą baterią wódek i apetycznymi zakąskami. Zauważyłem tu parę osób nieomal w podartych surdutach, w bardzo podejrzanym, wcale nie balowych przyodziewkach. Wyglądali jak ludzie przemocą wytrzeźwieni na krótką chwilę. Bóg jeden wie, skąd byli, lecz nie należeli do mieszkańców naszego miasta. Wiedziałem dobrze, że zgodnie z intencją Julii Michaj łowny bal miał nosić charakter demokratyczny, a wejścia nie wzbraniało „nawet mieszczanom, gdyby się zdarzyło, że który z nich zapłacił za bilet”. Mogła te słowa wypowiadać śmiało w swoim komitecie, wiedząc, że nikomu z mieszczan, którzy na ogół stanowili biedotę, nie przyjdzie do głowy kupienie biletu. Miałem jednak poważne wątpliwości, czy można wpuszczać tych oberwańców, pomimo całego demokratycznego podejścia komitetu. Któż jednak wpuścił ich i w jakim celu? Liputin i Lamszyn, już bez wstęg, byli obecni na balu jako uczestnicy „kadryla literackiego”. Ale ku memu zdziwieniu miejsce Liputina zajął ów seminarzysta, który najbardziej skompromitował poranek literacki kłótnią ze Stiepanem Trofimowiczem, miejsce zaś Lamszy-na - sam Piotr Stiepanowicz. Czegóż więc można było oczekiwać? Starłem się przysłuchać rozmowom. Niektóre opinie były wprost nieprawdopodobne. Twierdzono na przykład w jednej z grup, że całą sprawę Stawrogina z Lizą zorganizowała Julia Michaj łowna otrzymawszy za to od Stawrogina pieniądze. Wymieniano nawet sumę. Mówiono, że całą zabawę urządziła specjalnie w tym celu. Z tego też powodu nie stawiała się jakoby połowa miasta, dowiedziawszy się, jak rzeczy stoją, a sam Lembke doznał takiego wstrząsu, że „stracił rozsądek”

501

i Julia Michajłowna „prowadza” go teraz nieprzytomnego. Było dużo śmiechu, głośnego lub cichutkiego, pod wąsem. Wszyscy ostro krytykowali bal, a Julii Michajłownie urągali bez ceremonii. W ogóle rozmowy były bezładne, urywane, . podniecone i niespokojne, toteż trudno było wysnuć jakieś wnioski.

Oprócz osobników, o których mówiłem, do bufetu schronili się także ludzie po prostu chcący się bawić. Było nawet kilka pań, takich, które niczemu się nie dziwią i niczego się nie boją, strasznie miłych i strasznie wesołych, głównie spośród żon oficerskich - w towarzystwie mężów. Pozajmowali grupkami osobne stoliki i bardzo wesoło popijali herbatę. Bufet stał się przytulnym schronieniem nieledwie połowy zebranej publiczności. Strach brał na myśli, że za chwilę cała ta gromada zwali się do sali.

Tymczasem zaś w Białej Sali z pomocą księcia zorganizowano trzy wątlutkie kadryle. Panny tańczyły, rodzice patrzyli na nie z zachwytem. Lecz co poważniejsze osoby już rozmyślały, jak by to, zabawiwszy córki, umknąć zawczasu, a nie wtedy, gdy „już się zacznie”. Wszyscy bez wyjątku byli przekonani, że musi się „zacząć”. Byłoby mi trudno odtworzyć stan psychiczny Julii Michajłowny. Nie rozmawiałem z nią, chociaż parokrotnie zbliżałem się do niej. Na mój pierwszy ukłon nie odpowiedziała nie zauważwszy mnie (wiem, że naprawdę nie zauważyła). Wygląd miała chorobliwy, wzrok pełen wzdargi, wyniosły, lecz zarazem jakiś niespokojny, zagubiony. Widocznie z trudem panowała nad sobą. Po co i dla kogo tak się męczyła? Tak, powinna była natychmiast opuścić bal, a przede wszystkim zabrać męża - ona zaś została. Widać było, że się jej oczy „otworzyły zupełnie” i że się już niczego nie spodziewa. Nie przywołała nawet do siebie Piotra Stiepanowicza (on zaś, zdaje się, najwidoczniej jej unikał: widziałem go w bufecie, był w świetnym humorze). Julia Michajłowna pozostawała jednak na balu i na krok nie puszczała od siebie Ałdrzeja Antoriowicza. O, do ostatniej chwili gotowa była z najwyższym oburzeniem odrzucić wszelką myśl o jego chorobie, nawet po tym, co zaszło wczoraj! Lecz sądzone było jej oczom otworzyć się dzisiaj nawet i pod tym względem. Co do mnie, zauważyłem od razu, że gubernator ma się gorzej niż dziś rano. Zdawało się, że jest jak nieobecny

502

i nie bardzo wie, co się dokoła niego dzieje. Od czasu do czasu rozglądał się niesłychanie srogo.

Tak spojrział parę razy i na mnie. Za pierwszym razem próbował coś powiedzieć, lecz nie dokończył, przestraszywszy tym nawet jakiegoś skromnego staruszka urzędniczynę, który znalazł się w pobliżu.

Nawet ta spokojna część publiczności, która znajdowała się w Białej Sali, ponuro i trwoźnie boczyła się na Julię Michaj-łównę, rzucając jednocześnie niezwykle dziwne spojrzenia na jej małżonka. Przenikliwość i śmiałość spojrzeń zupełnie nie licowały z normalną pokorą tych ludzi. Sama Julia Michaj-łówna przyznawała się potem:

- Te właśnie spojrzenia uderzyły mnie od razu i zaczęłam domyślać się czegoś Q mężu.

Tak, ona znowu była winna! Kiedy po gwałtownym moim wyjściu dziś po południu z namowy Piotra Stiepanowicza zapadła decyzja, że bał się jednak odbędzie i że trzeba być na balu, Julia Michajłówna na pewno znów pobiegła do gabinetu męża, ostatecznie już „wytrąconego z równowagi” porankiem literackim, i użyła wszystkich swoich sposobów, chcąc go skłonić, aby jej towarzyszył. Jak musiała się teraz dręczyć! Jednakże nie opuszczała balu. Czy trawiła ją duma, czy po prostu straciła kontenans - nie wiem. Poniżając się, wbrew swojej znanej wyniosłości, i uśmiechając się mile, starała się nawiązać rozmowę z niektórymi paniami. One jednak rumieniły się, poprzestawały na nieufnych słówkach „tak, łaskawa pani” lub „nie, łaskawa pani” i najwidoczniej wolały unikać rozmowy.

Z solidniejszych dygnitarzy naszego miasta był na balu tylko jeden: ów dostojny dymisjonowany generał, o którym już raz mówiłem, a który po pojedynku Gaganowa ze Stawro-ginem „dawał wyraz powszechnej niecierpliwości”. Chodził sobie poważnie z sali do sali, przyglądał się i przysłuchiwał, starając się zadokumentować, że przybył tu nie dla przyjemności, lecz celem obserwowania obyczajów. Wreszcie przyłączył się do Julii Michajłówny i już nie odstępował jej ani na krok, starając się uspokoić ją i dodać jej otuchy. Niewątpliwie był to człowiek bardzo dobry, bardzo poważny, a tak stary, że można było przyjąć od niego nawet litość. Przykro jednak było Julii Michajłównie przyznać się w duchu, że ten stary gaduła lituje się nad nią, roztacza nad nią opiekę i nawet

503

jak gdyby sprawia jej zaszczyt swoim towarzystwem. Generał nie odchodził i mówił bez przerwy:

- Nie ma miasta bez siedmiu sprawiedliwych... zdaje się, siedmiu... nie pamiętam dobrze liczby. Nie wiem, ilu z tych niezaprzeczalnych cnotliwców naszego miasta... miało zaszczyt przybyć na ten bal, lecz pomimo ich niezawodnej tu obecności... przestaję się czuć bez-pie-czny. Vous me pardon-nez, charmante dame, nest-ce pas? Mówię a-le-go-rycznie, lecz zaglądałem do bufetu i cieszę się, że wyszedłem cały... Nasz nieoceniony Prochorycz nie jest tam na miejscu... zdaje się, że do rana jego namiot zostanie zmieciony. Żartuję zresztą. Czekam tylko, by zobaczyć „kadryl lite-ra-cki”, a potem - do łóżka. Wybacz pani staremu podagrykowi. Kładę się spać wcześniej. I pani także radziłbym „luli”, jak się mówi aux enfants* A ja tu właściwie przyjechałem dla młodych piękności, których nigdzie, choć ich tak wiele, poza tą sals nie mogę spotkać... Wszystkie są z Zarzecza, a ja tam nie jeżdżę. Żona jednego oficera... zdaje się, jegra... całkiem niebrzydka, całkiem... i sama o tym wie. Rozmawiałem z szelmutką. Jf śmiała i... są także świeżutkie dziewczynki, lecz nic wiece nic oprócz świeżości. A zresztą ja z przyjemnością... Jak paczuski... tylko wargi mają za grube. W ogóle uroda kobiet rosyjskich nie ma tej prawidłowości rysów... są nieco podobne do blinów. Vous me pardonneriez, nest-ce pas...** ale oczęta ładne, śmiejące się... Te paczuski przez dwa lata swej młodości są cza-ru-jące, nawet przez trzy... a potem rozpływają się na zawsze, wytwarzając w mężach ten in-dy-fe-ren-tyzm, który przyczynia się do rozwoju kwestii kobiecej, o ile prawidłowo rozumiem tę kwestię... Hm! Sala jest piękna. Udekorowana nieźle. Mogło być gorzej. Orkiestra mogła być znacznie gorsza - nie znaczy to, aby powinna była być taka. Źle, że mało jest pań. Nie będę wspominał o strojach. To źle, że ten pan w szarych

spodniach pozwala sobie tak otwarcie kan-ka-nować. Wybaczam mu, jeśli to czyni z radości, zwłaszcza że to miejscowy aptekarz, lecz... o jedenastej - to za wcześnie nawet dla aptekarza... Tam w bufecie dwaj goście pobili się i nie zostali wyprowadzeni. O jedenastej, niezależnie od miej-
Pani mi wybaczy, uroczą pani, prawda3 () do dzieci Pani mi wybaczy, prawda

504

scowych obyczajów, należy wyprowadzić bijących się... co innego o trzeciej w nocy... wtedy konieczne będą ustępstwa dla opinii publicznej... o ile w ogóle ten bal dotrwa do trzeciej. A Barbara Pietrowna nie dotrzymała słowa i nie przysłała kwiatów. Hm! Czy jej teraz do kwiatów! Pauvre merę!* A nieszczęsna Liza! Słyszała pani? Mówią, że to tajemnicza historia... a Stawrogin znów na scenie... Hm! pojechałbym spać... już głowa mi się kiwa... Kiedyż zacznie się ten „kadryl li-te-ra-cki”?

Rozpoczął się wreszcie ów kadryl.² W ostatnich dniach, gdy gdziekolwiek rozpoczynała się rozmowa o przyszłym balu, schodziła ona na „kadryl literacki”, a ponieważ nikt nie mógł sobie wyobrazić, co to będzie, zainteresowanie było olbrzymie. Było to niebezpieczne dla sukcesu. I jakież nastąpiło rozczarowanie!

Otworzyły się boczne drzwi, zamknięte dotychczas, i do Białej Sali weszło kilka masek. Publiczność obstąpiła je z zaciekawieniem. Cały bufet, aż do ostatniego gościa, tłumnie wpadł do Łli. Maski ustawiły się do tańca. Zdołałem przecisnąć się do przodu i zająłem miejsce tuż za Julią Michajłówną, jej mężem starym generałem. W tej chwili do Julii Michajłowny pod-oiegl Piotr Stiepanowicz.

- Jestem w bufecie i wciąż obserwuję - szepnął z miną sztubaka, który nabroił, lecz miną tak widocznie udaną, jak gdyby chciał jeszcze więcej ją rozdrażnić.

Julia Michajłówna wybuchnęła gniewem:

- Mógłby pan teraz przynajmniej przestać mnie oszukiwać, zuchwalcze!

Powiedziała to tak głośno, że słowa jej słyszała część zebranych.

Piotr Stiepanowicz, zadowolony z siebie, odskoczył na bok.

Trudno wyobrazić sobie bardziej płaską, bezmyślną i niesmaczną alegorię niż ów „kadryl literacki”. Trudno też było wymyślić coś mniej odpowiedniego dla naszej publiczności, tymczasem autorem był podobno Karmazinow. Reżyseria należała wprawdzie do Liputina, który naradzał się z owym kulawym nauczycielem, obecnym na wieczorze u Wirgińskie-go. Lecz pomysł dał Karmazinow, który zamierzał nawet sam się przebrać i odegrać jakąś specjalną, samodzielną rolę.
Ka-

- Biedna matka 22 Dostojewski, t III 505

dryl składał się z sześciu par żalonych masek. Nie były to nawet maski, gdyż ubrane były tak jak wszyscy. Na przykład jakiś poważny jegomość, średniego wzrostu, miał przyczepioną długą siwą brodę. To był cały jego kostium, gdyż ów jegomość miał na sobie frak jak my wszyscy. Tańcząc dreptał wciąż w miejscu z dostojnym wyrazem twarzy, żwawo poruszając nogami, lecz nie schodząc z miejsca. Wydawał przy tym jakieś dźwięki niezbyt donośnym, lecz ochryplym basem i owa chrypliwość głosu miała symbolizować jedną ze znanych gazet.³ Naprzeciwko tej maski tańczyli jacyś dwaj olbrzymi X i Z, którzy mieli te litery przypięte do fraków, co jednak znaczyło to X i Z - pozostało dotąd nie wyjaśnione. „Uczciwą myśl rosyjską” odtwarzał jakiś jegomość w średnim wieku, w okularach, we fraku, w rękawiczkach i... w kajdanach (w prawdziwych kajdanach).⁴ Pod pachą miał teczkę z jakimiś „aktami”. Z kieszeni wyglądała mu otworzona koperta z listem z zagranicy, zawierającym zaświadczenie o uczciwości „uczciwej myśli rosyjskiej”, na wypadek, gdyby ktokolwiek w to zwątpił. Wszystko to tłumaczyli zebrany aranżerowie, gdyż na przykład listu, wyglądającego z kieszeni, nie można było bądź co bądź

przeczytać. „Uczciwa myśl rosyjska” trzymała w ręku podniesiony kielich, jak gdyby zamierzała wygłosić toast. Obok niej z obu stron drobnym kroczkiem sunęły dwie ostrzyżone nihilistki, vis-à-vis tańczył jakiś starszy pan we fraku, lecz z ciężkim kijem w ręku. Miał on wyobrażać pewne wydawnictwo, niepetersburskie, lecz groźne: „Uderzę- miazga zostanie.”⁵ Pomimo kija pan ów nie mógł znieść uparcie skierowanych ku niemu okularów „uczciwej myśli rosyjskiej”, starał się patrzeć w bok, gdy zaś robił pas de deux, wyginał się, skręcał, nie wiedząc, gdzie się podziać - tak dręczyło go sumienie... Nie będę już powtarzał tych wszystkich głupich pomysłów. Całość była w takim stylu, że wreszcie poczułem jakiś dręczący wstyd. I to samo uczucie wstydu widoczne było wśród publiczności, nawet na obliczach najbardziej ponurych przybyszów z bufetu. Na razie wszyscy milczeli i przyglądali się w zdumieniu. Lecz człowiek, który się wstydzi, zazwyczaj zaczyna się irytować i skłonny jest do cynizmu. Stopniowo publiczność zaczęła się burzyć.

- Co tu się dzieje? - odezwał się pewien jegomość z bufetu.

506

- Jakieś idiotyzmy.
- Jakaś literatura. Krytykują „Głos”.
- A co mnie to obchodzi! W innej grupie:
- Osły!
- Nie, to nie oni są osłami, lecz my.
- Dlaczego masz być osiem?
- Ja nie jestem osiem.
- Więc ja tym bardziej. W trzeciej grupie:
- Warto by zbić ich i wyrzucić!
- Zdemolować salę! W czwartej:
- Jak się Lembkowie nie wstydzą na to patrzeć?
- Dlaczego mają się wstydzić? Czy ty się wstydzisz?
- I ja się wstydzę, a on przecież - to gubernator.
- A ty świnia.

W pewnej chwili tuż obok Julii Michajłowny jadownicie odezwała się jakaś pani z widoczną chęcią, by ją usłyszano:

- Nigdy w życiu nie widziałam tak pospolitego balu.

Pani ta miała koło czterdziestki. Była zażywna i rumiana, w jaskrawej jedwabnej sukni. Znali ją wszyscy w mieście, lecz nikt z nią nie podtrzymywał znajomości. Była to wdowa po radcy stanu, który zostawił jej drewniany domek i skromną pensyjkę. Żyła jednak dobrze i trzymała konie. Przed paroma miesiącami złożyła pierwszą wizytę Julii Michajłownie, lecz nie została przyjęta.

- Zresztą można było to wszystko przewidzieć - dodała patrząc zuchwale w oczy Julii Michajłownie. Julia Michajłowna nie zdołała się powstrzymać:

- Jeżeli pani przewidywała, to po co było przychodzić?

- Przez wrodzoną naiwność - odcięła się natychmiast tamta i nasrożyła się. Najwidoczniej szukała zaczepki.

W tej chwili rozdzielił panie stary generał. Pochylił się ku Julii Michajłownie i szepnął:

- Chere damę, niech pani odejdzie. Przeszkadzamy im tylko, a bez nas bawiliby się doskonale. Zrobiła pani wszystko, co do niej należało. Otworzyła pani bal, a teraz niech pani da im spokój. I Andrzej Antonowicz, zdaje mi się, nie czuje się za-do-wa-la-jąco... Oby nie było nieszczęścia!

507

Lecz było już za późno.

Andrzej Antonowicz przez cały czas kadryla przyglądał się tańczącym z jakimś gniewnym zdumieniem. Gdy rozległy się szmery wśród publiczności, zaczął się rozglądać niespokojnie. Teraz właśnie po raz pierwszy dostrzegł niektóre osoby z bufetu. Na jego twarzy odmalowało się niesłychane zdziwienie. W tejże chwili rozległ się na sali śmiech z powodu jakiegoś figla kadrylowego. Wydawca „groźnego niepetersburskiego wydawnictwa”, który tańczył z kijem w rękę, poczuł ostatecznie, że nie może znieść okularów „uczciwej myśli rosyjskiej”. Nie wiedząc, gdzie się podziąć, już w ostatniej figurze, stanął na rękach i w ten sposób ruszył na spotkanie okularów. Miało to odtworzyć stałe przewracanie do góry nogami zdrowego sensu w „groźnym niepetersburskim wydawnictwie”. Ponieważ tylko Lamszyn- umiał chodzić na rękach, jemu powierzono rolę wydawcy z kijem. Julia Michajłowna nie została uprzedzona, że będą chodzili na rękach. „Zataili to przede mną, zataili!” - powtarzała potem z oburzeniem i rozpaczą. Wybuch śmiechu towarzyszył wybrykowi. Śmiano się nie z alegorii, która nikogo nie obchodziła, lecz po prostu z chodzenia na rękach we fraku. Lembke zatrząsł się i wybuchnął:

- Nikczemnik! - zawołał wskazując Lamszyna. - Schwycić tego zbója! Odwrócić nogami... głową... żeby głowa była u góry, u góry!

Lamszyn zerwał się na równe nogi. Śmiech wzrastał.

- Wypędzić wszystkich nikczemników, którzy się śmieją! - rozkazał zniecałkowany Lembke. Tłum zahuczał i zakółysał się.

- Tak nie wolno, ekscelencjo!

- Publiczności nie należy łajać, łaskawy panie.

- Sam dureń - krzyknął ktoś w rogu sali.

- Flibustierzy!-zawołał ktoś inny w drugim końcu.

Lembke odwrócił się słysząc krzyki i zbladł gwałtownie. Na ustach jego ukazał się tępy uśmiech. Zdawało się, że teraz dopiero coś zrozumiał i uprzytomnił sobie.

- Proszę państwa! - zwróciła się Julia Michajłowna do napierającego tłumu, ciągnąc za sobą męża.

- Proszę państwa! Nie miejcie tego za złe Andrzejowi Antonowiczowi! Źle się czuje... wybaczcie mu!

Wyraźnie słyszałem, że powiedziała: „wybaczcie”. Scena

508

trwała krótko. Pamiętani dobrze, że część publiczności w tej chwili rzuciła się do drzwi, jak w panice, i to właśnie po tych słowach Julii Michajłowny. Pamiętam nawet histeryczny okrzyk kobiety przez łzy:

- Ach, to samo co rano!

I raptem w ten tłoczący się tłum wpadła bomba, właśnie „tak samo jak rano”.

- Pożar! Całe Zarzecze się pali!6

Nie pamiętam, gdzie najpierw rozległ się ten straszny okrzyk. Czy krzyknął ktoś na sali, czy może wbiegł ktoś z przedpokoju, ze schodów, lecz zaraz potem zapanowała taka trwoga, której nie potrafię opisać. Więcej niż połowa zebranej na balu publiczności pochodziła z Zarzecza. Byli to właściciele drewnianych domków lub ich mieszkańcy. Rzucili się do okien, rozsunęli kotary, pozrywali firanki. Zarzecze płonęło. Pożar wprowadzie dopiero się zaczął, lecz ogień był widoczny w trzech zupełnie różnych miejscach. To właśnie przerażało.

- Podpalili szpigulinowcy! - krzyczano w tłumie. Udało mi się pochwycić parę charakterystycznych okrzyków:

- Przeczuwało moje serce, że podpalą, przez wszystkie te dni przeczuwało!
- Szpigulinowcy, szpigulinowcy, nikt inny!
- Zebrano nas tutaj, aby tam podpalić!

Ten ostatni, najdziwaczniejszy okrzyk należał do kobiety. Bezwiedny, mimowolny głos Koroboczki.⁷ Wszyscy rzucili się do wyjścia. Nie będę opisywał tłoku w przedpokoju przy odbieraniu futer, chustek i palt ani pisku przerażonych kobiet, ani płaczu panien. Wątpię, aby miały miejsce kradzieże. Nic dziwnego jednak, że wobec takiego chaosu, niejeden musiał odejść bez ciepłego okrycia, nie odszukawszy własnego, o czym długo potem z upiększeniami i dodatkami opowiadano na mieście. Lembke i Julia Michajłowna trafili w sam środek ciżby w drzwiach. Lembke, groźnie wyciągając dłoń w kierunku tłoczących się, wrzeszczał:

- Zatrzymać wszystkich! Nie wypuszczać nikogo! Wszystkich bez wyjątku poddać surowej rewizji osobistej! Natychmiast!

W odpowiedzi rozległy się na sali mocne słówka.

- Andrzeju Antonowiczu! Andrzeju Antonowiczu! - wołała Julia Michajłowna w zupełnej rozpaczy.

509

- Ją pierwszą aresztować! - krzyczą gubernator, groźnie wskazując na żonę palcem. - Poddać rewizji osobistej! Bal był urządzony, żeby podpalić...

Julia Michajłowna krzyknęła i zemdląła (o, teraz na pewno już naprawdę zemdląła). Księżę, generał i ja rzuciliśmy się na pomoc, parę innych osób pomogło nam w tej chwili, nawet niektóre panie. Wynieśliśmy biedaczkę z tego piekła do karety. Ocknęła się dopiero dojeżdżając do domu, pierwszy jej okrzyk był znów: „Andrzeju Antonowiczu!” Gdy runęły w gruzy wszystkie jej fantazje, miała już tylko jego. Posłaliśmy po doktora. Przeczekałem u niej całą godzinę, księżę także; generał, w porywie wspaniałomyślności (choć sam przerażony nie na żarty), zamierzał przez całą noc nie odchodzić od „łoża nieszczęsnej kobiety”. Po dziesięciu minutach, nie doczekawszy się nawet doktora, zasnął w salonie, w fotelu. Takeśmy go tam zostawili.

Policmajster, śpiesząc z balu na pożar, zdołał wyprowadzić Andrzeja Antonowicza zaraz po naszym wyjściu. Chciał nawet usadowić go w karecie Julii Michajłowny, namawiając ekscelencję, „żeby zechciał odpocząć”. Dziwię się nawet, że nie nastawał na to. Andrzej Antonowicz nie chciał słyszeć o odpoczynku i wyrwał się na miejsce pożaru; lecz nie była to oznaka wracającego rozsądku. Skończyło się na tym, że policmajster własnym pojazdem zawiózł gubernatora na miejsce. Opowiadał potem, że Lembke przez całą drogę gestykulował i „wykrzykiwał takie rzeczy, że nie można było ich wykonać z powodu niezwykłości”. Potem w raporcie było napisane, iż ekscelencja już w tym momencie był w stanie białej gorączki z powodu „gwałtownego przerażenia”.

Nie warto mówić, jak się skończył bal. W sali pozostało kilkudziesięciu hulaków, a z nimi kilka pań. Policji nie było już wcale. Orkiestrę zatrzymano i pobito muzykantów, którzy chcieli odejść. Nad ranem zdemolowano „namiot Prochory-cza”, pito do nieprzytomności, tańczono kamaryńskiego bez wszelkiego wstydu, zanieczyszczono salę i dopiero o świcie część tej zgrai, zupełnie pijana, ruszyła na dogasające pogorzelsko, aby tam broić dalej... Druga część urządziła sobie nocleg na sali, w stanie zupełnego zamroczenia, że wszystkimi następstwami przepicia na krytych aksamitem kanapach i na podłodze. Dopiero rankiem powyciągano ich za nogi na ulicę. Tak skończyła się zabawa na rzecz guwernantek naszej guberni.

510

IV

Pożar wystraszył naszą publiczność z Zarzecza głównie dlatego, że podpalenie było oczywiste. To ciekawe, że po pierwszym okrzyku „Gore!” rozległ się drugi: „Podpalili szpi-gulinowcy!” Teraz już wiemy, że trzech robotnicy z tej fabryki istotnie uczestniczyli w zbrodni - lecz na tym koniec. Inni robotnicy zostali zwolnieni od wszelkich zarzutów w drodze oficjalnej, jak i w opinii publicznej. Oprócz tych trzech łotrów (z których jeden został złapany i przyznał się do winy, a dwaj ukrywają się dotychczas) niezawodnie brał w tym udział Fiedka Katorżny. Oto wszystko, co wiadomo o przyczynie pożaru. Reszta to tylko domysły. Czym się powodowali ci trzech robotnicy, czy zostali przez kogoś nasłani? Trudno dać odpowiedź nawet obecnie.

Ponieważ dął silny wiatr, a zabudowania na Zarzeczu były prawie wszystkie drewniane, i ponieważ podpalenie nastąpiło w trzech różnych punktach, ogień rozszerzył się z niezwykłą szybkością i ogarnął cały rewir. (Zresztą pożar rozpoczął się naprawdę w dwóch miejscach, gdyż w trzecim zgaszono go zaraz na początku, o czym będzie tu mowa.) A w prasie stołecznej przesadzono nieco rozmiary katastrofy: w istocie spaliła się mniej więcej tylko czwarta część Zarzecza. W każdym razie nie więcej. Straż ogniowa, chociaż nie dość liczna wobec rozległości i zaludnienia naszego miasta, działała sprawnie i dzielnie. Niewiele by jednak mogła zrobić, mimo pomocy obywateli, gdyby nad ranem nie ustał wiatr. Gdy w godzinę po ucieczce z balu dostałem się na Zarzecze, pożar był już w całej pełni. Cała ulica, równoległa do rzeki, płonąła. Było jasno jak w dzień. Nie będę opisywał dokładnie pożaru: kto w Rosji nie zna tego widoku? W uliczkach przyległych do płonącej panował tłok i gwałt niesłychany. Spodziewano się tu ognia lada chwila i mieszkańcy wynieśli dobytek, lecz wciąż nie odchodzili od swoich domków. Siedzieli w oczekiwaniu na kufrach i pierzynach, każdy przed swymi oknami. Część ludności męskiej zajęta była żmudną pracą: bezlitośnie rąbano płoty i całe domostwa, stojące bliżej ognia i pod wiatr. Płakały rozbudzone dzieci, lamentowały kobiety, które zdążyły już powynosić swoje ubogie sprzęty. Inne w milczeniu i energicznie dalej wynosiły rzeczy. Iskry i wióry rozlatywały

511

się daleko. Usiłowano je gasić. Na pogorzeliśku tłoczyli się mieszkańcy innych części miasta. Niektórzy pomagali ratować, inni gapili się z ciekawości. Duży ogień w nocy zawsze wywiera wrażenie podniecające i wesołe. Na tym oparte są fajerwerki. Tam jednak ognie układają się w kształty prawidłowe i wdzięczne, całkowicie bezpieczne, wywołują nastrój lekki i wesoły, jak kielich szampana. Co innego prawdziwy pożar. Tu zgroza, a jednocześnie pewne poczucie bezpieczeństwa osobistego, połączone z podniecającym widokiem ognia w nocy, powodują u patrzącego (o ile nie jest nim sam pogorzelec) pewien wstrząs i budzą w nim instynkty burzycielskie, które niestety spoczywają na dnie każdej duszy, nawet w duszy najskromniejszego, obciążonego rodziną radcy tytularnego... Ten ponury nastrój ma w sobie coś odurzającego. „Naprawdę wątpię, czy można patrzeć na pożar bez pewnej przyjemności”⁸ - powiedział mi to kiedyś Stiepan Trofimowicz pod świeżym wrażeniem widowiska, gdy wrócił kiedyś z nocnego pożaru, na który trafił przypadkowo. Oczywiście, że taki amator nocnych pożarów sam by się rzucił w ogień, gdyby trzeba było ratować dziecko lub kobietę. Lecz to już zupełnie inna kwestia.

Przeciskając się wśród tłumu ciekawych, dobrnąłem do głównego, najgroźniejszego miejsca, gdzie zobaczyłem na koniec Lembkego. Szukałem go z polecenia Julii Michajłowny. Zastałem go w dziwnej i niezwykłej sytuacji. Stał na resztkach jakiegoś płotu. Na lewo od niego, jakieś trzydzieści kroków dalej, sterczał szkielet piętrowego spalonego już drewnianego domu. Zamiast okien były dziury, dach się zawalił, a płomienie wciąż jeszcze lizały zwęglone belki. W głębi podwórka, o dwadzieścia kroków od spalonego domu, zaczynała płonąć oficyna, także piętrowa, przy której zawzięcie pracowali strażacy. Z prawej strony strażacy i inni bronili zaciekle drewnianego budynku, który nie stał jeszcze w ogniu, lecz kilkakrotnie się zajmował. Los tego budynku był przesadzony. Lembke krzyczał i gestykulował, zwrócony twarzą do oficyny, i wydawał rozkazy nie

spełniane przez nikogo. Wydało mi się na razie, że tak go tu porzucono i opuszczono. Otaczał go wprawdzie dość gęsty i różnorodny tłum, w którym obok ludzi prostych byli i panowie, a nawet protopop z soboru, lecz nikt nie odzywał się do niego ani nie próbował go odprowadzić. Lembke, blady,

512

z iskrzącymi się oczami, wygadywał niestworzone rzeczy; był poza tym bez kapelusza; zgubił go dawno.

- Oczywiście podpalenie! To nihilizm! Jeśli się coś pali, to to jest nihilizm! - posłyszałem ku swemu przerażeniu. Chociaż trudno już było dziwić się czemukolwiek, jednakże rzeczywistość zawsze ma w sobie coś wstrząsającego.

- Ekscelencjo - odezwał się dzielnicowy, który zjawił się obok gubernatora - czy nie zechciałby ekscelencja powrócić w domowe zacisze?... Tu nawet stać niebezpiecznie dla ekscelencji.

Dowiedziałem się później, że ów dzielnicowy był umyślnie pozostawiony przy Andrzeju Antonowiczu przez policmajstra. Polecono mu pilnować gubernatora i za wszelką cenę skłaniać go do opuszczenia miejsca pożaru, a w krytycznej chwili użyć siły. Oczywiście dzielnicowy nie mógł podjąć temu zadaniu.

- Wyschną łzy pogorzalców, lecz miasto spłonie! To czterech łotrów, półpiąta łotra. Aresztować go! Porywa się na cześć rodzin! Żeby podpalić, użył guwernantek. To podłość, podłość. Ach, co on tam robi! - krzyknął zniecierpliwiony, zobaczywszy na dachu płonącej oficyny strażaka, pod którym przepalił się już dach, a dokoła buchał ogień. - Ściągnąć go stamtąd! Zawali się, spali się! Gaście go... Co on tam robi?

- Gasi, ekscelencjo!

- To niemożliwe! Pożar jest w umysłach, a nie na dachach domów! Ściągnąć go i zostawić to wszystko! Najlepiej dać spokój! Niech jakoś samo... A kto tam jeszcze płacze? Staruszka! Staruszka krzyczy! Dlaczego zapomniano o staruszce?

Istotnie, na parterze płonącej oficyny krzyczała jakaś staruszka, osiemdziesięcioletnia krewniaczka właściciela domu. Nie zapomniano o niej, lecz sama wróciła do palącego się domu, kiedy było to jeszcze możliwe, z wariackim zamiarem wyniesienia pierzyny z bocznej komórki, jeszcze wówczas całej. Dławiąc się od dymu i krzycząc od gorąca, gdyż i komórka stanęła w ogniu, babina usiłowała jednak precyzyjnie starczymi dłońmi pierzynę przez wybite okno. Lembke podbiegł jej pomóc. Wszyscy widzieli, jak podbiegł do okna, chwycił róg pierzyny i z całych sił targnął przez okno. Na nieszczęście w tej chwili spadła z dachu wyłamana deska. Nie zabiła go, zadrasnęła tylko brzošką w kark, lecz na tym zakończyła

513

się działalność Andrzeja Antonowicza, przynajmniej u nas. Uderzenie zważyło go z nóg, upadł nieprzytomny.

Nastał wreszcie ponury, mroczny świt. Pożar się zmniejszył. Po wichurze nastąpiła nagle cisza, potem zaś zaczął kropić drobny deszczyk, jak przez sito. Byłem już wtedy w innej części Zarzecza, daleko od miejsca, gdzie upadł Lembke, i tu w tłumie posłyszałem dziwne opowieści. Ujawniono zastanawiający fakt: na końcu dzielnicy, na pustkowiu, za ogrodami warzywnymi, przynajmniej o pięćdziesiąt kroków od najbliższego budynku, stał samotnie niedawno zbudowany drewniany domek, i ten właśnie domek zapalił się wcześniej od innych, na samym początku. Gdyby nawet spłonął cały, nie mógł ze względu na odległość zapalić innych zabudowań; gdyby, przeciwnie, spłonęło całe Zarzecze, ten domek mógł ocaleć pomimo wiatru. Wyglądało na to, że podpalony został oddzielnie, a więc celowo. Nie zdążył jeszcze spłonąć i nad ranem wykryto wewnątrz

dziwne rzeczy. Właściciel tego domku, mieszczanin, który mieszkał opodal, zauważywszy od razu pożar w swym domku, pobiegł na ratunek i zdołał obronić domostwo, rozrzuciwszy z pomocą sąsiadów palące się drwa, złożone przy bocznej ścianie. Lecz w domu tym byli lokatorzy - znany w mieście kapitan z siostrą, a przy nich stara służąca. Tych troje lokatorów, kapitan, jego siostra i służąca, zostali wszyscy zarżnięci w nocy i prawdopodobnie obrabowani. (Tu właśnie był policmajster wtedy, gdy Lembke wyciągał pierzynę.) Nad ranem rozniosła się wieść o morderstwie i tłumy najrozmaitszych ludzi, nie wyłączając pogorzalców, zwały się na miejsce zbrodni. Tak było tłoczno, że trudno było się przecisnąć. Dowiedziałem się od razu, że kapitana znaleziono na ławce, w ubraniu, z poderżniętym gardłem. Widocznie w chwili morderstwa był śmiertelnie pijany i nic nie czuł, a krwi upłynęło z niego „tyle co z byka”. Siostra jego, Maria Timofiejewna, cała pokłuta nożem, leży przy drzwiach na podłodze. Musiała bić się i walczyć z zabójcą zupełnie przytomnie. Służąca, która także musiała się zbudzić, ma roztrzaskaną czaszkę. Podług opowiadań gospodarza, kapitan w przeddzień rano, już nietrzeźwy, wstąpił do niego i pokazywał pieniądze, jakieś dwieście rubli. Znaleziono na podłodze stary, podarty, zielony portfel kapitana. Leżał pusty. Kufer Marii Timofiejewny był nie ruszony, a srebrna ryza na iko-

514

nie nietknięta. Ubranie kapitana także pozostało w całości. Widać było, że złodziej się spieszył i widocznie znał dobrze sprawę kapitana: przyszedł po pieniądze i wiedział, gdzie leżą. Gdyby gospodarz nie przybył w porę, od drew zapaliłby się dom i spłonął cały, a „zwęglone trupy uniemożliwiłyby wykrycie prawdy”.

Tak opowiadano. Dodawano jeszcze jedno: mieszkanie wynajął dla kapitana i jego siostry sam pan Stawrogin, Mikołaj Wsiewołodowicz, synek generałowej Stawrogin. Wynajmował osobiście, bardzo prosił gospodarza, który nie chciał się zgodzić, gdyż przeznaczył dom na szynk. Lecz Mikołaj Wsiewołodowicz nie żałował pieniędzy i zapłacił od razu za półrocze z góry.

- Nie darmo był pożar - mówiono w tłumie.

Większość jednak milczała. Twarze były ponure, nie zauważyłem wszakże zbyt wielkiego rozdrażnienia. Lecz nie milkły opowieści o Mikołaju Wsiewołodowiczu, o tym, że zabita jest jego żona, że wczoraj z jednego z najpiękniejszych domów w mieście, od generałowej Drozdów, wykradł „w sposób podstępny” pannę, córkę generałowej, i że idzie na niego skarga do Petersburga. A jeżeli żona jego jest zamordowana, to widocznie dlatego, aby umożliwić mu ślub z tamtą. Skworesz-niki były o półtrzeciej wiorsty; pamiętam, że przyszło mi do głowy: „Może pójde, uprzedzę ich.” Nie zauważyłem jednak, aby ktokolwiek podzegał tłum. Nie mogę tego twierdzić, chociaż zauważyłem parę postaci spośród publiczności „bufetowej”, które dobrnęły nad ranem na miejsce pożaru. Poznałem je od razu. Najgłębiej jednak utkwiał mi w pamięci pewien szczupły, wysoki, młody mieszczanin, kędzierzawy, czarny, jak gdyby sadzą wysmarowany, o twarzy pijaka. Jakem się potem dowiedział, był to jakiś ślusarz. Obecnie był trzeźwys- lecz w stanie niesłychanego podniecenia, które odbijało od ponurego nastroju tłumy. Wciąż zwracał się z czymś do zgromadzonych, lecz nie pamiętam jego słów. Wykrzykiwał tylko krótko: „Bracia! Co to jest? Czy naprawdę tak ma być?”, a przy tym wymachiwał rękami.

ROZDZIAŁ TRZECI

KONIEC ROMANSU

I

Z wielkiego salonu w Skworesznikach (tego, w którym odbyło się ostatnie spotkanie Barbary Pietrowny ze Stiepanem Trofimowiczem) widać było pożar jak na dłoni. Przed świtem, około szóstej, przy ostatnim oknie z prawej strony stała Liza i uważnie przyglądała się dogasającej łunie. Była sama w pokoju. Miała na sobie wczorajszą odświętną suknię, w której była na poranku

literackim, jasnozieloną, strojną, z koronkami - teraz jednak zmiętą i widocznie narzuconą w pośpiechu, niedbale. Zauważywszy zniecka, że stanik jest nie dopięty, Liza zarumieniła się; szybkim ruchem poprawiła suknię, chwyciła z fotela rzuconą tam wczoraj czerwoną chustkę i narzuciła na szyję. Wspaniałe włosy, w rozkręcających się już puklach, wysunęły się spod chustki na prawe ramię. Twarz miała zmęczoną, pełną troski, lecz oczy błyszczały spod ściągniętych brwi. Znowu zbliżyła się do okna i przytuliła rozpalone czoło do zimnej szyby. W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Mikołaj Wsiewołodowicz.

- Wysłałem konno umyślnego - odezwał się. - Za dziesięć minut dowiemy się o wszystkim. Tymczasem zaś opowiadają ludzi, że spaliła się część Zarzeczca przyległa do rzeki, z prawej strony mostu. Pożar wybuchł już o północy. Teraz właśnie wygasa.

Nie podszedł do okna, lecz zatrzymał się o trzy kroki za nią. Nie odwróciła się.

- Podług kalendarza już od godziny powinno świtać, a wciąż jest jeszcze ciemno jak w nocy - odezwała się gniewnie.

516

- Wszystko łąz te kalendarze! - odparł z uprzejmym uśmiechem, lecz w tej chwili zawstydził się żartu i dodał: - Nudno, Lizo, żyć podług kalendarza.

Zamilkł znowu, wstydząc się banalności własnych słów. Liza skrzywiła się.

- Pan jest tak smutny, że nie znajduje nawet odpowiednich słów dla mnie. Lecz to prawda: ja żyję zawsze podług kalendarza. Każdy mój krok jest obliczony podług kalendarza. Dziwi to pana?

Szybko odwróciła się od okna i usiadła w fotelu.

- Niech pan także siada. Krótko będziemy razem i chcę mówić wszystko, co mi przyjdzie do głowy... Dlaczegoż by pan nie miał robić tego samego?

Mikołaj Wsiewołodowicz usiadł obok niej i łagodnie, nieomal trwożnie ujął jej dłoń.

- Co ma znaczyć ten ton, Lizo? Skąd te słowa? Co to znaczy: „krótko będziemy razem”? To już drugie zagadkowe zdanie od pół godziny, od chwili, kiedyś się zbudziła...

Roześmiała się:

- Zaczyna pan liczyć moje zagadkowe zdania? A pamięta pan wczoraj? Wchodząc przedstawiłam się panu jako umarła? O tym zechciał już pan zapomnieć, a może pan tego nie zauważył?

- Nie pamiętam, Lizo. Dlaczego jako umarła? Trzeba żyć...

- Znowu pan zamilkł? Pan całkiem stracił dar wymowy... A ja... ja przeżyłam już na ziemi moją godzinę... i dosyć. Pamięta pan Chrystofora Iwanowicza?

Zachmurzył się.

- Nie, nie pamiętam.

- Chrystofora Iwanowicza w Lozannie. On panu strasznie dokuczał. Wchodząc, zawsze mówił: „Ja tylko na chwilę”, a potem siedział cały dzień. Nie chcę być podobna do Chrystofora Iwanowicza i siedzieć cały dzień.

Na twarzy jego malował się ból.

- Lizo, boli mnie ten nienaturalny styl. Ten grymas nawet przychodzi pani z trudnością. Po co? Dlaczego? Oczy mu błyszczały.

- Lizo! - zawołał - przysięgam ci, że kocham cię teraz jeszcze bardziej niż wczoraj, kiedyś do mnie przyszła!

517

- Dziwne wyznanie! Po co to „wczoraj” i „dzisiaj”? Po co te dwie miary?
 - Nie opuścisz mnie - mówił dalej z rozpaczą w głosie. - Wyjedziemy razem dziś jeszcze! Dobrze? Prawda?
 - Ach, niech mi pan tak nie ściska ręki! To boli! Dokąd to mamy dziś razem jechać? Znowu „zmartwychwstawać”? O nie, dość już tych prób... to nie dla mnie... nie nadaję się do tego... to zbyt górnolotne dla mnie... Jak jechać, to do Moskwy, składać tam wizyty, podejmować gości - oto mój ideał... Pan to wie. Nie ukrywałam przed panem jeszcze tam, w Szwajcarii, jaka jestem. Ponieważ zaś nie możemy jechać do Moskwy i składać wizyt, gdyż pan jest żonaty, więc nie ma o czym mówić.
 - Lizo! A cóż było wczoraj?
 - Było to, co było.
 - To niemożliwe, to okrutne!
 - Więc cóż z tego, że okrutne! Jak okrutne, to niech pan to zniesie.
 - Pani mści się na mnie za własną wczorajszą fantazję... - wybąkał uśmiechając się złowieszczo. Liza oburzyła się.
 - Co za podła myśl!
 - Więc po cóż pani dała mi „tyle szczęścia”? Czy mam prawo wiedzieć?
 - O nie, obejdzie się pan jakoś bez tego prawa; niech pan nie pogłębia nędzy swoich pomysłów - naiwnością. Nie udaje się dziś panu. A propos, może pan obawia się opinii publicznej? Że mogą panu mieć za złe „tyle szczęścia”? O, jeżeli tak, to niech pan będzie zupełnie spokojny. Pan jest na uboczu i żadnej odpowiedzialności nie ponosi. Gdy otworzyła wczoraj drzwi, nie wiedział pan nawet, kto wchodzi. To była właśnie jedynie moja fantazja, jak pan to sam teraz określił. Nic*więcej. Może pan śmiało i zwycięsko patrzeć ludziom w oczy!
 - Z twych słów, z twego uśmiechu już od godziny wieje ku mnie chłód zgrozy. Za to „szczęście”, o którym mówisz tak okrutnie, dałbym... wszystko. Czy mogę teraz stracić ciebie? Przysięgam, że wczoraj mniej cię kochałem. Dlaczego odbierasz mi wszystko dzisiaj? Czy wiesz, ile zapłaciłem za tę moją nową nadzieję? Zapłaciłem życiem.
 - Własnym czy cudzym?
- 518
- Zerwał się gwałtownie.
- Co to znaczy? - zapytał, uporczywie wpatrując się w Lizę.
 - Pytam, czyim życiem pan zapłacił? Własnym czy moim? O to mi chodziło. Czy pan już nic nie rozumie? - uniosła się gniewem. - Dlaczego pan zerwał się tak gwałtownie? Dlaczego pan patrzy na mnie z takim wyrazem? Straszy mnie pan. Czego pan się boi? Zauważyłam od dawna, że pan się boi... O, teraz! Właśnie teraz... Boże wielki, jak pan zbladł!
 - Jeżeli ty, Lizo, wiesz o czymś, to przysięgam ci, że ja nie wiem o niczym... i wcale nie o tym myślałem przed chwilą, kiedy ci mówiłem o cenie życia...
 - Nie rozumiem pana - powiedziała z lękiem. Wreszcie na jego wargach ukazał się uśmiech spokojny, zadumany. Usiadł, oparł łokcie o kolana, a twarz ukrył w dłoniach.
 - Zły sen i majaczenie... Mówiliśmy o całkiem różnych rzeczach.
 - Nie wiem zupełnie, o czym pan mówił... Czy naprawdę nie wiedział pan wczoraj, że ja od pana dziś odejdę? Wiedział pan czy nie? Niech pan powie prawdę: tak czy nie?
 - Wiedziałem...-wyszeptał.

- Więc o cóż panu chodzi? Wiedział pan i ma pan tę „chwilę” przeżyta. Jakież tu mogą być porachunki?

- Powiedz mi całą prawdę - zawołał z wielkim bólem - kiedy wczoraj wchodziłaś do mnie, czy wiedziałaś, że wchodzisz tylko na jedną godzinę?

Spojrzała na niego z nienawiścią.

- To racja, że najpoważniejsi ludzie zdolni są wypowiadać najdziwaczniejsze pytania. O co pan się niepokoi? Czy chodzi o ambicję, że to kobieta pierwsza porzuca pana, a nie pan ją? Wie pan, Mikołaju Wsiewołodowiczu, przekonałam się, że pan jest wobec mnie bardzo wspaniałomyślny, a właśnie tej wspaniałomyślności nie mogę znieść.

Wstał i zrobił kilka kroków.

- Dobrze, niech się tak skończy... Lecz jak się to mogło stać?

- Też kłopot! A zresztą, wie pan sam doskonale i rozumie pan lepiej niż ktokolwiek bądź. I wszystko pan obliczył. Jestem panną; moje uczucia kształtowały się na operach. Tu źródło wszystkiego i rozwiązanie zagadki.

519

- Nie.

- Nie ma w tym nic, co mogłoby zdrasnąć ambicję pańską. Wszystko to szczerą prawdą. Rozpoczęło się od pięknej chwili, w której się poddałam. Przedwczoraj, gdy „obrazila” pana publicznie, a pan zachował się tak po rycersku, pojechałam do domu i domyśliłam się od razu, że pan unika mnie dlatego, że jest żonaty, nie zaś przez pogardę, której najwięcej boi się zawsze światowa panna. Zrozumiałam, że uciekając ode mnie, pan ratował mnie, lekkomyślną. Widzi pan, jak cenię jego wspaniałomyślność. A tu trafił się Piotr Stiepanowicz i zaraz wszystko mi wytłumaczył. Wyjaśnił mi, że pana opanowała jakaś wielka idea, wobec której ja i on jesteśmy niczym, lecz w każdym razie ja stoję panu w poprzek drogi. I siebie jakoś tu wplątał; żądał, abyśmy byli razem we troje, i mówił jakieś fantastyczne rzeczy, coś o łodzi i klonowych wiosłach z jakiejś rosyjskiej pieśni. Pochwaliłam go nawet, powiedziałam, że jest poetą, a on to przyjął za dobrą monetę. Lecz i bez tego dawno wiedziałam, że starczy tylko na chwilę. Zdecydowałam się więc. To wszystko. I dość tego. Dajmy spokój dalszym wyjaśnieniom. Moglibyśmy się jeszcze pokłócić. Niech się pan nie boi nikogo, całą odpowiedzialność biorę na siebie. Jestem zła, kapryśna... skusiła mnie operowa łódź... jestem rozpieszczoną panną... Wie pan, myślałam jednak, że pan mnie strasznie kocha. Niech pan nie śmieje się ze mnie, głupiej, za tę leżkę, która się właśnie stoczyła. Strasznie lubię płakać „litując się nad sobą”. Dość tego, dość! Niezdolna jestem do niczego, a i pan także; możemy sobie to nawzajem wyrzucać i pocieszać się tym. Nie cierpi przynajmniej ambicja.

- Senne majaki! - zawołał Mikołaj Wsiewołodowicz załamując ręce i chodząc po pokoju. - Lizo, coś ty ze sobą zrobiła, biedaczko?

- Spaliłam się w ogniu świecy i nic więcej. Miałby pan płakać nade mną? Niech pan będzie przyzwoity, niech pan będzie mniej wrażliwy...

- Po co, po coś ty przyszła do mnie?

- Czyż nie rozumie pan wreszcie, jak komicznie wygląda pan wobec opinii publicznej zadając tego rodzaju pytania?

- Dlaczego zgubiłaś siebie, tak potwornie, tak głupio? Co teraz robić?

520

- I to ma być Stawrogin?! „Krwiożerczy Stawrogin”, jak mówi pewna pani, mocno w panu

zakochana. Niechże pan słucha, powiedziałam już wszystko. Całe życie moje sprowadziłam do jednej godziny i jestem spokojna. Niech pan zrobi to samo... a zresztą to dla pana zbyteczne. Czekają jeszcze dużo takich „godzin” i takich „chwil”.

- Tyle co i ciebie. Przysięgam, że ani jednej godziny więcej!

Chodził wciąż i nie widział jej ostrego przenikliwego spojrzenia, które na jedną chwilę zajaśniało nadzieją. Lecz ten jasny promień zgasł natychmiast.

- Gdybyś wiedziała... gdybyś знаła cenę mej szczerości, dziś niemożliwej... gdybym mógł ci wyznać...

- Wyznać? Chce mi pan coś wyznać? Uchowaj mnie, Boże, od pańskich wyznań! - zawołała niemal przerażona. Stał przed nią i z niepokojem czekał.

- Muszę się przyznać panu do jednego. Tam jeszcze, w Szwajcarii, utrwaliło się we mnie przekonanie, że pan ma na sumieniu coś strasznego, brudnego i krwawego... a jednocześnie coś takiego, co czyni pana bardzo śmiesznym... Jeżeli to prawda, proszę się strzec wyznań - wyśmieję pana! Przez całe życie będę śmiać się z pana... Ach, znowu pan zbladł? Nie będę, nie będę... idę już...

Zerwała się z fotela ruchem pogardliwym, z wyrazem wstrętu na twarzy.

- Męcz mnie, karz mnie! - wołał Stawrogin, z rozpaczą w głosie. - Masz pełne prawo! Wiedziałem, że cię nie kocham, i zgubiłem cię. Tak, „przeżyłem już tę chwilę”; miałem nadzieję... od dawna... Ostatnią nadzieję... Nie mogłem sprzeciwić się światłu, które zalało mi serce, gdyś wczoraj weszła do mnie sama, pierwsza. Uwierzyłem nagle... A może wierzę jeszcze i teraz.

- Za tak szlachetną szczerość zapłacę panu także szczerością. Nie chcę być dla pana siostrą miłosierdzia. Może istotnie będę kiedyś pielęgniarką przy chorych, o ile nie potrafię umrzeć dziś od razu; lecz będę nią nie przy panu, chociaż i pan wart tyle, co każdy kaleka bez nogi czy bez ręki. Myślałam zawsze, że zaprowadzi mnie pan do takiego miejsca, gdzie mieszka ogromny, zły pająk, 2 wielkości człowieka, że przez całe życie będziemy patrzyli na tego pajaka i bali się go. I tak

521

będzie upływała nasza miłość. Niech się pan zwróci do Da-szeńki. Ona pojedzie, dokąd pan zechce.

- Nawet i tu nie mogła paru, nie wspomnieć o niej!

- Biedna psinka! Proszę pozdrowić ją ode mnie. Czy ona wie, że pan jeszcze w Szwajcarii wyznaczył ją sobie na starość? Co za troskliwość! Co za przezorność! Ach, kto to?

W głębi salonu uchylili się leciutko drzwi. Czyjaś głowa wsunęła się i natychmiast znikła.

- To ty, Aleksy? - zapytał Stawrogin.

- Nie, to tylko ja - odezwał się Piotr Stiepanowicz znowu wsuwając głowę. - Witam, Lizawieto Nikołajewno, dzień dobry! Wiedziałem, że zastanę was tutaj oboje. Ja tylko na jedną sekundę, Mikołaju Wsiewołodowiczu, muszę koniecznie powiedzieć parę słów... ważnych... tylko parę!

Stawrogin skierował się ku niemu, lecz uszedłszy kilka kroków zwrócił się do Lizy.

- Jeżeli zaraz coś usłyszysz, Lizo, wiedz: jestem winien! Liza drgnęła i spojrzała trwożnie: ale on szybko wyszedł.

||

Za drzwiami, przez które zaglądał Piotr Stiepanowicz, mieścił się duży owalny przedpokój.

Siedział tu Aleksy Jegorowicz, lecz Piotr Stiepanowicz kazał mu wyjść. Mikołaj Wsiewołodowicz zamknął za sobą drzwi od salonu i zatrzymał się w oczekiwaniu. Wierchowieński patrzył na niego badawczo.

- A więc? - zapytał Stawrogin.

- Jeżeli już wszystko pan wie - spiesznie wyjaśniał Piotr Stiepanowicz, jak gdyby wpijając się wzrokiem w duszę Stawrogina - to, rzecz prosta, nikt z was winy nie ponosi, przede wszystkim zaś pan. Jest to po prostu zbieg okoliczności, zbieg wydarzeń... słowem, z prawnego punktu widzenia pana to nie dotyczy... A ja chciałem o tym pana zawiadomić.

- Spaleni? Zamordowani?

- Zamordowani, lecz nie spaleni. To niedobrze. Ale daję panu słowo honoru, że nie jestem winien. Może pan mnie podejrzewać... pan mnie posądza, co? Chce pan wiedzieć całą prawdę? Widzi pan, istotnie miałem taką myśl... Pan sam mi ją podsunął, nie na serio, lecz drocząc się ze mną (przecież

522

na serio pan by tego nie zrobił), lecz nie mogłem się zdecydować... i nie zdecydowałbym się za nic w świecie, za żadne pieniądze... zresztą ja nie zyskałbym nic na tym, ja osobiście... (Spieszył się strasznie i mówił bez przerwy jak katarzynka.) I oto jaki zbieg okoliczności... Z własnych pieniędzy... słyszy pan, z własnych - pańskich pieniędzy nie było tam ani grosza, pan wie o tym najlepiej... - otóż z własnych pieniędzy dałem temu głupiemu pijaczynie Lebiadkinowi dwieście trzydzieści rubli przedwczoraj wieczorem - słyszy pan, przedwczoraj, a nie wczoraj, po poranku literackim, proszę to sobie zapamiętać: to bardzo ważna okoliczność, gdyż wtedy nie wiedziałem jeszcze na pewno, czy Lizawietta Nikołajewna pojedzie do pana. Dałem własne pieniądze tylko dlatego, że pan przedwczoraj zblamował się... przysłała panu fantazja ujawnić własną tajemnicę.

Nie chcę w to wglądać... to pańska sprawa... szlachetność uczuć... przyznam się jednak, że uderzyło mnie to... jak obuchem po głowie. Lecz że mi już strasznie obrzydły te tragedie (mówię poważnie, chociaż używam niepoważnych zwrotów) i że to krzyżowało moje plany, dałem sobie słowo wyprawić za wszelką cenę, i bez pańskiej wiedzy, Lebiadkinów do Petersburga... tym bardziej, że sam Lembke o tym marzył. Zrobiłem jeden błąd: dałem te pieniądze w pańskim imieniu. Czy był to błąd? Może nawet i nie. Ale niech pan teraz posłucha, niech pan posłucha, jakie to dało rezultaty...

- Mówiąc gorączkowo, podszedł do Stawrogina i zaczął go chwytać za klapę surduta (jak Boga kocham, robił to chyba umyślnie). Stawrogin stanowczym ruchem uderzył go po rękę. - Ależ panie... dosyć już... tak może mi pan połamać kości... Chodzi głównie o to, jak się skończyło - ciągnął Wierchowieński, nie zrażony uderzeniem. - Od wczoraj tracę pieniądze na to, aby on wraz z siostrzyczką jutro nad ranem wyjechał. Powierzam tę sprawę łajdakowi Liputinowi, ufając, że sam wsadzi ich do pociągu i wyprawi. Lecz ten nikczemnik Liputin zapragnął zabawić się kosztem publiczności - może pan słyszał o tym? W czasie poranku literackiego? Niechże pan teraz posłucha, niech pan słucha: siedzą, piją, układają wspólne wiersze, z których połowa jest dziełem Liputina... Liputin ubiera kapitana we frak, zapewnia mnie w tym czasie, że już go nad ranem wyprawił, sam zaś przechowuje Lebiadkina w jakiejś komórce, aby go w odpowiedniej chwili wy-

523

pchnąć na estradę. Lecz kapitan upija się szybko i nieoczekiwanie. Potem następuje znany wszystkim skandal, potem odwożą nieprzytomnego Lebiadkina do domu. Liputin zaś wyjmuje z kieszeni dwieście rubli, zostawiając tylko drobne. Okazuje się jednak na nieszczęście, że kapitan jeszcze przedtem, rankiem, wyjmował z kieszeni te dwieście rubli, chwalił się i pokazywał, komu nie należy. Że zaś Fiedka na to tylko czekał, a dowiedział się coś niecoś od Kirillowa (niech pan sobie przypomni własne uwagi), postanowił więc skorzystać. Oto i cała sprawa. Cieszę się przynajmniej, że Fiedka nie znalazł pieniędzy. A, gałgan, liczył przecie na tysiączek! Spieszył się i mam wrażenie, że sam przeląkł się pożaru... Niech mi pan wierzy, że ten pożar to dla mnie

prawdziwa niespodzianka... to licho wie co! Taka samowola... Widzi pan, liczę na pana tak bardzo, że nic nie ukrywam. Tak, to prawda, że już dawno świłała mi w głowie ta myśl o pożarze, tak popularna i prawdziwie ludowa. Lecz chciałem ją zachować na decydującą chwilę, na tę jedyną chwilę, gdy powstaniemy wszyscy i... Oni zaś poważyli się samowolnie, bez rozkazu, teraz, w takiej chwili, gdy właśnie trzeba było ukryć się i wstrzymać oddech! Ach, to taka samowola!... Słowem, nie wiem dotychczas o niczym; mówią paru szpigulinowcach... lecz jeśli i nasi tu się wplątali, jeśli choć jeden w tym uczestniczył, biada mu! Widzi pan, co to znaczy choć odrobinę popuścić! O, nie, te demokratyczne kanalie ze swoimi piątkami to słaba ostoja; potrzebna tu jedyna, wspaniała, wszechwładna, despotyczna wola... musi opierać się nie na zjawiskach przypadkowych, stojących poza wszystkim... A wówczas piątka i nagna się posłusznie, i przydadzą się w razie potrzeby. W każdym razie chociaż już się rozchodzi plotka, że Stawrogin musiał żonę spalić i że dlatego miasto stanęło w ogniu, to jednak...

- Czy naprawdę już się taka plotka rozeszła?...

- No, jeszcze nie. Przyznam się szczerze, że jeszcze nie słyszał, lecz jak pan da sobie radę z tłumem, zwłaszcza z pogorzalcami? Vox populi, vox Dei.³ Nic łatwiejszego, jak rozpowszechnić plotkę. W istocie jednak nie ma pan się czego obawiać. Pod względem prawnym jest pan bez zarzutu, według sumienia - także. Przecież pan nie chciał tego, prawda? Nie chciał pan? Żadnych poszlak, tylko zbieg okoliczności. Chyba że Fiedka przypomni sobie tamte nieostrożne pańskie

524

słowa u Kiryłowa (Po co je pan wtedy powiedział?), lecz to niczego nie dowodzi, a Fiedce możemy zamknąć usta. Jeszcze dziś go ukróczę...

- A trupy nie spaliły się wcale?

- Ani odrobinę. Ta kanalia nie potrafiła nic zrobić jak należy... Cieszy mnie przynajmniej, że pan jest taki spokojny... Bo chociaż pan tu nic nie zawinił, nawet myślą, lecz w każdym razie... A przy tym musi pan przyznać, że pańskie sprawy niesłychanie na tym zyskują, jest pan niespodziewanie wdowcem i może pan natychmiast ożenić się z piękną panną, posiadającą olbrzymi posag, który zresztą ma pan już w ręku. Co to może zrobić zwyczajny, prosty zbieg okoliczności! Cóż pan na to?

- Pan jest aż tak niemądry, że mi grozi?

- No, dość już, dość, dlaczego zaraz niemądry? I co za ton! Zamiast cieszyć się, pan... Pędziłem tu naumyślnie, aby czym prędzej poinformować pana... ale czym mógłbym panu grozić? Co mi przyjdzie z groźby? Potrzebna mi jest pańska dobra wola, a nie decyzja wywołana strachem. Jest pan światłem i słońcem... To ja boję się pana bezgranicznie, a nie pan mnie! Nie jestem przecie Maurycym Nikołajewiczem... I niech pan sobie wyobrazi, pędzę tu do pana galopem, a Maurycy Nikołajewicz stoi w kącie ogrodu, przy parkanie... w płaszczu, zmięty cały. Stał pewnie tam przez całą noc! Dziwne rzeczy! Jak to ludzie mogą tak wariować!

- Maurycy Nikołajewicz? Naprawdę?

- Ależ naprawdę! Stoi przy parkanie. O trzysta kroków stąd, nie więcej. Przeszedłem szybko obok niego, lecz on mnie zauważył. Nie wiedział pan? W takim razie cieszę się, że nie zapomniałem powiedzieć. Taki właśnie jest najniebezpieczniejszy, zwłaszcza gdy ma rewolwer. A tu noc, deszcz, normalne rozdrażnienie... trzeba przecie uwzględnić jego sytuację, cha, cha, cha! Jak pan myśli: po co on tu siedzi?

- Najwidoczniej czeka na Lizawietę Nikołajewną.

- Ta-ak? Po cóż by miała wychodzić do niego? W taki deszcz... a to głupiec!

- Zaraz do niego wyjdzie.

- Co? To ci nowina! A więc... Lecz niech pan posłucha... teraz okoliczności się zmieniły: po diabła jej teraz Maurycy Nikolajewicz? Jest pan wdowcem i może się pan jutro z nią ożenić! Ona jeszcze nie wie o tym. Niech mi pan pozwo-

525

li, ja to wszystko załatwię. Gdzie ona jest? Muszę i ją uradować.

- Uradować?

- Oczywiście. Chodźmy. Stawrogin zmrużył oczy zagadkowo.

- Sądzi pan, że nie domyśli się niczego... co do tych trupów?...

- Ależ oczywiście - stanowczo zapewniał Piotr Stiepa-nowicz. -Przecież pan, z prawnego punktu widzenia... Ech! A gdyby się nawet domyśliła! U kobiet takie rzeczy zacierają się łatwo. Pan jeszcze nie zna kobiet! Poza tym, dla niej to proste wyrachowanie wyjść za pana; bądź co bądź skompromitowała się. Poza tym mówiłem jej o „łodzi”: stwierdziłem, że najwięcej reaguje na ową „łódź” -to taki typ! Niech pan będzie spokojny! Przejdzie przez te trupy, aż miło, tym bardziej że pan jest zupełnie, ale to zupełnie niewinny, prawda? Zachowa je tylko na wszelki wypadek, aby kiedyś potem, może w drugim roku pożycia małżeńskiego, ukłuć pana. Każda kobieta, idąc do ołtarza ma w zapasie coś w tym rodzaju z przeszłości męża, lecz wtedy... Co tam zresztą wiadomo, co będzie za rok! Cha, cha, cha!

- Jeżeli pan przyjechał dorożką, proszę odwiedzić Liza-wietę Nikolajewnę do Maurycego Nikolajewicza. Powiedziała mi przed chwilą, że mnie nie znosi i odejdzie ode mnie. Na pewno nie zechce skorzystać z moich koni.

- Co? Naprawdę opuszcza pana? Cóż to się mogło stać? - naiwnie badał Piotr Stiepanowicz.

- Zrozumiała widocznie dziś w nocy, że nie kocham jej wcale... Wiedziała o tym zresztą zawsze.

- Lecz czy pan jej nie kocha? - indagował Piotr Stiepanowicz z niesłychanie zdziwioną miną. - Czemu więc wczoraj pan, człowiek szlachetny, gdy weszła do pana, nie powiedział jej po prostu, że jej nie kocha, lecz przeciwnie, zatrzymał ją pan u siebie? To było bardzo podłe. A mnie także naraził pan na zarzut nikczemności.

Stawrogin roześmiał się nagle.

- Rozśmieszyła mnie moja małpa - wyjaśnił natychmiast.

- Ach tak! Domyślił się pan, że błaznuję - niesłychanie wesoło zawtórował mu Wierchowieński. - Tak, chciałem pana ubawić. Niech pan sobie wyobrazi, że natychmiast, jak

526

tylko wyszedł pan do mnie, z wyglądu zrozumiałem, że stało się tu „nieszczęście”. A może nawet całkowite niepowodzenie, co? Założyłbym się - wykrzykiwał zachłystując się z zachwytu - żeście tak z nią przesiedzieli całą noc w tym salonie na krzeselkach, jedno obok drugiego, i dyskutowaliście o jakichś sprawach wyjątkowo wzniosłych... Niech się pan nie gniewa. Co mi wreszcie do tego? Przecie wczoraj jeszcze wiedziałem na pewno, że skończy się to na niczym. Przywiozłem ją tylko po to, aby pana zabawić i dać dowód, że nie będzie się pan przy mnie nudził. Setki razy przydam się panu w podobnych okolicznościach. W ogóle lubię robić innym przyjemność. Jeżeli Lizawieta Nikolajewna już nie jest panu potrzebna, na co zresztą liczyłem jadąc tu, w takim razie...

- Więc przywiózł ją pan tylko po to, abym się zabawił?

- Jakież mogły być inne pobudki?

- A nie po to, aby zmusić mnie do zabicia żony?

- Ale czy to pan ją zabił? Po cóż ten tragiczny ton?

- Wszystko jedno, pan ją zabił!

- Ja? Skądże znowu? Mówię panu, że nie odegrałem w tym żadnej roli. Zaczynam niepokoić się o pana.

- Niech pan mówi dalej! Powiedział pan: „Jeżeli jest już tu niepotrzebna, w takim razie...”

- W takim razie, rzecz prosta, już ja się nią zaopiekuję. Wydam ją doskonale za Maurycego Nikołajewicza, którego, mówiąc nawiasem, wcale tu nie nasyłałem. Niech tego przynajmniej pan na mnie nie zwala. Boję się go nawet teraz. Mówił mi pan, abym ją odwiózł do niego, a ja starałem się, aby mnie nie zauważył... Może ma rewolwer?... Dobrze, że sam także wziętem rewolwer. O! (Wyjął broń z kieszeni i schował natychmiast.) Wziętem ze względu na odległość... A zresztą wszystko ślicznie urządzę: przecież właśnie w tej chwili serduszko jej tęskni za Maurycem Nikołajewiczem... Powinno przynajmniej... Wyznam panu, że nawet żał mi jej. A gdy połączę ją z Maurycem Nikołajewiczem, zacznie wtedy wspominać pana, zachwalać pana, jego zaś krytykować w oczy. Już takie jest serce kobiece! Znów się pan śmieje? Cieszę się, że pana tak ubawił. No, chodźmy! Zacznę z nią od Maurycego Nikołajewicza, o tamtych zaś... o zabitych... wie pan, lepiej milczeć na razie. I tak sama dowie się z czasem.

W tej chwili Liza otworzyła drzwi.

527

- O czym się dowiem? Kto zabity? Co pan mówił o Maurycem Nikołajewiczu?

- O! Podśluchiwała pani?

- Co pan mówił przed chwilą o Maurycem Nikołajewiczu? Zabity?

- Nie dosłyszała pani! Proszę się uspokoić. Maurycy Ni-kołajewicz jest żywy i zdrow. Może pani zaraz sama się o tym przekonać, gdyż jest tu na drodze, za parkanem... zdaje się, że przesiedział tam całą noc... przemókł cały... jest tylko w płaszczu... Jakem jechał, widział mnie.

- To nieprawda. Pan mówił „zabity”... Kto zabity? - nastawała nieufnie, z udręką.

- Zabita jest moja żona, jej brat Lebiadkin i służąca - twardym głosem odezwał się Stawrogin.

Liza drgnęła i okropnie zbladła. Piotr Stiepanowicz za-tychmiast zaczął opowiadać.

- Okropny, dziwaczny wypadek, Lizawieto Nikołajewno Najgłupszy wypadek rabunku, tylko rabunku, pod osłó? pożaru. To sprawa zbója Fiedki Katorżnego, z winy tego idioty Lebiadkina, który wszystkim pokazywał swoje pienk dze... Przyleciałem tu właśnie z tą nowiną. Dla Mikołaja Wsiewołodowicza było to jakby obuchem w głowę. Ledwo ustał na nogach, gdym mu opowiedział. Naradzaliśmy się tutaj, czy powiedzieć pani, czy nie.

- Mikołaju Wsiewołodowiczu! Czy on mówi prawdę? - ledwo dosłyszalnym głosem rzekła Liza.

- Nie, kłamie.

- Jak to „kłamie” - zawołał Piotr Stiepanowicz - a to co znowu?

- Boże, zwariuję chyba! - zawołała Liza.

- Niechże pani przynajmniej zrozumie, że on jest teraz nieprzytomny! - krzyczał Wierchowieński. - Bądź co bądź żona jego nie żyje. Widzi pani, jaki błady... Ależ on tu z panią całą noc spędził, nie odchodził ani na chwilę, jakże można go podejrzewać!

- Mikołaju Wsiewołodowiczu! Niech pan mi powie zaraz, jak przed Bogiem, czy jest pan winien, czy nie? I przysięgam, że każdemu słowu uwierzę jak słowu Bożemu, i pójdę za panem na kraj świata, wszędzie! Pójdę jak wierny pies...

- Po co pan dręczy ją dla jakiejś fantazji? - zawołał

528

Piotr Stiepanowicz. - Lizawieto Nikołajewno! Przysięgam! Może paru mnie zabić, on jest niewinny! Sam jest przygnębiony i bredzi. Czy pani nie widzi? Niczym nie zawinił, nawet myślą!...

To wszystko sprawka bandytów, których na pewno w ciągu tygodnia złapią i wyćwiczą... To Fiedka Katorżny i szpigulinowcy. O tym mówi całe miasto, więc wiem.

- Czy tak? Czy tak?

Liza drżała, jakby w oczekiwaniu ostatecznego wyroku.

- Nie zabijałem i byłem przeciwny zabójstwu, wiedziałem jednak, że mord ma być popełniony, i nie wstrzymałem morderców. Odejdź ode mnie, Lizo - oświadczył Stawrogin i wrócił na środek salonu.

Liza zakryła twarz rękami i wyszła z domu. Piotr Stiepanowicz jak gdyby chciał wybiec za nią, lecz został w salonie.

- Więc to tak? Więc tak? Nie boi się pan niczego? - podbiegł jak wariat do Stawrogina bełkocząc bez związku, B\$ znajdując prawie słów, z pianą na ustach. jPStawrogin stał pośrodku salonu i nie odpowiadał. Lewą ręką trzymał się za włosy i uśmiechał się z roztargnieniem. Piotr Stiepanowicz szarpnął go za rękaw.

- Chce pan zginąć? Takie są pańskie zamiary? Zadenuncjuje pan wszystkich, a sam pójdzie do monasteru albo do diabła?... Przecież ja i tak ukatrupię pana, chociaż się pan mnie nie boi!

Zdawało się, że Stawrogin teraz dopiero zauważył jego obecność.

- Ach, to pan tak trajkocze? - Wreszcie ocknął się zupełnie. - Niech pan biegnie, niech pan biegnie za nią... Zaprząć karetę... Niech pan jej nie opuszcza... Niech pan biegnie! Niechże pan biegnie!... Proszę ją odwieźć do domu, tak aby nikt nie wiedział, i niech ona nie chodzi tam... do trupów... do trupów... Wsadzić ją do karety przemocą... Jegorycz! Jegorycz!

- Niech pan nie krzyczy! Ona już jest w objęciach Maurycego... A Maurycy nie wsiądzie do pańskiej karety. Niech pan zaczeka! Tu nie chodzi o karetę.

Znów wyjął rewolwer. Stawrogin spojrzał na niego poważnie.

- No cóż! Niech pan zabije! - rzekł cicho, prawie pogodnie.

- A, do diabła! Tyle kłamstwa! - rozzłościł się znów

23 Dostojewski, t III 529

Piotr Stiepanowicz. - Jak Boga kocham, warto by zabić! Doprawdy, powinna była plunąć na pana!... Jaka tam „łódź”?! Pan jest stara, dziurawa krypa, do niczego niezdatna! Niechże pan się ocknie! Teraz przynajmniej! Na złość jej! Ach! Panu już wszystko jedno, jeżeli zgadza się pan na kulę w łeb. Stawrogin uśmiechnął się dziwnie.

- Gdyby pan nie był takim pajacem, może powiedziałbym teraz: tak! Gdyby miał pan choć trochę więcej rozumu...

- Tak, jestem pajacem, lecz nie chcę, aby pan, który jest najlepszą moją częścią, był pajacem. Rozumie pan?

Stawrogin rozumiał. Może tylko on jeden rozumiał. Dziwił się kiedyś Szatow zapewnieniom Stawrogina, że Piotr Stiepanowicz jest entuzjastą.

- Niech się pan teraz wynosi! Proszę przyjść jutro! Może do jutra wyduszę coś z siebie.

- Tak? Tak?

- Skąd mogę wiedzieć!... No, niech się pan wynosi do diabła!

I wyszedł z salonu.

- Może to wyjdzie na dobre - mruknął Piotr Stiepanowicz chowając rewolwer.

III

Pobiegł za Lizawietą Nikołajewną, która nie zdążyła jeszcze odejść daleko od domu. Zatrzymał ją Aleksy Jegorowicz, który i teraz kroczył za nią, w liberyjnym fraku, z głową pochyloną z szacunkiem, bez czapki. Zaklinał ją, aby zaczekała na konie. Staruszek był przerażony i prawie płakał. Piotr Stiepanowicz odtrącił go.

- Idź! Pan chce herbaty, nie ma kto podać. Wziął Lizę pod rękę. Liza nie wrywała się. Zdawało się jednak, że nie jest jeszcze zupełnie przytomna.

- Przede wszystkim nie tędy - zaczął. - Trzeba iść w tę stronę, nie wzdłuż ogrodu, po wtóre, w każdym razie nie piechotą. Do domu ma pani trzy wiorsty, nie jest pani odpowiednio ubrana. Proszę zaczekać chwilę. Mam przecież wózek, koń stoi tu w podwórzu. W tej chwili podjadę. Odwiozę panią tak, że nikt nie będzie widział.

530

- Jaki pan dobry - łagodnie powiedziała Liza.

- Ależ na moim miejscu każdy przyzwoity człowiek zrobiłby to samo...

Liza spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Ach, mój Boże! A ja myślałam, że to ten staruszek...

- Ogromnie się cieszę, że pani w ten sposób traktuje te rzeczy, bo przecież to wszystko najokropniejsze przesady, i jeżeli o to chodzi, to może raczej powiem staruszkowi, żeby natychmiast kazał zaprząć karetę, potrwa to dziesięć minut. Tymczasem wrócimy i poczekamy na podjeździe pod dachem, co?

- Chciałabym przedtem... Gdzie są ci zabici?

- Masz tobie, nowa fantazja! Właśnie tego się obawiałem... Nie, temu paskudztwu dajmy lepiej spokój. I w ogóle nie powinna pani na to patrzeć.

- Ja wiem, gdzie to jest, znam ten dom.

- Więc cóż z tego! Niech pani się zlituje: deszcz, mgła... (Ależ ciężki obowiązek zwałił na mnie!...) Lizawieto Nikołajewno! Albo - albo! Albo pani jedzie ze mną, a w takim razie proszę poczekać i ani kroku naprzód, bo jeżeli pani zrobi jeszcze ze dwadzieścia kroków, na pewno zobaczy nas Maurycy Nikołajewicz...

- Maurycy Nikołajewicz! Gdzie? Gdzie?

- No, jeżeli pani chce z nim jechać, to dobrze, odprowadzę panią jeszcze parę kroków i pokażę, gdzie on siedzi. Ale potem - żegnam, sługa uniżony! Wolałbym teraz nie zbliżać się do niego.

Zatrzymała się gwałtownie. Rumieniec oblał jej twarz.

- Czeka na mnie, Boże!

- Ależ proszę pani, jeżeli to człowiek bez przesądów!... To wszystko nic mnie nie obchodzi; to nie moje sprawy, i pani wie o tym dobrze; bądź co bądź jednak życzę pani jak najlepiej... Jeżeli nie udała się nasza „łódź”, jeżeli okazało się, że to była tylko stara dziurawa krypa, zdatna chyba na opał...

- Ach! cudownie! - zawołała Liza.

- Mówi pani „cudownie” i płacze. Tu trzeba być mężną. Nie trzeba w niczym ustępować mężczyźnie. W naszych czasach, gdy kobieta... tam do diabła! (Piotr Stiepanowicz omal nie splunął ze wstrętem.) Najważniejsze, że nie ma czego za-

łować; wszystko może się skończyć jak najlepiej. Maurycy Nikołajewicz jest człowiekiem... słowem, to człowiek uczuciowy, chociaż małowówny, co zresztą jest tylko zaletą, o ile jest

pozbawiony przesądów.

- Cudownie, cudownie! - śmiała się histerycznie Liza.

- Tam do diabła... - mruknął znów Piotr Stiepanowicz. - Lizawieto Nikołajewno... przecież o panią tylko mi chodzi... co mi do tego... Oddałem pani wczoraj przysługę, skoro pani tego chciała, a dziś... O, stąd już widać Maurycego Nikołajewicza. O, tam siedzi, nie patrzy na nas. Wie pani, Lizawieto Nikołajewno? Czy pani czytała Polinkę Sachs?*

- Co?

- Jest taka powieść Polinka Sachs. Czytałem ją jeszcze za czasów studenckich... Tam jakiś urzędnik, Sachs, człowiek bogaty, łapie na letnisku swą żonę na gorącym uczynku... Mniejsza o to zresztą! Zobacz pani, że Maurycy Nikołajewicz oświadczy się pani jeszcze w drodze do domu. On nas jeszcze nie widzi.

- Ach, nie chcę, żeby mnie zobaczył! - zaczęła raptem wykrzykiwać Liza, jak nieprzytomna. - Uciekajmy, uciekajmy! Do lasu! W pole!

Zaczęła biec z powrotem.

- Lizawieto Nikołajewno! - wołał Piotr Stiepanowicz za nią - to już jest tchórzostwo! Dlaczego pani nie chce, aby panią zobaczył? Przeciwnie, niech pani otwarcie i śmiało spojrzysz mu w oczy... Jeżeli chodzi o tamto... o dziewictwo... to w końcu taki przesąd, takie zacofanie... Dokądże to pani? Dokąd?... Ach, biegnie! Wróć lepiej do Stawrogina po wózek... Dokądże pani? Tam pole! O, upadła!

Zatrzymał się. Liza leciała jak ptak, nie wiedząc dokąd, i Piotr Stiepanowicz był już o jakie pięćdziesiąt kroków za nią. Upadła potknąwszy się o jakąś grudę. W tej chwili gdzieś z boku, za nimi, rozległ się przeraźliwy krzyk. To krzyczał Maurycy Nikołajewicz, który dostrzegł jej ucieczkę i upadek i pędził ku niej przez pole. Piotr Stiepanowicz natychmiast wycofał się do bramy dworu, aby jak najprędzej wskoczyć do swego wózka.

Maurycy Nikołajewicz, okropnie przerażony, już stał obok Lizy, która zdążyła zerwać się na nogi. Pochylał się nad nią i trzymał jej dłoń w swojej. Nieprawdopodobne okoliczności

tego spotkania oszołomiły go, łzy spływały mu po policzkach. Tę, którą tak ubóstwiał, widział w przystępnie szale uciekającą przez pole o takiej godzinie, w taką pogodę, w samej sukni, w tej pięknej wczorajszej sukni, dziś zmiętej i brudnej... Nie mógł słowa wymówić; zdjął płaszcz i drżącymi rękami narzucił jej na ramiona. Raptem krzyknął, gdyż poczuł, że Liza dotknęła wargami jego ręki.

- Lizo! - zawołał - ja nic nie potrafię, lecz niech pani nie odpędza mnie!

- Tak, tak, uciekajmy stąd czym prędzej! Niech mnie pan nie opuszcza!

Chwyliła go za rękę i pociągnęła za sobą.

- Maurycy Nikołajewiczu - powiedziała nagle ściszym z przerażenia głosem - ja tam udawałam odważną, lecz tu... boję się umierać... Umrę, umrę już wkrótce, ale boję się, boję się śmierci... - szeptała, mocno ściskając jego dłoń.

- Ach, gdyby tu był ktokolwiek! - rozglądał się zrozpaczony. - Gdyby jakiś przejezdny! Przemocz pani nogi, pani... straci zmysły!

- To nic, nic - pocieszała go. - O, tak, przy panu tak się nie boję, niech pan mnie trzyma za rękę, niech pan mnie prowadzi... Dokąd my teraz idziemy? Do domu? Nie, ja chcę wpierw zobaczyć zamordowanych. Oni podobno zarżnęli jego żonę, a on mówi, że sam zarżnął. To przecież nieprawda! To kłamstwo! Chcę sama zobaczyć zabitych... Przeze mnie... przez nich on przestał mnie kochać... Zobaczę sama i wszystko będę wiedziała. Prędzej, prędzej. Znam ten dom... Tam pożar... Maurycy Nikołajewiczu, mój drogi, niech mi pan nie przebacza! Jestem nikczemna! Po co

mi przebaczać! Dlaczego pan płacze? Niech pan mnie spoliczkuje i zabije tu w polu jak psa!

- Nikt nie ma prawa pani sądzić - twardo rzekł Maurycy Nikołajewicz. - Niech pani Bóg przebaczy, a ja mam najmniej praw, by panią sądzić!

Trudno byłoby odtworzyć ich rozmowę. Szli tak dłoń w dłoń, szybko jak półprzytomni. Szli prosto w kierunku pożaru. Maurycy Nikołajewicz wciąż jeszcze nie tracił nadziei, że po drodze nadarzy się jakiś wóz, lecz nie spotkali nikogo. Drobny przenikliwy deszczyk osnuł całą okolicę, chłonąc wszystkie blaski i cienie. Świat cały wyglądał jak ciężka, ołowiana,

533

obojętna masa. Już dawno był dzień, lecz wciąż jak gdyby było przed świtem. I raptem z tej zadymionej zimnej mgły wysunęła się postać dziwna i zagadkowa. Myślę, że nie uwierzyłbym własnym oczom, gdybym był na miejscu Lizy. Ona jednak krzyknęła radośnie i poznała natychmiast zbliżającego się. Był to Stiepan Trofimowicz. Jak się to stało, że odszedł, w jaki sposób ziścił się szalenie koncyptowany pomysł jego ucieczki - o tym później. Dodam tylko, że miał tego dnia gorączkę, lecz nawet słabość fizyczna nie odwiodła go od decyzji. Twardym krokiem szedł po mokrej ziemi, widać było, że obmyślił wszystko jak najstaranniej, zwłaszcza gdy uwzględnimy jego niepraktyczną naturę. Miał na sobie „strój podróżny”, czyli płaszcz ściągnięty szerokim lakierowanym pasem ze sprzączką; do tego wysokie, nowe buty i spodnie wpuszczone w cholewy. Prawdopodobnie już od dawna tak wyobrażał sobie wędrowców. Pas i buty, wysokie, z błyszczącymi huzarskimi cholewami, w których nie umiał chodzić, przygotował zawczasu już przed kilkoma dniami... Stroju dopełniał szeroki kapelusz i włóczkowy szal szczelnie otulający szyję. W prawej ręce laska, a w lewej bardzo niewielki, lecz mocno wypchany sakwojaż. Oprócz tego miał jeszcze w prawej ręce otwarty parasol. Przez pierwszą wiorstę bardzo niewygodnie było mu trzymać te trzy przedmioty - parasol, laskę i sakwojaż, a po przejściu drugiej odczuwał już ich ciężar.

- Czy to naprawdę pan? - zawołała Liza oglądając go ze smutnym zdziwieniem, które nastąpiło po pierwszej nieświadomej radości.

- Lise! - zawołał Stiepan Trofimowicz podbiegając ku niej, prawie nieprzytomny. - Chere, chere, czy pani także... w taką mgłę? Widzi pani lunę? Vous etes malheureuse, nes t- -ce pas? Widzę, widzę, proszę nic nie mówić. Lecz proszę mnie także nie pytać o nic! Nous sommes tous malheureux, mais U f aut les pardonner tous. Pardonnons, Lise, i bądźmy wolni na zawsze. Aby pożegnać świat i stać się wolnym, U f aut pardonner, pardonner et pardonner!*

- Pani jest nieszczęśliwa, prawda? (...) Wszyscy jesteśmy nieszczęśliwi, ale trzeba im wszystkim przebaczyć. Przebaczymy, Lizo (...) trzeba przebaczyć, przebaczyć, przebaczyć!

534

- Ale dlaczego pan klęka?

- Klękam, gdyż żegnając się ze światem, chcę w pani osobie pożegnać całą moją przeszłość. - Zapłakał i podniósł obie jej ręce do swoich zalanych łzami oczu. - Klękam przed wszystkim, co było piękne w moim życiu. Składam pocałunek i dziękuję! Podzieliłem się na dwoje! Tam - szaleniec, który śnił o podniebnych wlotach - vingt deux ans! Tu - zgnębiony i zziębnięty starzec - belfer... chez ce marchand, sil existe pourtant ce marchand. Ale jak tyś zmokła, Lizo! - zawołał wstając; poczuł, jak kolana przemokły mu od wilgotnej ziemi. - Dlaczego pani tak ubrana?... i piechota... w polu?... Pani płacze? Vous etes malheureuse”) Ach, słyszałem o tym... Lecz skąd pani idzie? - trwożnie ponawiał pytanie, zerkając z wielkim zdziwieniem na Maurycego Nikołajewicza - mais savez-vous l'heure aifil est?*

- Stiepanie Trofimowiczu! Czy słyszał pan cokolwiek o tych zabitych... czy to prawda? prawda?

- Ach, ci ludzie! Patrzyłem na pogorzelnisko ich czynów przez całą noc. Nie mogli skończyć inaczej... (Oczy mu się zaiskrzyły.) Uciekam od maligny, od obłąkańczych snów, idę szukać Rosji. Existe-t-elle la Russie? Boh, cest vous, cher capitaine!** Nie wątpiłem nigdy, że spotkam pana w obliczu wielkiego bohaterstwa... Ale proszę wziąć mój parasol! I dlaczego koniecznie piechotą? Na miłość Boską, proszę wziąć przynajmniej parasol, a ja i tak wynajmę gdzieś powóz. Dlatego idę piechotą, że Stasia (to znaczy Nastasja) narobiłaby gwałtu na całą ulicę, gdyby się dowiedziała, że wyjeżdżam. Ja zaś wyśliznąłem się incognito. Nie wiem, piszą w „Głosie”⁶, że teraz wszędzie rozboje, ale myślę, że to chyba niemożliwe, żebym tak od razu wpadł na rabusia, co? Chere Lise, powiedziała pani, zdaje się, że ktoś kogoś zabił? Oh, mañ Dieu!*** Pani mdleje?

- Chodźmy, chodźmy! - histerycznie wołała Liza, znów ciągnąc za sobą Maurycego Nikołajewicza.
- Niech pan poczeka, Stiepanie Trofimowiczu - zawróciła nagle w jego stronę. - Biedaku mój, chcę pana przeżegnać. Może lepiej by

- dwadzieścia dwa lata (...) u tego kupca, jeśli zresztą ten kupiec istnieje (...) Pani jest nieszczęśliwa? (...) ale czy pani wie, która godzina?

** Ale czy ona istnieje, ta Rosja? Ach, to pan, drogi kapitanie! *** Ach, mój Boże!

było związać pana, lecz ja wolę przeżegnać. Niech się pan także pomodli za „biedną” Lizę, lecz tylko trochę, nie warto fatygować się zbytnio. Maurycy Mikołaj ewiczu! Niech pan odda temu dzieciakowi jego parasol, koniecznie... o tak... Chodźmy już, chodźmy!

Przybycie ich na miejsce zbrodni nastąpiło właśnie w chwili, gdy zebrany przed domem gęsty tłum już się nasłuchał o Sta-wroginie i o tym, jak bardzo na rękę było mu to morderstwo. Ale, powtarzam, przeważająca część tłumu słuchała obojętnie i w milczeniu. Podnieceni byli tylko pijani krzykacze i ludzie „zrywający się”, jak ów mieszczanin, który wymachiwał rękami. Wszyscy go znali jako człowieka na ogół spokojnego, od czasu do czasu jednak zrywał się i leciał, gdy coś wywarło na nim zbyt wielkie wrażenie. Nie widziałem, kiedy przyszli Liza i Maurycy Nikołajewicz. Dopiero wtedy ze zdumieniem dostrzegłem ją w tłumie, gdy już była daleko ode mnie. Maurycego Nikołajewicza nawet nie zauważyłem z początku. Była, zdaje mi się, taka chwila, gdy o parę kroków oddalił się od niej, prawdopodobnie odepchnięty przez tłoczących się ludzi. Na Lizę, która rwała przez dum jak w gorączce, jak człowiek, który uciekł ze szpitala, na oślepie, nie widząc nic dokoła - musiano niezwłocznie zwrócić uwagę. Zaczęto mówić głośno i krzyczeć. Ktoś zawołał: „To ta od Stawrogina!” Z innej strony rozległ się okrzyk: „Nie dość im, że zamordowali! Jeszcze chcą patrzeć!” Ujrzałem, że nad jej głową, z tyłu, podniosła się i opuściła czyjaś ręka. Liza upadła. Posłyszałem straszny krzyk: to Maurycy Nikołajewicz rzucił się na ratunek i z całej siły uderzył człowieka, który zasłaniał mu Lizę. W tej chwili ów mieszczanin złapał go oburącz z tyłu. Przez parę chwil nie można było nic widzieć; wszystko się zakotłowało. Mam wrażenie, że Liza zerwała się, lecz znów musiała ją zwalić czyjaś pięść. Po chwili dum się rozstał i dokoła leżącej Lizy utworzył się pusty krąg. Okrwawiony, nieprzytomny Maurycy Nikołajewicz stał nad nią. Krzyczał, płakał, załamywał ręce. Nie pamiętam dokładnie, co było dalej. Pamiętam tylko, że nagle podniesiono ją i zabrano. Biegłem za nią. Żyła jeszcze, może nawet była przytomna. Z tłumu wyciągnięto mieszczanina i jeszcze trzech ludzi. Ci trzej dotychczas nie przyznają się do udziału w zbrodni, twierdząc uporczywie, że aresztowano ich przez pomyłkę. Może to prawda. Mieszczanin, bezspornie

winny, nie może jednak, jako niedorozwinięty, opisać dokładnie przebiegu zdarzenia. Ja także, jako naoczny świadek wypadku (choć z daleka), musiałem przed sędzią śledczym złożyć zeznanie. Oświadczyłem, że wszystko stało się zniecka i że sprawcami byli ludzie odpowiednio usposobieni, lecz mało świadomi, pijani i półprzytomni. Tego zdania jestem i dzisiaj.

ROZDZIAŁ CZWARTY

OSTATNIA DECYZJA

I

Wiele osób widziało tego dnia Piotra Stiepanowicza. Ci, co go widzieli w godzinach rannych, twierdzili potem, że był bardzo podniecony. O drugiej po południu wstąpił do Gaganowa, który w przeddzień dopiero wrócił ze wsi. Zebrało się tam pełno ludzi, którzy z ożywieniem rozmawiali o ostatnich zdarzeniach. Piotr Stiepanowicz mówi! więcej od innych i słuchano go chętnie.

Traktowano go zawsze jako „gadatliwego studenta z dziurą w głowie”, lecz teraz opowiadał o Julii Michajłownie: był to, w związku z sytuacją, porywający temat. Jako jej dotychczasowy najbardziej zaufany powiernik, znał wiele nowych i zaskakujących szczegółów; nieumyślnie (i, rzecz jasna, nieostrożnie) powtórzył niektóre jej opinie o osobach znanych całemu miastu i zadrasnął tym ich miłość własną. Opowiadanie jego było niewyraźne i poplątane. Mógł uchodzić za człowieka zbyt prostolinijnego, który w imię uczciwości zmuszony jest wbrew woli wyjaśnić od razu cały splot nieporozumień, robi to jednak niezgrabnie, nie wiedząc, od czego zacząć i na czym skończyć.

Wymknęło mu się, że Julia Michajłowna знаła dobrze tajemnicę Stawrogina i sama przeprowadziła całą intrygę. Z nim, z Piotrem Stiepanowiczem, postąpiła także bardzo nieładnie. Był zakochany w tej biednej Lizie, tymczasem jednak tak groplątało, że prawie odwiózł ją do Stawrogina. „Tak, tak, łatwo wam śmiać się, panowie!...- dodał. - Lecz gdybym mógł przypuszczać, jak to się skończy, gdybym mógł przeczuć!...” Na natarczywe pytania o Stawrogina odpowiedział, że katastrofa z Lebiadkinem jest rzeczą

przypadku i że winien tu tylko Lebiadkin, który niepotrzebnie pokazywał wszystkim pieniądze. Wyjaśnił to bardzo dokładnie. Jeden ze słuchaczy zwrócił uwagę, że na próżno obecnie wykręca się: jadł, pił, spał niemal w domu Julii Michajłowny, a teraz pierwszy ją oczernia; to wcale nie takie piękne, jak mu się zdaje. Piotr Stiepanowicz miał na to gotową odpowiedź:

- Jadłem i piłem nie dlatego, abym nie miał własnych pieniędzy, i nie jestem winien, że zapraszano mnie tam ciągle. A czy mam być wdzięczny za to, to niech mi już pan pozwoli mieć własną opinię w tym względzie.

Na ogół odniósł sukces. „Może nie jest to człowiek poważny i rozsądny, ale bądź co bądź nie powinien przecież ponosić odpowiedzialności za błędy Julii Michajłowny. Wygląda nawet na to, że ją powstrzymywał...”

Około drugiej rozeszła się nagle wiadomość, że Stawrogin, o którym tyle rozprawiano, znienacka wyjechał w południe pociągiem do Petersburga. Zainteresowało to wszystkich; ten i ów sposępniał. Piotr Stiepanowicz był tak zaskoczony, że jak powiadają, twarz mu się zmieniła i wykrzyknął: „Jakże można go było wypuścić?” i natychmiast wybiegł od Gaganowa. Widziano go jednak potem jeszcze w dwóch czy trzech domach.

O zmierzchu udało mu się dotrzeć i do Julii Michajłowny. Nie była to rzecz łatwa, gdyż nie chciała go przyjąć. Dowiedziałem się o tym szczególe od niej samej, w trzy tygodnie później, przed jej wyjazdem do Petersburga. Nie powtórzyła mi całej rozmowy, stwierdziła jednak, że wówczas zdumiał ją ponad wszelką miarę. Sądzę, że po prostu nastraszył ją odpowiedzialnością za współudział, w razie gdyby przyszło jej na myśl „mówić”. Konieczność nastraszenia jej wynikała z ówczesnych jego planów, których Julia Michajłowna oczywiście nie znała. Potem dopiero, po pięciu dniach domyśliła się, dlaczego tak mu zależało na jej milczeniu i dlaczego tak się sam obawiał wybuchu jej oburzenia...

O ósmej, gdy już było zupełnie ciemno, na krańcu miasta, na Fominowskiej, w małym, pochylonym domku, w mieszkaniu chorążego Erkla, zebrali się nasi w komplecie; a było ich pięciu. Zebranie to wyznaczył sam Piotr Stiepanowicz, który jednak przyszedł z karygodnym opóźnieniem. Czekano na niego już od godziny. Chorąży Erkel był to ów przyjezdny oficer, k,

który na zebraniu u Wirgińskiego przesiadł cały

539

czas z ołówkiem w ręku i notatnikiem przed sobą. Do miasta naszego przybył niedawno, mieszkał samotnie u dwóch sióstr, starych mieszczanek, w zapadłej części miasta i miał wkrótce wyjechać. Najbezpieczniej było zebrać się u niego. Ten dziwny chłopak był wyjątkowo milczący; potrafił przesiadzieć dziesięć wieczorów z rzędu w najbardziej ożywionym towarzystwie, rozprawiającym o najrozmaitszych i najciekawszych rzeczach, i nie otworzył ust ani razu, z niesłychaną uwagą wodząc po zebranych dziecinnymi oczami i słuchając. Miał twarz iadnutką i nawet nieghipią. Do piątki nie należał. Nasi przypuszczali, że ma jakieś specjalne poruczenia, czysto wykonawcze. Teraz już wiemy, że nie miał żadnych poruczeń, sądzę jednak, że pod tym względem sam słabo się orientował. Uwielbiał Piotra Stiepanowicza, którego poznał niedawno. Gdyby spotkał jakiegoś zwyrodniałego potwora i gdyby ten potwór pod jakimś pozorem społeczno-romantycznym namówił go do założenia bandy zbójczej i do zabicia i obrabowania dla próby pierwszego napotkanego na drodze chłopca - Erkel na pewno by usłuchał. Miał chorą matkę, której posyłał połowę swej skromnej gaży. Jakże musiała całować tę biedną, jasną główkę, jak drżała o niego, jak się modliła! Mówię tak dużo o Erkle, gdyż żal mi go bardzo.

Wszyscy nasi byli podnieceni. Zdarzenia minione zdumiały ich; zdaje się, że obleciał ich tchórz. Zwykły, aczkolwiek usystematyzowany skandal, w którym wszyscy brali dotychczas udział tak żarliwy, skończył się w sposób nieoczekiwany. Nocny pożar, zabójstwo Lebiadkinów, rozprawa tłumy z Lizą - były to niespodzianki stojące poza ich programem. Oskarżali gorąco o despotyzm i zakłamanie rękę, która nimi kierowała. Wobec tego, czekając na Piotra Stiepanowicza, tak się wzajemnie podniecili, że postanowili raz jeszcze kategorycznie zażądać, aby złożył wyjaśnienie, gdyby zaś odmówił, jak czynił to nieraz, nawet rozwiązać piątkę, z tym jednak, aby zamiast niej zawiązać nowe, własne już stowarzyszenie „propagandy idei”, oparte na zasadach równouprawnienia i demokracji. Liputin, Szygalew i ów „znawca ludu” specjalnie obstawali przy tej myśli. Lamszyn milczał, chociaż najwidoczniej także aprobował. Wirgiński wahał się i chciał przede wszystkim wysłuchać Piotra Stiepanowicza. Na tym się też zatrzymano. Jednakże Piotr Stiepanowicz nie przychodził. Takie lekcewa-

540

żenie dołało goryczy do i tak już pełnego kielicha. Erkel milczał i tylko raz jeden odezwał się pytając, kto chce herbaty. Przyniósł ją potem sam w szklankach, na tacy, nie wpuszczając służącej i nie wznosząc samowaru.

Piotr Stiepanowicz stawiał się dopiero o pół do dziewiątej. Szybkim krokiem zbliżył się do okrągłego stołu przy kanapie, wokół którego siedziało całe towarzystwo. Czapkę trzymał w ręku. Herbaty nie chciał. Miał wygląd zły, surowy i wyniosły. Musiał zauważyć od razu, że tu szykuje się „bunt”.

- Zanim sam usta otworzę, gadajcie, o co wam chodzi. Macie najwidoczniej jakieś zamiary - powiedział z ironicznym uśmiechem rozglądając się po twarzach zebranych.

„W imieniu wszystkich” zabrał głos Liputin i drżącym od żalu głosem oświadczył, że „jeżeli dalej tak będzie, to można samemu rozbić sobie łeb, szanowny panie”. O, oni wcale nie boją się o własne łby i gotowi są zawsze je nadstawiać, lecz wyłącznie w imię wspólnej sprawy. (Ogólny szmer i aprobata). Niech więc i z nimi będą otwarci, aby wszyscy zawczasu o wszystkim wiedzieli, bo „jakże może być inaczej” (znów poruszenie, kilka gardłowych dźwięków). Działac w dotychczasowy sposób i wstyd, i niebezpiecznie... Wcale nie jesteśmy tchórzami, lecz jeśli działa tylko jeden, inni zaś grają rolę pionków, to wystarczy, że ten jeden zbłądzi, a wszyscy będą za to pokutowali. (Okrzyki: „Tak! tak!”)

- O co wam chodzi, do diabła? Liputin był wzburzony.
- Jaki związek z ogólną sprawą mają intrygi pana Stawro-gina? - gorączkował się Liputin. - Niech tam sobie należy w jakiś tajemniczy sposób do tajemniczego ośrodka, o ile w ogóle istnieje owo fantastyczne centrum - lecz nam nic do tego. Tymczasem zaś dokonano morderstwa. Cała policja na nogach. Po nitce łatwo dojść do kłębka.
- Wpadnie pan ze Stawroginem, to wpadniemy i my - dodał znawca ludu.
- Bez żadnej korzyści dla sprawy ogólnej - ponuro zakończył Wirgiński.
- Co za bzdura! Zabójstwo jest rzeczą przypadku! Dokonane zostało przez Fiedkę w celach rabunkowych.
- Hm! Dziwny jednak zbieg okoliczności, łaskawy panie - skrzywił się Liputin.

541

- A chcecie wiedzieć? Sami jesteście winni!
- Jak to my?
- Po pierwsze, pan, panie Liputin, sam uczestniczył w tej intrydze, a po wtóre i najważniejsze to, że odebrał pan rozkaz wyprawienia Lebiadkina i otrzymał na ten cel pieniądze. A pan co zrobił? Gdyby rozkaz został wykonany, nie byłoby morderstwa.
- Ależ pan sam podsunął pomysł wypchnięcia go z wierszami na estradę.
- Pomysł to nie rozkaz. Rozkaz brzmiał: wywieźć Lebiadkina.
- Rozkaz... dość dziwne słowo... Przeciwnie, pan kazał, aby z tym się wstrzymać.
- Pan się myli i ujawnia zarówno swoją głupotę, jak samowolę. Zabójstwo zaś - to sprawa Fiedki, i tylko jego. Zrobił to dla rabunku. Słyszał pan, że gdzieś dzwonią - i od razu pan uwierzył... Stchórzył pan... Stawrogin nie jest taki głupi, a najlepszy dowód, że wyjechał dziś w południe po widzeniu się z wicegubernatorem. Gdyby coś było, nie puszczono by go w biały dzień do Petersburga.
- Ależ nie twierdzimy bynajmniej, że pan Stawrogin sam mordował - zjadliwie i bez żenady odparł Liputin. - Mógł tak samo o niczym nie wiedzieć, łaskawy panie, jak na przykład ja... Pan zaś wie zbyt dobrze, że ja o niczym nie miałem pojęcia, chociaż wpadłem w tę historię jak śliwka w kompot.
- Kogóż pan oskarża?! - ponuro zapytał Wierchowieński.
- Tych samych, łaskawy panie, którym potrzebne jest podpalanie miast...
- Najgorzej, że pan się wykręca. A zresztą, czy nie łaska przeczytać i pokazać innym ten dokumencik? To tylko tak, dla wiadomości.

Wyjął z kieszeni list anonimowy Lebiadkina do Lembkego i podał Liputinowi; Liputin przeczytał, najwidoczniej zdziwił się i wręczył sąsiadowi. List przechodził z rąk do rąk.

- Czy to na pewno pismo Lebiadkina? - zapytał Szyga-lew.
- Jego - oświadczyli Liputin i Tołkaczenko (znawca ludu).
- Podałem to wam do wiadomości tylko dlatego, żeście się

542

zbyt rozrzewnili z powodu Lebiadkina - oświadczył Wierchowieński chowając list do kieszeni. - W ten sposób, panowie, jakiś Fiedka zupełnie przypadkowo wybawia nas od niebezpiecznego człowieka. Ile znaczy czasem prosty przypadek! Czy to nie pouczające, co? Zebrani szybko wymienili spojrzenia.

- A teraz, panowie, ja z kolei będę zadawał pytania - arbitralnie zaczął Wierchowieński. - Chciałbym wiedzieć, z jakiej racji podpaliście miasto, nie mając odpowiedniego rozkazu?

- Co? My, myśmy miasto podpalili? Ależ to wymysł szalonej głowy! - rozległy się okrzyki.

- Rozumiem, żeście się zagalopowali - ciągnął z uporem Piotr Stiepanowcz. - To już coś więcej niż skandaliki z Julią Michajłowną. Zebrałem was tutaj, panowie, aby wyjaśnić wam stopień niebezpieczeństwa, które tak głupio ściągnęliście na siebie, a które zagraża wielu innym sprawom, nie tylko wam.

Wirgiński, który milczał dotychczas, zawołał z oburzeniem:

- Przepraszam! To my właśnie chcieliśmy tutaj zaprotestować przeciwko despotyzmowi i niesprawiedliwości, z jakimi bez zasięgnięcia opinii członków stowarzyszenia zastosowano tak dziwny, a tak radykalny środek.

- Ach, więc zapieracie się? Ja zaś twierdzę, że to wy podpaliliście Zarzecze, wy, i nikt inny. Panowie, proszę nie kłamać, mam informacje absolutnie ściśle. Swoją samowolą naraziliście na szwank sprawę ogólną. Jesteście tylko drobną komórką w olbrzymiej sieci innych komórek i macie obowiązek bezwzględного posłuszeństwa wobec centrum. Tymczasem trzech spośród was namawiali szpigulinowców do podpalenia miasta - nie mając żadnych instrukcji - i pożar nastąpił.

- Jacy trzej? Kto taki?

- Przedwczoraj o czwartej w nocy Tołkaczenko w „Nie-zabudce” namawiał Fomkę Zawiałowa.-

- Na miły Bóg! - zerwał się Tołkaczenko - szepnąłem mu tylko jedno słówko, bez żadnego zamiaru, a wyłącznie dlatego, że go z rana oćwiczono różgami; przestałem natychmiast, widząc, że jest zanadto pijany. Gdyby mi pan nie przypomniał, nie pamiętałbym tego nawet. Od jednego słówka nie mógł wybuchnąć pożar.

- Wygląda pan jak człowiek, który się dziwi, że od drobnej iskry może wylecieć w powietrze prochownia.

- Mówiłem szeptem i na ucho, siedzieliśmy w kąci. Skąd mógł się pan dowiedzieć o tej rozmowie? - zorientował się nagle Tołkaczenko.

- Siedziałem tam pod stołem. Nie bójcie się panowie. Znam każdy wasz krok. Uśmiecha się pan zjadliwie, panie Li-putin? A wiem na przykład, że pan przed czterema dniami szczypał bez litości własną żonę, o północy, w sypialni, zanim położyliście się do łóżka.

Liputin otworzył szeroko usta i zbladł.

(Wyjaśniło się potem, że o zachowaniu się Liputina Piotr Stiepanowicz dowiedział się od służącej Agafii, której od samego początku płacił za szpiegowanie.)

- Czy wolno mi skonstatować pewien fakt? - odezwał się wstając nagle Szygalew.

- Niech pan konstatuje.

Szygalew usiadł znów na krześle i zbierał myśli.

- O ile zrozumiałem, trudno zaś było nie zrozumieć, pan sam od początku, a potem jeszcze raz, bardzo wymownie, chociaż nieco teoretycznie, zarysował nam obraz Rosji pokrytej nieskończoną siecią kółek. Z drugiej strony, każde z istniejących kółek, pozyskując nowych wyznawców i rosnąc w nieskończoność bocznymi rozgałęzieniami, ma na celu, w drodze systematycznej demaskującej propagandy, obalać autorytet władz miejscowych, budzić zamęt na wsi, zaszczipać cynizm i nieład, brak wiary w cokolwiek bądź, pragnienie czegoś lepszego - i wreszcie, działając za pomocą pożarów, jako środka najbardziej ludowego, doprowadzić kraj w pewnym momencie nawet do rozpacz, gdy zajdzie tego potrzeba. Czy nie są to pańskie słowa? Starałem się zapamiętać je dokładnie. Czy to nie jest pański program? Program, zakomunikowany nam w imieniu ośrodka centralnego, dotychczas zupełnie nam nie znanego i nieomal mitycznego.

- Tak, tylko pan strasznie rozwleka.

- Każdemu przysługuje prawo głosu. Dając nam do zrozumienia, że odrębnych węzłów tej sieci ogólnej, która rzekomo pokrywa całą Rosję, jest już obecnie kilkaset, i rozwijając myśl, że gdyby każde kółko spełniło należycie swoją misję, to Rosja, w określonym terminie, na dany sygnał...

Piotr Stiepanowicz poruszył się w fotelu.

- Do diabła! I bez pana mamy dużo roboty!

- Pan pozwoli! Skracam się i kończę jednym tylko pytaniem; widzieliśmy już skandale, widzieliśmy niezadowolenie ludności, byliśmy świadkami moralnego upadku administracji miejscowej, przyczyniliśmy się nawet do tego upadku. Wreszcie na własne oczy ujrzeliśmy pożar. Z czego jest pan niezadowolony? Czy to nie jest pański program? O co pan nas oskarża?

- O samowolę! - zawołał Piotr Stiepanowicz. - Póki tu jestem, nie wolno wam działać bez mojego upoważnienia. Dość już zresztą tego. Denuncjacja jest gotowa i może jutro lub jeszcze dziś w nocy wyłapią was wszystkich. Tak się rzeczy przedstawiają, informacje moje są zupełnie pewne.

Teraz już wszyscy pootwierali usta.

- Wyłapią was nie tylko jako podżegaczy, lecz i jako piątkę. Denuncjator zna dobrze cały sekret naszej siatki. Widzicie, coście nabroili...

- To na pewno Stawrogin! - zawołał Liputin.

- Jak to... dlaczego Stawrogin? - zachnął się Piotr Stiepanowicz i zaciął się na chwilę. - E, do diabła... - opamiętał się jednak natychmiast - to Szatow! Wiecie na pewno wszyscy, że Szatow dawniej należał do organizacji. Śledząc go przez ludzi, których on nawet nie podejrzewa, dowiedziałem się ze zdumieniem, że nie jest dla niego tajemnicą nawet nasza organizacja siatki... Wie wszystko; żeby się uwolnić od odpowiedzialności za swój dawny udział, chce zadenuncjować wszystkich. Dotychczas wahał się, i dlatego oszczędzałem go. Teraz ten pożar rozwiązuje mu język. Jest wstrząśnięty i przestał się wahać. Jutro będziemy aresztowani jako podżegacze i przestępcy polityczni.

- Czy to możliwe? Skąd Szatow mógłby wiedzieć? Wiadomość ta poruszyła wszystkich niesłychanie.

- Absolutna prawda. Nie mam obowiązku zdradzać przed wami źródeł moich informacji. Na razie mogę zrobić jedno. Przez pewną osobę mogę wpłynąć na Szatowa w ten sposób, że nie domyślając się niczego, wstrzyma się z donosem, lecz nie dłużej niż o jeden dzień. Na dłużej nie mogę. Możecie więc uważać, że nic wam się nie stanie do pojutra rano.

Wszyscy milczeli.

- Trzeba go wyprawić do wszystkich diabłów! - pierwszy zawołał Tołkaczenko.

545

- Już dawno trzeba to było zrobić! - zawołał groźnie Lamszyn uderzając pięścią w stół.

- Lecz jak to zrobić? - bąknął Liputin.

Piotr Stiepanowicz natychmiast podchwycił pytanie i wy-hiszczył swój plan. Polegał on na tym, aby następnego dnia wieczorem zaciągnąć Szatowa, pod pozorem zwrotu tajnej drukarni, do tego głuchego miejsca, gdzie drukarnia jest zakopana, i tam się „rozprawić”. Omówił szereg niezbędnych szczegółów, które tu pomijam, i dokładnie wyjaśnił ów dwuznaczny stosunek Szatowa do stowarzyszenia centralnego, który już czytelnicy znają.

- Tak - niepewnie zauważył Liputin - ale ponieważ znowu... nowy wypadek tego rodzaju... zbyt poruszy umysły...

- Niewątpliwie - zgodził się Wierchowieński. - Lecz i to jest przewidziane. Istnieje sposób, by całkowicie usunąć podejrzenia. - I z tą samą precyzją opowiedział o Kiryłowie, o jego zamiarze

odebrania sobie życia i o tym, że Kiryłow obiecał czekać na odpowiedni sygnał, zostawić kartę i wziąć na siebie wszystko, co mu podyktują. (Słowem, wszystko, co czytelnicy już wiedzą.)

- Jego stanowcza decyzja odebrania sobie życia, niby to filozoficzna, a moim zdaniem wariacka, wiadomą stała się tam - tłumaczył Piotr Stiepanowicz. - Tam zaś nie ginie ani jeden pyłek, ani jeden włos, wszystko idzie na korzyść sprawy ogólnej. Przewidując możliwość wyzyskania sytuacji i stwierdziwszy, że jego postanowienie jest poważne, zaproponowano mu gotówkę na wyjazd do Rosji (nie wiadomo dlaczego, chciał koniecznie umrzeć w Rosji), dano mu polecenie, które obiecał wypełnić (i wypełnił), i zobowiązano go, aby skończył z sobą dopiero wtedy, gdy mu powiedzą. Obiecał wszystko. Zauważcie, że jest człowiekiem stowarzyszenia na zupełnie odrębnych zasadach i chce być użyteczny. Nie mogę wam powiedzieć nic więcej. Jutro, po Szatowie, podyktuję mu kartkę, że on jest winowajcą śmierci Szatowa. Będzie to nawet prawdopodobne. Byli niegdyś przyjaciółmi i jeździli razem do Ameryki, pokłócili się tam... to wszystko napiszemy... a nawet, zależnie od okoliczności, można będzie podyktować coś więcej, na przykład o proklamacjach, a może i o pożarze. Zresztą pomyślę jeszcze o tym. Bądźcie spokojni, on nie ma przesądów, wszystko podpisze.

Rozległy się słowa wyrażające wątpliwość. Cała historia wydała się nazbyt fantastyczna. O Kiryłowie zresztą ten i ów słyszał; przede wszystkim zaś Liputin.

- A raptem rozmyśli się i nie zechce - powiedział Szy-galew. - Bądź co bądź to wariat, trudno więc na nim polegać.

- Nie bójcie się, panowie, zechce - przerwał Piotr Stiepanowicz. - Zgodnie z umową, muszę uprzedzić go o dzień wcześniej, a więc dziś jeszcze. Niech Liputin idzie zaraz ze mną i przekona się, a potem wróci tu i - jeśli trzeba - dziś jeszcze powie, czy mówiłem prawdę. A zresztą - zawołał z niezwykłym rozdrażnieniem, jak gdyby uświadomił sobie, że zbyt wiele szacunku sprawia tym ludziom tak długo zajmując się nimi i przekonując ich - a zresztą, róbcie, co chcecie. Jeżeli nie decydujecie się, nasz kontakt zostanie zerwany, lecz jedynie z powodu waszego nieposłuszeństwa i waszej zdrady. W tym wypadku rozchodzą się nasze drogi* Pamiętajcie jednak, że oprócz przykrej denuncjacji ze strony Szatowa i jej następstw ściągacie na siebie jeszcze jedną drobną nieprzyjemność, o której była mowa przy organizowaniu naszego związku. Co do mnie, panowie, ja się was nie boję. Nie sądzcie, abym tak bardzo był z wami związany... Zresztą mniejsza o to...

- Nie, my jesteśmy zdecydowani - oznajmił Lamszyn.

- Nie ma innego wyjścia - bąknął Tołkaczenko. - I jeżeli tylko Liputin potwierdzi o Kiryłowie, w takim razie... Wirgiński zerwał się z miejsca.

- Sprzeciwiam się! Ze wszystkich sił protestuję przeciwko tak krwawej decyzji!

- Ale? - zapytał Piotr Stiepanowicz.

- Jak to „ale”?

- Powiedział pan „ale”, więc czekam.

- Nie mówiłem, zdaje się, żadnego „ale”... Chciałem jedynie powiedzieć, że skoro zapadła decyzja, to...

- To co?

Wirgiński zamilkł. Po chwili odezwał się nagle Erkel:

- Sądzę, że można pogardzać niebezpieczeństwem własnego życia... skoro jednak ucierpieć może sprawa ogólna, nie wolno nam pogardzać niebezpieczeństwem własnego życia...

Stracił wątek i zaczerwienił się. I chociaż każdy był pogrążony we własnych myślach, wszyscy patrzyli ze zdziwieniem, tak było nieoczekiwane, że Erkel mógł także zabrać głos.

- Jestem za sprawą ogólną - zakończył Wirgiński.

Poruszeni byli wszyscy. Postanowiono następnego dnia w południe jeszcze raz wymienić wieści, nie schodząc się jednak razem, i omówić szczegóły. Podano do wiadomości miejsce, gdzie zakopana została drukarnia, podzielono role i obowiązki. Liputin i Piotr Stiepanowicz natychmiast wyruszyli do Ki-riłłowa.

II

Wszyscy uwierzyli naprawdę, że Szatow ma zadenuncjować; uwierzyli zarazem, że Piotr Stiepanowicz gra nimi jak pionkami. A jednak wiedzieli, że mimo to stawia się jutro wszyscy w komplecie i że los Szatowa jest przesądzony. Czuli, że nagle wpadli jak muchy w pajęczynę jakiegoś olbrzymiego pająka. Złościło ich to, lecz zarazem trzęśli się ze strachu.

Niewątpliwie Piotr Stiepanowicz zawinił wobec nich. Wszystko mogło się odbyć o wiele lżej i zgodnie j, gdyby zechciał choć trochę upiększyć rzeczywistość. Zamiast tego jednak, aby przedstawić fakt w przyzwoitym świetle, w jakimś stylu rzymsko-obywatelskim lub coś w tym rodzaju, wysunął jedynie brutalny strach i troskę o własną skórę. Było to już wprost nieprzyzwoite. Rozumieli, że istotnie wszędzie jest tylko walka o byt, że nie ma innych zasad, lecz bądź co bądź...

Ale Piotr Stiepanowicz nie miał czasu budzić w nich starożytnych Rzymian; sam był zbity z tropu. Ucieczka Stawro-gina oszołomiła go i przygnębiła. Skłamał, jakoby Stawrogin widział się z wicegubernatorem. O to właśnie chodziło, że wyjechał nie zobaczywszy się z nikim, nawet z matką, i istotnie można się było dziwić, że nie robiono mu żadnych przeszkód. (Władze nasze musiały nawet potem specjalnie usprawiedliwiać się z tego powodu.) Piotr Stiepanowicz biegał przez cały dzień, by się czegoś dowiedzieć, lecz bezskutecznie, i był niespokojny jak rzadko. Czy mógł, czy był w stanie tak znieśc wyrzec się Stawrogin? Dlatego też trudno mu było zdobyć się na pewną delikatność w stosunku do „naszych ludzi”. Poza tym czuł się przez nich skrępowany: postanowił już natychmiast pędzić za Stawroginem... Zatrzymał go jednak Szatow. Trzeba było ostatecznie scementować piątkę - na

548

wszelki wypadek. „Po co pozbywać się jej: może się kiedyś przydać.” Sądę, że takie były jego myśli.

Co do Szatowa, to istotnie był przekonany, że ten zadenuncjuje. Skłamał, gdy mówił o donosie. Nigdy go nie widział ani nie słyszał o nim, lecz był pewien, że donos nastąpi jak dwa razy dwa. Był przekonany, że Szatow nie wytrzyma ostatnich wydarzeń - śmierci Lizy, śmierci Marii Timofiejewny - i że teraz właśnie się zdecyduje. Może Piotr Stiepanowicz miał jakieś dane, by tak przypuszczać. Wiadomo też, że nienawidził Szatowa osobiście. Miał z nim kiedyś jakiś zatarg, a Piotr Stiepanowicz nie przebaczał nigdy. Może tu właśnie kryła się główna przyczyna.

Trotuary w naszym mieście są wąziutkie, ceglane, a w niektórych miejscach po prostu zwykłe deski. Piotr Stiepanowicz kroczył środkiem trotuaru nie zwracając żadnej uwagi na Lipu-tina, któremu nie pozostawało ani trochę miejsca. Musiał więc iść albo o krok z tyłu, albo też, gdy chciał rozmawiać, schodzić na jezdnię w błoto. Piotr Stiepanowicz przypomniał sobie w pewnej chwili, że niedawno tak samo dreptał po błocie, aby nadążyć za Stawroginem, który wówczas - jak on teraz - szedł środkiem trotuaru zajmując go całkowicie. Przypomniał sobie ową scenę i wściekłość zatamowała mu oddech.

Lecz i Liputin był wściekły. Niech się Piotr Stiepanowicz obchodzi z innymi, jak chce! Ale z nim! Przecież on ze wszystkich naszych wie najwięcej, stoi najbliżej sprawy, najściślej jest z nią związany, i dotychczas, choć nie bezpośrednio, brał udział we wszystkim. O, wiedział doskonale,

że Piotr Stiepanowicz nawet i teraz mógłby go zgubić, gdyby zaszła potrzeba. Nienawidził go już od dawna, nie ze strachu, lecz za jego wyniosłość i pogardliwy ton w obcowaniu. Teraz, gdy trzeba było decydować się na taką rzecz, irytował się więcej niż wszyscy „nasi” razem wzięci. Wiedział niestety, że „jak niewolnik” stawi się jutro pierwszy i ściągnie innych. Gdyby mógł teraz zabić Piotra Stiepanowicza, nie narażając, rzecz jasna, siebie, zabiłby go na pewno.

Pograżony we własnych myślach milczał i biegł za swoim dręczycielem. Piotr Stiepanowicz jak gdyby zapomniał o nim; tylko od czasu do czasu nieuważnie i niegrzecznie trąca) go łokciem. Raptem Wierchowieński na jednej z ruchliwych ulic zatrzymał się i wszedł do traktierni.

- Dokąd pan idzie? - zapytał Liputin z oburzeniem. - Przecież to traktiernia!

- Chcę zjeść befsztyk.

- Na miłość boską, tu zawsze pełno ludzi...

- A co mi to szkodzi?

- Ale... spóźnimy się, już dziesiąta.

- Nie, tam nie można się spóźnić...

- Ale ja się spóźnię! Oni na mnie czekają.

- To poczekają. Byłoby głupio, gdyby pan teraz wrócił do nich. Przez tę całą historię nie jadłem dziś obiadu. A do Kiryłowa im później, tym lepiej.

Piotr Stiepanowicz zajął oddzielny pokój. Liputin, zagniewany i obrażony, usiadł z boku w fotelu i przyglądał się, jak tamten je. Minęło pół godziny i więcej. Piotr Stiepanowicz nie spieszył się, jadł ze smakiem, dzwonił parę razy, żądał jakiejś innej musztardy, kazał podać piwa i wciąż milczał. Był głęboko zamyślony. Umiał godzić te rzeczy: zamyślać się głęboko i jeść ze smakiem. Liputin tak zniechęcił go, że nie mógł oczu od niego oderwać. Był jak w jakimś transie. Liczył każdy kawałek mięsa, który tamten wkładał do ust, nienawidził go za sposób otwierania ust, za sposób przeżuwania, za wysysanie tłuszczyńskich kawałków, zniechęcił nawet befsztyk. Na koniec poczuł, że mu się двоi w oczach, miał zawrót głowy, zimne dreszcze na przemian z gorączką przebiegały mu po plecach.

- Pan nic nie robi, niech pan to przeczyta - odezwał się niespodziewanie Piotr Stiepanowicz rzucając mu jakiś papier.

Liputin zbliżył się do świecy. Papier był gęsto zapisany, niewyraźnie i z poprawkami w każdym wierszu. Gdy Liputin zdołał go odcyfrować, Piotr Stiepanowicz już zapłacił i wychodził. Na ulicy Liputin chciał mu oddać papier.

- Nie trzeba. Niech pan to zatrzyma. Potem powiem. A co pan powie? Liputin drgnął.

- Moim zdaniem... taka proklamacja... to śmieszny nonsens. Gniew jego znalazł ujście. Czuł się, jak gdyby został porwany i gdzieś leciał. Przeszywały go nieustanne dreszcze.

- Gdybyśmy się zdecydowali rozpowszechnić tego rodzaju proklamacje, to dzięki naszej głupocie i niezrozumieniu

rzeczy wzbudzilibyśmy jedynie pogardę dla siebie, łaskawy panie.

- Hm! Ja myślę inaczej! - rzekł Piotr Stiepanowicz idąc pewnym krokiem.

- A ja inaczej! Czy pan sam to ułożył?

- To nie pańska rzecz.

- Myślę także, że wiersz Świetlana postać jest najędzniej-szy w świecie i że nigdy nie mógł tego napisać Hercen.

- Pan gada głupstwa, wiersz jest bardzo ładny.

- Dziwię się na przykład - zaciętrzewiał się coraz bardziej Liputin - że proponują nam działać tak, aby wszystko się zawaliło. To dobre w Europie, żeby tam się zawaliło, bo tam jest proletariatus, a my

tu tylko jesteśmy amatorzy, tylko kurz robimy, ot co!

- Myślałem, że pan jest furierystą.

- U Fouriera jest inaczej, zupełnie inaczej.

- Wiem, że głupstwa.

- Nie, Fourier to nie głupstwa... Proszę mi wybaczyć, lecz zupełnie nie mogę uwierzyć, aby w maju wybuchło powstanie. Liputin czuł taki żar, że rozpiął palto.

- Mniejsza o to - obojętnie zmienił temat Piotr Stiepanowicz. - A teraz, żeby nie zapomniał: tę odezwę musi pan złożyć osobiście i wydrukować. Odkopimy drukarnię Szatowa i pan weźmie ją na swoją odpowiedzialność. W najbliższym czasie musi pan odbić jak najwięcej egzemplarzy, aby rozrzucić je przez całą zimę. Wskażę panu środki. Trzeba jak największej ilości egzemplarzy, gdyż otrzyma pan zamówienie z innych miejsc.

- O nie, przepraszam... nie mogę podjąć się takiej... Odmawiam. ,

- A jednak pan się podejmie. Działam według instrukcji ośrodka centralnego, pan zaś powinien słuchać.

- A ja myślę, że te pańskie centra zagraniczne zapomniały o rzeczywistości rosyjskiej, straciły wszelki z nią związek i dlatego tak bredzą... Myślę nawet, że zamiast wieluset piątek w Rosji my tu stanowimy jedyną i żadnej sieci nie ma...

Liputinowi zabrakło tchu.

- Tym bardziej zasługuje pan na pogardę, że nie wierząc w sprawę przyłączył się pan... i teraz biegnie pan za mną jak nędzna psina...

551

- Nie, łaskawy panie, nie biegnę. Przysługuje nam pełne prawo odejść i stworzyć własną organizację.

- Głu-piec! - groźnie krzyknął Piotr Stiepanowicz bły skając oczami.

Stali przez chwilę naprzeciw siebie. Piotr Stiepanowicz odwrócił się i poszedł dalej pewnym krokiem.

W głowie Liputina błysnęła myśl szybka jak błyskawica: „Odwróć się i pójde z powrotem. Jeżeli nie zawrócę teraz, to już nigdy.”

Tak myślał tylko przez dziesięć kroków. Przy jedenastym błysnęła mu myśl nowa i szalona: nie cofnął się, lecz poszedł za Wierchowieńskim.

Poszli do domu Filippowa. Nie dochodząc jeszcze skręcili w boczną uliczkę, a właściwie na ledwo widoczną ścieżkę wzdłuż płotu, tak że przez jakiś czas musieli iść pochyłym brzegiem rowu, na którym trudno było się utrzymać. Musieli chwytać się płotu. W najciemniejszym rogu pokrzywionego płotu Piotr Stiepanowicz wyjął deskę i wszedł przez powstały otwór. Liputin zdziwił się, lecz podążył za nim. Wstawił potem deskę z powrotem. Było to owo tajemne przejście, prze? które Fiedka łąził do Kirillowa.

- Szatow nie powinien wiedzieć, że jesteśmy tutaj - surowo szepnął Piotr Stiepanowicz do Liputina.

III

Kirillów, jak zawsze o tej porze, siedział na skórzanej kanapie i pił herbatę. Nie wstał na powitanie gości, lecz jakby go coś podrzuciło do góry; przyglądał się przybyłym.

- Zgadł pan - powiedział Piotr Stiepanowicz - przy-.szedłem właśnie w tej sprawie.

- Dziś?

- Nie, jutro... mniej więcej o tej samej porze.

Spiesznie usiadł przy stole i z pewnym zaniepokojeniem przyglądał się strwożonemu Kiriłłowowi. Ten jednak szybko odzyskał spokój i patrzył swoim zwykłym wzrokiem.

- A ci panowie nie chcą wierzyć. Nie gniewa się pan, że przyprowadziłem ze sobą Liputina?

- Dziś mi wszystko jedno, lecz jutro chcę być sam.

• 5-52

- Lecz nie zrobi pan tego przed moim przyjściem, a więc przy mnie...

- Nie chciałbym przy panu.

- Pamiętaj pan, że ma pan napisać i podpisać wszystko, co podyktuję.

- Wszystko mi jedno. A teraz długo pan tu będzie?

- Muszę zobaczyć się z pewnym człowiekiem za pół godziny, więc jak pan sobie chce, ale przesiedzę tu te pół godziny.

Kiriłłow zamilkł, Liputin siadł z boku, pod portretem archi-jereja.

Ta myśl szalona, która mu przyszła do głowy na ulicy, opanowywała go coraz silniej. Kiriłłow nie zwracał na niego uwagi. Liputin jeszcze dawniej znał teorię Kiriłłowa i nieraz śmiał się z niej; teraz milczał i rozglądał się ponuro.

- Napiłbym się herbaty - odezwał się Wierchowieński. - Zjadłem przed chwilą befsztyk i liczyłem na herbatę u pana.

- Niech pan pije.

- Dawniej pan sam częstował - kwaśno zauważył Piotr Stiepanowicz. I - Wszystko mi jedno. Niech i Liputin pije.

- O nie, proszę pana, nie... nie mogę. „ - Nie chcę czy nie mogę? - ostro zapytał go Piotr Stiepanowicz.

- Ja u niego nie będę, proszę pana - znacząco wymawiał się Liputin.

Piotr Stiepanowicz ściągnął brwi.

- To pachnie mistycyzmem, co z was wszystkich za ludzie!

Nie odpowiedział mu nikt. Po paru chwilach Piotr Stiepanowicz dodał:

- Wiem jednak, że żadne przesady nie przeszkodzą nikomu z was spełnić obowiązku.

- Czy Stawrogin wyjechał?-zapytał Kiriłłow.

- Wyjechał.

- Dobrze zrobił.

Piotr Stiepanowicz błysnął oczami, lecz zapanował nad sobą.

- Wszystko mi jedno, co pan myśli, byleby każdy dotrzymał słowa.

- Ja dotrzymam.

24 Dostojewstci, t III

553

- Nawiasem mówiąc, byłem zawsze przekonany, że pan, jako człowiek niezależny i postępowy, spełni swój obowiązek.

- A pan jest śmieszny.

- Niech będzie i tak; rad jestem, że śmieszę pana. Zawsze chętnie dogodzę każdemu.

- Pan chce koniecznie, abym się zastrzelił, i drży pan ze strachu, że raptem zawiodę.
- Widzi pan! Pan sam połączył swój plan z naszą działalnością. Licząc na pana, jużemy to i owo zrobili. I teraz nie ma pan prawa rezygnować, gdyż w ten sposób wyprowadziłby pan nas w pole.
- Nie uznaję żadnego prawa.
- Rozumiem, rozumiem, tu chodzi o pańską wolną wolę; my nie wpływamy na nią; trzeba jednak, aby ta wolna wola ziściła się.
- I będę musiał wziąć na siebie wszystkie wasze paskudztwa?
- Może pan stchórzył, panie Kiryłow? Jeżeli tak, niech pan od razu się przyzna.
- Nie stchórzyłem.
- Dlatego tak powiedziałem, że pan zbyt dużo pytał.
- Czy prędko pójdzie pan stąd?
- Znow pan pyta? Kiryłow spojrzał pogardliwie.
- Widzi pan - ciągnął Wierchowiewski; coraz więcej denerwował się i niepokoił, a nie mógł znaleźć odpowiedniego tonu. - Chce pan, abym pana opuścił, chce pan samotności, skupienia; są to jednak niebezpieczne dla pana oznaki, przede wszystkim dla pana. Chce pan dużo myśleć. Sądziłem, że lepiej nie myśleć, a tak, po prostu... Naprawdę niepokoi mnie pan.
- Martwi mnie tylko, że wtedy będzie przy mnie taka gadzina jak pan.
- To obojętne. Jeżeli pan chce, wyjdę w ostatniej chwili i postoję na ganku. Jeżeli pan, umierając, nie jest obojętny na wszystko - to jest niebezpieczne. Wyjdę na ganek, a pan wyobraz sobie, że ja nie rozumiem i że jestem istotą nieskończenie niższą od pana.
- Tak nie jest. Jest pan zdolny. Nie rozumie pan wielu rzeczy, ale to dlatego, że jest pan nikczemny.
- Bardzo rad jestem, bardzo. Powiedziałem już, że zawsze

554

rad jestem zrobić komuś przyjemność... zwłaszcza w takiej chwili.

- Pan nic nie rozumie.
- To znaczy... w każdym razie słuchani z szacunkiem.
- Pan nic nie może. Pan nie może nawet ukryć drobnej złości, chociaż zależy panu na tym, aby jej nie zdradzić. Rozgniewa mnie pan i gotów jestem odłożyć to na pół roku...

Piotr Stiepanowicz spojrzał na zegarek.

- Nie rozumiałem nigdy pańskiej teorii. Sądzę jednak, że wymyślił ją pan nie dla nas, a więc i bez nas zostałaaby spełniona. Wiem także, że nie pan zjadł ideę, lecz idea pana; nie może więc pan odłożyć.
- Jak to? Mnie zjadła idea?
- Tak.
- A nie ja zjadłem ideę? To niezłe. Pan ma trochę rozumu. Pan się ze mną drażni, a ja tym się szczycę.
- Doskonale, doskonale! Właśnie o to chodzi, aby się pan szczycił.
- Dość, skończył pan herbatę, proszę wyjść.
- Trudna rada, trzeba będzie - zgodził się Piotr Stiepanowicz i wstał - chociaż jeszcze trochę za wcześnie. Nie wie pan, czy zastanę teraz u rzeźniczki tego człowieka? Rozumie pan? A może i ona nakłamała?
- Nie zastanie pan, gdyż on jest tu, a nie tam.
- Jak to, u diabła, gdzie?

- Siedzi w kuchni, je i pije.

- Jak śmiał! - krzyknął Piotr Stiepanowicz, czerwony z gniewu. - Powinien był czekać... Co za głupota. Nie ma ani paszportu, ani pieniędzy!

- Nie wiem. Przyszedł pożegnać się; jest ubrany i gotów do drogi. Odchodzi i nie wróci. Mówił, że jest pan nikczemnikiem i że nie chce czekać na pańskie pieniądze.

- A-a! On się boi, że ja... Ha, cóż! Mogę i teraz, jeśli... Gdzie jest? W kuchni?

Kiriłłow otworzył boczne drzwi, prowadzące do małego, ciemnego pokoiku; stamtąd po trzech stopniach schodziło się do kuchni, wprost do tej części za przegródką, gdzie zwykle stało łóżko kucharki. Tu w kącie pod ikonami siedział teraz Fiedka przy drewnianym, nie nakrytym stole. Stała na nim butelka wódki, leżał chleb na talerzu i kawał mięsa z karto-

555

flami; Fiedka jadł popijając wódką i był już trochę odchmie-lony. Siedział w kozuchu, widocznie gotów do drogi. Za przegródką kipiał samowar, lecz nie dla Fiedki. Już od tygodnia, a może i więcej, Fiedka co noc szykował samowar dla „Aleksiego Niłycza, bo on przyzwyczajony, żeby w nocy była herbata”. Jestem przekonany, że mięso i kartofle ugotował jeszcze za dnia sam Kiriłłow z myślą o Fiedce.

- Co ty tu robisz ? - zawołał Piotr Stiepanowicz zbiegając ze schodków. - Dlaczego nie czekasz, gdzie ci kazano? Z całych sił uderzył pięścią w stół. Fiedka nasrożył się.

- A ty nie za bardzo, Piotrze Stiepanowiczu, nie za bardzo sobie pozwalaj! - mówił zuchwale, wyraźnie skandując każde słowo. - Nasamprzód zrozum, że jesteś na grzecznej wizycie u pana Kiriłłowa, u Aleksiego Niłycza, któremu niewart jesteś buty czyścić, bo on ma rozum, wykształcony, a ty tylko - tfu!

Splunął na bok zawadiacko. Widać było, że jest hardy i zdecydowany na wszystko; zdradzał to niebezpieczny, sztuczny spokój, po którym lada chwila może nastąpić wybuch. Lecz Piotr Stiepanowicz nie zwracał już uwagi na niebezpieczeństwo, a zresztą wszystko to nie godziło się z jego poglądem na rzeczy. Zdarzenia i niepowodzenia całego dnia wytrąciły go całkiem z równowagi.

Liputin stojąc w ciemnej komórce ciekawie spoglądał z wysokości trzech stopni.

- Chcesz mieć dobry paszport i pieniądze na wyjazd tam, gdzie ci każą? Chcesz czy nie?

- Widzisz, Piotrze Stiepanowiczu, tyś mnie od samego początku oszukiwał, więc na to wychodzi, że jesteś wobec mnie nikczemny. Zupełnie jak podła wesz ludzka... Za takiego ciebie mam. Tyś mi za krew niewinną duże pieniądze obiecał, i za pana Stawrogina przysięgałeś, a wszystko na to wyszło, że to tylko twoje oszukaństwo. Nie pożywiłem się ani groszem, a gdzie już tam jakieś półtora tysiąca!... A pan Stawrogin mordę ci obił, to już wiem na pewno. Ty mi teraz znów grozisz i obiecujesz pieniądze. A za co, milczysz. A ja tak sobie myślę, że do Petersburga mnie posyłasz, aby tam na nim swoją złość wylać i zemstę, a liczysz na mnie, na moją naiwność... I na to wychodzi, że to ty jesteś najpierwszy zabójca.

556

I cóż ty wart jesteś? Choćby dlatego, że w Pana Boga, Stwórcę sprawiedliwego, przestałeś wierzyć w tej rozpuście! Jesteś taki sam jak poganin, jedno co Tatarzyn albo jaki Mordwin. Aleksy Niłycz, człowiek uczony, nieraz ci o Bogu prawdziwym mówił, o Stworzycielu nieba i ziemi, i o początku świata, i o przyszłym losie, i o przeobrażeniu wszelkiej istoty i wszelkiego zwierzęcia, jak w księdze Apokalipsy. A ty, jak bałwan bezmyślny, trwasz w głupocie i oniemieniu, i do tego samego doprowadziłeś porucznika Ertela... taki z ciebie złoczyńca kusiciel, a na imię ci - ateista.

- Ach, ty pijane bydlę! Sam obdziera ikony, a jeszcze tu Boga głosi!

- Ja, widzisz, Piotrze Stiepanowiczu, mówię tobie szczerze; że obdzierałem ikony, to prawda. Ale ja tylko perły zdejmowałem... A skąd ty wiesz? Może i moja łza przed obliczem Boskim w tej chwili zaważyła za jakąś krzywdę moją, krzywdę sieroty bez dachu nad głową? Czy wiesz z ksiązek, że onego czasu pewien kupczyk, z taką samą modlitwą i łzami, zabrał świętej Bogarodzicy perłę z jej korony, a potem przed całym narodem upadł na kolana i oddał całą sumę do Jej stóp, a Matka Boska wobec wszystkich ludzi nakryła go chustką... taki cud się stał...³ a władza kazała to wszystko, jak było, zapisać do ksiąg rządowych. A ty - mysz wpuściłeś, czyli że sztydziłeś z palca Bożego. I gdybyś nie był z przyrodzenia moim panem, którego jako chłopak na ręku nosiłem, tobym zaraz skończył tutaj z tobą, nie ruszając się z miejsca!

Piotr Stiepanowicz wpadł w furję.

- Mów! Widziałeś się dzisiaj ze Stawroginem?

- A ty nie śmiej nade mną śledztwa robić! Pan Stawrogin ze zdziwieniem patrzy na ciebie i nie był w tym ani pomyśleniem, ani rozkazem, ani pieniędzmi. To tyś mnie nasłał.

- Pieniądze dostaniesz, a te dwa tysiące także dostaniesz na miejscu, w Petersburgu, w całości, i dostaniesz jeszcze więcej.

- Ty, kochaneczku, łzesz i dziwnie mi patrzeć na ciebie, że jesteś taki narwany. Pan Stawrogin wobec ciebie jak na drabinie stoi, i ty na niego z dołu szczekasz jak głupi piesek, a on nawet splunąć na ciebie nie raczy.

- Czy ty nie rozumiesz - krzyczał Piotr Stiepanowicz - że ja ciebie, łajdaku, nie wypuszczę stąd ani na krok i oddam prosto w ręce policji?

557

Fiedka zerwał się, w oczach błysnęła mu wściekłość. Piotr Stiepanowicz wyciągnął rewolwer. W tej chwili nastąpiła gwałtowna i obrzydliwa scena; zanim Piotr Stiepanowicz zdążył skierować lufę, Fiedka rzucił się i z całej siły uderzył go w szczękę. W tej chwili padł drugi cios, trzeci, czwarty, ciągle w szczękę. Piotr Stiepanowicz stracił przytomność, oczy mu wylazły na wierzch, coś wybełkotał i zwałił się jak długi na podłogę.

- Macie go, bierzcie! - triumfalnie zawołał Fiedka; chwycił momentalnie czapkę, węzełek spod ławy i wybiegł. Tyle go widziano.

Piotr Stiepanowicz charczał nieprzytomnie, Liputin myślał nawet, że kona. Kiryłow pędem wpadł do kuchni.

- Wodą go! - zawołał.

Zaczerpnął wody z wiadra i wylał na głowę leżącemu. Piotr Stiepanowicz poruszył się, podniósł głowę, siadł i bezmyślnie spojrzał przed siebie.

- Jak tam? - zapytał Kiryłow.

Piotr Stiepanowicz uważnie, wciąż nie poznając, wpatrywał się w Kiryłowa. Zobaczył Liputina wysuwającego głowę z kuchni, uśmiechnął się swoim wstrętnym uśmiechem; nagle zerwał się chwytając rewolwer z podłogi. Z furją rzucił się na Kiryłowa, błąd jak płótno. Jąkał się i ledwo wymawiał słowa:

- Jeżeli przyjdzie panu do głowy uciec jutro, jak ten podły Stawrogin, to... znajdę pana na drugim końcu świata... powieszę... zaduszę jak muchę... Rozumie pan?

Przysunął Kiryłowowi rewolwer do skroni. W tej chwili jednak opamiętał się, cofnął rękę, schował rewolwer do kieszeni i już nic nie mówiąc wybiegł z domu. Liputin - za nim. Wydostali się przez tę dziurę w płocie, prześliznęli się nad rowem trzymając się płotu. Piotr Stiepanowicz zaczął szybko

iść uliczką, -tak że Liputin ledwo nadażał. Na pierwszym skrzyżowaniu ulic zatrzymał się.

- No? - wyzywająco zwrócił się do Liputina.

Liputin nie zapomniał o rewolwerze i wciąż był pod silnym wrażeniem widzianej sceny. Odpowiedź jednak sama mu się wyrwała.

- Ja myślę... myślę... że „w Smoleńsku i Taszkencie nikt nie myśli o studencie”.

- A widział pan, co Fiedka pił w kuchni?

558

- Jak to co? Wódkę.

- Więc proszę sobie zapamiętać, że to ostatni raz w życiu Fiedka pił wódkę. Radzę panu zanotować to sobie. Może się przydać. A teraz idź pan do diabła! Do jutra nie jest mi pan potrzebny... Lecz niech się pan pilnuje: żadnych głupstw!

Liputin co tchu biegł do domu.

IV

Liputin od dawna miał już przygotowany paszport na cudze nazwisko. Nawet trudno uwierzyć, że ten pedant tyranizujący rodzinę, bądź co bądź urzędnik (choć poza tym furierysta), wreszcie kapitalista i lichwiarz - już bardzo dawno powziął fantastyczną myśl zdobycia na wszelki wypadek tego paszportu, aby móc uciec za granicę, jeżeli... Dopuszczał więc możliwość owego jeżeli, chociaż rzecz jasna, nigdy nie potrafiłby sformułować, jaką treść zawiera to słowo...

Teraz jednak sformułowało się ono nagle w sposób najmniej oczekiwany. Ta szalona myśl, z którą wszedł do Kiriłło-wa po obeldze doznanej na ulicy od Piotra Stiepanowicza, polegała na tym, aby jutro o świcie zostawić wszystko i uciec po kryjomu za granicę. Kto nie wierzy, że tak fantastyczne rzeczy zdarzają się w naszej szarej rzeczywistości, niech zechce sprawdzić biografię wszystkich prawdziwych rosyjskich emigrantów. Żaden z nich nie uciekał rozważniej i realniej. Wciąż to samo nieokielznane królestwo widziadeł, i nic więcej.

Wpadłszy do domu, Liputin przede wszystkim zamknął się, wydobyl sakwojaż i zaczął nerwowo pakować rzeczy. Główny kłopot dotyczył pieniędzy. Chodziło o to, ile i w jaki sposób zdoła uratować. Właśnie uratować, gdyż rozumiał, że już nie można odkładać i o świcie trzeba być na trakcie. Nie wiedział, w jaki sposób dostanie się do pociągu. Zdecydował niejasno, że wsiądzie dopiero gdzieś na drugiej lub trzeciej większej stacji, do niej zaś dobrać musi choćby piechotą. Toteż z nawałnicą myśli w głowie, instynktownie i machinalnie porał się z rzeczami. Wtem przerwał pakowanie, rzucił wszystko i z głębokim jękiem zwałił się na kanapę.

Poczuł jasno, uświadomił sobie, że uciec, może istotnie ucieknie, teraz jednak nie jest absolutnie w stanie rozstrzygnąć

559

tej kwestii: uciec przed czy po Szatowie? Zrozumiał, że jest teraz tylko wielkim, niecnym ciałem, bierną masą, a porusza nim obca, straszna siła, i że chociaż ma paszport zagraniczny i mógłby uciec od Szatowa (a przecież tylko dlatego tak się spieszy), lecz ucieknie nie przed Szatowem, nie od Szatowa, a właśnie po Szatowie - i że to jest już postanowione, podpisane i przypieczętowane. W trwodze niewymownie dręczącej, wciąż dziwiąc się sobie, to jęcząc, to znów cichnąc, dotrwał jakoś zamknięty w pokoju, na kanapie, do jedenastej rano. Wtedy to nastąpiło coś, co rozstrzygnęło o jego decyzji. O jedenastej, gdy tylko otworzył drzwi, dowiedział się od domowników, że bandyta Fiedka Katorżny, który wszystkim napędzał strachu, świętokradca, zabójca i podpalacz, którego poszukiwała i nie mogła schwytać nasza policja, znaleziony został nad ranem zabity, o siedem

wiorst od miasta, na skracającej z traktu polnej drodze do Zacharina. Już całe miasto mówiło o tym. Liputin pędem wybiegł z domu, aby dowiedzieć się szczegółów, i dowiedział się, że Fiedkę znaleziono z rozbitą głową i że najwidoczniej został ograbiony. Policja miała podejrzenie, a nawet pewne poszlaki, że zabójcą był Fomka, robotnik od Szpigulinów, ten sam, który najprawdopodobniej brał udział w zamordowaniu i podpaleniu Lebiad-kinów. Widocznie nastąpiła między nimi już w drodze kłótnia o grube pieniądze, jakoby ukryte przez Fiedkę... Liputin wpadł do mieszkania Piotra Stiepanowicza. Dowiedział się tam od służby, że Piotr Stiepanowicz wrócił wczoraj do domu wprawdzie około pierwszej po północy, lecz całą noc potem, aż do ósmej rano, spał najspokojniej w domu. W śmierci Fiedki nie było nic nadzwyczajnego, gdyż tego rodzaju kariery życiowe zwykle się kończą w ten sposób. Jednakże dziwny zbieg złowrogich słów, „że Fiedka po raz ostatni w życiu pije wódkę”, z natychmiastowym ziszczeniem się wróżby był tak uderzający, że Liputin natychmiast przestał się wahać. To zdecydowało; jak gdyby kamień spadł na niego i przytłoczył go na zawsze. Powróciwszy do domu, milcząc pchnął nogą pod łóżko swój sakwojaż, wieczorem zaś o wyznaczonej godzinie stawiał się wcześniej od innych na umówionym miejscu, aby spotkać Szatowa. Paszport zagraniczny istotnie miał wciąż w kieszeni...

ROZDZIAŁ PIĄTY

PODRÓŻNICZKA

Katastrofa z Lizą oraz śmierć Marii Timofiejewny podziały na Szatowa przygnębiająco. Już wspominałem, że widziałem go przelotnie owego ranka. Zrobił na mnie wrażenie człowieka niezupełnie przytomnego.

W rozmowie ze mną Szatow oświadczył, że w przeddzień wieczorem około dziewiętej (a więc parę godzin przed pożarem) był u Marii Timofiejewny. Rano zaś poszedł obejrzeć trupy. Mam wrażenie, że z nikim więcej o tym nie mówił. Pod wieczór w duszy jego zerwała się burza i, zdaje się, mógłbym to nawet stwierdzić stanowczo, że miał taką chwilę wieczorem, kiedy chciał zerwać się, pójść - i zeznać wszystko. Jak miało wyglądać to wszystko, wiedział tylko on. Rzecz prosta, że nic by nie osiągnął, a tylko sam oddałby się w ręce władz. Nie rozporządzał dostatecznymi dowodami, które mogłyby się przyczynić do wykrycia świeżo popełnionej zbrodni. Sam zresztą miał pod tym względem jedynie niewyraźne domysły, które tylko w jego głowie mogły przekształcić się w pewność. Gotów był jednak zgubić siebie, byle „zmiądzyc tych nikczemników”. Są to jego własne słowa; Piotr Stiepanowicz po części słusznie oceniał jego nastrój i wiedział dobrze, ile ryzykuje odkładając do jutra wykonanie swych potwornych planów. Lecz był jak zawsze zuchwały i pogardzał wszystkimi, jak mówił, „małymi ludźmi”, zwłaszcza zaś Szatowem. Pogardzał nim od dawna za jego „płacziwy idiotyzm”, jak to określał jeszcze za granicą. Liczył więc na to, że poradzi sobie z tym prostaczkiem, mając go na oku

561

przez cały dzień i będąc przygotowanym, by w krytycznej chwili przeciąć mu drogę. Jednakże „nikczemników” jeszcze na pewien czas uratowała całkiem niespodziewana i nieoczekiwana okoliczność.

Około ósmej wieczorem, właśnie wtedy, gdy nasi zebrali się u Erkla i czekając na Piotra Stiepanowicza oburzali się i protestowali, Szatow leżał wyciągnięty na łóżku w swoim pokoju, po ciemku, bez świecy. Bolała go głowa i miał dreszcze. Dręczyły go wątpliwości, irytował się, już coś postanawiał, ale ostatecznie nie mógł się zdecydować, przeklinał sam siebie, lecz czuł, że to wszystko do niczego nie prowadzi. Z wolna zaczął go morzyć sen i ujrzał we śnie jakiś koszmar. Śniło mu się, że leży na łóżku, związany sznurami, że nie może się ruszyć, a tymczasem rozlegają się po całym domu jakieś stukania w płot, w bramę, w jego drzwi, w oficynę Ki-riłowa, aż dom

cały drży, a jakiś daleki, znany mu dobrze, lecz męczący głos wzywa go żałośnie. Ocknął się nagle i podniósł głowę. Ku jego zdziwieniu stukanie do bramy nie milkło i choć nie-było tak silne, jak mu się przez sen zdawało, lecz rozlegało się wciąż uporczywie, a ów dziwny i „męczący” głos, wcale nie żaloszny, lecz przeciwnie, niecierpliwy, podrażniony, nieustannie dochodził z dołu; wtórował mu głos inny, bardziej spokojny, zwyczajny. Szatow zerwał się, otworzył lufcik i wysunął głowę.

- Kto tam? - zawołał, literalnie drętwiejąc z przerażenia.

- Jeżeli to Szatow - ostro i twardo odpowiedziano mu z dołu - to proszę powiedzieć uczciwie i wyraźnie, czy zgadzasz się mnie przyjąć.

Tak, poznał jej głos.

- Marie!... To ty?

- Ja, ja, Maria Szatow, i zapewniam, że już ani chwili dłużej nie mogę zatrzymać dorożki.

- Zaraz... tylko wezmę świecę... - słabym głosem odpowiedział Szatow. Pobiegł po zapalki. Jak zawsze w takich razach, zapalek nie można było znaleźć. Lichtarz ze świecą upadł na podłogę. W tej chwili Szatow posłyszał znowu z dołu niecierpliwe wołanie. Zostawił wszystko i zbiegł pędem po stromych schodach, aby otworzyć furtkę.

- Bądź łaskaw potrzymać mój tłumok, póki nie załatwię z tym bałwanem.

562

Tak go spotkała na dole pani Maria Szatow i wsunęła mu do ręki lekki, tandetny mary sakwojaż drezdeńskiego wyrobu, z żaglowego płótna, nabijany mosiężnymi gwoździami. Sama zaś wpadła z gniewem na dorożkarza:

- Powtarzam wam, że zdzieracie. Jeżeli przez całą godzinę włączyliście mnie po waszych brudnych ulicach, to sa-miście winni, bo nie wiedzieliście, gdzie jest ta głupia ulica i ten idiotyczny dom. Bierzcie wasze trzydzieści kopiejek, nie dam ani grosza więcej!

- Ech! Toć kazała mi pani jechać na Wozniesieńską, a tu Bogojawleńska. A Wozniesieńską daleko stąd. Tyłkom mie-rzyna zmordował.

- Wozniesieńską czy Bogojawleńska, te głupie nazwy powinniście znać lepiej ode mnie, boście tutejsi. I nie macie racji. Najpierw powiedziałam: dom Filippowa, a wyście powiedzieli, że znacie ten dom. Możecie zresztą jutro iść do sądu, a dziś dajcie mi święty spokój.

- Macie tu jeszcze pięć kopiejek! - zawołał Szatow gwałtownie wyciągając monetę z kieszeni i podał ją dorożkarzowi.

- Bardzo proszę tego nie robić! - krzyknęła Mme Szatow. Lecz dorożkarz już ruszył. Szatow chwycił żonę za rękę i pociągnął do bramy.

- Prędejj, prędejj, Marie, to wszystko głupstwa... jak ty zmokłaś! Ostrożnie... tu, do góry... jak tu ciemno... Schody strome. Trzymaj się mocno poręczy. O, tu jest moja komórka. Wybacz, że tak ciemno... Poczekaj, ja zaraz!...

Podniósł z ziemi lichtarz, lecz zapalek długo nie mógł znaleźć. Pani Szatow stała pośrodku pokoju, milcząca, nieruchoma.

- Chwała Bogu, nareszcie! - zawołał radośnie, oświetlając pokój.

Marie Szatow pobieżnie obejrzała pokoik.

- Mówiono mi, że mieszkasz nędznie... nie przypuszczałam jednak, że aż tak - rzuciła pogardliwie i podeszła do łóżka.-Ach, jestem zmęczona! - Usiadła bezwładnie na twardym posłaniu. - Połóż moje rzeczy i siadaj na krześle. Jak chcesz zresztą, tylko nie stercz mi przed nosem. Ja tu pobędę

niedługo, aż znajdę pracę. Tymczasem jednak nikogo tu nie znam i nie mam pieniędzy. Jeżeli ci zawadza, bądź łaskaw, proszę raz jeszcze, powiedz mi to natychmiast. Masz

563

obowiązek to zrobić, o ile jesteś człowiekiem uczciwym. Mogę sprzedać jutro cokolwiek i zapłacić za hotel, ale do hotelu to już musisz sam mnie odprowadzić... Boże, jaka ja jestem zmęczona!

Szатов cały się zatrząsł.

- Nie trzeba, Marie, nie trzeba hotelu! Jaki hotel? Po co, po co?

Złożył ręce jak do modlitwy.

- Dobrze, jeżeli można obejść się bez hotelu, to w każdym razie trzeba wyjaśnić sytuację. Pamiętaj, żeśmy żyli z sobą jako mąż i żona w Genewie dwa tygodnie i kilka dni. Trzy lata temu rozeszliśmy się, nawet właściwie bez żadnej kłótni. Nie myśl, że wracam tu, aby wznawiać stare głupstwa. Przyjechałam, aby szukać pracy, a jeżeli zatrzymałam się w tym właśnie mieście, to dlatego, że mi wszystko jedno. Nie przyjechałam, aby okazać skruchę. Proszę nawet nie posądzać mnie o to.

- O Marie! Po co to? - mówił niejasno Szатов.

- Jeżeli tak, jeżeli jesteś dostatecznie inteligentny, aby te rzeczy zrozumieć, to powiem teraz, że zwróciłam się wprost do ciebie, przyszłam do twego mieszkania po części dlatego, że zawsze uważałam cię za przyzwoitego człowieka... Jesteś o wiele lepszy od tych... łotrów. - Oczy jej błysnęły. Widocznie niejedno od jakichś „łotrów” zniosła. - I wierz mi, wcale nie żartowałam przed chwilą nazywając cię przyzwoitym człowiekiem. Mówię to po prostu, bez zbędnych słów, których nie znoszę. To wszystko zresztą głupstwa. Wierzę, że nie zabraknie ci rozumu, aby mi nie dokuczać... Och, dosyć, jestem zmęczona.

Spojrzała na niego przeciągle, udręczonym, znużonym wzrokiem. Szатов stał przed nią o pięć kroków i nieśmiało, lecz jakoś uroczyście, z niezwykłym blaskiem w oczach, słuchał. Ten człowiek, silny i szorstki, jak gdyby stale najeżony, zmiękł teraz i promieniał. W jego sercu zadrżało coś niezwykłego, nieoczekiwanego. Trzy lata rozłąki, trzy lata życia bez niej nie wywołały żadnych zmian w jego uczuciach... Kto wie? Może przez te trzy lata stale marzył o niej, o tej drogiej istocie, która kiedyś powiedziała mu: „kocham”... Znając dobrze Szatowa, wiem, że nigdy nie śnił nawet o tym, aby jakaś kobieta mogła mu powiedzieć „kocham”. Był wstydlivy i czysty.

564

Uważał się za potwornie brzydkiego, nienawidził swej twarzy tak samo jak swego charakteru, porównywał siebie do jakiegoś potwora, którego można obwozić i pokazywać na jarmarkach. Najwyżej cenił własną uczciwość, a swoim przekonaniom był wierny aż do fanatyzmu. Był ponury, dumny, milczący i pełen gniewu. I oto jedyna istota, która kochała go przez dwa tygodnie (a nigdy nie wątpił, że tak było), istota, którą cenił nieporównanie wyżej niż siebie, chociaż trzeźwo zdawał sobie sprawę z jej wad - istota, której mógł przebaczyć wszystko, wszystko bez wyjątku (było to takie proste, że inaczej być nie mogło, a nawet zdawało mu się, że to on wobec niej zawinił) - ta kobieta, ta Marie, znów jest w jego domu, znów przy nim... wprost nie mieściło mu się to w głowie! Tak był zaskoczony, jej powrót napawał go takim przerażeniem, a jednocześnie takim szczęściem, że wprost nie mógł czy też może lękał się opamiętać. To był sen. Lecz gdy spojrzała na niego takim zmęczonym wzrokiem, zrozumiał, że ta ukochana istota może cierpi, może ktoś ją skrzywdził. Serce w nim zamarło. Z bólem wpatrywał się w jej rysy: już dawno zgasł na tej zmęczonej twarzy blask pierwszej młodości. Była jeszcze ładna, a w jego oczach jak dawniej - przepiękna. W rzeczywistości była to kobieta dwudziestopięcioletnia, dobrze zbudowana, dość wysoka, wyższa od Szatowa, o ciemno-blond wspaniałych włosach. Twarz miała bladą, pociągłą i wielkie, ciemne oczy, błyszczące teraz jak w gorączce. Dawna jej naiwna energia, lekkomyślna, prosta, tak dobrze mu znana, przemieniła się teraz w ponure rozdrażnienie, w jakieś rozgoryczenie

zbliżone do cynizmu, do którego jeszcze nie przywykła i który jej ciążył. Przede wszystkim jednak była chora, widział to wyraźnie. Chociaż lękał się jej, podszedł do niej szybko i chwycił obie jej dłonie.

- Marie... wiesz... jesteś bardzo zmęczona... nie gniewaj się tylko... Gdybyś się zgodziła na przykład i napiła herbaty, co? Herbata bardzo wzmacnia... No co? Gdybyś się zgodziła!...

- Na co mam się zgadzać? Rzecz prosta, że chcę. Jesteś takim samym dzieckiem jak dawniej. Jeżeli można, daj. Jak tu ciasno u ciebie! Jak zimno!

Szatow zaczął biegać po pokoju.

- O, ja zaraz, zaraz... drwa... ja mam drwa... a zresztą... zaraz przyniosę herbatę.

565

Machnął ręką, jak gdyby decydując się na coś, i chwycił czapkę.

- Dokąd? Więc nie masz w domu herbaty?

- Będzie, będzie, będzie, zaraz wszystko będzie... ja... - Chwycił z półki rewolwer. - Zaraz sprzedam ten rewolwer albo zastawię.

- Co za głupstwa! I to długo będzie trwało. Weź moje pieniądze, jeżeli nie masz. Tam jest, zdaje się, osiemdziesiąt kopiejek. Więcej nie mam. U ciebie jest jak w domu wariatów.

- Nie trzeba, nie trzeba twoich pieniędzy, ja zaraz, za chwilę, ja i bez rewolweru...

Pobiegł prosto do Kiryłowa. Było to prawdopodobnie na parę godzin przed wizytą, jaką złożyli Kiryłowowi Piotr Stiepanowicz i Liputin. Szatow i Kiryłow, mieszkając obok siebie, nie widywali się prawie. Przy spotkaniu nie witali się i nie rozmawiali. Widocznie zbyt długo „przeleżeli” razem w Ameryce.

- Kiryłow! Pan zawsze ma herbatę, czy ma pan teraz herbatę i samowar?

Kiriłłow, który jak zwykle chodził przez całą noc po pokoju z kąta w kąt, zatrzymał się, spojrzał uważnie na Szatowa, bez wielkiego zresztą zdziwienia.

- Herbata jest, cukier jest i samowar jest. Samowar niepotrzebny, świeża herbata... Niech pan po prostu siada i pije.

- Kiryłow, myśmy razem leżeli w Ameryce... Żona do mnie przyjechała... ja... dla niej... potrzebny samowar...

- Ha, jak żona, to potrzebny samowar. Lecz samowar później. Mam dwa. Niech pan tymczasem weźmie ze stołu imbryk. Gorący, bardzo gorący. Niech pan weźmie wszystko... Cukier. Cały cukier... Chleb... Tu dużo chleba. Wszystko. Mam cielęcinę. I jeden rubel.

- Oddani jutro! Ach, przyjacielu!

- Czy to ta żona, co w Szwajcarii? To dobrze. I dobrze, że pan biegł do mnie tak gwałtownie.

- Kiryłow! - wołał Szatow chwytając imbryk, cukier i chleb. - Kiryłow! Gdyby pan zrzekł się swoich strasznych fantazji i ateistycznych bredni, co by z pana był za człowiek!

- Widzę, że kocha pan jednak żonę po tym, co było w Szwajcarii. To dobrze, że po Szwajcarii. Jak zabraknie her-

566

baty, niech pan przychodzi do mnie. Przez całą noc. Ja nie śpię. I samowar będzie. Niech pan weźmie tego rubla. Proszę wracać do żony. Ja tu zostanę i będę myślał o panu i o pańskiej żonie.

Maria Szatow zadowolona była widocznie z pośpiechu i łapczywie zabrała się do herbaty. Obeszło się jednak bez samowara. Wypiła pół filiżanki i ledwo przełknęła mały kawałek chleba. Od cieleciny odwróciła się ze wstrętem.

- Chora jesteś, Marie! Taka jesteś zboląła... - zauważył nieśmiało Szatow krzątając się koło niej z pokorą.

- Oczywiście, że jestem chora. Siądź, proszę. Skąd wziąłeś herbatę? Przecież nie miałeś w domu.

Szatow w paru słowach opowiedział o Kiryłowie. Słyszała już o nim dawniej.

- Wiem, że wariat. Mniejsza o niego. Idiotów jest zawsze dość na świecie. Więc byłeś w Ameryce? Słyszałam, pisałeś.

- Tak, ja... pisałem do Paryża.

- Mniejsza o to. Mów o czym innym. Jesteś z przekonania słowianofilem ?

- Ja... poniekąd... Nie mogę być Rosjaninem, stałem się słowianofilem.

Wykrzywił twarz z wysiłkiem człowieka, który zażartował sztucznie i nie w porę.

- Nie jesteś Rosjaninem?

- Nie.

- Głupstwa opowiadasz. Dlaczego nie siądziesz? Dlaczego się tak miotasz? Myślisz, że mam gorączkę? Może będę miała. Więc wy tylko dwaj mieszkacie w tym domu?

- Tak... na dole...

- I obaj tacy mądrzy... Co na dole? Powiedziałaś: na dole.

- Nie, nic.

- Jak to nic? Chcę wiedzieć.

- Chciałem tylko powiedzieć, że teraz my dwaj tu mieszkamy w podwórzu, na dole zaś mieszkał przedtem Lebiadkin z siostrą.

- To ta, którą zamordowano dziś w nocy? - zawołała nagle. - Słyszałam. Ledwom przyjechała, a już mi opowiedziano. Był pożar?

- Tak, Marie, i może popełniam w tej chwili czyn podły, przebacząc tym nikczemnikom.

567

Zerwał się, zaczął biegać po pokoju, podnosząc ręce do góry.

Ale Marie niezupełnie go rozumiała. Słuchała roztargniona, pytała, lecz nie słuchała odpowiedzi.

- Ładne rzeczy u was się dzieją! Jakże to podłe. Jacy wszyscy są podli! Ale siądzże wreszcie, proszę. O, jak mnie denerwujesz!

Z wyrazem znużenia przytuliła głowę do poduszki.

- Marie, już nie będę... Może byś się położyła... Marie?

Nie odpowiadała i bezsilnie zamknęła oczy. Twarz miała bladą jak u umarłej. Zasnęła prawie od razu. Szatow rozejrzał się dokoła, poprawił świecę, raz jeszcze spojrzął z niepokojem na jej twarz, mocno zacisnął pięści i na palcach wyszedł z pokoju. Na klatce schodowej stanął twarzą do ściany i trwał tak z dziesięć minut, nieruchomo i w milczeniu. Stałby tak jeszcze dłużej, lecz na dole rozległy się ciche, ostrożne kroki. Ktoś szedł po schodach. Szatow przypomniał sobie, że nie zamknął furtki.

- Kto tam? - zapytał szeptem.

Nieznajomy z wolna szedł po schodach nie odpowiadając. Wszedłszy na piętro, zatrzymał się. Nie można było zobaczyć go w ciemnościach. Nagle rozległo się ostrożne pytanie:

- Iwan Szatow?

Szatow potwierdził i w tej samej chwili wyciągnął rękę, aby nie puścić przybysza dalej. Lecz ten chwycił go za rękę. Szatow drgnął, jak gdyby dotknął jakiegoś ohydneho gada.

- Niech pan poczeka - szepnął. - Nie mogę pana wpuścić, nie mogę przyjąć. Żona do mnie wróciła. Zaraz przyjdę ze świecą.

Gdy wrócił ze świecą, zobaczył przed sobą młodego oficera. Nie pamiętał nazwiska, lecz gdzieś go już widział.

Oficer przedstawił się.

- Jestem Erkel. Widzieliśmy się u Wirgińskich.

- Ach, pamiętani! Siedział pan, coś tam notując. Niech pan słucha - wyszeptał Szatow, z wściekłością zbliżając się do Erkla. - Gdy pan mnie chwycił za rękę, zrobił pan znak. Lecz pluję na wszystkie wasze znaki. Nie uznaję... nie chcę... Mogę zaraz zrzucić pana ze schodów... Rozumie pan?

- Nie, nie rozumiem i nie wiem, dlaczego się pan irytuje - łagodnie i dobrodusznie odparł Erkel. - Mam tylko pewną

568

rzecz panu do zakomunikowania i po to przyszedłem. Nie traćmy czasu. Pan ma pod swoją opieką drukarnię, za którą jest pan odpowiedzialny. Mam rozkaz zażądać od pana zwrotu drukarni i przekazania jej Liputinowi, jutro o siódmej wieczorem. Kazano mi także oświadczyć panu, że na tym kończą się wszelkie pańskie zobowiązania.

- Zupełnie?

- Tak, zupełnie. Prośba pańska została uwzględniona. Jest pan wolny. Wyraźnie kazano mi to panu oświadczyć.

- Kto kazał?

- Ci sami, którym zawdzięczani tajemnicę znaku.

- Pan z zagranicy?

- To... to chyba dla pana obojętne.

- E, do licha! Dlaczegoż pan wcześniej z tym nie przychodził, skoro miał pan rozkaz?

- Miałem określone instrukcje. Nie decydowałem sam.

- Ach, rozumiem. Tak, nie sam. E... do diabła! A dlaczego Liputin sam nie przyszedł?

- A więc jutro punkt o szóstej wieczorem zajdę do pana i pójdziemy razem piechotą. Oprócz nas trzech nie będzie więcej nikogo.

- Wierchowieński będzie?

- Nie, nie będzie. Wierchowieński wyjeżdża jutro o jedenastej rano.

- Ach, nie wątpiłem w to! - wściekle szepnął Szatow uderzając pięścią w biodro. - Uciekł, kanalia! Zamyślił się wzburzony. Erkel przyglądał mu się uważnie, milczał i czekał.

- Jak zabierzecie drukarnię? To się nie da tak wziąć w rękę i od razu wynieść.

- To zbyteczne. Wskaże pan tylko miejsce, my zaś sprawdzimy. Znamy to miejsce tylko w przybliżeniu, nie ściśle. Czy nikomu pan nie pokazywał?

Szatow spojrział na niego.

- I pan, pan, taki młodzieniaszek, taki głupi dzieciak, także wlaź w to po uszy jak baran? Ach, oni

polują na takie smaczne kąski! No, niech pan już idzie! E-ech! Ten łajdak oszukał nas wszystkich i uciekł!

Erkel patrzył mu szczerze i prosto w oczy, lecz zdawało się, że nie rozumie.

569

- Wierchowieński uciekł! Uciekł! - zgrzytał Szatow.

- Ależ on jest tu jeszcze, jeszcze nie wyjechał. Dopiero jutro wyjeżdża - łagodnie przekonywał go Erkel. - Namawiałem go bardzo, aby był przy tym obecny jako świadek. Cała moja instrukcja była przecież skierowana do niego... (Erkel, jako niedoświadczony dzieciak, musiał być zanadto otwarty.) Lecz on niestety nie zgodził się, pod pretekstem wyjazdu. A rzeczywiście bardzo mu pilno.

Szatow raz jeszcze współczująco spojrział na biedaka, lecz po chwili machnął ręką, jak gdyby pomyślał: „Czy warto takich żałować?”

- Dobrze - przerwał rozmowę - pójdę. A teraz niech się pan wynosi! Marsz!

- Więc będę punkt o szóstej - uprzejmie rzekł Erkel, uklonił się i powoli zaczął schodzić na dół. Szatow nie wytrzymał i krzyknął mu z góry:

- Głuptas!

- Co? - zawołał Erkel z dołu.

- Nic, idź pan sobie.

- Myślałem, że pan coś powiedział.

II

Erkel był „głuptasem” o tyle, że brakowało mu rozumu; drobnego zaś, podrzędnego rozsądku miał dosyć; mógł nawet uchodzić za chytrego. Oddany fanatycznie „sprawie”, właściwie Piotrowi Wierchowieńskiemu, działał zgodnie z instrukcją, otrzymaną od niego wtedy, gdy rozdzielano między naszych role. Piotr Stiepanowicz, obrawszy go jako wysłańca, około dziesięciu minut rozmawiał z nim na boku. Wykonywanie zleceń było potrzebą tej małej, nierozsądnej duszyczki, zawsze żadnej podporządkowania się cudzej woli - o, naturalnie dla dobra „wielkiej”, „ogólnej” sprawy. Fanatycy tego pokroju co Erkel nie mogą inaczej służyć idei, jak tylko utożsamiając ją z osobą reprezentującą podług ich mniemania tę ideę. Czulośćkowy, łagodny, poczciwy Erkel był prawdopodobnie najbardziej zdecydowany w gronie morderców sprzysiężo-nych przeciwko Szatowowi. Mógł nie drgnąć nawet przy zabójstwie, chociaż nie czuł wcale nienawiści do ofiary. Kazano

570

mu dokładnie rozejrzeć się w usposobieniu i sytuacji Szalowa przy spełnianiu zlecenia. Gdy Szatow, przyjąwszy go na schodach, wygadał się, może bezwiednie, że przyjechała do niego żona - Erkel zdobył się na instynktowny spryt, aby nie zdradzić w tym kierunku żadnej ciekawości, chociaż przeszła mu przez głowę myśl, że fakt powrotu żony może mieć wielkie znaczenie w ich przedsięwzięciu...

Tak było istotnie: właśnie ta okoliczność powstrzymała Szatowa, uratowała „nikczemników” i dopomogła im do wykonania zamierzeń... Przede wszystkim powrót żony niesłychanie poruszył Szatowa, wytrącił go z równowagi”, pozbawił go moralnej nieufności i zagłuszył ostrożność. Nawet myśl o niebezpieczeństwie osobistym nie mogła mu przyjść do głowy, zajętej czymś innym. Przeciwnie, uwierzył całkowicie, że Piotr Wierchowieński jutro wyjeżdża; godziło się to zupełnie z podejrzeniami Szatowa! Powróciwszy do pokoju, usiadł w kącie, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Osaczyły go gorzkie myśli.

To znów podnosił głowę, wstawał i na palcach szedł spojrzeć na nią.

„Mój Boże! Jutro będzie miała gorączkę. A może już teraz ma! Przeziębła się. Nie jest przyzwyczajona do tego straszego klimatu; wagon trzeciej klasy, wiatr, deszcz, a ona ma leciutki paltocik. Nie ma w co się ubrać... I ja miałbym ją teraz opuścić, odmówić pomocy! A worek z jej dobytkiem taki mały, lekki, zmięty! Dziesięć funtów! Biedaczka! Jaka ona zmęczona! Tyle wycierpiała: jest dumna, więc nie skarży się. Lecz taka rozdrażniona, taka rozdrażniona! To z powodu choroby. Nawet anioł w czasie choroby będzie rozdrażniony. Jakie suche czoło! Musi być gorące. A pod oczyma sińce i... i jaki piękny jest ten owal twarzy, te cudowne włosy, te...”

Odwracał oczy, odchodził znów, jak gdyby przerażała go sama myśl, że dojrzy w niej coś więcej niż nieszczęśliwą, udręczoną istotę, której trzeba dopomóc.

„Jakie tam mogą być nadzieje! O, jak nędzny i podły jest człowiek!”

Wracał do swego kąta, siadał i chował twarz w dłoniach. Znów marzył, znów przypominał sobie... i znowu świły mu w głowie jakieś nadzieje.

„Ach, jestem zmęczona!” -przypominał sobie jej okrzyki

571

i jej głos słaby, złamany.-„O Boże! Porzucić ją teraz? A ona ma osiemdziesiąt kopiejek, wyciągnęła portmonetkę, starą, maleńką! Przyjechała szukać posady. Co ona może wiedzieć o posadach? Co oni tam wiedzą o Rosji? Toż to szalone dzieci! Żyją własną fantazją; i teraz gniewa się, biedaczka, że Rosja nie przypomina w niczym ich zagranicznych fantazji! Nieszczęśliwi! Niewinni... A jednak tu naprawdę jest zimno...”

Przypomniał sobie, że skarżyła się na chłód i że obiecał jej napalić w piecu.

„Drwa są, można przynieść, byle tylko jej nie zbudzić. Zresztą napalić można. A co robić z cielęcina? Wstanie i na pewno zechce jeść. Nie, to później. Kiryłow nie śpi całą noc. Trzeba ją czymś przykryć. Śpi tak mocno, lecz na pewno marznie, biedaczka, ach, marznie!”

Jeszcze raz podszedł do niej. Podwinęła się jej sukienka i widać było prawą łydkę aż do kolana. Odwrócił się prawie przerażony, zdjął z siebie ciepłe palto i nakrył jej nogi, usiłując nie patrzeć. Sam pozostał w starym surduciku.

Rozpalanie w piecu, chodzenie na palcach, oglądanie śpiącej, marzenie w kącie, potem znów oglądanie śpiącej, wszystko to zajęło sporo czasu. Minęło parę godzin. Właśnie wtedy Wierchowieński i Liputin zdążyli złożyć wizytę Kiryłowowi. Nareszcie Szatow sam zasnął w rogu pokoju. Rozległ się jęk. Zbudziła się, wołała go. Zerwał się jak winowajca.

- Marie! Zasnąłem... Ach, jaki podły jestem, Marie!

Podniosła głowę, rozglądała się ze zdziwieniem, jak gdyby nie wiedziała, gdzie jest, i wreszcie zerwała się, oburzona, pełna gniewu.

- Zajęłam twoje łóżko. Zasnęłam ze zmęczenia jak nieprzytomna. Jak śmiałeś mnie nie zbudzić? Jak śmiałeś mnie posądzać, że chcę być tobie ciężarem?

- Jakże mógłbym cię budzić, Marie?

- Mogłeś, miałeś obowiązek. Nie masz tu innego łóżka, a ja zajęłam twoje. Nie miałeś prawa stawiać mnie w fałszywej sytuacji. Czy sądzisz, że przyjechałam tu, aby korzystać z twojej łaski? Proszę natychmiast zająć własne łóżko, a ja położę się tu w kącie, na krzesłach...

- Marie! Nawet nie ma tu tyle krzesel, nie ma nic do posłania.

572

- Więc na podłodze. Przecież ty sam musiałbyś się położyć na podłodze. Chcę na podłogę, zaraz, natychmiast!

Wstała z łóżka, chciała się ruszyć, lecz silny kurczowy ból odebrał jej wszystkie siły, całą stanowczość i z głośnym jękiem znowu opadła na łóżko. Szatow podbiegł do niej, lecz Maria, wtuliwszy twarz w poduszkę, chwyciła go za rękę i zaczęła ją ścisnąć i wyłamywać z całej siły. Trwało to kilka chwil.

- Marie, złota moja! Jeżeli trzeba, tu jest doktor Frencl, mój znajomy, bardzo... Pobiegnę po niego.

- Głupstwa mówisz!

- Dlaczego głupstwa? Marie, powiedz, co ciebie boli? A może dopomógłby gorący okład... na brzuch na przykład... Mogę to zrobić sam, bez doktora... Albo może gorczyznik?

- Co to znaczy? - zapytała dziwnym głosem podnosząc głowę i patrząc na niego z lękiem.

- Co masz na myśli, Marie? - Szatow nie rozumiał. - O co pytasz? O Boże, ja zupełnie tracę głowę, Marie, przebacz mi, ja nic nie rozumiem.

- Ach, daj spokój! Po co rozumieć! Byłoby to nawet śmieszne... - uśmiechnęła się gorzko. - Mów lepiej o czymś innym. Chodź po pokoju i mów. Nie stój koło mnie! Nie wpatruj się tak we mnie. Proszę cię o to po raz setny.

Szatow zaczął chodzić po pokoju, wpatrzony w podłogę; usiłował nie patrzeć na żonę.

- Marie! Nie gniewaj się, błagam cię... tu jest cielęcina i herbata stoi... Tak mało wypilaś...

Gniewnie machnęła ręką i skrzywiła się z obrzydzeniem. Szatow zamilkł zrozpaczony.

- Słuchaj, mam zamiar otworzyć tu zakład introligatorski, oparty na rozsądnych zasadach spółdzielczych. I Mieszkasz tu na stałe, więc powiedz: uda się to czy nie?

- Ach, Marie, tu nikt nie czyta książek. Nie ma ich tu wcale. I po cóż on miałby oprawiać książki?

- Kto?

- Tutejszy czytelnik, tutejszy mieszkaniec w ogóle.

- Mów tak od razu! Mówisz jakiś on, a kto to taki, nie wiadomo. Nie znasz gramatyki.

- Tak się mówi, Marie -bąknął Szatow.

- Daj mi spokój z tym, jak się mówi! Nudny jesteś!

573

A dlaczego tutejszy mieszkaniec lub czytelnik nie ma oprawiać książek?

- Dlatego, że czytanie książek i oprawianie ich to całe dwa, i to ogromne, okresy rozwoju. Z początku pomalutku uczy się człowieka czytać. Oczywiście nauka ta trwa wieki. Książkę rwie, szarpie, brudzi, nie traktuje jej poważnie. Oprawa zaś świadczy o szacunku do książki, świadczy o tym, że człowiek nie tylko lubi ją czytać, lecz że traktuje ją poważnie. Do tego okresu cała Rosja jeszcze nie dorosła. W Europie już dawno oprawia się książki.

- Mówisz jak pedant, lecz przynajmniej niegłupio. Przypominam sobie ciebie sprzed trzech lat. Byłeś wtedy czasem dość dowcipny.

Powiedziała to z tym wyrazem obrzydzenia, z jakim wypowiadała dotychczas wszystkie swoje kapryśne zdania.

- Marie, Marie! - z czułością powiedział rozrzuwiony Szatow. - O Marie, gdybyś wiedziała, ile przeżyłem przez te trzy lata! Słyszałem, że pogardałaś mną potem za zmianę przekonań. Lecz z kimże zerwałem? Z wrogami żywego życia, z zastarzałymi liberałami, bojącymi się własnej

niezależności, z duchowymi lokajami, z wrogami jednostki i wolności, ze zgrzybiałymi apostołami martwoty i stęchlizny! Co w nich było? Starczy marazm, złoty środek, mieszczańskie, podle niedołęstwo, zawistna potrzeba równości bez godności własnej, równości, jaką wyobraża sobie lokaj lub Francuz z dziewięćdziesiątego trzeciego roku... Najgorsze zaś, że wszędzie są łotry, łotry i łotry!

- Tak, łotrów jest pełno - odezwała się szorstko.

Leżała wyciągnięta, nieruchoma, jak gdyby bała się drgnąć. Odrzuciła głowę na poduszkę, nieco w bok, i wpatrywała się w sufit zmęczonymi, lecz błyszczącymi oczyma; miała twarz bladą, wargi suche, spieczone.

- Rozumiesz mnie, Marie? Zgadzasz się ze mną? - zawołał Szatow.

Chciała pokręcić głową na znak przeczenia, lecz znów przeszyły ją dreszcze. I znów ukryła twarz, i znów przez dłuższą chwilę z całej siły ścisnęła aż do bólu dłoń Szatowa, który podbiegł do niej oszalały z przerażenia.

- Marie, Marie! Może to coś poważnego?

- Milcz... Nie chcę, nie chcę!...-krzyczała w zapamię-

574

taniu, znów odwracając od niego twarz. - Nie waż się patrzeć na mnie tak współczująco! Chodź po pokoju, mów coś, mów...

Szatow, zupełnie bezradny, próbował coś mówić.

- Co ty tu robisz? - zapytała przerywając mu niecierpliwie.

- Pracuję w biurze u jednego kupca. Gdybym zechciał, mógłbym i tu nieźle zarabiać...

- To się cieszę...

- Ach, Marie, nie myśl nic złego, ja tak tylko...

- A co robisz poza tym? Jakie głosisz prawdy? Przecie nie możesz się obejść bez apostołowania! Taki już masz charakter.

- Głoszę wiarę w Boga, Marie.

- W którego- sam nie wierzysz. Nigdy nie mogłam tego zrozumieć.

- Pomówimy o tym później.

- Co to za jedna ta Maria Timofiejewna?

- I o tym także później, Marie!

- Jak śmiesz tak ze mną mówić! Czy to prawda, że jej śmierć... to także zbrodnia tych ludzi?

- Na pewno - rzekł Szatow zaciskając zęby. Raptem podniosła głowę i zawołała boleśnie:

- Nie waż mi się o tym mówić! Nigdy! Nigdy!

Znowu opadła na poduszkę w ataku tego samego kurczowego bólu. Było to już po raz trzeci. Lecz teraz jęki były głośniejsze, zmieniły się w krzyk.

- O, co za nieznośny człowiek! Okropny człowiek! Rzuciła się nieprzytomnie na łóżku, odtrącając stojącego nad nią Szatowa.

- Marie, będę robił, co zechcesz... będę chodził, będę mówił...

- Czyż ty nie widzisz, że się zaczęło?

- Co takiego, Marie?

- Skąd ja mogę wiedzieć? Czy ja to rozumiem? Och, ja przeklęta! O, niech wszystko będzie przeklęte!

- Marie! Powiedz mi, co się zaczyna... Jakże inaczej zrozumieć !

- Jesteś niepotrzebnym, oderwanym od życia gadułą! O, niech będzie przeklęte wszystko na świecie!

575

- Marie! Marie!

Myślał na serio, że ona jest w stanie obłądu. Podniosła się na łóżku i spojrzała na niego z wyrazem strasznego, wykrzywającego twarz, bolesnego gniewu.

- Czy ty naprawdę nie widzisz, że zaczynają się bóle porodowe? Niech będzie przeklęte to dziecko!

- Marie! - zawołał Szatow zrozumiałwszy wreszcie, co się dzieje.-Marie... Czemuś mi nie powiedziała od razu? Opamiętaj się i energicznie pochwycił czapkę.

- Skądże mogłam wiedzieć wchodząc tutaj? Czyżbym przysłała do ciebie? Mówiono mi, że to dopiero za dziesięć dni! Dokąd idziesz? Dokąd? Nie odchódź!

- Po akuszerkę! Sprzedam rewolwer. Przede wszystkim trzeba pieniędzy!

- Nie waż mi się! Żadnej akuszerki! Przyprowadź zwykłą babę, staruchę... mam tam osiemdziesiąt kopiejek... Przecież kobiety na wsi rodzą bez akuszerek... A zdechnę, tym lepiej...

- Będzie baba, i starucha. Lecz jak ja tu ciebie samą zostawię?

Zrozumiał jednak, że lepiej teraz zostawić ją samą, pomimo jej stanu, niż potem zostawić ją bez pomocy. Nie słuchając już jęków ani gniewnych okrzyków, zbiegł pędem ze schodów.

III

Przede wszystkim do Kiriłłowa. Była już chyba pierwsza po północy. Kiriłłow stał pośrodku pokoju.

- Kiriłłow, żona rodzi!2

- Co? Jak?

- Rodzi, dziecko rodzi!

- Pan... się nie myli?

- O nie, nie! Już ją chwytają kurcze!... Potrzebna jest baba, jakaś starucha, byle zaraz... Czy można teraz dostać? Pan zna dużo staruszek...

- Jaka szkoda, że ja nie umiem rodzić - poważnie odpowiedział Kiriłłow. - To znaczy nie rodzić, ale zrobić tak, żeby rodzić, to jest... Nie, trudno mi się wysłowić.

- To znaczy, że pan nie może sam pomóc przy położu...

576

ja nie o tym, starucha, starucha mi potrzebna, baba, kucharka, wszystko jedno!

- Znajdzie się baba, ale nie zaraz. Jeżeli można, to ja tymczasem...

- O, to niemożliwe. Biegnę zaraz po Wirgińską, po aku-szerkę...

- Podła baba! ,,

- O tak, o tak, lecz to najlepsza specjalisto! O tak, wszystko odbędzie się nieświętobliwie, bez radości, z wymyślaniami, z bluźnierstwami... wobec tak wielkiej tajemnicy jak narodziny nowej istoty!... O, ona sama już ją przeklina!

- Jeśli pan chce, to ja...

- Nie, nie. Lecz póki będę biegał (o, przywłokę Wirgińską!), niech pan podchodzi do moich drzwi od czasu do czasu i ostrożnie słucha, lecz niech się pan nie waży wchodzić, wystraszyłby ją pan.

Tylko niech się pan przysłuchuje... na wszelki wypadek. Za nic w świecie proszę nie wchodzić, dopiero w ostatecznym razie...

- Rozumiem. Ma pan jeszcze rubla. Proszę. Chciałem sobie kupić jutro kurę, lecz teraz już nie chcę. Niech pan biegnie prędzej. Samowar będzie całą noc.

Kiriłow nic nie wiedział o zamiarach względem Szatowa i nie zdawał sobie w ogóle sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa. Wiedział, że ma on jakieś porachunki z „tymi ludźmi”. Sam był z nimi poniekąd związany z powodu instrukcji udzielonych mu za granicą (bardzo zresztą powierzonych, gdyż ściślej z niczym nie był związany), lecz ostatnimi czasy porzucił wszystko, wyrzekł się wszelkiego współdziałania, wszelkich spraw, zwłaszcza zaś „wspólnej sprawy”, i pogrążył się w rozmyślaniach. Piotr Wierchowieński zaproponował na posiedzeniu, aby Liputin poszedł z nim do Kiriłowa i przekonał się, czy ten gotów jest wziąć na siebie „sprawę Szatowa”. Jednakże w rozmowie z Kiriłowem nie mówił o Szatowie ani słowa, nie zająknął się nawet; najwidoczniej uważał to za niewskazane i nie żywił pełnego zaufania do Kiriłowa. Pozostawił to do jutra, kiedy już będzie po wszystkim i Kiriłowowi będzie „wszystko jedno”, tak przynajmniej myślał a Kiriłowie Piotr Stiepanowicz. Liputin także zauważył, że o Szatowie, wbrew zapowiedzi, nie było wzmianki. Był jednak zbyt wzburzony, aby protestować.

„ n”””” „„, 577

Szатов pędził jak wichur do Wirgińskiej, przeklinając odległość i nie mogąc się doczekać końca drogi.

Trzeba było długo stukać. Wszyscy już dawno spali. Ale Szатов bez żadnej ceremonii zaczął walić w okiennicę. Pies łańcuchowy na podwórzu ciskał się i czekał zawzięcie. Odpowiedziały mu psy z całej okolicy. Rozległo się straszne ujadanie.

Wreszcie za oknem rozległ się dość miękki i całkiem nieodpowiedni do tej sytuacji głos Wirgińskiego.

- Kto tam i czego trzeba?

Okiennica uchyliła się, otworzono lufcik.

- Kto tam, co za łajdak? - odezwał się zirytowany głos kobiety, zupełnie już odpowiedni do sytuacji. To mówiła stara panna, krewna Wirgińskiego.

- Jestem Szатов. Żona wróciła do mnie i rodzi.

- To niech sobie rodzi! Idź pan sobie!

- Ja po Arinę Prochorownę i nie odejdę bez niej!

- Nie może przecie chodźć do każdego. W nocy to specjalna praktyka... Njech pan idzie do Makszejewej i nie waży się tu hałasować! - wrzeszczał rozeźlony głos kobiety.

Słychać było, że Wirgiński mityguje ją, lecz stara panna odpychała go i nie chciała się uspokoić.

- Nie odejdę! - zawołał znowu Szатов.

- Daj spokój, daj spokój! - wołał Wirgiński odsuwając starą pannę. - Proszę pana, niech pan poczeka pięć minut. Zbudzę żonę. Niech pan tylko nie stuka i nie krzyczy... Jakie to wszystko okropne!

Po upływie pięciu minut, które dłużyły się jak wieczność, zjawiła się Arina Prochorowna.

- Żona do pana przyjechała? - rozległ się przez lufcik jej głos; ku zdziwieniu Szatowa, wcale nie było w nim złości, tylko normalnie rozkazujący ton; inaczej przecie Arina Prochorowna mówić nie mogła.

- Tak, żona, i rodzi.

- Maria Ignatiewna?

- Tak, Maria Ignatiewna. Oczywiście, któż by inny? Zapanowało milczenie. Szatow czekał. W domu rozległy się szepty.

- Dawno przyjechała? - zapytała znów Mme Wirgińska.

- Dziś wieczorem o ósmej. Prędzej, proszę, prędzej! Znowu zaszepitano w domu, jak gdyby naradzając się.

578

- Czy pan się czasem nie myli? Czy to ona sama posłała po mnie?

- Nie, nie posyłała. Żądała baby, prostej baby, aby nie obarczać mnie kosztami. Lecz niech pani będzie spokojna, ja zapłacę.

- Dobrze, przyjdę, chociażby pan nie zapłacił. Zawsze ceniłam niezależność uczuć Marii Ignatiewny, chociaż ona prawdopodobnie mnie nie pamięta. Czy ma pan wszystko, co potrzebne?

- Nie ma nic, lecz będzie, będzie wszystko...

„Jednak i tacy ludzie umieją być wspaniałomyślni - myślał Szatow biegnąc do Lamszyna. - Przekonania i człowiek to, zdaje się, dwie bardzo różne rzeczy. Może nawet bardzo zawiniłem wobec nich!... Wszyscy winni, wszyscy... gdyby tylko chcieli się o tym przekonać...”

Do Lamszyna Szatow stukał niedługo. Zdziwił się nawet, że Lamszyn natychmiast otworzył lufcik, stanął na łóżku, boso, w bieliźnie, ryzykując, że się przeziębii. A przecież tak zawsze drżał o swoje zdrowie. Była jednak pewna przyczyna tej czujności i pośpiechu: Lamszyn drżał ze strachu przez cały wieczór i dotychczas nie mógł zasnąć pod wrażeniem wieczornych rozmów. Wciąż mu się roiło przybycie nieproszonych i zupełnie niepożądanych gości. Najbardziej dręczyły go wiadomości o denuncjacji Szatowa... I właśnie, jak na złość, ktoś zastukał tak głośno do okna!...

Lamszyn tak się przeraził zobaczywszy Szatowa, że natychmiast znów zamknął lufcik i wlaź do łóżka. Szatow zaczął stukać i wołać przeraźliwie.

- Jak pan śmie tak hałasować po nocy? - zawołał wreszcie Lamszyn groźnie, lecz drżąc ze strachu. Po dwóch pewnie minutach otworzył znowu lufcik i przekonał się wreszcie, że Szatow przyszedł sam.

- Ma pan rewolwer, bierz go pan z powrotem i dawaj piętnaście rubli.

- Czy pan jest pijany? To rozbój! Przeziębii się przez pana. Niech pan poczeka, narzucę pled.

- Dawaj pan zaraz piętnaście rubli. W przeciwnym razie będę walił w okno do świtu. Wybiję szyby.

- A ja zawołam policję i zapakuję pana do kozy.

- A ja to co? Nie jestem niemy. Także mogę sprowadzić policję. Dla którego z nas policja jest bardziej niebezpieczna?

37* 579

- Takie podle posądzenie... Wiem, do czego pan pije... Niech pan poczeka, na miłość boską, niech pan nie stuka! Kto w nocy trzyma pieniądze w domu? I po co panu pieniądze, jeżeli nie jest pan pijany?

- Żona do mnie wróciła. Ustąpiłem panu dziesięć rubli. Ani razu nie strzelałem. Niech pan bierze ten rewolwer, niech pan bierze natychmiast.

Lamszyn machinalnie wyciągnął rękę przez lufcik i wziął rewolwer; przeczekał chwilę, po czym wysunął głowę przez lufcik i wybełkotał zapamiętałe, z dreszczem w krzyżach:

- Pan kłamie, żadna żona nie przyjechała do pana... To pan... to po prostu pan chce uciec...

- Głupstwa pan gada! Dokąd bym miał uciekać? Niech sobie wasz Piotr Wierchowieński ucieka, nie ja! Byłem przed chwilą u Wirgińskiej. Zgodziła się przyjść natychmiast. Niech się pan przekona. Żona męczy się; potrzebuję pieniędzy; dawaj pan pieniądze!

Całe fajerwerki rozmaitych myśli zajaśniały w przebiegłej głowie Lamszyna. Wszystko przyjęło inny obrót, ale wciąż jednak strach przeszkadzał mu wysnuć właściwe wnioski.

- Jak to... przecież pan nie żyje z żoną?

- Łeb ci rozwalę za takie pytania!

- Ach, mój Boże, przepraszam, rozumiem, na razie byłem oszołomiony... Ale ja rozumiem, rozumiem. Czy tylko... Arina Prochorowna naprawdę pójdzie? Pan mówi, że już poszła? Przecie to nieprawda. Widzi pan! Pan kłamie na każdym kroku.

- Ona na pewno już siedzi przy żonie. Proszę mnie nie zatrzymywać. Nie jestem winien, że pan jest taki głupi.

- To nieprawda, wcale nie jestem głupi. Przepraszam, ale w żaden sposób nie mogę...

Zupełnie zbity z pantalyku, po raz trzeci zaczął zamykać lufcik, lecz Szatow tak huknął, że Lamszyn znowu w mig wychylił głowę.

- Ależ to prawdziwy zamach na człowieka! Czego pan żąda ode mnie, no, czego? Niech pan mówi! Niech pan nie zapomina, niech pan pamięta, że to noc!

- Żądam piętnastu rubli, barania głowo!

- A może rewolwer mi wcale nie jest potrzebny?! Pan nie ma prawa. Pan kupił, i na tym koniec, i nie ma pan prawa. Nie mogę w nocy dać takiej sumy. Skąd ją wezmę?

580

- Zawsze masz pieniądze, ustąpiłem ci dziesięć rubli, ale z ciebie istny żydowin!

- Niech pan przyjdzie pojutrze, słyszy pan: pojutrze, punkt o dwunastej. Oddam panu wtedy wszystko. Dobrze? Szatow po raz trzeci z wściekłością zastukał w okno.

- Dawaj dziesięć rubli, a jutro skoro świt pięć.

- Nie, pojutrze rano pięć. Bo jutro, jak Boga kocham, nie będę miał. Nawet nie warto przychodzić, nie warto.

- Dawaj dziesięć, ty łotrze!

- Za co pan tak wymyśla? Niech pan poczeka, zapalę światło. Rozbił pan szybę... Jak pan śmie tak wymyślać w nocy! Ma pan!

Wysunął przez okno banknot. Szatow chwycił. Była to pięciorublowka.

- Jak Boga kocham, nie mogę więcej, nie mogę, chociażbyś mnie zarznął. Pojutrze - wszystko, a dziś nie mogę.

- Nie odejdę - ryknął Szatow.

- Dobrze już, ma pan jeszcze. Ale więcej nie dam. Może pan wrzeszczeć na całe gardło, nie dam. Za nic nie dam. Nie dam i już!

Był w rozpacz, przerażony, spocony. Dwa banknoty, które wysunął, były po rublu każdy. W ten sposób Szatow zebrał siedem rubli.

- A niech cię licho, przyjdę jutro. Zbiję cię, jeżeli nie przygotujesz ośmiu rubli.

„Myślisz, że zastaniesz mnie w domu, głupcze!” - pomyślał Lamszyn.

- Stój pan, stój - krzyknął wściekle za Szatowem, który już biegł dalej. - Stój pan, wróć się! Niech mi pan powie na serio: czy to prawda, że do pana wróciła pańska żona?

- Idiota! - syknął Szatow. Splunął i popędził co sił do domu.

IV

Muszę tu zaznaczyć, że Arina Prochorowna nic nie wiedziała o powziętych decyzjach. Jej mąż, wróciwszy do domu, zgnębiony i wyczerpany, nie miał odwagi zakomunikować jej o wszystkim. Nie powstrzymał się jednak i zdradził częściowo

581

to, o czym była mowa na posiedzeniu. Powtórzył jej relację Wierchowieńskiego o zamierzonej denuncjacji Szatowa; dodał jednak natychmiast, że niezupełnie dowierza Piotrowi Stiepanowiczowi. Anna Prochorowna przeraziła się nie na żarty. Dlatego też, gdy przybiegł po nią Szatow, natychmiast zdecydowała się pójść do niego, chociaż była naprawdę zmęczona po nocy spędzonej przy położnicy. Była zawsze przekonana, że „taki łajdak jak Szatow może się zdobyć na podłą zdradę”, lecz przyjazd Marii Ignatiewny zmieniał całą sprawę. Przerazenie Szatowa, zrozpaczony ton jego prośby świadczyły o przewrocie w duszy zdrajcy. Człowiek zdecydowany na to, aby zgubić siebie, byle tylko zgubić innych, na pewno inaczej by wyglądał, inaczej przemawiał niż obecnie Szatow. Słowem, Arina Prochorowna postanowiła naocznie przekonać się o wszystkim. Wirgiński aprobował całkowicie jej decyzję. Jak gdyby kamień spadł mu z serca! Nawet jakaś nadzieja drgnęła w jego duszy: wygląd Szatowa zupełnie nie odpowiadał domysłom Wierchowieńskiego.

Szatow nie omylił się. Gdy wrócił do domu, zastał już Wirgińską. Przyszła przed chwilą i pogardliwie wypędziła Kirillo-wa, który sterczał przy wejściu na schody. Szybko odnowiła znajomość z żoną Szatowa, która nie chciała przypomnieć sobie, że się dawniej znały. Zastała ją w „opłakany stanie”, zdenerwowaną, rozgniewaną i pogrążoną w „najbardziej małodusznej rozpacz”. Po kilku minutach Wirgińska stanowczo opanowała sytuację.

- Co to pani przyszło do głowy, że zbyteczna jest droga akuszerka? - mówiła w chwili, gdy wchodził Szatow. - To wierutne głupstwa, fałszywe myśli wywołane przez stan anormalny. Przy pomocy jakiejś staruchy, zwykłej baby, ma pani pięćdziesiąt szans na smutne zakończenie, a wtedy kłopotów i kosztów będzie więcej niż przy najdroższej akuszerce. Skąd pani wie, że jestem drogą akuszerka? Zapłaci pani później, nie wezmę ani grosza więcej, niż się należy, a ręczę za rezultat. Przy mnie pani nie umrze; z gorszymi miałam do czynienia. A i dziecko także mogę choćby jutro oddać do przytułku, a potem na wieś na wychowanie, i na tym się skończy. Wyzdrowieje pani, weźmie się do odpowiedniej pracy i w krótkim czasie zwróci pani mężowi za lokal i koszta, które wcale nie będą takie duże...

582

- Nie o to chodzi... Nie mam prawa obarczać...

- To są uczucia racjonalne i świadczące o pani uspołecznieniu. Lecz proszę mi wierzyć, że Szatow nic prawie nie wyda, o ile zgodzi się choć na chwilę oprzytomnieć i zapomnieć o fantazjach. Niech tylko nie robi głupstw, niech nie bije w bęben i nie biega po mieście z wywieszonym ozorem. Gdyby mu dać swobodę ruchów, gotów jest do rana obudzić wszystkich lekarzy w mieście, jak zbudził już wszystkie psy na mojej ulicy. Lekarze tu niepotrzebni. Już mówiłam, że biorę na siebie całą odpowiedzialność... Jakąś kobiecinę można by było nająć do posług. To nic nie szkodzi. A zresztą i on może się na coś przydać zamiast robić głupstwa. Ma ręce i nogi, może pobiec do

apteki, nie urażając pani uczuć. Jakie to, do licha, dobrodziejstwo? Nie ma mowy o żadnym dobrodziejstwie! Czyż to nie on doprowadził panią do tego stanu? Czy to nie on poróżnił panią z domem, w którym była pani guwernantką, a kierował się jedynie egoistycznym zamiarem małżeństwa z panią? Słyszeliśmy o tym... Sam zresztą przyleciał teraz po mnie jak wariat i podniósł hałas na całą ulicę... Nie narzucam się nikomu i przyszedłam tylko przez wzgląd na panią. Uważam, że my musimy być solidarne. Oświadczyłam mu to, zanim wyszłam z domu. Jeżeli pani sądzi, że jestem zbyt uczynna, to do widzenia! Żeby tylko nie było biedy, której jeszcze łatwo zapobiec.

Nawet wstała przy tych słowach.

Marie była tak bezsilna, tak cierpiała i - prawdę mówiąc - tak bała się tego, co ją czekało, że nie miała odwagi rozstać się z Wirgińską. Czuła jednak nienawiść do tej kobiety, która mówiła wcale nie o tym, o czym ona myślała! Lecz zapowiedź możliwej śmierci, jeśliby poród miał się odbyć przy udziale niedoświadczonej baby, zabiła wstręt. Natomiast wobec Sza-towa zaczęła od tej chwili zachowywać się coraz bardziej wy-magająco i bezwzględnie. Zabroniła mu nie tylko patrzeć na siebie, lecz nawet odwracać się w stronę łóżka. Bóle stawały się coraz dotkliwsze, przekleństwa, a nawet wyzwiska, coraz bardziej wściekłe.

- E, my go wyprawimy stąd - wypaliła Wirgińska. - Jak on wygląda, tylko napędzi pani strachu, zbladł jak trup! I o co panu chodzi, zabawny dziwaku? To dopiero komedia!

Szaton nie odpowiadał. Postanowił nie odpowiadać ani słowa.

583

- Widywałam już głupich ojców w takich sytuacjach, także wariują. Lecz oni przynajmniej...

- Niech pani przestanie lub odejdzie stąd! Niech zdechnę. Niech pani nie mówi ani słowa! Nie chcę! - zaczęła krzyczeć Marie.

- „Ani słowa”, to niemożliwe, o ile pani sama nie straciła rozsądku. Tak sądzę. Trzeba przynajmniej mówić do rzeczy. Proszę powiedzieć: czy tu już coś przygotowano? Niech pan . odpowiada, bo ona nie może.

- A co właściwie jest potrzebne?

- To znaczy, że nic nie przygotowano.

Wyliczyła wszystko, co jest niezbędne. Trzeba przyznać, że ograniczyła się do rzeczy najkonieczniejszych, najbardziej prymitywnych. To i owo znalazło się u Szatowa. Marie wydobyła klucz i dała mu, aby poszukał w jej sakwojażu. Drżały mu ręce. Otwierał więc dłużej, niż trzeba było, nieznaną zamek. Marie obruszyła się na niego, gdy jednak podbiegła Wirgińska, aby odebrać mu klucz, nie pozwoliła jej zajrzeć do swoich rzeczy i z krzykiem i płaczem nalegała, aby szukał wyłącznie Szatow.

Po niektóre rzeczy trzeba było biec do Kiriłowa. Gdy tylko Szaton zerwał się, by wyjść, Marie zaczęła przeraźliwie krzyczeć, wołała go i uspokoiła się dopiero wtedy, gdy co tchu zawrócił i zapewnił ją, że wychodzi tylko na chwilę po to, co naj-niezbędniejsze, i natychmiast wróci.

- Trudno pani dogodzić, dobrodziejko! - śmiała się Wir-gińska. - To trzeba stać twarzą do ściany i nie ważyć się spojrzeć na panią, to znów nie wolno odejść ani na chwilę. Zaraz w płacz. Gotów jeszcze co pomyśleć. No, no, nie trzeba się gniewać ani bocyć, żartuję przecież.

- On nie ma prawa myśleć o niczym.

- Ta, ta, ta! Gdyby nie był zakochany w pani po uszy, toby nie latał po ulicy z wywieszonym ozorem i nie budził wszystkich psów. Rozbił u mnie szybę.

Szaton zastał Kiriłowa spacerującego wciąż z kąta w kąt. Był tak roztargniony, że zapomniał

nawet o przyjeździe żony Szatowa. Słuchał i nie rozumiał.

584

- Ach, tak - przypomniał sobie wreszcie, jak gdyby odrywając się z wysiłkiem i tylko na chwilę od myśli, która opanowała go całkowicie.-Ach, tak, baba... Baba czy żona? Poczekaj pan: i żona, i baba, tak? Pamiętani, chodziłem. Stara przyjdzie, lecz później. Bierz pan poduszkę. Co jeszcze? Tak... Niech pan poczeka! Szatow, czy zdarzają się panu chwile wieczystej harmonii?

- Kiriłłow! Panu nie wolno tak nie spać po nocach.

Kiriłłow ocknął się zupełnie i, rzecz dziwna, zaczął mówić pewniej i wyraźniej niż zwykle. Najwidoczniej już dawno sformułował, a może nawet zapisał swoje myśli.

- Bywają sekundy, nie więcej jak pięć, sześć, kiedy się czuje zniecała obecność wieczystej harmonii, osiągniętej całkowicie.³ To nie są rzeczy ziemskie. Nie mówię, że idą z nieba, lecz mówię, że człowiek, jako istota ziemska, nie może tego znieść. Trzeba się odmienić fizycznie lub umrzeć. Jest to uczucie wyraźne i bezsporne. Raptem jak gdyby odczuwa się całą przyrodę i człowiek mówi sobie: „Tak, to jest prawda.” Gdy Bóg stwarzał świat, mówił pod koniec każdego dnia stworzenia: „To jest dobre, to jest prawda.”⁴ To... to nie rozczulenie, lecz, tak, radość. Nie przebacza się nikomu, gdyż nie ma nic do przebaczenia. Nie kocha się - o, to jest wyższe od miłości! Najstraszniejsza rzecz, że jest tak przerażająco jasno i tak radośnie. Gdyby to trwało dłużej niż pięć sekund - dusza nie wytrzymałaby i musiałaby zniknąć. Przez te p”ięć sekund przeżywam całe życie i za te sekundy oddałbym całe życie, bo warto. Aby wytrzymać dziesięć sekund, trzeba by się odmienić fizycznie. Myślę, że człowiek powinien przestać się rozmnażać. Po co dzieci, po co rozwój, gdy cel jest już osiągnięty? W Ewangelii powiedziano, że przy zmartwychwstaniu nie będą rodziły, a będą jak aniołowie.⁵ To wskazówka. Żona pańska rodzi?

- Kiriłłow! Często się panu to zdarza?

- Raz na trzy dni lub raz na tydzień.

- To nie epilepsja?

- Nie.

- To znaczy, że będzie. Niech się pan strzeże. Mówiono mi, że tak się zaczyna ta choroba. Pewien epileptyk tak samo opisywał mi wrażenia przed atakiem. Zupełnie jak pan. Tak samo wyznaczał pięć sekund i mówił, że dłużej nie można

585

wytrzymać. Niech pan przypomni sobie dzban Mahometa, który nie zdążył się wylać, chociaż prorok obleciał na koniu cały raj.⁶ Dzban - to właśnie te pięć sekund, to zbyt przypomina pańską harmonię, a Mahomet był epileptykiem. Niech pan się strzeże. To choroba!

- Nie zdąży - łagodnie uśmiechnął się Kiriłłow.

VI

Mijała noc. Szatowa posyłano, łajano, wołano. Marie doszła do kulminacyjnego momentu obawy o życie. Krzyczała, że chce żyć „koniecznie, koniecznie”, że boi się umrzeć. „Nie trzeba, nie trzeba” - wołała. Gdyby nie Arina Prochorowna, byłoby źle. Wirgińska stopniowo opanowała pacjentkę, która zaczęła poddawać się każdemu jej słowu, każdemu okrzykowi jak małe dziecko. Wirgińska zwyciężała nie łagodnością, lecz surowym tonem. Pracowała natomiast po mistrzowsku. Zaczęło świtać. Arina Prochorowna raptem wymyśliła sobie, że Szatow wychodzi na schody, żeby się modlić, i zaczęła się śmiać. Marie także roześmiała się złośliwie, jadowniczo, jak gdyby to sprawiało jej ulgę. Wreszcie wypędzono Szatowa zupełnie. Nastął poranek, wilgotny i zimny. Szatow przyłgął twarzą do ściany, w kącie, zupełnie jak wtedy, gdy przyszedł Erkel. Drżał jak liść i bał

się myśleć, lecz mózg jego chwycił się wszystkiego, jak bywa we śnie. Marzenia wciąż go opanowywały, lecz natychmiast rwały się jak przegniłe nici. Z pokoju rozległ się wreszcie nie jęk, lecz przeraźliwy, zwierzęcy krzyk, nieznośny, niesamowity. Chciał zatkać uszy, lecz nie mógł. Padł na kolana, wołając nieprzytomnie: „Marie, Marie!” Aż wreszcie usłyszał krzyk, już inny, od którego zadrżał i zerwał się na równe nogi: krzyk niemowlęcia, słaby, niewyraźny. Przeżegnał się i wbiegł do pokoju. Na rękę Wirgińskiej krzyczała i trzepotała drobnymi rączkami i nóżkami malutka, czerwona, pomarszczona istota, zupełnie bezradna i zależna jak pyłek od każdego powiewu wiatru, lecz krzycząca i dająca świadectwo temu, że jest i że ma prawo do życia. Marie leżała bezwładna, po chwili jednak otworzyła oczy i spojrzała na Szatowa jakimś dziwnym wzrokiem. Było to spojrzenie zupełnie nowe, ale jakie mianowicie, Szatow nie był jeszcze

586
w stanie tego pojąć; nigdy przedtem nie widział i nie pamiętał takiego spojrzenia.

- Chłopak? Chłopak? - zbolełym głosem spytała Marie.

- Chłopczyk! - zawołała Wirgińska spowijając dziecko.

Gdy już spowiała je całkowicie i miała położyć na łóżku, pomiędzy dwiema poduszkami, oddała je na chwilę Szatowowi do potrzymania. Marie, jak gdyby w sekrecie przed Wirgińską, skinęła na niego; Szatow natychmiast zrozumiał i nachylił się, aby jej pokazać dziecko.

- Jaki... milutki... - szepnęła cicho, z uśmiechem.

- Fe! Jak on patrzy! - roześmiała się wesoło Wirgińska patrząc triumfująco na Szatowa. - Co to za mina!

- Powinna się pani cieszyć, Arino Prochorowno!... To wielka radość... - mamrotał Szatow, idiotycznie rozradowany, cały rozpromieniony po tych dwóch słowach Marie o dziecku.

- Jaka tam dla pana wielka radość? - żartowała dalej Wirgińska krzątając się i pracując bez wytchnienia.

- Tajemnica zjawienia się nowej istoty, wielka nierozwiązalna tajemnica, Arino Prochorowno. Szkoda, że pani tego nie rozumie!

Szatow bełkotał bez związku, pełen zachwytu, podniecony. Czuł zamęt w głowie i serce miał pełne jakiegoś niewypowiedzianego uczucia.

- Było ich dwoje, i oto trzeci człowiek, nowa dusza, całkowita, skończona, nie ludzkich rąk twór; nowa myśl i nowa miłość, aż strach... Nie ma nic wspanialszego na ziemi!

- Plecie pan! Po prostu dalszy rozwój organizmu i nic więcej. Nie ma w tym żadnej tajemnicy - śmiała się Wirgińska szczerze, wesoło. - W ten sposób każda mucha jest tajemnicą. Lecz w ogóle zbyt wielu ludzi nie powinni przychodzić na świat. Trzeba wpierw przerobić świat, a wtedy dopiero się rozmnażać. A tego bąka także trzeba będzie pojutrze oddać do przytułku... Tak zresztą lepiej.

- Nigdy nie oddani go do przytułku! - powiedział Szatow stanowczo, patrząc w podłogę.

- Usynowi pan?

- On jest moim synem.

- Oczywiście, także Szatow, podług prawa Szatow. Niech Pan nie udaje filantropa. Nie mogą się ludzie obejść bez fra-

587

zesów. Dobrze, dobrze, ale ot co, moi państwo - rzekła kończąc krzątanie - pora już na mnie. Rano przyjdę znowu, i wieczorem przyjdę, jeżeli trzeba będzie, a teraz, gdy już wszystko

skończyło się szczęśliwie, muszę lecieć do innych. Czekają od dawna. Tam u pana siedzi jakaś baba, to dobrze, lecz i mężulek niech nie odchodzi, niech pan posiedzi, może się pan przydać. Może żona nie wypędzi... Nie, nie... żartuję! Już przy bramie rzekła do Szalowa, który ją odprowadzał:

- Ubawił mnie pan doskonale. Pieniędzy od pana nie wezmę. Będę się śmiała nawet przez sen. Nie widziałam nigdy w życiu nic śmiesznie j szego niż pan tej nocy.

Wyszła zadowolona. Z wyglądu Szatowa i z jego rozmów rozumiała najwyraźniej, że ten człowiek „zabiera się do ojcostwa i jest fujarą”. Choć musiała nadłożyć drogi, wpadła jednak do domu przed pójściem do nowej pacjentki, aby złożyć relację Wirgińskiemu.

- Marie, ona zabroniła ci zaraz zasypiać...-nieśmiało odezwał się Szatow do żony - widzę, że to strasznie trudne... Ja tu posiedzę przy oknie i będę czuwał. Dobrze?

Usiadł przy oknie w ten sposób, że nie mogła go widzieć z łóżka. Po chwili jednak zawołała go i z odrazą w głosie kazała mu poprawić poduszkę. Starał się to zrobić. Patrzyła w ścianę.

- Nie tak, och, nie tak... Co za ręce! Szatow poprawił jej poduszkę.

- Schył się - zawołała dziwnie, nie patrząc na niego. Drgnął i nachylił się.

- Jeszcze... nie tak... bliżej... -i jej lewa ręka gwałtownie objęła go za szyję, a na czole poczuł jej mocny, wilgotny pocałunek.

- Marie!

Wargi jej drżały. Starła się opanować, lecz raptem uniosła się, oczy jej zabłyśły i zawołała:

- Mikołaj Stawrogin to łotr!

Bezwładnie, jak podcięta, upadła twarzą do poduszki i rozplakała się histerycznie, mocno ściskając w dłoni rękę Szatowa.

Od tej chwili nie puszczała go od siebie ani na krok. Zażądała, aby usiadł u jej wezgiłowia. Niewiele mówiła, lecz wciąż patrzyła na niego i uśmiechała się błogo. Stała się jak dziecko. Wszystko się zmieniło. Szatow też płakał rzewnie, to znów

588

opowiadał jej niestworzone rzeczy, jak pijany lub natchniony. Całował jej ręce. Słuchała w upojeniu, może nie rozumiejąc nawet, a osłabioną dłonią gładziła łagodnie jego włosy, bawiła się nimi. Opowiadał jej o Kiryłowie. Opowiadał, jak teraz zacznie się dla nich życie „nowe i na zawsze”. Mówił, że Bóg istnieje, że wszyscy są dobrzy... W zachwycie wyjęli znowu dziecko z poduszki, aby je obejrzeć.

- Marie - zawołał trzymając dziecko - koniec dawnemu szaleństwu, hańbie i martwocie! Będziemy pracowali. Nowe życie! We troje, tak, tak! Jak go nazwiemy, Marie?

- Jego? Jak nazwiemy? - powtórzyła ze zdziwieniem i na twarzy jej pojawił się wyraz gorzkości.

Załamano ręce, spojrzano na Szatowa z wyrzutem i znowu ukryła twarz w poduszce.

- Marie, co ci jest? - zawołał wystraszony.

- I ty mogłeś, mogłeś... Ty, nikczemniku!

- Marie, przebacz mi... Zapytałem tylko, jak będzie mu na imię. Nie wiem...

- Iwan, Iwan - odparła ze łzami w oczach. - Czy mogłeś przypuszczać, że dam mu jakieś inne, jakieś straszne imię?

- Marie, uspokój się, jesteś taka wzburzona.

- To nowa impertynencja. Wszystko tłumaczysz nerwami. Ręczę ci, że gdybym kazała nazwać go

tamtym, okropnym imieniem, anibyś zauważył. Zgodziłbyś się natychmiast! Niewdzięczni, nikczemni, wszyscy, wszyscy.

Za chwilę pogodzili się. Szatow namówił ją, aby zasnęła. Natychmiast zmorzył ją sen, lecz nie wypuszczała jego dłoni. Często budziła się, patrzyła na niego, jak gdyby w obawie, że odejdzie, i znów zasypiała.

Kiriłłow przysłał staruszkę, aby „złożyć życzenia”. Przysłał też herbatę, świeże kotlety i bulion z bułką. To wszystko „dla Marii Ignatiewny”. Chora chciwie wypila bulion. Stara przewinęła dziecko. Marie zmusiła Szatowa, aby zjadł kotlet.

Mijały godziny, Szatow zasnął ze zmęczenia na krześle, z głową na poduszce Marie. W takiej pozycji zastała ich Wir-gińska, która dotrzymała słowa i przyszła. Weszło zbudziła ich, pomówiła z Marie o rzeczach niezbędnych, obejrzała malca i znów poleciła Szatowowi, aby nie odchodził. Rzuciła tonem pogardliwym i wyniosłym parę dowcipów o „małżon-

589

kach” i wyszła, jeszcze bardziej zadowolona niż po pierwsze) wizycie.

Już było ciemno, gdy Szatow znowu się zbudził. Zapalił świecę i pobiegł po starą. Ledwo wszedł na klatkę schodową, gdy usłyszał jakieś kroki. Ktoś cicho, spokojnie szedł mu naprzeciw. Był to Erkel.

- Niech pan nie wchodzi! - szepnął Szatow, chwycił go za rękę i gwałtownie pociągnął do bramy. - Niech pan tu poczeka! Zupełnie o panu zapomniałem! Jak to nie w porę!

Tak się śpieszył, że nie wstąpił nawet do Kiriłłowa, a tylko wywołał stamtąd staruszkę. Marie wpadła w rozpacz, pełna oburzenia, że on „ośmiela się nawet myśleć o tym, żeby ją zostawić na chwilę”.

- Słuchaj! - wołał w zachwycie. - To już ostatni krok! A potem nowa droga! I już nigdy nie wrócimy do dawnych okropności.

Jakoś przekonał ją i obiecał wrócić punkt o dziewiątej. Mocno ją pocałował, pocałował dziecko i szybko wybiegł do Erkla.

Ruszyli w stronę parku Stawroginów w Skworesznikach, gdzie półtora roku temu w odludnym miejscu, na samym skraju, tam gdzie już zaczynał się sosnowy las, zakopana została drukarnia. Było to miejsce dzikie i puste, dość odległe od dworu i stamtąd niewidoczne. Od domu Filippowa trzeba było iść piechotą trzy i pół wiorsty, a może i cztery.

- Całą drogę piechotą? Wezmę dorożkę.

- Proszę nie brać - zaprotestował Erkel. - Na tym właśnie bardzo mi zależy. Dorożkarz to też świadek. Szli bardzo szybko.

- Erkel, mój chłopcze! - zawołał Szatow - czy pan był kiedy szczęśliwy ?

- A pan, jak widzę, jest teraz bardzo szczęśliwy... - z ciekawością rzekł Erkel.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

FATALNA NOC

Wirgiński w ciągu dnia poświęcił jakieś dwie godziny, aby obejść wszystkich naszych i oznajmić im, że Szatow na pewno nie zadenuncjuje, gdyż wróciła do niego żona i urodziło się dziecko, normalna więc „znajomość ludzkiego serca” wystarcza, aby stwierdzić, że nie może on być obecnie niebezpieczny. Ku wielkiemu zmartwieniu nie zastał w domu nikogo oprócz Erkla i Lamszyna.

Erkel wysłuchał go w milczeniu, jasnym spojrzeniem patrząc mu w oczy. Na wyraźne pytanie: „czy pójdzie do niego o szóstej?”, odpowiedział z łagodnym uśmiechem, że „oczywiście pójdzie”.

Lamszyn leżał w łóżku, z głową pod kołdrą. Wyglądał na poważnie chorego. Przestraszył się Wirgińskiego i po pierwszych jego słowach zaczął wymachiwać rękami, błagając, żeby go zostawili w spokoju. Jednakże wysłuchał relacji o Szatowie. Wiadomość o tym, że Wirgiński nikogo w domu nie zastał, nie wiadomo dlaczego niesłychanie poruszyła Lamszyna. Okazało się, że już wiedział (od Liputina) o śmierci Fiedki. Szybko i chaotycznie opowiedział o tym Wirgińskiemu, którego z kolei także zadziwił. Na wyraźne pytanie Wirgińskiego: „trzeba iść czy nie?”, zaczął znowu wymachiwać rękami i błagać, „żeby dali mu spokój, bo on nic nie wie”.

Wirgiński wrócił do domu, wyczerpany i niespokojny; ciężko też mu było ukrywać całą rzecz przed rodziną; zwykł żonie opowiadać wszystko i gdyby w tej chwili w rozpalonym jego mózgu nie powstała nowa myśl i nowy plan działania,

591

prawdopodobnie położyłby się do łóżka tak samo jak Lamszyn. Lecz ta nowa myśl dodała mu siły. Zaczął nawet niecierpliwie oczekiwać godziny spotkania i wcześniej niż trzeba wyruszył na umówione miejsce.

Był to bardzo ponury zakątek w końcu ogromnego parku w Skworesznikach. Umyślnie chodziłem tam potem, aby obejrzeć to miejsce. Jak ponuro musiało wyglądać w ten surowy wieczór jesienny! Zaczynał się tu stary las; olbrzymie, wiekowe sosny rysowały się w mroku niewyraźnymi plamami. Było tu tak mroczno, że już o dwa kroki trudno było kogoś rozpoznać, lecz Wierchowieński, Liputin, a potem i Erkel przyszedli z latarniami. Nie wiadomo po co i kiedy, już bardzo dawno, zbudowano tu jakąś dziwną grootę z paru nie ociosanych kamieni. Stół i ławki wewnątrz groty dawno już spróchniały i rozsypały się. O dwieście kroków na prawo kończył się trzeci staw parkowy. Te trzy stawy, zaczynając od samego pałacu, ciągnęły się jeden za drugim na przestrzeni wiorsty, aż do samego końca parku. Trudno było przypuścić, aby jakikolwiek krzyk, hałas czy nawet odgłos strzału mogły dojść do uszu mieszkańców pałacu, zresztą dość nielicznych. Po wczorajszym wyjeździe Mikołaja Stawrogina i po odejściu Aleksego Jegorycza w całym domu znajdowało się nie więcej niż pięć, sześć osób, raczej, że się tak wyrażę, inwalidów. W każdym razie można było twierdzić z całą pewnością, że gdyby nawet ktokolwiek z nich postyszał kroki, to najwyżej by się przeraził, ale żaden z nich nie ruszyłby się od ciepłego pieca.

Dwadzieścia po szóstej wszyscy oprócz Erkla, którego wydelegowano do Szatowa, byli już na miejscu. Piotr Stiepanowicz tym razem nie spóźnił się, przyszedł z Tołkaczenką. Tołkaczenko był ponury i zakłopotany. Cała jego sztuczna i natrętnie napuszczona zuchwałość znikła. Nie odstępował ani na krok Piotra Stiepanowicza, jak gdyby był mu niesłychanie oddany. Wciąż przysuwał się do niego i coś mu szeptał, lecz Wierchowieński prawie nie odpowiadał albo mruczał coś od niechcenia, byle się odczepić.

Szygalew i Wirgiński zjawili się jeszcze przed Wierchowieńskim. Po jego przybyciu odeszli nieco na bok, w głębokim, prawie demonstracyjnym milczeniu. Wierchowieński podniósł latarnię i bezceremonialnie, wprost obrażająco, obejrzał wszystkich. „Chcieliby jeszcze pogadać” - przemknęła mu myśl.

592

- Nie ma Lamszyna? - zapytał Wirgińskiego. - Kto mówił, że on jest chory?

- Jestem tutaj - odezwał się Lamszyn wysuwając się zza drzewa.

Był w zimowym palcie, szczelnie otulony pledem, toteż trudno było go poznać nawet w świetle latarni.

- A więc nie ma tylko Liputina?

Liputin w milczeniu wyszedł z groty. Piotr Stiepanowicz znów podniósł latarnię.

- Po co pan się tam schował? Dlaczego pan nie wyszedł od razu?

- Sądzę, że każdy z nas zachowuje swobodę... własnych ruchów - wybełkotał Liputin, sam nie wiedząc, co chce przez to powiedzieć.

- Panowie - odezwał się głośno Piotr Stiepanowicz, po raz pierwszy nie szeptem, co wywarło na wszystkich pewne wrażenie. - Jak sądzą, rozumiecie wszyscy, że nie ma tu już o czym gadać. Wczoraj już wszystko zostało powiedziane wyraźnie i jasno i zostało ostatecznie przetrawione. Widzę jednak z waszych twarzy, że macie coś jeszcze do powiedzenia. W takim razie proszę! Do diabła! Nie mamy czasu. Erkel może go zaraz przyprowadzić...

- Na pewno przyprowadzi - wtrącił nie wiadomo po co Tołkaczenko.

- O ile się nie mylę, przede wszystkim ma się odbyć zwrot drukarni - powiedział Liputin, znów nie rozumiejąc, o co pyta.

- Rozumie się. Dlaczego mamy tracić inwentarz - odpowiedział Piotr Stiepanowicz podnosząc latarnię na wysokość twarzy Liputina. - Lecz wczoraj przecie uchwaliliśmy, że nie będziemy odbierali drukarni. Byle tylko pokazał miejsce, gdzie jest zakopana, a potem sami odkopimy. Wiem, że to o dziesięć kroków od któregoś z rogów tej grotki... Lecz, do diabła, jak mogliście o tym zapomnieć! Było umówione, że przede wszystkim spotka go sam Liputin, a potem wejdziemy i my... Dziwne, że pan, panie Liputin, stawia jakieś pytania. Czy też mówił pan tylko tak sobie?

Liputin milczał ponuro. Milczeli wszyscy. Wiatr kołysał wierzchołkami sosen.

- Mam jednak nadzieję, panowie, że każdy z was spełni swój obowiązek - odezwał się niecierpliwie Wierchowieński.

593

Znienacka zabrał głos Wirgiński. Był wzburzony, śpieszył się, ledwo wymawiał słowa i gestykulował.

- Wiem, że do Szatowa wróciła żona i urodziła dziecko... Znając ludzkie serce... można twierdzić na pewno, że teraz nie zadencjuje... bo jest szczęśliwy... Biegałem do wszystkich, lecz nie zastałem w domu... więc może już teraz nic nie trzeba...

Urwał. Brakło mu tchu.

Piotr Stiepanowicz podszedł do niego.

- Gdyby tak pan, panie Wirgiński, stał się znienacka szczęśliwy? Czy odłożyłby pan - nie denuncjację, bo o tym nie może być mowy - lecz jakiś wymagający ryzyka czyn obywatelski, który byś pan planował jako spełnienie obowiązku, niezależnie od ryzyka i wbrew" osobistemu szczęściu?

- Nie, nie odłożyłbym! Za nic bym nie odłożył! - odpowiedział Wirgiński, nienormalnie podniecony, rozgorączkowany.

- Wolałby pan zostać znów nieszczęśliwym niż stać się łajdakiem?

- Tak... Tak... Nawet... wolałbym być skończonym łajdakiem... to jest, nie... wcale nie łajdakiem, przeciwnie, wolę być najniezszczęśliwszym niż łajdakiem.

- Pamiętajcie więc panowie, że Szatow traktuje denuncjację jako spełnienie obowiązku, jako spłacenie długu najgłębszym własnym przekonaniem. Przecież sam ryzykuje wobec rządu, chociaż niezawodnie dużo mu przebaczą za denuncjację. Taki człowiek nie będzie odkładał. Żadne szczęście go nie załamie! Opamięta się jutro! Zacznie okazywać skruchę. Pójdzie - i wykona. A zresztą nie widzę szczęścia w tym, iż żona, po trzech latach rozłąki, wraca do niego, aby urodzić

dziecko Stawrogina.

- Lecz nikt przecie nie widział donosu! - przerwał mu raptem Szygalew stanowczym głosem.

- Ja widziałem! - zawołał Piotr Stiepanowicz. - Donos jest i to wszystko są brednie, moi panowie!

- A ja... -krzyknął raptem Wirgiński - protestuję! Protestuję z całych sił! Ja bym chciał... ja bym chciał, panowie... żeby, kiedy on przyjdzie, wszyscy weszli i zapytali go. Jeżeli to prawda, niech się kaja... jeśli da słowo honoru, można go zostawić w spokoju. W każdym razie niech będzie sąd! Osądźmy go! Tak nie wolno - chować się i napadać z ukrycia...

594

- Ryzykować na słowo honoru wspólną sprawę to szczyt głupoty! Do diabła! Jakie to głupie, panowie! Jakieżże to roli podjął się pan, panie Wirgiński, w decydującym momencie?

- Protestuję, protestuję!-wołał Wirgiński.

- Mógłbyś pan nie krzyżeć przynajmniej. Nie posłyszemy sygnału. Szatow, panowie... (Boże, jak to nie w porę!) Jużem wam mówił, że Szatow jest słowianofilem. To znaczy, że należy do ludzi najgłupszych... To. zresztą wszystko jedno, do licha! Nie o to chodzi! Sami zbijacie mnie tylko z tropu!... Szatow, panowie, był człowiekiem pełnym gniewu... Ponieważ należał bądź co bądź do stowarzyszenia, może nawet wbrew woli, więc aż do ostatniej chwili spodziewałem się, że można będzie wyzyskać go do wspólnej sprawy, jako człowieka pełnego gniewu. Oszczędzałem go i chronilem, wbrew najściślejszym instrukcjom... Oszczędzałem go stokroć więcej, niż na to zasługiwał! Lecz skończyło się na tym, że zadun-cjował. Ale, do diabła, my gwizdźmy na to! Lecz niech który z was spróbuje się teraz wysliznąć! Nikomu nie wolno porzucać sprawy! Możecie całować się z nim, jeśli to wam dogadza, nie wolno jednak na słowo honoru zdradzać sprawy ogólnej. Tak postępują świny albo ludzie kupieni przez rząd!

- Któż tu kupiony jest przez rząd? - wycedził Liputin.

- A może pan! Lepiej by pan milczał, panie Liputin. Gada pan tak sobie, z nałogu. Kupieni są wszyscy, którzy zdradzają w chwili niebezpieczeństwa. Zawsze znajdzie się idiota, który w ostatniej chwili podda się obawie, zacznie biegać i wołać: „Darujcie mi, a sprzedam wszystkich!” Wiedźcie jednak, panowie, że żadnemu z was za żadną denuncjację nikt już nie przebaczy. Może o dwa stopnie zniżyć karę, w każdym razie czeka was Syberia. A zresztą nie ominie was i inna zemsta. A ta inna jest groźniejsza od rządowej.

Piotr Stiepanowicz był wściekły i nagadał zbyt dużo. Szygalew stanowczym krokiem podszedł do niego. Zaczął mówić spokojnie, metodycznie, jak zawsze (myślę, że gdyby ziemia się pod nim rozstępowała, nie podniósłby głosu i nie zmienił ani na jotę swego przemówienia).

- Od wczoraj przemyślałem całą sprawę. Przemyślałem i przekonałem się, że zamierzone zabójstwo nie tylko jest stratą czasu, który winien być użyty na rzeczy bardziej realne i istotne, lecz oprócz tego byłoby zgubnym odchyleniem od drogi

as* 595

normalnej, zawsze szkodzącym sprawie i na dziesiątki lat odsuwającym pożądaną rezultaty. Tak zawsze bywa, gdy zwyciężają wpływy ludzi lekkomyślnych i przede wszystkim poli-tykujących, obcych zasadom czystego socjalizmu. Przyszedłem tu po to tylko, aby zaprotestować przeciwko zamierzonej zbrodni dla pouczenia innych, po wtóre zaś, aby się odsunąć od tego, co nazywacie wszyscy, nie wiadomo dlaczego, chwilą wspólnego niebezpieczeństwa. Odchodzę - nie z obawy przed niebezpieczeństwem i nie przez litość względem Szatowa, z którym całować się nie mam zamiaru, lecz dlatego jedynie, że cała ta sprawa, od początku do końca, jest kompletnie sprzeczna z moim programem. Co się zaś tyczy domniemanej denuncjacji i przekupienia przez rząd - to bądźcie spokojni: żadnej denuncjacji nie będzie. Odwrócił się i poszedł.

- Do diabła! - zawołał Wierchowieński wyjmując rewolwer. - Spotka ich i uprzedzi Szatowa. Rozległ się trzask odwodzonego kurka. Szygalew odwrócił się znowu.

- Niech pan będzie spokojny, jeśli spotkam Szatowa, może mu się uklonię, lecz nie będę go uprzedzał...

- Czy pan wie, panie furierysto, że może pan odpokutować za to?

- Niech pan weźmie pod uwagę, że nie jestem furierystą. Identyfikując mnie z tym kłiwym, oderwanym od życia ciemięgą, składa pan dowód, że nie zna pan wcale mego rękopisu, chociaż miał go pan w ręku. Co zaś do zemsty, to powiem panu, że odwodzenie kurka było zupełnie zbyteczne. Takie załatwienie sprawy byłoby w tej chwili niewygodne dla pana. Jeżeli zaś ta groźba ma się spełnić jutro lub pojutrze, to znów by pan nic nie zyskał. Może pan mnie zabić, lecz mimo to wróci pan do mojej teorii. Żegnajcie, panowie!

W tej chwili o paręset kroków, od strony parku, od stawku, rozległo się gwizdanie. Liputin, zgodnie z wczorajszą umową, odpowiedział tak samo świstem. (W tym celu, nie licząc zbytnio na bezzębne usta, kupił rano na targu za kopiejkę gliniany gwizdek dziecienny.) Szatow był uprzedzony przez Erkla, że będą sygnały, żadna więc obawa nie powstała mu w głowie.

- Nie bójcie się - przekonywająco wyszeptał Szygalew. - Przejdę obok, tak że mnie nie zauważą.

596

Pomału, nie przyspieszając kroku, skierował się do domu przez ciemny park.

Już teraz dokładnie wiadomo, do najdrobniejszych szczegółów, jak się ta straszna rzecz odbyła. Liputin spotkał Erkla i Szatowa tuż przy grocie. Szatow nie uklonił się ani nie podał ręki, lecz natychmiast odezwał się głośno, z pewnym pośpiechem:

- Gdzie wy tu macie rydel? Czy nie ma drugiej latarni? Ależ nie bójcie się, tu nie ma nikogo, a w Skworesznikach teraz nie posłyszają, choćbyśmy z armat strzelali. To tu, tu, w tym właśnie miejscu...

Stuknął nogą o dziesięć kroków od tylnego rogu groty, w kierunku lasu. W tej chwili zza drzewa skoczył na niego Toł-kaczenko, Erkel zaś schwycił go z tyłu za łokcie. Liputin rzucił się do przodu. Wszyscy trzej zbili go z nóg i przygnietli do ziemi. Natychmiast podbiegł i Piotr Stiepanowicz z rewolwerem. Mówią, że Szatow zdążył zwrócić ku niemu twarz i mógł się mu przyjrzeć i poznać. Trzy latarnie oświetlały tę scenę. Szatow krzyknął krótko i rozpaczliwie. Nie dano mu jednak krzyżeć. Piotr Stiepanowicz chłodno i dokładnie przystawił mu rewolwer do skroni, mocno i zdecydowanie, i - spuścił cyngiel. Wystrzał, jak się zdaje, nie był zbyt głośny. W każdym razie w Skworesznikach nic nie słyszano. Słyszał oczywiście Szygalew, który nie zdążył chyba odejść dalej niż trzysta kroków, słyszał i krzyk, i strzał, lecz jak sam potem oświadczył, nie obrócił się ani nawet nie zatrzymał. Śmierć nastąpiła momentalnie. Całkowitą przytomność (wątpię, czy i zimną krew) ujawnił tylko Piotr Stiepanowicz. Przysiadł przy trupie i zaczął spieszenie, lecz spokojnie, przeszukiwać kieszenie. Pieniądzy nie było (portmonetka została pod poduszką Marii Ignatiówny). Było parę nic nie znaczących papierków: jakiś świstek biurowy z tytułem jakiejś książki i stary zagraniczny rachunek restauracyjny, który Bóg wie dlaczego przeleżał dwa lata w kieszeni. Piotr Stiepanowicz schował te papierki. Zauważywszy nagle, że wszyscy skupili się, patrzą na trupa i nic nie robią, zaczął brutalnie, z irytacją w głosie, łajać ich i popędzać. Tołkaczenko i Erkel opamiętali się, wbiegli szybko do groty i przynieśli stamtąd dwa kamienie, po dwadzieścia funtów każdy, przyniesione tam z rana i przygotowane, czyli mocno i starannie obwiązane sznurkiem. Ponieważ zgodnie

597

z postanowieniem należało wrzucić trupa do najbliższego (trzeciego) stawu, zaczęto przywiązywać te kamienie do nóg i do szyi. Przywiązywał je Piotr Stiepanowicz, a Tołkaczenko i Erkel

podtrzymywali i pomagali. Erkel podał pierwszy kamień i póki Piotr Stiepanowicz, irytując się i wymyślając, związywał sznurem nogi trupa i przywiązywał do nich kamień, Tołkaczenko przez cały ten czas trzymał swój kamień w ręku, pochylony i gotów podać go na pierwsze żądanie, i nie pomyślał nawet o tym, że przecież może tymczasem położyć swój ciężar na ziemi. Gdy wreszcie oba kamienie były przywiązane, Piotr Stiepanowicz podniósł się i rozejrzał po obecnych. W tej chwili stało się coś zupełnie nieoczekiwanego i zadziwiającego.

Jak już mówiłem, wszyscy stali beczynnymi oprócz chyba Tołkaczenki i Erkla. Wirgiński rzucił się w odpowiednim momencie na Szatowa, tak samo jak inni, lecz nie tknął go i nie pomógł trzymać. Lamszyn zaś znalazł się pośrodku grupy dopiero po strzale. Potem zaś wszyscy przez cały czas dzie-sięciominutowej krzątaniny byli półprzytomni. Skupili się dokoła i czuli na razie raczej zdziwienie niż trwogę i niepokój. Liputin stał z przodu, tuż przy trupie. Wirgiński za nim, wyglądając spoza jego ramienia z jakąś dziwną, jak gdyby nieprzytomną ciekawością j nawet stawał na palcach, aby lepiej widzieć. Lamszyn schował się za Wirgińskiego i tylko od czasu do czasu trwożnie wyglądał i znów się chował. Gdy kamienie zostały już przywiązane, a Wierchowieński podniósł się, Wirgiński zaczął drzeć gwałtownie, załamał ręce i zawołał na cały głos z rozpaczą:

- To nie to, nie to! Nie, to zupełnie nie to!

Może by jeszcze coś dorzucił do swego tak spóźnionego okrzyku, lecz Lamszyn nie dał mu skończyć: chwycił go raptem z tyłu, wczepił się w niego i zaczął wyc dzikim głosem. Bywają chwile przerażenia, gdy człowiek krzyczy nie swoim głosem, lecz takim, który nigdy chyba nie wydobyłby mu się z gardła - są to rzeczy straszne. Lamszyn wydał z siebie jakieś wycie nie ludzkie, lecz zwierzęce. Kurczowo ściskając z tyłu Wirgińskiego, wył coraz głośniejsze, bez przerwy, wytrzeszczywszy oczy, szeroko otworzył usta i tupał nogami, jak gdyby wybijając werbel. Wirgiński tak się przestraszył, że sam zaczął krzyczeć jak szalony. Z wściekłością i zapamiętaniem, zupełnie

598

mu obcym, zaczął wyrwać się z rąk Lamszyna, drapiąc go i bijąc, choć z trudem go dosięgał. Erkel pomógł mu wreszcie odciągnąć Lamszyna. Lecz gdy Wirgiński odskoczył w przerażeniu o dziesięć kroków w bok, Lamszyn, zobaczywszy nagle Piotra Stiepanowicza, zawył znowu i rzucił się na niego. Potknąwszy się o trupa, upadł na Piotra Stiepanowicza i tak mocno chwycił go w pól, wciskając swoją głowę w jego piersi, że ani Piotr Stiepanowicz, ani Liputin w pierwszej chwili nie mogli nic zrobić. Piotr Stiepanowicz krzyczał, wymyślał, bił napastnika pięścią po głowie; wreszcie oderwał się jakoś, wyjął rewolwer i nastawił lufę wprost w szeroko otwarte usta wciąż jeszcze wyjącego Lamszyna, którego zdążyli mocniej chwycić za ręce Tołkaczenko, Erkel i Liputin; lecz Lamszyn nie przestawał wyc pomimo rewolweru. Wreszcie Erkel, zwinąwszy jako tako swą fularową chustkę, zręcznie wsadził ją Lamszynowi do ust i wtedy dopiero wycie umilkło. Tołkaczenko tymczasem związał mu z tyłu ręce pozostałym kawałkiem sznurka.²

- To bardzo dziwne - rzekł Piotr Stiepanowicz zatrwożony, że zdziwieniem oglądając oszalałego. Najwidoczniej był tym zaskoczony.

- Myślałem o nim zupełnie inaczej - dodał zamyślony.

Na razie przy Lamszynie zostawiono Erkla. Trzeba było się śpieszyć z usunięciem trupa. Tyle było krzyku, że mógł wreszcie ktoś posłyszeć. Tołkaczenko i Piotr Stiepanowicz podnieśli latarnię i wzięli trupa za ramiona; Liputin z Wirgińskim chwycili za nogi i ponieśli. Ciało z dwoma kamieniami było ciężkie, a odległość - ponad dwieście kroków. Tołkaczenko był najsilniejszy. Doradził iść w nogę, lecz nikt mu nie odpowiedział i każdy szedł po swojemu. Piotr Stiepanowicz szedł z prawej strony, pochłonięty całkowicie tym, co robił, i niósł na ramieniu głowę trupa, lewą zaś ręką podtrzymywał z dołu kamień. Tołkaczenko przez pół drogi nie domyślił się, by mu w tym

pomóc; wreszcie Piotr Stiepanowicz głośno krzyknął na niego. Okrzyk ten był nieoczekiwany; wszyscy nieśli dalej w milczeniu i dopiero przy samym stawie Wirgiński, uginając się pod ciężarem, jak gdyby wyczerpany, wykrzyknął znowu głosem płaczliwym i donośnym:

- To nie to, nie, nie, to zupełnie nie to!

Miejsce, gdzie się kończył ten trzeci, dość duży staw skwo-
599

resznikowski i gdzie przyniesiono zabitego, należało do najbardziej ustronnych w parku. Rzadko kto tam zaglądał, zwłaszcza o tak późnej porze roku. Staw był w tym miejscu zarośnięty przy brzegu. Postawiono latarnię, rozbujano trupa i wrzucono go do wody. Rozległ się odgłos głuchy, przeciągły. Piotr Stiepanowicz podniósł latarnię, a za nim wyciągnęli szyje wszyscy, aby zobaczyć, jak pograżył się zabity. Lecz nic nie było widać: ciało z dwoma kamieniami natychmiast poszło na dno. Szerokie kręgi, rozchodząc się po wodzie, szybko zniknęły. Było już po wszystkim.

- Panowie - zwrócił się Piotr Stiepanowicz do zebranych. - Rozejdźmy się teraz. Niewątpliwie powinniście wszyscy odczuwać tę nieskrępowaną dumę, która towarzyszy zawsze spełnieniu przyjętego dobrowolnie obowiązku. Jeżeli teraz niestety jesteście zbyt podnieceni, aby to odczuć, nie wątpię, że będziecie przeżywać to jutro, gdyż jutro wstyd już wam będzie poddawać się nerwom. Zbyt hańbiące zachowanie Lamszyna gotów jestem traktować jako chorobliwe majaczenie, tym bardziej że istotnie jest chory od wczoraj. A pan, panie Wirgiński, chwila spokojnej rozwagi wykaże, że w imię wspólnej sprawy nie wolno było polegać na słowie honoru, lecz trzeba było zrobić tak, jak zrobiliśmy. Przekonacie się w przyszłości, że powody do obaw nie były płonne. Gotów jestem zapomnieć o waszych okrzykach. Obecnie nie ma już żadnego niebezpieczeństwa. Nikomu nie przyjdzie nawet do głowy podejrzewać was, zwłaszcza o ile będziecie się zachowywali odpowiednio. Bądź co bądź wszystko zależy tylko od was i od waszego głębokiego przekonania, w którym, mam nadzieję, utwierdzicie się do jutra. Po toście się połączyli w odrębną organizację wolnych ludzi jednakowo myślących, aby dla wspólnej sprawy dodawać jeden drugiemu energii, a gdy zajdzie potrzeba, pilnować jeden drugiego i obserwować. Każdy z was z osobna ponosi odpowiedzialność wobec władz wyższych. Powołani jesteście, aby ożywić zaskorupiałą i st; chłą sprawę, niech świadomość tego dodaje wam zaws-otuchy. Każdy wasz krok zdążać winien do tego, aby waL". się wszystko: i państwo, i jego moralność. Zostaną tylko c którzy zawczasu wyznaczili sobie do zagarnięcia władzy: mądrych pozyskamy, a pojedziemy na plecach głupców. Nie trzeba się tego wstydzić. Trzeba wychować na nowo pokole-

600

nie, aby uczynić je godnym wolności. Jeszcze będą tysiące Szatowów. Organizujemy się, aby zagarnąć ster w ręce. Wszystko, co leży na drodze i samo nam idzie w ręce, musimy brać. Wstyd nie brać. Teraz wybieram się do Kiryłowa. Do rana uzyskam dokument, w którym ten wariat, umierając, złoży oświadczenie i całą winę weźmie na siebie. To będzie aż nadto wiarygodne. Przede wszystkim Kiryłow był wrogiem Szalowa. Mieszkali razem w Ameryce, więc mieli czas się poróżnić. Wiadomo, że Szatow zmienił przekonania. To znaczy, że wrogość Kiryłowa wynikła z różnic programu ideowego i z obawy przed denuncjacją. Taka wrogość nigdy nie przebacza. To wszystko będzie napisane. Będzie też wzmianka o tym, że u niego, w domu Filippowa, mieszkał Fiedka. W ten sposób wszystkie podejrzenia będą od nas odsunięte. Te baranie głowy zagubią się w domysłach do reszty. Już nie zobaczymy się jutro, panowie. Na krótki czas wyjeżdżam na prowincję. Pojutrze otrzymacie ode mnie wiadomość. Radziłbym wszystkim jutro nie opuszczać mieszkań. Teraz rozejdźmy się parami w rozmaite strony. Tołkaczenko niech zaopiekuje się Lamszynem i odwiezie go do domu. Trzeba jakoś wpłynąć na niego, przede wszystkim zaś wytłumaczyć mu, do jakiego stopnia swoim zachowaniem sam siebie naraża. Co do pańskiego krewnego, Szygalewa, i co do pana, panie Wirgiński, nie mam żadnych obaw. Z tej strony nie grozi nam niebezpieczeństwo - nie będzie denuncjacji. Pozostaje tylko ubolewać nad postępkami Szygalewa. Ponieważ jednak sam nie oświadczył dotychczas, że opuszcza stowarzyszenie,

przedwcześnie byłoby go likwidować. Prędeż, panowie. Chociaż oni mają baranie głowy, lecz ostrożność nigdy nie zawadzi...

Wirgiński ruszył z Erkel, przekazując Lamszyna Tołkaczence, zdążył przedtem podprowadzić go do Piotra

Stiepanowicza i oświadczyć w imieniu Lamszyna, że ów opamiętał się, błaga o przebaczenie i nie pamięta nawet, co się z nim działo. Piotr Stiepanowicz poszedł sam, obchodząc naokoło stawy od strony parku. Była to najdłuższa droga.

Zdziwił się, gdy w pół drogi dopędził go Liputin.

- Piotrze Stiepanowiczu, przecież Lamszyn wygada się!

- O nie, on się opamięta i zrozumie, że w wypadku donosu pierwszy poszedłby na Syberię. Teraz wszyscy będą milczeli. Pan także.

601

- A pan?

- O, na pewno zapakuję was wszystkich, gdy tylko ruszy się który, aby zdradzić. Pan wie dobrze o tym. Teraz pan nie zdradzi. Czy po to pan biegł za mną dwie wiorsty?

- Piotrze Stiepanowiczu! Piotrze Stiepanowiczu! Przecież my może już nigdy się nie zobaczymy!

- Skąd panu to przyszło do głowy?

- Niech mi pan powie tylko jedno!

- O co chodzi? Wolałbym, żeby pan sobie poszedł!

- Proszę o jedną odpowiedź, ale prawdziwą: czy my jesteśmy jedyną piątką na świecie? Czy to prawda, że istnieją setki takich piątek? Tu nie o mnie chodzi, Piotrze Stiepanowiczu, lecz o sprawę!

- Widzę to z pańskiego podniecenia. Czy wie pan, że pan jest niebezpieczniejszy od Lamszyna?

- Wiem, wiem, lecz proszę o odpowiedź, o pańską odpowiedź !

- Głupi z pana człowiek! Teraz to już chyba wszystko jedno panu, czy jest jedna piątka, czy tysiąc.

- Więc tylko jedna! Wiedziałem! - zawołał Liputin. - Wiedziałem zawsze, że tylko jedna. Aż do tej chwili...

Nie doczekawszy się innej odpowiedzi, odwrócił się i szybko znikł w mroku.

Piotr Stiepanowicz zamyślił się.

„Nie, nie zadenuncjuje nikt - zdecydował wreszcie. - Lecz kółko powinno zostać kółkiem i słuchać mnie, inaczej... Jacy z nich jednak mali ludzie!”

II

Wstąpił przede wszystkim do siebie i starannie, bez pośpiechu, spakował rzeczy. Nazajutrz o szóstej odchodził pociąg specjalny. Ten specjalny pociąg ranny odchodził tylko raz na tydzień i został wprowadzony niedawno, na razie na próbę. Piotr Stiepanowicz uprzedzał naszych, że wyjeżdża na jakiś czas na prowincję, okazało się jednak potem, że miał plany zupełnie inne. Skończył się pakować - załatwił rachunek z gospodynią, która już była uprzedzona o jego wyjeździe, i pojechał dorożką do Erkla, który mieszkał w pobliżu dworca.

602

Potem, już około pierwszej w nocy, wyruszył do Kiryłowa, przedostawszy się znowu przez dziurę w płocie.

Piotr Stiepanowicz był w fatalnym humorze. Niezależnie od innych, bardzo poważnych przykrości (nie wiedział na przykład dotychczas nic o Stawroginie), otrzymał w ciągu dnia, mam przynajmniej dane po temu, sekretną wiadomość o grożącym mu jakoby jakimś niebezpieczeństwie (zdaje się, że wiadomość ta była z Petersburga). U nas w mieście krążą dotychczas najrozmaitsze legendy o tym okresie; chyba tylko ci, którzy powinni o wszystkim wiedzieć służbowo, mają ściśle informacje. Ja zaś, opierając się wyłącznie na własnych domysłach, sądzę, że Piotr Stiepanowicz mógł mieć jakieś sprawy i gdzie indziej, poza naszym miastem, toteż mógł rzeczywiście otrzymywać wiadomości. Jestem nawet przekonany, wbrew cynicznym i zuchwałym przypuszczeniom Liputina, że poza naszą piątką Piotr Stiepanowicz mógł mieć ze dwie, trzy piątki, na przykład w Petersburgu lub w Moskwie, a jeżeli nawet nie piątki, to przynajmniej stosunki i może nawet bardzo interesujące. Nie dalek jak w trzy dni po jego wyjeździe nadszedł z Petersburga na ręce naszych władz nakaz natychmiastowego aresztowania go. Nie wiem, za jakie sprawy: za te nasze czy za jakieś inne. Rozkaz nadszedł akurat po to, aby wzmocnić tu wstrząsające wrażenie nieomal mistycznego strachu, który nagle opanował nasze władze i tak lekkomyślne dotychczas społeczeństwo. Ten strach rozpowszechnił się zwłaszcza po wykryciu zabójstwa studenta Szatowa, zabójstwa, które wyczerpało już miarę wszelkich potworności, a dokonane zostało w okolicznościach niezmiernie zagadkowych. Ale nakaz spóźnił się: Piotr Stiepanowicz był już wtedy w Petersburgu pod cudzym nazwiskiem, stamtąd zaś, zwierywszy niebezpieczeństwo, momentalnie umknął za granicę... Wypredzam jednak ogromnie zachodzące wypadki. x Piotr Stiepanowicz wszedł do Kiryłowa zły, skłonny do sprzeczki. Niezależnie od kwestii zasadniczej, miał ochotę jak gdyby wylać całą swoją złość na Kiryłowa, wymusić coś na nim, zemścić się. Kiryłow jak gdyby ucieszył się z jego przybycia. Widać było, że zbyt długo i zbyt niecierpliwie czekał. Miał twarz bledszą niż zwykle, a spojrzenie jego ciemnych oczu było ciężkie i nieruchome.

- Myślałem, że już pan nie przyjdzie - odezwał się po-

603

miro z rogu kanapy, skąd, nawiasem mówiąc, nie ruszył się, aby powitać gościa.

Piotr Stiepanowicz stanął przed nim i zamiast przywitać się, zaczął mu się bacznie przyglądać.

- To znaczy, że wszystko w porządku i nie odstępiliśmy od naszych postanowień. Brawo! -

Wierchowieński uśmiechnął się pogardliwie. - Jeżeli tak - dodał tonem niesmacznie żartobliwym - nie może się pan skarżyć na to, że się spóźniłem: podarowałem panu trzy godziny.

- Nie chcę od pana tych trzech godzin. I w ogóle nie możesz mi nic darować... głupcze!

- Co? - obruszył się Piotr Stiepanowicz, po chwili jednak opanował się. - Co za fochy! Widzę, że jesteśmy wściekli! - wyskandował z pogardliwą wyniosłością. - W takiej chwili pasowałby raczej spokój. Najlepiej by było, gdyby pan traktował teraz siebie jak Kolumba, a mnie jak mysz, i nie obrażał się na mnie. Już wczoraj doradzałem to panu.

- Nie chcę traktować cię jak mysz.

- Czy to ma być komplement? Ach, i herbata zimna: to znaczy, że wszystko do góry nogami. Nie, tu dzieją się rzeczy nie zasługujące na zaufanie. Ba! Coś tam widzę na oknie, na talerzu. (Podszedł do okna.) Oho, potrawka z kury z ryżem!... Lecz dlaczego dotychczas nietknięta? Byliśmy więc w takim usposobieniu, że nawet kura...

- Jadłem, i nic to pana nie obchodzi. Niech pan milczy!

- O tak, rozumiem. Dla pana już wszystko jedno. Lecz nie dla mnie: niech pan sobie wyobrazi, że prawie nic dzisiaj nie jadłem, jeśli więc ta kura, jak sądzę, już jest niepotrzebna, to... hm?

- Niech pan je, jeżeli pan może.

- O, dziękuję, a potem chętnie wypiję herbatę.

Momentalnie usiadł w drugim rogu kanapy, przy stole, i rzucił się na kurę z niesłychaną łapczywością; nie spuszczał jednak z oczu swojej ofiary. Kiriłłow patrzył na niego z ponurym wstrętem, lecz nie był w stanie oderwać spojrzenia.

- Ach, prawda! - zawołał nagle Piotr Stiepanowicz nie przerywając jedzenia. - Do rzeczy! Więc nie cofamy się, co? A notatka będzie?

- Doszedłem do wniosku tej nocy, że wszystko mi jedno. Napiszę. O proklamacjach?

604

-- Tak, o proklamacjach także. Zresztą podyktuję. Panu przecież wszystko jedno. Czy mogłaby pana obchodzić w takiej chwili treść pisma?

- To do ciebie nie należy.

- Oczywiście. Chodzi tu zresztą o kilka wierszy. Żeście z Szatowem rozrzucaли proklamacje korzystając też z pomocy Fiedki, którego przechowywaliście w pańskim mieszkaniu. Ta wzmianka na końcu o Fiedce i o mieszkaniu jest bardzo ważna, może najważniejsza. Widzi pan, jaki jestem szczery.

- O Szatowie? Po co? Za nic nie napiszę o Szatowie.

- Co znowu? Dlaczego? Już mu pan nie może zaszkodzić.

- Żona przyjechała do niego. Zbudziła się i przysłała do mnie, aby dowiedzieć się, gdzie on jest.

- Przysłała do pana? Hm... to niedobrze. Może -przysłać znowu. Nikt nie powinien wiedzieć, że tu jestem. Piotr Stiepanowicz był niespokojny.

- Nie dowie się, śpi. Przy niej jest akuszerka, Wirgińska.

- To dobrze. Sądzę... że nie posłyszysz. Warto by było zamknąć drzwi od ganku.

- Nie, nie posłyszysz. A jeżeli Szatow przyjdzie, to ukryję pana w tamtym pokoju.

- Szatow nie przyjdzie, a pan napisze, żeście się z nim posprzeczali z powodu obaw o jego zdradę... i że dziś wieczorem... że jest pan sprawcą jego śmierci.

- Umarł? - zawołał Kiriłłow zrywając się z kanapy.

- Dziś o ósmej wieczorem. Ściśle - wczoraj, gdyż teraz już po północy.

- Tyś go zabił!... Przewidziałem to jeszcze wczoraj!

- Trudno było tego nie przewidzieć. Z tego rewolweru (wyjął rewolwer, niby chcąc go pokazać, lecz nie schował już potem, tylko dalej trzymał w prawej ręce, jakby w pogotowiu). Dziwny jednak z pana człowiek. Pan dobrze wiedział, że tego głupca musiał spotkać taki koniec. Jakie tam przecucia? Już nieraz tłumaczyłem panu. Szatow szykował zdradę: obserwowałem go. Dłużej nie można już było zwlekać. Pan sam zresztą otrzymał instrukcję obserwowania Szatowa. Pan sam zakomunikował mi przed paru tygodniami, że...

- Milcz! Zabiłeś go dlatego, że ci w Genewie plunął w twarz.

- I za to, i za inne rzeczy. Za wiele rzeczy. Zresztą nie

605

czułem do niego żalu. Dlaczego pan się tak zerwał? Co za komedie? Oho! To my tak!...

Zerwał się i podniósł rewolwer, Chodziło o to, że Kiriłłow pochwycił z okna swój rewolwer, przygotowany i nabity od rana. Piotr Stiepanowicz stanął w pozycji obronnej i skierował lufę na Kiriłłowa. Tamten śmiał się zjadliwie.

- Przyznaj się, łajdaku, żeś po to wziął rewolwer, abym ja ciebie nie zastrzelił... Ale ja cię nie zabiję... A zresztą... zresztą...

Znów skierował lufę na Piotra Stiepanowicza, jak gdyby celował. Widocznie nie mógł wyrzec się

przyjemności wyobrażenia sobie, jak zabiłby Wierchowieńskiego. Piotr Stiepanowicz, wciąż gotów do strzału, czekał, czekał do ostatniej chwili, nie ruszając cyngla, chociaż ryzykował, że sam dostanie kulę w łeb: ów „maniak” mógł się na to zdobyć. Lecz „maniak” opuścił wreszcie rękę. Drżał cały i nie był w stanie odezwać się. Piotr Stiepanowicz także opuścił broń.

- Pobawiliśmy się, i dosyć. Wiedziałem, że pan się tylko bawi. Lecz pan ryzykował: mogłem strzelić.

Dość spokojnie siadł na kanapie i nalał sobie herbaty. Ręce mu trochę drżały. Kiryłow położył rewolwer na stole i zaczął chodzić po pokoju.

- Nie napiszę, że zabiłeni Szatowa, i... nic teraz nie napiszę... Nie zostawię żadne; notatki!

- Nie?

- Nie.

- Co za podłość i co za głupota! - irytował się Piotr Stiepanowicz. - Przeczuwałem zresztą coś podobnego. Nie jestem tym zaskoczony. Ale jak pan chce. Gdybym mógł zmusić pana siłą, zmusiłbym. To jednak podłość z pana strony. - Piotr Stiepanowicz irytował się coraz bardziej. - Wtedy prosił mnie pan o pieniądze, nie szczędził pan obietnic... Ja jednak nie wyjdę stąd z niczym. Zobaczę przynajmniej, jak pan sobie łeb rozwali.

Kiriłlow stanął przed nim.

- Chcę, abys stąd zaraz wyszedł - powiedział twardo.

- Nie, to zupełnie niemożliwe, łaskawy panie - odparł Piotr Stiepanowicz chwytając znów za rewolwer. - Teraz przez złość i przez tchórzostwo gotów pan wszystko odłożyć i zadenuncjować jutro, aby znowu otrzymać za to pieniądze. Za takie rzeczy płacą... A niech pana diabli porwą! Tacy

606

ludzie jak pan mogą się zdobyć na wszystko! Lecz niech się pan uspokoi, przewidziałem i to: nie wyjdę stąd, dopóki nie rozwalę panu łba z tego rewolweru, jak to zrobiłem już z tym łajdakiem Szatowem - jeżeli stchórzysz i cofniesz decyzję!

- Chcesz koniecznie widzieć moją krew?

- Nie mam do pana żadnego żalu. Wszystko mi jedno. Chodzi mi tylko o dobro sprawy. Nikomu nie można zaufać. Pan sam to widzi. Nie rozumiem zupełnie, skąd przysła panu do głowy fantazja uśmiercenia siebie. Nie ja to wymyśliłem. Pan sam. Nie znając mnie jeszcze. I oświadczył pan to nie mnie, lecz towarzyszom za granicą. Nikt z nich nie zmuszał pana, nikt z nich pana nie znał. Przyszedł pan sam z wynurzeniami, przez tkliwość serca. Cóż mamy robić, jeżeli na tym oparty był plan, pewien plan naszych działań, którego już cofnąć nie można! Działo się to za pańską zgodą, a nawet na pański wniosek. (Niech pan o tym nie zapomina.) Tak się stało, że wie pan zbyt dużo. Jeżeli pan stchórzy i pójdzie jutro opowiadać, to możemy być poszkodowani. Co pan o tym myśli? O nie, łaskawy panie! Zobowiązał się pan, dał pan słowo, otrzymał pan pieniądze. Tego pan zaprzeczyć nie może...

Piotr Stiepanowicz gorączkował się, lecz Kiriłlow już go od dawna nie słuchał. Znów biegał po pokoju, głęboko zamyślony.

- Szkoda mi Szalowa - powiedział wreszcie, zatrzymując się przed Wierchowieńskim.

- Ależ i ja go żałuję. Czyż pan nie rozumie...

- Milcz, łajdaku! - zawołał Kiriłlow i zrobił ruch groźny i niedwuznaczny. - Zabiję!

- No dobrze, dobrze, zelgałem, zgadzam się, wcale go nie żałuję. Dosyć już, dosyć! - wołał Piotr

Stiepanowicz zrywając się z miejsca i zasłaniając twarz ręką.

Kiriłłow nagle zamilkł i znowu zaczął chodzić po pokoju.

- Nie będę odkładał. Teraz właśnie chcę się zabić: wszyscy są podli!

- To racja! Oczywiście, wszyscy są podli, i ponieważ porządny człowiek nie może się czuć dobrze na tej ziemi, więc...

- Głupcze! Sam jestem równie podły jak ty, jak wszyscy. Wcale nie jestem porządny. Porządnego człowieka jeszcze nie było.

- Domyślił się wreszcie! Czyż pan, panie Kiriłłow, przy

607

pańskim rozumie, nie wiedział dotychczas, że wszyscy są jednakowi, nie ma lepszych i gorszych, a tylko mądrzejsi i głupszy? A jeżeli wszyscy są podli (co zresztą jest tylko frazesem), to świadczyłoby, że nie powinno być ludzi niepodłych.

- A! Czy ty naprawdę nie kpisz? - powtórzył Kiriłłow z pewnym zdziwieniem. - Mówisz tak gorąco i po prostu... Czyż tacy ludzie jak ty mogą mieć przekonania?

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego pan chce odebrać sobie życie! Wiem tylko, że z głębokiego przekonania, z najgłębszego... Jeżeli jednak czuje pan potrzebę, że tak powiem, wylania uczuć, to służę panu... Trzeba jednak liczyć się z czasem...

- Która godzina?

- Oho, już druga - powiedział Piotr Stiepanowicz patrząc na zegarek. Zapalił papierosa.

„Zdaje się - pomyślał - że można się jeszcze z nim dogadać.”

- Nie mam o czym z tobą mówić - powiedział Kiriłłow.

- Pamiętaj, że było tam coś o Bogu... Już mi pan kiedyś to tłumaczył. Nawet dwa razy. Jeżeli się pan zastrzeli, to stanie się Bogiem? Zdaje się, że tak?

- Tak, stanę się Bogiem.

Piotr Stiepanowicz nie uśmiechnął się wcale. Czekał. Kiriłłow spojrzał na niego przenikliwie.

- Pan jest szarlatanem, intrygantem politycznym. Chce pan teraz skierować mnie ku filozofii, pogodzić się ze mną na tym tle, rozwiać mój gniew, a wtedy wyprosić ode mnie oświadczenie na piśmie, że zabiłem Szatowa.

- Dobrze! - odpowiedział Piotr Stiepanowicz z naturalną prostotą - niech i tak będzie. Lecz czy panu w ostatniej chwili nie wszystko jedno? O co właściwie my się kłócimy, niech pan powie? Pan jest takim człowiekiem, a ja takim. O cóż chodzi? W dodatku obaj jesteśmy...

- Podli.

- Może i tak. Wie pan przecie, że to tylko frazesy.

- Przez całe życie chodziło mi o to, aby to nie był frazes. Po to tylko żyłem. I teraz chcę, aby nie było pustych słów.

- Cóż! Każdy urządza się, jak mu wygodnie. Ryba na przykład... Każdy szuka własnego komfortu, i tyle. To wszystko rzeczy dawno znane.

608

- Powiedziałaś: komfortu?

- Mniejsza o słowa.

- Nie, to dobrze powiedziałaś. Niech będzie komfort. Bóg jest niezbędny i dlatego musi istnieć.

- Świetnie!

- Lecz wiem, że Boga nie ma i być nie może.

- To słuszniej sze.

- Czy nie rozumiesz, że człowiek żyjąc nie może pogodzić tych dwu myśli?

- Więc co? Ma się zastrzelić?

- Czy nie rozumiesz, że to wystarcza, aby się zastrzelić? Czy nie rozumiesz, że może znaleźć się człowiek, jeden na tysiąc waszych milionów, który nie zechce i nie zniesie tego?!

- Rozumiem jedynie, że pan najwidoczniej się waha... To bardzo źle.

Kiriłłow, chodząc po pokoju, nie zwrócił uwagi na słowa Piotra Stiepanowicza. Snuł dalej swoje myśli:

- Stawrogina także zjadła idea...

- Co? - zainteresował się Wierchowieński. - Jaka idea? Czy mówił o tym z panem?

- Nie, domyśliłem się sam. Jeżeli Stawrogin wierzy, to sam nie wierzy, że wierzy. A jeżeli nie wierzy, to także sam nie wierzy, że nie wierzy.

- No, Stawrogina trapią i inne myśli, może trochę mądrzejsze...- gderliwie odezwał się Piotr Stiepanowicz. Niepokoił go kierunek rozmowy, niepokoił go także blady Kiriłłow.

„Do diabła, nie zastrzeli się - myślał - zawsze przeczuwałem. To tylko spekulacje mózgowe i wykręty. Nic więcej. Co za mali ludzie!”

Raptem Kiriłłow zmienił ton.

- Jesteś ostatnim człowiekiem, z którym rozmawiam. Nie chciałbym źle rozstawać się z tobą.

Piotr Stiepanowicz nie odpowiadał na razie. „Co to takiego ? Co to znaczy, u diabła?” -pomyślał znowu.

- Niech mi pan wierzy, panie Kiriłłow, że nigdy nie miałem nic przeciwko panu osobiście i zawsze...

- Jesteś podły i fałszywy. Ale ja nie jestem lepszy. I ja się zastrzelę, a ty zostaniesz przy życiu.

- Chce pan powiedzieć, że jestem taki nikczemny, że zechcę zostać przy życiu?

609

Nie wiedział jeszcze sam, czy korzystnie jest teraz podtrzymywać tego rodzaju rozmowę. Postanowił „podać się biegowi wydarzeń”. Lecz ton wyższości i nie maskowanej jak zwykle pogardy, z jaką traktował go Kiriłłow, drażnił go zawsze, teraz zaś więcej niż kiedykolwiek. Może dlatego, że Kiriłłow, który miał umrzeć za godzinę (Piotr Stiepanowicz nie zapomniał o tym), wydawał mu się już czymś prawie nie istniejącym, jakąś pólístotą, która nie ma prawa do zarozumiałości.

- To są chyba przechwałki, że pan się zastrzeli. Kiriłłow nie dosłyszał nawet tej uwagi.

- Dziwiło mnie zawsze, że wszyscy obstają przy życiu.

- Hm! W tym tkwi jakaś myśl, lecz...

- Powtarzasz za mną jak mała, byle mnie zdobyć. Milcz, nic nie rozumiesz. Jeżeli nie ma Boga, to ja jestem bogiem.

- Nigdy właśnie nie mogłem zrozumieć tego pańskiego punktu widzenia: dlaczego pan jest bogiem?

- Jeżeli Bóg jest, to cała wola należy do Niego i wyjść poza tę wolę nie mogę. Jeżeli Go nie ma, to wola jest moja i mam obowiązek ją wypełnić.

- Wypełnić? Dlaczego?

- Bo cała wola jest moja. Czyż nikt na ziemi, skończywszy z Bogiem i uwierzywszy w wolność własnej woli, nie odważy się okazać jej w najistotniejszej sprawie? To tak, jak gdyby nędzarz otrzymał spadek i przestraszył się, i bał się podejść do worka, uważając, że brak mu sił, by zawładnąć spadkiem. Pragnę okazać wolną wolę. Choćbym tylko był jeden, ale uczynię to.

- Proszę bardzo.

- Muszę się zastrzelić, bo najwyższe osiągnięcie mojej wolnej woli to zabić samego siebie.

- Ależ nie tylko pan to robi: tylu jest samobójców.

- Ci mają powody. A bez żadnego powodu, jedynie dla spełnienia własnej wolnej woli - tylko ja.

Piotr Stiepanowicz znowu pomyślał: „Nie zastrzeli się.”

- Wie pan - powiedział rozdrażniony - na pańskim miejscu, chcąc spełnić akt wolnej woli, zabiłbym kogo innego, nie siebie. Mógłby pan stać się użyteczny. Wskazałbym panu, kogo należy zabić, o ile pan nie stchórzy. Jeżeli tak, mógłby pan nawet nie odbierać sobie dziś życia. Moglibyśmy dojść do porozumienia.

610

- Zabicie kogo innego byłoby najniższą formą ziszczenia mojej woli. Całego ciebie widzę w tej propozycji. Nie jestem tobą: szukam najwyższej formy i zabiję siebie.

„Doszedł wreszcie do tego” - złowrogo mruknął Piotr Stiepanowicz.

Kiriłłow wciąż chodził po pokoju.

- Mam obowiązek złożyć świadectwo niewierze. Nie ma dla mnie wyższej idei jak to, że Boga nie ma. Opieram się na całej historii ludzkości. Człowiek nic innego nie robił, tylko wciąż wymyślał Boga, aby żyć nie pozbawiając się życia. W tym są zawarte dotychczasowe dzieje ludzkości. Ja pierwszy w historii świata nie chciałem wymyślić Boga. Niech się wszyscy dowiedzą o tym raz na zawsze.

„Nie zastrzeli się” - myślał z trwogą Piotr Stiepanowicz.

- Kto ma się o tym dowiedzieć? - drażnił Kiriłłowa. - Tu nie ma nikogo oprócz nas dwóch. Może Liputin ma się dowiedzieć?

- Wszyscy powinni się dowiedzieć, wszyscy się dowiedzą. Nie ma przecież nic ukrytego, co by nieśmiało być wyjawione. Tak powiedział On.

Z gorączkowym zachwytem wskazał obraz Zbawiciela, przed którym paliła się lampka. Piotr Stiepanowicz zirytował się już do reszty.

- Więc w Niego nie przestał pan wierzyć? Nawet lampka się pali. Może to „na wszelki wypadek”? Kiriłłow nie odpowiedział.

- Wie pan? Mam wrażenie, że wierzy pan głębiej od niejednego popa.

- W kogo? W Niego? Posłuchaj! - zawołał Kiriłłow zatrzymując się i wpatrując w przestrzeń fanatycznym, obłąkanym wzrokiem. - Posłuchaj wielkiej myśli. Był jeden taki dzień, że pośrodku ziemi stały trzy krzyże. A jeden z ukrzyżowanych tak wierzył, że rzekł do drugiego: „Dziś będziesz ze mną w raju.” Dzień ów się skończył, umarli obaj, odeszli i nie znaleźli ani raju, ani zmartwychwstania. Nie wypełniło się to, co było powiedziane. Słuchaj! Ów człowiek był największy na świecie. Stwarzał to, dla czego ludzie mieli żyć. Cała nasza planeta, że wszystkim,

co na niej jest, bez tego człowieka byłaby czymś obłąkańczym. Ani przedtem, ani potem nie było nikogo, kto by mu dorównał - nigdy, aż to wygląda

39* 611

na cud. W tym jest cud, że nigdy nie było i nie będzie równego Jemu. Jeśli zaś tak, jeśli prawa przyrody nie oszczędziły nawet i Jego, jeśli nie pożałowały nawet własnego cudu, a zmusiły i Jego, by żył wśród kłamstwa i umarł z powodu kłamstwa - widocznie cała nasza planeta jest kłamstwem, na kłamstwie się opiera i na głupim szyderstwie. To znaczy, że prawa naszej planety są kłamstwem i szatańską farsą. Po cóż więc żyć? Powiedz, jeżeli jesteś człowiekiem.

- To zupełnie inne postawienie kwestii. Mam wrażenie, że płacze pan dwie odrębne przyczyny. A to nie wzbudza zaufania. Lecz niech pan pozwoli. A jeżeli pan jest bogiem? A jeżeli skończyło się kłamstwo i domyślił się pan, że całe kłamstwo pochodziło od dawnego Boga?

- Zrozumiałeś wreszcie! - zawołał Kiryłow z zachwytem. - A więc można było zrozumieć, jeżeli rozumiał nawet taki człowiek jak ty! Czy rozumiesz teraz, że zbawienie wszystkich jest w rozumieniu tej myśli? Kto ją wyjaśni? Ja! Nie rozumiem, jak mogli dotychczas ateści wiedzieć, że nie ma Boga i żyć dalej! Uświadomić sobie, że nie ma Boga, i nie uświadomić sobie jednocześnie, że się samemu jest bogiem - to nonsens. Inaczej bowiem trzeba koniecznie zabić siebie. Gdy to już będzie uświadomione, samobójstwa staną się niepotrzebne, gdyż zaczną się życie w największej chwale. Lecz ten jeden, ten pierwszy, musi koniecznie zabić siebie. Któż bowiem zacznie? Kto złoży dowód? To ja właśnie zabiję się, zabiję koniecznie, aby zacząć i udowodnić. Jestem tymczasem bogiem pomimo woli i jestem nieszczęśliwy, gdyż mam obowiązek okazać wolną wolę. Wszyscy są nieszczęśliwi dlatego, że boją się okazać wolną wolę. Człowiek dlatego był dotychczas tak biedny, tak nieszczęśliwy, że bał się okazać wolę jako rzecz najważniejszą; okazywał ją w sprawach nieważnych, jak sztubak. Jestem bardzo nieszczęśliwy, gdyż bardzo się boję. Strach jest klątwą człowieka... Lecz okażę moją wolę. Muszę uwierzyć, że nie wierzę. Zacznę i skończę, i otworzę wrota. I zbawię. To jedno zbawi wszystkich ludzi i w przyszłym pokoleniu przerodzi ich fizycznie. Bo w dzisiejszym kształcie fizycznym, o ile się przekonałem, człowiek nie może żadną miarą obejść się bez dawnego Boga. Trzy lata szukałem atrybutu mojej boskości i znalazłem. Jest nim - wolna wola! Bo dzięki niej mogę w najważniejszej rzeczy za-

612

przeczyć pokorze i wykazać nową, straszną moją wolność. Ona jest straszna. Zabijam siebie, aby się zaprzeć pokory i wykazać straszną moją wolność.

Miał twarz niesamowicie bladą i spojrzenie nieznośnie ciężkie. Był jak w gorączce. Piotr Stiepanowicz myślał nawet, że ta gorączka zwali go zaraz na ziemię.

- Daj pióro! - niespodziewanie zawołał Kiryłow, jakby w natchnieniu. - Dyktuj, podpiszę wszystko! I napiszę, że zabiłem Szatowa. Dyktuj, póki mnie to bawi. Nie lękam się, co pomyślą zarozumiali niewolnicy! Sam zobaczysz, że wszystko, co tajne, stanie się jawne! A ty będziesz zmiażdżony... Wierzę w to! Wierzę!

Piotr Stiepanowicz natychmiast zerwał się z miejsca, podał niezwłocznie papier i atrament i zaczął dyktować, pragnąc wyzyskać moment i niepokojąc się o rezultat.

- „Ja, Aleksy Kiryłow, oświadczam...”

- Poczekaj! Nie chcę! Komu oświadczam?

Kiryłow trząsł się jak w gorączce. To oświadczenie i jakaś niespodziewana myśl o nim pochłonęły go całkowicie. Jak gdyby jego zmęczona dusza szukała choć na chwilkę punktu oparcia.

- Komu oświadczam? Chcę wiedzieć, komu?

- Nikomu, wszystkim, pierwszemu, kto przeczyta. Po co precyzować? Całemu światu!
- Całemu światu? Brawo! I bez skruchy. Nie chcę kajania się. I nie chcę zwracać się do władz.
- Ależ nie! Do diabła z władzami! Niechże pan pisze, jeżeli to na serio...-histerycznie wołał Piotr Stiepanowicz.
- Czekaj! Chcę narysować u góry gębę z wysuniętym językiem.
- E, głupstwo! - irytował się Piotr Stiepanowicz. - Nie trzeba rysunku. To można wyrazić samym tonem,
- Tonem? To dobrze! Tak, tak, tonem! Dyktuj!
- „Ja, Aleksy Kiriłłow” - rozkazującym głosem dyktował Piotr Stiepanowicz, pochylony nad ramieniem Kiriłłowa, śledząc każdą jego literę, kreślącą drżącą ze wzruszenia ręką. - „Ja, Kiriłłow, oświadczam, że dziś, ...października wieczorem, o godzinie ósmej, zabiłem w parku studenta Szatowa za zdradę i za denuncjację o proklamacjach i o, Fiedce, który u nas obu, w domu Filippowa, mieszkał i nocował przez

613

dziesięć dni. Dziś odbierani sobie życie wystrzałem z rewolweru nie dlatego, abym czuł skruchę lub bał się, lecz dlatego, że jeszcze za granicą powziąłem zamiar odebrania sobie życia.”

- Tylko tyle?-zawołał Kiriłłow ze zdziwieniem i oburzeniem.
- Ani słowa więcej! - krzyczał Piotr Stiepanowicz starając się pochwycić dokument.
- Poczekaj! - Kiriłłow mocno oparł dłoń na papierze. - Poczekaj! To bzdura! To bzdura! Chcę napisać, z kim zabiłem. Po co tu Fiedka? A pożar? Chcę o wszystkim... i chcę naurągać tonem, tak, tonem...
- Dosyć, Kiriłłow, zapewniam pana, że dosyć! - błagał Piotr Stiepanowicz w obawie, że Kiriłłow podrze arkusz. - Na to, aby uwierzyli, trzeba pisać niewyraźnie, właśnie tak, półsłówkami. Trzeba pokazać tylko rąbek prawdy. Akurat tyle, aby ich rozdrażnić. Dokłamię sami więcej, niż my byśmy potrafili, a potem sami sobie uwierzą bardziej niż nam. A tak właśnie będzie najlepiej. Dawaj pan! Jest już doskonale! Dawaj pan, dawaj!

Wciąż usiłował odebrać papier. Kiriłłow, wytrzeszczywszy oczy, słuchał i starał się coś pojąć, lecz zdaje się, że już przestawał rozumieć.

- E, do diabła! - rozeźlił się nagle Piotr Stiepanowicz. - Przecież on jeszcze nie podpisał! Cóż pan tak oczy wytrzeszczył? Proszę podpisać!
- Chcę nawymyślać...-wybełkotał Kiriłłow; wziął jednak pióro i podpisał.-Chciałbym nawymyślać...
- Podpisz pan: Vive la repubhąue,* i koniec.

- Brawo! - ryknął prawie Kiriłłow, zachwycony. - Vive la republique democratiąue, sociale et universelle ou la mort!** Nie, nie, nie tak! Liberie, egahte, fraternite ou la mort!*** O, tak lepiej, tak lepiej! - Z rozkoszą kreślił te słowa pod podpisem.

- Dosyć już! - powtarzał Piotr Stiepanowicz.
- Poczekaj, jeszcze chwila... Wiesz, podpiszę jeszcze raz
Niech żyje republika
Niech żyje republika demokratyczna, socialna i powszechna albo śmierć
Wolność, równość, braterstwo albo śmierć!

614

po francusku: „de Kiriloff, gentilhomme russe et citoyen du monde.” Cha, cha, cha! - wybuchnął śmiechem. - Nie, nie, poczekaj, znalazłem coś lepszego, eureka! Gentilhomme, semina-riste russe et citoyen du monde civilise!* Tak będzie najlepiej...

Zerwał się z kanapy i nagle szybkim ruchem porwał z okna rewolwer, wybiegł z nim do drugiego pokoju i starannie zamknął za sobą drzwi. Piotr Stiepanowicz stał przez chwilę w zadumie, wpatrzony w drzwi.

„Jeżeli zaraz, to może i strzeli. Ale jak zaczniesz myśleć, to nic z tego nie będzie.”

Wziął tymczasem papier, usiadł i zaczął czytać na nowo. Redakcja oświadczenia zadowolala go całkowicie.

„O co na razie chodzi? Chodzi o to, by na krótki przeciąg czasu zamydlić im oczy i zbić z tropu, a tym samym odwlec. Park? W mieście nie ma parku. Domyśla się, że to w Skwo-resznikach. Zanim się domyśla, upłynie trochę czasu. Zaczną szukać - znów czas upłynie. Znajdą trupa - to znaczy, że wszystko było prawdą, a więc i o Fiedce. A Fiedka? Fiedka - to pożar, to morderstwo Lebiadkina i jego siostry, więc stąd, z domu Filippowa, prowadzą Wszystkie nici. A oni nic nie wiedzieli, a oni wszystko przeoczyli - to im do reszty zakręci w głowach! O naszych nawet mowy nie będzie. Szatow i Kiriłłow, i Fiedka, i Lebiadkin. A po co oni się wzajem pomordowali - to będzie prawdziwa zagadka. E, do licha, jakoś nie słychać strzału!...”

Niby to czytał i zachwycał się redakcją, lecz bez przerwy wsłuchiwał się z dręczącym niepokojem. Stracił wreszcie cierpliwość. Spojrzał nerwowo na zegarek, było już późno. Chyba już dziesięć minut, jak tamten wyszedł... Chwyciwszy świeczkę skierował się ku drzwiom pokoju, w którym zamknął się Kiriłłow. Już przy drzwiach zauważył, że świeca się dopala i zgaśnie za jakieś dwadzieścia minut. A innej nie było. Dotknął klamki i wsłuchiwał się uważnie, nie słysząc najmniejszego dźwięku. Otworzył znieacka drzwi i podniósł świecę: coś zawyło w pokoju i podbiegło ku niemu. Wierchowieński gwałtownie zatrzasnął drzwi i mocno je trzymał. Lecz znów zapanowała martwa cisza.

de Kinloff, szlachcic rosyjski i obywatel świata () szlachcic, seminarzysta rosyjski obywatel świata cywilizowanego

615

Długo trwał w niepewności ze świecą w ręku. W chwili gdy otwierał drzwi, niewiele mógł zobaczyć. Jednakże mignęła mu twarz Kiriłłowa, który stał w głębi pokoju, przy oknie, i zauważył też tę zwierzęcą wściekłość, z jaką się na niego rzucił. Piotr Stiepanowicz drgnął, postawił świecę na stole, ujął rewolwer i dobiegł na palcach do drugiego końca pokoju. Stał tak, że gdyby Kiriłłow otworzył drzwi i rzucił się z rewolwerem do stołu, zdążyłby wycelować i pociągnąć za cyn-giel wcześniej niż Kiriłłow.

Już całkiem przestał wierzyć w możliwość samobójstwa! Po głowie latały mu najrozmaitsze myśli:

„Stał pośrodku pokoju i myślał. A pokój ciemny, ponury... Ryknął i rzucił się na mnie. Tu są dwie możliwości: albo przeszkodziłem mu właśnie w decydującej chwili, gdy miał już pociągnąć za cyn-giel, albo też... albo też stał i rozmyślał, jak by mnie zabić. Tak, na pewno obmyślał, jak... Wie, że nie odejdę nie zabiwszy go, jeżeli stchórzy - to znaczy, że musi najpierw zabić mnie, nim ja zdążę zabić jego. I znowu, znowu taka cisza! Aż strach: raptem otworzy drzwi... To świństwo, że on wierzy w Boga bardziej niż pop... Za nic nie zastrzeli się! Namnożyło się dziś takich, którzy „doszli własnym rozumem”. Świnie! Ale świeczka, świeczka! Za kwadrans dopali się na pewno... Trzeba z tym skończyć... Trzeba skończyć za wszelką cenę... Cóż? Teraz już można go zabić. Można go potem tak ułożyć na podłodze z wyładowanym rewolwerem w ręku, że nikt się na tym nie pozna... Ten papier odwróci ode mnie wszelkie podejrzenia... Do diabła! Ale, do diabła, jak go

zabić? Otworzę, a1 on znów rzuci się na mnie i wystrzeli wcześniej niż ja. E, do diabła, rzecz jasna, że chybi...”

Tak dręczył się Piotr Stiepanowicz, drżąc cały wobec nieodwracalności swojego projektu i własnego niezdecydowania. Wziął wreszcie świecę i znów podszedł do drzwi trzymając rewolwer w pogotowiu. Lewą ręką, w której trzymał świecę, nacisnął klamkę. Wyszło to niezgrabnie: klamka zgrzytnęła i cisza została zamącona. „Zaraz strzeli” - pomyślał Piotr Stiepanowicz. Pchnął z całej siły drzwi nogą, podniósł świecę i wystawił rewolwer. Nie było jednak ani krzyku, ani strzału... Pokój był pusty.

Wierchowieński drgnął. Z pokoju nie było innego wyjścia. Ucieczka była niemożliwa. Podniósł świecę jeszcze wyżej

616

i patrzył uważnie: nikogo nie było widać. Zawołał półgłosem na Kiriłłowa, potem drugi raz głośniej; nikt się nie odzywał.

„Czyżby uciekł przez okno?”

Istotnie w jednym z okien lufcik był otwarty. „Nonsens, przecież nie mógł uciec przez lufcik.” Przeszedł przez cały pokój aż do okna. „Oczywiście, że nie mógł.” Raptem odwrócił się szybko. Uderzył go niezwykle widok.

Przy ścianie na wprost okna, na prawo od drzwi, stała szafa.³ Z prawej strony, w kącie między szafą i ścianą, stał Kiriłłow. Stał jakoś okropnie dziwnie. Nieruchomy, wyciągnięty, z opuszczonymi rękami wyprężony, z głową podniesioną i przytuloną do ściany. Stał w samym kącie, chcąc widocznie ukryć się, jakby unicestwić siebie, zniknąć zupełnie. Niewątpliwie schował się, chociaż wyglądało to nieprawdopodobnie. Piotr Stiepanowicz stał trochę na ukos od tego kąta i mógł widzieć tylko wysunięte zarysy postaci. Wciąż nie miał odwagi przesunąć się na lewo, skąd mógłby obejrzeć całego Kiriłłowa i zrozumieć zagadkę. Serce tłukło mu się gwałtownie w piersiach... Raptem ogarnęła go wściekłość: krzyknął dziko, zaczął tupać nogami i podszedł do straszego miejsca.

Doszedłszy, znów stanął jak wryty; grzeszyło go jeszcze większe przerażenie. Uderzyło go to przede wszystkim, że pomimo krzyku i rozpędu postać nie ruszyła się, nie drgnęła nawet, jak kamienna lub woskowa figura. Bładość twarzy była niezwykle, czarne oczy - nieruchomo wpatrzone w jakiś punkt. Piotr Stiepanowicz przesunął świecę z góry do dołu i znowu z dołu do góry, oświetlając ze wszystkich stron i oglądając tę twarz. Zauważył, że Kiriłłow, patrząc gdzieś w przestrzeń, widzi go jednak i może nawet obserwuje spod oka. Przyszła mu do głowy myśl, aby podsunąć ogień wprost do twarzy „tego łajdaka”, podpalić i zobaczyć, co tamten zrobi. Wtem wydało mu się, że podbródek Kiriłłowa drgnął, a na ustach jego ukazał się pogardliwy uśmiech, jak gdyby zgadł myśl Wierchowieńskiego. Piotr Stiepanowicz zatrzęsł się cały i jak nieprzytomny chwycił mocno Kiriłłowa za ramię.

Potem stało się coś tak niespodziewanie potwornego, że Piotr Stiepanowicz nie mógł zupełnie odtworzyć w pamięci całej sceny. Ledwo dotknął Kiriłłowa, gdy ten szybko pochy-

617

lił głowę i głową wytrącił mu świecę z rąk. Lichtarz z hałasem upadł na podłogę i świeca zgasła. W tej chwili Wierchowieński poczuł gwałtowny ból w małym palcu lewej ręki. Krzyknął i już nie wiedząc, co robi, trzy razy uderzył z całej siły rewolwerem po głowie Kiriłłowa, który wczepił się w niego i ścisnął mu palec zębami. Wyrwał nareszcie palec i co tchu zaczął uciekać, szukając drogi po omacku. A za nim leciały z pokoju straszliwe okrzyki:

- Zaraz, zaraz, zaraz, zaraz!...

Tak z dziesięć razy. Lecz Wierchowieński biegł. Już był na ganku, gdy rozległ się głośny strzał.⁴ Wtedy dopiero zatrzymał się i zaczął odzyskiwać przytomność. Stał tak po ciemku około pięć minut. Wreszcie wrócił znów do mieszkania. Trzeba było jednak odnaleźć świecę. Wystarczyło odszukać na podłodze koło szafy wytrącony z rąk lichtarz. Lecz czym zapalić świecę? Tu przemknęło mu przez głowę drobne wspomnienie. Przypomniał sobie, że wczoraj, gdy zbiegł do kuchni, aby zwymyślać Fiedkę, zobaczył w kącie, na półce, duże czerwone pudełko zapalek. Po omacku skierował się na lewo do drzwi kuchennych, odszukał je, przeszedł przez przedsionek i doszedł po schodach do kuchni. Na półce, w tym miejscu, które majaczyło mu w pamięci, natrafił palcami na nie używane jeszcze pudełko zapalek. Nie zapalając, wrócił natychmiast na górę. Dopiero przy szafie, tam gdzie bił rewolwerem po głowie gryzącego go Kiriłłowa, przypomniał sobie o ukąszonym palcu i poczuł natychmiast nieznośny ból. Zaciśnął zęby, zapalił jakoś ogarek, wstawił go do lichtarza i rozejrzał się dokoła. Przy oknie z otwartym lufnikiem, nogami do prawego rogu pokoju leżał trup Kiriłłowa. Strzał był wymierzony w prawą skroń, a kula wyszła wyżej, z lewej strony, przebiwszy czaszkę. Dokoła była krew i strzępy mózgu. Rewolwer został w ręce samobójcy. Śmierć widocznie nastąpiła momentalnie. Obejrzawszy wszystko jak najuważniej, Piotr Stiepanowicz wyszedł na palcach, przymknął drzwi, zostawił świecę na stole w pierwszym pokoju i, po namyśle, nie zgasił jej, widząc, że nie wywoła to pożaru. Spojrzał raz jeszcze na dokument leżący na stole, uśmiechnął się bezwiednie i potem już, znowu na palcach (nie wiadomo dlaczego), wyszedł z domu. Przelazł znów przez dziurę w płocie i uważnie zasunął za sobą wyjętą deskę.

618

III

Punktualnie za dziesięć szósta na dworcu kolei żelaznej wzdłuż stojącego dość długiego rzędu wagonów spacerował Piotr Stiepanowicz z Erkle. Wierchowieński odjeżdżał, a Erkel odprowadzał go. Bagaż nadano, sakwojaż odniesiono do wagonu drugiej klasy na wybrane miejsce. Już było po pierwszym dzwonku, czekano na drugi. Piotr Stiepanowicz swobodnie rozglądał się wokoło, przypatrując się wchodzącym do wagonów pasażerom. Bliższych znajomych nie było; wypadło mu tylko dwa razy skinąć głową: raz jakiemuś kupcowi, dalekiemu znajomemu, potem młodemu duchownemu, który wracał do swojej parafii odległej o dwie stacje. Erkel chciał najwidoczniej pomówić w ostatniej chwili o czymś ważnym, chociaż właściwie sam nie wiedział o czym; lecz nie miał odwagi rozpocząć rozmowy. Miał wrażenie, że jego obecność ciąży Piotrowi Stiepanowiczowi, który niecierpliwie oczekuje drugiego dzwonka.

- Pan patrzy na wszystkich tak śmiało - odezwał się lękliwie, jak gdyby chciał ostrzec.
- A o co chodzi? Jeszcze nie muszę się ukrywać. Za wcześnie. Niech się pan nie niepokoje. Obawiam się tylko, aby diabeł nie przyniósł tu Liputina; gotów przewąchać i przybiec.
- Piotrze Stiepanowiczu! Na nich liczyć | nie można - stanowczo oznajmił Erkel. i
- Na Liputina?
- Na nikogo z nich, Piotrze Stiepanowiczu.
- Głupstwo. Teraz wszyscy związani są wczorajszym. Nie zdradzi nikt. Któż by poszedł na pewną zgubę nie tracąc zdrowych zmysłów!
- Piotrze Stiepanowiczu! Oni potracą zdrowe zmysły. Ta myśl najwidoczniej nie była już obca Piotrowi Stiepanowiczowi, tym bardziej więc rozgniewała go uwaga Erkla.
- Może i pan stchórzył? Najwięcej na pana liczyłem. Wiem teraz, co każdy jest wart. Proszę, by pan wszystko im dziś osobiście zakomunikował. Polecam ich pańskiej pieczy. Niech pan od rana obiegnie ich. Moją instrukcję na piśmie odczytajcie razem jutro lub pojutrze, gdy tamci zdolni już

będą do rozumienia... niech mi pan wierzy jednak, że będą

619

zdolni już jutro, gdyż strasznie się boją i będą ulegli jak wosk... Najważniejsze, aby pan nie tracił otuchy.

- Ach, Piotrze Stiepanowiczu, lepiej by było, gdyby pan nie wyjeżdżał.

- Przecież to tylko na parę dni. Wkrótce wrócę.

- Piotrze Stiepanowiczu - ostrożnie, lecz stanowczo powiedział Erkel - a jeżeli nawet wyjeżdża pan do Petersburga? Przecież ja rozumiem, że robi pan to tylko dla dobrej sprawy.

- Zawsze wierzyłem w pana. Jeżeli domyślił się pan, że jadę do Petersburga, to mógł pan zrozumieć, że wczoraj, w tamtej chwili, nie mogłem im mówić o dalszym wyjeździe, aby ich nie straszyc. Widział pan sam, co to za ludzie. Lecz pan rozumie, że czynię to dla sprawy, dla głównej, najważniejszej sprawy, dla sprawy ogólnej, a nie dlatego, aby uciec, jak mógłby sądzić jakiś Liputin.

- Piotrze Stiepanowiczu! A gdyby nawet za granicę? Przecież ja rozumiem, że musi pan strzec siebie, gdyż pan jest wszystkim, a my - niczym. Rozumiem to, Piotrze Stiepanowiczu.

Biednemu chłopcu nawet głos drżał ze wzruszenia.

- Dziękuję panu... Aj, przycisnął mi pan bolący palec... (Erkel niezręcznie uściśnął mu rękę; chory palec był wzorowo obwiązany czarną taftą.) Lecz stanowczo powtarzam panu, że jadę do Petersburga tylko na zwiady, może tylko na dobę, i zaraz tu wracam. Po powrocie dla odwrócenia uwagi zamieszkać na wsi u Gaganowa. Gdyby zagrażało im jakieś niebezpieczeństwo, zjawię się natychmiast, aby dzielić je z nimi. Gdybym dłużej zatrzymał się w Petersburgu, natychmiast zawiadomię pana - w wiadomy sposób - a pan ich.

Rozległ się drugi dzwonek.

- Ach, mamy jeszcze pięć minut do odejścia pociągu. Wie pan, nie chciałbym, aby się rozsypała tutejsza piątka. Nie o mnie tu chodzi; niech pan się o mnie nie boi. Tych węzłów ogólnej sieci mam pod dostatkiem i nie mam powodu zbyt dbać o ten tutaj, lecz żadna komórka nie zawadzi, każda się przyda. A zresztą jestem tu o was spokojny, chociaż zostawiam tu pana prawie samego z tymi miernotami. Niech się pan nie boi, nie zdradzą. Nie ośmiela się... Ach, i pan dziś jedzie? - zawołał innym już, wesołym głosem do jakiegoś

620

młodzieniaszka, który podszedł, aby przywitać się z nim. - Nie wiedziałem, że i pan tym pociągiem. Dokąd? Do mamy? Matka tego młodzieńca była najbogatszą ziemianką w sąsiedniej guberni. Młodzieniec zaś był dalekim krewnym Julii Michajłowny i spędził w naszym mieście około dwóch tygodni.

- Nie, jadę dalej, do R. Około ośmiu godzin wypadnie spędzić w wagonie. Pan do Petersburga? - zaśmiał się młodzieniec.

- Dlaczego pan przypuszcza, że właśnie do Petersburga? - śmiejąc się także odpowiedział Piotr Stiepanowicz. Młodzieniec pogroził mu urękawiczonym palcem.

- Tak, tak, zgadł pan - tajemniczo szepnął Piotr Stiepanowicz. - Wiozę listy Julii Michajłowny i muszę tam odwiedzić kilka bardzo znacznych osobistości. Szczerze mówiąc, nie bawi mnie to. Nudna robota!

- Niech mi pan powie, dlaczego ona tak się przelęknęła? - szeptał młodzieniec. - Przecież wczoraj nie puściła mnie nawet do siebie; sądzę, że nie powinna obawiać się o męża. Przeciwnie, tak wzorowo,

jak to się mówi, wypadł podczas pożaru, ryzykując nawet życie...

- A cóż pan z nią zrobi? - śmiał się Piotr Stiepanowicz. - Boi się prawdopodobnie, że już stąd ktoś napisał... to znaczy jakieś osobistości... Słowem, tu chodzi głównie o Stawrogina... właściwie o księcia K... Ach, to cała historia... Może panu opowiem w drodze to i owo w granicach nakazanych przez dyskrecję... To mój krewny, chorąży Erkel, z naszego powiatu.

Młodzieniec, który dotychczas spoglądał z ukosa na Erkla, dotknął brzegu kapelusza. Erkel ukłonił się.

- Wie pan, panie Wierchowieński, że to okropny los wysiedzieć tak osiem godzin w wagonie. Tu ze mną w pierwszej klasie jedzie niejaki Bieriestow, bardzo zabawny pułkownik, sąsiad ze wsi: ożeniony z panną Garin (nee de Garine) i bardzo porządny człowiek. Ma nawet jakieś tam idee. Przebywał tu tylko dwie doby. Zapalony amator jerałasza. Może byśmy zorganizowali partyjkę, co? Czwartego już mam na oku: Pripuchłow, brodaty kupiec z T., milioner, ale prawdziwy milioner, mówię panu... Zaznajomię was. To arcyciekawy worek pieniędzy, ubawimy się doskonale.

621

4 - Co do jerałasza, to jak najchętniej. Strasznie lubię grać w wagonie, lecz siedzę w drugiej klasie.

- E, daj pan spokój, to głupstwo! Niech pan siada z nami. Każę zaraz przenieść pańskie rzeczy do pierwszej klasy. Oberkonduktor mnie słucha. Co pan tam ma? Pled? Sakwojaż?

- Doskonale, chodźmy!

Piotr Stiepanowicz chwycił swój sakwojaż, pled, książkę i z nadzwyczajną gotowością przeniósł się do pierwszej klasy. Pomagał mu Erkel. Rozległ się trzeci dzwonek. Piotr Stiepanowicz szybko wyciągnął do Erkla rękę z okna wagonu i rzekł tonem człowieka, który się śpieszy:

- No, Erkel! Widzi pan, że siadam z nimi do kart.

- Po co mi pan tłumaczy, Piotrze Stiepanowiczu? Ja rozumiem, ja wszystko mogę zrozumieć!

- No, do miłego zobaczenia!

Odwrócił się na wołanie towarzysza podróży, który chciał przedstawić go sąsiadom. I Erkel nie zobaczył już więcej swego Piotra Stiepanowicza!

Wrócił do domu bardzo smutny. Nie tyle bał się, że Piotr Stiepanowicz tak gwałtownie ich wszystkich opuścił, ile dręczyło go, że tak prędko odwrócił się przed chwilą na wołanie jakiegoś młokosa... a mógł przecie powiedzieć na pożegnanie coś więcej niż to banalne „do zobaczenia”... mógł zresztą chociażby mocniej ucisnąć mu dłoń.

To ostatnie było najważniejsze. Coś nowego zaczynało dręczyć biedne, małe serduszko Erkla. Coś takiego, co się dziwnie wiązało z tragedią wczorajszego wieczora. Erkel sam jeszcze tego nie rozumiał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

OSTATNIA WĘDRÓWKA STIEPANA TROFIMOWICZA

I

Jestem przekonany, że gdy Stiepan Trofimowicz czuł zbliżający się termin swego szalonego przedsięwzięcia, ogarniał go serdeczny lęk. Musiał bardzo cierpieć ze strachu, zwłaszcza w ostatnią noc, w tę straszną noc. Opowiadała mi potem Na-stasja, że położył się późno i spał. Niczego to nie dowodzi. Skazani na śmierć śpią podobno bardzo mocno w noc przed egzekucją. Chociaż wyszedł już po wschodzie słońca, gdy każdy nerwowo człowiek czuje pewien przyływ energii (a ów

major, krewny Wirgińskiego, gdy noc minęła, przestawał nawet wierzyć w Pana Boga), lecz jestem pewien, że nigdy przedtem nie mógłby sobie bez przerażenia wyobrazić siebie idącego samotnie traktem, i to w takim stanie. Oczywiście, szaleństwo decyzji osłabiało na razie to straszne wrażenie naglej samotności, które opanowało go, gdy porzucił swoją Nastasję i wygrzane w ciągu dwudziestu lat gniazdko. Wszystko jedno! Gdyby nawet najwyraźniej widział całą grozę oczekujących go przejść, pomimo to wyszedłby na trakt! Była w tym jakaś duma, było w tym bądź co bądź coś, co go upajało. O, mógł przecież przyjąć wspaniałe warunki Barbary Pietrowny i zostać na jej łasce „comme un* zwykły rezydent”! Nie przyjął jednak łaski i nie został. I oto teraz sam ją opuszcza, wznosi „sztandar wielkiej idei” i idzie umrzeć za nią na szerokim trakcie! Tak mu się wówczas roilo w głowie; w takich właśnie barwach widział własny czyn.

jako
623

Nieraz nasuwa mi się pytanie, dlaczego właśnie poszedł pieszo, zamiast po prostu wyjechać. Na razie tłumaczyłem to sobie jego pięćdziesięcioletnią niepraktycznością i fantazyjnym biegiem myśli, działającej pod wpływem silnego wzruszenia. Sądziłem, że myśl o papierach podróжных i o koniach pocztowych (nawet z dzwoneczkami) mogła mu się wydawać zbyt prosta i prozaiczna. Przeciwnie zaś - piesza wędrowka, nawet z parasolem w ręku, była o wiele piękniejsza i bardziej mściwa. Teraz jednak, gdy już wszystko należy do przeszłości, dochodzę do wniosku, że te sprawy wyglądały znacznie prościej; po pierwsze, Stiepan Trofimowicz bał się wynajmować konie, gdyż ę Barbara Pietrowna mogłaby się dowiedzieć i zatrzymać go przemocą, co uczyniłaby na pewno, a on na pewno by uległ, a wtedy - żegnaj na zawsze, wielka idea! Po drugie, na to, aby wziąć dokumenty podróжные, trzeba było wiedzieć przynajmniej, dokąd się jedzie. To zaś byłoby w owej chwili najtrudniejsze: za nic by nie potrafił określić i wskazać miejsca. Gdyby zaś zdecydował się na jakiegokolwiek miasto, natychmias* cała pielgrzymka wydałaby mu się i niemożliwa, i bezsenj, sowna; czuł to nazbyt dobrze. Cóż będzie robił w owym mieście, i dlaczego w tym, a nie w jakimkolwiek innym? Szukać ce marchand?* Lecz jakiego marchand? Tu natychmiast wyłaniała się nowa i najstraszliwsza kwestia. W rzeczy samej, nie było dlań nic potworniejszego niż ce marchand, którego on tak nagle na łeb, na szyję wybrał się szukać, a którego, rozumie się, najwięcej bał się znaleźć. Nie, już raczej wielki trakt i iść nie myśląc o niczym, póki można będzie nie myśleć o niczym. Trakt - to coś długiego, długiego, coś, co nie ma końca jak życie ludzkie, jak ludzka tęsknota. W szerokim trakcie jest idea, a jakaż idea jest w dokumentach podróжных? W karcie podróжной - koniec idei... Vive la grandę route,** a reszta w ręku Boga.

Po niespodziewanym spotkaniu z Lizą, o którym już mówiłem, puścił się w dalszą drogę, coraz mniej świadomy swych kroków. Trakt przechodził o pół wiorsty od Skworesznik, ale - rzecz dziwna - Stiepan Trofimowicz nie zauważył, jak nań wkroczył. W obecnej chwili nie był w stanie zastana-

• kupca ** Niech żyje trakt
624

wiać się i zdawać sobie ze wszystkiego sprawy. Deszczyk chwilami przestawał kropić, a potem znów padał. Stiepan Trofi-mowicz nie czuł nawet deszczu. Nie zauważył, jak zarzucił sobie na ramię sakwojaż, co mu znacznie ulżyło. Przeszedł tak wiorstę czy półtorej, gdy zatrzymał się i spojrzął przed siebie. Stara, czarna, wyżłobiona kołami droga, cała wysadzana wierzbami, ciągnęła się przed nim jak nie kończąca się nić; z prawej strony - pustosż, dawno zżęte łany; z lewej - krzaki, a za krzakami lasek. A daleko, daleko - ledwie dostrzegalna linia toru kolejowego, przechodząca na ukos, a na niej dymek jakiegoś pociągu. Nie dochodziły tu żadne dźwięki. Stiepan Trofimowicz poczuł strach, lecz tylko na chwilę. Westchnął, bez szczególnego w tej chwili powodu, umieścił pod wierzbą swój sakwojaż i usiadł, aby odpocząć. Poczul w tej chwili ziąb i

owinął się pledem. Zauważył, że pada deszcz - otworzył parasol. Siedział tak dość długo, mocno ściskając rączkę parasola; od czasu do czasu mamrotał coś do siebie. Przed dczymą jego wyobraźni przesuwały się w gorączkowym pę-zie różne obrazy, zmienne i nieuchwytne. „Lise, Lise - myślał - i ce Maurice przy niej... Dziwni ludzie... I co za dziwny był tam pożar, o którym mówili?... i kto został zabity? Myślę, że Nastasja jeszcze nie zorientowała się i czeka na mnie z kawą... W karty? Czy przegrywałem w karty ludzi? Hm! U nas w Rosji, za czasów tak zwanego poddaństwa, bywało i to... Ach, mój Boże, a Fiedka?”

Zadrżał ze strachu i rozejrzał się.

„A co, jeśli tu gdzieś za krzakami siedzi ten Fiedka? Mówią przecież, że on tu na trakcie ma całą bandę opryszków! Boże! Przecież ja wtedy... Ale powiem mu całą prawdę, przyznam się do winy i powiem, że z jego powodu cierpiałem o dziesięć lat dłużej niż on tam w wojsku. I oddam mu portmonetkę. Hm! fai m tout garante roubles; U prendra les roubles et U me tuera tout de meme.*

Ze strachu nie wiadomo dlaczego zamknął parasol i położył go obok siebie. Z dała, od strony miasta ukazał się jakiś wóz. Stiepan Trofimowicz wpatrywał się niespokojnie.

„Grace d Dieu - to wóz, i jedzie stępa; to nie może być**

- mam wszystkiego czterdzieści rubli, weźmie ruble i tak czy owak mnie zabije ** Dzięki Bogu
27 Dostoiowski, t III
625

niebezpieczne. Tutejsze, zamorzone koniki... zawsze mówiłem o rasie... Nie, to Piotr Ilicz mówił w klubie o rasie, a ja go wtedy tylko ograłem. El ptiis... lecz co to tam z tyłu? I... zdaje się, że to baba siedzi na wozie. Baba i chłop - cela commence a etre rassurant. Baba z tyłu, a chłop z przodu - cest tres rassurant. Z tyłu do wozu przywiązana za rogi krowa - cest rassurant au plus haut degre.”*

Wóz zrównał się ze Stiepanem Trofimowiczem. Był to dość porządny i mocny zaprzęg chłopski. Baba siedziała na dobrze wypchanym worku, a chłop na drabinie, z nogami zwieszonymi od strony Stiepana Trofimowicza. Za wozem rzeczywiście wlokła się krowa, przywiązana za rogi. Chłop i baba wytrzeszczywszy oczy patrzyli na Stiepana Trofimowicza, a on na nich. Gdy już wyminęli go o jakie dwadzieścia kroków, szybko zerwał się i zaczął ich doganiać. Wydawało mu się jakoś pewniej i bezpieczniej iść obok wozu. Gdy już dopędził, znowu zapomniał o wszystkim i osaczyły go jakieś strzępy myśli i obrazów. Kroczył obok wozu i nie przypuszczał nawet, że sam stanowi dla chłopca i baby najciekawszy, najbardziej zagadkowy przedmiot, jaki można spotkać na trakcie.

- A wy z jakich stron jesteście, jeżeli nie grzech zapytać? - nie wytrzymała wreszcie babina w chwili, gdy Stiepan Trofimowicz roztargnionym wzrokiem spojrzął na nią.

Babina mogła mieć około dwudziestu siedmiu lat. Była zażywna, czarnobrewa, rumiana. Czerwone jej wargi, zza których lśniły białe, równe zęby, uśmiechały się łagodnie.

- Pani... do mnie się zwraca? - zapytał Stiepan Trofimowicz ze smutnym zdziwieniem.

- Musi być z kupców - z przekonaniem powiedział chłop. Był to może czterdziestoletni, rosły mężczyzna o otwartej i niegłupiej twarzy, z szeroką, rudawą brodą.

- Nie, nie z kupców jestem, ja... ja... moi cest autre cho-se** - jakoś tam odpowiedział Stiepan Trofimowicz i na wszelki wypadek cofnął się odrobinę, tak że szedł już nie obok wozu, lecz obok krowy.

- A zresztą () to zaczyna mnie uspokajając (.) to bardzo mnie uspokaja () to mnie tpokiia w najwyższym stopniu

*)a to co innego

- Musi być z panów - orzekł chłop posłyszawszy nie-rosyjskie słowa i śmignął batem konia. Babina nie dawała za wygraną.

- Toż to widzimy, że niby na spacer pan wyszedł.

- Czy... pani do mnie mówi?

- Cudzoziemcy czasem przyjeżdżają do nas pociągami, a pan i buty ma takie jakieś...

- Buty wojskowe - odezwał się chłop z powagą, zadowolony z siebie.

- Nie, nie jestem wojskowy, ja...

Stiepan Trofimowicz gniewał się w duchu. „Jakaś ciekawa babina... Czemu oni mnie tak oglądają? Mais enfin...* Słowem, dziwne. Jak gdybym zawinił wobec nich... A ja wobec nich wcale nie zawiniłem...”

Baba poszeptała z chłopem.

- Może by pan dosiadł, jak nie obraza. Podwieziemy... Stiepan Trofimowicz natychmiast się zgodził.

- Tak, tak, moi drodzy, z przyjemnością, bo bardzo się zmęczyłem, ale jak ja się tam wdrapię?

„Jakie to dziwne - pomyślał - tak długo szedłem obok krowy i nie przyszło mi na myśl poprosić ich, żeby mnie podwieźli... To życie realne ma w sobie coś bardzo charakterystycznego.”

Chłopek jednak wciąż jeszcze nie zatrzymywał konia.

- A pan dokąd? - zapytał nieco nieufnie.

Stiepan Trofimowicz na razie nie zrozumiał pytania.

- Pewnikiem do Chatowa?

- Do Chatowa? Niezupełnie do Chatowa... Nie wiem dokładnie, ale coś słyszałem.

- Wieś Chatowo. Taka wieś. Dziewięć wiorst drogi.

- Wieś? Cest charmant.** Tak, tak, zdaje się, że słyszałem. Stiepan Trofimowicz szedł wciąż piechotą. Wtem zaświtał mu w głowie genialny pomysł.

- Wy może myślicie, że ja... Mam paszport i jestem nauczycielem, ale głównym. Jestem głównym nauczycielem. Oui, cest comme fa quon peut traduire.*** Bardzo bym się chętnie przysiadł. Kupię wam za to pół butelki wódki.

Lecz w końcu

To zachwycające

Tak, tak to można przetłumaczyć

627

- Pół rubla pan da, panie, droga ciężka.

- Bobyśmy inaczej krzywdę mieli - dodała babina.

- Pół rubla? No, dobrze, pół rubla. Cest encore mieux, f ca en tout quarante roubles, mais...*

Chłop zatrzymał konia i wspólnymi siłami wciągnięto Stie-pana Trofimowicza na wóz i usadowiono obok babiny na worku. W głowie miał nieustający zamęt. Chwilami sam ze zdumieniem spostrzegał, że jest strasznie roztargniony i myśli nie o tym, o czym należy. Świadomość chorobliwej niemocy umysłowej stawała się ciężka i nawet bolesna.

- A... a dlaczego krowa z tyłu? - zapytał nagle babinę.

- Co to, panie, czyście nigdy nie widzieli ? - zaśmiała się baba.

- Kupiliśmy w mieście - wtrącił chłop. - Nasza zdechła na wiosnę. Zaraza była. Wszystko padało naokoło, połowa nie została, tylko płakać.

Znowu smagnął batem konika, który ugrzązł w koleinie.

- Tak, tak to bywa u nas w Rosji... i w ogóle my, Rosjanie... tak, tak, bywa...-bąknął Stiepan Trofimowicz, lecz nie dokończył swej myśli.

- Kiedy pan nauczyciel, to po co do Chatowa? Chyba dalej gdzie?

- Ja... nie... nie powiem, żeby dalej... Cest-d-dire,** ja do jednego kupca.

- To niby do Spasowa?

- Tak, tak, właśnie do Spasowa. Zresztą wszystko jedno.

- Warn, panie, do Spasowa w takich butach tydzień iść! - zaśmiała się baba.

- Tak, tak, to wszystko jedno, mes amis,*** wszystko jedno - niecierpliwie przerwał jej Stiepan Trofimowicz.

„Strasznie ciekawi ludzie - myślał. - Baba lepiej mówi od niego. Uważam w ogóle, że po dziesiętnastym lutego chłopci zmienili nieco styl... lecz co im do tego, czy ja jadę do Spasowa, czy nie do Spasowa? Zapłacę, więc czego się czepiają?”

- Jak do Spasowa, to na statku - nie dawał za wygraną chłop.

- Jeszcze lepiej, mam wszystkiego czterdzieści rubli, ale

- ** To znaczy

- *** moi przyjaciele

628

- A jakże inaczej ? - wtrąciła babina z ożywieniem. - Jak końmi po brzegu, to będzie ze trzydzieści wiorst z hakiem.

- Będzie czterdzieści.

- Jutro o drugiej akuratnie zastaniecie, panie, statek w Ustijewie - dodała kobieta.

Ale Stiepan Trofimowicz milczał uporczywie. Zamilkli wreszcie i jego towarzysze podróży. Chłop szarpał lejce, a baba od czasu do czasu rzucała jakieś oderwane zdanie. Stiepan Trofimowicz zdrzemnął się. Zdziwił się okropnie, gdy baba śmiejąc się zaczęła go tarmosić, i zobaczył, że się znajduje w środku dużej wsi przed gankiem chaty o trzech oknach.

- Spało się wam, panie?

- Co to? Gdzie ja jestem? Ach, mniejsza o to - westchnął Stiepan Trofimowicz i zszedł z wozu.

Smutnie rozglądał się dokoła. Widok wsi wydawał mu się niezwykle i straszliwie obcy. Wtem zwrócił się do chłopca z jakimś dziwnie niespokojnym gestem:

- Ach prawda! Zapomniałem zapłacić pół rubla. Bał się rozstawać z tymi ludźmi.

- Rozliczcie się, panie, w izbie - mówił chłop i zapraszał do wejścia.

- Tutaj dobrze - dodawała animuszu babina.

Stiepan Trofimowicz wszedł na rozchwiany ganeczek.

„Czyż to możliwe - szeptał w głębokim i trwożnym zdumieniu, lecz wszedł do izby. - Elle la voulu.*”

Poczuł jakieś ostrze, wrzynające się w serce. I znów na chwilę zapomniał nagle o wszystkim, nawet o tym, że wszedł do chaty.

Była to jasna, dość czysta chłopska chata o trzech oknach i dwóch izbach. Nie był to zajazd, lecz

zwykła chata, że jednak stała przy drodze, znajomi przejezdni przyzwyczajali się stawać przy niej. Stiepan Trofimowicz dość odważnie przeszedł do gościnnego kąta izby, zapomniał powiedzieć parę słów pozdrowienia, siadł i zamyślił się. Tymczasem zaś, po trzygodzinnej wilgoci w czasie jazdy, niesłychanie miłe uczucie ciepła zaczęło rozlewać mu się po żyłach. Były przyjemne nawet dreszcze, biegnące po plecach, jak to zwykle u ludzi nerwowych i zziębniętych przy gwałtownej zmianie chłodu na

- Ona tak chciała
629

ciepło.1 Podniósł głowę i węch jego został rozkosznie podrażniony cudownym zapachem gorących blinów, około których krzątała się przy piecu gospodyni. Z dziecięcym uśmiechem podszedł do niej i zapytał:

- Co to? Bliny? Mais... cest charmant.* Gospodyni natychmiast najuprzejmiej zaproponowała:

- Chcecie, panie?

- Owszem, owszem i prosiłbym także o herbatę - ożywił się Stiepan Trofimowicz.

- Nastawić samowarek? Nastawimy, a jakże.

Na dużym talerzu w szafirowy deseń zjawily się bliny - znane, chłopskie bliny, cieniutkie, półpszenne, zalane gorącym świeżym olejem, wyborne.2 Stiepan Trofimowicz spróbował z rozkoszą.

- Takie tłuste i takie smaczne! I gdyby tak można jeszcze im doigt deau de vie**.

- Czy nie wódeczki, panie?

- Tak, tak, odrobinę, un tout petit rien***...

- Za wiele? Za pięć kopiejek?

- Za pięć, za pięć, za pięć, za pięć, un tout petit nen - przytakiwał Stiepan Trofimowicz z uśmiechem pełnym zachwytu.

Poproście prostego człowieka, aby coś zrobił dla was; jeżeli zechce, a będzie mógł, odda każdą przysługę starannie i szczerze; lecz poproście go, aby przyniósł wódki, a natychmiast normalna uprzejmość zmieni się w jakąś usługowość, pośpieszną, radosną, nieomal w serdeczność braterską. Ten, który idzie po wódkę, chociaż sam nie będzie jej pił i dobrze wie o tym, czuje zawsze jakąś częśćkę waszego przyszłego zadowolenia... Szynek był o parę kroków, toteż po paru minutach przed Stiepanem Trofimowiczem stała butelka wódki i duży, zielonkawy kieliszek.

- To wszystko dla mnie? - zdziwił się niesłychanie. - Zawsze miałem u siebie wódkę, lecz nie wiedziałem, że za pięć kopiejek tak dużo.

Nalał kieliszek, wstał i uroczyście przeszedł przez izbę do

Ależ to zachwycające łyceczki wódeczki troszeczkę

przeciwległego kąta, gdzie rozlokowała się jego towarzyska podróży, czarnobrewa kobiecina, która tak mu dokuczyła w drodze swoją obecnością. Babina zawstydzila się i próbowała się wymówić, lecz wypowiedziawszy wszystko, co nakazywała przyzwoitość, wstała wreszcie, wypila sumiennie trzema łykami, jak zwykle kobiety, potem na twarzy jej pojawil się wyraz niesłychanego cierpienia, oddala kieliszek i uklonila się Stiepanowi Trofimowiczowi. Stiepan Trofimowicz poważnie oddał ukłon i wrócił na swe dawne miejsce z dumą na twarzy.

Wykonał to wszystko pod wpływem jakiegoś natchnienia. Sam nie wiedział chwilę przedtem, że pójdzie częstować babinę.

„Umiem świetnie obcować z ludem - pomyślał, zadowolony z siebie - zawszeto mówiłem.” Wypił resztę wódki i chociaż było tam mniej niż kieliszek, rozgrzał się i nawet trochę uderzyło mu do

głowy.

„Je suis malade tout d fait, mais ce nest pas trop mateuais detre malade.”*

- Może pan coś kupi? - posłyszał obok siebie cichy głos kobiecy.

Podniósł oczy i ku wielkiemu zdziwieniu zobaczył koło siebie jakąś damę - une damę et elle en avait lair** - mniej więcej trzydziestoletnią, ubraną skromnie, lecz po miejsku, w ciemnej sukni, z dużą szarą chustką na plecach. W twarzy jej było coś miłego, co spodobało się od razu Stiepanowi Trofimowiczowi. Przed chwilą wróciła do izby, w której zostawiła przedtem na ławce swoje rzeczy obok miejsca zajętego przez Stiepana Trofimowicza. Między innymi była tam teczka, na którą Stiepan Trofimowicz, wchodząc do izby, zwrócił uwagę, i niezbyt duży ceratowy worek. Z tego worka wyciągnęła dwie książeczki w ładnej oprawie z wytłoczonymi krzyżami i podała je Stiepanowi Trofimowiczowi.

- Eh... mais je crois que cest lEvangile; z najmilszą chęcią... Ach, już rozumiem... Vous etes ce quon appelle...*** roznosi-cielką książek. Tak, wiem, słyszałem... Po pół rubla?

- Trzydzieści pięć kopiejek.

Jestem zupełnie chory, ale to nie tak złe być chorym

właśnie wygląda jak dama

Ach, myślę, że chyba Ewangelia () Pani jest tak zwaną

631

- Owszem, owszem, z przyjemnością. Je nai rien contre lEvangile, et...* Od dawna już chciałem przeczytać...

Błysnęła mu myśl, że już przynajmniej od trzydziestu lat nie czytał Ewangelii i dopiero przed siedmiu laty przypomniał sobie to i owo z książki Renana Życie Chrystusa. Nie miał drobnych, więc wyciągnął z kieszeni cztery dziesięciorublowe banknoty: wszystko, co miał. Gospodyni podjęła się zmienić. Teraz dopiero zauważył, że w izbie zgromadziło się dużo ludzi, że wszyscy obserwują go i mówią prawdopodobnie o nim. Była także mowa o pożarze w mieście, przy czym najwięcej miał do powiedzenia właściciel wozu i krowy, ponieważ wrócił z miasta. O podpalenie podejrzewano robotników szpigulinowskich.

Stiepana Trofimowicza zastanowiła jedna rzecz.

„Dlaczego on ze mną nie mówił o pożarze, gdy mnie wiozł? A przecież gadał o wszystkim.”

Wtem jeden z obecnych, człowiek już starszy, podobny z wyglądu do starego sługi, z ogoloną brodą, ubrany w szynel z długim wykładanym kołnierzem, zawołał:

- Stiepanie Trofimowiczu! Czy to wy, panie? A tom się wcale nie spodziewał!... Nie poznajecie mnie, panie?

Stiepan Trofimowicz nawet się zląkł na dźwięk własnego nazwiska.

- Przepraszam - powiedział - nie przypominani sobie dobrze...

- Zapomnieliście mnie, panie? Toż ja jestem Anisim, Anisim Iwanów. U nieboszczyka pana Gaganowa byłem na służbie, a was, panie, że sto razy widziałem z Barbarą Pie-trowną u nieboszczki Awdotii Sergiejewny. Do was, panie, posyłała mnie często z książkami, a i cukierki petersburskie dwa razy panu nosiłem...

Stiepan Trofimowicz uśmiechnął się.

- Ach, tak, przypominam sobie, Anisim. Ty tu mieszkasz ?

- Koło Spasowa, przy monasterze, na fermie u Marii Sergiejewny, siostry nieboszczki Awdotii Sergiejewny. Pamiętacie, panie? Nogę sobie złamała: wyskoczyła z powozu. Na bal przyjechała.

Teraz przy monasterze mieszka, a ja koło niej. A teraz jadę do miasta krewnych zobaczyć...

- Nie mam nic przeciw Ewangelii i .

- No tak, no tak.

- Zobaczyłem was, panie, i radość mnie wzięła. Ale gdzie-żeście to się wybrali, sam jeden?... Nigdy chyba nie wyjeżdżaliście sami? - Anisim wciąż uśmiechał się radośnie.

Stiepan Trofimowicz spojrział na niego trwożnie.

- Czy czasem nie do Spasowa wam droga?

- Tak, tak, do Spasowa. me semble que tout le monde va d Spassoff...*

- Czy nie do Fiodora Matwiejewicza? A to się ucieszy! Tak zawsze považał was, panie. I teraz często wspomina...

- Tak, tak, do Fiodora Matwiejewicza.

- Trzeba, trzeba. A tu ludzie się dziwią, że was na trakcie znaleźli idącego piechotą. Głupi ludzie, panie.

- Ja... tego... ja, widzisz, Anisimie, założyłem się, jak Anglicy, że dojdę piechotą, i...

Pot mu okrył twarz, zaperlił się na czole i skroniach.

- Aha, panie, aha...-Anisim przysłuchiwał się bezlitośnie. Lecz Stiepan Trofimowicz nie mógł już dłużej znieść tej indagacji. Tak się zdetonował, że chciał nawet wyjść z izby. Lecz zjawił się na stole samowar i wróciła sprzedawczyni ksiąg, która wyszła gdzieś z chaty. Ruchem człowieka, który szuka ocalenia, zwrócił się do niej i zaproponował jej szklanekę herbaty. Anisim odszedł na bok.

Istotnie chłopcy byli bardzo zdziwieni. „Co za człowiek? Znaleziono go na drodze idącego piechotą, a mówi, że jest nauczycielem; ubrany jest jak cudzoziemiec, a rozumu ma tyle, co małe dziecko; odpowiada nie do rzeczy, jak gdyby uciekł skądś, i ma pieniądze.” Powstała nawet myśl, żeby zawiadomić władze - „bo przy tym wszystkim w mieście nie całkiem spokojnie”. Lecz Anisim usunął wszystkie wątpliwości. Wyszedłszy na ganek, oznajmił wszystkim, kto tylko chciał słuchać, że Stiepan Trofimowicz to nie nauczyciel, lecz największy uczoney i zajmuje się mądrymi naukami, sam z panów tutejszych, a już dwadzieścia dwa lata mieszka u generałowej Stawrogin jako pierwszy człowiek w domu, w całym mieście ma takie poszanowanie jak nikt. W klubie szlacheckim nawet po pięćdziesiąt i sto rubli w jeden wieczór zostawiał, a z rangi jest radcą, to znaczy to samo co podpułkownik, tylko

- Zdaie mi się, że wszyscy ładą do Spasowa

633

o jeden stopień młodszy od pułkownika. A że ma pieniądze, to miał ich zawsze bez liku od generałowej, i tak dalej, i tak dalej.

Tymczasem Stiepan Trofimowicz odpoczywał po ataku Anisima, z przyjemnym zainteresowaniem przyglądając się sąsiadce, która piła herbatę ze spodka, odgryzając po kawałeczku cukier.

„Mais cest une dame et tres comme ii faut - myślał. - Ce petit morceau de sucre ce nest rien... Ma w sobie coś szlacheckiego i niezależnego, a jednocześnie jest cicha. Le comme U faut tout pur,* tylko w nieco innym rodzaju.”

Dowiedział się wkrótce od niej, że nazywa się Zofia Matwie-jewna Ulitin i mieszka właściwie w K., ma tam siostrę wdowę, z mieszczan. Sama także jest wdową, a mąż jej, feldfebel, mianowany za wysługę lat podporucznikiem, zginął pod Sewastopolem.

- Lecz pani była wtedy bardzo młoda, vous navez que trente ans?***

- Trzydzieści cztery - odpowiedziała z uśmiechem.

- Jak to? Pani rozumie po francusku?

- Troszeczkę. Po śmierci męża mieszkałam cztery lata w bogatym domu i nauczyłam się od dzieci.

Opowiedziała, że zostawszy po śmierci męża osiemnastoletnią wdową, spędziła czas jakiś w Sewastopolu jako „siostra”, a potem mieszkała w rozmaitych okolicach. Teraz chodzi i sprzedaje Ewangelię.

- Mais, mañ Dieu*** czy to nie pani wydarzyła się w naszym mieście ta dziwna, bardzo nawet dziwna historia? Poczerwieniała. Okazało się, że to jej właśnie.

- Ces vauriens, ces malheureux!...**** - zaczął głosem drżącym z oburzenia; bolesne a nienawistne wspomnienie dotkliwie odezwało się w jego sercu. Na chwilę jakby się zapomniał.

Pogrążył się w rozmyślaniach. Zauważył po chwili, że znowu nie ma jej przy nim. „Znowu wyszła - pomyślał. - Wy-

- Ależ to dama i bardzo jak należy (...) Ten kawałek cukru nic nie szkodzi (...) Jest całkiem jak należy

** pani ma zaledwie jakie trzydzieści lat? *** Ale, mój Boże **** Ci nicponie, ci nieszczęśnicy!...

chodzi często i jest czymś zajęta. Uważam nawet, że jest zaniepokojona. Bah, je dewens egoiste...*

Podniósł wzrok i znów zobaczył Anisima, teraz jednak w groźnym otoczeniu. Izba wypełniła się chłopami, których najwidoczniej sprowadził Anisim. Był tu i gospodarz chaty, i chłop z krową, i jeszcze dwaj chłopcy (jak się okazało, furmani), jakiś jeszcze mały półpijany człeczyna, ubrany z chłopska, lecz ogolony, podobny do mieszczanina-pijanicy, najbardziej ze wszystkich .gadatliwy. A wszyscy mówili o nim, o Stiepanie Trofimowiczu. Chłop z krową upierał się przy swoim, dowodząc, że brzegiem będzie ze czterdzieści wiorst więcej i że lepiej jechać statkiem. Półpijany mieszczanin i gospodarz namiętnie oponowali.

- To się widzi, bracie kochany, że jak na statku, to przez jezioro wielmożnemu panu będzie bliżej. Tak to tak. Ale jak ten statek, w taki czas, wcale nie przyjdzie?

- Przyjdzie, przyjdzie, jeszcze tydzień będzie chodził - gorączkował się najbardziej Anisim.

- Tak to tak! Ale nieakuratnie chodzi. Jak czasem, że to jesienna pora, to w Ustijewie ludzie czekają i po trzy dni.

- Będzie jutro. Jutro akuratnie o drugiej. Przyjedziecie, panie, do Spasowa jeszcze na wieczór - perorował zaciekle Anisim.

Stiepan Trofimowicz drżał oczekując swego losu.

- Mais quest-ce quil a, cet homme? ** - dziwił się.

Wystąpili naprzód woźnice. Zaczęli się umawiać. Żądali trzech rubli do Ustijewa. Inni obecni zaczęli dowodzić, że to po bożemu, że taka tu cena, że całe lato za te same pieniądze wozili stąd do Ustijewa.

Stiepan Trofimowicz zaczął bąkać:

- Ależ... i tu dobrze... Ja nie chcę...

- Sprawiedliwie mówicie, panie. W Spasowie teraz, ach, jak dobrze! I Fiodor Matwiejewicz się uraduje.

- Mon Dieu, mes amis,*** to wszystko takie zaskakujące. Wróciła wreszcie Zofia Matwiejewna. Usiadła na ławce, smutna i przygnębiona.

O, zaczynam być egoistą... Ależ czego ten człowiek chce? Mój Boże, moi drodzy,

635

- Nie sądzono mi dziś do Spasowa! - odezwała się do gospodyni.

- Jak to? To i pani do Spasowa? - drgnął Stiepan Trofimowicz.

Okazało się, że pewna ziemianka, Nadieżda Jegorowna Swietlin, kazała jej czekać tu w Chato wie i obiecała podwieźć ją do Spasowa, lecz jakoś nie przyjeżdża.

- Co ja teraz pocznę? - powtarzała Zofia Matwiejewna.

- Mars ma chere et nouvelle arme* przecież i ja mogę podwieźć panią do tej wsi, jak tam się ona nazywa, do której nająłem konie, a jutro - jutro pojedziemy razem do Spasowa.

- Czy pan także do Spasowa?3

- Mats que f mrę, et je suis enchante...** Z największą radością podwiozę panią. Ja już nająłem... Którego to z was nająłem ?

Nabrał gwałtownej ochoty, by jechać do Spasowa.

Za kwadrans wsiadali już do krytej bryki. On - niesłychanie ożywiony i zadowolony, ona - obok niego ze swoim workiem, z „wdzięcznym uśmiechem na twarzy. Anisim podsadzał i czynił rozmaite energiczne zabiegi przy bryczce.

- Szczęśliwej podróży, panie!... Tak się tam ucieszą!

- Do widzenia, do widzenia, mój drogi!

- Zobaczycie, panie, Fiodora Matwiejewicza...

- Tak, tak, zobaczę... Fiodora Pietrowicza... Ale już do widzenia!

II

Gdy tylko bryka ruszyła, Stiepan Trofimowicz zaczął mówić gorączkowo:

- Przyjaciółko moja, pani pozwoli mi tak siebie nazywać, rfest-ce-pas? Widzi pani... Jaime le peuple, cest indispensable, mcds ii me semble, que je ne lavats jamais vu de pres. Stosie... cela va sans dire quelle est aussi du peuple... mais le vrat peuple,***

• Ależ moja droga, nowa przyjaciółko ** Coz robić, i lestem zachwycony *** prawda? () Kochani lud, to konieczne, ale zdaie się, że nie znałem go z bliska Stasie oczywiście ona też jest z ludu ale prawdziwy lud

636

to znaczy prawdziwy, ten na trakcie, mam wrażenie, że nie ma nic innego do roboty, jak gapić się na mnie i interesować się, dokąd właściwie jadę... Ale dajmy spokój przykrym sprawom. Zdaje mi się, że mówię bez związku, ale to z pośpiechu. Zofia Matwiejewna przyglądała mu się uważnie, z szacunkiem.

- Pan źle się czuje?

- Nie, nie, wystarczy otulić się dobrze, a wiatr taki świeży, zdaje się, aż zanadto świeży... lecz zapomnijmy o tym. Nie to przede wszystkim chciałem powiedzieć. Chere et incomparable omie* mam wrażenie, że jestem prawie szczęśliwy, a przyczyną tego jest pani. Dla mnie szczęście jest niewygodne, gdyż natychmiast śpieszę przebaczać moim nieprzyjaciołom...

- Cóż, proszę pana, to nawet bardzo po bożemu.

- Nie zawsze, chere innocente. LEvangile... Voyez-vous, desormais nous le precherons ensemble.

Będę najchętniej sprzedawał te piękne pani książeczki. Tak, czuję, że to idea, quelque chose de tres nouveau dans ce genre. Lud jest religijny, cest admis, lecz nie zna jeszcze Ewangelii. Będę mu ją wykladał... W wykładzie ustnym dadzą się naprawić błędy tej znakomitej książki, która napawa mnie, rzecz jasna, niezwykłym szacunkiem. Mogę się nawet przydać i na trakcie. Zawsze przynosiłem korzyść i zawsze to im mówiłem et d cette chere ingrater...** Och, przede wszystkim przebaczymy, przebaczymy wszystkim i zawsze... Miejmy nadzieję, że i nam będą odpuszczone nasze winy. Wszyscy jesteśmy winni, każdy wobec każdego. Wszyscy są winni!...

- Zdaje mi się, że teraz raczył pan powiedzieć bardzo pięknie.

- Tak, tak... Czuję, że mówię bardzo pięknie. Będę im mówił bardzo pięknie. Lecz cóż to ja chciałem przede wszystkim powiedzieć? Płaczę się i wciąż zapominam... Czy pozwoli mi pani nie rozstawać się z nią? Czuję, że wzrok pani i... i dziwi mnie sposób bycia pani: pani jest prosta, wymawia słowa po mieszczkańsku, nalewa pani herbatę na spodek...

- Droga i niezrównana przyjaciółko

** Droga niewinna przyjaciółko Ewangelia Wie pani, teraz będziemy ją głosili razem () cos bardzo nowego w tym guście () to oczywista () i tej drogiej niewdzięcznicy

637

z tym potwornym kawałeczkiem cukru w zębach - a jednak ma pani w sobie coś cudownego, widzę to w pani rysach... O, niech się pani nie rumieni i nie boi się mnie jako mężczyzny. Chere et incomparable, pour moi une femme cest tout* Nie mogę żyć inaczej niż obok kobiety... lecz tylko obok... Strasznie, strasznie się płaczę... Nie mogę w żaden sposób przypomnieć sobie, co to chciałem powiedzieć. O, błogosławiony ten, któremu Bóg zsyła zawsze niewiastę i... i zdaje mi się nawet, że wpadam w jakiś zachwyt. Na trakcie także króluje wielka myśl! Tak, tak, to właśnie chciałem powiedzieć. Teraz przypominałem sobie, a przedtem jakoś nie mogłem. Po co powieźli nas dalej ? Tam było także dobrze, tu zaś - cela devient trop froid. A propos, fai en tout quarante roubles et voild cet argent.** Niech pani je schowa. Ja nie umiem, zgubię, zabiorą mi i... Zdaje mi się, że jestem senny. Kręci mi się jakoś w głowie. Tak, kręci się, kręci się, kręci. O, jaka pani dobra. Czym to pani mnie okrywa?

- Pan ma na pewno gorączkę. Okryłam pana moim kocem, a co do pieniędzy...

- Na miłość Boską, nen parlons plus, parce que cela me fait mai***. O, jaka pani dobra!

Przerwał i szybko zasnął gorączkowym snem. Droga polna, którą jechało się te siedemnaście wiorst, nie była zbyt równa i bryka porządnie podskakiwała w górę. Stiepan Trofimowicz budził się raz po raz, podnosił głowę z poduszeczki, którą podsunęła mu Zofia Matwiej ewna, chwycił ją za rękę, pytał: „Pani tu?”, jak gdyby bał się, aby go nie porzuciła. Upewniał ją, że przyśniła mu się jakaś paszczyka z zębami i że to było wstrętne. Zofia Matwiejewna była bardzo zaniepokojona.

Podwieziono ich wprost do chałupy o czterech oknach, z przybudówkami. Stiepan Trofimowicz zbudził się, podążył do chaty i od razu wszedł do drugiej, największej i widnej izby. Jego zaspana twarz stawała się bardzo zatroskana. Oznajmił natychmiast gospodyni, wysokiej i tęgiej czterdziestoletniej babie, ciemnej brunetce, prawie wąsatej, że wymaga całego

- Droga i niezrównana przyjaciółko, kobieta to dia mnie wszystko ** robi się bardzo zimno A właśnie, mam wszystkiego czterdzieści rubli, oto pieniądze, proszę *** nie mówmy o tym wiece), bo to mt sprawia przykrość.

638

pokoju dla siebie, „i żeby pokój był zamknięty, i żeby nikogo tam nie wpuszczano, parce que nous avons d parler. Otd, jai beaucoup d vous dire, chere amte.* Zapłacę wam, zapłacę!” - wołał do gospodyni machając rękami.

Chociaż mówił szybko, poruszał jakoś ciężko językiem. Gospodyni wysłuchiwała niezbyt uprzejmie, lecz milczenie jej było świadectwem zgody, w której jednak można było wyczuć pewną groźbę. Nie zauważył tego i niezwłocznie zażądał (straszenie się spieszył), aby wyszła natychmiast, jak najprędzej, i „bez żadnej zwłoki” przyniosła obiad.

Wąsata baba dłużej nie wytrzymała:

- Tu nie karczma, panie. Obiadów przyjezdnym nie dajemy. Możemy raków nagotować albo samowar nastawić, a więcej nic nie mamy. Świeża ryba będzie, ale jutro.

Ale Stiepan Trofimowicz zamachał rękami, niecierpliwie i gniewnie wołając: „Ja zapłacę, ale prędzej, prędzej!” Stało na zupie i pieczonej kurze, gospodyni oświadczyła, że w całej wsi nie znajdzie kury. Zgodziła się jednak poszukać, a mówiła to z taką miną, jak gdyby robiła niezwykłą łaskę.

Ledwo wyszła, Stiepan Trofimowicz siadł na kanapie i posadził obok siebie Zofię Matwiejewnę. W pokoju była i kanapa, i fotele, lecz w okropnym stanie. Był to dość duży pokój (z przegródką, za którą stało łóżko); żółte, stare, podarte tapety, na ścianach okropne litografie przedstawiające sceny z mitologii i długi rząd ikon, dziwna zbieranina najrozmaitszych mebli czyniły z tego pokoju smutną mieszaninę czegoś miejskiego z odwiecznie chłopskim. Stiepan Trofimowicz nie widział tego, nie spojrzał nawet przez okno na ogromne jezioro, którego brzeg widniał o trzydzieści sążni od chaty.

- Nareszcie jesteśmy sami, nie wpuścimy nikogo! Chcę opowiedzieć pani wszystko, wszystko od samego początku.

- Czy panu wiadomo, Stiepanie Trofimowiczu... - przerwała mu niespokojnie Zofia Matwiejewna.

- Comment, vous savez deja mon nom? ** - uśmiechnął M., radośnie.

- Słyszałam onegdaj od Anisima, z którym pan rozmawiał. Ale ośmielę się powiedzieć...

- musimy porozmawiać Tak, mam pani wiele do powiedzenia, droga przyjaciolkn ** Jak to, pani już wie, jak mi na imię?

639

Zaczęła szybko szeptać, oglądając się na zamknięte drzwi, aby nikt nie mógł podsłuchać, że tu, w tej wsi, jest niebezpiecznie, że wszyscy chłopci, chociaż rybacy, żyjący głównie z rybołówstwa, zdzierają latem od przyjezdnych takie ceny, jakie im się żywnie podoba. Wieś nie leży przy trakcie, to zapadła dziura, a ludzie przyjeżdżają tu tylko dlatego, że tu zatrzymuje się parostatek.³ Gdy parostatek nie przychodzi, a zdarza się to zawsze w czasie niepogody, w ciągu kilku dni zbiera się we wsi tyle ludzi, że zajmują prawie wszystkie chaty. A gospodarzom w to graj! Za wszystko łupią wtedy potrójną cenę. A tutejszy gospodarz jest dumny i nieuprzejmy, bo jak na miejscowe stosunki - to bogacz. Sam jego niewód kosztuje tysiąc rubli.

Stiepan Trofimowicz patrzył z wyrzutem na ożywioną twarz Zofii Matwiejewny i parę razy robił gesty, aby jej przerwać. Ona jednak nie przestawała mówić. Opowiedziała, że już kiedyś latem była tu z jedną panią, bardzo poważną, z miasta. Zanocowały tutaj i dwa dni czekały na parostatek. Zaznały takiej biedy, aż strach.

- Stiepanie Trofimowiczu! Pan zażądał tu osobnego pokoju wyłącznie dla siebie... Mówię tylko dlatego, żeby pana uprzedzić... Tam, w tamtym pokoju, są już przyjezdni, jakiś starszy pan, a drugi młody, i jakaś pani z dziećmi, a jutro od drugiej będzie pełna chata gości, gdyż parostatku dwa dni nie było, więc jutro przyjdzie na pewno. Za ten osobny pokój i za to, że pan zażądał obiadu, i za obrazę innych gości zedrą z pana tyle, że nawet w stolicy tyle się nie płaci.

Lecz Stiepan Trofimowicz cierpiał, cierpiał naprawdę.

- Assez, mañ enfant, błagam panią, nous avons notre argent et apres - et apres le bon Dieu. I ja nawet się dziwię, że pani mając tak szczytne ideały... Assez, assez, vous me tourmentez* - zawołał histerycznie. - Przed nami cała nasza przyszłość, a pani straszy mnie tą przyszłością...

Zaczął natychmiast opowiadać jej swoje życie, a tak się spieszył, że na razie trudno było coś zrozumieć. Opowiadanie trwało długo. Przyniesiono zupę rybną, przyniesiono kurę, zjawił się wreszcie samowar, on zaś mówił bez przerwy...

- Dość, moje dziecko (...) mamy pieniądze, a wreszcie... a wreszcie Bóg nam pomoże (-O Dość, dość, pani mnie męczy

ń 4.0

Dość dziwnie i chorobliwie brzmiały jego słowa, ale przecież naprawdę był chory. Był to jakiś gwałtowny wysiłek umysłowy. Musiało się to skończyć - a Zofia Matwiejewna ze smutkiem przeczuwała to przez cały czas opowieści - gwałtowną depresją wytraconego z równowagi organizmu. Zaczai od lat dzieciennych, gdy „ze świeżą piersią biegał po polu”, po godzinie doszedł dopiero do dwóch swoich żeniacek i do życia w Berlinie. Nie chciałbym zresztą żartować. W tym wszystkim było istotnie coś głębszego, była to dla niego, mówiąc językiem współczesnym, jakaś walka o byt. Miał przed sobą tę, którą już obrał sobie na dalszą drogę, i chciał jak najprędzej wtajemniczyć ją we wszystko. Genialność jego nie powinna być dla niej tajemnicą... Może zbyt fantazjował co do Zofii Matwiejewny, lecz już ją wybrał. Nie mógł się obejść bez kobiety. Z wyrazu jej twarzy widział, że ona go nie rozumie, nie rozumie w najistotniejszym.

„Ce nest rien, nous attendrons* tymczasem może będzie mnie rozumiała sercem...”

- Przyjaciółko moja! Potrzebne mi jest tylko twoje serce - wołał do niej, przerywając opowieść - serce twoje i to miłe, czarujące spojrzenie! Niech się pani nie rumieni! Mówiłem już...

Najzawilsza dla Zofii Matwiejewny była ta część opowieści, która przekształciła się w dysertację o tym, jak nikt i nigdy nie mógł zrozumieć Stepana Trofimowicza, i o tym, „jak giną w Rosji talenty”. Potem opowiadała, biedaczka, że to wszystko było „strasznie uczone”. Słuchała z wyrazem bólu, szeroko otwierając oczy. Gdy zaś Stepan Trofimowicz puścił się na sarkazm i zjadliwe wycieczki w kierunku naszych „panujących postępów”, próbowała dwa razy uśmiechnąć się w odpowiedzi na śmiech Stepana Trofimowicza, ale wyszło to żałośliwiej niż łyż, toteż Stepan Trofimowicz sam się w końcu zawstydził i z tym większym zapalem rzucił się na nihilistów i „nowych ludzi”. Tu już naprawdę Zofia Matwiejewna przeraziła się, a odetchnęła na chwilę, bardzo przelotnie, dopiero wtedy, gdy się rozpoczął właściwy romans. Kobieta nie przestaje być kobietą, chociażby była mniszką. Uśmiechała się, kiwała głową, rumieniła się i spuszczała oczy, wpro-

- To nic, poczekamy

641

wadzając tym Stepana Trofimowicza w kompletny zachwyt. Pod wpływem natchnienia upiększył nawet to i owo. Barbarę Pietrownę przedstawił jako cudowną brunetkę (którą zachwycił się cały Petersburg i niejedna stolica Europy), mąż jej padł „w Sewastopolu przeszyty kulą” tylko dlatego, że nie czuł się godnym jej miłości i ustąpił ją rywalowi, to znaczy jemu, Stepanowi Trofimowiczowi... „Nie bój się, moja cicha, moja chrześcijanko! - uspokajał Zofię Matwiejewnę, sam prawie wierząc w to, co opowiadał. - Nasza miłość była tak wzniosła, tak szczytna, żeśmy jej nawet nigdy sobie nie wyznali.” W dalszym toku opowiadania przyczyną takiego stanu rzeczy już była blondynka (chyba Daria Pawłowna, bo kogóż innego mógł mieć na myśli?). Blondynka ta wszystko zawdzięczała brunetce i jako daleka krewna wyrosła w jej domu. Brunetka, dostrzegłszy wreszcie miłość blondynki do Stepana Trofimowicza, zamknęła się w sobie. Blondynka zaś, dostrzegłszy miłość brunetki do Stepana Trofimowicza, także zamknęła się w sobie. I wszyscy troje, dręcząc się nawzajem wspaniałomyślnością, milczeli tak przez lat dwadzieścia, zamknięci w

sobie. „Widziałem przepyszny rozkwit jej urody (mowa była o brunetce) - mówił Stiepan Trofimowicz pochlipując w najszczerzym zachwycie - patrzyłem z sercem skrwawionym, jak co dzień przechodziła obok mnie, jak gdyby wstydząc się swej piękności.” A raz powiedział: „wstydząc się swego ciała”. Wreszcie zbiegł - porzucając ten dwudziestoletni gorączkowy sen. Vingt ans!*, i oto teraz na trakcie... Potem, w stanie naprawdę gorączkowym, zaczął wyjaśniać Zofii Matwiejewnie, co znaczy dzisiejsze „tak niespodziewane a decydujące ich spotkanie na wieczne czasy”. Zofia Matwiejewna, ogromnie speszona, wstała wreszcie z kanapy; próbował nawet uklęknąć przed nią, lecz ona rozplakała się. Mrok gęstniał; już kilka godzin pozostawali w zamkniętym pokoju.

- Nie, niech mnie pan już wypuści z tego pokoju - zaczęła błagać Zofia Matwiejewna. - Ludzie Bóg wie co pomyślą.

Wyrwała się wreszcie. Puścił ją i obiecał natychmiast położyć się spać. Przy pożegnaniu skarżył się na ból głowy. Zofia Matwiejewna zostawiła swój sakwojaż i rzeczy w pier-

- Dwadzieścia lat

wszym pokoju i zamierzała spędzić noc z gospodarzami. Nie udało się jej jednak odpocząć.

W nocy Stiepan Trofimowicz uległ atakowi choleryny, tak dobrze znanemu wszystkim jego przyjaciółom - normalne następstwo nerwowego i moralnego wstrząsu. Biedna Zofia Matwiejewna nie spała całą noc. Ponieważ, doglądając chorego, musiała niejednokrotnie wychodzić z chałupy przez pokój gospodarzy, drzemiący tam goście i gospodarze gniewali się. Pod koniec, gdy chciała nad ranem nastawić samowar, zaczęli już urągać. Stiepan Trofimowicz przez cały czas trwania ataku był półprzytomny. Czasem roilo mu się, że samowar kipi, że czymś go poją (były to maliny), że mu kładą ciepłe kompresy na żołądek i piersi. Czuł też przez cały czas, iż ona jest tuż przy nim. Wychodziła i przychodziła, ściągała go z łóżka i znów go kładła. Około trzeciej po północy poczuł się lepiej. Podniósł się, spuścił nogi z łóżka i nie myśląc o niczym, zwałił się przed nią na podłogę. Nie ukląkł, po prostu padł jej do nóg i całował kraj jej sukni.

Ona zaś usiłowała podnieść go i mówiła:

- Nie trzeba, nie jestem tego warta.

Stiepan Trofimowicz modlitewnie złożył dłonie.

- Wybawicielko moja! Vous et es noble, comme une mar-qmse.* A ja... ja jestem nikczemnik. O, całe moje życie było nikczemne...

- Niech się pan uspokoi - błagała Zofia Matwiejewna.

- Wszystko kłamałem, dla sławy, dla rozkoszy, przez pustkę życia. Wszystko to, do ostatniej sylaby, jest nieprawdą. Niegodny jestem, niegodny!

Choleryna przeszła w inny atak, w atak histerycznego biczowania się. Już wspominałem o takich atakach, opisując jego listy do Barbary Pietrowny, Przypomniał sobie raptem Lizę i wczorajsze z nią spotkanie.

- To było takie straszne! Tam na pewno było nieszczęście, a ja nawet nie zapytałem! Nie

dowiedziałem się! Myślałem tylko o sobie! O, co się z nią dzieje! Nie wie pani, co się z nią dzieje?

- dopytywał się błagalnie.

Potem zaś przysięgał - że „nie zdradzi”, że wróci do niej (to znaczy do Barbary Pietrowny).

- Pani jest szlachetna jak markiza

4i* 643

- Będziemy co dzień podchodzili do jej ganku (my - to znaczy on i Zofia Matwiejewna), będziemy

podchodzili każdego dnia i będziemy cichutko patrzyli na nią, jak siada do karety jadąc na poranny spacer... Och, jakżebym chciał, aby uderzyła mnie w drugi policzek! Poczuję rozkosz! Nadstawiłbym jej drugi policzek comme dans votre livre!* Teraz, teraz dopiero zrozumiałem, co znaczy „nadstawić drugi policzek”. Nigdy tego dawniej nie rozumiał!

Dla Zofii Matwiejewny były to dwa straszne dni jej życia; dotychczas drży na ich wspomnienie. Stiepan Trofimowicz zachorował tak poważnie, że nie był w stanie pojechać parostatkami, który tym razem przyszedł punktualnie o drugiej po południu. Ona zaś nie mogła go zostawić i także nie pojechała do Spasowa. Jak opowiadała później, Stiepan Trofimowicz ucieszył się nawet, gdy parostatek odpłynął.

- Dobrze, doskonale! - mrucał leżąc w łóżku. - Wciąż się bałem, że pojedziemy. Tu tak dobrze, tu najlepiej... Nie opuści mnie pani? O, pani mnie nie zostawi samego?!

Tu jednak nie było tak dobrze. Nie wiedział nic o jej kłopotach. Głowę jego wypełniały fantazje. Chorobę swoją traktował jako coś chwilowego, przelotnego. Nie myślał o niej. Wciąż śnił, jak to pójdzie z Zofią Matwiejewną sprzedawać „te książki”. Prosił ją, aby mu czytała Ewangelię.

- Jużem dawno nie czytał... z oryginału. Ktoś mnie zapytał i mogę się omylić. Trzeba sobie przypomnieć.

Siadła obok niego i otworzyła książkę. Po pierwszych paru wierszach przerwał jej:

- Pani cudownie czyta!

Potem dodał niewyraźnie, lecz z zachwytem:

- Widzę, że się nie omylił.

W ogóle był ciągle w stanie upojenia. Przeczytała mu Kazanie na górze.

- Assez, assez, mon enfant, dosyć już... Czy sądzi pani, że to nie wystarcza?

Znużony zamknął oczy. Był bardzo osłabiony, lecz jeszcze przytomny. Zofia Matwiejewna wstała myśląc, że Stiepan Trofimowicz chce zasnąć. Zatrzymała ją jednak.

- Przyjaciółko moja, kłamałem przez całe życie. Nawet

- jak w pani książce

644

wtedy, gdy mówiłem prawdę. Nigdy nie mówiłem dla prawdy, a tylko dla siebie. Wiedziałem o tym od dawna, lecz widzę dopiero teraz. Och, gdzie są ci przyjaciele, których obrażałem przez całe życie moją przyjaźnią? I wszyscy, wszyscy! Savez—vous,* może i teraz kłamię, na pewno kłamię. Najgorzej, że sam sobie wierzę, gdy kłamię. Najtrudniej jest żyć i nie kłamać... i... nie wierzyć we własne kłamstwo. Tak, tak, właśnie o to chodzi... Tak, ale o tym później. Jesteśmy razem! Razem! - dodał entuzjastycznie.

- Stiepanie Trofimowiczu - nieśmiało odezwała się Zofia Matwiejewna. - Może by posłać do miasta po doktora? Zdumiał się.

- Po co? Est-ce que je suis si malade? Mais rien de serieux.** Po co nam obcy ludzie? Dowiedzą się i co wtedy? Nie, nie, nie chcę obcych ludzi! Pani i ja, my sami, razem...

- Wie pani - odezwał się po chwili - niech mi pani przeczyta cokolwiek na chybił trafił.4

Zofia Matwiejewna otworzyła książkę i zaczęła czytać.

- Gdzie wypadnie, gdzie się przypadkowo otworzy - powtórzył jeszcze.

- „A Aniołowi Kościoła laodycejskiego napisz...”

- Co to takiego? Z czego to?

- To z Apokalipsy.

- Oh, je men sownens, oui, lApocalypse. Lisez, lisez,*** ja chcę wywróżyć naszą przyszłość, chcę wiedzieć, co wypadnie. Niech pani zaczyna od tego anioła, od anioła.

- „Aniołowi zaś Kościoła w Laodycei napisz: To mówi Amen, Świadek wierny i prawdomówny. Początek stworzenia Bożego: Znam twoje czyny, że ani zimny, ani gorący nie jesteś. Obyś był zimny albo gorący! A tak skoro jesteś letni i ani gorący, ani zimny, chcę cię wyrzucać z mych ust. Ty bowiem mówisz: „jestem bogaty) i „wzbogaciłem się” i „ni-czego mi nie potrzeba”, a nie wiesz, że ty jesteś nieszczęsny i godzin litości, i biedny, i ślepy, i nagi...”⁵

- To... to jest napisane w pani książce?!-wykrzyknął Stiepan Trofimowicz z błyszczącymi oczyma zrywając się

wie pani

Czv testem taki chory³ Ależ to nic poważnego

O, przypominam sobie, tak, Apokalipsa Niech pani czyta, niech pani czyta

645

z pościeli. - Nigdy nie znalazłem tego wspaniałego fragmentu! Słyszysz pani: lepiej zimny, zimny niż letni, tylko letni! O, udowodnię to! Lecz niech pani mnie nie opuszcza! Udowodnimy to razem!

- Ależ ja nie opuszczę pana, Stiepanie Trofimowiczu! Nigdy nie opuszczę!

Chwyliła jego rękę, ścisnęła i podniosła do serca, patrząc na niego ze łzami w oczach. („Taka mnie litość ogarnęła” - opowiadała potem.)

Usta jej drgały nerwowo.

- Lecz co ja mam robić, Stiepanie Trofimowiczu? Może zawiadomić kogo ze znajomych pana lub krewnych?

Przeraził się nie na żarty, aż sama pożałowała. Trzęsąc się i drżąc, błagał ją, żeby nie sprowadzała nikogo, nie czyniła żadnych starań; żądał, aby mu to obiecała. Powtarzał: „Nikogo, nikogo! My sami, tylko my, nous partirons ensemble**”.

Źle się składało, że gospodarze również zaczęli się niepokoić. Pomrukiwali i nagabywali Zofię Matwiejewną. Zapłaciła im i nie omieszkała pokazać, że ma jeszcze pieniądze. To udobruchało ich na pewien czas, lecz gospodarz żądał pokazania „dokumentu” Stiepana Trofimowicza. Chory z wyniosłym uśmiechem wskazał swój mały sakwojaż. Zofia Matwiejewna odszukała tam jakiś dekret o dymisji czy inny dowód, który służył Stiepanowi Trofimowiczowi przez całe życie. Gospodarz nie uspokoił się jednak i twierdził, że „trzeba jego stąd zabrać, bo tu nie szpital, a jak umrze, to nie wiadomo, co będzie; same przykrości”. Zofia Matwiejewna pomówiła z gospodarzem o doktorze. Wyjaśniło się jednak, że posyłanie do miasta będzie tak drogo kosztowało, że trzeba było wyrzec się wszelkiej myśli o pomocy lekarskiej. Z bólem w sercu wróciła do chorego. Stiepan Trofimowicz był coraz bardziej osłabiony.

- A teraz niech mi pani przeczyta jeszcze jedno miejsce o wieprzach - odezwał się znienacka.

- Co-o-o? - przeraziła się Zofia Matwiejewna.

- O wieprzach... to także tam... ces cochons...** przypominam sobie... czarci weszli w wieprze i potonęli... niech mi

- pójdziemy razem ** te świnię

pani koniecznie to przeczyta. Potem wytłumaczę pani dlaczego. Chcę przypomnieć sobie dosłownie. Trzeba mi dosłownie.

Zofia Matwiejewna знаła dobrze Pismo Święte i natychmiast odszukała ten fragment Ewangelii

św. Łukasza, którego użyłem jako epigram do mojej kroniki. Znów przytaczam te słowa:

„A była tam duża trzoda świń, pasących się na górze. Prosiły Go więc (złe duchy), żeby im pozwolił wejść w nie. I pozwolił im. Wtedy złe duchy wyszły z człowieka i weszły w świnie, a trzoda ruszyła pędem po urwistym zboczu do jeziora i utonęła. Na widok tego, co zaszło, pasterze uciekli i rozpowiedzieli to w mieście i po zagrodach. Ludzie wyszli zobaczyć, co się stało. Przyszli do Jezusa i zastali człowieka, z którego wyszły złe duchy, ubranego i przy zdrowych zmysłach, siedzącego u nóg Jezusa. Strach ich ogarnął. A ci, którzy widzieli, opowiedzieli im, w jaki sposób opętany został uzdrowiony.”

- Przyjaciółko moja - przerwał jej Stiepan Trofimowicz, niesłuchanie wzruszony. - Savez-vous, przez całe życie zastanawiał mnie ten cudowny i niezwykły fragment... dans ce livre... * tak że jeszcze w dzieciństwie zapamiętałem to. A teraz przyszła mi do głowy jedna myśl... une comparaison**. W ogóle tyle myśli przychodzi mi teraz do głowy! Widzi pani, to zupełnie tak jak Rosja. Te złe duchy, wychodzące z chorego i wchodzące w świnie - to nasze rany, nasze miazmaty, cały brud, wszystkie diabły i diabluki, które nagromadziły się przez wieki w naszym wielkim, drogim chorym, jakim jest Rosja! Oui, cette Russie, que j'aimais toujours.*** Lecz wielka myśl i wielka wola ześlą na nią łaskę jak na owego chorego, i wszystkie złe duchy, cały brud, całe plugastwo, gnojące się na powierzchni, wyjdą... i same będą prosiły, aby wejść w wieprze. Może nawet już weszły. To my, my i oni, i Pietrusza... et les autres avec Im,**** i ja, może ja pierwszy. I rzucimy się, nieprzytomni i opętani, że skały w morze, i utoniemy wszyscy. Taki nasz los, gdyż do niczego innego nie jesteśmy zdolni. Lecz chory będzie uzdrowiony i „siadzie u stóp Chrystuso-
 - w tej książce
** porównanie
*** Tak, ta Rosja, którą zawsze kochałem.
**** a z nim i inni
- 647

wych”... a wszyscy będą patrzyli zdziwieni... Moja najdroższy. vous comprendrez apres, obecnie zaś męczy mnie to bardza Vous comprendrez apres... Nous comprendrom ensemble...*

Zaczął majaczyć i wreszcie zupełnie stracił przytomność Nie wracał do przytomności przez cały dzień następny. Zofia Matwiejewna siedziała obok niego i płakała. Nie spała już prawie trzy noce i bała się pokazać na oczy gospodarzom, którzy, jak się domyślała, już coś przedsięwzięli. Ratunek przybył dopiero na trzeci dzień. Rano Stiepan Trofimowicz ocknął się, poznał ją i wyciągnął do niej dłoń.

Przeżegnała się z ulgą. Chory chciał koniecznie spojrzeć przez okno.

- Tiens, un loc** - wyszeptał. - Mój Boże, jeszcze go nawet nie widziałem.

W tej chwili jakiś pojazd zatrzymał się przed gankiem i w domu zapanował niezwykły rwetes.

III

Była to Barbara Pietrowna we własnej osobie, która zjechała w karecie, czwórką koni, z dwoma lokajami i z Darią Pawłówną. Cud stał się w sposób bardzo prosty. Trawiony ciekawością Anisim, po przybyciu do miasta, zjawił się nazajutrz w domu Barbary Pietrowny i opowiedział służbie, że spotkał Stiepana Trofimowicza samego na wsi, że chłopci widzieli go na trakcie, jak szedł sam, piechotą, i że wyruszył dalej do Spasowa, przez Ustijewo, już w towarzystwie Zofii Matwiejewny. Ponieważ wiedziano, że Barbara Pietrowna jest bardzo niespokojna i poszukuje zbiegłego przyjaciela, natychmiast powtórzono jej relację Anisima. Wysłuchiwała uważnie całe) opowieści, zwłaszcza zaś szczegółów wspólnego wyjazdu do Ustijewa z jakąś Zofią Matwiejewna, zebrała się

natychmiast i wyruszyła po świeżych śladach do Ustijewa. O chorobie Stiepana Trofimowicza jeszcze nie miała pojęcia.

Rozległ się groźny, rozkazujący jej głos, który przeraził nawet gospodarza. Zatrzymała się tu, aby zasięgnąć języka,

- pani to potem zrozumie () Pani to potem zrozumie Zrozumiemy razem ** O, jezioro 648

-zekonana, że Stiepan Trofimowicz już dawno jest w Spaso-ule. Dowiedziawszy się, że jest tu i leży chory, weszła wzburzona do chaty.

„ - No, gdzież on jest? Ach, to ty! - zawołała zobaczywszy fZofię Matwiejewnę, która właśnie w tej chwili ukazała się w progu drugiego pokoju.-To ty! Domyśliłam się z twojej bezwstydnej twarzy! Precz, niegodziwa! I żeby tu śladu jej nie było w tym domu! Wypędzić ją! Inaczej, kochaneczko, zapakuję cię na zawsze do więzienia. Pilnować jej w innej chacie! Ona już w mieście raz siedziała w więzieniu, posiedzi jeszcze. A wy, gospodarzu, nie wpuszczajcie nikogo, póki tu jestem. Jestem generałowa Stawrogin i zajmuję cały ten dom. Ty zaś, gołąbko, że wszystkiego zdasz mi rachunek!

Znajome dźwięki poruszyły Stiepana Trofimowicza. Zadrżał. Lecz ona była już za przepierzeniem. Z błyszczącymi groźnie oczyma przysunęła nogą krzesło i usiadła.

- Wyjdź stąd! - krzyknęła na Daszę. - Posiedź u gospodarzy. Po co ta ciekawość? A drzwi dobrze zamknij za sobą!

Przez chwilę w milczeniu drapieżnie wpatrywała się w jego twarz.

- No, jakże się mamy, Stiepanie Trofimowiczu? Jakże udała się wyprawa? - odezwała się wreszcie ze zjadliwą ironią.

- Chere - wybelkotał Stiepan Trofimowicz, prawie nieprzytomny. - Poznałem rzeczywistość rosyjską... Et je pre-cherai lEvangtle...*

- Bezwstydny, niewdzięczny człowieku! - krzyknęła gwałtownie, załamując ręce. - Nie dość ci było mojej hańby, jeszcześ się związał... Stary, bezwstydny rozpustniku!

- Chere...

Głos mu się załamał. Nie mógł nic więcej wymówić. Patrzył tylko, a oczy miał szeroko otwarte z przerażenia.

- Kto to taki, ta kobieta?

- Cest un ange... Cetan plus quun ange pour moi,** ona tu przez całą noc... O, niech pani nie krzyczy! Niech pani jej nie straszy. Chere, chere!

Barbara Pietrowna zerwała się z krzesła. Krzyknęła prze-

- Droga (i Będę głosił Ewangelię ** To anioł Ona była dla mnie więcej niż aniołem

J8 Dostoiowski, t III

rażliwie: „Wody, wody!” I chociaż chory ocknął się, jednak wciąż drżała ze strachu i, pobladła, wpatrywała się w jego zmienione rysy. Teraz dopiero rozumiała, że choroba jest rzeczywiście poważna.

- Dario - zaczęła szeptać - zaraz po doktora, po Salz-fischa. Niech jedzie Jegorycz. Niech najmie tu konie, a w mieście niech weźmie drugą karetę. I żeby na noc już był z powrotem.

Daria pośpieszyła wykonać zlecenie. Stiepan Trofimowicz wciąż patrzył wytrzeszczonymi oczyma, przerażony. Jego blade wargi drżały.

- Poczekaj, Stiepanie Trofimowiczu, poczekaj, złociut-ki! - uspokajała go jak dziecko Barbara Pietrowna. - Poczekaj, zaraz Dasza wróci i... Ach, mój Boże, gdzież ta gospodyni, gdzie gospodyni! Niechże ona przyjdzie przynajmniej!

Niecierpliwie wybiegła do gospodyni.

- Zaraz, zaraz, w tej chwili, niech wraca tamta... przysłać ją tu!

Na szczęście Zofia Matwiejewna nie zdążyła jeszcze opuścić domu i właśnie wychodziła za próg ze swoim workiem i węzełkiem. Kazano jej wrócić. Była tak wystraszona, że trzęsły się jej ręce i nogi. Barbara Pietrowna chwyciła ją za ramię jak jastrząb kurczę i pociągnęła gwałtownie do Stiepana Trofimowicza.

- Masz ją pan! Nie zjadłam jej! Pan myślał, że ją zjem!

Stiepan Trofimowicz ujął dłoń Barbary Pietrowny, pod niósł ją do swoich ust i zalał się gorącymi łzami. Łkał boleśnie, rzewnie, jak w ataku hysterii.

- Uspokój się, uspokój, mój złociutki, mój drogi! Ach, Boże! Niechże się pan uspokoi! - krzyczała wściekle. - O, dręczycielu mój, wieczny dręczycielu!

- Droga moja - wyszeptał wreszcie Stiepan Trofimowicz zwracając się do Zofii Matwiejewny. - Niech pani wyjdzie na chwilę, muszę coś powiedzieć...

Zofia Matwiejewna pośpiesznie opuściła pokój.

- Cherie... Cherie... - zaczął bełkotać, lecz brakło mu tchu.

- Niech pan poczeka, Stiepanie Trofimowiczu, niech pan odpocznie trochę. Proszę napić się wody. Niech pan poczeka!

Znowu usiadła. Stiepan Trofimowicz trzymał ją mocno za

650

rękę. Długo nie pozwalała mu mówić. Podniósł jej dłoń do ust i zaczął całować. Zaciśnięta usta, wpatrzona gdzieś w kąt!

- Je vous cdmais!* - wyrwało mu się wreszcie. Nigdy przedtem nie słyszała z ust jego takich słów i tak wymówionych.

- Hm! - bąknęła w odpowiedzi.

- Je vous aimais toute ma vie... vingt ans!**

Milczała parę minut. Wreszcie rozległ się jej straszny szept:

- A kiedy szykował się pan dla Daszy, toś się perfumami oblewał...

Stiepan Trofimowicz poczuł chłód w plecach.

- Włożył pan nowy halsztuk... Znow parę chwil milczenia.

- Pamięta pan cygaro?

- Droga przyjaciółko... - próbował oponować w przerażeniu.

- Cygarko, wieczorem, pod oknem... księżyc świecił... po tym, co było w altanie... W Skworesznikach? Pamiętasz, pamiętasz?- Zerwała się z krzesła, chwyciła poduszkę za dwa rogi i zaczęła potrząsać nią razem z głową Stiepana Trofimowicza. - Pamiętasz, pusty, pusty, małoduszny, paskudny, zawsze, zawsze pusty człowieku? - Już wprost syczała, ledwo powstrzymując się od krzyku. Zostawiła go wreszcie i opadła na krzesło, ukrywając twarz w dłoniach. - Dość tego! - rzekła wyprostowując się. - Minęło dwadzieścia lat. Nie zawrócisz ich. A ja także byłam głupia.

- Je vous aimais - szepnęła znowu, modlitewnie składając dłonie.

- Co pan będzie mi powtarzał aimais i aimais! Dość już tego! - wybuchła znowu. - I jeżeli pan w tej chwili mi nie zaśnie, to ja... Panu potrzebny spokój! Śpij pan zaraz! Zamknij oczy! Ach, mój Boże! Może on głodny! Co pan tu jada? Co on jadł? Mój Boże! Gdzież ona jest? Gdzie tamta?

Zaczął się rwetes. Lecz Stiepan Trofimowicz cichutkim głosem oświadczył, że chętnie zasnąłby une heure, a potem... unbouillon, un the... enfmilestsiheureux.*** Wyciągnął się istotnie, jak gdyby zasnął (prawdopodobnie udawał). Barbara

- Kochałem panią1

-* Kochałem panią przez całe życie dwadzieścia lat! *** na godzinkę () bulion, herbata a zresztą taki)est szczęśliwy

651

Pietrowna przeczekała chwilkę i wyszła na palcach zza przepierzenia.

Usiadła w pokoju gospodarzy, wypędziła ich i kazała Daszy przyprowadzić tamtą. Rozpoczęło się badanie.

- Opowiedz to teraz, moja droga, wszystko po kolei! Siadaj tu obok. Tak. A więc?

- Spotkałam Stiepana Trofimowicza...

- Poczekaj no! Uprzedzam, że jeżeli coś skłamiesz lub cokolwiek ukryjesz, znajdę cię pod ziemią. Mów!

- Ja ze Stiepanem Trofimowiczem... ja tylko przyszłam do Chatowa... - prawie bez tchu rzekła Zofia Matwiejewna.

- Poczekaj, poczekaj! Co się tak śpieszysz? Przede wszystkim powiedz, co z ciebie za ptaszek.

Zofia Matwiejewna opowiedziała jako tako, w krótkich słowach, o sobie, zaczynając od Sewastopola. Barbara Pietrowna słuchała w milczeniu, wyprostowana na krześle i przenikliwie wpatrzona w oczy opowiadającej.

- Czegoś taka wystraszona? Dlaczego spuszczasz oczy? Lubię takich, którzy patrzą mi prosto w oczy i sprzecniają się ze mną. Mów dalej.

Opowiedziała o spotkaniu, o książkach, o tym, jak Stiepan Trofimowicz częstował babę wódką...

- Tak, tak! Nie pomijaj żadnego szczegółu! - dodała jej odwagi Barbara Pietrowna.

Opowiadała dalej, jak pojechali razem, jak Stiepan Trofimowicz mówił bez przerwy, „już w chorobie”, i jak tu już całe swoje życie od samego początku przez kilka godzin opisywał.

- Mów o życiu.

Zofia Matwiejewna zacięła się nagle. Była zupełnie zmieszana.

- Nic nie mogę powiedzieć - wyszeptała ze łzami w oczach. - I nic z tego nie mogłam zrozumieć.

- Kłamiesz! To niemożliwe, abyś nic nie zrozumiała.

- Długo opowiadał mi o pewnej pani... o brunetce... - bąknęła Zofia Matwiejewna i zaczerwieniła się strasznie. Zauważyła blond włosy Barbary Pietrowny i że jest całkiem niepodobna do owej „brunetki”.

- O brunetce? Cóż o niej mówił? Opowiadaj!

- Mówił, że ta pani była w nim zakochana. Przez całe życie, przez całe dwadzieścia lat. Lecz nigdy nie odważyła się

powiedzieć mu o tym i zawsze wstydziła się go, gdyż była bardzo otyła...

- Idiota! - zawołała w zamyśleniu Barbara Pietrowna. Głos miała twardy.

Zofia Matwiejewna rozplakała się nie na żarty.

- Nie mogę nic dobrze opowiedzieć, bo sama byłam w strachu o Stiepana Trofimowicza i nic nie rozumiałam, bo taki uczony...

- Nie takiej sroce jak ty sądzić o jego rozumie. Zofia Matwiejewna była przerażona.

- Zakochał się w tobie? Mów! Oświadczył ci się? - na-stawała gromkim głosem Barbara Pietrowna.

- Prawie że tak było - mówiła tamta szlochając. - Ale ja tego nie słuchałam, bo to w chorobie - dodała podnosząc oczy.

- Jak się nazywasz?

- Zofia Matwiejewna...

- Więc pamiętaj, Zofio Matwiejewno, że to marny, pusty człowiek... Boże mój, Boże! Uważasz mnie za niegodziwą? Tamta szeroko otworzyła oczy.

- Za niegodziwą? Za tyrankę? Za taką, która zmarnowała mu życie?

- Ależ to niemożliwe. Przecież pani sama płacze! Istotnie Barbara Pietrowna miała łzy w oczach.

- No, siadaj, siadaj, nie bój się. Spójrz mi jeszcze raz w oczy. Dlaczego spiekłaś raka? Daszo, chodź tu! Popatrz na nią! Prawda, że ona musi mieć dobre serce?...

Ku zdumieniu, a może nawet ku większemu jeszcze przerażeniu Zofii Matwiejewny, poklepała ją po policzku.

- Szkoda tylko, żeś głupia, za głupia na swój wiek. Dobrze już, moja droga. Zaopiekuję się tobą. Widzę, że to wszystko głupstwo. Pobądź tymczasem tu obok. Pokój dla ciebie wynajmiemy, a stołować się będziesz u mnie. To wszystko... dopóki cię nie zawołam.

Zofia Matwiejewna zająknęła się, przestraszona, że pilno jej już odjechać.

- Nie masz dokąd się śpieszyć. Książki twoje - wszystkie kupuję. A ty siedź tutaj. Milcz tylko, żadnych wyjaśnień. Przecież, gdybym nie przyjechała, tobyś go tu samego nie porzuciła?

- Za nic w świecie nie porzuciłabym - stanowczo stwierdziła Zofia Matwiejewna ocierając łzy.

Doktor Salzfisch przyjechał późnym wieczorem. Był to poważny starszy pan, niezły praktyk.

Niedawno utracił stanowisko służbowe z powodu jakiegoś ambicyjnego zatargu ze zwierzchnikami i od tego czasu Barbara Pietrowna otoczyła go swą protekcją. Uważnie zbadał chorego, wypytał o wszystko i ostrożnie oznajmił Barbarze Pietrownie, że stan „cierpiącego” jest bardzo poważny, głównie z powodu przykrych komplikacji w przebiegu choroby, że można oczekiwać „nawet rzeczy najgorszych”. Barbara Pietrowna od dwudziestu lat odzwyczajona nawet od myśli o czymkolwiek poważnym i stanowczym, skoro chodziło o Stiepana Trofimowicza, była głęboko poruszona, zbladła nawet.

- Czy naprawdę nie ma żadnej nadziei?

- Tak na świecie nie bywa, aby już zupełnie i znikąd nie mogło być nadziei, ale...

Nie kładła się przez całą noc i ledwo doczekać się mogła poranku. Gdy tylko chory otworzył oczy i ocknął się (a był wciąż jeszcze przytomny, chociaż słabł z godziny na godzinę), zbliżyła się do niego krokiem stanowczym.

- Stiepanie Trofimowiczu. Trzeba przewidywać wszystko... Posłałam po kapłana. Niech pan

dopełni obowiązku...

Znając jego przekonania, strasznie bała się odmowy. Spojrzał na nią zdziwiony.

- To głupstwa! głupstwa! - zawołała sądząc, że już odmawia. - Tu nie czas na żarty. Dość już pan w życiu nażar-tował.

- Ale czy jestem tak bardzo chory?

Zgodził się w zadumie. Z prawdziwym zdziwieniem dowiedziałem się potem od Barbary Pietrowny, że wcale nie bał się śmierci. Może nie wierzył, że umrze, i traktował swoją chorobę jako coś przemijającego.

Wyspowiadał się i przyjął komunię bardzo chętnie.

Wszyscy, zarówno Zofia Matwiejewna, jak i służba, weszli do izby i powstrzymywali łzy patrząc na jego wymęczoną, zmizerowaną twarz, na jego zbieleiałe i drżące wargi.

- Oui, mes amis* dziwię się tylko, że tak się wysilacie.

- Tak, moi przyjaciele

654

Jutro na pewno wstanę, wstanę i... pójdziemy... Toute cette ceremonie*... którą traktuję z całym szacunkiem... była...

Barbara Pietrowna stanowczym ruchem zatrzymała popa, który zdejmował już szaty.

- Byłabym wdzięczna, gdyby ojciec zechciał pozostać przy chorym... Niech ojciec przy herbacie zacznie mówić o rzeczach boskich, aby podtrzymać w nim wiarę.

Kapłan zaczął mówić. Wszyscy zgromadzili się przy łożu chorego.

- W naszym grzesznym wieku - płynnie prawił pop trzymając w ręku filiżankę herbaty - wiara w Boga jest jedyną ostoją rodu ludzkiego i jedyną ucieczką od cierpień i prób życiowych, a także jedynym źródłem nadziei na wieczną szczęśliwość, przyobiecana ludziom sprawiedliwym.

Stiepan Trofimowicz prawie ożywił się. Subtelny uśmiech prześliznął się po jego wargach.

- Mon pere, je vous remercie, vous etes hien bon, mais...**

- Jakie tam mais, żadnego mais! - zawołała Barbara Pietrowna zrywając się na równe nogi. - Ojciec - zwróciła się do popa - to taki człowiek, że... po godzinie trzeba będzie spowiadać go na nowo! Taki charakter!

Stiepan Trofimowicz uśmiechnął się powściągliwie.

- Przyjaciele moi - rzekł. - Bóg jest mi potrzebny chociażby dlatego, że jest to jedyna istota, którą kochać można wiecznie...

Czy istotnie odzyskał wiarę, czy też tak poważna ceremonia sakramentu poruszyła go i podnieciła artystyczną wrażliwość jego duszy, trudno to określić. A jednak mocnym głosem z głębokim uczuciem, wypowiedział parę zdań zupełnie sprzecznych z dotychczasowymi jego poglądami.

- Mój żywot pozagrobowy dlatego jest czymś nieuniknionym i nieodwołalnym, że Pan Bóg nie zechce popełnić niesprawiedliwości i zgasić płomienia miłości do Niego, który w moim sercu rozgorzał. A cóż jest droższe od miłości? Miłość jest wyższa od bytu, miłość jest ukoronowaniem bytu, więc byt musi się przed nią ukorzyć. Jeżeli ukochałem Boga i rozradowałem się miłością do Niego, czyż to możliwe, aby zgasił

Caia ta ceremonia

Mój ojcie, dziękuję ci, jesteś bardzo dobrj, ale

655

On i mnie, i moją radość? Aby obrócił nas w proch? Jeśli jest Bóg, to i ja jestem nieśmiertelny!
Voild ma profession de foi...*

- Bóg istnieje, Stiepanie Trofimowiczu, zapewniam pana, że istnieje - zaklinała Barbara Pietrowna.
- Niech się pan zaprze, niech się pan wyrzeknie wszystkich swoich głupstw! Choć raz w życiu!
(Mam wrażenie, że niezupełnie rozumiała jego profession de foi.)

- Przyjaciółko moja - mówił z coraz większym ożywieniem, chociaż głos mu się rwał co chwila -
przyjaciółko moja... gdy zrozumiałem tamto... o nadstawionym policzku... zrozumiałem
jednocześnie coś więcej. Jai menti toute ma vie,** całe życie! Chciałbym... może jutro... Jutro
wyruszymy wszyscy.

Barbara Pietrowna płakała. Chory szukał kogoś oczyma.

- Ona jest tutaj, jest! - uspokajała Barbara Pietrowna podprowadzając Zofię Matwiejewnę.
Uśmiechnął się łagodnie.

- Ach, jak chciałbym żyć znowu! - zawołał z niezwykłą energią. - Każda godzina, każda chwila
życia powinna być radością dla człowieka... Powinna! Musi być! To obowiązek człowieka tak
urządzić, to jego przykazanie, ukryte, lecz istniejące na pewno... O, tak chciałbym zobaczyć
Pietrusze... i ich wszystkich... i Szatowa!

Zaznaczam, że o losie Szatowa jeszcze nikt tu nie wiedział, ani Barbara Pietrowna, ani nawet
doktor Salzfisch, który przyjechał z miasta ostatni.

Stiepan Trofimowicz był coraz bardziej ożywiony, chorobliwie, ponad miarę swoich sił.

- Już sama myśl, że istnieje ktoś bezgranicznie sprawiedliwy i szczęśliwszy ode mnie, napawa mnie
niewymowną radością i dumą! Niezależnie od tego, kim byłem, co robiłem. Ponad szczęście
własne potrzebna jest człowiekowi świadomość i nieustanna wiara, że istnieje gdzieś szczęście
całkowite, spokojne, dla wszystkich ludzi i rzeczy... Zasadą bytu ludzkiego jest to, aby człowiek
mógł zawsze korzystać przed nieskończeniem wielkim. Jeżeli ludzi pozbawić nieskończenie
wielkiego, nie zechcą żyć i umrą w rozpacz. Nieskończoność i bezmiar są tak samo ludziom
potrzebne jak ta mała planeta, na której

Oto moje wyznanie wiary Kłamałem przez całe swoje życie

656

żyjemy... Przyjaciele moi! Wszyscy, wszyscy: niech żyje Myśl! Wielka Myśl wieczna, bez kresu!
Każdy człowiek, każdy bez wyjątku, niech się ukorzy przed tym, co jest Wielką Myślą. Najgłupszy
człowiek musi mieć coś wielkiego dla duszy. Pie-trusza... Och, jakże chciałbym znowu zobaczyć
ich wszystkich! Oni nie wiedzą, nie wiedzą, że w nich zawarta jest ta sama Wielka Myśl.

Doktor Salzfisch nie był obecny przy ceremonii. Wszedł zniecacka, przeraził się i rozpedził
zgrupowanych, nakazując, aby nie niepokoiono chorego.

Stiepan Trofimowicz skonał w trzy dni później. Umierał nieprzytomny. Zgasił jakoś cicho, jak
dopalona świeca. Barbara Pietrowna po egzekwiach, odśpiewanych na miejscu, odwoziła ciało
biednego przyjaciela do Skworesznik. Złożono je wewnątrz ogrodzenia cerkiewnego i nakryto
płytą marmurową. Wykonanie napisu na płycie i zrobienie specjalnej kraty odłożono do wiosny.

Nieobecność Barbary Pietrowny w mieście trwała osiem dni. Razem z nią, siedząc obok w karecie,
przyjechała również Zofia Matwiejewna, która chyba osiedliła się u niej już na zawsze. Gdy Stiepan

Trofimowicz w ów poranek stracił przytomność, Barbara Pietrowna natychmiast usunęła Zofię Matwiejewnę, wypędziła ją zupełnie z domu, i doglądała chorego już sama, do końca. Gdy skołał, natychmiast zawołała ją znowu. Nie chciała słuchać żadnych zastrzeżeń kobieciny, niesłuchanie przerażonej propozycją (raczej rozkazem) zamieszkania na zawsze w Skworesznikach.

- Głupstwa! Będę sama chodziła z Pismem Świętym. Będę także sprzedawała. Nie mam już nikogo na świecie.

- Ma pani przecież syna - zaprotestował doktor Salzfisch.

- Nie mam syna! - przerwała mu Barbara Pietrowna. Nie wiedziała, że słowa jej będą prorocze.

ROZDZIAŁ ÓSMY

EPILOG

Wszystkie dokonane u nas potworności i zbrodnie wykryte zostały niesłuchanie szybko, znacznie szybciej, niż przewidywał Piotr Stiepanowicz. Zaczęło się od tego, że nieszczęsna Maria Ignatiewna w dzień zabójstwa męża zbudziła się przed świtem, obejrzała się i zaniepokoiła się ogromnie, nie znalazłszy go obok siebie. Nocowała z nią najęta wówczas przez Arinę Prochorownę posługaczka, która na próżno starała się uspokoić chorą i gdy tylko zaczęło świtać, pobiegła do Ariny Procho-rowny, zapewniwszy Marię Ignatiewnę, że tam na pewno można będzie się dowiedzieć, gdzie jest Szatow i kiedy wróci. Tymczasem Arina Prochorowna także miała kłopot. Wiedziała już od męża o tym, co się stało nocą w Skworesznikach. Wir-giński wrócił do domu późno, około jedenastej, w strasznym stanie; załamywał ręce, rzucał się na łóżko i powtarzał dygocząc w spazmatycznym płaczu: „To nie to, nie to, zupełnie nie to!” Skończyło się na tym, że przyznał się Arinie Procho-rownie do wszystkiego, i tylko, nawiasem mówiąc, jej jednej. Pozostawiła go w łóżku, groźnie zapowiedziawszy, że „jeżeli chce chlipać, niech ryczy do poduszki, żeby nie było słyhać, i że będzie głupi, jeżeli jutro zdradzi się z czymkolwiek”.

Zastanowiła się i zaraz, na wszelki wypadek, pochowała lub zniszczyła zbyteczne książki, niepotrzebne papiery, może nawet proklamacje. Potem zdecydowała, że nadmierne niebezpieczeństwo nie grozi właściwie ani jej, ani jej siostrze, ciotce, studentce, ani nawet kłapouchemu braciszкови. Gdy posługaczka przybiegła po nią nad ranem, poszła natychmiast

658

bez chwili namysłu. Chciała zresztą wybać jak najprędzej, czy prawdą jest to, co wczoraj przerażonym, półobłąkańczym szeptem opowiedział jej mąż o rachubach Piotra Stiepanowicza na Kiriłłowa”.

Spóźniła się jednak do Marii Ignatiewny: ta, gdy wyprawiała służącą i została sama, nie wytrzymała, zwlokła się z łóżka i narzuciwszy na siebie, co miała pod ręką, zdaje się, że coś bardzo lekkiego i nieodpowiedniego na taką pogodę, poszła sama do oficyny, do Kiriłłowa, mając nadzieję, że może tam się dowie czegoś o mężu. Łatwo sobie wyobrazić, jak podziało na połoźnicę to, co tam zobaczyła. Notatki przedśmiernej Kiriłłowa, która leżała na widocznym miejscu, nie przeczytała, nie zauważyła jej nawet. Wbiegła z powrotem do swego pokoju, chwyciła niemowlę i wyszła z domu na ulicę. Poranek był wilgotny i mglisty. Na odległej ulicy nie było przechodniów. Biegła wciąż, aż do utraty tchu, po zimnym i grząskim błocie, wreszcie zaczęła dobijać się do domów; w jednym nie chciano otworzyć, w drugim zaś długo nie otwierano; nie doczekała się i zaczęła stukać do trzeciego. Był to dom naszego kupca Titowa. Narobiła tu wielkiego hałasu, lamentując i chaotycznie zapewniając, że „zabito jej męża”. W rodzinie Titowa wiedziano trochę o Szatowie i o jego historii. Maria Ignatiewna przysporzyła im niemało lęku: powiada, że powiła wczoraj dziecko, a teraz już biega w takim ubraniu, w taki chłód, po ulicach, z ledwo okrytym

niemowlęciem na rękach. Pomyślano na razie, że bredzi, tym bardziej że z jej opowiadania trudno było wywnioskować, kto jest zabity: jej mąż czy Kiryłow. Widząc, że nie dają jej wiary, chciała biec dalej, lecz zatrzymano ją przemocą; opowiadano, że okropnie szamotała się i krzyczała. Ktoś poszedł do domu Filippowa i w dwie godziny potem samobójstwo Kiryłowa i jego przedśmiertna notatka znane już były całemu miastu. Policja zwróciła się do położnicy, która była jeszcze jako tako przytomna. Wyjaśniło się, że nie widziała nawet notatki Kiryłowa, i nie można było od niej się dowiedzieć, skąd wie o zabójstwie męża. Krzyczała wciąż, że „jeżeli tamten zabity, to i mąż zabity; byli razem”. Około południa straciła przytomność i już jej nie odzyskała. Umarła w trzy dni potem. Przeziębione dziecko umarło jeszcze wcześniej.

Arina Prochorowna, gdy nie zastała w domu ani Szatowej,

42* 659

ani dziecka i zrozumiała, że to źle może się skończyć, chciała wracać do domu, lecz zatrzymała się przy bramie i posłała posługaczkę, aby „dowiedziała się w oficynie, od pana, który tam mieszka, czy nie ma tam Marii Ignatiewny i czy nie wiadomo, co się z nią dzieje”. Kobieta wróciła po chwili, krzycząc przeraźliwie na całą ulicę. Wirgińska zmusiła ją do milczenia i do nieopowiadania nikomu, używszy niezawodnego argumentu, że „zasądzą”, i uciekła z podwórza.

Rzecz prosta, że badano ją tegoż dnia jako akuszerkę, która była przy położnicy, ale niewiele się dowiedziano. Spokojnie i dokładnie opowiedziała wszystko, co sama widziała i słyszała u Szatowa, lecz mówiąc o strasznym wypadku twierdziła, że nic nie wie i nie rozumie.

Łatwo sobie wyobrazić, jaka burza rozpętała się w mieście. Nowa „historia”, nowe zabójstwo! Lecz teraz rzeczy nabierały innej barwy: stawało się jasnym, że rzeczywiście istnieje tajna organizacja zabójców, podpalaczy-rewolucjonistów, buntowników. Straszna śmierć Lizy, zabójstwo żony Stawrogina, sam Stawrogin, pożar, bal na rzecz guwernantek, rozwiązłość otoczenia Julii Michajłowny... Nawet w zniknięciu Stiepana Trofimowicza chciano koniecznie dopatrzeć się tajemnicy. Dużo, dużo szeptano o Mikołaju Wsiewołodowiczu. Pod wieczór dowiedziano się też o wyjeździe Piotra Stiepanowicza, ale, rzecz dziwna, o nim najmniej mówiono. Najwięcej rozmaitych pogłosek krążyło tego dnia o „senatorze”. Przed domem Filippowa prawie przez cały ranek stał tłum. Władze istotnie wprowadzone zostały w błąd kartką Kiryłowa. Uwierzono, że Kiryłow zabił Szatowa i że sam popełnił samobójstwo. Zresztą chociaż władze straciły głowę, to jednak nie do szczętu. Na przykład słowo „park”, użyte w sposób tak nieokreślony w liście Kiryłowa, nikogo nie zbiło z tropu, na co liczył Piotr Stiepanowicz. Policja rzuciła się od razu do Skworesznik, i to nie tylko dlatego, że był to jedyny park w okolicy, lecz także z tego powodu, że wszystkie okropności ostatnich dni były bezpośrednio związane ze Skworesznikami. Prosty instynkt prowadził w tamtą stronę. Tak przynajmniej sądzę. (Dodam tu, że Barbara Pietrowna, nie wiedząc o niczym, wyjechała tegoż dnia rano na poszukiwanie Stiepana Trofimowicza.) Do wieczora odszukano już ciało w stawie, kierując się pewnymi śladami: na miejscu zabójstwa znaleziono czapkę Szato-

660

wa,1 lekkomyślnie porzuconą przez zabójców. Oględziny lekarskie, a zresztą sam wygląd trupa i inne poszlaki od razu nasunęły myśl, że Kiryłow nie mógł działać bez współników. Jasnym stało się istnienie jakiegoś spisku Szatowowsko-Kiryłowskiego i związek tego spisku z proklamacjami. Kim byli współnicy? O naszych tego dnia nie myślano nawet. Dowiedziano się, że Kiryłow żył jak pustelnik, tak dalece, że przez tyle dni mógł ukrywać Fiedkę Katorżnego, którego wszędzie szukano... Była o tym mowa w notatce. Najwięcej męczyło wszystkich, że z tej płataniny nie można było wydobyć nic konkretnego, wiążącego się w całość. Nie wiadomo nawet, do jakich przypuszczeń i fantazji mogliby dojść mieszkańcy naszego miasta, przerażeni panicznie zdarzeniami, gdyby nie wyjaśniło się wszystko od razu, już nazajutrz, dzięki Lamszynowi.

Lamszyn nie wytrzymał. Stało się z nim to, co Piotr Stiepanowicz przeczuwał już w ostatniej chwili. Oddany pod opiekę Tołkaczenki, potem zaś Erkla, Lamszyn cały dzień przeleżał w łóżku, na pozór spokojnie, odwrócony do ściany, nie mówiąc do nikogo ani słowa, nawet gdy się do niego zwracano. Nie dowiedział się w ten sposób o niczym, co się działo w mieście. Lecz Tołkaczenko, doskonale o wszystkim poinformowany, zdecydował się pod wieczór zrezygnować z roli wyznaczonej mu przez Piotra Stiepanowicza i wyruszył z miasta, czyli po prostu uciekł. To prawda, że potracili głowy, jak wy-prorokował o nich wszystkich Erkel. Muszę dodać w tym miejscu, że Liputin także znikł z miasta, jeszcze przed południem. O jego zniknięciu dowiedziano się jednak dopiero następnego wieczora, gdy zaczęto indagować zaniepokojoną jego nieobecnością, lecz milczącą ze strachu rodzinę. Wróćmy jednak do Lamszyna. Gdy został sam (Erkel, licząc na Tołkaczenkę, wyszedł jeszcze wcześniej), natychmiast wybiegł z domu i bardzo szybko dowiedział się, jak rzeczy stoją. Nie wracając nawet do domu, rzucił się pędem w nieokreślonym kierunku. Noc jednak była tak ciemna, a zamiar ucieczki tak straszny i skomplikowany, że przebiegłszy parę ulic, wrócił do domu i zamknął się na klucz. Zdaje się, że nad ranem podjął nieudaną próbę samobójstwa. Przesiedział tak w zamknięciu prawie do południa - i raptem pobiegł do władz. Podobno pełzał na kolanach, łkał i pisał, całował podłogę,

661

krzyczał, że nie jest godzien całować butów stojących przed nim dostojników. Uspokojono go i nawet pocieszono. Badanie trwało, jak powiadają, trzy godziny. Wyjaśnił wszystko, wszystko, całą stronę zakulisową, wszystko, co wiedział, każdy szczegół; wyskakiwał naprzód, śpieszył z wyznaniami, mówił dużo rzeczy zbędnych, o które go nikt nie pytał. Przekonano się, że wie dużo i że dość dobrze scharakteryzował sprawę. Tragedia Szatowa i Kiryłowa, pożar, śmierć Lebiadkina i jego siostry, wszystko to zeszło na drugi plan. Na pierwsze miejsce wysunął się Piotr Stiepanowicz, tajne stowarzyszenie, organizacja, sieć organizacyjna. Na pytanie: „W jakim celu dokonano tylu zabójstw, skandałów, łajdactw?”, odpowiedział w pośpiechu, że robiono to „w celu systematycznego wstrząsania podstaw, w celu systematycznego rozkładu społeczeństwa i zasad moralnych; w tym celu, aby wszyscy potracili głowy, aby powstał chaos i aby potem można było pochwycić w garść społeczeństwo, chore i bezwolne, cyniczne i niewierzące, lecz nieskończenie spragnione jakiejś myśli kierowniczej i samozachowania; chciano dokonać tego za pomocą buntu, wspierającego się o sieć piątek, które do tego czasu będą zorganizowane i praktycznie zaznajomione ze wszystkimi słabymi punktami, w które można uderzyć”. Dodał, że tu, w naszym mieście, urządzona została przez Wierchowieńskiego pierwsza próba takiego systematycznego nieładu, jako program dalszego działania dla wszystkich piątek. Zastrzegł się, że to już jego własny domysł, i błagał, „żeby zechcieli to wszystko zapamiętać, żeby nie omieszkali wziąć pod uwagę, jak otwarcie i lojalnie on, Lamszyn, przedstawia całą sprawę, czyli że może się przydać władzom w przyszłości”. Na wyraźne pytanie: czy dużo jest tych piątek? - odpowiedział, że nieskończona ilość, że cała Rosja zasnutą jest ich siecią. Nie złożył żadnych dowodów na to, sądzę jednak, że mówił szczerze. Przedstawił drukowany program stowarzyszenia, sporządzony za granicą, a także projekt rozwoju dalszej akcji, napisany na brudno, ale własnoręcznie przez Piotra Stiepanowicza. Okazało się, że o „wstrząsaniu podstaw” Lamszyn cytował dosłownie z projektu, pamiętając każde zdanie, akcentując każdy przecinek, chociaż zapewniał, że to jego własny wywód. O Julii Michajłownie odezwał się w sposób zabawny - nie pytany przez nikogo i bez związku z tokiem opowiadania - że „jest

662

niewinna i że po prostu dała się złapać”. Dziwne było, że całkowicie odgradził Mikołaja Stawrogina od udziału w stowarzyszeniu i od zmywy z Wierchowieńskim. (Fantastyczne nadzieje Wierchowieńskiego związane ze Stawroginem nie były znane Lamszynowi.) Podług jego słów, śmierć Lebiadkinów zaaranżowana została tylko przez Piotra Stiepanowicza, bez żadnego udziału Stawrogina. Wierchowieński chciał w ten sposób wplątać Stawrogina w zbrodnię i uzależnić od

siebie, zamiast jednak wdzięczności, na którą liczył, wywołał tylko oburzenie i rozpacz „szlachetnego” Stawrogina. Uwagi o Sta-wroginie zakończył Lamszyn wyraźną wskazówką, że gra tu rolę na pewno jakaś gruba ryba, ale jest w tym jakaś tajemnica; że Stawrogin mieszkał u nas jak gdyby incognito, lecz miał ważną misję, i że prawdopodobnie znów do nas zawita z Petersburga (Lamszyn był przekonany, że Stawrogin jest w Petersburgu), lecz już zupełnie w innej roli, w innych warunkach i w otoczeniu takich ludzi, o których wkrótce będzie głośno. Mówił to wszystko śpiesząc się i nie czekając, aż go zapytają. Dodał, że wie o tym od Wierchowieńskiego, który jest „ukrytym wrogiem Stawrogina”.

Tu uprzedzę fakty. W dwa miesiące po tym Lamszyn przyznał się, że starał się oczyścić Stawrogina, gdyż liczył na jego protekcję. Sądził, że Stawrogin wystara się w Petersburgu o złagodzenie dla niego kary o dwa stopnie i zaopatrzy go przed zesłaniem w pieniądze i w listy polecające. Świadczy to o tym, że Lamszyn miał istotnie przesadne przekonanie o wpływach Stawrogina.

Tego samego dnia aresztowano oczywiście Wirgińskiego i przy sposobności wszystkich jego domowników. (Arina Pro-chorowna, jej siostra, ciotka, a nawet studentka są już od dawna na wolności; mówią, że i Szygalew ma być w najbliższym czasie uwolniony, gdyż trudno go zaliczyć do jakiegokolwiek kategorii oskarżonych; są to na razie tylko pogłoski.) Wirgiński od razu do wszystkiego się przyznał: gdy przyszedł po niego, był chory, leżał w gorączce. Nawet ucieszył się i podobno powiedział: „Spadł mi ciężar z serca.” Podobno składa obecnie zeznania zupełnie otwarcie, lecz z pewną godnością; nie chce się wyrzec swych „jasnych nadziei”, lecz przeklina tę drogę polityczną (w przeciwieństwie do socjalnej), na którą został wbrew woli wciągnięty przez „wicher wydarzeń”. Jego za-

663

chowanie się w czasie zabójstwa zawiera pewne okoliczności łagodzące. Może więc spodziewać się łagodniejszego wyroku. Tak przynajmniej mówią u nas.

Wątpliwe jednak, czy można będzie złagodzić los Erkla. Ten człowiek od chwili aresztowania albo milczy, albo stara się w miarę możliwości fałszować prawdę. Dotychczas nie wydobyto z niego ani słowa skruchy. A jednak zdobył on pewną sympatię dla siebie nawet wśród najsurowszych sędziów. Sprawia to jego młodość, jego bezbronność i wyraźne dowody, że stał się jedynie ofiarą politycznego kusiciela, a przede wszystkim wiadomość o jego stosunku do matki, której stale posyłał prawie połowę swej skromnej pensji. Matka jego nadal mieszka w naszym mieście; jest to kobieta sterana i chora, przedwcześnie zgrzybiała; płacze wciąż i błaga na kolanach o łaskę dla jej syna. Nie wiadomo, jak się to skończy, lecz Erkel budzi w wielu współczucie.

Liputin został aresztowany w Petersburgu, gdzie prze-mieszkał aż dwa tygodnie. Stała się z nim rzecz dziwna i niezrozumiała. Miał podobno paszport na cudze nazwisko, dość dużo pieniędzy przy sobie i mógł doskonale uciec za granicę, a jednak został w Petersburgu. Przez jakiś czas szukał Stawro-gina i Wierchowieńskiego, wreszcie pogrążył się bez miary w pijaństwie i rozpuście, jak człowiek, który stracił zdrowy rozsądek i zrozumienie swojej sytuacji. Aresztowano go pijanego w jakimś lupanarze. Podobno nie traci obecnie fantazji, w zeznaniach kłamie i szykuje się do sądu uroczyście i z pewną nadzieją (?). Ma zamiar nawet podyskutować w czasie rozpraw. Tołkaczenko, aresztowany gdzieś na wsi w dziesięć dni po ucieczce, zachowuje się znacznie przyzwoiciej, nie kłamie, nie wykręca się, mówi wszystko, co wie, nie stara się usprawiedliwiać siebie, przyznaje się całkowicie do winy, lecz także ma skłonność do gadulstwa. Mówi dużo i chętnie. Gdy zaczyna mówić o ludzi i o jego elementach rewolucyjnych (?), pozuje nawet i stara się wyrzec wrażenie. Podobno ma zamiar również wypowiedzieć mowę w sądzie. W ogóle ani on, ani Liputin nie są zanadto przerażeni, co nawet zastanawia.

Powtarzam, że sprawa jeszcze nie jest zakończona. Teraz, po trzech miesiącach, społeczeństwo

nasze odpoczęło, uspokoiło się, wytchnęło, może już mieć własny sąd o sprawie o tyle, że wielu ludzi uważa Piotra Stiepanowicza za jednostkę

664

genialną, przynajmniej za „wysoce utalentowaną”. „Tak, to organizacja!” - mówią w klubie, podnosząc palec do góry. Wszystko to zresztą jest bardzo niewinne. Nie wszyscy jednak podzielają tę opinię. Niektórzy, przeciwnie, nie odmawiają Piotrowi Stiepanowiczowi pewnych zdolności, lecz podkreślają jednocześnie zupełną nieznamość życia, oderwanie od rzeczywistości i tępy, uparty rozwój w jednym tylko kierunku, połączony z niesłychaną lekkomyślnością. Co do jego charakterystyki moralnej, godzą się wszyscy. Tu nie ma dwóch zdań.

Nie wiem naprawdę, co mam jeszcze dorzucić, aby nie zapomnieć o niczym. Maurycy Nikołajewicz wyjechał stąd na zawsze. Stara pani Drozdów dziecięciła do reszty... Lecz muszę opowiedzieć jeszcze jedną ponurą historię. Poprzestanę tylko na faktach.

Barbarz Pietrowna zatrzymała się po powrocie w swym domu w mieście. Zwały się na nią od razu wszystkie te wiadomości, wywołując w jej uczuciach istną burzę. Był już wieczór. Wszyscy w domu byli zmęczeni i wcześniej położyli się spać.

Rano służąca z tajemniczą miną wręczyła Darii Pawłownie list. List ten, jak się okazało, nadszedł jeszcze wieczorem, lecz późno, gdy wszyscy spali, i dlatego nie został od razu oddany. Przyszedł nie pocztą, lecz do Skworesznik, na adres Aleksego Jegorowicza, przyniesiony przez jakiegoś obcego człowieka. Aleksey Jegorowicz sam wczoraj wieczorem przywiózł list do miasta i oddał pokojówce, po czym wrócił do Skworesznik.

Dasza z biciem serca patrzyła długo na list, bojąc się otworzyć. Wiedziała od kogo: to pisał Mikołaj Stawrogin. Przeczytała napis na kopercie: „Dla Aleksego Jegorowicza, aby wręczył w sekrecie Darii Pawłownie.”

Oto ów list, dosłownie, bez poprawiania jakichkolwiek błędów stylu panicza rosyjskiego, który, pomimo całego wykształcenia europejskiego, niezupełnie opanował własny język.

„Droga Dario Pawłowno!

Pani kiedyś chciała do mnie na pielęgniarkę i przyjęła moją obietnicę, że zawołam, kiedy będzie potrzeba. Jadę za dwa dni i nie wrócę. Czy chce Pani jechać ze mną?

W zeszłym roku, jak Hercen, zapisałem się na obywatela

665

kantonu Uri,² i nikt o tym nie wie. Tam już kupiłem mały domek. Mam jeszcze dwanaście tysięcy rubli. Pojedziemy i będziemy tam mieszkać do śmierci. Nie chcę nigdy wyjeżdżać stamtąd.

Miejsce bardzo ponure. Wąwóz, góry ściskają myśl i wzrok. Bardzo mroczno. Zrobiłem to dlatego, że sprzedawał się mały domek. Jak się Pani nie spodoba, sprzedam i kupię inny w innym miejscu.

Jestem chory, lecz w tamtym powietrzu, myślę, że uwolnię się od halucynacji. To fizycznie. A moralnie - Pani wie wszystko! Ale czy naprawdę wszystko?

Ja Pani opowiedziałem dużo z mojego życia. Ale nie wszystko. Nawet Pani - nie wszystko! W tym miejscu potwierdzam, że mówiąc uczciwie, jestem winien śmierci żony. Nie widziałem Pani od tego czasu, i dlatego to stwierdzam. Winien jestem i wobec Lizawiey Nikołajewny. Ale to Pani wie. Pani prawie wszystko przepowiedziała.

Lepiej niech Pani nie przyjeżdża. To, że wzywam Panią, jest wielką nikczemnością. Po co Pani ma grzebać siebie na całe życie? Jest mi Pani miła i dobrze mi było w chwilach smutku przy Pani. Przy Pani jednej mogłem głośno mówić o sobie. Ale z tego nic nie wynika. Pani określiła siebie jako

pielęgniarkę. To Pani słowa. Po co taka ofiara? Niech Pani także zrozumie, że nie żałuję Pani, jeżeli wzywam, i nie szanuję, jeżeli czekam. A przy tym wszystkim i wzywam, i czekam. W każdym razie muszę mieć odpowiedź, bo trzeba jechać jak najprędzej. W razie odmowy pojedę sam.

Niczego się po Uri nie spodziewam. Po prostu jadę. Nie starałem się wybrać ponurego miejsca. Z Rosją niczym nie jestem związany - wszystko tu obce dla mnie, jak zresztą wszędzie. Istotnie, tutaj najmniej lubiłem mieszkać. Ale nawet tutaj niczego nie mogłem nienawidzić.

Próbowałem wszędzie swojej siły. Pani mi tak radziła, aby poznać siebie. Podczas prób, dla siebie samego i na pokaz, tak samo jak dawniej, przez całe życie, siła moja okazała się bez granic. W oczach Pani zniósłem policzek od brata Pani, przyznałem się publicznie do mego małżeństwa. Lecz nigdy nie wiedziałem, jak nie wiem i teraz, pomimo zapewnień Pani w Szwajcarii, w które wierzyłem - do czego mam siłę moją zastosować. Tak samo jak i dawniej - mogę zechcieć zrobić

666

dobry uczynek i robi mi to przyjemność. Ale już zaraz pragnę złego i tak samo czuję przyjemność. I to, i tamto uczucie jest jak zawsze zbyt płytkie, a nigdy nie chcę bardzo. Moje chęci są zawsze słabe; nie mogą kierować. Na belce można przepłynąć rzekę, na szczapie nie można. Piszę tak dlatego, by Pani nie myślała, że jadę do Uri z jakakolwiek nadzieją.

Jak dawniej nikogo nie oskarżani. Próbowałem wielkiej rozpusty i trwoniłem na nią siły. Lecz nie lubię rozpusty i nie chciałem jej. Pani w ostatnich czasach przyglądała mi się. Czy Pani wie, że patrzyłem ze złością nawet na naszych nihi-listów przez zazdrość, że mają jakieś nadzieje? Lecz Pani niepotrzebnie się bała. Nie mogłem być ich współnikiem, bo to wszystko było mi obce. A tak, przez złość czy też dla pośmiewiska, także nie mogłem; nie dlatego, abym bał się śmieszności - nie mogę przestraszyć się śmiesznością - lecz dlatego, że mimo wszystko mam przyzwyczajenia porządnego człowieka i brał mnie wstręt. Lecz gdybym czuł do nich więcej złości i zawiści, może bym poszedł razem z nimi! Niech Pani teraz osądzi, jak mi lekko było i jak się szarpałem.

Przyjaciółko droga, istota szlachetna i tkliwa, którą odgadłem! Może marzysz dać mi tyle miłości i tyle złać na mnie piękna ze swej pięknej duszy, że masz nadzieję wskazać mi wreszcie w ten sposób cel? Niech Pani będzie ostrożniejsza: miłość będzie tak samo płytka jak ja sam, a Pani będzie nieszczęśliwa. Mówił mi brat Pani, że ten, kto traci związek ze swoją ziemią, ten traci swoich bogów, to znaczy wszystkie swoje cele. O wszystkim można dyskutować bez końca, lecz ze mnie wysączyło się tylko przeczenie, bez jakiejś wielkoduszności i bez jakiejś siły. Właściwie przeczenie nie wysączyło się: było zawsze płytkie i mdłe. Wspaniałomyślny Kiryłow nie udźwignął idei - i zastrzelił się, lecz ja widzę, że on był wspaniałomyślny tylko dlatego, że nie był przy zdrowych zmysłach. Ja nigdy nie mogę stracić rozsądku i nie mogę uwierzyć w ideę w tym stopniu, co on. Nie mogę nawet w tym stopniu zainteresować się ideą. Nigdy, nigdy nie mógłbym się zastrzelić!

Wiem, że powinienem zabić siebie, zmieść siebie z powierzchni ziemi jak szkodliwego owada. Lecz boję się samobójstwa, gdyż boję się okazać wspaniałomyślność. Wiem, że to byłoby znowu oszustwo, ostatnie oszustwo po tylu innych. Jakaż korzyść oszukiwać siebie, aby tylko odegrać rolę wspaniało-

667

myślnego? Oburzenia i wstydu nigdy we mnie nie ma. Nie może więc być i rozpacz.

Proszę się nie gniewać, że piszę tak dużo: opamiętałem się i to stało się jakoś przypadkowo. W ten sposób i stu stron za mało, a dziesięć wierszy wystarczy. Wystarczy dziesięć wierszy zaproszenia w charakterze pielęgniarki.

Od czasu jak wyjechałem, mieszkam na szóstej stacji u zawiadowcy. Zetknąłem się z nim przed pięć laty na hulance w Petersburgu. Nikt nie wie, że tu mieszkam. Proszę pisać na jego adres. Załączam adres

Mikołaj Stawrogin.”

Daria Pawłowna poszła natychmiast pokazać list Barbarze Pietrownie. Barbara Pietrowna przeczytała i poprosiła Daszę, żeby ją zostawiła samą, gdyż musi odczytać ten list jeszcze raz bez świadków. Zawołała ją jednak bardzo szybko.

- Jedziesz? - zawołała nieśmiało.

- Jadę - odpowiedziała Dasza.

- Zbierz rzeczy! Pojedziemy razem! Dasza spojrzała ze zdziwieniem.

- A cóż mam tu robić teraz? Czy nie wszystko już jedno? Ja także zapiszę się tam w Uri i będę żyła w wąwozie... Nie bój się, nie będę przeszkadzać.

Zaczęły szybko pakować rzeczy, aby zdążyć na południowy pociąg. Lecz minęło niespełna pół godziny, gdy zjawił się ze Skworesznik Aleksy Jegorowicz. Zameldował, że Mikołaj Wsiewołodowicz „raptem” przyjechał dziś rannym pociągiem i znajduje się w Skworesznikach, lecz „w takim stanie, że na pytania nie odpowiada; przeszedł przez wszystkie pokoje i zamknął się u siebie”.

- Wbrew paniczemu rozkazom przyjechałem zameldować - dodał ze skupioną miną.

Barbara Pietrowna spojrzała na niego przenikliwie i nie pytała o nic więcej. Karetą za chwilę była gotowa. Pojechały obie. W drodze Barbara Pietrowna często żegnała się i modliła.

Wszystkie drzwi apartamentów Mikołaja Wsiewołodowicza były otwarte. Nie było go nigdzie.

- Może na poddaszu, proszę wielmożnej pani - ostrożnie odezwał się Fomuszka.

Godne uwagi jest to, że za Barbarą Pietrowną do apartamentów Mikołaja Wsiewołodowicza weszło kilka osób ze

668

służby. Inni zebrali się w salonie. Nigdy przedtem nie odważyliby się na takie pogwałcenie etykiety. Barbara Pietrowna widziała to i milczała.

Na poddaszu były trzy pokoje, ale nikogo nigdzie nie było.

- Może tam panicz poszedł? - wskazał ktoś na drzwi prowadzące na strych. Istotnie, drzwi te, zwykle zamknięte, były teraz otwarte na oścież. Trzeba było wdrapać się po drewnianych schodkach, bardzo wąskich i krętych. Tam na strychu był także mały pokój.

- Ja tam nie pójdę. Po co on miałby tam chodzić? - powiedziała Barbara Pietrowna, blada jak ściana, rozglądając się po twarzach sług. Wszyscy patrzyli w milczeniu. Dasza drżała.

Barbara Pietrowna podbiegła ku schodkom. Dasza za nią, ale zaledwie znalazły się na górze, Barbara Pietrowna krzyknęła i upadła nieprzytomna.

Obywatel kantonu Uri wisiał za drzwiami; na stoliku leżał skrawek papieru z napisem: „Nie oskarżać nikogo, ja sam.” Tuż obok na stoliku leżał młotek, kawał mydła i duży gwóźdź, widocznie przygotowany na zapas. Mocny jedwabny sznur, na którym powiesił się Stawrogin, prawdopodobnie rozmyślnie wybrany i przygotowany zawczasu, był mocno natarty mydłem. Wszystko świadczyło o przytomności umysłu i świadomości do ostatniej chwili.

Lekarze po dokonaniu sekcji zwłok stanowczo i całkowicie odrzucili myśl o obłądzeniu Mikołaja Stawrogina.

U TICHONA

I

Owej nocy Mikołaj Wsiewołodowicz nie zmrzył oka, spędził ją całą siedząc na sofie, ze wzrokiem nieruchomo utkwionym w jeden punkt znajdujący się w kącie pokoju, nad komodą. Przez cały czas paliła się lampa. Dopiero około siódmej rano zasnął na siedząco. Gdy Aleksy Jegorowicz, jak miał to w zwyczaju raz na zawsze ustalonym, wszedł do jego pokoju dokładnie o wpół do dziesiątej z poranną filiżanką kawy i pojawieniem swym zbudził go, to otworzywszy oczy, zdawał się być niemile zdziwiony, że mógł spać tak długo i że jest już tak późno. Wypił naprędce kawę, ubrał się szybko i w pośpiechu wyszedł z domu. Ostrożne pytanie Aleksego Jegorowicza - „Czy będą jakieś polecenia?” - zbył milczeniem. Szedł ulicą, ze wzrokiem wbitym w ziemię, w głębokim zamyśleniu, niekiedy tylko unosił głowę, zdradzając tym jakieś gwałtowne, bliżej nie określone zaniepokojenie. Na jakimś skrzyżowaniu ulic, jeszcze w pobliżu domu, przeciął mu drogę tłum liczący około pięćdziesięciu, a może i więcej mężczyzn. Szli z godnością, niemalże w milczeniu, w idealnym porządku. Przy sklepieniu, gdzie z konieczności na chwilę przystanął, ktoś powiedział, że są to „robotnicy szpigulinowscy”.¹ Prawie nie zwrócił na nich uwagi. Wreszcie, około wpół do jedenastej, podszedł do bramy naszego Spaso-Jefimiewskiego monasteru Matki Boskiej, położonego na krańcu miasta, nad rzeką.² Dopiero tutaj, jak gdyby nagle sobie coś przypominając, zatrzymał się i pośpiesznie z pewnym niepokojem złapał się za boczną kieszeń, a następnie uśmiechnął się. Wszedłszy za mury monasteru,

670

pierwszego napotkanego sługę klasztornego zapytał, jak dojść do przebywającego tam archijereja w stanie spoczynku, Ti-chona.³ Służebny braciszek natychmiast poprowadził go nieustannie mu się kłaniając podczas drogi. Przy ganeczku, na końcu długiego, piętrowego budynku klasztornego, energicznym i władczym gestem przejął go z rąk braciszka napotkany tam gruby, siwy zakonnik, który powiodł następnie gościa długim, wąskim korytarzem, również wciąż bijąc przed nim pokłony (ze względu na swoją tuszę nie mógł nachylić się nisko, potrząsał więc tylko często i gwałtownie głową) i stale prosząc, aby podążał za nim, chociaż Stawrogin i bez tego nie odstępował go na krok. Zakonnik bez przerwy opowiadał o ojcu archimandrycie zadając przy tym jakieś pytania. Brak odpowiedzi potęgował jedynie jego szacunek dla gościa. Stawrogin zauważył, że znają go tutaj, choć, o ile pamiętał, bywał tu tylko w dzieciństwie. Gdy doszli do drzwi przy końcu korytarza, zakonnik otworzył je energicznym ruchem, bezceremonialnie zwrócił się z pytaniem, czy można wejść do znajdującego się w celi braciszka, który zerwał się na równe nogi, i nie czekając nawet na odpowiedź przepuścił przodem „zacnego” gościa, po czym ledwie wysłuchawszy jego podziękowań szybko zniknął wybiegając dosłownie z celi. Mikołaj Wsiewołodowicz wszedł do niewielkiego pomieszczenia i niemal w tej samej chwili w drzwiach sąsiedniego pokoju pojawił się wysoki i chudy mężczyzna mogący mieć około pięćdziesięciu pięciu lat, o nieco chorobliwym wyglądzie, bliżej nie określonym uśmiechu na twarzy i jakimś dziwnym, jakby trochę nieśmiałym spojrzeniem, ubrany w zwykłą sutannę, w rodzaju tych, jakie nosi się na co dzień w monasterze. Był to ten sam Tichon, o którym Mikołaj Wsiewołodowicz usłyszał po raz pierwszy od Szatowa i o którym od tego czasu zdążył sam zebrać niejakię informację.

Informacje te były różnorodne i sprzeczne ze sobą, jednakże charakterystyczne było to, że zarówno ci, którzy lubili Ticho-na, jak i ci, którzy nie darzyli go sympatią (a byli i tacy), niechętnie wypowiadali się na jego temat. U wrogów było to najprawdopodobniej wynikiem lekceważenia, natomiast zwolennicy, nawet ci najgorętsi, czynili to z niejakiego zażenowania, pragnąc jak gdyby coś ukryć, jakąś jego słabość, możliwe, iż jego nienormalność. Mikołaj Wsiewołodowicz dowiedział się

więc, że Tichon już od jakichś sześciu lat przebywa w monasterze i że odwiedzają go zarówno ludzie prości jak i wysoko postawione osobistości; że nawet w odległym Petersburgu ma zagorzałych wielbicieli, a zwłaszcza wielbicielek. Natomiast od pewnego naszego „klubowego” wpływowego staruszki przy czym staruszka pobożnego, dowiedział się, że „ów Tichon to niemal wariat, a co najmniej indywiduum dość mierne, w dodatku lubiące wypić”. Dodam od siebie, wybiegając myślą naprzód, że ta ostatnia opinia była zdecydowaną bzdurą, gdyż Tichon cierpiał tylko na przewlekły reumatyzm nóg i od czasu do czasu nawiedzały go ataki jakichś drgawek na tle nerwowym. Dowiedział się także Mikołaj Wsiewołodowicz, że przebywający w monasterze archierej w stanie spoczynku, czy to ze względu na słabość charakteru, czy też z powodu „niewybaczalnego i nieliczącego z jego godnością próżniactwa”, nie potrafił zdobyć sobie w samym monasterze odpowiedniego autorytetu. Mówiono, że ojciec archimandryta, człowiek surowy i ściśle przestrzegający swoich obowiązków przeora, a ponadto słynący ze swej uczoności, podobno żywił nawet wobec niego wrogie uczucia i oskarżał go (wprawdzie nie w oczy, lecz za plecami) o lekkomyślne życie oraz bez mała o herezję. Brać klasztorna też jak gdyby odnosiła się do chorego arcybiskupa z pewnym lekceważeniem lub, jeśli można się tak wyrazić, z niejaką bezceremonialnością. Cela Tichona też miała jakiś dziwny wygląd. Obok kompletu starych, dębowych mebli z wytartymi skórzanymi obiciami znajdowało się tam kilka wytwornych sprzętów: wspaniały, wygodny fotel, ogromne biurko misternej roboty, wymyślnie rzeźbiona szafa na książki, jakieś stoliki i półeczki. Wszystko to były podarunki. Leżał tam również drogi dywan bucharski, a obok niego kilka wyplatanych mat. Na ścianach porozwieszane były ryciny o treści „świeckiej” i mitologicznej, a tuż obok, w narożniku, znajdował się okazały ołtarz zestawiony z połyskujących od złota i srebra ikon, z których jedna, bardzo stara, zawierała relikwie. Księgozbiór, jak mówiono, też był dość różnorodny i znajdowały się w nim pozycje wykluczające się wzajemnie. Obok pism ojców kościoła i mistyków chrześcijańskich można w nim było spotkać sztuki teatralne, a „może i jeszcze coś gorszego”.

Po pierwszych słowach przywitania, wypowiedzianych nie

wiadomo czemu przez obu z jawnym zakłopotaniem, pospiesznie i niewyraźnie, Tichon zaprowadził gościa do tej części swojej celi, która stanowiła pracownię, i wskazał mu miejsce na kanapie stojącej przed stołem, sam zaś ulokował się nie opodal, w wiklinowym fotelu. Mikołaj Wsiewołodowicz, *s”ciąż jeszcze wewnętrznie wzburzony, znajdował się w stanie skrajnego roztargnienia. Wyglądał tak, jak gdyby podejmował jakieś niezwykle i nieodwołalne postanowienie, które równocześnie jednak było niemożliwe do przeprowadzenia. Przez dłuższą chwilę rozglądał się po pracowni najwyraźniej nie dostrzegając przedmiotów, na które patrzył; o czymś myślał, lecz zupełnie nie zdawał sobie sprawy-o czym. Z zamyślenia wyrwała go cisza i nagle wydało mu się, że Tichon wstydlawie opuścił oczy, na jego twarzy zaś pojawił się jakiś mimowolny, figlarny uśmiech. Wzbudziło to w nim natychmiast niechęć; chciał wstać i wyjść, tym bardziej, że Tichon, jak mu się wydawało, był kompletnie pijany. Nagle uniósł jednak oczy i popatrzył na Mikołaja Wsiewołodowicza tak przenikliwym i tak pełnym wyrazu spojrzeniem, a przy tym tak niespodziewanym i tajemniczym, że ten niemal wzdrygnął się. Stawroginowi wydało się, że Tichon już wie, po co przyszedł, że zna cel jego wizyty (choć nikt na całym świecie nie mógł go znać) i jeśli pierwszy nie wszczyna rozmowy, to tylko dlatego, że lituje się nad nim, bojąc się go poniżyć.

- Czy ojciec mnie zna? - zapytał zwięźle. - Nie pamiętam, czy przedstawiłem się ojcu, gdy wszedłem. Jeśli tego nie uczyniłem, to z roztargnienia...

- Nie przedstawił się pan, lecz miałem przyjemność już kiedyś widzieć pana przypadkiem, było to jakieś cztery lata temu, tutaj, w monasterze...

Tichon mówił bardzo powoli i monotonicznie, głosem łagodnym, wyraźnie i dobitnie wymawiając każde słowo.

- Nie byłem w tutejszym monasterze przed czterema laty - wręcz szorstko zaprzeczył Mikołaj Wsiewołodowicz - bywałem tutaj w dzieciństwie, gdy ojca tu jeszcze nie było.

- Może zapomniał pan? - ostrożnie i nie nalegając powiedział Tichon.

- Nie zapomniałem, śmieszne byłoby, gdybym nie pamiętał - trochę jakby nazbyt gorliwie upierał się przy swoim

Dostotewski, t III
673

Stawrogin. - Ojciec najprawdopodobniej słyszał tylko o mnie i na tej podstawie wyrobił sobie o mnie zdanie, stąd wrażenie, że mnie ojciec widział.

Tichon milczał. Wówczas Stawrogin zauważył, że twarz jego drga, mogło to być oznaką przebytego osłabienia nerwowego.

- Widzę, że ojciec dziś źle się czuje - powiedział - może więc lepiej będzie, jeśli sobie pójdę. Uniósł się nawet ze swego miejsca.

- Rzeczywiście, wczoraj i dziś odczuwałem silne bóle nóg, prawie nie spałem w nocy...

Tichon urwał w pół słowa. Jego gość niespodziewanie znów wpadł w swą poprzednią, bliżej nie określoną zadumę. Milczenie trwało długo, kilka minut.

- Ojciec mi się przyglądał? - zapytał nagle podejrzliwie i z zatrwożeniem.

- Patrzyłem na pana i wspominałem rysy twarzy pana matki. Przy braku zewnętrznego podobieństwa, dostrzegam dużą zbieżność wewnętrzną, duchową.

- Nie ma między nami żadnego podobieństwa, zwłaszcza duchowego. Nie ma zupełnie żadnego! - znów bez widocznej potrzeby uniósł się gniewem Mikołaj Wsiewołodowicz, sam nie wiedząc czemu. - Ojciec tak powiedział... ze współczucia dla mego stanu, jest to jednak nonsens - krzyknął nagle. - Ale! Czy moja matka odwiedza ojca?

- Odwiedza.

- Nie wiedziałem. Nie mówiła mi nigdy o tym. Często tu przychodzi ?

- Niemal co miesiąc, niekiedy częściej.

- Nigdy o tym nie wspominała. Ojciec, oczywiście, wie od niej, że jestem obłąkany - dodał niespodziewanie.

- Nie mówiła o panu jako o obłąkanym. Co prawda słyszałem taką opinię, lecz od innych ludzi.

- Musi ojciec mieć znakomitą pamięć, jeśli pamięta takie drobiazgi. I o wymierzonym mi policzku ojciec słyszał?

- Coś tam słyszałem.

- To znaczy, słyszał ojciec wszystko. Strasznie wiele ma ojciec wolnego czasu. I o pojedynku też ojciec słyszał?

- O pojedynku również.

- Bardzo wielu rzeczy ojciec się tu nasłucha. Oto komu

674

gazety są niepotrzebne. Szatow opowiadał ojcu o mnie? Prawda ?

- Nie. Znam co prawda pana Szatowa, ale dawno go nie widziałem.

- Hm... Co to jest za mapa? Karta geograficzna z teatrem ostatniej wojny!4 Po co ona ojcu?

- Sprawdzalem z nia opis dzialan wojennych niezwykle interesujaco wylozonych w ksiazce.6

- Niech ojciec mi te ksiazke pokaże. Rzeczywiście, ciekawa. Jak na ojca, dziwna jednak lektura.

Przysunął ksiazke do siebie i rzuciwszy na nia okiem zaczął przegladac. Był to obszerny i z talentem dokonany opis wydarzen ostatniej wojny, wprawdzie ujetych nie tyle z punktu widzenia wojskowego, co literackiego. Przewertowawszy ksiazke, nagle ze zniecierpliwieniem odrzucil ja.

- Absolutnie nie wiem, po co tutaj przyszedlem - powiedzial z odrazą spoglądając prosto w oczy Tichona, jak gdyby oczekując od niego odpowiedzi.

- Czy pan tez jest niezdrów?

- Tak, jestem chory.

I nagle, zdaniami krótkimi i oderwanymi, tak ze trudno niekiedy bylo zrozumiec slowa, opowiedzial, ze miewa, zwlaszcza w nocy, swoistego rodzaju halucynacje, ze widzi niekiedy lub odczuwa obok siebie obecność jakiegoś złego ducha, „istoty rozumnej, kpiącej sobie z niego, pojawiającej się pod postacią różnych osób, mającej różne charaktery, lecz zawsze tej samej, i ze wówczas ogarnia go zawsze złość...” Gwałtowne i chaotyczne były owe wyznania, zdawać by się mogło rzeczywiście, ze czynił je człowiek obłąkany. Jednocześnie Mikołaj Wsiewołodowicz mówił z tak namiętą szczerością, o którą nikt nie mógłby go dawniej posądzić, i z taką otwartością, absolutnie obcą jego charakterowi, ze wydawało się, iż człowiek, którym był poprzednio, nagle i niespodziewanie bezpowrotnie znikł. Wcale nie wstydził się tego, ze obnaża swój lęk mówiąc o swoim przywidzeniu. Stan ten trwał jednak bardzo krótko i równie niespodziewanie przepadł, jak się pojawił.

- Wszystko to są brednie - pospiesznie i z przykrym zażenowaniem powiedzial, opamiętawszy się. - Udam się do lekarza.

675

- Niech pan koniecznie pójdzie - starał się podtrzymać rozmowę Tichon.

- Ojciec mówi to z takim przekonaniem... Czy ojciec choć raz w życiu zetknął się z ludźmi, którzy miewali podobne przywidzenia?

- Owszem, zetknąłem się. Przypominam sobie właściwie jednego tylko takiego człowieka, oficera, któremu umarła żona, nieodłączna towarzysząca jego życia. O drugim tylko słyszałem. Obaj wyleczeni zostali za granicą... Od dawna pan na to cierpi?

- Mniej więcej od roku, lecz wszystko to brednia. Pójdę do lekarza. Wszystko to brednia, powtarzam, brednia wierutna. To jestem ja sam pod różnymi postaciami i nic więcej. Ponieważ powiedziałem to w tej chwili, na pewno ojciec jest przekonany, że wciąż mam jeszcze wątpliwości i nie wierzę, że to ja, a nie w istocie rzeczy jakiś demon.

Tichon spojrział nań pytająco.

- Widzi go pan... rzeczywiście? - zapytał wykluczając ponad wszelką wątpliwość, że może to być jakaś chorobliwa halucynacja - naprawdę widzi pan jakąś postać?

- Dziwne, że z ojca jest taki niedowiarek, powiedziałem już ojcu, że widzę - z każdym słowem Stawrogin stawał się znów coraz bardziej rozdrażniony. - Oczywiście, że widzę. Widzę tak jak ojca. Niekiedy widzę i nie wierzę, że widzę... choć widzę... Niekiedy znów nie wierzę, że widzę, i nie wiem, który z nas jest prawdziwy: ja czy on... Wszystko to brednia. A ojciec wciąż nie może dopuścić myśli, że to naprawdę bies? - dodał śmiejąc się, jakoś zbyt gwałtownie wpadając w ton sarkastyczny. - Przecież jako osoba duchowna powinien ojciec raczej opowiedzieć się za diabłem?

- Najprawdopodobniej jest to choroba, choć...

- Choć?

- Diabły niewątpliwie istnieją, choć rozmaicie możemy je sobie wyobrażać.

- I dlatego ojciec znów spuścił oczy - podjął Stawrogin wybuchając sarkazmem - że zrobiło się ojcu wstyd za mnie, człowieka, który w diabła wierzy, lecz pod pozorem, że nie wierzy, zadaje ojcu podstępne pytanie: czy w istocie rzeczy diabeł istnieje, czy też go nie ma?

Tichon uśmiechnął się jakoś zagadkowo.

676

- Wie ojciec, że z opuszczonymi oczyma wcale ojcu nie jest do twarzy? Wygląda ojciec nienaturalnie, śmiesznie i pretensjonalnie, aby jednak dać ojcu zadośćuczynienie za gru-biaństwo, oświadczam ojcu, z całą powagą i w pełni świadomości, że wierzę w diabła, wierzę w sposób kanoniczny, w diabła jako osobę, a nie alegorię, i nie muszę nikogo pytać o radę. I to jest wszystko. Powinien być ojciec bardzo zadowolony...

Zaśmiał się jakoś sztucznie, nerwowo. Tichon spoglądał na niego z ciekawością swym łagodnym i jakby trochę nieśmiałym spojrzeniem.

- W Boga ojciec wierzy? - rzucił niespodziewanie Stawrogin.

- Wierzę.

- Jest przecież powiedziane, że gdy wierzysz i rzekniesz górze, aby przeniosła się gdzie indziej, to tak się stanie...6 Zresztą i to jest brednia. A jednak ciekawi mnie: czy ojciec poruszyłby górę?

- Bóg rozkaże, podniosę i górę - cicho i z powściągliwością powiedział Tichon opuszczając oczy.

- To tak, jakby sam Bóg podniósł. Czy ojciec jednak przeniesie w nagrodę za wiarę w Boga?

- Możliwe, że przeniosę.

- „Możliwe”? To już lepiej. Dlaczego ojciec jednak ma wątpliwości ?

- Wiara moja jest niedoskonała.

- Wiara ojca jest niedoskonała?

- Daleko jej do doskonałości.

- Przynajmniej jednak ojciec wierzy, że choć z Bożą pomocą podniesie ojciec górę, a to już dużo. Mimo wszystko jest to więcej niż tres peu* pewnego arcybiskupa, co prawda pod groźbą szabli.7 Oczywiście, ojciec jest chrześcijaninem?

- Krzyża Twojego nie powstydzę się nieść, Panie - niemal z żarem wyszeptał Tichon i pochylił głowę jeszcze niżej. Kąciki jego ust zaczęły nagle szybko i nerwowo drgać.

- Czy można wierzyć w szatana nie wierząc wcale w Boga? - roześmiał się Stawrogin.

- Można i jakże często się to zdarza. - Tichon podniósł oczy i też się uśmiechnął.

- bardzo mało

677

- I pewien jestem, że taką wiarę ojciec gotów jest bardziej szanować niż absolutny ateizm... Och, popie! - zaśmiał się Stawrogin.

Tichon znów uśmiechnął się do niego.

- Wręcz przeciwnie, absolutny ateizm jest bardziej godny szacunku niż obojętność świecka.

- A więc tak.

- Absolutny ateista znajduje się na przedostatnim stopniu do osiągnięcia wiary doskonałej (czy ją osiągnie, to inna sprawa), a człowiek obojętny nie ma żadnej wiary, prócz marnej bo jaźni.

- Ojciec czytał Apokalipsę?
- Czytałem.
- Przypomina sobie ojciec: „Aniołowi zaś Kościoła w Lao-dycei napis?...”
- Pamiętam. Urocze słowa.
- Urocze? Dziwne wyrażenie jak na archijereja, a w ogóle to z ojca wielki dziwak... Gdzie ojciec ma Pismo Święte? - Jakoś dziwnie pośpiesznie i w niepokoju szukał Biblii Stawrogin wodząc wzrokiem po stole. - Chciałbym ojcu przeczytać... Czy ojciec ma rosyjski przekład?
- Umiem ten ustęp na pamięć - powiedział Tichon.
- Umie ojciec na pamięć? Niech ojciec powie!...

Szybko spuścił oczy, oparł dłonie na kolanach i czekał niecierpliwie. Tichon recytował, pamiętając tekst co do słowa:

„Aniołowi zaś Kościoła w Laodycei napisz: To mówi Amen, Świadek wierny i prawdomówny, Początek stworzenia Bożego: Znam twoje czyny, że ani zimny, ani gorący nie jesteś. Obyś był zimny albo gorący! A tak skoro jesteś letni i ani gorący, ani zimny, chcę cię wyrzucić z mych ust. Ty bowiem mówisz: * Jestem bogaty” i „zbogaciłem się”, i „niczego mi nie potrzeba”, a nie wiesz, że ty jesteś nieszczęsny i godzien litości, i biedny, i ślepy, i nagi...”*

- Wystarczy - przerwał Stawrogin - to dla tych pośrodku, dla obojętnych, nieprawdaż? Czy ojciec wie, że j”o bardzo kocham?
- Ja też pana kocham - półgłosem powiedział Tichon.

Stawrogin umilkł i nagle wpadł w swą poprzednią zadumę. Nachodziła go ona falami jak napady jakiejś choroby, zdarzyło się mu to już po ra7 trzeci. Zresztą i Tichonowi powiedział

678

„kocham” w jakimś napadzie, niespodziewanie dla siebie samego. Minęło kilka chwil.

- Nie gniewaj się - wyszeptał Tichon, niemal dotykając palcem jego ramienia, jakby trochę onieśmielony. Ten drgnął i gniewnie zmarszczył brwi.
- Skąd ojciec: wie, że wpadłem w gniew? - powiedział pośpiesznie. Tichon chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz Stawrogin przerwał mu w przyływie niewyjaśnionego lęku: - Dlaczego właściwie ojciec przypuszczał, że koniecznie powinienem się rozgniewać? Tak, byłem zły, ma ojciec rację, właśnie o- to, że powiedziałem do ojca „kocham”. Ojciec ma rację, lecz ojciec jest zwykłym cynikiem, który z pogardą myśli o ludzkiej naturze. Gniewu mogło by nie być, gdyby tu był inny człowiek, a nie ja... Zresztą rzecz dotyczy nie innego człowieka, lecz mnie. Jednakże z ojca jest dziwak i szaleniec...

Złościł się coraz bardziej i, co ciekawe, nie przebierał w słowach:

- Niech ojciec posłucha, nie lubię szpiegów i psychologów, zwłaszcza takich, którzy wdzierają się do mojej duszy. Nikogo nie zapraszam do wnętrza swojej duszy, nikt mi nie jest potrzebny, sam sobie dam radę. Ojciec myśli, że się ojca boję? - podniósł głos i wyzywająco uniósł twarz. - Ojciec jest absolutnie pewien, że przyszedłem wyjawić ojcu jakąś „straszną” tajemnicę i czeka ojciec na to z całą swą mniśią ciekawością, tylko do tego ojciec jest zdolny. A więc niech ojciec wie, niczego nie wyjawię, żadnej tajemnicy, dlatego, że do niczego ojciec nie jest mi potrzebny.

Tichon spojrział na niego przenikliwie.

- Zaskoczyło pana, że Baranek bardziej kocha zimnego niż tylko letniego - powiedział - a pan nie chce być tylko letnim. Przeczuwam, że dręczy pana jakieś postanowienie niezwykle, być może straszliwe. Jeśli tak jest, błagam, niech pan siebie nie zadręcza i wyjawi wszystko, z czym pan tu przyszedł.

- Ojciec zapewne wie, z czym przyszedłem?
- Odgadłem z twarzy - wyszeptał Tichon, spuszczać oczy.

Mikołaj Wsiewołodowicz zbladł nieco, a ręce mu trochę drżały. Przez kilka sekund wpatrywał się nieruchomo i w milczeniu w Tichona, jak gdyby podejmując ostateczną decyzję.

Wreszcie wyjął z bocznej kieszeni swego surduta jakieś zadrukowane kartki i położył je na stole.

- Treść ich przeznaczona jest do wiadomości publicznej - powiedział nieco urywanym głosem. - Jeśli przeczyta je choć jeden człowiek, to musi ojciec wiedzieć, że nie będę już jej ukrywał i niech przeczytają wszyscy. Tak zostało postanowione. Nie potrzebuję ojca do niczego, gdyż o wszystkim już zdecydowałem. Niech ojciec jednak przeczyta... Czytając proszę nie mówić nic, powie ojciec wszystko, gdy skończy...

- Mam to przeczytać? - niezdecydowanie spytał Tichon.
- Niech ojciec czyta, już jestem spokojny.
- Bez okularów nie dam rady, druk drobny, zagraniczny.
- Proszę, oto one - Stawrogin podał mu okulary wzięwszy je ze stołu i rozparł się wygodnie na kanapie. Tichon zagłębił się w lekturze.

II

Broszurka była rzeczywiście pochodzenia zagranicznego - objętościowo były to trzy równo odbite i zszyte ze sobą arkusze zwykłego pocztowego papieru małego formatu. Prawdopodobnie odbito ją potajemnie w jakiejś zagranicznej drukarni rosyjskiej i na pierwszy rzut oka przypominała jakąś proklamację. Opatrzona była nagłówkiem „Oświadczenie Stawro-gina”.

Treść owego dokumentu przytaczam w swej kronice dosłownie.- Należy przypuszczać, że wielu osobom jest ona znana. Pozwoliłem sobie jedynie na poprawienie błędów ortograficznych, dość licznych i trochę mnie szokujących, gdyż autor bądź co bądź był człowiekiem wykształconym i nawet czytany (choć jest to, oczywiście, rzeczą względną). W każdym razie widoczne było, że autor nie był literatem.

„Oświadczenie Stawrogina

Ja, Mikołaj Stawrogin, oficer w stanie spoczynku, mieszkałem w 186- roku w Petersburgu i oddawałem się tam rozpuście, w której nie znajdowałem zadowolenia. Przez pewien czas wynajmowałem trzy mieszkania. W jednym z nich, a były to pokoje umeblowane, z wiktem i opierunkiem, mieszkałem

sam, przebywała tam też wówczas i Maria Lebiadkin, obecnie moja legalna żona. Pozostałe dwa mieszkania odnajmowałem miesięcznie dla swych intryg miłosnych: w jednym przyjmowałem pewną zakochaną we mnie damę, w drugim jej pokojówkę. Kiedyś wpadł mi do głowy pomysł, aby zorganizować u mnie spotkanie owej paniusi i jej służącej w obecności moich przyjaciół i męża owej damy. Znając charakter obu pań, wiele uciechy obiecywałem sobie po tym niewybrednym żarcie.

Bez pośpiechu przygotowywałem owo spotkanie. W związku z tym musiałem dość często bywać w jednym z owych mieszkań, w ogromnym domu przy ul. Grochowej, albowiem tam właśnie przychodziła ta pokojówka. Na piątym piętrze od pewnych mieszczuchów rosyjskich wynajmowałem jeden pokój. Sami mieszkali w drugim, mniejszym, i było im tak ciasno, że drzwi między pokojami zawsze były otwarte, z czego byłem nawet zadowolony. Gospodarz, który pracował w jakimś kantorze, wychodził rano i wracał wieczorem. Jego żona, babsko około lat czterdziestu, wciąż coś pruć, kroić i zszywać, przerabiając rzeczy stare na nowe, i też często

wychodziła z domu odnosząc to, co uszyła. Zostawałem w mieszkaniu z ich córką, dziewczynką, jak sądzę, czternastoletnią, bardzo dziecinnie wyglądającą. Miała na imię Matriosza. Matka kochała ją, lecz często ją biła, straszliwie przy tym krzycząc. Dziewczynka usługiwała mi i sprzątała za moim parawanem. Oświadczam, że nie pamiętam numeru domu. Wedle informacji, które posiadam, wiem, że stary dom został zburzony i na jego miejscu stoi teraz nowy, bardzo duży budynek. Nie pamiętam też nazwiska moich mieszczuchów (możliwe, że w ogóle go nie znałem). Przypominam sobie, że krawcowa miała bodajże na imię Stiepanida, po ojcu chyba Michajłow-na. Imienia męża nie przypominę sobie. Zupełnie też nie mam pojęcia, skąd pochodzili i dokąd się przeprowadzili. Sądzę, że gdyby podjąć staranne poszukiwania i zasięgnąć informacji u policji petersburskiej - można by natrafić na jakieś ślady. Mieszkanie było narożne, od podwórka. Wszystko wydarzyło się w czerwcu. Dom był, pamiętam, koloru jasnoniebieskiego.

Pewnego dnia zginął mi scyzoryk, przedmiot zupełnie mi niepotrzebny, ponieważ się na stole. Powiedziałem o tym gospodyni, nie przypuszczając, że ta zbije córkę, ponieważ babsztyl dopiero co skrzyczała dziewczynkę targając ją

681

przy tym za włosy (absolutnie się mną nie krępowano), gdyż posądzała ją o zabranie jakiegoś gałganka. Gdy owa szmatka znalazła się pod obrusem, dziewczynka popatrzyła tylko na matkę z niemym wyrzutem. Zauważyłem to, i poraż pierwszy uważnie przyjrzałem się twarzy dziecka, której dotąd prawie nie dostrzegałem. Miała jasne włosy i mnóstwo piegów na dość pospolitej, bardzo dziecinniej i łagodnej twarzy. Matce nie spodobało się, że córka przyjęła w milczeniu niezasłużone łajanie i nawet zamachnęła się na nią pięścią, nie uderzyła jej jednak, bowiem nagle wynikła sprawa scyzoryka. Rzeczywiście, oprócz nas trojga nikogo w domu nie było, a za mój parawan wchodziła tylko dziewczynka. Babsko wpadło w furję, przede wszystkim dlatego, że niesprawiedliwie skrzyczało dziecko, chwyciło więc za miotłę, wyrwało z niej kilka witek i wysmagało dziewczynkę do krwi na moich oczach. Matriosza nie krzyczała, lecz jakoś dziwnie, po każdym uderzeniu różgą, łkała. Później szlochała jeszcze z dobrą godzinę.

Przedtem jednak, w chwili gdy gospodyni chwyciła za miotłę, aby narwać z niej witek, znalazłem scyzoryk na moim łóżku, musiał w jakiś sposób zsunąć się ze stołu. Od razu postanowiłem, że nie powiem o tym, z całą świadomością pragnąłem, aby wysmagała dziecko. Decyzję podjąłem błyskawicznie. W takich chwilach zawsze zapiera mi dech w piersiach. Powiniennem jednak opowiedzieć wszystko bardziej mocnymi słowami, niczego nie ukrywając.

Wszelkie sytuacje niezwykle hańbiące, nadmiernie poniżające i, co najważniejsze, ośmieszające, w jakich się w moim życiu znalazłem, zawsze wzbudzały we mnie na równi z bezmiernym gniewem, niewiarygodną wprost rozkosz.⁹ Dokładnie to samo przeżywałem w chwilach popełniania zbrodni czy w chwilach życiowych niebezpieczeństw. Gdybym był złodziejem, to w chwili popełniania kradzieży upajałbym się świadomością głębi mojej podłości. Nie w podłości byłem jednak zakochany (zachowywałem zdrowy rozsądek), lecz upojenie dawała mi świadomość upadku. Podobne uczucie szaleńczego pohańbienia towarzyszyło mi podczas pojedynku, gdy oczekiwałem na strzał przeciwnika, niekiedy bywało ono niezwykle silne. Przyznaję się, że często szukałem okazji do tego rodzaju podniet, gdyż nie znałem nic ponad nie silniejszego. Gdy wymierzano mi policzki (zdarzyło się to dwukrotnie

682

w moim życiu), czułem to samo, mimo straszliwego gniewu. Wystarczy jednak zapanować nad gniewem, aby rozkosz przewyższała wszystko, co tylko upojnego można sobie wyobrazić. Nigdy nie wspominałem o tym nikomu nawet słowem, ukrywając to jako swój wstyd i hańbę. Kiedy jednak w jakiejś knajpie petersburskiej bito mnie i włóczono za włosy, owo uczucie opuściło mnie, pozostawał tylko wściekły gniew, nie będąc pijanym, biłem się. Lecz jeśli schwyciłby mnie za

włosy i przygiął do ziemi ów francuski hrabia, który uderzył mnie w twarz i któremu odstrzeliłem za to dolną szczękę, poczułbym rozkosz i, możliwe, że nie czułbym gniewu. Tak mi się wówczas wydawało.

Piszę o tym dlatego, aby każdy wiedział, że nigdy owo uczucie nie opanowywało mnie zupełnie, lecz zawsze świadomość pozostawała nietknięta (przecież na świadomości się to wszystko opierało!). I choć opanowywało mnie ono do szaleństwa, nigdy jednak do całkowitego zapomnienia. Gdy ogień rozpałał się we mnie, zawsze mogłem go opanować, nawet ugasić w ostatniej chwili, nigdy jednak nie miałem ochoty tego uczynić. Jestem przekonany, że mógłbym spędzić całe życie jako zakonnik, mimo zwierzęcej lubieżności, w którą natura mnie wyposażyla i którą w sobie rozbudzałem. Do szesnastego roku życia oddawałem się bez najmniejszego umiaru nałogowi, z którego spowiadał się Jan Jakub Rousseau, lecz położyłem temu kres w jednej chwili, gdy tylko zechciałem. ¹⁰ Zawsze byłem panem swej woli, kiedy przyszła mi na to ochota. Pragnę, aby było wiadome, że ani we wpływie środowiska, ani w chorobie nie zamierzam szukać usprawiedliwienia dla moich zbrodni.

Gdy skończyło się wymierzanie kary, schowałem scyzoryk do kieszonki kamizelki i wyszedłszy wyrzuciłem go na ulicy z dala od domu, aby nikt nie dowiedział się o moim postępku. Następnie odczekałem dwa dni. Dziewczynka wyplakawszy się zrobiła się jeszcze bardziej milcząca. Do mnie, jestem przekonany, nie miała żalu. Na pewno zresztą odczuwała wstyd, że ukarano ją w ten sposób w mojej obecności. Nie krzyczała z bólu, lecz tylko poszłochiwała pod ciosami, właśnie dlatego, że stałem tam i wszystko widziałem. O hańbę swą obwiniała z pewnością siebie, jak czynić to mogło tylko dziecko. Dotąd, być może, bała się tylko mnie, lecz nie jako osoby,

683

a jako lokatora, człowieka obcego, zresztą, zdaje się, była bardzo nieśmiała.

Wtedy właśnie, w czasie tych dwóch dni, zadałem sobie pytanie, czy mogę odstąpić od powziętego zamiaru, i natychmiast poczułem, że mógłbym to uczynić, kiedy tylko zechcę, w każdej chwili. Spleen dręczył mnie do tego stopnia, że chciałem odebrać sobie życie, nawiasem mówiąc, nie bardzo wiadomo czemu. W ciągu tych paru dni (koniecznie należało odczekać, aby dziewczynka o wszystkim zapomniała), zapewne po to, aby się oderwać od myśli, która nie dawała mi spokoju, a może po prostu dla rozrywki, popełniłem w pokojach umeblowanych kradzież. Była to jedyna kradzież w moim życiu.

W owych mieszkaniach o umeblowanych pokojach gnieździło się wiele osób. Mimochodem wspomnę, że dwa takie pokoiczki odnajmował pewien urzędnik z rodziną. Mógł mieć około czterdziestu lat, był dość inteligentny, wyglądał przyzwoicie, lecz był biedny. Nie przyjaźniłem się z nim, on zaś bał się towarzystwa, które mnie otaczało. Właśnie otrzymał swoją pensję, jakieś trzydzieści pięć rubli. Głównym impulsem było dla mnie to, że istotnie w owej chwili potrzebowałem pieniędzy (choć już za cztery dni otrzymałem je przekazem pocztowym) i kradłem niejako z potrzeby, a nie dla kawału. Popełniłem kradzież w sposób zuchwały i jawny. Po prostu wszedłem do jego pokoiku, gdy jego żona, dzieci i on sam jedli obiad w drugiej izdebce. Tuż przy drzwiach, na krześle, przewieszony był jego mundur wyjściowy. Ów zamiar powzięłem przed chwilą, jeszcze na korytarzu. Wsunąłem rękę do kieszeni munduru i wyciągnąłem portmonetkę. Urzędnik ów usłyszawszy szmer wyjrzał z izdebki. Wydaje się, że nawet coś zauważył, ponieważ jednak nie widział całego zdarzenia, nie dał wiary swym oczom. Powiedziałem mu, że przechodziłem korytarzem i zaszedłem zobaczyć, która jest godzina na jego ściennym zegarze. „Zegar stanął” - powiedział, a ja wyszedłem.

Piłem wówczas sporo i przez umeblowane pokoje, które wynajmowałem, przewalały się gromady ludzi, wśród nich był również Lebiadkin. Portmonetkę z drobnymi wyrzuciłem, banknoty zostawiłem sobie. Wszystkiego było trzydzieści dwa ruble, trzy banknoty dziesięciorublowe i dwa

jedno-rublowe. Natychmiast zmieniłem jedną dziesiątkę posyłając

684

po szampana. Potem przyszła kolej na drugą, a następnie na trzecią. Po jakichś czterech godzinach, już wieczorem, urzędnik podszedł do mnie na korytarzu.

- Mikołaju Wsiewołodowiczu, przy drzwiach na krześle miałem przewieszony mundur, czy nie zrzucił go pan przypadkiem?

- Nie pamiętam. Mówi pan, że wisiał na krześle?

- Nie, leżał.

- Na podłodze?

- Najpierw wisiał na krześle, później leżał na podłodze.

- Podniósł go pan?

- Podniosłem.

- To czego pan jeszcze chce ode mnie?

- Jeśli tak, to niczego...

Nie odważył się powiedzieć, o co mu chodzi, zresztą z nikim w umeblowanych pokojach nie ośmieliłby się podzielić swymi podejrzeniami - jakże zastraszeni są tego rodzaju ludzie. Nawiasem mówiąc - w umeblowanych pokojach wszyscy się mnie strasznie bali i odnosili się do mnie z respektem. Sprawiało mi później przyjemność patrzeć mu prosto w oczy, gdy spotkałem go na korytarzu. Wkrótce sprzykrzyło mi się to.

Po upływie trzech dni poszedłem na ulicę Grochową. Gospodyni właśnie wychodziła gdzieś z węzełkiem. Mieszczucha, jak zwykle, w domu nie było. Zostaliśmy z Matrioszą sami. Okna były otwarte. W domu tym mieszkali przeważnie rzemieślnicy i przez cały dzień na wszystkich piętrach rozlegało się stukanie młotków i słychać było śpiewy. Minęła godzina. Matrioszą siedziała na ławeczce w swoim pokoiku, odwrócona plecami do mnie i zajęta była szyciem. Wreszcie zanuciła coś, bardzo cichutko, jak czyniła to już nie raz. Wyjąłem zegarek i spojrzałem, która godzina. Była druga. Serce zabiło mi szybciej. I znów zadałem sobie pytanie, czy mógłbym się powstrzymać od swego zamiaru, natychmiast też odpowiedziałem sobie twierdząco. Wstałem i zacząłem skradać się ku niej. Drgnęła i w pierwszej chwili, w mimowolnym przestraszeniu, zerwała się z ławki. Cichutko usiadłem obok niej na podłodze. Delikatnie całując ją w rękę posadziłem z powrotem na ławce. W pierwszej chwili pocałunek rozśmieszył ją jak dzieciaka, później zerwała się z ławki ponownie tak przerażona, że skurcz przeszedł po jej twarzy. Patrzyła

685

na mnie w straszliwym niemym przerażeniu, wargi jej zaczęły drgać, jakby chciała zapłakać, lecz coś ją powstrzymywało. Ponownie zacząłem całować ją po rękach, wzięwszy na kolana całowałem po twarzy i nogach. Gdy całowałem ją po nogach, starała się obciągnąć na sobie sukienkę, uśmiechając się przy tym dziwnie, jakby w zawstydzeniu. Coś do niej szeptałem. Wreszcie stała się rzecz dziwna i tak niespodziewana, że aż zdumiewająca, a mianowicie dziewczynka objęła mnie za szyję rączkami i zaczęła namiętnie całować. Na twarzy jej malował się absolutny zachwyty. O mało nie wstałem i powodowany uczuciem litości nie wyszedłem - tak nienaturalne było to u takiej maciupeńskiej istoty. Jednakże przezwyciężyłem owo uczucie i pozostałem.

Gdy wszystko się skończyło, była zawstydzona. Nie próbowałem wyperswadować jej tego, przestałem ją też pieścić. Patrzyła na mnie uśmiechając się nieśmiało. Twarz jej wydała mi się nagle głupia. Z każdą chwilą ogarniało ją coraz większe zawstydzenie. Wreszcie skryła twarz w dłoniach i stanęła nieruchomo w kącie pokoju, twarzą do ściany. Bałem się, że znów się wystraszy jak przedtem, i w milczeniu wyszedłem z mieszkania.

Przypuszczam, że to, co się stało, musiało się jej wydać czymś bezgranicznie i śmiertelnie

przerażającym w swej ohydzie. Mimo że wyzwiska, w które tak bogaty jest język rosyjski, słyszała zapewne od kołyski, nie mówiąc o sprośnych rozmowach, jestem przekonany, że nie miała pojęcia, o co chodzi. Musiała w końcu dojść do przekonania, że popełniła straszliwą zbrodnię, zgrzeszyła śmiertelnie „zabijając Boga”.

Tej samej nocy odbyła się awantura w knajpie, o czym już pobieżnie wspominałem. Obudziłem się rano u siebie w domu, dokąd przywiózł mnie Lebiadkin. Pierwsze, co po przebudzeniu przyszło mi do głowy, to czy powiedziała komuś o tym, co się wydarzyło. Przeżyłem wówczas chwile prawdziwego lęku, choć niezbyt jeszcze silnego. Przez cały ranek byłem bardzo wesoły i dobry dla wszystkich, z czego cała moja kompania była bardzo zadowolona. Porzuciłem jednak towarzystwo i udałem się na Grochową. Spotkałem ją na dole, w bramie. Wracała ze sklepiku, dokąd ją posłano po cykorię. Zobaczywszy mnie, zaczęła w okropnym przerażeniu uciekać po schodach na górę. Gdy wszedłem, matka zdążyła już uderzyć

686

ją dwa razy po twarzy za to, że „biega jak na złamanie karku”, dzięki czemu właściwa przyczyna jej przerażenia pozostała nieznana. A więc wszystko było w porządku. Dziewczynka gdzieś się schowała i nie opuściła swej kryjówki, dopóki byłem w mieszkaniu. Po jakiejś godzinie wyszedłem.

Wieczorem znów ogarnął mnie lęk, tym razem już znacznie silniejszy. Oczywiście, mogłem wszystkiego się wyprzeć, ale można mi było dowieść mego czynu. Zwidywała mi się katorga. Nigdy nie czułem lęku, poza tym jednym wypadkiem w moim życiu. Ani przedtem, ani potem niczego się nie bałem. Zwłaszcza Sybiru, dokąd nie raz mogłem być już zesłany. Jednakże tym razem byłem przerażony i - nie wiem dlaczego - po raz pierwszy w życiu rzeczywiście doświadczyłem uczucia lęku, uczucia bardzo bolesnego. Oprócz tego wieczorem, siedząc w swoich umeblowanych pokojach, znenawidziłem dziewczynkę do tego stopnia, że postanowiłem ją zabić. Największą nienawiść wywoływało wspomnienie jej uśmiechu. Czułem do niej pogardę i bezgraniczne obrzydzenie za to, że wtedy, po wszystkim, uciekła do kąta i skryła twarz w dłoniach. Ogarnęła mnie wściekłość, później chwyciły dreszcze, a gdy nad ranem dostałem gorączki, znów. opanował mnie lęk, tym razem tak silny, że nie znam uczucia bardziej bolesnego. Nie czułem już jednak nienawiści do dziewczynki, w każdym razie wczorajszy paroksyzm nienawiści nie powtórzył się. Zauważyłem, że silny lęk całkowicie niweluje uczucie nienawiści i mściwości.

Obudziłem się około południa zdrowy i wręcz zdziwiony niektórymi wczorajszymi doznaniem. Jednakże znajdowałem się w oplakany stanie ducha i bez względu na całe obrzydzenie coś mi nakazywało pójść na Grochową. Pamiętam, że w owej chwili strasznie pragnąłem wzniecić sprzeczkę z kimkolwiek i to sprzeczkę poważną. Przyszedłszy na Grochową, zastałem w swoim pokoju Ninę Sawieliewną, ową pokojówkę, o której już wspominałem. Czekala na mnie od dobrej godziny. Zupełnie nie kochałem tej dziewczyny. Troszkę się bała, że rozgniewam się na nią o to, że złożyła mi nieproszoną wizytę. Byłem jednakże bardzo zadowolony z jej odwiedzin. Była niebrzydka i skromna, a jej sposób bycia niezwykle przypadła do gustu mieszczuchom, nic więc dziwnego, że moja gospodyni, ograniczony babsztyl, nie mogła

687

wyjsc z zachwyty nad nią. Zastałem je przy kawie, przy czym gospodyni była niezwykle zadowolona z pogawędki. W kącie pokoiku dostrzegłem Matrioszę. Stała i wpatrywała się w matkę oraz gościa nieruchomym spojrzeniem. Gdy wszedłem, nie schowała się jak kiedyś, nie starała się też uciekać. Wydało mi się tylko, że jeszcze bardziej schudła i że miała chyba gorączkę. Przywitałem się czule z Niną i zamknąłem drzwi do pokoju gospodyni, czego dawno nie czyniłem. Nina wyszła więc ode mnie bardzo zadowolona. Sam ją odprowadziłem i przez dwa dni nie pokazywałem się na Grochowej. Wszystko to zaczęło mnie już nudzić.

Postanowiłem więc skończyć z tym wszystkim, zrezygnować z mieszkania i wyprowadzić się z Petersburga. Lecz gdy przyszedłem, aby zlikwidować mieszkanie, zastałem gospodynię zmartwioną i zaniepokojoną tym, że Matriosza już trzeci dzień choruje, w nocy miewa silną gorączkę i majaczy. Było rzeczą zrozumiałą, że zainteresowało mnie, o czym mówi w malinie (rozmowę prowadziliśmy szeptem w moim pokoju). Poinformowała mnie, że mówi „okropności”. „Boga - powiada - zabiła.” Zaproponowałem, że sprowadzę na swój koszt lekarza, lecz odmówiła: „Da Bóg, sama wyzdrowieje, zresztą nie jest z nią znów tak źle, w dzień wychodzi, teraz do sklepiku pobiegła.” Miałem ochotę odwiedzić Matrioszę, gdy będzie sama w domu, ponieważ zaś gospodyni wygadała się, iż około piątej wybiera się na Stronę Petersburską, postanowiłem wrócić pod wieczór.

Obiad zjadłem w szynku. Dokładnie kwadrans przed szóstą przyszedłem ponownie. Drzwi otworzyłem własnym kluczem. Nikogo oprócz Matrioszy w domu nie było. Leżała w pokoju, na matczynym łóżku, przed którym postawiono parawan, i dostrzegłem, że wyjrzała zza niego. Udałem jednak, że nie zauważyłem tego. Powietrze było nagrzone, panował wręcz upał. Pochodziłem trochę po pokoju i usiadłem na kanapie. Pamiętani wszystko dokładnie do najdrobniejszego szczegółu. Zdecydowaną przyjemność sprawiło mi to, że nie odzywałem się do Matrioszy. Oczekałem w ten sposób z jakąś godzinę, aż nagle sama zerwała się z łóżka za parawanem. Usłyszałem, jak jej bosa nóżki klasnęły o podłogę, gdy zeskakiwała z łóżka, aby następnie, po zrobieniu kilku szybkich kroków, stanąć w progu mojego pokoju. Patrzyła na mnie w milczeniu.

688

W ciągu tych czterech czy pięciu dni, które minęły od tamtego czasu, ani razu nie widziałem jej z bliska, rzeczywiście bardzo zmizerniała. Twarz jakby się jej wydłużyła, a czoło na pewno miała rozpalone. Oczy jej stały się jeszcze większe, patrzyła nimi na mnie nieruchomo, jak mi się początkowo wydawało, z jakąś tępą ciekawością. Siedziałem w kącie kanapy, przyglądałem się jej nie ruszając się z miejsca. Wówczas niespodziewanie poczułem znów przypływ nienawiści. Niezwykle szybko zauważyłem, że się mnie nie boi, co mogło być wywołane gorączką. Jednakże gorączki nie miała. Nagle zaczęła kręcić główką jakby z jakimś wielkim wyrzutem, po czym niespodziewanie podniosła swoją małą piąstkę i zaczęła mi nią wygrażać. W pierwszej chwili ów gest wydał mi się śmieszny, lecz później stał się nie do zniesienia. Wstałem i zbliżyłem się do niej. Na twarzy jej malowała się rozpacz, której wprost nie można sobie wyobrazić na obliczu dziecka. Wciąż wygrażała mi swoją piąstką i wciąż ruch jej głowy wyrażał wyrzut. Podszedłem do niej zupełnie blisko i ostrożnie powiedziałem kilka słów, jednakże zauważyłem, że nie docierają one do niej. Nagle gwałtownie, tak samo jak wtedy, skryła twarz w dłoniach, następnie podeszła do okna i stanęła przed nim, odwrócona do mnie plecami. Wróciłem do swojego pokoju i też usiadłem przy oknie. Nie mogę zrozumieć, dlaczego wówczas nie wyszedłem, lecz pozostałem, jak gdyby oczekując na coś. Niebawem znów usłyszałem jej drobne kroki, otworzyła drzwi i wyszła na drewnianą galeryjkę, z której można było zejść po schodach na dół. Podbiegłem do swoich drzwi, uchyliłem je i zdążyłem dostrzec, jak Matriosza znika w malusieńkiej komóreczce, podobnej do kurnika, znajdującej się tuż obok ubikacji. Dziwna myśl przyszła mi do głowy. Zamknąłem drzwi i podbiegłem do okna. Oczywiście myśl, która przyszła mi do głowy, była tak nieprawdopodobna, że... (wszystko pamiętam doskonale).

Po chwili wyciągnąłem zegarek, aby spojrzeć, która godzina. Nadciągał wieczór. Nade mną brzęczała mucha, która uparcie starała się usiąść mi na twarzy. Złapałem ją, potrzymałem chwilę w palcach i wypuściłem za okno. Jakiś wóz z hałasem wjechał do bramy. W narożnym oknie domu zobaczyłem krawca, który (od dość dawna już) cdł głośno wyśpiewywał. Obserwowałem, jak pracuje. Pomyślałem sobie, że skoro mnie

689

nikt nie widział, gdy wchodziłem do bramy i szedłem po schodach, to, oczywiście, lepiej będzie, aby i teraz nikt mnie nie zobaczył, zwłaszcza wówczas, gdy będę wychodzić; odsunąłem się od okna. Wziąłem książkę, lecz odrzuciłem ją i zacząłem przyglądać się mańkiemu czerwonemu pajęczkowi na listku geranii; zamyśliłem się Pamiętam wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami.

Nagle znów wyciągnąłem zegarek. Od chwili gdy wyszła, minęło dwadzieścia minut. Przypuszczenie nabierało cech prawdopodobieństwa. Postanowiłem odczekać jeszcze dokładnie kwadrans. Przychodziło mi do głowy, że może powróciła, a ja tego nie dosłyszałem, lecz nie, panowała martwa cisza, słychać było brzęczenie każdej muchy. Nagle serce zabiło mi raźniej. Wyjąłem zegarek, brakowało trzech minut do owego kwadransa, bicie serca stawało się wręcz nie do zniesienia. Wstałem, nałożyłem kapelusz, zapiąłem płaszcz, rozejrzałem się po pokoju, aby sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu i czy nie pozostały jakieś ślady mojego pobytu. Krzesło przysunąłem bliżej okna, tak jak stało poprzednio. Wreszcie po cichutku wyszedłem z mieszkania, zamknąłem drzwi swoim kluczem i skierowałem kroki do owej komórki. Nie była zamknięta, lecz tylko przymknięta. Wiedziałem, że nie zamyka się na klucz, nie miałem też zamiaru uchylać bardzo drzwiczek, wspiąłem się tylko na palce i zajrzałem przez szparę. W tej samej chwili, gdy wspinałem się na palce, przypomniałem sobie, że gdy siedziałem przy oknie i obserwowałem czerwonego pajęczka, myślałem właśnie o tym, czy stojąc na palcach dosięgnę okiem owej szpary. Przytaczam tutaj ten szczegół, gdyż pragnę dowieść, że byłem w pełni władz umysłowych. Długo patrzyłem przez szparę, gdyż w komórce panował półmrok, wreszcie dojrzałem to, czego oczekiwałem... Chciałem mieć jednak absolutną pewność.

W końcu postanowiłem odejść i zacząłem schodzić po schodach. Nikogo nie spotkałem po drodze. Po jakichś trzech godzinach wszyscy, zdjawszy surduty, piliśmy herbatę i graliśmy w karty u mnie w domu. Lebiadkin recytował wiersze. Mówiono wiele, jakby na złość, mądrze i dowcipnie, a nie głupio jak zawsze. Był również Kiriłow. Mieliśmy butelkę rumu, nikt jednak nie pił oprócz Lebiadkina, który od czasu do czasu zaglądał do kieliszka. Prochor Małow zauważył, że

690

„gdy Mikołaj Wsiewołodowicz jest zaac” rolri nie gnębi go chandra, to wszyscy są weseli i mówią do rzeczy”. Zapamiętałem to również.

Było już około jedenastej, gdy przybiegła córeczka dozorczy z Grochowej przysłana przez gospodynię z wiadomością dla mnie, że Matriosza powiesiła się. Poszedłem z dziewczynką, lecz okazało się, że gospodyni nie bardzo wiedziała, czemu po mnie posyłała. Lamentowała i miotała się z kąta w kąt, był straszny rwetes, zeszło się wiele ludzi, przyszła policja. Postąłem parę chwil w przedsionku i poszedłem.

Nie przesłuchiowano mnie prawie, pytano tylko o to, o co należało. Poza oświadczeniem, że dziewczynka była chora i przez ostatnie dni majaczyła, wobec czego zaproponowałem sprowadzenie lekarza na własny koszt, nie wniosłem swymi zeznaniami nic konkretnego do sprawy. Wypytywano mnie również o scyzoryk, powiedziałem, że gospodyni wysiękła córkę różgami, lecz nie miało to żadnego znaczenia. O tym, że przyszedłem wieczorem, nikt nie wiedział. Jaki rezultat dały oględziny lekarskie, nie mogę powiedzieć.

Przez jakiś tydzień nie pokazywałem się tam. Poszedłem, gdy już było po pogrzebie, aby wypowiedzieć mieszkanie. Gospodyni wciąż jeszcze płakała, choć już, jak dawniej, cała pochłonięta była zsywaniem swoich szmatek. „Skrzywdziłam ją za pana scyzoryk” - zwróciła się do mnie bez szczególnej pretensji. Rozliczyłem się z nią pod pretekstem, że trudno byłoby mi teraz w tym mieszkaniu przyjmować Ninę Sawieliewnę. Na pożegnanie ponownie powiedziała kilka komplementów pod adresem Niny Sawieliewny. Wychodząc, dałem jej pięć rubli ponad to, co należało się jej za komorne.

W ogóle znudzony byłem wówczas życiem śmiertelnie. Wydarzenia na Grochowej, gdy

niebezpieczeństwo minęło, wyleciałyby mi całkowicie z pamięci, jak wszystko, co mi się wówczas przytrafiło, gdyby nie to, iż z gniewem wspominałem przez jakiś czas fakt, że stchórzyłem. Wyladowywałem swoją złość, na kim tylko mogłem. Wtedy też, całkiem nie wiem skąd się biorąc, zaświtała mi w głowie myśl, aby w sposób możliwie najohydniejszy wypaczyć własne życie. Rok temu myślałem o samobójstwie, teraz jednak nadarzyła się lepsza okazja. Pewnego razu patrząc na kulawą Marię Timofiejewnę Lebiadkin, która usługiwała nam tułając się po różnych

691

kątach, wówczas jeszcze nie obłąkaną, lecz po prostu skłoną do uniesień idiotkę, potajemnie i bez pamięci we mnie zakochaną (co wyśledzili moi kompani), postanowiłem, że się z nią ożenię. Myśl o ślubie Stawrogina z istotą tak nędzną podziałała jak wstrząs na mój system nerwowy. Coś bardziej ohydne trudno było sobie wyobrazić. Nie podejmuję się tutaj rozstrzygać, czy na powzięciu mojej decyzji zaważył chociażby podświadomie (oczywiście, że podświadomie!) gniew spowodowany podłym tchórzostwem, jakie wykazałem po incydencie z Matrioszą. Sądzę, że nie, w każdym razie ślub został zawarty „w wyniku zakładu o butelkę wina podczas pijatyki przy obiedzie”. Świadcami ślubu byli Kiriłłow i Piotr Wierchowieniecki, który wówczas pracował w Petersburgu, oraz sam Lebiadkin i Prochor Małow (już nieżyjący). Zobowiązali się oni do milczenia, poza nimi nikt o ślubie nie wiedział. Owa zmowa milczenia, której ściśle przestrzegano, zawsze wydawała mi się czymś obrzydliwym, nie raz chciałem ją przerwać, ogłaszając o małżeństwie. Niniejszym teraz to czynię.

Po ślubie wyjechałem na prowincję, do mojej matki. Pojechałem, aby się rozerwać, sytuacja bowiem stała się dla mnie nie do zniesienia. W naszym mieście pozostawiłem po sobie opinię człowieka obłąkanego, opinię pokutującą do dziś, a krzywdzącą mnie, co postaram się niżej wyjaśnić. Następnie wyjechałem za granicę, gdzie spędziłem cztery lata.

Byłem na Wschodzie, na górze Athos wystawałem po osiem godzin na nabożeństwach całonocnych, byłem też w Egipcie, mieszkałem w Szwajcarii, byłem nawet w Islandii, przez rok słuchałem wykładów w Getyndze. W ostatnim roku zawarłem bliską znajomość z pewną znaną rodziną rosyjską w Paryżu oraz z dwiema pannami Rosjankami, w Szwajcarii. Dwa lata temu we Frankfurcie, przechodząc obok sklepu papierniczego, wśród fotografii, które wyłożono do sprzedaży, dostrzegłem maleńkie zdjęcie dziewczynki w eleganckiej sukieneczce, dziewczynki bardzo podobnej do Matrioszy. Natychmiast je kupiłem i przyszedłszy do hotelu postawiłem na kominku. Stała tam owa fotografia około tygodnia i ani razu nawet na nią nie spojrzełem, później, wyjeżdżając z Frankfurtu, zapomniałem wziąć ją ze sobą.

Piszę o tym dlatego, aby udowodnić, że wobec moich wspom-

692

nień byłem obojętny i w pełni nad nimi panowałem. Wszystkie razem w swej wielości odrzucałem i posłusznie znikaly za każdym razem, gdy tego zapragnąłem. Zawsze nudziło mnie mówienie o przeszłości i nigdy nie rozumiałem ludzi, którzy mogli o niej rozprawiać bez końca. Jeśli chodzi o Matrioszę, to nawet zdjęcie zapomniałem wziąć z kominka.

Mniej więcej rok temu, na wiosnę, jadąc przez Niemcy z roztargnienia nie wysiadłem na stacji, na której powinienem był się przesiąść, i pojechałem w mylnym kierunku. Kazano mi wysiąść na najbliższym przystanku. Dzień był słoneczny, dochodziła trzecia po południu. Miasteczko było maleńkie, typowo niemieckie. Wskazano mi hotel. Miałem do przeczekania kilka godzin, następny pociąg przejeżdżał tędy dopiero o jedenastej wieczorem. Byłem nawet zadowolony z tej przygody, nigdzie bowiem szczególnie się nie spieszyłem. Hotel był podły i ciasny, cały jednak tonął w zieleni, ponadto otoczony był klombami kwiatów. Dano mi maleńki pokój. Całą noc spędziłem w drodze, nic więc dziwnego, że najadłszy się do syta, natychmiast po obiedzie, około czwartej po południu, smacznie zasnąłem.

Sen, który mnie wówczas nawiedził, był dla mnie samego czymś niespodziewanym, nigdy przedtem nic podobnego mi się nie śniło. W Galerii Drezdeńskiej znajduje się obraz Claudea Lorraina Akis i Galatea, tak bodajże nazwany został w katalogu, ja zaś zawsze, sam nie wiem zresztą czemu, nazywałem go Złotym wiekiem.” Oglądałem go już dawniej, jednakże trzy dni temu, będąc przejazdem w Dreźnie, znów zwróciłem nań uwagę. I właśnie ten obraz mi się przyśnił, nie jako malowidło, lecz jako coś rzeczywistego.

Jest taki zakątek na morzu egejskim. Błękitne, łagodne fale, wyspy i skały, wybrzeże całe w kwiatach, czarowna panorama w dali, zachód słońca przyciągający wzrok - słowami opisać się tego nie da. Tu znajdowała się kolebka ludów Europy, kraina mitologicznej szczęśliwości, ziemski raj ludzkości... Żyli tam wspaniali ludzie! Budzili się ze snu i kładli na spoczynek szczęśliwi i niewinni, zagajniki rozbrzmiewały ich radosnym śpiewem, zaś dla nadmiaru swych nieprzebranych sił znajdowali ujście w miłości i spontanicznej wesołości. Wyspa i morze kąpało się w promieniach słońca, które radowało się swymi urodziwymi dziećmi. Cudowny sen, szlachetny omam!

693

Marzenie najbardziej nieprawdopodobne ze wszystkich, jakie kiedykolwiek istniały; marzenie, dla którego ludzkość na przestrzeni całych swych dziejów poświęcała wszystkie swoje siły, dla którego umierano na krzyżach i za które ginęli prorocy, bez którego narodom trudno jest żyć i bez którego nawet nie są w stanie umrzeć. Odniosłem wrażenie, że wszystko to jak gdybym przeżył w owym śnie, choć nie bardzo wiedziałem, co mi się właściwie śniło, lecz skały, morze i ukośne promienie zachodzącego słońca niejako widziałem jeszcze, gdy zbudziłem się i otwarłem oczy po raz pierwszy w życiu dosłownie przepelnione łzami. Poczucie szczęścia, jakiego dotąd nie znałem, przeszło mi serce aż do bólu. Zbliżał się wieczór. Przez okno mojego maleńkiego pokoiku, poprzez zielen stojących na framudze kwiatów wdierał się ukośny snop promieni jaskrawo zachodzącego słońca oblewając mnie jasnością. Czym prędzej zamknąłem oczy, pragnąc, aby sen, który minął, powrócił, gdy nagle w jaskrawym blasku ujrzałem jakiś malusieńki punkcik. Nabierał kształtów i niespodziewanie zupełnie wyraźnie rozpoznałem w nim maleńkiego czerwonego pajęczka. Od razu przypomniał mi się ów pajęczek, którego obserwowałem na listku geranii, gdy podobnie jak teraz przez okno wdierały się promienie zachodzącego słońca. Poczułem przeszywający, kłujący ból i usiadłem na łóżku... (Oto co mi się wówczas przydarzyło!)

Ujrzałem przed sobą (nie na jawie, żeby to choć naprawdę było przywidzenie!) Matrioszę wychudłą, z rozgorączkowanymi oczyma, zupełnie jak wtedy, gdy stała w progu mego pokoju i kręcąc głową podniosła na mnie swoją maciupenką piąstkę. Nigdy nie przeżywałem większych katuszy! Godna politowania rozpacz bezradnej dziesięcioletniej istotki o nie-sformowanym umyśle, grożącej wprawdzie mnie (czym? cóż mogła mi zrobić?), lecz winiącej, oczywiście, wyłącznie samą siebie! Nigdy jeszcze niczego podobnego nie przeżywałem. Przesiedziałem do późnej nocy, nie ruszając się z miejsca, zapominając o upływie czasu. Czy to nazywa się wyrzutami sumienia lub skruchą? Nie wiem i trudno mi to dziś powiedzieć. Możliwe, że nie wzbudza i dziś we mnie odrazy samo wspomnienie owego występku. Możliwe, że we wspomnieniu owym zawarte jest nawet coś przyjemnego. Nie mogę znieść jedynie owego widoku, a mianowicie widoku dziewczynki stojącej na

694

progu pokoju z podniesioną piąstką i kręcącej z wyrzutem głową. Nie do zniesienia jest myśl o tym, jaki był jej wygląd w owej chwili. Oto czego nie mogę znieść, choćby dlatego, że od tamtego czasu obraz ten staje mi przed oczyma niemal codziennie. Nie pojawia się samorzutnie, lecz ja go sam przy-wohiję, i muszę przywoływać, choć nie mogę z nim żyć. O, gdybym zobaczył ją kiedyś na jawie, chociażby jako halucynację !

Gdy sięgnę pamięcią, w mojej przeszłości odnaleźć mogę postęпки straszliwe. Z pewną kobietą

postąpiłem znacznie gorzej, zresztą zmarła od tego. W pojedynkach pozbawiłem życia dwóch niewinnych mężczyzn. Jednakże byłem śmiertelnie znieważony i był to akt zemsty. Mam na sumieniu również popełnione rozmyślnie i ze skutkiem otrucie, o którym nikt nie wie. (Jeśli zajdzie potrzeba, wyjawię szczegóły.)

Dlaczego jednak ani jedno ze wspomnień nie wywołuje we mnie podobnej reakcji? Co najwyżej odczuwam tylko nienawiść i to wywołaną wyłącznie moim obecnym stanem, dawniej bowiem z zimną krwią rzucałem je w niepamięć i usuwałem ze swego życia.

Wąłęsałem się później niemal przez cały rok, starając się zająć czymkolwiek. Zdaję sobie sprawę, że mógłbym i teraz usunąć ze swojej pamięci obraz dziewczynki, gdybym tylko tego zapragnął. Jak dawniej panuję bowiem całkowicie nad swoją wolą. Jednakże rzecz polega na tym, zdaję sobie z tego doskonale sprawę, że nigdy nie pragnęłam tego uczynić, nie pragnę i nigdy pragnąć nie będę. I trwać to będzie tak długo, dopóki nie zwariuję.

W Szwajcarii, dwa miesiące temu, wzniciłem w sobie miłość do pewnej młodej kobiety albo lepiej powiedziawszy poczułem taki przypływ żądy, taki wściekły poryw namiętności, jak za lat młodzieńczych. Poczułem straszliwą pokusę popełnienia nowego przestępstwa, a mianowicie bigamii (byłem już przecież żonaty). Porzuciłem jednak ten zamiar i uciekłem za radą innej młodej kobiety, której wyjawiałem niemal wszystko. W dodatku nowe przestępstwo nie uwolniłoby mnie od Matrioszy.

Wówczas postanowiłem odbić tę broszurę w trzystu egzemplarzach i przywieźć ją do Rosji. W odpowiednim czasie wyślę ją na policję i do władz miejscowych, równocześnie

695

roześlę ją do redakcji wszystkich gazet z prośbą o wydrukowanie, pošlę ją też licznym moim znajomym w Petersburgu i na terenie Rosji. Równocześnie ukaże się ona w przekładach za granicą. Wiem, że z prawnego punktu widzenia nic mi nie zagraża, w każdym razie niewiele. Sam siebie obwiniam, nikt mnie nie oskarża. Oprócz tego nie ma żadnych lub prawie żadnych dowodów. Wreszcie dość mocno zakorzenione przekonanie o moim obłędzie pozwoli mojej rodzinie, przy pewnych staraniach, uchronić mnie przed niebezpieczeństwem ścigania przez władze sądowe. Mówię o tym między innymi po to, aby udowodnić, że jestem w pełni władz umysłowych i znakomicie zdaję sobie sprawę ze swojej sytuacji. Jednak będę miał świadomość, że istnieją ludzie, którzy będą znać całą prawdę, będą patrzeć na mnie, a ja na nich. Czy mi to przyniesie ulgę - nie wiem. Stosuję to jako środek ostateczny.

I jeszcze jedno: Jeśliby dobrze poszukać w archiwach policji petersburskiej, może by się coś znalazło. Ów mieszczuch z żoną być może do dziś mieszka jeszcze w Petersburgu. Oczywiście, przypomnieliby sobie ów dom. Był on, przypominam, jasnoniebieski. Nigdzie przecież nie wyjadę i przez pewien okres (rok albo dwa) przebywać będę stale w Skwo-resznikach, w majątku mojej matki. Jeśli zajdzie potrzeba, stawię się na każde żądanie

Mikołaj Stawrogin.”

Czytanie broszury trwało około godziny. Tichon czytał powoli i prawdopodobnie niektóre fragmenty po dwa razy. Stawrogin siedział nieruchomo i milczał. Co dziwniejsze, malujące się przez cały ranek na jego twarzy zniecierpliwienie, roztargnienie czy niemalże stan gorączkowy znikły, ustępując miejsca wyrazowi szczerości, przydającego mu bez mała godności. Tichon zdjął okulary i pierwszy, z niejaką ostrożnością, przemówił.

- Czy w dokumencie tym nie można by poczynić pewnych zmian?
- Jakich? Pisałem go szczerze - odrzekł Stawrogin.
- Pewnych zmian stylistycznych.
- Zapomniałem uprzedzić ojca, że jego słowa są daremne, nie odstąpię od swego postanowienia,

niech ojciec nawet nie próbuje doradzać mi tego.

696

- Nie zapomniiał mnie pan o tym uprzedzić, uczynił pan to przecież, jeszcze zanim przystąpiłem do czytania.

- Wszystko jedno, powtarzam raz jeszcze: choćby argumenty ojca były nie wiem jak przekonywające, swego zamiaru nie poniecham. Proszę wybaczyć, że tym niezręcznym czy też sprytnym zdaniem - może ojciec uważać, jak chce - całkowicie ucinam wszelką dyskusję. Kontrargumenty i błagalne prośby są zbyteczne - dodał z uporem, nagle wpadając przez moment w swój poprzedni ton, lecz natychmiast melancholijnie uśmiechnął się nad swymi słowami.

- Nie mam ochoty na odpieranie pańskich argumentów, a już bynajmniej nie pragnę błagać pana, aby poniechał swego zamiaru. Zamiaru wzniosłego, w sposób najpełniejszy wyrażającego ideę chrześcijaństwa. Ekspiacja nie mogłaby pójść dalej niż ofiara, którą zamierza pan ponieść, gdyby...

- Gdyby?

- Gdyby to rzeczywiście była ekspiacja i rzeczywisty wyraz myśli chrześcijańskiej.

- Wydaje mi się, że są to subtelności. Czyż to nie wszystko jedno? Pisałem szczerze.

- Pragnie pan celowo przedstawić się gorszym, niż pan jest w istocie... - coraz odważniej mówił Tichon. Najwyraźniej „dokument” wywarł na nim silne wrażenie.

- „Przedstawić”? Powtarzam ojcu: nie przyszedłem tu po to, aby coś „odgrywać” przed ojcem. Tichon szybko opuścił oczy.

- Dokument ten płynie wprost z potrzeby serca. Serca śmiertelnie udręczonego - czy dobrze mówię ? - powiedział stanowczo i z jakąś niezwykłą żarliwością. - Naturalna potrzeba ekspiacji zwyciężyła i wkroczył pan na właściwą drogę, drogę dla wybranych. Pan jednak, niejako z góry już nienawidzi wszystkich tych, którzy przeczytają to, co pan napisał, i wypowiada im walkę. Nie wstydzisz się pan przyznać do zbrodni, dlaczegóż więc wstydzisz się pan pokuty? Pisze pan, że pragnie, aby ludzie na niego patrzyli, lecz jak im pan spojrzysz w oczy? Miektóre fragmenty swojego wywodu wzmocnił pan stylistycznie, rozkochany pan jest we własnej psychice, chwytając się pan każdego drobiazgu, aby tylko zadziwić czytelnika obojętnością, która jest panu obca. Czy nie przypomina to dumnego

30 Dostojewski, i II!

697

wyzwania, jakie rzuca skruszony przestępca sędziemu podczas rozprawy ?

- Wyzwania? Wyeliminowałem przecież wszelkie osobiste akcenty.

Tichon milczał. Jego blade policzki lekko się zaróżowiły.

- Zostawmy to - ostro przerwał Stawrogin. - Pozwoli ojciec, że ze swej strony zadam mu też jedno pytanie: co najmniej pięć minut rozmawiamy już o tym (wskazał na broszurę) i nie widzę na twarzy ojca ani cienia obrzydzenia czy zawstydzenia... Wydaje mi się, że jest ojciec człowiekiem, który mało czym się brzydzi...

Nie dokończywszy, uśmiechnął się.

- Chciałby pan, abym jak najszybciej dał wyraz mojego potępienia - ostro rzekł Tichon. - Nie będę przed panem ukrywał: przeraził mnie ogrom próżnej siły, która zużyta została rozmyślnie na czyn tak bezecny. Jeśli chodzi o samo przestępstwo, to wielu ludzi zgrzeszyło w podobny sposób i żyje w spokoju sumienia, uważając nawet, że było to przewinienie nieodłącznie związane z młodością. Bywają i świątobliwi starcy, którzy w podobnych praktykach znajdują przyjemność i zadowolenie. Podobnych okropności świat jest pełen. Pan zaś uświadomił sobie wszystko dogłębnie w takim

stopniu, że stanowi pan wyjątek.

- Po przeczytaniu broszury zaczniesz jeszcze ojciec odnosić się do mnie z szacunkiem - skrzywił się w uśmiechu Stawrogin.

- Wprost nie odpowiem na ten zarzut. Większej i straszliwszej zbrodni niż pański postępek z nieletnią, oczywiście, nie może być.

- Sądźmy według siebie. Dziwią mnie trochę wypowiedzi ojca o innych ludziach i o powszechności tego rodzaju zbrodni. Być może, wcale tak bardzo znów nie cierpię, jak to opisałem, całkiem możliwe jest również, że rzeczywiście przedstawiłem siebie w zbyt czarnych kolorach - dodał niespodziewanie.

Tichon nie odpowiedział. Stawrogin wcale nie zamierzał zbierać się do wyjścia. Wręcz przeciwnie, chwilami znów zaczął pogrążać się w głębokiej zadumie.

- A ta młoda kobieta - bardzo nieśmiało zaczął mówić Tichon - od której pan uciekł w Szwajcarii, jeśli wolno spytać, gdzie znajduje się w chwili obecnej?

698

- Tutaj.

Znów zapadło milczenie.

- Może zbyt mocno oczerniłem siebie - z uporem powtórzył Stawrogin. - Nawiasem mówiąc, cóż z tego, że prowokuję ludzi brutalnością mojej spowiedzi, skoro ojciec dostrzegł w niej wyzwanie? Nakazuję im tylko jeszcze bardziej nienawidzić mnie i nic więcej. Przyniesie mi to ulgę.

- Oznacza to, że ich nienawiść wywoła nienawiść w panu, i nienawidząc będzie pan odczuwał ulgę, czy nie lepiej więc przyjąć od nich współczucie?

- Ma ojciec rację - zaśmiał się niespodziewanie - wie ojciec, iż możliwe, że nazwą mnie jezuitą i hipokrytą, cha, cha, cha? Czyż nie tak?

- Oczywiście, • takiej reakcji należy się również spodziewać. Czy prędko pragnie pan zrealizować swój zamiar?

- Może dziś, może jutro, może pojutrze, nie wiem jeszcze kiedy. Na pewno jednak wkrótce. Ojciec ma rację: przypuszczam, że ogłoszę swą spowiedź niespodziewanie, a mianowicie w chwili przybytku nienawiści i mściwości, gdy najbardziej będę nienawidził ludzi.

- Niech mi pan, tylko mnie, mnie jednemu, powie: gdyby ktoś przebaczył panu to (Tichon wskazał na broszurę) i nie byłby to nikt z ludzi, wobec których żywi pan szacunek lub strach, lecz ktoś obcy, człowiek, którego pan nigdy nie pozna, człowiek, który w samotności, wyłącznie dla siebie przeczytał pana straszliwą spowiedź, czy świadomość tego przyniosłaby panu ulgę, czy też byłoby to panu obojętne?

- Byłoby mi lżej - odpowiedział półgłosem Stawrogin, spuszczać oczy. - Gdyby mi ojciec przebaczył, byłoby mi znacznie lżej - niespodziewanie dodał szeptem. •

- Musi pan jednak i mnie również przebaczyć - głosem pełnym przejęcia wyszeptał Tichon.

- Ja ojcu? Czy ojciec wyrządził mi coś złego? Rozumiem, to zapewne jest taka formułka zakonna.

- Chcąc nie chcąc przebaczy mi pan. Każdy człowiek grzesząc, grzeszy przeciwko wszystkim ludziom i każdy człowiek w jakimś stopniu winny jest cudzego grzechu. Grzech jednostkowy nie istnieje. Wielki ze mnie grzesznik, być może, większy od pana.

- Wyjawię ojcu prawdę. Pragnę, aby ojciec mi przebaczył,

699

a razem z ojcem jeszcze ktoś drugi i trzeci, lecz nie chcę, aby uczynili to wszyscy - wszyscy niechaj mnie nienawidzą. Przebaczenia pragnę, aby je przyjąć w pokorze...

- A powszechnego współczucia nie mógłby pan przyjąć w pokorze?

- Zapewne nie mógłbym. Ojciec subtelnie łapie mnie za słowa. Dlaczego ojciec to robi?

- Wyczuwam pewną szczerość w panu i - oczywiście - wielka to moja wina, że nie potrafię nawiązać kontaktu z ludźmi. Zawsze uważałem to za wielki mój niedostatek - szczerze i serdecznie powiedział szeptem Tichon patrząc prosto w oczy Stawrogina. - Lękam się o pana - przed panem otwiera się otchłań nieprzebyta.

- Że nie udźwignę ofiary? Że nie zniosę w pokorze nienawiści ludzi?

- Nie tylko samej nienawiści.

- Czego więc jeszcze?

- Ich śmiechu - z trudem powiedział półszepem Tichon.

Stawrogin zawahał się. Niepokój odmalował się na jego twarzy.

- Przeczuwałem to - powiedział - jak z tego widać, stałem się dla ojca, po odczytaniu mojego „dokumentu”, postacią bardzo komiczną, mimo całej tragedii. Niech się ojciec nie niepokoi, niech się ojciec nie martwi... Przeczuwałem to przecież sam.

- „Przerażenie będzie ogólne i, oczywiście, więcej w nim będzie fałszu niż szczerości. Ludzi bowiem ogarnia lęk tylko wówczas, gdy coś bezpośrednio zagraża ich własnym interesom. Nie o ludziach z czystą duszą tu mówię: ci przerażą się i sami się obwinia o wszystko, lecz zostaną nie zauważeni. Śmiech natomiast będzie powszechny.

- I niech ojciec nie zapomni o uwadze, którą uczynił pewien myśliciel, a mianowicie, iż w cudzym nieszczęściu jest coś przyjemnego.¹²

- Trafne spostrzeżenie.

- Jednakże ojciec... ojciec sam... Zdziwiał mnie to, jak ojciec źle wyraża się o ludziach, z jakim obrzydzeniem - z pewnym odcieniem rozdrażnienia w głosie powiedział Stawrogin.

700

- Niech pan wierzy, mówiłem sądząc po sobie bardziej niż po bliźnich - wykrzyknął Tichon.

- Rzeczywiście? Czy naprawdę w duszy ojca nie istnieje choć mała cząstka, która cieszyłaby się z mojego nieszczęścia?

- Kto wie, możliwe, że takowa istnieje. Chyba tak!

- Wystarczy. Niech mi ojciec powie, co właściwie ojca śmieszy w moim rękopisie? Sam dobrze wiem, lecz pragnę, aby ojciec wytknął mi to własnym palcem. I powiedział mi o tym możliwie najcyniczniej, z całą tą szczerością, do której ojciec jest zdolny. Jeszcze raz powtarzam ojcu, że jest ojciec strasznym dziwakiem.

- W samej formie największego nawet aktu pokutnego jest już coś śmiesznego.¹³ Niech pan jednak wierzy w zwycięstwo ! - wykrzyknął niespodziewanie niemal w zachwycie. - Nawet ta forma zwycięży (wskazał na broszurę), jeśli tylko przyjmie pan w pokorze szkalowanie i opluwanie. Zawsze kończyło się tym, że najhaniebniejszy krzyż stawał się wielką chwałą i wielką siłą, jeśli szczerą była pokora ofiary. Możliwe, że jeszcze w życiu doczesnym dozna pan pocieszenia!

- A więc wyłącznie forma jest niewłaściwa, styl wydaje się ojcu śmieszny? - upierał się Stawrogin przy swoim.

- Treść również. Brzydota bowiem zabija - szepnął Tichon opuszczając oczy.

- Co? Brzydota? Jaka brzydota?

- Brzydota zbrodni. Istnieją zbrodnie naprawdę brzydkie. Zbrodnie, jakie by one nie były, im bardziej są krwawe, im bardziej potworne, tym bardziej są one okazałe, jeśli można się tak wyrazić, malownicze. Istnieją również zbrodnie hańbiące, wstydlive, mimo całej potworności, jeśli znów można się tak wyrazić, wręcz mało eleganckie...

Tichon nie dokończył swej myśli.

- Oznacza to - podjął Stawrogin z niepokojem - że ojcu wydała się śmieszna moja postać, gdy całowałem nogę nie domytej dziewczynki... to, co mówiłem o moim temperamencie... i w ogóle wszystko... Rozumiem. Bardzo dobrze ojca rozumiem. Ojciec nie dlatego lituje się nade mną, że czyn mój jest brzydki, haniebny, śmieszny, lecz dlatego, że wydaje się ojcu, iż nie udźwignę tego wszystkiego.

Tichon milczał.

- Tak, ojciec zna dobrze ludzi, to znaczy, ojciec wie, że

- 701

właśnie ja nie udźwignę... Rozumiem teraz, dlaczego ojciec zapytał mnie o to, czy ta panna ze Szwajcarii jest tutaj.

- Nie jest pan przygotowany, nie ma pan hartu - łagodnie wyszeptał Tichon opuszczając oczy.

- Ojciec Tichonie, proszę mnie wysłuchać. Pragnę sam sobie przebaczyć i to jest mój główny, mój jedyny cel! - powiedział nagle Stawrogin z ponurym blaskiem w oczach. - Wiem, że tylko wówczas zniknie przywidzenie. Oto dlaczego pragnę bezgranicznych męczarni. Szukam ich. Nie odstraszy mnie ojciec.

- Jeśli wierzy pan, że może przebaczyć samemu sobie i przebaczenie owo uzyskać na tym jeszcze świecie, to wierzy pan we wszystko! - w uniesieniu krzyknął Tichon. - I pan mówi, że w Boga nie wierzy?

Stawrogin nic nie powiedział.

- Niewiarę panu Bóg przebaczy, albowiem sam nie wiedząc o tym, Ducha świętego pan czci.

- Czy Chrystus mi jednak wybaczy? - zapytał Stawrogin, a w głosie jego pobrzmiwały nutki ironii. - Powiedzione jest przecież w Piśmie Świętym, że „kto by się stał powodem zgorznienia dla jednego z tych małych, które wierzą we Mnie...” - pamięta ojciec te słowa? ¹⁴ Wedle Ewangelii większej zbrodni nie ma i być nie może. Oto, co tu zostało napisane!

I wskazał na Nowy Testament.

- Może pociechą dla pana będzie to - ze wzruszeniem w głosie wyszeptał Tichon - że Chrystus również panu wybaczy, jeśli tylko będzie pan w stanie wybaczyć sobie samemu... Nie, proszę nie wierzyć moim słowom, albowiem są bluźnierstwem. Gdyby nawet nie pojednał się pan z samym sobą i nie przebaczył sobie, również panu wybaczy, gdyż intencja pana jest szlachetna i wielkie jest pana cierpienie... Albowiem żadne słowo, żadna myśl w języku ludzkim nie wyrazi wszystkich dróg i pełni zamiarów Baranka, „dopóki drogi Jego nie odsłonią się dla oczu naszych”. ¹⁵ Kto bowiem ogarnie Jego - Nieobjętego, kto zrozumie Całego - Nieskończonego?!

Kąciki jego ust zadrżały jak poprzednio i ledwo dostrzegalny skurcz ponownie przeszył jego twarz. Opanował się i w zawstydzaniu opuścił oczy.

Stawrogin sięgnął po swój kapelusz leżący na kanapie.

- Przyjdę tu jeszcze kiedyś - powiedział, a oznaki silnego zmęczenia uwidoczniły się na jego twarzy - niezwykle cenię sobie przyjemność i zaszczyt rozmowy z ojcem. Niech ojciec wierzy, zrozumiałem teraz, dlaczego inni ludzie darzą ojca taką sympatią. Proszę o modlitwę za mnie do Tego, którego ojciec tak kocha...

- Już pan wychodzi? - Tichon również zerwał się ze swego miejsca, jak gdyby nie spodziewając się zupełnie, iż jego gość tak szybko go opuści. - A ja - rzekł z pewnym zmieszaniem - mam do pana prośbę, lecz... nie wiem, jak to powiedzieć... nie odważę się teraz.

- Niech ojciec zrobi mi tę przyjemność i powie, o co chodzi - Stawrogin siadł błyskawicznie, trzymał jednak kapelusz w ręku. Tichon popatrzył na nakrycie głowy, na pozę, którą przybrał Stawrogin, pozę człowieka światowego, nieco wzburzonego i wpółobłąkanego, człowieka, który przeznaczył kilka minut, aby wysłuchać tego, co ma mu do powiedzenia, i jeszcze bardziej się zmieszał.

- Moja prośba sprowadza się do tego, że po co panu... Sam pan przecież powiedział, Mikołaju Wsiewołodowiczu (dobrze, zdaje się, pamiętam imię pańskiego ojca), że ogłoszenie broszury złamie panu życie... mam na myśli karierę... i w ogóle całą pana przyszłość.

- Karierę? - Mikołaj Wsiewołodowicz skrzywił się nieprzyjemnie.

- Po co psuć wszystko? Po co być tak nieugiętym? - niemalże błagalnie, czując niezręczność sytuacji, dokończył Tichon. Na twarzy Mikołaja Wsiewołodowicza pojawił się jakiś chorobliwy grymas.

- Już raz ojcu powiedziałem, mówię teraz ponownie, że trud ojca jest daremny... A w ogóle nasza rozmowa zaczyna być nieznośna.

Wymownie poruszył się w fotelu.

- Nie rozumie mnie pan, niech mnie pan wysłucha spokojnie. Moje zdanie pan zna: ofiara pana, gdyby płynęła z ducha pokory, stanowiłaby wyższy wyraz chrześcijańskiego poświęcenia, jeśli potrafiłby pan ją udźwignąć. Nawet jeśli by pan jej nie udtwignął, sam zamiar poniesienia ofiary byłby panu przez Boga policzony. Wszystko będzie panu policzone. Żadne słowo, żadna myśl, żaden serdeczny odruch nie będą

daremne. Jednakże zamiast ofiary, którą postanowił pan ponieść, proponuję panu inną, jeszcze większą, niewątpliwie z rzędu największych...

Mikołaj Wsiewołodowicz milczał.

- Owładnęło panem pragnienie męczeństwa i chęć złożenia siebie w ofierze. Niech pan porzuci to pragnienie, schowa broszurę i poniecha swego zamiaru - wówczas odniesie pan całkowite zwycięstwo. Przewycięży pan pychę swoją i poskromi swego biesa! Zostanie pan zwycięzcą, osiągnie pan wolność...

Oczy mu zapłonęły, złożył przed sobą ręce, jak do modlitwy,

- Po prostu ojciec bardzo chce uniknąć skandalu i zastawia na mnie pułapkę, łaskawy ojciec Tichonie - opryskliwie i ze złością bąknął Stawrogin, zrywając się do wyjścia. - Krócej mówiąc, chce ojciec, abym ustatkował się, być może nawet ożenił się i zakończył życie jako członek tutejszego klubu, w każde święto przychodzący do monasteru. Też mi epity-mia!ls Nawiasem mówiąc, możliwe, że ojciec, jako znawca serc ludzkich, nawet przeczuwa, iż nieuchronnie wszystko ku temu zmierza i cała rzecz w tym, aby mnie teraz grzecznitko, dla przyzwoitości, o to poprosić, gdyż przecież niczego innego nie pragnę, nieprawdaż?

Roześmiał się histerycznie.

- Nie taką epitymię, lecz inną szykuję panu! - mówił z zapalem Tichon, nie zwracając najmniejszej

uwagi na śmiech i słowa Stawrogina. - Znam pewnego starca, nie tutaj, lecz niedaleko stąd, anachoretę i ascetę, człowieka wielkiej chrześcijańskiej mądrości, do której nam z panem daleko. Opowiem mu o panu wszystko. Spełni on moją prośbę. Spędzi pan u niego na pokucie pięć, a może siedem lat, tyle, ile sam pan uzna za stosowne. Złoży pan śluby i tą wielką ofiarą okupi wszystko, co tylko zapragnie, nawet to, co pana jeszcze czeka, dziś nie jest pan w stanie zrozumieć łaski, jaką pan uzyska!

Stawrogin wysłuchał uważnie, w wielkim skupieniu, jego ostatniej propozycji.

- Po prostu ojciec proponuje mi złożenie ślubów zakonnych i wstąpienie do monasteru? Na mój szacunek dla ojca, spodziewałem się tego. Muszę się ojcu jednak przyznać, że w chwilach słabości myślałem o tym, aby po opublikowaniu tej broszury schronić się przed ludźmi do monasteru choć na

704

jakiś czas. Czerwieniłem się jednak ze wstydu na samą myśl o takiej nikczemności. Lecz to, aby złożyć śluby zakonne, nawet w chwilach najbardziej małoduszego lęku nie przychodziło mi do głowy.

- Nie musi pan zaraz wstępować do monasteru, nie musi pan składać ślubów zakonnych, niech pan pozostanie w nowicjacie tajnym, niejawnym, przecież można i tak, żyjąc wśród świeckich...

- Niech ojciec przestanie - z obrzydzeniem w głosie przerwał Stawrogin i podniósł się z krzesła. Tichon wstał również. - Co się ojcu stało? - krzyknął nagle, niemal z przestachem wpatrując się w Tichona. Ten stał przed nim, złożywszy przed sobą ręce, a twarz jego wykrzywiła się w skurczu jakiegoś chorobliwego przerażenia. -Co się z ojcem dzieje? Co się z ojcem dzieje? - powtórzył Stawrogin rzucając się ku niemu, aby go podtrzymać. Wydało mu się bowiem, że ten zaraz upadnie.

- Widzę., widzę jak na jawie... - wykrzyknął Tichon przenikającym do głębi duszy głosem i z wyrazem wielkiego smutku na twarzy - że nigdy jeszcze, biedny zgubiony młodzieńcze, nie był pan tak bliski nowej zbrodni jak w tej chwili!

- Niech się ojciec uspokoi!-powtarzał bardzo zaniepokojony jego stanem Stawrogin. - Możliwe, że... zaniecham ogłoszenia broszury... Ojciec ma rację, że nie udźwignę tego i w gniewie popełnię nową zbrodnię... Zgadzam się z ojcem i zaniecham publikacji...

- Nie po opublikowaniu, lecz jeszcze przed opublikowaniem broszury, za dzień, za chwilę, może już zaraz popełni pan nową zbrodnię jako upust, aby tylko uniknąć ogłoszenia tego tekstu!

- Przeklęty psycholog! - stwierdził nagle z wściekłością w głosie i nie oglądając się wyszedł z celi.

OD REDAKCJI

NOTA WPROWADZAJĄCA

Powieść Biesy napisana została przez Dostojewskiego w czasie jego pobytu za granicą (Drezno) w latach 1870-1871. Pisarz tworzył ją z myślą o druku w czasopiśmie „Russkij Wiestnik”, gdzie też została opublikowana w rocznikach z lat 1871 i 1872. Za życia Dostojewskiego powieść w wydaniu książkowym ukazała się tylko raz, a mianowicie, nakładem samego autora, w 1873 roku.

Czas powstania rozdziału U Tichona usuniętego z Biesów przez redaktora „Russkiego Wiestnika” Michała Katkova przypada na okres między styczniem i listopadem 1871 roku, a więc na końcową fazę pisania powieści. Wedle pierwotnego zamysłu Dostojewskiego rozdział ten w czasopiśmienniczym wariacie powieści miał się znaleźć między rozdziałami Iwan Carewicz i

Rewizja u Stiepana Trofi-mowicza. Jako integralna jeszcze część Biesów został złożony drukiem (zachowały się odbitki zecerskie) i powinien był ukazać się w grudniowym zeszycie miesięcznika „Russkij Wiestnik” w 1871 roku. Do publikacji jednak nie doszło, gdyż redakcja w osobie Katkowa uznała tekst za zbyt drastyczny. Po długich pertraktacjach nie uwiecznionych sukcesem Dostojewski był zmuszony do zrezygnowania z ogłoszenia drukiem rozdziału, który uważał za ważne ogniwo treściowo-kompo-zycyjne swej powieści. Ze względu na usunięcie owego rozdziału Biesy uległy znacznym odautorskim przeróbkom, które spowodowały, że włączenie go dziś do powieści jest rzeczą niemożliwą. Publikuje się go więc bądź oddzielnie, bądź jako aneks do Biesów.

W całości rozdział U Tichona zwany też niekiedy przez wydawców Spowiedzią Stazurogina ukazał się po raz pierwszy drukiem w 1922 roku. Za podstawę tłumaczenia, które weszło do niniejszego tomu, przyjęto tekst opublikowany w książce: F. M. Dostojewskij, Polnoje sobranije sočinienij, tom 11, .Leningrad 1974.

706

Polska prapremiera scenicznej wersji Biesów (w adaptacji Marcela Camus i reżyserii Janusza Warmińskiego) odbyła się w marcu 1971 roku na scenie warszawskiego Teatru Ateneum.

29 IV 1971 roku w Teatrze Starym w Krakowie odegrano pierwsze przedstawienie Biesów w głosnej później na całym świecie inscenizacji i reżyserii Andrzeja Wajdy.

TŁUMACZENIA:

Teodor Dostojewski, Biesy, tłum. T. K. (Tadeusz Kotarbiński), t. I-VII, Wydawnictwo Biblioteki Dzieł Wyborowych, Warszawa 1908.

Dostojewski, Biesy, z oryginału rosyjskiego tłumaczyła J.B. (inicjałów nie udało się rozszyfrować), ilustrował Waław Ujejski, t. I-II, „Biblioteka Rodzinna”, Warszawa 1928.

Teodor Dostojewski, Biesy, przełożył z oryginału Tadeusz Zagórski, Dzieła, seria 3, tom I-II, pod redakcją Melchiora Wańkowicza poprzedzone studium Andrzeja Struga, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1928.

Teodor Dostojewski, L7 Tichona, przełożył Tadeusz Zagórski. W tomie: Teodor Dostojewski, Biedni ludzie, Dzieła, seria 7, pod redakcją Melchiora Wańkowicza poprzedzone studium Andrzeja Struga, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1929.

Biesy stanowią typową powieść aluzyjną z tzw. kluczem. Stanisław Mackiewicz pisał, że „czytanie Biesów bez znajomości politycznych i społecznych stosunków Rosji z czasów Aleksandra II jest zajęciem dość jałowym”. Przypisy poszły właśnie w kierunku zaprezentowania czytelnikowi tłą historycznego epoki, w której osadził pisarz swą powieść, zwrócenia uwagi na wszelkie aluzje, jakie czynił do swej współczesności, rozszyfrowania prototypów postaci powieściowych, zwrócenia uwagi na ich symbolikę. Mamy nadzieję, że przybliży to w jakimś stopniu czytelnikowi problematykę tego ponadczasowego moralitetu Dostojewskiego. Pozwoli równocześnie wniknąć w proces twórczy Dostojewskiego, poznać jego warsztat i zgłębić tajniki jego pisarstwa.

EPIGRAFY

1 Symbolika ballady Aleksandra Puszkina Biesy posłużyła Dostojewskiemu jako punkt wyjścia do snucia w powieści rozważań na temat losów Rosji i Europy w XIX wieku. Ballada Biesy napisana

707

by ta w 1830 r. Przekład Juliana Tuwima (por. Lutnia Puszkina, „Czytelnik”, Warszawa 1949, str.

93-94).

Komentarz do tego fragmentu Pisma Świętego w nawiązaniu do sytuacji rosyjskiej oraz wyjaśnienie, czemu stał się on epigrafem powieści, dał Dostojewski w liście do Apollona Majkowa wysłanym z Drezna 9/21 października 1870 roku.

„Tu wydarzyło się to, o czym pisze Ewangelista Łukasz (...) Biesy wyszły z człowieka rosyjskiego i weszły w stado świń, to znaczy Nieczajewów i innych. Potonęły one lub potoną na pewno, a uzdrowiony człowiek, z którego wyszły biesy, siedzi u nóg Jezusowych. Tak i być powinno. Rosja zwymiotowała tę ohydę, którą ją karmiono, a w owych zwymiotowanych nikczemnikach nie ma już, oczywiście, nic rosyjskiego. I niech pan zapamięta sobie, przyjacielu: kto traci swój naród i narodowość, ten traci i wiarę ojczystą, i Boga. Jeśli pragnie pan wiedzieć - właśnie to jest tematem mojej powieści. Nazywa się ona Biesy i stanowi opis tego, jak biesy weszły w stado świń.”

(Wszystkie cytaty z Pisma Świętego przytaczane są w niniejszym wydaniu za Biblią Tysiąclecia.)

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1 Prototypem miasta w powieści jest Twer (dzisiejszy Kalinin), gdzie Dostojewski spędził w 1859 roku końcowy okres swego zesłania. Wskazują na to przede wszystkim analogie topograficzne. Twer podobnie jak powieściowe miasto gubernialne podzielony był rzeką na dwie części. Odpowiednikiem istniejącego w rzeczywistości Zawołża jest powieściowe Zarzecze. Z Twerem związanych jest też wiele postaci historycznych stanowiących prototypy bohaterów powieściowych (Tichon Zadoński, Michał Bakunin).

- Stiepan Trofimowicz Wierchowieński to syntetyczny portret rosyjskiego liberała-idealisty, okcydentalisty lat czterdziestych XIX wieku. Rysując jego sylwetkę psychologiczną Dostojewski wykorzystał rysy charakterologiczne i cechy charakterystyczne osób istniejących w rzeczywistości, m.in. Timofieja Granowskiego, Aleksandra Hercena, Nestora Kukulnika, Iwana Turgieniewa.

3 Formę kroniki jako sposobu prowadzenia narracji spotykamy już u Dostojewskiego w Śnie wujaszka (1859). W Biesach narzuciła ona autorowi wprowadzenie postaci Narratora.

708

Wprowadzając do powieści postać Narratora, autentycznego bohatera rosyjskiego, Dostojewski inspirował się osobowością filozofa—samouka, staroobrzędowca Konstantego Gotubowa.

4 Piotr Czaadajew (1793-1856), autor słynnego Listu filozoficznego. Zawarł w nim krytyczny pogląd na ustrój społeczeństwa rosyjskiego, na cerkiew i wypowiadał się przychylnie o cywilizacji krajów zachodnich oraz wskazywał na rolę, jaką odegrał w jej formowaniu katolicyzm.

Timofiej Granowski (1813-1855), historyk i działacz społeczny, jeden z przywódców obozu tzw. okcydentalistów, czyli zwolenników reform społecznych w duchu zachodnioeuropejskim.

Aleksander Hercen (1812-1870), opuścił Rosję w 1847 roku. Od 1856 roku wydaje w Londynie czasopismo „Kołokol” („Dzwon”), którego publicystyka miała dość znaczny wpływ na opinię publiczną w Rosji. Pisząc o „minionej dobie” Dostojewski ma na myśli przełom piątego i szóstego dziesiątka lat.

5 W podobny sposób wypowiadał się o Timofieju Granowskim, jednym z czołowych okcydentalistów (patrz przypis 4 nin. rozdziału), profesor uniwersytetu moskiewskiego W. Grigoriew.

6 Kolejne aluzje do biografii Granowskiego pozwalające przypuszczać, że historyk ten stał się

jednym z głównych prototypów postaci Stepana Wierchowieńskiego.

7 Charles Fourier (1772-1837), francuski myśliciel, twórca jednej z głównych odmian socjalizmu utopijnego zwanego furieryzmem. Światopogląd samego Dostojewskiego kształtował się w latach czterdziestych między innymi właśnie pod wpływem idei Fouriera. Później pisarz odszedł od fascynacji lat młodzieńczych głosząc, że „furieryzm to jakieś chrześcijaństwo bez Chrystusa” (patrz: F. Dostojewski, Aforyzmy, PIW, Warszawa 1976). W Biesach furieryzm sparodiowany został w wizji społeczeństwa totalitarnego zaprezentowanej przez Szygalewa.

8 Dostojewski wykorzystał tutaj motywy poematu W. Pieczorina (1807-1885) Triumf śmierci (Torżesttao snńerti), opublikowanego w almanachu podziemnej rosyjskiej literatury XIX wieku wydanym w 1861 roku w Londynie przez Mikołaja Ogariowa.

9 Z poematu Mikołaja Niekrasowa Polowanie na niedźwiedzia (Miednieżja ochota, 1866).

0 Zwrot „obywatelski smutek” był szczególnie rozpowszechniony w latach sześćdziesiątych XIX wieku. Niektóre zgony licealistów i kadetów przypisywano tej swoistej „chorobie społecznej”.

1 Mowa o litograficznym portrecie Nestora Kukolnika pędzla Karola Briułłowa. Kukolnik (1809-1868), dramaturg i powieściopisarz, znany ze swych skrajnych poglądów. Popierał w swych
709

epigonskich utworach samowładztwo carskie i wsteczne tendencje w prawosławiu

12 Alexis-Charles-Henri de Tocqueville (1805-1859), działacz społeczny i historyk Prace jego cieszyły się w przekładach w ówczesnej Rosji dość znaczną popularnością

Paul de Kock (1793-1871) powieściopisarz francuski, który zyskał sobie w swoim czasie popularność frywolnością tematyki O mm lub też o jego utworach często ironicznie wypowiada się Dostojewski (Biedni ludzie, Cudza żona i mąż pod lozkiem)

13 Mowa o najróżniejszych sprawach, o których rozprawiano w postępowych środowiskach i na łamach prasy w latach sześćdziesiątych XIX wieku

Sprawę cenzury dyskutowano na łamach czasopism „Wnemia” i „Sowriemiennik” Dostojewski w swoim czasopiśmie („Wnemia”) opowiadał się za wolnością prasy

W 1862 roku w Petersburgu odbyło się kilka konferencji poświęconych reformie ortografii

W petersburskim Pasażu oprócz sklepów znajdowała się sala, gdzie odbywały się publiczne odczyty i koncerty W grudniu 1859 roku jedno z zebrań zostało przerwane na skutek zbyt żywej reakcji publiczności Reperkusje tego skandalu odbiły się szerokim echem wśród społeczeństwa Pisał o nim Dostojewski w Dzienniku pisarza

W 1862 roku ukazała się nielegalna proklamacja stowarzyszenia rewolucyjnych demokratów „Młoda Rosja” Głoszono w niej konieczność zastąpienia imperium rosyjskiego republikańską federacją okręgów, przywrócenia niepodległości podbitej Polsce, przywrócenia praw spadkowych, zrównania w prawach kobiet itp

Andrzej Krajewski (1810-1889), dziennikarz i wydawca petersburski, był właścicielem domu w zaułku Litiejnym Nieruchomość nabył za pieniądze uzyskane z korzystnych transakcji wydawniczych W tak zwanym domu Krajewskiego mieściły się redakcje czasopism „Oteczestwiennyje zapiski” i „Gołos”

14 W latach sześćdziesiątych XIX wieku w niektórych środowiskach rosyjskich stosowano wobec sztuki skrajnie utylitarne kryteria Najlepiej wyrażało je powiedzenie przypisywane Dymitrowi Pisanerowi, iż buty są ważniejsze od Szekspira Ów aforyzm zmodyfikowany przez Dostojewskiego ma oddać nastroje ludzi, wśród których obracał się Stepan Wierchowieński, a celem jego jest

podkreślenie różnicy między pokoleniem „teoretycznych” burzycieli, do których należał, i reprezentantami dążeń rewolucyjnych

15 Początkowe wersy parodystycznego wierszyka Dostojewskiego, który wyśmiewał w nim pewne tendencje w rosyjskiej prasie lat sześćdziesiątych „Wiek” - tytuł tygodnika wydawanego w Petersburgu przez W. Wienberga Lew Kambek - popularny w owym czasie dziennikarz

16 Przysłowie rosyjskie „tuda upriaczu, kuda Makar ttelat me go-mal” odpowiada polskiemu porzekadłu „tam gdzie pieprz rośnie” Tu użyte zostało w znaczeniu miejsca zesłania

17 Jednym z prototypów tej postaci powieściowej był Aleksander Miliukow (1817-1897), pisarz i historyk literatury Podobnie jak jego powieściowy odpowiednik, tyranizował swą rodzinę, a w życiu publicznym hołdował ideom founeryzmu

18 Jak wiele nazwisk w utworach Dostojewskiego, nazwisko „Szatow” urobione zostało od odpowiedniego rzeczownika, w tym przypadku oznaczającego „niestałość”, „zmiennosc” Ma to zapewne sugerować światopoglądową i moralną chwiejność właściciela nazwiska Wśród realnych osób, które mogłyby być prototypami tej postaci, wymienić należy przede wszystkim studenta Iwana Iwa-nowa zamordowanego przez meczajewowców, Wasylego Kielsi-jewa (1835-1872) oraz Pawła Ogorodnikowa (1837-1844) Publikacja tego ostatniego Od Nowego Jorku do San Francisco i z powrotem do Rosji niewątpliwie posłużyła Dostojewskiemu jako wzór przy opisywaniu amerykańskiego epizodu z życia Szalowa

19 Wielu przedstawicieli rewolucyj no-demokratycznej inteligencji wywodziło się ze środowisk biednych (synowie duchownych prawosławnych, rzemieślników itp) i kształciło w dostępnym dla kieszeni ich rodziców seminariach duchownych Potocznie ludzi z tych środowisk nazywano „seminarzystami”

20 Jednym z prototypów kapitana Lebiadkina był zapewne drugorzędny beletrysta P Górski, którego Dostojewski znał osobiście Był on również sztabkapitanem rezerwy, pisywał najrozmaitsze okolicznościowe wierszydła, częściowo żył z szantażu, nadużywał alkoholu, a po pijanemu zachowywał się równie brutalnie wobec najbliższych jak jego powieściowy odpowiednik wobec siostry Ponadto w opowiadaniach Górskiego występuje postać o nazwisku „Lebiedkin”

21 Wedle niektórych badaczy Dostojewski w sposób parodystyczny nawiązuje do ulubionego powiedzenia bohaterów powieści Mikołaja Czernyszewskiego Co robić* Możliwe również, że zdanie na temat rmlosa i szacunku stanowi aluzję do analogicznego powiedzenia Aleksandra Benckendorffa o pewnym aktorze, który sprzeciwił się zmianom w tekście wypowiedzianej przez niego kwestii

22 Aluzja do słynnego wiersza Pawła Wiaziemskiego (1792-1878) Rosyjski Bóg (1828) opublikowanego w czasopiśmie „Polarnaja Zwiezda” w 1856 roku

„ Tego dnia 1861 roku według starego stylu ogłoszony został manifest cesarza Aleksandra II znoszący poddaństwo w Rosji

711

24 Cytowane przez Dostojewskiego wersy pochodzą z anonimowego wiersza Fantazja ogłoszonego w czasopiśmie „Polarnaja Zwiezda” w 1861 roku.

K Tyrada okcydentalisty Stepana Trofimowicza Wierchowien-skiego powinna wywoływać skojarzenia ze słowami Turgieniewo-wskiego Panszyna ze Szlacheckiego gniazda o tym, że na wsi rosyjskiej nawet pułapki na myszy nie wymyślono. Kamaryński - rosyjski śpiewany taniec ludowy.

26 Eliza Rachel (1821-1852), aktorka Comedie Francaise występująca gościnnie w Rosji.

27 Bouquet de limp&ratrice - nazwa perfum francuskich.

28 Tytuł opowiadania Dymitra Grigorowicza (1822-1899) ogłoszonego w 1847 roku w czasopiśmie „Sowriemiennik”. Jeden z najbardziej popularnych utworów swego okresu.

28 Anton Pietrow (właśc. nazw. Anton Pietrowicz Sidorow; 1824--1861), chłop pańszczyźniany ze wsi Biezdna w guberni kazańskiej, przywódca buntu, który wybuchł w tej wsi w 1861 roku. Bunt biezdnieński został krwawo stłumiony, a sam Pietrow, na mocy wyroku sądowego, rozstrzelany.

30 Szkoła pod wezwaniem świętego Piotra. Mowa o niemieckiej szkole średniej założonej w XVIII wieku i mieszczącej się w domu nr 22/24 przy Newskim Prospekcie.

31 Chodzi o powieść Lelia, której pierwsza redakcja ukazała się w 1833 roku, druga zaś w 1838 roku.

32 Mowa o głośnym liście Bielińskiego z dnia 15 lipca 1847 roku. Krytyk czyni w nim autorowi Martwych dusz wyrzuty z powodu jego książki Wybrane fragmenty z korespondencji z przyjaciółmi (Izbrannyje miesta iz pieriepiski s družjami) poddając równocześnie ostrej krytyce samodzierżawie rosyjskie i Kościół prawosławny. Za odczytanie owego listu w dniu 15 kwietnia 1849 roku na zebraniu pietraszewców Dostojewski został aresztowany, osądzony i skazany na karę śmierci, którą cesarz Mikołaj I w drodze łaski zamienił pisarzowi na cztery lata robót katorżniczych.

Zdanie o „wierze w jakiegoś tam Boga” napisane zostało przez Bielińskiego w innym utworze (patrz Bieliński, Polnoje sobranije socziniemj, Moskwa 1953-1959, tom X, str. 215).

33 Francuskimi żuczkami socjalnymi nazwano tu uczniów Fouriera i zwolenników socjalizmu utopijnego.

ROZDZIAŁ DRUGI

Już samo nazwisko „Stawrogin” od strony etymologicznej (urobione zostało od słowa greckiego staurós - krzyż) pozwala określić

712

misję życiową swego nosiciela jako człowieka napiętnowanego wielkością (o charyzmacie wielkości, który otrzymał Stawrogin wraz z imieniem, patrz: R. Przybylski, Stawrogin, „Teksty” nr 4, 1972).

Wśród realnych prototypów tej postaci wymienić należy przede wszystkim głośnego anarchistę Michała Bakunina (1814-1876), dekabrystę Michała Łunina (1787-1845) oraz pietraszewca Mikołaja Spiesyniewa (1821-1882). Dostojewski posłużył się przy konstruowaniu postaci Stawrogina bądź poglądami i cechami charakterologicznymi tych osób, bądź też faktami z ich biografii. Jako postać literacka spokrewniony jest Stawrogin z Puszkinińskim Onieginem, a przede wszystkim z Lermontowowskim Pieczorinem. Podobnie jak Pieczorin w Bohaterze naszych czasów, tak i Stawrogin w Biesach przytłacza pozostałych bohaterów swą „elegancją i demonizmem”. Obaj należą w swej świadomości do kategorii tak zwanych „zbędnych ludzi”.

2 Postacie z tragedii Szekspira Henryk IV. Stiepan Wierchowienieński kojarzył sobie postać Stawrogina z postacią księcia Harry (tak nazywali najbliżsi przyszłego króla Henryka V) z owej tragedii, stąd tytuł tego rozdziału.

3 Najwidoczniej jest tu uczyniona aluzja do uczestnictwa w tłumieniu powstania styczniowego.

4 Gazeta „Głos” (Głos”) wychodziła w Petersburgu w latach 1863-1883.

5 Wiktor Considerant (1805-1893), francuski ekonomista, zwolennik Fouriera, gorący

popularyzator i propagator jego teorii.

6 Nazwisko gubernatora von Lembke wskazuje na to, że jego prototypem był rzeczywisty gubernator twerski O. Baranów (Lamm po niemiecku znaczy baran). Postać ta również wiąże niejako akcję Biesów z Twerem.

7 Fragmenty Księgi Hioba (wersy z rozdz. 1, 2,38,48) odczytywane są w kościele prawosławnym podczas nabożeństwa w Wielkim Tygodniu.

8 Stiepan Wierchowieński nazywając w ten sposób Barbarę Stawrogin czyni ironiczną aluzję do jej postępowania. Bismarck był bowiem znany z ostrych, wręcz grubiańskich metod postępowania w polityce.

9 Pod tym nazwiskiem występuje w powieści Iwan Turgieniew (1818-1883). Zapewne osobiste zatargi między obu pisarzami spowodowały, że postać autora Ojców i dzieci przedstawił Dostojewski w sposób złośliwy i parodystyczny.

10 Cytat pochodzi z Protaincjaiek.

11 Szczegół z życia samego Dostojewskiego. Podczas zimy na przełomie lat 1867-1868 Fiodora Michajłowicza - jak zaświadcza

713

jego żona Anna - często bolały zęby Był on przekonany, że boi spowodowany jest tym, że mieszkają w pobliżu Jeziora Genewskiego Przeczytał podobno gdzieś, że jego wody mają wpływ na tę dolegliwość

12 Kolejny szczegół świadczący o tym, że Timofiej Granowski był prototypem Snepana Wierchowińskiego Słynny XIX-wiecz-ny historyk był bowiem autorem szeregu prac o dziejach Hiszpanii t

13 Na pochodzenie nazwiska Wierchowienki wskazuje następujący zapis Dostojewskiego w notatkach do Biesom „Granowski przez całą powieść drażni się z synem o <wierchowame” „Dość wyraźnie tłumaczy to motywację postępowania młodego Wierchowienki Wśród postaci rzeczywistych stanowiących pierwowzór Piotra Wierchowienki należy wymienić Sergiusza Niecza-jewa (1847-1872) Ideologię jego zaś najlepiej określa Katechizm reiuolugomsty, którego współautorem wraz z Bakunmem był Nieczajew Pod jego zresztą nazwiskiem występuje przywódca terrorystów jeszcze w notatkach do Biesów Doszukując się literackich paranteh dla młodego Wierchowienki trzeba zwrócić uwagę, że należy on do galem typów, którym w literaturze rosyjskiej patronuje Gogolowski Chlestakow

14 Badinguet - nazwisko murarza, który użyczył ubrania Napoleonowi III, aby ułatwić mu ucieczkę z twierdzy Ham, gdzie był więziony przez rząd króla Ludwika Filipa Tu użyte w znaczeniu postać fikcyjna, człowiek grający cudzą rolę

ROZDZIAŁ TRZECI

1 Złośliwa ocena twórczości Turgieniewa, który posłużył Dosto-jewskiemu jako model przy tworzeniu postaci Karmazinowa I to nazwisko ma swoją etymologię chodziło o scharakteryzowanie za jego pośrednictwem pisarza, który chciał być „purpuratorem”, autentycznym „karmazynem” wśród innych literatów

2 Mowa o epizodzie z życia Turgieniewa O pożarze, który wybuchł na parowcu „Mikołaj I”, gdy Turgieniew płynął do Niemiec, dość głośno było w swoim czasie Opowiadał o tym zresztą i sam autor Ojców i dzieci Zapewne posłużyło to Dostojewskiemu do napisania komentowanego fragmentu Turgieniew pod koniec życia podyktował Paulinie Viardot wspomnienie o tym wypadku

Ukazało się ono w zbiorowym wydaniu dzieł Turgeniewa w 1883 roku pod tytułem Pożar na morzu

1 Dawid Teniers, młodszy (1610-1690), malarz flamandzki przedstawiający sceny rodzajowe W pierwszej połowie XIX wieku

714

krytyka wiązała z jego nazwiskiem swoiście pojętą ludową rodzajo-wość Badacz Dostojewskiego, J Nikolski, wysunął hipotezę, że portret Goethego i obraz Teniersa w salonie Stiepana Wierchowińskiego znalazły się nieprzypadkowo Jego zdaniem stanowi to reperkusję lektury artykułu Turgeniewa o Fauście Goethego, gdzie autor porównuje scenę z tego poematu z obrazem Teniersa

4 Istnieją dwie hipotezy na temat pochodzenia nazwiska powieściowego inżyniera Wedle pierwszą Dostojewski przeniósł do Biesów nazwisko wydawcy Kieszonkowego słownika wyrazów obcych Pietraszewskiego, wedle drugiej - nadał swemu bohaterowi świeckie nazwisko Tichona Zadonskiego pragnąc podkreślić antyte-tyczność ich postaw

5 Aluzja do wypowiedzi Gogola w Wybranych fragmentach z korespondencji z przyjaciółmi na temat znajomości Rosji („znam Rosję jak pięć moich palców”)

- W wyłożonej przez Liputina teorii Kiryłowa „o powszechnym zniszczeniu w imię pięknych celów ostatecznych” znalazły odbicie nie tylko przykazania Katechizmu rewolucjonisty opracowanego przez Bakumna wraz z Nieczajewem, lecz również końcowe tezy przemówienia Jacqueldarda na kongresie Ligi Pokoju i Wolności obradującym w 1867 roku w Genewie
- 7 Por poglądy niemieckiego publicysty K Heinzena wyłożone przez Hercena w Rzeczach minionych i rozmyślaniach (rozdz XXXVII), że „wystarczy wymordować dwa miliony ludzi na kuli ziemskiej, a rewolucja pójdzie jak po masie”

„Mowa o kongresie Ligi Pokoju i Wolności zwołanym do Genewy w 1867 roku Swoje wrażenie z jednego z posiedzeń zrelacjonował Dostojewski w liście do Sofii Iwanowny z dnia 11 października 1867 roku „Zaczęto od tego - pisał - że dla osiągnięcia pokoju na ziemi należy wytrzebić wiarę chrześcijańską Wielkie państwa zlikwidować i zastąpić je małymi () Ogień i miecz, a po tym, jak wszystko zostanie zniszczone, to wówczas, ich zdaniem, zapanuje pokój „

9 Piec nowel, z których składa się Bohater naszych czasów Michała Lermontowa, łączy w całość osoba głównego bohatera Gngonja Aleksandrowicza Pieczonna

10 Nianię Lizy obdarzył Dostojewski imieniem piastunki ze swego domu rodzicielskiego

11 Pisarz przypisał Kiryłowowi swe własne upodobanie Anna Dostojewska, opatrując egzemplarz Biesów komentarzem, napisała na marginesie tej strony, że Fiodor Michajłowicz bardzo lubił mocną herbatę, zwłaszcza pił jej dużo w nocy, gdy pracował, a samowar z wrzątkiem pojawiał się u nich w domu na stole już w południe

12 Gra słów „Koroboczka” i „korobka” Nastazja Pietrowna Koro-

715

boczka, wdowa po sekretarzu kolegialnym, właścicielka wsi, to jedna z postaci występujących w Martwych duszach Gogola. Korobka - pudełko słomiane na krupy (por. J. Kartowicz, A. Kryński, W. Niedźwiecki, Słownik języka polskiego, tom II, str. 477).

ROZDZIAŁ CZWARTY

Niewątpliwa aluzja do nazwy Rosyjskiego Towarzystwa Miłośników Zwierząt istniejącego w Petersburgu od 1865 roku. Nie ulega wątpliwości, że w wystąpieniu Lebiadkina pobrzmiewają też echa dyskusji prasowej na temat okrucieństwa wobec zwierząt, jaka toczyła się w gazetach

petersburskich w 1847 roku. Jedną z postaci Biesów nie mających rzeczywistych prototypów, choć będącą wyrazicielem przerażającego w swej wymowie programu społecznego stanowiącego syntezę współczesnych Dostojewskiemu utopii, które pisarz - pragnąc je zdyskredytować - sprowadził do absurdu.

Por. notatniki do Zbrodni i kary, gdzie natrafiamy na zdanie: „Nihilizm to lokajstwo myśli” (Polnoje sobranije soczinienij, tom VII, str. 202).

Fragment pieśni ludowej, której autorką wedle podania ma być Jewdokija Fiodorowna Łopuchina, pierwsza żona Piotra I, z jego woli umieszczona w monasterze.

Pierwszy wers pochodzi z wiersza Afanasija Feta Wieść radosną tobie niosę (Ja przyszedł k tobie s priwietom..., 1843). Latami głodowymi nazywano te lata, w których na skutek nieurodzaju w niektórych guberniach ludzie marli z głodu. Klęska głodowa wystąpiła w latach 1867 i 1868. O jednym z nich mowa jest w powieści.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Aleksy Jermołow (1772-1861), generał artylerii i dyplomata. Dowodził specjalnym Korpusem Gruzjińskim będąc jednocześnie ambasadorem w Persji. W 1818 roku pod jego dowództwem rozpoczęto kampanię mającą na celu ostateczny podbój Kaukazu i przyłączenie go do Rosji. Do 1827 roku był głównodowodzącym wojsk rosyjskich na Kaukazie.

Zdeformowany cytat z wiersza Nestora Kukolnika Niepewność (Somnienije), do którego muzykę napisał Michał Glinka. W oryginale: Zaśnij, moje biedne serce! Dostojewski użył tu nazwiska Monbars zapewne nieprzypadkowo.

716

Należało ono bowiem do słynnego rozbójnika morskiego (ur. 1645), przywódcy flibustierów, w literaturze - bohatera wielu dramatów.

4 W miejscu zabaw dla dzieci w Ogrodzie Letnim w maju 1855 roku został odsłonięty pomnik Kry Iowa dłuta P. Klód ta. Miejsce postawienia pomnika wywoływało u współczesnych Dostojewskiemu najrozmaitsze domysły i stało się okazją do anegdot i satyrycznych wierszyków.

5 Wierszyk Lebiadkina utrzymany w duchu utworów Koźmy Prut-kowa stanowi parodię wiersza Bajka fantastyczna (Fantastyczeskaja skazka) opublikowanego przez I. Miadewa w 1834 roku.

6 Denis Dawydow (1784-1839), poeta-żołnierz uprawiający tzw. lirykę husarską.. Adiutant księcia Bagrationa, uczestnik wielu bitew.

7 Mowa o Michale Łuninie (1787-1815), adiutancie w. ks. Konstantego w Warszawie, po powstaniu 1825 roku skazanego na dwadzieścia lat katorgi, znanego ze swej nieustraszonej odwagi i skłonności do ryzyka.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1 Wyrażna aluzja mająca sugerować pracę w tajnej policji.

2 Słowa Stiepana Wierchowieńskiego o Bazarowie wyrażają stosunek ludzi z kręgu czasopisma „Sowriemiennik” do tej postaci z powieści Turgieniewa Ojcowie i dzieci. Postać ta wyrażała idee ówczesnej młodzieży rewolucyjno-demokratycznej, czyli tak zwanych nihi-listów. Urosła do rangi symbolu, skrótu myślowego.

3 Nozdriew, jedna z postaci Martwych dusz Gogola.

4 Aluzja do słów Hercena w Rzeczach minionych i rozmyślaniach na temat rąbania głów i rąbania idei.

3 Za pośrednictwem słów Stiepana Wierchowieńskiego Dostojewski włącza się do polemiki między Hercenem i pisarzem W. Pieczo-rinem. Polemika dotyczyła istoty cywilizacji współczesnej. Pieczo-rin stał na stanowisku, że społeczeństwo mieszczańskie i jego ustrój oznacza tyranie cywilizacji materialnej i upadek życia duchowego, wobec czego ludzkość powinna odwrócić się od nauki ku religii. Hercen natomiast dowodził, że nauka sprzyja rozwojowi ludzkości, i że choć wynalazki i technika stają na usługach społeczeństwa burżuazyjnego, w przyszłości dopomogą w obaleniu istniejącego porządku społecznego. Cytat o „turkocie wozów podwożących chleb dla ludzkości” spotkać można również w IV rozdziale III części Idioty.

717

Sekta skopców założona została w XVIII wieku przez Konrada Seliwanowa podającego się zarówno za Piotra III jak i za Chrystusa. Podstawą nauki moralnej skopców jest dualizm uznający ducha za pierwiastek dobry, a ciało za pierwiastek zły, który należy niszczyć wszelkimi sposobami. Prowadziło to do okrutnego okaleczania się. Zniszczenie organów płciowych zarówno u mężczyzn jak i kobiet traktowano bowiem jako wstępny etap przewycięzania własnego ciała.

Komentatorzy Dostojewskiego przypuszczają, że zdanie to stanowi parafrazę następujących sentencji Marka Aureliusza „Odejść od ludzi, jeżeli bogowie istnieją, niczym nie jest strasznym, me wydaliby cię bowiem na pastwę zła. Jeżeli zaś ich nie ma lub jeżeli ich ludzie me obchodzą, to po coż mi życie w świecie pozbawionym bogów lub pozbawionym opatrności?”

1 Powieściowa „fabryka Szpigulinów” miała odpowiednik dziewiętnastowiecznej twerskiej rzeczywistości. Na przedmieściu Tweru istniała bowiem założona w 1854 roku fabryka wyrobów tekstylnych, której właścicielem był Kaulm.

Mowa tu o I Międzynarodówce, czyli Międzynarodowym Towarzystwie Robotników powstałym w 1864 roku w Londynie z inicjatywy Karola Marksa. Do organizacji tej weszły między innymi sekcje założone przez Bakunina w Bernie Międzynarodowego Związku Socjalistycznej Demokracji.

Wedle świadectwa Anny Dostojewskiej w Petersburgu mieszkał krawiec o nazwisku Szarmer, u którego autor Biesów szył sobie ubrania. Z jego nazwiskiem spotkać się można również w Zbrodni i karze. Najwidoczniej był prawdziwym mistrzem w swoim zawodzie, skoro pisarzowi utrwaliło się jego nazwisko w pamięci. Ludwik de Beverwaard Heeckeren (1791-1884), holenderski dyplomata. Od 1833 roku był ambasadorem w Petersburgu. Usynowił Jerzego Karola d'Anthesa, Francuza, który osiedlił się w Rosji i służył w gwardii w stopniu porucznika, a wyzwany przez Puszkina zabił poetę w pojedynku. Tu mowa o liście Puszkina do barona Heeckerena z dnia 26 stycznia 1837 roku. Puszkina zarzucał w nim dyplomacie w niezwykle ostrych słowach, że kieruje intrygą przeciwko niemu i patronuje zalotom d'Anthesa do jego żony Natalii.

Por słowa Apokalipsy św. Jana „i przysiągł na Żyjącego na wieki wieków, który stworzył niebo i to, co w nim jest, i ziemię, i to, co w niej jest, i morze, i to, co w nim jest, że już me będzie zwlekana”, (Ap 10, 6)

Przedstawił tutaj Dostojewski własne poglądy na temat chrześcijaństwa zachodniego i dogmatu o nieomyślności papieża ogłoszonego na Soborze Watykańskim I w 1870 roku.

718

14 Ustami Szatowa zaprezentowany został przez Dostojewskiego w nieco tylko zmodyfikowanej formie jego własny program religijny, który wyłożył w liście pisanym w lutym 1854 roku do N. Fon-wizinej. Swej adresatce wyznaje Dostojewski „Należy wierzyć, że nie ma niczego

piękniejszego, głębszego, miłszego, mądrzejszego, odważniejszego i doskonalszego od Chrystusa. Więcej, jeśli mi ktoś udowodni, że Chrystus jest poza prawdą i rzeczywiście okazałoby się, że prawda jest poza Chrystusem, to wolałbym pozostać z Chrystusem niż z prawdą „

15 Apokalipsa 22, 1

16 Dostojewski jako zagorzały orędownik prawosławia widział w zachodnim chrześcijaństwie wyłącznie złe strony, wyszukując dlań najzłoshwsze porównania

17 Bohater Martwych dusz

18 Stiepan Razin (ok 1630-1671), Kozak doński, przywódca biedoty chłopskiej w powstaniu z lat 1670-1671. Stracony w Moskwie. Obfitujący w romantyczne przygody żywot Razina i wzniosłe ideały buntownika przyczyniły się do tego, że jego postać należy do najpopularniejszych w literaturze rosyjskiej

19 Donatien Alphonse Francois de Sade (1740-1814), pisarz francuski zamieszany w skandale obyczajowe i przestępstwa kryminalne. Od jego nazwiska pochodzi termin sadyzm

20 Prototypem powieściowego Tichona jest św. Tichon Zadonski (1724-1783), teolog, który w swej nauce skupił się przede wszystkim na Chrystusie jako wielkim pośredniku między Bogiem a człowiekiem. Jego teologia była chrystocentryczna i podkreślała mocno, że zagadka losu ludzkiego kryje się właśnie w tajemnicy krzyża. Postać tego prawosławnego myśliciela odegrała znaczną rolę w twórczości Dostojewskiego. Pisarz zainteresował się Tichonem Zadonskim zapewne jeszcze w latach sześćdziesiątych XIX wieku, gdy wyszło drukiem piętnastotomowe wydanie świętego biskupa woroneskiego. Zamierzając napisać Żywot wielkiego grzesznika, pragnął Dostojewski wprowadzić do utworu świętego jako przeciwstawienie swego bohatera. Ostatecznie swój zamiysł zrealizował w Biesach, wprowadzając na ich stronie Tichona. Przemyślenia Tichona Zadonskiego znajdują również odbicie w wypowiedziach starca Zosimy w Braciach Karamazow

Fakt, że Tichon Zadonski przez pewien czas mieszkał w Twerze, pozwala wysnuć wniosek, że właśnie to miasto stało się prototypem miasta powieściowego Tichon. W życiu świeckim nosił nazwisko Kiriłłow. Być może nieprzypadkowo tym właśnie nazwiskiem obdarzył Dostojewski swego bohatera, programowego ateistę, widząc w nim swoistą inwersję postaci świętego

21 Nazwa monasteru jest, oczywiście, fikcyjna. W Twerze, którego

719

topografia odpowiada częściowo topografii miasta, w jakim rozgrywa się akcja Biesów (patrz przyp. 1, część pierwsza, rozdział pierwszy), wśród tamtejszych jedenastu monasterów znajdował się monaster Spaso-Jefimijewski, a więc o nazwie zbliżonej do nazwy monasteru powieściowego. W Rosji istniały ponadto trzy męskie monastery pod wezwaniem Matki Boskiej. W jednym z nich, usytuowanym na lewym brzegu Donu, w Zadońsku (gubernia woroneska) osiedlił się w 1769 roku ze względu na zły stan zdrowia były archimandryta twerskiego monasteru, formacji dla młodych mnichów Tichon, który później przeszedł do historii pod przydomkiem Zadońskiego (patrz przyp. 20 w niniejszym rozdziale). Powieściowy monaster otrzymał więc swą nazwę z połączenia dwóch nazw. Dostojewski pragnąc zachować maksymalny autentyzm w nazewnictwie, nie chciał być zapewne równocześnie posądzony o to, że przenosi akcję swej powieści w mury jakiegoś istniejącego w rzeczywistości klasztoru prawosławnego.

ROZDZIAŁ DRUGI

1 Prototypem Fiedki Katorżnego był zapewne współwięzień Dostojewskiego z katorgi - Kulików (patrz Wspomnienia z domu umarłych). W usta Fiedki włożył też Dostojewski wiele powiedzeń

zasłyszanych od katorżników i zapisanych przez siebie w notatniku.

2 Częściowa parafraza dwóch wersów z wiersza Piotra Wiaziemskiego Pamięci malarza Orłowskiego (Pamięci żywopisca Orłowsko-go). Aleksander Orłowski (1777-1832), malarz i wybitny rysownik polski mieszkający od 1802 roku w Petersburgu.

3 W swoich Wybranych fragmentach z korespondencji z przyjaciółmi (Izbrannyje miesta iz pieriepiski s družjami) Gogol wspominał o książce, którą miał zamiar napisać. Pragnął dać jej tytuł Pożegnalna opowieść (Proszczalnaja powiesi1). Dostojewski w tekście Biesów niedokładnie cytuje tytuł zamierzonej przez Gogola książki.

4 Zniekształcony cytat z ody Dierżawina Bóg (1784). W strofie dziesiątej czytamy: „Ja car” - ja rab, ja czerw - ja Bóg (Jam król - jam rab, jam czerw - jam Bóg).

- Grigorij Otriepjew, mnich rosyjski, który uzurpował sobie miano Dymitra Samozwańca.

720

ROZDZIAŁ TRZECI

1 Brykowo, miejsce pojedynku Stawrogina z Gaganowem, zostało nazwane przez Dostojewskiego tak samo, jak nazywał się zagajnik brzozy w pobliżu majątku rodziców pisarza.

2 Początkowo (to znaczy od czasów najazdów Tatarów) kary cielesne stosowano na Rusi wobec wszystkich warstw społecznych. Nikt nie był spod nich wyłączony, ani osoby duchowne, ani ludzie na najwyższych stanowiskach, bojarowie. Dopiero za czasów panowania Katarzyny II zrezygnowano ze stosowania ich wobec szlachty, znakomitszych obywateli i kupców I i II gildii. Za panowania Aleksandra I wyłączono spod kar cielesnych również duchowieństwo.

3 W scenie pojedynku Stawrogina z Gaganowem wykorzystał Dostojewski szczegóły pojedynku dekabrysty Michała Siergiejewicza Łunina z Aleksandrem Fiodorowiczem Orłowem. Oto jak przedstawia pamiętnikarz ów pojedynek: „Aleksander Fiodorowicz Orłow spudłował. Michał Siergiejewicz wystrzelił w powietrze, namawiając przy tym Aleksandra Fiodorowicza do jeszcze jednej próby i wskazując, gdzie ma celować, to niżej, to znów wyżej. Druga kula przestrzeliła Michałowi Siergiejewiczowi kapelusz. On jednak znów wystrzelił w powietrze i nie przestając naigrywać

się z przeciwka, ręczył za pełne powodzenie trzeciego strzału.

„W tym momencie Michał Fiodorowicz, sekundant swego brata, namówił go, aby zaprzestał nierównej walki z człowiekiem bezbronnym i nie obciążał sumienia zabójstwem.”

ROZDZIAŁ CZWARTY

1 Wśród reform przeprowadzonych za panowania Aleksandra II opinię najbardziej konsekwentnej i najdalej posuniętej w swych skutkach zmiany zyskała sobie ustawa o sądownictwie (20X1 1864 r.). Likwidowała ona dawne sądownictwo stanowe w sposób zbiurokratyzowany rozbudowane, wprowadzając „nowe sądy”, czyli jednolite instytucje, które miały odtąd rozpatrywać w sposób jednakowy sprawy osób należących do różnych stanów i warstw społecznych.

2 Madonna Sykstyńska Rafaela należała do ulubionych obrazów Dostojewskiego. Anna Dostojewska w swych Wspomnieniach pisze, że uważała ją „za szczytowe malarskie osiągnięcie”. Fotografia obrazu wisiała nad kanapą stanowiącą posłanie Dostojewskiego.

1 Sprawą równouprawnienia kobiet rosyjskich Dostojewski bardzo

721

się interesował. W emancypacji kobiet dopatrywał się - zdaniem badacza radzieckiego Walerego Kirpotina - odnowy nieszczęsnych i poniżonych istot ludzkich.

Powieść *Co robić?* pisał Mikołaj Czernyszewski (1828-1889) w twierdzy Pietropawłowskiej, gdzie przebywał od czerwca 1862 roku przez dwa lata. Wydana w 1863 roku szybko zyskała sobie renomę zbeletryzowanego programu polityczno-społecznego rosyjskich rewolucyjnych demokratów. Dostojewski był ideowym przeciwnikiem Czernyszewskiego i nie raz polemizował z jego poglądami.

Dostojewski ma tutaj na myśli Niemców, którzy osiedlili się w Rosji i stanowili istotnie znaczny odsetek pracowników administracji.

Tytuł opery komicznej z muzyką Aubera do libretta Scribea (1830).

Zagadnienie wzmocnienia władzy gubernatorskiej nurtowało społeczeństwo rosyjskie w latach 1860-1880. Szeroko dyskutowano je w prasie. Należało ono do „obowiązkowych” tematów spotkań towarzyskich i zebrań.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Michał Sałtykow-Szczedrin (1826-1889) przedstawił w swojej powieści *Dzieje pewnego miasta* (historija odnogo goroda, 1869-1870) groteskowy obraz miasta Głupowa, odzwierciedlając za jego pośrednictwem stosunki panujące we współczesnej satyrykowi Rosji. Użycie tej nazwy miasta w *Biesach* nie jest przypadkowe. W prasie ówczesnej (zwłaszcza w „*Iskrze*”) nie raz Twer nazywano właśnie Głupowem.

Zestawienie rewolucyjnej Marsylianeki z popularną niemiecką piosenką mieszczańską *Mein lieber Augustin* w sposób dość swoisty odzwierciedla perypetie wojny francusko-pruskiej w latach 1870--1871, a więc początkowe nadzieje francuskich kręgów rządzących na zwycięstwo nad Niemcami, rozwianie się tych nadziei, bezwarunkową kapitulację Francji, triumf Niemiec. Jules Favre (1803-1880) prowadził rokowania z Bismarckiem o poddanie oblężonego Paryża; 28 stycznia 1871 roku, zgodnie z osiągniętym porozumieniem, stolica Francji została przekazana Niemcom. Francuzi przyjęli wówczas bardzo ciężkie warunki postawione przez Bismarcka. Favre negocjował również we Frankfurcie nad Menem w sprawie pokoju, który zawarty został 10 maja 1871 roku. Anna Dostojewska zaświadcza, że prototypem tej postaci był mo-

722

skiewski „nawiedzony” Iwan Jakowlewicz Korejsza (1781-1861). Informacje o nim czerpał Dostojewski z broszury I. Fryzowa *Żywot Iwana Jakowlewicza, znanego w Moskwie proroka* (*Żytije Iwana Jakowlewicza, izwiestnogo proroka w Moskwie*, 1860). Z tego też źródła pochodzi swoista leksyka „człowieka bożego” przedstawionego przez Dostojewskiego.

5 Patrz przypis 21 rozdziału pierwszego części drugiej.

6 Jan Baptysta Caepifigue (1802-1872), francuski historyk i literat, autor prac kompilacyjnych. Timofiej Granowski, który stał się prototypem Stiepana Wierchowieńskiego, w młodości interesował się tym autorem.

7 Aluzja do tezy Czernyszewskiego zawartej w *Estetycznym stosunku sztuki do rzeczywistości* (*Estieticzeskije odnoszemia iskusstwa k diej-stwitelnosti*), według której piękno dzieła sztuki stoi wyżej niż piękno natury.

8 Z wiersza Aleksandra Puszkina *Żył na świecie rycerz biedny...* Własną interpretację tego utworu daje Dostojewski w *Idiocie*.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W 1862 roku zaczęły wybuchać w Petersburgu tajemnicze pożary. Rząd przez swych agentów rozpuszczał pogłoski, że są one dziełem organizacji rewolucyjnych, gdy tymczasem stanowiły one po prostu prowokację polityczną.

Z wiersza Aleksandra Puszkina Bohater (Gieroj, 1830). Zdanie staje się zrozumiałe, gdy zna się cały fragment, z którego pochodzi cytowany wers.

Tak, sława bardzo jest kapryśna, Pędzi jak język ognia zwinny Z głowy na głowę. Jeden dziś ma Płomień nad czołem, jutro inny Wybraniec losu. Czerń bezmyślna Za nowinkami gna wesolo. Jak przystało na tę zgrają, A nam świętością już się staje Każde w płomieniach sławy czoło.

(przekład Juliana Tuwima)

1 Por. z analogiczną sceną w Młodziku.

Karol Vogt (1817-1895), przyrodnik niemiecki; Jakub Moleschot (1822-1893), Ludwik Buchner (1824-1899), fizjologowie niemieccy. Wszyscy oni reprezentowali myśl materialistyczną. Prace

723

ich były bardzo popularne w Rosji w latach siedemdziesiątych XIX wieku.

5 Hercen w Rzeczach minionych i rozmyślaniach wspomina (część VII, rozdział LXVI) młodego człowieka o wyglądzie kadeta, który zamierzał na wyspach Markizach założyć osiedle socjalistyczne. Był to, jak podają źródła rosyjskie, Paweł Bachmietiew, ziemianin z okolic Saratowa, rozporządzający na ten cel sumą trzydziestu tysięcy franków.

6 W demonstracji „robotników szpigulinowskich” dopatrzyć się należy oddźwięków pierwszego w Rosji masowego strajku pracowników petersburskiej manufaktury papierniczej. Działo się to w 1870 roku i odbiło się szerokim echem w ówczesnych gazetach rosyjskich.

7 Świetlana postać stanowi ironiczną parafrazę krążącego w ówczesnych kołach młodzieży rewolucyjnej wiersza Mikołaja Ogariowa (1813-1877) Student (Student, 1868). Wiersz ten w oddzielnej odbitce wydrukowany został w Genewie.

8 Mowa o Liście do redaktora (Pismo k redaktorowi), umieszczonym w „Kołokole” dnia 1 października 1858 roku. Mowa w nim o „ostrzeniu siekier” jako jedynym środku na odmienienie prawa pańszczyźnianego.

9 III Wydział Własnej Jego Cesarskiej Mości Kancelarii - tajna policja, która kontrolowała całość życia politycznego, społecznego i kulturalnego Rosji.

10 Prototypem Bluma był urzędnik do specjalnych poruczeń przy twerskim gubernatorze P. Baranowie - M. Lewenthal.

11 Konrad Rylejew (1795-1826), najwybitniejszy przedstawiciel ruchu dekabrystów w literaturze. Hercen natomiast uważany był w Rosji za najwybitniejszą postać w ruchu rewolucyjnym.

1- W Rzeczach minionych i rozmyślaniach Hercen często stosuje wobec Timofieja Granowskiego tytuł docenta.

13 Aluzja do przyzwyczajęń Turgieniewa. W liście do Apollona Majkowa z dnia 16/28 sierpnia 1867 roku Dostojewski pisał o Turgieniewie: „Nie lubię również jego arystokratyczno-faryzejskiego uścisku, w którym podstawia on swój policzek do całowania.”

14 Mowa o wojnie prusko-francuskiej w 1870 roku.

15 Aluzja do zarzutów, jakie młodzież radykalna stawia Turgieniewowi po ukazaniu się w 1862 roku jego powieści Ojcowie i dzieci, przede wszystkim ze względu na postać Bazarowa. Poza krytycznym stosunkiem do młodego pokolenia, w powieści wyczuwalny jest również niechętny

stosunek do słowianofilstwa, którego reprezentantem jest Kirsanow.

10 Święto Matki Boskiej Opiekuńczej obchodzone jest w Kościele prawosławnym 1 października (wedle kalendarza starego stylu).

724

Plan nieczajewowców, których poczynania w jakimś stopniu zrekonstruowane są w Biesach, rozpoczęcie działalności terrorystycznej przewidywał na wiosnę 1870 roku.

17 Hercen był przyjacielem Ogariowa. Patrz przypis 7 w niniejszym rozdziale.

18 Objasnienie znaczenia tego zwrotu daje w swych notatkach sam Dostojewski. „Nihilistami w istocie rzeczy byliśmy my, wieczni poszukiwacze idei nadrzędnej. Teraz rozmnożyły się bądź zobo-jętniałe miernoty, bądź mnichowie” - pisał w notatkach do Młodzika. I w innym miejscu: „Pan Pypin - miernota, ponura miernota.”

19 Nadwożańska pieśń rozbójnicza. W dalszej jej części jest mowa o tym, jak oblubienicy atamana przyśnił się zły sen, że po śmierci swego kochanka wtrącona zostanie do ciemnicy.

20 Pierwsze słowa znanego włoskiego porzekadła: „Se non e vero, e hen trovato” (Jeśli to nieprawda, to dobrze powiedziana.)

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Według obyczaju rosyjskiego położna podczas chrzcin obchodziła obecnych i częstowała ojca łyżką kaszy z solą i pieprzem. (Patrz W. Dal, Tołkowyj slotuar, wyd. IV, tom 2, szpalta 249). Prototyp „panny Wirgińskiej” stanowiła dziewiętnastoletnia A. De-mentiewa-Tkaczowa. Za jej pieniądze nieczajewowcy zorganizowali tajną drukarnię. W 1871 roku sądzona była za to, że wydrukowała i rozpowszechniała proklamację, która miała na celu wzbudzić ogólną sympatię społeczeństwa do uczestników rozruchów studenckich 1869 roku.

„Kołokoł” był wydawany przez Hercena i Ogariowa od 1857 roku do 1867 roku, początkowo w Londynie, a następnie w Genewie. Pismo to, zabronione w Rosji, było tam dostarczane nielegalnie i cieszyło się wielkim autorytetem i popularnością. Platon, Rousseau, Fourier są tutaj wymienieni przez Szygalewa jako twórcy utopii społecznych. W jednym z nimi szeregu postawiony został Czernyszewski, w którego powieści Co robić? występują owe „kolumny aluminiowe”. Widzi je bohaterka tej powieści? Wiera Pa-włowna, w swoim czwartym śnie, jako ozdobę kryształowego pałacu. Etienne Cabet (1788-1856), francuski propagator komunizmu utopijnego, łączył socjalizm z wizją powrotu do pierwotnego chrześcijaństwa. Odrzucał rewolucję jako środek walki politycznej. Autor powieści Podróż do Ikarii, gdzie przedstawił swą wizję społeczeństwa przyszłości. Książka ta była znana w Rosji już w latach czterdziestych XIX wieku.

725

Pierre Joseph Proudhon (1809-1865), przedstawiciel socjalizmu w wydaniu drobnomieszczańskim, jeden z twórców anarchizmu indywidualnego.

Charles Fourier (patrz przypis 7 rozdziału pierwszej części pierwszej), twórca sielankowej odmiany utopii socjalistycznej. Społeczeństwo przyszłości wolne od wyzysku-i gwałtu żyć będzie, jego zdaniem, w harmonii i szczęściu. „Szygalewszczyzna” stanowi więc głównie wyszydzenie jego idei, choć jako synteza d rebours poglądów wielu innych utopistów XIX wieku wykazuje nieprzydatność dla ludzkości i tamtych koncepcji.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W tyradzie Piotra Wierchowieńskiego Dostojewski w sposób paro-dystyczny wyklada poglądy

Sergiusza Nieczajewa przedstawione w artykule Zasadnicze podstawy przyszłego ustroju społecznego (Główny osnowy buduszczegego obszczestwiermego stroją). Zwrot „Kolumb bez Ameryki” został zapożyczony przez Dostojewskiego od Hercena. Tymi słowami został określony Bakunin w Rzeczach minionych i rozmyślaniach.

Nazwisko francuskiego filozofa, filologa i lekarza Maksymiliana Pawła Emila Littrego (1801-1871) zostało tutaj zapewne wymienione omyłkowo. Tezę głoszącą, że zbrodnia jest obłądem, spopularyzowaną w Rosji przez W. Zajcewa [w artykule Nauki przyrodnicze i jurysdykcja (Jestiestwoznanije i justicija) opublikowanym w czasopiśmie „Russkoje słowo” nr 7 z 1863 roku] wysunął nie Littré, lecz belgijski matematyk i statystyk A. Quetelet (1796-1874). Sabaoth, grecka forma wyrazu hebrajskiego tsebaoth, który w Piśmie Świętym łączy się z imieniem Boga dla zaznaczenia, że Bóg jest „Panem zastępów (hebr. tsebaoth oznacza wojsko, armię) anielskich”.

Informacje o chłystowskim panu zastępów Daniele Filippowiczu i o Iwanie Timofiejewiczu Susłowie, który ogłosił się Chrystusem (w Biesach nastąpiła kontaminacja imienia jednego sekciarza i nazwiska drugiego), czerpał Dostojewski z obficie wydawanej w jego czasach literatury na temat sekciarstwa rosyjskiego. Pisarza interesowały przyczyny, które powodowały, że dwie pokrewne sobie sekty - chłystowie i skopcy - wzięły w niewolę umysły inteligencji rosyjskiej.

726

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

1 Wedle hipotezy uczonego radzieckiego Zalmana Borszczewskiego rozdział Rewizja u Stiepana Trofimowicza stanowi nawiązanie do felietonu Michała Saltykowa-Szczediina Nasze burze i słoty (Naszy buri i niepogody, 1870). Badacz doszukuje się podobieństw psychologicznych i sytuacyjnych rozdziału i felietonu.

2 Kukolnik wspomniany jest tutaj jako autor brązowniczo załganych, ckliwo-patriotycznych tragedii. Patrz przypis 11, rozdział pierwszy, część pierwsza.

3 Patrz przypis 2 rozdziału trzeciego części drugiej.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Patrz przypis 6 rozdziału szóstego części drugiej.

- Aluzja do stłumienia rozruchów chłopskich za pomocą wojska już po wejściu w życie reformy 1861 roku. Patrz przypis 29 rozdziału pierwszego części pierwszej.

1 Nazwisko prystawa nie jest zapewne przypadkowe. Dostojewski pragnął tu wykorzystać grę słów, albowiem w jego czasach flibu-stierami nazywano rewolucjonistów. Sam Dostojewski, na przykład, pisał w Dzienniku pisarza o Garibaldi, że jest flibustierem i wichrzycielem naturalnego porządku rzeczy. Właściwe znaczenie słowa flibustier - rozbójnik morski.

Zapewne parodystyczne wykorzystanie autentycznych słów cesarza Mikołaja I wypowiedzianych do zebranego na placu Siennym w Petersburgu tłumu demonstrantów w 1831 roku.

Prawdopodobnie aluzja do jednego z obiadów wydanych na cześć Granowskiego, gdzie historyk i jego przyjaciele okcydentaliści padali w objęcia słowianofilom.

Zdanie to już raz było użyte przez Stiepana Wierchowieńskiego w rozmowie z Barbarą Stawrogin (patrz część pierwsza, rozdział drugi). Pochodzi ono z Prowincjalek Pascala.

Miasto w Niemczech, w którym przez pewien czas mieszkał Turgieniew.

W tym fragmencie poczynił Dostojewski w sposób parodystyczny aluzje do artykułu Turgieniewa

Z powodu „Ojców i dzieci” (Po powodu „Otcota i dietej”). Wyznawał w nim Turgieniew, że choć jest zagorzałym i niepoprawnym okcydentalistą, to jednak dostrzega wszystkie komiczne banalne strony tego kierunku.

1 Kolejna złośliwość Dostojewskiego pod adresem Turgieniewa. Turgieniew bowiem w swoim czasie opublikował list Niekrasowa. Poeta donosił w nim, że widział Turgieniewa we śnie przez kilka

727

nocy pod rząd. Na temat tego listu zabrał głos na łamach prasy Saltykow-Szczedrin pisząc, że „pewien literat jest już tak wielki, że inny pisarz widuje go nawet we śnie”.

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1 W zdaniu tym badacze twórczości Dostojewskiego dopatrują się aluzji do następującej wypowiedzi Hercena z rozdziału XXXVI Rzeczy minionych i rozmyślań: „W burzliwe czasy przewrotów społecznych i nawałnicy, kiedy państwa na długo wychodzą ze swych zwykłych kolein, powstaje nowe pokolenie ludzi, których można nazwać chórzystami rewolucji...” Zwrotem „burzliwe czasy” (smutnoje wriemia) Dostojewski dość często posługiwał się w swej działalności publicystycznej na określenie epoki, która poprzedzała reformy 1861 roku.

2 Aluzja do jednej z postaci występujących w Martwych duszach Gogola. Tientietnikow - to szlachetny, choć bezwolny marzyciel pogrążony w abstrakcyjnych rozmyślaniach, oderwany od rzeczywistości, usiłujący w najlepszych intencjach ulżyć doli poddanych i właśnie dlatego uważany przez nich za maniaka.

Aleksander Radiszczew (1749-1790), autor słynnej Podróży z Petersburga do Moskwy, gdzie krytykował ówczesne stosunki w Rosji, za co został skazany na karę śmierci, którą Katarzyna II zamieniła mu na zesłanie na Syberię. Po śmierci cesarzowej Paweł I zezwolił mu na powrót i osiedlenie się w okolicach Kaługi. Za Aleksandra I uzyskał całkowite przebaczenie i został mianowany członkiem komisji opracowującej kodeks praw. Wymieniając tutaj jego nazwisko Dostojewski pragnie za jego pośrednictwem określić marzycielskich doktrynerów.

3 W 1859 roku powstał w Petersburgu Fundusz Literacki (rodzaj organizacji zrzeszającej pisarzy), z którego inicjatywy zaczęto urządzać najrozmaitsze imprezy autorskie, przeważnie poranki i wieczory. Dochód z nich przeznaczony był przeważnie bądź dla ich uczestników, bądź też na cele dobroczynne. Dostojewski nie raz brał udział w tego rodzaju przedsięwzięciach (patrz Wspomnienia Anny Dostojewskiej).

4 Ostatni wers utworu Lebiadkina przywodzi na myśl sformułowanie z wiersza Konstantego Aksakowa Niechaj wszystko ginie... tPust gibniet wsio...) opublikowanego w londyńskim almanachu podziemnej rosyjskiej literatury XIX wieku wydanym w 1861 roku. Z tego samego almanachu pochodzi wiersz W. Pieczorina Triumf

728

śmierci (Torzestteo smierti) wykorzystany przez Dostojewskiego pod względem treści do zaprezentowania zawartości poematu Stiepana Wierchowieńskiego (por. przyp. 8 rozdziału pierwszego części pierwszej).

5 Taki głos* wedle świadectwa pamiętnikarzy, miał właśnie Turgieniew.

6 O swoim szkicu Dosyć (Dowolna) pisał Turgieniew w jednym z listów, że zawarte w nim były

przeżycia i wrażenia do tego stopnia osobiste, iż nie należało ich publikować. Turgieniew również żałował, że podziela się nimi z publicznością. Musiał wypowiadać ten sąd wcześniej publicznie, skoro Dostojewski wykorzystał go tworząc satyryczny obraz osobowości autora Ojców i dzieci w postaci Karmazinowa.

7 Pożegnanie z czytelnikami, którym jak klamrą spina swój utwór Karmazinow, stanowi parodystyczne przetworzenie początku i zakończenia artykułu Turgieniewa Z powodu „Ojców i dzieci” (Po powodu „Otcow i dietiej”). Pod względem stylu i kompozycji Mercy przywodzi na myśl opowiadanie Widma (Prizraki), niektóre zaś jego epizody, jak na przykład przeprawa przez Wołgę czy odwiedziny pustelnika, stanowią odpowiednio przetworzone cytaty z tekstu Dosyc (Dowolna).

8 Pompejusz Wielki (106-48 p.n.e.), wódz rzymski, rzecznik Sulli. Zdobywca Pontu i Syrii. Po rozpadzie I Triumwiratu i wojnie z Cezarem poniósł klęskę pod Farsalos.

Kasjusz (85-42 p.n.e.), jeden z uczestników spisku przeciw Cezarowi.

8 Wymieniając nazwisko Glucka i wspominając o piszącej rusałce Dostojewski nawiązuje aluzyjnie do osoby Pauliny Yiardot (1821-1910), znakomitej śpiewaczki pochodzącej ze słynnej hiszpańskiej rodziny śpiewaków Garcia. Yiardot odniosła bowiem wielki sukces występując w operze Glucka Orfeusz i Eurydyka. Yiardot była wielką miłością Turgieniewa.

10 Nazwisko polskiego kompozytora padło nieprzypadkowo w tekście parodii utworu Turgieniewa. Paulina Yiardot była bowiem autorką kilku aranżacji na głos do muzyki Chopina.

11 Ankus Marcjusz, legendarny czwarty cesarz Rzymu (ok. 640-616 p.n.e.).

12 Dostojewski posłużył się tutaj słowami z wezwania do utrudzonych z Ewangelii według św. Mateusza („Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię”, 11,28).

13 Aluzja do wieloletniego pobytu Turgieniewa w Baden-Baden,

skąd w 1870 roku przeniósł się do Paryża. 11 Mowa o wierzeniu, że „ziemia stoi na osiemdziesięciu wielorybach

729

mniejszych i trzech wielorybach wielkich”. Zdanie to znajduje się w zabytku staroruskiego piśmiennictwa Rozmowie jerozolimskiej. Jako opinia o budowie świata szeroko rozpowszechniona była wśród chłopstwa.

15 Patrz przypis 14 rozdziału pierwszego części pierwszej.

16 W ten sposób „esteta” Stiepan Wierchowienieński polemizuje z „użytecznymi”.

17 Prototypem „trzeciego mówcy” był liberalizujący profesor historii Rosji i historii sztuk uniwersytetu petersburskiego, jeden z organizatorów szkół niedzielnych, Platon Pawłow (1823-1895). Na jednym z zebrań Towarzystwa pomocy dla cierpiących nędzę literatów i uczonych Pawłow wystąpił z przemówieniem oskarżającym epokę raikotajowską. Agent III Wydziału obecny na zebraniu doniósł, że mówił w szczególnym uniesieniu, niemal z maniackalnym zapałem, podnosząc do góry rękę i od czasu do czasu grożąc wskazującym palcem.

18 Aluzja do tego, że w epoce mikołajowskiej wielu pisarzy pracowało w cenzurze (O. Sienkowski, S. Aksakow, P. Wiaziemski, F. Tiut-czew i inni). W 1855 roku cenzorem został Iwan Gonczarow.

19 Mikołaj I zaprowadził na moskiewskim uniwersytecie dyscyplinę wojskową: studenci chodzili w mundurach i nosili kordzki.

20 Kara chłosty należała do najpowszechniejszych kar w okresie panowania Mikołaja I.

21 Mowa o soborze pod wezwaniem świętej Sofii (Mądrości Bożej) wzniesionym w 1039 roku oraz o Pomniku Tysiąclecia Rosji (w kształcie ogromnego dzwonu zakończonego kulą) odsłoniętym w 1862 roku.

ROZDZIAŁ DRUGI

1 „Głos” („Gołos”) - patrz przypis 4 rozdziału drugiego części pierwszej. „Głos” ukazywał się w wyjątkowo wysokim jak na owe czasy nakładzie.

„Gazeta Gieldowa” („Birżewyje wiadomości”) również należała do najpopularniejszych w Petersburgu. Wychodziła od 1861 roku do 1879 roku.

2 Radzieccy uczeni ustalili, że powieściowy „kadryl literacki” stanowi karykaturę podobnego wydarzenia, które odbyło się w rzeczywistości. Tego rodzaju „literacki bal kostiumowy” zorganizowano bowiem w lutym 1869 roku w salach moskiewskiej Resursy Szlacheckiej czyniąc za pośrednictwem masek aluzje do różnych tendencji w moskiewskiej i petersburskiej prasie. Zabawa polegała na tym, że od czasu do czasu takty kadryla orkiestra zamieniała

730

taktami innego tańca. Ci uczestnicy, którzy w porę nie zdążyli zmienić kroku, otrzymywali od specjalnego jury ostrzeżenie. Po trzecim ostrzeżeniu byli wyprowadzani z sali, co było równoznaczne bądź z przykręceniem na pewien czas działalności gazety, którą reprezentowali, bądź też z jej zamknięciem.

W opisanym przez Dostojewskiego „kadrylu literackim” występują kolejno trzy czasopisma reprezentujące różne kierunki ówczesnej publicystyki rosyjskiej.

Mowa, oczywiście, o „Głosie” będącym organem umiarkowanych liberałów. Patrz również przypis 1 niniejszego rozdziału oraz przypis 4 rozdziału drugiego części pierwszej.

„Uczciwa myśl rosyjska” symbolizowała czasopismo „Sprawa” („Dielo”) wychodzące w Petersburgu w latach 1866-1888. Kajdany miały oznaczać, że miesięcznik ten stanowiący organ radykalnych demokratów podlegał, w odróżnieniu od innych gazet, ostrej cenzurze prewencyjnej.

Mowa o „Wiadomościach moskiewskich” („Moskowskije wie-domosti”) wydawanych przez Michała Kalkowa (1818-1887), który za pośrednictwem swoich czasopism (był jeszcze redaktorem miesięcznika „Russkij wiestnik”, gdzie w odcinkach drukowane były właśnie Biay) reprezentował skrajnie nacjonalistyczne poglądy i radykalne rozwiązania.

Pożar Zarzecza przywodzi na myśl słynne pożary petersburskie, które policja w jawnie prowokacyjnych celach starała się przypisać rewolucyjnie nastawionym studentom, aby w ten sposób nastawić wobec nich wrogo opinię publiczną. Pożary te wybuchały w 1862 r. Koroboczka - postać z Martwych dusz. Patrz przypis 12 do rozdziału trzeciego części pierwszej.

Zapewne jest to aluzja do opinii o Bielińskim, którego Dostojewski nie darzył sympatią, zamieszczonej w „Moskwitianinie”, jako „człowieku niebezpiecznym, pragnącym zniszczenia, cieszącym się na widok pożaru” (patrz Hercen, Rzeczy minione i rozmyślania, część czwarta, rozdział XXX, Nie nasi).

ROZDZIAŁ TRZECI

Cytat pochodzi z aktu III, sceny dwudziestej drugiej Mądremu biada Aleksandra Gribojedowa (przekład Juliana Tuwima). Pająk jest w twórczości Dostojewskiego symbolem oznaczającym lubieżność. We Wspomnieniach z domu umarłych okrutnego i rozpustnego człowieka porównuje

Dostojewski właśnie do pająka. Pająk towarzyszy lubieżnym myślom Stawrogina w tragicznej chwili samobójstwa dziewczynki (patrz rozdział U Tichona).

731

Głos ludu to głos Boga. Powiedzenie pochodzące z poematu Hezjoda *Prace i dmę*. Hezjod (VIII/VII w. p.n.e.), poeta grecki z Beocji, twórca eposu: dydaktycznego (*Prace i dnie*, o pracy na roli), ko-smogonicznego (*Teogonia*, o powstaniu świata i bogów), genealogicznego (*Katalog kobiet*, o matkach herosów greckich). Tytuł powieści Aleksandra Drużynina (1824-1864) napisanej pod wyraźnym wpływem twórczości George Sand. Ogłoszona ona została w 1847 roku. W powieści jest mowa o tym, jak wspaniałomyślny mąż, dowiedziawszy się, że żona go zdradziła, godzi się na rozwód, by umożliwić jej związek z ukochanym. Czyni tak dlatego, że kocha swoją żonę i pragnie, aby była szczęśliwa. Ze względu na temat (emancypacja kobiet w sferze uczuciowej) utwór ten był bardzo popularny w środowiskach radykalnych. Tu wspomniany został w celu podkreślenia moralnego nihilizmu Piotra Wierc ho wicńskiego. Informacje o zabójstwach i grabieżach zaczęły się pojawiać w prasie (m.in. i w „Głosie”) z chwilą wprowadzenia w Rosji otwartych rozpraw sądowych.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zdanie to ma odpowiednik w rzeczywistości. W jednej z gazet, na wiosnę 1872 roku, Dostojewski przeczytał o procesie szesnastoletnich zabójców (M. Połozowa i I. Edelberga), których sąd uniewinnił. W notatkach do *Biesów* szkicując postać Erkla Dostojewski pisze, że ma być to ktoś „w rodzaju Połozowa”. Z chwilą pojawienia się książki Karola Darwina *Powstawanie gatunków drogą naturalnej ewolucji* albo *zachowanie najlepszych ras w walce o byt* (1859), ostatnie słowa tego tytułu stały się terminem obiegowym.

Nie udało się ustalić źródła, z którego zaczerpnięta została opowieść Fiedki Katorżnego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ironiczna aluzja do zakładów spółdzielczych przedstawionych przez Czernyszewskiego w powieści *Co robić?* Po ukazaniu się bowiem tej książki w 1863 roku pojawił się cały szereg tego rodzaju przedsięwzięć.

Anna Dostojewska w swych komentarzach czynionych na marginesie *Biesów* twierdzi, że pisarz przedstawiając stan duchowy Szatowa wzorował się na własnych przeżyciach z okresu przyścia na świat ich pierworodnej córki Soni.

732

W opisie ataku epilepsji Dostojewski posłużył się odczuciami, które przeżywał sam podczas napadów tej choroby. Por. *Ksifga* rodzaju 1,1-30.

„Przy zmartwychwstaniu bowiem nie będą się ani żenić, ani za mąż wychodzić, tęcz będą jak aniołowie Boży w niebie” (Mat. 22, 30). Słowom tym Dostojewski przypisywał szczególnie znaczenie, jako określającym przyszłe życie człowieka. W notatkach z lat 1863-1864 znajduje się następujący zapis: „Znamy tylko jedną cechę przyszłej natury nowego jestestwa, które, wątpię, czy będzie można nazwać człowiekiem (przecież trudno nam wyobrazić sobie, w jaki byt się przeistoczymy). Tę cechę przepowiedział i ujawnił Chrystus, wielki i jedyny ideał całej ludzkości, ukazany nam według praw naszej historii w obleczeniu cielesnym. Oto ta cecha: nie będą się ani żenić, ani za mąż wychodzić, lecz będą jak aniołowie Boży. Cecha bardzo charakterystyczna. tAni żenić, ani za mąż wychodzić* - nie będzie to bowiem konieczne. Rozwój, osiągnięcie celu za pośrednictwem kontynuacji pokoleń nie będzie już potrzebny. Poślubianie kobiety i wychodzenie

za mąż jest jak gdyby największym zaprzeczeniem humanizmu, zupełna izolacja pary od wszystkich (niewiele pozostaje dla innych). Rodzina jest prawem natury, ale jednak niemoralnym, egoistycznym. Rodzina to najwspanialsza świątynia na ziemi, albowiem za jej pośrednictwem człowiek osiąga poprzez rozwój (to znaczy kontynuację pokoleń) - cel. Równocześnie jednak człowiek wedle praw przyrody, w imię doskonałego ideału swojego celu powinien nieprzerwanie odrzucać życie rodzinne (Dwoistość).”

Powyższy fragment zdaje się być najlepszym komentarzem słów Kiryłowa.

Osobowość i religia Mahometa (ok. 570-632) interesowały Do-stojewskiego przez całe życie. W latach pięćdziesiątych w Semi-palatyńsku studiował Koran, który zresztą zawsze znajdował się w jego bibliotece. Samego Mahometa uważał Dostojewski za jedną z tych postaci historycznych, które nie cofały się przed przelewem krwi w imię wytyczonych sobie celów. Twórcą islamu interesował się jeszcze ze względu na jego „świętą chorobę”, czyli po prostu epilepsję, na którą cierpiał również on sam. Epizod z dzbanem potrąconym przez anioła i podniesionym przez Mahometa cytowany jest również w *Idiocie* i *Braciach Karamazow*. W tym czasie, gdy dzban padał, Mahomet miał odbyć podróż do Jerozolimy, wstąpić do nieba i porozmawiać z Bogiem, aniołem i prorokami, zobaczyć gehennę ognistą. Wszystkiego tego dokonał w tak krótkim czasie, że zdążył jeszcze wrócić i w porę schwycić padający dzban.

733

ROZDZIAŁ SZÓSTY

1 Owo miejsce swą topografią przywodzi na myśl park Akademii Pietrowskiej w Razumowskim (dzisiaj Akademia Rolnicza im. Timiriaziewa w Moskwie).

2 Same okoliczności i szczegóły zabójstwa Szalowa przypominają autentyczne morderstwo studenta Akademii Pietrowskiej Iwana Iwanowa popełnione w 1869 roku przez jedną z piątek terrorystycznej organizacji założonej przez Sergiusza Nieczajewa (patrz przypis 13 rozdziału drugiego części pierwszej). Nosiła ona nazwę Rozprawy ludu (Narodnaja rasprawa) i po zabójstwie Iwanowa rozpadła się.

3 W. Winogradow wysunął hipotezę, że tę partię swojej powieści Dostojewski tworzył pod wpływem opowiadania Wiktora Hugo Ostatni dzień skazańca (*Le dernier jour fun condamne*, 1829).

4 Samobójstwami, które w czasach Dostojewskiego dość się rozpowszechniły, pisarz interesował się z wielu względów. Dawał temu wyraz zarówno w swej publicystyce, jak i utworach artystycznych (por. samobójstwo Swidrygajłowa w *Zbrodni i karze*).

ROZDZIAŁ SIÓDMY

1 Wedle Anny Dostojewskiej pisarz przedstawia tutaj własne odczucia.

2 Bliny należały do przysmaków Dostojewskiego.

3 W tym epizodzie Dostojewski przedstawia wieś Ustriku, w której nie raz zatrzymywał się w drodze powrotnej ze Starej Russy do Petersburga oczekując na parowiec kursujący po jeziorze Ilmień.

4 Szczegół z biografii Dostojewskiego. Pisarz lubił bowiem, gdy miał jakieś wątpliwości, rozstrzygać je za pośrednictwem Pisma Świętego, otwierając je na chybił trafił i odczytując to, co było napisane na pierwszej stronie. W ten sposób również wyproro-kował własną śmierć.

- Powyższy fragment z Apokalipsy św. Jana (3, 14-17) pierwotnie znajdował się w rozdziale V

Tichona. Gdy rozdział ten został z powieści usunięty, Dostojewski przeniósł słowa z Apokalipsy właśnie w to miejsce. Por. z funkcją, jaką pełni ten cytat w rozdziale U Tichona, gdy Stawrogin prosi archimandrytę o jego odczytanie.

734

ROZDZIAŁ ÓSMY

Na miejscu zabójstwa Iwanowa znaleziono czapkę Nieczajewa (patrz przypis 2 rozdziału szóstego części trzeciej). Aleksander Hercen, po odmowie powrotu do Rosji w 1850 roku, został pozbawiony obywatelstwa rosyjskiego, w 1851 roku otrzymał na swoją prośbę obywatelstwo kantonu fryburskiego. Uri - • jeden z kantonów w Szwajcarii.

U TICHONA

1 Patrz przypis 6 rozdziału szóstego części drugiej.

2 Patrz przypis 21 rozdziału pierwszego części drugiej.

3 Patrz przypis 20 rozdziału pierwszego części drugiej.

4 Przypuszczalnie mowa jest tutaj o wojnie krymskiej 1854-1855.

5 Wedle wydawcy radzieckiego chodzi zapewne o Opis obrony Sewastopola, pióra E. Totlebena, wydany w 1871 roku w Petersburgu.

„ Por. słowa Ewangelii: „Zaprawdę powiadam wam: kto powie tej górze: „Podnieś się i rzuć w morze*, a nie wątpi w to w duszy, lecz wierzy, że spełni się to, co mówi, tak mu się stanie” (Mk. 11,23).

7 Aluzja do wydarzenia z czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej w sposób następujący opisanego przez samego Dostojewskiego w 1863 roku: „...arcybiskup Paryża w pontyfikaliach, z krzyżem w rękę i w licznej asyście duchowieństwa udał się na plac i złożył wszem wobec oświadczenie, że dotychczas zarówno on sam, jak i towarzyszące mu osoby zniewoleni byli zgubnymi zabobonami, a teraz, gdy zapanował La Raison, uważają za swój obowiązek zdjąć szaty duchowne, odsunąć od siebie krzyże, naczynia liturgiczne, Ewangelie itp. „Czy wierzysz w Boga?” - krzyknął do arcybiskupa pewien robotnik z obnażoną szablą w rękę. iTres peu” (bardzo mało) - wyszeptał arcybiskup w nadziei, że jego odpowiedź udobrucha tłum. „A więc jesteś łotrem i okłamywałeś nas!”- krzyknął robotnik i natychmiast rozplątał szabląglowę arcybiskupowi” (Historia o. Nilusa).

8 Apokalipsa, 3, 14-17.

9 Por. ze zdaniem: „Nie to najciężej wyznać, co w nas jest zbrodnicze, ale co wstydlive i śmieszne” z Wyznań Jana Jakuba Rousseau. Badacze twierdzą, że zdanie u Dostojewskiego stanowi reperkusję tego właśnie sformułowania.

10 Chodzi zapewne o masochizm. Rousseau wyznaje, że w latach chłopięcych przeżyć erotycznych dostarczały mu klapsy nauczycielki.

735

11 Claude Lorrain, właściwe nazwisko C. Gellee (1600-1682), francuski malarz i rysownik, wybitny pejzażysta, działał głównie we Włoszech, wywarł znaczny wpływ na malarstwo XVII I-XIX wieku. Inspirację obrazu Akis i Galatea powstałego w 1657 roku i znajdującego się zarówno w czasach Dostojewskiego jak i obecnie w Galerii Drezdeńskiej, stanowiły następujące wersety XIII Księgi Przemian Owidiusza:

Znaczny wzgórek na morze w długim sterczy klinie;

Po obu jego stronach morska woda płynie,

Tu na samym wierzchołku dziki cyklop siada [...]

Ja, przy boku Acysa siedząc pod opoką [...]

(przekład Jerzego Krakowskiego)

Pejzaż Lorainowski pod względem kompozycji dzieli się na dwie części: pierwszą, rozjaśnioną ukośnymi promieniami zachodzącego słońca - tutaj dominuje zieleń i morze, które łączy się na horyzoncie z niebem, i drugą, oświetloną tylko nieznacznie, z ciemnym masywem skalnym i niemalże czarnym od jego cienia morzem. W centrum kompozycji znajduje się szalas Akisa i Galatei. Na skale, prawie zlewając się z jej ciemnym tłem, widnieje sylwetka złowieszczyego cyklopa. Przy szalasiu bawi się amorek, a nieco dalej wygrzewają się w słońcu najady. Właśnie to przydaje całości nastroju spokoju i szczęśliwości.

Obraz Lorraina wywarł na pisarzu silne wrażenie. Pisze o tym Anna Dostojewska w swoich Wspomnieniach. Do własnej, alegorycznej interpretacji malowidła (ostatnie miłosne spotkanie Akisa i Galatei stało się dlań symbolem „złotego wieku” całej ludzkości) przywiązywał dużą wagę. Gdy nie udało się ogłosić drukiem rozdziału U Tichona (patrz na ten temat w nocie wprowadzającej do przypisów), sen wywołany pejzażem Lorraina został bez większych zmian przypisany Wiersiłowowi (patrz Młodzik).

12 Patrz przypis 8 rozdziału drugiego części trzeciej.

13 Patrz przypis 9 niniejszego rozdziału.

14 „Lecz kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą we mnie, temu byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi i utopić się w głębi morza” (Mt. 17, 6).

15 Badaczom radzieckim nie udało się ustalić danych źródłowych dotyczących tego cytatu.

16 W chrześcijaństwie wschodnim epitymia oznacza rodzaj pokuty polegającej na stworzeniu penitentowi warunków, w których grzech nie może go atakować. Epitymia nie nosi charakteru kary. Nie chodzi bowiem o naprawienie skutków zła, lecz wysuszenie jego źródła.

736

ŁAGODNA

OPOWIADANIE FANTASTYCZNE

OD AUTORA

Przepraszam moich czytelników, że tym razem zamiast Dziennika w zwykłym kształcie daję im tylko opowiadanie. Ale rzeczywiście pracowałem nad tym utworem przez większą część miesiąca. W każdym razie proszę czytelników o wyrozumiałość.

A teraz - co do samego opowiadania. Dałem mu podtytuł „fantastyczne”, chociaż uważam je za jak najbardziej realne. Ale fantastyczność jest w nim istotnie - a mianowicie w samej formie opowieści, co też chciałbym zawczasu wyjaśnić.

Chodzi o to, że nie jest to opowiadanie, ani nie są to notatki. Proszę sobie wyobrazić męża, którego żona leży na stole martwa: przed kilkoma godzinami popełniła samobójstwo, rzuciwszy się z okna. Jest wzburzony i jeszcze nie zdążył zebrać myśli. Chodzi po pokojach i usiłuje zdać sobie sprawę z tego, co zaszło, „uporządkować swe myśli”. Dodajmy, że jest to zagorzały hipochondryk z gatunku tych, co sami z sobą rozmawiają. Oto właśnie mówi sam do siebie, referuje sprawę, wyjaśnia ją sobie. Mimo pozorną ciągłość tej relacji, niejednokrotnie przeczy sobie - zarówno logicznie jak uczuciowo. To usprawiedliwia siebie, to oskarża ją i wdaje się w uboczne rozważania: mamy tu i wulgarność myśli, i serca, i głębię uczucia.

Z wolna rzeczywiście wyjaśnia sobie sprawę i „porządkuje myśli”. Łańcuch wywołanych przezeń wspomnień nieodparcie przywodzi go wreszcie do prawdy; prawda nieodparcie uwzniośla jego umysł i serce. Pod koniec zmienia się

nawet sam ton opowieści - w porównaniu z chaotycznym jej początkiem. Prawda dość jasno i wyraźnie - przynajmniej dla niego samego - odsłania się przed nieszczęśliwym.

Oto temat. Ma się rozumieć, przebieg opowieści obejmuje kilka godzin - z zawieszonymi i przeskokami - i ma kształt nader za wikłany: bohater mówi sam do siebie, to znów zwraca się jak gdyby do niewidzialnego sędziego. Tak też zawsze bywa w rzeczywistości. Gdyby stenograf mógł go podsłuchać i wszystko zanotować - tekst wypadłby nieco bardziej chropowaty, surowy, aniżeli u mnie; ale, jak mi się wydaje, proces psychologiczny chyba pozostałby nie zmieniony. Otóż ta hipoteza o stenografie, który wszystko zanotował (po czym ja bym opracował to literacko), stanowi właśnie to, co w tym opowiadaniu traktuję jako element fantastyczny. Ale w sztuce coś podobnego nieraz bywało dopuszczalne. Wiktor Hugo na przykład w swym arcydziele Ostatni dzień skazańca zastosował chwyt prawie identyczny i choć nie wprowadził stenografa, pozwolił sobie na jeszcze większe nieprawdopodobieństwo, zakładając, że skazaniec może (i ma czas) kreślić notatki nie tylko w ostatnim dniu, lecz nawet w ostatniej godzinie, dosłownie w ostatniej minucie. Gdyby jednak zaniechał tej fantyzji, nie powstałby i sam utwór - najrealniejszy i najprawdziwszy ze wszystkich, jakie napisał.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

I. KIM BYŁEM JA I KIM BYŁA ONA

...O, dopóki ona tu jest - wszystko jeszcze dobrze: podchodzę i coraz spoglądam; a wyniosą ją jutro - jakże ja tu zostanę sam? Teraz leży w saloniku, na stole, zestawiono dwa stoliki do kart, a trumna będzie jutro, biała, wybita białym atłasem, a zresztą ja nie o tym... Wciąż chodzę i chodzę, żeby to sobie wytłumaczyć. Oto już tak od sześciu godzin chodzę, usiłując sobie wytłumaczyć i wciąż nie mogę skupić myśli. Rzecz w tym, że chodzę, chodzę, chodzę... To było tak: po prostu opowiem wszystko po kolei. (Porządek!) Panowie, wcale nie jestem literatem, i wy to widzicie, ale niech tam, opowiem tak, jak sam rozumiem. Stąd właśnie całe moje przerażenie, że wszystko rozumiem!

Otóż, jeżeli chcecie wiedzieć, to znaczy, jeśli zacząć od samego początku - po prostu przychodziła do mnie zastawiać różne rzeczy, aby opłacać ogłoszenia w „Głosie”: że tak a tak, guwernantka gotowa na wyjazd i na przychodzenie na lekcje do domów itd., itd. To było na samym początku i ja naturalnie nie odróżniałem jej od innych: przychodzi tak jak wszyscy i tak dalej. A później to zacząłem ją odróżniać. Była taka szczuplutka, blondyneczka, średniego wzrostu, w mojej obecności zawsze jakaś niezręczna, jakby skrępowana (myślę, że taka sama była wobec każdego, a ja, ma się rozumieć, byłem dla niej taki sam, jak ten czy ów, to znaczy, jeżeli mówimy nie o właścicielu lombardu, lecz o człowieku). Gdy tylko otrzymywała pieniądze, natychmiast w tył zwrot i znikwała. I zawsze w milczeniu. Inni tak się sprzeczzają, mole-

741

stują, targują się, żeby więcej dostać; ta - nie: ile dadzą... Mam wrażenie... wciąż się gubię... Aha, przede wszystkim zaciękały mnie jej rzeczy: srebrne pozłacane kolczyki, mizerny medalionik - przedmioty groszowej wartości. Sama to wiedziała, ale patrząc na nią widziałem, że to dla niej drogocенność - i rzeczywiście to było wszystko, co jej pozostało po tatusiu i mamusi - jak się później dowiedziałem. Raz tylko pozwoliłem sobie na docinek. Bo właściwie, widzicie, ja sobie na to nigdy nie pozwalałem, wobec klientów zachowuję się po dżentelmeńsku: mało słów, uprzejmie i surowo. „Surowo, surowo i surowo.”¹ Lecz oto ona ośmieliła się przynieść resztki (ale to dosłownie resztki) starego serdaka - no i nie wytrzymałem: powiedziałem coś niby w rodzaju

dowcipu. Chryste Panie, jak się rozgniewała! Oczy ma niebieskie, duże, zamyślane, ale - jak się rozżarzyły! Jednak nie padło ani jedno słowo, zabrała swoje „resztki” i wyszła. Wtedy po raz pierwszy zauważyłem ją specjalnie i pomyślałem o niej w podobny sposób, to znaczy właśnie w sposób specjalny. Tak: pamiętam jeszcze wrażenie, to jest, właściwie, główne wrażenie, ogólną syntezę: to mianowicie, że jest strasznie młoda, taka młodzianka, iż, rzekłoby się - czternastolatka. A miała wtedy już szesnaście lat bez trzech miesięcy. A zresztą nie to miałem na myśli, to wcale nie w tym zawierała się synteza. Nazajutrz przyszła znowu. Dowiedziałem się później, że była z tym serdakiem u Dobronrawowa i u Mozera, ale oni oprócz złota żadnych przedmiotów nie przyjmują, toteż nie chcieli z nią gadać. Ja natomiast przyjąłem kiedyś od niej kameę (takie ot, świństewko) i - zastanowiwszy się później - zdumiałem się: ja także prócz złota i srebra nic nie przyjmuję, a od niej przyjąłem tę kameę. Taka była wtedy moja druga o niej myśl, to pamiętam.

Tamtym razem, to znaczy po wizycie u Mozera, przyniosła bursztynową cygarniczkę: gracik taki sobie, amatorski, ale dla nas znów bez wartości, bo my - tylko złoto. Ponieważ zjawiała się po wczorajszym buncie, przyjąłem ją surowo. Surowość u mnie - to oschłość. Niemniej jednak wręczając jej dwa ruble, nie zdołałem się powstrzymać i powiedziałem z niejakim rozdrażnieniem: „robię to wyłącznie dla pani, a Mozer takiej rzeczy od pani nie przyjmie”. Słowa dla pani wypowiedziałem ze szczególnym naciskiem i właśnie w pew-

742

nym sensie. Zły byłem. Ona znowu zaczerwieniła się usłyszawszy owo dla pani, jednakże zachowała milczenie, nie odsunęła pieniędzy, przyjęła - ot, co znaczy bieda! A jaka była wzburzona! Zrozumiałem, że ją zranił. A po jej wyjściu nagle się zastanowiłem: czyż istotnie taki triumf wart jest dwa ruble? Cha-cha-cha! Pamiętam, że sobie to pytanie zadałem dwukrotnie: czy to warte? Czy warte? I śmiejąc się odpowiedziałem sobie na nie twierdząco. Ogromnie mnie to wtedy rozbawiło. Ale nie było to brzydkie uczucie: powiedziałem tamto rozmyślnie, celowo; chciałem ją poddać próbie, ponieważ raptem zaświtały mi w głowie pewne pomysły dotyczące jej osoby. To była moja trzecia specjalna myśl o niej. No i od tego czasu wszystko się zaczęło. Ma się rozumieć, zaraz postarałem się okólną drogą zbadać wszelkie okoliczności i oczekiwałem jej przyścia ze szczególną niecierpliwością. Przeczuwałem bowiem, że się rychło zjawi. Kiedy przyszła, wszcząłem - z nadzwyczajną galanterią - uprzejmą rozmowę. Jestem przecie niezgorzej wychowany i znam się na formach. Hm... No i wtedy wyczułem, że jest dobra i łagodna. Osoby dobre i łagodne nie opierają się długo i choć same do wywnętrzania się nie są bynajmniej skore, jednakże od rozmowy wykręcić się żadnym sposobem nie potrafią i odpowiadają skąpo, ale odpowiadają, a im dalej, tym obficie, trzeba tylko samemu nie ustawać, skoro nam zależy. Ma się rozumieć, ona mi wtedy sama nic nie wyjaśniła. Później dopiero dowiedziałem się o „Głosie” i o wszystkim. Ona się wtedy rujnowała na ogłoszenia; z początku, ma się wiedzieć, wyniosłe: „guwernantka, panie dobrodzieju, zgodzi się na wyjazd i oferty proszę nadsyłać z podaniem warunków”, a później - „gotowa na wszystko: i do towarzystwa, i uczyć może, i doglądać gospodarstwa, i pielęgnować chorą osobę, i szyć umiem” itd. itd. - to wszystko tak dobrze znamy! Naturalnie występo⁷ wało to w ogłoszeniu w rozmaitych wariantach, a pod koniec, gdy jej położenie stało się rozpaczliwe, to nawet „bez pensji, za wyżywienie”. Otóż nie, nie znalazła posady! Wtedy postanowiłem po raz ostatni ją wybadać: raptem biorę świeży numer „Głosu” i wskazuję ogłoszenia: „Młoda osoba, zupełna sierota, poszukuje posady guwernantki do małych dzieci, najchętniej u starszego wdowca. Może dopomóc w prowadzeniu domu.”

743

- Ot, proszę, ta dziś rano dała ogłoszenie, . na wieczór z pewnością posadę otrzyma. Oto jak trzeba się ogłaszać!

Znów się wzburzyła, znowu błysnęła oczyma, odwróciła się i natychmiast wyszła. Bardzo mi się to spodobało. Zresztą byłem wtedy całkiem pewny i nie obawiałem się: cygarniczek nikt nie zacznie

przyjmować. A-ona zresztą nie miała już nawet cygarniczek. I rzeczywiście, po dwóch dniach przychodzi - taka bledziutka, zdenerwowana; zrozumiałem, że coś się musiało wydarzyć u niej w domu; i faktycznie, wydarzyło się. Zaraz wyjaśnię, co się wydarzyło, ale na razie pragnę tylko wspomnieć, jak jej wówczas zaimponowałem i urosłem w jej oczach. Taki nagle powziąłem zamiar. Chodzi o to, że przyniosła ten obraz (zdecydowała się przynieść)... Ach słuchajcie, słuchajcie! To właśnie wtedy już się zaczęło, bo ja się wciąż plątałem... Chodzi o to, że teraz chcę wszystko odtworzyć, każdy taki drobiazg, każdą kreseczkę. Wciąż usiłuję skupić myśli i - nie mogę, a to właśnie owe kreseczki, kreseczki...

Obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, domowy, rodzinny staroświecki, ornat srebrny pozłacany - warte to, no warte ze sześć rubli. Widzę, że przedmiot jest jej drogi; zastawia całość, nie zdejmując koszulki z obrazu. Powiadam jej: lepiej zdjąć, a obraz niech pani zabierze; bo sam obraz jednak jakoś nie bardzo...

- A czy panu nie wolno?

- Nie, nie o to chodzi, że nie wolno, tylko tak... Może dla pani samej...

- No więc proszę zdjąć.

- Wie pani, nie będę zdejmować, tylko wstawię o tam, do szafki - rzekłem po namyśle - razem z innymi obrazami, pod lampkę (u mnie zawsze, kiedy otwierałem kasę, paliła się lampka) i, całkiem po prostu, niech pani weźmie dziesięć rubli.

- Nie potrzebuję dziesięciu, niech pan da pięć; ja niezawodnie wykupię.

- A dziesięciu pani nie chce? Obraz jest tyle wart - powiedziałem zauważysz, że jej oczka znów się zaiskrzyły. Nic nie odpowiedziała.

Wręczyłem jej pięć rubli.

- Nie trzeba nikim gardzić; ja sam bywałem w podobnych

744

opresjach, nawet w jeszcze gorszych, i jeżeli obecnie zastaje mnie pan przy takiej robocie, to właśnie dlatego, po wszystkim, com przecierpiał...- Pan mści się na społeczności? Tak? - z nagłą przerwała mi ze zjadliwym uśmiechem, zresztą dosyć niewinnym (to „znaczy zwróconym nie bezpośrednio do mnie, ponieważ ona (mnie podówczas bynajmniej nie odróżniała od innych - tak, że powiedziała to prawie bez złośliwości). Aha, pomyślałem, toś ty taka, charakter się ujawnia, nowomodny.

- Widzi pani - oznajmiłem zaraz na poły żartobliwie, na poły tajemniczo: - „Jam częścią części, która ongi była, jam częścią tej ciemności, co światło zrodziła...”²

Zwróciła ku mnie bystre i pełne ciekawości spojrzenie, w którym, dodani nawiasem, było sporo dziecięcości.

- Zaraz... Co to za sentencja? Skąd to jest? Ja to gdzieś słyszałam...

- Proszę się nie głowić, tymi słowy Mefistofeles przedstawia się Faustowi. Czytała pani Fausta)

- N-nie... nieuważnie.

- To znaczy, wcale pani nie czytała. Trzeba przeczytać. A zresztą znowu widzę na pani wargach ironiczne skrzywienie. Proszę tylko nie przypisywać mi tak złego smaku, że oto, chcąc ubarwić swoją rolę lichwiarza, wpadłem na koncept zaprezentowania się pani jako Mefistofeles. Lichwiarz lichwiarzem pozostanie. Wiadomo.

- Pan jest jakiś dziwny... Wcale nie chciałam powiedzieć panu nic takiego...

Miała ochotę powiedzieć: „nie spodziewałam się, że pan jest człowiekiem wykształconym”, ale nie powiedziała; wiedziałem jednak, że tak pomyślała; ogromnie ją zaintrygowałem.

- Widzi pani - zauważyłem - na każdym kroku można czynić dobro. Oczywiście, nie mówię o sobie: ja oprócz zła, powiedzmy, nic nie czynię, jednakże...

- Naturalnie, można czynić dobro w każdym miejscu - rzekła, obrzuciwszy mnie pośpiesznym, ważkim spojrzeniem.- Właśnie w każdym miejscu - dodała nagłe.

Och, pamiętam, wszystkie te momenty pamiętam! I zauważę jeszcze, że kiedy ta młodzież, ta miła młodzież pragnie powiedzieć coś takiego mądrego i ważkiego - to raptem zbyt szczerze i naiwnie na twarzy będzie miała wypisane, że oto,

32 Dostojewski, t. III *

panie dobrodzieju, „mówię ci teraz coś mądrego i ważkiego” - i to nie z próżności, jak to bywa u nas, ale wręcz widać, że sama strasznie w to wszystko wierzy i ceni to, i szanuje, i myśli, że wyto wszystko tak samo szanujecie. Ach, szczerze! Oto czym nas zwyciężają! A w niej - jakież to było urocze!

Pamiętam, niczego nie zapomniałem! Po jej wyjściu od razu zdecydowałem. Tegoż dnia przeprowadziłem ostatnie poszukiwania i poznałem wszystkie - już bieżące - tajniki; dawne znałem w całości dzięki Łukierii, która podówczas u nich służyła i którą kilka dni temu przekupiłem. Owe kulisy rzeczywistości były tak przerażające, że nie pojmuję, jak można było jeszcze się śmiać - tak jak niedawno ona - i interesować się słowami Mefista, gdy sama była w tak okropnym położeniu. Ale - ot, młodzież! Tak właśnie pomyślałem o niej z dumą i radością, albowiem w tym jest i wielkoduszność: oto proszę, chociaż znajdujemy się na skraju zagłady, wielkie słowa Goethego promieniają. Młodość zawsze - chociażby odrobinę i choćby w błędnym kierunku - przecie jest wielkoduszna. To znaczy - ja wszak o niej, o niej jednej. I przede wszystkim wtedy już patrzyłem na nią jak na moją i nie wątpiłem o swej potędze. Wiecie, przesłodka to myśl, kiedy nie mamy już wątpliwości!

Ale co się ze mną dzieje? Jeżeli będę dalej w ten sposób, kiedyż zbiorę to wszystko razem? Prędeż, prędeż - to wcale nie w tym rzecz, och Boże!

II. PROPOZYCJA MAŁŻEŃSTWA

Owe „kulisy”, to, czego się o niej dowiedziałem, wyrażę w jednym zdaniu: rodzice ją odumarli już dawno, przed trzema laty, ona zaś zamieszkała u niesamowitych ciotek. Określenie to jest zbyt słabe. Jedna ciotka -r- wdowa, obarczona liczną rodziną, dzieci sześć sztuk, jedno mniejsze od drugiego; druga - niezamężna, stara, wstrętne. Obydwie wstrętne. Ojciec jej był urzędnikiem, ale z kancelistów, i posiadał zaledwie szlachectwo indywidualne - jednym słowem, dla mnie w sam raz. Zjawiałem się niejako z wyższego świata: bądź co bądź emerytowany sztabs-kapitan ze świetnego pułku, rodowity szlachcic, niezależny itd., a jeżeli chodzi o kasę pożycz-

746

kową - u ciotek mogło to wywoływać jedynie szacunek. U tych ciotek spędziła trzy lata w niewoli, ale przecie egzamin gdzieś tam zdała - zdążyła, zdążyła zdać, mimo bezlitosną mękę codziennej pracy, a to chyba świadczyło o jej dążeniu do czegoś wyższego i szlachetniejszego! Bo i po cóż chciałem się żenić? A zresztą - do diabła ze mną, o tym później... I czyż o to idzie? Uczyła ciotczyne dzieci, szyla bieliznę, a pod koniec nie tylko bieliznę, i - z tymi jej słabymi płucami - podłogi szorowała. Tamte ustawicznie ją maltretowały i nawet biły. Doszło do tego, że zamierzały ją sprzedać! Tfu! Pominę plugawe szczegóły. Później opowiedziała mi wszystko dokładnie. Wszystko to przez cały rok obserwował sąsiad, opasły sklepikarz, ale nie taki zwyczajny sklepikarz, lecz właściciel dwóch składów kolonialnych. Miał już na rozkładzie dwie żony i szukał trzeciej - no i wypatrzył sobie: „spokojniutka, panie dobrodzieju, wyrosła w biedzie, a ja ożenię się ze względu na sieroty.” Rzeczywiście miał małe dzieci. Więc - w konkury, jął zmagiać się z

ciotkami; a chłop miał pięćdziesiąt lat; ona jest przerażona. Wówczas to zaczęła często zachodzić do mnie - w związku z owymi ogłoszeniami w „Głosie”. Wreszcie uprosiła ciotki, aby pozostawiły jej do namysłu choć odrobinę czasu. Dały jej tę odrobinę, ale tylko jedną, drugiej już nie; warknęły: „Same, nawet bez zbędnej gęby, nie mamy co żreć.” A wieczorem przyjechał kupiec; przywiózł ze sklepu funt cukierków po pół rubla; ona siedzi obok niego; wywołuję tedy z kuchni Lukierię i wysyłam, żeby jej szepnęła, że stoję przy bramie i chcę z nią pomówić w bardzo pilnej sprawie. Byłem zadowolony z siebie. I w ogóle przez cały ten dzień byłem ogromnie rad.

No i kiedy się ukazała, zdumiona już samym faktem, żem ją wezwał, zaraz tam w bramie, w obecności Lukierii, oświadczani jej, że będę sobie poczytywał za szczęście i zaszczyt... Po drugie: niechaj się nie dziwi, że w takim trybie i że w bramie: „Jestem człowiekiem, że tak powiem, prostolinijnym i rozważyłem wszelkie okoliczności.” I to nie było kłamstwo, żem prostolinijny. No, mniejsza... Mówiłem zaś nie tylko grzecznie, to znaczy wykazawszy się jako człowiek dobrze wychowany, ale i oryginalnie, a to najważniejsze. Cóż, czy grzech to stwierdzić? Ja chcę siebie osądzić i czynię to. Powinienem mówić pro i contra, no i mówię. Później nawet z lu-

bością to wspominałem, chociaż to głupie: oświadczyłem jej wtedy po prostu, bez najmniejszego zmieszania, że po pierwsze: nie jestem szczególnie uzdolniony, szczególnie mądry, może nawet niezbyt dobry, dość tani egoista (pamiętam to wyrażenie, ułożyłem je sobie wtedy po drodze i byłem z niego zadowolony), oraz że może i pod innymi względami jest we mnie dużo, dużo niemilego. Wszystko to zostało wypowiedziane z jakąś swoistą godnością - wiadomo, jak się takie rzeczy mówi. Oczywiście miałem na tyle dobrego smaku, że uczciwie wymieniwszy swoje braki, nie zabrałem się do wyliczania: „ale, panie dobrodzieju, w zamian posiadam to i tamto, i owo”. Widziałem, że ona na razie okrutnie się boi, ale ani trochę swej wypowiedzi nie złagodziłem; nie dość tego, widząc, że się boi, rozmyślnie wzmocniłem: powiedziałem wręcz, że będzie syta, co zaś się tyczy strojów, teatrów, balów - tego nie będzie, chyba dopiero w przyszłości, kiedy osiągnę swój cel. Ten surowy ton prawdziwie mnie upajał. Dodałem - również na j swobodnie j, niby mimochodem - że jeżeli param się takim zajęciem, to jest, prowadzę tę kasę - to mam w tym jeden tylko cel, jest, że tak powiem, pewna okoliczność... Ale przecież miałem prawo tak mówić: rzeczywiście taki cel miałem i taką okoliczność... Za pozwoleniem, panowie, ja przez całe życie pierwszy nienawidziłem tej kasy pożyczkowej, ale w istocie, chociaż to śmieszne przemawiać do samego siebie tajemniczymi frazesami, przecież właśnie „mściłem się na społeczności”, naprawdę, naprawdę, naprawdę! Tak, iż jej docinek na temat tej mojej „zemsty” był niesprawiedliwy. To jest, uważacie, gdybym był rzucił jej wprost słowa: „Tak, ja się mszczę na społeczności”, roześmiałyby się - jak to czyniła rankiem - i wypadłoby rzeczywiście pocieszenie. Ale kiedy ot tak, ubocznym napomknieniem wtrąciłem tajemnicze zdanie, okazało się, że można wyobraźnię zaintrygować. A poza tym ja się wtedy niczego już nie obawiałem: wszak wiedziałem, że gruby sklepikarz w każdym razie jest jej bardziej wstrętny ode mnie i że oto ja, stojąc przed bramą, okazuję się wyzwolicielem. Przecież ja to wszystko pojmowałem. Jeżeli idzie o podłość - człek orientuje się doskonale! Ale czy to podłość? Jakże tu człowieka sądzić? Alboż ja jej już nawet wtedy nie kochałem?

Chwileczkę: ma się rozumieć, nie napomknąłem jej ani sło-

wem o dobrodziejstwie; przeciwnie, wręcz przeciwnie: „To dla mnie, że tak powiem, a nie dla pani dobrodziejstwo.” Tak, iż nawet wyraziłem to słowami i może wypadło głupawo, zauważyłem bowiem przelotny grymas na jej twarzy. Ale w ogólnym rozrachunku bezsprzecznie wygrałem. Czekać, skoro już mam wywlekać „całe to błoto, przypomnę i ostatnie świństwo: stałem, a w głowie mi się kotłowało: jesteś wysoki, zgrabny, edukowany i - i ostatecznie, mówiąc bez fanfaronady - niebrydki z ciebie mężczyzna. Oto co mi tańczyło w łepetynie. Oczywiście ona tamże w bramie powiedziała tak. Ale... Ale muszę dodać: tamże w bramie długo myślała, zanim powiedziała tak. Tak się zamyśliła, tak zamyśliła, żem po chwili spytał:

- No i jakże, co? -i nawet nie zdzierzyłem; z pewnym zacięciem zapytałem: - No i jakże, i cóż, szanowna pani?

- Proszę zaczekać, myślę.

I taką poważną miała twarzyczkę, taką - że już wówczas byłbym mógł wyczytać, co myśli! A ja się czułem obrażony: „czyżby wybierała między mną a kupcem?” Och, wtedy jeszcze nie rozumiałem! Nie, jeszcze wtedy nie rozumiałem! Do dziś dnia nie rozumiałem. Pamiętam, Łukieria wybiegła za mną, kiedy już odchodził, zatrzymała mnie w drodze i z gorączkowym podnieceniem powiedziała: „Bóg panu zapłaci za to, że pan bierze naszą kochaną panienkę; tylko proszę jej tego nie mówić: ona jest ambitna.”

Ha, jest ambitna! Ja, panie dobrodzieju, sam lubię ambitne osóbkę. Ludzie ambitni są przemili, kiedy... ano kiedy nie mamy już wątpliwości co do naszej nad nimi władzy, prawda? Och ty prostaku, niedźwiedziu! Ach, jaki byłem zadowolony! Wiecie... przecież w niej, kiedy tak stała przed bramą, zamyśliwszy się, by mi powiedzieć tak, a ja zdziwiony czekałem, czy wiecie, że w niej mogła być się zrodzić nawet taka myśl: „Skoro już nieszczęście i tam, i tu, czy nie lepiej wybrać od razu najgorsze, to jest tłustego sklepikarza; niechże co rychlej zatłucze, gdy się spije na umór!” Co? Jak sądzicie: mogła to pomyśleć? Ot, przed chwilą powiedziałem, że mogła tak pomyśleć: iż z dwojga złego lepiej wybrać gorsze, czyli kupca. A kto był w jej oczach tym gorszym: ja czy tamten? Kupiec czy zastawnik cytujący Goethego? To jeszcze pytanie! Jakież tu pytanie? Jeszcze tego nie rozumiesz? Odpowiedź leży tu

na stole, a ty powiadasz: pytanie! Ech, do diabła ze mną! Nie o mnie wcale chodzi... Ale właśnie, co mi teraz za różnica czy o mnie, czy nie o mnie chodzi? Tego już zgoła nie potrafię rozstrzygnąć. Trzeba by pójść spać. Głowa boli...

III. NAJSZLACHETNIEJSZY Z LUDZI, ALE SAM W TO NIE WIERZĘ

Nie zasnąłem. Bo i jak tu spać, coś tętni w głowie. Chciałoby się ogarnąć to wszystko, całe to błoto. Och, błoto! Och, z jakiego błota wówczas ją wyciągnąłem! Chyba powinna była to wszystko zrozumieć, ocenić mój postępek! Przyjemne były mi też różne myśli, na przykład: że ja mam czterdzieści jeden lat, a ona szesnaście. To mnie ujmowało, owo poczucie nierówności - bardzo to miłe, bardzo miłe.

Ja na przykład chciałem urządzić ślub d langlwse, to znaczy tylko we dwoje, przy dwóch zaledwie świadkach (jednym byłaby Lukieria) i potem zaraz do Moskwy - do hotelu, na jakieś dwa tygodnie. Ona sprzeciwiła się, nie pozwoliła i musiałem się wybrać z ceremonialną wizytą do ciotek, od których ją zabieram. Ustąpiłem i ciotkom oddałem powinność. Nawet dałem tym kreaturom po sto rubli i jeszcze coś tam obiecałem, oczywiście nic jej o tym nie mówiąc, żeby nie zmartwić przypomnieniem ubóstwa. Ciotki natychmiast stały się słodziutkie. Wywiązał się spór w sprawie posagu: ona prawie literalnie nic nie miała, ale niczego się też nie domagała. Udało mi się jednak przekonać ją, że tak całkiem nic - niepodobna, no i posag sprawiłem ja, bo i któżby cokolwiek dla niej zrobił! Ech, co tam, mniejsza o mnie. Różne myśli przecie zdążyłem jej wtedy zwierzyć, żeby przynajmniej wiedziała, co i jak. Może się z tym nawet trochę pośpieszyłem. Najważniejsze to to, że - jakkolwiek hamując się - bądź co bądź Ignęła do mnie z miłością, z zachwytem witała moje wieczorne przyjazdy, opowiadała mi tym swoim dzieciennym stylem - ach, to czarujące niewinne gaworzenie! - o całym swym dzieciństwie i rodzicielskim domu, o ojcu i matce. Lecz ja wszystek ten urok z miejsca oblałem zimną wodą. Na tym właśnie polegała moja postawa. Na zachwyty odpowiadałem milczeniem - ma się rozumieć, łaskawym... lecz ona przecie rychło

stwierdziła, żeśmy różni, że ja - to zagadka. A sedno w tym, że ja właśnie na to biłem! Wszak po

to, by zadać zagadkę, może popełniłem całą tę niedorzeczność! Przede wszystkim: surowość - pod tym też znakiem wprowadziłem ją do swego domu... Jednym słowem wtedy, aczkolwiek byłem rad, wypunktowałem cały system. Och, sam się ten system bez żadnego natężenia ukształtował... Ale bo też nie sposób było inaczej: musiałem stworzyć cały ten system pod naporem niezłomnych okoliczności... Czemuż miałbym sam siebie oczerniać? System był słuszny. Nie, posłuchajcie, jeżeli już kogoś sądzić-to trzeba znać sprawę... Słuchajcie:

Jak by tu zacząć? Bo to bardzo trudne. Kiedy zaczniemy się usprawiedliwiać - w tym właśnie trudność. Bo, uważacie: młodzież gardzi na przykład pieniędzem; no to ja natychmiast z naciskiem o pieniądzach - i to z takim, że ona coraz bardziej milkła. Rozwierała szeroko oczy, słuchała, patrzyła i milkła. Młodzież, uważacie, jest wielkoduszna i wybuchowa, ale jest niezbyt tolerancyjna, skłonna niemal wręcz do pogardy. Ja zaś domagałem się liberalizmu, chciałem ten liberalizm wszczepić jej wprost do serca, wszczepić w odruchy serca, czyliż nie tak? Weźmy potoczny przykład: jak miałem, powiedzmy, takiej osobie przedstawić sprawę prywatnego lombardu? Ma się rozumieć, nie zacząłem bezpośrednio o tym, gdyż wypadłoby, że proszę o wybaczenie za tę kasę, ale operowałem, że tak powiem, dumą, mówiłem nieomal milcząc. A w tym to ja jestem mistrzem, całe życie przegadałem w milczeniu i milcząc sam z sobą przeżyłem całą tragedię. Ach, przecież i ja byłem nieszczęśliwy! Przez wszystkich odsunięty, wyrzucony i zapomniany - a nikt o tym nie wie! A tu raptem ta szesnastolatka nałapała od ludzi, od ludzi nikczemnych, różnych o mnie szczegółów i wydaje się jej, że wie wszystko, gdy właśnie to, co najcenniejsze, tkwiło jedynie we wnętrzu tego człowieka! Ja milczałem wciąż i zwłaszcza, zwłaszcza przed nią milczałem - aż do wczorajszego dnia; dlaczego milczałem? Ano - jako człowiek dumny. Chciałem, by się dowiedziała sama, beze mnie - tylko już nie z plotek plugawców, lecz żeby sama się domyśliła, co to za człowiek, i zrozumiała go! Wprowadzając ją do swego domu, wymagałem całkowitego szacunku. Chciałem, by stała przede mną w błagalnej pozie - za moje cierpienia - i zasługiwałem na to! O, ja zawsze byłem

dumny, zawsze chciałem mieć wszystko albo nic! Toteż właśnie dlatego, że nie chcę połowicznego szczęścia, lecz zem wszystkimiego pragnął - właśnie dlatego musiałem wtedy tak postąpić: „ano, sama się domyśl i oceń!” Albowiem, zgódźcie się, gdybym sam zaczął jej objaśniać i podpowiadać, wpływać na nią, domagać się respektu - toć wyglądałoby to całkiem tak, jak gdybym prosił o jałmużnę... A zresztą... a zresztą po co o tym wszystkim mówię?!

Głupio, głupio, głupio! Wyraźnie i bezlitośnie (a podkreślam : bezlitośnie) wytłumaczyłem jej wtedy w dwóch słowach, że wielkoduszność młodych to śliczna rzecz, tylko że nie jest warta dwóch groszy. Dlaczego? Ponieważ tanio to im przychodzi, doszli do tego wszystkiego nic nie przeżywszy; to są, że tak powiem, „pierwsze doznania żywota”³, ale zobaczymy was przy robocie! O tanią wielkoduszność zawsze łatwo, nawet życie poświęcić - to także łatwe, bo tu tylko krew kipi i nadmiar sił, okrutnie pragnie się piękna! Otóż nie, weźmy wielkoduszny czyn niełatwy, cichy, bez rozgłosu, bez blasku, ocierający się o potwarz, taki, gdzie dużo ofiarności, a mało sławy, kiedy porządnego człowieka wszyscy mają za łotra, chociaż jest najuczciwszy w świecie - ano spróbujcie spełnić taki czyn; nie, zrezygnujecie! A ja - przez całe życie nosiłem go w piersi. Ona zrazu oponowała - i to jak! - ale później zaczęła pomilkiwać, aż zupełnie ucichła, oczy tylko otwierała słuchając - takie wielkie, wielkie oczy, tak uważne. I... i potem... nagle spostrzegłem jej uśmiech - niedowierzający, głuchy, niedobry. I oto tak właśnie uśmiechniętą wprowadziłem ją do swojego domu. I to też prawda, że nie miała już dokąd pójść...

IV. PLANY, PLANY...

Kto z nas dwojga zaczął wtedy?

Nikt. Samo się zaczęło - od pierwszego momentu. Powiedziałem, zem ją wprowadził do swego

domu z surową powagą; jednakże zaraz po pierwszym kroku złagodziłem tę postawę. Jeszcze jako narzeczoną pouczyłem ją, że zajmie się przyjmowaniem zastawów i wypłatą pieniędzy, a ona przecie wtedy nic nie powiedziała (proszę to zauważyć). Nie dość tego: zabrała się do pracy nawet gorliwie. Mieszkanie, meble - to wszystko, oczywiście, zostało po dawnemu. Mieszkanie

składa się z dwóch izb: jeden obszerny pokój z odgradzoną kasą, a drugi, także duży - nasz pokój wspólny i zarazem sypialnia. Umeblowanie u mnie skąpe, nawet ciotki mają lepsze. Szafka z lampką mieści się w sali, tam gdzie kasa, w moim zaś pokoju stoi szafa zawierająca trochę książek oraz kuferek; klucze noszę przy sobie; no i łóżko, stoły, krzesła. Jeszcze jako narzeczonej zapowiedziałem jej, że na nasze utrzymanie - czyli na żywność dla mnie, dla niej i dla Łu-kierii, którą udało mi się przeciągnąć na swoją stronę - przeznaczam rubla dziennie, nie więcej. „Muszę, uważasz, zebrać w ciągu trzech lat trzydzieści tysięcy, a inaczej się pieniędzy nie uezbiera.” Nie protestowała; ale sam podwyższyłem przewidzianą kwotę o trzydzieści kopiejek. Powiedziałem narzeczonej, że teatru nie będzie, a jednak zdecydowałem, że raz w miesiącu będziemy chodzić do teatru - i to elegancko: do krzesła. Byliśmy razem na trzech przedstawieniach: Pogoń za szczęściem, Śpiewające ptaki* i, zdaje się... (Och do diabła z tym, do diabła!) Chodziliśmy tam w milczeniu i w milczeniu wracaliśmy. Czemu, czemuż to od samego początku milczeliśmy? Toć na początku nie było kłótni - a milczenie też panowało. Ona stale, pamiętam, jakoś ukosem patrzyła na mnie, a znów ja, kiedy to spostrzegłem, wzmożłem milczenie. To prawda, że to ja je pogłębiłem, a nie ona. Z jej strony raz czy dwa zdarzyły się jakieś porywy, rzuciła mi się w objęcia; ale ponieważ te porywy były chorobliwe, histeryczne, a ja potrzebowałem szczęścia solidnego, zaprawionego jej szacunkiem - zareagowałem oziębło. No i miałem słuszność: za każdym razem po porywach wybuchała kłótnia.

To jest, kłótni właściwie nie było, ale następowało milczenie i z jej strony coraz bardziej zuchwała postawa. „Bunt i niezależność” - oto jak to wyglądało, do tego tylko była zdolna. Tak, ta łagodna twarz stawała się coraz bardziej zuchwała. Czy uwierzycie: ja się dla niej stawałem obmierzły - o tym się dobrze przekonałem. Ale co do tego, że w tych swoich porywach traciła panowanie nad sobą - co do tego nie było wątpliwości. No, bo jakże to, na przykład, wydostawszy się z takiego upodlenia i nędzy, po owym szorowaniu podłóg, zacząć raptem dąsać się z powodu naszego ubóstwa?! Zechciejcie, proszę, zauważyć: nie żyliśmy ubogo, tylko oszczędnie, a tam, gdzie potrzeba, nawet luksusowo; ot, na przykład, jeżeli

753

idzie o bieliznę - czyściutko. Ja zawsze, dawniej także, upajałem się myślą, że schludność męzowska pociąga żonę. Zresztą ona miała mi za złe nie ubóstwo, ale to sknerstwo w gospodarce: „Zmierza do jakiegoś celu, wykazuje niezłomność charakteru.” Z bywania w teatrze sama zrezygnowała. I ten jej grymas coraz bardziej ironiczny... a ja coraz bardziej zacinam się w milczeniu.

Alboż mam się usprawiedliwiać? Tu najważniejszą sprawą była owa kasa pożyczkowa. Za pozwoleniem: wiedziałem, że kobieta, w dodatku szesnastoletnia, nie może nie ulegać całkowicie mężczyźnie. Kobietom brak oryginalności, to... to jest aksjomat, nawet i dziś, nawet teraz, to jest dla mnie aksjomat! Cóż znaczy to, co tam leży w sali? Fakt jest faktem, i tutaj sam Mili5 nic nie poradzi! A kobieta kochająca, ach, kochająca kobieta nawet usterki, nawet niegodziwości ukochanego człowieka wybaczy. On sam nie wynajdzie dla swych wykroczeń takich usprawiedliwień, jakie mu ona podsunie. To jest wielkoduszne, ale nie oryginalne. I cóż, powtarzam, wskazujecie mi tam na stole? Alboż to, co tam leży, jest oryginalne? Ech!

Posłuchajcie: byłem w owym czasie pewny jej miłości. Wszak i wtedy rzucała mi się na szyję. A zatem kochała albo raczej pragnęła, usiłowała kochać. A najważniejsze to to, że tam nawet żadnych takich paskudztw nie było, żeby miał dla nich wyszukiwać usprawiedliwienia. Powiadacie - i wszyscy powiadają - lichwiarz. No i cóż z tego, że lichwiarz? Widocznie muszą być jakieś

przyczyny, skoro najszlachetniejszy z ludzi został lichwiarzem. Uważacie, panowie, są pewne idee, to znaczy, widzicie, niekiedy, jeżeli pewne idee wyrazimy słowami - to wypadnie okropnie głupio. Sam się człek zawstydzą. A dlaczego? Dla niczego. Dlatego, żeśmy wszyscy dranie i nie znosimy prawdy, albo nie już nie wiem. Powiedziałem przed chwilą: „najszlachetniejszy z ludzi.” Śmieszne to, a jednak tak przecież było. Oto prawda, to na j rzetelniejsza prawda! Tak, miałem prawo pomyśleć o zabezpieczeniu się - no i założyłem tę kasę: „Wyście mnie odepchnęli, wy, czyli ludzie, wygnaliście mnie precz z milczącą pogardą. Na mój gorący ku wam poryw odpowiedzieliście mi całozyciową krzywdą. Toteż miałem prawo odgrodzić się od was, uciuć owe trzydzieści tysięcy rubli i dokonać żywota gdzieś na Krymie, na wybrzeżu południowym, wśród gór i winnic, we własnej posiadłości, nabytej za te trzydzieści tysięcy, a - co najważniej-

754

sze - z dala od was wszystkich, lecz bez złości na was, z ideałem w duszy, z ukochaną kobietą przy boku, z rodziną, jeśli Pan Bóg pobłogosławi i - wspomagając okolicznych osadników.” Całe szczęście, rzecz prosta, że to ja teraz sam do siebie mówię, cóż bowiem mogłoby być bzdurniejszego, gdybym był jej to wtedy na głos wybębnił? Oto skąd - owo dumne milczenie, oto czemuśmy siedzieli bez słowa. No bo cóż by ona z tego zrozumiała? Szesnaście latek, pierwsza to ci młodość - i co też ona mogła pojąć z tych moich usprawiedliwień, z tych przejść? Tam - prostolinijność, nieznamość życia, młodzieńcze taniutki przekonania, kurza ślepotą „wniosłych serc”, a tu - przede wszystkim - kasa pożyczkowa i kropka (a czyż ja w tej kasie pożyczkowej byłem łotrzykiem? Alboż nie widziała, jak postępuję i czy skrzywdziłem kogo?) Och, jakże okropna jest prawda na tym świecie! To cudo łagodności, ta niebianka - okazała się tyranem, nieubłaganym tyranem i dręczycielem mojej duszy! Przecież oszkaluję siebie, jeżeli tego nie powiem. Myślicie, że jej nie kochałem? Kto może powiedzieć, że jej nie kochałem? Otóż widzicie: w tym właśnie ironia, tu wystąpiła gorzka ironia losu i natury! Jesteśmy przeklęci, życie ludzkie jest w ogóle przeklęte (moje w szczególności!). Tu wypadło coś nie tak... Wszystko było jasne, plan mój był jasny jak niebo! „Surowy, dumny i niczych perswazji nie potrzebuje, cierpi w milczeniu.” Tak też było, nie kłamałem! „Sama później zobaczy, że w tym była wielkoduszność, tylko że nie potrafiła tego dostrzec - a kiedy się tego domyśli, oceni dziesięciokrotnie i padnie przede mną upokorzona, że złożonymi błagalnie dłońmi.” Lecz tutaj o czymś zapomniałem, czy też coś przeoczyłem. Czegoś tam nie potrafiłem zrobić. Ale dosyć, dosyć. I kogo teraz prosić o przebaczenie? Koniec - to koniec. Śmielej, człowiecze, i bądź dumny. Nie ty zawiniłeś!...

Ha, cóż, powiem prawdę, nie zleknie się spojrzeć prawdzie w oczy: to ona, ona zawiniła!

V. „ŁAGODNA” SIĘ BUNTUJE

Sprzeczkę zaczęły się od tego, że jej się raptem zachciało wypłacać pieniądze według własnego uznania, taksować przed-

48- 755

mioty powyżej ich wartości i nawet raz czy dwa razy wszczęła ze mną dyskusję na ten temat. Nie dopuściłem do tego. Ale wtedy właśnie napatoczyła się ta kapitanowa.

Zjawiła się przynosząc medalion - prezent nieboszczyka męża, ot wiadomo, pamiątka. Wydałem jej trzydzieści rubli. Staruszka jęła lamentować, prosić, byśmy przechowali ten przedmiot - oczywiście przechowamy. Aliści nagle po pięciu dniach przychodzi, żeby tamto zamienić na bransoletkę, niewartą nawet ośmiu rubli. Ma się rozumieć, odmówiłem. Ona już wtedy widocznie coś odgadła z oczu żony - no i przyszła później, kiedy mnie nie było, i uzyskała od niej zamianę.

Dowiedziawszy się o tym, tegoż dnia rozmówiłem się z nią krótko, ale- surowo i stanowczo. Siedziała na łóżku utkwivszy wzrok w podłodze i szurając po dywaniku czubkiem prawego

pantofla (zwykły jej gest); na jej ustach trwał złośliwy uśmieszek. Wtedy, nie podnosząc oczu, spokojnie zaznaczyłem, że pieniądze są moje i że mam prawo patrzeć na życie moimi oczyma, i że kiedyś ją zapraszał do swego domu, niczego przed nią nie zataiłem.

Zerwała się raptownie, zatrzęsła się cała i - proszę sobie wyobrazić - nagle zatupała nogami; to było zwierzę, to był atak szału, to było szalejące zwierzę. Zdrętwiałem ze zdumienia; takiego wyskoku nie spodziewałem się. Ale nie straciłem panowania nad sobą, nawet się nie poruszyłem i tym samym spokojnym tonem oznajmiłem jej, że odtąd pozbawiam ją uczestniczenia w moich zajęciach. Roześmiała mi się prosto w twarz i wyszła z mieszkania.

Muszę podkreślić, że wychodzić nie było jej wolno. Nigdzie beze mnie - taki był nasz układ zawarty jeszcze w okresie narzeczeństwa. Wróciła dopiero wieczorem, ja na to ani słowa.

Nazajutrz rankiem wyszła znowu, następnego dnia również. Zamknąłem kantor i wybrałem się do ciotek. Nie utrzymywaliśmy z nimi żadnych stosunków od czasu wesela. Okazało się, że nie przychodziła do nich. Wysłuchały mnie z zaciekawieniem, no i wyśmiały: „To się panu - powiadają - należy.” Ale byłem przygotowany na ich kpinki. Z miejsca też tę młodszą, niezamężną, przekupiłem za sto rubli; dwadzieścia pięć dałem jako zaliczkę. Po dwóch dniach przychodzi do mnie: „Tam, powiada, oficer Jefimowicz, dawny pana kolega pułkowy, jest

756

zamieszany.” Bardzo mnie to zdziwiło. Ów Jefimowicz właśnie największą przykrość wyrządził mi był w pułku, a jakiś miesiąc temu, bezczelny! - jako rzekomy interesant - raz czy dwa razy zaszedł do kasy i, pamiętam, zaczął z moją żoną o czymś żartobliwie rozmawiać. Wtedy podszedłem do niego i powiedziałem - pomny naszych stosunków - żeby się nie ważył tu przychodzić; ale nic takiego nawet przez myśl mi nie przeszło, tylko tak po prostu stwierdziłem w duchu, że jest bezczelny. A tu raptem ciotka informuje, że jest już wyznaczone spotkanie i że całą sprawą manewruje pewna dawna znajoma ciotek, Julia Samsonowna, wdowa, a do tego jeszcze pułkownikowa: „U niej to właśnie bywa teraz pana małżonka.”

Tę rzecz przedstawię w skrócie. Cała sprawa kosztowała mnie około trzystu rubli, ale po dwóch dniach wszystko zostało urządzone tak, że będę stał w sąsiednim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, przysłuchując się pierwszej schadzce mojej żony z Jefimowiczem. Tymczasem zaś w przeddzień owego rendez-vous rozegrała się między nami krótka, lecz dla mnie aż nazbyt znamienita scena.

Żona wróciła pod wieczór, siadła na łóżku, pogłąda n* mnie drwiąco i nóżką stuka o dywanik. Gdy tak na nią patrzę, nagle pomyślałem, że w ciągu całego ostatniego miesiąca albo ściślej od dwóch tygodni była nieswoja, rzecz by nawet można - całkowicie odmieniona: okazywała się istotą porywczą, napastliwą, nie powiedziałbym - bezwstydną, ale niezrównoważoną i zmierzającą do zamętu. Napraszając się o zamęt. Łagodność jednak była jej w tym przeszkodą. Kiedy taka osoba rozhula się - to chociażby nawet przebrała miarę, przecież widać, że sarna się tylko przelamuje, sama się podnieca i że nie jest zdolna przewyciężyć własnej dziewicości i skromności. Dlatego to takie właśnie niekiedy rozpędzają się zgoła ponad miarę - tak iż nie wierzymy obserwacjom własnego rozumu. Istota zaś przywykła do rozpusty - przeciwnie: zawsze nałoży tłumik, postąpi szpetniej, ale w ramach porządku i przystojności, z pretensją górowania nad nami.

- A czy to prawda, że wygnano cię z pułku za to, żeś stchórzył odmówiwszy pojedynku? - spytała nagle ni w pięć ni w dziewięć, błysnąwszy oczyma.

- Prawda; na skutek decyzji sądu oficerskiego poproszono

757

mnie o podanie się do dymisji, co zresztą sam już przedtem uczyniłem.

- Wyrzucili cię jak tchórza?

- Tak, ogłosili mnie tchórzem. Ale ja się uchyliłem od pojedynku nie z tchórzostwa, lecz dlatego, że nie chciałem poddać się ich tyrańskiemu wyrokowi i wystąpić z wyzwaniem na pojedynek, skoro nie czułem się obrażony. Wiedz - tu nie zdołałem się pohamować - że przeciwstawić się czynnie takiej przemocy i przystać na wszystkie konsekwencje to było dowodem znacznie większego męstwa niżeli wszelkie pojedynki.

Nie wytrzymałem: tym zdaniem niejako usiłowałem się usprawiedliwić; a ona tylko na to czekała, na to moje nowe upokorzenie. Roześmiała się zjadliwie.

- A czy to prawda, żeś potem przez trzy lata jak włóczęga łąził po ulicach Petersburga, prosząc o dziesięciokopiejkowe datki, i żeś nocował pod bilardami.

- Nocowałem nawet na Siennej, w domu Wiaziemskie-go.6 Owszem, to prawda: kiedy opuściłem pułk, w moje życie wdarło się wiele sromoty i poniżenia, ale nie był to upadek moralny, gdyż sam pierwszy nienawidziłem swoich ówczesnych poczynań. To był jedynie upadek woli i umysłu, wywołany przez tragizm mego położenia. Ale to minęło...

- Oho, teraz jesteś figurą, finansistą!

Była to aluzja do kasy pożyczkowej, lecz już zdążyłem się opanować. Widziałem, że ona oczekuje poniżających mnie wyjaśnień i wyjaśnień tych jej nie dałem. W samą porę zadzwonił do drzwi interesant; wyszedłem więc do sali. Następnie, już w godzinę później, kiedy się ubrała, zamierzając wyjść, przystanąła przede mną i rzekła:

- Jednak nic mi o tym przed ślubem nie powiedziałeś.

Pominałem to milczeniem. Wyszła.

Tak tedy następnego dnia stałem w tamtym pokoju, za drzwiami, słuchając, jak się rozstrzygał mój los, a w kieszeni miałem rewolwer. Ona była ubrana, siedziała przy stole, a Jefimowicz krygował się przed nią. I cóż: wyszło (muszę tu siebie pochwalić), wyszło jota w jotę to, co przeczuwałem i przewidywałem, chociaż nawet nieświadomy, że to przeczuwam i przewidyuję. Nie wiem, czy wyrażam się zrozumiale.

758

Oto co nastąpiło. Słuchałem przez całą godzinę i przez całą godzinę byłem świadkiem pojedynku najszlachetniejszej i najwznioślejszej kobiety z rozpustnym światowcem, z tępyim osobnikiem o pełzającej duszy. I skąd - myślałem zdumiony- skąd ta naiwna, ta łagodna i małomówna istota wszystko to wie? Najdowcipniejszy autor salonowej komedii nie zdołałby stworzyć owej sceny drwin, pełnego nienawiści chichotu oraz świętego oburzenia przy zetknięciu się cnoty z niecnotą! I jakże się skrzyły jej słowa i najdrobniejsze słóweczka! Ileż było humoru w szybkich replikach, jak trafne były jej sądy! A zarazem - ile niemal, dziewiczej prostoduszności. Wykpiwała wręcz jego wyznania miłosne, jego gesty, jego propozycje. Przybywszy w celu przypuszczenia prostackiego szturm i nie przewidując oporu, Jefimowicz nagle osłupiał. Zrazu gotów byłem przypuścić, że to z jej strony po prostu kokieteria, „kokieteria rozwiążlej, lecz przy tym sprytniej istoty - żeby nadać sobie wyższą cenę”. Ale nie, prawda zajaśniała jak słońce i niepodobna było powątpiewać. Jedynie poryw sztucznie wznieconej nienawiści do mnie mógł skłonić ją, niedoświadczoną, do urządzenia tej schadzki; gdy wszakże doszło do realizacji - wnet się jej otworzyły oczy. Oto po prostu miotała się ta istota, chcąc mnie za wszelką cenę znieważyć, lecz zdecydowawszy się na taki manewr, nie wytrzymała jego szpetoty. I czyliż ją, czystą i bezgrzeszną, posiadającą ideał, czyliż mógł ją skusić Jefimowicz albo którakolwiek z tamtych wielkość wiat wy ch kreatur? Przeciwnie, on ją tylko rozśmieszył. .Wszystka prawda wezbrała w jej duszy i oburzenie wytrysło sarkazmem z jej serca. Powtarzam: ten błazen pod koniec całkiem osowiał i siedział nachmurzony ledwo odpowiadając,

tak iż zacząłem się wręcz obawiać, by w prostackim odruchu zemsty nie poważił się jej obrazić. I jeszcze raz powtarzam: muszę się pochwalić, że scenie tej przysłuchiwałem się nieomal bez zdziwienia. Rzekłbym, że oto zastałem same tylko znane rzeczy. Jak gdybym był się tam udał, żeby to zastać. Szedłem tam nie wierząc niczemu, żadnemu oskarżeniu, choć miałem w kieszeni rewolwer, to prawda! I czyliż mogłem inaczej ją sobie wyobrazić? Och, oczywiście wiedziałem, jak dalece mnie nienawidzi, ale upewniłem się i co do tego, jak dalece jest nieskalana. Przerwałem ową scenę, otworzywszy drzwi. Jefimowicz zerwał się, ja ująłem jej rękę i po-

759

prosiłem, by wyszła ze mną. Jefimowicz z nagłą wyprostował się dziarsko i wybuchnął śmiechem:

- Och, przeciw świętym prawom małżeńskim nie oponuję, żegnam! I wie pan - zawołał, gdy kierowałem się ku wyjściu - chociaż porządny człowiek nie powinien się z panem pojedynkować, jednakże, przez respekt dla pańskiej damy, jestem do pana dyspozycji... Jeżeli w ogóle pan zaryzykuje...

- Słyszysz - przetrzymałem ją na chwilę w progu. Potem - przez całą drogę - ani słowa. Prowadziłem ją za rękę; szła bez oporu. Przeciwnie: była okrutnie zdumiona, ale tylko w drodze do domu. Gdyśmy się tam znaleźli, siadła na krześle i utkwiała we mnie spojrzenie. Była niezwykle blada; chociaż wargi jej natychmiast skrzywiły się ironicznie, patrzyła już z uroczystym i surowym wyzwaniem, i chyba całkiem serio była przekonana, że ją zastrzelę. Ale wyjąłem z kieszeni rewolwer i położyłem na stole. Patrzyła w milczeniu na mnie i na broń. Zechciejcie zauważyć: ten rewolwer był jej znany. Nabyłem go i trzymałem nabity, odkąd uruchomiłem kasę pożyczkową. Postanowiłem wtedy nie trzymać w domu groźnych psów ani krzepkiego lokaja, jak to jest na przykład u Mo-zera. U mnie interesantów wpuszcza kucharka. Ale w naszym zawodzie niepodobna obywać się - na wszelki wypadek - bez środków samoobrony, więc miałem w domu nabity rewolwer. Żona w pierwszych dniach po zamieszkaniu u mnie wielce się tym rewolwerem interesowała, wypytywała mnie i nawet wyjaśniłem jej mechanizm, i wtajemniczyłem w działanie, i w końcu namówiłem ją, by raz wystrzeliła do celu. Proszę to wszystko zapamiętać. Nie zwracając uwagi na jej wystraszoną minę, na pół rozebrany położyłem się do łóżka. Byłem ogromnie osłabiony. Dochodziła jedenasta. Ona nadal siedziała na tym samym miejscu, bez ruchu, jeszcze bez mała godzinę, następnie zdmuchnęła świecę i - również nie rozebrana - położyła się na kanapie przy ścianie. Po raz pierwszy nie ze mną; to także zechciejcie zauważyć...

VI. OKROPNE WSPOMNIENIE

Kolej teraz na to okropne wspomnienie.

Obudziłem się rankiem - zdaje się po siódmej; w pokoju było już zupełnie jasno. Ocknąłem się od razu - całkiem

przytomny - i nagle otworzyłem oczy. Ona stała obok stołu i trzymała w rękach rewolwer. Nie wiedziała, że się obudziłem i że patrzę. Wtem spostrzegam, że zaczyna się ku mnie zbliżać z tym rewolwerem w ręce. Spiesznie zamknąłem oczy, udając głęboko uspiętego.

Doszła do łóżka i stanęła nade mną. Słyszałem wszystko: chociaż zapanowała grobowa cisza, przecie słyszałem tę ciszę. Nagle wyczułem jakiś jej kurczowy ruch - niepowstrzymanie, mimo woli, odemknąłem powieki: patrzyła mi prosto w oczy, a rewolwer znajdował się tuż przy mojej skroni. Spojrzenia nasze spotkały się. Ale patrzeliśmy na siebie zaledwie chwilę. Zmusiłem się do zamknięcia oczu i w tymże momencie - całą siłą woli - postanowiłem, że już się więcej nie poruszę i nie rozewrę powiek - cokolwiek mnie czeka.

Rzeczywiście zdarza się, że ktoś pogrążony w głębokim śnie nagle odmyka oczy, nawet na chwilę unosi głowę i rozgląda się po pokoju, i zaraz potem, straciwszy świadomość, znowu kładzie głowę

na poduszce i zasypia, nic nie pamiętając. Otóż kiedy zetknąwszy się z jej spojrzeniem i poczuwszy lufę rewolweru przy skroni szybko zamknąłem ponownie oczy, nie poruszając się, jak gdybym spał głęboko, ona z pewnością mogła przypuścić, że ja naprawdę śpię i że nie widziałem nic, zwłaszcza że byłoby wręcz nieprawdopodobne, abym zobaczywszy to, co zobaczyłem, w takim momencie ponownie zamknął oczy.

Tak, to było nieprawdopodobne! Ale jednak mogła była także odgadnąć prawdę - to mi właśnie w owej chwili przemknęło w umyśle. Och, jakież wicher myśli i doznań zakłębił się we mnie! Pochwalona niechaj będzie elektryczność myśli człowieczej! W takim wypadku (tak to wyczułem), jeżeli odgadła prawdę i wie, że nie śpię - to już ją zmiażdżyłem tą swoją gotowością poniesienia śmierci i dłoń jej może zdrzeć. Dawne zdecydowanie może runąć w zetknięciu się z tym nowym doznaniem. Powiadają, że kiedy się stoi gdzieś wysoko, coś nas jak gdyby ciągnie w dół, w przepaść. Myślę, że do niejednego samobójstwa albo zabójstwa doszło jedynie dlatego, że rewolwer był już w ręce. Tutaj także bezdeń, pochyłość czterdziestopięciostopniowa, z której niepodobna się nie stoczyć, i coś nas nieodparcie skłania do spuszczenia kurka. Jednakże świadomość, że wszystko widział, że wiem wszy-

761

stko i w milczeniu oczekuję śmierci, którą mi zada - ta świadomość mogła była ją powstrzymać na pochyłości.

Cisza przeciągała się i nagle przy skroni, u nasady włosów, poczułem chłód stali. Spytacie: czy miałem niezłomną nadzieję ocaleć? Odpowiem jak przed Bogiem: nie miałem żadnej nadziei oprócz chyba jednej szansy na sto.

Czemu godziłem się na śmierć? Odpowiem pytaniem: a po cóż mi było żyć z chwilą, gdy uwielbiana istota przytknęła mi do skroni rewolwer? Nadto wiedziałem - byłem tego świadom wszystką mocą mego jestestwa - że w tym momencie odbywa się między nami walka, straszliwy pojedynek na śmierć i życie, pojedynek owego właśnie wczorajszego tchórza za małoduszność wypędzonego przez swych towarzyszków. Wiedziałem to i ona to wiedziała - jeśli tylko odgadła prawdę, że nie śpię.

Może zresztą tak nie było, może wtedy nawet tak nie rozumowałem, ale przecież to wszystko musiało tak być - niechby i bez tych myśli - ponieważ później w każdej godzinie swego życia właśnie o tym tylko myślałem.

Lecz gotowicie zapytać: czemu to nie uchroniłem jej od popełnienia występku? Och, ja sobie sam później po tysiącokroć to pytanie zadawałem za każdym razem, gdy przejęty dreszczem wspominałem ową sekundę. Ale moja dusza tonęła w mroku rozpaczki: ginąłem, sam ginąłem; kogóż tedy byłbym mógł ratować? No i skąd wiecie, czy kogokolwiek ratować wtedy chciałem? Skąd można wiedzieć, co wtedy mogłem odczuwać?

Świadomość jednak kipiała; mijały sekundy, trwała martwa cisza; ona wciąż stała nade mną - i oto nagle drgnąłem, tknięty nadzieją. Spiesznie otwarłem oczy. Jej nie było już w pokoju. Wstałem z łóżka: zwyciężyłem - została pokonana na wieki!

Podszedłem do samowara. Herbatę podawano u nas zawsze w pierwszym pokoju, przy czym nalewała ją żona. Usiadłem za stołem w milczeniu i wziąłem podaną przez nią szklanekę. Po upływie pięciu minut spojrzałem na nią. Była okropnie blada, jeszcze bledsza niżeli wczoraj, i patrzyła na mnie. I z nagłą, z nagłą, widząc, że na nią patrzę, blado uśmiechnęła się bladymi wargami z nieśmiałym w oczach pytaniem. Widać jeszcze ma wątpliwości i medytuje: „czy on wie, czy nie, widział, czy też nie widział?” Obojętnie odwróciłem od niej

wzrok. Po herbacie zamknąłem kasę, poszedłem na rynek i kupiłem żelazne łóżko oraz parawan. Po powrocie do domu kazałem łóżko postawić w sali i odgrodzić parawanem. To łóżko było

przeznaczone dla niej, ale nic jej nie powiedziałem. Lecz na widok tego łóżka zrozumiała bez słów, że „widziałem i wiem wszystko” i że nie ma już wątpliwości. Na noc zostawiłem rewolwer jak zwykle na stole. Ona w milczeniu położyła się do nowego łóżka: małżeństwo było rozerwane, ona „pokonana, ale nie ułaskawiona”. W nocy popadła w majaczenia, a rankiem dostała gorączki. Przeleżała całe sześć tygodni.

ROZDZIAŁ DRUGI

I. SEN DUMY

Łukieria z miejsca oświadczyła, że mieszkać u mnie nie będzie i gdy tylko panią pochowają, odejdzie. Modliłem się na klęczkach przez pięć minut, a chciałem się modlić przez całą godzinę, ale bez przerwy rozmyślałem, rozmyślałem, i gorzkie myśli wciąż się cisną, i głowa boli: jakże tu się modlić? Grzech tylko! Dziwne też, że mi się nie chce spać: kiedy przeżywamy wielkie, zbyt wielkie cierpienie, po pierwszych mocnych wybuchach ogarnia nas senność. Skazani na karę śmierci podobno w ostatnią noc śpią twardo. Tak też być powinno, to zgodne z prawami natury, bo inaczej by nie wytrzymali... Leżłem na kanapie, ale nie zasnąłem...

Przez sześć tygodni choroby doglądaliśmy jej dniem i nocą - ja z Łukierią oraz sprowadzona przeze mnie dyplomowana pielęgniarka. Pieniądzy nie szczędziłem i nawet rad byłem wydawać na nią. Wezwałem doktora Schródera i płaciłem mu po dziesięć rubli za wizytę. Gdy odzyskała przytomność - ukazywałem się przed nią rzadziej. A zresztą po cóż to opisywać? Kiedy już wstała z łóżka - to cichutko i w milczeniu usiadła w moim pokoju przy osobnym stole, który wtedy dla niej kupiłem... Tak, to prawda, trwaliśmy w zupełnym milczeniu, to jest później zaczęliśmy nawet mówić, tyle że • jedynie o sprawach powszednich. Ja, ma się rozumieć, wypowiadałem się lakonicznie, ale doskonale zauważyłem, że i jej dogadzała małowówność. Wydało mi się to z jej strony całkiem naturalne. „Jest zbyt wstrząśnięta i dostatecznie poko-

nana - rozumowałem. Trzeba koniecznie pozwolić jej zapomnieć i przywyknąć.” Tak tedy milczeliśmy oboje, ale ja wciąż się przygotowywałem wewnątrz na spotkanie przyszłości. Sądziłem, że i w niej dzieje się to samo i ogromnie mnie intrygowało odgadywanie: o czym też teraz myśli?

Dodam jeszcze: och z pewnością nikt nie wie, com przecierpiał lamentując nad nią podczas tej choroby. Lecz te lamenty dławilem w piersi kryjąc się z nimi nawet przed Łukierią. Nie mogłem sobie wyobrazić, nawet przypuścić nie mogłem, żeby ona miała umrzeć nie dowiedziawszy się wszystkiego. Kiedy zaś niebezpieczeństwo minęło i zaczęła powracać do zdrowia - nader szybko, pamiętam, uspokoiłem się. Nie dość na tym: postanowiłem odłożyć naszą przyszłość na możliwie daleki termin, a na razie wszystko pozostawić w nie zmienionym kształcie. Tak, zaszło wtedy we mnie coś osobliwego, niesamowitego, nie potrafię tego inaczej określić: zatriumfowałem - i to poczucie okazało się dla mnie całkowicie zadowalające. No i tak upłynęła zima. Och, byłem zadowolony jak nigdy dotychczas - i to przez całą zimę.

Bo widzicie: w moim życiu była jedna zewnętrzna okoliczność, która aż do chwili obecnej, to znaczy aż do samej kata-: strofy z żoną, co dzień i o każdej godzinie uciskała mnie, mianowicie utrata reputacji i owo opuszczenie pułku. Mówiąc krótko: tyrańska niesprawiedliwość, jaka mnie spotkała. Wprawdzie koledzy nie lubili mnie z powodu mego ciężkiego, a może też śmiesznego charakteru, choć przecie nieraz tak bywa, że to, co dla nas jest wzniosłe, święte i czcigodne - zarazem, nie wiedzieć czemu, śmieszy naszych towarzyszy. Ach, nie lubiono mnie nawet w szkole. Wszędzie i zawsze byłem nie lubiany. Nawet Łukierią nie może się do mnie przekonać. Owa zaś sprawa w pułku - chociaż była wynikiem antypatii względem mnie - miała charakter niewątpliwie przypadkowy. Zaznaczam to dlatego, że nic tak nas nie boli i nie gnębi jak to, kiedy padamy ofiarą

przypadku, który mógł się zdarzyć albo i nie zdarzyć, wskutek fatalnego zbiegu okoliczności, który mógł nas ominąć niczym chmura. Dla istoty rozumnej stanowi to poniżenie. A zdarzenie było następujące:

W teatrze, podczas antraktu, zaszedłem do bufetu. Huzar A-w, wszedłszy nagle, wszczął w obecności znajdujących się tam oficerów głośną rozmowę z dwoma kolegami-huzaranii,

765

opowiadając, jak to w kuluarach kapitan naszego pułku Bie-zumcew przed chwilą wywołał skandal i że „wygląda na pijanego”. Rozmowa rychło się urwała, bo i sama wiadomość była błędna, gdyż kapitan Biezumcew nie był pijany, i skradła w gruncie rzeczy nie okazał się skandalem. Huzarzy poczęli rozmawiać na inne tematy, no i incydent się skończył; aliści nazajutrz plotka dotarła do naszego pułku i zaraz zaczęto gadać, że z naszego pułku znalazłem się tam tylko ja jeden, i że kiedy huzar A-w wyraził się obraźliwie o kapitanie Biezum-cewie, nie podszedłem do A-wa, by go odpowiednim wystąpieniem poskromić. Ale po cóż miałem to uczynić? Jeżeli żywił urazę do Biezumcewa, była to ich osobista sprawa: czemuż miałbym się do tego mieszać? Tymczasem oficerowie doszli do przekonania, że nie była to sprawa osobista, lecz zahaczająca także o pułk, a że z oficerów tego pułku byłem na placu tylko ja - tym samym dowiodłem wszystkim obecnym w bufecie oficerom i cywilom, że w naszym pułku trafiają się oficerowie niezbyt wrażliwi na punkcie własnego i pułkowego honoru. Na taką interpretację nie chciałem przystać. Wtedy dano mi do zrozumienia, że mogę jeszcze wszystko naprawić, jeżeli przynajmniej teraz - lubo trochę późno - zgodzę się zażądać od A-wa formalnych wyjaśnień. Na to się nie zgodziłem, a tak byłem rozdrażniony, że odmówiłem z dumą. Po czym niezwłocznie złożyłem podanie o dymisję. Oto cała sprawa. Wszedłem z niej z godnością, niemniej, wszakże wewnętrznie zdruzgotany, z roztrzęsioną wolą i umysłem. A wtedy właśnie zdarzyło się, że mąż mojej siostry w Moskwie przetrwoniał nasz skromny majątek - włącznie z moją mizerną częstką - tak iż znalazłem się bez grosza przy duszy na bruku. Miałem wprawdzie możliwość pójścia na prywatną posadę, ale nie uczyniłem tego: zaszczytnego munduru nie chciałem zamienić na jakąś kolejarską bluzę. No i - jak wstyd, to wstyd, jeśli hańba to hańba, skoro upadek, niechaj będzie upadek i im gorzej, tym lepiej - oto co wybrałem. Nastąpiło trzylecie ponurych przeżyć i nawet pobyt w przytułku Wiaziemskiego. Półtora roku temu umarła w Moskwie bogata staruszka, moja chrzestna matka, i nieoczekiwanie wśród innych zapisów znalazło się w jej testamencie i dla mnie trzy tysiące rubli. Po krótkim namyśle zdecydowałem wtedy o swoich losach. Postanowiłem założyć prywatny łom-

bard, nie zabiegając o łaskę bliźnich: pieniądze, potem własny kąt i... nowe życie, z dala od dawnych napomnień. Oto był mój plan. Ale ciemna przeszłość i na zawsze zepsuta opinia dręczyły mnie nieustannie. No i wtedy ożeniłem się. Przypadkiem czy nie - nie wiem. Tyle tylko, że wprowadzając ją do swego domu sądziłem, że wprowadzam przyjaciela, a właśnie przyjaciel był mi nade wszystko potrzebny. Ale rozumiałem dobrze, iż tego przyjaciela należy przysposobić, urobić i wręcz ujarzmić. A czyż cokolwiek z tego mogłem tak z miejsca wyłożyć tej uprzedzonej do mnie szesnastolatce? Jakże bym na przykład potrafił - bez przypadkowej pomocy, jaką mi zesłała owa straszliwa scena z rewolwerem - przekonać ją, że nie jestem tchórzem i że w pułku niesprawiedliwie zarzucano mi tchórzostwo? Ale katastrofa nastąpiła w porę. Wytrzymałszy groźbę rewolweru, wziąłem odwet za całą swą ponurą przeszłość. I chociaż nikt o tym nie myślał, wiedziała to ona - a to było dla mnie wszystkim, gdyż ona sama wszystkim dla mnie była, całą nadzieją moich rojeń o przyszłości! Ona była jedynym człowiekiem, którego hodowałem dla siebie, a innych nie potrzebowałem - i oto dowiedziała się wszystkiego: tego w każdym razie, że niesłusznie postąpiła przystając do moich wrogów. Upajałem się” tą myślą. W jej oczach nie mogłem już być nieczemnikiem, mogła mnie tylko uważać ot za... dziwaka; ale i ta myśl teraz, po wszystkim, co zaszło, wcale mi nie była przykra: dziwność nie jest grzechem, lecz przeciwnie, niekiedy podbija kobiecą naturę. Jednym słowem, rozmyśliłem podsumowanie: to, co się dokonało, wystarczało aż nadto dla mojego spokoju oraz zawierało zbyt wiele obrazów i tworzywa

dla moich marzeń. W tym właśnie sęk, że jestem marzycielem; miałem sam materiału pod dostatkiem, o niej zaś myślałem: że poczeka.

Tak minęła zima - w jakimś czegoś tam oczekiwaniu. Lubiłem ukradkiem przyglądać się jej, siedzącej przy swoim stoliku. Zajmowała się szyciem, naprawą bielizny, a czasem wieczorami czytała książki, które brała z mojej szafy. Dobór tych książek również powinien był przemawiać na moją korzyść. Nie wychodziła prawie nigdzie. Po obiedzie, przed zapadnięciem zmierzchu, wyprowadzałem ją co dzień na przechadzkę; odbywaliśmy te spacerunki już nie, jak dawniej, w cał-

767

kowitym milczeniu. Ja mianowicie dokładałem starań, aby wyglądało, że rozmawiamy zgodnie, ale, jak już wspomniałem, oboje baczyliśmy, żeby się raczej zbyt szeroko nie rozwodzić. Ja czyniłem to umyślnie, przy czym uważałem, że jej należy: koniecznie „dać czas”. Ma się rozumieć, dziwne to, iż prze: całą zimę ani razu nie przyszło mi na myśl, że lubię ukradkiem się jej przyglądać, a przez całą zimę nie pochwyciłem ani jed nego jej spojrzenia skierowanego ku mnie! Przepisywałem to jej nieśmiałości. Zwłaszcza że po chorobie miała tyle lęklivej pokory, tyle beżsiły. Nie, lepiej poczekać i - „i nagle sama do ciebie podejdzie...”

Ta myśl zachwycała mnie nieodparcie. Dodam jeszcze jedno: niekiedy jakby naumyślnie sam się rozdrażniałem i rzeczywiście doprowadzałem się do tego, iż, rzekłoby się, żywiłem do niej urazę. I tak się to ciągnęło przez jakiś czas. Ale nienawiść nigdy nie mogła dojrzeć i ugruntować się w mej duszy. Sam przy tym czułem, że to tylko jakaś gra. Ależ i wtedy nawet, chociaż rozerwałem nasze małżeństwo, kupiwszy łóżko i parawan - nigdy wszakże, nigdy nie potrafiłem spojrzeć na nią jako na zbrodniarkę. I nie dlatego, że niepoważnie osądziłem jej przestępstwo, lecz dlatego, że zamierzałem przebaczyć jej całkowicie od pierwszego dnia, jeszcze nawet zanim kupiłem to łóżko. Słowem, jest to u mnie osobliwe, albowiem mam surowe zasady moralne. Poza tym w moich oczach ona była tak pogiębiona, tak upokorzona, tak zmiążdżona, że się nad nią chwilami boleśnie litowałem, aczkolwiek przy tym wszystkim wyraźną przyjemność sprawiała mi myśl o jej poniżeniu. Podobało mi się poczucie naszej nierówności...

Owej zimy zdarzyło mi się rozmyślnie spełnić kilka dobrych uczynków. Dwu klientom umorzyłem należności, jakiejś ubogiej kobiecie wypłaciłem pieniądze bez żadnego zastawu. I nie powiedziałem o tym żonie - a uczyniłem to wcale nie po to, żeby się o tym dowiedziała, tylko owa kobiecina sama przyszła dziękować nieomal na klęczkach. W ten sposób rzecz wyszła na jaw; wydało mi się, że wiadomość o tej sprawie moja żona przyjęła z zadowoleniem.

Ale nadciągała wiosna, była już połowa kwietnia, z okier. wyjęto podwójne szyby i słońce jęło jasnymi wiązkami promieni rozświecać nasze głuche pokoje. Lecz zasłona wisiała nade mną i zaciemniała mi oczy. Złowieszcza, straszliwa za-

768

słona. Jak to się stało, że raptem spadła z moich oczu i że

nagle przejrzał, i wszystko zrozumiał? Czy stało się to przypadkowo, czy dzień taki nadszedł szczególnie, czy promień słoneczny rozniecił myśl i domysł w mojej otępiełej głowie?

Nie, nie myśl, nie domysł tu zabłysnął, lecz z nagła zadrgała jedna żyłka, z dawna zamarała, zadrgała i ożyła, i olśniła całą moją otępiełą duszę. Wtedy zupełnie jakbym nagle zerwał się z miejsca... Bo też wydarzyło się to nagle i niespodzianie.

A wydarzyło się to po obiedzie, pod wieczór, około godziny piątej.

II. ZASŁONA NAGLE OPADŁA

Dwa słowa wstępu. Już od miesiąca spostrzegałem w niej osobliwe zadumanie - nie tyle milkliwość, ile jakieś zamyślenie. To także stwierdziłem nagle. Siedziała wtedy nad fobotą, z głową pochyloną, i nie wiedziała, że na nią patrzę. I oto zdumiało mnie, że stała się tak szczuplutka, wychudzona; twarzyczka pobladła, wargi zbieleły, wszystko to razem, w połączeniu z zadumą, od razu wielce mnie zafrapowało. Już i dawniej słyszałem jej drobny suchy kaszel, szczególnie po nocach. Natychmiast wstałem i, nic nie powiedziawszy, poszedłem zamówić wizytę doktora Schródera.

Zjawił się nazajutrz. Ona mocno się zdziwiła, spoglądając to na lekarza, to na mnie.

- Ależ jestem zdrowa - rzekła z niewyraźnym uśmiechem.

Schróder zbadał ją nie nazbyt dokładnie (ci lekarze bywają niekiedy lekceważąco niedbali) i w drugim pokoju zakomunikował mi tylko, że to pozostałość po przebytej chorobie i że na wiosnę warto by wyjechać gdzieś nad morze albo, jeżeli to niemożliwe, po prostu na podmiejskie lotnisko. Słowem, nic nie powiedział prócz tego, że skonstatował osłabienie czy coś „tam takiego. Po jego odejściu żona, patrząc na mnie z ogromną powagą, powtórzyła:

- Jestem zupełnie zdrowa.

Po tych słowach jednakże raptownie się zarumieniła, najwidoczniej ze wstydu. Ach, teraz rozumiem: wstyd jej było, że ja - będąc jeszcze jej mężem - troszczyć się o nią tak,

7fiQ

,i ŁŁ,! ITT VJ-7

jak gdybym był nim faktycznie. Ale wtedy nie zrozumiałem i rumieniec przypisałem pokorze. (Zasłona!)

I oto w miesiąc później, o godzinie piątej, w jasny słoneczny dzień kwietniowy siedziałem przy kasie, sprawdzając rachunki. Wtem słyszę, że ona - tam obok, w naszym pokoju, przy swym stoliku z roBótką - cichutko zaśpiewała. Nowość ta wywarła na mnie wstrząsające wrażenie i do dziś nie potrafię tego pojąć. Dotychczas prawie nigdy nie słyszałem jej śpiewu, chyba tylko może w pierwszych dniach, gdy ją był wprowadził do swego domu i kiedy jeszcze mogliśmy zabawiać się strzelaniem do celu z rewolweru. Wtedy głos miała jeszcze dosyć silny, acz niezbyt pewny w intonacji, ale za to niezwykle miły i zdrowy. Teraz zaś piosenka brzmiała tak słabiotko - och, nie szczególnie żałośliwie (był to jakiś romans), ale, rzekłbyś, głos był jakiś nadpęknięty, złamany, jak gdyby ten głosik nie mógł dać sobie rady, jak gdyby sama piosenka była chora. Żona nuciła i oto raptem na wysokiej nucie głos jej się oberwał - taki wątły był ten głosik, tak smętnie opadł; odkaszlnęła i znów cichutko zaśpiewała...

Moje wzruszenia wydadzą się śmieszne, ale nikt nigdy nie zrozumie, czemu się przejąłem! Nie, jeszcze się nad nią nie litowałem, to było coś całkiem innego, początkowo, przynajmniej w pierwszych minutach, wystąpiło nagle zmieszanie i straszliwe zaskoczenie, straszne i niesamowite, bolesne i nieomal mściwe: „Śpiewa, i to przy mnie! Zapomniała o mnie czy co?”

Wstrząśnięty do głębi trwałem na miejscu, potem nagle wstałem, nałożyłem kapelusz i wyszedłem jak błędny. W każdym razie nie wiem po co i dokąd. Łukieria podała mi palto.

- Śpiewa? - spytałem mimowolnie. Łukieria patrzyła na mnie, nie pojmując o co chodzi. Bo też istotnie nie sposób było mnie zrozumieć.

- Pierwszy raz śpiewa?

- Nie, kiedy pana nie ma, czasem śpiewa.

Pamiętam wszystko. Zszedłem po schodach, znalazłem się na ulicy i ruszyłem bez celu przed

siebie. Przystanąłem na rogu i rozejrzałem się wokół. Mijano mnie, potracano; nie czułem nic. Skinąłem na dorozkarcza i kazałem się zawieźć - nie wiem po co - na Policejskiej Most; potem nagle zrezygnowałem i rzuciłem mu dwudziestokopiejkówkę.

770

- Masz tu za fatygę - powiedziałem śmiejąc się do niego bezmyślnie, ale serce wezbrało mi jakimś nagłym zachwytem.

Przyśpieszywszy kroku, wróciłem do domu. Nadpękmeta, żalosna, urwana nutka raptem znowu zadźwięczała w mej duszy. Brakło mi tchu. Opadała, opadała z oczu zasłona! Skoro przy mnie zaśpiewała - snadź zapomniała o mnie, oto co było jasne i straszne. To czuło moje serce. Jednak w duszy promieniał zachwytem przemagając trwogę.

O, ironio losu! Wszak nic innego nie było i nie mogło być w mojej duszy - prócz owego właśnie zachwytem, tylko gdzież ja sam byłem w ciągu owej zimy? Alboż to byłem ja?

Wbiegłem po schodach w wielkim pośpiechu; nie wiem, czym wszedł nieśmiało... To tylko pamiętam, że podłoga zdawała się falować, a ja jak gdybym płynął po rzece. Wszedłem do pokoju: siedziała na tym samym miejscu, przechyliwszy głowę, ale już nie śpiewała. Zerknęła ku mnie przelotnie i bez zaciekawienia; lecz nie było to nawet spojrzenie - ot jedynie odruch, zwykły i obojętny, kiedy ktokolwiek wchodzi do pokoju.

Podszedłem wprost do niej i usiadłem obok na krześle; byłem jak niespełna rozumu. Ona obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem, jakby przeląkła się; ująłem jej dłoń i nie pamiętam, co powiedziałem, to jest, co chciałem powiedzieć, gdyż nie byłem zdolny mówić dorzecznie. Głos mi się załamywał i odmawiał posłuszeństwa. A zresztą nie wiedziałem, co powiedzieć, i tylko krztusiłem się.

- Porozmawiamy... wiesz... powiedz cokolwiek! - nagle wybąkałem głupawo; och! alboż mi w głowie były mądrości? Ona znowu drgnęła i odsunęła się, mocno wystraszona spojrzała na moją twarz, lecz nagle w jej oczach odmalowało się surowe zdziwienie. Tak, zdziwienie, surowe. Patrzyła na mnie rozszerzonymi oczyma. Ta surowość, to surowe zdziwienie, z miejsca mnie zdruzgotały: „Więc chcesz jeszcze miłości? Miłości?” - wystąpiło w tym jej zdziwieniu pytanie, chociaż trwała w milczeniu. Lecz ja wszystko odczytałem. Zatrząsałem się cały i przypadłem do jej nóg. Tak, runąłem do jej nóg. Poderwała się gwałtownie, ale bardzo mocno przytrzymałem jej obie ręce.

I pojmo wałem, ach, pojmo wałem w pełni własną rozpacz! Ale czy uwierzycie? - uniesienie kipiało w moim sercu tak

„ 771

nieodparcie, iż myślałem, że umrę. W upojeniu i szczęściu całowałem jej stopy. Tak, w szczęściu bezmiernym i bezgranicznym - a zarazem ze świadomością całej beznadziejności mej rozpacz! Płakałem. Mówiłem coś, ale nie mogłem mówić. W niej lęk i zdumienie nagle ustąpiły miejsca jakiemuś zatroskaniu, jakimś niesamowitym pytaniem; patrzyła na mnie dziwnie, nawet dziko, usiłowała coś czym prędzej pojąć i uśmiechnęła się. Ogromnie była zażenowana, że całuję ją po nogach i usuwała je, lecz ja wtedy całowałem to miejsce na podłodze. Widziała to i ze wstydu nagle zaczęła się śmiać (wiecie, jak to bywa, że ktoś śmieje się ze wstydu); nadciągał wybuch hysterii, widziałem, jak drgają jej ręce - i nie myślałem o tym, i wciąż bełkotałem, że ją kocham, że nie wstanę i: „pozволь mi całować twoją sukienkę... tak, przez całe życie modlić się do ciebie...” Nie wiem, nie pamiętam - nagle ona zatrząsała się i wybuchnęła łkaniem: nastąpił okropny atak hysterii wywołany przerażeniem, jakie w niej wzbudziłem.

Przeniosłem ją na łóżko. Kiedy atak minął, przysiadła na krawędzi i - z wyrazem ogromnego przygnębienia - schwyciła obie moje dłonie prosząc, bym się uspokoił.

- Zapanuj nad sobą, nie męcz się, weź się w garść! - i znowu w płacz.

Nie opuściłem jej w ciągu całego owego wieczora. Wciąż jej mówiłem, że zawiozę ją do Boulogne, żeby się kąpała w morzu, teraz zaraz, za dwa tygodnie, że ma taki nadpęknięty głosik, słyszałem przecież... że zlikwiduję kasę, sprzedam Dobronrawowowi, że zaczniemy wszystko na nowo, a przede wszystkim do Boulogne! Słuchała wciąż zalękniona. Bała się jeszcze bardziej. Ale ja nie tym byłem najgłębiej przejęty, lecz tym, że coraz mocniej odżywało we mnie nieustępliwe pragnienie leżenia u jej nóg i znów chciałem całować, całować miejsce, gdzie stoją jej nogi, i modlić się do niej, i „nic ponadto, nic od ciebie nie zażądam” powtarzałem co chwila. Nic mi nie odpowiadaj, nie zauważaj mnie wcale i pozwól tylko z ubocza patrzeć na ciebie, uczyni mnie swoją rzeczą, pieskiem...

Płakała.

- A ja myślałam, że zostawisz mnie tak - wymknęło się jej z nagła mimo woli - tak dalece mimo woli, że może zgoła nie spostrzegła, kiedy to powiedziała, gdy tymczasem- och! to była najważniejsza, najbardziej rozstrzy-

772

gająca i najbardziej dla mnie zrozumiała wypowiedź, która mnie niby nożem dźgnęła w serce! Te słowa wszystko mi wyjaśniły, lecz dopóki miałem ją tu obok, przed oczyma, żywiłem niezłomną nadzieję i byłem niezmiernie szczęśliwy. Ach, okrutnie znużyłem ją owego wieczora, zdawałem sobie z tego sprawę, ale nieustannie sądziłem, że wszystko natychmiast przekształcę. Wreszcie, z nadejściem nocy, osłabła ostatecznie; wtedy namówiłem ją, by zasnęła - i z miejsca zapadła w głęboki sen. Przewidywałem malignę i rzeczywiście wystąpiła, chociaż bardzo lekka. W nocy niemal co chwila wstawałem, cichutko, w pantoflach podchodziłem, żeby na nią patrzeć. Załamywałem nad nią ręce, patrząc na tę chorą istotę na lichym żelaznym łóżeczku (które dla niej kupiłem za trzy ruble). Klękałem przed nią, ale nie śmiałem całować jej nóg (bez jej wiedzy!), gdy spała. Próbowalem modlić się do Boga, lecz się znów zrywałem. Łukieria coraz wychodziła z kuchni i przyglądała mi się. Wstąpiłem do niej i powiedziałem, żeby się położyła, i że jutro zacznie się „całkiem coś innego”.

I wierzyłem w to, wierzyłem ślepo, szaleńczo. Ach, tonąłem w zachwycie, w upojeniu! Wyczekiwałem tylko tego jutra. Przede wszystkim - wbrew wszelkim symptomatom - nie obawiałem się żadnego nieszczęścia. Nie odzyskałem w pełni rozeznania - chociaż zasłona spadła mi z oczu - i to rozeznanie długo, długo nie powracało, och, aż do dziś, aż do dzisiejszego dnia! Bo też jak mogło powrócić: przecież ona wtedy jeszcze żyła, była tuż przede mną, a ja byłem przed nią: „Jutro się obudzi, a ja jej wszystko powiem i ona wszystko zobaczy.” Oto moje ówczesne rozumowanie - puste i jasne- stąd to upojenie! Najważniejszą sprawą była owa podróż do Boulogne. Nie wiedzieć czemu wciąż myślałem, że Boulogne - to wszystko, że w Boulogne zawiera się coś ostatecznego: „Do Boulogne, do Boulogne!” Oblędnie oczekiwałem ranka.

III. ZBYT WIELE ROZUMIEM

A przecież to nastąpiło zaledwie przed kilku dniami, przed pięcioma, wszystkiego pięcioma dniami - w ubiegły wtorek! Nie, nie, gdyby jeszcze tylko trochę czasu, gdyby jeszcze

773

choć odrobinę odczekała... byłbym rozproszył mrok! Czyż się bowiem nie uspokoiła? Wszak zaraz nazajutrz - mimo zmieszania - słuchała mnie z uśmiechem... Sedno właśnie w tym, że przez cały ten czas, w ciągu pięciu dni, była zmieszana i zawstydzona. Bała się także, bardzo się bała. Ja się nie

- spu-ram, nie myślę zaprzeczać jak wariat: była wystraszona, ale czyż mogła się nie lękać? Przecież od tak dawna staliśmy się sobie obcy wzajem, takeśmy odwykli jedno od drugiego - a tu raptem to wszystko... Ale nie dostrzegałem jej trwogi, nowość promieniowała!... To prawda, prawda bezsporna, że popełniłem błąd. I może nawet sporo błędów. Ot, ledwo zbudziwszy się, zaraz z samego ranka (to było w środę) popełniłem „mvłkę: z miejsca uczyniłem ją swym przyjacielem. Pośpieszyłem się, zanadto się pośpieszyłem, ale przecież spowiedź była potrzebna, niezbędna - co mówię: więcej niżeli spowiedź! Nie zataiłem nawet tego, co wręcz sam przed sobą ukrywałem. Otwarcie wyznałem, że przez całą zimę o tym jt-dnym tylko myślałem, że byłem przeświadczony, iż mnie kocha. Wyjaśniłem jej, że kasa pożyczkowa była jedynie następstwem upadku mojej woli i umysłu, samoudręczenia i samochwalby. Wytłumaczyłem jej, że wtedy w bufecie rzeczywiście stchórzyłem; winna temu moja natura, moja podejrzliwość: wstrząsnęły mną okoliczności, to otoczenie, ten bufet, myśl: jakże tak z nagle wystąpię, czy to nie wypadnie głupio? Stchórzyłem nie przed pojedynkiem, tylko przed myślą: czy to nie wypadnie głupio... A potem... to już nie chciałem się przyznać, no i dręczyłem wszystkich, i ją też zdręczałem, aż się z nią ożeniłem, żeby ją za to dręczyć. W ogóle mówiłem przeważnie jak w gorączce. Ona sama brała mnie za ręce i prosiła, abym przestał :

- Przesadzasz... zamęczasz się! - i znów zaczynały się łkania, znowu groziły ataki nerwowe! Ustawicznie prosiła, żebym o tym wszystkim nie mówił i nie wspominał.

Ja na te prośby nie zwracałem uwagi wcale albo prawie u całe: wiosna, Boulogne, Boulogne! Tam słońce, tam nowe nasze słońce - o tym tylko mówiłem. Zamknąłem kasę,

-prawy przekazałem Dobronrawowowi. Nagle zaproponowałem jej, że wszystko rozdamy ubogim oprócz kapitału podstawowego, owych trzech tysięcy odziedziczonych po chrzestnej matce, za które pojechalibyśmy do Boulogne, a potem wrócimy

774

i rozpoczniemy nowe pracowite życie. Tak też zdecydowaliśmy - ponieważ ona nie powiedziała nic... Tylko się uśmiechnęła. I bodaj uśmiechnęła się raczej przez delikatność, nie chcąc mnie zasmucić. Toż wiedziałem, że jej ze mną ciężko, nie myślcie, że byłem aż takim głupcem i takim egoistą, żeby tego nie widzieć. Widziałem wszystko, wszystko, do ostatniego drgnienia, widziałem i wiedziałem lepiej od kogokolwiek; cała moja desperacja była widoczna.

Opowiadałem jej wszystko o sobie i o niej. I o Łukierii. Mówiłem, że płakałem... Och, zmieniałem ton rozmowy, ja też starałem się nie poruszać wcale niektórych tematów. I ona przecież ożywiła się raz czy drugi, ja to pamiętam, pamiętam! Czemuż, powiadacie, że patrzyłem na wszystko i nic nie widziałem? I gdyby tylko tamto się nie zdarzyło, toby odżyło wszystko. Wszak jeszcze dwa dni przedtem, kiedy rozmowa zatraciła o lekturę i o to, co w ciągu tej zimy przeczytała - ona też mówiła i śmiała się wspominając dialog Gil Blasa z arcybiskupem Grenady. A był to taki dziecinny śmiech, przemity, taki sam jak dawniej, za czasów narzeczeństwa (moment! mgnienie!). Jakże się cieszyłem! Zresztą zdziwiłem się ogromnie, słysząc ją wspominającą o arcybiskupie; snadź jednak znalazła w sobie tyle spokoju ducha i tyle szczęśliwości, żeby się zaśmiewać nad literackim arcydziełem, siedząc ze mną w tym pokoju. Widać więc poczynała się już uspokajać całkowicie, w pełni zaczynała ufać, że ją pozostawię tak. „Myślałam, że zostawisz mnie tak” - oto były jej słowa wypowiedziane we wtorek! Ach, toż to była myśl dziesięcioletniej dziewczynki! I przecież wierzyła, że wszystko istotnie pozostanie tak samo: ona przy swoim stole, ja przy swoim - i tak oboje aż do sześćdziesięciu lat. A tu raptem podchodzi do niej mąż i ten mąż pragnie miłości! Ach, co za nieporozumienie, jakaż moja ślepotą!

Błędem także było to, że patrzyłem na nią z zachwytem: należało się opanować, gdyż zachwyty budził lęk. Ale wszakże się opanowałem, już jej nie całowałem po nogach. Ani razu nie okazałem, że... no, że jestem mężem - och, nawet w moich myślach tego nie było; ja się tylko modliłem. Jednakże niepodobna było przecież całkiem milczeć, nie sposób było nie mówić wcale! W pewnym

momencie wyznałem, że rozkoszuję się rozmową z nią i że uważam, iż ona stoi bez porównania

775

wyżej ode mnie pod względem wykształcenia i kultury. Wtedy mocno się zaczerwieniła i zażenowana powiedziała, że przesadzam. Wtedy - nedorzecznie i nie mogąc się powstrzymać - opowiedziałem, w jakim byłem zachwycie, kiedy ukryty za drzwiami przysłuchiwałem się pojedynkowi jej niewinności z tamtą kreaturą i jak podziwiałem jej rozum i błyskotliwość dowcipu w połączeniu z taką dziecięcą prostotą. Ona jak gdyby drgnęła, wybąkała coś tam znowu, że przesadzam, lecz nagle spochmurniała twarz zasłoniła dłońmi i załkała... Wtedy nie zdołałem się pohamować: znów przypadłem do jej nóg i jąłem okrywać je pocałunkami, znów - jak we wtorek - skończyło się atakiem nerwowym. To było wczoraj wieczorem, a rankiem...

Rankiem! Szaleńcze, wszak ten ranek nadszedł dzisiaj, dopiero co, tylko co...

Posłuchajcie i zechciejcie rozważyć! Przecież kiedyśmy się zesзли przy herbacie (po wczorajszym ataku), ona sama wręcz zadziwiła mnie swym spokojem, oto jak było! A tymczasem ja całą noc przetrwałem w lęku po wczorajszej scenie. Aliści oto nagle ona zbliża się do mnie i splótszy dłonie powiada, że jest przestępczynią, że wie, co to znaczy, że pamięć tego przestępstwa dręczyła ją przez całą zimę i nadal teraz dręczy... Że ona zbyt wysoko ceni moją wielkoduszność...

- Będę ci wierną żoną, będę cię szanowała...

Wtenczas zerwałem się i jak szaleniec objąłem ją uściskiem! Całowałem, całowałem ją w usta, jak mąż, po raz pierwszy po naszej długotrwałej rozłące. I dlaczego - zaledwie tak niedawno temu - wyszedłem raptem na dwie godziny? Nasze paszporty zagraniczne... Ach, Boże! Niechbym tylko o pięć minut wcześniej wrócił, tylko o pięć minut!... A tu - ten tłum w naszej bramie, te zwrócone ku mnie spojrzenia... O, Boże!

Łukieria mówi (o, ja teraz za nic w świecie nie pozwolę jej odejść, ona będzie mi wszystko opowiadać), Łukieria mówi, że po moim wyjściu, a zaledwie w jakieś dwadzieścia minut przed powrotem, weszła nagle do pani - do naszego pokoju - żeby się, nie pamiętam już o co, zapytać, i zobaczyła, że obraz (ten sam obraz Matki Boskiej) jest wyjęty i ustawiony na stole, i wygląda na to, że pani się właśnie przed nim modliła.

- Co też pani?

776

- Nic, Łukierio, idź. Czekaj no, Łukierio - podeszła i pocałowała mnie.

- Czy pani teraz szczęśliwa?

- Tak, Łukierio.

- Dawno - powiadam - powinien był pan przyjść przeprosić panią... Chwała Bogu, żeście się pogodzili.

- Dobrze, Łukierio, dobrze - powiada - idź już, Łukierio.

I uśmiechnęła się, ale tak jakoś dziwnie. Tak dziwnie, że Łukieria po dziesięciu minutach wróciła, żeby się jej przyjrzeć: „Stoi pod ścianą przy samym oknie, głowę wsparła na rękę, stoi ci tak i rozmyśla. A tak głęboko zamyślona, że mnie nie usłyszała, jak tam stoję i patrzę na nią z drugiego pokoju. Widzę, że się jakby uśmiecha, stoi, myśli i uśmiecha się. Popatrzyłam ci na nią, obróciłam się cichutko, wyszłam i sama się także zamyśliłam... Wtem słyszę, że okno zostało otwarte. Zaraz poszłam przestrzec:

- Chłodno, żeby się pani nie zaziębiła...

A tu widzę, że weszła na parapet i cała tam stoi w otwartym oknie, odwrócona do mnie plecami, a w rękach trzyma obraz. Serce we mnie zamarło; wołam:

- Proszę pani, proszę pani!

Usłyszała, poruszyła się, jak gdyby miała się odwrócić do mnie, ale się nie odwróciła, tylko postąpiła krok naprzód, obraz przycisnęła do piersi i rzuciła się w dół!

To tylko pamiętam, że gdym wszedł do bramy, była jeszcze ciepła. A tu - wszyscy na mnie patrzą. Z początku coś tam wykrzykiwali, lecz nagle zamilkli i rozstępują się przede mną, a ona... ona leży z tym obrazem. Pamiętam jak skroś mgłę, że podszedłem ku niej w milczeniu i długo wpatrywałem się. Stała tam także Łukieria, a ja jej nie widziałem. Twierdzi, że mówiła do mnie. Zapamiętałem jedynie jakiegoś mieszczanina; wciąż powtarzał, że „tylko krzynka krwi wyciekła z ust, krzynka, krzynka!” i wskazywał mi tę krew - tuż obok, na kamieniu. Zdaje się, że dotknął palcem, zaplamiłem palec, patrzę nań (to pamiętam), a ten mi wciąż: „Tylko krzynka, krzynka.”

- No więc co z tego, że krzynka? - ryknąłem podobno na cały głos, wzniosłem ręce i rzuciłem się na niego...

Och, szaleństwo, szaleństwo! Nieporozumienie! Nieprawdo-podobieństwo! Niemożliwość!

777

IV. SPÓZNIŁEM SIĘ ZALEDWIE O PIĘĆ MINUT

A czyż nie tak? Czy to prawdopodobne? Czy można powiedzieć, że to możliwe? Dlaczego, po co umarła ta kobieta?

Ach wierzcie mi, ja rozumiem: ale czemu umarła - to bądź co bądź zagadka. Przeraziła ją moja miłość, zastanowiła się poważnie: przyjąć ją, czy odrzucić? I nie wytrzymała tego pytania, i wołała umrzeć. Wiem, wiem, zbędne głowić się nad tym: dała zbyt wiele obietnic, zlekła się, że ich dotrzymać nie zdoła - to jasne. Jest kilka okoliczności całkiem niesamowitych.

No bo dlaczego umarła? To pytanie bądź co bądź trwa. To pytanie stuka, stuka w moim mózgu... Byłbym ją przecie zostawił tak, gdyby zechciała, żeby tak pozostało. Ale nie uwierzyła w to, ot co! Nie, nie, kłamie: wcale nie to. Po prostu dlatego, że ze mną musiała postąpić rzetelnie: jeżeli kochać - to pełnią miłości, a nie tak jak kochałaby kupca. A że była zbyt prawa, zbyt czysta, by przystać na taką miłość, jakiej wymagał kupiec, tedy nie chciała mnie zwodzić. Nie chciała łudzić półmiłością imitującą miłość albo nawet ćwierćmiłością. Arcycuczliwe są niektóre kobiety, o tak! A ja jej chciałem zaszcześcić pełnię serca, pamiętacie? Dziwaczny pomysł!

Ogromnie mnie ciekawi: czy mnie szanowała? Nie wiem: gardziła mną, czy nie? Nie sądzę, żeby gardziła. Nader to osobliwe: dlaczego ani razu nie przyszło mi do głowy, że ona mną pogardza? Byłem jak najmocniej przeświadczony, iż jest przeciwnie - aż do tamtej chwili, kiedy spojrzała na mnie z surowym zdziwieniem. Właśnie: z surowym. Wtedy to w lot zrozumiałem, że ona mną gardzi. Zrozumiałem bezpowrotnie, na wieki! Och, niechby gardziła - chociażby przez całe życie - byleby żyła, byleby żyła! Dopiero co jeszcze chodziła, mówiła. Ani rusz nie pojmuję, że się rzuciła z okna! I skąd mogłem przypuścić - choćby na pięć minut przedtem? Zawołałem Łukierię. Ja teraz Łukierii nie odprawię za nic w świecie!

Och, mogliśmy jeszcze dojść do porozumienia. Ogromnie tylko odwykliśmy wzajem jedno od drugiego, ale czyliż nie można było na nowo się przystosować? Czemu, czemu nie mielibyśmy zbliżyć się, rozpocząć nowego życia? Ja jestem wielkoduszny, ona też - oto punkt styczności! Jeszcze tylko kilka słów, nie więcej niż dwa dni - wszystko by zrozumiała.

778

Najbardziej bolesne jest to, że to wszystko było przypadkiem, barbarzyńskim, prostackim przypadkiem. Oto klęska! Pięć minut - i moment przesunąłby się bokiem jak chmura i nigdy by jej to potem nie przyszło do głowy. I koniec byłby taki, że wszystko by zrozumiała. A teraz - znowu

puste pokoje, teraz znów samotność. Oto stuka wahadło, jemu nic do tego, jemu niczego nie żal. Nie ma nikogo - oto klęska!

Chodzę, wciąż chodzę. Wiem, wiem, nie odpowiadajcie: śmiesz was, że się skarżę na przypadek i na pięć minut. Ale to przecież oczywiste. Rozważcie to tylko: nie zostawiła nawet kartki, że - tak a tak - „proszę nikogo nie winić z powodu mojej śmierci”, jak się zawsze robi. Alboż nie mogła się zastanowić nad tym, że może sprawić kłopot nawet Łukierii: „Sama przy niej byłaś, no i wypchnęłaś ją.” Co najmniej by ją niesłusznie obryzgano, gdyby nie to, że cztery osoby przez okna w oficynie widziały, jak stała z obrazem w rękach i jak sama wyskoczyła. Ale to przecie także przypadek, że ludzie stali i widzieli. Nie, to wszystko - moment, jeden tylko nieobliczalny moment. Raptowność i fantazja! Cóż stąd, że się modliła przed obrazem? To nie znaczy, że - przed śmiercią. Wszystko to trwało może ledwie dziesięć minut, cała decyzja - wtedy mianowicie, kiedy stała pod ścianą z głową przytuloną do dłoni i uśmiechała się. Nawiedziła ją przelotna myśl, zawirowało jej w głowie, tak, tak... że się jej nie zdołała oprzeć.

To wyraźne nieporozumienie, mówcie, co chcecie. Ze mną jeszcze można by żyć. A jeżeli to niedokrwistość? Po prostu z powodu anemii, z wyczerpania energii życiowej? Zmęczyła się podczas owej zimy - ot co!

Spóźniłem się!!!

Jaka ona szczuplutka w trumnie, jak się wyostrzył kontur noska. Rzęsy leżą jak strzałki. I przecie, kiedy upadła, nic sobie nie zgruchotała, nie złamała. Tylko ta jedna „krzynka krwi”! Ot, łyżeczka deserowa. Wstrząs wewnętrzny. Dziwaczna myśl: gdyby można było jej nie pochować? Bo jeżeli ją wyniosą, to... och nie, to prawie niemożliwe. Och, wiem dobrze, że muszą ją wynieść, nie jestem obłąkańcem i wcale nie mówię od rzeczy, przeciwnie, nigdy nie rozumowałem jaśniej... ale jakże tak: znowu nikogo w domu, znowu dwa pokoje i znów ja sam jeden z kasą pożyczkową. Maligna, maligna, oto gdzie maligna! Zadręczyłem ją - oto prawda!

779

Cóż mnie teraz obchodzą wasze paragrafy Na co mi wasze normy, wasze obyczaje, wasze życie, wasze państwo i wasza wiara Niechaj mnie sędzi ten wasz sędzia, niech mnie postawy przed waszym sądem, przed waszym jawnym trybunałem - a powiem, że się do niczego nie przyznaję Sędzia zawoła

- Proszę milczeć, oficerze! A ja mu odkrzyknę

- Gdzie znajdziesz teraz taką siłę, co mnie skłoni do posłuchu Czemu ponury bezwład zniszczył to, co mi jest ponad wszystko drogie Coz mi teraz wasze prawa Ja się wyłączam Och, wszystko mi jedno

Ślepa, ślepa, martwa, nie słyszy Nie wiesz, jakim rajem byłbym cię otoczył! Raj był w mojej duszy, byłbym go roztoczył wokół ciebie! No cóż, ty byś mnie nie kochała - niech tam, i cóż z tego. Wszystko byłoby tak samo. Opowiadałabyś mi tylko, ot, jak przyjacielowi - i dobrze by nam było, i śmialibyśmy się, pogodnie patrząc sobie wzajemnie w oczy No i tak byśmy żyli A gdybyś nawet pokochała innego - no trudno, niech tam Chodziłabyś z nim, uśmiechnięta, a ja bym patrzył z drugiej strony obcy. Och niech tam, byleby tylko chociaż raz otworzyła oczy! Na jedno jedyne mgnienie! Zęby spojrziała na mnie ot tak, jak jeszcze tak niedawno, kiedy stała przede mną przysięgając, że będzie wierną żoną! Ach, w jednym spojrzeniu zrozumiałaby wszystko!

Martwota! Och, naturo! Ludzie są samotni na ziemi - w tym tragizm „Czy jest w polu żywy człowiek” - woła rosyjski heros Wołam i ja - chociażem nie heros - i nikt się nie odzywa Powiadają, że słońce żywi wszechświat Wезде słońce i - popatrzcie nań, czy to nie trup Wszystko martwe i wszędzie trupy, samotni tylko ludzie, a wokół nich milczenie - oto świat!

„Ludzie, miłujcie się wzajemnie” - kto to powiedział Czyje to wezwanie Stuka, stuka wahadło nieczule, dojmująco Druga w nocy Jej buciki stoją przed łóżeczkiem, rzekłbyś, że czekają na mą Nie, doprawdy, kiedy ją jutro wyniosą, co ze mną będzie

PRZYPISY

1 „Surowo, surowo i surowo” - niedokładny cytat z Płaszczka M Gogola, są to słowa „znacznej osobistości” - dygnitarza, który tak określa sposób postępowania z podległymi mu urzędnikami „Surowość, surowość i surowość „

Słowa Mefistofelesa z I części Fausta J W Goethego, przekład Władysława Koscielskiego

„Pierwsze doznania żywota - nieznacznie zmieniona fraza z wiersza A Puszkina Demon, w przekładzie M Jastruna brzmi on

Gdy jeszcze świeży i uroczy Był dla mnie każdy objaw bytu

4 Pogoń za szczęśliem—sztuka P I Jurkiewicza (pseudonim P Go-tubin) wystawiona była w Petersburgu w 1876 r a więc w tym właśnie czasie, gdy Dostojewski pisał Łagodną, Śpiewające ptaki - operetka J Offenbacha szła na scenie Teatru Aleksandryjskiego w Petersburgu również jesienią 1876 r

John Stuart Mili (1806-1873) - angielski filozof-logik i ekonomista

* Dom Wiaziemskiego - przytułek dla nędzarzy w Petersburgu

SOBOWTÓR

POEMAT PETERSBURSKI

ROZDZIAŁ I

Była prawie ósma rano, gdy radca tytularny Jakub Pietrowicz Goladkin ocknął się po długim śnie, ziewnął, przeciągnął się i wreszcie całkiem otworzył oczy. Zresztą ze dwie minuty leżał jeszcze nieruchomo na łóżku jak człowiek niezupełnie jeszcze przekonany, czy się obudził, czy dalej jeszcze śpi, czy wszystko, co się koło niego teraz dzieje, jest na jawie i w rzeczywistości, czy też to dalszy ciąg jego bezładnych sennych marzeń. Jednakowoż wkrótce już zmysły pana Goladkina zaczęły dokładniej i wyraźniej odbierać zwykłe codzienne wrażenia. Po dawnemu spojrzały na niego brudnawozielone, zakopczone i zakurzone ściany jego małego pokoiku, jego mahoniowa komoda, krzesła pod mahoń, stół pomalowany na czerwono, ceratowa czerwona turecka kanapa z zieloniut-kimi kwiatuśkami i w końcu ubranie, zdjęte wczoraj w pośpiechu i rzucone bezładnie na kanapę. Zresztą szary jesienny dzień, zamglony i błotnisty, tak ponuro i z tak krzywym uśmiechem zajrzał przez mętną szybę do pokoju, że pan Goladkin całkiem już nie mógł wątpić, że nie znajduje się w jakimś tam królestwie za siedmioma górami, lecz w mieście Petersburgu, w stolicy, na ulicy Sześciu Sklepów, na trzecim piętrze pewnego bardzo dużego, solidnego domu, we własnym mieszkaniu. Uczyniwszy tak ważne odkrycie pan Goladkin mimo woli zamknął oczy, jak gdyby żałując minionego snu i pragnąc go na chwilę przywrócić. Ale po chwili wyskoczył z łóżka, bo zapewne wpadł wreszcie na ten pomysł, koło którego do tej chwili krążyły jego rozproszone, nie uporządkowane należycie

785

myśli. Wyskoczywszy z łóżka natychmiast podbiegi do niewielkiego okrągłego lusterka stojącego na komodzie. Aczkolwiek odbita w lustrze zaspana, z kaprawymi oczkami i dość już łysawa postać

była właśnie tak niewielkiego znaczenia, że na pierwszy rzut oka nie zwracała na siebie absolutnie niczyjej wyłącznej uwagi, posiadacz jej był widać całkiem zadowolony z tego wszystkiego, co ujrzał w lustrze. „Ale to byłby kawał - rzekł do siebie półgłosem pan Goladkin - ale to byłby kawał, gdybym się dzisiaj w czymkolwiek zaniedbał, gdyby na przykład wyszło coś nie tak jak trzeba - powiedzmy, gdyby wyskoczył mi jakiś niepotrzebny pryszczyk albo też wynikła jakaś inna nieprzyjemna historia; zresztą na razie jest całkiem nieźle; na razie wszystko w porządku.” Bardzo zadowolony z tego, że wszystko jest w porządku, pan Goladkin odstawił lustro na miejsce i nie bacząc na to, że był boso i wciąż miał na sobie ten sam strój, w którym zazwyczaj kładł się spać, podbiegł do okna i z wielkim zainteresowaniem zaczął szukać czegoś wzrokiem na podwórzu, na które wychodziły okna jego mieszkania. Zapewne również i to, co zobaczył na podwórzu, całkowicie go zadowoliło, twarz jego bowiem rozjaśniła się pełnym satysfakcji uśmiechem. Potem - zajrzawszy zresztą uprzednio za przepierzenie, do komórki Pietrka, swego kamerdynera, i przekonawszy się, że Pietrka w niej nie ma - podszedł na palcach do stołu, otworzył szufladę, poszperał w najdalszym jej kącie, wreszcie wyciągnął spod starych pożółkłych papierów i jakichś tam szpargałów zielony wytarty pugilares, otworzył go ostrożnie i - uważnie a z zadowoleniem zajrzał do najgłębszej, ukrytej jego przedziałki. Prawdopodobnie plik zieloniutkich, szarych, niebiesciuch-nych, czerwoniutkich i różnych barwnych banknotów również bardzo uprzejmie i zachęcająco spojrział na pana Goladkina, ów bowiem z rozjaśnioną twarzą położył przed sobą na stole otwarty pugilares i mocno zatarł ręce na znak najwyższego zadowolenia. Wreszcie wyciągnął ten swój dający pocieszenie plik asygnat państwowych i po raz setny zresztą, licząc od dnia wczorajszego, zaczął je przeliczać, starannie pocierając każdy banknot wielkim i wskazującym palcem. „Siedemset pięćdziesiąt rubli asygnatami! - zakonkludował wreszcie pół-szeptem. - Siedemset pięćdziesiąt rubli... niezgorsza sumka! To miła sumka! - ciągnął drżącym, nieco osłabionym z za-

786

dowolenia głosem, ściskając plik w rękę i uśmiechając się znacząco- to bardzo miła sumka! Dla każdego miła sumka! Chciałbym widzieć teraz człowieka, dla którego ta suma byłaby nędzną sumą! Taka suma może daleko zaprowadzić...”

-„Jednakże cóż to znaczy? - pomyślał pan Goladkin - gdzież się podział Pietrek?” Wciąż jeszcze w tym samym stroju, zajrzał po raz drugi za przepierzenie. Pietrka znów za przepierzeniem nie było i tylko postawiony tam na podłodze samowar złościł się, irytował i tracił panowanie nad sobą, nieustannie grożąc, że wykipi, i szybko, gorączkowo w swoim zawiłym języku, grasejąc i sepleniąc, mamrotał coś do pana Goladkina - zapewne coś w tym sensie: weźcie mnie nareszcie, dobrzy ludzie, przecież jestem już zupełnie gotów.

„Diabli nadali - pomyślał pan Goladkin. - Ta leniwa bestia może każdego wyprowadzić z cierpliwości, gdzież to on się włóczy?” Pełen słusznego oburzenia wyszedł do przedpokoju - był to mały korytarzyk, w którego końcu znajdowały się drzwi do sieni - lekko uchylił te drzwi i ujrzał swego służącego w otoczeniu sporej grupki wszelkiej lokaj skiej miejscowej i przypadkowej hałasty. Pietrek coś im opowiadał, reszta słuchała. Zapewne ani temat rozmowy, ani sama rozmowa nie spodobały się panu Goladkinowi. Natychmiast zawołał Pietrka i wrócił do pokoju ogromnie niezadowolony, a nawet zirytowany. „Ta bestia gotowa za grosz sprzedać człowieka, a tym bardziej swojego pana - pomyślał - i sprzedał, na pewno sprzedał, gotów jestem się założyć, że sprzedał za złamany grosz. No, co?...”

- Przynieśli liberię, wielmożny panie.

- Włóż i przyjdź tutaj.

Włożywszy liberię Pietrek z głupim uśmiechem wszedł do pokoju pana. Przebrany był w sposób wprost nieprawdopodobny. Miał na sobie zieloną, mocno podniszczoną lokajską liberię ze złotymi wytartymi galonami, szytą zapewne na kogoś o cały arszyn wyższego. W rękę trzymał kapelus,

również z galonami i z zielonymi piórami, a u biodra miał lokajski miecz w skórzanej pochwie.

Wreszcie, dla dopełnienia obrazu, Pietrek zgodnie ze swoim zwyczajem chodzenia zawsze w negliżu, po domowemu, i teraz był bosi. Pan Goladkin obejrzał Pietrka dokoła i widocznie został usatysfakcjonowany. Liberia była niewątpliwie

50- 787

wynajęta na jakąś uroczystą chwilę. Widać było przy tym, że w czasie oględzin Pietrek patrzył na pana z jakimś dziwnym wyczekiwaniem i z niezwykłą ciekawością śledził każdy jego ruch, co pana Goladkina bardzo konfundowało.

- No, a kareta?

- Kareta też przyjechała.

- Na cały dzień?

- Na cały dzień. Dwadzieścia pięć asygnatami.

- Buty też przynieśli?

- Buty też przynieśli.

- Bałwanie! Nie możesz powiedzieć: przynieśli, wielmożny panie. Dawaj je tu zaraz.

Wyraziwszy zadowolenie, że buty pasowały jak ulał, pan Goladkin zażądał herbaty i oświadczył, że chce umyć się i ogolić. Ogolił się bardzo starannie i równie starannie się umył, naprędce łyknął trochę herbaty i przystąpił do najważniejszego, do ubierania się: włożył prawie zupełnie nowe spodnie, potem półkoszulek z mosiężnymi guziczkami, kamizelkę w bardzo jaskrawe miłe kwiatuszki, szyję obwiązał barwnym jedwabnym halsztukiem i wreszcie włożył przepisowy mundur, również nowiutki i starannie oczyszczony. Ubierając się kilkakrotnie z lubością spoglądał na swoje buty, co chwila podnosił to jedną, to drugą nogę, podziwiał fason i ustawicznie szeptał coś sobie pod nosem, co pewien czas przytwierdzając swoim myślom wyrazistym grymasem. Zresztą tego ranka pan Goladkin był ogromnie roztargniony, ponieważ prawie nie zauważył uśmiezków i grymasów, jakie pod jego adresem robił pomagający mu ubierać się Pietrek. Wreszcie poradziwszy sobie należycie ze wszystkim, całkiem ubrany, pan Goladkin włożył do kieszeni swój pugilares, jeszcze raz z lubością spojrzął na Pietrka, który włożył buty i w ten sposób był też całkiem gotów, i zauważywszy, że wszystko zostało dokonane i nie ma już na co czekać, pospiesznie, niecierpliwie, z lekkim drżeniem serca zbiegł ze schodów. Niebieska wynajęta kareta z jakimiś herbami zajechała z turkotem przed ganek. Pietrek, mrugając do stangreta i do jeszcze jakichś tam gapiów, podsadził swego pana, nienawykłym głosem i ledwo powstrzymując głupi śmiech zawołał: „Jazda!”, wskoczył na tylny stopień i wszystko to z hukiem i turkotem, brzęcząc i trzeszcząc potoczyło się na Newski Prospekt.

788

Ledwo błękitny powóz zdążył wyjechać za bramę, pan Goladkin nerwowo zatarł ręce i zaniósł się cichym, niedosłyszalnym śmiechem, jak ktoś o wesołym usposobieniu, komu udało się zrobić świetny kawał, a kto z tego kawału sam jest niesłuchanie rad. Zresztą natychmiast po ataku wesołości twarz pana Goladkina nabrała jakiegoś dziwnie zatroskanego wyrazu. Chociaż dzień był wilgotny i ponury, opuścił oba okna karety i skrzętnie zaczął wypatrywać na prawo i lewo przechodniów przybierając godną i stateczną minę, skoro tylko zauważył, że ktoś na niego patrzy. Gdy kareta skręciła z Li-tiejnej w Newski Prospekt, drgnął, przejęty jakimś nader niemiłym wrażeniem, i krzywiąc się jak nieszczęśnik, któremu nadepnęto przypadkiem na odcisk, gwałtownie, a nawet z pewnym lękiem wcisnął się w najciemniejszy kącik pojazdu. Rzecz polegała na tym, że zauważył swoich dwóch kolegów biurowych, dwóch młodych urzędników z tego samego urzędu, w którym pracował. Urzędnicy zaś, jak to się wydało panu Goladkinowi, też z kolei byli nader zdumieni spotkawszy w ten sposób swego współkolegę; jeden z nich wskazał nawet palcem na pana Goladkina. Panu Goladkinowi wydało się nawet, że drugi zawołał go głośno

po imieniu, co oczywiście na ulicy było bardzo nieestosowne. Bohater nasz ukrył się i nie odezwał. „Cóż to za smarkacze! - zaczął mówić sam do siebie. - No i co w tym dziwnego? Człowiek w powozie, człowiek musi być w powozie, no to sobie wynajął powóz. Po prostu świństwo! Ja ich znam - to po prostu smarkacze, którym jeszcze trzeba sprawiać lanie! Marzą tylko, aby otrzymawszy pensję zagrać w orla i reszkę i gdzieś tam się włóczyć, tylko to ich obchodzi. Powiedziałbym ja im wszystkim, tylko że...” Pan Goladkin nie skończył i zdrętwiał. Para bystrych kazańskich koników, dobrze znana panu Goladkinowi, zaprzężona do wytwornego powoziku, szybko mijająca z prawej strony jego karety. Pan siedzący w powoziku, przypadkiem ujrawszy twarz pana Goladkina, który dość nieostrożnie wysunął głowę przez okno karety, też był zapewne ogromnie zdumiony tym niespodzianym spotkaniem i wychyliwszy się, jak tylko mógł, z nadzwyczajną ciekawością i zainteresowaniem zaczął zaglądać w ten kąt karety, gdzie pośpiesznie ukrył się nasz bohater. Panem w powoziku był Andrzej Filipowicz, naczelnik wydziału w tym urzędzie, gdzie pan Goladkin pra-

789

cował jako pomocnik referenta. Pan Goladkin widząc, że Andrzej Filipowicz niewątpliwie go poznał, że patrzy uporczywie i że nie sposób ukryć się przed nim, poczerwieniał aż po uszy. „Uklonić się czy nie? Odezwać się czy nie? Przyznać się czy nie? - myślał w nieopisanej rozterce nasz bohater. - A może udać, że to nie ja - że to ktoś inny, uderzająco do mnie podobny, i patrzeć jak gdyby nigdy nic? Właśnie nie ja, nie ja, i tyle! - mówił pan Goladkin zdejmując kapelusz przed Andrzejem Filipowiczem i nie spuszczać z niego wzroku. - Ja, ja nic takiego - szeptał przez siłę - ja całkiem nic, to w ogóle nie jestem ja, Andrzeju Filipowiczu, to w ogóle nie ja, nie ja, i tyle.” Wkrótce jednak powozik przegonił karety i skończył się magnetyzm wzroku naczelnika. Mimo to pan Goladkin wciąż jeszcze rumienił się, uśmiechał, mruzczał coś do siebie... „Byłem głupi, że się nie odezwałem - pomyślał wreszcie - trzeba było po prostu, na całego i szczerze, że szlachetną dumą: że to niby, Andrzeju Filipowiczu, tak i tak, i ja też zostałem zaproszony na obiad, i tyle!” Potem przypomniawszy sobie, że się zblamował, bohater nasz zapłonął się jak róża, nasepił brwi i rzucił straszne, wyzywające spojrzenie na przedni kąt karety, spojrzenie po prostu przeznaczone, aby obrócić naraz w proch wszystkich jego wrogów. Wreszcie, jak gdyby w jakimś natchnieniu, pociągnął nagle za sznurek przywiązany do łokcia wynajętego stangreta, zatrzymał karety i kazał zawrócić z powrotem na Litiejną. Rzecz polegała na tym, że pan Goladkin musiał natychmiast, zapewne dla własnego spokoju, zakomunikować coś bardzo interesującego swemu doktorowi, Kristianowi Iwanowiczowi. I chociaż z Kristianem Iwanowiczem znał się od bardzo niedawna, dokładniej mówiąc dla jakichś tam przyczyn odwiedził go raz jeden w zeszłym tygodniu, ale przecież doktor, jak powiadają, to prawie spowiednik - ukrywać coś przed nim byłoby głupio, a znajomość pacjenta jest jego obowiązkiem. „Czy tak zresztą będzie dobrze - ciągnął nasz bohater wysiadając z karety przed podjazdem pewnego czteropiętrowego domu na Litiejnej, przy którym kazał zatrzymać swój powóz - czy tak zresztą będzie dobrze? Czy to będzie przyzwoicie? Czy to będzie miało sens? A zresztą o co chodzi - ciągnął idąc na górę po schodach, łapiąc oddech i wstrzymując bicie serca, które miało zwyczaj mocno bić na wszystkich obcych

790

schodach - o co chodzi? przecież chcę mówić o swoich sprawach, a w tym nie ma nic nagannego... Ukrywać coś byłoby głupio. Właśnie w ten sposób udam, że to nic ważnego, że tak sobie, przejeżdżając obok... A wtedy on zobaczy, że tak właśnie powinno być.”

Rozważając w ten sposób pan Goladkin wszedł na pierwsze piętro i zatrzymał się przed mieszkaniem numer pięć, na którego drzwiach wisiała ładna mosiężna tabliczka z napisem:

Kristian Iwanowicz Rutenszpic, Doktor Medycyny i Chirurgii.

Stanąwszy przed drzwiami nasz bohater postarał się nadać swojej fizjonomii wygląd solidny,

swobodny, nie pozbawiony pewnej uprzejmości, i gotów już był pociągnąć za sznurek dzwonka. Będąc już gotowym pociągnąć za sznurek dzwonka, natychmiast i w samą porę osądził, że może byłoby lepiej zrobić to jutro i że tymczasem nie ma chyba na razie potrzeby tego robić. Ale ponieważ pan Goladkin nagle usłyszał na schodach czyjeś kroki, natychmiast więc zmienił swoje nowe postanowienie, a zarazem zadzwonił, zresztą z miną pełną zdecydowania, do drzwi Kristiana Iwanowicza.

ROZDZIAŁ II

Doktor medycyny i chirurgii, Kristian Iwanowicz Rutenszpic, bardzo krzepki, choć już starszy człowiek, obdarzony gęstymi siwiejącymi brwiami i bakami, wyrazistym, ostrym spojrzeniem, którym zapewne przepędzał wszystkie choroby, a wreszcie wysokim orderem - siedział tego ranka w gabinecie w wygodnym fotelu, pił kawę przyniesioną mu własnoręcznie przez doktorową, palił cygaro i od czasu do czasu wypisywał recepty pacjentom. Zapisawszy ostatnią fiolkę pewnemu cierpiącemu na hemoroidy staruszkowi i wyprowadziwszy cierpiącego staruszka przez boczne drzwi, Kristian Iwanowicz usiadł w oczekiwaniu na następną wizytę. Wszedł pan Goladkin.

Prawdopodobnie Kristian Iwanowicz bynajmniej nie spodziewał się, a nawet chyba nie pragnął ujrzeć przed sobą pana Goladkina, gdyż nagle zmieszał się na mgnienie i mimo woli

791

na jego twarzy ukazał się jakiś dziwny grymas, a nawet można by powiedzieć niezadowolenie. Ponieważ pan Goladkin z kolei prawie zawsze jakoś nie w porę tracił kontenans i mieszał się w chwilach, kiedy zdarzało mu się angażować czyjś czas w swoich własnych sprawach, to i teraz, nie przygotowawszy pierwszego zdania, które w takich wypadkach bywało dla niego istną zaporą, zmieszał się niesłychanie, coś tam wymamrotał - zresztą, jak się zdaje, jakieś tam usprawiedliwienie - i nie wiedząc, co czynić dalej, wziął krzesło i usiadł. Przypomniał sobie jednak, że usiadł bez zaproszenia, od razu uświadomił sobie swój nietakt i pospieszył naprawić to wykroczenie przeciw znajomości światowych manier i dobrego tonu, wstając natychmiast z zajętego bez zaproszenia miejsca. Potem opamiętawszy się i mimochodem uświadomiwszy sobie, że zrobił dwa głupstwa naraz, ani chwili nie zwłócząc zdobył się na trzecie, to znaczy spróbował się usprawie-; dliwić, z uśmiechem coś tam wymamrotał, zaczerwienił się zmieszał, wyraziście zamilkł, a wreszcie rozsiadł się na dóbr i nie wstał już, a tylko tak na wszelki wypadek zabezpieczył się owym wyzywającym spojrzeniem, które miało niezwykłą mot rozgramiania w pył i proch i spopielenia w myśli wszystkich wrogów pana Goladkina. Ponadto spojrzenie owo w pełni wyrażało niezależność pana Goladkina, to znaczy mówiło wyraźnie, że pan Goladkin nic nie potrzebuje, że jest niezależny i że na wszelki wypadek do niczego się nie wtrąca. Kristian Iwanowicz chrząknął, zapewne na znak aprobaty i zgody na to wszystko i skierował inspektorski, pytający wzrok na pana Goladkina.

- Przyszedłem, Kristianie Iwanowiczu - zaczął pan Goladkin z uśmiechem - po raz drugi pana niepokoić, a teraz po raz drugi ośmielam się prosić pana o łaskawą uwagę... - Panu Goladkinowi wyraźnie brakło słów.

- Hm... tak!-odezwał się Kristian Iwanowicz wypuściwszy z ust strugę dymu i kładąc cygaro na stół - ale pan musi stosować się do zaleceń; tłumaczyłem panu przecież; I że pańskie leczenie powinno polegać na zmianie przyzwyczajzeń... no, jakieś rozrywki, no, powiedzmy, trzeba odwiedzać przyjaciół i znajomych, a jednocześnie nie być wrogiem butelczyny, a zarazem przebywać w wesołym towarzystwie.

Pan Goladkin, wciąż jeszcze się uśmiechając, pospieszył

792

zauważyć, iż wydaje mu się, że jest taki jak inni, że ma swój dom, że rozrywki ma takie jak wszyscy inni... że oczywiście może chodzić do teatru, albowiem tak samo jak inni ma na to środki, że w ciągu dnia bywa w urzędzie, a wieczorem u siebie w domu i jeśli chodzi o niego, on... tego... owszem; nawet zauważył mimochodem, że o ile mu się wydaje, nie jest gorszy od innych, że przebywa we własnym mieszkaniu i wreszcie, że ma Pietrka. W tym miejscu pan Goladkin zająknął się.

- Hm, nie, nie o to chodzi i całkiem nie o to chciałem pana pytać. A w ogóle chciałbym wiedzieć, czy z pana jest wielki amator wesołego towarzystwa, czy wesoło pan czas wykorzystuje. No, powiedzmy, czy melancholijny, czy wesoły tryb życia prowadzi pan teraz?

- Ja, Kristianie Iwanowiczu...

- Hm... powiadam - przerwał doktor - że powinien pan gruntownie całe swoje życie przekształcić i w pewnym sensie przełamać swój charakter. (Kristian Iwanowicz mocno zaakcentował słowo „przełamać” i na chwilę przerwał z nader naczającą miną.) Nie unikać wesołego życia, na spektakle i do klubu chodzić, a w każdym razie nie być wrogiem butelki. W domu siedzieć nie należy... pan stanowczo w domu siedzieć nie powinien.

- Ja, Kristianie Iwanowiczu, lubię ciszę - odezwał się pan Goladkin, rzucając znaczące spojrzenie na Kristiana Iwanowicza i wyraźnie szukając słów dla najzręczniejszego wyrażenia swoich myśli - w mieszkaniu jestem tylko ja i Pietrek... chcę powiedzieć: mój lokaj, Kristianie Iwanowiczu. Chcę powiedzieć, Kristianie Iwanowiczu, że idę własną drogą, odrębną drogą, Kristianie Iwanowiczu. Jestem sam dla siebie i, jak mi się wydaje, od nikogo nie zależę. Poza tym, Kristianie Iwanowiczu, chodzę na spacer.

- Co?... Tak! No, teraz spacer nie sprawia żadnej przyjemności, pogoda jest paskudna.

- Tak jest, Kristianie Iwanowiczu, choć jestem, Kristia-?nie Iwanowiczu, człowiekiem spokojnym, jak to już miałem zdaje się zaszczyt panu wyjaśnić, to jednakże droga moja jest odrębna, Kristianie Iwanowiczu. Droga życia jest szeroka... Chcę... przez to, Kristianie Iwanowiczu, powiedzieć... proszę mi wybaczyć, Kristianie Iwanowiczu, nie umiem się pięknie wyrażać.

- Hm... powiada pan...

34 Dostojewski, t III „

- Powiadam, że proszę o wybaczenie, Kristianie Iwanowiczu, ponieważ, jak mi się wydaje, nie umiem wyrażać się pięknie - rzekł pan Goladkin na wpół obrażonym tonem, płacząc się nieco i tracąc wątek. - Pod tym względem, Kristianie Iwanowiczu, nie jestem taki jak inni - dodał z jakimś szczególnym uśmiechem - i nie umiem dużo mówić, nie uczyłem się pięknego stylu. Za to ja, Kristianie Iwanowiczu, działałam, za to ja działałam, Kristianie Iwanowiczu!

- Hm... Jakże to... pan działa? - odezwał się Kristian Iwanowicz. Po czym na krótką chwilę zaległo milczenie. Doktor jakoś dziwnie i nieufnie spojrział na pana Goladkina. Z kolei pan Goladkin, również dość nieufnie zerknął na doktora.

- Ja, Kristianie Iwanowiczu - ciągnął wciąż dawnym tonem pan Goladkin, nieco podrażniony i zaskoczony skrajnym uporem Kristiana Iwanowicza - ja, Kristianie Iwanowiczu, lubię spokój, a nie światowy gwar. Tam u nich, powiadam, w wielkim świecie, powiadam, Kristianie Iwanowiczu, trzeba umieć butami szlifować parkiety... (tu pan Goladkin szurnął lekko nóżką po podłodze), tam tego żądają, kalamburów też żądają... wonne komplementy trzeba umieć układać... o, tego właśnie tam żądają. A ja się tego nie uczyłem, Kristianie Iwanowiczu - nie uczyłem się tych wszystkich wymyślności, nie miałem czasu. Jestem człowiekiem prostym, nieskomplikowanym, nie mam zewnętrznego poloru. Pod tym względem, Kristianie Iwanowiczu, składani broń, składam ją mówiąc w tym sensie. - Wszystko to pan Goladkin oczywiście wypowiedział z taką miną, która

wyraźnie dawała do poznania, że nasz bohater nie żałuje tego, iż pod tym względem składa broń i że nie uczył się tych wymyślności, lecz że wprost przeciwnie. Kristian Iwanowicz słuchając go oczy miał spuszczone, a na twarzy nieprzyjemny grymas, jak gdyby z góry coś przeczuwał. Po tyradzie pana Goladkina nastąpiło dość długie i znaczące milczenie.

- Pan, zdaje się, nieco odbiegł od tematu - rzekł wreszcie półgłosem Kristian Iwanowicz - przyznam, że zupełnie nie mogłem pana zrozumieć.

- Nie umiem się pięknie wyrażać, Kristianie Iwanowiczu, miałem już zaszczyt panu oświadczyć, Kristianie Iwanowiczu, że nie umiem się pięknie wyrażać - rzekł pan Goladkin, tym razem tonem ostrym i stanowczym.

794

- Hm...

- Kristianie Iwanowiczu! - zaczął znów pan Goladkin cichym, lecz znaczącym głosem, nieco uroczyście, zatrzymując się przy końcu każdego zdania. - Kristianie Iwanowiczu! Wchodząc tutaj zacząłem od usprawiedliwień. Teraz powtarzam, co powiedziałem uprzednio, i na nowo proszę o łaskawą uwagę na krótki czas. Ja, Kristianie Iwanowiczu, nie mam nic do ukrywania przed panem. Jestem człowiekiem mało znaczącym, sam pan o tym wie, ale na moje szczęście nie żałuję tego, że jestem człowiekiem mało znaczącym. Wprost przeciwnie, Kristianie Iwanowiczu, żeby już wszystko powiedzieć, to nawet dumny jestem z tego, że nie jestem człowiekiem wybitnym, lecz mało znaczącym. Nie jestem intrygantem - z tego też jestem dumny. Działam nie cichaczem, lecz otwarcie, bez żadnych podstępów i chociaż mógłbym i ja z kolei komuś zaszkodzić, i to jeszcze jak mógłbym, a nawet wiem komu i jak to zrobić, to jednak, Kristianie Iwanowiczu, nie chcę się zababrać i pod tym względem umyvam ręce. Pod tym względem, powiadam, umyvam je, Kristianie Iwanowiczu! - Pan Goladkin na krótką chwilę wyraził zamilkł; mówił z łagodnym ożywieniem.

- Idę, Kristianie Iwanowiczu - ciągnął nasz bohater - prosto i otwarcie, omijając boczne ścieżki, ponieważ gardzę nimi i pozostawiam je innym. Nie staram się poniżyć tych, którzy są być może ode mnie i od pana ważniejsi... to znaczy chcę powiedzieć, że ode mnie i od nich, Kristianie Iwanowiczu, nie chciałem powiedzieć, że od pana. Półśłówek nie lubię, nędznej dwulicowości nie uznaję, oszczerstwami i plotkami brzydzę się. Maskę wkładam jedynie na maskaradę, a nie chodzę w niej przed ludźmi na co dzień. Chciałbym tylko pana zapytać, Kristianie Iwanowiczu, jak by się pan mścił na swoim wrogu, na swoim najokrutniejszym wrogu - na tym, kogo by pan za takiego uważał? - zakończył pan Goladkin rzucając wyzywające spojrzenie na Kristiana Iwanowicza.

Chociaż pan Goladkin wypowiedział to wszystko niesłychanie wyraziście, jasno, z pewnością siebie, ważąc słowa i licząc na niezawodny efekt, to jednak z niepokojem, z wielkim niepokojem, że skrajnym niepokojem patrzył teraz na Kristiana Iwanowicza. Zamienił się teraz cały we wzrok i nieśmiało, z przykrą, markotną niecierpliwością oczekiwał odpowiedzi

795

Kristiana Iwanowicza. Lecz ku zdziwieniu i najwyższemu zdumieniu pana Goladkina Kristian Iwanowicz wybąkał coś pod nosem, potem przysunął krzesło do stołu i dość oschle, ale zresztą uprzejmie oświadczył coś w tym sensie, że czas jego jest drogi, że jakoś nic z tego nie rozumie, że zresztą, jeśli chodzi o niego, gotów jest wedle możliwości do usług, ale że nie wtrąca się do wszystkich innych rzeczy, które go nie dotyczą. Tu wziął pióro, przysunął arkusz papieru, odciął od niego kartkę formatu recepty i oświadczył, że natychmiast zapisze co trzeba.

- Nie, nie trzeba, Kristianie Iwanowiczu! Nie, tego bynajmniej nie trzeba! - rzekł pan Goladkin, wstając i chwytając Kristiana Iwanowicza za prawą rękę - to, Kristianie Iwanowiczu, jest tu absolutnie niepotrzebne...

A tymczasem, kiedy pan Goladkin mówił to wszystko, zaszła w nim jakaś dziwna przemiana. Szare jego oczy zabłyśły jakoś dziwnie, wargi mu zadrżały, wszystkie mięśnie, wszystkie rysy twarzy zaczęły mu drgać, poruszać się. Cały drżał. Uległszy pierwszemu odruchowi i powstrzymawszy rękę Kristiana Iwanowicza, pan Goladkin stał teraz nieruchomo, jak gdyby sam sobie nie dowierzał i oczekiwał natchnienia do dalszych poczynań.

A wtedy nastąpiła dość dziwna scena.

Kristian Iwanowicz, nieco zaskoczony, na mgnienie jak gdyby przyrósł do Swego fotela i, zdetonowany, patrzył uporczywie w oczy panu Goladkinowi, który patrzył na niego w ten sam sposób. Wreszcie Kristian Iwanowicz wstał przytrzymując się z lekka wyłogu munduru pana Goladkina. Przez kilka chwil stali tak obaj nieruchomo, nie spuszczając oczu jeden z drugiego. A wtedy, w niezwykle zresztą dziwny sposób, zjawił się drugi odruch pana Goladkina. Wargi mu zadrżały, podbródek zaczął skakać i nasz bohater zupełnie niespodzianie rozplakał się. Pochlipując, kiwając głową i bijąc się w pierś prawą ręką, a lewą również uchwyciwszy się wyłogu domowego stroju Kristiana Iwanowicza, chciał coś powiedzieć i coś natychmiast wyjaśnić, ale nie potrafił wyrzec ani słowa. Wreszcie Kristian Iwanowicz otrząsnął się ze zdumienia.

- Niechże pan przestanie, niech się pan uspokoi, niech pan siada! - rzekł wreszcie usiłując posadzić pana Goladkina w fotelu.

796

- Mam wrogów, Kristianie Iwanowiczu, mam wrogów, mam zaciekłych wrogów, którzy zaprzysięgli się mnie zniszczyć... - lękliwie i szeptem odpowiadał mu pan Goladkin.

- Niechże pan przestanie, niech pan przestanie, co tam wrogowie! Nie trzeba wspominać wrogów! Nie trzeba wspominać wrogów, absolutnie nie trzeba. Niech pan siada, niech pan siada - ciągnął Kristian Iwanowicz, usadawiając w końcu pana Goladkina w fotelu.

Pan Goladkin usiadł wreszcie nie spuszczając wzroku z Kristiana Iwanowicza. Kristian Iwanowicz z nader niezadowoloną miną zaczął chodzić z kąta w kąt po swoim gabinecie. Nastąpiła długa cisza.

- Jestem panu wdzięczny, Kristianie Iwanowiczu, ogromnie wdzięczny i ogromnie wzrusza mnie to, co pan dla mnie teraz zrobił. Aż do śmierci nie zapomnę pańskiej uprzejmości, Kristianie Iwanowiczu - wyrzekł wreszcie pan Goladkin wstając z krzesła z obrażoną miną.

- Niechże pan przestanie, niech pan przestanie! Mówię panu, niech pan przestanie! - dość surowo odpowiedział Kristian Iwanowicz na wyskok pana Goladkina, jeszcze raz usadawiając go na dawnym miejscu. -No, co tam u pana? Proszę mi opowiedzieć, co tam pan ma za nieprzyjemności - ciągnął Kristian Iwanowicz - i o jakich to wrogach pan mówi? Co tam u pana takiego?

- Nie, Kristianie Iwanowiczu, teraz dajmy lepiej temu spokój - odpowiedział pan Goladkin, wlepiając wzrok w ziemię - odłóżmy to lepiej do czasu... do innych czasów, Kristianie Iwanowiczu, do bardziej odpowiednich czasów, gdy wszystko wyjdzie na jaw i z niektórych twarzy spadnie maska, i co nieco się obnaży. A tymczasem po tym, co zaszło między nami... zgodzi się pan sam, ma się rozumieć, Kristianie Iwanowiczu... Pozwoli pan, że pana pożegnaj, Kristianie Iwanowiczu - rzekł pan Goladkin, tym razem stanowczo i na serio, wstając i chwytając za kapelusz.

- Ano... jak pan chce... hm... (nastąpiła chwila ciszy). Jeśli chodzi o mnie, to wie pan, czym mogę... i szczerze życzę panu wszystkiego dobrego.

- Rozumiem pana, Kristianie Iwanowiczu, rozumiem, doskonale pana teraz rozumiem... Tak czy inaczej, proszę mi wybaczyć, że pana niepokoiłem, Kristianie Iwanowiczu.

797

- Hm... Nie, nie to chciałem panu powiedzieć. Zresztą, jak pan woli. Lekarstwa niech pan zażywa

nadal...

- Będę zażywał lekarstwa tak, jak pan mówi, Kristianie Iwanowiczu, będę zażywał i będę kupował w tej samej aptece... W dzisiejszych czasach, Kristianie Iwanowiczu, nawet aptekarz to już jest poważne zajęcie...

- Co? W jakim sensie pan to mówi?

- W całkiem zwyczajnym sensie, Kristianie Iwanowiczu. Chcę powiedzieć, że w dzisiejszych czasach życie wzięło taki obrót...

- Hm...

- I że byle smarkacz, nie tylko chłopak z apteki, zadziera teraz nosa przed porządnym człowiekiem.

- Hm... Jak to pan rozumie?

- Mówię, Kristianie Iwanowiczu, o pewnym panu... O naszym wspólnym znajomym, Kristianie Iwanowiczu, na przykład chociażby o Włodzimierzu Siemionowiczu...

- AL.

- Tak, Kristianie Iwanowiczu, i znam pewnych ludzi, Kristianie Iwanowiczu, którzy nie zawsze stosują się do powszechnej opinii, że czasem należy mówić prawdę.

- A!... Jakże to tak?

- Ano już tak, to zresztą sprawa uboczna, umięją, że tak powiem, czasami przypiąć komuś łatkę.

- Co? Co przypiąć?

- Łatkę, Kristianie Iwanowiczu, to takie rosyjskie przysłowie. Umięją czasami w porę, na przykład, komuś powinszować; są tacy ludzie, Kristianie Iwanowiczu.

- Powinszować?

- Tak, powinszować, Kristianie Iwanowiczu, jak to zrobił w tych dniach pewien mój bliski znajomy...

- Pewien pański bliski znajomy... A! Jakże to? - rzekł Kristian Iwanowicz spojrzawszy uważnie na pana Goladkina.

- Tak jest, pewien mój bliski znajomy winszował awansu, awansu na asesora, innemu również bardzo bliskiemu znajomemu, a w dodatku przyjacielowi, jak to się mówi, najbliższemu przyjacielowi. Tak jakoś się zgadało. „Serdecznie, powiada, cieszę się z okazji, że mogę złożyć panu, Włodzimierzu Siemionowiczu, moje powinszowania, moje szczerze powinszowania z powodu awansu. Cieszę się tym bardziej,

798

że w dzisiejszych czasach, jak o tym wiadomo całemu światu, powymierały babki mające lekką rękę do dobrych wróżb.” - W tym miejscu pan Goidkin chytrze kiwnął głową i przymrużywszy oko spojrzał na Kristiana Iwanowicza...

- Hm... Więc tak powiedział...

- Tak powiedział, Kristianie Iwanowiczu, powiedział i od razu spojrzał na Andrzeja Filipowicza, na wuja naszego ga-gatka, Włodzimierza Siemionowicza. A co mnie obchodzi, Kristianie Iwanowiczu, że zrobiono go asesorem? Co mnie do tego? Ano, żenić się chce, chociaż mu jeszcze mleko, że tak powiem, wybaczy pan, nie obeschło na wargach. Tak właśnie powiedział. Że niby, powiadam, Włodzimierz Siemionowicz! Teraz już wszystko powiedziałem, pan pozwoli, że odejdę.

- Hm...

- Tak, Kristianie Iwanowiczu, niechże pan teraz pozwoli, powiadam, że odejdę. A wtedy, żeby już jednym kamieniem zabić dwa wróble - gdy tamten dociął owemu zuchowi babkami, zwracam się do Klary Olsufiewny (działo się to przedwczoraj u Olsufia Iwanowicza), a ona właśnie przed chwilą odśpiewała tkliwy romans - i powiadam, że niby „raczyła pani czule śpiewać romanse, tylko że słuchają panią z nieczystymi intencjami”. I w ten sposób wyraźnie daję do zrozumienia, rozumie pan, Kristianie Iwanowiczu, daję w ten sposób wyraźnie do zrozumienia, że chodzi tu nie o nią, lecz o coś innego...

- A! I co on na to?!...

- Przełknął gorzką pigułkę, Kristianie Iwanowiczu, jak mówi przysłowie.

- Hm...

- Tak jest, Kristianie Iwanowiczu. Samemu staremu też powiadam, że, niby, Olsufiu Iwanowiczu, powiadam, wiem, co panu zawdzięczam, w pełni doceniam pańskie dobrodziejstwa, którymi obdarzał mnie pan prawie od lat dzieciennych. Ale, powiadam, Olsufiu Iwanowiczu, niechże pan otworzy oczy. Niech pan się przyjrzy. Jeśli chodzi o mnie, to postępuję po prostu i otwarcie, Olsufiu Iwanowiczu.

- A, to tak!

- Tak, Kristianie Iwanowiczu. To właśnie tak...

- A co on na to?

- Ano cóż, Kristianie Iwanowiczu, jak to on, coś tam beł-

799
koce; i to, i owo, i znam cię przecież, i że niby jego ekscelencja to człowiek życzliwy; i nagadał, i naglądzil... ano cóż? Ze starości, jak to się mówi, stracił rozum do reszty.

- A! To tak teraz jest!

- Właśnie, Kristianie Iwanowiczu. I wszyscyśmy w ten sposób, co tu gadać! Staruch! Jedną nogą w grobie, patrzy na księżą oborę, jak się to mówi, a jak ktoś namota jakieś babskie plotki, to natychmiast się przysłuchuje; bez niego nie sposób...

- Plotki, mówi pan?

- Tak, Kristianie Iwanowiczu, namotali plotkę. Maczał w tym palce i nasz niedźwiedź, i jego siostrzeniec, nasz gaga-tek; spiknęli się, ma się rozumieć, że starymi ciotami i obga-dali sprawę. Jak pan sądzi, co też mogli wymyślić, żeby zabić człowieka?...

- Żeby zabić człowieka?

- Tak, Kristianie Iwanowiczu, żeby zabić człowieka, moralnie zabić. Rozpuścili... wszystko to mówię o moim dobrym znajomym...

Kristian Iwanowicz kiwnął głową.

- Rozpuścili o nim wieść... Przyznam się panu, że aż mi przykro mówić, Kristianie Iwanowiczu...

- Hm...

- Rozpuścili wieść, że podpisał już był zobowiązanie ożenku, że jest już narzeczoną innej... Jak pan myśli, Kristianie Iwanowiczu, czym jest narzeczoną?

- Czyżby?

- Kuchmistrzynie, pewnej nieobyczajnej Niemki, u której jada obiady; ofiarowuje jej rękę w zamian za swoje długi.

- To oni tak mówią?

- Czy pan uwierzy, Kristianie Iwanowiczu? Niemka, podła, obrzydliwa, bezwstydna Niemka,

Karolina Iwanowna, jeśli panu wiadomo...

- Przyznam, że co do mnie...

- Rozumiem pana, Kristianie Iwanowiczu, rozumiem, i jeśli chodzi o mnie, odczuwam to...

- Niech mi pan łaskawie powie, gdzie pan teraz mieszka?

- Gdzie ja teraz mieszkam, Kristianie Iwanowiczu?

- Tak... chciałbym... pan zdaje się dawniej mieszkał...

- Mieszkałem, Kristianie Iwanowiczu, mieszkałem, mieszkałem i dawniej. Jakżebym mógł nie mieszkać! - odrzekł pan

800

Goladkin, a słowem jego towarzyszył cichy śmiech; odpowiedź jego nieco zdetonowała Kristiana Iwanowicza.

- Nie, pan mnie źle zrozumiał; co do mnie, chciałem...

- Ja też chciałem, Kristianie Iwanowiczu, jeśli chodzi o mnie, to ja też chciałem - ciągnął śmiejąc się pan Goladkin. - Jednakże, Kristianie Iwanowiczu, okropnie się u pana zasiedziałem. Mam nadzieję, pozwoli pan teraz, że pana pożegnam...

- Hm...

- Tak, Kristianie Iwanowiczu, rozumiem pana, całkowicie teraz pana rozumiem - rzekł nasz bohater pozując nieco przed Kristianem Iwanowiczem. - Pozwoli więc pan, że pana pożegnam...

Tu nasz bohater szurnął nóżką i wyszedł z pokoju zostawiając Kristiana Iwanowicza w skrajnym zdumieniu. Kiedy schodził ze schodów, uśmiechał się i radośnie zacierał ręce. Na ganku, odetchnawszy świeżym powietrzem i czując się wolnym, istotnie był gotów uznać się za najszczęśliwszego ze śmiertelników, a potem ruszyć prosto do departamentu - gdy naraz przed podjazdem zaturlotała jego karetka; spojrzął i przypomniał sobie wszystko. Pietrek otwierał już drzwiczki. Jakieś dziwne i zdecydowanie przykre uczucie ogarnęło pana Goladkina. Na chwilę jak gdyby się nawet zaczerwienił. Coś go tknęło. Zaczął już stawiać nogę na stopniu karety, gdy naraz się obejrzał i spojrzął na okno Kristiana Iwanowicza. Ano tak! Kristian Iwanowicz stał przy oknie, prawą ręką przyglądał bokobrody i z niejakim zainteresowaniem patrzył na naszego bohatera.

„Głupiec z tego doktora - pomyślał pan Goladkin kryjąc się w głębi karety - ostami głupiec. Może dobrze leczy swoich chorych, a jednak... głupi jest jak pień.” Pan Goladkin siadł, Pietrek zawołał: „Jazda!” - i karetka znowu potoczyła się na Newski Prospekt.

ROZDZIAŁ III

Cały ten poranek minął panu Goladkinowi na załatwianiu licznych spraw. Zajechawszy na Newski Prospekt nasz bohater kazał stanąć przed Gościnnym Dworem. Wskoczył ze swego powozu, pobiegł w towarzystwie Pietrka pod arkadę

801

i wszedł prosto do sklepu jubilerskiego. Już z samej miny pana Goladkina widać było, że ma co niemiara różnych spraw i całe mnóstwo zajęć. Upatrzawszy pełny serwis do obiadu oraz do herbaty za z górą tysiąc pięćset rubli w banknotach i wytargowawszy sobie jeszcze w tej samej cenie wymyślnego kształtu cygarniczkę i srebrny komplet do golenia, wypytawszy wreszcie o ceny jeszcze jakichś tam skądinąd pożytecznych i miłych przedmiocików, pan Goladkin skończył na tym, że przyrzekł, iż niezawodnie nie później niż jutro wstąpi, a może jeszcze dzisiaj przyśle po wybrane rzeczy i zapytawszy o numer sklepu, a także uważnie wysłuchawszy kupca, który prosił o zadatek, przyrzekł, że w swoim czasie będzie i zadatek. Po czym pospiesznie pożegnał

zaskoczonego kupca i prześladowany przez całe stado sprzedawców ruszył wzdłuż sklepów, co chwila oglądając się na Pietrka i pilnie szukając jakiegoś nowego sklepu. Mimochodem wstąpił do kantoru wymiany i zmienił wszystkie swe grube banknoty na drobne i chociaż stracił na wymianie, lecz za to tak czy inaczej wymienił je; jego pugilares znacznie pogrubił, co wyraźnie sprawiało mu dużą satysfakcję. Wreszcie stanął przed składem różnych damskich materiałów. Pan Goladkin porobiwszy znowu zakupy na solidną sumę i tutaj przyrzekł kupcowi, że na pewno wstąpi, zapytał o numer sklepu, a na pytanie o zadatek znowu powtórzył, że w swoim czasie będzie i zadatek. Potem odwiedził jeszcze kilka sklepów; we wszystkich coś zamawiał, wypytywał o ceny różnych przedmiotów, czasami długo targował się z kupcami, wychodził ze sklepu i po trzy razy wracał - słowem, wykazywał niezwykłą aktywność. Z Gościnnego Dworu nasz bohater udał się do pewnego znanego składu mebli, gdzie zamówił meble do sześciu pokoi. Przez dłuższą chwilę podziwiał jakąś modną i nader wymyślną damską toaletkę w najnowszym stylu i zapewniwszy kupca, że z pewnością po wszystko przyśle, wyszedł ze składu, swoim zwyczajem obiecując zadatek, potem wstąpił jeszcze gdzieś tam i jeszcze coś tam zamówił. Słowem, jak widać było, miał niezliczone mnóstwo spraw. Wreszcie wszystko to, zdaje się, zaczęło mocno nudzić samego pana Goladkina. Bóg wie z jakiego powodu, ni z tego, ni z owego, zaczęły go nawet dręczyć wyrzuty sumienia, za żadne skarby nie zgodziłby się teraz spotkać z Andrzejem Filipowiczem czy choćby z Kristianem Iwano-

802

wiczem. Na miejskim zegarze wybiła trzecia po południu. Kiedy pan Goladkin ostatecznie siadł do karety, że wszystkich zakupów, które poczynił tego ranka, rzeczywistością okazała się jedynie para rękawiczek i buteleczka perfum za półtora rubla asygnatami. Ponieważ dla pana Goladkina było jeszcze dość wcześnie, kazał więc stangretowi zatrzymać się przed pewną znaną restauracją na Newskim Prospeckie, o której do tej pory wiedział tylko ze słyszenia, wysiadł z karety i pobiegł coś przekąsić, odpocząć i przeczekać do właściwej chwili.

Przekąsiwszy tak, jak czyni to człowiek, który ma w perspektywie wytworny proszony obiad, czyli przegryzłszy coś niecoś, aby, jak się mówi, położyć coś na ząb, i wypiwszy jeden kieliszek wódki, pan Goladkin rozsiadł się w fotelu i skromnie rozejrzawszy się dokoła, spokojnie zagłębił się w lekturze pewnej kiepskiej nacjonalistycznej gazetki. Przeczytawszy ze dwie linijki wstał, przejrzał się w lustrze, poprawił ubranie i przygładził włosy; potem podszedł do okna i popatrzał, czy stoi jego kareta... potem znów siadł na dawnym miejscu i znów wziął gazetę. Widać było, że nasz bohater był mocno zdenerwowany. Spojrzał na zegarek i widząc, że jest dopiero piętnaście po trzeciej, a więc, że pozostaje jeszcze dużo czasu na czekanie, a jednocześnie biorąc pod uwagę, że tak siedzieć nie wypada, pan Goladkin kazał podać sobie czekoladę, na którą zresztą w tej chwili nie miał większej ochoty. Wypił czekoladę i gdy zauważył, że czas nieco się posunął, wyszedł, aby zapłacić. Wtem ktoś uderzył go po ramieniu.

Obejrzał się i ujrzał przed sobą dwóch swoich kolegów biurowych, tych samych, których spotkał rano na Litiejnej - byli to chłopcy jeszcze bardzo młodzi, zarówno wiekiem, jak i rangą. Nasz bohater był z nimi ni tak, ni owak, ani w przyjaźni, ani też w jawnie wrogich stosunkach. Oczywiście, obie strony zachowywały względy przyzwoitości, dalsze zbliżenie natomiast nie nastąpiło i zresztą nastąpić nie mogło. W danej chwili spotkanie to było dla pana Goladkina bardzo nieprzyjemne. Skrzywił się nieco i na chwilę się zmieszał.

- Jakubie Pietrowiczu, Jakubie Pietrowiczu! - zaczął obaj registratorzy - pan tutaj? Z jakiego...

- A! To panowie! - przerwał im spieszenie pan Goladkin, nieco skonfundowany i zgorzony zdumieniem urzędników, a jednocześnie ich poufałym zachowaniem, lecz udając,

51. 803

zresztą z konieczności, zuchowatość i swobodę. - Zdezterowaliście, panowie, hę, hę, hę!... - Tu, aby nie poniżyć swej godności, a nawet okazać łaskawość wobec kancelaryjnej młodzi, z którą zawsze przestrzegał należnych granic, spróbował poklepać jednego z młodzieńców po ramieniu, ale w tym wypadku protekcyjnalne zachowanie nie udało się panu Goladkinowi i zamiast przyzwoitego a poufałego gestu wyszło mu zupełnie co innego.

- No co, siedzi nasz niedźwiedź?...

- Kto taki, Jakubie Pietrowiczu?

- No, niedźwiedź, jakbyście nie wiedzieli, kogo nazywają niedźwiedziem?... - Pan Goladkin roześmiał się i odwrócił się do bufetowego, aby wziąć resztę. - Mówię, panowie, o Andrzeju Filipowiczu - ciągnął skończywszy z bufetowym i tym razem z bardzo poważną miną zwracając się do urzędników. Obaj registratorzy znacząco mrugnęli jeden do drugiego.

- Jeszcze siedzi i pytał o pana, Jakubie Pietrowiczu - odrzekł jeden z nich.

- Siedzi, a! W takim razie niech siedzi, panowie. A o mnie pytał, co?

- Pytał, Jakubie Pietrowiczu; ale cóż to się z panem dzieje, taki pan wyperfumowany, wypomadowany, taki elegant?...

- Tak, panowie, tak! Dajcie spokój... - odparł pan Goladkin patrząc w bok i uśmiechając się z wysiłkiem. Widząc, że pan Goladkin się uśmiecha, urzędnicy roześmiali się. Pan Goladkin nieco się nadąsał.

- Powiem wam, panowie, po przyjacielsku - rzekł po chwili milczenia nasz bohater, jak gdyby (a niech już tam) postanowił wyznać coś urzędnikom - wy mnie, panowie, wszyscy znacie, ale do tej pory znaliście tylko jednostronnie. W tym wypadku nie należy mieć do nikogo pretensji i przyznam, że poniekąd sam byłem temu winien.

Pan Goladkin zacisnął wargi i znacząco spojrział na urzędników. Urzędnicy znów mrugnęli do siebie.

- Do tej pory żęście mnie, panowie, nie znali, wyjaśniać to teraz i tutaj byłoby całkiem nie na miejscu. Powiem wam tylko co nieco nawiasem i mimochodem. Istnieją, wiecie panowie, ludzie, którzy nie lubią okrężnych dróg i maskują się tylko na maskaradę. Istnieją ludzie, którzy nie dopatrują się bezpośredniego celu istnienia człowieka w zręcznej umiejęt-

804

ności szlifowania butami parkietów. Istnieją również tacy ludzie, proszę panów, którzy nie będą mówili, że są szczęśliwi i że używają w pełni życia, jeżeli, powiedzmy, noszą dobrze skrojone spodnie. Istnieją wreszcie ludzie, którzy nie lubią podskakiwać, ubiegać się o względy i podlizywać, a przede wszystkim, proszę panów, pchać się tam, gdzie ich bynajmniej nie proszą... Powiedziałem, moi panowie, prawie wszystko; pozwolicie, że teraz odejdę.

Pan Goladkin przerwał. Ponieważ panowie registratorzy byli teraz w pełni usatysfakcjonowani, wobec tego nagle obaj nader nieuprzejmie zaczęli się zataczać ze śmiechu. Pan Goladkin wybuchł.

- Śmiejcie się, panowie, śmiejcie, do czasu! Jak pożyjecie, to zobaczycie - rzekł z uczuciem obrażonej godności, biorąc kapelusze i cofając się ku drzwiom.

- Ale powiem więcej, panowie - dodał zwracając się po raz ostatni do panów registratorów *- powiem więcej - obaj jesteście tu ze mną oko w oko. Mam takie zasady, proszę panów: jak się nie uda - to wytrzymam, kiedy się uda - to się trzymam, ale w żadnym wypadku pod nikim dołków nie kopię. Nie jestem intrygantem - i tym się szczycę. Na dyplomata nie nadałbym się. Powiadają też, proszę panów, że ptak sam leci na myśliwego. To prawda i gotów jestem się z tym zgodzić; ale kto tu jest myśliwym, a kto ptakiem? To jeszcze, panowie, pytanie!

Pan Goladkin wymownie zamilkł i z nader znaczącą miną, to znaczy unosząc brwi i zaciskając do niemożliwości wargi, pożegnał się z panami urzędnikami, a potem wyszedł pozostawiając ich w skrajnym zdumieniu.

- Dokąd pan każe jechać? - zapytał dość oschle Pietrek, któremu już zapewne znudziło się włączyć na zimnie. - Dokąd pan każe jechać? - zapytał pana Goladkina, ale natknął się na jego straszne, zabójcze spojrzenie, którym nasz bohater już dwa razy zabezpieczał się tego ranka, a do którego uciekł się teraz po raz trzeci schodząc ze schodów.

- W stronę mostu Izmailowskiego.

- W stronę mostu Izmailowskiego! Jazda!

„Obiad zacznie się u nich nie wcześniej niż przed piątą, a może nawet o piątej - myślał pan Goladkin - czy to jeszcze nie za wcześnie? Zresztą, mogę nieco wcześniej, przecież to

805

obiad rodzinny, mogę przecież tak sans fafon*, jak to się mówi w przyzwoitym towarzystwie. Dlaczego nie wolno by mi było sans fafon? Nasz niedźwiedź też mówił, że wszystko będzie sansfafon i wobec tego ja też...” Tak myślał pan Goladkin, a tymczasem zdenerwowanie jego rosło coraz bardziej. Widać było, że szykował się do czegoś bardzo kłopotliwego, żeby nie określić tego mocniej, szeptał sam do siebie, gestykulował prawą ręką, nieustannie wyglądał przez okienka karety, toteż patrząc teraz na pana Goladkina nikt nie mógłby doprawdy powiedzieć, że wybiera się na dobry obiad, zwyczajnie, po prostu, i to jeszcze w rodzinnym gronie - sans fafon, jak to się mówi w przyzwoitym towarzystwie. Wreszcie tuż przed mostem Izmailowskim pan Goladkin wskazał pewien dom; kareta z turkotem wtoczyła się w bramę i zatrzymała się przed podjazdem z prawej strony. Zauważywszy w oknie pierwszego piętra jakąś postać, pan Goladkin posłał jej ręką całusa. Zresztą sam nie wiedział, co robi, ponieważ w tej chwili był stanowczo półżywy. Z karety wyszedł błady, roztargniony; wszedł na ganek, zdjął kapelusz* machinalnie poprawił ubranie i czując zresztą lekkie drżenie w kolanach, wszedł na schody.

- Czy Ołsufij Iwanowicz w domu? - zapytał służącego, który mu otworzył.

- Jest, to znaczy nie ma, nie ma go w domu, łaskawy panie.

- Jak to? Co ty mówisz, mój kochany? Ja, bracie, przychodzę na obiad. Przecież mnie znasz?

- Jakżeby miał nie znać! Nie kazano pana przyjmować, łaskawy panie.

- Ty... ty, braciszku... ty się pewno mylisz, braciszku. To ja jestem. Jestem, braciszku, zaproszony, przychodzę na obiad - mówił pan Goladkin zdejmując płaszcz i wyraźnie zamierzając ruszyć na pokoje.

- Pan wybaczy, nie wolno, łaskawy panie. Kazano pana nie przyjmować, kazano pana odprawić. Tak jest!

Pan Goladkin pobladł. W tej chwili otworzyły się drzwi od mieszkania i wyszedł Gierasimowicz, stary kamerdyner Ołsufia Iwanowicza.

- Ten pan, Jemielianie Gierasimowiczu, chce wejść, a ja...

- bez ceremonii

806

- Aż was głupiec, Aleksieiczu. Idźcie na pokoje, a tutaj przyślijcie łajdaka Siemionycza. Nie wolno, łaskawy panie - rzekł uprzejmie, ale stanowczo zwracając się do pana Goladkina. - W żaden sposób nie wolno. Pan prosi wybaczyć, nie może przyjąć łaskawego pana.

- Tak właśnie powiedział, że nie może przyjąć? - niepewnie zapytał pan Goladkin. - Wybacz,

Gierasimycz. Dlaczego w żaden sposób nie wolno?

- W żaden sposób nie wolno, łaskawy panie. Meldowałem, łaskawy panie; pan powiedział, że prosi wybaczyć. Że nie może pana przyjąć.

- Dlaczegoż to? Jakże to tak? Jak...

- Pan pozwoli, pan pozwoli!...

- Ale jakże to tak? Tak nie można! Proszę zameldować... Jakże to tak? Przychodzę na obiad...

- Pan pozwoli, pan pozwoli!...

- A zresztą, jeśli prosi o wybaczenie - to inna sprawa. Jednakże pozwól, Gierasimycz, jakże to tak, Gierasimycz?

- Pan pozwoli, pan pozwoli!... - odparł Gierasimycz, bardzo stanowczo odpychając rękę pana Goladkina i dając szerokie przejście dwóm panom, którzy właśnie w tej chwili wchodzili do przedpokoju.

Byli to: Andrzej Filipowicz i jego bratanek, Włodzimierz Siemionowicz. Obaj ze zdumieniem popatrzyli na pana Goladkina. Andrzej Filipowicz chciał coś powiedzieć, ale pan Goladkin już się zdecydował; wychodził z przedpokoju Ołsufia Iwanowicza zaczerwieniony, opuściwszy wzrok, uśmiechając się z nader zakłopotaną miną.

- Wstąpię tu później, Gierasimycz; wyjaśnię tę sprawę; mam nadzieję, że wszystko w swoim czasie się wyjaśni - rzekł na progu, a częściowo już na schodach.

- Jakubie Pietrowiczu, Jakubie Pietrowiczu! - rozległ się głos Andrzeja Filipowicza, który podążył za panem Goladkinem.

Pan Goladkin znajdował się już na pierwszym podeście. Odwrócił się szybko do Andrzeja Filipowicza.

- Czego pan sobie życzy, Andrzeju Filipowiczu? - odezwał się dość stanowczym tonem.

- Cóż to się z panem dzieje, Jakubie Pietrowiczu? Jakim cudem?...

807

- Nic takiego, Andrzeju Filipowiczu. Jestem tu z własnej woli. To moje prywatne życie, Andrzeju Filipowiczu.

- Co takiego?

- Mówię, Andrzeju Filipowiczu, że to moje prywatne życie i że w tym, jak mi się wydaje, nie można się dopatrzeć niczego nagannego w sensie moich oficjalnych stosunków.

- Jak pan mówi? W sensie oficjalnych... Co się z panem dzieje?

- Nic takiego, Andrzeju Filipowiczu, absolutnie nic; bezczelne dziewczynisko i nic więcej...

- Co?... co?...-Andrzej „Filipowicz stracił głowę ze zdumienia. Pan Goladkin, który dotąd rozmawiając z dołu schodów z Andrzejem Filipowiczem, patrzył tak, jak gdyby gotów był mu skoczyć prosto do oczu, widząc, że naczelnik wydziału nieco się zmieszał, zrobił prawie nieświadomie krok naprzód. Andrzej Filipowicz cofnął się. Pan Goladkin wstąpił na jeszcze jeden i jeszcze jeden schodek. Andrzej Filipowicz rozejrzał się dokoła niespokojnie. Pan Goladkin naraz szybko wszedł na schody. Andrzej Filipowicz jeszcze szybciej skoczył do pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi. Pan Goladkin został sam. W oczach mu pociemniało. Zupełnie stracił głowę i stał teraz w jakimś bezsensownym zamyśleniu, jak gdyby przypominał sobie jakąś również bezsensowną okoliczność, która się niedawno wydarzyła. „Ech-ech!” - wyszeptał uśmiechając się z wysiłkiem. Tymczasem na schodach, w dole, rozległy się głosy i kroki zapewne nowych gości Ołsufia Iwano-

wicza. Pan Goladkin nieco się opamiętał, szybko podniósł swój szopowy kołnierz, zasłonił się nim jak tylko mógł i potykając się i drepcząc zaczął spieszenie schodzić ze schodów. W całym ciele czuł jakieś osłabienie i zdrętwiałość... Był tak okropnie zmieszany, że gdy wyszedł na ganek, nie czekał na karetę, lecz sam poszedł przez zablocone podwórze do swojego powozu. Zbliżywszy się do powozu i szykując się do wejścia pan Goladkin uświadomił sobie, że chętnie by wraz z karetą zapadł się pod ziemię albo skrył się w mysia norę. Wydawało mu się, że wszyscy obecni w domu Ołsufia Iwanowicza nie robią nic innego, tylko przyglądają mu się ze wszystkich okien. Czuł, że tu, niewątpliwie tu na miejscu, padłby trupem, gdyby się odwrócił.

- Czego się śmiejesz, bałwanie? - wyrzekł szybko do Pietrka, który zamierzał podsadzić go do karety.

808

- A co mam się śmiać? Wcale się nie śmieję. Dokąd teraz jechać?

- Jazda do domu, wal...

- Jazda do domu! - wrzasnął Pietrek gramoląc się na tylny stopień karety.

„Ależ wrzeszczy!” - pomyślał pan Goladkin. Tymczasem karetka odjechała już dość daleko poza most Izmailowski. Naraz bohater nasz z całej siły pociągnął za sznurek i krzyknął stangretowi, aby natychmiast wracał. Stangret zawrócił konie i po jakichś dwóch minutach wjechał znowu na dziedziniec Ołsufia Iwanowicza. „Nie trzeba, głupcze, nie trzeba, wracaj!” - zawołał pan Goladkin; stangret jak gdyby oczekiwał takiego rozkazu: bez słowa sprzeciwu, nie zatrzymując się przed podjazdem i okrążywszy cały dziedziniec, wyjechał znowu na ulicę.

Do domu pan Goladkin nie pojechał, lecz gdy minął most Siemionowski, kazał skrócić w pewien zaułek i zatrzymać się przed dość skromnie wyglądającą traktownią. Wyszedszy z karety bohater nasz zapłacił należność stangretowi i w ten sposób pozbył się nareszcie swego powozu, Pietrkowi kazał iść do domu i czekać na swój powrót, a sam wszedł do trak-tierni, zajął oddzielny gabinet i zamówił obiad. Czuł się bardzo źle, w głowie miał okropny zamęt i chaos. Długo chodził zdenerwowany po pokoju, wreszcie siadł na krześle, podparł czoło dłońmi i usilnie próbował rozważyć i ocenić swoją obecną sytuację...

ROZDZIAŁ IV

Dzień, uroczysty dzień urodzin Klary Ołsufiewny, jedynej córki radcy stanu Bierien-diejewa, ongiś dobroczyńcy pana Goladkina - dzień, który się upamiętnił wspaniałym, świetnym obiadem proszonym, takim obiadem, jakiego dawno nie widziano w murach mieszkań urzędniczych przy moście Izmailowskim i w okolicy - obiadem, który raczej podobny był do jakiejś uczy Baltazarowej niż do obiadu - który przypominał coś babilońskiego swą świetnością, wspaniałością i elegancją, z szampanem Clicquot, z ostrygami i owocami ze sklepów Jelisiejewa i Milutinów, ze wszystkimi utuczonymi

809

cielcami i urzędniczą tabelą rang - ten uroczysty dzień, który upamiętnił się tak uroczystym obiadem, zakończył się wspaniałym balem: niewielkim, w gronie rodzinnym, a jednak wspaniałym pod względem smaku, dobrego wychowania i pięknych manier. Oczywiście całkiem podzielam to zdanie, że takie bale zdarzają się, ale rzadko! Takie bale, podobne raczej do rodzinnych uciech niż do balów, mogą wydawać jedynie takie domy, jak na przykład dom, radcy stanu Bierien-diejewa. Powiem więcej: wątpię, czy wszyscy radcowie stanu mogliby wydawać takie bale. O, gdybym był poetą! - oczywiście przynajmniej takim jak Homer lub Puszkina - z mniejszym talentem nie ma się co pchać - to niewątpliwie odmalowałbym wam jaskrawymi barwami i szerokim pędzlem, o czytelnicy! - cały ów nader uroczysty dzień. Ni”, rozpocząłbym swój poemat od obiadu, położyłbym szczególny nacisk na ową zadziwiającą, a jednocześnie podniosłą chwilę, kiedy

wzniesiono pierwszy toast za zdrowie i na cześć królowej uroczystości. Odmalowałbym wam po pierwsze tych gości, pogrążonych w oczekiwaniu i pełnym czci milczeniu, podobnym raczej do demostenesowej wymowy niż do milczenia. Odmalowałbym wam potem Andrzeja Filipowicza, jako najstarszego z gości, mającego nawet pewne prawo do pierwszeństwa, zdobnego w siwiznę i w należne siwiznie ordery, jak wstał z miejsca i uniósł nad głowę kielich ze skrzącym się iskrami winem - winem umyślnie przywożonym z pewnego dalekiego królestwa, aby zapijać nim podobne chwile - winem podobnym raczej do boskiego nektaru niż do wina. Odmalowałbym wam gości i szczęśliwych rodziców królowej uroczystości, jak za przykładem Andrzeja Filipowicza również wzniesli swoje kielichy i skierowali nań wzrok pełen oczekiwania. Odmalowałbym wam, jak ów często wspominany Andrzej Filipowicz, uroniwszy najpierw łzę do kielicha, wypowiedział powitanie i życzenia, wygłosił toast i wypił za jej zdrowie... Ale muszę przyznać, że nie potrafiłbym odmalować całego majestatu owej chwili, gdy sama królowa uroczystości, Klara Olsufiewna, rumieniąc się jak wiosenna róża rumieńcem szczęścia i wstydlivości, przepełniona uczuciami, padła w objęcia tkliwej matki, jak rozrzewniła się tkliwa matka i jak rozpląkał się z tej okazji sam ojciec, szacowny starzec i radca stanu Olsufij Iwanowicz, który w trakcie wieloletniego urzędowania

810

utracił władzę w nogach, a którego los za taką gorliwość wynagrodził kapitalikiem, domkiem, wioskami i piękną córką - rozpląkał się jak dziecko i przez łzy powiedział, że jego ekscelencja jest człowiekiem wielkiej łaskawości. Nie potrafiłbym, tak, właśnie nie potrafiłbym odmalować wam również powszechnego zapału serc, który nastąpił po tej chwili - zapału, któremu dał bezpośredni wyraz swoim zachowaniem pewien młody registrator (który w tej chwili przypominał raczej radcę stanu niż registratora), również rozrzewniony słowami Andrzeja Filipowicza. Z kolei Andrzej Filipowicz w tej uroczystej chwili bynajmniej nie przypominał radcy kolegiального i naczelnika wydziału pewnego departamentu - nie, wydawał się kimś innym... nie wiem tylko, kim właściwie, ale bynajmniej nie radcą kolegialnym. Był znaczniejszy! Wreszcie... o! dlaczegoż to nie władam tajemnicą stylu wzniosłego, mocnego, stylu uroczystego, aby móc odmalować wszystkie te wspaniałe i pouczające chwile ludzkiego życia, stworzone jak gdyby umyślnie na dowód, jak to cnota osiąga niekiedy zwycięstwo nad nielojalnością, wolnomyślnością, występkiem i zawiścią! Nie powiem nic, lecz w milczeniu - co będzie lepsze od wszelkiej wymowy - wskażę wam, tego szczęśliwego młodzieńca, wstępującego w dwudziestą szóstą wiosnę życia, Włodzimierza Siemionowicza, bratanka Andrzeja Filipowicza, jak z kolei wstaje ze swego miejsca, jak wygłasza kolejny toast, i jak na niego zwrócone są pełne łez oczy rodziców królowej tej uroczystości, dumne oczy Andrzeja Filipowicza, zawstyżone oczy samej królowej uroczystości, pełne zachwyty oczy gości, a nawet zazdrosne w dopuszczalnych granicach oczy niektórych młodych kolegów biurowych tego olśniewającego młodzieńca. Nie powiem nic, choć nie mogę się powstrzymać od uwagi, że wszystko w tym młodzieńcu - który raczej podobny jest do starca niż do młodzieńca, mówiąc w sensie dla niego dodatnim - wszystko, począwszy od kwitnących policzków aż do zdobiącej go rangi asesora, wszystko to w owej uroczystej chwili świadczyło nieomal głośno, jak daleko może doprowadzić człowieka obyczajność! Nie będę opisywał, jak wreszcie Antoni Antonowicz Sietoczkin, referent w pewnym departamencie, kolega biurowy Andrzeja Filipowicza, niegdyś - Olsufia Iwanowicza, a jednocześnie stary przyjaciel domu i ojciec chrzestny Klary Olsufiewny - sta-

811

ruszek siwiuteńki jak gołąbek, wznosząc z kolei toast zapał jak kogut i wygłosił wesołą rymowaną orację; jak owym przywoitym, jeśli można się tak wyrazić, poniechaniem dobrych manier do łez rozśmieszył całe towarzystwo i jak sama Klara Olsufiewna za tę wesołość i uprzejmość z rozkazu rodziców pocałowała go w czoło. Opowiem jedynie, jak w końcu goście, którzy po takim obiedzie oczywiście powinni byli czuć się przyjaciółmi i braćmi, wstali od stołu; jak potem co starsi i

solidniejsi, po chwili przyjacielskiej rozmowy, a nawet niejakich, naturalnie bardzo przyzwoitych i uprzejmych zwierzeń, godnie przeszli do drugiego pokoju, nie tracąc cennego czasu rozdzielili się na partie i z poczuciem własnej godności usiedli za stoły obciążone zielonym sukniem; jak damy, rozsiadłszy się w salonie, stały się nagle wszystkie niezwykle uprzejme i zaczęły rozmawiać na różne tematy; jak wreszcie sam nader szacowny gospodarz domu, który stracił władzę w nogach przy urzędowaniu z całych sił i możliwości, o czym była już powyżej mowa, zaczął przechadzać się o kulach pomiędzy swoimi gośćmi podpierany przez Włodzimierza Siemio-nowicza i Klarę Ołsufiewnę i jak naraz, stając się również niezwykle uprzejmym, postanowił zaimprovizować, nie bacząc na koszty, mały skromny balik; jak w tym celu odkomenderowano pewnego roztropnego młodzieńca (tego, który przy obiedzie przypominał bardziej radcę kolegijskiego niż młodzieńca) po muzykantów; jak potem przyszli muzykanci w liczbie aż jedenastu osób i jak wreszcie ściśle o wpół do dziewiątej rozległy się zapraszające do piasów dźwięki francuskiego kadryla i najrozmaitszych innych tańców... Nie trzeba nawet dodawać, że pióro moje jest zbyt słabe, gnuśne i tępe, ażeby w sposób właściwy odmalować bal, zaimprovizowany dzięki niezwyklej uprzejmości siwowłosego gospodarza. A zresztą jakże, zapytam, jakże mógłbym ja, skromny dziejopis nader zresztą ciekawych w pewnym sensie przygód pana Goladkina - jakże mógłbym odmalować to niezwykle i wyjątkowo przyzwoite pomieszanie piękna, wytworności, dobrych manier, wesołości, uprzejmej solidności i solidnej uprzejmości, figlar-ności, radości, wszystkie te zabawy i śmiechy wszystkich tych dam z mężami na stanowiskach, bardziej przypominających czarodziejki niż damy - mówiąc w dodatku dla nich znaczeniu - z ich jak lilie białoróżowymi ramionami i twarzycz-

812

karni, z ich powiewnymi kibiciami, z ich zwinnie filuternymi, homeopatycznymi, mówiąc górnym stylem, nóżkami? Jakże odmaluję wam wreszcie owych świetnych kawalerów na stanowiskach, wesołych i solidnych, młodzieńców i statecznych panów, pełnych radości i godnie chmurnych, palących fajkę w antraktach pomiędzy tańcami w małym oddalonym zielonym pokoju i nie palących w antraktach fajki - kawalerów, z których każdy od pierwszego do ostatniego obdarzony był przyzwoitą rangą i nazwiskiem - kawalerów głęboko przejętych poczuciem elegancji i poczuciem własnej godności - kawalerów mówiących z paniami przeważnie po francusku, a jeśli po rosyjsku, to wyrażeniami w najwyższym stylu, komplementami i mądrymi zdaniem - kawalerów, którzy chyba jedynie w fa j czarni pozwalali sobie na pewne miłe odstępstwa od języka wyższych sfer, na poniektóre zdania przyjacielskiej i ujmującej poufałości, w rodzaju na przykład takich: „że niby ty, taki owaki, Pietrek, świetnie polkę wywijales”, albo też: „że niby ty, Wasia, taki owaki, przygruchałeś jednak, tak jak chciałeś, swoją damulkę”. Do tego wszystkiego, jak już miałem wyżej zaszczyt wyjaśnić wam, o czytelnicy! brak mi pióra i dlatego milczę. Zwróćmy się raczej do pana Goladkina, jedyne prawdziwego bohatera naszej nader wiernej opowieści.

Rzecz polega na tym, że pan Goladkin znalazł się teraz w bardzo, żeby nie powiedzieć więcej, dziwnej sytuacji. Pan Goladkin też jest tutaj, proszę państwa, to znaczy nie na balu, ale prawie na balu. On, proszę państwa, choć od nikogo nie zależy, jednak w tej chwili stoi na drodze nie nazbyt prostej; stoi teraz - aż dziwne to powiedzieć - stoi teraz w sieni, na kuchennych schodach domu Ołsufia Iwanowicza. Ale to nie szkodzi, że tu stoi, on to tak sobie. Stoi, proszę państwa, w kątku, w miejscu co prawda nie nazbyt ciepłym, ale za to dość ciemnym, prawie zasłonięty ogromną szafą i starym parawanem, stoi pośród wszelakich rupieci, gratów i łachów, ukrywając się do czasu, a chwilowo obserwując jedynie w charakterze postronnego widza bieg całej sprawy. Pan Goladkin, proszę państwa, teraz jedynie obserwuje; on, proszę państwa, też może przecież wejść... dlaczegoż miałby nie wejść? Wystarczy tylko zrobić krok, a wejdzie, i to bardzo zręcznie wejdzie.

Tymczasem zaś - stojąc zresztą już od trzech godzin

813

na zimnie, pomiędzy szafą a parawanem, pośród wszelakich rupieci i łachów - cytował na własne

usprawiedliwienie pewne zdanie świętej pamięci francuskiego ministra Villelea, że niby „wszystko przyjdzie w swoim czasie, jeśli kto umie przeczekać”.² Zdanie to wyczytał kiedyś pan Goladkin z książki, całkiem zresztą na inny temat, ale teraz bardzo w porę je sobie uprzytomnił. Zdanie to po pierwsze bardzo dobrze pasowało do jego obecnej sytuacji, a po drugie, cóż nie przyjdzie do głowy człowiekowi, który prawie bite trzy godziny wyczeka w sieni, w ciemności i na zimnie, pomyślnego rozstrzygnięcia swojej sytuacji? Zacytowawszy, jak już powiedzieliśmy, nader stosowne zdanie byłego francuskiego ministra Villelea, pan Goladkin natychmiast, nie wiadomo zresztą dlaczego, przypomniał sobie również i o byłym tureckim wezyrze Mar-cymirysie, a także i o pięknej margrabinie Luizie, których historię również kiedyś wyczytał w książce.³ Potem przyszło mu na myśl, że jezuita uznawali nawet za swoją zasadę, że wszystkie środki są właściwe, aby tylko osiągnąć cel. Podawszy sobie nieco otuchy tego rodzaju historycznym przykładem, pan Goladkin powiedział sam do siebie, że niby kim właściwie są jezuita? Wszyscy bez wyjątku jezuita byli największymi durniami, on sam potrafi ich wszystkich zapędzić w koziego róg i niech tylko choć na chwilę opustoszeje pokój kredensowy (ten pokój, od którego drzwi wychodziły na kuchenne schody, gdzie właśnie znajdował się teraz pan Goladkin), to on, nie bacząc na wszystkich jezuitów, weźmie i przejdzie bez wahania najpierw z kredensu do saloniku herbacianego, potem do pokoju, gdzie teraz grają w karty, a stamtąd prosto do salonu, gdzie teraz tańczą polkę. I przejdzie, na pewno przejdzie, przejdzie nie bacząc na nic, prześlizgnie się i już - i nikt nawet nie zauważy; a potem to już sam wie, co ma robić. W takiej to właśnie sytuacji, proszę państwa, znajdujemy bohatera naszej bardzo prawdziwej historii, chociaż trudno zresztą wyjaśnić, co właściwie działo się z nim w tej chwili. Rzecz w tym, że do sieni i na schody dostać się potrafił, bo i dlaczego niby miałby się nie dostać, wszakże wszyscy się dostają; ale dalej pójść nie śmiał, wyraźnie nie śmiał tego uczynić... nie dlatego, żeby nie śmiał czynić czegokolwiek, ale tak sobie, ponieważ sam nie chciał, ponieważ miał ochotę raczej robić wszystko cichaczem. I oto, proszę państwa, właśnie wy-

814

czeka teraz stosownej chwili, i to wyczeka równe dwie i pół godziny. Dlaczegoż miałby nie wyczekać? Nawet sam Yillele wyczekał. „A co tam zresztą Yillele! - myślał pan Goladkin. - Jaki tam znów Yillele? A gdybym tak właśnie teraz... tego... wziął i wszedł?... Ech ty, figurancie jeden! - rzekł pan Goladkin, szczypiąc się zdrętwiałą ręką w zdrętwiałe policzki - głuptasie jeden, Goladko, hołotko ty jedna - takie to już twoje nazwisko!...” Zresztą ta czułość do własnej osoby zjawiała się w danej chwili jedynie tak sobie, mimochodem, bez jakiegokolwiek wyraźnego celu. Oto się wsunął i ruszył naprzód; nadeszła właściwa chwila; pokój kredensowy opustoszał, nie było w nim nikogo; pan Goladkin widział to wszystko przez okienko; zrobiwszy dwa kroki znalazł się przy drzwiach i zaczął już je otwierać. „Iść czy nie iść? No, iść czy nie iść? Pójdę... dlaczegoż miałbym nie pójść? Odważni nie znają przeszkód!” - Dodawszy sobie w ten sposób otuchy nasz bohater nagle i całkiem niespodziewanie cofnął się za parawan. „Nie - myślał sobie - a jak ktoś wejdzie? No i właśnie, ktoś wszedł; dlaczego się gapiłem, kiedy nikogo nie było? Gdyby tak wziąć i wejść!... Nie, jakże tu wejść, gdy człowiek ma taki charakter! Cóż to za podła tendencja! Stchórzyłem jak kurczak. Taką już mam naturę, że tchórzę, no tak! Taką już mam zawsze naturę, że muszę wszystko spaskudzić: już mnie nawet o to nie pytajcie. No i stój tu, człowieku, jak pień, i tyle! Wypiłbym teraz w domu filiżaneczkę herbaty... to nawet byłoby całkiem przyjemnie wypić sobie filiżaneczkę! A jak przyjdę później, to Pietrek gotów mamrotać. Czy aby nie pójść do domu? Niechby to wszystko diabli wzięli! Pójdę, i tyle!” Rozstrzygnąwszy w ten sposób swoją sytuację, pan Goladkin szybko posunął się naprzód, jak gdyby ktoś poruszył w nim jakąś sprężynę; dwoma krokami znalazł się w pokoju kredensowym, zrzucił płaszcz, zdjął kapelusz, z pośpiechem wetknął to wszystko w kąt, z kredensu przemknął do sąsiedniego pokoju, prześlizgnął się prawie niedostrzegalnie pomiędzy podnieconymi graczami, a potem... potem... tu już pan Goladkin zapomniał o wszystkim, co się dzieje wokół niego i od razu, jakby spadł z nieba, znalazł się w sali balowej.

Jak na złość w tej chwili nie tańczono. Panie przechadzały się po salonie malowniczymi grupami. Mężczyźni stali stłó-

815

czeni po kilku albo też kręcili się po pokoju, angażując panie. Pan Goladkin nic z tego nie dostrzegał. Widział tylko Klarę Olsufiewnę, obok niej Andrzeja Filipowicza, potem Włodzi mierzę Siemionowicza i jeszcze dwóch czy trzech oficerów i jeszcze dwóch czy trzech młodzieńców, też bardzo interesu jących, którzy rokowali albo też już ziścili, jak można byk sądzić na pierwszy rzut oka, pewne nadzieje... Widział również jeszcze kogoś. A raczej nie, nikogo już nie widział, na nikogo nie patrzył... lecz poruszany przez tę samą sprężynę, przy której pomocy wdarł się nieproszony na cudzy bal, ruszył przed siebie, potem jeszcze przed siebie i jeszcze przed siebie; wpadł mimochodem na jakiegoś radcę, nadepnął mu na nogę, przy okazji pewnej szacownej staruszce nastąpił na suknię i nieco ją naddarł, popchnął służącego z tacą, popchnął jeszcze kogoś tam i nic z tego nie zauważywszy albo raczej zauważywszy, ale robiąc to już tak, przy okazji, nie patrząc na nikogo, przedzierając się wciąż naprzód, nagle znalazł się przed samą Klarą Olsufiewną. Nie ulega wątpliwości, że nie mrugnawsz okiem, z najwyższym zadowoleniem zapadłby się w tej drwi] pod ziemię, ale co się stało, to się już nie odstanie... przecie- i tak już w żaden sposób się nie odstanie. Cóż było robić} „Jak się nie uda - to wytrzymaj, kiedy się uda - to się trzymaj. Pan Goladkin, ma się rozumieć nie był intrygantem i nie umiał szlifować butami parkietów...” Tak to już wyszło. W dodatku dołączyli się do tego w jakiś sposób jezuici... Ale nie oni zresztą w tej chwili obchodzili pana Goladkina! Wszystko, co chodziło, hałasowało, mówiło, rozmawiało, śmiało się, nagle, jakby na czyjeś skinienie, ucichło i stopniowo skupiło się wokoło pana Goladkina. Zresztą pan Goladkin jak gdyby nic nie słyszał, nic nie widział, nie mógł patrzeć... za żadne skarby nie mógł patrzeć; spuścił oczy ku ziemi i tak sobie stał, zresztą dał sobie mimochodem słowo honoru, że tak czy inaczej zastrzeli się jeszcze tej nocy. A gdy pan Goladkin dał już sobie takie słowo honoru, to powiedział sam sobie w myśli: „było, nie było!” i ku swemu najwyższemu zdumieniu całkiem niespodzianie zaczął naraz mówić.

Zaczął pan Goladkin od powinszowań i należnych życzeń. Powinszowania poszły mu gładko, ale na życzeniach nasz bohater się zaciął. Czuł, że jeśli się zatnie, to wszystko od razu diabli wezmą. Tak też się stało - zaciął się i ugrzązł... ugrzązł

816

i poczerwieniał, poczerwieniał i zmieszał się, zmieszał się i podniósł wzrok, podniósł wzrok i powiódł nim dokoła, powiódł nim dokoła i - zdrętwiał... wszystko stało, wszystko „mleżało, wszystko wyczekiwało; nieco dalej zaczęto szeptać, -nieco bliżej zaczęto się śmiać. Pan Goladkin rzucił pokorne, „skonfundowane spojrzenie na Andrzeja Filipowicza. Andrzej rFilipowicz odpowiedział panu Goladkinowi takim spojrzeniem, że gdyby nasz bohater nie był już całkowicie, absolutnie zbity z pantałyku, to niewątpliwie zbilby się po raz drugi - jeśliby to było tylko możliwe. Milczenie przeciągało się.

- To raczej dotyczy domowych okoliczności i mego prywatnego życia, Andrzeju Filipowiczu - ledwo dosłyszalnym głosem wyrzekł na wpół żywy pan Goladkin - to nie jest oficjalny przypadek, Andrzeju Filipowiczu...

- Wstydziliby się pan, wstydzili! - rzekł Andrzej Filipo-wicz półszepem z niewymownie oburzoną miną; rzekł, wziął za rękę Klarę Olsufiewnę i odwrócił się od pana Goladkina.

- Nie mam się czego wstydzić, Andrzeju Filipowiczu -

Odparł również szepem pan Goladkin, patrząc nieszczęśliwym

Spojrzeniem dokoła, mieszając się coraz bardziej i usiłując

V tej sytuacji odnaleźć w zdumionym tłumie swoją pozycję jpołączną.

- No nic takiego, no nic takiego, proszę państwa! No cóż takiego? Przecie każdemu może się przydarzyć - szeptał pan Goladkin ruszając powoli z miejsca i usiłując wydostać się z otaczającego go tłumu. Rozstąpiono się przed nim. Bohater nasz jako tako przeszedł pomiędzy dwoma rzędami zaciekawionych i zdumionych obserwatorów. Rządziło nim przeznaczenie. Pan Goladkin sam to odczuwał, że rządzi nim przeznaczenie. Niewątpliwie dużo by dał za to, aby zachowując pozory przyzwoitości znaleźć się teraz na swoim poprzednim stanowisku w sieni obok kuchennych schodów, ale ponieważ było to zdecydowanie niemożliwe, usiłował więc zwiać w jakiś kącik i tam sobie stać - skromnie, przyzwoicie, oddzielnie, nikogo nie ruszając, nie zwracając na siebie szczególnej uwagi, a jednocześnie pozyskując sobie przychylność gości i gospodarza. Zresztą pan Goladkin czuł się tak, jak gdyby mu coś podcinało nogi, jak gdyby się chwiały, padały. Wreszcie dotarł do jakiegoś kącika i stanął w nim jak obcy, dość obojętny obserwator, trzymając się za oparcia dwóch

35 Dostojewski, t III
817

krzesła, zagarnąwszy je w ten sposób w pełne posiadanie i usiłując w miarę możliwości spojrzeć rześkim wzrokiem na zgrupowanych wokoło niego gości Ołsufia Iwanowicza. Najbliżej niego stał jakiś wysoki i przystojny oficer, wobec którego pan Goladkin poczuł się po prostu żuczkiem.

- Te dwa krzesła, panie poruczniku, są zajęte: jedno jest przeznaczone dla Klary Ołsufiewny, a drugie dla tańczącej tutaj księżniczki Czewczechanow, pilnuję ich teraz dla nich, panie poruczniku - tracąc oddech wyrzekł pan Goladkin i skierował błagalny wzrok na pana porucznika. Porucznik w milczeniu i z zabójczym uśmiechem odwrócił się. Gdy w jednym miejscu spaliło na panewce, bohater nasz spróbował poszukać szczęścia gdzie indziej i zwrócił się wprost do pewnego dumnego radcy z orderem wysokiej klasy na szyi. Ale radca zmierzył go tak zimnym wzrokiem, że pan Goladkin wyraźnie poczuł, iż nagle został obłany całym wiadrzem zimnej wody. Pan Goladkin przycichł. Postanowił raczej milczeć, nie zaczynać rozmów, pokazać, że jest tu całkiem po prostu, że jest tak jak i inni i że jest w sytuacji, jak mu się wydaje, przynajmniej równie przyzwoitej. W tym celu przykuł wzrok do wyłogów swego mundurowego fraka, a potem podniósł oczy i zatrzymał je na pewnym panu o nader szacownej powierzchowności. „Ten pan nosi perukę - pomyślał pan Goladkin - a gdyby zdjąć tę perukę, to miałby gołą głowę, kropka w kropkę tak gołą jak moja dłoń.” Uczyniwszy tak ważne odkrycie pan Goladkin przypomniał sobie arabskich emirów, którzy jeśli zdejmą z głowy zielony turban, noszony przez nich na znak powinowactwa z prorokiem Mahometem, to również zostają z gołą, pozbawioną włosów głową. Potem, zapewne na skutek szczególnego skojarzenia myśli o Turkach, pan Goladkin doszedł nawet do tureckich pantofli i tu przy okazji przypomniał sobie, że Andrzej Filipowicz nosi buty podobne bardziej do pantofli niż do butów. Widać było, że pan Goladkin poniekąd przyzwyczaił się do swojej sytuacji. „O, gdyby tak ten żyrandol - przemknęło przez głowę panu Goladkinowi - o, gdyby tak ten żyrandol urwał się teraz i spadł na całe towarzystwo, to natychmiast rzuciłbym się na ratunek Klarze Ołsufiewnie. Po uratowaniu jej powiedziałbym do niej: „Niech się pani nie obawia, łaskawa pani, to nic takiego, a zbawcą pani jestem ja.” Potem...” Tu pan Goladkin spojrział

818

w bok szukając Klary Ołsufiewny i dostrzegł Gierasimycza, starego kamerdynera Ołsufia Iwanowicza. Gierasimycz szedł wprost do niego z nader troskliwą i z nader oficjalnie uroczą miną. Pan Goladkin drgnął i skrzywił się pod wpływem jakiegoś niepochwytanego, a jednocześnie ogromnie nieprzyjemnego uczucia. Mimo woli rozejrzał się wokoło; przyszło mu na myśl, aby jakoś tak, tak sobie, chyłkiem, boczkiem, po cichutku wymknąć się przed nieprzyjemnością, tak

właśnie - wziąć i zniknąć, to znaczy zrobić tak, jak gdyby nikt na niego nie zwracał uwagi, jak gdyby w ogóle nie o niego chodziło. Jednakże, zanim nasz bohater zdążył się zdecydować, Gierasimycz stał już przed nim.

- Widzisz, Gierasimycz - rzekł nasz bohater zwracając się do Gierasimycza z miłym uśmiechem - weź i kaź - o widzisz, Gierasimycz, tam świeczka w kandelabrze - za chwilę spadnie: no to wiesz, kaź ją poprawić; doprawdy, zaraz spadnie, Gierasimycz...

- Świeczka, łaskawy panie? Nie, świeczka stoi prosto, łaskawy panie, a pana właśnie ktoś prosi, łaskawy panie.

- A któż to mnie prosi, Gierasimycz?

- Tego już doprawdy nie wiem, kto właściwie. Czyjś służący, łaskawy panie. Czy jest tu, powiada, Jakub Pietro-wicz Goladkin? To proszę go, powiada, wywołać w bardzo ważnej i pilnej sprawie... tak właśnie, łaskawy panie.

- Nie, Gierasimycz, mylisz się, w tym wypadku mylisz się, Gierasimycz.

- Wątpliwe...

- Nie, Gierasimycz, to nie jest wątpliwe, w tym, Gierasimycz, nie ma nic wątpliwego. Nikt mnie nie prosi, Gierasimycz, nie ma nikogo, kto mógłby mnie prosić, a ja jestem tu u siebie, to znaczy na swoim miejscu, Gierasimycz.

Pan Goladkin nabrał tchu i rozejrzał się dokoła. Ano tak! Wszyscy obecni na sali, po prostu wszyscy patrząc na niego zamienili się we wzrok i słuch w jakimś uroczystym oczekiwaniu. Mężczyźni skupili się nieco bliżej i przysłuchiwali się. Nieco dalej niespokojnie szeptały do siebie panie. Sam gospodarz znalazł się tuż w pobliżu pana Goladkina i choć z miny jego trudno było zauważyć, że ze swej strony również bierze bezpośredni udział w sytuacji pana Goladkina, ponieważ wszystko to zrobiło się w sposób delikatny, niemniej

52. 819

wszystko to dało wyraźnie do zrozumienia bohaterowi naszej opowieści, że nastąpiła dla niego decydująca chwila. Pan Goladkin ujrzał wyraźnie, że nadeszła chwila na śmiałe uderzenie, chwila pohańbienia jego wrogów. Pan Goladkin był przejęty. Pan Goladkin poczuł jakieś natchnienie i drżącym, uroczystym głosem znowu zaczął zwracając się do wyczekującego Gierasimycza:

- Nie, mój przyjacielu, nikt mnie nie wzywa. Mylisz się! Więcej powiem, myliłeś się również dziś rano zapewniając mnie... ośmieliwszy się, powiadam, mnie zapewniać (pan Goladkin podniósł głos), że Ołsuflj Iwanowicz, mój dobroczyńca od niepamiętnych lat, człowiek, który w pewnym sensie zastąpił mi ojca, zamknął przede mną drzwi w chwili rodzinnej i uroczystej radości jego rodzicielskiego serca. (Pan Goladkin z miną zadowoloną z siebie, a jednocześnie z głębokim wzruszeniem rozejrzał się dokoła. Na rzęsy jego spłynęły łzy.) Powtarzam, mój przyjacielu - zakończył nasz bohater - żeś się mylił, żeś się okrutnie, niewybaczalnie mylił...

Chwila była uroczysta. Pan Goladkin odczuł, że efekt był właściwy. Pan Goladkin stał skromnie, spuściwszy oczy i oczekując uścisków Olsufla Iwanowicza. Wśród gości widać było zaniepokojenie i niepewność, nawet sam niezachwiany i okropny Gierasimycz zająknął się na słowie „wątpliwe”... gdy naraz nieubłagana orkiestra ni stąd, ni zowąd rąbnęła polkę. Wszystko przepadło, wszystko poszło z wiatrem. Pan Goladkin drgnął, Gierasimycz cofnął się, wszyscy obecni na sali zafalowali jak morze i oto już Włodzimierz Siemionowicz podążył w pierwszej parze z Klarą Ołsufiewną, a przystojny porucznik z księżniczką Czewczechanow. Widzowie z ciekawością i zachwytem stłoczyli się, aby spojrzeć na tańczących polkę - taniec interesujący, nowy, modny, mącający wszystkim w głowie. O panu Goladkinie na pewien czas zapomniano. Lecz wszystko się wzburzyło, zmąciło, powstał niepokój; muzyka zamilkła... zdarzył się dziwny

wypadek. Znużona tańcem Klara Ołsufigwną z płonącymi policzkami i z falującą piersią, ledwo dysząc ze zmęczenia, opadła wreszcie, całkowicie wyczerpana, na fotel. Wszystkie serca zwróciły się ku uroczej czarodziejce, wszyscy na wyścigi spieszyli, aby powiedzieć jej uprzejme słówko i podziękować za to, że sprawiła im przyjemność - gdy wtem zjawił się przed nią pan Golad-

820

kin. Pan Goladkin był blady i okropnie zdenerwowany; wydawało się, że on również opadł jakoś zupełnie z sił, ledwo bowiem się poruszał. Uśmiechał się nie wiadomo czemu, wyciągał prosząco rękę. Klara Ołsufigwna ze zdumienia nie zdążyła cofnąć swojej ręki i machinalnie wstała na zaproszenie pana Goladkina. Pan Goladkin zatoczył się naprzód, z początku raz, potem drugi, potem uniósł nóżkę, potem jakoś nią szurnał, potem jakoś przytupnął, potem się potknął... on też chciał tańczyć z Klarą Ołsufigwną. Klara Ołsufigwna zakrzyknęła; wszyscy skoczyli, aby uwolnić jej dłoń z dłoni pana Goladkina, i w jednej chwili bohater nasz został odepchnięty przez tłum chyba co najmniej na jakieś dziesięć kroków. Wokoło niego również zgrupowała się gromadka ludzi. Rozległ się pisk i wrzask dwóch staruszek, których pan Goladkin w rejteradzie o mało nie przewrócił. Zamęt był okropny, wszyscy pytali, wszyscy krzyczeli, wszyscy komentowali. Orkiestra zamilkła. Bohater nasz kręcił się w swoim kółku, machinalnie, czasami się uśmiechając, mamrotał coś do siebie, że niby „czemuż by nie, i że niby polka, o ile mu w każdym razie wiadomo, to taniec nowy i nader interesujący, stworzony dla rozrywki pań... ale, że jeżeli już na to poszło, to on bodajże gotów jest się zgodzić.” Ale nikt, jak się zdaje, nie pytał pana Goladkina o zgodę. Bohater nasz poczuł, że czyjaś ręka nagle opadła na jego rękę, że druga ręka oparła się lekko na jego plecach, że z jakąś szczególną troskliwością kierują go w jakąś tam stronę. Wreszcie zauważył, że idzie wprost ku drzwiom. Pan Goladkin chciał coś powiedzieć, coś zrobić... Ale nie, on już nic nie chciał. On się tylko pomimo woli uśmiechał. Wreszcie poczuł, że ubierają go w płaszcz, że mu wcisnęli na oczy kapelusz i że w końcu znalazł się w sieni, w ciemności i na zimnie, a potem na schodach. Wreszcie potknął się, wydało mu się, że leci w otchłań, chciał coś krzyknąć - i naraz znalazł się na podwórzu. Owiało go świeże powietrze, stanął i w tej samej chwili dobiegły go dźwięki orkiestry, która na nowo zaczęła grać. Pan Goladkin naraz wszystko sobie przypomniał i to jak gdyby przywróciło mu utracone siły. Zerwał się z miejsca, gdzie stał dotąd jak przykuty, i pobiegł pędem byle gdzie, na powietrze, na swobodę, gdzie oczy poniosą...

821

ROZDZIAŁ V

Wszystkie zegary na petersburskich wieżach, wskazujące i wybijające godziny, oznajmiły równo północ, gdy pan Goladkin, wzburzony do głębi, wybiegł na nadbrzeże Fontanki, tuż przy moście Izmailowskim, w ucieczce przed nieprzyjaciółmi, przed prześladowaniami, przed gradem wymierzonych w niego szcztków, przed krzykiem wylekłych staruszek, przed jękami i biadaniami kobiet i zabójczymi spojrzeniami Andrzeja Filipowicza. Pan Goladkin był wykończony - wykończony całkowicie, w pełnym znaczeniu tego słowa, a jeśli zachował w tej chwili zdolność do ucieczki, to jedynie jakimś cudem, cudem, któremu sam w końcu odmawiał wiary. Noc była okropna - listopadowa, wilgotna, mglista, dżdżysta, śnieżysta, brzemienna we fluksje, katary, febry, anginy, gorączki wszelakich rodzajów i odmian, słowem - we wszystkie dary petersburskiego listopada. Wiatr wył w opustoszałych ulicach, wznosząc powyżej żelaznych pierścieni czarne wody Fontanki i zapalczywie chwiejąc wątlymi latarniami nadbrzeża, które z kolei wtórzyły jego wyciu cieniutkim, przejmującym skrzypieniem, co razem tworzyło nie kończący się piskliwy, brzęczący koncert, dobrze znany każdemu mieszkańcowi Petersburga. Padał jednocześnie deszcz i śnieg. Rozdzierane wiatrem strugi deszczowej wody pryskały niemal poziomo, jak gdyby ze strażackiego węża, kłując i tnąc w twarz nieszczęsnego pana Goladkina jak tysiące szpilek i szpileczek. Pośród nocnej ciszy, przerywanej jedynie dalekim turkotem karet, wyciem wiatru i skrzypieniem latarni,

rozlegało się ponure pluskanie i szmer wody spływającej na granitowy pomost trotuaru ze wszystkich dachów, ganków, rynien i okapów. Ani w pobliżu, ani w oddali nie było żywej duszy i wydawało się, że o takiej porze i w taką pogodę nawet być nie mogło. Tak więc pan Goladkin sam jeden, sam jeden ze swoją rozpaczą, dreptał o tej porze po trotuarze Fontanki swoim zwykłym, drobnym i spieszonym kroczkiem, chcąc dobiec jak najszybciej do swojej ulicy Sześciu Sklepów, na swoje trzecie piętro, do swego mieszkania.

Chociaż śnieg, deszcz i to wszystko, na co nawet nie ma nazwy, gdy pod petersburskim, listopadowym niebem rozszaleje zawierucha i zadymka, nagle, jednocześnie zaatako-

822

wało już i tak przybitego nieszczęściami pana Goladkina nie dając mu ani chwili wytchnienia i wypoczynku, przejmując go do kości, zalepiając oczy, przewiewając ze wszystkich stron, spychając go z drogi i zbijając z tropu, choć wszystko to naraz spadło na pana Goladkina, jak gdyby umyślnie zmówiwszy się ze wszystkimi jego wrogami, aby mu popsuć do reszty dzień, wieczór i noc - pomimo to pan Goladkin pozostał prawie nieczuły na ten ostatni dowód prześladowań losu, tak bowiem mocno wstrząsnęło nim i zaskoczyło go to, co wydarzyło się z nim kilka minut temu u pana radcy stanu Berendiejewa! Gdyby teraz jakiś obojętny postronny obserwator spojrzął tak sobie, z boku na markotny bieg pana Goladkina, to i on od razu przejąłby się całą niesamowitością nieszczęść pana Goladkina i niewątpliwie powiedziałby, że pan Goladkin wygląda teraz tak, jak gdyby chciał się ukryć sam przed sobą, jak gdyby sam od siebie chciał uciec. Tak! Tak było rzeczywiście. Powiemy więcej: pan Goladkin nie tylko chciał teraz uciec sam od siebie, lecz całkiem się unicestwić, obrócić się w proch. W tej chwili nie widział nic dokoła, nie rozumiał nic, co się wokół niego dzieje, i wyglądał tak, jak gdyby rzeczywiście nie istniały dla niego ani przykrości słotnej nocy, ani długa droga, ani deszcz, ani śnieg, ani wiatr, ani cała ta okrutna aura. Kalosz, który spadł z prawego buta pana Goladkina, został w błocie i śniegu na trotuarze Fontanki, a pan Goladkin ani nie pomyślał, aby wrócić po niego, ani nie zauważył jego straty. Był tak zaskoczony, że kilka razy, nie bacząc na wszystko, co go otaczało, całkowicie ogarnięty myślą o swoim niedawnym upadku, nagle stawał nieruchomo jak słup pośrodku chodnika; w takich chwilach umierał, znikał, potem nagle zrywał się z miejsca jak oszalały i biegł, biegł na oślep, jak gdyby szukał ucieczki przed czyjąś pogonią, przed jakimś jeszcze okropniejszym nieszczęściem... Istotnie sytuacja jego była okropna!... Wreszcie pan Goladkin, wyzbyty sił, stanął, oparł się o poręcz bulwaru w pozie człowieka, któremu nagle, całkiem niespodzianie popłynęła krew z nosa, i zaczął uważnie wpatrywać się w mętłą, czarną wodę Fontanki. Nie wiadomo, ile właściwie czasu spędził na tyrn zajęciu. Wiadomo tylko, że w tej chwili pan Goladkin doszedł do takiej rozpacz, tak był udręczony, tak znudzony, tak wyczerpany i wyzbyty słabych już resztek ducha, że zapomniał

823

o wszystkim, i o moście Izmańskim, i o ulicy Sześciu Sklepów, i o swoim położeniu. Cóż doprawdy? Było mu wszystko jedno; stało się, skończone, wyrok przypieczętowany i podpisany; cóż on ma do tego?... Naraz... drgnął cały i mimo woli odskoczył ze dwa kroki w bok. Z niepojętym niepokojem zaczął się rozglądać dokoła, ale nikogo nie było, nic szczególnego się nie wydarzyło - a jednak... a jednak wydało mu się, że w tej samej chwili, właśnie teraz ktoś stał tu, obok niego, przy nim, również oparty o poręcz bulwaru i - rzecz dziwna! - odezwał się nawet do niego, szybko powiedział coś urywanym głosem, coś nie całkiem zrozumiałego, ale o czymś bardzo mu bliskim, co się do niego odnosiło. „Cóż to, przywidziało mi się czy co? - rzeki pan Goladkin, raz jeszcze rozglądając się dokoła. - I gdzież to ja właściwie stoję?... Ech, ech!” - zakonkludował pokręciwszy głową, i jednocześnie z uczuciem przykrości i niepokoju, a nawet ze strachem zaczął wpatrywać się w zamgloną, wilgotną przestrzeń, z całych sił wyteżając wzrok i z całych sił usiłując swym krótkowzrocznym spojrzeniem przeniknąć rozpościerającą się przed nim

mokrą powłokę;. Jednak nie zdarzyło się nic nowego, nic szczególnego nie rzuciło się w oczy panu Goladkinowi, wydawało się, że wszystko było w porządku, jak należy, to znaczy: śnieg walił jeszcze większy, obfitszy i gęściej szy; w odległości dwudziestu kroków nie było widać nic, choć oko wykol; latarnie skrzypiały jeszcze bardziej przejmująco niż przedtem, a wiatr, zda się, jeszcze żałośniej wyśpiewywał swoją smutną pieśń jak natrętny żebrak, który wyprasza miedziaka na chleb. „Ech, ech! i cóż to się ze mną dzieje?” - powtórzył pan Goladkin na nowo ruszając w drogę i wciąż nieznacznie rozglądając się dokoła. A tymczasem coś znowu odezwało się w ciele pana Goladkina: smutek nie smutek, strach nie strach... wstrząsnął nim febryczny dreszcz. Chwila była nieznośnie przykra! „No nic - odezwał się, aby dodać sobie otuchy - no nic, może to zupełnie nic nie jest i niczyjego honoru nie bruka, może tak właśnie powinno być - ciągnął, sam nie rozumiejąc, co mówi - może to wszystko w swoim czasie wyjdzie jeszcze na dobre, nie będzie do czego pretendować, i wszyscy będą usprawiedliwieni.” Mówiąc w ten sposób i tymi słowami sprawiając sobie ulgę, pan Goladkin nieco ochłonął, strząsnął z siebie płaty

824

śniegu, które gęstą skorupą nawaliły mu się na kapelusz, na kołnierz, na płaszcz, na halsztuk, na buty i na wszystko - nie mógł jednakże odepchnąć, zrzucić z siebie dziwnego uczucia, dziwnego głuchego niepokoju. Gdzieś daleko rozległ się armatni strzał. „Ależ pogoda - pomyślał nasz bohater - ejże! Czy nie będzie czasem powodzi? Widocznie woda podniosła się już wysoko.” Ledwie pan Goladkin powiedział to czy pomyślał, gdy ujrzał naprzeciw siebie jakiegoś przechodnia, który też zapewne jak on z jakiegoś tam powodu się zapóźnił. Wydawałoby się, że była to rzecz błaha, przypadkowa, ale nie wiadomo dlaczego pan Goladkin zmieszał się, nieco się spieszył, a nawet przestraszył. Nie dlatego, aby bał się złego człowieka, ale tak sobie, może... „A któż go tam wie, tak późno idzie - przemknęło mu przez myśl - może on tak samo, może rzecz właśnie na nim polega i nie na próżno tak idzie, lecz idzie w jakimś celu, przechodzi mi drogę i zaczepia mnie.” Może zresztą pan Goladkin nie pomyślał właśnie tego wszystkiego, lecz tylko tak sobie, po prostu, przez chwilę odczuł coś podobnego, co zresztą było bardzo niemiłe. Zresztą na myślenie i odczuwanie nie było czasu, przechodzień był już w odległości dwóch kroków. Pan Goladkin natychmiast zgodnie ze swoim zwyczajem przybrał bardzo znaczącą minę, która mówiła wyraźnie, że on, Goladkin, jest sam przez się, że on nic takiego, że droga dla wszystkich jest dość szeroka i że wszakże on, Goladkin, sam nikogo nie zaczepia. Nagle zatrzymał się jak wryty, jak rażony piorunem i szybko się odwrócił za przechodniem, który właśnie dopiero co go minął - odwrócił się z takim wyrazem twarzy, jak gdyby coś go szarpnęło z tyłu, jak gdyby wiatr okręcił naokoło niego wiatrowskaz. Przechodzień zniknął szybko w śnieżnej zadymce. Szedł tak samo spiesźnie, tak samo był ubrany i ukutany od stóp do głowy jak pan Goladkin i tak samo jak on drobił i dreptał po trotuarze Fontanki małymi, szybkimi kroczkami, nieco podrygując. „Cóż to, cóż to takiego?” - szeptał pan Goladkin, uśmiechając się z niedowierzaniem, a jednak drgnął całym ciałem. Mróz przebiegł mu po plecach. Tymczasem przechodzień znikł, nie słyhać już było nawet jego kroków, ale pan Goladkin wciąż jeszcze stał i patrzył w ślad za nim. Wreszcie trochę się uspokoił. „Cóż to właściwie znaczy - pomyślał z przykrością - cóż to, zwariowałem czy co?” - Odwrócił

825

się i poszedł swoją drogą, coraz bardziej przyśpieszając kroku, coraz bardziej drecząc i starając się raczej o niczym w ogóle nie myśleć. Wreszcie nawet oczy zamknął w tym celu. Wtem poprzez wycie wiatru i szum zawiei do uszu jego dobiegł znów odgłos czyichś bardzo bliskich kroków. Drgnął i otworzył oczy. W odległości może dwudziestu kroków znów czerniał przed nim jakiś szybko zbliżający się ku niemu człowieczek. Człowieczek ten prędko dreptał, spieszył się; odległość szybko się zmniejszała. Pan Goladkin mógł już nawet dokładnie przyjrzeć się swemu nowemu zapóźnionemu towarzyszu drogi - przyjrzał się i zakrzyknął ze zdumienia i przerażenia; ugięły się pod nim nogi. Był to ten sam znajomy już mu przechodzień, którego jakieś dziesięć

minut temu przepuścił mimo siebie i który nagle, całkiem niespodziewanie znów się teraz przed nim zjawił. Lecz nie tylko ten cud zaskoczył pana Goladki-na - a pan Goladkin tak był zaskoczony, że stanął, zakrzyknął, chciał coś powiedzieć - i pobiegł, aby dogonić nieznajomego, a nawet coś do niego zawołał, widocznie pragnąc go jak najszybciej zatrzymać. Nieznajomy istotnie zatrzymał się, mniej więcej w odległości jakichś dziesięciu kroków od pana Goladkina i tak, że światło stojącej w pobliżu latarni padało na całą jego postać - zatrzymał się, odwrócił się do pana Goladkina i z miną niecierpliwą a zatroskaną czekał, co też mu on powie. „Przepraszam, chyba się pomyliłem” - drżącym głosem odezwał się nasz bohater. Nieznajomy w milczeniu i ze złością odwrócił się i szybko poszedł swoją drogą, jak gdyby spieszył się nadrobić stracone z panem Goladkinem dwie sekundy. Jeśli zaś chodzi o pana Goladkina, to zadygotał on całym ciałem, kolana się pod nim ugięły, osłabły i z jękiem przysiadł na słupku stojącym na chodniku. Zresztą istotnie można było tak się zdetonować. Rzecz w tym, że ów nieznajomy wydał mu się teraz jakoś znajomym. To jeszcze nie byłoby ważne. Ale pan Goladkin poznał, prawie dokładnie poznał teraz tego człowieka. Często tego człowieka widywał, kiedyś go widywał, nawet bardzo niedawno; gdzie by to mogło być? czy to nie wczoraj właśnie? Zresztą znów nie to było najważniejsze, że pan Goladkin często go widywał, a przy tym w tym człowieku nie było przecież nic szczególniejszego - ten człowiek na pierwszy rzut oka stanowczo nie zwracał na siebie niczyjej szczególnej uwagi. Tak, był to człowiek taki jak wszyscy,

826

przyzwoity, ma się rozumieć, jak wszyscy ludzie przyzwoici, i zapewne miał jakieś tam, i to nawet dość znaczne zalety - słowem, był to człowiek sam w sobie. Pan Goladkin nie żywił nawet ani nienawiści, ani wrogości, ani nawet najłżejszej niechęci do tego człowieka, zdawałoby się, że wprost przeciwnie - a jednocześnie (i ta właśnie okoliczność była najważniejsza) za skarby świata nie chciałby się z nim spotkać, a zwłaszcza spotkać się tak, jak na przykład teraz. Powiem więcej: pan Goladkin doskonale znał tego człowieka, wiedział nawet, jak się nazywa, znał nazwisko tego człowieka, a jednocześnie za nic, znów za żadne skarby świata nie chciałby go nazwać, nie zgodziłby się przyznać, że nazywa się tak a tak, że tak właśnie jest po ojcu i takie właśnie nosi nazwisko. Nie potrafię powiedzieć, czy długo, czy krótko trwały wątpliwości pana Goladkina, czy długo, powiedzmy, siedział na słupku z boku chodnika, ale gdy wreszcie ocknął się nieco, zaczął naraz biec bez zastanowienia, co siłą tracił oddech, że dwa razy się potknął, omal nie upadł - i w tych właśnie okolicznościach osierociał drugi but pana Goladkina, również porzucony przez drugi kalosz. Wreszcie pan Goladkin zwoleńił nieco kroku, żeby nabrać tchu, szybko rozejrzał się dokoła i dostrzegł, że przebiegł, sam tego nie zauważywszy, całą swoją drogę wzdłuż Fontanki, przeszedł przez most Anicz-kowa, minął część Newskiego, a teraz stoi na rogu Litiejnej. Sytuacja jego w tej chwili podobna była do sytuacji człowieka stojącego nad strasznym urwiskiem, gdy obsuwa się pod nim ziemia: już drgnęła, już się poruszyła, chwije się po raz ostatni, leci, pociąga go w otchłań, a tymczasem nieszczęśnik nie ma ani siły, ani odwagi, aby odskoczyć, odwrócić wzrok od rozwartej przepaści; otchłań go wciąga i wreszcie sam w nią skacze, sam przyspieszając chwilę swojej zguby. Pan Goladkin widział, czuł i był całkowicie pewien, że po drodze niewątpliwie czeka go jeszcze coś złego, że na przykład znów spotka się z owym nieznajomym, ale - rzecz dziwna, pragnął nawet tego spotkania, uważał je za nieuniknione i prosił tylko Boga, by to wszystko jak najprędzej się skończyło, by jego położenie rozstrzygnęło się jakkolwiek, aby tylko jak najszybciej. A tymczasem wciąż biegł i biegł, jak gdyby pchany przez jakąś obcą siłę, w całym ciele bowiem czuł jakieś osłabienie i omdlenie; myśleć nie mógł o niczym, choć myśli

827

jego czepiały się wszystkiego jak tarnina. Jakiś zabłąkany piesek, cały mokry i drżący z zimna, przyczepił się do pana Goladkina i również biegł koło niego boczkim, pospiesznie, podwinąwszy ogon i stuliwszy uszy, od czasu do czasu nieśmiało i zmyślnie na niego spoglądając. Przyszła mu teraz do głowy jakaś odległa, dawno zapomniana myśl - wspomnienie o jakiejś sytuacji, która się

dawno wydarzyła - myśl ta stuknęła mu w głowie niby młoteczką, dokuczała mu, nie mogła się od niego odczepić. „Ech, ta wstrętna psina!” - szeptał pan Goladkin, sam siebie nie rozumiejąc. Wreszcie na rogu ulicy Włoskiej ujrzał swego nieznajomego. Tylko że teraz nieznajomy szedł nie naprzeciw niego, lecz w tę samą stronę, tak jak i on, i również biegł kilka kroków przed nim. Wreszcie weszli w ulicę Sześciu Sklepów. Panu Goladkinowi zaparło dech. Nieznajomy stanął przed tym domem, gdzie mieszkał pan Goladkin. Rozległ się dźwięk dzwonka i prawie jednocześnie skrzywienie drewnianej zasuwki. Otworzyła się furtka, nieznajomy pochylił się, przebiegł i znikł. Prawie w tej samej chwili zdążył podbiec pan Goladkin i jak strzała wpadł do bramy. Nie słuchając stróża, który coś zamruczał, zadyszany wpadł na podwórze i natychmiast ujrzał swego interesującego towarzysza drogi, którego był na chwilę stracił z oczu. Nieznajomy mignął mu przy wejściu na te schody, które prowadziły do jego mieszkania. Pan Goladkin pobiegł za nim. Schody były ciemne, wilgotne i brudne. Na wszystkich podestach nagromadzone było mnóstwo wszelkich lokatorskich rupieci, toteż człowiek obcy, nieobznajmiony z miejscem, trafiwszy na te schody po ciemku, musiał wędrować po nich z pół godziny, ryzykując, że połamie sobie nogi, i przeklinając wraz ze schodami swych znajomych, którzy tak niewygodnie mieszkali. Ale towarzysz pana Goladkina zdawał się być człowiekiem obznajmionym z miejscem, zdawał się być domownikiem; biegł do góry lekko, bez trudności, doskonale orientując się w otoczeniu. Pan Goladkin prawie go doganiał, nawet ze dwa czy trzy razy brzeg płaszcza nieznajomego uderzył go po nosie. Zamierało mu serce. Tajemniczy człowiek stanął tuż przed drzwiami mieszkania pana Goladkina, zastukał i (co zresztą kiedy indziej zdziwiłoby pana Goladkina) Pietrek, który jak gdyby czekał i nie kładł się spać, natychmiast otworzył drzwi i ze świecą w ręku poszedł za

828

wchodzącym. Bohater naszej opowieści wbiegł wzburzony do swego mieszkania, nie zdejmując płaszcza i kapelusza przeszedł przez korytarzyk i jak rażony gromem stanął na progu swego pokoju. Spełniły się całkowicie wszystkie przeczucia pana Goladkina. Wszystko, czego się obawiał i co przeczuwał, spełniło się teraz na jawie. Zaparło mu dech, zakręciło się w głowie. Nieznajomy siedział przed nim, również w płaszczu i kapeluszu, na jego własnym łóżku, lekko się uśmiechał i przymrużając nieco oko, przyjaźnie kiwał do niego głową. Pan Goladkin chciał krzyknąć, ale nie mógł - nie starczyło mu sił, aby w jakikolwiek sposób zaprotestować. Włosy na głowie stanęły mu dęba, przykucnął nieprzytomny z przerażenia. Zresztą było czego się przerazić. Pan Goladkin dokładnie poznał swego nocnego przyjaciela. Nocnym jego przyjacielem był nie kto inny, lecz on sam - sam pan Goladkin, drugi pan Goladkin, ale całkowicie taki sam jak on - słowem, jak to się mówi, pod każdym względem jego sobowtór.

ROZDZIAŁ VI

Nazajutrz, dokładnie o ósmej rano, pan Goladkin ocknął się w swoim łóżku. Natychmiast wszystkie niezwykle sprawy wczorajszego dnia i cała nieprawdopodobna, nedorzeczna noc z jej prawie niemożliwymi przygodami od razu w całej przerażającej pełni zjawiała się w jego wyobraźni i pamięci. Tak zawzięta, piekielna złość jego wrogów, a zwłaszcza ostatni dowód tej złości zmroził serce pana Goladkina. Ale jednocześnie wszystko to było tak dziwne, niepojęte, nedorzeczne, wydawało się tak niemożliwe, że doprawdy trudno było dać wiarę całej tej sprawie; pan Goladkin gotów był nawet uznać to wszystko za niestworzone majaczenie, za chwilowe rozprężenie wyobraźni, za zaćmienie umysłu, gdyby na swoje szczęście nie wiedział z gorzkiego życiowego doświadczenia, do czego może czasem doprowadzić człowieka złość, do czego czasem może dojść zaciekłość wroga, który chce pomścić swój honor i ambicję. Przy tym rozbite członki pana Goladkina, czad w głowie, łamanie w” krzyżu i złośliwy katar poważnie świadczyły i były dowodem pełnego prawdopodobieństwa

829

wczorajszej nocnej przechadzki, a poniekąd również i innych przygód, które się w czasie tej przechadzki wydarzyły. A zresztą pan Goladkin już od dawien dawna wiedział, że coś się tam u nich szykuje, że mają tam kogoś innego. No więc cóż? Po dłuższym zastanowieniu pan Goladkin postanowił milczeć, ulec i do czasu w tej sprawie nie protestować. „Tak, może postanowili mnie tylko postraszyć, a gdy zobaczą, że ja nic, że nie protestuję, i że całkowicie uległem, że znoszę wszystko z uległością, to się cofną, sami się cofną, cofną się pierwsi.” Takie to właśnie myśli roily się w głowie pana Goladkina, gdy przeciągając się w łóżku i prostując rozbite członki czekał tym razem, aż Pietrek, jak zazwyczaj, zjawi się w jego pokoju. Czekał już z kwadrans, słyszał, jak ten leń Pietrek guzdrze się za przepierzeniem z samowarem, a jednocześnie w żaden sposób nie mógł się zdecydować, aby go wezwać. Powiem więcej: pan Goladkin nieco się nawet obawiał teraz konfrontacji z Pietrkiem. „Przecież Bóg wie - myślał - przecież Bóg wie, jak teraz ten łajdak patrzy na tę całą sprawę. Milczy tam i milczy, a sam myśli swoje.” Wreszcie skrzypnęły drzwi i zjawił się Pietrek z tacą w rękę. Pan Goladkin zerknął na niego nieśmiało, niecierpliwie wyczekując, co będzie, wyczekując, czy Pietrek nie powie czasem czegoś w związku z wiadomą okolicznością. Ale Pietrek nic nie powiedział, przeciwnie, był jakoś bardziej milczący, bardziej surowy i zły niż zazwyczaj, patrzył na wszystko spode łba, w ogóle widać było, że jest z czegoś nader niezadowolony; ani razu nie spojrzął na swego pana, co nawiasem mówiąc nieco dotknęło pana Goladkina; postawił na stole wszystko, co przyniósł, odwrócił się i w milczeniu wyszedł za swoje przepierzenie. „Wie, wie, wszystko wie ten wałkoń!” - mruczał pan Goladkin zabierając się do herbaty. Jednakowoż bohater nasz o nic nie pytał swego służącego, choć Pietrek kilka razy w różnych sprawach wchodził do jego pokoju. Pan Goladkin był w usposobieniu ogromnie niespokojnym. W dodatku przejmowało go zgrozą, że musi iść do departamentu. Miał mocne przeczucie, że to właśnie tam coś będzie nie tak jak trzeba. „Pójdę tam - myślał sobie - a jak się natknę na coś takiego? Czy nie lepiej być teraz ciepłym? Czy nie lepiej teraz poczekać? Niech oni tam sobie robią, co chcą, a ja chętnie bym dziś tutaj poczekał, nabrałbym sił, uspokoił się, przemyślał-

830

bym dobrze całą tę sprawę, a potem znalazłbym stosowną chwilę, zjawiłbym się tam ni stąd, ni zowąd, a sam nie mrugnąłbym okiem.” Rozważając w ten sposób pan Goladkin palił jedną fajkę za drugą, czas biegł, było już prawie wpół do dziesiątej. „Przecież jest już wpół do dziesiątej - myślał pan Goladkin - i już za późno tam pójść. A przy tym jestem przecież chory, na pewno chory; kto powie, że nie? Co mi tam! A gdyby przysłali kogoś na sprawdzenie, to niechże sobie przyjdzie; a co mi tam doprawdy! Bolał mnie plecy, kaszlę, mam katar, a zresztą nie mogę przecież iść, w żaden sposób nie mogę w taką pogodę; mógłbym jeszcze zachorować, a potem umrzeć, teraz taka śmiertelność panuje...” Takimi argumentami pan Goladkin uspokoił całkowicie swoje sumienie i z góry sam się przed sobą usprawiedliwił wobec spodziewanego wymyślenia Andrzeja Filipowicza za opieszałość. W ogóle w podobnych okolicznościach nasz bohater bardzo lubił usprawiedliwiać się we własnych oczach różnymi nieodpartymi argumentami i w ten sposób całkowicie uspokajać swoje sumienie. Uspokoiwszy więc teraz całkowicie swoje sumienie, wziął fajkę, napelnił, ale ledwie zaczął ją porządnie rozpalać, natychmiast zerwał się z kanapy, rzucił fajkę, szybko się umył, ogolił, przygładził włosy, włożył mundurowy surdut i wszystko co trzeba, chwycił jakieś tam papiery i pobiegł do departamentu.

Do swojego wydziału wszedł pan Goladkin nieśmiało, z trwożnym oczekiwaniem czegoś bardzo złego - z oczekiwaniem, choć nieświadomym, niejasnym, ale jednocześnie niemiłym; nieśmiało siadł na swym stałym miejscu obok naczelnika wydziału, Antoniego Antonowicza Sietoczki. Na nic nie patrząc, nie zwracając na nic uwagi, pograżył się w treści leżących przed nim papierów. Postanowił i dał sobie słowo unikać w miarę możliwości wszystkiego, co mogłoby go sprowokować, wszystkiego, co mogłoby mocno go skompromitować, jak na przykład: nieskromnych pytań, czyichś żartów i nieprzyzwoitych aluzji do okoliczności wczorajszego wieczoru; postanowił nawet

zaniechać zwykłych uprzejmości wobec biurowych kolegów, czyli zapytań o zdrowie i tak dalej. Lecz oczywiście było również, że to nie mogło trwać stale. Niepokój i nieświadomość tego, co bezpośrednio go drażniło, dręczyły go zawsze bardziej, niż to, co go drażniło. I właśnie dlatego,

831

choć dał sobie słowo, że nie będzie wtrącać się do niczego i postara się unikać wszystkiego, cokolwiek by się działo, pan Goladkin co pewien czas ukradkiem, cichcem unosił nieco głowę i skrycie popatrywał na boki, na prawo, na lewo, spoglądał na twarze kolegów i starał się po nich odgadnąć, czy nie wydarzyło się coś nowego a szczególnie, co by się do niego odnosiło, a co ukrywano przed nim dla jakichś nieszlachetnych celów. Przypuszczał, że niewątpliwie istnieje związek pomiędzy wszystkimi jego wczorajszymi przygodami a tym, co go teraz otaczało. Wreszcie, tak się dręcząc, zaczął pragnąć, aby Bóg wie jak, ale niechby się już wszystko jak najszybciej rozstrzygnęło, choćby nawet miało to przynieść jakieś nieszczęście - ano trudno! Jakżeż los zemścił się na panu Goladkinie: ledwo zdążył wyrazić pragnienie, gdy nagle rozstrzygnęły się jego wątpliwości, i to w sposób najdziwniejszy i najbardziej nieoczekiwany.

Drzwi od sąsiedniego pokoju nagle skrzyknęły cicho i lekliwie, jak gdyby oznajmiając w ten sposób, że osoba wchodząca jest nader nieznaczną, i czyjaś postać, zresztą bardzo znajoma panu Goladkinowi, nieśmiało stanęła przed tym samym stołem, przy którym siedział nasz bohater. Bohater nasz nie podnosił głowy - nie, dostrzegł tę postać jedynie przelotnie, ledwo zerknąwszy, ale wiedział już wszystko, wszystko zrozumiał, aż do najdrobniejszego szczegółu. Spłonął ze wstydu i wetknął w papiery swą nieszczęsną głowę, zupełnie w tym samym celu, w jakim prześladowany przez myśliwego struś kryje głowę w gorący piasek. Nowo przybyły uklonił się Andrzejowi Filipowiczowi i zaraz potem rozległ się urzędowo uprzejmy głos, taki, jakim we wszystkich urzędach mówią zwierzchnicy do nowych podwładnych. „Niech pan siądzie tutaj - odezwał się Andrzej Filipowicz wskazując nowicjuszowi stół Antoniego Antonowicza - o tu, naprzeciwko pana Goladkina, a robotą zaraz pana obarczymy.” Andrzej Filipowicz zakończył tym, że zrobił w stronę nowo przybyłego szybki, uprzejmie strofujący gest, a potem natychmiast zagłębił się w treść różnych papierów, których cały plik leżał przed nim.

Pan Goladkin podniósł wreszcie oczy i jeśli nie zemdlał, to jedynie dlatego, że już przedtem przeczuwał całą sprawę, że już przedtem był o wszystkim uprzedzony i w głębi duszy zgadywał, kim był przychodzień. Pierwszym odruchem pana

832

Goladkina było szybko rozejrzeć się dokoła, czy nie słyhać jakiegoś poszeptywania, czy nie rodzi się na ten temat jakiś kancelaryjny dowcip, czy na czyjejkolwiek twarzy nie odbiło się zdziwienie, czy wreszcie ktoś z przerażenia nie upadł pod stół, ale ku najwyższemu zdumieniu pana Goladkina nic podobnego się nie objawiło. Zachowanie się tych panów, kolegów i współpracowników pana Goladkina, zdumiało go. Wydawało się, że przekracza granice zdrowego rozsądku. Pan Goladkin przeląkł się nawet tego niezwykłego milczenia. Rzeczywistość mówiła sama za siebie, sprawa była dziwna, potworna, nieprawdopodobna. Było przecież czym się przejąć. Oczywiście wszystko to tylko przemknęło przez myśl panu Goladkinowi. On sam zaś gorzał na wolnym ogniu. A zresztą nie bez kozery. Ten, który siedział teraz naprzeciw pana Goladkina, był przerażeniem pana Goladkina, był wstydem pana Goladkina, był wczorajszym koszmarem pana Goladkina, słowem, był samym panem Goladkinem - nie tym panem Goladkinem, który siedział teraz na krześle z rozdziawionymi ustami i piórem zastygłym w dłoni; nie tym, który pracował jako zastępca naczelnika wydziału; nie tym, który lubi stuszować się i utonąć w tłumie, nie tym wreszcie, którego krok wyraźnie mówi: „nie ruszajcie mnie, a ja was ruszać nie będę”, albo też: „nie ruszajcie mnie, przecież ja was nie ruszam” - nie, to był inny pan Goladkin, całkowicie inny, a jednocześnie całkowicie podobny do pierwszego - takiego samego wzrostu, takiej samej budowy, tak samo ubrany, z taką samą łysiną - słowem, nic, zdecydowanie nic nie zostało zapomniane, aby dopełnić

całkowitego podobieństwa, tak że gdyby wziąć i postawić ich obok siebie, to nikt, stanowczo nikt nie podjąłby się określić, który właściwie jest prawdziwym Goladkinem, a który fałszywym, kto z nich jest stary, a kto nowy, kto oryginałem, a kto kopią.

Bohater nasz, jeśli można użyć porównania, znajdował się teraz w sytuacji człowieka, z którego jakiś figlarz urządza sobie zabawę, dla dowcipu, cichcem kierując na niego szkło zapalające. „Cóż to takiego, sen czy co - ciy to rzeczywistość, czy też dalszy ciąg tego, co było wczoraj? I jak to? jakim prawem dzieje się to wszystko? kto pozwolił na takiego urzędnika, kto do tego upoważnił? Czy ja śpię, czy majaczę?” Pan Goladkin spróbował się uszczypnąć, spróbował nawet zdecydować się,

833

aby uszczypnąć kogo innego... Nie, to bynajmniej nie sen. Pan Goladkin poczuł, że spływa z niego strumieniami pot, że dzieje się z nim coś niezwykłego i dotąd niespotykanego, a przez to, na domiar nieszczęścia, nieprzyzwoitego, pan Goladkin bowiem rozumiał i czuł, jak przykro jest być bohaterem tak kompromitującej historii. Wreszcie zaczął nawet wątpić, czy on sam naprawdę istnieje, i chociaż z góry był przygotowany na wszystko i pragnął, aby w jakikolwiek sposób rozstrzygnęły się jego wątpliwości, jednak sama sytuacja niewątpliwie była już zaskoczeniem. Gnębiła go i dławiała udreka. Niekiedy całkowicie tracił pamięć i przytomność. Ocknąwszy się po takiej chwili dostrzegał, że machinalnie i nieświadomie wodzi piórem po arkuszu papieru. Nie ufając sam sobie zaczynał sprawdzać, co napisał - i nic nie rozumiał. Wreszcie drugi pan Goladkin, który do tej pory siedział poważnie i spokojnie, wstał i znikł w jakiejś sprawie za drzwiami drugiego wydziału. Pan Goladkin rozejrzał się dokoła - jak gdyby nic, wszystko jest w porządku; słychać jedynie skrzywienie piór, szelest przewracanych kartek i rozmowy po kątach, oddalonych od miejsca, gdzie siedział Andrzej Filipowicz. Pan Goladkin spojrzał na Antoniego Antonowicza, a ponieważ twarz naszego bohatera zapewne dokładnie odzwierciedlała jego obecny stan i harmonizowała z całą istotą sprawy, wobec czego pod pewnym względem zwracała na siebie uwagę, więc pocziwy Antoni Antonowicz, odłożywszy pióro, z jakimś niezwykłym współczuciem zapytał pana Goladkina o zdrowie.

- Jestem, Antoni Antonowiczu, zdrów, Bogu dzięki - jękając się rzekł pan Goladkin. - Jestem, Antoni Antonowiczu, zdrów, czuję się, Antoni Antonowiczu, całkiem niczego - dodał niepewnym głosem, niezupełnie jeszcze dowierzając często przezeń wymienianemu Antoniemu Antonowiczowi.

- O! A mnie się wydawało, że jest pan niezdrowy; zresztą o to nietrudno, mój Boże! Zwłaszcza, że teraz wciąż takie zarazy panują. Wie pan...

- Tak, Antoni Antonowiczu, wiem, że panują takie zarazy... Ja, Antoni Antonowiczu, z innego powodu - ciągnął pan Goladkin uważnie wpatrując się w Antoniego Antonowicza - widzi pan, Antoni Antonowiczu, nie wiem nawet, jak panu... to znaczy, chciałbym powiedzieć, od której strony mam się zabrać do tej sprawy, Antoni Antonowiczu...

834

- Co? Ja pana... wie pan... przyznam, że nie całkiem dobrze pana rozumiem; może by pan... wie pan, niech pan powie dokładniej, pod jakim względem pana to krępuje - rzekł Antoni Antonowicz, sam nieco skrzepowany, widząc, że panu Goladkinowi aż łzy napłynęły do oczu.

- Ja doprawdy... tutaj, Antoni Antonowiczu... jest tu pewien urzędnik, Antoni Antonowiczu...

- No więc! Wciąż jeszcze nie rozumiem.

- Chcę powiedzieć, Antoni Antonowiczu, że jest tutaj nowo przyjęty urzędnik.

- Tak, proszę pana, jest pański imiennik.

- Co? - wykrzyknął pan Goladkin.

- Powiadam, że pański imiennik, też Goladkin. Czy to nie braciszek?

- Nie, Antoni Antonowiczu, ja...

- Hm! Patrzcie państwo, a mnie się zdawało, że to musi być pański bliski krewny. Wie pan, jest przecież między wami takie w pewnym sensie rodzinne podobieństwo.

Pan Goladkin osłupiał ze zdumienia i na chwilę zapomniał języka. Tak lekko traktować tę potworną, niebywałą rzecz, rzecz istotnie w swoim rodzaju rzadką, rzecz, która zaskoczyłaby nawet najmniej zainteresowanego obserwatora, mówić o rodzinnym podobieństwie wtedy, gdy tu widać jak w lustrze!

- Wie pan, co bym panu poradził, Jakubie Pietrowiczu - ciągnął Antoni Antonowicz. - Niech pan pójdzie do doktora i poradzi się go. Wie pan, pan jakoś mi całkiem źle wygląda. Zwłaszcza oczy ma pan... wie pan, ma pan jakiś szczególny wyraz oczu.

- Nie, Antoni Antonowiczu, naturalnie, że czuję... To znaczy wciąż pana chcę zapytać, jakże to z tym urzędnikiem?

- Co?

- To znaczy, czy nie zauważył pan, Antoni Antonowiczu, w nim czegoś szczególnego... czegoś nazbyt wyrazistego?

- To znaczy?

- To znaczy, Antoni Antonowicz a, że tak powiem, zastanawiającego podobieństwa do kogoś, to znaczy na przykład do mnie. Powiedział pan, Antoni Antonowiczu, przed chwilą o podobieństwie rodzinnym, mimochodem zwrócił pan uwagę... Czy pan wie, bywają czasem tacy bliźniacy, to znaczy

,3. 835

całkiem jak dwie krople wody, tak że nawet nie można odróżnić? No więc właśnie o tym mówię.

- Tak - odezwał się Antoni Antonowicz pomyślawszy chwilę i jak gdyby po raz pierwszy zaskoczony taką sytuacją - tak! racja, łaskawy panie. Faktycznie, podobieństwo jest uderzające i trafnie pan to zauważył, że doprawdy można wziąć jednego za drugiego - ciągnął, coraz szerzej otwierając oczy. - I wie pan, Jakubie Pietrowiczu, to jest aż przedziwne podobieństwo, fantastyczne, jak się czasami mówi, to znaczy całkowite, jak pan... Czy pan zauważył, Jakubie Pietrowiczu? Sam nawet chciałem prosić pana o wyjaśnienie, ale przyznam, że z początku nie zwróciłem należytej uwagi. Cud, doprawdy cud! A czy pan wie, Jakubie Pietrowiczu, przecież pan nie stąd pochodzi, prawda?

- Nie.

- On także jest przecież nietutejszy. Może z tej samej co pan okolicy? Pańska mamusia, że ośmielę się zapytać, gdzie przeważnie przebywała?

- Pan powiedział... Pan powiedział, Antoni Antonowiczu, że on jest nietutejszy?

- Tak, nie z tych okolic. Doprawdy, jakież to dziwne - ciągnął gadatliwy Antoni Antonowicz, dla którego pogawędzić o czymś było prawdziwym świętem - rzeczywiście to może pobudzić ciekawość; a przecież jakże często człowiek przechodzi obok, ociera się, potrąca takiego, a nie zauważy. Zresztą niech się pan nie martwi. To bywa. Taka rzecz, wie pan - opowiem panu, to samo wydarzyło się mojej ciotuni ze strony matki, ona też przed śmiercią widziała siebie podwójnie...

- Nie, ja - pan wybaczy, że panu przerwę, Antoni Antonowiczu - ja, Antoni Antonowiczu, chciałbym się dowiedzieć, jak to jest z tym urzędnikiem, to znaczy na jakiej podstawie jest tutaj?

- Ano, przyszedł na miejsce nieboszczyka Siemiona Iwanowicza, na wakujące miejsce; zwolniło

się miejsce, no to go przyjęto. Ależ to doprawdy z tym Siemionem Iwanowiczem, taki był miły; nieboszczyk, powiadają, zostawił troje dzieci, jedno mniejsze od drugiego. Wdowa padała do nóg jego ekscelencji. Zresztą, powiadają, że ukrywa, że ma pieniądze, ale je ukrywa...

836

- Nie, Antoni Antonowiczu, ja wciąż jeszcze wracam do tamtej sprawy.

- To znaczy? A, tak! Ale czemu to się pan tak tym interesuje? Powiedziałem panu: niech się pan nie martwi. To wszystko jest poniekąd chwilowe. No cóż? Przecież pana to nie dotyczy, to już sam Pan Bóg tak urządził, taka już Jego wola i grzech na to się uskarżać. W tym widać zrządzenie Opatrzności. A pan tu, Jakubie Pietrowiczu, na mój rozum ani krzty nie jest winien. Mało to cudów na świecie! Matka natura jest hojna; a pana za to przecież do odpowiedzialności nikt nie będzie pociągał, odpowiadać za to pan nie będzie. Weźmy choćby, na przykład, jak już się tak zgadało, to słyszał pan pewno, mam nadzieję, o jakichś tam, no jakże, no o braciach syjamskich; zrosli się plecami i tak razem żyją, jedzą i śpią; ludzie powiadają, że zgarniają duże pieniądze.

- Pan pozwoli, Antoni Antonowiczu...

- Rozumiem pana, rozumiem! Tak! No to cóż z tego? - nic! Mówię panu, według mnie, to nie ma się o co martwić. O co chodzi? Urzędnik z niego jak urzędnik, zdaje się, że człowiek rzeczowy. Powiada, że nazywa się Goladkin, jest nietutejszy, powiada, że jest radcą tytularnym. Osobiście wszystko wyjaśniał jego ekscelencji.

- No i co?

- Ano nic, powiadają, że wyjaśnił dostatecznie, przedstawił swoje powody, mówił ponoć, że niby tak i tak, wasza ekscelencjo, że nie mam majątku, a pragnę pracować, i to zwłaszcza pod pańskim zaszczytnym zwierzchnictwem... no i tak dalej, wszystko co należy, wie pan, zręcznie wszystko wyraził. Musi być z niego mądry człowiek. No, rozumie się, przyszedł z dobrym poleceniem, bez tego przecież ani rusz...

- No, a od kogo... to znaczy, chciałem powiedzieć, kto właściwie przyłożył rękę do tej haniebnej sprawy?

- Tak jest. Powiadają, że miał dobre polecenie; powiadają, że jego ekscelencja uśmieł się z Andrzejem Filipowiczem.

- Uśmieł się z Andrzejem Filipowiczem?

- Tak jest, tak tylko się uśmiechnął i powiedział, że owszem, że jeśli chodzi o niego, to nie jest przeciwny, tylko żeby tamten sumiennie pracował...

- No, a co dalej? Pan mnie poniekąd ożywia, Antoni Antonowiczu; błagani pana - co dalej ?

837

- Wybacz pan, znów pana jakoś... No, tak; no i nic właściwie, zwyczajna rzecz; powiadam panu, niech się pan nie martwi, nie ma co tu podawać w wątpliwość...

- Nie. To znaczy, chciałbym pana zapytać, Antoni Anto-nowiczu, czy jego ekscelencja nic więcej nie dodał... na przykład o mnie?

- To znaczy, jakżeby nie! Owszem. No nie, nic, może pan być zupełnie spokojny. Naturalnie, wie pan, okoliczności są dość uderzające i z początku... a ja na przykład z początku prawie nic nie zauważyłem. Doprawdy nie wiem, dlaczego nie zauważyłem, dopóki pan mi nie zwrócił uwagi. Ale zresztą może pan być zupełnie spokojny. Nic szczególnego, absolutnie nic nie powiedziano - dodał dobrotliwy Antoni Antonowicz wstając z krzesła.

- Więc ja, Antoni Antonowiczu...

- Ach, przepraszam pana. I tak już przegadałem tyle czasu o takich głupstwach, a tu mam ważną i pilną sprawę. Widzi pan, tu trzeba sprawdzić.

- Antoni Antonowiczu! - rozległ się przywołujący uprzejmie głos Andrzeja Filipowicza - jego ekscelencja pyta o pana.

- Zaraz, zaraz, Andrzeju Filipowiczu, zaraz idę. - I Antoni Antonowicz wzięwszy plik papierów pobiegł z początku do Andrzeja Filipowicza, a potem do gabinetu jego ekscelencji.

„Więc to tak? - myślał w duchu pan Goladkin - to taką zaczęli grę! To taki u nas wietrzyk teraz wieje... To nie najgorzej, to znaczy, że sprawy przyjęły jak najlepszy obrót - mówił sam do siebie nasz bohater zacierając dłonie i z radości nie czując pod sobą krzesła. - Więc nasza sprawa to sprawa zwykła. Wiec wszystko się kończy głupstwem, niczym się nie kończy. Rzeczywiście, nikt nic nie powiedział, nawet nie pisał, łobuzy, siedzą i pracują; ładnie, ładnie! Lubię dobrych ludzi, lubiłem i zawsze gotów jestem szanować... Zresztą, jeśli tak pomyśleć, to tego, to ten Antoni Antonowicz... ma do mnie straszne zaufanie: nazbyt jest zgrzybiały i ze starości porządnie zramolał. Zresztą najważniejsze i najistotniejsze jest to, że jego ekscelencja nic nie powiedział i tak sobie wszystko pominął: to dobrze! to mu się chwali! Tylko czemu to Andrzej Filipowicz wtrąca się tu ze swoimi drwinami? A jemu co do tego? Stary intrygant! Zawsze staje mi na drodze,

838

zawsze usiłuje jak czarny kot przebiec człowiekowi drogę, zawsze człowiekowi na przekór i na złość, na złość i na przekór człowiekowi...”

Pan Goladkin znowu rozejrzał się dokoła i znów ożywiła go nadzieja. Czuł zresztą, że pomimo wszystko nęka go pewna niejasna myśl, jakaś niedobra myśl. Przyszło mu nawet do głowy, żeby jakoś samemu wkraść się w zaufanie urzędników, uprzedzić fakty, a nawet (jakoś tak przy wyjściu z pracy albo też podszedłszy do nich w jakiejś tam sprawie) w trakcie rozmowy napomknąć, że to niby, panowie, tak i tak, cóż to za uderzające podobieństwo, dziwna sprawa, jakaś wstrętne komedia - to znaczy pokpić samemu z tego wszystkiego, no i w ten sposób wysondować głębie niebezpieczeństwa, bo to wiadomo, licho nie śpi, zakonkludował w myśli nasz bohater. Zresztą pan Goladkin tak tylko sobie myślał, ale rozmyślił się w porę. Zrozumiał, że znaczyłoby to skoczyć zbyt daleko. „Taką już masz naturę! - rzekł sam do siebie, dając sobie lekkiego przytyczka w czoło - zaraz gotów jesteś się rozigrzać, ucieszyłeś się! prostą masz duszyczkę! Nie, już my lepiej, Jakubie Pietrowiczu, bądźmy cierpliwi, poczekamy i będziemy cierpliwi!” Niemniej, jak już wspomnieliśmy, pan Goladkin jak gdyby się odrodził nadzieją, jak gdyby zmartwychwstał. „Nie szkodzi - myślał sobie - jakby mi pięćset pudów spadło z piersi! Ależ to sytuacyjka! A wszystko takie proste: skrzynka otwierała się przecież jak najzwyczajniej. Kryłów miał rację, Kryłów miał rację...4 Frant i kombinator z tego Kryłowa, a bajkopisarz z niego wielki! A jeśli chodzi o tamtego, to niech sobie pracuje, niech sobie pracuje na zdrowie, aby tylko nikomu nie przeszkadzał i nikogo nie ruszał; niech sobie pracuje - zgadzam się i aprobuję!

A tymczasem godziny mijały, biegły i niedostrzegalnie wybiła czwarta. Urzędowanie się skończyło, Andrzej Filipowicz sięgnął po kapelusz i, jak zazwyczaj, wszyscy poszli za jego przykładem. Pan Goladkin troszeczkę pozwłóczył, tyle ile trzeba, i umyślnie wyszedł później od innych, ostatni, gdy wszyscy już rozeszli się w różne strony • Wyszedłszy na ulicę poczuł się jak w raju, tak że nawet nabrał chęci, aby nałożyć nieco drogi i przejść się po Newskim. „Ależ to zrządzenie losu - mówił nasz bohater - niespodziewanie cała sprawa bierze inny obrót. I pogódka zrobiła się, i mrozik, i saneczki.

839

A mróz odpowiada rosyjskiemu człowiekowi, dobrze się rosyjskiemu człowiekowi żyje z mrozem! Lubię rosyjskiego człowieka. I śnieżek, i pierwszy śnieżek, jak powiedziałaby myśliwy; przydałoby

się tak zająca na pierwszym śniegu Eech! ano, jakoś tam!”

Tak oto wyrażał się zachwytyt pana Goladkina, a tymczasem coś tam jeszcze kołatało się w jego głowie, smutek nie sml -tek - a czasem coś tak mu ścisnęło serce, że nie wiedział jak by tu się uspokoić. „Ano poczekamy sobie na stosowną chwilę i wtedy będziemy się cieszyć. A zresztą, o co tu chodzi? No, pomyślmy, popatrzmy. No, spróbujmy pomyśleć, mój młody przyjacielu, no, spróbujmy pomyśleć. No, to człowiek taki sam jak i ty, to po pierwsze, zupełnie taki sam. No, i cóż w tym takiego? Jeżeli to taki człowiek, to ja mam przez to płakać? A mnie cóż? Stoję sobie na uboczu; gwizdę sobie, i tyle! Zdobył się na taki kawał, i tyle! Niech sobie pracuje! No, co za dziw i cudo; tam powiadają, że syjamscy bracia... No, i co z tego, że syjamscy? Dajmy na to, że są bliźniakami, ale przecież wielcy ludzie też czasami wyglądali na dziwaków. Wiadomo nawet z historii, że słynny Suworow piał jak kogut.. No, jeśli chodzi o niego, to on tak z polityki, a wielcy wodzowie... zresztą, co tam wodzowie? A ja jestem sobą, i tyle, i nie chcę o nikim wiedzieć, i będąc niewinnym gardzę wrogiem. Nie jestem intrygantem i jestem z tego dumny. Jestem czysty, prostolinijny, schludny, miły, łagodny...”

Nagle pan Goladkin zamilkł, zaciął się i zadrzał jak liść, nawet na mgnienie zaniknął oczy. W nadziei zresztą, że przedmiot jego lęku jest po prostu złudzeniem, otworzył wreszcie oczy i nieśmiało zerknął w prawo. Nie, to nie złudzenie!... Obok niego dreptał jego poranny znajomek, uśmiechał się, zaglądał mu w oczy, i zdawało się, czekał na okazję, aby rozpocząć rozmowę. Rozmowa zresztą nie zaczynała się. Obaj uszli w ten sposób jakieś pięćdziesiąt kroków. Wszystkie starania pana Goladkina sprowadzały się do tego, aby możliwie najszczelniej zawiązać się, zanurzyć w płaszcz i jak tylko można najgłębiej nasunąć na oczy kapelusz. Na domiar złego jego przyjaciel miał nawet płaszcz i kapelusz dokładnie takie same, jak gdyby przed chwilą zdjęte z ramion pana Goladkina.

- Łaskawy panie - odezwał się wreszcie nasz bohater, usiłując mówić prawie szeptem i nie patrząc na swego przy-

840

jaciela - idziemy, zdaje się, w przeciwnie strony... Jestem nawet tego pewien - rzekł po chwili milczenia. - Poza tym jestem pewien, że pan mnie doskonale zrozumiał - dodał na zakończenie dość surowym głosem.

„j- Pragnąłbym - przemówił wreszcie przyjaciel pana Go-iajjkina- pragnąłbym... pan zapewne wspaniałomyślnie mi wybaczy... nie wiem, do kogo się tutaj zwrócić... moja sytuacja- mam nadzieję, że wybaczy mi pan tę śmiałość - wydało mi się nawet, że pan, powodowany współczuciem, dziś rano zainteresował się moją osobą. Ze swojej strony od pierwszego spojrzenia poczułem do pana sympatię, ja... - Tu pan Goladkin w myśli życzył swemu nowemu koledze, aby się zapadł pod ziemię. - Gdybym się ośmielił mieć nadzieję, że zechce mnie pan, Jakubie Pietrowiczu, łaskawie wysłuchać...

- Jesteśmy - jesteśmy tu - my jesteśmy... chodźmy lepiej do mnie - odpowiedział pan Goladkin - teraz przejdziemy na drugą stronę Newskiego, tam nam będzie wygodniej, a potem boczną uliczką... pójdziemy raczej boczną uliczką.

- Dobrze. Pójdziemy raczej boczną uliczką - powiedział nieśmiało pokorny towarzysz pana Goladkina, jak gdyby tonem odpowiedzi dawał do zrozumienia, że gdzie mu tam do wybredzania, że w jego sytuacji wystarczy mu nawet boczna uliczka. Co się zaś tyczy pana Goladkina, to absolutnie nie rozumiał on, co się z nim dzieje. Nie wierzył sam sobie. Jeszcze nie ochłona) ze zdumienia.

ROZDZIAŁ VII

Opamiętał się nieco na schodach wchodząc do swego mieszkania. „Ależ ze mnie barania głowa! - naurągał sobie w myśli- dokądże ja go prowadzę? Sam sobie nakładam stryczek na szyję. Co też pomyśli Pietrek, gdy zobaczy nas razem? Co ten łajdak ośmieli się pomyśleć? A on jest podejrzliwy...” Ale było już za późno, pan Goladkin zastukał, drzwi się otworzyły i Pietrek zaczął gościowi i swemu panu zdejmować płaszcze. Pan Goladkin spojrzał mimochodem, tak tylko mimochodem rzucił spojrzenie na Pietrka, usiłując przeniknąć

36 Dostofewski, t III
841

jego twarz i odgadnąć jego myśli. Ale ku swemu najwyższemu zdumieniu ujrzał, że jego służący nawet nie myśli się dziwić i że, wprost przeciwnie, jak gdyby oczekiwał czegoś podobnego. Oczywiście i teraz patrzył wilkiem, zezował w bok i wydawało się, że ma zamiar kogoś pożreć. „Czy aby ktoś ich dzisiaj wszystkich nie zaczarował - myślał nasz bohater - diabeł jakiś w nich wstąpił! Niewątpliwie coś dziwnego dzieje się dzisiaj ze wszystkimi. Do licha, co za męka!” Właśnie w ten sposób myśląc i rozmyślając pan Goladkin wprowadził gościa do swego pokoju i uprzejmie poprosił, by usiadł. Gość był zapewne okropnie zmieszany, w zalęknieniu pokornie śledził wszystkie ruchy gospodarza, chwycił jego spojrzenia i, zdawało się, usiłował odgadnąć jego myśli. We wszystkich jego gestach przejawiało się jakieś poniżenie, zahukanie, lęk, tak że jeśli można użyć tego porównania, był nieco podobny w tej chwili do człowieka, który nie mając własnego ubrania, ubrał się w cudze: rękawy wylażą na wierzch, stan jest prawie na karku, a on co chwila poprawia na sobie krótką kamizelczynę, to sunie boczkiem i ustępuje miejsca, to usiłuje gdzieś się ukryć, to zagląda wszystkim w oczy i przysłuchuje się, czy ludzie nie mówią czego o jego dziwnej sytuacji, czy nie śmieją się z niego, czy się go nie wstydzą - i człowiek rumieni się, miesza, i jego ambicja cierpi... Pan Goladkin położył na oknie swój kapelusz; przez nieostrożny ruch kapelusz spadł na podłogę. Gość natychmiast podbiegł, podniósł go, oczyścił, strzepnął kurz, ostrożnie postawił na dawnym miejscu, a swój kapelusz - na podłodze obok krzesła, na którego rożku sam pokornie usiadł. To drobne wydarzenie otworzyło poniekąd oczy panu Goladkinowi, który zrozumiał, że tamten bardzo go potrzebuje, i wobec tego już się nie kłopotał, w jaki sposób ma rozpocząć rozmowę ze swoim gościem, pozostawiając to wszystko, jak też należało, tamtemu. Gość zaś ze swej strony też nie zaczynał, nie wiadomo, czy dlatego, że brakło mu odwagi, czy nieco się krępował, czy też z uprzejmości czekał, aż rozpocznie gospodarz - trudno było zgadnąć. W tej właśnie chwili wszedł Pietrek, stanął w drzwiach i zwrócił wzrok w inną stronę, całkiem przeciwną do tej, gdzie siedzieli i gość, i jego pan.

- Obiadu dwie porcje każe pan brać? - zapytał niedbałym i chrypliwym głosem.

842

- Nie, nie wiem... pan - tak, weź, bracie, dwie porcje.

Pietrek wyszedł. Pan Goladkin spojrzał na swego gościa. Gość zaczerwienił się aż po uszy. Pan Goladkin był człowiekiem dobrym i dlatego z dobroci serca natychmiast stworzył sobie teorię:

„To człowiek biedny - pomyślał - a przy tym dopiero pierwszy dzień na posadzie. W swoim czasie pewno miał jakieś kłopoty, może w całym majątku ma tylko przyzwoity garnitur, a sam nawet nie ma za co zjeść obiadu. Ależ jest zahukany! No nic, to poniekąd nawet lepiej...”

- Proszę mi wybaczyć, że... - zaczął pan Goladkin - zresztą pozwoli pan, że zapytam, jak pan się nazywa?

- Ja... Ja... Jakub Pietrowicz - niemal szeptem rzekł gość, jak gdyby się wstydził i krępował, jak gdyby prosił o wybaczenie, że i on nazywa się Jakub Pietrowicz.

- Jakub Pietrowicz! - powtórzył nasz bohater, nie potrafiąc ukryć zmieszania.

- Tak, łaskawy panie, tak jest... jestem pańskim imiennikiem - odrzekł pokorny gość pana Goladkina, ośmieliwszy się uśmiechnąć i powiedzieć coś żartobliwego. Ale natychmiast się pohamował i przybrał jak najbardziej poważną minę, nieco zresztą zdetonowawszy się, ponieważ spostrzegł, że gospodarzowi teraz nie do żartów.

- Pan... pozwoli pan, że zapytam, z jakiego powodu mam zaszczyt...

- Znając pańską wielkoduszność i pańskie cnoty - szybko, ale nieśmiałym głosem przerwał mu gość, powstając nieco z krzesła - ośmielał się zwrócić do pana i prosić pana o... znajomość i opiekę... - zakończył, wyraźnie skrępowany w mowie, dobierając słów nie nazbyt przypochlebnych i poniżających, aby się nie skompromitować i nie narazić swojej ambicji, a równocześnie nie nazbyt śmiałych, które by nasuwały nieprzyzwoitą myśl o równości pomiędzy nimi. W ogóle można by powiedzieć, że gość pana Goladkina zachowywał się jak szlachetny żebrak w cerowanym fraku z szlacheckim paszportem w kieszeni, lecz nie dość jeszcze doświadczony, jak należy wyciągać rękę.

- Pan mnie wprawia w zakłopotanie - odrzekł pan Goladkin, przyglądając się sobie, ścianom swego pokoju i gościowi - czymże mógłbym... to znaczy... chciałem powie-

843

dzieć, pod jakim właściwie względem mógłbym panu w czymkolwiek dopomóc?

- Ja, Jakubie Pietrowiczu, od pierwszego spojrzenia poczułem do pana sympatię i zechce mi pan wybaczyć, ale liczyłem na pana - ośmieliłem się na pana liczyć, Jakubie Pietrowiczu. Jestem... jestem człowiekiem zagubionym, Jakubie Pietrowiczu, biednym, dużo w życiu ucierpiałem, Jakubie Pietrowiczu, a tu jestem jeszcze nowicjuszem. Dowiedziawszy się, że pan, obok zwykłych wrodzonych panu zalet wspaniałego serca, nosi to samo co i ja nazwisko...

Pan Goladkin skrzywił się.

- To samo co i ja nazwisko i że pochodzi pan z tej samej co i ja miejscowości, postanowiłem zwrócić się do pana i przedstawić panu moją kłopotliwą sytuację.

- Dobrze, dobrze, doprawdy nie wiem, co mam panu powiedzieć - odparł - zaambarasowanym tonem pan Goladkin - po obiedzie pogadamy sobie...

Gość skłonił się; przyniesiono obiad. Pietrek nakrył do stołu i gość wraz z gospodarzem zaczęli się pożywiać. Obiad trwał niedługo, obaj się spieszyli - gospodarz dlatego, że był nie w humorze, a poza tym przykro mu było, że obiad był kiepski - a przykro mu było trochę dlatego, że chciał jak najlepiej przyjąć swojego gościa, i trochę dlatego, że chciał pokazać, iż nie żyje jak żebrak. Gość ze swej strony również był bardzo zaambarasowany i bardzo skonfundowany. Gdy raz wziął kromkę chleba i zjadł ją, bał się już wyciągnąć rękę po drugą kromkę, krępował się brać lepsze kawałki i co chwila zapewniał, że wcale nie jest głodny, że obiad był doskonały i że jeśli chodzi o niego, to jest całkowicie zadowolony i będzie pamiętał o tym aż do śmierci. Po obiedzie pan Goladkin zapalił swą fajeczkę, a drugą, przeznaczoną dla przyjaciół, zaproponował gościowi - obaj siedli naprzeciw siebie i gość zaczął opowiadać swoje przygody.

Opowiadanie pana Goladkina-młodszego trwało ze trzy lub cztery godziny. Dzieje jego przygód składały się zresztą z najbardziej błahych, najbardziej nędznych - jeśli się tak można wyrazić - sytuacji. Chodziło o pracę w jakiejś tam izbie sądowej, o prokuratorów, o przewodniczących, o jakieś intrygi w kancelarii, o gorszące obyczaje jednego z jej kierowników, o rewizora, o nagłą zmianę zwierzchnictwa, o to, jak pan Go-

844

ladkin-drugi ucierpiał zupełnie bez swojej winy; o jego sta-rowinke ciotkę, Pelagię Siemionownę; o to, jak z powodu różnych intryg swoich wrogów stracił miejsce i pieszo przyszedł do Petersburga; o to, jak się męczył i klepał biedę tu, w Petersburgu, jak bezskutecznie przez długi czas szukał posady, przejadł i wydał wszystkie pieniądze, mieszkał nieomal na ulicy, jadł czerstwy chleb i popijał go własnymi łzami, spał na gołej podłodze i jak wreszcie jakiś dobry człowiek podjął się wstawić za nim, polecił go i wielkodusznie urządził na nowej posadzie. Gość pana Goladkina opowiadając to wszystko płakał i ocierał łzy niebieską chustką w kratę, bardziej przypominającą ceratę niż chustkę. Zakończył zaś tym, że zwierzył się ze wszystkiego panu Goladkinowi i przyznał się, że chwilowo nie tylko nie ma za co żyć i przyzwoicie się urządzić, ale nie ma pieniędzy na jaki taki mundur; że, zakończył, nie mógł nawet zebrać na kamasze, a surdut wypożyczył od kogoś na krótki czas.

Pan Goladkin był rozrzewniony, był szczerze przejęty. Zresztą nawet niezależnie od tego, że historia jego gościa była historią bardzo błahą, wszystkie jej słowa spadały mu na serce jak manna z nieba. Rzecz w tym, że pan Goladkin pozbył się swych ostatnich wątpliwości, przyzwolił swojemu sercu odczuwać swobodę i radość, i wreszcie w myśli sam się nazwał durniem. Wszystko było tak naturalne! I warto było tak się martwić, tak dzwonić na alarm! No, istnieje, faktycznie istnieje pewna drażliwa okoliczność - ale to przecież nie nieszczęście: to nie może skalać człowieka, splamić jego honoru i zmarnować mu kariery, gdyż nie ponosi się przecież winy, skoro wtrąciła się w to sama natura. W dodatku gość prosił o opiekę, płakał, skarżył się na swój los, wydawał się tak prosty, wyzbyty złości i podstępów, nędzny, lichy i, jak się zdaje, sam się teraz krępował, choć może z innego powodu, dziwnym podobieństwem swoich rysów do rysów gospodarza. Zachowywał się niezwykle przyzwoicie, tylko patrzył, jak by tu się przypodobać swojemu gospodarzowi, a patrzył tak, jak patrzy człowiek, którego dręczą wyrzuty sumienia i który czuje, że zawinił wobec drugiego człowieka. Jeśli na przykład mowa była o jakiejś wątpliwej sprawie, to gość natychmiast zgadzał się ze zdaniem pana Goladkina. Jeśli zaś jakoś przez pomyłkę był innego zdania, a później zauważył, że zszedł

z właściwej drogi, to natychmiast się poprawiał, tłumaczył się i od razu dawał do zrozumienia, że wszystko pojmuje w taki sam sposób jak i jego gospodarz, myśli tak samo jak on i ma na wszystko dokładnie ten sam pogląd co i on. Słowem, dokładał wszelkich starań, aby „trafić” do pana Goladkina, tak że wreszcie pan Goladkin uznał, iż gość jego jest niewątpliwie pod każdym względem miłym człowiekiem. Tymczasem podano herbatę, była już godzina dziewiąta. Pan Goladkin był w znakomitym humorze, rozweselił się, rozruszał, troszeczkę się rozochocił i wreszcie wdał się ze swoim gościem w nader żywą i zajmującą rozmowę. Pan Goladkin, gdy wpadł w dobry humor, lubił czasami opowiedzieć coś interesującego. Tak też było i teraz: opowiedział gościowi wiele o stolicy, o jej rozrywkach i urokach, o teatrze, o klubach, o obrazie Briułłowa; o tym, jak to dwaj Anglicy umyślnie przyjechali z Anglii do Petersburga, aby obejrzeć kratę Ogrodu Letniego, i natychmiast wyjechali; o urzędzie, o Ołsuftu Iwanowiczu i Andrzeju Filipowiczu; o tym, że Rosja z dnia na dzień dąży do doskonałości i że tu

Nauki wyzwolone dzisiaj kwitną;

o anegdocie, którą niedawno przeczytał w „Pszczole Północnej”, o tym, że w Indiach istnieje wąż pyton o niezwykłej sile; wreszcie o baronie Brambeusie itd., itd.⁵ Słowem, pan Goladkin był całkowicie zadowolony, po pierwsze dlatego, że był zupełnie spokojny, po drugie, ponieważ nie tylko nie bał się swoich wrogów, lecz gotów był teraz ich wszystkich wyzwać na ostateczną rozprawę, po trzecie, że sam osobiście roztaczał nad kimś opiekę, i wreszcie, że przy tym robił dobry uczynek. Zresztą w głębi duszy uświadamiał sobie, że nie jest jeszcze w tej chwili całkowicie szczęśliwy, że ledzi w nim jeszcze jakiś robaczek, malusieńki co prawda, i nawet teraz drąży mu serce. Bardzo go dręczyło wspomnienie o wczorajszym wieczorze u Ołsufta Iwanowicza. Wiele by teraz dał, żeby nie wydarzyły się pewne rzeczy spośród tych, które wczoraj się wydarzyły. „A zresztą przecież to głupstwo!” - zakonkludował wreszcie nasz bohater i w głębi

duszy mocno sobie postanowił zachowywać się odtąd dobrze i nie robić podobnych błędów. Ponieważ pan Goladkin całkowicie się

S4.fi

teraz rozochocił i stał się nagle prawie zupełnie szczęśliwy, więc przyszło mu nawet na myśl, aby nieco użyć życia. Pie-trek przyniósł rumu i zrobionp poncz. Gość i gospodarz wychylili po szklance, po dwie. Gość okazał się jeszcze bardziej uprzejmy niż uprzednio i ze swej strony dał niejedną dowód prostoduszności i miłego charakteru, żywo dzielił zadowolenie pana Goladkina, zdawało się, że cieszy się tylko jego radością, i patrzył na niego jak na swego jedyne go prawdziwego dobrodzieja. Wziąwszy pióro i arkusik papieru, poprosił pana Goladkina, aby nie patrzył, gdy będzie pisał, a potem, kiedy skończył, sam pokazał to gospodarzowi. Okazało się, że był to czterowiersz, napisany nader sentymentalnie, przy tym pięknym stylem i ładnym pismem, najwidoczniej utwór miłego gościa. Wiersz brzmiał tak:

Jeśli ty zapomnisz o mnie, Ja o tobie nie zapomnę; W życiu różnie się przydarza, Nie zapomnij i ty o mnie!

Pan Goladkin ze łzami w oczach objął swego gościa i rozczuliwszy się do reszty, sam zwierzył gościowi pewne swoje sekrety i tajemnice, przy czym w tym, co mówił, silny nacisk kładł na Andrzeja Filipowicza i na Klarę Olsufiewnę: „No, ale przecież my się z tobą, Jakubie Pietrowiczu, zbliżymy - mówił nasz bohater do swego gościa - będziemy żyć z sobą, Jakubie Pietrowiczu, jak ryba z wodą, jak bracia rodzeni; my, przyjacielu, będziemy przebiegli, razem będziemy przebiegli, przeprowadzimy intrygę na przekór im... na przekór im będziemy intrygę prowadzić. Nikomu z nich nie dowierzaj. Przecież ja cię znam, Jakubie Pietrowiczu, i znam twój charakter, przecież ty właśnie wszystko wygadasz, duszyczko prosta! Ty, bracie, unikaj wszystkich.” Gość zgadzał się ze wszystkim, dziękował panu Goladkinowi i wreszcie również uronił łezkę. „Wiesz, Jasza - ciągnął pan Goladkin drżącym z rozczulenia głosem - zamieszkaż u mnie, Jasza, na pewien czas, albo też zamieszkaż na zawsze. Zgodzimy się. Co masz się przejmować, bracie? A ty się nie krępuj i nie utyskuj na to, że łączy nas taka dziwna okoliczność: utyskiwać, bracie, to grzech, tak już natura sprawiła! A matka-natura jest hojna,

847

tak, bracie Jaszo! Lubię cię, lubię cię jak brata, powiadam. A my z tobą, powiadam, Jasza, będziemy przebiegli i ze swojej strony prowadzić będziemy podkopy i utrzymy im wszystkim nosa.” Poncz doszedł wreszcie do trzech i do czterech szklanek na głowę, a wtedy pana Goladkina ogarnęły dwa uczucia: jedno, że jest niezmiernie szczęśliwy, a drugie - że już nie może ustać na nogach. Gość oczywiście został zaproszony na noc. Legowisko zestawiono jakoś z dwóch rzędów krzeseł. Pan Goladkin-młodszy oświadczył, że pod przyjacielskim dachem miękko jest spać nawet na gołej podłodze, a jeśli chodzi o niego, to zaśnie gdziekolwiek pokornie i z wdzięcznością, że znalazł się teraz w raju i wreszcie, że wiele w życiu zniósł nieszczęść i zgryzot, wszystko widział, wszystko wycierpiał i - któż zna przyszłość? - może jeszcze będzie cierpiał. Pan Goladkin protestował przeciw temu, zaczął dowodzić, że należy pokładać nadzieję w Bogu. Gość całkowicie się z tym zgadzał i mówił, że oczywiście nikt inny, tylko Bóg. Tu pan Goladkin-starszy zauważył, że Turcy mają poniekąd rację, gdy nawet we śnie wzywają imienia bożego. Potem nie zgadzając się zresztą z niektórymi uczonymi co do pewnych oszczerstw rzucanych na proroka Mahometa i uznawszy go za wielkiego polityka w swoim rodzaju, pan Goladkin przeszedł do bardzo interesującego opisu algierskiej razury, o której czytał w jakimś miesięczniku w dziale różnaitości. Gość i gospodarz długo śmiali się z naiwności Turków, przy czym musieli złożyć daninę podziwu dla ich pobudzanego przez opium fanatyzmu... Wreszcie gość zaczął się rozbierać, a pan Goladkin wszedł za przepierzenie, częściowo z dobroci serca, że tamten może nie ma nawet porządnej koszuli, więc żeby nie krępować i tak już pokrzywdzonego przez los człowieka, a częściowo po to, aby w miarę możności przekonać się, jak tam z Pietrkiem, wybadać go, rozweselić, jeśli się uda, i

podejść z sercem do człowieka, żeby już wszyscy byli szczęśliwi i żeby nie zostało już żadnych zadr. Należy zwrócić uwagę, że Pietrek wciąż jeszcze trochę niepokoił pana Goladkina.

- Ty się teraz, Piotrze, połóż spać - łagodnie odezwał się pan Goladkin wchodząc do kąta, gdzie mieszkał jego służący - teraz połóż się spać, a jutro obudź mnie o ósmej. Rozumiesz, Piotrusiu?

Pan Goladkin mówił niezwykle łagodnie i uprzejmie. Ale

848

Pietrek milczał. Zajęty był w tej chwili swoim łóżkiem i nawet nie odwrócił się do swego pana, co powinien był uczynić choćby z samego tylko szacunku.

- Słyszałeś mnie, Piotrze? - ciągnął pan Goladkin.- Połóż się teraz spać, a jutro, Piotrusiu, obudź mnie o ósmej; rozumiesz?

- Przecie pamiętam, jakże! - zamruczał pod nosem Pietrek.

- No,, właśnie, właśnie, Piotrusiu, ja to tylko tak sobie mówię, żebyś i ty był spokojny i szczęśliwy. Widzisz, jesteśmy teraz wszyscy szczęśliwi, więc żebyś i ty był spokojny i szczęśliwy. A teraz życzę ci dobrej nocy. Zaśnij, Piotrusiu, zaśnij, wszyscy musimy pracować... żebyś sobie, braciszku, czegoś czasem nie pomyślał...

Pan Goladkin zaczął mówić i zatrzymał się. „Czy to nie będzie już zanadto - pomyślał - czy nie za daleko się posunąłem? Tak to już zawsze jest, zawsze przesolę.” Bohater nasz wyszedł od Pietrka bardzo z siebie niezadowolony. W dodatku był nieco dotknięty grubiaństwem i oporem Pietrka. „Człowiek się nicponiowi przypochlebia, nicponiowi pan robi zaszczyt, a ten nie czuje tego - pomyślał pan Goladkin.- Ano, taka to już podła tendencja u tej socjety!” Chwiejąc się nieco wrócił do pokoju i widząc, że gość już się położył, przysiadł na chwilę na jego posłaniu. „A przyznaj się, Jasza - zacznij szeptem kręcąc głową - przecież ty, łobuzie, zawiniłeś wobec mnie? Przecież ty, imienniku, wiesz, tego...” - ciągnął, dość familiarnie zaczepiając gościa. Wreszcie pożegnawszy się z nim przyjaźnie, pan Goladkin poszedł spać. Gość tymczasem zachrapał. Pan Goladkin z kolei zaczął przygotowywać się do snu, a jednocześnie, podśmiewając się, szeptał sam do siebie: „Pijany jesteś dzisiaj, kochany Jakubie Pietrowiczu, łajdaku jeden, Goladko jedna - takie to już twoje nazwisko! No i czegożeś się ucieszył? Przecież jutro będziesz płakał, bekso jedna, co mam z tobą robić!” Tu całą istotę pana Goladkina przeszyło coś na podobieństwo wątpliwości czy skruchy. „Ale się rozhulałem - myślał - tak mi teraz szumi w głowie, pijany jestem; nie powstrzymałem się, głupiec jeden! Naplotłem całą kupę bzdur i jeszcze, łajdak, chciałem chytryć. Wybaczenie i zapominanie krzywd to największa cnota, wiadomo, ale to wszystko marna sprawa!

849

Tak, tak!” Tu pan Goladkin wstał, wziął świecę i na palcach jeszcze raz poszedł spojrzeć na swego śpiącego gościa. Długo stał nad nim w głębokim zamyśleniu. „Przykry widok! kpiny, czyste kpiny, i tyle!”

Wreszcie pan Goladkin położył się. W głowie mu szumiało, trzeszczało, dzwoniło. Zaczął zapadać w sen... usiłował o czymś myśleć, przypomnieć sobie coś bardzo ciekawego, rozstrzygnąć coś bardzo ważnego, jakąś drażliwą sprawę - ale nie mógł. Sen spadł na jego nieszczęsną głowę i pan Goladkin zasnął tak, jak zazwyczaj śpią ludzie, którzy, nie przyzwyczajeni, ni stąd, ni zowąd wypili na jakiejś przyjacielskiej wieczornicy pięć szklanek ponczu.

ROZDZIAŁ VIII

Nazajutrz, jak zazwyczaj, pan Goladkin zbudził się o ósmej; obudziwszy się, natychmiast przypomniał sobie wszystkie wydarzenia ubiegłego wieczora - przypomniał sobie i skrzywił się. „Ale się wczoraj rozbisurmaniłem jak dureń!” - pomyślał wstając z łóżka i spojrzawszy na

legowisko swego gościa. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy okazało się, że nie tylko gościa, ale nawet legowiska, na którym gość spał, nie było w pokoju! „Cóż to znaczy? - niemalże wykrzyknął pan Goladkin - cóż by to miało znaczyć? cóż oznacza teraz ta nowa okoliczność?” Gdy pan Goladkin, nie posiadając się ze zdumienia, szeroko otwartymi oczami patrzył na opustoszałe miejsce, zaskrzypiały drzwi i wszedł Pietrek, niosąc na tacy herbatę. „Gdzie on jest, gdzie jest?” - rzekł ledwo dosłyszalnym głosem nasz bohater wskazując palcem miejsce przeznaczone wczoraj dla gościa. Pietrek z początku nic nie odpowiedział, nawet nie spojrzął na swego pana, zwrócił tylko oczy w kąt na prawo, tak że pan Goladkin też musiał spojrzeć w kąt na prawo. Zresztą po chwili milczenia Pietrek chrypli-wym i ordynarnym głosem odpowiedział, że „pana nie ma w domu”.

- Durniu jeden, przecież ja jestem twoim panem - rzekł pan Goladkin urywanym głosem i uporczywie przyglądał się swemu służącemu.

Pietrek nic nie odpowiedział, ale spojrzął na pana Goladki-

850

na tak, że ten zaczerwienił się po uszy - spojrzął z jakimś ubliżającym wyrzutem, podobnym do czystego wymyślania. Panu Goladkinowi, jak to się mówi, aż ręce opadły. Wreszcie Pietrek oznajmił, że ten drugi wyszedł już z półtorej godziny temu i nie chciał czekać. Naturalnie odpowiedź była prawdopodobna i możliwa, widać było, że Pietrek nie kłamał, że jego ubliżające spojrzenie i słowo ten drugi, którego użył, były jedynie wynikiem tych wszystkich znanych obrzydliwych okoliczności, ale bądź co bądź pan Goladkin, chociaż niedokładnie, rozumiał jednak, że coś tu nie jest w porządku i że los gotuje mu jeszcze jakiś nie nazbyt przyjemny prezent. „Ano dobrze, zobaczymy - myślał - zobaczymy jeszcze, w swoim czasie wszystko to rozgryziemy... Ach, mój Boże! - jęknął na koniec zupełnie już innym głosem - i po cóż ja go zapraszałem, z jakiej racji wszystko to zrobiłem? dalibóg, sam wsadzani głowę w icfy łajdacki stryczek, sam sobie ten stryczek ukrećcam. Ach, ty głowo, głowo! w żaden sposób nie możesz wytrzymać, żeby się nie rozpałać jak jakiś wyrostek, jak jakiś kancelista, jak jakaś hołota bez stanowiska, jak jakaś szmata, wiecheć, plotkarzu jeden, babo jedna!... Święci Pańscy! I wierszyk mi szelma napisał, i miłość mi wyznawał! Jak by to tak zrobić, tego... jak by temu szelmie najprzyzwoiciej pokazać drzwi, gdy wróci? Naturalnie jest dużo różnych wykrętów i sposobów. Tak i tak, że to niby przy mojej ograniczonej pensji... Albo też nastraszyć go jakoś, że niby wzięwszy pod uwagę to i to, zmuszony jestem wyjaśnić... że niby trzeba po połowie płacić za mieszkanie i utrzymanie, a pieniądze dawać z góry. Hm! nie, do licha, nie! To mnie zbruka. Nie byłoby to najdelikatniejsze! Albo może by tak jakoś, w ten sposób zrobić: wziąć i poddać Pietrkowi, aby Pietrek jakoś tak mu zalazł za skórę, jakoś tak go zlekceważył, ordynarnie się odezwał i w ten sposób go wygryzł? Poszczuć by ich tak na siebie... Nie, do licha, nie! To niebezpieczne, a poza tym, gdyby tak spojrzeć z tego punktu widzenia - no, tak, to w ogóle byłoby brzydko! bardzo brzydko! A może on nie przyjdzie? czy i to będzie źle? Ależ mu nagadałem wczoraj głupstw!... Ech, źle, źle! Ech, kiepsko stoją nasze sprawy! Ależ ja mam łeb, przeklęty łeb! Nie możesz sobie zakarbować co należy, pomyślunku nie możesz sobie tam wbić! No, a jak przyjdzie i odmówi? Daj Boże, żeby przyszedł! Bardzo był-

54* 851

bym rad, gdyby przyszedł; dużo bym za to dał, gdyby przyszedł...” Tak rozważał pan Goladkin pijąc herbatę i nieustannie popatrując na ścienny zegar. „Jest już za kwadrans dziewiąta, czas już iść. Ale co to będzie, co będzie? Chciałbym wiedzieć, co się w tym takiego szczególnego kryje - gdyby tak znać cel, nastawienie i różne takie haczyki. Warto byłoby się dowiedzieć, do czego właściwie zmierzają wszyscy ci ludzie i jaki będzie ich pierwszy krok...” Pan Goladkin nie mógł już dłużej wytrzymać, rzucił niedopaloną fajkę, ubrał się i ruszył do urzędu, chcąc ubiec, jeśli to możliwe, niebezpieczeństwo i osobiście przekonać się o wszystkim. A niebezpieczeństwo istniało: o tym już sam wiedział, że niebezpieczeństwo istnieje naprawdę. „A my je... właśnie że je

rozgryziemy - mówił pan Goladkin zdejmując płaszcz i kalosze w korytarzu - zaraz wnikiemy w te wszystkie tajemnicze sprawy „Postanowiwszy działać w ten sposób, nasz bohater obciągnął surdut, przybrał godną i oficjalną minę i już chciał wejść do sąsiedniego pokoju, gdy nagle w samych drzwiach zetknął się z wczorajszym znajomym, kolegą i przyjacielem. Pan Goladkin-młodszy, jak się zdaje, nie dostrzegł pana Goladkina-star-szego, choć zderzył się z nim prawie nos w nos. Pan Goladkin—młodszy, jak się zdaje, dokąds się spieszył, był zasapany; minę miał oficjalną, tak rzeczową, że każdy, zdawałoby się, mógł bezpośrednio wyczytać z jego twarzy, że jest „przydzielony do specjalnych poruczeń...”

- Ach, to pan, Jakubie Pietrowiczu! - rzekł nasz bohater chwytając swego wczorajszego gościa za rękę.

- Później, później, pan wybaczy, później pan mi opowie - zawołał pan Goladkin-młodszy, wyrwując się naprzód.

- Jednakże pan pozwoli, pan zdaje się chciał, Jakubie Pietrowiczu, tego...

- Co? niech pan mówi szybciej. - Tu wczorajszy gość pana Goladkina zatrzymał się z niejakim przymusem i niechętnie przystawił ucho prosto do jego nosa.

- Powiem panu, Jakubie Pietrowiczu, że dziwi mnie przyjęcie... przyjęcie, jakiego absolutnie nie mogłem się spodziewać.

- Na wszystko istnieje właściwy tryb postępowania. Zgłosi się pan do sekretarza jego ekscelencji, a potem wedle właściwości, do pana kierownika kancelarii. Podanie jest?...

852

- Pan, doprawdy nie wiem, Jakubie Pietrowiczu! Pan mnie po prostu zdumiewa, Jakubie Pietrowiczu! Pan pewnie mnie nie poznaje albo żartuje sobie z wrodzonej pochopności do żartów.

- A, to pan! - rzekł pan Goladkin-młodszy, jak gdyby dopiero teraz poznał pana Goladkina-starszego - więc to pan ? No cóż, czy dobrze panu się spało? - Tu pan Goladkin—młodszy uśmiechnął się oficjalnie i urzędowo, bynajmniej nie tak, jak by należało (tak czy inaczej winien był przecież wdzięczność panu Goladkinowi-starszemu), tak więc uśmiechnąwszy się oficjalnie i urzędowo dodał, że jeśli chodzi o niego, to bardzo się cieszy, że panu Goladkinowi dobrze się spało; potem pochylił się nieco, podreptał chwilę w miejscu, spojrzał w prawo, w lewo, potem spuścił wzrok ku ziemi, wycelował w boczne drzwi i wyszeptawszy szybko, że spetnia specjalne poruczenie, przemknął do sąsiedniego pokoju. Tyle go też widziano.

- Ależ to kawał!... - szepnął nasz bohater, osłupiały przez mgnienie - ależ to kawał! To tak się rzeczy mają!... - Tu pan Goladkin poczuł, że nie wiedzieć dlaczego przejęło go mrowie. - Zresztą - ciągnął w myśli idąc do swego wydziału - zresztą dawno już mówiłem o takiej sytuacji, dawno już przeczuwałem, że jest przydzielony do specjalnych poruczeń, nie dalej jak wczoraj mówiłem, że niewątpliwie ten człowiek działa na czyjeś specjalne poruczenie...

- Czy skończył pan, Jakubie Pietrowiczu, pańskie wczorajsze pismo? - zapytał Antoni Antonowicz Sietoczkin, gdy pan Goladkin usiadł obok niego. - Ma pan je tutaj ?

- Mam - wyszeptał pan Goladkin patrząc na swego kierownika z nieco skonfundowaną miną.

- Właśnie, właśnie. Mówię dlatego, że Andrzej Filipowicz dwa razy już pytał. Tylko patrzeć, Jak jego ekscelencja zażąda...

- Nie, już skończone...

- No to dobrze.

- Wydaje mi się, Antoni Antonowiczu, że zawsze wypełniałem swoje obowiązki jak należy, usilnie dbam o zlecone mi przez zwierzchników sprawy i zajmuję się nimi gorliwie.

- Tak. No cóż, co pan chciał przez to powiedzieć ?

- Nic takiego, Antoni Antonowiczu. Chciałem tylko wyjaśnić, Antoni Antonowiczu, że ja... to znaczy chciałem po-

853

wiedzieć, że czasami niezyczliwość i zawiść nie szczczędzą nikogo w poszukiwaniu swej codziennej wstrętnej strawy...

- Pan wybaczy, niezbyt dobrze pana rozumiem. To znaczy, o kim pan właściwie teraz napomyka?

- To znaczy, Antoni Antonowiczu, chciałem tylko powiedzieć, że idę prosto i gardzę okólnymi drogami, że nie jestem intrygantem i że tym, jeśli tylko wolno mi się tak wyrazić, mogę się słusznie chlubić...

- Ta-ak. To wszystko -prawda i, przynajmniej jak mogę sądzić, przyznaję całkowitą słusność pańskiemu zdaniu, ale niechże mi pan pozwoli, Jakubie Pietrowiczu, zwrócić panu uwagę, że osobiste wycieczki w przyzwoitym towarzystwie nie całkiem są dopuszczalne, że na przykład poza oczami gotów jestem to znieść - bo komuż to się nie wymyśla poza oczami! - Ale w oczy, wybaczy pan, łaskawy panie, ja na przykład sobie nie pozwolę mówić impertynencji. Ja, łaskawy panie, osiwałem w służbie państwowej i na stare lata impertynencji mówić sobie nie pozwolę...

- Nie, ja, Antoni Antonowiczu, pan, widzi pan, Antoni Antonowiczu, pan, zdaje się, Antoni Antonowiczu, w ogóle mnie nie zrozumiał. A ja, daruje pan, Antoni Antonowiczu, ja ze swej strony mogę tylko za honor uważać...

- Pan też wybaczy, łaskawy panie. Uczono mnie po staroświecku. A na pańską modłę, po nowemu, uczyć mi się już za późno. W służbie ojczyzny do tej pory starczyło mi, jak się zdaje, rozumu. Jak sam pan wie, łaskawy panie, posiadam odznakę za dwudziestopięcioletnią nienaganną służbę...

- Rozumiem, Antoni Antonowiczu, doskonale wszystko to rozumiem, ale ja nie o tym mówiłem, Antoni Antonowiczu, mówiłem o masce, Antoni Antonowiczu...

- O masce?

- Pan znowu... obawiam się, że i tym razem pan odwróci sens, to znaczy sens tego, co mówię, jak sam pan powiada, Antoni Antonowiczu. Rozwijam tylko temat, to znaczy, przeprowadzam myśl, Antoni Antonowiczu, że namnożyło się teraz ludzi, którzy noszą maski, i że trudno pod maską poznać człowieka...

- No, wie pan, to nie zawsze trudno. Czasami nawet dość łatwo, czasami nawet nie trzeba daleko szukać.

- Nie, wie pan, Antoni Antonowiczu, powiadam, powia-

854

dam tak o sobie, że ja na przykład wkładam maskę tylko wtedy, gdy jest mi potrzebna, to znaczy jedynie w karnawale i na wesołych zebraniach, mówiąc oczywiście w sensie bezpośrednim, ale nie maskuję się przed ludźmi co dzień, mówiąc w innym, bardziej ukrytym sensie. Właśnie to chciałem powiedzieć, Antoni Antonowiczu.

- No, ale chwilowo zostawmy to wszystko w spokoju, poza tym nie mam czasu - rzekł Antoni Antonowicz wstając i zbierając jakieś akta dla zreferowania jego ekscelencji. - A pańska sprawa, mam wrażenie, wyjaśni się we właściwym czasie. Sam pan zobaczy, do kogo trzeba mieć pretensje i kogo oskarżać, a wobec tego proszę uniżenie zwolnić mnie od dalszych prywatnych i szkodliwych dla pracy wyjaśnień i plotek...

- Nie, Antoni Antonowiczu - zaczął mówić poblady nieco pan Goladkin do odchodzącego

Antoniego Antonowicza - to mi nawet, Antoni Antonowiczu, przez myśl nie przeszło. „Cóż to znaczy? - ciągnął już do siebie nasz bohater, gdy został sam. - Cóż to za wiatry tutaj wieją i co oznacza to nowe matactwo?” W tej samej chwili, gdy zmieszany i na wpół przytomny bohater nasz zamierzał rozstrzygnąć to nowe pytanie, w sąsiednim pokoju rozległ się gwar, powstał jakiś ruch, drzwi się otworzyły i Andrzej Filipowicz, który dopiero co wszedł był w oficjalnych sprawach do gabinetu jego ekscelencji, zjawił się zaaferowany w drzwiach i wezwał pana Goladkina. Pan Goladkin wiedząc, o co chodzi, i nie chcąc, aby Andrzej Filipowicz czekał, zerwał się i natychmiast, jak zwykle, zaczął się niesłuchanie uwijać przygotowując i doprowadzając już ostatecznie do porządku żadaną teczkę i szykując się samemu, aby śladem teczki i Andrzeja Filipowicza ruszyć do gabinetu jego ekscelencji. Naraz, prawie pod łokciem Andrzeja Filipowicza, który stał w samych drzwiach, przemknął do pokoju pan Goladkin-młodszy, zaaferowany, zaprzątnięty urzędowaniem, z ważną, stanowczą, oficjalną miną, i podbiegł wprost do pana Goladkina-starszego, który wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie takiej napaści...

- Akta, Jakubie Pietrowiczu, akta... jego ekscelencja raczył zapytać, czy ma pan już gotowe? - szybciotko zaszczę-biotał półgłosem przyjaciela pana Goladkina-starszego. - Andrzej Filipowicz czeka na pana...

855

- Wiem bez pana, że czeka - rzekł pan Goladkin-starszy również szybciotko i szeptem.

- Nie, ja, Jakubie Pietrowiczu, nie o tym mówię; ja, Jakubie Pietrowiczu, całkiem mówię nie o tym; ja się staram, Jakubie Pietrowiczu, i kieruje mną serdeczna troska.

- Od której unizenie proszę mnie uwolnić. Pan pozwoli, pan pozwoli...

- Pan oczywiście obłoży je w obwolutę, Jakubie Pietrowiczu, a trzecią stroniczkę zechce pan założyć zakładką, pan pozwoli, Jakubie Pietrowiczu...

- A niechże pan wreszcie pozwoli...

- Ale przecież tu jest kleks, Jakubie Pietrowiczu, czy pan zauważył kleksik?...

Akurat Andrzej Filipowicz powtórnie zawołał pana Goladkina.

- Za chwileczkę, Andrzeju Filipowiczu, ja tylko tu troszkę, o tu... Szanowny panie, czy pan rozumie po rosyjsku?

- Najlepiej będzie scyzorykiem, Jakubie Pietrowiczu, już niech pan na mnie polega: już niech pan lepiej sam nie rusza, Jakubie Pietrowiczu, już niech pan na mnie polega - ja to troszkę scyzorykiem...

Andrzej Filipowicz po raz trzeci zawołał pana Goladkina.

- Ależ na Boga, gdzież tu kleks? Zdaje się, że w ogóle nie ma tu żadnego kleksa!

- I to nawet ogromny kleks, o! pan pozwoli, właśnie tu go widziałem, pan pozwoli... niech pan mi tylko pozwoli, Jakubie Pietrowiczu, ja go troszeczkę scyzorykiem; ja tak z sympatii, Jakubie Pietrowiczu, a scyzorykiem z czystego serca... o tak, o, i sprawa załatwiona...

Tu całkiem niespodziewanie pan Goladkin-młodszy ni stąd, ni zowąd nagle pokonawszy pana Goladkina w błyskawicznej walce, która pomiędzy nimi wynikła, i absolutnie wbrew jego woli, zawładnął żadanym przez zwierzchnictwo aktem i zamiast żeby go z czystego serca poskrobać scyzorykiem, jak wiarołomnie zapewniał pana Goladkina-starszego, szybko go zwinął, wsadził pod pachę, w dwóch susach znalazł się obok Andrzeja Filipowicza, który nie zauważył ani jednego z jego podstępów, i pobiegł z nim do gabinetu dyrektora. Pan Goladkin-starszy stał jak wryty trzymając w ręku scyzoryk i jak gdyby zamierzając coś tam nim zeszkrobać.

856

Nasz bohater jeszcze nie całkiem zdawał sobie sprawę ze swojej nowej sytuacji. Jeszcze się nie ocknął. Odczuł cios, ale myślał, że to jakoś tak sobie. W strasznym, nieopisanym zamęcie ducha zerwał się wreszcie i pobiegł prosto do gabinetu dyrektora, błagając przy tym po drodze Opatrzność, żeby się to wszystko odmieniło jakoś na lepsze i było ot tak sobie... W ostatnim pokoju przed gabinetem dyrektora zetknął się nos w nos z Andrzejem Filipowiczem i ze swoim imiennikiem. Obaj już wracali: pan Goladkin usunął się na bok. Andrzej Filipowicz mówił coś z uśmiechem i wesoło. Imiennik pana Goladkina-starszego również się uśmiechał, kręcił się, dreptał w należytą odległości od Andrzeja Filipowicza i z zachwyconą miną wszeptywał mu coś do ucha, na co Andrzej Filipowicz w sposób nader łaskawy kiwał głową. W jednej chwili nasz bohater zrozumiał całą sytuację. Rzecz w tym, że praca jego (jak o tym później się dowiedział) przeszła niemal oczekiwania jego ekscelencji i rzeczywiście zdążyła na termin i w porę. Jego ekscelencja był bardzo zadowolony. Mówiono nawet, że jego ekscelencja podziękował panu Goladkinowi-młodszemu, bardzo podziękował; powiedział, że będzie pamiętał przy stosownej okazji i absolutnie nie zapomni... Oczywiście pierwszym odruchem pana Goladkina było protestować, protestować ze wszystkich sił, do ostatka. Prawie nieprzytomny, blady jak śmierć, podbiegł do Andrzeja Filipowicza. Ale Andrzej Filipowicz usłyszawszy, że sprawa pana Goladkina była sprawą prywatną, odmówił jej wysłuchania, zaznaczając stanowczo, że nawet dla siebie nie ma wolnej chwili.

Oschłość tonu i stanowcza odmowa zaskoczyły pana Goladkina. „Ano, wobec tego zacznę jakoś z innej strony... wobec tego pójdę do Antoniego Antonowicza.” Na nieszczęście okazało się, że Antoni Antonowicz również był nieobecny, też był gdzieś tam czymś zajęty. „Przecież nie bez kozery prosił, aby uwolnić go od wyjaśnień i rozmów! - pomyślał nasz bohater. - Proszę, do czego zmierzał, stary krętacz! W takim razie zdobędę się na odwagę i pójdę od razu błagać jego ekscelencję.”

Wciąż jeszcze blady, czując w głowie całkowity zamęt, mocno niepewny, na co właściwie ma się zdecydować, pan Goladkin usiadł na chwilę na krześle. „Byłoby znacznie lepiej, gdyby to wszystko było tak sobie - myślał nieustannie. -

857

Istotnie, podobnie ciemna sprawa była po prostu nieprawdopodobna. Po pierwsze to jakaś bzdura, a po drugie taka rzecz nawet się wydarzyć nie może. To pewno jakoś tak mi się przywidziało albo też wyszło coś innego, a nie to, co w rzeczywistości było; albo też pewno sam poszedłem... i sam się jakoś uważałem za całkiem kogo innego... słowem, to rzecz całkiem nieprawdopodobna.”

Ledwo pan Goladkin zdecydował, że to rzecz całkiem nieprawdopodobna, gdy naraz do pokoju wpadł pan Goladkin—młodszy z aktami w obu rękach i pod pachą. Powiedziawszy mimochodem jakieś ważne dwa słowa Andrzejowi Filipowiczowi, pogadawszy jeszcze z kimś tam, rzuciwszy miłe słówko komuś innemu, pogwarzywszy poufale jeszcze z kimś tam, pan Goladkin-młodszy, który zapewne nie miał zbyt dużo czasu do stracenia, zamierzał już, jak się zdaje, wyjść z pokoju, ale na szczęście dla pana Goladkina-starszego zatrzymał się w samych drzwiach i mimochodem zamienił kilka słów z dwoma czy też z trzema młodymi urzędnikami, którzy przypadkiem tam się znaleźli. Pan Goladkin-starszy podbiegł prosto do niego. Jak tylko pan Goladkin-młodszy ujrzał manewr pana Goladkina-starszego, natychmiast z wielkim niepokojem zaczął się rozglądać, dokąd by się jak najszybciej wymknąć. Ale nasz bohater trzymał już swojego wczorajszego gościa za rękaw. Urzędnicy, którzy otaczali dwóch radców tytularnych, rozstąpili się i z ciekawością czekali, co będzie. Stary radca tytularny doskonale rozumiał, że opinia nie jest teraz po jego stronie, doskonale rozumiał, że przeciwko niemu intrygują; ale tym bardziej musiał się teraz trzymać. Chwila była decydująca.

- No? - wyrzekł pan Goladkin-młodszy patrząc dość zuchwale na pana Goladkina-starszego. Pan Goladkin-starszy ledwo dyszał.

- Nie wiem, łaskawy panie - zaczął - w jaki sposób potrafi pan teraz wyjaśnić swoje dziwne zachowanie wobec mnie.

- No, proszę. Niech pan mówi dalej. - Tu pan Goladkin-młodszy rozejrzał się dokoła i mrugnął do otaczających ich urzędników, jak gdyby dawał znać, że właśnie za chwilę zacznie się komedia.

- Zuchwalstwo i bezczelność pańskiego postępowania wobec mnie, łaskawy panie, w tej chwili jeszcze bardziej pana

858

demaskują... niż wszystkie moje słowa. Niech pan nie polega na swojej grze: to kiepska gra...

- No, Jakubie Pietrowiczu, niechże mi pan teraz powie, jak się panu spało? - odrzekł Goladkin-młodszy patrząc prosto w oczy panu Goladkinowi-starszemu.

- Pan się zapomina, łaskawy panie - rzekł całkiem zmieszany radca tytułarny ledwo panując nad sobą - mam nadzieję, że zmieni pan ton...

- Serdeńko moje!! - wyrzekł pan Goladkin-młodszy, robiąc nader nieprzyzwoitą minę do pana Goladkina-starszego i naraz, całkiem niespodziewanie, pod pozorem czułości, chwycił go dwoma palcami za dość pulchny prawy policzek. Bohater nasz wybuchł jak płomień... Jak tylko przyjaciel pana Goladkina-starszego zauważył, że przeciwnik jego, drząc na całym ciele, oniemiały z wściekłości, czerwony jak rak i wreszcie doprowadzony do ostatnich granic, może się zdecydować nawet na formalny atak, natychmiast uprzedził go sam w naj-bezwstydniejszy sposób. Poklepawszy go jeszcze ze dwa razy po policzku, jeszcze ze dwa razy połaskotawszy go, poigrawszy z nim w ten sposób, gdy tak stał bez ruchu, oszalały z wściekłości, przez kilka jeszcze sekund, pan Goladkin-młodszy, ku niemałej ucieście otaczającej ich młodzieży, z oburzającym bezwstydem klepnął w końcu pana Goladkina-starszego po wypukłym brzuszku i z niesłychanie jadowitym i dającym dużo do myślenia uśmiechem odezwał się: „Nie uda ci się, bratku, Jakubie Pietrowiczu, nie uda! Będziemy przebiegli, Jakubie Pietrowiczu, będziemy przebiegli.” Potem, i to zanim nasz bohater zdążył jako tako przyjść do siebie po ostatniej napaści, pan Goladkin-młodszy nagle (uprzednio- rzuciwszy tylko uśmiezek otaczającym ich widzom) przybrał minę człowieka wyjątkowo zajętego, wyjątkowo rzeczowego, wyjątkowo urzędowego, spuścił wzrok ku ziemi, skurczył się, skulił i szybko wymamrotawszy „do specjalnych poruczeń”, lignął króciutką nóżką i przemknął się do sąsiedniego pokoju. Bohater nasz nie wierzył własnym oczom i wciąż jeszcze nie mógł się opamiętać...

Wreszcie opamiętał się. Uświadomiwszy sobie w jednej chwili, że zginął, że w pewnym sensie został zniszczony, że został zbrukany i skałał swoją reputację, że go wyśmiano i opluto w obecności osób postronnych, że zdradziecko został

859

zbezczeszczonego przez tego, którego jeszcze wczoraj uważał za swego najlepszego i najpewniejszego przyjaciela, wreszcie, że wpadł z kretelem - pan Goladkin rzucił się w pogoń za nieprzyjacielem. W tej chwili nawet nie chciał myśleć o świadkach swojej hańby. „Wszyscy oni są w znowiu - mówił sam do siebie - jeden popiera drugiego i jeden drugiego na mnie szczuje.” Jednakże po dziesięciu krokach bohater nasz wyraźnie dostrzegł, że pogoń była bezcelowa i bezskuteczna, i dlatego wrócił. „Nie wymkniesz się - myślał - przyjdzie czas, że wpadniesz, nosił wilk razy kilka - poniosą i wilka.” Z zaciekłością, zimną krwią i nader energiczną stanowczością doszedł pan Goladkin do krzesła i usiadł na nim. „Nie wymkniesz się!” - rzekł znowu. Teraz chodziło już nie o jakąś bierną obronę; zanosilo się na coś ostatecznego, na atak, i ten, kto widział pana Goladkina w tej chwili, jak zaczerwieniony, ledwo powstrzymując wzburzenie, wetknął pióro w kałamarz i jak z zaciekłością zaczął szybko wypisywać coś na arkuszu papieru, mógł już z góry przesądzić, że sprawa nie rozejdzie się po kościach i nie może się skończyć jakoś zwyczajnie, po

babsku. W głębi duszy już sobie pan Goladkin pewną rzecz postanowił i w głębi serca przysięgł sobie, że ją spełni. Prawdę mówiąc, nie całkiem jeszcze dobrze wiedział, jak ma postąpić, a właściwie wcale nie wiedział, ale to nie szkodzi, wszystko jedno! „A samozwaństwo i bezczelność, łaskawy panie, w naszych czasach nie popłacają. Samozwaństwo i bezczelność, wielce łaskawy panie, nie prowadzą do dobrego, prowadzą do szubienicy. Jeden tylko Griszka Otriepiew, mój łaskawco, zdołał osiągnąć coś samozwaństwem, oszukując ślepy naród, a i to nie na długo.”* Pomijając tę ostatnią okoliczność, pan Goladkin postanowił czekać do czasu, aż z pewnych osób spadnie maska i pewne rzeczy wyjdą na jaw. W tym celu trzeba było przede wszystkim, żeby jak najprędzej skończyły się godziny urzędowania, i aż do tej chwili nasz bohater postanowił nic nie przedsięwziąć. Potem zaś, gdy skończą się godziny urzędowania, zastosuje pewien sposób. A wówczas już będzie wiedział, jak ma postąpić po zastosowaniu tego sposobu, jak ułożyć sobie plan działania, aby utrzcć rogów pysze i zdusić żmiję gryzącą ziemię w hańbie bezsilności. Nie mógł przecież pan Goladkin pozwolić, aby zrobiono z niego szmatę, o którą wyciera się brudne buty. Nie mógł się na to zgodzić, zwłaszcza

860

w tym wypadku. Gdyby nie to ostatnie pohańbienie, nasz bohater może by się nawet ze ściśniętym sercem zdecydował milczeć, ukorzyć się i nie protestować nazbyt uporczywie; ot, posprzeczałby się, poprotestowałby trochę, dowiodłby, że słusność jest po jego stronie, potem by troszeczkę ustąpił, potem, być może, jeszcze by troszeczkę ustąpił, potem zgodziłby się całkowicie, potem, a zwłaszcza wówczas, gdyby przeciwna strona przyznała uroczyście, że to on ma całkowitą słusność, potem może nawet by się pogodził, nawet by się troszeczkę rozrzewnił, nawet - kto wie - może by się odrodziła na nowo przyjaźń, mocna, gorąca przyjaźń, jeszcze bardziej pełna niż przyjaźń wczorajsza, tak że ta przyjaźń całkiem mogłaby wreszcie zaćmić przykrość z powodu dość nieprzyzwoitego podobieństwa dwóch osób, tak że w końcu obaj radcy tytułarni byłiby nader zadowoleni i dożyliby wreszcie do stu lat itd. Powiedzmy wreszcie wszystko: pan Goladkin zaczął nawet nieco żałować, że wystąpił w swojej obronie i w obronie swoich praw i że natychmiast spotkała go za to przykrość. „Gdyby się ukorzył - myślał pan Goladkin - gdyby powiedział, że zażartował - tobym mu wybaczył, więcej nawet, wybaczyłbym mu, gdyby się do tego głośno przyznał, ale nie pozwolę robić z siebie szmaty. Nie takim jak on ludziom nie pozwalałem się spychać, a tym bardziej nie pozwolę, aby usiłował to zrobić człowiek zdeprawowany. Nie jestem szmatą, nie, łaskawco, nie jestem szmatą!” Słowem, nasz bohater powziął postanowienie. „Sam, łaskawco, jesteś pan sobie winien!” Postanowił protestować, i to protestować ze wszystkich sił, aż do końca. Taki to już był z niego człowiek! W żaden sposób nie mógł się zgodzić, żeby go skrzywdzono, a tym bardziej pozwolić na to, aby robiono z niego szmatę, a wreszcie pozwolić na to człowiekowi całkiem zdeprawowanemu. Nie upieramy się zresztą, może, gdyby ktoś chciał, gdyby już komuś na przykład bardzo zależało na tym, aby zrobić z pana Goladkina szmatę, toby zrobił z niego szmatę, zrobiliby bez oporu i bezkarnie (pan Goladkin sam niekiedy to czuł) i byłaby z niego szmata, a nie Goladkin - tak, byłaby podła, brudna szmata, byłaby to nie zwyczajna szmata, ale szmata z ambicją, szmata obdarzona duszą i uczuciami, aczkolwiek z pokorną ambicją i z pokornymi uczuciami, i to głęboko ukrytymi w brudnych fałdach tej szmaty, ale bądź co bądź uczuciami...

861

Godziny wlokły się nieznośnie długo; wreszcie wybiła czwarta. Po chwili wszyscy wstali i za naczelnikiem ruszyli do swoich domów. Pan Goladkin wmieszał się w tłum, był czujny i nie spuszczał z oka kogo trzeba. Wreszcie nasz bohater ujrzał, że jego przyjaciel podbiegł do woźnych kancelaryjnych, którzy podawali płaszcze, i zgodnie ze swym podłym zwyczajem kręcił się koło nich w oczekiwaniu na swój. Chwila była decydująca. Pan Goladkin z trudem przecisnął się przez tłum i, nie chcąc pozostawać w tyle, również kazał sobie podać płaszcz. Ale płaszcz podano najpierw przyjacielowi i koledze pana Goladkina, ponieważ i tutaj zdążył on, jak to miał we

zwyczaju, wkraść się w łaski, przymilić się, naszeptać i nagadać podłości.

Zarzuciwszy na ramiona płaszcz, pan Goladkin-młodszy ironicznie spojrzął na pana Goladkina-starszego, w ten sposób otwarcie i bezczelnie robiąc mu na złość, potem z właściwą mu bezczelnością rozejrzał się dokoła, podreptał po raz ostatni - zapewne aby pozostawić dobre wrażenie - koło urzędników, powiedział słówko jednemu, poszeptał o czymś z drugim, z szacunkiem podlizzał się trzeciemu, skierował uśmiech do czwartego, podał rękę piątemu i wesoło pomknął w dół po schodach. Pan Goladkin-starszy ruszył za nim i ku swemu nieopisanemu zadowoleniu mimo wszystko dogonił go na ostatnim schodku i uchwycił za kołnierz płaszcza. Zdawało się, że pan Goladkin-młodszy nieco się zmieszał i spojrzął dokoła z zaskoczoną miną.

- Jak mam pana rozumieć? - wyszeptał wreszcie słabym głosem do pana Goladkina.

- Szanowny panie, jeżeli jest pan człowiekiem szlachetnym, to mam nadzieję, że przypomni pan sobie o naszych wczorajszych przyjacielskich rozmowach - odezwał się nasz bohater.

- A, tak. No cóż? Czy dobrze się panu spało? Wściekłość na moment odjęła mowę panu Goladkinowi—starszemu.

- Mnie się spało dobrze... Ale pozwoli pan sobie powiedzieć, łaskawy mój panie, że pańska gra jest nader kręta...

- Któż to mówi? Tak mówią moi wrogowie - odparł urywanym głosem ten, który nazwał się panem Goladkinem, i z tymi słowy niespodziewanie uwolnił się ze słabych dłoni

862

prawdziwego pana Goladkina. Uwolniwszy się zaś, zbiegł ze schodów, rozejrzał się dokoła, a ujrawszy dorożkę podbiegł do niej, siadł i w jednej chwili zniknął z oczu panu Goladki-nowi-starszemu. Zrozpaczony i porzucony przez wszystkich radca tytułarny rozejrzał się dokoła, ale drugiej dorożki nie było. Spróbował był biec, ale nogi się pod nim uginały. Z nieszczęśliwą miną, z otwartymi ustami, unieczystwiony, wyzbyty sił, skulił się, oparł o latarnię i tak przez kilka minut stał na środku chodnika. Wydawało się, że dla pana Goladkina wszystko było stracone...

ROZDZIAŁ IX

Wszystko, zdawałoby się, nawet sama natura powstała przeciwko panu Goladkinowi, ale on trzymał się jeszcze na nogach i nie był zwyciężony; czuł, że nie jest zwyciężony. Gotów był do walki. Gdy ocknął się po pierwszym zdumieniu, zatarł ręce z takim uczuciem i z taką energią, że już na sam widok pana Goladkina wiadomo było, iż nie ustąpi. Zresztą niebezpieczeństwo było tuż, tuż, było widome, pan Goladkin zdawał sobie z tego sprawę, ale jak się zabrać do tego niebezpieczeństwa? Oto pytanie. Panu Goladkinowi przemknęło nawet przez myśl, że „może by jednak wszystko to tak zostawić i po prostu się cofnąć? No cóż? No i nic. Będę sobie sam dla siebie, jak gdybym nie był sobą - myślał pan Goladkin - nie będę zwracał na nic uwagi; to nie ja, i tyle; on też jest sam dla siebie i może się cofnie; pokręci się, szelma, pokręci, powierci się i wreszcie się cofnie. Tak jest! Zwycięzę pokorą. I gdzież jest to niebezpieczeństwo? No, cóż to za niebezpieczeństwo? Chciałbym, żeby ktoś mi wskazał, gdzie się kryje w tej sprawie niebezpieczeństwo. Bzdurna sprawa! Zwykła sprawa!...” Tu pan Goladkin zaciął się. Słowa zamary mu w gardle, nawet złażał się za tę myśl; nawet w tej samej chwili przychwycił się na nikiemności, na tchórzostwie; a jednak sprawa bynajmniej nie ruszyła z miejsca. Czuł, że w tej chwili musi się nieodzownie na coś zdecydować, czuł nawet, że wiele dałby, gdyby mu ktoś powiedział, na co właściwie ma się zdecydować. Bo jakże tu zgadnąć? Zresztą nie było nawet czasu na zgadywanie. Na wszelki wypadek, aby

863

nie tracić czasu, wziął dorożkę i popędził do domu. „No cóż? Jakże się teraz czujesz? - pomyślał sam sobie.-Jakże pan teraz się czuje, Jakubie Pietrowiczu?|J6” teraz zrobisz? Cóż teraz zrobisz, podlecę jeden, szelmo ty jedna! Doprowadziłeś się do ostateczności, a teraz płaczesz, a teraz jęczysz!” Tak drażnił się sam z sobą pan Goladkin, podrygując w roztrzęsionej dryndzie. Drażnienie się z sobą i jątzerzenie własnych ran sprawiało w tej chwili panu Goladkinowi jakąś głęboką, niemal zmysłową rozkosz. „No, gdyby tak teraz - myślał - przyszedł jakiś czarodziej albo też gdyby stało się to jakoś w sposób oficjalny i gdyby powiedziano mi: ofiaruj, Goladkin, palec z prawej ręki i będziemy kwita, nie będzie drugiego Goladkina, a ty będziesz szczęśliwy, tylko że nie będziesz miał palca - to oddałbym palec, niechybnie bym oddał, oddałbym bez mrugnięcia. A niech to wszystko diabli wezmą!- zawołał wreszcie zrozpaczony radca tytułarny - no i po co to wszystko? No i trzeba było, żeby stało się to wszystko, właśnie to, o, właśnie to, jak gdyby nie mogło być co innego! A wszystko z początku szło dobrze, wszyscy byli zadowoleni i szczęśliwi, i nie, trzebaż tego było! Zresztą przecież słowami niczego się nie wskóra. Muszę działać.”

Tak więc coś tam niemal postanowiwszy pan Goladkin wszedł do swego mieszkania, ani chwili nie zwłóczęc chwycił fajkę i ssąc ją z całej siły, wypuszczając na prawo i lewo kłęby dymu, zaczął w nadzwyczajnym wzburzeniu biegać tam i z powrotem po pokoju. Tymczasem Pietrek nakrywał do stołu. Wreszcie pan Goladkin postanowił coś ostatecznie, nagle cisnął fajkę, zarzucił na ramiona płaszcz, powiedział, że w domu obiadu jeść nie będzie, i wybiegł z mieszkania. Na schodach dogonił go zdyszany Pietrek trzymając w ręku zapomniany przez pana Goladkina kapelusz. Pan Goladkin wziął kapelusz, przy okazji chciał się nieco usprawiedliwić w oczach Pietrka, aby tamten nie pomyślał sobie czegoś - że niby to do tego już doszło, że aż kapelusza zapomniał, itd. - ale ponieważ Pietrek nawet nie spojrzał i natychmiast poszedł, więc i pan Goladkin też bez dalszych wyjaśnień włożył kapelusz, zbiegi ze schodów i powtarzając, że wszystko jeszcze może obrócić się na lepsze i że rzecz może się jakoś ułożyć, choć czuł, nawiasem mówiąc, dreszcze nawet w piętach, wyszedł na ulicę, wziął dorożkę i popędził do

864

Andrzeja Filipowicza. „A może by tak lepiej jutro? - myślał pan Goladkin chwytając za sznurek dzwonek u drzwi mieszkania Andrzeja Filipowicza - i cóż ja takiego powiem? Cóż ważnego? Nic w tym nie ma ważnego. Sprawa jest przecież licha, naprawdę jest jakaś licha, nędzna, to znaczy prawie że nędzna... Tak to wszystko właśnie się układa, te wszystkie okoliczności...” Naraz pan Goladkin pociągnął za dzwonek, dzwonek zadzwonił, z głębi mieszkania rozległy się czyjeś kroki... Tu pan Goladkin aż zaklął sam na siebie za swój pośpiech i bezczelność. Natychmiast przypomniał mu się zatarg z Andrzejem Filipowiczem i niedawne przykrości, o których pan Goladkin omal że zapomniał przy tych wszystkich historiach. Ale na ucieczkę było już za późno: drzwi się otworzyły. Na szczęście dla pana Goladkina odpowiedziano mu, że Andrzej Filipowicz nie wrócił jeszcze z urzędu i że nie będzie jadł obiadu w domu. „Wiem, gdzie on jada obiady: on jada obiady przy moście Izmańskim” - pomyślał nasz bohater i strasznie się ucieszył. Na zapytanie służącego, jak ma go zameldować, powiedział: dobrze, dobrze, przyjacielu, ja, przyjacielu, później, i z pewnym nawet ożywieniem zbiegł ze schodów. Wyszedłszy na ulicę postanowił odprawić dorożkę i zapłacił dorożkarzowi za kurs. Gdy zaś dorożkarz poprosił o naddatek, że ponoć „czekałem, łaskawy panie, długo, i konika dla szanownego pana nie żałowałem” - to dał rów-

- itez piątkę napiwku, i to nawet bardzo chętnie, a sam poszedł piechotą.

„To prawda, że cała sprawa jest taka - myślał pan Goladkin - że i tak zostawić jej przecież nie można, jednakże, gdy wziąć na rozum, gdy wziąć na zdrowy rozum, to właściwie o co tu się naprawdę kłopotać? No, jednakże nie, wciąż będę to samo powtarzał, o cóż mam się kłopotać, dlaczego mam się męczyć, szarpać, dręczyć, dlaczego mam rozpaczać? Po pierwsze rzecz się stała i już się nie odstanie... no, przecież się nie odstanie! Pomyślmy tylko: zjawia się człowiek - zjawia

się człowiek z dobrymi referencjami, ponoć zdolny urzędnik, dobrych obyczajów, tyle że biedny i że miał różne przykrości - raki tam różne kłopoty - no, ale przecież bieda nie hańbi: a więc mnie to nie obchodzi. No, doprawdy, cóż to za bzdura? No, znalazł się taki człowiek, wykombinował, dzięki samej naturze tak wykombinował, że jest jak dwie krople wody

- 7 Dostojewski, t III 865

podobny do innego człowieka, że jest absolutną kopią innego człowieka: no to już go za to nie przyjmować do departamentu?! Gdy już los, gdy sam los, gdy sama ślepa fortuna tu jest winna - to już go zdeptać na szmatę, to już nie dawać mu nawet pracować w urzędzie... no to jakaż w tym wszystkim będzie sprawiedliwość? A człowiek z niego biedny, zagubiony, wystraszony; aż serce boli, aż z litości chciałoby się go przygarnąć! Tak! Co tu gadać, ładnie by wyglądali nasi zwierzchnicy, gdyby tak myśleli jak ja, narwaniec! Ale też mam łeb! Głupstwa to mi czasem na dziesięciu starczy! Nie, nie! Dobrze zrobili, dzięki im za to, że zaopiekowali się nieszczęśnikiem... No, tak, przypuśćmy na przykład, że jesteśmy bliźniakami, że właśnie tak się urodziliśmy jako bracia bliźnięta i tyle - o proszę! No to co z tego? No i nic z tego! Wszystkich urzędników można pouczyć... a jak wejdzie do naszego wydziału ktoś postronny, to też na pewno nie znajdzie nic nieprzyzwoitego i ubliżającego w takim zbiegu okoliczności. W tym jest nawet coś wzruszającego i od razu przychodzi do głowy taka myśl: że niby Opatrzność stworzyła dwóch takich całkowicie do siebie podobnych, a łaskawa zwierzchność widząc w tym palec Boży, dała schronienie dwóm bliźniakom. Naturalnie - ciągnął pan Goladkin, chwytając oddech i nieco ścisząc głos - naturalnie... naturalnie lepiej by było, jeśliby tego wszystkiego w ogóle nie było, tego powodu do wzruszenia, i gdyby żadnych bliźniaków też nie było... Niechby to wszystko diabli wzięli! I na cóż to było potrzebne? Czyżby to było jakoś szczególnie potrzebne i nie cierpiące zwłoki?! Mój ty Boże! Ale też diabli nawarzyli piwa! W dodatku charakter on ma taki no, zwyczajnie ma takie filuterne - taki z niego podlec, taki wiercipięta, lizus, pieczeniarsz, taki z niego Goladkin! Gotów się jeszcze źle zachować i zhańbić moje nazwisko, łajdak! Uważaj teraz na niego, człowieku, i pilnuj go! Cóż to za skaranie boskie! A zresztą, o co chodzi? No, nie ma co! No, łajdak z niego - no to niech sobie będzie łajdak, a drugi jest za to uczciwy. No to on będzie łajdakiem, a ja będę uczciwy - i wszyscy powiedzą, że ten Goladkin jest łajdak, nie trzeba z niego brać przykładu i proszę nie mylić go z drugim, bo ten drugi jest uczciwy, pełen cnót, łagodny, bez złości, nader godny zaufania w urzędowaniu i wart wyższego stopnia służbowego; no proszę! No dobrze... a jak tego... a jak oni

866

tam tego... pomyśl! Po nim wszystkiego można się przecież spodziewać! Ach, mój Boże!... I zamieni człowieka, zamieni, łajdak jeden - jak szmatę człowieka zamieni i nie pomyśli, że człowiek to nie szmata. Ach, mój Boże! Ależ to nieszczęście!..."

W ten oto sposób rozważając i wyrzekając, biegł pan Go-ladkin nie patrząc, którądy idzie, i prawie nie wiedząc dokąd. Ocknął się na Newskim Prospekcie, i to tylko dlatego, że zderzył się z jakimś przechodniem tak zręcznie i mocno, że tylko posypały się iskry. Pan Goladkin nie podnosząc głowy wymamrotał jakieś usprawiedliwienie i dopiero później, gdy przechodzień zamruczawszy coś niepoehlebnego odszedł już na znaczną odległość, podniósł nos do góry i rozejrzał się, gdzie jest. Rozejrzawszy się i zauważywszy, że stoi właśnie obok tej restauracji, w której odpoczywał przygotowując się do proszonego obiadu u Ołsufia Iwanowicza, bohater nasz poczuł nagle ssanie i kurcze w żołądku, przypomniał sobie, że nie jadł obiadu, na proszony zaś obiad nigdzie się nie zanosilo i wobec tego, nie tracąc drogiego czasu, wbiegł po schodach do restauracji, aby przegryźć coś naprędce i nie zabawić zbyt długo. A chociaż w restauracji ceny były nader słone, to ta mała przeszkoda tym razem nie powstrzymała pana Goladkina; zresztą nie było teraz czasu, aby zatrzymywać się na podobnych głupstwach. W jasno oświetlonym pokoju, przy bufecie, na którym leżało mnóstwo wszelkich różności, które porządnym ludziom służą jako zakąski, stał dość gęsty

tłum klientów. Bufetowy ledwo nadązał nalewać, podawać, przyjmować pieniądze i wydawać resztę. Pan Goladkin poczekał, aż na niego wypadnie kolej, i doczekawszy się skromnie wyciągnął rękę po zawijany pierożek. Odszedł w kąt, odwrócił się plecami do obecnych, zjadł z apetytem, wrócił do bufetowego, postawił na stole spodek i znając cenę, wyjął srebrną dziesięciokopiejkową i położył monetę na kontuarze, łowiąc spojrzenie bufetowego, aby wskazać mu, że „widzisz, monетка leży, jeden pierożek” itd.

- Od pana należy się rubel i dziesięć kopiejek - wycodził przez zęby bufetowy.

Pan Goladkin mocno się zdziwił.

- Pan do mnie mówi?... ja, zdaje się, wziąłem jeden pierożek.

867

- Wziął pan jedenaście - odrzekł z przekonaniem bufetowy.

- Pan... jak mi się zdaje... pan chyba się myli... Ja doprawdy wziąłem jeden pierożek.

- Liczyłem: wziął pan jedenaście. A jak pan wziął, to trzeba płacić: u nas za darmo nic się nie daje.

Pan Goladkin był oszołomiony. „Cóż to, czary jakieś czy co?”-pomyślał. Tymczasem bufetowy czekał na decyzję pana Goladkina; pana Goladkina otoczył tłum; pan Goladkin sięgnął już do kieszeni, żeby wyciągnąć srebrnego rubla, żeby natychmiast się uiścić, żeby uwolnić się od posądzeń. „No cóż, jak jedenaście, to jedenaście - myślał czerwieniąc się jak rak - no cóż w tym tak dziwnego, że ktoś zjadł jedenaście pierożków? No cóż, człowiek był głodny, to i zjadł jedenaście pierożków; no to niech sobie je na zdrowie; no i nie ma się tu czemu dziwić, no i nie ma się tu czego śmiać...” Nagle pana Goladkina jak gdyby coś tknęło, podniósł wzrok i - od razu zrozumiał zagadkę, rozumiał te czary, od razu wszystko się wyjaśniło... W drzwiach do sąsiedniego pokoju, prawie tuż za plecami bufetowego i twarzą do pana Goladkina, w drzwiach, które nawiasem mówiąc bohater nasz do tej chwili uważał za lustro, stał pewien człowiek, stał on, stał sam pan Goladkin - nie stary pan Goladkin, nie bohater naszego opowiadania, lecz drugi pan Goladkin, nowy pan Goladkin. Drugi pan Goladkin był, jak się zdaje, w doskonałym humorze. Uśmiechał się do pierwszego pana Goladkina, kiwał mu głową, mrugał na niego, przebierał nieco nogami i wyglądał w ten sposób, że jak tylko co - to on natychmiast się stuszuje, to on do sąsiedniego pokoju, a tam już jak Bóg da, tylnym wyjściem i tego... i żadne poszukiwania do niczego nie doprowadzą. W rękę trzymał ostatni kawałek dziesiątego pierożka, który też na oczach pana Goladkina wepchnął do ust cmokając z zadowolenia. „Podszył się, szubrawiec! - pomyślał pan Goladkin zapłoniwszy się ze wstydu - nie powstydział się, że robi to publicznie! Czy go widzą? Zdaje się, że nikt go nie dostrzega...” Pan Goladkin rzucił srebrnego rubla tak, jak gdyby sparzył sobie o niego palce, i nie dostrzegając bezczelnego uśmiechu bufetowego, uśmiechu tryumfu i spokojnej wszechwładzy, wydarł się z tłumy i nie oglądając się wybiegł. „Jeszcze dobrze, że mnie do reszty nie skompromitował! -

868

myślał starszy pan Goladkin. - Jeszcze należałoby dziękować temu bandycie i losom, że wszystko się jakoś dobrze ułożyło. Jedyne bufetowy był ordynarny. No cóż, przecież miał swoją rację! Należał mu się rubel dziesięć, więc miał swoją rację. Wszakże bez pieniędzy u nas nic się nikomu nie daje. Mógłby być jednak uprzejmiej szy, łajdak jeden!...”

Wszystko to mówił pan Goladkin schodząc ze schodów na ganek, jednakowoż na ostatnim stopniu stanął jak wryty i nagle tak poczerwieniał, że w przyptywie obrażonej ambicji aż łzy napłynęły mu do oczu. Z pół minuty stał jak wryty, naraz stanowczo tupnął nogą, jednym skokiem zbiegł z ganku na ulicę i na złamanie karku, zadyszany, nie czując zmęczenia, pobiegł do domu, na ulicę Sześciu Sklepów. W domu, nie zdjęwszy nawet wierzchniej odzieży, wbrew przyzwyczajeniu, aby zawsze w mieszkaniu chodzić po domowemu, nie wzięwszy nawet uprzednio fajki, siadł natychmiast” na kanapie, przysunął sobie kałamarz, wziął pióro, wyciągnął arkusz listowego papieru i drżącą z

przejęcia dłonią zabrał się do pisania następującej epistoły:

„Wielce Szanowny Panie

Jakubie Pietrowiczu!

Żadną miarą nie brałbym za pióro, gdybym przez okoliczności i przez Pana samego, łaskawy Panie, nie został do tego zmuszony. Proszę mi wierzyć, że jedynie nieodzowna konieczność zmusiła mnie, abym wdawał się z Panem w podobne wyjaśnienia, i dlatego przede wszystkim proszę traktować to moje posunięcie, nie jako umyślny zamiar obrażenia Pana, łaskawy Panie, ale jako nieodzowny wynik łączących nas obecnie okoliczności.”

„Zdaje się, że dobrze, przyzwolicie, uprzejmie, choć dostatecznie mocno i stanowczo... Zdaje się, że nie ma tu nic takiego, co by go mogło obrazić. W dodatku mam przecież do tego prawo” - pomyślał pan Goladkin, odczytując to, co napisał.

„Niespodziane i dziwne zjawienie się Pańskie, łaskawy Panie, burzliwą nocą, po ordynarnym i nieprzyzwoitym obejściu się ze mną moich wrogów, których nazwiska przemilczam z pogardy dla nich, było zarodkiem wszystkich nieporozumień, istniejących między nami obecnie. Uparte zaś Pańskie, łaskawy Panie, pragnienie, aby postawić na swoim i przemocą wedrzeć się w obręb mojego życia i wszystkich moich

869

w praktycznym życiu stosunków, przekracza nawet granice, których wymaga sama choćby uprzejmość i zwyczajne współżycie. Myślę, że nie ma tu nawet co wspominać o porwaniu przez Pana, łaskawy Panie, moich akt i mego własnego uczciwego imienia w celu pozyskania sobie przychylności zwierzchnictwa - przychylności przez Pana nie zasłużonej. Nie ma tu co wspominać również o Pańskim z góry zamierzonym i obraźliwym uchylaniu się od nieodzownych w tym wypadku wyjaśnień. Wreszcie, aby powiedzieć wszystko, nie wspominam tu również o ostatnim postępku, dziwnym, można powiedzieć, Pańskim postępku ze mną w lokalu kawiarni. Daleki jestem od tego, aby trapić się obojętną dla mnie stratą rubla srebrem, ale nie mogę się powstrzymać, aby nie wyrazić całego swego oburzenia, gdy wspomnę o Pańskim jawnym, łaskawy Panie, zamachu na mój honor, i to w dodatku w obecności kilku osób, aczkolwiek mi nie znanych, ale bądź co bądź nader dobrego tonu...”

„Czy nie za daleko zajeżdżam? - pomyślał pan Goladkin. - czy to nie będzie za dużo; czy to nie nazbyt już obraźliwe, na przykład ta aluzja do dobrego tonu?... No, nie szkodzi! Trzeba mu pokazać, że jestem stanowczy. Zresztą można mu dla złagodzenia troszkę przypochlebić i przymilić się pod koniec. Ano, zobaczymy.”

„Lecz nie usiłowałbym, łaskawy Panie, utrudzać Pana moim listem, gdybym nie był mocno przekonany o tym, że szlachetność uczuć i otwarty, szczerzy charakter Pański wskażą Panu samemu sposoby, aby naprawić wszystkie uchybienia i przywrócić wszystko, jak było.

W głębi serca ośmielałem się pozostawać w przekonaniu, że listu mego nie potraktuje Pan jako obrazy, a jednocześnie, że nie odmówi Pan wyjaśnień, w tym wypadku na piśmie, za pośrednictwem mojego służącego.

W oczekiwaniu mam honor pozostawać, Wielce Szanowny Panie, Pańskim pokornym sługą

J. Goladkin.”

- No i dobrze. Sprawa załatwiona, doszło nawet do pisemnych wyjaśnień. Ale któż temu winien? On sam winien: sam doprowadza do tego, że muszę żądać dokumentów na piśmie. A ja mam prawo...

870

Odczytawszy po raz ostatni list, pan Goladkin złożył go, zapieczętował i wezwał Pietrka. Pietrek

zjawił się, swoim zwyczajem z zaspanymi oczami i bardzo na coś zły.

- Weźmiesz, proszę cię, bracie, ten list... rozumiesz? Pietrek milczał.

- Weźmiesz go i zanieśiesz do departamentu, tam poszukasz dyżurnego, sekretarza gubernialnego Wachramiejewa. Wachramiejew ma dzisiaj dyżur. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Rozumiem! Nie możesz powiedzieć: rozumiem, wielmożny panie? Zapytasz o urzędnika Wachramiejewa i powiesz mu, że niby tak i tak, że niby pan kazał się kłaniać i prosi najuprzejmiej, aby zechciał pan sprawdzić w książce adresowej naszego urzędu, gdzie mieszka radca tytularny Goladkin.

Pietrek milczał i, jak wydało się panu Goladkinowi, uśmiechnął się.

- No więc zapytasz go, Piotrze, o adres i dowiesz się, gdzie mieszka nowo przyjęty urzędnik Goladkin.

- Słucham pana.

- Zapytasz o adres i odniesiesz pod ten adres list; rozumiesz ?

- Rozumiem.

- Jeżeli tam... tam, gdzie odniesiesz list - pan, któremu oddasz ten list, no, Goladkin... Czemu się śmiejesz, bałwanie?

- A co się mam śmiać? Co mi zaś! Ja nic takiego. Mnie nie do śmiechu...

- No więc tak... jeżeli ten pan będzie pytał, jak tam twój pan, jakże tam, że niby on tego... no, tam, będzie o coś wypytywał - to ty milcz i odpowiadaj, że pan mój owszem i że prosi o pańską własnoręczną odpowiedź. Rozumiesz?

- Rozumiem, wielmożny panie.

- No więc powiesz, że niby pan mój, tak powiesz, niczego sobie, zdrów i wybiera się teraz w gości, a pana prosi o pisemną odpowiedź. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- No to ruszaj.

„Ależ kłopot z tym bałwanem! podśmiewa się i tyle. Z czegoż on się śmieje? Dożyłem nieszczęścia, dożyłem w ten sposób nieszczęścia! Zresztą może wszystko obróci się jeszcze

871

ku lepszemu... Ten szubrawiec pewnie ze dwie godziny będzie się włóczył, jeszcze gdzieś się zawieruszy. Nie można go nigdzie posłać. Ach, co za dopust boży!... Ach, cóż to za dopust boży!...”

Do głębi odczuwając w ten sposób swoje nieszczęście, bohater nasz zdecydował się przez dwie godziny biernie czekać na powrót Pietrka. Chyba z godzinę chodził po pokoju, palił, potem cisnął fajkę i zasiadł do jakiejś książki, potem położył się na kanapie, potem znów chwycił fajkę, potem znów zaczął biegać po pokoju. Chciał się zastanowić, ale zastanawiać się nad niczym absolutnie nie mógł. Wreszcie agonია jego bierności doszła do ostatnich granic i pan Goladkin postanowił coś przedsięwziąć. „Pietrek przyjdzie dopiero za godzinę - myślał- klucz można oddać stróżowi, a ja tymczasem, tego... wybadam sprawę, sam wybadam sprawę.” Nie tracąc ani chwili i spiesząc się, aby wybadać sprawę, pan Goladkin wziął kapelusz, wyszedł z pokoju, zamknął mieszkanie, wstąpił do stróża, wręczył mu klucz wraz z dziesiątką - pan Goladkin stał się jakoś niezwykle hojny - i ruszył tam, gdzie należało. Pan Goladkin poszedł pieszo najpierw do mostu Izmailow-skiego. Na drogę stracił z pół godziny. Dotarłszy do celu swej wędrówki wszedł wprost w podwórze znanego sobie domu i spojrzął na okna mieszkania radcy stanu Bierieniejewa. Z wyjątkiem trzech okien

zawieszonych czerwonymi kotarami resztą była ciemna. „U Ołusfia Iwanowicza dziś chyba nie ma gości - myślał pan Goladkin - pewno siedzą teraz sami w domu.” Nasz bohater powstał przez pewien czas na podwórzu, chciał się na coś zdecydować. Ale decyzji tej nie sądzone było zapewne, by się spełniła. Pan Goladkin rozmyślił się, machnął ręką i wrócił na ulicę. „Nie, nie tutaj powinienem być iść. Cóż tu będę robił?... Ano, raczej teraz tego... i osobiście wybadam sprawę.” Powziąwszy taką decyzję pan Goladkin ruszył do swego departamentu. Droga była niebliska, w dodatku było straszne błoto, a mokry śnieg walił gęstymi płatami. Ale dla naszego bohatera w tej chwili nie istniały, jak się zdaje, trudności. Zmókł, owszem, zmókł, to prawda, zabłocił się też niezgorzej, „ale to już tak jedno przy drugim, za to cel został osiągnięty”. I rzeczywiście, pan Goladkin zbliżał się już do swego celu. Ciemny masyw ogromnego rządowego budynku czerniał już przed nim w dali.

„Stój! - pomyślał - dokądże ja idę i co tam będę robił? Przypuśćmy, że dowiem się, gdzie on mieszka, a tymczasem Pietrek już pewno wrócił i przyniósł mi odpowiedź. Tracę tylko na próżno drogi czas. No nic, można to jeszcze wszystko naprawić. A może by jednak naprawdę wstąpić do Wachramie-jewa? No, nie! Już potem... Ech! W ogóle nie trzeba było wychodzić. Ale nie, taki już mam charakter! Tak już się wyewiczyłem, że czy trzeba, czy nie, wiecznie usiłuję jakoś zabiec naprzód... Hm... któraż to teraz godzina? Już pewno dziewiąta. Pietrek może przyjść i nie zastanie mnie w domu. Zrobiłem wielkie głupstwo, że wyszedłem... Ech, też doprawdy kłopot!”

Szczerze przyznawszy się w ten sposób, że zrobił wielkie głupstwo, nasz bohater pobiegł z powrotem do domu, na ulicę Sześciu Sklepów. Dobiegł zmęczony, znużony. Już od stróża dowiedział się, że Pietrek nawet nie myślał o powrocie. „No tak! to było do przewidzenia - mówił sobie nasz bohater - a przecież to już dziewiąta. Ależ z niego niegodziwiec! Wiecznie gdzieś tam pije! Mój Boże, ależ to wypadł dzień na moją nieszczęsną dolę!” Rozmyślając i wyrzekając w ten sposób pan Goladkin otworzył drzwi od swego mieszkania, zapalił światło, rozebrał się, wypalił fajkę i znużony, zdrożony, rozbity, głodny, w oczekiwaniu na Pietrka położył się na kanapie. Świeca paliła się mętnie, światło drgało na ścianach... Pan Goladkin patrzył, patrzył, myślał, myślał, aż wreszcie zasnął jak zabity. Zbudził się już późno, świeca całkiem już się prawie dopaliła, dymiała się i lada chwila gotowa była zupełnie zgasnąć. Pan Goladkin zerwał się na równe nogi, ocknął się i przypomniał sobie wszystko. Zza przepierzenia rozlegało się ciężkie chrapanie. Pan Goladkin podbiegł do okna - nigdzie ani światełka. Otworzył lufcik - cicho, miasto jak gdyby wymarło, śpi, więc to już chyba druga albo tn.ecia; tak jest: zegar za przepierzeniem natężył się i wybił drugą. Pan Goladkin wybiegł za przepierzenie.

Z trudem, po długich wysiłkach, rozbudził Pietrka i zdołał posadzić go na łóżku. W tej chwili świeca zgasła do reszty. Minęło chyba z dziesięć minut, zanim pan Goladkin znalazł drugą i zapalił ją. Przez ten czas Pietrek zdążył zasnąć na nowo. „Łajdaku jeden, niegodziwcze jeden!-mówił pan Goladkin, znowu go budząc - wstaniesz ty wreszcie, obudzisz się wreszcie?” Po półgodzinnych wysiłkach pan Golad-

873

kin zdołał jednakże rozruszać całkowicie swego służącego i wyciągnąć go z przepierzenia. Dopiero wtedy nasz bohater ujrzał, że Pietrek był, jak to się mówi, pijany jak bela i ledwo trzymał się na nogach.

- Nicponiu jeden! - zawołał pan Goladkin. - Bandyto jeden! Do rozpaczy mnie doprowadzasz! Boże, gdzież on zapodział ten list? Ach, Panie na wysokościach, no jakże tak... I po co ja go napisałem? I potrzebne mi to było, to całe pisanie! Rozpędziłem się, dureń, ambicja mnie poniosła! Gdzież mnie ta ambicja zaprowadziła! Masz teraz ambicję, łajdaku jeden, masz teraz ambicję!... No, ty! Gdzieżeś ty list zapodział, bandyto jeden? Komuś go oddał?...

- Nikomu nie oddawałem żadnego listu, nie miałem żadnego listu... i tyle!
Pan Goladkin załamywał ręce z rozpaczy.

- Słuchaj, Piotrze... posłuchaj, posłuchaj mnie...
- Słucham...
- Dokąd chodziłeś? odpowiadaj...
- Dokąd chodziłem... do dobrych ludzi chodziłem! co mi tam!
- Ach, mój Boże! Dokąd poszedłeś najpierw? Byłeś w departamencie?... Posłuchaj, Piotrze, może ty jesteś pijany?
- Ja pijany? A niech ja się z tego miejsca nie ruszę, ani krztyнки, ani krztyneczki...
- Nie, nie, to nie szkodzi, że jesteś pijany... tak tylko zapytałem; to dobrze, że jesteś pijany; ja nie takiego, Piotrusiu, ja nie takiego... Tyś może tak tylko zapomniał, ale wszystko pamiętasz. Przypomnij sobie, czy byłeś u urzędnika Wachramiejewa - byłeś czy nie?
- I nie byłem, i urzędnika takiego nie ma. A niech ja zaraz...
- Nie, nie, Piotrze! Nie, Piotrusiu, przecież ja ci nic nie mówię. Przecież ty widzisz, że nic ci nie mówię... No, cóż tam znowu! No, na dworze zimno, pada, no, łyknął sobie człowiek ździebko, no i nic takiego... Ja się nie gniewam. Ja sam, braciszku, łyknąłem sobie dzisiaj... Przyznaj się, przypomnij sobie, bracie: byłeś u urzędnika Wachramiejewa?
- No, jak już na to poszło, to słowo daję - tak, byłem, tak, a niech ja zaraz...
- No dobrze, Piotrusiu, dobrze, że byłeś. Widzisz, że się nie gniewam... No, no - ciągnął nasz bohater, jeszcze bar-

874

- dziej starając się udobruchać swego służącego, klepiąc go po ramieniu i uśmiechając się do niego - no, łyknąłeś odrobinę, łądaku, za dziesiątkę łyknąłeś, co? Ty szachraju jeden! No, nic nie szkodzi, no, widzisz, że się nie gniewam... nie gniewam się, braciszku, nie gniewam się...
- Nie, nie jestem szachrajem, jak pan sobie chce... wstąpiłem tylko do dobrych ludzi, a nie jestem szachrajem i nigdy szachrajem nie byłem...
 - Ależ nie, nie, Piotrusiu! Posłuchaj, Piotrze: przecież ja tak sobie, przecież ja ci nie wymyślam, jeżeli nazywam cię szachrajem. Przecież mówię ci to na pociechę, mówię ci w szlachetnej intencji. Przecież to, Piotrusiu, czasem schlebia człowiekowi, gdy mu powiedzieć, że z niego taki krętacz, kuty na cztery nogi, cwaniak i że nikomu nie da się nabrać. To ludzie lubią... No, no, daj spokój! no, powiedzże mi teraz, Piotrusiu, nic już nie tając, szczerze jak przyjacielowi... no, byłeś u urzędnika Wachramiejewa i dał ci adres?
 - Dał adres, a jakże, dał mi adres. To dobry człowiek! I z twego pana, powiada, dobry człowiek, bardzo dobry człowiek, powiada; powiedz mu, powiada - kłaniaj się, powiada, swojemu panu, podziękuj i powiedz, że lubię - o, jak szanuję twój pan! za to, powiada, że pan twój, powiada, Piotrusiu, dobrym jest człowiekiem, i ty, powiada, też jesteś dobry człowiek, Piotrusiu - o...
 - Ach, mój ty Boże! A co z adresem, co z adresem, judaszu jeden? - te ostatnie słowa pan Goladkin wymówił prawie szeptem.
 - I adres... i adres też mi dał.
 - Dał? No, gdzież mieszka ten Goladkin, urzędnik Goladkin, radca tytularny?
 - A Goladkin, powiada, mieszka przy uicy Sześciu Sklepów. Jak pójdziesz, powiada, na ulicę Sześciu Sklepów, to na prawo w sieni, trzecie piętro. O, tu właśnie, powiada, znajdziesz Goladkina...
 - Szubrawcze jeden - zawołał wyprowadzony wreszcie z cierpliwości nasz bohater. - Bandyto jeden! Przecież to ja, przecież to o mnie mówisz. A tamto to drugi Goladkin; ja mówię o drugim,

szubrawcze jeden!

- No, jak pan uważa! co mi tam! A pan jak uważa - o!...

- A co z listem, co z listem?...

875

- Z jakim listem? Nie było nijakiego listu i nie widziałem nijakiego listu.

- Gdzieżeś ty go podział, szelmo jedna?!

- Oddałem go, oddałem ten list. Kłaniaj się, powiada, i podziękuj; dobrego masz, powiada, pana. Kłaniaj się, powiada, swojemu panu...

- Ale któż to powiedział? Czy to Goladkin powiedział? Pietrek milczał przez chwilę i roześmiał się całą gębą, patrząc prosto w oczy swemu panu.

- Słuchaj, bandyto jeden! - zaczął pan Goladkin, łapiąc oddech i tracąc głowę z wściekłości - coś ty narobił! Mówże, coś ty narobił! Zniszczyłeś mnie, łotrze jeden! Zgubiłeś mnie z kretesem, judaszu jeden!

- No, teraz to jak pan uważa! co mi tam! - rzekł stanowczym tonem Pietrek cofając się za przepierzenie.

- Chodź tu, chodź tu, bandyto jeden!...

- A nie pójdę do pana teraz, wcale nie pójdę. Co mi tam! Do dobrych ludzi pójdę... a dobrzy ludzie żyją uczciwie, dobrzy ludzie żyją bez fałszu i po dwóch ich nigdy nie bywa...

Panu Goladkinowi zlodowaciały ręce i nogi i zabrakło tchu...

- Tak jest - ciągnął Pietrek - po dwóch ich nigdy nie bywa, nie obrażają Boga i uczciwych ludzi...

- Ty nicponiu, pijany jesteś! Wyśpij się teraz, bandyto jeden! A jutro już ja się z tobą rozprawię - rzekł pan Goladkin ledwo dosłyszalnym głosem. Jeśli chodzi zaś o Pietrka, to jeszcze coś tam wymamrotał, potem słyhać było, jak legł na łóżko, aż całe zatrzeszczało, przeciągnął się głośno poziewa-jąc, a wreszcie zachrapał, jak to się mówi, śpiąc snem sprawiedliwego. Pan Goladkin był na wpół żywy. Zachowanie się Pietrka, jego bardzo dziwne, choć odległe aluzje, na które, właściwie mówiąc, nie było co się gniewać, tym bardziej że mówił je człowiek pijany, a wreszcie zły obrót, jaki przyjmowała sprawa - wszystko to do głębi poruszyło pana Goladkina. „Że też mnie skusiło besztąć go w środku nocy - mówił nasz bohater dygocąc na całym ciele, przeniknięty jakimś bolesnym uczuciem. - Że też diabli mi nadali zaczynać z pijanym! Czegóż można się spodziewać po pijanym! Co słowo to bzdura. O czym on zresztą napomykał, bandyta jeden? Boże łaskawy! I po cóż pisałem te listy, morderca, i to ja sam, samobójca jeden! Czy to nie można przemilczeć?”

876

Czy to trzeba było tak się wygadać? Zdawałoby się! Człowiek ginie, upodabnia się do szmaty, to nie, to jeszcze wyłazi z ambicją, że to niby ucierpiał na honorze, że to niby musi swój honor ratować! Samobójca jestem!”

Tak mówił pan Goladkin siedząc na kanapie i ze strachu nie ośmielając się poruszyć. Wtem wzrok jego zatrzymał się na pewnym przedmiocie, który w najwyższym stopniu poruszył jego uwagę. W lęku, czy aby ten przedmiot, który zwrócił jego uwagę, to nie złudzenie, nie gra wyobraźni, wyciągnął do niego rękę z nadzieją, że strachem, z niezmierną ciekawością... Nie, to nie złudzenie! Nie gra wyobraźni! List, doprawdy list, niewątpliwie list, i to adresowany do niego... Pan Goladkin wziął list ze stołu. Serce mu strasznie biło. „To pewno przyniósł ten łajdak - pomyślał - i położył tutaj, a potem zapomniał; pewno tak było, to pewno tak właśnie było...” List był od urzędnika

Wachramiejewa, młodego biurowego kolegi i niegdyś przyjaciela pana Goladkina. „Przeczuwałem to zresztą z góry - pomyślał nasz bohater - i wszystko to, co będzie teraz w liście, też przeczuwałem...” List był następującej treści:

„Wielce łaskawy Panie,
Jakubie Pietrowiczu!

Służący Pański jest pijany i trudno doczekać się od niego czegoś dorzecznego, z tego też powodu wolę odpowiedzieć Panu listownie. Spieszę Panu oznajmić, że polecenie, którym mnie Pan obarczył, polegające na przekazaniu wiadomej Panu osobie za moim pośrednictwem listu, zgadzam się wykonać z całą skrupulatnością i dokładnością. Mieszka zaś owa osoba, znana Panu dobrze, a teraz zastępująca mi przyjaciela, nazwisko jej przy tym przemilczam (bowiem nie chcę na próżno oczerniać reputacji człowieka całkowicie niewinnego), wraz ze mną w mieszkaniu Karoliny Iwanowny, w tym samym pokoju, gdzie poprzednio, jeszcze za czasów Pańskiej bytności u nas, kwaterował przybyły z Tambowa oficer piechoty. Zresztą osobę ową może Pan spotkać wszędzie pomiędzy uczciwymi i szczerymi sercem ludźmi, czego o innych powiedzieć nie można. Moje z Panem stosunki zamierzam z dniem dzisiejszym przerwać; wszakże przyjacielskiego tonu i poprzedniego pozoru zgodnego koleżeństwa naszego zachowywać nie możemy i dlatego proszę Pana, łaskawy mój Panie, natychmiast

877

po otrzymaniu tego mojego szczerego listu przysłać mi należne dwa ruble za zagraniczne brzytwy, które Panu sprzedałem, jeśli Pan raczy pamiętać, siedem miesięcy temu na kredyt, jeszcze w czasie zamieszkiwania Pańskiego ze mną u Karoliny Iwanowny, którą szanuję z całej duszy. Postępuję zaś w ten sposób dlatego, że Pan, jak mówią mądrzy ludzie, stracił ambicję i reputację i stał się niebezpieczny dla moralności niewinnych i nie zarażonych ludzi, bowiem poniektóre osoby nie tyją prawdą, a ponadto słowa ich są fałszem, a ich przyzwoity wygląd jest podejrzany. Ażeby zaś upomnieć się o krzywdę Karoliny Iwanowny, która zawsze zachowywała się moralnie, a po drugie była uczciwą kobietą i w dodatku panną, chociaż nie w kwiecie wieku, ale za to z dobrej cudzoziemskiej rodziny - znajdzie się zawsze i wszędzie dość ludzi do tego zdolnych, o czym niektóre osoby prosiły mnie wspomnieć w niniejszym moim liście mimochodem i mówiąc w swoim imieniu. W każdym razie o wszystkim tym dowie się Pan w swoim czasie, jeśli się Pan teraz już nie dowiedział, pomimo że, jak powiadają mądrzy ludzie, osławił się Pan po wszystkich zakątkach stolicy, a zatem już w wielu miejscach mógł Pan, łaskawy Panie, otrzymać właściwe o sobie informacje. Na zakończenie mojego listu oświadczam Panu, wielce łaskawy mój Panie, że wiadoma Panu osoba, której nazwiska nie wspominani tu z wiadomych szlachetnych powodów, nader jest przez ludzi dobrze myślących szanowana; ponadto charakter posiada wesoły i miły, osiąga sukcesy w urzędowaniu, a także w towarzystwie wszystkich zdrowo myślących ludzi, wierna jest swojemu słowu i przyjaźni i nie obraża zaocznie tych, z którymi w oczy znajduje się w stosunkach przyjacielskich. Mam zaszczyt pozostawać zawsze powolnym Pańskim sługą N. Wachramiejew.

P.S. Niech Pan wypędzi Pańskiego służącego: to pijak i zapewne sprawia Panu wiele kłopotów, i niech Pan weźmie Eustachego, który służył przedtem u nas i jest w tej chwili bez miejsca. Obecny zaś Pański służący to nie tylko pijak, ale ponadto złodziej, bowiem jeszcze w zeszłym tygodniu sprzedał funt cukru w postaci kawałków Karolinie Iwanownie za niższą cenę, czego moim zdaniem nie mógł zrobić nie okradając Pana w sposób nader chytry, po trochu i w różnych cza-

878

sach. Piszę zaś to Panu, bowiem życzę Panu dobrze, pomimo że niektóre osoby umieją tylko obrażać i oszukiwać wszystkich, zwłaszcza zaś ludzi uczciwych i obdarzonych dobrym charakterem; ponadto zaocznie znieważają ich i przedstawiają ich w sensie przeciwnym, i to jedynie z zazdrości i dlatego, że sami siebie takimi nie mogą nazwać.

W.”

Przeczytawszy list Wachramiejewa nasz bohater długo jeszcze trwał nieruchomo na swojej kanapie. Jakieś nowe światło przedzierało się przez niejasną i zagadkową mgłę, która go już od dwóch dni otaczała. Nasz bohater zaczął coś niecoś rozumieć... Spróbował był wstać z kanapy, przejść raz i drugi po pokoju, aby się odświeżyć, jako tako skupić rozpierzchłe myśli, skierować je na wiadomy przedmiot, a potem, nieco ochłonawszy, w sposób dojrzały zastanowić się nad swoją sytuacją. Ale ledwo chciał wstać, gdy natychmiast, słaby i bezsilny, znów opadł na dawne miejsce. „Ano wiadomo, wszystko to ja już z góry przeczuwałem; ale jakże to on pisze, jaki jest właściwy sens tych słów? Sens, powiedzmy, znam, ale dokąd to prowadzi? Gdyby powiedział otwarcie: jest tak i tak, żądają tego i tego, tobym to spełnił. Turniura, obrót, który sprawa przybiera, wygląda całkiem nieprzyjemnie! Ach, gdyby to jak najszybciej doczekać jutrzejszego dnia i jak najszybciej dotrzeć do sedna całej sprawy! Teraz przecież już wiem, co mam robić. Ano, tak i tak, powiem, że na argumenty się zgadzam, honoru swego nie sprzedam, a tego... i owszem; zresztą owa wiadoma osoba, owa niemiła postać - zaplątała się tu jakimś cudem i właściwie po co się tu zaplątała? Ach, żeby już jak najszybciej doczekać do jutra! Oślawią mnie przez ten czas, intrygują, robią wszystko przeciw mnie! Najważniejsze - to nie tracić czasu, a na przykład teraz napisać chociażby list i tylko zaznaczyć, że tak i tak, i że na to a na to wyrażam zgodę. A jutro ledwo świt wysłać i samemu jak najszybciej tego... zająć im w kontrę z drugiej strony i uprzedzić ich, tych kochaneczków... Oślawią mnie i tyle!”

Pan Goladkin przysunął sobie arkusz papieru, wziął pióro i napisał w odpowiedzi na list sekretarza gubernialnego Wachramiejewa następującą epistołę:

„Wielce łaskawy Panie,
Nestorze Ignatiewiczu!

879

Z sercem pełnym żalu i zdziwienia przeczytałem uwłaczający mi list Pański, albowiem widzę wyraźnie, że mówiąc o niektórych nieprzyzwoitych osobach i niektórych fałszywie uczciwych ludziach, mnie miał Pan na myśli. Z prawdziwym żalem widzę, jak szybko, łatwo i jak głębokie korzenie zapuściło oszczerstwo, naruszające mój spokój, mój honor i dobre moje imię. Jest to tym bardziej godne ubolewania i krzywdzące, że nawet uczciwi ludzie o prawdziwie szlachetnym sposobie myślenia, a najważniejsze, obdarzeni bezpośrednim i otwartym charakterem, odstępują od spraw ludzi szlachetnych i najlepszymi cechami swojego serca przywiązują się do szkodliwego robactwa - na nieszczęście w naszych ciężkich i niemoralnych czasach mocno a nader nieprzyzwoicie rozplenionego. Na zakończenie oświadczam, że wymienioną przez Pana należność, dwa ruble srebrem, będę uważał za święty obowiązek zwrócić panu w całości.

Co się zaś tyczy Pańskich, łaskawy Panie, napomknień o wiadomej osobie płci żeńskiej, o zamiarach, kalkulacjach i różnych zamysłach tej osoby, to powiem Panu, łaskawy Panie, że niezbyt dobrze i niedokładnie zrozumiałem te aluzje. Niechże mi Pan pozwoli, łaskawy Panie, zachować nie zbruka-ne zarówno mój szlachetny sposób myślenia, jak i moje uczciwe imię. Tak czy inaczej gotów jestem zdecydować się na osobiste wyjaśnienia, przedkładał bowiem osobiste wyjaśnienia ponad pisemne jako pewniejsze, a ponadto gotów jestem wejść w różne zgodne, oczywiście obustronnie, porozumienia. Na tę ewentualność proszę Pana, łaskawy Panie, przekazać wyżej wzmiankowanej osobie moją gotowość osobistego porozumienia, a ponadto prosić ją o wyznaczenie miejsca i czasu spotkania. Z goryczą czytałem, łaskawy Panie, Pańskie przypuszczenia, jakoby Pana obraził, zdradził naszą dotychczasową przyjaźń i źle się o Panu odzywał. Wszystko to przypisuję nieporozumieniu, podłemu oszczerstwu, zawiści i niezyczliwości tych, których zaiste mogę nazwać swoimi najbardziej zaciętymi wrogami. Ale zapewne nie wiedzą oni, że niewinność mocna jest już poprzez swą niewinność, że bezwstyd, bezczelność i oburzająca

familiarność niektórych osób wcześniej lub później zasłużą sobie na ogólne piętno pogardy i że osoby te zginą nie inaczej jak od własnej niemoralności i rozwiązłości duszy. Na zakończenie proszę Pana, łaskawy Panie, przekazać

880

tym osobom, że dziwna ich pretensja i nieszlachetne, fantastyczne pragnienie wypychania innych poza granice, zajmowane przez innych na tym świecie, i zajęcia ich miejsca zasługują na zdumienie, pogardę, żal, a ponadto na dom wariatów; że ponadto takie ustosunkowanie surowo zabronione jest przez prawo, co moim zdaniem jest całkowicie słuszne, każdy bowiem winien być zadowolony z własnego miejsca. Wszystko ma swoje granice i jeśli to jest żart, to nieprzyzwoity, powiem więcej - absolutnie niemoralny, albowiem śmiem Pana zapewnić, łaskawy Panie, że wyżej wymienione moje stanowisko co do własnych miejsc jest wyjątkowo moralne.

Mam zaszczyt pozostawać zawsze powolnym Pańskim sługą J. Goladkin.”

ROZDZIAŁ X

W ogóle można powiedzieć, że wydarzenia wczorajszego dnia do głębi wstrząsnęły panem Goladkinem. Bohater nasz spał bardzo źle, to znaczy w żaden sposób nie mógł nawet na pięć minut zasnąć: tak, jakby jakiś psotnik nasypał mu do łóżka pociętej na kawałeczki szczeciny. Całą noc spędził w jakimś pół śnie, pół jawie, przewracając się z boku na bok, jęcząc, stękając, na chwilę zasypiając, po chwili znów się budząc, a wszystkiemu temu towarzyszył jakiś dziwny smutek, niejasne wspomnienia, potworne zwidzenia - słowem wszystko, co tylko się może trafić nieprzyjemnego... To zjawiała mu się w jakimś dziwnym, zagadkowym półświecie postać Andrzeja Filipowicza - sucha postać, zła postać, o ostrym, szorstkim spojrzeniu, z oschle uprzejmymi wymówkami... I jak tylko pan Goladkin zaczynał zbliżać się do Andrzeja Filipowicza, aby w jakiś sposób, tak czy inaczej, usprawiedliwić się przed nim i dowieść mu, że nie jest bynajmniej taki, jak go odmalowali jego wrogowie, że jest właśnie taki i taki, i że posiada poza swymi zwykłymi, wrodzonymi cechami właśnie te i te, gdy natychmiast zjawiała się znana ze swego nieprzyzwoitego nastawienia osobistość i w jakiś niezmiernie oburzający sposób od razu burzyła wszystkie zamiary pana Goladkina, od razu, prawie na oczach pana Goladkina, oczerniała

881

dokładnie jego reputację, wdeptywała w błoto jego ambicję, a potem natychmiast zajmowała jego miejsce w urzędzie i wśród ludzi. To znów pana Goladkina swędziła głowa od jakiegoś prztyczka, który niedawno otrzymał i przyjął pokornie, otrzymał albo w stosunkach towarzyskich, albo też tak jakoś z obowiązku, od prztyczka, przeciw któremu trudno było protestować... I gdy pan Goladkin zaczynał łamać sobie głowę nad tym, dlaczego właśnie trudno jest protestować chociażby przeciw takiemu prztyczkowi - owa myśl, owa myśl o prztyczku niepostrzeżenie przelewała się w jakąś inną formę - w formę jakiejś znanej, małej albo też dość znacznej podłości, którą widział, o której słyszał albo której sam niedawno się dopuścił - i to często się dopuszczał nawet nie z podłej przyczyny, nawet nie z jakichś podłych pobudek, lecz tak sobie - czasami na przykład niechcący - z delikatności; innym razem z powodu całkowitej swojej bezbronności, no i wreszcie dlatego... dlatego... słowem pan Goladkin wiedział już dobrze dlaczego! Tu pan Goladkin rumienił się przez sen i przewyciężając rumieniec mamrotał sam do siebie, że tu na przykład można byłoby wykazać stanowczość charakteru, można byłoby w tym wypadku wykazać znaczną stanowczość charakteru... a potem dochodził do wniosku, że „co niby z-tej stanowczości charakteru!... po co o niej teraz wspominać...” Ale najbardziej wściekało i denerwowało pana Goladkina, że jak tylko, i to niezawodnie w takiej chwili, wzywano go czy nie wzywano, zjawiało się znane z obrzydliwości i ohydy swojego nastawienia indywiduum i również, nie bacząc na to, że zdawałoby się, sprawa była jasna - też tak samo z nieprzyzwoitym uśmiechem mamrotało, że „co niby z tej stanowczości

charakteru! O jakiej tu mam z tobą mówić, Jakubie Pietrowiczu, stanowczości charakteru!...” To znów zwidywało się panu Goladki-nowi, że znajduje się w pewnym świetnym towarzystwie, znanym z dowcipu i wytwornego tonu wszystkich osób, z których się składało; że z kolei pan Goladkin wyróżniał się uprzejmością i dowcipem, że wszyscy go polubili, nawet polubili go niektórzy spośród jego tu obecnych wrogów, że panu Goladki-nowi było bardzo przyjemnie, że wszyscy oddali mu pierwszeństwo i że wreszcie sam pan Goladkin z przyjemnością podsłuchał, jak pan domu odprowadzając na bok poniekórych gości chwalił pana Goladkina... I nagle ni z tego, ni z owego zjawiało

się znane ze swej nieprzyzwoitości i z bestialskich instynktów indywiduum w postaci pana Goladkina-młodszeo i natychmiast, od razu, w jednej chwili, samym swoim zjawieniem się Goladkin-młodszy burzył cały tryumf i całą chwałę pana Goladkina-starszeo, zaćmiwał swoją osobą Goladkina-starszeo, wdeptywał w błoto Goladkina-starszeo i wreszcie wyraźnie dowodził, że Goladkin-starszy, a jednocześnie prawdziwy - bynajmniej nie jest prawdziwy, lecz podrabiany, a że prawdziwy jest on, że wreszcie Goladkin-starszy bynajmniej nie jest tym, za jakiego uchodzi, lecz takim i owakim i wobec tego nie powinien i nie ma prawa przebywać w towarzystwie ludzi przyzwoitych i dobrego tonu. A wszystko to odbyło się tak szybko, że pan Goladkin-starszy nie zdążył nawet otworzyć ust, gdy wszyscy duszą i ciałem zaprzędali się wstrętnemu i fałszywemu panu Goladkinowi i z głęboką pogardą odepchnęli jego, prawdziwego i niewinnego pana Goladkina. Nie pozostało dosłownie ani jednej osoby, której opinii wstrętny pan Goladkin nie przekabaciłby na swoje kopyto. Nie pozostało ani jednej osoby, nawet najbardziej nieznaczej z całego towarzystwa, której by szkodliwy i fałszywy pan Goladkin nie podlizal się po swojemu, w sposób nader słodziutki, której by na swój sposób nie judził, której by swoim zwyczajem nie kadził czymś bardzo miłym i słodkim, tak że okadzana osoba wachała tylko i kichała aż do łez w dowód najwyższego zadowolenia. A najważniejsze, że wszystko odbywało się błyskawicznie: szybkość posunięć podejrzanego i szkodliwego pana Goladkina była zadziwiająca! Ledwo zdążył na przykład podliznąć się jednemu, zasłużyć sobie na jego życzliwość - człowiek ani okiem nie mrugnął, a on już jest przy drugim, podliznął mu się, podliznął się ukradkiem drugiemu, wywoła życzliwy uśmiezek, lignie swą króciutką, okrągłutką, dość zresztą sztywniutką nóżką i oto już jest przy trzecim, i przypochlebia się już trzeciemu, z którym też się lizę po przyjacielsku; człowiek nie zdąży otworzyć ust, nie zdąży się zdumieć, a on już jest przy czwartym i już z czwartym jest w tych samych stosunkach - okropność: czary, i tyle! i wszyscy mu są radzi, i wszyscy go abią, i wszyscy go chwalą, i wszyscy głoszą chórem, że uprzejmość i satyryczne nastawienie jego umysłu jest bez porównania lepsze od uprzejmości i satyrycznego nastawienia prawdziwego pana Goladkina i wymawiają to prawdziwemu i niewinnemu panu

883

Goladkinowi, i odpychają prawdomównego pana Goladkina, i już wypędzają kopniakami przyzwoitego pana Goladkina, i już sypią przytyki znanemu z miłości do bliźnich prawdziwemu panu Goladkinowi!... Pełen smutku, przerażenia, wściekłości wybiegł cierpiętny pan Goladkin na ulicę i zaczął godzić dorożkę, aby lecieć wprost do jego ekscelencji, a jeśli nie, to już przynajmniej do Andrzeja Filipowicza, ale - co za okropność! - dorożkarze w żaden sposób nie zgadzali się wieść pana Goladkina: „że niby, wielmożny panie, nie można wieść dwóch zupełnie podobnych; że niby, wielmożny panie, dobry człowiek stara się żyć uczciwie, a nie tak jakoś i że po dwóch to już nigdy nie bywa”. W paroksyzmie wstydu całkowicie uczciwy pan Goladkin rozglądał się dokoła i istotnie przekonywał się na własne oczy, że dorożkarze i Pietrek, który się z nimi spiknął, że wszyscy mają prawo tak mówić, albowiem zdeprawowany pan Goladkin stał istotnie obok, tuż przy nim, w niewielkiej odeń odległości i zgodnie ze swoim podłym zwyczajem nawet tu, nawet w tej krytycznej chwili niewątpliwie zamierzał zrobić coś bardzo nieprzyzwoitego, co bynajmniej nie świadczyło o szczególnej szlachetności charakteru, którą się otrzymuje zazwyczaj przez wychowanie - szlachetności, którą tak szczycił się przy każdej okazji wstrętny pan Goladkin—

drugi. Na wpół przytomny, pełen wstydu i rozpacz, pobiegł przybity i całkowicie szlachetny pan Goladkin, gdzie oczy poniosą, na ośle, na złamanie karku; lecz z każdym jego krokiem, z każdym stąpieniem na granit trotuaru jakby spod ziemi wyskakiwali tacy sami, zupełnie podobni i ohydni w swoim zdeprawowaniu - panowie Goladkinowie. I wszyscy ci całkowicie podobni do siebie natychmiast po zjawieniu się puszczali się w pogoń jeden za drugim i długim łańcuchem, jak sznur gęsi, ciągnęli i kuśtykali za panem Goladkinem-star-szym, tak że ów nie miał już dokąd uciec od tych całkowicie podobnych, tak że z przerażenia zapierało dech ze wszech miar godnemu współczucia panu Goladkinowi - aż wreszcie narodziło się okropne mnóstwo tych całkowicie podobnych - aż cała stolica wypełniła się wreszcie całkowicie podobnymi i stojkowi widząc takie naruszenie zasad przyzwoitości musiał wziąć tych wszystkich całkowicie podobnych za kołnierzy i wsadzić do stojącej właśnie pod bokiem budki... Drętwiejąc i lodowaciejąc z przerażenia bohater nasz budził się i drętwiejąc

884

i lodowaciejąc z przerażenia czuł, że i na jawie nie spędza bodajże weselej czasu... Było mu ciężko, boleśnie... Odczuwał taką udrękę, jak gdyby ktoś mu serce z piersi wydzierał...

Wreszcie pan Goladkin nie mógł już dłużej tego znosić. „Nie może tak być!” - zawołał, energicznie wstając z łóżka, i wraz z tym okrzykiem ocknął się całkowicie.

Dzień zapewne dawno już się rozpoczął. W pokoju było jakoś niezwykle jasno, promienie słoneczne gęsto przesączały się przez oszronione mrozem szyby i obficie rozpraszały się po pokoju, co nader zdziwiło pana Goladkina, słońce bowiem zaglądało do niego bodajże tylko w południe; dawniej takie wyjątki w obiegu ciała niebieskiego, w każdym razie o ile tylko pan Goladkin mógł sobie przypomnieć, prawie nigdy się nie zdarzały. Ledwo pan Goladkin zdążył się zdziwić, gdy za przepierzeniem zabręczał zegar ścienny i w ten sposób całkowicie przygotował się do wybicia godziny. „O, właśnie!” - pomyślał pan Goladkin i z markotnym oczekiwaniem przygotował się do słuchania... Ale ku najwyższemu i ostatecznemu zdumieniu pana Goladkina zegar natężył się i wydzwonił tylko raz. „Cóż to za kawał?” - zawołał nasz bohater wyskakując z łóżka. Tak jak był, nie wierząc własnym oczom wbiegł za przepierzenie. Zegar istotnie wskazywał pierwszą. Pan Goladkin spojrzął na łóżko Pietrka: dawno już widocznie zostało opuszczone i pościelone; butów też nigdzie nie widział - niezawodna oznaka, że Pietrka istotnie nie było w domu. Pan Goladkin podbiegł ku drzwiom: były zamknięte. „Gdzież jest ten Pietrek?” - ciągnął szeptem, okropnie przejęty, odczuwając przy tym w całym ciele dość mocne dreszcze... Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl... Pan Goladkin podbiegł do swego biurka, obejrzał je, poszperał wkoło - ano tak: nie było wczorajszego jego listu do Wachramiejewa... Pietrka za przepierzeniem też nie było; zegar ścienny wskazywał pierwszą, a do wczorajszego listu Wachramiejewa dopisane były jakieś nowe punkty, zresztą jak na pierwszy rzut oka bardzo niejasne punkty, ale teraz całkowicie już wyjaśnione. Wreszcie ten Pietrek - niewątpliwie przekupiony! Tak, tak, o to właśnie chodzi!

„To tam właśnie zasuplai się ten najważniejszy węzeł! - zawołał pan Goladkin uderzając się w czoło i coraz szerzej otwierając oczy - a więc to w gnieździe tej skąpej Niemki

885

kryje się teraz całe najważniejsze diabelstwo! A więc to była z jej strony tylko strategiczna dywersja, gdy wskazywała mi Izmałowski most - wskazywała myłny trop, wprowadzała mnie w ambaras (niegodziwa wiedźma!) i w ten sposób prowadziła podkopy!!! Tak, to tak właśnie! Jeśli tylko z tej strony spojrzeć na całą sprawę, to wszystko to będzie właśnie tak! I zjawienie się łajdaka też jest teraz całkiem zrozumiałe: wszystko to sprowadza się do jednego. Od dawna już go trzymali, szykowali i mieli w rezerwie na czarną godzinę. No i proszę, jak to jest teraz, jak to się wszystko wyjaśniło! Jak wszystko to się rozwiązało! Ano nic! Jeszcze nic straconego!...” Tu pan

Goladkin przypomniał sobie z przerażeniem, że jest już po pierwszej. „A co, jeżeli oni właśnie teraz zdążyli... - Jęk wyrwał mu się z piersi. - Ale nie, niedoczekanie, nie zdążyli-zobaczymy...”
Ubrał się byle jak, chwycił papier, pióro i napisał następującą epistołę:

„Wielce szanowny Panie,
Jakubie Pietrowiczu!

Albo Pan, albo ja, razem być nie możemy! Dlatego też oświadczam Panu, że dziwne, śmieszne, a jednocześnie niemożliwe do urzeczywistnienia pragnienie Pańskie, aby uchodzić za mojego bliźniaka i podawać się za takowego, przyczyni się jedynie do Pańskiej ostatecznej hańby i klęski. Dlatego też proszę Pana, aby we własnym interesie zechciał Pan usunąć się i ustąpić z drogi ludziom prawdziwie szlachetnym i mającym lojalne cele. W przeciwnym zaś wypadku gotów jestem posunąć się nawet do najbardziej ostatecznych środków. Odkładam pióro i czekam... Poza tym pozostaję gotów do usług oraz do pojedynku na pistolety.

J. Goladkin”

Bohater nasz skończywszy liścik energicznie zatarł ręce. Potem włożył płaszcz i kapelusz, drugim, zapasowym kluczem otworzył drzwi i ruszył do departamentu. Do departamentu co prawda doszedł, ale nie zdecydował się wejść, istotnie bowiem było już za późno, zegarek pana Goladkina wskazywał już wpół do trzeciej. Wtem pewna dość niewielkiej wagi okoliczność rozstrzygnęła wątpliwości pana Goladkina: spoza narożnika gmachu ukazała się nagle zadyszana i zarumieniona postać i ukradkiem, szczerzym krokiem przesmyrgnęła na ganek, a potem natychmiast do sieni. Był to pisarz kancela-

886

ryjny Ostafiew, którego pan Goladkin znał dobrze, a który był poniekąd pożyteczny i za dziesiątkę gotów na wszystko. Znając czułą stronę Ostafiewa i skombinowawszy, że po wyjściu w jakiejś nader pilnej sprawie stał się zapewne jeszcze bardziej łapczywy na dziesiątki, bohater nasz postanowił ich nie żałować i natychmiast przesmyrgnął na ganek, a potem do sieni, tuż za Ostafjewem, zawołał go i z tajemniczą miną poprosił na boczek do zacisznego kąta za ogromnym żeliwnym piecem. Zaprowadziwszy go tam, bohater nasz zaczął wypytywać.

- No co, przyjacielu, jakże to tam tego... rozumiesz mnie?

- Słucham, wielmożny panie, życzę zdrowia wielmożnemu panu.

- Dobrze, przyjacielu, dobrze, odwdzięczę ci się, drogi przyjacielu. A więc widzisz, jakże to, przyjacielu?

- O co łaskawy pan pyta? - Tu Ostafiew przytrzymał nieco ręką usta, które otworzyły mu się mimo woli.

- Ja, widzisz, mój przyjacielu, ja tego... a ty sobie przypadkiem nie pomyśl czegoś tam... No, czy Andrzej Filipowicz jest w biurze?...

- Jest.

- A urzędnicy są?

- Urzędnicy też są, tak jak należy.

- A jego ekscelencja też jest?

- I jego ekscelencja też jest. - Tu pisarz po raz drugi przytrzymał usta, które mu się znów otworzyły, i jakoś dziwnie i z zaciekawieniem popatrzył na pana Goladkina. W każdym razie tak się wydało naszemu bohaterowi.

- A nie zdarzyło się nic takiego szczególnego, przyjacielu?

- Nie, wielmożny panie, nic się nie zdarzyło.

- A tak na mój temat, kochany przyjacielu, nie było czegoś takiego, tak jakoś tylko czegoś takiego... co? tylko tak, przyjacielu, rozumiesz?

- Nie, nic jeszcze tymczasem nie słyhać. - Tu pisarz znów przytrzymał usta i znów jakoś dziwnie spojrzął na pana Goladkina. Rzecz w tym, że bohater nasz usiłował teraz przejrzeć fizjonomię Ostafiewa, wyczytać w niej, czy coś się tam nie kryje. I istotnie wyglądało na to, że coś się kryje. Rzecz w tym, że Ostafiew stawał się coraz to bardziej ordynarny i oschły i już nie z takim zainteresowaniem, jak na początku rozmowy, wnikał teraz w sprawy pana Goladkina. „Poniekąd
887

ma rację - pomyślał pan Goladkin - cóż ja dla niego znaczę. Może już otrzymał co nieco od drugiej strony i właśnie dlatego wyskoczył w pilnej sprawie. Ano, to ja mu tego...” Pan Goladkin zrozumiał, że nadszedł czas na dziesiątki.

- Masz, drogi przyjacielu...

- Serdecznie dziękuję wielmożnemu panu.

- Dam ci więcej.

- Słucham wielmożnego pana.

- Zaraz teraz dam więcej, a gdy wszystko się skończy, dam jeszcze drugie tyle. Rozumiesz?

Pisarz milczał, stał na baczność i nieruchomym wzrokiem patrzył na pana Goladkina.

- No, a teraz mów: czy o mnie nic nie mówiono?...

- Zdaje się, że tymczasem jeszcze... tego... tymczasem jeszcze nic. - Ostafiew odpowiadał z namysłem, zachowując, podobnie jak i pan Goladkin, nieco tajemniczą minę, ruszając nieco brwiami, patrząc w ziemię, usiłując utrafić we właściwy ton, słowem, że wszystkich sił starając się zapracować na obiecane pieniądze, ponieważ te, które już otrzymał, uważał za swoją bezsporną własność.

- I nic nie wiadomo?

- Tymczasem nic jeszcze.

- A posłuchaj... tego... a może będzie wiadomo?

- Potem, rozumie się, może będzie wiadomo. „Źle!” - pomyślał nasz bohater.

- Posłuchaj, masz tu jeszcze, mój kochany.

- Serdecznie dziękuję wielmożnemu panu.

- Wachramiejew był tu wczoraj?...

- Był.

- A kogo innego czy nie było?... Przypomnij sobie, braciszku.

Pisarz pogrzebał chwilę w swoich wspomnieniach i nic odpowiedniego nie znalazł.

- Nie, nikogo innego nie było.

- Hm! - Nastąpiło milczenie.

- Posłuchaj, bracie, masz tu jeszcze, powiedz wszystko, odsłoń wszystkie ukryte sprężyny.

- Słucham wielmożnego pana. - Ostafiew stał się teraz zupełnie aksamitny: tego właśnie trzeba było panu Goladki-nowi.

888

- Wyjaśnij mi, bracie, jak tam z nim jest teraz?

- Nieźle, wielmożny panie, dobrze - odrzekł pisarz wlepiając oczy w pana Goladkina.

- Co to znaczy: dobrze?

- To znaczy tak właśnie. - Tu Ostafiew uniósł znacząco brwi, nawiasem mówiąc stanowczo czuł się zapędzony w kozi róg i nie wiedział, co ma jeszcze mówić. - „Źle!” - pomyślał pan Goladkin.

- Czy nie ma czegoś nowego pomiędzy nim a Wachramiejewem?

- Ano, wszystko jest tak jak i dawniej.

- Pomyśl trochę.

- Mówią, że coś jest.

- A co takiego?

Ostafiew przytrzymał ręką usta.

- Czy nie ma do mnie listu stamtąd?

- Ano, dziś stróż Michiejew był u Wachramiejewa w mie-zkaniu u jego Niemki, no to pójde i zapytam, jeśli potrzeba. „- Bądź tak dobry, bracie, na litość boską!... Ja tylko tak... Nie pomyśl sobie czegoś, bracie, bo ja tylko tak. I rozpylaj się, braciszku, dowiedz się, czy nie szykuje się tam coś w związku ze mną? Jakże tam on działa? Tego mi właśnie potrzeba; o to się właśnie wywiedz, kochany przyjacielu, a ja ci się później odwdzięczę...”

- Słucham wielmożnego pana, a na pańskim miejscu dzisiaj usiadł Iwan Siemionycz.

- Iwan Siemionycz? A! Tak! Doprawdy?

- Andrzej Filipowicz kazał mu się...
- Doprawdy? Z jakiej racji? Dowiedz się, bracie, na Boga, dowiedz się, bracie; dowiedz się tego

wszystkiego, a ja ci się odwdzięczę, mój kochany; tego mi właśnie potrzeba... A ty sobie przypadkiem nie pomyśl czego, bracie...

- Słucham wielmożnego pana, słucham, pójde tam natychmiast. A czy wielmożny pan dzisiaj tam nie pójdzie?

- Nie, mój przyjacielu, ja tylko tak, ja przecież tylko tak, przyszedłem tylko popatrzeć, kochany przyjacielu, a potem :i się odwdzięczę, kochany przyjacielu.

- Słucham wielmożnego pana. - Pisarz szybko i gorliwie wbiegł po schodach na górę, a pan Goladkin został sam. „Żle - pomyślał.-Ech, źle, źle! Ech, takie to nasze

38 Dostojewski, t III 889

sprawy... jakoś kiepsko idą! Co by to wszystko miało znaczyć? co właściwie znaczyły niektóre napomknienia tego pijaka i czyja to sprawa? A! teraz już wiem, czyja to sprawa. To taka sprawa. Na pewno się dowiedzieli i posadzili... Zresztą cóż z tego, że posadzili? To Andrzej Filipowicz posadził tego Iwana Siemionowicza; a właściwie po cóż on go posadził, w jakim celu go właściwie posadził? pewno się dowiedzieli... To robota. Wachramiejewa, to znaczy nie Wachramiejewa, ten Wachramiejew jest głupi jak but, oni wszyscy za niego działają, i tego szelmę też właśnie po to tu napuścili; a i Niemka, ta diablica, też naskarżyła! Zawsze podejrzewałem, że cała ta intryga nie jest bez kozery i że w tej babskiej starczej plotce niewątpliwie coś się kryje; mówiłem już to Kristianowi Iwanowiczowi, że zawzięli się, aby zarznąć człowieka, mówię w sensie moralnym, i chwycili się tej Karoliny Iwanowny. Nie, widać, że tu działają sarni mistrzowie! Tu, szanowny panie, działa mistrzowska ręka, a nie Wachramiejew. Powiedziałem już, że Wachramiejew jest za głupi, a to... wiem teraz, kto tu działa za nich wszystkich: to ta szelma działa, to samozwaniec działa! Tym właśnie się podlizuje, czego poniekąd do-wocją jego sukcesy w wyższym towarzystwie. A doprawdy warto byłoby wiedzieć, na jakiej on jest teraz z nimi stopie... co tam u nich w trawie piszczy? Tylko dlaczegóż wzięli tam tego Iwana Siemionowicza? Na jakie lichy był im potrzebny Iwan Siemionowicz? Jak gdyby nie można już było dostać kogo innego! Zresztą kogokolwiek by posadzili, na jedno by wyszło; a co wiem, to wiem, ten Iwan Siemionowicz od dawna już był mi podejrzany, dawno już zauważyłem, że to taki wstrętny, taki obrzydliwy staruch, mówią, że pożyczka na lichwę i bierze żydowskie procenty. A przecież to wszystko kombinuje nasz niedźwiedź, we wszystkie te sprawy zamieszany jest niedźwiedź. W ten sposób się zaczęło. Zaczęło się przy Izmailowskim moście, właśnie tak się zaczęło...” Tu pan Goladkin skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę, zapewne przypomniawszy sobie coś przykrego. „No, zresztą cóż tam! - pomyślał. - A ja tylko jedno mam na myśli. Czemu to nie wraca ten Ostafiew?

Pewno gdzieś utknął albo ktoś go zatrzymał. To nawet poniekąd dobrze, że ja ze swojej strony intryguję i prowadzę podkopy. Ostafiewowi wystarczy dać dziesiątkę, to on tego... i już jest po mojej stronie. Tylko że właśnie

890

chodzi o to: czy doprawdy on jest po mojej stronie; może oni go też ze swej strony... i dogadawszy się z nim ze swej strony, prowadzą teraz intrygę. Przecież on wygląda na zbójcę, na szachraja, na czystego zbójcę! Coś ukrywa, szelma! „Nie, nic takiego, powiada, i serdecznie wielmożnemu panu, powiada, dziękuję.” Zbójcu jeden!”

Rozległ się hałas... pan Goladkin skulił się i skoczył za piec. Ktoś zszedł ze schodów i wyszedł na ulicę. „Któż by to teraz wychodził?” -pomyślał nasz bohater. Po krótkiej chwili znowu rozległy się czyjeś kroki... Tu już pan Goladkin nie wytrzymał i spoza swej osłony wysunął mały, malusieńki koniuszeczek nosa - wysunął i natychmiast się cofnął, jak gdyby go ktoś ukłuł szpilką w nos. Tym razem wiadomo, kto przechodził, szelma, intrygant i rozpustnik - przechodził swoim zwyczajem podłym drobnym kroczeniem, drecząc i wyrzucając w bok nóżki, jak gdyby zamierzał kogoś kopnąć. „Łajdak!”—szepnął do siebie nasz bohater. Zresztą pan Goladkin niewątpliwie musiał dostrzec, że łajdak niesie pod pachą ogromną zieloną teczkę, należącą do jego ekscelencji. „On znowu do specjalnych poruczeń” - pomyślał pan Goladkin rumieniąc się i jeszcze bardziej kuląc się pod wpływem przykrego uczucia. Ledwo pan Goladkin-młodszy przemknął obok pana Goladkina-starszego, nie zauważywszy go zresztą, gdy po raz trzeci rozległy się czyjeś kroki i tym razem pan Goladkin domyślił się, że są to kroki pisarza. Istotnie za piec zajrzała jakaś przylizana pisarska postać, była to zresztą postać nie Ostafiewa, lecz innego pisarza przezwiskiem Pi-sarienko. Zdumiało to pana Goladkina. „Po cóż on innych dopuszcza do-sekretu? - pomyślał nasz bohater. - Cóż to za barbarzyńcy! Nic świętego dla nich nie ma!”

- No co, przyjacielu? - rzekł zwracając się do Pisarenki - kto ciebie, przyjacielu, przysłał?...

- Ja w pańskiej sprawie. Chwilowo nie ma od nikogo żadnych wiadomości. A jak będą, to zawiadomimy wielmożnego pana.

- A Ostafiew?...

- On, wielmożny panie, w żaden sposób nie może. Jego ekscelencja już dwa razy przechodził przez wydział, ja też nie mam teraz czasu.

- Dziękuję, mój kochany, dziękuję ci... Tylko mi powiedz...

891

- Słowo daję, że nie mam czasu... co chwila nas wzywają... A pan niech raczy sobie tu jeszcze postać, jeśli coś będzie w pańskiej sprawie, to zawiadomimy pana...

- Nie, ty mi, przyjacielu, powiedz...

- Pan wybaczy, nie mam czasu - mówił Pisarienko wrywając się chwytającemu go za poły panu Goladkinowi - doprawdy nie mogę. Pan raczy tu jeszcze troszkę postać, my już zawiadomimy.

- Zaraz, zaraz, przyjacielu! zaraz, kochany przyjacielu! Teraz taka sprawa: masz tu list, przyjacielu, a ja ci się odwdzięczę, mój kochany.

- Słucham wielmożnego pana.

- Postaraj się go oddać, mój kochany, panu Goladkinowi.

- Goladkinowi?

- Tak, przyjacielu, panu Goladkinowi.

- Dobrze, jak tylko stąd pójde, to zaraz odniosę. A pan niech tu tymczasem stoi. Tu nikt nie zobaczy...

- Nie, mój przyjacielu, ty nie myśl... ja przecież tu stoję nie po to, żeby mnie ktoś nie zobaczył. A ja, przyjacielu, będę teraz nie tutaj... będę, olu, na tej uliczce. Jest tam jakaś kawiarnia, tam będę czekał, a ty, jeśli się coś wydarzy, zawiadamiaj mnie o wszystkim, rozumiesz?

- Dobrze. Tylko niech pan mnie puści, rozumiem...

- A ja ci się odwdzięczę, mój kochany! - wołał pan Goladkin za Pisarenką, który się wreszcie od niego uwolnił. „Szelma, zdaje się, że stał się potem jeszcze bardziej ordynarny - pomyślał nasz bohater, ukradkiem wychodząc zza pieca. - W tym jest jeszcze jakiś haczyk. To jasne... Z początku było i tak, i siak... Zresztą jemu się doprawdy spieszyło, możliwe, że tam dużo roboty. A jego ekscelencja dwa razy przechodził przez wydział... Z jakiego to mogłoby być powodu?... Ech! Ano nic! Zresztą może to doprawdy nic, ano zaraz zobaczymy...”

Tu pan Goladkin otworzył drzwi i chciał już wyjść na ulicę, gdy nagle w tej samej chwili przed gankiem zaturkotała karetka jego ekscelencji. Pan Goladkin nie zdążył się opamiętać, gdy otworzyły się drzwi karety i siedzący w niej pan wyskoczył na ganek. Przybyłym okazał się nie kto inny, lecz tenże pan Goladkin-młodszy, który wyszedł jakieś dziesięć minut temu. Pan Goladkin-starszy przypomniał sobie, że mieszkanie dy-

892

rektora było tuż, tuż. „On tak do specjalnych poruczeń” - pomyślał w duchu nasz bohater. Tymczasem pan Goladkin—młodszy wziął z karety grubą zieloną tekę i jeszcze jakieś tam papiery, wydał poza tym jakieś dyspozycje stangretowi, otworzył drzwi, niemalże potracił nimi pana Goladkina-starszego i umyślnie go nie dostrzegając, a więc robiąc mu w ten sposób na złość, szybkim krokiem ruszył na górę po departamenckich schodach. „Źle! - pomyślał pan Goladkin - ech, jakże to się teraz obróciły nasze sprawy! Widzieliście go, mój ty Boże!” Nasz bohater stał jeszcze jakieś pół minuty bez ruchu, wreszcie zdecydował się. Nie namyślając się długo, czując przy tym mocne bicie serca i dreszcze we wszystkich członkach, pobiegł za swoim przyjacielem na górę. „E tam! Było nie było, a co mi tam? ja w tej sprawie stoję z boku” - myślał zdejmując w korytarzu kapelusz, płaszcz i kalosze.

Gdy pan Goladkin wszedł do swego wydziału, panował już zupełny zmrok. Ani Andrzeja Filipowicza, ani Antoniego Anto-nowicza nie było w pokoju. Obaj referowali coś w gabinecie dyrektora, dyrektor zaś, jak niosły słuchy, z kolei spieszył się do jego ekscelencji, swego szefa. Na skutek takich okoliczności, a przy tym i dlatego, że przyczynił się do tego zmrok i kończył się czas urzędowania, niektórzy urzędnicy, zwłaszcza młodzież, w chwili gdy wszedł nasz bohater, zajmowali się poniekąd beczynnością, zbierali się po kilku, rozmawiali, gadali, śmieli się, a nawet niektórzy co młodsi, to znaczy posiadający najniższą rangę, cichaczem, korzystając z ogólnego gwaru, w kącie pod oknem grali sobie w orła i reszkę. Znając zasady przyzwoitości i czując w tej chwili jakąś szczególną potrzebę pozyskania sobie i znalezienia kogokolwiek, pan Goladkin natychmiast podszedł do tego i owego, z kim był lepiej, aby się przywitać itd. Ale koledzy biurowi dziwnie jakoś przyjęli powitanie pana Goladkina. Zaskoczył go niemile jakiś ogólny chłód, oschłość, a nawet, można by rzec, jakaś surowość. Ręki nikt mu nie podał. Niektórzy po prostu powiedzieli „dzień dobry” i odeszli, inni kiwnęli tylko głową, niejeden po prostu odwrócił się i udał, że nic nie zauważył; niektórzy wreszcie - co było najbardziej obraźliwe dla pana Goladkina - niektórzy spośród posiadającej najniższą rangę młodzieży, chłopcy, którzy, jak słusznie wyraził się o nich pan Goladkin, umieją tylko przy okazji zagrać w orła i reszkę

893

i gdzieś tam się włóczyć - powoli otoczyli pana Goladkina, zgromadzili się koło niego i niemal przegrodzili mu drogę. Wszyscy patrzyli na niego z jakąś obraźliwą ciekawością.

Był to zły znak. Pan Goladkin to czuł i rozsądnie ze swojej strony przygotował się, aby nic nie

zauważyć. Wtem jedna całkowicie niespodziewana okoliczność zupełnie, jak to się mówi, wykończyła i zniszczyła pana Goladkina.

W grupce młodych otaczających go kolegów biurowych, jak gdyby naumyślnie w najprzykrzejszej dla pana Goladkina chwili, zjawił się pan Goladkin-młodszy, jak zawsze wesolutki, jak zawsze z uśmiezkiem, jak zawsze żwawy, słowem: swawolnik, wiercipięta, lizus, śmieszek, o ciętym języczku i z lekką nóżką, jak zawsze, jak dawniej, chociażby jak i wczoraj, w pewnej nader niemiłej dla pana Goladkina-starszego chwili. Szczercząc zęby, wiercąc się, drepcząc, z uśmiezkiem, który zdawał się mówić wszystkim: „dobry wieczór”, wkręcił się w grupkę urzędników, temu uściśnął rękę, tego poklepał po ramieniu, trzeciego z lekka objął, czwartemu wyjaśnił, z jakiego to powodu posłużył się nim jego ekscelencja, dokąd jeździł, co zrobił, co przywiózł; piątego, zapewne swego najlepszego przyjaciela, cmoknął w same usta - słowem wszystko działo się kropka w kropkę jak we śnie pana Goladkina-

-starszego. Gdy się już naskakał do syta, załatwił każdego po swojemu, obrobił ich wszystkich na swoją korzyść, czy trzeba, czy nie trzeba, nalizal się z nimi wszystkimi, pan Goladkin-

-młodszy nagle, zapewne przez pomyłkę, nie zdążywszy dotychczas zauważyć swego najdawniejszego przyjaciela, wyciągnął rękę i do pana Goladkina-starszego. Nasz bohater, zapewne również przez pomyłkę, choć zdążył przecież doskonale zauważyć nieszlachetnego pana Goladkina-młodszego, natychmiast chciwie chwycił wyciągniętą do niego niespodzianie rękę i uściśnął ją w sposób nader przyjazny, uściśnął ją powodowany jakimś dziwnym, zupełnie nieoczekiwanym wewnętrznym odruchem, jakimś ławym uczuciem. Czy to bohater nasz został zmylony pierwszym ruchem swego nieprzyzwoitego wroga, czy też po prostu nie spostrzegł się, czy może w głębi duszy poczuł i uświadomił sobie cały ogrom swojej bezbronności - trudno powiedzieć. Faktem jest, że pan Goladkin-starszy, zdawałoby się zupełnie przytomny, z własnej woli i przy świadkach uroczyście uściśnął dłoń

894

tego, którego mienił swoim śmiertelnym wrogiem. Ale w jakież zdumienie, wściekłość i szaleństwo wpadł pan Goladkin-starszy, jakież przerażenie i wstyd go ogarnęły, gdy jego nieprzyjaciel i śmiertelny wróg, nieprzyzwoity pan Goladkin-młodszy, zauważywszy pomyłkę niewinnie prześladowanego i wiarołomnie przezeń oszukanego człowieka, bez najmniejszego wstydu, bez sumienia i litości, nagle, z niewymowną bezczelnością i brutalnością wyrwał swoją dłoń z dłoni pana Goladkina-starszego; mało tego - potrząsnął dłonią, jak gdyby ją zbrukał czymś bardzo obrzydliwym; mało tego - splunął na stronę, a towarzyszył temu jak najbardziej ubliżający gest; mało tego - wyjął chusteczkę i natychmiast, w sposób nader bezwstydnym otarł nią palce, które przez chwilę spoczywały w dłoni pana Goladkina-starszego. Robiąc to wszystko pan Goladkin-młodszy umyślnie swoim podłym zwyczajem rozglądał się dokoła, tak żeby wszyscy widzieli jego zachowanie, zaglądał wszystkim w oczy i wyraźnie starał się wszystkich jak najnieprzychylniej nastroić wobec pana Goladkina. Zdawało się, że zachowanie się wstrętne pana Goladkina-młodszego wywołało powszechne oburzenie otaczających ich urzędników; nawet lekkomyślna młodzież okazała niezadowolenie. Wokoło podniósł się szmer i gwar. Ogólne poruszenie nie mogło ująć uwagi pana Goladkina-starszego, gdy naraz w porę użyty dowcip, który zjawił się na ustach pana Goladkina-młodszego, rozwiął i zniweczył ostatnie nadzieje naszego bohatera i znów przechylił szalę na korzyść jego śmiertelnego i nieużytego wroga.

- To nasz rosyjski Faublas, 7 panowie, pozwólcie wam przedstawić młodego Faublasa - zapiszczał pan Goladkin-młodszy, z właściwą sobie bezczelnością drepcząc i uwijając się pomiędzy urzędnikami i wskazując im zdrętwiałego, a jednocześnie rozwścieczonego prawdziwego pana Goladkina. - Pocałujmy się, serdeńko! - ciągnął z nieznośną poufałością przysuwając się do zdradziecko znieważonego przez siebie człowieka. Dowcipiek nieużytego pana Goladkina-młodszego znalazł, jak się zdaje, oddźwięk, gdzie należało, tym bardziej że zawierał w sobie

podstępna aluzję do pewnej głośnej już zapewne i znanej wszystkim okoliczności. Nasz bohater poczuł na ramieniu ciężką dłoń swoich wrogów. Zresztą już się zdecydował. Z płonąącym wzrokiem, z pobladłą

895

twarzą, z zastygłym uśmiechem ledwo wydarł się z tłumu i nierównymi drobnymi krokami skierował się prosto do gabinetu jego ekscelencji. W przedostatnim pokoju; napotkał wychodzącego właśnie od jego ekscelencji Andrzeja Filipowicza i chociaż w pokoju było dość dużo obcych, w tej chwili zupełnie postronnych dla pana Goladkina osób, nasz bohater nie zwrócił najmniejszej uwagi na tę okoliczność. Bezpośrednio, stanowczo, śmiało, nieco sam dziwiąc się sobie i w głębi duszy dumny ze swojej odwagi, natarł na Andrzeja Filipowicza, ogromnie zdumionego taką niespodziewaną napaścią.

- A!... co pan... czego pan sobie życzy? - zapytał naczelnik wydziału, nie słuchając pana Goladkina, który się na czymś zająknął.

- Andrzeju Filipowiczu, ja... czy mogę, Andrzeju Filipowiczu, teraz, natychmiast rozmówić się w cztery oczy z jego ekscelencją? - wyraźnie i dobitnie rzekł nasz bohater kierując nader stanowcze spojrzenie na Andrzeja Filipowicza.

- Co? Naturalnie, że nie. - Andrzej Filipowicz od stóp do głów zmierzył wzrokiem pana Goladkina.

- Mówię to wszystko, Andrzeju Filipowiczu, dlatego, że dziwię się, czemu nikt tu nie zdemaskuje samozwańca i łajdaka.

- Co-o-o?

- Łajdaka, Andrzeju Filipowiczu.

- O kim to pan raczy wyrażać się w ten sposób?

- O wiadomej osobie, Andrzeju Filipowiczu. Napomykam tu, Andrzeju Filipowiczu, o wiadomej osobie, mam do tego prawo... Myślę, Andrzeju Filipowiczu, że zwierzchnictwo powinno zachęcać do podobnych posunięć - dodał pan Goladkin wyraźnie nie panując nad sobą - Andrzeju Filipowiczu... pan zapewne sam widzi, Andrzeju Filipowiczu, że to szlachetny odruch, który świadczy o mojej najwyższej lojalności - chcę uznać zwierzchnika za ojca, Andrzeju Filipowiczu, uznaję bowiem łaskawe zwierzchnictwo za ojca i ślepo mu zawierzam swój los. Tak i tak... o, tak właśnie... - W tym miejscu głos pana Goladkina zadrzał, twarz mu poczerwieniała i dwie łzy spłynęły na jego rzęsy.

Andrzej Filipowicz słuchając pana Goladkina zdziwił się tak, że jakoś mimo woli cofnął się o dwa kroki do tyłu. Potem niespokojnie rozejrzał się dokoła... Trudno powiedzieć, jak

896

by się skończyła ta sprawa... Ale naraz otworzyły się drzwi gabinetu jego ekscelencji i on sam wyszedł w asyście kilku urzędników. Za nim pociągnęli wszyscy obecni w pokoju. Jego ekscelencja skinął na Andrzeja Filipowicza i szedł obok niego rozmawiając o jakichś sprawach. Gdy wszyscy ruszyli i wyszli z pokoju, opamiętał się również pan Goladkin. Uspokoiwszy się nieco schronił się pod skrzydło Antoniego Anto-nowicza Sietoczki, który kuśtykając podążał za wszystkimi z nader surową i zatroskaną miną. „I tu się zagalopowałem, i tu napaskudziłem - pomyślał sobie - ano cóż, trudno.”

- Mam nadzieję, że przynajmniej pan, Antoni Antono-wiczu, zgodzi się mnie wysłuchać i wniknąć w moją sytuację - odezwał się cichym i jeszcze nieco drżącym ze zdenerwowania głosem. - Odepchnięty przez wszystkich, zwracam się do pana, Antoni Antonowiczu. Dotychczas nie jestem pewien, co znaczący słowa Andrzeja Filipowicza. Niech mi je pan wyjaśni, jeśli łaska...

- W swoim czasie wszystko się wyjaśni - surowo i dobitnie odparł Antoni Antonowicz i jak wydało

się panu Go-ladkinowi, z taką miną, która wyraźnie świadczyła, że Antoni Antonowicz bynajmniej nie życzy sobie prowadzić dalej rozmowy. - Dowie się pan wkrótce wszystkiego. Jeszcze dzisiaj będzie pan urzędowo powiadomiony.

- Co to znaczy: urzędowo, Antoni Antonowiczu? Dlaczego właśnie urzędowo? - nieśmiało spytał nasa bohater.

- Nie nam z panem o tym sądzić, Jakubie Pietrowiczu, jeśli decyduje zwierzchnictwo.

- Dlaczego zaraz zwierzchnictwo, Antoni Antonowiczu?- pytał pan Goladkin, jeszcze bardziej onieśmielony - dlaczego zwierzchnictwo? Nie widzę powodu, by tu trzeba było niepokoić zwierzchnictwo, Antoni Antonowiczu... Pan może chce powiedzieć coś w związku z wczorajszym wydarzeniem, Antoni Antonowiczu?

- Ależ nie, nie w związku z wczorajszym wydarzeniem, tu coś innego u pana kuleje.

- Cóż znowu kuleje, Antoni Antonowiczu? Wydaje mi się, Antoni Antonowiczu, że nic u mnie nie kuleje.

- Aż kim to zamierzał pan być przebiegłym? - ostro ściał Antoni Antonowicz całkiem już zdetonowanego pana Goladkina. Pan Goladkin drgnął i zbladł jak chusta.

897

- Naturalnie, Antoni Antonowiczu - rzekł ledwo dosłyszalnym głosem - jeśli słuchać oszczerstw i dawać wiarę naszym wrogom, nie biorąc pod uwagę usprawiedliwień drugiej strony, to naturalnie... naturalnie, Antoni Antonowiczu, to istotnie można ucierpieć, Antoni Antonowiczu, ucierpieć niewinnie i za nic.

- Właśnie, właśnie, a nieprzyzwoity pański postępek, szkodzący reputacji panny z dobrego domu, z tej zacnej, szanowanej i znanej rodziny, która świadczyła panu dobrodziejstwa?

- Cóż to za postępek, Antoni Antonowiczu?

- Właśnie, właśnie. A wobec innej panny, chociaż biednej, lecz za to uczciwego cudzoziemskiego pochodzenia, też pan nie wie, jak pan postąpił?

- Pan pozwoli, Antoni Antonowiczu... pan raczy, Antoni Antonowiczu, wysłuchać...

- A pańskie wiarołomne postępowanie i oszczerstwo rzucone na inną osobę - oskarżenie innej osoby o to, w czym sam pan nagrzeszył? co? jak się to nazywa?

- Ja, Antoni Antonowiczu, nie wypędzałem go - rzekł dygocąc nasz bohater - i Pietrka, to znaczy mojego służącego, też nie uczyłem niczego podobnego... On jadł mój chleb, Antoni Antonowiczu, korzystał z mojej gościnności - dodał nasz bohater tak dosadnie i z głębokim wzruszeniem, aż zadrgał mu lekko podbródek, a łzy znowu cisnęły mu się do oczu.

- To pan tylko tak mówi, Jakubie Pietrowiczu, że on jadł pański chleb - odparł uśmiechając się Antoni Antono-wicz, a głos jego brzmiał tak obłudnie, że pana Goladkina aż drasnęło coś po sercu.

- Pan pozwoli, Antoni Antonowiczu, że jeszcze pana pokornie zapytam, czy jego ekscelencja wie o tej całej sprawie?

- Oczywiście! Zresztą niech mnie pan teraz puści. Nie mam teraz dla pana czasu... Jeszcze dziś dowie się pan o wszystkim, co winien pan wiedzieć.

- Na Boga, pan pozwoli, jeszcze chwilkę, Antoni Antonowiczu...

- Później pan opowie...

- Nie, Antoni Antonowiczu, ja, widzi pan, niech pan tylko posłucha, Antoni Antonowiczu... Ja całkiem nie wolno-

myślnie, Antoni Antonowiczu, ja brzydę się wolnomyślnością, jeśli chodzi o mnie, to jestem całkowicie gotów i nawet przyszło mi na myśl...

- Dobrze, dobrze. Słyszałem już...

- Nie, tego pan nie słyszał, Antoni Antonowiczu. To co innego, Antoni Antonowiczu, to miło, doprawdy miło i przyjemnie słyszeć... ja dopuszczałem już, jak to wyjaśniłem powyżej, myśl, Antoni Antonowiczu, że oto Opatrzność boska stworzyła dwóch ludzi zupełnie podobnych do siebie, a łaskawe zwierzchnictwo widząc w tym rękę Opatrzności dało schronienie dwóm bliźniakom. To przecież dobrze, Antoni Antonowiczu. Pan widzi, że to bardzo dobrze, Antoni Antonowiczu, i że jestem jak najdalej od wolnomyślności. Uznaję łaskawe zwierzchnictwo za ojca. Tak i tak, że niby łaskawe zwierzchnictwo, a pan tego... że niby... młody człowiek musi pracować na urzędzie... Niech mnie pan poprze, Antoni Antonowiczu, niech się pan wstawi za mną, Antoni Antonowiczu... Ja nic takiego... Antoni Antonowiczu, na Boga, jeszcze jedno słówko... Antoni Antonowiczu...

Ale Antoni Antonowicz był już daleko od pana Goladkina... Nasz bohater nie wiedział, gdzie stał, co słyszał, co robił, co się z nim działo i co się jeszcze będzie z nim działo - tak przygnębiło go i wstrząsnęło nim wszystko, co słyszał i co się z nim wydarzyło.

W tłumie urzędników błagalnym spojrzeniem szukał Antoniego Antonowicza, aby się jeszcze bardziej usprawiedliwić w jego oczach i powiedzieć mu o sobie coś nader lojalnego i nader szlachetnego oraz miłego... Zresztą powoli poprzez zmieszanie pana Goladkina zaczęło się przebijać nowe światło, nowe okropne światło, które nagle rozjaśniło przed nim całą perspektywę całkiem dotychczas nie znanych, a nawet nigdy nie branych pod uwagę okoliczności... W tej samej chwili ktoś trącił w bok naszego całkiem zmieszanego bohatera. Obejrzał się. Przed nim stał Pisarienko.

- List, wielmożny panie.

- A!... Poszedłeś już po list, mój kochany?

- Nie, to jeszcze dziś rano o dziesiątej tu przyniesiono. Sergiusz Michiejew, woźny, przyniósł z mieszkania sekretarza gubernialnego Wachramiejewa.

- Dobrze, przyjacielu, dobrze, odwdzięczę ci się, mój kochany.

To powiedziawszy pan Goladkin schował list do bocznej kieszeni surduta i zapiął surduta na wszystkie guziki, potem rozejrzał się dokoła i ku swemu zdumieniu zauważył, że znajduje się już w sieni departamentu, w grupce urzędników, którzy stłoczyli się przed wyjściem, urządowanie bowiem się skończyło. Pan Goladkin nie tylko dotychczas nie zauważył tej okoliczności, ale nawet nie zauważył i nie pamiętał, w jaki sposób nagle znalazł się w płaszczu, w kaloszach i trzymał w ręku swój kapelusz. Wszyscy urzędnicy stali bez ruchu w pełnym szacunku oczekiwaniu. Rzecz polegała na tym, że jego ekscelencja czekając na swój z jakiegoś tam powodu spóźniony powóz zatrzymał się na dolnym podejściu schodów i prowadził nader interesującą rozmowę z dwoma radcami i z Andrzejem Filipowiczem. Nieco opodal od dwóch radców i Andrzeja Filipowicza stał Antoni Antonowicz Sietoczkin i kilku innych urzędników, którzy przyjemnie się uśmiechali widząc, że jego ekscelencja raczy śmiać się i żartować. Stłoczeni na szczycie schodów również uśmiechali się i czekali, aż jego ekscelencja znów się roześmieje. Nie uśmiechał się jedynie Fiedosieicz, portier z wielkim brzuchem, który wyprostowany jak struna trzymał klamkę drzwi i z niecierpliwością oczekiwał porcji swej codziennej przyjemności polegającej na tym, aby jednym zamachem ręki szeroko otworzyć jedno skrzydło drzwi, a potem, zgiąwszy się w kabłąk, z szacunkiem przepuścić koło siebie jego ekscelencję. Ale najbardziej zapewne cieszył się i

odczuwał zadowolenie niegodny i niewdzięczny wróg pana Goladkina. Zapomniał nawet w tej chwili o wszystkich urzędnikach, przestał nawet swoim podłym zwyczajem wiercić się i dreptać między nimi, zapomniał nawet o tym, aby korzystając z okazji podliznąć się komuś w tej chwili. Zmienił się cały w słuch i wzrok, jakoś się dziwnie skulił, zapewne po to, aby wygodniej było słuchać nie spuszczać wzroku z jego ekscelencji, i tylko od czasu do czasu jego rękami, nogami i głową wstrząsały jakieś ledwo dostrzegalne drgawki ujawniając wszystkie wewnętrzne utajone poruszenia jego duszy.

„Ale go trzęsie! - pomyślał nasz bohater. - W łaski chce się wkraść, szubrawiec! Chciałbym też wiedzieć, czym to on

900

tak wszystkich ujmuje w eleganckim towarzystwie? Ani rozumu, ani charakteru, ani wykształcenia, ani wyczucia; ma szczęście, łajdak! Mój ty Boże! Pomyśleć tylko, jak to szybko człowiek może iść w górę i znaleźć uznanie u wszystkich! I zajdzie, i zajdzie daleko, przysięgam, że zajdzie ten łajdak, dogramoli się - ma łajdak szczęście! Chciałbym też wiedzieć, co właściwie on im wszystkim wszeptuje? Jakież to ma sekrety z tymi wszystkimi ludźmi i o jakich tajemnicach rozmawiają? Mój ty Boże! Gdybym to ja tak tego... i też z nimi troszeczkę... że niby tak i tak, może by go poprosić... że niby tak i tak, że już więcej nie będę; że niby to moja wina, a młody człowiek, wasza ekscelencjo, musi w naszych czasach pracować w urzędzie; a te moje ciemne okoliczności bynajmniej mnie nie krępują - właśnie tak! Protestować w jakiś tam sposób też nie będę i wszystko zniosę z cierpliwością i pokorą - właśnie tak! Może by w ten sposób postąpić? Ale ten łajdak niczym się nie przejmie, żadnymi perswazjami do niego się nie trafi; rozumu w ten jego zakuty łeb wbić nie można... A zresztą spróbujemy. Może się zdarzyć, że trafię na dobrą chwilę, trzeba spróbować...” Pełen niepokoju, smutku i zaambarasowania, czując, że tak nie można pozostawać, że przychodzi decydująca chwila, że trzeba przecież komuś wszystko wyjaśnić, nasz bohater zaczął powoli przesuwać się ku miejscu, gdzie stał jego niegodny i zagadkowy przyjaciel, ale w tej samej chwili przed gankiem zaturkotał dawno wyczekiwany powóz jego ekscelencji. Fie-dosieicz szarpnął drzwi i zgięty w pałąk przepuścił koło siebie jego ekscelencję. Wszyscy oczekujący runęli naraz do wyjścia i na krótką chwilę odepchnęli pana Goladkina-starszego od pana Goladkina-młodszego. „Nie wymkniesz mi się!” - mówił nasz bohater przedzierając się przez tłum i nie spuszczać wzroku z kogo należało. Wreszcie tłum się rozstał. Nasz bohater poczuł się wolny i pobiął pędem w pogoń za swoim nieprzyjacielem.

ROZDZIAŁ XI

Panu Goladkinowi zatykało oddech w piersi; jak na skrzydłach leciał za swoim szybko oddalającym się wrogiem. Czuł w sobie przyływ straszliwej energii, zresztą, pomimo przy-

901

plywu straszliwej energii, pan Goladkin mógł się śmiało spodziewać, że w tej chwili nawet zwyczajny komar, gdyby tylko zdołał przy takiej aurze żyć w Petersburgu, nie słychanie łatwo przetrąciłby go skrzydełkiem. Czuł przy tym, że oklapł i osłabł do reszty, że pcha go jakaś całkiem osobliwa i postronna siła, że wcale nie idzie sam przez się, przeciwnie, że nogi się pod nim uginają i odmawiają posłuszeństwa. Zresztą wszystko to mogłoby jeszcze obrócić się na lepsze. „Na lepsze czy nie na lepsze - myślał pan Goladkin tracąc prawie oddech z szybkiego biegu - ale teraz nie ma już najmniejszej wątpliwości, że sprawa jest przegrana; wiadomo już, orzeczono, postanowiono i podpisano, że zginąłem z kretesem.” Pomimo to nasz bohater jak gdyby powstał z martwych, jak gdyby wygrał batalię, jak gdyby odniósł zwycięstwo w chwili, gdy udało mu się pochwycić za płaszcz swego nieprzyjaciela, który stawiał już nogę na stopniu zgodzonej dokądś przed chwilą dorożki. - Łaskawy panie! łaskawy panie - zawołał dopędziwszy wreszcie nieszlachetnego pana

Goladkina-młodszeo. - Łaskawy panie, spodziewam się, że pan...

- Nie, niech się pan już raczej niczego nie spodziewa - wymijająco odparł nieczuły nieprzyjaciel pana Goladkina, stojąc jedną nogą na stopniu dorożki, a drugą z całych sił usiłując trafić na drugą stronę pojazdu, na próżno wymachując nią w powietrzu, usiłując zachować równowagę, a jednocześnie ze wszystkich sił starając się wyrwać z rąk pana Goladkina—starszego swój płaszcz, za który ten uchwycił ze wszystkimi danymi mu przez naturę siłami.

- Jakubie Pietrowiczu! tylko dziesięć minut...

- Pan wybaczy, nie mam czasu.

- Sam pan przyzna, Jakubie Pietrowiczu... proszę, Jakubie Pietrowiczu... na miły Bóg, Jakubie Pietrowiczu... tak i tak - chcę wyjaśnić... szczerze i odważnie... Na sekundkę, Jakubie Pietrowiczu!...

- Nie mam czasu, serdeńko - odparł z nieuprzejmą poufałością, ale z pozorami serdeczności fałszywie szlachetny nieprzyjaciel pana Goladkina - innym razem, proszę mi wierzyć, z całego serca, ale teraz - no, doprawdy nie mogę.

„Łajdak!” - pomyślał nasz bohater.

- Jakubie Pietrowiczu! - zawołał żałośnie - nie byłem nigdy pańskim wrogiem. Źli ludzie fałszywie mnie odmalowali-

902

wali... Gotów jestem ze swojej strony... Jakubie Pietrowiczu, czy nie zgodzi się pan, żebyśmy gdzieś teraz wstąpili?... I tam z całego serca, jak słusznie pan przed chwilą zauważył, prostym i szczerym językiem... o, do tej kawiarni: wtedy wszystko wyjaśni się samo przez się - wie pan, Jakubie Pietrowiczu! Wtedy niewątpliwie wszystko wyjaśni się samo przez się...

- Do kawiarni? Dobrze. Nie mam nic przeciwko temu, wstąpmy do kawiarni, pod jednym tylko warunkiem, moje słoneczko, pod jednym warunkiem - że tam wszystko wyjaśni się samo przez się, bo to niby tak i tak, serdeńko - rzekł pan Goladkin-młodszy schodząc ze stopnia dorożki i bezwstydnie poklepując naszego bohatera po ramieniu - przyjacielu mój; dla ciebie, Jakubie Pietrowiczu, gotów jestem iść boczną uliczką (jak to słusznie pan, Jakubie Pietrowiczu, raczył w swoim czasie zauważyć). Ale z pana kawalarz, robi pan z człowiekiem wszystko, co się panu podoba! - ciągnął fałszywy przyjaciel pana Goladkina, wiercąc się i uwijając koło niego z lekkim uśmiechem.

Oddalona od głównych ulic kawiarnia, do której weszli obaj panowie Goladkinowie, była w tej chwili zupełnie pusta. Jak tylko zadzwonił dzwonek, za ladą zjawiła się dosyć tęga Niemka. Pan Goladkin i jego niegodny nieprzyjaciel weszli do drugiego pokoju, gdzie pucowałowy i krótko ostrzyżony chłopak guzdrał się z wiązką drew przy piecu usiłując wzniecić w nim wygasły ogień. Na żądanie pana Goladkina-młodszeo podano czekoladę.

- Ale apetyczna kobietka - odezwał się pan Goladkin-

-młodszy po szelmowsku mrugnawszy do pana Goladkina-

-starszeo. Nasz bohater zarumienił się i zmilczał.

- A prawda, zapomniałem, przepraszam. Znam pański gust. Nas, łaskawco, kuszą chudziutki Niemeczki, my, serce ty moje, Jakubie Pietrowiczu, mamy apetyt na szczuplutkie, choć jeszcze nie pozbawione wdzięków Niemeczki; mieszkania u nich wynajmujemy, na moralność ich robimy zakusy, za fcier-zupę i za milch-zupę ofiarujemy im nasze serce i różne podpisy dajemy - proszę, czym to my się zajmujemy, Fau-błasię jeden, zdrajco jeden!

Wszystko to pan Goladkin-młodszy powiedział robiąc w ten sposób całkowicie niepotrzebną, choć

zresztą łajdacko chytrą aluzję do wiadomej osoby płci żeńskiej, uwijając się

903

koło pana Goladkina, uśmiechając się do niego z pozorami uprzejmości, fałszywie okazując w ten sposób życzliwość dla niego i radość ze spotkania z nim. Zauważywszy zaś, że pan Goladkin-starszy nie jest bynajmniej tak głupi i bynajmniej nie jest wyzbyty wykształcenia i wytwornych manier, aby mu od razu uwierzyć, ten nieszlachetny człowiek postanowił zmienić taktykę i poprowadzić sprawę otwarcie. Wypowiedziawszy tę nikczemność, obłudny pan Goladkin z oburzającym bezwstydem i poufałością poklepał solidnego pana Goladkina po ramieniu i nie zadowolony się tym zaczął z nim igrać w sposób wręcz niedopuszczalny w towarzystwie o dobrych manierach, a mianowicie zdecydował się powtórzyć swoją uprzednią nikczemność, to znaczy, pomimo oporu i lekkich okrzyków oburzonego pana Goladkina-starszego, uszczypnął go w policzek. Na widok takiego rozwydrzenia nasz bohater zawrzał oburzeniem i zmilczał... zresztą do czasu.

- Taka jest opinia moich wrogów - odrzekł wreszcie drżącym głosem, hamując się rozważnie. Jednocześnie nasz bohater oglądał się niespokojnie na drzwi. Chodziło o to, że pan Goladkin-młodszy był niezawodnie w doskonałym humorze i gotów był puścić się na różne dowcipki niedopuszczalne w miejscu publicznym, a mówiąc ogólnie - niedopuszczalne według przepisów światowych, zwłaszcza w wytwornym towarzystwie.

- No to w takim razie, jak pan sobie chce - poważnie odpowiedział pan Goladkin-młodszy na myśl pana Goladkina—starszego i postawił na stole swą pustą, wypitą z nieprzyzwoitą łapczywością filiżankę. - No, nie mam tu z panem nic do roboty, zresztą... No, jakże się teraz panu powodzi, Jakubie Pietrowiczu?

- Jedno tylko mogę panu powiedzieć, Jakubie Pietrowiczu - z godnością i z zimną krwią odrzekł nasz bohater - że nigdy nie byłem pańskim wrogiem.

- Hm... no, a Pietrek? Jak mu tam? Zdaje się, że Pie-trek? - no tak! Co, jak się miewa? dobrze? po dawnemu?

- I on również po dawnemu, Jakubie Pietrowiczu - odrzekł nieco zdumiony pan Goladkin-starszy. - Nie wiem, Jakubie Pietrowiczu... jeśli chodzi o mnie... o człowieka szlachetnego, szczerego, Jakubie Pietrowiczu, to sam się pan zgodzi, Jakubie Pietrowiczu...

904

- Tak jest. Ale sam pan wie, Jakubie Pietrowiczu - odpowiedział cichym a dobitnym głosem pan Goladkin-młodszy udając w ten sposób smutnego, pełnego skruchy i żalu przyzwoitego człowieka - sam pan wie, że czasy są ciężkie... Zdam się na pana, Jakubie Pietrowiczu, jest pan człowiekiem mądrym i oceni pan sprawiedliwie - wtrącił pan Goladkin—młodszy podle przypodchlebiając się panu Goladkinowi-star-szemu. - Życie to nie zabawka - sam pan wie, Jakubie Pietrowiczu - zakończył wieloznacznie pan Goladkin-młodszy udając w ten sposób człowieka mądrego i uczonego, który potrafi mówić na wzniosłe tematy.

- Jeśli chodzi o mnie, Jakubie Pietrowiczu - odrzekł z zapałem nasz bohater - jeśli chodzi o mnie, to gardząc krętymi ścieżkami i mówiąc śmiało a otwarcie, mówiąc językiem prostym, szlachetnym i stawiając całą sprawę na płaszczyźnie szlachetności, powiem, a mogę mówić otwarcie i twierdzić z całą szlachetnością serca, Jakubie Pietrowiczu, że jestem całkowicie czysty i że sam pan .wie, Jakubie Pietrowiczu, obopólne nieporozumienie - wszystko to może być opinią świata, mniemaniem niewolniczego tłumu... Mówię otwarcie, Jakubie Pietrowiczu, że wszystko to być może. Dodam jeszcze, Jakubie Pietrowiczu, że jeśli sądzić w ten sposób, jeśli patrzeć na sprawę ze szlachetnego i wzniosłego punktu widzenia, to śmiało mogę powiedzieć, mogę powiedzieć bez fałszywego wstydu, Jakubie Pietrowiczu, że nawet mi sprawi przyjemność wyznać, iż się myliłem,

będzie mi nawet przyjemnie przyznać się do tego. Sam pan wie, jest pan człowiekiem mądrym, a ponadto szlachetnym. Bez wstydu, bez fałszywego wstydu gotów jestem przyznać się do tego... -z godnością i dumą zakończył nasz bohater.

- Fatum, los! Jakubie Pietrowiczu... ale zostawmy to wszystko - rzekł z westchnieniem pan Goladkin-młodszy. - Użyjmy raczej krótkich chwil naszego spotkania na przyjemniejszą i pożyteczniejszą rozmowę, jak przystoi dwóm kolegom biurowym... Doprawdy nie udawało mi się jakoś zamienić z panem dwóch słów przez ten cały czas... To nie moja wina, Jakubie Pietrowiczu...

- I nie moja - z zapalem przerwał mu nasz bohater - i nie moja! Serce mi powiada, Jakubie Pietrowiczu, że nie ja jestem winien temu wszystkiemu. Musimy to wszystko zwalić

905

na los, Jakubie Pietrowiczu - dodał pan Goladkin-starszy całkiem już pojednawczym tonem. Głos jego zaczął stopniowo słabnąć i drżeć.

- No co? Jak się pan w ogóle czuje ze zdrowiem? - spytał słodkim głosem brat marnotrawny.

- Pokasłuję trochę - jeszcze słodszy głosem odpowiedział nasz bohater.

- Niech pan uważa. Panują teraz takie wiatry, że łatwo złapać anginę, i przyznam się panu, że jeśli chodzi o mnie, to zacznę już owijać szyję flanelą.

- Ma pan rację, Jakubie Pietrowiczu, łatwo złapać anginę... Jakubie Pietrowiczu! - odezwał się po chwili milczenia nasz bohater.-Jakubie Pietrowiczu! Widzę, że się myliłem... Wspominam z rozrzewnieniem te szczęśliwe chwile, które udało się nam spędzić razem pod biednym, ale, ośmielię się powiedzieć, moim gościnnym dachem...

- W swoim liście nie to pan jednak napisał - z niejakim wyrzutem powiedział nader sprawiedliwy (zresztą jedynie pod tym względem nader sprawiedliwy) pan Goladkin-młodszy.

- Myliłem się, Jakubie Pietrowiczu... Teraz widzę jasno, że się myliłem również w tym nieszczęsnym moim liście. Jakubie Pietrowiczu, patrząc na pana mam wyrzuty sumienia, Jakubie Pietrowiczu, pan nie uwierzy... Niech mi pan da ten list, abym go w pańskich oczach podarł, Jakubie Pietrowiczu, a jeśli to już nie jest możliwe, to błagam, niech pan czyta go na odwrót - absolutnie na odwrót, to znaczy od razu z przyjaznym nastawieniem, nadając odwrotny sens wszystkim słowom mego listu. Myliłem się. Niech mi pan wybaczy, Jakubie Pietrowiczu, ale ja się absolutnie... głęboko się myliłem, Jakubie Pietrowiczu.

- Tak pan mówi? - z pewnym roztargnieniem i dość obojętnie zapytał wiarołomny przyjaciel pana Goladkina-star-szego.

- Mówię, że się całkowicie myliłem, Jakubie Pietrowiczu, i że ze swojej strony absolutnie bez fałszywego wstydu...

- Ano, to dobrze! To bardzo dobrze, że pan się mylił - brutalnie odrzekł pan Goladkin-młodszy.

- Miałem nawet, Jakubie Pietrowiczu, pewną myśl - dodał w sposób szlachetny nasz szczerzy bohater, całkiem nie dostrzegając okropnego wiarołomstwa swego fałszywego przy-

906

jaciela - miałem nawet pewną myśl, że to niby przyszło na świat dwóch ludzi całkowicie do siebie podobnych...

- O, to jest pańska myśl!... •

Tu znany ze swego łajdactwa pan Goladkin-młodszy wstał i chwycił za kapelusz. Wciąż jeszcze nie uświadamiając sobie podstęp, wstał również pan Goladkin-starszy, prostodusznie i godnie

uśmiechając się do swego przyjaciela i starając się w swej naiwności przygarnąć go, ośmielić i w ten sposób nawiązać z nim na nowo przyjaźń...

- Żegnam waszą ekscelencję! - zawołał nagle pan Goladkin-młodszy. Bohater nasz zadrzał, dostrzegłszy w twarzy swojego wroga coś aż bachicznego i jedynie po to, aby się odczepić, wetknął w wyciągniętą do niego dłoń wyzbytego skrupułów człowieka dwa palce swojej dłoni, ale tu... tu bezczelność pana Goladkina-młodszego przekroczyła wszelkie granice. Chwyciwszy dwa palce pana Goladkina-starszego i najpierw je uściśnawszy, ten niegodny, w tej samej chwili, na oczach pana Goladkina, odważył się powtórzyć swój poranny bezwstydną kawał. Wyczerpała się miara cierpliwości ludzkiej.

Chował już do kieszeni chustkę, którą wytarł palce, gdy pan Goladkin-starszy opamiętał się i pobiegł za nim do sąsiedniego pokoju, dokąd swym wstrętnym zwyczajem natychmiast wymknął się jego nieprzejednany wróg, który jak gdyby nigdy nic stał sobie przy ladzie, zjadał pierożki i najspokojniej w świecie, jak przyzwoity człowiek, prawił miłe słówka Niemce, właścicielce cukierni. „Nie można przy paniach” - pomyślał nasz bohater i również zbliżył się do lady, nieprzytomny ze wzburzenia.

- A faktycznie kobiecinka niczego sobie! Jak pan sądzi? - zaczął znowu swoje nieprzyzwoite dowcipy pan Goladkin-

-młodszy licząc zapewne na bezgraniczną cierpliwość pana Goladkina. Jeśli chodzi o grubą Niemkę, to patrzyła na obu swoich klientów ołowianym, bezmyślnym wzrokiem; zapewne nie rozumiała po rosyjsku i uśmiechała się uprzejmie. Nasz bohater, słysząc słowa bezwstydne pana Goladkina-młodszego, zapłonął jak ogień i nie panując już nad sobą rzucił się wreszcie na niego z wyraźnym zamiarem, aby go rozszarpać i w ten sposób ostatecznie z nim skończyć; ale pan Goladkin-

-młodszy zgodnie ze swym podłym zwyczajem był już daleko: dał nogę, był już na ganku. Rozumie się samo przez się, że

907

po chwili nagłego osłupienia pan Goladkin-starszy opamiętał się i co sił pobiegł za swoim krzywdzicielem, który wsiadał już do czekającej dorożki, zgodzonej zapewne na wszelki wypadek. Ale w tej samej chwili grubą Niemką widząc ucieczkę obu klientów pisnęła i z całej siły zadzwoniła swoim dzwoneczkiem. Bohater nasz odwrócił się, niemal w biegu rzucił jej pieniądze za siebie i za tego bezczelnego człowieka, który nie zapłacił, i nie czekając na wydanie reszty, choć stracił nieco czasu, zdążył jednak, jakkolwiek znów w -biegu, dopaść swego nieprzyjaciela. Uchwyciwszy się wszystkimi danymi mu przez naturę siłami błotnika dorożki, nasz bohater przez pewien czas pędził ulicą wdrapując się do pojazdu, odpychany z całej siły przez pana Goladkina-młodszego. Jednocześnie dorożkarz zarówno batem, jak i lejcami, zarówno nogą, jak i słowami poganiał swą zajeżdżoną szkapę, która całkiem niespodziewanie popędziła klusem prz gryzając wędzidła i co trzeci krok wierzgając, jak to miała we zwyczaju, tylnymi nogami. Wreszcie nasz bohater zdołał jednak umieścić się w dorożce twarzą do swego nieprzyjaciela, plecami opierając się o plecy dorożkarza, kolanami o kolana łajdaka, a prawą ręką ze wszystkich sił wczepiwszy się w nędzny futrzany kołnierz u płaszcza swego rozwydrzonego i tak bardzo zajadłego wroga...

Wrogowie pędzili i przez pewien czas milczeli. Nasz bohater z trudem łapał oddech; droga była okropna i pan Goladkin—starszy raz po raz podskakiwał na siedzeniu narażając się każdej chwili na skręcenie karku. Ponadto jego rozwścieczony wróg wciąż jeszcze nie uznawał się za pokonanego i usiłował zepchnąć swego przeciwnika w błoto. Na domiar wszystkich tych przykrości pogoda była okropna. Śnieg walił wielkimi płatami i ze swej strony również wszelkimi sposobami usiłował dostać się pod rozpięty płaszcz prawdziwego pana Goladkina. Dokoła było ciemno choć oko wykol. Trudno było zdać sobie sprawę, dokąd tak pędzą i jakimi ulicami... Papu

Goladkinowi wydało się, że dzieje się z nim coś dziwnie mu znajomego. Przez krótką chwilę usiłował przypomnieć sobie, czy czegoś podobnego nie przeczł już wczoraj... na przykład we śnie... Wreszcie męka jego doszła do szczytu - niemal do agonii. Wparł się w swego nielitościwego przeciwnika i zaczął krzyczeć. Ale krzyk zamierał mu na wargach... Była chwila, gdy pan Goladkin zapomniał o wszystkim i zdecydował, że wszystko to nic

908

takiego, że to tylko tak sobie, że dzieje się to tak sobie, w sposób niewyjaśniony i że wobec tego protestować byłoby rzeczą zbędną, całkowicie zbyteczną... Ale nagle, i to prawie w tej samej chwili, gdy nasz bohater dochodził do tego wniosku, jakieś nieostrożne szarpnięcie odmieniło cały bieg sprawy. Pan Goladkin jak worek mąki wywalił się z dorożki i gdzieś się stoczył, zupełnie słusznie uświadamiając sobie w chwili upadku, że istotnie dość nie w porę się uniosł. Zerwawszy się wreszcie na nogi, dostrzegł, dokąd przyjechali; dorożka stała na środku czyjegoś podwórza i nasz bohater na pierwszy rzut oka dostrzegł, że jest to podwórze domu, gdzie mieszka Ołsufij Iwanowicz. W tej samej chwili dostrzegł, że jego przyjaciel wchodzi już na ganek, zapewne do Ołsufia Iwanowicza. Pełen niewymownej rozpacz, skoczył był, aby dogonić swego nieprzyjaciela, ale na szczęście rozważnie w porę się opamiętał. Nie zapomniawszy zapłacić dorożkarzowi, pan Goladkin wybiegł na ulicę i pobiegł co sił, gdzie oczy poniosą. Śnieg jak przedtem walił grubymi płatami; jak przedtem było mglisto, mokro i ciemno. Bohater nasz nie szedł, lecz leciał, przewracając wszystkich po drodze - mężczyzn, baby i dzieci, i sam z kolei odskakując od bab, mężczyzn i dzieci. Wokoło i w ślad za nim słychać było lękliwy gwar, pisk, krzyki... Ale pan Goladkin był najwidoczniej nieprzytomny i na nic nie zwracał uwagi... Opamiętał się zresztą już przy moście Siemionowskim, a i to jedynie dlatego, że jakoś niezręcznie potrącił i przewrócił dwie baby niosące jakieś tam towary i sam przewrócił się wraz z nimi. „To nic takiego - pomyślał pan Goladkin - wszystko to jeszcze może mi się obrócić na dobre” - i od razu wsadził rękę do kieszeni pragnąc srebrnym rublem pozbyć się pretensji o rozsypane pierniki, jabłka, groch i różne różności. Wtem nowe światło spłynęło na pana Goladkina; w kieszeni namacał list, który mu rano oddał pisarz. Przypomniawszy sobie przy okazji, że zna tutaj niedaleko pewną knajpę, wszedł do niej, natychmiast usiadł przy stoliku oświetlonym łojową świeczką i nie zwracając na nic uwagi, nie słysząc kelnera, który zjawił się po zamówienie, złamał pieczęć i zaczął czytać, co następuje, a co już go zaskoczyło ostatecznie:

„Szlachetny, za mnie cierpiący
i na wieki sercu mojemu miły człowieku!
Cierpię, ginę - ocal mnie! Oszczyerca, intrygant i człowiek

909

znany ze swego niecnego nastawienia omotał mnie w swoje sieci i jestem stracona! Upadłam! Ale on jest mi wstrętny, a Ty!... Rozłączono nas, przechwytywano moje listy do Ciebie - a wszystko to uczynił ten nieobyczajny człowiek wykorzystawszy jedyną swoją dobrą cechę - podobieństwo do Ciebie. Wszakże można być nieładnym, ale czarować umysłem, silnymi uczuciami i wytwornymi manierami... Ginę! Wydają mnie siłą za żonę, a najbardziej intryguje tu mój ojciec, mój dobrodziej i radca stanu Ołsufij Iwanowicz, pragnąc zapewne zająć moje miejsce i moje stosunki w wytwornym towarzystwie... Ale ja się już zdecydowałam i protestuję wszystkimi danymi mi przez naturę siłami. Czekaj na mnie ze swoją karetą dzisiaj, punktualnie o dziesiątej pod oknami mieszkania Ołsufia Iwanowicza. U nas znów będzie bal i będzie przystojny porucznik. Wyjdę i uciekniemy. Istnieją przecież inne instytucje, gdzie jeszcze można przynosić pożytek ojczyźnie. W każdym razie pamiętaj, przyjacielu, że niewinność mocna jest już przez swoją niewinność. Żegnaj. Czekaj z karetą przed podjazdem. Rzucę się w Twoje opiekuńcze ramiona punktualnie o drugiej po północy.

Twoja do grobu Klara Olsufiewna”

Przeczytawszy list bohater nasz przez kilka minut trwał w osłupieniu. W straszliwym napięciu, w okropnym zdenerwowaniu, blady jak chusta, z listem w rękę kilka razy przeszedł się po pokoju. Na domiar swoich nieszczęść nasz bohater nie zauważył, że stał się w tej chwili przedmiotem wyłącznej uwagi wszystkich znajdujących się w pokoju. Zapewne nieład jego stroju, niepohamowane wzburzenie, chodzenie, czy też raczej bieganie po sali, gestykulacja obu rękami, a może i kilka zagadkowych słów wypowiedzianych na wiatr i nieświadomie - zapewne wszystko to bardzo źle wpłynęło na opinię obecnych o panu Goladkinie i nawet kelner zaczął popatrywać na niego podejrzliwie. Nasz bohater, gdy się ocknął, spostrzegł, że stoi pośrodku pokoju i w sposób prawie nieprzyzwoity i nieuprzejmy patrzy na pewnego staruszka o bardzo szanownym wyglądzie, który posiliwszy się i pomodliwszy przed ikoną, usiadł z powrotem na swoim miejscu i również nie spuszczał wzroku z pana Goladkina. Nasz bohater niespokojnie rozejrzał się dokoła i zauważył, że wszyscy,

910

dosłownie wszyscy, patrzą na niego z minami nader złowrogimi i podejrzanymi. Wtem pewien dymisjonowany wojskowy z czerwonym kołnierzem głośno zażądał „Gazety Policyjnej”⁸. Pan Goladkin drgnął i zarumienił się: przypadkiem jakoś spuścił oczy i ujrzał, że był w tak nieprzyzwoitym stroju, że nawet u siebie w domu nie wypadłoby mu tak chodzić, cóż dopiero w miejscu publicznym. Buty, spodnie i cały lewy bok były okropnie obłocone, strzemionko u prawej nogawki zerwane, a frak podarty w wielu miejscach. Niewymownie zgnębiony, nasz bohater podszedł do stołu, przy którym czytał list, i ujrzał, że zbliża się do niego służący i ma jakiś dziwny i bezczelnie natarczywy wyraz twarzy. Zmieszany i całkowicie zdetonowany, nasz bohater zaczął patrzeć na stół, przy którym teraz siedział. Na stole stały nie sprzątnięte po czymś obiedzie talerze, leżała zbrudzona serwetka i dopiero co używane widelec, nóż i łyżka. „Któż tu jadł obiad? - pomyślał nasz bohater. - Czyżby to ja? Wszystko być może! Zjadłem i nawet nie zauważyłem; co teraz robić?” Podniósłszy wzrok pan Goladkin ujrzał obok siebie kelnera, który chciał mu coś powiedzieć.

- Ile się należy? - zapytał nasz bohater drżącym głosem.

Dokoła pana Goladkina rozległ się głośny śmiech; uśmiechnął się nawet kelner. Pan Goladkin zrozumiał, że i tu się naciął i zrobił jakieś straszne głupstwo. Zrozumiawszy to wszystko, zmieszał się tak, że musiał sięgnąć do kieszeni po chustkę, zapewne tylko po to, aby coś zrobić i nie stać w ten sposób, ale ku nieopisanemu swemu i wszystkich otaczających zdumieniu wyciągnął zamiast chustki buteleczkę z jakimś lekarstwem, które mu cztery dni temu zapisał Kristian Iwanowicz. „Medykamenty w tej samej aptece” - przemknęło przez myśl pana Goladkina... Nagle zadrżał i omal nie krzyknął z przerażenia. Spływało nowe światło... Ciemnoczerwony wstrętny płyn złowrogim odbłaskiem błysnął przed oczami pana Goladkina... Fiolka wysliznęła mu się z rąk i stłukła się natychmiast. Bohater nasz krzyknął i odskoczył ze dwa kroki w tył od rozlanego płynu... Drżał na całym ciele, a pot wystąpił mu na skroniach i na czole. „A więc życie jest w niebezpieczeństwie!” Tymczasem w pokoju zrobił się ruch, zamieszanie; wszyscy otoczyli pana Goladkina, wszyscy coś mówili do pana Goladkina, niektórzy nawet szarpali pana

911

Goladkina. Ale bohater nasz pozostawał niemy i nieruchomy, nic nie widząc, nic nie słysząc, nic nie czując... Wreszcie, jak gdyby pchnięty jakąś siłą, wybiegł z knajpy, roztrącił wszystkich, którzy usiłowali go zatrzymać, prawie nieprzytomny padł na siedzenie pierwszej dorożki, która mu się trafiła, i popędził do domu.

W sieni spotkał Michiejewa, woźnego z departamentu, z urzędowym pismem w rękę. „Wiem, przyjacielu, wszystko wiem - rzekł słabym, żalonym głosem nasz udręczony bohater - to

oficjalne...” W piśmie rzeczywiście było podpisane przez Andrzeja Filipowicza polecenie, aby pan Golad-kin przekazał znajdujące się w jego rękach akta Iwanowi Sie-mionowiczowi. Pan Goladkin wziął pismo i dał woźnemu dziesiątkę, a kiedy wszedł do swego mieszkania, ujrzał, że Pietrek przygotowuje i zbiera w jedną kupkę wszystkie swoje łachy i graty, wszystkie swoje rzeczy, zapewne w zamiarze porzucenia pana Goladkina i przeniesienia się od niego do Karoliny Iwanowny, aby zastąpić jej Eustachego - widocznie Karolina Iwanowna go znęcała.

ROZDZIAŁ XII

Pietrek wszedł chwiejnym krokiem, zachowując się jakoś dziwnie niedbale, miał przy tym jakiś po lokaj sku uroczysty wyraz twarzy. Widać było, że coś sobie zamyślił, uważał, że ma pełne do tego prawo, i czuł się człowiekiem zupełnie postronnym, to znaczy służącym kogo innego, bynajmniej nie dawnym służącym pana Goladkina.

- No więc widzisz, mój kochany - zaczął nasz bohater łapiąc oddech - która teraz godzina, mój kochany ?

Pietrek milcząc ruszył za przepierzenie, potem wrócił i dość niezależnym tonem oznajmił, że jest już blisko pół do ósmej.

- No dobrze, mój kochany, dobrze. No, widzisz, mój kochany... pozwól sobie powiedzieć, mój kochany, że między nami jest już, zdaje się, wszystko skończone.

Pietrek milczał.

- No, teraz gdy już wszystko między nami skończone, to powiedz mi szczerze, powiedz jak przyjacielowi, gdzieś ty był, bracie ?

912

- Gdzie byłem? U dobrych ludzi.

- Wiem, przyjacielu, wiem. Byłem z ciebie zawsze zadowolony, mój kochany, i dam ci świadectwo... No cóż, u nich jesteś teraz?

- Cóż, wielmożny panie! sam pan raczy wiedzieć. Wiadomo, dobry człowiek nie nauczy niczego złego.

- Wiem, mój kochany, wiem. Dziś dobrzy ludzie to rzadkość, przyjacielu; musisz ich cenić. No, jak oni tam?

- Wiadomo jak... Tylko że ja u pana, wielmożny panie, dłużej służyć już nie mogę; sam pan raczy wiedzieć.

- Wiem, mój kochany, wiem, znam twoją gorliwość; wszystko widziałem, przyjacielu, wszystko zauważyłem. Szanuję cię, przyjacielu. Dobrego i uczciwego człowieka, choćby to był lokaj, zawsze szanuję.

- Cóż, wiadomo! My, służący, faktycznie, sam pan raczy wiedzieć, idziemy, gdzie lepiej. Tak już jest. Co mi tam! Wiadomo, wielmożny panie, wszędzie się znajdują dobrzy ludzie.

- No, dobrze, bracie, dobrze; ja to rozumiem... no, masz tu swoje pieniądze i swoje świadectwo. Teraz pocałujmy się, braciszku, pożegnajmy się... no, a teraz, mój kochany, poproszę cię o jedną przysługę, o ostatnią przysługę - rzekł pan Goladkin uroczystym tonem. - Widzisz, mój kochany, różnie to bywa. Niestety, przyjacielu, znajduje schronienie również i w złotych pałacach i nigdzie przed nim nie można się skryć. Ty wiesz, przyjacielu, zdaje się, że zawsze byłem dla ciebie dobry...

Pietrek milczał.

- Zdaje się, że zawsze byłem dla ciebie dobry, mój kochany... No, ile mamy teraz bielizny, mój kochany?

- Jest wszystko. Koszul płóciennych sześć, skarpetek trzy pary, cztery półkoszulki, koszulka flanelowa, dolnej bielizny dwie pary. Sam pan wie, to wszystko. Ja, wielmożny panie, nic pańskiego... Ja, wielmożny panie, pilnuję pańskiego dobra. Ja z wielmożnym panem tego... wiadomo... a żeby tam coś - to nigdy, wielmożny panie, to już sam wielmożny pan wie...

- Wierzę ci, przyjacielu, wierzę. Nie o tym mówię, przyjacielu, nie o tym; widzisz, jest taka sprawa, przyjacielu...

- Faktycznie, wielmożny panie, to już wiadomo. Gdy

i . i” ..,t”ski, t ni 913

służyłem jeszcze u generała Stołbniakowa, to jak mnie zwalniał, bo sam wyjeżdżał do Saratowa... wioskę tam ma pan generał...

- Nie, mój przyjacielu, nie o tym mówię; ja nic takiego... ty sobie czasem czego nie pomyśl, kochany przyjacielu...

- Wiadoma rzecz. Co się tyczy służby, to sam pan wie, łatwo posądzić człowieka. A ze mnie wszędzie byli zadowoleni. Byli zadowoleni ministrowie, generałowie, senatorowie, hrabiowie, wielmożny panie. U wszystkich służyłem, u księcia Swinczatkina, u pułkownika Pierieborkina, u generała Niedo-barowa - i też przychodzili, jeździli do mojej wioski. Wiadoma rzecz...

- Tak, przyjacielu, tak; dobrze, przyjacielu, dobrze. Widzisz, i ja teraz wyjeżdżam, przyjacielu... Każdemu, mój kochany, własna droga sądzona i nie wiadomo, na jaką drogę człowiek może trafić. No, przyjacielu, pomóż mi teraz się ubrać; potem złożysz mój surdut... drugie spodnie, prześcieradła, kołdry, poduszki...

- Każe pan wszystko zawiązać w tobołek?

- Tak, przyjacielu, tak; chyba w tobołek... Kto wie, co się nam może przydarzyć. No, a teraz, mój kochany, pójdziesz i poszukasz karety...

- Karety?...

- Tak, przyjacielu, poszukasz karety, tylko żeby była dość duża i na dłuższy okres czasu. A ty sobie, przyjacielu, nie pomyśl czasem czegoś...

- A daleko pan chce jechać?

- Nie wiem, przyjacielu, tego też nie wiem. Pierzynę, myślę, też trzeba będzie tam położyć. Jak sądzisz, przyjacielu? Polegam na tobie, mój kochany.

- Czy już zaraz pan wyjeżdża?

- Tak, przyjacielu, tak! Zdarzyły się takie okoliczności... widzisz, tak właśnie jest, tak właśnie jest...

- Wiadoma rzecz, wielmożny panie; na przykład u nas w pułku porucznikowi to samo się zdarzyło; tamtejszemu dziedzicowi... porwał...

- Porwał?... Jakże to? Mój kochany, ty...

- Tak jest, porwał i pobrali się w innej wiosce, wszystko było z góry przygotowane. Była pogoń; tylko że się nieboszczyk książę wtrącił do tego - no i jakoś załagodził całą sprawę...

914

- Pobrali się? Tak... a jakże ty, mój kochany? W jaki sposób ty o tym wszystkim wiesz, mój kochany?

- Ano, wiadomo, co tam! Słuchy chodzą po ludziach, wielmożny panie. My wszystko wiemy, wielmożny panie... bo i faktycznie, komuż taka rzecz się nie przydarzyła? Tylko że, powiem panu, wielmożny panie, niech mi wielmożny pan pozwoli powiedzieć wedle mego chłopskiego rozumu, jak już teraz na to poszło, to powiem wielmożnemu panu: ma wielmożny pan wroga - rewala, wielmożny pan ma, mocnego re-wala, ot co...

- Wiem, przyjacielu, wiem; sam wiesz, mój kochany... no, to ja już polegam na tobie. Co mam teraz robić, przyjacielu? Jak ty mi radzisz?

- Ano, jak już wielmożny pan teraz, że tak powiem, poszedł na tę drogę, to teraz wielmożny pan będzie musiał co nieco kupić - no, powiedzmy, prześcieradła, poduszki, drugą pierzynę, podwójną, przyzwoitą kołdrę - no to tu sąsiadka na dole ma, wielmożny pan wie, ta przekupka; ma dobrą salopkę na lisach, to można ją obejrzeć i kupić, można zaraz tam pójść i zobaczyć. Przecież wielmożnemu panu teraz potrzebna dobra, kryta atlasem salopka na lisach...

- No dobrze, przyjacielu, dobrze, zgadzam się, przyjacielu, polegam na tobie, całkowicie polegam na tobie; może być i salopka, mój kochany... Tylko pośpiesz się, pośpiesz! Na miłość boską, pośpiesz się! Kupię i salopkę, tylko błagam, pośpiesz się! Już zaraz ósma, prędzej, na miły Bóg, przyjacielu! pośpiesz się, przyjacielu!...

Pietrek rzucił nie dowiązany toból z bielizną, poduszkami, kołdrą, prześcieradłami i różnymi lachami, który zaczął był układać i zawiązywać, i na łeb na szyję wybiegł z pokoju. Pan Goladkin tymczasem jeszcze raz chwycił list - ale czytać nie mógł. Ująwszy w obie ręce swą nieszczęsną głowę, pełen zdumienia, oparł się o ścianę. Nie mógł o niczym myśleć, nie mógł również nic robić, sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Wreszcie, widząc że czas mija i ani Pietrek, ani salopka się nie zjawiają, pan Goladkin postanowił pójść sam. Otworzywszy drzwi do sieni usłyszał na dole hałas, gwar, sprzeczkę i rozhowory... Kilka sąsiadek gadało, wrzeszczało, rozprawiało o czymś - pan Goladkin dobrze wiedział, o czym. Słysząc było głos Pietrka, potem rozległy się czyjeś kroki. „Boże! Oni tu zaraz

58- 915

zwołają całe miasto!” - jęknął pan Goladkin załamując w rozpacz ręce i biegnąc z powrotem do swego pokoju. Jak tylko przybiegł do swego pokoju, upadł prawie nieprzytomny na kanapę twarzą do poduszki. Poleżał w ten sposób chwilę, zerwał się i nie czekając na Pietrka włożył kalosze, kapelusz, płaszcz, złapał swój portfel i zbiegł na złamanie karku ze schodów. „Nic nie trzeba, nic, mój kochany! -ja sam, ja wszystko sam. Tymczasem nie jesteś potrzebny, a może przez ten czas wszystko jakoś się uładzi i obróci się na lepsze” - wymamrotał pan Goladkin do Pietrka, którego spotkał na schodach; potem wybiegł z domu na podwórze; serce mu zamierało; nie potrafił jeszcze rozstrzygnąć, jak ma się zachować, co ma robić, jak w tej krytycznej chwili postąpić...

- No, proszę: jak mam postąpić, mój Boże? I trzeba było tego wszystkiego! - zawołał wreszcie w rozpacz, idąc ulicą na ślepo, dokąd oczy poniosą - trzeba było tego wszystkiego! Przecież gdyby tego nie było, właśnie tego, to wszystko by się jakoś ułożyło; od razu za jednym zamachem, za jednym zręcznym, energicznym, stanowczym zamachem wszystko by się ułożyło. Palec dałbym sobie uciąć, że ułożyłoby się! I nawet wiem, w jaki sposób by się ułożyło. Zrobiłoby się to wszystko właśnie w ten sposób: ja bym tu tego - że niby tak i tak, a ja, łaskawy panie, że tak powiem, ni tędy, ni owędy; że niby tak się spraw nie załatwia, że niby, łaskawy i wielce szanowny mój panie, tak się spraw nie załatwia i samozwaństwem nic się u nas nie wskóra, samozwaniec, łaskawy panie, to człowiek tego... niecny i pożytku ojczyźnie nie przynosi. Rozumie pan to? Czy pan to rozumie, szanowny panie?! Tak właśnie trzeba by tego... A zresztą nie, cóż... to wcale nie jest tak tego, wcale nie tego... Coś tu jednak bujam, głupiec jeden! co za samobójca ze mnie! Też doprawdy, samobójco jeden, całkiem nie tego... Widzisz, rozpuszczony człowieku, widzisz, co to się teraz wyrabia! No i gdzież ja się teraz podzieję? No i co ja na ten przykład mam teraz ze sobą

robić? No i na co ja się teraz nadaję? No i na co ty się teraz, prawdę powiedziawszy, nadajesz, taki Goladkin, taki niegodny! No i co teraz? Trzeba wziąć karetę; weź i daj jej zaraz karetę; bo to niby nóżki sobie zamocz, jeżeli karety nie będzie... I kto by to pomyślał? Ależ panienczka, ależ dobrodziejka moja! ależ cnotliwa panna! ależ wychwalana. Popisała się panienka, co tu gadać, po-
916

pisala się!... A wszystko tę z niemoralnego wychowania; a ja, jak się teraz przyjrzałem i rozgryzłem to wszystko, to widzę, że przyczyną tego nie jest nic innego tylko niemoralność. Gdyby tak za młodu ją tego... i od razu różgą, a oni jej cukierki, a oni jej słodczye różne pchają, a sam dziadyga ślini się nad nią: takaś ty moja i owaka moja, ładna jesteś, za hrabiego cię wydam!... No to teraz wyszła i pokazała nam swoje karty; patrzcie, taką to grę prowadzę! Zamiast żeby ją trzymać za młodu w domu, oni ją na pensję, do francuskiej madamy, do jakiejś tam emigrantki Falbalas;9 a ona się tam różnych rzeczy uczy u tej emigrantki Falbalas - no to wszystko tak właśnie się kończy. Ano, chodź tu, człowieku, ciesz się! Ano, zajedź karetą o tej i o tej godzinie pod okna i zaśpiewaj sentymentalny romans po hiszpańsku; oczekuję cię i wiem, że mnie kochasz, i że razem uciekniemy, i że będziemy żyli w ubogiej chatce. Ale przecież tak nie można, przecież, łaskawa pani - jak już na to poszło - to doprawdy tak nie można, nawet prawo zakazuje porywać przyzwoitą i niewinną pannę z rodzicielskiego domu bez zgody rodziców! A wreszcie po co to, na co, w jakim celu? No, wyszłaby sobie za kogo trzeba, kogo los jej przeznaczył, i sprawa załatwiona. A ja jestem człowiekiem na urzędzie, a ja mogę przez to posadę stracić, a ja, łaskawa pani, mogę za to trafić pod sąd! Proszę, jeśli pani o tym nie wiedziała. To robota Niemki. To wszystko przez tę czarownicę, przez nią zawsze z igły widły. A to dlatego, że człowieka oczerniono, dlatego że wymyślono na niego babską plotkę, niestworzone rzeczy; wszystko przez to, że tak radził Andrzej Filipowicz. Bo inaczej po co by miał się tu wtrącać Pietrek? Co mu do tego? czy to jego sprawa, tego szelmy? Nie, nie mogę, łaskawa pani, w żaden sposób nie mogę, za nic nie mogę... I niech mi łaskawa pani tym razem jakoś wybaczy. To wszystko przez panią, moją dobrodziejko, wcale nie przez tę Niemkę; to wcale nie przez czarownicę, to zwyczajnie przez panią, bo z czarownicy dobra kobiecina, bo czarownica nie jest niczemu winna, a pani, dobrodziejko moja, jest winna - tak właśnie! Niepotrzebnie mnie pani, dobrodziejko moja, w to wciąga... Tu człowiek ginie, tu z własnej woli człowiek ginie i sam się nie może powstrzymać - gdzie tu myśleć o weselu! I jak się to wszystko skończy? I jak się to wszystko teraz ułoży? Dużo bym dał, gdybym się mógł dowiedzieć!...

917

Tak w rozpaczy rozmyślał nasz bohater. Gdy niespodzianie się ocknął, spostrzegł, że stoi gdzieś na Litiejnej. Pogoda była okropna: była odwilż, sypał śnieg, pada) deszcz - no, kropka w kropkę jak w tej niezapomnianej chwili, gdy o strasznej północnej godzinie zaczęły się wszystkie nieszczęścia pana Go-ladkina. „Co tu gadać o wojażu! - myślał pan Goladkin zwróciwszy uwagę na pogodę - tu wszędzie śmierć... Boże kochany! No gdzie ja teraz na przykład znajdę tu karetę? O, tam, na rogu, zdaje się, że coś czernieje. Popatrzmy, zbadajmy... Boże kochany!” - ciągnął nasz bohater kierując słabe i chwiejne kroki w tę stronę, gdzie ujrzał coś podobnego do karety. „Nie, zrobię inaczej; pójdę, padnę do nóg, jeśli można, będę błagał uniżenie. Że niby tak i tak, składam swój los w pańskie ręce, w ręce zwierzchnika; że niby, wasza ekscelencjo, niech mnie pan obroni i będzie moim dobroczyńcą; że niby tak i tak, właśnie to i to, dopuściłem się bezprawia; niech mnie pan nie gubi, uznaję pana za ojca, niech pan nie zostawia... niech pan ratuje ambicję, honor, imię i nazwisko... I niech pan ratuje mnie przed łotrem, przed człowiekiem rozwydrzonym... On jest kim innym, wasza ekscelencjo, a ja też jestem kim innym; on jest oddzielnie i ja też jestem sam przez się, doprawdy sam przez się, wasza ekscelencjo, doprawdy sam przez się; tak, właśnie tak jest. Nie mogę być podobny do niego, niech pan to zmieni, niech pan zrobi tę łaskę, niech pan każe to zmienić- i zniszczyć bezbożne, samowolne oszustwo... bo to zły przykład dla innych, wasza ekscelencjo. Uznaję pana za ojca; wiadomo, że zwierzchnictwo, że dobroczynne i opiekuńcze

zwierzchnictwo powinno popierać podobne odruchy... W tym jest nawet coś rycerskiego. Że niby uznaję pana, dobroczynnego zwierzchnika, za ojca i zawierzam panu swój los i nie będę oponował, zawierzam i sam się usuwam w cień... tak, właśnie tak!”

- No co, mój kochany, dorożka?

- Dorożka...

- Potrzebna mi karetka, bracie, na wieczór...

- A daleko pan raczy jechać?

- Na wieczór, na wieczór; gdzie wypadnie, mój kochany, gdzie wypadnie.

- Życzy pan jechać za miasto?

- Tak, przyjacielu, może nawet za miasto. Sam jeszcze nie

918

wiem na pewno, przyjacielu, nie mogę powiedzieć ci z pewnością, mój kochany. Widzisz, mój kochany, może się wszystko jeszcze obróci ku lepszemu. Wiadomo, przyjacielu...

- Tak, wiadomo, wielmożny panie, naturalnie; daj Boże każdemu.

- Tak, przyjacielu, tak; dziękuję ci, mój kochany; no, ile weźmiesz, mój kochany?...

- Zaraz pan życzy jechać?

- Tak, zaraz, to znaczy nie, zaczekasz w jednym miejscu... tak, troszkę, niedługo zaczekasz, mój kochany...

- Ano, jeśli pan już bierze na cały czas, to nie można przy takiej pogodzie mniej niż sześć rubli...

- No dobrze, przyjacielu, dobrze, odwdzięczę ci się, mój kochany. No to teraz zawiesz mnie, mój kochany.

- Siadaj pan; pan pozwoli, że tu troszeczkę poprawię; niech pan teraz siada. Dokąd pan każe jechać?

- Do Izmailowskiego mostu, przyjacielu.

Dorożkarz-stangret wlaź na kozioł i popędził parę wychudłych szkap, które z trudem oderwał od koryta z sianem, w stronę mostu Izmailowskiego. Ale naraz pan Goladkin szarpnął za sznurek, zatrzymał karetkę i błagalnym głosem poprosił, aby zawrócić, jechać nie do mostu Izmailowskiego, lecz na inną ulicę. Stangret zawrócił w inną ulicę i po dziesięciu minutach nowy pojazd pana Goladkina zatrzymał się przed domem, w którym mieszkał jego ekscelencja. Pan Goladkin wysiadł z karetki, usilnie poprosił stangreta, aby zaczekał, a sam z zamierającym sercem wbiegł na górę, na pierwsze piętro, pociągnął za sznurek, drzwi się otworzyły i nasz bohater znalazł się w przedpokoju jego ekscelencji.

- Czy jego ekscelencja raczy być w domu? - zapytał pan Goladkin, w ten sposób zwracając się do służącego, który otworzył mu drzwi.

- A pan czego sobie życzy? - zapytał lokaj, od stóp do głów mierząc wzrokiem pana Goladkina.

- A ja jestem, przyjacielu, tego... Goladkin, urzędnik, radca tytularny Goladkin. Chciałbym tak i tak, wytłumaczyć się...

- Pan zaczeka, teraz nie można...

- Nie mogę czekać, przyjacielu, mam ważną sprawę, nie cierpięca zwłoki...

- A pan od kogo? Przyniósł pan akta?...

919

- Nie, mój przyjacielu, jestem sam przez się... Zamelduj, przyjacielu, że niby tak i tak, że

przyszedłem się wytłumaczyć. A ja ci się już odwdzięczę, mój kochany...

- Nie można. Jego ekscelencja zabronił kogokolwiek przyjmować, ma gości. Przyjdzie pan z rana o dziesiątej...

- Mój kochany, proszę zameldować, nie mogę, absolutnie nie mogę czekać... Będiesz za to, mój kochany, odpowiadać..

- A idźże, zamelduj, co ci tam: butów załujesz czy co? - odezwał się drugi lokaj, który siedział rozwalony na ławce i dotychczas nie wyrzekł ani słowa.

- Co tam buty! Nie kazał przyjmować, wiesz! Ich kolej z rana.

- Zamelduj. Język ci się wystrzępi czy co?

- No to zamelduję: język mi się nie wystrzępi. Nie kazał: powiedziałem - nie kazał. Niech pan wejdzie do pokoju.

Pan Goladkin wszedł do pierwszego pokoju; na stole stał zegar. Spojrzał: pół do dziewiątej. Poczul, że coś ścisnęło go za serce. Zamierzał już zawrócić, ale w tej właśnie chwili wysoki jak tyka lokaj, stając na progu następnego pokoju, głośno obwieścił nazwisko pana Goladkina. „Ale ma gardziel! - pomyślał nasz bohater z niewymownym strapieniem... - No, powiedziałbyś, że tego... niby że tak i tak, przyszedł się pokornie i unizenie wytłumaczyć - tego... zechce pan łaskawie przyjąć... A teraz wszystko na nic, cała moja sprawa rozwiązała się jak dym; a zresztą... ano, trudno...” Nie było zresztą czasu na rozmyślania. Lokaj wrócił, powiedział „proszę” i wprowadził pana Goladkina do gabinetu.

Gdy nasz bohater wszedł, uczył, jak gdyby spadła nań nagle ślepotą, bo absolutnie nic nie widział. Co prawda mignęły mu przed oczami dwie, trzy postaci: „No, ale to goście” - przemknęło przez myśl panu Goladkinowi. Wreszcie nasz bohater zaczął wyraźnie dostrzegać gwiazdę na czarnym fraku jego ekscelencji, potem, stopniowo, zauważył czarny frak, a w końcu osiągnął zdolność pełnego widzenia...

- O co chodzi? - rozległ się nad panem Goladkinem znajomy głos.

- Radca tytularny Goladkin, wasza ekscelencjo.

- No?

- Przyszedłem się wytłumaczyć...

- Co?... Jak?...

920

- Ano już tak. Że niby tak i tak, przyszedłem się wytłumaczyć, wasza ekscelencjo...

- Ależ pan... kim pan jest?...

- Pa-pa-pan Goladkin, wasza ekscelencjo, radca tytularny.

- A więc czego pan sobie życzy?

- Ano niby tak i tak, uznaję pana za ojca; sam się usuwam od wszelkich spraw, ale niech mnie pan obroni przed wrogiem - ot co!

- Co takiego?...

- Wiadomo...

- Co wiadomo?

Pan Goladkin milczał; podbródek zaczynał mu drgać coraz bardziej...

- No więc?

- Myślałem, że po rycersku, wasza ekscelencjo... że to po rycersku i że uznaję zwierchnika za swego ojca... że niby tak i tak, niech mnie pan obroni, bia... błagam ze łza... ze łzami, że takie od... odruchy po... po... powinny być po... po... popierane...

Jego ekscelencja odwrócił się. Bohater nasz przez kilka chwil nic nie widział. W piersi czuł ucisk. Nie mógł złapać tchu. Nie wiedział, gdzie stoi... Było mu jakoś smutno i wstyd. Bóg wie, co się zdarzyło później... Ocknąwszy się nasz bohater zauważył, że jego ekscelencja rozmawia ze swymi gośćmi i jak gdyby ostro a zdecydowanie o czymś z nimi rozprawia. Jednego z gości pan Goladkin poznał natychmiast. Był to Andrzej Filipowicz; drugiego zaś nie poznał, choć twarz była mu jakaś znajoma - wysoka, mocna postać; pan w starszym wieku, obdarzony bardzo gęstymi brwiami i bokobrodami a także wyrazistym, ostrym spojrzeniem. Nieznajomy miał na szyi order, a w ustach cygaro. Palił i nie wyjmując cygara z ust kiwał znacząco głową, od czasu do czasu spoglądając na pana Goladkina. Pan Goladkin poczuł się jakoś niezręcznie, odwrócił wzrok i natychmiast ujrzał jeszcze jednego, nader dziwnego gościa: W-drzwiach, które nasz bohater brał dotychczas za lustro, tak jak to już niegdyś mu się wydarzyło - zjawił się on - wiadomo kto, bardzo bliski znajomy i przyjaciel pana Goladkina. Pan Goladkin-młodszy dotychczas siedział w sąsiednim małym pokoiku i pisał coś z pośpiechem. Teraz widocznie coś mu było potrzebne i zjawił się, z aktami pod pachą,

40 Dobtojewski, t III 921

podszedł do jego ekscelencji i nader zręcznie, chcąc zwrócić na swą osobę wyłączną uwagę, zdążył się wtrącić do rozmowy, stając nieco za plecami Andrzeja Filipowicza, a częściowo ukrywając się za plecami palącego cygaro nieznajomego. Widać było, że pan Goladkin-młodszy żywo interesował się rozmową, której przysłuchiwał się teraz w sposób wytworny, kiwał głową, przebierał nóżkami, uśmiechał się, co chwila spoglądał na jego ekscelencję, jak gdyby błagał spojrzeniem, aby jemu również pozwolono wtrącić swoje pół słówka. „Łajdak!” - pomyślał pan Goladkin i mimo woli zrobił krok naprzód. W tej samej chwili generał odwrócił się i dość niezdecydowanie zbliżył się do pana Goladkina.

- No, dobrze, dobrze, niech pan idzie z Bogiem. Rozpatrzę pańską sprawę, a pana każę odprowadzić... - Tu generał spojrział na nieznajomego z gęstymi bokobrodami, który na znak zgody kiwnął głową.

Pan Goladkin czuł i doskonale rozumiał, że traktują go jakoś szczególnie, bynajmniej nie tak, jak by należało. „Tak czy inaczej, ale przecież trzeba się wytłumaczyć - pomyślał - że niby tak i tak, wasza ekscelencjo.” Tu, pełen rozterki wewnętrznej, spuścił wzrok ku ziemi i ku swemu wielkiemu zdumieniu ujrzał, na butach jego ekscelencji dużą białą plamę. „Czyżby pękły?” - pomyślał pan Goladkin. Jednakże wkrótce pan Goladkin uświadomił sobie, że buty jego ekscelencji bynajmniej nie pękły, jedynie mocno świeciły - zjawisko, które w pełni tłumaczyło się tym, że były lakierowane i mocno błyszcząły. „To się nazywa blik - pomyślał nasz bohater - nazwę tę stosuje się zwłaszcza w pracowniach malarskich; gdzie indziej ten odblask nazywa się refleksem.” Tu pan Goladkin podniósł wzrok i ujrzał, że czas już mówić, bo sprawa bardzo łatwo mogła wziąć zły obrót... Nasz bohater zrobił krok naprzód.

- Bo to jest tak i tak, wasza ekscelencjo - odezwał się - a samozwaństwem w naszych czasach daleko się nie zajędzie.

Generał nic nie odpowiedział, tylko mocno pociągnął za sznurek dzwonka. Nasz bohater zrobił jeszcze jeden krok naprzód.

- On jest podłym i niegodziwym człowiekiem, wasza ekscelencjo - rzekł nasz bohater, nie panując nad sobą, umierając ze strachu, a jednocześnie śmiało i stanowczo wskazując

922

na swego niegodnego bliźniaka, który w tej właśnie chwili dreptał koło jego ekscelencji - bo to niby tak i tak, a ja napomykam na wiadomą osobę.

Po tych słowach pana Goladkina nastąpiło ogólne poruszenie. Andrzej Filipowicz i nieznajomy pan zaczęli kiwać głowami, jego ekscelencja niecierpliwie szarpał ze wszystkich sił za sznurek

dzwonka, wzywając służbę. Tu z kolei wystąpił naprzód pan Goladkin-młodszy.

- Wasza ekscelencjo - odezwał się - proszę unieść, aby mi pan łaskawie pozwolił mówić. - W głosie pana Goladkina-młodszego brzmiało coś bardzo stanowczego, wszystko wskazywało na to, że jest pewien swojej słuszności.

- Pozwoli pan, że pana zapytam - zaczął znowu, gorliwością swoją uprzedzając odpowiedź jego ekscelencji i zwracając się tym razem do pana Goladkina - pan pozwoli, że pana zapytam, w czyjej obecności pan to wszystko mówi, przed kim pan stoi, w którym gabinecie pan się znajduje? - Pan Goladkin-młodszy był niezwykle przejęty, cały zaczerwieniony i płonący oburzeniem i gniewem; nawet łzy pokazały mu się w oczach.

- Państwo Bassawriukow! - wrzasnął na całe gardło lokaj, stając w drzwiach gabinetu. „Dobre szlacheckie nazwisko, rodem z Małorusi” - pomyślał pan Goladkin i w tej samej chwili poczuł, że ktoś go w nader przyjacielski sposób jedną ręką uchwycił za plecy; potem i druga ręka uchwyciła go za plecy; podły bliźniak pana Goladkina wiercił się na przedzie wskazując drogę i nasz bohater wyraźnie ujrzał, że ktoś go, jak się zdaje, kieruje w stronę wielkich drzwi od gabinetu. „Kropka w kropkę jak u Olsufia Iwanowicza” - pomyślał i znalazł się w przedpokoju. Rozejrzał się i dostrzegł -obok siebie dwóch lokajów jego ekscelencji i jednego bliźniaka.

- Płaszcz, płaszcz, płaszcz, płaszcz mojego przyjaciela! płaszcz mojego najlepszego przyjaciela! - zaszczebiotał niegodziwiec wyrывая z rąk jednego ze służących płaszcz i narzucając go dla podłego i nieprzyzwoitego kawału wprost na głowę panu Goladkinowi. Wygrzebawszy się spod swego płaszcza pan Goladkin-starszy wyraźnie dosłyszał śmiech dwóch lokajów. Ale nie słuchając niczego i na nic nie zwracając uwagi wychodził już z przedpokoju i znalazł się na oświetlonych schodach. Pan Goladkin-młodszy szedł za nim.

923

- Żegnam, wasza ekscelencjo! - zawołał za panem Goladkinem-starszym.

- Łajdak! - wyrzekł bezprytomnie nasz bohater.

- Niech będzie łajdak...

- Niegodziwiec!

- Niech będzie niegodziwiec... - odrzekł szlachetnemu panu Goladkinowi nieszlachetny przyjaciel i z właściwą sobie podłością nie mrugnawszy okiem patrzył ze szczytu schodów prosto w oczy panu Goladkinowi, jak gdyby prosząc go, aby mówił dalej. Bohater nasz splunął z oburzenia i wybiegł na ganek; był tak przybity, że absolutnie nie pamiętał, kto i w jaki sposób wsadził go do karety. Ocknąwszy się ujrzał, że jedzie przez Fontankę. „A więc do mostu Izmailowskiego?” - pomyślał pan Goladkin... Tu pan Goladkin chciał jeszcze o czymś pomyśleć, ale nie mógł; w tym wszystkim było coś tak przerażającego, że nawet nie można było sobie tego uświadomić... - „No, nie ma co!” - zakonkludował nasz bohater i pojechał w stronę mostu Izmailowskiego.

ROZDZIAŁ XIII

...Zdawało się, że pogoda zamierzała się poprawić. Istotnie, mokry śnieg, który do tej pory walił gęstymi płatami, powoli zaczął rzednąć, a wreszcie prawie całkiem przestał padać. Przejaśniło się, tu i ówdzie na niebie zaiskrzyły się gwiazdki. Siąpiło tylko, było wilgotno i duszno, zwłaszcza panu Goladkinowi, który i bez tego ledwo mógł złapać oddech. Przemokły i ciężki od deszczu płaszcz przejmował wszystkie jego członki jakąś niemiłą ciepłą wilgocią, a pod ciężarem płaszcza uginały mu się i tak już mocno osłabłe nogi. Jakiś febryczny dreszcz ostrym i kłującym mrowieniem wędrował po całym ciele, z wyczerpania były na niego zimne, chorobliwe poty, toteż pan Goladkin zapomniał nawet przy tej okazji powtórzyć z właściwą mu stanowczością i zdecydowaniem swe ulubione zdanie, że wszystko to jakoś jeszcze może jednak, jakoś tam, na pewno, niewątpliwie weźmie i obróci się ku lepszemu. „Zresztą to jeszcze tymczasem nic takiego” - dodał mocny i nie

upadający na duchu nasz bohater, ścierając z twarzy krople zimnej wody, sączące się we wszystkich kierunkach z ronda jego

924

okrągłego i tak przemokłego kapelusza, „; woda już się nie mogła na nim utrzymać. Dodawszy, że wszystko to jeszcze nic takiego, nasz bohater spróbował się na dość grubym pieńku, który leżał obok kupy drewna na podwórzu Olsufia Iwanowicza. Oczywiście mowy nawet nie było o hiszpańskich serenadach i o jedwabnych drabinkach, ale o zacisznym kątku, choćby nie całkiem ciepłym, za to przytulnym i ukrytym, trzeba było jednak pomyśleć. Mówiąc nawiasem, mocno go kusił ów kącik w sieni mieszkania Olsufia Iwanowicza, gdzie uprzednio, prawie na początku tej prawdziwej historii, bohater nasz stał dwie godziny pomiędzy szafą i starym parawanem, wśród wszelakich domowych rupieci, gratów i łachów. Rzecz w tym, że i teraz pan Goladkin stał i czekał już całe dwie godziny na podwórzu u Olsufia Iwanowicza. Ale jeśli chodzi o zaciszny i przytulny dawny kącik, to powstały teraz pewne trudności, których przedtem nie było. Pierwszą trudnością było to, że na owo miejsce po historii na ostatnim balu u Olsufia Iwanowicza zwrócono zapewne uwagę i zastosowano wobec niego pewne środki zapobiegawcze; a po drugie, trzeba było przecież czekać na umowny znak Klary Olsufiewny, ponieważ obowiązkowo musiał przecież być jakiś taki umowny znak. Tak to się zawsze przecież odbywało i „wszakże nie od nas się zaczyna i nie na nas się kończy”. Pan Goladkin przypominał tu sobie przy okazji jakiś dawno przeczytany romans, w którym heroina w zupełnie podobnych okolicznościach dała umowny znak Alfredowi przywiązując do okna różową wstążeczkę. Ale różowa wstążeczka teraz, w nocy, i to przy sanktpetersburskim klimacie, znanym ze swej wilgoci i niepewności, nie mogła wchodzić w rachubę i krótko mówiąc była całkiem nie do zastosowania. „Nie, tu nie ma co myśleć o jedwabnych drabinkach - pomyślał nasz bohater - a ja sobie raczej stanę tu, o tak, w przytulnym kątku, cichaczem... a ja sobie raczej stanę na przykład tutaj” - i wybrał sobie miejsce na podwórzu, naprzeciw okien, koło stosu uskładanych drewn. Oczywiście po podwórzu kręciło się mnóstwo obcych ludzi, forysiów, stangretów; w dodatku turkotały tam koia i parskały konie itd., a jednak miejsce było wygodne: zauważą czy nie zauważą, ale zyskiwało się przynajmniej to, że wszystko odbywało się poniekąd w cieniu i pana Goladkina nikt nie widział, on zaś mógł widzieć zdecydowanie wszystko. Okna były rzęsiście

925

oświetlone, u Olsufia Iwanowicza odbywało się jakieś uroczyste przyjęcie. Zresztą muzyki jeszcze nie było słychać. „A więc to nie bal, lecz tak, po prostu zjechali się z jakiejś innej okazji - myślał niemal drętwiejąc nasz bohater. - A zresztą, czy to właśnie dzisiaj? - przemknęło mu przez głowę. - Czy się nie omyliłem w dacie? Możliwe, wszystko możliwe... Ano, tak to już jest, pewnie że wszystko możliwe... Może list był napisany jeszcze wczoraj, a do mnie nie doszedł, a nie doszedł dlatego, że zamieszany był w to Pietrek, szelma jeden! Albo też jutro był napisany, to znaczy, co też ja... że niby jutro trzeba było wszystko zrobić, to znaczy czekać z karetą...” Tu nasz bohater zdrętwiał ostatecznie i sięgnął do kieszeni po list, aby sprawdzić. Ale ku jego zdumieniu listu w kieszeni nie było. „Jakże to? - wyszeptał na wpół żywy pan Goladkin - gdzież to ja go zostawiłem? Wychodzi na to, że zgubiłem! tego jeszcze brakowało! - wyjęczał wreszcie na zakończenie. - No, a jak ten list wpadnie teraz w niewłaściwe ręce? (A może już wpadł!) Boże! Co z tego będzie! Wyjdzie coś takiego, że już... Ach, mój losie, losie nienawistny!” Tu pan Goladkin zadrżał jak liść na myśl o tym, że może jego nieprzyzwoity bliźniak, narzucając mu płaszcz na głowę, miał na celu porwanie listu, o którym jakoś tam wywiedział się od wrogów pana Goladkina. „Przecież on zawsze przechwytywa - pomyślał nasz bohater - a dowodem na to... a cóż po dowodzie!...” Po pierwszym ataku i osłupieniu panu Goladkinowi krew uderzyła do głowy. Z jękiem, zgrzytając zębami, chwycił się za płonącą głowę, opadł na swój pieniek i zaczął o czymś myśleć... Ale myśli jakoś nie wiązały się w jego głowie. Majaczyły mu się jakieś twarze, przypominały się to niejasno, to wyraziście jakieś dawno zapomniane wydarzenia, cisnęły się do głowy jakieś tam motywy

jakichś tam głupich piosenek... Czuł niesamowity smutek! „Mój Boże! Mój Boże! - pomyślał nasz bohater wracając nieco do przytomności i tłumiąc w piersi głuchy jęk - daj mi siłę ducha w tej niezgłębionej otchłani moich nieszczęść! Już nie ulega wątpliwości, że zginąłem, że przepadłem z kretesem - i to jest naturalne, inaczej bowiem w żaden sposób być nie może. Po pierwsze, straciłem posadę, niewątpliwie straciłem, nie mogłem nie stracić... No, przypuśćmy, że to się jakoś tam ułoży. Pieniądzy, powiedzmy, starczy mi na po-

926

czątek, na jakieś tam mieszkanko, na jakieś tam mebelki, przecież to trzeba... Po pierwsze, przecież nie będzie Pietrka. Mogę się obejść i bez tego szelmy... tak, mieszkać jako sublokator, no dobrze! Wchodzę i wychodzę, kiedy mi się podoba, Pietrek też nie będzie zrzędził, że późno wracam - ano tak; to nawet lepiej za sublokatora... No, powiedzmy sobie, że wszystko to dobrze, tylko dlaczego ja ciągle mówię nie o tym co trzeba, właśnie nie o tym co trzeba?” Tu myśl o obecnej sytuacji znów olśniła umysł pana Goladkina. „Ach, mój Boże! Mój ty Boże! o czym to ja teraz mówię?” - pomyślał zupełnie zdetonowany i chwycił się za rozpaloną głowę...

- Czy wielmożny pan prędko zamieruje jechać? - rozległ się głos nad panem Goladkinem. Pan Goladkin drgnął; przed nim stał jego dorożkarz, który również zmókł do nitki i wyziął; z niecierpliwości oraz z nudów przyszło mu do głowy, aby zajrzeć do pana Goladkina za sag drew.

-r- Ja, przyjacielu, nic takiego... ja, przyjacielu, już zaraz, bardzo szybko, zaczekaj...

Dorożkarz odszedł mamrocząc coś pod nosem. „Co on tam mamrocze ? - myślał przez łzy pan Goladkin. - Przecież wynająłem go na cały wieczór, przecież tego... mam teraz prawo... ano, tak! wynająłem na cały wieczór, więc sprawa załatwiona. Niech sobie postoi, wszystko jedno. Wszystko zależy ode mnie. Chcę, to jadę, nie chcę, to nie jadę. A że stoję tutaj za sągiem, to nic nie szkodzi... nie masz prawa nic gadać; pan ma ochotę stać sobie za sągiem, to i stoi za sągiem... i nikomu nie ubliża - tak to właśnie jest! Tak właśnie jest, łaskawa pani, jeśli tylko ma pani ochotę wiedzieć. A w ubogiej chatce, łaskawa pani, tak i tak, w naszych czasach nikt nie mieszka. Właśnie, właśnie! A bez cnoty w naszym uprzemysłowionym wieku, łaskawa pani, nie da rady, czego sama pani teraz jest smutnym przykładem. Że niby można być pisarzem sądowym i mieszkać w ubogiej chatce na brzegu morza. Po pierwsze, łaskawa pani, na brzegu morza nie ma pisarzy sądowych, a po drugie, z panią nawet posady pisarza sądowego nie można dostać. Bo powiedzmy, na ten przykład, składam podanie, zjawiam się - niby tak i tak, chciałbym na pisarza niby, tego... i proszę mnie obronić przed wrogiem... a pani powiedzą, łaskawa pani, że niby tego, pisarzy jest dużo, i że pani tutaj nie jest u emigrantki Falbalas, gdzie się pani uczyłaś dobrych

927

obyczajów, czego jest pani sama zgubnym przykładem. A dobre obyczaje, łaskawa pani, to znaczy siedzieć w domu, ojca szanować i nie myśleć przed czasem o narzeczonych. A narzeczeni, łaskawa pani, znajdują się w swoim czasie - tak właśnie, tak! Naturalnie, różne talenty, wiadomo, trzeba mieć, no: na fortepianie czasami pograć, po francusku parlować, historię, geografę, religię i arytmetykę - właśnie, właśnie! - a więcej nic nie trzeba. A przy tym kuchnia, koniecznie w zakres każdej cnotliwej panny powinna wchodzić kuchnia! Bo inaczej to co? Po pierwsze, moja ślicznotko, łaskawa pani, nikt pani nie puści, a wyślą za panią pogoń, a potem kropka, do klasztoru. A wtedy co, łaskawa pani ? Wtedy co mi pani każesz robić ? Każe mi pani, dobrodziejko moja, wzorem niektórych głupich romansów chadzać na pobliski wzgórek i rozplływać się we łzach, patrząc na zimne mury pani więzienia, a wreszcie umrzeć idąc za przykładem niektórych kiepskich niemieckich poetów i romansopisarzy, nieprawdaż, łaskawa pani? A więc po pierwsze, niechże pani pozwoli sobie powiedzieć po przyjacielsku, że tak się nie robi, a po drugie, i panią, i pani rodziców wychłostałbym porządnie za to, że dawali pani francuskie książki do czytania, bo francuskie książki niczego dobrego nie uczą. To trucizna... śmiertelna trucizna, łaskawa pani! A

może pani myśli, pozwoli pani, że ją zapytam, może pani myśli, niby tak i tak, uciekniemy bezkarnie i tego... że niby sprawię pani ubogą chatkę na brzegu morza i zaczniemy gruchać, i mówić o różnych takich uczuciach, i w ten sposób spędzimy całe życie w szczęściu i dostatku; a potem zjawi się potomek, to my tego... że niby tak i tak, ojciec i radco stanu Ołsu-fiu Iwanowicz, oto, proszę, zjawił się potomek, a więc wobec tej szczęśliwej okoliczności cofnij przekleństwo i pobłogosław nas? Nie, dobrodziejko, tak się też nie robi, a poza tym nie będzie żadnego gruchania, niech się pani nie łudzi. W dzisiejszych czasach, dobrodziejko moja, mąż jest panem, a dobra, dobrze wychowana żona powinna mu we wszystkim dogadzać. A czułości, łaskawa pani, dziś nikt nie lubi w naszym przemysłowym wieku; minęły już czasy Jana Jakuba Rousseau. W dzisiejszych czasach, na przykład, mąż przychodzi głodny z urzędu - ano, serdeńko, czy nie masz czym by tu zakąsić, wódeczki się napić, śledzika zjeść? No to pani, dobrodziejko moja, powinna mieć wszystko na podorędziu, i wódeczkę,

928

i śledzika. Mąż przekąsi sobie z apetytem, a na panią nawet nie spojrzy, i powie: idź, koteczku, do kuchni i przypilnuj obiadu, najwyżej raz w tygodniu pocałuje, a i to obojętnie... Widzi pani, jak to jest po naszymu, dobrodziejko moja! A i to obojętnie!... Oto jak będzie, jeżeli w ten sposób myśleć, jeżeli już na to poszło, żeby w ten właśnie sposób patrzeć na całą sprawę... A ja tu na co? A mnie po co zamieszala pani w swoje kaprysy? „Że niby szlachetny, za mnie cierpiący i nader miły sercu mojemu człowieku itd.” Ależ po pierwsze, ja się, dobrodziejko moja, dla pani nie nadaję, sama pani wie, komplementów prawić nie potrafię, różnych takich uperfumowanych głupstewek mówić nie lubię, adoratorów nie toleruję, a poza tym, trzeba przyznać, wdzięczną postacią się nie odznaczam. Fałszywego przechwalania się i wstydu pani we mnie nie znajdzie, przyznaję się do tego teraz z całkowitą szczerością. Że to niby tak właśnie jest, posiadam jedynie prosty i otwarty charakter i zdrowy rozsądek; intrygami się nie zajmuję. Nie jestem intrygantem i z tego jestem dumny - ot co!... Bez maski chodzę pomiędzy dobrymi ludźmi i chcę pani powiedzieć...”

Nagle pan Goladkin drgnął. Ruda i do szczętu wymokła broda jego stangreta znów zajrzała do niego za sag...

- Za chwileczkę, przyjacielu, ja, przyjacielu, już, już; ja, przyjacielu, już zaraz - powiedział pan Goladkin niepewnym, omdlewającym głosem.

Dorożkarz podrapał się po karku, potem pogładził brodę, potem zrobił krok naprzód... stanął i nieufnie spojrzał na pana Goladkina.

- Za chwileczkę, przyjacielu, ja widzisz... przyjacielu... ja troszkę, widzisz, przyjacielu, tylko sekundkę tutaj... widzisz, przyjacielu...

- Może pan wcale nie pojedzie? - rzekł wreszcie stangret, przystępując stanowczo i zdecydowanie do pana Goladkina...

- Nie, mój przyjacielu, ja zaraz. Jak widzisz, przyjacielu, czekam...

- Tak jest.

- Widzisz, przyjacielu... ty z jakiej wsi jesteś, mój kochany?

- Ja z dworskich...

- A u dobrych państwa?...

- Wiadomo...

929

- Tak, przyjacielu, poczekaj tu, przyjacielu. Widzisz, przyjacielu, dawno jesteś w Petersburgu?

- Ano, już rok jeżdżę...

- A dobrze ci, przyjacielu?

- Wiadomo.

- Tak, przyjacielu, tak, dziękuj Panu Bogu. Szukaj, przyjacielu, dobrych ludzi. Dziś dobrzy ludzie stali się rzadkością, mój kochany, a dobry człowiek umyje cię i nakarmi, i napoi... A czasami, widzisz, nawet i poprzez złoto lzy płyną, przyjacielu... widzisz żalostny przykład; tak to właśnie jest, mój kochany...

Dorożkarzowi, zdaje się, żal się zrobiło pana Goladkina.

- Nic takiego, proszę, ja zaczekam. Długo pan będzie czekał ?

- Nie, mój przyjacielu, nie, ja już wiesz, tego... ja już nie będę czekał, mój kochany. Jak myślisz, przyjacielu? Polegam na tobie. Ja już tu nie będę czekał...

-- Może pan w ogóle nie pojedzie?

- Nie, mój przyjacielu, nie, ale ja ci się odwdzięczę, mój kochany... tak, właśnie tak. Ile ci się należy, mój kochany?

- Ano da pan tyle, za ile się pan zgodził. Długo czekałem, łaskawy panie; łaskawy pan już człowieka nie pokrzywdzi.

- No masz, mój kochany, masz. - Tu pan Goladkin dał dorożkarzowi całe sześć rubli srebrem i poważnie postanowiwszy nie tracić więcej czasu, to znaczy wziąć nogi za pas, tym bardziej, że sprawa była już ostatecznie przesądzona i dorożkarz zwolniony, a więc nie było już na co czekać, ruszył przez podwórze, wyszedł za bramę, zawrócił na lewo i nie oglądając się, z trudem chwytając oddech, ucieszony, zaczął biec. „Ano, może jednak wszystko obróci się ku lepszemu - myślał - a w ten sposób uniknąłem nieszczęścia.” Istotnie panu Goladkinowi zrobiło się jakoś niezwykle lekko na duszy. „Ach, gdyby to tak obróciło się ku lepszemu! - myślał nasz bohater, sam zresztą nie bardzo w to wierząc. - W ten sposób ja tego... - myślał. - Nie, lepiej o tak, z drugiej strony... Albo może lepiej zrobić tak?...” Tak wahając się i szukając klucza dla rozstrzygnięcia swoich wahań, nasz bohater dobiegł do mostu Siemionowskiego, a dobiegłszy do mostu Siemionowskiego rozsądnie i zdecydowanie postanowił wrócić. „Tak będzie lepiej - pomyślał. - Ja raczej z drugiej strony, to

930

znaczy, o, tak. Ja będę tak - będę postronnym obserwatorem i rzecz skończona; cóż, jestem obserwatorem, człowiekiem postronnym - i tyle, a cokolwiek się wydarzy - to już nie moja wina. Właśnie, właśnie, właśnie w ten sposób teraz będzie.”

Postanowiwszy wrócić, nasz bohater rzeczywiście wrócił, tym bardziej że zgodnie ze swym szczęśliwym pomysłem uważał się teraz za człowieka całkowicie postronnego. „Tak przecież będzie lepiej: i nie odpowiadam za nic, i zobaczę wszystko, co trzeba... właśnie tak!” Czyli że rachuba była pewna i sprawa skończona. Uspokoiwszy się wszedł znowu pod opiekuńczy cień owego zbawczego, chroniącego sągu drow i zaczął uważnie patrzeć na okna. Tym razem niedługo mu wypadło patrzeć i wyczekiwać. Nagle we wszystkich naraz oknach powstał jakiś dziwny ruch, zamigotały postacie, odsłoniły się firanki, całe grupy ludzi tłoczyły się w oknach u Ołsufta Iwanowicza, wszyscy szukali i wypatrywali czegoś na podwórzu. Zabezpieczony swoim sągiem, nasz bohater z kolei również zaczął z ciekawością śledzić powszechne poruszenie i usilnie wyciągał na prawo i na lewo głowę, na tyle przynajmniej, na ile pozwalał mu krótki, osłaniający go cień, rzucany przez sąg. Nagle zmieszał się, drgnął i omal nie przysiadł z przerażenia. Wydało mu się - słowem, domyślił się w pełni, że szukano nie czegokolwiek i nie • kogokolwiek, szukano po prostu jego, pana Goladkina. Wszyscy patrzą w jego stronę, wszyscy wskazują w jego stronę. Ucieczka była niemożliwa: mogą zobaczyć... Zmieszany pan Goladkin przycisnął się jak tylko mógł najbliższej do sągu i dopiero wtedy zauważył, że zdradziecki cień zawodzi go, że go nie osłania całego. Z największą przyjemnością zgodziłby się nasz bohater, gdyby to tylko było możliwe, wleźć w jakąś

mysią dziurę pomiędzy bierwionami i siedzieć sobie tam cichutko. Ale było to stanowczo niemożliwe. W rozpaczy zaczął wreszcie z determinacją patrzeć jednocześnie na wszystkie okna; tak już było lepiej... I nagle ostatecznie spłonął ze wstydu. Dostrzeżono go, dostrzegli go wszyscy naraz, wszyscy zaczęli do niego machać rękami, wszyscy kiwali mu głowami, wszyscy go wzywali; oto zaskrzypiało i otworzyło się kilka lufcików, kilka naraz głosów zaczęło coś do niego wołać... „Dziwne, że tych dziewczyszek od dzieciństwa nie chłosta się różgami” - mamrotał do siebie całkowicie zdetonowany nasz bohater.

„ 931

Wtem z ganku zbiegi on (wiadomo kto) w samym tylko surducie, bez kapelusza, zdyszany, wierząc się, drepcąc i podskakując, wiarołomnie okazując niezwykłą radość z tego, że wreszcie ujrzał pana Goladkina.

- Jakubie Pietrowiczu - zaszczębiotał znany ze swej nik-czemności człowiek. - Jakubie Pietrowiczu, pan tu? Pan się zaziębi. Tu zimno, Jakubie Pietrowiczu. Pan pozwoli do pokoju.

- Jakubie Pietrowiczu! Nie, ja nic takiego, Jakubie Pietrowiczu - pokornym głosem wymamrotał nasz bohater.

- Nie, tak nie można, Jakubie Pietrowiczu: zapraszają, uprzejmie zapraszają, czekają na nas. „Niech pan nam zrobi tę przyjemność i przywodzi tu Jakuba Pietrowicza.” Tak jest.

- Nie, Jakubie Pietrowiczu, ja, widzi pan, lepiej bym zrobił... Lepiej będzie, jak pójdę do domu... - mówił nasz bohater płonąć na wolnym ogniu i zamarzając jednocześnie ze wstydu i przerażenia.

- Nie-nie-nie-nie! - zaszczębiotał ohydny człowiek. - Nie-nie-nie-nie, za nic! Idziemy! - rzekł stanowczym głosem i pociągnął pana Goladkina-starszego na ganek. Pan Goladkin—starszy nie chciał iść, ponieważ jednak wszyscy patrzyli i głupio byłoby sprzeciwiać się i opierać, więc nasz bohater poszedł - zresztą, trudno nawet powiedzieć, że poszedł, ponieważ zupełnie nie wiedział, co się z nim dzieje. Ano nic takiego, niech już tam, za jednym zamachem!

Zanim nasz bohater zdążył jako tako doprowadzić do porządku ubranie i opamiętać się, już znalazł się w salonie. Był blady, potargany, obszarpany; mętym wzrokiem obrzucił cały tłum - okropność! W salonie, we wszystkich pokojach - wszędzie, wszędzie było pełnusięńko. Ludzi było mnóstwo, pań cała oranżeria; wszystko to tłoczyło się koło pana Goladkina, wszystko to dążyło do pana Goladkina, wszystko to na swych ramionach wynosiło pana Goladkina, który wyraźnie dostrzegł, że pchają go w jakimś określonym kierunku. „Przecież nie do drzwi” - przemknęło przez myśl panu Goladki-nowi. Istotnie, pchano go nie w stronę drzwi, lecz prosto do wygodnego fotela Ołsufia Iwanowicza. Obok fotela z jednej strony stała Klara Ołsufiewna, blada, rozmarzona, smutna, zresztą wspaniale wystrojona. Szczególnie zwróciły uwagę

932

pana Goladkina malutkie białe kwiatuszki w jej czarnych włosach, co stanowiło znakomity efekt. Z drugiej strony fotela umieścił się Władimir Siemionowicz, w czarnym fraku, ze swoim nowym orderem w klapie. Pana Goladkina prowadzono pod rękę i, jak było już powiedziane powyżej, prosto do Ołsufia Iwanowicza - z jednej strony pan Goladkin-młodszy, który przybrał minę nader przyzwoitą i lojalną, z czego nasz bohater ucieszył się niezmiernie, z drugiej zaś strony prowadził go Andrzej Filipowicz z nader uroczystym wyrazem twarzy. „Co by to miało znaczyć?” - pomyślał pan Goladkin. Kiedy zaś ujrzał, że prowadzą go do Ołsufia Iwanowicza, to nagle jak gdyby go olśniło. Przez głowę przemknęła mu myśl o przejętym liście... Z uczuciem nieprzebranej rozpaczy stanął nasz bohater przed fotelem Ołsufia Iwanowicza. „Co mam teraz robić? - pomyślał. - Rozumie się, trzeba wszystko śmiało i otwarcie, to znaczy z nie pozbawioną szlachetności szczerością, że to niby tak i tak i tak dalej.” Ale to, czego tak się zapewne obawiał nasz bohater, ominęło go jednak. Ołsufij Iwanowicz, jak się zdaje, przyjął bardzo dobrze pana Goladkina i choć

nie wyciągnął do niego ręki, to przynajmniej patrząc na niego pokiwał swą siwowłosą i wzbudzającą nader wielki szacunek głową - pokiwał z jakąś uroczyście smutną, a jednocześnie życzliwą miną. Tak się przynajmniej wydało panu Goladkinowi. Wydało mu się nawet, że w mętnych oczach Ołufia Iwanowicza błysnęła łza; podniósł wzrok i ujrzał, że na rzęsach Klary Ołufiewny, która stała tuż obok, też jak gdyby błysnęła łezka - że i w oczach Władimira Siemiono-wicza również zjawilo się coś podobnego - że poza tym niewzruszona i spokojna godność Andrzeja Filipowicza tak samo warta była powszechnego, łzawego współczucia - że poza tym młodzieniec, który ongiś tak bardzo przypominał ważnego radcę, łkał już gorzko, korzystając ze sposobnej chwili... Albo też może to wszystko tak się wydało panu Goladkinowi, ponieważ on sam ogromnie się rozrzewnił i wyraźnie czuł, jak mu po zimnych policzkach płynęły gorące łzy... Pogodzony z ludźmi i losem, bardzo kochając w tej chwili nie tylko Ołufia Iwanowicza, nie tylko wszystkich gości razem wziętych, ale nawet swego złośliwego bliźniaka, który teraz, jak się zdaje, bynajmniej nie był złośliwym i nawet nie bliźniakiem dla pana Goladkina, lecz człowiekiem zupełnie postronnym i na-

933

der miłym, człowiekiem samym przez się, głosem pełnym łkania zwrócił się nasz bohater do Ołufia Iwanowicza ze wzruszającą spowiedzią swego serca; ale z nadmiaru tego wszystkiego, co się w nim nagromadziło, nie mógł absolutnie nic wypowiedzieć i tylko nader wymownym gestem w milczeniu wskazał na swoje serce... Wreszcie Andrzej Filipowicz, pragnąc zapewne oszczędzić wrażliwość siwowłosego starca, odprowadził pana Goladkina nieco na bok i pozostawił go tam, zresztą, jak się zdaje, w sytuacji całkowicie niezależnej. Uśmiechając się, coś sobie pod nosem mamrocząc, nieco zdziwiony, ale w każdym razie niemal całkowicie pogodzony z ludźmi i losem, nasz bohater zaczął przeciskać się dokąds przez gęsty tłum gości. Wszyscy ustępowali mu z drogi, wszyscy patrzyli na niego z jakimś dziwnym zaciekawieniem i z jakimś niewymownym, zagadkowym współczuciem. Nasz bohater wszedł do drugiego pokoju - wszędzie to samo zainteresowanie; słyszał niewyraźnie, jak cały tłum tłoczył się trop w trop za nim, jak zwracano uwagę na każdy jego krok, jak po cichu wszyscy rozprawiali o czymś nader interesującym, kiwali głowami, mówili, roztrząsali coś, omawiali i szeptali. Pan Goladkin bardzo chciałby się dowiedzieć, co oni wszyscy tak roztrząsają, rozważają i szeptają. Obejrzawszy się nasz bohater dostrzegł koło siebie pana Goladkina-młodszeo. Pan Goladkin uczuł potrzebę, aby chwycić go za rękę i odprowadzić na bok, zwrócił się więc do drugiego Jakuba Pietrowicza z serdeczną prośbą, aby pomógł mu we wszystkich poczynaniach i nie porzucił go w trudnej sytuacji. Pan Goladkin-młodszy kiwnął poważnie głową i mocno uściśnął rękę pana Goladki-na-starszeo. Z nadmiaru uczuć serce zadygotało w piersi naszego bohatera; przy tym tracił dech, czuł, że coś go tak gniecie, gniecie w piersi, poczuł, że wszystkie te zwrócone na niego spojrzenia gniołą go jakoś i duszą... Pan Goladkin ujrzał mimochodem tego radcę, który nosił perukę. Radca patrzył na niego surowym, badawczym wzrokiem, bynajmniej nie złagodzoneo przez powszechne współczucie... Nasz bohater zdecydował się już podejść wprost do niego, aby się doń uśmiechnąć i natychmiast wyjaśnić sprawę, ale jakoś mu się to nie udało. Na krótką chwilę pan Goladkin jak gdyby wpadł w omdlenie, stracił i pamięć, i przytomność... Kiedy się ocknął, zauważył, że kręci się w szerokim kole gości, którzy go obstąpili.

934

Nagle z drugiego pokoju ktoś zawołał pana Goladkina, okrzyk przeszedł naraz przez cały tłum. Wszyscy się poruszyli, wszyscy obecni w pokojach rozsiedli się w kilku rzędach wokół pierwszego salonu; naszego bohatera prawie wniesiono na rękach, przy czym oschły radca w peruce znalazł się ramię w ramię przy panu Goladkinie. Wreszcie wziął go za rękę i posadził obok siebie naprzeciw fotela Ołufia Iwanowicza, zresztą w dość znacznej od niego odległości. Wszyscy, dosłownie wszyscy obecni w pokojach rozsiedli się w kilku rzędach wokół pana Goladkina i Ołufia Iwanowicza. Wszyscy przycichli i uspokoili się, wszyscy obserwowali urozyste milczenie,

wszyscy spoglądali na Ołsufia Iwanowicza, oczekując zapewne czegoś nie całkiem powszedniego. Pan Goladkin zauważył, że obok fotela Ołsufia Iwanowicza, również na wprost radcy, umieścił się drugi pan Goladkin wraz z Andrzejem Filipowiczem. Milczenie przedłużało się, istotnie na coś czekano. „Kropka w kropkę jak w jakiejś rodzinie, gdy ktoś odjeżdża w daleką drogę; pozostaje teraz tylko wstać i pomodlić się” - pomyślał nasz bohater. Wtem powstał jakiś dziwny ruch i przerwał rozmyślenia pana Goladkina. Wydarzyło się coś, na co czekano od dawna. „Jedzie, jedzie!” - przemknęło przez tłum. „Któż to jedzie?” - przemknęło przez myśl pana Goladkina, który aż drgnął pod wpływem jakiegoś dziwnego uczucia. „Już czas!” - rzekł radca spojrzawszy z uwagą na Andrzeja Filipowicza. Andrzej Filipowicz spojrzął z kolei na Ołsufia Iwanowicza. Poważnie i uroczyście kiwnął głową Ołsufij Iwanowicz. „Wstańmy” - odezwał się radca podnosząc pana Goladkina. Wszyscy wstali. Wówczas radca ujął za rękę pana Goladkina-starszego, a Andrzej Filipowicz pana Goladkina-młodszeo i obaj pośród otaczającego ich kołem i zastygłego w oczekiwaniu tłumy uroczyście poprowadzili do siebie tych dwóch całkowicie do siebie podobnych. Bohater nasz rozejrzał się ze zdumieniem, ale natychmiast go zatrzymano i wskazano mu na pana Goladkina-młodszeo, który wyciągnął do niego rękę. „Chcą nas pogodzić” - pomyślał nasz bohater i z roztkliwieniem wyciągnął dłoń do pana Goladkina-młodszeo; a potem, potem pochylił ku niemu głowę. To samo uczynił również i drugi pan Goladkin... W tym miejscu wydało się panu Goladkinowi-starszemu, że wiarołomny jego przyjaciel uśmiecha się, że mimochodem chytrze mrugnął do

935

całego otaczającego ich tłumy, że nieprzyzwoity pan Goladkin-młodszy ma jakiś złowrogi wyraz twarzy, że nawet jakoś się skrzywił w chwili owego judaszowskiego pocałunku... Panu Goladkinowi zaszumiało w głowie, w oczach mu pociemniało, wydało mu się, że niezliczone mnóstwo, cały korowód absolutnie podobnych Goladkinów wdziera się z hałasem przez wszystkie drzwi do pokoju; ale było za późno... Rozległ się dźwięczny zdradziecki pocałunek i...

Tu wydarzyła się całkiem niespodziewana okoliczność... Z traskiem otworzyły się drzwi salonu i na progu zjawił się człowiek, którego sam widok wprawił w osłupienie pana Goladkina. Nogi mu wrosły w ziemię. Krzyk zamarł w jego ściśniętej piersi. Zresztą pan Goladkin wiedział o wszystkim z góry i już od dawna przeczuwał coś podobnego. Nieznajomy dumnym i uroczystym krokiem zbliżał się do pana Goladkina... Pan Goladkin doskonale znał tę postać. Widział ją, bardzo często widział, jeszcze dzisiaj widział... Nieznajomy był wysokim, tęgim mężczyzną w czarnym fraku ze znacznym orderem na szyi, a przy tym obdarzony był gęstymi, bardzo czarnymi bokobrodami; do zupełnego podobieństwa brakowało tylko cygara w ustach... Za to spojrzenie nieznajomego, jak już powiedzieliśmy, przejęło przerażeniem pana Goladkina. Ów straszny człowiek z dumną i uroczystą miną zbliżył się do żalosego bohatera naszego opowiadania... Nasz bohater wyciągnął do niego dłoń, nieznajomy ujął go za rękę i pociągnął za sobą... Z roztargnioną, przybitą miną nasz bohater rozejrzał się dokoła...

- To jest, to jest Kristian Iwanowicz Rutenszpic, doktor medycyny i chirurgii, pański dawny znajomy, Jakubie Pietrowiczu! - zaszczebotał czyjś ohydny głos przy samym uchu pana Goladkina. Obejrzał się: był to wstrętny przez swoją podłość bliźniak pana Goladkina. Twarz jego jaśniała nieprzyzwoitą, złowrogą radością, z zachwytem zacierał ręce, z zachwytem obracał na wszystkie strony głowę, z zachwytem dreptał dokoła wszystkich i każdego, wydawało się, że gotów był za chwilę zatańczyć z zachwytem. Wreszcie skoczył naprzód, pochwycił świecę z rąk jednego ze służących i poszedł przodem, oświetlając drogę panu Goladkinowi i Kristianowi Iwanowiczowi. Pan Goladkin słyszał wyraźnie, jak wszyscy, dosłownie wszyscy obecni w salonie runęli w ślad za nimi, jak

936

wszyscy się tłoczyli, gniatli jeden drugiego i wszyscy naraz głośno zaczęli powtarzać idąc za

panem Goladkinem: „że to nic takiego, że niech się pan nie boi, Jakubie Pietrowiczu, że to przecież pański stary przyjaciel i znajomy Kristian Iwanowicz Rutenszpic...” Wreszcie wyszli na parady, jasno oświetlone schody, na schodach również stał tłum; z trzaskiem otworzyły się drzwi na ganek i pan Goladkin wraz z Kristianem Iwanowiczem znalazł się na ganku. Przed podjazdem stała karetka zaprzężona w czwórkę koni, które parskały z niecierpliwości. Złośliwy pan Goladkin-młodszy trzema skokami zbiegł ze schodów i sam otworzył karetkę. Kristian Iwanowicz przekonywającym gestem poprosił pana Goladkina, aby siadł do karetki. Zresztą nie trzeba było bynajmniej przekonywającego gestu, było dość ludzi, aby go podsadzić... Drętwiejąc z przerażenia pan Goladkin obejrzał się: całe jasno oświetlone schody unizane były ludźmi, zewsząd patrzyły na niego ciekawe oczy, sam Olsufij Iwanowicz zasiadł na górnym podejściu schodów w swoim wygodnym fotelu i uważnie, z wielkim zainteresowaniem patrzył na wszystko, co się działo. Wszyscy czekali. Szmer zniecierpliwienia przebiegł przez tłum, gdy pan Goladkin obejrzał się.

- Mam nadzieję, że w tym wszystkim nie ma nic... nic naganego... nic takiego, co mogłoby wywołać niezadowolenie... i uwagi w odniesieniu do moich oficjalnych stosunków? - rzekł nasz bohater ze zmieszaniem. Wokoło powstał gwar i hałas, wszyscy zaczęli kręcić głowami przecząc. Łzy trysnęły z oczu pana Goladkina.

- W takim razie jestem gotów... powierzam się całkowicie... i los mój oddaję w ręce Kristiana Iwanowicza...

Jak tylko pan Goladkin oświadczył, że los swój całkowicie oddaje w ręce Kristiana Iwanowicza, z ust wszystkich otaczających go wyrwał się straszny, ogłuszający, radosny okrzyk i złowrogim odgłosem przebiegł przez cały wyczekujący tłum. A wtedy Kristian Iwanowicz z jednej strony i Andrzej Filipowicz z drugiej wzięli pod ręce pana Goladkina i poprowadzili do karetki, bliźniak zaś swoim podłym zwyczajem podsadzał go z tyłu. Nieszczęśliwy pan Goladkin-starszy rzucił ostatnie spojrzenie na wszystkich i na wszystko i drżąc jak kocię oblane zimną wodą - jeśli pozwolicie na takie porównanie - wsiadł do karetki, a za nim natychmiast wsiadł Kristian Iwanowicz.

937

Drzwiczki karetki zatrzasnęły się, rozległo się chłaśnięcie biczem, konie szarpnęły powóz z miejsca... tłum runął za panem Goladkinem. Przenikliwe niesamowite okrzyki wszystkich jego wrogów pobiegły za nim na pożegnanie. Przez pewien czas dokoła karetki, która uwoziła pana Goladkina, migały jeszcze jakieś twarze, lecz biegnący zaczęli powoli pozostawać w tyle, aż wreszcie znikli zupełnie. Najdłużej biegł nieprzyzwoity bliźniak pana Goladkina. Wsadziwszy ręce do bocznych kieszeni swoich zielonych mundurowych spodni, z zadowoloną miną biegł podskakując to z jednej, to z drugiej strony powozu, niekiedy zaś uczepliwszy się ramy okiennej i wisząc na niej wsadzał przez okienko głowę i na znak pożegnania posyłał panu Goladkinowi całuski; ale i on zmęczył się wreszcie, zjawiał się coraz rzadziej, a w końcu znikł. Głucho ścisnęło się serce w piersi pana Goladkina, krew uderzała mu do głowy gorącym strumieniem, było mu duszno, miał ochotę się rozpiąć, obnażyć pierś, obsypać ją śniegiem i oblać zimną wodą. Wreszcie stracił przytomność... Kiedy się ocknął, ujrzał, że konie niosą go jakąś nieznaną drogą. Na prawo i na lewo czerniały lasy, było głucho i pusto. Wtem zdrętwiał: dwoje ognistych oczu patrzyło na niego w ciemności i oczy te błyszczały złowieszczo, piekielną radością. To nie Kristian Iwanowicz! Któż to? A może to on? Tak, on! To Kristian Iwanowicz, ale nie ten poprzedni, to inny Kristian Iwanowicz! To przerażający Kristian Iwanowicz!

- Kristianie Iwanowiczu, ja... ja, zdaje się, nic takiego, Kristianie Iwanowiczu - zaczął lęklonie i drżąc na całym ciele nasz bohater, pragnąc pokorą i uległością wywołać choć troszkę litości u okrutnego Kristiana Iwanowicza.

- Pan otrzymać urzędowy mieszkanie z opałem, z licznymi usługami, czego pan nie godzien - surowo i przerażająco zabrzmiała jak wyrok odpowiedź Kristiana Iwanowicza.

Nasz bohater krzyknął i chwycił się za głowę. Niestety! Przeczuwał to już od dawna.

iiii - .. .i
w Jarocinie

OD REDAKCJI

Utwór (Dwojnik. Pietierburgskaja poema) powstał w okresie od lata 1845 do stycznia 1846 r. i ukazał się drukiem w czasopiśmie „Otie-czestwiennyje Zapiski” w lutym 1846 r. pt. Dwojnik. Priklučenija gospodina Goladkina (Sobowtór. Przygody pana Goladkina). Tekst ten został przez autora nieco zmieniony przy przygotowywaniu trzeciego tomu dzieł w edycji Stiełłowskiego.

1 Zapewne aluzja do gazety „Siewiernaja Pczela” („Pszczola Północna”), która ukazywała się w Petersburgu od r. 1825 do r. 1864. Od r. 1825 do r. 1830 redaktorem jej był Bułharyn, a od r. 1831 do 1859 - Bułharyn i Griecz. Skrajnie szowinistyczna i całkowicie oddana rządowi, walczyła wszelkimi środkami, do donosu włącznie, ze swoimi politycznymi i literackimi przeciwnikami, m.in. z Gogolem, Bielińskim, a wcześniej z Puszkinem i Lermontowem.

2 Jan Baptysta Serafin Józef de Yillele (1773-1854) - francuski mąż stanu w epoce Restauracji. Od r. 1821 do r. 1827 był ministrem, następnie prezesem rady ministrów.

3 Mowa tu o utworze Matwieja Komarowa, autora kilku powieści, ogłaszanych między r. 1782 i 1789; tytuł oryginału: Powiesi o priklučenii angijskiego milorda Gieorga i o brandienburgskoj mark-grafime Fridierikie Luizie s prisowokuplenijem k onoj istoni bywszogo turieckiego wiziria Marcimirisa i sardinskiej korolewny Tieriezii (17S2

4 Aluzja do popularnego w Rosji powiedzenia: „V4 larczik prosto otkrywalsia” (Skrzynka otwierała się w prosty sposób), będącego cytatem z bajki Iwana Kryłowa Skrzynka (Larcziki. Powiedzenie to oznacza, że nie ma potrzeby zastanawiać się i mędrkować wtedy, gdy sprawa jest prosta.

5 Obraz Briułłowa, o którym tu wspomniano, to Ostatni dzień Pompei, wystawiony w r. 1834 w Akademii Sztuk Pięknych w Pe-

939

tersburgu. Krata, o której mowa, stanowi ogrodzenie od strony Newy. Wykonano ją z kutego żelaza według rysunku de Tho-mona, architekta francuskiego, który pracował w Rosji (1759-1813).

Baron Brambeus był to pseudonim Józefa Sękowskiego (Osip Sienkowskij, 1800-185Ś), pisarza rosyjskiego pochodzenia polskiego.

Griszka Otriepiew, mnich z monasteru cudowskiego, uważany przez wielu historyków za Dymitra Samozwańca, który wystąpił w początku w. XVII.

Bohater romansu francuskiego Les amours du chevaier de Faublas (1787-1789), którego autorem był Louvet de Couvray (1760-

-1797). Rosyjskie tłumaczenie (Żyzń i lubownyje pochoźdienija kawalera de Foblaza) ukazało się między rokiem 1792 i 1794 w trzynastu częściach.

„Gazeta Policyjna” („Wiedomosti S.-Pietierburgskoj Gorodskoj Policyi”) ukazywała się od r. 1839, a od r. 1844 wydawano ją jako

dziennik.

Aluzja do fragmentu utworu Puszkina Graf Nulin:

...Gdyż odebrała wychowanie Nie w starym obyczaju ruskim, Ale na pensji dla szlachcianek U panny Falbala, Francuzki.

Wyraz falbala oznacza w języku francuskim m.in. modny dodatek do stroju kobiecego.

SPIS RZECZY

Biesy 5

przełożyli Tadeusz Zagórski i Zbigniew Podgórzec

Od redakcji 706

Łagodna 737

przełożył Gabriel Karski

Przypisy 781

Sobowtór 783

przełożył Seweryn Pollak

Od redakcji

PRINTED In POLAND Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1*84 r

Wydanie pierwsze w tej edycji

Nakład 20 000 +250 egz Ark wyd 51,8 Ark druk 59 Oddano do składania w marcu 1982 r
podpisano do druku w lutym 1984 r Druk ukończono we wrześniu 1984 r

Skład i diapozytywy wykonały Poznańskie Zakłady Graficzne im M Kasprzaka

Druk i oprawę wykonała

Drukarnia Wydawnicza im W L Anczyca w Krakowie Nr zam 943/84 M-25 Cena r I IV A 1850 -